

# GORDON DAHLQUIST

## SZKLANE KSIĘGI PORYWACZY SNÓW

Z angielskiego przełożył ZBIGNIEW A. KRÓLICKI

Czas spędzony w wymyślonym mieście wymaga zdumiewających pokładów wielkoduszności i cierpliwości. Ta książka wiele zawdzięcza tym ludziom, miejscom i wydarzeniom, więc każdemu z nich dziękuję, wdzięczny za tę sposobność.

Liz Duffy Adams, Danny'emu Barorowi, Karen Bornarth, Venetii Butterfield, CiNE, Shannon Dailey, rodzinie Daileyów, Bartowi De-Lorenzo, Mindy Elliott, Evidence Room, „Exquisite Realms”, Laurze Flanagan, Josephowi Goodrichowi, Allenowi Hahnowi, Karen Hart-man, Davidowi Levine'owi, Beth Lincks, Toddowi Londonowi, Lower East Oval, Honor Malloy, Billowi Masseyowi, Johnowi Mc Adamsowi, E.J. McCarthy, Patricii McLaughlin, *Messalinie*, Davidowi Millmanowi, Emily Morse, New Dramatists, Octocorp@30<sup>h</sup> & 9<sup>th</sup> [RIP], Suki O'Kane, Timowi Paulsonowi, Molly Powell, Jimowi i Jill Pratzonom, Kate Wittenberg, Markowi Worthingtonowi, Margaret Young.

Mojemu ojcu, siostrze i kuzynowi Michaelowi

### 1

#### **Panna Temple**

Od jej zejścia na ląd do chwili, gdy pokojówka podczas śniadania przyniosła jej na srebrnej tacy list od Rogera, napisany na kredowym ministerialnym papierze i podpisany imieniem oraz nazwiskiem, upłynęły trzy miesiące. Tego ranka, kiedy obrane jajka na miękko parowały w srebrnej miseczce (powoli tężejąc i lśniąc), panna Temple nie widziała Rogera Bascombe'a od siedmiu dni. Został wezwany do Brukseli, a potem do wiejskiego domu zniedołężniałego wuja, lorda Tarra. Później cały czas zajął mu minister, następnie wiceminister, a w końcu kuzynka, rozpaczliwie potrzebująca dyskretnej porady prawnej w kwestii nieruchomości. Jednak panna Temple przypadkiem spotkała tę kuzynkę w herbaciarni - mającą nadwagę, nadmierną ilość trestek, a na imię Pamela - właśnie wtedy, kiedy Roger podobno uśmierzał jej niepokój. Było oczywiste, że jedynym źródłem zmartwienia Pameli

jest skromny wybór babeczek drożdżowych. Panna Temple była nieco zaszokowana. Kolejny dzień minął bez żadnych wiadomości. Ósmego dnia przy śniadaniu otrzymała list od Rogera, w którym z żalem zrywał zaręczyny, kończąc uprzejmie sformułowaną prośbą, aby przynigdy, do końca swoich dni nie próbowała się z nim zobaczyć ani kontaktować w jakikolwiek sposób. Nie podał żadnego wyjaśnienia.

Jeszcze nigdy nie została porzucona w taki sposób. Niemal nie zwróciła uwagi na formę zerwania - w istocie sama tak by to zrobiła (i naprawdę robiła w wielu irytujących przypadkach) - Panna Temple lecz sam fakt bardzo ją zabolał. Próbowała ponownie przeczytać list, ale mgła zasnuła jej oczy i po chwili panna Temple uświadomiła sobie, że płacze. Odprawiła pokojówką i bezskutecznie próbowała posmarować grzanką masłem. Ostrożnie odłożyła grzankę i nóż, wstała, a potem dość pospiesznie poszła do łóżka, na którym zwinęła w kłębek swe drobne ciało, wstrząsane cichym szlochem.

Przez cały dzień pozostała w swoim pokoju, nie jedząc i nie pijąc niczego oprócz okropnie gorzkiej herbaty lapsang souchong, w dodatku rozcieńczonej (bez mleczka lub cytryny) do rdzawego koloru cieczy, która była nie tylko słaba, ale i niesmaczna. W nocy znów płakała, sama, w ciemności pustej i nieprzyjaznej, aż jej poduszka stała się nieznośnie mokra. Jednak następnego ranka, z podkrążonymi jasnoszarymi oczami i rozkręconymi od wilgoci lokami, zbudziwszy się w bladym świetle zimy (porze roku zupełnie nowej dla ciepłokrwistej panny Temple, która uznała ją za zdecydowanie okropną) i w skotłowanej pościeli znów postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce, i to bardzo energicznie.

Jej świat się zmienił - i choć była skłonna przyznać (ponieważ odebrała klasyczne wykształcenie młodej damy), że w życiu czasem się tak zdarza - nie oznaczało to, że ona ma potulnie się z tym pogodzić, gdyż panna Temple była potulna jedynie w nadzwyczaj wyjątkowych wypadkach. W istocie niektórzy uważali ją za istną dzikuskę albo wręcz małego potwora, gdyż była niewysoka. Wychowała się na wyspie, gorącej i parnej, w cieniu niewolnictwa, a ponieważ była istotą wrażliwą, naznaczyło ją to jak razy bicia - chociaż częściowo właśnie temu zawdzięczała swoją odporność na ciosy, którą miała nadzieję zachować.

Panna Temple miała dwadzieścia pięć lat, sporo jak na pannę, lecz ponieważ przez jakiś czas odrzucała wszystkich adoratorów na swojej wyspie, zanim wysłano ją za morze, w kręgi śmietanki towarzyskiej, niekoniecznie było to jej winą. Była tak bogata, jak może być córka plantatora, i dostatecznie bystra, by wiedzieć, iż to normalne, że ludzie bardziej interesują się jej pieniędzmi niż nią samą, więc nie brała sobie tego materiał i stycznego podejścia zanadto do serca. W istocie, rzadko brała do serca cokolwiek. Wyjątkiem - choć

teraz trudno było jej to wyjaśnić i niemożność wyjaśnienia czegoś okropnie ją irytowała - był Roger.

Panna Temple wynajmowała apartament w hotelu Boniface, modnym, lecz nie przesadnie, składający się z salonu, saloniku, jadalni, gotowalni, sypialni, pokoiku dla służby oraz drugiej sypialni i gotowalni dla leciwej ciotki Agathy, żyjącej z renty zapewnianej przez niewielką plantację i przeważnie przesypiającej cały czas pomiędzy kolejnymi posiłkami, ale dostatecznie szanowanej, aby pełnić (choć bierną) rolę opiekunki młodej damy. Agatha, którą panna Temple zobaczyła pierwszy raz po zejściu na ląd, dobrze знаła rodzinę Bascombe'ów. A Roger był po prostu pierwszym mężczyzną o należytej pozycji i urodzie, którego poznała tu panna Temple, a jako trzeźwo i rozsądnie myśląca młoda dama, nie widziała powodu, by szukać dalej. Ze swej strony Roger sprawiał wrażenie, że uważa ją za śliczną i uroczą, więc się zaręczyli.

Wszystko wskazywało na to, że są dobraną parą. Pomijając wypowiedzi Rogera, nawet ci, których raziła bezpośredniość panny Temple, nie odmawiali jej urody. I równie chętnie przyznawali, że jest bogata. Roger Bascombe był obiecującym urzędnikiem ministerstwa spraw zagranicznych, roztaczającym aurę niemal namacalnego autorytetu. Dobrze wyglądał w eleganckich ubraniach, nie miał żadnych nałogów, miał natomiast lepiej zarysowaną szczękę i mniejszy brzuch niż którykolwiek z Bascombe'ów w dwóch ostatnich pokoleniach. Czas, który spędzili ze sobą, był krótki, ale - zdaniem panny Temple - bardzo bogaty w wydarzenia. Zjedli razem kilka oszałamiająco urozmaiconych posiłków, odwiedzili kilka parków i galerii, spoglądali sobie głęboko w oczy i czule się całowali. Wszystko to było dla niej czymś nowym, od restauracji i obrazów (rozmiary i dziwność których spowodowały, że panna Temple przez kilka minut siedziała, zakrywając dłonią oczy), poprzez różnorodność ludzi, zapachów, muzyki, hałasów, obyczajów i wszystkich nowych słów, po silny uścisk palców Rogera, jego rękę obejmującą jej kibić, jego uprzejmy chichot - nawet kiedy czuła, że śmieje się z niej, w dziwny sposób nie miała mu tego za złe. Roztaczał zapach mydła, brylantyny, tytoniu, dni spędzonych w salach konferencyjnych wśród grubych stosów dokumentów, atramentu, wosku, politory i wyłożonych sukniem stołów. Obezwładniała ją wreszcie mieszanina uczuć, budzonych przez jego delikatne wargi, zjeżone bokobrody i ciepły, ciekawski język.

\*

Jednak przy następnym śniadaniu panna Temple, choć z lekko opuchniętą twarzą i podkrążonymi oczami, ze zwykłym zapalem zabrała się do jedzenia jajek i grzanek, odpowiadając na bojaźliwy wzrok pokojówki kosym i stanowczym spojrzeniem, które niczym

przeciągnięcie nożem po gardle, ucięło wszelkie próby rozmowy, a tym bardziej pocieszania. Agatha jeszcze spała. Panna Temple wyczuła (po przesyconym bardzo silną wonią fiołków oddechu), że ciotka czuwała po drugiej stronie drzwi przez cały dzień Ponurego Odosobnienia (jak teraz nazywała to w myślach), ale na tę rozmowę też nie miała ochoty.

Wymaszerowała z Boniface w prostej, lecz doskonale dobranej sukni w zielone i złote kwiaty, w wysokich butach z zielonej skóry i takąż torebką, po czym rażno pomaszerowała w kierunku dzielnicy drogich sklepów, których pełno było przy uliczkach po tej stronie rzeki. Nie miała zamiaru niczego kupować, ale pomyślała sobie, że widok tyłu dóbr z całego świata, które z tyłu różnych krajów dotarły do tych sklepów, skłoni ją może do nowego spojrzenia na obrót wydarzeń w jej życiu. Wiedziona tą myślą, ochoczo, wręcz niestrudzenie, wędrowała od stoiska do stoiska, machinalnie przesuując wzrok po materiałach, rzeźbionych szkatułkach, szklanych naczyniach, kapeluszach, ozdobach, rękawiczkach, jedwabiach, perfumach, papeteriach, mydłach, teatralnych lornetkach, spinkach, piórach, koralikach i rozmaitych wyrobach z laki. Nigdzie nie przystawała i prędzej, niż sądziła, że to możliwe, znalazła się na drugim końcu kupieckiej dzielnicy, na skraju placu St. Tsobel.

Dzień był pochmurno szary. Odwróciła się i ruszyła z powrotem, jeszcze uważniej przyglądając się egzotycznym wyrobom, nigdzie nie znajdując niczego, co - gdyby była rybką - zwróciłoby jej uwagę i skłoniło do połknięcia haczyka. Znalazłszy się w pobliżu hotelu, zaczęła się zastanawiać, co ona właściwie robi. Dlaczego, jeśli trzeźwo godzi się ze stratą i swoją sytuacją, nic - nawet szczególnie zręcznie zrobiona lakierowana kaczka - nie wzbudza jej zainteresowania? Zamiast tego, patrząc na każdy taki przedmiot, czuje nieodpartą i niewytłumaczalną potrzebę, by iść dalej, w poszukiwaniu jakiejś niewiadomej zdobyczy. Irytowało ją to, że nie ma pojęcia, cóż to mogłaby być za zdobycz, ale pocieszała myśl, że to coś istnieje i zapewne ma dostatecznie silne działanie, aby zwrócić jej uwagę, kiedy znajdzie się w polu jej widzenia.

Tak więc westchnęła i przeszła przez sklepy po raz trzeci, całkowicie nieobecna duchem, pewna tego - gdy zmierzała w kierunku grupy monumentalnych budynków z białego kamienia, w których mieściły się ministerstwa - że jej zainteresowanie jest, krótko mówiąc, zerowe. Problem nie leżał w jej wadach ani zaletach ewentualnej rywalki (której tożsamość z czystej ciekawości wciąż podświadomie usiłowała odgadnąć), lecz w tym, że jej przypadek był najlepszym przykładem. A może jedynym przykładem? To jednak wcale nie oznaczało, że ją to niepokoi, że nie ma przed nią żadnych perspektyw i że dalsze awanse Rogera Bascombe'a są dla niej warte choćby dwóch wsuwek do włosów.

Pomimo tych absolutnie racjonalnych przemyśleń panna Temple przystanęła, dotarłszy na środek placu, i zamiast podążać dalej w kierunku budynków, w których niewątpliwie właśnie teraz pracował Roger, usiadła na kutej ławce i spojrzała na ogromny posąg St. Isobel, stojący pośrodku placu. Nic niewiedząca o świętej męczennicy i bynajmniej nie pobożna panna Temple była jedynie zaniepokojona jego wulgarną ekstrawagancją: kobieta uczepiona była miotanej przez przyływ beczki, w podartym odzieniu, rozczochrana, otoczona resztkami statku, w wodzie spienionej przez kłębowisko żmij owijających się wokół jej kończyn i szyi, wpełzających pod ubranie, z ustami otwartymi do krzyku - jak widać słyszanego jedynie przez parę aniołów, skrzydlatych, w długich szatach, beznamiętnie spoglądających znad jej głowy. Panna Temple doceniała rozmiary i środki techniczne wykorzystane przy tworzeniu rzeźby, która jednak wydała jej się toporna i mało realistyczna. Rozbicie statku, jako dziewczyna z wysp, mogła zaakceptować, tak samo jak męczeńską śmierć w węzowych splotach, ale te anioły to była już przesada.

Oczywiście, spoglądając w niewidzące kamienne oczy na wieki wtrąconej w objęcia węży Isobel, wiedziała, że w ogóle jej to nie obchodzi. W końcu skierowała wzrok na obiekt swego prawdziwego zainteresowania, na skupisko białych budynków, po czym pospiesznie ułożyła plan, a dla każdego kolejnego kroku tego planu wymyśliła nadzwyczaj wiarygodne usprawiedliwienie. Pogodziła się z myślą, że na zawsze utraciła Rogera - perswazje i jego powrót nie były jej celem. Czego szukała, a nawet potrzebowała, to wyjaśnienia. Czy została po prostu odrzucona i Roger wolał być samotny niż mieć ją na karku? Czy chodziło o ambicje zawodowe i musiał odepchnąć ją dla awansu i kariery? A może po prostu inna kobieta zajęła jej miejsce u jego boku? Czy też było coś innego, czego w tej chwili nie potrafiła sobie wyobrazić? Wszystkie te możliwości były jednakowo prawdopodobne i tak samo neutralne emocjonalnie, ale kluczowe dla panny Temple, chcącej odnaleźć swoje miejsce w nowej, zdominowanej przez stratę egzystencji.

Śledzenie go nie powinno być trudne. Roger miał swoje nawyki i mimo nienormowanego czasu pracy zazwyczaj - jeśli w ogóle - jadał obiad w tej samej restauracji. Panna Temple znalazła po drugiej stronie ulicy antykwariat z książkami, w którym zobligowana nabyć coś po tak drugim wystawianiu i wpatrywaniu się przez okno wystawowe, pod wpływem nagłego impulsu kupiła czterotomowy zbiór *Ilustrowanych życiorysów ofiar morza*. Książki były wystarczająco bogato ilustrowane, by usprawiedliwić długi czas spędzony przy oknie na oglądaniu kolorowych tablic, podczas gdy w rzeczywistości obserwowała, jak Roger najpierw wchodzi, a potem, po godzinie, ponownie pojawia się w masywnych drzwiach po drugiej stronie ulicy. Poszedł prosto na dziedziniec ministerstwa.

Panna Temple kazała dostarczyć swój zakup do hotelu Bonifacc i wyszła na ulicę, czując się jak idiotka.

Ponownie przeszła przez plac, zanim rozsądek przekonał ją, że nie tyle jest idiotką, co niedoświadczoną obserwatorką. Wystawanie przed restauracją nie miało sensu. Jedynie wchodząc do środka, mogła stwierdzić, czy Roger jadł obiad sam czy z kimś, a jeśli z kimś, to z kim dokładnie, bo z tym kimś mógł podzielić się istotnymi informacjami o kluczowym dla niej znaczeniu. Co więcej, jeśli nie rzucił jej dla kariery - w co poważnie wątpiła - ona najprawdopodobniej niczego się nie dowie, obserwując go w godzinach pracy. Najwyraźniej dopiero po pracy zdoła zebrać jakieś istotne dowody. Skręciła gwałtownie - ponieważ w tym momencie była już w połowie placu i koło sklepów - i weszła do sklepu, którego wystawy zapelniały walizki we wszelkich możliwych rozmiarach, kosze, peleryny, kamasze, hełmy tropikalne, lampy, teleskopy oraz imponująca kolekcja lasek. Wyszła po pewnym czasie i wyczerpujących negocjacjach, mając na sobie czarny podróżny płaszcz z obszernym kapturem i licznymi sprytnie wszytymi kieszeniami. Po wizycie w następnym sklepie w jednej z tych kieszeni znalazła się lornetka teatralna, a w kolejnym obciążył drugą oprawioną w skórę notes i kopiowy ołówek. Potem panna Temple poszła na herbatę.

Przy paru filiżankach i dwóch drożdżówkach z lukrem poczyniła pierwsze notatki, zwięzłe opisując sytuację i szczegółowo omawiając wszystkie wykonane tego dnia czynności. Zakupiony strój i przyrządy czyniły to sprawozdanie znacznie łatwiejszym i mniej osobistym, gdyż zadania wymagające odpowiedniego ubioru i narzędzi mają z definicji obiektywne, a nawet naukowy charakter. Mając to na uwadze, postanowiła prowadzić notatki, stosując coś w rodzaju szyfru, zastępując imiona i nazwy miejsc synonimami lub luźnymi skojarzeniami zrozumiałymi - miała nadzieję - tylko dla niej. I tak wszystkie wzmianki o ministerstwie mówiły o „Mińsku” lub „Rosji”, a Roger, w wyniku skomplikowanego ciągu myślowego, rozpoczynającego się porównaniem do węża zrzucającego skórę, następnie węża pod działaniem zaklęcia, przez Indie, a w końcu, ze względu na jego wciąż działającą charyzmę, został „Radzą”. Na wypadek, gdyby musiała prowadzić obserwację przez dłuższy czas, narażając się na niewygodę, zamówiła pasztecik na wynos. Przyniesiony do jej stolika, owinięty w gruby pergamin, teraz spoczywał w jednej z kieszeni płaszcza.

Chociaż zima już ustępowała pola wiosnie, w mieście tu i ówdzie wciąż leżał topniejący śnieg, a wieczory były chłodniejsze, niż zdawały się zapowiadać coraz dłuższe dni. Wiedząc, że Roger zazwyczaj wychodzi z pracy o piątej, panna Temple opuściła herbaciarnię o czwartej i wynajęła dorożkę. Ścisłym i stanowczym głosem poinstruowała dorożkarza, zapewniwszy go uprzednio, że otrzyma należytą zapłatę za swój czas. Powiedziała mu, że ma

jechać za pewnym dżentelmenem, prawdopodobnie jadącym innym powozem, i że wskaże mu go, stukając w dach dorożki. Dorożkarz skinął głową i nie odezwał się słowem. Uznała to milczenie za dowód, że nie widzi w tym niczego niezwykłego, co jeszcze bardziej dodało jej otuchy. Usiadła z tyłu, przygotowała lornetkę i notes, i czekała na pojawienie się Rogera. Kiedy to się stało, około czterdziestu minut później, o mało go nie przeoczyła, zabawiając się w tym momencie oglądaniem pobliskich okien przez teatralną lornetkę. Na szczęście przecucie sprawiło, że zerknęła w kierunku bramy prowadzącej na dziedziniec w samą porę, aby dostrzec, jak Roger (stojący tam i roztaczający aurę stanowczej pewności siebie, która zaparła jej dech) zatrzymuje dorożkę. Panna Temple mocno zastukała w dach swojego powozu i ruszyli.

\*

Podniecenie wywołane pościgiem - w połączeniu z podnieceniem wywołanym widokiem Rogera (które, była niemal pewna, było rezultatem czekającego ją zadania, a nie pozostałości uczucia) - szybko opadło, gdy po kilku pierwszych zmianach kierunku jazdy stało się oczywiste, że śledzony zmierza w stronę własnego domu. Panna Temple ponownie była zmuszona przyznać, że być może porzucił ją nie dla jakiejś rywalki, lecz z czysto obiektywnych powodów. Było to całkiem możliwe. Może nawet wołałaby taką ewentualność. W istocie, gdy jej dorożka podążała w kierunku domu Bascombe'w - drogą znaną jej tak dobrze, że niegdyś niemal uważała ją za swoją - panna Temple rozważała możliwość, że inna kobieta zajęła jej miejsce w sercu Rogera. Rozsądek mówił jej, że to niemożliwe. Patrząc na rozkład dnia Rogera - - ze spartańsko krótką przerwą na posiłek i przejazdami między pracą a domem, w którym niewątpliwie po kolacji znów zasiądzie do pracy - należało raczej przyjąć, że poświęcił ją dla swej wybujałej ambicji. Wydawało się, że dokonał głupiego wyboru, gdyż była przekonana, że potrafiłaby wesprzeć go na wiele inteligentnych i subtelnych sposobów, ale przynajmniej mogła zrozumieć logikę takiego (błédnego i dziecinnego) rozumowania. Właśnie wyobrażała sobie, jak Roger w końcu zrozumie, co tak (nieczule, głupio i ślepo) odrzucił, oraz swoją dziwną chęć pocieszenia go w nieuchronnie wywołanym tym stresie, gdy stwierdziła, że dotarli do celu. Dorożka Rogera zatrzymała się przed frontowymi drzwiami, a jej powóz w dyskretnej odległości za nią.

Roger nie wysiadł z powozu. Zamiast tego po kilkuminutowej zwłóce frontowe drzwi się otworzyły i jego lokaj Phillips podszedł do dorożki, niosąc spory pakunek owinięty w czarny papier. Wręczył go Rogerowi przez otwarte drzwi dorożki, a w zamian otrzymał jego czarną teczkę oraz dwa grube segregatory. Phillips wniósł te narzędzia pracy Rogera Bascombe'a do domu i zamknął za sobą drzwi. Chwilę później dorożka Rogera ruszyła, w

rażnym Temple znów zagłębiając się w labirynt uliczek. Panna Temple zastukała w dach swojej dorożki i z rozmachem klapnęła na siedzenie, gdy konie skoczyły naprzód, ponownie podążając za śledzonym.

Zrobiło się już całkiem ciemno i z każdą chwilą panna Temple w kwestii wyboru właściwej drogi coraz bardziej musiała zdawać się na dorożkarza. Nawet kiedy wystawiła głowę przez okno - uprzednio naciągnawszy na nią kaptur, żeby nie zostać rozpoznaną - widziała tylko zarysy jadących przed nimi dorożek, nie mając już żadnej pewności, w której z nich znajduje się Roger. To uczucie niepewności pogłębiało się, gdyż pojawiły się pierwsze pasma wieczornej mgły, wstającej znad rzeki. Zanim zatrzymali się ponownie, ledwie widziała konie ciągnące jej powóz. Dorożkarz nachylił się i wskazał wysoko sklepione i mroczne przejście przed szerokimi schodami wiodącymi do oświetlonego blaskiem gazowych latarni tunelu. Spojrzała w tamtą stronę i uświadomiła sobie, że poruszające się u podnóża cienie, które w pierwszej chwili wzięła za umykające do kanału szczury, to w rzeczywistości tłum odzianych na czarno ludzi, wchodzących i schodzących w głąb. Ten oświetlony mętnie żółtym światłem portal, otoczony wszechobecnym mrokiem i oferujący zejście do ciemnej otchłani, wyglądał po prostu okropnie.

- Stopping, panienko! - zawołał dorożkarz i w odpowiedzi na brak reakcji panny Temple dodał: - Dworzec kolejowy.

Poczuła się tak, jakby otrzymała policzek - a przynajmniej pałący wstyd, jaki jej wyobraźnia kazała odczuwać komuś, kto został spoliczkowany. Oczywiście, że to dworzec kolejowy. Nagły przyptyw podniecenia sprawił, że wyskoczyła z powozu. Pospiesznie wepchnęła pieniądze w dłoń dorożkarza i ruszyła w kierunku oświetlonego przejścia. Dworzec Stopping. Właśnie na to czekała - że Roger zrobi coś innego niż zwykle.

\*

Znalazła go po chwili gorączkowych poszukiwań, ponieważ straciła kilka sekund na gapienie się w dorożce. Tunel kończył się jeszcze szerszymi schodami, które prowadziły do głównego holu i dalej, na perony, a wszystko to pod gęstym i ogromnym baldachimem kratownic oraz okopconych cegieł. Niczym katedra Wulkana. Panna Temple uśmiechnęła się, patrząc na rozpościerający się przed nią widok, dumna z siebie, że tak szybko odzyskała rezon. Poniechawszy dalszych porównań literackich, ponownie okazała przytomność umysłu, podchodząc do balustrady schodów i wspinając się na nią, przytrzymawszy się słupa latarni. Z tej wysokiej grzędy mogła przez lornetkę obejrzeć sobie wszystkich podróżnych, na co inaczej nie pozwoliłby jej niewielki wzrost. Odnalezienie Rogera było kwestią zaledwie kilku minut. I znów, zamiast natychmiast za nim ruszyć, patrzyła, jak przechodzi przez hol,

zmierzając na właściwy peron. Kiedy upewniła się, że wsiadł do pociągu, zeszła z poręczy i poszła najpierw sprawdzić, dokąd Roger jedzie, a potem kupić bilet.

Panna Temple jeszcze nigdy nie była na tak wielkim dworcu (przez Stopping przechodził cały ruch na północ i na zachód), a w dodatku w godzinach szczytu po zakończeniu dnia pracy, więc miała wrażenie, że wepchnięto ją do mrowiska. Przywykła do tego, że jej niewielki wzrost i drobna, choć silna postać nie zwracają niczyjej uwagi, co rzadko bywało istotne, jak to, że nie lubiła małży. Jednak na dworcu Stopping, chociaż wiedziała, dokąd zmierza (do dużej czarnej tablicy z numerami peronów i stacjami docelowymi), panna Temple została uniesiona przez rzekę podróżnych w zupełnie innym kierunku, a gąszcz łokci i kurtek całkowicie zasłonił jej widoczność. Najcelniejszym porównaniem było pływanie w morzu i walka z niezwykle silnym prądem. Spojrzała w górę i w gąszczu żelaznych kratownic znalazła na sklepieniu znaki pozwalające ustalić kierunek i odległość, dzięki którym zlokalizowała słup ogłoszeniowy, który widziała ze schodów. Obeszła go i ponownie ruszyła pod nieco innym kątem, licząc na to, że tłum zanieśie ją do następnej latarni, z której zdoła zobaczyć tablicę.

Dotarłszy do niej, panna Temple zaczęła niepokoić się upływem czasu. Wokół niej - gdyż było tu wiele, wiele peronów - gwizdki często oznajmiały przyjazdy lub odjazdy, a z powodu swego mizernego wzrostu nie była w stanie dostrzec, czy pociąg Rogera już odjechał. Spojrzawszy na tablicę, z zadowoleniem stwierdziła, że informacje o pociągach sensownie uszeregowano w kolumny zawierające numer, miejsce przeznaczenia, godzinę odjazdu i peron. Pociąg Rogera - z dwunastego peronu - odjeżdżał o osiemnastej dwadzieścia trzy do Orange Canal. Wyciągnęła szyję, żeby spojrzeć na dworcowy zegar - następny odrażający obiekt z dwoma aniołami obejmującymi tarczę z obu stron (jakby podtrzymywały go swymi skrzydłami), obojętnie spoglądającymi w dół. Jeden trzymał wagę, a drugi miecz. Pomiędzy tymi dwoma czarnymi metalowymi widmami sprawiedliwości panna Temple ze zgrozą zobaczyła, że jest osiemnasta siedemnaście. Zeskoczyła z latarni i rzuciła się w kierunku kasy, energicznie przedzierając się przez morze płaszczy. Wyłoniła się, dwie minuty później, na końcu kolejki, i po kolejnej minucie znalazła się przy okienku. Podała cel podróży - końcową stację, bilet w obie strony - i upuściła na marmurowy blat garść ciężkich monet, podsuwając je bez liczenia kasjerowi, który spojrzał na nią swoim wzrokiem ze swej drucianej klatki. Błędymi palcami błyskawicznie zgarnął pieniądze i podsunął przedziurkowany bilet. Panna Temple chwyciła go i popędziła do pociągu.

Konduktor stał z lampą, z jedną nogą na stopniu ostatniego wagonu, szykując się do wejścia. Była osiemnasta dwadzieścia dwie. Uśmiechnęła się do niego tak słodko, jak

pozwalala jej na to zadyszka, i przecisnela sie obok niego do srodka. Ledwie zdazyła przystanac po pokonaniu najwyzszego stopnia, probujac zlapac oddech, gdy pociąg gwałtownie ruszył, o mało nie zwalając jej z nóg. Rozłożyła ręce, zapierając się o ściany, żeby utrzymać równowagę, i usłyszała za plecami chichot. Uśmiechnięty konduktor stał na najwyższym stopniu w otwartych drzwiach, a za nim szybko przesuwiał się peron. Panna Temple nic była przyzwyczajona do tego, żeby śmiano się z niej w jakichkolwiek okolicznościach, lecz obecna misja, przebranie i brak tchu sprawiły, że nie wymyśliła stosownej riposty, więc zamiast dyszeć jak wyciągnięta z wody ryba, ruszyła korytarzem w poszukiwaniu wolnego przedziału. Już pierwszy był pusty, więc otworzyła oszklone drzwi i usiadła na środkowym siedzeniu, twarzą do kierunku jazdy. Po prawej miała duże okno. Gdy dochodziła do siebie, ostatnie obrazy dworca Stopping - peron, stojące pociągi, wysoko sklepiony hol - znikły, połknięte przez ciemność tunelu.

\*

Przedział był wykończony ciemnym drewnem i po obu stronach miał po trzy siedzenia z dość luksusowymi obiciami z czerwonego aksamitu. Mały mlecznobiały klosz rzucał słabe światło, mętne i blade, lecz wystarczające, by rzucić jej odbicie na ciemną szybę. W pierwszej chwili panna Temple chciała zdjąć płaszcz i odetchnąć pełną piersią, lecz choć była zgrzana, rozkojarzona i nie miała pojęcia, dokąd jedzie, wiedziała, że powinna siedzieć spokojnie, dopóki znów nie zacznie trzeźwo myśleć. Orange Canal znajdował się spory kawałek za miastem, prawie na wybrzeżu, i kto wie, ile jest wcześniej stacji, a każda z nich mogła być celem podróży Rogera. Nie wiedziała, czy ktoś jeszcze jedzie tym pociągiem, a jeśli tak, to czy zna ją lub Rogera, a może nawet jest powodem jego podróży. A jeśli ta wyprawa nie miała żadnego innego celu poza służbowym? W każdym razie panna Temple musiała zlokalizować Rogera, inaczej nie zdoła ustalić, gdzie wysiadł i czy z kimś się spotkał. Gdy tylko konduktor przyjdzie i sprawdzi jej bilet, powinna rozpocząć poszukiwania.

\*

Nie przyszedł. Minęło już kilka minut, a był przecież zaledwie kilka metrów dalej. Nie pamiętała, żeby mijał jej przedział - może kiedy wchodziła? - i zaczęła się denerwować. Jego opieszalność w połączeniu ze złośliwym chichotem na stopniach sprawiła, że znienawidziła tego człowieka. Wyszła na korytarz. Nie było go. Zmrużyła oczy i ruszyła naprzód, ostrożnie, ponieważ ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła - nawet w tym płaszczu - było niespodziewane spotkanie z Rogerem. Przemknęła do następnego przedziału i wyciągnęła szyję, żeby zajrzeć do środka. Nikogo. W wagonie było osiem przedziałów i wszystkie puste.

Pociąg z turkotem kół jechał dalej, wciąż w ciemności. Panna Temple stanęła przy drzwiach następnego wagonu i zerknęła przez okno. Wyglądał tak samo jak ten, w którym była. Otworzyła drzwi i przeszła przez nie. Znow osiem pustych przedziałów. Weszła do następnego wagonu i zobaczyła dokładnie to samo. Trzy ostatnie wagony składu były zupełnie puste. To mogło wyjaśniać nieobecność konduktora - który jednak musiał wiedzieć, że ona jest w końcowym wagonie i gdyby był uprzejmy, powinien przyjść sprawdzić jej bilet. Może po prostu spodziewał się, że ona zrobi właśnie to, co robiła teraz: przejdzie tam, gdzie powinna znaleźć się od razu, gdyby nie przybyła tak późno. Może nie wiedziała czegoś o ostatnich wagonach lub etykietce tej podróży - czy to wyjaśniałoby chichot? - albo o samych pasażerach. Może podróżowali całą grupą? Może była to nie tyle podróż, co wycieczka? Teraz jeszcze bardziej gardząc konduktorem za takie założenie i brak dobrych manier, poszła dalej, próbując go znaleźć. Ten wagon również był pusty - to już czwarty! - i panna Temple przystanęła w drzwiach piątego, próbując sobie przypomnieć, ile wagonów liczy ten skład (nie miała pojęcia), ile powinien ich mieć (nie miała pojęcia) i co właściwie ma powiedzieć konduktorowi, kiedy go znajdzie, żeby nie zdradzić swej całkowitej niewiedzy (o tym na razie nie miała pojęcia). Gdy tak stała, rozmyślając, pociąg się zatrzymał.

Pobiegła do najbliższego przedziału i pośpiesznie otworzyła okno. Peron był pusty - nikt nie wsiadał i nie wysiadł z pociągu. Sama stacja - napis obwieszczał, że to Crampton Place - była zamknięta i ciemna. Rozległ się gwizdek i pociąg - rzucając pannę Temple z powrotem na siedzenie - poderwał się do biegu. Zimny wiatr wpadł przez okno, gdy nabrał prędkości, więc je zamknęła. Nigdy nie słyszała o Crampton Place i była raczej zadowolona z tego, że nie musiała wysiąść na tej stacji, która wydała jej się bezludna jak syberyjski step. Żałowała, że nic ma mapki tej linii kolejowej z wykazem stacji. Może uzyska ją od konduktora, a przynajmniej wykaz stacji, który mogłaby zapisać w notesie. Pomyślawszy o notatniku, wyjęła go, polizała czubek ołówka i starannym, zamaszystym charakterem pisma zanotowała: „Crampton Place”. Nie mając nic więcej do dodania, odłożyła notes, wróciła na korytarz i z westchnieniem zdecydowanie przeszła do piątego wagonu.

\*

Po zapachu perfum wyczuła, że ten jest inny. Podczas gdy w poprzednich unosiła się złożona woń dymu, smaru, ługu i brudnych mydlin, korytarz piątego wagonu pachniał - zaskakująco, ponieważ rosły na jej wyspie - kwiatami czerwonego jaśminu. Czując nagły przypływ podniecenia, panna Temple podkrađła się do najbliższego przedziału i nachyliła się powoli, żeby zajrzeć do środka. Wszystkie miejsca były zajęte przez dwóch mężczyzn w czarnych pelerynach i siedzącą między nimi, roześmianą kobietę w żółtej sukni. Mężczyźni

palili cygara i obaj mieli równo przystrzyżone, spiczaste brody oraz rumiane twarze. Wyglądali jak dwa psy jakiejś silnej i energicznej rasy. Kobieta nosiła maseczkę z pawich piór, sięgającą aż po czubek głowy i odsłaniającą tylko błyszczące jak klejnoty oczy. Usta miała umalowane czerwoną szminką i szeroko otwarte w uśmiechu. Wszyscy troje spoglądali na kogoś siedzącego naprzeciwko nich i nie zauważyli panny Temple. Schowała się pospiesznie i czując się dziecinnie, lecz nie widząc innej możliwości, opadła na czworaki i minęła przedział niewidoczna przez szybę w jego drzwiach. Znalazłszy się po drugiej stronie, ostrożnie wstała, zerknęła na przeciwległe siedzenia i zamarła. Patrzyła na Rogera Bascombe'a.

Nie widział jej. Miał na sobie czarny płaszcz zapięty pod szyją i palił cienkie, obcięte z obu końców cygaro, a wilgotne od brylantyny włosy kolom dębu oblepiały mu czaszkę. Na prawej dłoni miał czarną rękawiczkę, a lewa, w której trzymał cygaro, była goła. Przyjrząwszy się uważniej, panna Temple zauważyła, że w prawej dłoni trzyma drugą rękawiczkę. Zobaczyła również, że Roger się nie śmieje, a jego twarz ma wyraz wystudiowanej obojętności. Widywała, jak przybiera taką minę w obecności ministra lub wiceministra, swojej matki lub wuja Tarra - czyli osób, którym winien okazywać szacunek. Pod oknem, oddzielona od niego pustym miejscem, siedziała druga kobieta, w czerwonej sukni, jarzącej się jak płomień pod płaszczem z kołnierzem z czarnego futra. Panna Temple dostrzegła białe kostki i delikatną szyję tej kobiety, niczym rozżarzone do białości węgle pod płomienistą suknią, pojawiające się i znikające, gdy poruszała się na siedzeniu. Na ciemnoczerwonych ustach miała wyzywająco prowokacyjny krzywy uśmiech i paliła papierosa w czarnej lakierowanej cygarniczce. Ona również nosiła maskę z czerwonej skóry, nabijaną błyszczącymi ćwiekami tam, gdzie powinny być brwi i - co panna Temple zauważyła z pewnym niepokojem - układające się w lśniące łyzy, gotowe spłynąć z kącików oczu. Najwyraźniej powiedziała coś, z czego śmiali się współpasażerowie. Powoli wydmuchnęła dym w kierunku siedzeń naprzeciwko. Jakby ten gest stanowił clou jakiegoś żartu, tamci ponownie się roześmiali, machając rękami, żeby rozpędzić dym.

Panna Temple odsunęła się od okna i przywarła plecami do ściany. Nie miała pojęcia, co powinna uczynić. Po prawej znajdował się kolejny przedział. Zaryzykowała rzut okiem i zobaczyła, że miejsca naprzeciwko zajęte są przez trzy kobiety w podróźnych płaszczach narzuconych na - sądząc po butach - eleganckie wieczorowe suknie. Dwie nosiły maseczki ozdobione żółtymi Strusimi piórami, natomiast trzecia miała twarz odsłoniętą, a maskę trzymała na kolanach, mocując się z opornym paskiem. Panna Temple jeszcze niżej naciągnęła kaptur i wyciągnąwszy szyję, zobaczyła, że na siedzeniu naprzeciwko nich siedzą

dwaj mężczyźni, jeden we fraku, a drugi w grubym futrze, upodabniającym go do niedźwiedzia. Obaj także nosili maski, zwykle i czarne, a mężczyzna we fraku popijał coś ze srebrnej piersiówki, podczas gdy ten w futrze postukiwał palcami o obłożoną macicą perłową rączkę hebanowej laski. Panna Temple cofnęła się szybko. Mężczyzna w futrze zerknął w kierunku korytarza. W popłochu przemknęła obok przedziału Rogera, nie kryjąc się, a potem do drzwi do poprzedniego wagonu.

Zamknęła je za sobą i opadła na czworaki. Mijały sekundy, długie jak wieczność. Nikt nie podszedł do drzwi. Nikt nie próbował jej ścigać, nikt nie mszył za nią choćby z ciekawości. Uspokoila się, zaczerpnęła tchu i wzięła się w garść. Czowała się zagubiona i zdezorientowana - mimo że, prawdę powiedziawszy, nie miała po temu powodu. Chociaż opadły ją rozmaite ponure domysły, jedyne co dotychczas zdołała ustalić, to to, że Roger miał wziąć udział - najwyraźniej bez szczególnej przyjemności i zapewne z poczucia obowiązku - w jakimś ekskluzywnym przyjęciu, na którym wszyscy goście noszą maski. Czy to takie niezwykle? Nawet jeśli było takim dla niej, panna Temple wiedziała, że jako wychowana pod kloszem tyle rzeczy uznaje za dziwne, że nie jest w tej kwestii obiektywnym sędzią, gdyż po dłuższym pobycie w tym towarzystwie tego rodzaju zabawa być może byłaby dla niej jeśli nie rutynowym nudziarstwem, to przynajmniej czymś dobrze znanym. Co więcej, dał jej do myślenia fakt, że Roger nie siedział obok kobiety w czerwonej sukni, ale w pewnej od niej odległości - w rzeczy samej, od wszystkich pozostałych. Zastanawiała się, czy po raz pierwszy znalazł się w ich towarzystwie. Zastanawiała się, kim ta kobieta jest. Ta druga, w żółtej sukni ze strusimi piórami, interesowała ją znacznie mniej, po prostu z powodu swej tak prostackiej reakcji na żarty elegantki. Najwidoczniej mężczyźni nie starali się ukryć swej tożsamości - pewnie dobrze się znali i podróżowali razem. Ci w drugim przedziale, zamaskowani, zapewne nie. Albo znali się, ale nie wiedzieli o tym, ponieważ mieli na twarzach maski. Domyśliła się, że cała przyjemność miała polegać na odgadywaniu i ukrywaniu swojej tożsamości. Panna Temple doszła do wniosku, że mogłaby to być wspaniała zabawa, jednak wiedziała, że jej suknia, chociaż ładna, nie nadaje się na taki wieczór, a płaszcz z kapturem, mimo że dotychczas zapewniał jej anonimowość, nie może się równać z balowymi maskami, jakie wszyscy nosili.

Z rozmyślań wyrwał ją szcęk zamka dochodzący z kory tarza następnego wagonu. Zaryzykowała rzut okiem i zobaczyła mężczyznę w futrze - teraz imponująco wielkiego, niemal wypełniającego korytarz swoim potężnym ciałem - - który wyszedł z przedziału Rogera i zamykał za sobą drzwi. Nie spojrzawszy w jej stronę, wrócił do swojego. Odetchnęła i uszło z niej całe napięcie, którego nawet nie zdążyła sobie w pełni uświadomić - nie

zauważył jej, po prostu przechodził do drugiego przedziału. Doszła do wniosku, że znał tę kobietę, chociaż równie dobrze mógł przyjść tam, by porozmawiać z każdym z pozostałych, łącznie z Rogerem. Ten codziennie spotykał wielu ludzi - przedstawicieli rządu, biznesu lub innych krajów - i panna Temple z przykrością uświadomiła sobie, jak niewielki jest krąg jej znajomych. Tak mało wiedziała o świecie i życiu, a teraz chowała się w pustym wagonie, mała i śmieszna. Kiedy przygryzła wargę, pociąg znów się zatrzymał.

Ponownie wpadła do przedziału i otworzyła okno. Peron i tym razem był pusty, stacja zamknięta i ciemna. Tablica głosiła „Packington” - kolejne miejsce, o którym nigdy nie słyszała - ale panna Temple mimo to zadała sobie trud zapisania tej nazwy w notesie. Kiedy pociąg ruszył, zamknęła okno. Gdy odwróciła się do drzwi przedziału, zobaczyła, że są otwarte i stoi w nich konduktor. Uśmiechnął się.

- Bilet, panienko?

Wyłowiła bilet z kieszeni płaszcza i wręczyła mu. Wziął go od niej i przechyliwszy głowę na bok, sprawdził wydrukowane miejsce przeznaczenia, wciąż się uśmiechając. W drugiej ręce trzymał dziwny metalowy kasownik. Podniósł głowę.

- A więc aż do Orange Canal?

- Tak. Ile to jeszcze stacji?

- Całkiem sporo.

Z nikłym uśmiechem spytała:

- A dokładnie ile, jeśli można spytać?

- Siedem. Prawie dwie godziny jazdy.

- Dziękuję.

Kasownik, niczym metalowy owad, z głośnym traskiem zrobił otwór w kartoniku, a konduktor zwrócił jej bilet. Nie ruszył się z drzwi. W odpowiedzi, napotkawszy jego spojrzenie, panna Temple powiesiła płaszcz na wieszaku, biorąc przedział w posiadanie. Konduktor obserwował ją, zerknął w kierunku przodu składu i oblizał wargi. W tym momencie zauważyła świńskie sadło jego grubego karku, a szczególnie sposób, w jaki wylewało się z ciasno zapiętego kołnierza granatowego płaszcza. Znów na nią spojrzał i poruszył palcami, pulchnymi i bladymi jak nieugotowane serdelki. W konfrontacji z tym nieprzyjemnym widokiem jej pogarda ustąpiła miejsca obojętności i panna Temple już nie chciała mu dokuczyć, tylko jak najprędzej się go pozbyć. On jednak nie zamierzał odejść. Zamiast tego nachylił się do niej w nieco lubieżny sposób.

- Nie jedzie panienka z innymi, co?

- Jak pan widzi, nie.

- To nie zawsze bezpieczne dla młodej damy, takie samotne... Zamilkł, uśmiechnięty. Ten konduktor przez cały czas się uśmiechał. Głaszcząc kasownik, zerknął na jej kształtne łydki. Westchnęła.

- Dlaczego nie zawsze bezpieczne? Nie odpowiedział.

Zanim zdążył zrobić coś, co skłoniłoby ją do krzyku lub pogłębiło jej irytującą litość i wzgardę, podniosła dłoń, dając mu znak, że nie musi odpowiadać, nie musi nic mówić, i zadała mu następne pytanie.

- Czy pan wie, dokąd oni... dokąd my wszyscy jedziemy? Konduktor cofnął się, jak ukąszony, jakby nastawała na jego życie. Wycofał się na korytarz, dotknął palcami czapki i wykonawszy gwałtowny zwrot, czmychnął do następnego wagonu. Panna Temple nie ruszyła się z miejsca. Co się właściwie stało? Coś, co miało być pytaniem, on uznał za groźbę. Doszła do wniosku, że on musi znać cel ich podróży, którym z pewnością jest posiadłość kogoś bogatego i wpływowego - przynajmniej na tyle, aby jedno słowo kogoś z jego gości mogło kosztować konduktora stanowisko. Uśmiechnęła się usatysfakcjonowana tą wymianą zdań i tym, czego się dowiedziała - aczkolwiek nie było to żadną niespodzianką. Fakt, że Roger bierze w tym udział z konieczności, jedynie zwiększał prawdopodobieństwo obecności przedstawicieli rządu wyższego szczebla.

Lekkie ssanie w żołądku przypomniało pannie Temple, że jest głodna. Wyjęła z kieszeni pasztecik z kielbasą.

\*

W ciągu następnej godziny zatrzymali się jeszcze pięć razy - w Gorsemont, De Conque, Raaxfall, St. Triste i St. Porte - przy czym każda nazwa znalazła się w jej notesie, wraz z fantazyjnymi opisami towarzyszy podróży. Za każdym razem, gdy wyglądała przez okno, widziała pusty peron i zamknięty budynek stacji, na której nikt nie wsiadał i nie wysiadał. I za każdym razem czuła, że powietrze coraz bardziej się ochładza, aż w St. Porte stało się naprawdę zimne i przesycone ledwie wyczuwalnym zapachem morza albo wielkich słonych mokradeł, które podobno znajdowały się w tej części kraju. Mgła się rozviała, lecz odsłoniła tylko wąski sierp księżycy i noc pozostała ciemna. Kiedy pociąg znów ruszył, panna Temple na każdej stacji musiała skradać się korytarzem i ostrożnie zaglądać do piątego wagonu, sprawdzając, czy coś się tam dzieje. Raz zauważyła kogoś wchodzącego do jednego ze znajdujących się na przodzie wagonu przedziałów (nie miała pojęcia kto to - wszystkie czarne płaszcze wyglądają tak samo), lecz od tego czasu nic. Zaczęła się nudzić tak bardzo, że miała ochotę znów tam pójść i jeszcze raz zajrzeć do przedziału Rogera. Wiedziała, że to głupi pomysł, który przyszedł jej do głowy tylko z powodu zniecierpliwienia, a co więcej, że

właśnie w taki sposób popełnia się najgorsze błędy. Powinna zachować cierpliwość jeszcze przez kilka minut, a potem wszystko się wyjaśni i dotrze do sedna tej sprawy. Pomimo to już zaczęła przekręcać gałkę klamki, by wejść do piątego wagonu, kiedy pociąg znów się zatrzymał.

Natychmiast puściła klamkę, z zaskoczeniem widząc, że w następnym wagonie otwierają się drzwi wszystkich przedziałów. Panna Temple wskoczyła do swojego i otworzyła okno. Peron był zapchany powozami, a w oknach budynku stacji paliły się światła. Czytając nazwę stacji - Orange Locks - zobaczyła, że ludzie wysiadają z pociągu i przechodzą bardzo blisko niej. Nie zamknąwszy okna, pobiegła do drzwi następnego wagonu: ludzie wysiadali drzwiami na jego końcu, a ostatnia osoba - mężczyzna w granatowym mundurze - już do nich dochodził. Nerwowo przełknąwszy ślinę, ze ściśniętym żołądkiem, panna Temple cicho przeszła przez drzwi i pospiesznie potruczała korytarzem, zerkając do każdego mijanego przedziału. Wszystkie były puste. Grupka Rogera już wysiadła, tak samo jak mężczyzna w futrze.

Ten w granatowym mundurze również znikł z jej pola widzenia. Panna Temple przyspieszyła kroku i dotarła na koniec wagonu, gdzie zastała otwarte drzwi i schodki na peron. Ostatni pasażerowie znajdowali się kilka metrów przed nią, zmierzając w kierunku powozów. Znów przełknęła ślinę. Jeśli zostanie w pociągu, może dojechać do ostatniej stacji i bez trudu złapać powrotny. Jeśli wysiądzie tutaj, to przecież nie zna miejscowych zwyczajów. Co będzie, jeśli dworzec Orange Locks zaraz zostanie zamknięty tak jak pięć poprzednich? A jednocześnie ta przygoda rozwijała się właśnie w taki sposób, na jaki panna Temple miała nadzieję. Jakby pomagając jej podjąć decyzję, pociąg ruszył. Panna Temple, nie zastanawiając się, wyskoczyła, z piskiem wylądowała na peronie i się potknęła. Zanim pozbierała się na tyle, by spojrzeć przed siebie, pociąg już mknął dalej. W drzwiach ostatniego wagonu stał konduktor. Mierzył ją zimnym spojrzeniem i trzymał latarnię tak, jakby bronił się krzyżem przed wampirem.

\*

Pociąg odjechał i turkot jego kół ucichł w gwarze przyciszonych rozmów, człapaniu, pobrękiwaniu i trzaskach towarzyszących wsiadaniu podróżnych do powozów. Pełne pojazdy odjeżdżały i panna Temple zrozumiała, że musi natychmiast podjąć decyzję, co robić. Nigdzie nie widziała Rogera ani nikogo z jego przedziału. Ci, którzy zostali, mieli na sobie grube płaszcze lub futra i było ich około dwudziestu, mniej więcej tyleż mężczyzn co kobiet. Grupka mężczyzn wsiadła do jednego powozu, a mieszane towarzystwo do dwóch następnych. Z przestrawieniem uświadomiła sobie, że pozostała tylko jedna dorożka. Trzy

kobiety w płaszczach i maskach już ku niej szły. Wyprostowawszy się i nasunawszy kaptur na czoło, panna Temple pospieszyła za nimi.

Zdołała dotrzeć do dorożki, zanim wszystkie kobiety wsiadły. Trzecia z nich wdrapała się po stopniach i odwróciła, zamierzając zamknąć za sobą drzwi, zobaczyła pannę Temple, a raczej jakąś czarną zakapturzoną postać. Przeprosiwszy, usadowiła się na środkowym miejscu. Panna Temple tylko skinęła głową w odpowiedzi i również wsiadła do dorożki, starannie zamykając za sobą drzwi. Słyszając ich trzask, odczekawszy chwilę, by ostatnia pasażerka usiadła, dorożkarz trzasnął batem i pojazd ruszył. Mając na głowie kaptur, panna Temple ledwo widziała twarze towarzyszek podróży, nie mówiąc już o widokach za oknem - chociaż te i tak niewiele mogłyby jej powiedzieć.

Kobiety z początku milczały, zapewne z powodu jej obecności. Dwie naprzeciwko niej miały maski z piór i aksamitne płaszcze, natomiast płaszcz kobiety siedzącej po jej lewej ręce pysznił się kołnierzem z czarnych piór. Gdy sadowiły się w dorożce, kobieta naprzeciwko rozchyliła płaszcz i zaczęła się wachlować, jakby zgrzana z wysiłku, ukazując obcisłą suknię z błyszczącego jedwabiu, przypominającego skórę węża. Gdy jej wachlarz zatrzepotał w mroku niczym nocny ptak na uwięzi, powóz wypełnił się zapachem perfum - słodką wonią jaśminu. Kobieta siedząca obok panny Temple, ta, która wsiadła przed nią, nosiła trójgraniasty kapelusz, zręcznie przypięty do włosów, oraz wąską opaskę na czole, zupełnie jak pirat. Jej okrycie było niewyszukane, ale zapewne ciepłe, z czarnej wełny. Ponieważ ten strój nie był zbyt wytworny, panna Temple pozwoliła sobie żywić nadzieję, że w swoim nie będzie się wyróżniała w tłumie gości, jeśli postara się nie rzucać w oczy. Była przekonana, że buty - szykownie zielone - nie zwrócą niczyjej uwagi.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu, lecz panna Temple szybko zdała sobie sprawę z tego, że pozostałe kobiety dzielają jej podniecenie i wyczekiwanie, jeśli nie straszliwą niepewność. Powoli zaczęły wymieniać ostrożne uwagi - najpierw o pociągu, potem o dorożce lub swoich strojach, a w końcu napomykać o celu podróży. Z początku nie zwracały się do panny Temple, a w istocie do nikogo konkretnie, po prostu wygłaszały ogólnikowe komentarze i odpowiadały w ten sam sposób. Tak jakby nie powinny były w ogóle rozmawiać o czekającym je wieczorze i mogły to robić tylko bardzo ostrożnie, dając sobie wzajemnie do zrozumienia, że nie miałyby nic przeciwko temu, żeby nagiąć trochę tę regułę. Oczywiście panna Temple też nie miała nic przeciwko temu, po prostu nie wiedziałyby, co powiedzieć. Słuchała, jak pirat i kobieta w jedwabiach wzajemnie komplementują swoje stroje, a potem obie podziwiają maskę trzeciej. Potem zwróciły się ku niej. Do tej pory nie odezwała się

słowem, przytakując tylko raz czy dwa razy skinieniem głowy, ale teraz wiedziała, że wszystkie uważnie jej się przyglądają. Tak więc przemówiła:

- Mam nadzieję, że założyłam odpowiednie buty na tak zimny wieczór.

Poruszyła nogami w ciasnej przestrzeni między siedzeniami i uniosła płaszcz, pokazując wysoko sznurowane buty z zielonej skóry. Pozostałe trzy kobiety pochyliły się, oglądając je, a siedząca obok panny Temple pirat przyznała:

- Bardzo rozsądnie. Jestem pewna, że będzie zimno.

- A twoja suknia też jest zielona... od kwiatów - zauważyła kobieta z kołnierzem z piór, która przeniosła wzrok z butów na skrawek widocznej nad nimi sukienki.

Kobieta w jedwabiu zachichotała.

- Przebrałaś się za wieśniaczkę z przedmieścia! Pozostałe też zachichotały, więc ośmielona, dodała:

- Jedną z tych damulek, które spędzają życie wśród ksiązek i saszetek zapachowych, zamiast żyć i spacerować po ogrodach. Wieśniaczka, pirat, jedwabista i pierzasta - - wszystkie mamy doskonałe przebrania!

Panna Temple uznała to za lekko naciągane. Nie podobało jej się, że nazwano ją „wieśniaczką z przedmieść”, a ponadto była głęboko przekonana, że osoba potępiająca coś - w tym przypadku powieści - - najczęściej traci większość życia na ich czytanie. W tym momencie, ponieważ ją obrażono, z trudem powstrzymywała chęć wyciągnięcia ręki (co mogłaby zrobić bez trudu) i wytargania eleganckiej harpii za jej delikatne uszko. Jednak zmusiła się do uśmiechu i robiąc to, zrozumiała, że musi złożyć swoją dumę na ołtarzu przygody oraz zaakceptować znacznie ważniejszy fakt, że pogardliwa uwaga tej kobiety zapewniła jej kostium i rolę do odegrania. Tak więc odkaslnęła i znów się odezwała:

- Zastanawiałam się, czy wśród tylu usiłujących elegancko wyglądać dam taki kostium nie będzie zanadto rzucał się w oczy.

Kobieta pirat zachichotała. Uśmiech damy w jedwabiach stał się nieco wymuszony, a jej głos trochę bardziej piskliwy. Baczniej przyjrzała się twarzy panny Temple, skrytej w cieniu kaptura.

- A twoja maska? Nie widzę jej...

- Nie?

- Czy też jest zielona? Nie może być zbyt wyszukana, skoro zmieściła się pod kapturem.

- Istotnie, jest najzupełniej zwyczajna.

- Jednak my jej nie widzimy.

- Nie?

- A chciałybyśmy ją zobaczyć.

- Pomyślałam, że w ten sposób wydam się bardziej tajemnicza - - jeśli moja maska będzie, jak powiedziałam, zupełnie zwyczajna.

W odpowiedzi kobieta w jedwabiu nachyliła się, jakby chciała wepchnąć twarz pod kaptur, a panna Temple odruchowo odsunęła się, najdalej jak mogła, w ciasnej dorożce. Sytuacja stała się niezręczna, lecz w swej niewiedzy panna Temple nie była pewna, na kim właściwie spoczywa ciężar winy: na niej z powodu odmowy czy na natarczywej kobiecie w jedwabiach. Pozostałe dwie milczały, a maski skrywały wyraz ich twarzy. Lada chwila kobieta w jedwabiu przysunie się dostatecznie blisko, żeby zauważyć brak maski albo ściągnąć jej kaptur. Panna Temple musiała natychmiast ją powstrzymać. W tym momencie przyszło jej do głowy, że te kobiety zapewne nie żyły w domach, w których surowe kary były na porządku dziennym. Panna Temple wyprostowała dwa palce prawej dłoni i dźgnęła nimi w otwory maski z piór, prosto w oczy kobiety w jedwabiu.

Ta gwałtownie odchyliła się do tyłu, prychając jak czajnik z wrzątkiem. Spazmatycznie łapiąc powietrze, ściągnęła maskę i przycisnęła dłonie do oczu, na osłep rozmasowując ból. Uderzenie było bardzo lekkie i panna Temple wiedziała, że nie wyrządziło poważnej szkody - co innego, gdyby użyła paznokci. Kobieta w jedwabiu spojrzała na nią przekrwionymi i załzawionymi oczami, i szeroko otworzyła usta, szykując gniewną ripostę. Pozostałe dwie patrzyły, zastygłe z zaskoczenia. Znow ważył się los tej eskapady i panna Temple wiedziała, że musi utrzymać zdobytą przewagę. Roześmiała się.

I zaraz potem wyjęła uperfumowaną chusteczkę i podała ją kobiecie w jedwabiu, mówiąc swym najśłodszy głośem:

- Och, moja droga... tak mi przykro - jakby uspokajała kotka. - Musisz mi wybaczyć chęć utrzymania... czystości mojego przebrania.

Kiedy kobieta nie wzięła od niej chusteczki, panna Temple nachyliła się i, najdelikatniej jak mogła, otarła łzy z jej oczu, powoli, bez pośpiechu, a następnie wcisnęła ją do jej ręki. Wyprostowała się. Po chwili kobieta podniosła dłoń i ponownie otarła sobie twarz, usta i nos, a później, nieśmiało zerknąwszy na pozostałe, znow włożyła maskę. Milczały.

\*

Stukot kopyt zmienił się i panna Temple spojrzała za okno. Jechali brukowanym traktem. Okolica była nijaka i płaska - może łąka albo mokradła. Nie widziała drzew, choć wątpiła, by w tych ciemnościach dostrzegła je nawet wtedy, gdyby tam były - chociaż nie wyglądało na to, a jeśli rzeczywiście kiedyś tu rosły, to zostały ścięte na już zapomniane

ogniska. Odwróciła się z powrotem do swoich towarzyszek, najwyraźniej zatopionych we własnych myślach. Żałowała, że przerwała rozmowę, ale nie widziała innego wyjścia. Mimo wszystko czuła, że powinna podjąć próbę naprawy sytuacji i powiedziała różnym tonem:

- Jestem pewna, że wkrótce będziemy na miejscu. Pozostałe kobiety pokiwały głowami, a piratka nawet się uśmiechnęła, ale żadna nie odpowiedziała. Panna Temple nie rezygnowała.

- Dotarliśmy do brukowanej drogi.

Dokładnie tak samo jak poprzednio, wszystkie trzy skinęły głowami, a piratka uśmiechnęła się, ale znów nic nie powiedziały. Milczenie przeciągało się i w dorożce zapadła cisza, gdy wszystkie pogrążyły się w swoich myślach. Wcześniejsze podniecenie wieczorem teraz zastąpiło ponure zatroskanie, ten rodzaj dręczącego, bezlitosnego niepokoju, który prowadzi do wieczornych okrucieństw. Panna Temple nie była nań odporna, szczególnie że miałyby wiele powodów do niepokoju, gdyby tylko sobie na to pozwoliła. Roztropnie przypomniawszy sobie, że nie ma pojęcia, co tu robi, dokąd jedzie, ani jak stąd wróci - a ponadto, przede wszystkim, do czego wróci. Stabilny fundament jej myśli zniknął. Nawet chwilowe sukcesy - przestraszenie konduktora i pokonanie kobiety w jedwabiach - teraz zdawały się odległe, a nawet jałowe. Właśnie formułowała następne, głęboko przygnębiające pytanie „czy taka satysfakcja zawsze jest w konflikcie z pożądaniem?”, gdy zdała sobie sprawę z tego, że kobieta w płaszczu z kołnierzem z piór mówi coś, powoli i cicho, jakby odpowiadając na pytanie, które tylko ona usłyszała.

- Byłam tu już. W lecie. W powozie było jasno... było jasno mimo późnego wieczoru. Widziałam polne kwiaty. Było zimno - tutaj wiatr zawsze jest zimny ze względu na bliskość morza i ponieważ teren jest równinny. Tak mi powiedziano... ponieważ było mi zimno... choć było lato. Pamiętam, jak wjechaliśmy na tę brukowaną drogę... Pamiętam, gdyż powóz zaczął jechać inaczej, podskakiwać i kołysać się w innym rytmie. Byłam w powozie z dwoma mężczyznami... i musiałam im pozwolić, żeby rozpięli mi suknię. Mówiono mi, czego oczekiwać... obiecano to i więcej... a jednak, kiedy to się stało, gdy ich obietnice zaczęły się spełniać... w takim odludnym miejscu... wszędzie miałam gęsią skórę. - Zamilkła, a potem podniosła głowę, napotykając spojrzenia pozostałych. Ciaśniej owinęła się płaszczem i z zawstydzonym uśmiechem popatrzyła przez okno. - I znów tu jestem... widzicie, to było podniecające.

Nikt się nie odezwał. Stukot kopyt znowu się zmienił, gdy powóz zaczął jechać po wybojach. Panna Temple - mając w myślach bardziej niż lekki zamęt - zerknęła za okno i stwierdziła, że wjechali na dziedziniec, minawszy wysoką żelazną bramę. Powóz zwolnił.

Zobaczyła, że inne już się zatrzymały i ich pasażerowie wysiadają (poprawiają płaszcze, nakładając kapelusze, niecierpliwie postukując laskami), a potem dom: wspaniały, z masywnych kamiennych bloków, trzypiętrowy i bez zbytecznych ozdób, poza szerokimi oknami, z których teraz zapraszająco sączył się złoty blask. Efektem była prostota, która w takiej skali dobitnie świadczyła o zdecydowaniu tego samego rodzaju, jakie zdają się wykazywać budowniczo wież, zbrojowni lub pogańskich świątyń. Zrozumiała, że musi to być rezydencja jakiegoś lorda.

Powóz zatrzymał się i jako ostatnia wsiadająca panna Temple uznała, że powinna wsiąść pierwsza. Otworzyła drzwi i przyjęła pomocną, szeroką dłoń doróżkarza. Popatrzyła przed siebie i na końcu dziedzińca ujrzała wejście do domu, otwarte na oścież podwoje, służących po obu ich stronach oraz rzekę znikających w głębi gości. Przepych tego miejsca zdumiewał ją i ponownie opadły ją wątpliwości, gdyż wszedłszy do środka, z pewnością będzie musiała zdjąć kaptur i płaszcz, odsłaniając twarz. Gorączkowo szukając wyjścia z sytuacji, jednocześnie przyglądała się tłumowi gości, rozglądając wśród nich za Rogerem. Musiał już być w środku. Jej trzy towarzyszki wysiadły z powozu i ruszyły w kierunku drzwi. Piratka przystanęła na moment i obejrzała się, sprawdzając, czy panna Temple idzie za nimi, a ta podjęła kolejną błyskawiczną decyzję i lekko skłoniła się w odpowiedzi, jakby je odprawiała. Piratka przechyliła głowę, ale zaraz skinęła nią, odwróciła się i dołączyła do pozostałych kobiet. Panna Temple została sama.

Rozejrzała się po dziedzińcu - może są tu inne drzwi? - ale wiedziała, że jeśli naprawdę chce się dowiedzieć, co robi Roger i dlaczego tak nagle ją porzucił dla tego czegoś, powinna wejść drzwiami frontowymi. Powstrzymała chęć ucieczki i schowania się w powozie, a potem chęć zrobienia sobie krótkiej przerwy na opisanie w notatniku ostatnich wydarzeń. Jeśli ma wejść do środka, lepiej zrobić to w odpowiednim momencie, tak więc kazała nogom nieść się naprzód z pewnością siebie, której nie podzielało jej galopujące serce. Przechodziła między innymi powozami, których stangretów stajenni prowadzili na drugi koniec dziedzińca, i kilkakrotnie musiała szybko schodzić na bok. Gdy wreszcie miała wolną drogę, ostatni goście - chyba jej trzy towarzyszki podróży? - przeszli przez drzwi i zniknęli jej z oczu. Panna Temple spuściła głowę, jeszcze bardziej kryjąc twarz w cieniu, po czym weszła po schodach między dwoma szeregami służących, zauważając, że częścią ich liberii są wysokie buty, jakby byli szwadronem kawalerzystów bez koni. Szła ostrożnie, unosząc skraj płaszcza i sukni dostatecznie wysoko, by pokonać schody bez upadku, a zarazem nie odsłaniać bezwstydnie łydek. Dotarła na szczyt schodów i stanęła sama na jasnej marmurowej posadzce, w długim lustrzanym i oświetlonym gazowymi lampami holu.

- Sądzę, że chyba powinnaś pójść ze mną.

\*

Panna Temple odwróciła się i zobaczyła kobietę w czerwieni z przedziału Rogera. Nie miała już na sobie płaszcz z futrzanym kołnierzem, ale wciąż trzymała w dłoni lakierowaną cygarniczkę, a jej bystre oczy, uważnie wpatrzone w pannę Temple, przeczyły sztucznym łzom na jej masce. Panna Temple odwróciła się, lecz nie zdołała wykrztusić słowa. Kobieta była zdumiewająco ładna - wysoka, silna, zgrabna, o upudrowanym ciele ledwie okrytym skąpą suknią. Włosy miała czarne i ułożone w loki spływające kaskadą na gołe ramiona. Panna Temple wciągnęła powietrze i zakręciło jej się w głowie od słodkiego zapachu kwiatów czerwonego jaśminu. Zamknęła usta, przełknęła ślinę i zobaczyła, że kobieta się uśmiecha. Był to uśmiech bardzo podobny do tego, jakim zapewne ona niedawno uśmiechnęła się do kobiety w niebieskich jedwabiach. Nie mówiąc nic więcej, kobieta odwróciła się i poprowadziła ją w głąb jednego z lustrzanych korytarzy. Panna Temple bez słowa poszła za nią.

\*

Za plecami słyszała odległy gwar, kroki i rozmowy gości - lecz te dźwięki szybko cichły w postukiwaniu obcasów o marmur. Przeszły około trzydziestu metrów, czyli mniej niż połowę długości holu, gdy przewodniczka zatrzymała się i odwróciła, wskazując wyciągniętą ręką otwarte drzwi po lewej stronie panny Temple. Były same. Nie wiedząc, co innego mogłaby teraz zrobić, panna Temple weszła do środka. Kobieta w czerwieni weszła za nią i zamknęła masywne drzwi. Teraz zrobiło się zupełnie cicho.

Pokój był wyłożony grubymi czerwono-czarnymi dywanami, które tłumiły odgłos kroków. Pod ścianami stał szereg zamkniętych szaf, a między nimi wieszaki, jakby na ubrania, oraz wysokie lustra. Pod jedną ścianą stał długi i ciężki drewniany stół, a poza tym nie było innych mebli. Pokój wyglądał jak szatnia, teatralna lub sportowa, przy stajni albo sali gimnastycznej. Wyobrażała sobie, że w tak wielkiej rezydencji może być wszystko, czego tylko zażyczył sobie właściciel. W przeciwległej ścianie znajdowały się następne drzwi, nie tak okazałe, osadzone tak, że na pierwszy rzut oka wyglądały jak drzwiczki jednej z szaf. Może prowadziły do sali gimnastycznej?

Stojąca za nią kobieta milczała, więc panna Temple odwróciła się do niej, pochylając głowę tak, żeby kryć twarz w cieniu. Kobieta w czerwieni wcale na nią nie patrzyła, zajęta wpychaniem następnego papierosa do cygarniczki. Poprzedniego rzuciła na dywan i przydepnęła. Z przelotnym uśmieszkiem zerknęła na pannę Temple i pomaszzerowała pod jedną ze ścian, gdzie wetknęła papierosa w jedną z gazowych lamp i trzymała, dopóki się nie

zapalił. Wypuściła dym, podeszła do stołu i oparła się o niego, zaciągnęła się i znów wydmuchnęła dym, poważnie spoglądając na pannę Temple.

- Zostaw buty - powiedziała.

- Słucham? - Są zabawne. Resztę schowaj do szafy. Wskazała cygarniczką jedną z wysokich szaf. Panna Temple podeszła i otworzyła ją. W środku, na wieszakach, wisiały różne części garderoby. Z wieszaka tuż przed jej nosem - jakby w odpowiedzi na jej obawy - zwisała biała maseczka pokryta białymi piórkami, być może gołębimi, gęsiami lub łabędzimi. Stojąc plecami do kobiety w czerwieni, zrzuciła kaptur i założyła białą maskę, wiążąc tasiemki z tyłu głowy, mocno przyciskając ją do oczu. Następnie zdjęła płaszcz - zerknąwszy na kobietę, która zdawała się krzywym uśmiechem aprobować czynione przez nią postępy - i powiesiła go na wieszaku. Z innego wieszaka zdjęła coś, co wyglądało na suknię - białą i jedwabną - po czym przymierzyła. To nie była suknia, lecz tunika, bardzo krótka tunika bez żadnych guzików czy paska, w dodatku bardzo cienka.

- Przysłano cię z Waxing Street? - zapytała kobieta bez śladu zainteresowania.

Panna Temple odwróciła się do niej, podjęła szybką decyzję i powiedziała stanowczo:

- Nie znam żadnej Waxing Street.

- Ach.

Kobieta zaciągnęła się papierosem. Panna Temple nie miała pojęcia, czy to była właściwa odpowiedź - ani nawet czy mogła udzielić na to pytanie właściwej lub niewłaściwej odpowiedzi - ale czuła, że lepiej powiedzieć prawdę niż głupio zgadywać. Kobieta wydmuchnęła długą i cienką smużkę dymu w kierunku sufitu.

- A zatem z hotelu.

Panna Temple nie odpowiedziała, tylko powoli pokiwała głową. Gorączkowo zastanawiała się, o jaki chodzi hotel? Jej hotel? Czy wiedzieli, kim ona jest? Czy jej hotel dostarczał młode kobiety na luksusowe przyjęcia? Czy jakkolwiek hotel robił takie rzeczy? Najwyraźniej tak - na co wskazywało to pytanie - a jednak panna Temple nie miała pojęcia, co to oznacza, jeśli chodzi o jej przebranie, co powinna powiedzieć, jak się zachować, i co to właściwie mówi o tym przyjęciu, chociaż już zaczynała coś podejrzewać. Ponownie spojrzała na zdecydowanie nieodpowiedni strój.

Odwróciła się do kobiety.

- Mówiąc „hotel”, masz...

Kobieta przerwała jej w pół słowa. Zdeptała drugiego papierosa na dywanie i w jej głosie nagle zabrzmiały gniewne nutki.

- Wszystko czeka. Jest bardzo późno. Ty przybyłaś późno. Nie zamierzam bawić się w niańkę. Przebierz się - i to szybko - a kiedy będziesz już odpowiednio wyglądać, możesz mnie poszukać.

Podeszła do panny Temple, wyciągnęła rękę i złapała ją za ramię zaskakująco silnymi palcami, po czym obróciła tak, że prawie wepchnęła ją do szafy.

To ci pomoże, a zważywszy na jakość materiału, uznaj to za akt miłosierdzia.

Panna Temple pisnęła. Coś ostrego dotknęło jej pleców, a potem przesunęło się w górę. Słyszac przeciągły trzask, któremu towarzyszyło nagłe rozluźnienie sukni, panna Temple zrozumiała, że kobieta właśnie przecięła sznurowanie. Odwróciła się gwałtownie, przyciskając do piersi suknię, która zsunęła się jej z ramion i pleców. Kobieta chowała do torebki coś małego i błyszczącego, idąc do tych małych drzwi i wpychając do cygarniczki następnego papierosa.

- Możesz wejść tędy - powiedziała.

Nawet nie spojrzawszy w stronę panny Temple, kobieta w czerwieni gwałtownie otworzyła drzwi, przystanęła, by zapalić papierosa od kinkietu na najbliższej ścianie, po czym znikła jej z oczu, z trzaskiem zamknąwszy za sobą drzwi.

\*

Panna Temple stała, nie mając pojęcia, co robić. Jej suknia była zniszczona, przynajmniej dopóki nie znajdzie nowych sznurówek i pokojówki do ich zawiązania. Zsunęła ją do pasa i spróbowała okręcić tak, by obejrzeć straty. Kawałki zielonej tasiemki jeszcze teraz spadały na podłogę. Spojrzała na drzwi na korytarz. Nie może wyjść w takim stanie. Z drugiej strony, przecież nie może wyjść w gorsecie lub tej żałośnie przezroczystej jedwabnej tunice. Z ulgą przypomniała sobie, że wciąż ma płaszcz, pod którym z pewnością mogłaby ukryć swój niestosowny wygląd. To sprawiło, że poczuła się trochę lepiej i po chwili, gdy jej oddech nieco się uspokoił, nie miała już ochoty natychmiast stąd uciec i znów zaczęła rozmyślać o tej kobiecie, przyjęciu i oczywiście, wciąż obecnym w jej myślach Rogerze. Jeśli w każdej chwili może wziąć płaszcz i po prostu zakryć nim gorset lub zniszczoną suknię, to co jej szkodzi prowadzić dalsze śledztwo? A ponadto zaintrygowała ją wzmianka o hotelu. Postanowiła, że dowie się, czy takie rzeczy dzieją się w hotelu Boniface, a jak inaczej może tego dokonać, jeśli nie realizując swój odważny plan? Odwróciła się do szafy. Może są w niej inne stroje prócz tej tuniki.

\*

Były, ale nie miała pewności, czy myśl o zakładaniu któregoś z nich mniej ją niepokoi. Niektóre można było uznać jedynie za bieliznę, i to przeznaczoną do noszenia w

cieplejszym niż ten klimacie - Hiszpanii? Wenecji? Tangeru? Szlafroczek z jasnego jedwabiu, kilka przezroczystych haleczek i śliczne jedwabne majteczki z rozcięciem między nogami. Była również druga tunika, podobna do pierwszej, tylko dłuższa i bez rękawów. Wszystkie stroje były białe, oprócz tej drugiej tuniki, która miała zielone kółka wyhaftowane na kołnierzu i obrąbku. Panna Temple domyśliła się, że dlatego pozwolono jej zatrzymać buty. Popatrzyła na swoją bieliznę: koszulkę, halkę, bawełniane majtki i gorset. Poza tym ostatnim nie widziała żadnej różnicy między tym, co wisiało w szafie, a tym, co miała na sobie - tyle że te części garderoby były z jedwabiu. Panna Temple nie miała zwyczaju nosić jedwabiu, a rzadko się zdarzało, by coś ją skłaniało do rezygnacji z przyzwyczajień. Problemem było pozbycie się gorsetu i ponowne założenie go bez niczyjej pomocy. Pomacała jedwabne majteczki i postanowiła spróbować.

Zaczęła szarpać tasiemki gorsetu na plecach, ponieważ nie chciała tracić na to zbyt wiele czasu w obawie, że ktoś może przyjść po nią, kiedy jest prawie naga. Kiedy uwolniła się od niego i mogła oddychać głębiej niż zwykle, ściągnęła przez głowę gorset i koszulkę. Założyła jedwabną koszulkę bez rękawów, na cienkich ramiączkach, po czym poprawiła ją na piersiach. Musiała przyznać, że była przyjemna w dotyku. Ściągnęła do kostek halkę i majtki, a potem zrzuciła je, machając nogami. Sięgnęła po majteczki, czując dziwne podniecenie na myśl o tym, że stoi w tym wielkim pokoju, nie mając na sobie nic prócz podkasanego do bioder szlafroczka i zielonych butów do kostek. Dziwne, lecz po założeniu majteczek, których rozcięcie lekko rozchyłało się na jej delikatnym łonie, poczuła się jeszcze bardziej naga. Przesunęła po nich palcami, znajdując to rozcięcie jednocześnie przyjemnym i lekko przerażającym. Uniosła rękę, z przyzwyczajenia powąchała ją i sięgnęła po jedwabną haleczkę. Trzymając ją w rękach, weszła w jej jedwabny krąg, podciągnęła, zawiązała, a potem sięgnęła po gorset.

Zanim zaczęła go wkładać, stanęła przed dużym lustrem, z którego spojrzała na nią nieznaną kobietą. Częściowo z powodu maski - oglądanie siebie w masce było niezwykle dziwnym uczuciem, nieco podobnym do towarzyszącego przesuwaniu palcami po rozcięciu majteczek. Poczuła, jak dreszcz przechodzi jej po krzyżu i sytuuje się między biodrami - mrowienie nienasyconego pożądania. Oblizwała wargi i zobaczyła, jak kobieta w lustrze w masce z białych piór robi to samo - jednak tamta (z gołymi jasnymi ramionami, muskularnymi nogami, odsłoniętym dekoltem i widocznymi przez koszulkę różnymi sutkami) oblizwała je w zupełnie inny sposób, niż wydawał się normalny dla panny Temple - jednak gdy to zobaczyła, natychmiast oswoiła się z tym uczuciem i ponownie je oblizwała, jakby zaszła w niej jakaś nagła przemiana. Jej oczy błyszczały.

\*

Wrzuciła gorset do szafy i włożyła tuniki, najpierw tę krótszą z rękawami, a na nią dłuższą z zielonym haftem, którą można było zapiąć na kilka haftek. Ponownie przejrzała się w lustrze i z zadowoleniem zobaczyła, że dwie warstwy ubrania zapewniają dość przyzwoite okrycie. Jej ramiona i częściowo nogi nadal były widoczne przez jedną warstwę przezroczystego materiału, lecz reszta ciała, choć wyraźnie zarysowana, była zasłonięta. Na końcu, nie straciwszy do reszty poczucia czasu i rzeczywistości, panna Temple wyjęła z kieszeni płaszcz pieniądze i kopiowy ołówek, który wciąż był dobrze zastrzony. Potem, klęcząc to na jednym, to na drugim kolanie, wepchnęła pieniądze do jednego, a ołówek do drugiego buta. Wstała, zrobiła kilka kroków, żeby sprawdzić, czy będzie jej wygodnie, zamknęła szafę i przeszła przez małe drzwi.

Znalazła się w wąskim korytarzu. Przeszła kilka kroków w coraz jaśniejszym świetle i dotarła do załomu, za którym podłoga zaczynała wznosić się w kierunku źródła światła. Weszła w ten blask i podniosła dłoń, osłaniając nią oczy i rozglądając się. Był to rodzaj amfiteatru z rzędami siedzeń wznoszącymi się stromo na trzech ścianach nad centralnie umieszczoną sceną. Tę ostatnią zajmował duży stół, którego blat był ułożony płasko. Pod nim znajdowała się jednak maszyna, która - jak domyśliła się panna Temple, widząc stalową obręcz - umożliwiała ustawianie go pod dowolnym kątem, aby był lepiej widoczny z widowni. Za stołem, na jedynej ścianie bez siedzeń, wisiała zwyczajna, choć bardzo duża tablica.

To była sala operacyjna. Panna Temple przyjrzała się bokom stołu i zobaczyła otwory, z których zwisały skórzane pasy do pętania. Na podłodze leżał metalowy ssak. Poczowała zapach kwasów i alkaliów, ale też inny zapach, drapiący w gardle. Spojrzała na tablicę. Ta była przeznaczona do nauczania i wykładów, ale żadnego uczonego nie byłoby stać na taki dom. Może jego posiadacz jest pacjentem - ale który pacjent chciałby mieć świadków swojej kuracji? A może patronem jakiejś medycznej specjalności - albo praktykującym ją amatorem - lub zainteresowanym widzom? Przeszedł ją zimny dreszcz. Przełknęła ślinę i zauważyła na tablicy jakiś napis, którego nie spostrzegła wcześniej, oślepiąca jaskrawym światłem. Tekst wokół został starty - wraz z połową tego słowa - a mimo to łatwo było je odczytać. Wyraźnymi dużymi literami napisano kredą „ORANGE”.

Panna Temple była zaskoczona - w istocie może nawet pisnęła ze strachu - słysząc dyskretne kasznięcie dobiegające z mroku po drugiej stronie podium. Znajdowało się tam drugie, zasłonięte przez stół wejście po pochylni, którego nie zauważyła. W jej polu widzenia pojawił się mężczyzna w czarnym fraku i masce, palący cygaro. Brodę miał elegancko

przystrzyżoną, a twarz znajomo rumianą. Był to jeden z „psów” z pociągu, ten, który siedział naprzeciw Rogera. Bezcelnie przyjrzał się jej ciału i ponownie chrząknął.

- Tak? - zapytała.

- Przysłano mnie, żebym cię przyprowadził.

- Rozumiem.

- Tak.

Pykał cygaro i nie ruszał się.

- Naprawdę mi przykro, że ktoś musiał na mnie czekać.

- To mi nie przeszkadza. Lubię się rozejrzeć. - Ponownie na nią spojrzął, otwarcie mierząc ją wzrokiem, i wyszedłszy z pochylni na podium, podniósł ręką z cygarem do czoła, zasłaniając oczy przed światłem. Spojrzał na amfiteatr, na stół, i znów na nią. - Co za miejsce.

Panna Temple z trudem przyjęła pozą lekko znudzonej bywalczyni.

- A co, nigdy tu nie byłeś? Zamiast odpowiedzieć, przyjrzał się jej, a potem postanowił nie odpowiadać i wetknął cygaro do ust. Wolną ręką wyjął z czarnego fraka kieszonkowy zegarek i sprawdził godziną. Schował zegarek, zaciągnął się i wyjął cygaro z ust, wydychając dym.

Panna Temple znów się odezwała z udawaną obojętnością:

- Zawsze uważałam, że to elegancki dom. Jednak dość... szczególny.

Uśmiechnął się.

- Właśnie taki jest.

Popatrzyli na siebie. Bardzo chciała zapytać go o Rogera, ale wiedziała, że to nieodpowiednia chwila. Jeśli Roger był, jak podejrzewała, poważnie w to zamieszany, to pytając o niego - szczególnie jako osoba w dość dziwnej sytuacji (aczkolwiek nie w pełni rozumiała, jaka to sytuacja) - tylko wzbudziłaby podejrzenia. Musi poczekać, aż znajdzie się w tym samym pomieszczeniu co Roger, a potem - podczas gdy oboje będą w maskach - spróbować nawiązać z kimś rozmowę i zapytać o niego.

Jednak rozmowa w cztery oczy też dawała pewne możliwości, więc mimo okropnego niepokoju, chcąc sprowokować tego przypominającego psa gościa do dalszych wypowiedzi, znacząco spojrzała na tablicę i na pół zamazane słowo, a potem znów na niego, jakby pokazując mu, że ktoś nie do końca wykonał swoją robotę. Mężczyzna zobaczył napis. Przelotny grymas wykrzywił mu twarz i podszedłszy do tablicy, wytarł ją rękawem fraka, a potem bezskutecznie próbował strzepnąć z niego kredowy pył. Włożył cygaro do ust i wyciągnął rękę. - Oni czekają.

Przeszła obok stołu i wzięła go pod rękę, podnosząc głowę. Jego ramię było bardzo muskularne i trzymał je sztywno, a nawet niezgrabnie, gdyż był znacznie od niej wyższy. Gdy schodzili po pochylni, powiedział, ruchem głowy wskazując salę:

- Nie wiem, dlaczego kazali ci wejść tędy, chyba ze względu na to, że to najkrótsza droga. Jednak to niezwykle widok i nie taki, jakiego mogłaś oczekiwać.

- To zależy - odparła panna Temple. - A ty czego oczekiwałaś?

W odpowiedzi tylko zachichotał i jeszcze mocniej ścisnął jej rękę. Pochylnia załamywała się na dole tak samo jak poprzednia i minąwszy załom, doszli korytarzem do następnych drzwi. Mężczyzna otworzył je i stanowczo wepchnął przez nie pannę Temple. Kiedy potykając się, wpadła do środka, wszedł za nią i zamknął drzwi. Dopiero wtedy puścił jej rękę. Rozejrzała się. Nie byli sami.

\*

Ten pokój był na swój sposób przeciwieństwem tego, w którym się przebiegała, gdyż znajdował się po drugiej stronie amfiteatru, tak więc musiał być używany do innego rodzaju przygotowań, i przeznaczony dla zupełnie innego rodzaju uczestników. Sprawiał wrażenie kuchni, z kamienną posadzką i białymi kafelkami na ścianach. Stało tu kilka masywnych drewnianych stołów, również zaopatrzonych w jarzma, a na ścianach różne okowy i łańcuchy, najwyraźniej do pętania opornych lub szalonych. Jednak, co dziwne, jeden ze stołów był pokryty białymi puchowymi poduszkami, na których siedziały trzy kobiety, wszystkie w maskach z białych piór i białych tunikach, siedzące ze zwieszonymi nogami na skraju stołu, z szatami sięgającymi im zaledwie do kolan. Wszystkie miały białe nogi. Nigdzie nie było widać kobiety w czerwieni.

Wszystkie trzy milczały - może zamilkły na jej widok - i żadna nie odezwała się słowem, gdy mężczyzna eskortujący pannę Temple zostawił ją przy nich i podszedł do innego stołu, gdzie stał jego towarzysz, ten drugi podobny do psa, pociągający coś z piersiówki. Przybyły wziął od niego piersiówkę, upił tęgi łyk i zwrócił flaszkę, ocierając usta. Znów zaciągnął się cygarem i postukał nim o krawędź stołu, strzepując popiół na podłogę. Obaj w wyraźną przyjemnością spoglądali na swoje podopieczne. Sytuacja z każdą chwilą stawała się bardziej niezręczna. Panna Temple nie podeszła do stołu, na którym siedziały kobiety - nie było tam miejsca, a żadna z nich nie przesunęła się, by je dla niej zrobić. Tak więc uśmiechnęła się i spróbowała zapomnieć o niepokoju, podejmując próbę nawiązania rozmowy.

- Właśnie widzieliśmy salę amfiteatralną. Muszę przyznać, że robi wrażenie. Nie mam pojęcia, ile zmieści się w niej widzów w porównaniu z innymi takimi salami w mieście, ale

jestem pewna, że mnóstwo - może nawet stu. Moim zdaniem tak liczna widownia w tak stosunkowo odległym miejscu jest najlepszym świadectwem doniosłości tego, co nas czeka. Z pewnością będę usatysfakcjonowana, mogąc wnieść swój udział w to przedsięwzięcie, aczkolwiek skromny, a nawet marginalny i jedynie tego wieczoru, gdyż doskonałość tego wyposażenia musi odzwierciedlać jakość wykonywanej w nim pracy. Zgadzacie się z tym?

Nie otrzymała odpowiedzi. Mówiła dalej, gdyż często jej się to zdarzało w trakcie konwersacji i doskonale potrafiła sobie z tym radzić. Przyjęła pozę doświadczonej uczestniczki.

- Oczywiście, jestem także szczęśliwa z powodu możliwości noszenia tyłu jedwabnych...

Urwała, gdy mężczyzna z piersiówką wstał i podszedł do drzwi na końcu pomieszczenia. Idąc, znów upił łyk i schował butelkę do kieszeni fraka, po czym otworzył drzwi i zamknął je za sobą. Panna Temple spojrzała na tego, który został, a który w międzyczasie jeszcze bardziej poczerwieniał - jeśli to możliwe. Zastanawiała się, czy może dostał jakiegoś ataku, lecz on uśmiechał się spokojnie i nadal palił cygaro. Drzwi ponownie się otworzyły i mężczyzna z piersiówką wetknął głowę w szparę, skinął na tego z cygarem i zniknął. Mężczyzna z cygarem wstał i jeszcze raz uśmiechnąwszy się do wszystkich odprowadzających go bacznyimi spojrzeniami kobiet, poszedł do drzwi.

- Jak tylko będziecie gotowe - rzekł i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Po chwili panna Temple usłyszała charakterystyczny trzask przekręcanego w zamku klucza. Jedyne wyjście wiodło przez amfiteatr.

- Zostawiłaś sobie buty - powiedziała jedna z kobiet, ta po prawej.

- Owszem - powiedziała panna Temple. Nie o tym chciała rozmawiać. - Czy któraś z was była w tym amfiteatrze? - Pokręciły głowami, ale nie powiedziały nic więcej. Panna Temple wskazała jarzma, łańcuchy i obroże. - Przyjrzałyście się tej sali? - Tępo pokiwały głowami. Zaczęła się irytować. - On zamknął drzwi na klucz!

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała ta, która odezwała się poprzednio.

Panna Temple nagle skupiła na niej uwagę. Czyżby słyszała już kiedyś ten głos?

- To tylko pokój - powiedziała kobieta siedząca w środku, trącając nogą jeden z rzemieennych pasów zwisający z krawędzi stołu. - Teraz już nie jest do tego używany.

Pozostałe skinęły głowami, jakby nie wymagało to dalszych wyjaśnień.

- A dokładnie do czego? - spytała panna Temple. Kobieta zachichotała. Panna Temple słyszała już ten chichot.

W powozie. To była ta kobieta, która pozwoliła rozpiąć sobie suknię. Panna Temple spojrzała na dwie pozostałe - teraz w tak innych strojach, w tak innym świetle. Czy była wśród nich ta w stroju pirata i ta w jedwabiach? Nie miała pojęcia. Zauważyła, że one też się uśmiechają, jakby jej pytanie było po prostu głupie. Czyżby się upiły? Panna Temple podeszła, wzięła pierwszą z siedzących pod brodę i uniosła jej głowę - na co kobieta bezwolnie pozwoliła - a potem nachyliła się do niej i powąchała. Dobrze znała woń alkoholu - szczególnie rumu - - i jego otepiające działanie. Kobieta roztaczała zapach perfum - sandał? - i jeszcze czegoś, czego panna Temple nie zdołała rozpoznać. Nie był to alkohol ani jakikolwiek znany jej zapach, który w dodatku nie unosił się z jej ust (znów rozciągniętych w idiotycznym chichocie), lecz wokół jej głowy. Ta woń dziwnie kojarzyła się z warsztatem, a nawet fabryką, lecz nie był to odór węgla, gumy, nafty czy eteru, ani nawet spalonych włosów, chociaż zdawał się podobny do wszystkich tych zapachów zmieszanych ze sobą. Nie potrafiła go skojarzyć z żadnym konkretnym przedmiotem czy miejscem na twarzy kobiety. Może wokół oczu, pod maską? Panna Temple puściła jej brodę i cofnęła się. Jakby na dany sygnał, wszystkie trzy jednocześnie zeskoczyły ze stołu.

- Dokąd idziecie? - zapytała.

- Wchodzimy - powiedziała ta w środku.

- Co wam powiedziano? Co ma się stać?

- Nic się nie stanie - odparła ta po prawej - oprócz wszystkiego, czego pragniemy.

- Oczekują nas - powiedziała ta po lewej, która dotychczas się nie odzywała.

Panna Temple była pewna, że była to ta kobieta, która przybyła tu w sukni z niebieskiego jedwabiu.

Przecisnęły się obok niej do drzwi, a przecież chciała jeszcze zadać im tyle pytań, tyle mogły jej powiedzieć! Czy zostały tu zaproszone w gości? Czy wiedzą coś o hotelu? Panna Temple na moment wypadła z roli i zawołała gorączkowo:

- Czekajcie! Czekajcie! Gdzie wasze ubrania? Gdzie kobieta w czerwieni?

Wszystkie trzy wybuchły zduszonym śmiechem. Idąca na przedzie otworzyła drzwi, a ta na końcu zbyła pannę Temple niedbałym machnięciem ręki. Wyszły, a ostatnia zamknęła za sobą drzwi. Zapadła cisza.

\*

Panna Temple rozejrzała się po zimnym, groźnym pokoju, nagle straciwszy cały zapał i pewność siebie. Najwyraźniej, jeśli tylko odzyska rezon, droga dalszego śledztwa wiedzie w górę mrocznej pochylni, do amfiteatru. W końcu po co podjęła wyzwanie i przebrała się, zadawała pytania, dotarła aż tutaj? Jednocześnie nie była głupia i dobrze wiedziała, że w tym

pokoju oraz sali amfiteatralnej - tych tak niepokojących pomieszczeniach - poważne niebezpieczeństwo może grozić jej cności i zdrowiu. Drzwi na zewnątrz były zamknięte, a dwaj mężczyźni, którzy za nimi zniknęli, wyglądali okropnie. W pomieszczeniu nie było żadnych szaf ani wnęk, w których mogłaby się ukryć. Powiedziała sobie, że tamte kobiety - które z pewnością wiedziały więcej od niej - nie przejmowały się. Jednak tamte kobiety mogły być dziwkami.

Nabrała tchu i skarciła się za tak pochopny osąd. W końcu były bardzo dobrze ubrane. Może były rozwiązłe, a nawet puszczalskie, może znalazły się tu za pośrednictwem jakiegoś hotelu - kto zna wszystkie zawilosci ludzkiego losu? Najważniejsze było to, czy podążając dalej ich śladem, nie znajdzie się w sytuacji, z którą nie będzie potrafiła sobie poradzić. W doświadczeniu życiowym panny Temple były wielkie luki - co, przyparta do muru, byłaby gotowa przyznać - wypełnione sporą ilością domysłów i domniemań. Mimo wszystko uważała, że o wielu tych sprawach ma należyte wyobrażenie. Inne wolała pozostawić osnute mgłą tajemnicy. Jednak była zdecydowana, że w kwestii dziwnego teatru nie będzie zapelniała tych pustych, jeśli można tak powiedzieć, miejsc.

Powinna przynajmniej posłuchać odgłosów za drzwiami. Ostrożnie przekręciła klamkę i uchylila je. Niczego nie usłyszała. Otworzyła je nieco szerzej, na tyle, by wetknąć w nie głowę. Światło było takie samo jak przedtem. Kobiety dopiero co wyszły, a ona zwlekała nie dłużej niż minutę. Czy to możliwe, by tłum widzów siedział w tak głębokim skupieniu? Czyżby rozgrywało się tam jakieś upiorne widowisko? Nasłuchiwała, ale niczego nie usłyszała. Gdy wyglądała zza drzwi, oślepiło ją jasne światło. Po omacku ruszyła naprzód. Nadal niczego nie słyszała. Przykucnęła, a potem opadła na czworaki, przez cały czas wyciągając szyję, żeby nie spuszczać z oczu biegnącej w górę pochylni. Zatrzymała się. Znalazła się w punkcie, w którym następny krok ukaże ją widowni amfiteatru. Już była dobrze widoczna z widowni, gdyby był tam ktoś, kto mógłby ją zobaczyć. Przeniosła spojrzenie na stół. Nie było przy nim nikogo. W ogóle nikogo tu nie było.

Panna Temple była potwornie zirytowana, a także więcej niż trochę zaciekawiona losem trzech kobiet. Czyżby po prostu wyszły z drugiej strony? Postanowiła pójść za nimi, ale przechodząc przez środek sali, przypadkiem znów zerknęła na tablicę, gdyż jasne światło przestało ją oślepić. Takimi samymi dużymi literami ktoś naskrobał: „I TAK OTO ZOSTANĄ SKONSUMOWANI”. Panna Temple drgnęła, jakby ktoś krzyknął jej do ucha. Tych słów zdecydowanie przedtem tu nie było.

Ponownie błyskawicznie odwróciła się twarzą do widowni, szukając kogoś kryjącego się za siedzeniami. Nie było tam nikogo. Niezwłocznie ruszyła dalej do pierwszej pochylni i

na dół, za załom korytarza i do drzwi. Były zamknięte. Przyłożyła do nich ucho i nasłuchiwała. Nic nie słyszała, co o niczym nie świadczyło, gdyż drzwi były grube. Zmęczona niepotrzebną ostrożnością, ponownie powolutku przekręciła klamkę i uchyliła je, żeby zajrzeć do środka. Otworzyła je szerzej, nasłuchując, a niczego nie usłyszawszy, otworzyła je jeszcze szerzej. Nadal nic. Nie mogąc zapanować nad zniecierpliwieniem, panna Temple otworzyła drzwi na oścież i jęknęła ze zgrozy.

Na podłodze leżały podarte i zniszczone resztki jej płaszcza z kapturem, sukienki, gorsetu i bielizny - wszystko pocięte na strzępy, niemal nie do rozpoznania. Nawet jej nowy notes został zniszczony: kartki wydarte i rozrzucone jak liście, oprawa oddarta, skórzana okładka pomięta i połamana. Panna Temple zatrzęsa się z gniewu i strachu. Najwyraźniej została zdemaskowana. Była w niebezpieczeństwie. Powinna uciekać. Pójdzie za Rogerem innym razem albo zatrudni zawodowych detektywów, ludzi znających się na rzeczy - krzepkich mężczyzn, których niełatwo podejść. Jej działania są po prostu śmieszne. I mogą okazać się zgubne.

Podeszła do szafek pod ścianą. Jej ubranie zostało zniszczone, ale może w którejś z nich znajdzie jakieś okrycie. Wszystkie były zamknięte. Pociągnęła z całej siły, bez skutku. Rozejrzała się za czymś, czym mogłaby wyważyć drzwi szafy, lecz niczego takiego nie znalazła. Z ust panny Temple wyrwał się zduszony okrzyk frustracji, zaskakująco piskliwy, i słysząc go, nagle w pełni zdała sobie sprawę ze swego rozpaczliwego położenia. A jeśli zostanie złapana i zdemaskowana? Jak spojrzy w twarz Rogerowi? Zdrętwiała. Roger! Właśnie tego było trzeba, żeby odzyskała rezon. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, było stać się obiektem jego dociekań. Wpadła we wściekłość. Myśl o nim doprowadzała ją do szału. W tym momencie gardziła Rogerem Bascombe'em i z nowo odkrytą determinacją postanowiła wydostać się z opresji, a potem poświęcić wszystkie siły na doprowadzenie go do ruiny. Jednak nawet wyobrażając sobie tę ruinę i swój szyderczy uśmiech triumfu, panna Temple poczuła przyływ współczucia i troski o los tego głupca, który nieopatrznie dał się wplątać w kto wie jakie nieprawości, grożące skandalem i złamaniem obiecującej kariery. Czy to możliwe, żeby tego nie rozumiał? Czy gdyby udało jej się z nim porozmawiać, mogłaby odsunąć od niego to zagrożenie? A przynajmniej go oświecić?

Panna Temple podeszła do drzwi wiodących na korytarz i otworzyła je. Korytarz wyglądał na pusty, ale mimo to nasłuchiwała, wyciągnąwszy szyję. Idąc w jedną stronę, dotarłaby do frontowej części budynku, w sam środek przyjęcia i - jak zakładała - tłumy gości, służby, wszystkich. A także do powozów, jeśli w tym stroju zdołałaby wydostać się, nie zostając zauważona, zdemaskowana, wyśmiana albo jeszcze gorzej. Idąc w drugą,

zapuściłaby się w głąb budynku, na spotkanie niebezpieczeństwa, w samo serce intrygi. Być może tam zdołałaby znaleźć inne ubranie. A nawet inną drogę do powozów. I może zdobyć więcej informacji - o Rogerze, o kobiecie w czerwieni, o właścicielu tej rezydencji. Albo swoją zgubę. Chociaż panna Temple postawiła sobie pytanie: „uciekać czy dzielnie podążać dalej”, było również prawdą, że droga w głąb domu, aczkolwiek bardziej przerażająca, zdawała się odsuwać groźbę natychmiastowej konfrontacji. Gdyby poszła do wyjścia, z pewnością natknęłaby się co najmniej na służących. Natomiast w głębi domu mogło się zdarzyć wszystko - włącznie z odkryciem łatwej drogi ucieczki. Jeszcze raz spojrzała w kierunku frontowych drzwi, nie zauważyła nikogo, po czym ruszyła w przeciwną stronę, idąc szybko i trzymając się blisko ściany.

Napotkała troje kolejnych drzwi po tej samej stronie korytarza i jedne po drugiej - wszystkie zamknięte. Szła dalej. Jej buty zdawały się niemiłosiernie głośno stukać o płyty posadzki. Przed sobą widziała już koniec korytarza i jeszcze tylko dwoje drzwi. Jeśli i te okażą się zamknięte, będzie musiała zawrócić. Zbliżając się do następnych drzwi po drugiej stronie korytarza, zerknęła przez ramię i nie widząc nikogo, podbiegła do nich. Nie ustąpiły. Kolejny rzut oka za siebie - wciąż pusto - i potruczała na drugą stronę, do ostatnich drzwi. Za nimi korytarz kończył się ogromnym lustrem, złożonym z kilku tafli i szprosów, wyglądającym jak jedno z wielkich okien znajdujących się we wszystkich pokojach budynku, tylko że tutaj widoczność była ostentacyjnie i znacząco skierowana do wewnątrz, jakby dyskretnie (w istocie, za zamkniętymi drzwiami) chciano dać do zrozumienia, że wewnątrz dzieją się znacznie ważniejsze rzeczy niż na zewnątrz. Dla panny Temple był to przykry widok, gdyż ujrzała swoje odbicie: białą postać przemykającą pod ścianami, przytłoczoną przepychem. Zadowolenie, jakie czuła wcześniej, widząc się tak zamaskowaną, jeszcze nie całkiem jej przeszło, lecz nieco zmalowało, gdyż teraz lepiej zdawała sobie sprawę z ryzyka zdającego się syjamskim bratem tego uczucia.

\*

Przy ostatnich drzwiach dopisało jej szczęście. Podchodząc do nich, usłyszała stłumiony głos i odgłos kroków. Chwyciła klamkę. Były zamknięte. Nie miała innego wyjścia. Panna Temple wyprostowała ramiona i nabrała tchu. Zapukała.

Głos zamilkł. Przygotowała się, lecz niczego nie było słyhać: żadnych kroków ani szcęknięcia zamka. Zapukała ponownie, głośniejsz, aż zabolęła ją ręka. Cofnęła się, poruszając palcami, czekając. Teraz usłyszała szybkie kroki, zgrzyt odsuwanej zasuw i drzwi z trzaskiem uchylily się na centymetr. Spojrzało na nią czujne zielone oko.

- Co jest? - spytał męski głos, wyraźnie zirytowany.

- Witam - powiedziała panna Temple z uśmiechem.

- Czego chcesz, do diabła?

- Chciałabym wejść.

- Kim jesteś, do diabła?

- Isobel.

Zdenerwowana panna Temple instynktownie wybrała imię świętej, ale co będzie, jeśli to ją zdradzi, jeśli jest tu jakaś inna Isobel, którą on zna, zupełnie niepodobna do niej, jakaś gruba i zawsze spocona dziewczyna o niezdrowej cerze? Spojrzała w zielone oko - drzwi nie otworzyły się szerzej - rozpaczliwie usiłując odgadnąć reakcję mężczyzny. Oko tylko zamrugało, a potem szybko zmierzyło ją od stóp do głów. Zmrużyło się podejrzliwie.

- To mi nic nie mówi.

- Zostałam tu skierowana.

- Przez kogo? Przez kogo?!

- A jak pan myśli?

- W jakim celu?

Chociaż panna Temple nie miała nic przeciwko kontynuowaniu tej rozmowy, czas płynął i doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że zbyt długo stoi na korytarzu. Nachyliła się, spojrzała w oko i szepnęła:

- Żebym się przebrała. - Oko nie poruszyło się. Spojrzała przez ramię i znów na mężczyznę, ponownie szepcząc: - Przecież nie mogę tego zrobić na dworze...

Mężczyzna otworzył drzwi i cofnął się, wpuszczając ją. Postarała się przemknąć jak najdalej od niego, pozostając poza zasięgiem jego rąk, lecz on tylko zamknął drzwi i cofnął się jeszcze dalej. Był dziwnym osobnikiem - założyła, że służącym, chociaż nie nosił czarnej liberii. Stwierdziła natomiast, że jego buty, choć kiedyś eleganckie, teraz były zniszczone i brudne. Nosił biały fartuch, narzucony na zwykłe i równie znoszone brązowe spodnie i koszulę. Włosy miał tłuste, odgarnięte za uszy. Skórę bladą, oczy przenikliwe i bystre, a dłonie czarne, jakby pobrudzone tuszem. Czyżby był drukarzem? Uśmiechnęła się do niego i podziękowała. W odpowiedzi głośno przełknął ślinę, szarpiąc palcami postrzępiony brzeg fartucha, przyglądając się jej i dysząc przez otwarte usta, jak ryba.

W pomieszczeniu było pełno drewnianych skrzyń, nie tak długich i głębokich jak trumny, ale wyłożonych miękkim filcem. Skrzynie były otwarte, a wieka niedbale oparte o ścianę, lecz nigdzie nie było widać ich zawartości. Prawdę mówiąc, wszystkie wyglądały na puste. Panna Temple ośmieliła się zerknąć do jednej z nich, gdy mężczyzna warknął na nią, pryskając śliną ze wzburzenia:

- Przestań!

Odwróciła się i zobaczyła, że wskazuje skrzynie, a potem, wróciwszy myślami do niej, na nią, na jej maskę i strój.

- Po co cię tu przysłał? Wszyscy powinni być w innych pokojach! Mam robotę! Nie mogę... nie będę obiektem jego żartów! Czy on już nie ma dość? Albo jego piesek Lorentz? Zrób to, Crooner! Zrób tamto, Crooner! Wykonywałem wszystkie polecenia! Jestem po prostu równie odpowiedzialny za... za moje projekty, a to jedno chwilowe, pożałowania godne niedopatrzenie... przecież zgodziłem się na wszystko... całkowicie się podporządkowałem, a mimo to... - Bezradnie machnął ręką, pryskając śliną na pannę Temple.

- Co za udręka!

Czekała, aż skończy mówić, a gdy to zrobił, aż przestanie się ciskać jak niedożywiony terier. Na końcu pomieszczenia były następne drzwi. Poważnie skinąwszy głową, panna Temple dygnęła z szacunkiem, wskazała drzwi i szepnęła:

- Nie będę pana dłużej niepokoiła. Jeśli wie-pan-kto przypadkiem mnie zapyta, wyjaśnię, że jest pan całkowicie pochłonięty swoim zadaniem.

Ponownie skinęła głową i podeszła do drzwi, mając szczerą nadzieję, że nie prowadzą do szafy. Otworzyła je i weszła w wąski korytarz. Zamknąwszy za sobą drzwi, panna Temple z ulgą oparła się o ścianę.

\*

Wiedziała, że nie ma czasu na odpoczynek, i powlokła się dalej. Ten korytarz był zwykłym przejściem dla służby, umożliwiającym szybkie dotarcie do różnych części domu. W przyływie nadziei panna Temple zastanawiała się, czy może zaprowadzić ją do pralni. Najciszej jak pozwalały na to ciężkie buty, szła w kierunku drzwi na jego końcu. Zanim przekreśliła klamkę, zauważyła przymocowany do drzwi metalowy krążek wielkości monety, z małą rączką. Odsunęła go i ukazał się osadzony w drewnie judasz. Najwidoczniej umieszczono go tu, żeby sługa nie przeszkodził panu, wchodząc nie w porę. Panna Temple w pełni aprobowała ten przykład dyskrecji i taktu. Stała na palcach i spojrzała.

Zobaczyła prywatną łazienkę, sporych rozmiarów, zdominowaną przez dużą miedzianą wannę. Na stoliku leżał zestaw przyborów kąpielowych: gąbki, szczotki, płyny, mydła oraz stos złożonych białych ręczników. Nie było w niej nikogo. Otworzyła drzwi i wślizgnęła się do środka. Natychmiast straciła równowagę, poślizgnąwszy się na mokrych kafelkach, i z impetem klapnęła na posadzkę, robiąc niezgrabny szpagat. Towarzyszący temu głośny trzask świadczył, że jej szata rozdarła się przy upadku. Panna Temple na chwilę zamarła. Czy ktoś to usłyszał? Czy jęknęła przy tym, czy nie? Zza otwartych drzwi łazienki

nie dochodził żaden dźwięk. Panna Temple ostrożnie wstała. Na zalanej wodą podłodze wałało się kilka niedbale rzuconych ręczników, pogniecionych i mokrych. Pochyliła się ostrożnie i zanurzyła palce w wodzie. Była letnia. Nikt nie siedział w tej wannie od co najmniej pół godziny. Wytarła palce w jeden z ręczników. Nie było tu również nikogo ze służby, w przeciwnym razie ręczniki zostałyby pozbierane, a woda wytarta. Co oznaczało, że lokator nadal tu jest albo zabronił wchodzić tu służbie.

\*

Dopiero wtedy panna Temple poczuła zapach napływający z pokoju. Zapewne nie wyczuła go od razu z powodu woni kwiatowego mydła i olejków, lecz gdy tylko zrobiła krok w kierunku drzwi, jej nos zaatakował ten sam dziwny i nienaturalny zapach, jaki unosił się wokół twarzy tamtej kobiety, tylko o wiele silniejszy. Zatkęła dłonią nos i usta. Ta woń przypominała mieszaninę popiołu i palonego korka lub płonącej gumy (nagle zaczęła się zastanawiać, jaki zapach miałyby płonące szkło), tylko skąd takie zapachy wzięłyby się w prywatnych pokojach wiejskiej posiadłości? Wystawiła głowę z drzwi łazienki i zajrzała do małej bawialni. Szybkim spojrzeniem obrzuciła krzesła, stolik, lampę i obrazy. Żadnej szafy, z której mogłaby wziąć jakieś ubranie. Ruszyła w kierunku drzwi na drugim końcu pokoju, gdy usłyszała te dźwięki.

Ciężkie, zbliżające się kroki. Gdy prawie dotarły do drzwi i już miała pomknąć z powrotem do łazienki, kroki zgubiły rytm i panna Temple usłyszała stłumiony pisk i trzask czegoś ciężkiego wpadającego na coś innego, co runęło na podłogę, rozbijając się na kawałki. Odskoczyła i zobaczyła grad odłamków niebieskiej chińskiej porcelany, wpadający przez otwarte drzwi obok jej stóp. Na moment zapadła cisza. Potem znów usłyszała niepewne kroki, cichnące w oddali. Panna Temple zaryzykowała i wyjrzała z łazienki. Na podłodze leżały szczątki wielkiego wazonu, lilii, pęknięty marmurowy postument i przewrócony stół. W pokoju stało łóżko z baldachimem, bez pościeli. Spoczywały na nim trzy drewniane skrzynie, identyczne jak te, które otwierał dziwny sługa w pomieszczeniu na końcu służbowego korytarza. Te również były otwarte i wyłożone filcem - pomarańczowej barwy, co skojarzyło się panie Temple ze słowem widniejącym na tablicy. Wszystkie były puste, ale podniosła jedno leżące obok wieko i zobaczyła wytłoczone w drewnie - również pomarańczowe - litery, tworzące napis „OR-13”. Popatrzyła na dwa pozostałe wieka i zauważyła, że oznaczono je jako „OR-14” i „OR-15”. Gwałtownie odwróciła głowę w kierunku drzwi. Kroki wracały, jeszcze bardziej nierówne. Zanim panna Temple zdołała się ukryć, rozległ się łoskot jeszcze głośniejszy niż poprzednio, po którym znów zapadła cisza.

Zaczekała chwilę, a nie słysząc niczego, zakradła się na korytarz. Tu zapach był jeszcze silniejszy. Dusząc się, zakryła rękawem nos i usta. Zobaczyła następny pokój, lepiej umeblowany, w którym jednak wszystkie meble zakryte były białymi pokrowcami, jakby tę część domu zamknięto. Zza nakrytej białym całunem komody wystawały nogi w jasnoczerwonych spodniach z żółtymi lampasami i czarnych buciorach. Żołnierski mundur. Żołnierz się nie poruszał. Panna Temple ośmieliła się wejść do pokoju i przyjrzeć się leżącemu. Płaszcz też był czerwony, szamerowany i ozdobiony złotymi epoletami, a jego właściciel miał gęste czarne wąsy i bokobrody. Resztę twarzy zasłaniała dopasowana maska z czerwonej skóry. Oczy miał zamknięte. Nie dostrzegła krwi ani żadnego siadu wskazującego na to, że uderzył się w głowę. Może był pijany? Albo zemdlął w tym zaduchu? Trąciła go nogą. Nie poruszył się, chociaż widząc lekko poruszającą się pierś, wywnioskowała, że żyje.

W dłoniach trzymał pomięty czarny płaszcz, w który być może zaplątały mu się nogi. Panna Temple uśmiechnęła się z satysfakcją. Ukłękła i delikatnie wyjęła mu go z rąk, po czym wstała, rozpościerając płaszcz przed sobą. Nie miał kaptura, ale poza tym dobrze na nią pasował. Uśmiechnęła się chytrze i ponownie ukłękła przy mężczyźnie, ostrożnie rozwiązała mu maskę i zdjęła ją z twarzy. Jęknęła ze zgrozy. Mężczyzna miał dziwne obwódki wokół oczu, odznaczające się na skórze tak, jakby ktoś przycisnął mu do twarzy i skroni parę dużych metalowych okularów. Ciało nie było poparzone, lecz zabarwione na niezdrowy śliwkowy kolor, jakby w tym miejscu została zdarta skóra. Panna Temple z obrzydzeniem obejrzała wewnętrzną stronę maski. Nie była brudna ani zakrwawiona, mimo to wytarła ją jednym z białych pokrowców. Na materiale nie pozostał żaden ślad, mimo to nieufnie zdjęła swoją maskę i zamieniła ją na czerwoną. Potem zdjęła białe szaty i owinęła się czarnym płaszczem. W pomieszczeniu nie było lustro, lecz mimo to odzyskała pewność siebie. Wepchnęła niepotrzebne ubranie do szafki i ruszyła w kierunku następnych drzwi.

Te były całkiem spore, najwyraźniej będące głównym wejściem do apartamentów, i prowadziły prosto na szeroki i dobrze oświetlony korytarz, którym zdecydowanie podążał tłum elegancko ubranych gości. Jakiś człowiek zauważył stojącą w progu pannę Temple i skinął głową, ale nie przystanął. Nikt się nie zatrzymywał - w rzeczy samej, wszyscy wydawali się dokądś spieszyć. Uszczęśliwiona, że na jej widok nie podniesiono alarmu, panna Temple wmieszała się w tłum i pozwoliła mu się nieść. Musiała pamiętać o tym, żeby przytrzymywać poły płaszcza, ale poza tym mogła obserwować otaczających ją ludzi. Wszyscy nosili maski i eleganckie wieczorowe stroje, lecz wydawali się reprezentować różne klasy społeczne i grupy wiekowe. Gdy przechodziła obok, niektórzy kłaniali się lub uśmiechali, ale nikt się nie odzywał. Właściwie nikt nic nie mówił, chociaż dostrzegła

wyczekujące uśmiechy. Była przekonana, że podążają ku czemuś, co ma być cudowne, ale bardzo nieliczni, jeśli w ogóle, wiedzieli, co to takiego. Patrząc przed i za siebie, zobaczyła, że korytarzem nie podąża grupa bardzo liczna - około czterdziestu lub pięćdziesięciu osób. Sądząc po liczbie powozów przed domem, była to zaledwie niewielka część tych, którzy brali udział w przyjęciu. Zastanawiała się, gdzie są pozostali i jak wyjaśniono im nieobecność tych ludzi. Ponadto, dokąd zmierzają? I jak długi jest korytarz? Panna Temple doszła do wniosku, że człowiek, który zbudował ten dom, był niezdrowo zafascynowany długością. Nagle wpadła na idącą przed nią osobę - którą tym momencie była jakaś niska kobieta (czyli, powiedzmy szczerze, wzrostu panny Temple) w jasnozielonej sukience (w kolorze podobnym do sukni panny Temple, co stwierdziła z przykrością) oraz niezwykle pomysłowej masce zrobionej ze sznurów koralików.

- Och, bardzo przepraszam - szepnęła panna Temple.

- Nic nie szkodzi - odparła kobieta i ruchem głowy wskazała dżentelmena idącego przed nią. - Ja nadepnęłam na piętę jemu.

Zatrzymali się w głębi holu.

- Zatrzymaliśmy się - zauważyła panna Temple, próbując podtrzymać rozmowę.

- Powiedziano mi, że schody są bardzo wąskie i powinnam uważać w moich pantoflach na szpilkach. Ci, co robią schody, nigdy nie myślą o damach.

To smutna prawda - zgodziła się panna Temple, lecz przeniosła wzrok wyżej, gdzie zobaczyła szereg postaci wspinających się po spiralnych schodach z jakiegoś jasnego metalu.

Serce podeszło jej do gardła. Roger Bascombe - gdyż nie mógł to być nikt inny, pomimo czarnej maski na twarzy - właśnie piał się w górę i przez moment był zwrócony twarzą do niej. I tym razem miał obojętną minę, a wchodząc stopień po stopniu tak jak inni goście przed nim i za nim, niecierpliwie uderzał palcami w poręcz. Tak bardzo nie lubił tłumów - wiedziała, że musi czuć się okropnie. Dokąd idzie? Co właściwie tu robi? Jednak Roger trochę za szybko dotarł na górę, na wąski balkon, i znikł jej z oczu.

\*

Panna Temple skierowała wzrok na otaczających ją ludzi. Przeszła kilka kroków, mając zamęt w głowie, po czym uświadomiła sobie, że kobieta w zielonej sukni coś do niej szepcze.

- Przepraszam - odparła szeptem panna Temple - przez chwilę nie uważałam z podniecenia.

- To bardzo podniecające, prawda? - przyznała kobieta.

- Powiedziałabym, że tak.

- Czuję się jak mała dziewczynka!

- Sądzę, że wszyscy się tak czujemy - zapewniła ją panna Temple, a potem dodała wesoło: - Nie spodziewałam się tylu ludzi.

- Oczywiście, że nie - odparła kobieta - ponieważ byli bardzo ostrożni, ukrywając tę grupę w tłumie gości, subtelnie doręczając zaproszenia, skrywając tożsamość.

- Istotnie - skinęła głową panna Temple. - Ma pani taką zmyślną maskę.

- Bardzo zmyślna, prawda? - uśmiechnęła się kobieta. Zdążyła już cofnąć się o pół kroku i zrównać z panną Temple, tak że mogły po cichu rozmawiać, nie zwracając na siebie uwagi innych. - Ja zamierzałam pochwalić pani płaszcz.

- No cóż, to uprzejmie z pani strony.

- Wygląda dość dramatycznie - mruknęła kobieta, dotykając kołnierza obszytego czarną wstążką, której panna Temple nie zauważyła. - Przypomina płaszcz żołnierza.

- Czyż nie tak nakazuje moda? - uśmiechnęła się panna Temple.

- Istotnie. - Przy tym słowie kobieta jeszcze bardziej zniżyła głos. - Bo czy my wszyscy nie jesteśmy teraz w pewien sposób żołnierzami?

Panna Temple skinęła głową.

- Czuję dokładnie to samo.

Kobieta znacząco spojrzała jej w oczy, a potem z przyjemnością obrzuciła wzrokiem płaszcz.

- I jest dość długi. Zupełnie panią zakrywa. Panna Temple nachyliła się do niej.

- Tak więc nikt nie wie, co mam pod spodem.

Kobieta uśmiechnęła się łobuzersko i nachyliła jeszcze bliżej.

- I czy w ogóle coś pani tam ma...

Zanim panna Temple zdołała odpowiedzieć, znalazły się u podnóża schodów. Skinęła na kobietę, puszczając ją przodem. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, było to, by zachęcona tymi impulsywnymi słowami rozmówczyni, zaglądała jej od dołu pod płaszcz. Wchodząc, spojrzała na dół. Na korytarzu pozostał najwyżej tuzin osób. Nagle przełknęła ślinę, bo za nimi, podchodząc powoli jak pasterz do stada owiec, zbliżała się kobieta w czerwieni. Jej spojrzenie padło na pannę Temple, która nie zdołała powstrzymać drżenia, a potem przesunęło się wyżej, w kierunku balkonu. Panna Temple wkrótce znalazła się po drugiej stronie spirali, znikając jej z oczu. Kiedy ponownie wyszła na otwartą przestrzeń, siłą woli nakazała sobie patrzeć przed siebie, w plecy kobiety w zielonej sukni. Swędział ją kark. Z trudem opanowała chęć zerknięcia w dół, ale oparła się, powstrzymując zgubny odruch, który z pewnością by ją zdradził. Nagle kobieta w zielonej sukni przystanęła - gdzieś nad nimi

zrobił się zator. Panna Temple czuła się zupełnie odsłonięta, jakby nie miała płaszcza i maski, jakby ona i kobieta w czerwieni były tu same. I znów wyczuła na sobie świdrujące spojrzenie i wyraźnie usłyszała odgłos kroków, który pamiętała z lustrzanej sali. Kobieta podchodziła bliżej... bliżej... aż zatrzymała się tuż poniżej niej. Panna Temple spojrzała w dół i na jedną straszną chwilę napotkała spojrzenie błyszczących oczu. Potem kobieta w czerwieni przeniosła wzrok nieco niżej, patrząc - lub próbując zajrzeć, gdyż stopień częściowo zasłaniał jej widok - pod jej płaszcz. Panna Temple wstrzymała oddech. Kobieta przed nią mszyła, a panna Temple poszła za nią, świadoma tego, że przy tym jej płaszcz lekko rozchyła się na dole. Nie potrafiła się zmusić do tego, żeby spojrzeć w dół i zobaczyć, czy kobieta naprawdę ją rozpoznała, czy tylko przyglądała jej się tak jak wszystkim innym. Jeszcze trzy stopnie i znalazła się na balkonie, przeszła po nim i przez niewielkie ciemne drzwi. Kobieta w zielonej sukni przystanąła, jakby sygnalizując chęć kontynuowania rozmowy, lecz panna Temple za bardzo obawiała się zdemaskowania i chciała zostać sama, żeby gdzieś się ukryć. Z uśmiechem skinęła jej głową, a potem poszła w przeciwnym kierunku. Dopiero wtedy zrozumiała, gdzie się znalazła.

\*

Stała w przejściu na szczycie stromo opadającej galerii i patrzyła na salę operacyjną. Galeria była prawie pełna, więc panna Temple musiała poszukać sobie wolnego miejsca. Na podium zobaczyła człowieka z pociągu, postawnego mężczyznę w futrze, który teraz już nie nosił futra, lecz wciąż trzymał w dłoni laskę ze srebrną gałką. Gniewnie spoglądał na galerię, niecierpliwie czekając, aż widzowie zajmą miejsca. Wiedziała, że oślepią go jaskrawe światło, więc nie może jej dostrzec, lecz mimo to poczuła, jak jego spojrzenie badawczo przesuwa się po niej, twarde jak grabie zgarniające żwir, gdy szła między krzesłami. Nie odważyła się opuścić ostatniego rzędu - im niżej by siadła, tym lepiej byłaby widoczna ze środka sali - i z ulgą znalazła wolne miejsce trzy krzesła dalej, między mężczyzną w czarnym fraku i siwowłosym człowiekiem w granatowym mundurze, przepasanym szarfą. Ponieważ obaj byli dużo wyżsi od niej, panna Temple uspokajała się myślą, że między nimi jest mniej widoczna - chociaż jednocześnie jak w potrzasku. Wiedziała, że kobieta w czerwieni także tutaj przysłała. Panna Temple z trudem skupiła wzrok na podium, lecz to, co tam zobaczyła, w najmniejszym stopniu nie uspokoiło jej obaw.

Potężnie zbudowany mężczyzna sięgnął ręką w cień i wyprowadził z niego kobietę w masce i białych jedwabnych szatach, którą trzymał za blade ramię. Kobieta szła ostrożnie, oślepiona światłem, pozwalając się prowadzić. Złapał ją bezceremonialnie i posadził na stole, tak że jej nogi zakołysały się w powietrzu. Chwycił je i przeciągnął na przód stołu, obracając

kobietę. Najwyraźniej mówił coś do niej, zbyt cicho, by zdołał go usłyszeć ktoś inny, gdyż z zawstydzonym uśmiechem wyciągnęła się na stole i ułożyła tak, że jej ciało znalazło się dokładnie na środku. Gdy to zrobiła, mężczyzna beznamyślnie umieścił kostki jej nóg na rogach stołu i przypiął skórzanymi pasami. Energicznym szarpnięciem zacisnął pasy, likwidując luz. Potem zajął się jej rękami. Kobieta milczała. Panna Temple nie była pewna, która z tamtych trzech kobiet znajduje się na stole - może ta w stroju pirata? - i kiedy próbowała to odgadnąć, mężczyzna przywiązał ręce leżącej. Potem ostrożnie odgarnął jej elegancko ułożone włosy i przeciągnął następny pas przez jej białą, delikatną szyję. Ten też zacisnął stanowczo, lecz już nie tak mocno, całkowicie unieruchamiając kobietę. Potem stanął za jej głową i chwycił metalową dźwignię, podobną do rączki pompy. Pociągnął. Maszyna odpowiedziała metalicznym brzękiem, głośnym jak wystrzał, po czym blat stołu uniósł się i obrócił w kierunku galerii. Po kolejnym trzasku kobieta znalazła się w niemal pionowej pozycji. Mężczyzna puścił dźwignię i zszedł z podium w mrok pochylni.

Twarz kobiety nie zdradzała żadnych uczuć. Uśmiechała się dzielnie, ale nie zdołała ukryć drżenia nóg. Panna Temple zaryzykowała i zerknęła przez ramię sąsiada w kierunku drzwi, po czym szybko znów odwróciła się w kierunku podium. Kobieta w czerwieni stała tuż przy drzwiach, jakby na straży, leniwie wodząc oczami po tłumie i wpychając do cygarniczki nowego papierosa. Panna Temple mogłaby uciec jedynie, wskakując na podium i zbiegając pochylnią, co było raczej nierealne. Niespokojnie spoglądała na tłum widzów, starając się znaleźć jakieś wyjście z sytuacji. Zamiast tego zobaczyła Rogera, na samym środku galerii, siedzącego między kobietą w żółtej sukni - zapewne roześmianą towarzyszką z pociągu - a pustym, o dziwo, miejscem. Musiało to być jedyne wolne miejsce na sali. Panna Temple poczuła zapach palonego gdzieś za jej plecami tytoniu. Była pewna, że to wolne miejsce należy do szkarłatnej nemezis, lecz jak można było wytłumaczyć jej związek z Rogerem Bascombe'em? Czy była jakąś ważną osobą z dyplomacji, czy tajemniczą kurtyzaną lub dekadentką spadkobierczynią fortuny? Witając pannę Temple, dowiodła, że bierze udział w tym, czemu zamierza przyglądać się ten tłum. Roger jechał z nią pociągiem, lecz czy to dowodziło, że wiedział, co się tu wydarzy? Nagle, z przeszywającym ukłuciem niepokoju, panna Temple zaczęła się zastanawiać, czy nie zajęła miejsca kobiety w czerwieni, lecz cóż mogła teraz na to poradzić?

Postawny mężczyzna wrócił w krąg światła, niosąc na rękach następną odzianą na biało kobietę. Była nią niewątpliwie ta w błękitnej sukni, którą panna Temple rozpoznała po rozpuszczonych włosach, opadających niemal do podłogi. Mężczyzna przeszedł na środek podium, stanął przed stołem i odkasznął.

- Sądzę, że jesteście gotowi - zaczął.

Pannę Temple zdziwił jego głos, bynajmniej nie szorstki lub rozkazujący, lecz słaby, niemal ochrypły, choć jeszcze basowy. Dobywał się z jego gardła jak z czegoś poranionego i poszarpanego. Nie podniósł głosu, mając pewność, że zwrócą na niego uwagę - a był tak pewny siebie, że widzowie natychmiast to uczynili. Ponownie odchrząknął i podniósł trzymaną na rękach kobietę, jakby była tekstem, który zamierzał omówić.

- Jak widzicie, ta dama jest całkowicie powolna. Rozumiecie, że nie użyto opiatów ani innych leków uspokajających. Co więcej, chociaż wydaje się zupełnie bezradna, jest to jedynie jej ulubiona poza. Bynajmniej nie konieczność. Wprost przeciwnie, szybkie reakcje jak najbardziej leżą w jej możliwościach.

Obrócił kobietę tak, by jej górna połowa ciała uniosła się, a dolna opadła i dotknęła stopami podłogi. Wtedy cofnął się i ją puścił. Kobieta zachwiała się, tocząc szklistym wzrokiem, lecz nie upadła. Mężczyzna bez ostrzeżenia uderzył ją w twarz. Na widowni rozległ się pomruk oburzenia. Kobieta zatoczyła się, ale nie upadła. Jedną z jej rąk śmignęła w kierunku twarzy mężczyzny, gotowa do ciosu. Bez trudu ją złapał - najwyraźniej się tego spodziewając - a potem powoli opuścił jej dłoń wzdłuż ciała. Nie próbowała ponownie go uderzyć i stała z tak obojętnym wyrazem twarzy, jakby wcale nie została spoliczkowana. Mężczyzna spojrzął na widownię, jakby podkreślając ten fakt, a potem ponownie wyciągnął rękę, tym razem łapiąc kobietę za gardło. Zaciśnął palce. Kobieta zareagowała gwałtownie, drapiąc jego dłoń, bijąc go po niej i kopiąc po łydkach. Mężczyzna trzymał ją na odległość wyciągniętej ręki i nie przestawał. Nie mogła go dosięgnąć. Poczerwieniała, zaczęła głośno dyszeć i szarpać się jeszcze gwałtowniej. Zabijał ją. Pana Temple usłyszała pomruk zdumienia, jaki wydobył się z ust siedzącego obok niej umundurowanego mężczyzny - pomruk, któremu zawtórowała cała sala - i poczuła, jak wierci się na siedzeniu, jakby zamierzał wstać. Dokładnie przewidziawszy ten protest, mężczyzna na podium puścił swoją ofiarę. Kobieta zachwiała się, spazmatycznie łapiąc ustami powietrze, ale szybko się uspokoiła. I w ogóle nie zwracała uwagi na mężczyznę. Gdy mniej więcej po minucie odzyskała siły, znów stała spokojnie z nieobecny wyrazem twarzy, jakby wcale jej tu nie było.

Mężczyzna znów wymownie spojrzął na widownię i stanął za plecami kobiety. Szybkim ruchem zadarł jej tunikę i zdecydowanie wsunął pod nią rękę. Kobieta zeszywniała, poruszyła biodrami, a potem przygryzła wargę - poza tym jej twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Mężczyzna stał za nią, z ręką pod jej szatą. Nadal miał obojętną minę - jakby reperował zegar - gdy stojąca przed nim kobieta zaczęła dyszeć i lekko pochyliła się do

przodu, przenosząc ciężar ciała na palce stóp. Panna Temple bacznie to obserwowała - wiedząc, jak łatwy dostęp zapewniają te jedwabne majteczki i co on robi teraz palcami - jak zbliżający się szczyt rozkoszy powoli odzwierciedla się na twarzy kobiety: rozchylone w jęku usta, rumieniec schodzący aż na szyję, kurczowo zaciśnięte palce. Równie szybko jak poprzednio mężczyzna puścił ją i odsunął się, uprzednio otarłszy palce o jej szatę. Kobieta znów przyjęła niedbałą i obojętną pozę. Mężczyzna pstryknął palcami. Z cienia wyszedł drugi - panna Temple rozpoznała w nim jednego z tych dwóch buldogowatych, który niedawno ją eskortował - i wziął kobietę za rękę. Sprowadził ją z podium i oboje znikli w tunelu.

- Jak widać - odezwał się mężczyzna na podium - obiekt reaguje na bodźce i jest zadowolony ze swojej sytuacji. Takie są pierwsze efekty, którym towarzyszą występujące z różną intensywnością zawroty głowy, nudności oraz narkolepsja. Właśnie dlatego w tej pierwszej fazie nadzór - ochrona - ma istotne znaczenie.

Znów pstryknął i z drugiego tunelu wyłonił się buldogowaty, prowadząc ostatnią z trzech odzianych na biało kobiet. Prowadzona do postawnego mężczyzny na podium, szła zupełnie normalnie i dygnęła przed nim. Przejął ją od eskortującego (który opuścił podium), a gdy się wyprostowała, obrócił ją twarzą do widowni. Ponownie się skłoniła.

- Ta dama - ciągnął mężczyzna - była naszym obiektem przez trzy dni. Jak widzicie, zachowała pełną kontrolę nad swoim ciałem. Co więcej, została wyzwolona z pęt myśli. W ciągu tych trzech ostatnich dni rozpoczęła nowe życie.

Przerwał, chcąc, by te dramatyczne słowa zapadły widzom w pamięć, a potem podjął, z coraz wyraźniej słyszalną nutą suchej pogardy w głosie:

- Trzy dni temu ta kobieta - jak wiele innych i zapewne wiele obecnych tu dzisiaj - sądziła, że jest zakochana. Teraz, z naszą pomocą, stała się władczynią.

Umilkł i skinął na kobietę.

Gdy ta przemówiła, panna Temple rozpoznała niski głos kobiety w płaszczu z kołnierzem z piór. Mówiła tym samym tonem, jakim opowiadała o swojej przygodzie z dwoma mężczyznami w powozie, lecz chłodny dystans, jakim o sobie mówiła, zmroził pannie Temple krew.

- Nie potrafię powiedzieć, jaka byłam, gdyż równie dobrze mogłabym mówić o tym, jakim byłam dzieckiem. Tyle się zmieniło - tyle stało się jasne - że mogę mówić tylko o tym, jaką się stałam. To prawda, że uważałam się za zakochaną. Tak było, ponieważ nie potrafiłam wyrzeć zza murów, w których tkwiłam zamknięta, gdyż wierzyłam w swej uległości, że ta miłość mnie wyzwoli. Jak widziałam świat, który - jak sądziłam - tak dobrze rozumiałam?

Przez pryzmat bezsensownego związku, w którym widziałam ocalenie, zastępujące potrzebę jakiegokolwiek działania.

To, co uważałam za konsekwencje tego związku - pieniądze, pozycja, odpowiedzialność, przyjemności - teraz postrzegam jedynie jako część moich nieograniczonych możliwości. W ciągu tych trzech dni zdobyłam trzech nowych adoratorów, fundusze na nowe życie w Genewie i satysfakcjonującą pracę, o której... - tu uśmiechnęła się wstydliwie - ...nie wolno mi mówić. W trakcie tego udało mi się zdobyć i wydać więcej pieniędzy, niż ich posiadałam przez całe moje życie.

Skończyła mówić, skinęła głową widowni i cofnęła się o krok. Ponownie pojawił się buldog, wziął kobietę za rękę i powiodł w ciemność. Potężnie zbudowany mężczyzna odprowadził ich wzrokiem, po czym znów odwrócił się do widzów.

- Nie mogę podać szczegółów, tak jak nie jestem w stanie podać szczegółowych danych o kimkolwiek z was. Nie zamierzam przekonywać, lecz stwarzać okazję. Widzieliście przykłady różnych faz naszego procesu. Te dwie kobiety - jedna odmieniona trzy dni temu, druga tej nocy - przyjęły nasze zaproszenie, co przyniesie im wymierne korzyści. Trzecia... sami zobaczycie proces jej transformacji i podejmiecie decyzję. Musicie pamiętać, że drastyczność procedury dorównuje głębokości tej transformacji. Wasza uwaga - a także cisza na sali - to wszystko, o co proszę.

Z tymi słowami przyklęknął i podniósł jedną z drewnianych skrzyń. Podchodząc z nią do stołu, niedbale zerwał z niej wieko i odrzucił na bok. Upadło z trzaskiem. Zerknął na kobietę, która nerwowo przełknęła ślinę, po czym postawił skrzynię na stole, obok jej nogi. Wyciągnął grubą warstwę pomarańczowego filcu, rzucił go na podłogę, a potem zmarszczył brwi i włożył obie ręce do skrzyni, poprawiając coś lub podłączając. Zadowolony, wyjął coś, co zdaniem panny Temple wyglądało jak ogromne okulary o niewiarygodnie grubych szklach i oprawkach oblanych czarną gumą, z której wychodziły zwoje miedzianego drutu. Mężczyzna pochylił się nad kobietą, zasłaniając ją na chwilę, po czym zerwał jej maskę. Zanim ktoś zdołał zobaczyć jej twarz, założył jej ten dziwny aparat i mocno przytwierdził energicznymi ruchami rąk, czemu towarzyszyły konwulsyjne skurcze nóg kobiety. Cofnął się i stanął przy skrzyni. Kobieta ciężko dyszała, policzki miała mokre, a w dłoniach kurczowo zaciskała rękawy tuniki. Mężczyzna wyjął ze skrzyni przewód zakończony złowrogo wyglądającymi, zębatymi, metalowymi klamrami, po czym jedną z nich zacisnął na miedzianym drucie, a drugą na czymś w skrzyni, czego panna Temple nie mogła zobaczyć. Kiedy to robił, to coś w skrzyni zaczęło jarzyć się bladoniebieskim światłem. Kobieta wstrzymała oddech i jęknęła z bólu.

W tejże chwili panna Temple zrobiła to samo, czując, jak coś ostrego wbija się jej w kręgosłup między łopatkami. Gdy odwróciła głowę, zobaczyła, że kobieta w czerwieni już nie stoi w drzwiach. Poczowała na szyi jej oddech.

- Obawiam się, że musisz pójść ze mną.

\*

Gdy szły przez ciemną widownię, balkon i po schodach, kobieta ani na chwilę nie odrywała ostrza od jej pleców, udaremniając pannic Temple wszelkie próby wezwania pomocy, udawania omdlenia lub przerwania napastniczki przez balustradę. Kiedy znalazły się w szerokim marmurowym korytarzu, kobieta odsunęła się i włożyła rękę do kieszeni, lecz panna Temple zdążyła zobaczyć błysk metalu w jej palcach. Kobieta spojrzała na balkon, upewniając się, że nikt za nimi nie idzie, a potem kazała pannie Temple iść przodem w głąb domu. Panna Temple zrobiła to, łudząc się nadzieją, że napotka jakieś otwarte drzwi, w które będzie mogła wskoczyć, albo kogoś, kto jej pomoże. Wiedziała, że są tu inni goście, że wydarzenia w sali operacyjnej pozostają tajemnicą dla osób postronnych, biorących udział w znacznie liczniejszym przyjęciu. Gdyby tylko zdołała do nich dotrzeć, znalazłaby pomoc, była tego pewna. Minęły kilkoro zamkniętych drzwi, lecz kiedy panna Temple szła tędy poprzednio, całą jej uwagę zaprzętały ludzie wokół niej i oprócz tego niewiele zapamiętała - nie miała pojęcia, dokąd te drzwi prowadzą ani nawet czy przez jedno z nich tutaj weszła. Kobieta popychała ją mocno, ilekroć wyczuła choćby cień wahania. Przy pierwszym z tych brutalnych pchnięć panna Temple stwierdziła, że strach całkowicie wypiera urażoną dumę. Była przerażona tym, co może ją czekać i fakt, że dawała tak sobą poniewierać, najlepiej świadczył o tym, jak nisko upadła, w jak rozpaczliwym znalazła się położeniu. Przy drugim pchnięciu rosnący gniew szybko stłumiała świadomość własnej niemocy, broni w kieszeni złowrogiej prześladowczym oraz tego, że gdyby oskarżono ją o włamanie i kradzież, nie miałaby żadnych możliwości obrony. Mimo to przy trzecim pchnięciu wrodzona porywczność wzięła górę nad rozsądkiem. Panna Temple błyskawicznie odwróciła się i z całej siły wymierzyła cios w twarz prześladowczym. Kobieta odchyliła głowę do tyłu i cios nie sięgnął celu, a panna Temple potknęła się i z trudem odzyskała równowagę. Kobieta w czerwieni zachichotała irytująco i ponownie wyjęła dłoń z kieszeni. Miała na niej stalowy kastet z przytwierdzonym do niego krótkim ostrzem. Drugą ręką wskazała pobliskie drzwi - niczym nieróżniące się od innych na korytarzu.

- Tam możemy porozmawiać - rzekła.

Mierząc ją otwarcie wrogim spojrzeniem, panna Temple weszła do środka.

Był to następny apartament z meblami nakrytymi białymi pokrowcami. Kobieta w czerwieni zamknęła za sobą drzwi i popchnęła pannę Temple w kierunku sofy. Gdy panna Temple odwróciła się do niej, kobieta powiedziała zimno i obojętnie:

- Siadaj. - Z tymi słowami sama podeszła do masywnego fotela i usiadła, po czym wyjęła cygarniczkę i metalową papierośnicę. Spojrzała na pannę Temple, która nie ruszyła się z miejsca, i warknęła: - Siadaj, albo znajdę ci coś innego do siadania - raz po raz.

Panna Temple usiadła. Kobieta skończyła wkładać papierosa do lufki, wstała, podeszła do kinkietu i przypaliła, zaciągając się, a potem wróciła na fotel. Patrzyły na siebie.

\*

- Przetrzymujesz mnie wbrew mojej woli - powiedziała panna Temple w nadziei, że odważnie stawiając czoło, zdoła pokierować rozmową.

- Nie bądź śmieszna.

Kobieta zaciągnęła się, wydmuchnęła dym i strząsnęła popiół na dywan. Przyglądała się pannie Temple, która siedziała nieruchomo. Kobieta też się nie poruszyła. Zaciągnęła się jeszcze raz, a kiedy otworzyła usta, dym wyszedł z nich razem ze słowami:

- Zadam ci kilka pytań. Odpowiesz na nie. Nie bądź głupia. Jesteś sama.

Znacząco spojrzała na pannę Temple, a potem, jeszcze bardziej suchym i oskarżycielskim tonem, rozpoczęła prawdziwe przesłuchanie.

- Przybyłaś tu powozem, wraz z innymi.

- Tak. Widzisz, jestem z hotelu - odparła panna Temple.

- Nie, nie jesteś. Kłamstwa nic ci nie pomogą.

Kobieta zamilkła na chwilę, jakby obmyślała najlepszą linię przesłuchania. Panna Temple trzymała się dzielnie.

- Nie boję się ciebie.

- Głupota też w niczym ci nie pomoże. Przyjechałaś pociągiem. Skąd wiedziałaś, którym masz jechać? I gdzie wysiąść? Ktoś ci powiedział.

- Nikt mi nie powiedział.

- Oczywiście, że ktoś ci powiedział. Kim są twoi wspólnicy?

- Jestem zupełnie sama.

Kobieta zaśmiała się, krótko i pogardliwie.

- Gdybym w to uwierzyła, skończyłabym z tobą i wylądowałabyś głową w dół w wychodku. - Wygodnie rozsiadła się na fotelu. - Chcę usłyszeć nazwiska.

Panna Temple nie miała pojęcia, co powiedzieć. Gdyby po prostu wymyśliła jakieś nazwiska lub podała nazwiska osób niemających z tym wszystkim nic wspólnego, tylko

dowodłaby swojej ignorancji. Nie podając żadnych, ryzykowała jeszcze bardziej. Jedno kolano zaczęło jej drżeć. Najspokojniej jak mogła, położyła na nim dłoń.

- I co zyskałabym, gdybym je zdradziła?

- Życie - odparła kobieta. - Jeśli będę miła.

- Rozumiem.

- Zatem mów. Nazwiska. Zaczynij od swojego.

- Mogę najpierw zadać ci pytanie?

- Nie możesz.

Panna Temple zignorowała tę odpowiedź.

- Gdyby coś mi się stało, czy nie byłoby to dla moich współników decydującym dowodem charakteru waszej działalności?

Kobieta ponownie parsknęła śmiechem. Zaraz jednak odzyskała panowanie nad sobą.

- Przykro mi, to było prawie zabawne. Słucham, co mówiłaś? A może chcesz umrzeć?

\*

Panna Temple nabrała tchu i zaczęła łąć w żywe oczy.

- Isobel. Isobel Hastings. Kobieta uśmiechnęła się drwiąco.

Twój akcent jest... dziwny... może nawet udawany.

Ponieważ panna Temple niczego nie udawała, to stwierdzenie bardzo ją zirytowało.

- Jestem z północy.

- Jakiego kraju? Tego, oczywiście.

- Rozumiem... - Kobieta znów drwiąco się uśmiechnęła. - Komu służysz?

- Nie znam nazwisk. Otrzymałam listowne instrukcje.

- Jakie instrukcje?

- Dworzec Stropping, peron dwunasty, pociąg o osiemnastej dwadzieścia trzy, Orange Locks. Miałam odkryć prawdziwy cel przyjęcia i opisać wszystko, czego będę świadkiem.

- Komu?

- Nie wiem. Ktoś miał się ze mną skontaktować, kiedy wrócę na Stropping.

- Kto?

- Sam miał mnie odnaleźć. Nic nie wiem, więc niczego nie mogę wyjawić.

Kobieta westchnęła z irytacją, zdusiła papierosa na dywanie i zaczęła szukać w torbce następnego.

- Jesteś wykształcona. Nie jesteś zwykłą dziwką.

- Nie jestem.

- Zatem jesteś niezwykłą dziwką.

- Wcale nie jestem dziwką.

- Rozumiem - prychnęła kobieta. - Swoje wydatki opłacasz z tego, co zarobisz w sklepie. - Panna Temple milczała. - Zatem powiedz mi, ponieważ nie rozumiem, kim jesteś, żeby prowadzić tego rodzaju... śledztwo?

- Nikim. Dlatego mogę to robić.

- Ach...

To prawda.

- A jak zostałaś... zwerbowana?

- Poznałam w hotelu pewnego mężczyznę.

- Mężczyznę. - Kobieta znów uśmiechnęła się szyderczo. Panna Temple przyglądała się jej twarzy, notując w pamięci, jak jej lodowate bezdyskusyjne piękno ustawicznie zakłócają nieustanne grymasy sarkastycznej dezaprobaty, jakby świat sam w sobie był tak bezgranicznie marny, że nawet ta chodząca doskonałość nie mogła oprzeć się jego zepsuciu. - Jakiego mężczyznę?

- Nie znam go, jeśli o to pytasz.

- Może potrafisz go opisać.

Panna Temple gorączkowo szukała odpowiedzi i znalazła ją w swoich niespokojnych myślach. Przełożony Rogera, zastępca ministra spraw zagranicznych, pan Harald Crabbe.

- Ach... chwileczkę... raczej niski, dość elegancki, wręcz pedantyczny, siwe włosy, wąsy, lśniące buty, wyniosły, napuszony, złośliwe oczka, gruba żona... Nie żebym widziała jego żonę, ale czasem, chyba się zgodzisz, po prostu się to wic...

Kobieta w czerwieni przerwała jej.

- W jakim hotelu?

- Chyba Boniface.

Kobieta skrzywiła się pogardliwie.

- Jakie szacowne miejsce... Panna Temple mówiła dalej.

- Wypiliśmy herbatę. Zaproponował mi taką pracę. Przyjęłam ją.

- Za ile?

- Już mówiłam. Nie robię tego dla pieniędzy.

Po raz pierwszy panna Temple wyczuła, że kobieta w czerwieni jest zaskoczona. To było niezwykle przyjemne. Kobieta wstała i znów podeszła do kinkietu, by przypalić drugiego papierosa. Wróciła na miejsce nieco wolniej, jakby głośno myśląc.

- Widzę, że... wolisz... mieć wpływy?

- Chcę czegoś innego niż pieniądze.

- A cóż to takiego?

- To moja sprawa, szanowna pani, niemająca związku z tą rozmową.

\*

Kobieta drgnęła jak spoliczkowana. Właśnie miała znów usiąść w fotelu. Bardzo powoli wyprostowała się i stanęła niczym kat nad siedzącą panną Temple. Powiedziała krótko i zdecydowanie, jakby już podjęła decyzję i dalsze pytania były jedynie formalnością.

- Nie znasz nazwiska tego, kto cię tu przysłał?

- Nie.

- Nic masz pojęcia, z kim masz się spotkać?

- Nie.

- Ani co chcieli, żebyś tu odkryła?

- Nie.

- A co odkryłaś?

- Jakiś nowy lek, zapewne odurzający, podawany niczego niepodważającym kobietom i zmieniający je w bezwolne niewolnice zaspokajające zdeprawowane zachcianki.

- Rozumiem.

- Tak. I uważam, że ty jesteś najbardziej zdeprawowana z nich i wszystkich.

- Jestem pewna, że masz całkowitą rację, moja droga. Masz wszelkie powody, by być z siebie dumna. Farquhar!

To ostatnie słowo rzuciła niespodziewanie rozkazującym tonem w kierunku kąta pokoju zasłoniętego kotarą. Doleciał zza niej odgłos otwieranych drzwi i po chwili wyłonił się buldog, którymi niedawno eskortował pannę Temple. Twarz miał jeszcze bardziej zaczerwienioną i ocierał usta wierzchem dłoni.

- Mm? - wymamrotał, a potem z wysiłkiem przełknął i odkaszlnął. - Proszę pani?

- Ona nas opuszcza.

- Tak, proszę pani.

- Dyskretnie.

- Jak zawsze.

Kobieta spojrzała na pannę Temple i uśmiechnęła się.

- Uważaj. Ona ma swoje sekrety.

Nie mówiąc nic więcej, podeszła do drzwi i opuściła pokój. Mężczyzna zwany Farquharem obrócił się do panny Temple.

- Nie podoba mi się ten pokój - powiedział. - Chodźmy gdzieś indziej.

\*

Drzwi za kotarą zaprowadziły ich do kuchennego pomieszczenia z gołą podłogą, kilkoma długimi stołami oraz wanną z lodem. Na jednym ze stołów stał półmisek z napoczętą szynką, a na drugim rząd otwartych butelek rozmaitych kształtów. Wokół unosił się zapach alkoholu. Farquhar wskazał pannie Temple jedyne siedzące miejsce, zwykle twarde drewniane krzesło z wysokim oparciem i bez podłokietników. Kiedy usiadła, poszedł do półmiska i leżącym tam nożem ukroił sobie gruby kawał różowego mięsa, po czym nabił go na czubek noża i wetknął sobie do ust. Oparł się o stół i przyglądał jej się, żując. Po chwili podszedł do drugiego stołu i wzięwszy butelkę z ciemnobrązowego szkła, przytknął ją do ust i napił się. Wypuścił powietrze i otarł wargi. Odsapnąwszy, pił dalej, pociągając trzy tęgie łyki. Odstawił butelkę na stół i zakaszłał.

Drzwi w drugim końcu pokoju otworzyły się i wszedł drugi buldogowaty, też z butelką.

- Widziałeś? - zapytał od progu.
- Co? - mruknął w odpowiedzi Farquhar.
- Faceta w czerwonej masce. Węszył tu.
- Gdzie?
- W ogrodzie?

Farquhar ściągnął brwi i znów napił się z ciemnobrązowej butelki.

- Widziano go w głównej sali - dodał ten drugi.
- Kto to taki?
- Nie wiedzą.
- To może być każdy.
- Na to wygląda.

Farquhar znów upił kilka łyków i odstawił butelkę. Ruchem głowy wskazał pannę Temple.

- Mamy ją zabrać.
- Wywieźć?
- Dyskretnie.
- Teraz?
- Tak sędzę. Nadal są zajęci?
- Chyba tak. Jak długo to trwa?
- Nie mam pojęcia. Jadłem.

Mężczyzna w drzwiach zmarszczył nos, zerkając na stół.

- Co to?

- Szynka.

- Pytam o napitek. Co to?

- To... to... - Farquhar odszukał butelkę i powąchał. - Korzenny. Smakuje jak... sam nie wiem... goździki? Ma smak goździków. I pieprzu.

- Po goździkach wymiotuję mruknął mężczyzna w drzwiach. Spojrzał przez ramię, a potem znów w głąb pokoju. - W porządku, czysto.

Farquhar pstryknął na pannę Temple, która zrozumiała, że w ten sposób dał jej znać, iż powinna wstać i podejść do otwartych drzwi, co też zrobiła, a Farquhar ruszył za nią. Drugi mężczyzna wziął ją za rękę i uśmiechnął się. Zęby miał żółte jak ser.

- Nazywam się Spragg - powiedział. - Wyjdziemy po cichu. Kiwnęła głową na zgodę, przywierając wzrokiem do gorsu jego białej koszuli, splamionej kroplami jasnoczerwonej krwi. Czyżby niedawno się golił? Odwróciła wzrok i drgnęła, gdy Farquhar złapał ją za drugą rękę. Obaj mężczyźni spojrzeli na siebie ponad jej głową i zaczęli iść, mocno ją trzymając.

Poszli prosto do podwójnych szklanych drzwi zasłoniętych jasną kotarą. Spragg otworzył je i wyszli na dziedziniec. Żwir chrząścił im pod nogami. Zrobiło się zimno. Nie było gwiazd ani księżycy, lecz w poświacie sączącej się z okien budynku wyraźnie widzieli alejkę wijącą się wśród krzewów, posągów i wielkich kamiennych urn. Pannie Temple wydawało się, że za nimi, w drugim skrzydle budynku, dostrzega poruszające się - zapewne tańczące - postacie i słyszy słabe dźwięki orkiestry. Zapewne bawiła się tam reszta towarzystwa, czyli większość gości. Gdyby tylko zdołała się wyrwać i tam dobiec... Wiedziała jednak, że choć zapewne udałoby jej się nadepnąć na palce jednemu z buldogowatych, to nie mogła zrobić tego obu jednocześnie. Jakby czytając w jej myślach, obaj mocniej ścisnęli jej dłonie.

Poprowadzili ją w kierunku wąskiego i ciemnego przejścia, łączącego oba skrzydła budynku, dla ogrodników lub innej służby niemającej wstępu do domu. Pozwoliło im z daleka ominąć główną salę, jak również frontowe drzwi, bo gdy wyszli po drugiej stronie, panna Temple ujrzała rozległy brukowany dziedziniec, na którym czekały powozy i na który - wydawało się, że tak dawno - tu przybyła.

Zwróciła się do Farquhara:

- Cóż, dziękuję wam i przepraszam za kłopot... - Jednak jej próby uwolnienia rąk okazały się bezowocne. Spragg podsunął Farquharowi do przytrzymania jej prawą dłoń i poszedł tam, gdzie kilku woźniców kuliło się przy kociołku z węglami. - Odjadę - upierała się panna Temple. - Wynajmę dorożkę i odjadę, obiecuję!

Farquhar nie odpowiadał, obserwując Spragga. Po krótkich negocjacjach Spragg odwrócił się, wskazał elegancki czarny powóz i zaczął iść w jego stronę. Farquhar pociągnął tam pannę Temple i spojrzał na pusty kozioł.

- Kto na górze? - zapytał.

- Twoja kolej - odparł Spragg.

- Wcale nie.

- Ja powoziłem do Packington.

Farquhar nic nie powiedział, po czym z niechętnym pomrukiem wskazał drzwi powozu.

- No to wsiadajcie.

Spragg zachichotał. Otworzył drzwi, wdrapał się do środka wyciągnął potężne łapska po pannę Temple. Farquhar znów prychnął i podniósł ją, jakby ważyła tyle co nic. Gdy silne palce Spragga zacisnęły się najpierw na jej rękach, a potem na ramionach, panna Temple zobaczyła, że jej płaszcz rozchyła się szeroko, ukazując im w całej okazałości jej jedwabną bieliznę. Spragg rzucił ją na siedzenie naprzeciwko. Upadła niezgrabnie, z szeroko rozłożonymi nogami, rozpaczliwie usiłując się czegoś złapać. Oni wciąż gapili się na nią, gdy szczelnie otulała się płaszczem. Potem popatrzyli na siebie.

- Dojedziemy tam dość szybko - rzucił Farquhar do Spragga. Ten tylko wzruszył ramionami, z nieprzekonująco obojętną miną. Farquhar zamknął drzwi powozu. Spragg i panna Temple patrzyli na siebie w milczeniu. Po chwili powóz zakołysał się pod ciężarem Farquhara wspinającego się na kozioł, a po kolejnej ruszył z miejsca.

\*

- Słyszałem, że wspomniał pan o Packington - powiedziała panna Temple. - Jeśli to możliwe, proszę wysadzić mnie na tej stacji, bo tam bez trudu złapię jakiś pociąg.

- No, no - uśmiechnął się Spragg - ona umie słuchać.

- Nie można powiedzieć, żebyście szeptali - odcięła się panna Temple, której nie spodobał się ton jego głosu, a prawdę mówiąc, cały ten Spragg. Była zła na siebie, że nie zdołała przytrzymać płaszcza przy wsiadaniu do powozu. Spragg bezwstydnie rozbierał ją wzrokiem. - Przestań się na mnie gapić - warknęła w końcu.

- Komu to przeszkadza? - Zachichotał. - Widziałem cię już, wiesz.

- Tak, ja też pana widziałam.

- Jeszcze wcześniej.

- Kiedy?

Spragg wygrzebał trochę brudu spod paznokcia kciuka.

- Czy wiedziałaś - zapytał - że w Holandii wymyślili szkło, które z jednej strony wygląda jak lustro, a z drugiej jak zwykła szyba?

- Naprawdę? Istotnie, trudno wymyślić coś sprytniejszego.

- Też tak sędzę.

Spragg uśmiechnął się jeszcze szerzej, z satysfakcją, jeśli nie otwartą złośliwością. Panna Temple pobladła. Lustro, przed którym się przebierała, zakładała maskę z piór i oblizywała wargi jak zwierzę. Przez cały czas ją obserwowali, oglądali ją razem, jak egipską tancerkę z wodewilu.

- Panie, ależ tu gorąco - wykrztusił Spragg, tarmosząc kołnierzyk.

- Mnie tam jest raczej chłodno.

- Może chcesz się napić na rozgrzewkę?

- Nie, dziękuję. Mogę pana o coś spytać?

Spragg z roztargnieniem kiwnął głową, szukając piersiówki w kieszeni płaszcza. Kiedy usiadł wygodniej i odkręcił zakrętkę, panna Temple poczuła, że powóz się przechyla. Zjechali z kocich łbów na lepiej wybrukowaną drogę, która zapewne wiodła do granicy posiadłości. Spragg pił, głośno wypuszczając powietrze i ocierając usta pomiędzy kolejnymi łykami. Panna Temple nie rezygnowała.

- Zastanawiałam się... czy pan zna... czy może mi pan coś powiedzieć o tych trzech kobietach.

Zaśmiał się chrapliwie.

- Czy wiesz, nad czym ja się zastanawiam?

Nie odpowiedziała. Zaśmiał się znowu i nachylił do niej.

- Zastanawiam się... - zaczął i położył dłoń na jej kolanie. Zrzuciła ją. Spragg gwizdnął i pomachał ręką, jakby go zapiekła. Usiadł prosto, pociągnął następny łyk z piersiówki i schował ją do kieszeni płaszcza. Strzelił palcami. Za oknem powozu było ciemno. Panna Temple wiedziała, że znalazła się w niebezpieczeństwie. Musi działać ostrożnie.

- Panie Spragg - zaczęła - nie jestem pewna, czy dobrze się rozumiemy. Wprawdzie dzielimy powóz, ale co tak naprawdę o sobie wiemy? O korzyściach, jakie mogę zaproponować, a które, co zaznaczam, mogą pozostać tajemnicą dla innych zainteresowanych. Mówię o pieniądzach, panie Spragg, i o informacjach, a ponadto, i owszem, nawet o awansie. Sądzi pan, że jestem zabłąkaną dziewczyną bez żadnych sprzymierzeńców. Zapewniam pana, że tak nie jest, i w istocie to pan bardziej potrzebuje mojego wsparcia.

Spragg odpowiedział beznamiętnym spojrzeniem, nieruchomym jak ryby na talerzu. Nagle skoczył przez dzielącą ich przestrzeń i przygniótł pannę Temple do siedzenia. Złapał obie jej ręce i ciężkim tułowiem zablokował wierzgające nogi, przyciskając je tak, że nie mogła go kopnąć. Stęknęła i spróbowała go odepchnąć. Był bardzo silny i ciężki. Gwałtownym szarpnięciem poprawił chwyt tak, że jedną szeroką dłońią trzymał obie jej ręce, a wolną ręką rozerwał zapięcie jej płaszcza i zdarł go z niej. Zaczął ją obmacywać tak, jak nikt jeszcze jej nie dotykał, z gwałtowną żądzą miętosząc piersi, szyję, brzuch. Jego brutalny atak był tak nagły, że zrozumienie przyszło dopiero po chwili, po skurczach bólu. Odpychała go ze wszystkich sił z tak rozpaczliwym wysiłkiem, że zaczęła sapać i spazmatycznie łapać ustami powietrze. Nie miała pojęcia, że potrafi tak walczyć, a mimo to nie była w stanie go zrzucić. Przysunął usta do jej warg, więc odwróciła głowę i jego broda podrapała jej policzek, a zapach whisky nagle stał się wprost duszący. Spragg znów zmienił pozycję, wciskając się między jej nogi. Wolną ręką chwycił za kostkę i brutalnym szarpnięciem podniósł tak, że jej kolano znalazło się pod brodą. Puścił nogę, starając się unieruchomić ją ramieniem i opuścił dłoń między jej uda, rozchylając halki. Pana Temple zawyła z wściekłości, szamocząc się. Jego palce rozdarły jedwabne majteczki, na oślep dotykając delikatnego ciała, wciskając się, drapiąc ją ostrymi paznokciami. Jęknęła z bólu. Zachichotał i mokrym językiem polizał jej szyję.

Poczuła, że ją puścił i po ruchach ramienia odgadła, że zajął się czymś innym - rozpinaniem swojego ubrania. Wyprężyła się, próbując go zrzucić. Zaśmiał się - zaśmiał! - po czym puścił jej nadgarstki i złapał ją za gardło. Miała wolne ręce. Dusił ją. Drugą rękę znów wepchnął między jej uda, rozchylając je. Przywarł do niej. W tym momencie panna Temple z przedziwną jasnością umysłu uświadomiła sobie, że na przyciśniętej do piersi nodze ma zielony but, a w nim zatemperowany kopiowy ołówek. Był w zasięgu jej ręki. Rozpaczliwie po niego sięgnęła. Spragg lekko odchylił się do tyłu, z satysfakcją spoglądając na ofiarę, na ich ciała - jedną ręką ją dusił, a drugą rozchylał jej uda. Już miał się na nią rzucić, gdy wbiła ołówek głęboko w bok jego szyi.

Spragg otworzył usta ze zdziwienia, aż zadrgały mu mięśnie na policzkach. Poczzerwieniał. Panna Temple wciąż ścisnęła ołówek, więc wyrwała go, szykując się do następnego ciosu. Jednak z rany trysnął pulsujący strumień krwi, który opryskał ją i ściany powozu. Pochylony nad nią Spragg sapnął, jęknął, zeszywniał i zaczął podrygiwać jak marionetka. Odepchnęła go kopniakiem i jednocześnie uświadomiła sobie, że krzyczy. Wszystko było mokre i lepkie od krwi, która zalała jej oczy. Spragg z głuchym łoskotem

upadł między siedzenia. Podrygiwał jeszcze przez chwilę, po czym znieruchomiał. Panna Temple trzymała ołówek, ciężko dysząc, mrugając gwałtownie, cała zakrwawiona.

Podniosła głowę. Powóz stanął. Jęknęła ze strachu. Usłyszała wyraźny chrzęst żwiru, gdy Farquhar zeskoczył z kozła. Nagle coś przyszło jej do głowy. Rzuciła się na bezwładnego Spragga i zaczęła obmacywać jego płaszcz, próbując zlokalizować kieszenie, mając nadzieję, że ma nóż, pistolet albo inną broń. Za plecami usłyszała zgrzyt obracanej klamki. Odwróciła się, odbiła obiema nogami i skoczyła naprzód dokładnie w chwili, gdy Farquhar otwierał drzwi powozu. Z impetem uderzyła go w pierś i wrzeszcząc, zadała cios ołówkiem. Instynktownie podniósł ręce, usiłując ją złapać, lecz nie zdążył i dźgnęła go w twarz. Koniec ołówka głęboko rozorał policzek Farquhara, pozostawiając paskudną szarpaną ranę, po czym się złamał. Mężczyzna zawył i odepchnął pannę Temple. Ciężko upadła na ziemię i potoczyła się tak, że zaparło jej dech i zapiekły ją otarte na żwirze kolana oraz przedramiona. Za plecami słyszała wycie Farquhara, przerywane nieartykułowanymi przekleństwami. Podniosła się na czworaki. Spojrzała na ułamany ołówek w swojej dłoni i z wysiłkiem go wypuściła. Palce miała dziwnie zeszywniałe. Poruszała się zbyt wolno. Powinna uciekać. Znów spojrzała na Farquhara. Bok jego twarzy zdawał się pęknięty na pół: dolna połowa była ciemna i wilgotna, górna niemal obscenicznie biała. Zamilkł. Zajrzał do powozu.

\*

Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął czarny rewolwer. Drugą ręką wyłowił chusteczkę, machnięciem rozwinął ją w powietrzu i przycisnął do twarzy, krzywiąc się przy tym. Kiedy przemówił, w jego głosie słychać było ból.

- A niech cię szlag... Niech cię szlag trafi. - Zaatakował mnie - powiedziała ochryłym głosem panna Temple.

Patrzyli na siebie.

Bardzo ostrożnie przeniosła ciężar ciała tak, żeby się podnieść i kucnąć. Twarz miała mokrą i wciąż musiała mrugać. Otarła oczy. Farquhar się nie poruszył. Stała, co przychodziło jej z pewnym wysiłkiem. Cała była obolała. Spojrzała na siebie. Podarta i w znacznej mierze mokra od krwi bielizna była w strzępach i lepiała się do jej ciała. Panna Temple równie dobrze mogłaby być naga. Farquhar wciąż się na nią gapił.

- Zamierzasz mnie zastrzelić? - zapytała. - Czy ciebie też mam zabić?

Rozejrzała się. Tuż przed nią leżał na ziemi spory kamień, chyba dwukrotnie większy od jej pięści. Pochyliła się i podniosła go.

- Rzuć to! - syknął Farquhar, celując w nią.

- Zastrzel mnie - odparła panna Temple.

Cisnęła kamieniem, mierząc w jego głowę. Pisanął, zaskoczony, i strzelił. Poczula piekące smagnięcie w skroń. Kamień przeleciał obok Farquhara i z trzaskiem uderzył w bok powozu. Ten odgłos, połączony z hukem wystrzału, spłoszył konie. Otwarte drzwi powozu uderzyły Farquhara w potylicę. Stracił równowagę i zatoczył się wprost pod koło. Zanim panna Temple zdołała pojąć, co się dzieje, koło podcięło mu nogi i z wrzaskiem runął na bruk. Powóz z ohydny chrzęstem przejechał po ciele Farquhara, który znieruchomiał w nienaturalnej pozycji. Pojazd pomknął w mrok, znikając jej z oczu.

Panna Temple osunęła się na ziemię. Spojrzała na jednolicie czarne niebo tchnące chłodem. Kręciło jej się w głowie. Nie miała pojęcia, ile upłynęło czasu. Poruszyła się z trudem, odwróciła na brzuch. Zwymiotowała.

Po następnej, nie wiadomo jak długiej chwili podniosła się na czworaki. Drżała, była obolała i oszołomiona. Dotknęła skroni i ze zdziwieniem stwierdziła, że nie ma już maski. Musiała spaść w powozie. Dotknęła palcami pręgi nad uchem, pozostawionej przez kulę Farquhara. Gdy jej dotknęła, żołądek znów podszedł jej do gardła. Włosy miała lepkie. Poczula zapach krwi. Nigdy nie widziała tyle krwi w tak krótkim czasie, nie wiedziała, że ma taki zapach. Nie wyobrażała sobie, że kiedykolwiek zdoła go zapomnieć. Otarła usta i splunęła.

Farquhar nadal się nie ruszał. Podeszła do niego na czworakach. Leżał nienaturalnie wykręcony i miał sine wargi. Panna Temple z trudem zdjęła z niego płaszcz, który był dostatecznie długi, żeby ją okryć. Odszukała rewolwer i wepchnęła go do kieszeni, po czym ruszyła drogą.

\*

Minęła godzina, zanim dotarła na stację Orange Locks. Zataczając się, zeszła z drogi i kuliła się na poboczu, żeby nie dostrzeżono jej z powozu nadjeżdżającego od strony wielkiego domu. Nie miała pojęcia, kto w nim jedzie, ani ochoty, by to sprawdzić. Peron był pusty, co dało jej nadzieję, że pociąg nadal kursuje, gdyż podróżni z tych dwóch powozów odjechali. W pierwszej chwili zapagnęła schować się gdzieś i poczekać na pociąg, więc skuliła się w ciemnym kącie za budynkiem stacji. Jednak oczy wciąż same jej się zamykały. Obawiając się, że prześpi pociąg lub zostanie we śnie zaskoczona przez wrogów, zmusiła się do czekania na stojąco, mimo że ledwo trzymała się na nogach.

Minęła kolejna godzina i nie nadjechał żaden powóz. Usłyszała gwizd pociągu, zanim zobaczyła jego światła. Pospieszyła na peron, machając rękami. Stopnie opuścił inny konduktor, otwarcie gapiąc się na nią, gdy wspinała się po nich do wagonu. Wpadła na korytarz i schyliła się, by wydobyć pieniądze ukryte w drugim bucie. Odwróciła się do

konduktora i wcisnęła mu w dłoń banknot o nominale dwukrotnie wyższym niż opłata za przejazd, gdyż swój bilet straciła razem z płaszczem i suknią. Wciąż się na nią gapił. Bez słowa poszła korytarzem na tył pociągu.

Wszystkie przedziały były puste, oprócz jednego. Panna Temple zajrzała doń i przystanęła, widząc wysokiego, nieogolonego mężczyznę o tłustych włosach, który nosił okulary o ciemnych okrągłych szklach, jakby był niewidomy. Jego równie brudny płaszcz był czerwony, tak samo jak spodnie i rękawiczki, które trzymał w jednej ręce. W drugiej miał cienką książeczkę. Na siedzeniu obok niego, na rozłożonej chusteczce leżała otwarta brzytwa. Oderwał wzrok od książki. Skinęła mu głową, ledwie dostrzegalnie dygając. Skłonił się w odpowiedzi. Wiedziała, że ma zakrwawioną twarz i ubranie w strzępach, a jednak jakoś zrozumiał, że ma przed sobą kogoś innego, niż się wydaje. A może ten wygląd oddawał jej prawdziwą naturę? Mężczyzna uśmiechnął się nieznacznie. Zastanawiała się, czy zasnęła na stojąco i to jej się śni. Ponownie skinęła głową i poszła do innego przedziału.

Panna Temple drzemała z rewolwerem w dłoni, aż pociąg dojechał do Stopping - wczesnym rankiem, gdy niebo wciąż jeszcze było ciemne. Nigdzie nie widziała ubranego na czerwono mężczyzny ani nikogo wyglądającego znajomo. Musiała trzykrotnie przepłacić za dorożkę do hotelu Boni face, a potem stukać w szklane drzwi, zanim ją wpuszczono. Wyjaśniwszy personelowi, kim jest, i dostawszy się do środka - widząc pobladłe twarze, wytrzeszczone oczy i rozdziawione usta - nie powiedziała już ani słowa i szczelnie opatulona płaszczem, poszła prosto do swojego apartamentu. W pokojach było ciepło, cicho i ciemno. Panna Temple chwiejnie przeszła obok zamkniętych drzwi służących i śpiącej ciotki do swojej sypialni. Resztkami sił zrzuciła płaszcz na podłogę, zdarła zakrwawione łachmany i wgramoliła się do łóżka nago, w samych tylko zielonych butach. Spała jak kamień przez szesnaście godzin.

## 2

### **Kardynał**

Nazywano go Kardynałem ze względu na zwyczaj noszenia czerwonego skózanego płaszcza, który ukradł z garderoby wędrownego teatru. Była zima i wziął go, ponieważ oprócz płaszcza strój składał się z butów i rękawiczek, a w tym momencie brakowało mu wszystkich trzech części ubrania. Buty i rękawiczki już dawno się zdarły i zostały zastąpione innymi, ale płaszcz przetrwał, choć noszony w każdą pogodę. Chociaż niewielu przedstawicieli jego profesji chciało wyróżniać się w jakikolwiek sposób, on przekonał się, że ci, którzy próbowali go odszukać - aby go zatrudnić lub ukarać - znaleźliby go nawet, gdyby

nosił najzwyczajniejsze ubranie z szarej wełny. Co do przydomka, aczkolwiek ironiczny i drwiący, w istocie dodawał nieco misyjnego blasku - zważywszy na to, że jego życie było nieustannym pasmem zmagania z losem - jego jednoosobowemu wędrownemu Kościołowi, a chociaż Kardynał w głębi serca wiedział, że (tak jak wszyscy) w końcu musi przegrać, ten bezzasadny tytuł sprawiał, że pędził dni, nie czując się jak zwierzę tuczone na rzeź.

Nazywano go Changiem z zupełnie innych powodów, chociaż równie ironicznie i drwiąco. Jako młody człowiek został mocno smagnięty batem w nasadę nosa i oczy. Przez trzy tygodnie nic nie widział, a kiedy w końcu odzyskał wzrok i przejrzał na oczy na tyle, na ile kiedykolwiek miał przejrzeć, w lustrze powitały go blizny ciągnące się od kącików oczu, jakby ktoś nożem zmienił jego twarz w dziecinną karykaturę złowrogiego, skośnookiego Chińczyka. Od tej pory jego oczy były bardzo wrażliwe na światło i szybko się męczyły. Lektura każdego tekstu dłuższego niż strona gazety wywoływała ból głowy, który - o czym wielokrotnie się przekonał - mógł ukoić jedynie głęboki narkotyczny sen lub, przy braku opiatów, spora ilość alkoholu. Dlatego zawsze nosił okulary z okrągłymi przydymionymi szklami.

Stopniowo przyzwyczał się do tych przydomków, najpierw używanych przez innych, a w końcu sam zaczął się nimi posługiwać. Aż nazbyt dobrze pamiętał drwiące komentarze, kiedy po raz pierwszy odparł „Chang”, zapytany o nazwisko w izbie chorych, gdzie przez wiele dni czekał na odzyskanie wzroku (dlatego temu przydomkowi zawsze towarzyszył gorzki uśmiech), lecz nawet te skojarzenia zdawały się bardziej realne - ważniejsze od pamięci - niż wcześniejsza tożsamość, obarczona poczuciem klęski i straty. Co więcej, te przydomki były teraz częścią jego zawodu. Reszta była niczym odległe latarnie morskie podczas morskiej podróży, pozostałe w przeszłości i niepotrzebne.

Uderzenie bata uszkodziło również wnętrze nosa i Kardynał miał słaby węch. Zdawał sobie sprawę z tego, że wynajmowany przez niego pokój jest gorszy, niż na to wygląda, gdyż widział znajdujące się w pobliżu ścieki i logika podpowiadała mu, że ściany i podłoga przesiąkły cuchnącym powietrzem otoczenia. Jednak to mu nie przeszkadzało. Pokój na poddaszu był tani, zapewniał dyskrecję oraz dostęp na dach i - co ważniejsze - znajdował się w pobliżu wielkiej biblioteki. Jeśli chodzi o własny zapach, to zadowalał się cotygodniowymi wizytami w łaźni tureckiej opodal Seventh Bridge, gdzie para koła jego zawsze przekrwione oczy.

Kardynał Chang był częstym gościem biblioteki. Uważał, że to wiedza daje mu przewagę nad rywalami - każdy może być bezlitosny - lecz słaby wzrok nie pozwalał mu na długie godziny lektury. Tak więc zaprzyjaźniał się z bibliotekarzami, prowadząc z nimi długie

rozmowy o ich obowiązkach - gromadzeniu księgozbiorów, organizacji, planach zakupów. Spokojnie, lecz niestrudzenie zgłębiał te tematy, tak że w końcu - dzięki dobrej pamięci i systemowi skojarzeń - zdołał wyszukać co najmniej trzy czwarte potrzebnych mu wiadomości, nie czytając ani słowa. W rezultacie, chociaż odwiedzał marmurowe sale biblioteki niemal codziennie, Kardynała Changa najczęściej widywano przechadzającego się w zadumie po korytarzach, przeglądającego w myślach księgozbiory lub wymieniającego uprzejme słowa z wyblakłymi, choć zawodowo uprzejmymi archiwistami, na temat nowej książki z dziedziny genealogii, do której być może będzie musiał później zajrzeć.

Przed incydem z batem i młodym arystokratą, który go użył, Chang był ubogim studentem, co oznaczało, że nie przejmował się biedą, a potrzeby, wówczas z konieczności, a teraz z przyzwyczajenia, miał niewielkie. Chociaż całkowicie porzucił tamto życie, jego codzienny rytm wywarł na nim piętno i tydzień pracy dzielił w iście spartański sposób na rutynowe wizyty w bibliotece, kawiarni, u klientów, wycieczki na ich zlecenie, łaźnię, palarnię opium, burdel i egzekwowanie rachunków, co często było związane z odwiedzinami u byłych klientów w zupełnie innym (dla nich) charakterze. Był to niezwykle aktywny tryb życia, przerywany okresami pozornej beczynności, wypełnionymi rozmyślaniami, głębokim snem, narkotycznymi majakami i niczym.

Jednak poza tymi chwilami aktywności jego umysł nie znajdował spokoju. Jednym ze źródeł przynoszących ukojenie była poezja - im nowocześniejsza, tym lepiej, gdyż zwykle oznaczało to krótszy tekst. Odkrył, że starannie racjonując sobie liczbę czytanych wersów i zamykając oczy, żeby je przemyśleć, jest w stanie w miarowym choć niespiesznym Temple przebrnąć przez cienki tomik. Właśnie zajmował się tym, czytając w pociągu fragmenty *Persefony* w nowym przekładzie Lyncha (znalezione w jakichś dotychczas niesplądrowanych ruinach w Salonikach), gdy podniósł głowę i ujrzał tę kobietę. Uśmiechnął się na myśl o tym, leżąc teraz bezsennie na pryczy, ponieważ słowa, które w tym momencie czytał o *udręczonej księżniczce/tej okropnej oblubienicy*, wydawały się dokładnie opisywać stworzenie, które stało przed nim. Brudny płaszcz, umazana krwią twarz, włosy brudne i w strąkach, przeszywające szare oczy - połączenie takiego piękna z zaniedbaniem wywarło na nim ogromne wrażenie, wprost obezwładniające. Wtedy postanowił nie iść za nią, tylko zachować to zdarzenie w pamięci, lecz teraz zastanawiał się, jak ją odnaleźć, wspominając (z budzącą się; namiętnością) ślady łez na jej brudnych policzkach. Po namyśle Chang zdecydował, że zapyta w burdelu - ktoś z pewnością będzie w stanie opowiedzieć mu coś o nowej dziwce umazanej krwią.

\*

Przyćmione światło wpadające przez okno powiedziało mu, że spał dłużej niż zwykle. Wstał i umył twarz w umywalce. Energicznie wytarł się starym ręcznikiem i zdecydował, że wytrzyma jeszcze jeden dzień bez golenia. Po chwili wahania postanowił przepłukać dziąsła łykiem wody z solą, wypluł ją do nocnika, wysikał się, a potem przeganiał włosy palcami, zastępującymi grzebień. Ubranie z poprzedniego dnia było jeszcze dość czyste. Ubrał się, zawiązał krawat, do jednej kieszeni wepchnął brzytwę, a do drugiej cienki tomik *Persefony*. Założył okulary, odprężył się, gdy nawet ten słaby blask dnia ściemniał, a potem wziął ciężką laskę z metalową gałką i zamknął za sobą drzwi.

Dopiero minęło południe, ale wąskie uliczki były puste. Changa to zdziwiło. Przed laty ta dzielnica była elegancka i nad rzeką wyrosły długie rzędy sześciopiętrowych rezydencji, lecz nasilający się rzeczny odór, mgła sprzyjająca przestępcom, jak również rozwój miasta w innym, pełnym wypielęgnowanych parków kierunku sprawił, że rezydencje posprzedawano i każdą z nich podzielono na milion pokoiów, wciskając brzydkie niemalowane ściany między niegdyś kunsztowne sztukaterie i dając schronienie zupełnie innej kaście lokatorów - między innymi tak mało szacownych jak on. Chang zszedł nieco ze swej trasy na północ, żeby kupić poranną gazetę, którą, nie czytając, wepchnął pod pachę, i poszedł z powrotem w kierunku rzeki. Raton Marinę była niegdyś tawerną - i nadal funkcjonowała jako taka - lecz za dnia podawano tu kawę, herbatę i gorącą czekoladę. W ten sposób zwiększyła swoją użyteczność jako miejsce spotkań, będąc jednocześnie dyskretnym i publicznym miejscem, gdzie ludzie przesiadywali, szukając lub oczekując kogoś.

Kardynał usiadł przy stoliku w głównej sali, daleko od przejścia, po czym zamówił filiżankę najciemniejszej i najbardziej gorzkiej południowoamerykańskiej czekolady. Tego ranka nie chciał z nikim rozmawiać, przynajmniej nie teraz. Chciał przeczytać gazetę, co miało trochę potrwać. Rozłożył ją na stole i zmrużył oczy, tak że widział tylko największe litery pierwszej strony, oszczędzając oczom trudu czytania niechcianego tekstu. W ten sposób przejrzał tytuły, szybko przesuując wzrokiem po międzynarodowych tragediach i krajowych skandalach, kaprysach pogody, chorobach i problemach finansowych. Przetarł oczy i upił łyk czekolady. Jego gardło protestowało przeciwko jej gorzkiemu smakowi, lecz napój wyostrzył mu zmysły. Chang wrócił do lektury, przechodząc do dalszych stron, z trudem odczytując mniejsze litery, aż znalazł to, czego szukał. Pociągnął następny łyk wzmacniającego napoju i zagłębił się w napisany drobnymi literami tekst.

BOHATER REGIMENTU ZAGINAŁ

Pułkownik Arthur Trapping, dowódca 4. regimentu dragonów, wielokrotnie odznaczony bohater walk pod Franck's Redoubt i Rockraal Falls, znikł dzisiaj w tajemniczych okolicznościach. Nieobecność pułkownika odnotowano zarówno w kwaterze regimentu, jak i jego mieszkaniu przy Hadrian Square w chwili, gdy 4. regimentowi dragonów formalnie nadano nazwę „Książęcego” i przydzielono nowe obowiązki gwardii pałacowej, eskorty ministerialnej i kompanii honorowej. Podczas tej uroczystości pułkownika Trappinga zastąpił podpułkownik Noland Aspiche, który został mianowany dowódcą przez diuka Staelmaere, w obecności przedstawicieli pałacu. Pomimo obaw wyrażanych w najwyższych kręgach władze nie zdołały ustalić miejsca pobytu...

Chang przerwał lekturę i przetarł oczy. Dowiedział się wszystkiego, co chciał wiedzieć - lub co mógł ustalić w tym momencie. Albo ukrywano prawdę, albo rzeczywiście nie znano faktów. Nie wierzył, by poczynania Trappinga były owiane tak głęboką tajemnicą - w końcu sam śledził go bez trudu - lecz od tamtej chwili mogło wydarzyć się wiele rzeczy, zmieniających pozornie bezdyskusyjne fakty. Westchnął. Chociaż jego udział w tej sprawie powinien już się zakończyć, stało się bardziej prawdopodobne, że to zaledwie początek. Wszystko zależało od klienta.

Już miał przewrócić kartkę, gdy jego uwagę przykuł inny nagłówek. Jakiś ziemianin - lord Tarr, o którym nigdy nie słyszał - został zamordowany. Chang rzucił okiem na tekst i dowiedział się, że słabowity Tarr został znaleziony w swoim ogrodzie, w nocnej koszuli i z rozszarpanym gardłem. Aczkolwiek mogło go zaatakować jakieś zwierzę, podejrzewano, że rana została brutalnie powiększona, aby zamaskować głęboką ranę ciętą. Śledztwo było w toku. Zawsze toczy się jakieś śledztwo, pomyślał filozoficznie Chang, sięgając po filiżankę. Dlatego stale miał pracę. Nikt nie lubi czekać.

\*

Jakby na dany sygnał, ktoś w pobliżu dyskretnie zakaszłał. Chang podniósł głowę i zobaczył żołnierza w mundurze - w czerwonym płaszczu i spodniach, w czarnych butach, z mosiężnym hełmem zwieńczonym czubem z końskiego włosa w jednej ręce, a drugą trzymającą rękojeść długiej szabli - stojącego w progu, jakby wchodząc do Raton Marine, miał splamić swój żołnierski honor. Zwróciwszy na siebie uwagę Changa, żołnierz skłonił się i strzelił obcasami.

- Może zechce pan dotrzymać mi towarzystwa - rzekł z szacunkiem do Changa.

Pozostali goście zachowali się tak, jakby niczego nie słyszeli. Chang skinął żołnierzowi głową i wstał. To nastąpiło szybciej, niż przypuszczał. Wziął swoją laskę, a gazetę zostawił komuś do przeczytania.

Bez słowa poszli w kierunku rzeki. Jaskrawy mundur żołnierza zdawał się wibrować na tle jednobarwnego otoczenia: kamieni bruku, pstrokato szarego tynku i czarnych kałuż cuchnącej wody. Chang wiedział, że jego płaszcz wygląda podobnie i uśmiechnął się na myśl o tym, że przypadkowy przechodzień uznałby ich za dziwną parę, co z pewnością nie spodobałoby się żołnierzowi. Skręcili za róg i wyszli na kamienny taras nad rzeką. Pod nimi przepływał czarny nurt, a przeciwległy brzeg był ledwie widoczny przez pasma mgły, która jeszcze nie do końca rozeszła się po nocy lub dopiero zaczęła gęstnieć. W dawnych dobrych czasach tej dzielnicy taras był przystanią dla statków wycieczkowych i łodzi. Od dawna został pozostawiony własnemu losowi i regularnie wykorzystywany po zmroku jako miejsce załatwiania podejrzanych interesów.

Tak jak Chang oczekiwał, podpułkownik Noland Aspiche stał tam i czekał na niego razem z adiutantem i trzema innymi żołnierzami. Dwaj następni oczekiwali w łodzi przycumowanej do schodów. Chang przystanął, pozwalając eskortującemu podejść do dowódcy, strzelić obcasami i złożyć meldunek, wskazując Changa. Aspiche kiwnął głową i po chwili podszedł do Kardynała, który stał w miejscu, gdzie pozostali nie mogli ich usłyszeć.

- Gdzie on jest? - warknął ściszym głosem. Aspiche był żyłastym, szczupłym mężczyzną o krótko ściętych przeredzonych włosach. Z kieszeni czerwonej kurtki wyjął cienkie cygaro, odgryzł koniec, wypluł i wyciągnął pudełko zapalek. Odwrócił się plecami do wiatru i zapalił jedną, pykając, aż cygaro zaczęło się palić. Wydmuchnął obłoczek niebieskiego dymu i ponownie obrzucił Changa przenikliwym spojrzeniem. - No? Co masz mi do powiedzenia?

Chang z zasady gardził wszystkimi przedstawicielami władzy, bo choć zwykle skrywał to z czysto pragmatycznych powodów lub poszanowania tradycji, postrzegał wszelkie instytucje jedynie jako środek do realizacji arbitralnych poglądów osób piastujących wysokie stanowiska, co potwornie go irytowało. Kościół, wojsko, rząd, arystokracja, kręgi biznesu - włos jeżył mu się na samą myśl o tych instytucjach, więc choć był gotów uznać Aspiche'a za kompetentnego oficera, widząc sposób, w jaki odgryzł i wypluł koniec cygara, Chang miał ochotę potraktować go brzytwą, nie zważając na konsekwencje. Zamiast tego stał nieruchomo i odpowiedział podpułkownikowi najspokojniej, jak zdołał.

- On nie żyje.

- Jesteś pewien? Co zrobiłeś z ciałem?

Aspiche mówił, ledwie poruszając wargami, stojąc zupełnie nieruchomo, tak że dla patrzących na jego plecy żołnierzy zaledwie słuchał Changa.

- Nic nie robiłem z jego ciałem. Nie zabiłem go.

- Przecież kazaliśmy... otrzymałeś instrukcje...

- Już nie żył. Aspiche milczał.

- Śledziłem go od Hadrian Square aż do Orange Canal. Tam spotkał się z grupką ludzi i razem wsiedli na niewielką łódź, którą popłynęli kanałem. Po przybiciu do brzegu umieścili ładunek na dwóch wozach, które pojechały do pobliskiego domu. Dużego domu. Czy pan wie, czyj to dom, w pobliżu Orange Canal?

Aspiche splunął.

- Mogę zgadywać.

- Najwyraźniej była to niezwykła okazja. Sądzę, że pretekstem były zaręczyny córki lorda.

Aspiche kiwnął głową.

- Z tym Niemcem.

- Zdołałem dostać się do domu. A także znaleźć pułkownika Trappinga i nie bez trudu wsypać mu do wina środek...

- Zaraz, zaraz - przerwał mu Aspiche - kto jeszcze tam był? Kto towarzyszył mu podczas rejsu po kanale? Co się stało z wozami? Jeśli zabił go ktoś inny...

- Mówię to - syknął Chang - co mam do powiedzenia. Zamierza mnie pan wysłuchać?

- Zastanawiam się, czy kazać cię wychlostać.

- O, naprawdę?

Aspiche westchnął i zerknął na swoich ludzi.

- Nie, oczywiście, że nie. To bardzo trudna sytuacja, a nie mając od pana żadnych wieści...

- Dowiedziałem się o tym dopiero dziś rano. Tłumaczyłem, że to może się stać. A zamiast wysłuchać, najpierw wysyła pan po mnie umundurowanego człowieka, a potem osobiście zjawia się w tej części miasta, w której nie ma pan żadnych towarzyskich czy zawodowych obowiązków. Równie dobrze mógłby pan wystrzelić kilka rac. Jeśli ktoś ma jakieś podejrzenia...

- Nikt niczego nie podejrzewa.

- To pan tak uważa. Żeby ochronić nas obu, będę musiał wrócić do kawiarni i dać trochę pieniędzy tym pięciu mężczyznom, którzy widzieli żołnierza, który po mnie przyszedł. Czy równie beztrudno szafuje pan życiem swoich żołnierzy? I swoim?

Aspiche nie był przyzwyczajony do wysłuchiwania takich uwag, lecz jego milczenie świadczyło o tym, że przyznaje się do błędu. Odwrócił się i zapatrzył w mgłę.

- W porządku. Niech pan mówi.

Chang zmrużył oczy. Dotychczas było to dość proste, lecz teraz błądził w ciemnościach tak samo jak Aspiche, jeśli ten nie udawał.

- W tym domu były setki osób. To naprawdę było przyjęcie zaręczynowe. Może nie tylko, a panujące zamieszanie zarówno pomogło mi wmieszać się w tłum, jak przeszkodziło w wykonaniu zadania. Zanim środek zaczął działać, pułkownik Trapping wymknął mi się, opuszczając przyjęcie tylnymi schodami. Nie mogłem go śledzić i musiałem szukać go w całym budynku. Kiedy wreszcie go znalazłem, nie żył. Nie mam pojęcia dlaczego. Dawka środka, który mu podałem, nie mogła go zabić, a jednak na jego ciele nie znalazłem żadnych śladów użycia przemocy.

- Jest pan pewny, że nie żył?

- Oczywiście.

- Zapewne źle pan odważył dawkę trucizny.

- Nie.

- No to jak pan myśli, co się wydarzyło? I wciąż nie wyjaśnił pan, co się stało z ciałem.

- Sugeruję, żeby się pan uspokoił i posłuchał.

- A ja sugeruję, żeby mi pan to wyjaśnił, do licha! Chang puścił to mimo uszu i podjął spokojnym tonem:

- Na twarzy Trappinga były dziwne ślady, coś w rodzaju oparzeń wokół oczu, ale bardzo regularne, jakby wypalone...

- Wypalone?

- Tak właśnie.

- Na twarzy?

- Już to powiedziałem. Co więcej, w pokoju unosił się jakiś dziwny zapach...

- Czego?

- Nie potrafię powiedzieć. Nie znam się na zapachach.

- Jakiejś trucizny?

- Możliwe. Nie wiem. Aspiche w zadumie zmarszczył brwi.

- To wszystko nie ma sensu - warknął. - Co z tymi oparzeniami?

- O to chciałem pana zapytać.

- Jak to? - zdziwił się zbity z tropu Aspiche. - Ja nie mam pojęcia.

Przez chwilę stali w milczeniu. Podpułkownik wyglądał na szczerze zaniepokojonego.

- Przerwano mi dalsze śledztwo - podjął Chang. - Znów musiałem przekradać się przez cały dom, tym razem uciekając przed pościgiem. Zdołałem zgubić go w drodze powrotnej do kanału.

- Dobrze, dobrze. Co było na wozach?

- Skrzynie. Nie wiem z czym.

- A jego współnicy?

- Nie mam pojęcia, kim byli. To był bał maskowy.

- A ta... ten środek... sądzi pan, że nie pan go zabił?

- Wiem, że nie ja. Aspiche pokiwał głową.

- Ładnie, że mi pan to mówi. Mimo to zapłacę, jakby pan to zrobił. Jeśli pojawi się żywy...

- Nie pojawi się.

-...będzie mi pan winien następną robotę.

Z kieszeni kurtki wyjął cienki skórzany portfel i wręczył go Changowi, który wepchnął go do kieszeni płaszcza.

- I co teraz? - zapytał Chang.

- Nic. Mam nadzieję, że już po wszystkim.

- Przecież pan wie, że nie - warknął Chang. Aspiche nie odpowiedział. Chang naciskał. - Dlaczego nie było żadnych wieści? Kto jeszcze jest w to zamieszany? Vandaariff? Niemcy? Któryś z trzystu gości? Pan zna odpowiedzi lub nie, pułkowniku, powie mi pan to, co zechce mi pan powiedzieć. Jednak ktoś ukrył zwłoki pańskiego człowieka i zechce się pan dowiedzieć dlaczego. Zaszedł pan tak daleko, że musi pan to zakończyć.

Aspiche nie drgnął.

Gdy Chang spoglądał na niego - upartego i dumnie wyprostowanego - przypomniał sobie fragment *Persefony*:

*Ogrom jego uporu i władczego chłodu*

*Na myśl groby przywodzi i cmentarny odór.*

- Wie pan, gdzie mnie znaleźć... dyskretnie - mruknął Chang, odwrócił się i pomaszerował z powrotem do Raton Marine.

\*

Trzy poprzednie dni Chang spędził, opracowując plan zabicia Arthura Trappinga za pieniądze. Wydawało się to dość proste. Trapping był ambitnym szwagrem Henry'ego Xoncka, bogatego producenta broni. Szukając pozycji odpowiedniej dla swego nowego statusu społecznego, za pieniądze żony wykupił prestiżowe stanowisko dowódcy 4. regimentu dragonów, lecz nie był żołnierzem, a odznaczenia zawdzięczał jedynie swemu udziałowi w dwóch mało ważnych potyczkach. Rzeczywiste zasługi Trappinga ograniczyły się do skonsumowania ogromnej ilości porto oraz pokonania przewlekłej dyzenterii. Gdy jego regiment został nagrodzony zaszczytnym przydziałem, zastępca Trappinga, udręczony podpułkownik Aspiche - zawodowy żołnierz, który, jeśli mu wierzyć, nie tyle sam pragnął objąć dowodzenie, co zwolnić to stanowisko dla kogoś naprawdę wartościowego - podjął zdecydowane kroki w tym kierunku, angażując Kardynała Chang.

Ten nie był zawodowym zabójcą, lecz zdarzało mu się już mordować. Jednak częściej, jak wolał to nazywać, zajmował się nakłanianiem do pożądanых działań za pomocą innych środków nacisku: siłą lub perswazją albo obiema jednocześnie. Jednak w ciągu kilku ostatnich miesięcy odczuwał rosnący niepokój, jakby każdemu jego posunięciu towarzyszyło głośnie tykanie zegara. Miał wrażenie, że jego życie zmierza do jakiegoś nieuchronnego zakończenia. Może to słaby wzrok powodował ten rosnący niepokój, wywołany chęcią dostrzeżenia skrytych w mroku szczegółów. Nie pozwalał, by ten narastający lęk wpływał na jego poczynania, lecz gdy Aspiche zaproponował wysoką zapłatę, Chang dostrzegł w tym okazję do wycofania się ze sceny, wyjazdu, zniknięcia w jakiejś palarni opium - gdziekolwiek, dopóki nie miną złe przeczucia.

Nie bardzo wierzył w to, co powiedział mu Aspiche. Kryło się za tym coś więcej. Klienci zawsze kłamali lub ukrywali coś przed nim. Przez cały pierwszy dzień Chang zbierał informacje, przeglądając kroniki towarzyskie, stare gazety, księgi genealogiczne i jak zawsze wystarczyło poszukać, żeby odkryć powiązania. Trapping ożenił się z Charlotte Xonck, młodszą siostrą najstarszego Henry'ego i starszą siostrą Francisa, wciąż kawalera, który właśnie powrócił z długiej zagranicznej podróży. Chociaż biedny podpułkownik Aspiche mógł sądzić, że regiment zawdzięcza wzrost statusu swoim sukcesom w koloniach, Chang odkrył, że rozkaz przydzielenia 4. regimentu księciu (albo pijakowi, hulace, dziwkarzowi i sodomicie, jak w myślach nazywał go Chang) został wydany dzień po tym, jak fabryka Xoncka zgodziła się zawrzeć na niezbyt korzystnych warunkach kontrakt na dostawę dział dla marynarki i wojsk obrony wewnętrznej. Teraz zagadką było nie to, dlaczego regiment awansował, ale dlaczego Henry Xonck podpisał tak kosztowną umowę. Z miłości do młodszej siostry? Chang prychnął pogardliwie i poszukał innego archiwisty do nękania.

Żaden oficjalny dokument nie opisywał dokładnie charakteru nowych obowiązków regimentu. We wszystkich relacjach powtarzano jedynie to, co przeczytał w gazecie: *gwardia pałacowa, eskorta ministerialna i kompania honorowa*, czyli denerwująco mało. Dopiero pospacerowawszy przez chwilę w zadumie wpadł na pomysł, aby potwierdzić te dane tam, skąd wyszedł rozkaz. Ponownie oderwał swego znajomego archiwistę od innych obowiązków, żeby zdobyć teczkę ogłoszonych komunikatów, a wtedy zobaczył to na okładce. Była z ministerstwa, ale nie z Ministerstwa Wojny. Zerknął na papier i pieczęć na teście. Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Dlaczego Ministerstwo Spraw Zagranicznych ogłaszało - a w rezultacie przydzielało - nowemu regimentowi obowiązki „gwardii pałacowej, eskorty ministerialnej i kompanii honorowej”? Warknął na archiwistę, który wyjął tylko:

- No cóż, tu jest napisane, że ma być eskortą ministerialną, a Mi... Ministerstwo Spraw Zagranicznych jest jednym z mi... ministerstw, więc...

Chang przerwał mu szorstko, żądając listy wysokich urzędników Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Przez ponad godzinę przedzierał się przez sterty teczek - personel biblioteki zapewnił Changowi bezpośredni dostęp do akt, dochodząc do wniosku, że lepiej nie mieć go na głowie - układając w myślach wszystkie te strzępy informacji. Obojętne, co jeszcze robił regiment, swoje najważniejsze zadania miał wykonywać pod auspicjami Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Tak więc zapewne w wyniku takiej czy innej intrygi dyplomatycznej lub rządowej, w zamian za obniżoną przez Xoncka cenę, Ministerstwo Wojny zgodziło się oddać regiment do dyspozycji Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Trapping najwidoczniej miał być szpiegiem Xoncka i informować go o różnych zmianach na arenie międzynarodowej, które mogłyby wpłynąć na interesy producenta broni, jak również powodzenie lub klęskę jego rywali. Może już to było wystarczającą nagrodą (Chang nie był o tym przekonany), lecz to wcale nie wyjaśniało, dlaczego jedno ministerstwo oddawało taką niesłychaną przysługę innemu ani dlaczego Ministerstwo Spraw Zagranicznych w ogóle chciało mieć własny regiment wojska.

Mimo wszystko dzięki tym informacjom Chang - po przestudiowaniu zwyczajów Trappinga, ustaleniu jego adresu, powozu i koszar - mógł zająć dogodne stanowisko obserwacyjne przed budynkiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych, przekonany, że to miejsce odgrywa kluczową rolę w całej sprawie. Tak właśnie pracował, a chociaż przeprowadzał takie śledztwa, żeby lepiej rozumieć swoje zadania, było również prawdą, że robił to, aby czymś zająć umysł. Gdyby był zwyczajnym brutalnym mordercą, mógłby

poderżnąć Arthurowi Trappingowi gardło gdziekolwiek, po prostu idąc za nim, aż dopadłby go w jakiejś pustej uliczce.

Fakt, że w końcu równie dobrze mógł to zrobić, nie zmniejszało jego chęci zrozumienia motywów kryjących się za zleceniem. Nie miał skrupułów, ale doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo ryzykuje, gdyż klient zawsze mógł próbować zapewnić sobie bezpieczeństwo, aranżując wszystko tak, by Chang również stał się ofiarą nieszczęśliwego wypadku. Im więcej wiedział - o klientach i ich celach - tym czuł się bezpieczniejszy. W tym przypadku miał pełną świadomość tego, że w całą sprawę są zamieszane siły znacznie potężniejsze od Trappinga i rozgoryczonego podpułkownika, więc będzie musiał bardzo uważać, by nie obudzić ich zainteresowania. Jeśli miał to zrobić, powinien działać naprawdę niepostrzeżenie.

Po południu tamtego pierwszego i drugiego dnia Trapping przejechał swoim powozem z koszar regimentu do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, gdzie spędził kilka godzin. Każdego wieczoru powóz zawoził go do domu przy Hadrian Square, którego pułkownik później nie opuszczał i nie miał żadnych gości. Drugiego wieczoru, obserwując okna Trappinga z cienia ozdobnych krzewów, Chang ze zdziwieniem zobaczył przejeżdżający obok powóz z namalowaną na drzwiach koroną Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Powóz nie zatrzymał się jednak przy drzwiach Trappinga, lecz podjechał pod dom po drugiej stronie placu. Chang szybko pobiegł za nim i zdążył zobaczyć, jak zadbany mężczyzna w ciemnym płaszczu, niosący kilka dużych toreb, wysiada i znika w drzwiach oznaczonych numerem czternaście. Powóz odjechał. Chang wrócił na swoją pozycję. Następnego ranka w bibliotece ponownie przejrzał listę urzędników Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Wiceminister Harald Crabbe mieszkał przy Hadrian Square pod numerem czternastym.

\*

Trzeciego dnia ponownie poszedł pod gmach ministerstwa i spędził trochę czasu na skraju St. Isobel Square, w miejscu, z którego mógł obserwować zarówno ruch powozów przed budynkiem i na skrzyżowaniu, bo musiałby przejechać przez nie każdy pojazd odjeżdżający z uliczki na tyłach. Do tej pory potrafił już rozpoznać przynajmniej niektórych pracowników ministerstwa i czekając na przybycie Trappinga, przyglądał się, jak wchodzi i wychodzą. Pomimo otaczającej pułkownika atmosfery tajemnicy Chang uznał, że ten człowiek będzie stosunkowo łatwym celem. Jeśli dziś powtórzy się scenariusz z dwóch poprzednich wieczorów, łatwo będzie wejść przez okno na drugim piętrze (gdzie można dotrzeć po rynnie, której wytrzymałość Chang sprawdził ostatniej nocy) i zakraść się do sypialni Trappinga (lokalizację ustalił, obserwując zapalające się w oknach światła, gdy

pułkownik wchodził na trzecie piętro, aby położyć się spać). Metody jeszcze nie wybrał - miała ona zależeć od okoliczności. Wzięłyby brzytwę, a ponadto zaopatrzyłyby się w truciznę, której działanie na pierwszy rzut oka przypominałoby atak apopleksji, często zdarzającej się ludziom w wieku Trappinga. To, czy ktoś podejrzewałby morderstwo, byłoby znaczącym dowodem istnienia intrygi i wyjaśniałoby jego nieoczekiwany awans. Chang niespecjalnie przejmował się innymi mieszkańcami tego domu. Pani Trapping spała osobno, a służba, jeśli wybierze odpowiednią chwilę, będzie daleko od sypialni.

O drugiej przeszedł przez plac i kupił sobie pasztecik, po czym połamał go na kawałki, które zjadł jeden po drugim, wracając na swoje stanowisko. Mijając posąg St. Isobel, uśmiechnął się z pełnymi ustami. Odrażający wygląd tej rzeźby - przesadny sentymentalizm, dęty patos - nigdy nie tłumili ponurej satysfakcji, jaką budziła w nim sama święta i zmije owijające się wokół jej śliskiego ciała. Zdumiewało go, że coś takiego wzniesiono z publicznych środków na otwartej przestrzeni, jednak widok czegoś tak zdecydowanie paskudnego był w pewien sposób pocieszający. Przywracał mu wiarę w to, że on również ma swoje miejsce na tym świecie. Skończył jeść pasztecik i wytarł dłonie o spodnie.

O trzeciej służbowy powóz Trappinga pojawił się - pusty - u wylotu alejki, po czym skręcił w lewo, kierując się do koszar 4. regimentu dragonów. Pułkownik wszedł do budynku tylnym wejściem i zamierzał odjechać innym środkiem transportu. O czwartej piętnaście Chang w tym samym miejscu zobaczył powóz MSZ. Po jednej stronie siedział Harald Crabbe, a naprzeciwko niego, widoczny przez okno jako czerwono-złota plama, siedział Arthur Trapping. Chang spuścił głowę, kiedy go mijali, i odprowadził powóz wzrokiem. Gdy tylko zniknęli za rogiem, popędził do swojej dorożki.

Tak jak się spodziewał, ministerialny powóz jechał na Hadrian Square i łatwo go było śledzić. Natomiast nie spodziewał się, że stanie przed domem pod numerem czternastym i że obaj mężczyźni wejdą do środka ani tego, że gdy pojawią się ponownie po kilku minutach, powóz powiezie ich prosto na północny zachód od miasta. Mgła gęstniała, więc przysunął się do woźnicy, żeby lepiej widzieć, dokąd jadą, ponieważ zapadający zmrok mocno ograniczał jego i tak kiepską zdolność widzenia. Dorożkarz narzekał na zlecenie, znacznie wykraczające poza jego zwykłe obowiązki, i Chang musiał zapłacić mu o wiele więcej, niż zamierzał. Zastanawiał się nad wynajęciem powozu, ale nie ufał swoim oczom i umiejętności powożenia, a ponadto nie chciał niepotrzebnego rozlewu krwi. Wkrótce znaleźli się za murami miasta, a potem minęli rzadko zabudowane przedmieścia i znaleźli się za miastem. Jechali drogą do Orange Canal, który ciągnął się aż do oceanu, a powóz przed nimi nie zamierzał się zatrzymać.

\*

Jechali przez prawie dwie godziny. Z początku Chang kazał dorożkarzowi trzymać się w bezpiecznej odległości, niemal pozwalając, by drugi powóz znikł im z oczu, lecz gdy zrobiło się ciemno, musieli podjechać bliżej, inaczej nie zauważyliby, jak zjeżdża w boczną dróżkę. Najpierw śledził Trappinga, realizując swój plan, zamierzając dopaść go w jakimś odludnym miejscu, gdzie z łatwością będzie mógł go zamordować. Jednak im dalej jechali, tym bardziej kiepski wydawał się ten pomysł. Jeśli tylko zamierzał zabić tego człowieka, powinien zawrócić i spróbować następnej nocy - powracając do pierwotnego planu i zakradając się do sypialni Trappinga. Długa podróż powozem z wiceministrem Crabbe świadczyła o istnieniu intrygi, w którą zamieszany był Xonck i Ministerstwo Wojny, a choć Chang był oczywiście zadowolony, to nie miał pojęcia, dokąd jedzie, co zawsze jest głupotą. Oprócz tych wątpliwości uświadomił sobie, że jest mu zimno - mroźny wiatr od morza przeszywał go do szpiku kości. Już miał powiedzieć dorożkarzowi, żeby się zatrzymał, gdy ten złapał go za ramię i pokazał rząd płonących w oddali pochodni.

Chang kazał mu zatrzymać powóz i czekać przez piętnaście minut. Jeśli się nie pokaże, dorożkarz może wrócić do miasta. Mężczyzna nie spierał się - najwyraźniej był równie zziębnięty jak Chang i wciąż niezadowolony z niespodziewanie długiego kursu. Chang wyskoczył z powozu, zastanawiając się, czy dorożkarz naprawdę na niego poczeka. Dał sobie pięć minut na podjęcie decyzji - Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było zostać tu sam, prawie nic nie widząc. W tych okolicznościach musiał działać niezwykle ostrożnie. Zdjął okulary, gdyż teraz liczyła się nawet odrobina światła. Schował je do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Przed sobą widział powóz ministerstwa, czekający razem z kilkoma innymi. Wszedł na trawnik i ruszył ku palącym się jakieś trzydzieści metrów dalej pochodniom, widząc dwie osoby idące w kierunku większej grupy gości. Chang podkrał się ścieżką, najbliżej jak mógł, a potem zszedł z niej i skulił się, wyglądając zza wysokiej trawy.

Usłyszał przyciszoną, lecz ożywioną rozmowę - najwyraźniej Trapping i Crabbe się spóźnili - oraz coś, co wyglądało na zdawkowy uścisk dłoni. Gdy jego wzrok oswoił się z blaskiem pochodni, Chang zauważył, że ich światło odbija się w wodzie i coś, co wydawało się bezkształtną bryłą, nagle okazało się łodzią przycumowaną do brzegu. Trapping i Crabbe poszli za innymi wzdłuż kanału ku czemuś, co wyglądało na wozy. (Chang widział tylko górne fragmenty ukrytych w trawie kół). Z jednego wozu ściągnięto brezentową plandekę, ukazując spóźnialskim szereg drewnianych skrzyń, najwyraźniej wyładowanych z łodzi. Chang nie widział twarzy pozostałych mężczyzn - naliczył ich sześciu. Plandeka została ponownie naciągnięta i umocowana, a mężczyźni zaczęli wsiadać na wozy. Z głośnym

trzaśnięciem bata odjechali, zostawiając powozy, drogą, której Chang ze swej kryjówki nie widział.

Szybko ruszył za nimi, przystając, by zerknąć na łódź - której widok nic mu nie powiedział - a potem, podążając drogą, będącą zaledwie wiejską dróżką biegnącą po trawie. Ponownie zadał sobie pytanie, co właściwie robi. Idąc w ślad za wozami, rezygnował z dorożki. Oswoił się z myślą, że zostanie tu sam. W końcu przydarzały mu się gorsze rzeczy, a ponadto to wciąż mogła być doskonała okazja, aby wykonać zlecenie. Jednak wozy poruszały się znacznie szybciej niż on i wkrótce został sam w ciemnościach. Nadal wiał zimny wiatr i minęło co najmniej trzydzieści minut, zanim Kardynał dotarł do wozów stojących przed kuchennym wejściem do czegoś, co wyglądało na ogromny budynek - chociaż nie potrafił powiedzieć, czy była to ponura rezydencja, czy wspaniała forteca. Skrzynie zniknęły, tak samo jak ludzie...

\*

Wciąż rozzłoszczony po rozmowie z Aspichem, Chang wrócił do Raton Marinę i z ulgą zobaczył, że wszyscy obecni podczas jego spotkania z żołnierzem nadal tam są. Przez moment stał w drzwiach, pozwalając, by go zobaczyli, i odpowiadając na ich spojrzenia znaczącym kiwnięciem głowy. Potem podszedł do każdego z nich - włącznie z barmanem Nicholasem - i położył przy ich kuflach po jednej złotej monecie. Tylko tyle mógł zrobić, a jeśli któryś z nich jednak nie utrzyma języka za zębami, przynajmniej pozostali będą uważali to za złamanie milczącego porozumienia, stawiające Judasza w bardzo złym świetle. Zamówił drugą filiżankę gorzkiej czekolady i wypił ją na zewnątrz. Właściwie czekał na jakieś posunięcie Aspiche'a, lecz Noland Aspiche był w najlepszym razie głupcem, który miał nadzieję skorzystać z tego, że ktoś zabije jego dowódcę, a w najgorszym uczestnikiem większej intrygi, co oznaczałoby, że od początku Changa okłamywał. Tak czy inaczej, Aspiche nic nie robi. Pomimo portfela w kieszeni Chang żałował, że dał się w to wciągnąć. Upił łyk czekolady i skrzywił się.

\*

Gdy tylko zobaczył ten dom, wiedział, gdzie jest, ponieważ na wybrzeżu w pobliżu Orange Canal była tylko jedna taka rezydencja, własność Roberta Vandaariffa, niedawno mianowanego lordem Vandaariffem, finansisty, którego córka zaręczyła się z księciem jakiegoś niemieckiego państewka, Karlem-Horstem Jakimstam. Chang nie pamiętał nazwiska - było w licznych nagłówkach, po których prześlizgnął się wzrokiem - lecz wypchnąwszy ręką w rękawiczce cienką szybkę w drzwiach, natychmiast zdał sobie sprawę z tego, że właśnie wdarł się na wystawne przyjęcie, na którym wszyscy goście są w maskach. Stał

skryty w mroku, aż wypatrzył pijanego gościa, któremu bez ryzyka zdołał zerwać maskę z głowy i założywszy ją (choć oznaczało to konieczność zdjęcia okularów), ruszył na poszukiwanie Trappinga. Ponieważ większość mężczyzn nosiła wieczorowe czarne fraki, stosunkowo łatwo było znaleźć pułkownika w jego czerwonym mundurze. Z tego samego powodu Chang również przyciągał uwagę - niezwykle strój, który w jego środowisku był tyleż wyzywający, co maskujący, niezbyt pasował do eleganckiego balu kostiumowego w ekskluzywnej rezydencji. Jednak Chang po prostu przyjął wzgardliwą pozę człowieka, który należy do wąskiego kręgu wybrańców. Zdumiewało go, jak wielu ludzi natychmiast założyło, że jego nieprzyjemna arogancja dowodzi, iż ma do niej większe prawo niż oni.

Trapping pił tego w licznym towarzystwie, chociaż nie wyglądało na to, by brał aktywny udział w rozmowie. Obserwując go, Chang uświadomił sobie, że Trapping stoi między dwiema grupkami osób. Jedna zebrała się wokół postawnego, łysawego mężczyzny, do którego wszyscy odnosili się z szacunkiem - a szczególnie młodzieniec o gęstych rudych włosach i nazbyt elegancko ubrana kobieta (czyżby była to żona Trappinga, Charlotte Xonck oraz jej bracia, Henry i Francis?). Za tą kobietą stała inna, w nieco skromniejszej sukni. Ta, podobnie jak Chang, dyskretnie obserwowała otaczających ją ludzi - co czyniło ją osobą, której w tym towarzystwie powinien starannie unikać. Druga grupka składała się z samych mężczyzn w wieczorowych strojach lub galowych mundurach. Chang nie potrafił stwierdzić, czy Crabbe jest wśród nich, czy nie, gdyż uniemożliwiały to maski. Chociaż chętnie popatrzyłby, jak ci ludzie gromadzą się wokół kogoś tak mało interesującego jak pułkownik - i dowiedział się dlaczego - Chang zdawał sobie sprawę, że nie może tu zostać. Sprężył się i przeszedł obok nich, unikając kontaktu wzrokowego i zwracając się do służącego przy najbliższym stole z prośbą o kieliszek wina. Kiedy czekał, rozmowy wokół niego ucichły i wyczuł, że obie grupki niecierpliwie czekają, aż odejdzie. Służący podał mu pełny kieliszek i Chang pociągnął łyk, odwracając się do najbliższej stojącego gościa - którym, oczywiście, był Trapping - i przeszywając go spojrzeniem. Trapping skinął głową i zaczął się na niego gapić. Zaskoczyły go szramy na powiekach Chang'a, widoczne przez otwory maski, bo chociaż nie był pewien, na co patrzy, wiedział, że coś jest nie tak. Ten przelotny kontakt pozwolił Changowi nawiązać rozmowę.

- Miła uroczystość.

- Istotnie - odparł pułkownik Trapping.

Oderwał wzrok od oczu Kardynała Chang'a i spojrzął na jego płaszcz, a potem resztę stroju, który - choć niezwykle - był raczej nieodpowiedni na takie przyjęcie, a nawet niezbyt

schludny. Chang też spojrział na swoje ubranie, ponownie podchwycił wzrok Trappinga, skrzywił się i zachichotał.

- Jestem prosto z podróży. Jechałem kilka dni. Jednak takiej okazji nie można przegapić, prawda?

- Oczywiście, że nie.

Trapping kiwnął głową, nieco uspokojony, ale patrzył bezradnie, jak za plecami Changa reszta jego towarzystwa odchodzi, aby gdzie indziej podjąć przerwana rozmowę.

- Co pan pije? - zapytał Chang.

- Sądzę, że to samo co pan.

- Naprawdę? I jak panu smakuje?

- Bardzo dobre.

- Też tak sądzą. Chyba powinno takie być, czyż nie? Z naszego gospodarza.

Chang trącił się kieliszkiem z Trappingiem i wypił zawartość do dna, praktycznie zmuszając go, żeby zrobił to samo. Zanim pułkownik zdążył odejść, Chang zabrał mu kieliszek i pokazał oba służącemu, domagając się więcej wina. Gdy ten nachylił się, by nalać, a Trapping gorączkowo szukał jakiejś wymówki, żeby odejść, Chang zręcznie nabrał kciukiem szczyptę białego proszku i - odwróciwszy uwagę sługi luźnym powiedzeniem na temat drobin korka - podając pułkownikowi wino, potarł brzeg kielicha. Wręczył go Trappingowi i ponownie się napili, przy czym wargi tamtego dotknęły brzegu pucharu w miejscu, gdzie Chang umieścił proszek. Zrobiwszy swoje, Chang skłonił się Trappingowi i równie szybko, jak przyszedł, opuścił salę. Zamierzał obserwować go z daleka, aż narkotyk zacznie działać.

\*

Jednak od tej chwili wszystko zaczęło się walić. Gromadka mężczyzn - frakcja Crabbego? - w końcu wyciągnęła Trappinga z grupki, w której Chang odgadł zwolenników Xoncka, po czym poprowadziła go w odległy kąt sali i przez drzwi, przy których stali dwaj osobnicy w niedbałych pozach, niewątpliwie strażnicy. Chang patrzył, jak jego ofiara znika za drzwiami, a kiedy się obejrzał, na moment podchwycił spojrzenie towarzyszk Charlotte Xonck, która natychmiast - lecz nie dość szybko - odwróciła wzrok. Wyszedł z głównej sali, zanim zwrócił na siebie niepożądaną uwagę. Stracił co najmniej godzinę - unikając służących, gości oraz coraz częściej otwarcie podejrzliwych twarzy - zanim w końcu znalazł się w długim marmurowym korytarzu z rzędami drzwi po obu stronach. Ten był kwintesencją całej tej śmiesznej sytuacji oraz całkowitego niepowodzenia, jakim zakończyło się wtargnięcie do rezydencji i próba nawiązania bezpośredniego kontaktu z Trappingiem. Pułkownik powinien

już nie żyć, a zamiast tego dochodził do siebie po czymś, co uzna za skutki nadmiaru wypitego wina. Chang podał mu niewielką dawkę narkotyku, zapewniającą uległość - zamierzając wyprowadzić go do ogrodu - co teraz okazało się kolejnym błędem. Skradał się korytarzem, próbując otworzyć mijane drzwi. Przeważnie były zamknięte i musiał iść dalej. Był już chyba w połowie drogi, gdy przed sobą, na końcu korytarza, zobaczył tłum wychodzący na balkon i schodzący po spiralnych schodach. Skoczył do najbliższych drzwi. Były otwarte. Wpadł do środka i zamknął je za sobą.

Na podłodze leżał Trapping, martwy, z dziwnymi śladami na twarzy - oparzenia? wybroczyny? - lecz bez żadnych innych obrażeń. Chang nie znalazł ran na jego ciele, krwi, broni ani nawet drugiego kieliszka wina, w którym mogłaby być trucizna. Trapping był jeszcze ciepły. Od chwili zgonu nie minęło wiele czasu - najwyżej trzydzieści minut. Stojąc nad ciałem, Chang westchnął. Wprawdzie uzyskał pożądany rezultat, ale w bardzo niepokojący i skomplikowany sposób. Nagle poczuł zapach, dziwnie szpitalny lub fabryczny, całkowicie nie na miejscu w tym pokoju. Już nachylał się ponownie, żeby przetrząsnąć kieszenie Trappinga, gdy usłyszał pukanie do drzwi. Chang natychmiast wyprostował się i cicho przeszedł do sąsiedniego pokoju, a z niego do łazienki, szukając jakiejś kryjówki. Znalazł wejście dla służby w chwili, gdy drzwi na korytarz otworzyły się i ktoś zawołał pułkownika Trappinga po imieniu. Chang ostrożnie i cicho zamykał za sobą drzwi, gdy usłyszał ochryple wołanie o pomoc.

Czas uciekać. Wąski i ciemny korytarz doprowadził go do następnego pokoju i dziwnego człowieka - brzydkiego sługusa, otoczonego stertami znajomo wyglądających skrzyń. Człowieczek odwrócił się i na widok wchodzącego otworzył usta do krzyku. Chang błyskawicznie doskoczył do niego i uderzył go przedramieniem w twarz. Ten zatoczył się na stół, przewracając stos drewnianych skrzyń. Zanim zdążył się podnieść, Chang uderzył go ponownie, w tył głowy. Uderzony opadł na stół i osunął się na Podłogę, kurczowo zaciskając palce i rżąc. Chang obrzucił spojrzeniem skrzynie, które wyglądały na puste, ale wiedział, że nie ma czasu tego sprawdzać. Znalazł następne drzwi i wszedł do jeszcze większego korytarza o ścianach wyłożonych lustrami. Spojrzał w głąb niego i zorientował się, że to przejście musi prowadzić do głównego wejścia, przy którym nie mógł się pokazać. Zauważył drzwi po drugiej stronie. Stwierdziwszy, że są zamknięte, zaczął w nie kopać, aż drewno przy zamku popękało, a wtedy wyważył je barkiem. W tym pokoju było okno. Chwycił stojące obok krzesło i z trzaskiem rozbił nim szybę. Za plecami słyszał tupot nóg. Kopniakiem wybił resztki szkła i wyskoczył przez okno. Ze stęknieniem wylądował na żwirze i ruszył biegiem.

\*

Ścigający go robili to bez przekonania, gdyż w ciemnościach był prawie ślepy i z łatwością złapaliby go, gdyby naprawdę się postarali. Upewniwszy się, że zaprzestali pościgu, Chang zwolnił. Mniej więcej orientował się, gdzie jest brzeg morza, więc poszedł w przeciwnym kierunku i w końcu natrafił na tory, a potem ruszył wzdłuż nich, aż dotarł do stacji. Okazało się, że to Orange Canal, końcowa stacja tej linii. Wsiadł do czekającego składu - zadowolony, że jest tu jakiś pociąg - i siedział w ponurej zadumie, aż pociąg wreszcie ruszył, wioząc go z powrotem do miasta, a w trakcie tej podróży do spotkania z udręczoną Persefona.

\*

Dopił czekoladę i położył na stoliku następną monetę. Im dłużej rozmyślał o wydarzeniach poprzedniego dnia i nocy, tym bardziej był zły na siebie za swoje impulsywne zachowanie - tym bardziej teraz, gdy wciąż nie było informacji o śmierci Trappinga. Miał ochotę położyć się i spać jak najdłużej, może nawet przez kilka dni w palami opium. Zamiast tego zmusił się do pójścia do biblioteki. Jediną nową informacją, jaką zdobył, był ewentualny udział w tej aferze Robera Vandaariffa lub jego wysoko postawionego przyszłego zięcia. Jeśli zdoła ustalić ich powiązania z Xonckiem lub Crabbem, albo nawet samym Trappingiem, będzie mógł z czystym sumieniem zapomnieć o swoich obiekcjach.

Wszedł po szerokich schodach i przez wysoko sklepiony hol, skinął głową portierowi i wkroczył do głównej czytelni na drugim piętrze. Wchodząc, zobaczył archiwistę, którego szukał - Shearinga, zajmującego się wszystkimi archiwaliami dotyczącymi finansów - pograżonego w rozmowie z jakąś kobietą. Kiedy Chang się do nich zbliżał, przygarbiony człowieczek odwrócił się do niego z promiennym uśmiechem i wskazał go palcem. Chang przystanął, a kobieta, która także się odwróciła, dygnęła. Była piękna. Ruszyła ku niemu. Włosy miała czarne, zaczesane do tyłu i opadające gęstymi lokami na ramiona. Nosila żakiecik z czarnej wełny, niesięgający do jej smukłej talii i narzucony na suknię z czerwonego jedwabiu, subtelnie haftowaną żółtą nicią w chińskie wzory. W jednej ręce trzymała czarną torebkę, w drugiej wachlarz. Zatrzymała się zaledwie kilka kroków od niego i z wysiłkiem spojrzała jej w oczy - odrywając wzrok od białej szyi i jaskrawo-czerwonych warg - które patrzyły na niego niezwykle poważnie.

- Powiedziano mi, że nazywa się pan Chang - zaczęła.

- Może mnie pani tak nazywać. Zawsze tak odpowiadał.

- Może mnie pan nazywać Rosamonde. Skierowano mnie do pana jako do osoby, która może udzielić mi pomocy.

- Rozumiem. - Chang zerknął na Shearinga, który gapił się na nich jak mały idiota. Archiwista całkowicie zignorował to spojrzenie, podziwiając wspaniały biust kobiety. - Jeśli pójdzie pani ze mną - Chang uśmiechnął się z przymusem - będziemy mogli porozmawiać na osobności.

Zaprowadził ją do sali map na trzecim piętrze, gdzie rzadko ktoś był, nawet jej kustosz, który większość czasu spędzał, popijając dzin między regałami. Wysunął krzesło i zaproponował, by usiadła, a ona zrobiła to z uśmiechem. On wolał nie siadać i oparłszy się o stół, patrzył na nią.

- Zawsze nosi pan ciemne okulary? - zapytała.

- Taki mam zwyczaj.

- Przyznaję, że trochę niepokojący. Mam nadzieję, że pana nie uraziłam.

- Oczywiście, że nie. Jednak nie zdejmę ich. Noszę je z powodów zdrowotnych.

- Ach, rozumiem.

Uśmiechnęła się i rozejrzała się po pokoju. Światło wpadało przez długi szereg wysokich okien umieszczonych w zewnętrznej ścianie. Chociaż dzień był pochmurny, pokój wydawał się dziwnie wysoki, jakby znajdował się znacznie wyżej niż trzy piętra nad ziemią.

- Kto panią do mnie skierował? - zapytał Chang.

- Słucham?

- Kto panią do mnie skierował? Z pewnością rozumie pani, że człowiek w mojej sytuacji musi domagać się referencji.

- Oczywiście. Zastanawiałam się, czy wśród pańskiej klienteli? jest wiele kobiet.

Ponownie się uśmiechnęła. Mówiła z lekkim akcentem, którego nie potrafił zidentyfikować. I nie odpowiedziała na jego pytanie.

- Mam liczną klientelę. Jednak proszę mi wyjaśnić, kto podał pani moje nazwisko? Pytam po raz ostatni.

\*

Kobieta promieniała. Chang poczuł ostrzegawcze mrowienie u nasady karku. Ta sytuacja była zupełnie inna, niż się zdawała,; tak samo jak ta kobieta. Był tego w pełni świadom i starał się o tym pamiętać, a jednocześnie urzekło go jej ciało i niezwykle uczucia, jakie budził ten widok. Jej śmiech był upajający jak mocne wino, przygryzała wargę jak kobieta udająca uczennicę, jednocześnie mierząc go spojrzeniem niebezpiecznych fiołkowych oczu, jakby był owadem, którego chciała nabić na szpilkę. Wcale nie był pewien, czy jej się to nie udało.

- Panie Chang... a może powinnam powiedzieć Kardynale? Ten przydomek wydaje mi się zabawny, ponieważ jako dziecko znałam kilku kardynałów, w Rawennie... Był pan w Rawennie?;!

- Nie. Chociaż oczywiście chciałbym. Te mozaiki...

- Są piękne. Takiego odcienia purpury nigdy pan nie widział, a perły... Gdyby pan wiedział, jakie są, musiałby pan tam pojechać, gdyż dręczyłaby pana świadomość, że jeszcze ich pan ma widział. - Znów się zaśmiała. - A kiedy już by je pan zobaczył, też nie zaznałby pan spokoju! Jednak, jak powiedziałam, znałam kilku kardynałów, a w istocie jeden z moich kuzynów - którego nigdy nie lubiłam - sprawował ten urząd, tak więc miło mi widzieć kogoś takiego jak pan, obdarzonego takim przydomkiem. Ponieważ jak pan wie, dość podejrzliwie odnoszę się do władz.

- Nie wiedziałem.

Czas płynął i Chang coraz wyraźniej zdawał sobie sprawę z tego, że ma pomiętą koszulę, niewyczyszczone buty i nieogoloną twarz, że jego styl życia kłóci się z tą niedbałą swobodą, niemal boską gracją tej kobiety.

Jednak wciąż, proszę wybaczyć mi natarczywość, nie wyjaśniła mi pani.

- Oczywiście, oczywiście, a pan jest taki cierpliwy. Pańskie nazwisko oraz informacje, gdzie można pana znaleźć, podał mi pan John Carver.

Carver był prawnikiem, który - wykorzystując kilku pośredników - zatrudnił Changa poprzedniego lata, żeby ustalił miejsce pobytu mężczyzny, który uwiódł mu córkę. Ta przeżyła aborcję, do której zmusił ją stanowczy i pragmatyczny ojciec, lecz od tej pory nie bywała w towarzystwie - najwidoczniej zabieg pozostawił ślady - a Carver szalał. Chang odnalazł winowajcę w burdelu nad morzem i dostarczył do wiejskiej posiadłości Carvera - lekko uszkodzonego, ponieważ mężczyzna stawiał zacięty opór, kiedy zrozumiał swoją sytuację. Zostawił Carvera ze związanym kochasiem leżącym na dywanie i nie interesował się, co było potem.

- Rozumiem - rzekł.

Było absolutnie niemożliwe, żeby ktoś połączył go z Carverem, jeśli nie uzyskał tej informacji od samego prawnika.

- Pan Carver przygotował dla mnie kilka umów i ma do mnie zaufanie.

- A gdybym zdecydowanie stwierdził, że nigdy nie znałem żadnego Johna Carvera i nie łączyły mnie z nim żadne interesy?

Uśmiechnęła się.

- Wówczas okazałoby się, że jest właśnie tak, jak się obawiałam, i musiałabym zwrócić się o pomoc do kogoś innego.

Czekała, co na to powie. Teraz do niego należała decyzja, czy przyjąć ją jako klientkę, czy nie. Najwyraźniej rozumiała konieczność zachowania dyskrecji, była bogata, a jemu przydałoby się coś, co odwróciłoby jego uwagę od niedokończonych sprawy Arthura Trappinga. Przeniósł ciężar ciała na drugą nogę, podskoczył i usiadł na stole. Nachylił się do niej.

- Przykro mi, lecz ponieważ najwidoczniej nie znam pana Carvera, sumienie nie pozwala mi zaakceptować pani jako klientki. Jednakże z czystej sympatii i żeby nie fatygowała się pani na próżno, może mógłbym wysłuchać pani opowieści i wspomóc panią radą, jeśli zdołam i jeżeli pani tego zechce.

- Byłabym zobowiązana.

- Drobiazg.

W odpowiedzi pozwolił sobie na nikły uśmiech. Przynajmniej na razie doskonale się rozumieli.

- Zanim zacznę... Czy musi pan robić notatki?

- Nie zawsze. Uśmiechnęła się.

- W końcu to prosta sprawa i chociaż ja nie jestem w stanie jej rozwiązać, to jestem przekonana, iż nie jest nierozwiązywalna dla człowieka o odpowiednich umiejętnościach. Proszę mi przerwać, jeśli będę mówiła zbyt szybko lub coś pominię. Jest pan gotowy?

Chang skinął głową.

- Zeszłej nocy odbyło się przyjęcie w wiejskiej posiadłości lorda Vandaariffa z okazji zaręczyn jego jedynej córki z księciem Karlem-Horstem von Maasmärck. Z pewnością słyszał pan o tym i docenia pan doniosłość tej okazji. Brałam udział w tym przyjęciu jako szkolna przyjaciółka - a właściwie znajoma - jego córki, Lydii. To był bal maskowy. Jak zaraz się pan przekona, to ważne. Był pan kiedyś na balu maskowym?

Chang pokręcił głową. Ostrzegawcze mrowienie karku przeniosło się niżej, czuł je wzdłuż całego kręgosłupa.

- Lubię je, chociaż są takie niepokojące, gdyż maski zachęcają do swobodnego zachowania wykraczającego poza przyjęte normy, szczególnie podczas przyjęć w tak licznych gronie i w tak rozległym domu. Anonimowość bywa prowokująca i szczerze mówiąc, wszystko może się zdarzyć. Jestem pewna, że nie muszę tego dokładnie wyjaśniać.

Chang ponownie pokręcił głową.

- Moim towarzyszem tego wieczoru był... no cóż, chyba można go nazwać przyjacielem rodziny. Nieco starszy ode mnie i w zasadzie dobry człowiek, który nie mając silnej woli - stoczył się w otchłań alkoholizmu, hazardu i głupich, a nawet nienaturalnych przyjemności. Pomimo to, chyba ze względu na związki łączące nasze rodziny, postanowiłam spróbować przywrócić go na łono lepszej części społeczeństwa. No cóż, nie da się tego łagodniej ująć. Dom jest duży i było w nim wielu gości, a w takim miejscu, nawet w takim miejscu, pojawiają się ludzie, których nie powinno tam być. Bez zaproszenia, bez oglady, myśląc tylko - jeśli można tak powiedzieć - o zysku.

Chang przytaknął skinieniem głowy, jednocześnie zastanawiając się, kiedy wybiec z tego pokoju i ilu jej współników może czekać na schodach.

- Ponieważ... - Tu załamał jej się głos, a w kącikach oczu zabłyśły łzy. Sięgnęła do torebki po chusteczkę. Chang wiedział, że powinien zaproponować jej swoją, ale wiedział też, jak ta chustka wygląda. Znalazła swoją i otarła nią oczy oraz nosek. - przepraszam. To wszystko wydarzyło się tak nagle. Zapewne często widuje pan ludzi w opałach.

Kiwnął głową. W opałach, które sam wywoływał, ale tego nie musi wiedzieć.

- To musi być straszne - szepnęła.

- Człowiek do wszystkiego się przyzwyczaja.

- Może właśnie to jest najgorsze. - Złożyła chusteczkę i schowała ją do torebki. - Przepraszam, pozwoli pan, że będę mówiła dalej. Jak już powiedziałam, to było duże przyjęcie i trzeba było rozmawiać z wieloma osobami, nie tylko z Lydią i księciem Karlem-Horstem, więc byłam bardzo zajęta. Po pewnym czasie zorientowałam się, że od dłuższej chwili nie widziałam mojego towarzysza. Zaczęłam szukać, ale nigdzie go nie było. Poprosiłam o pomoc kilku znajomych i dyskretnie przeszukaliśmy dom, mając nadzieję, że po prostu za dużo wypił, położył się gdzieś i zasnął. Odkryliśmy, panie Chang - Kardynale - że został zamordowany. Po kilku rozmowach, jakie przeprowadziłam z gośćmi, jestem pewna, że znam tożsamość sprawcy. Chcę - a raczej chciałabym, gdyby zgodził się pan przyjąć to zlecenie - aby ta osoba została odnaleziona.

- I przekazana władzom?

- Przekazana mnie.

Spokojnie napotkała jego spojrzenie.

- Rozumiem. A tą osobą jest...?

Naprężył mięśnie, szykując się do skoku. Trzymając brzytwę na jej gardle, mógłby przedostać się przez kordon czekających na dole ludzi.

- Młoda kobieta. Ma metr pięćdziesiąt pięć wzrostu, lecz nie więcej, kasztanowe kręcone włosy, jasną cerę, ładna, choć pospolitej urody. Miała zielone buty i czarny podróżny płaszcz. Ze względu na sposób, w jaki został zabity mój przyjaciel, można z przekonaniem twierdzić, że była bardzo zakrwawiona. Podała nazwisko Isobel Hastings, niewątpliwie zmyślone.

\*

Potem zadał jej kilka pytań, ale myślami był daleko, próbując znaleźć jakiś sens w tym zbiegu okoliczności. Rosamonde nie potrafiła powiedzieć nic więcej o tej kobiecie - zapewne wysokiej klasy prostytutce, inaczej nie wiadomo, jak zdołałaby z taką łatwością dostać się na przyjęcie, lecz Rosamonde nie miała pojęcia, jak tam przybyła ani jak uciekła. Zapytała go, ile zwykle bierze. Powiedział jej i zaproponował, powtarzając, że tylko w przypadku, gdy zaakceptuje ją jako klientkę, aby wybrali miejsce spotkań lub pozostawiania wiadomości. Rozejrzała się i odparła, że biblioteka najzupełniej jej odpowiada jako miejsce spotkań, a wiadomości dla niej można zostawiać w hotelu St. Royale. Z tymi słowami wstała i wyciągnęła rękę. Poczul się jak głupiec, ale pochylił się i ucałował jej dłoń. Pozostał tam, patrząc, jak odchodzi, a niepokojący widok jej kształtów był doskonałym odbiciem jego niespokojnych myśli.

\*

Przede wszystkim posłał wiadomość do Johna Carvera, prosząc o potwierdzenie, via Raton Marine, że prawnik podał jego nazwisko młodej damie w potrzebie. Ponadto musiał coś zjeść. Nic nie jadł od poprzedniego dnia, od czasu, gdy kupił sobie pasztecik na St. Isobel Square, więc był głodny jak wilk. Jednocześnie, schodząc po marmurowych schodach przed biblioteką na otwartą przestrzeń, miał poważne obawy, że może być śledzony. Poszedł na zachód, w kierunku Garden Circus i tamtejszych sklepów, po czym przystanął przy kiosku z gazetami, udając, że przegląda program wyścigów. Wyglądało na to, że od biblioteki nikt za nim nie szedł, co jednak o niczym nie świadczyło, gdyż jeśli byli sprytni, mogli rozstawić ludzi w różnych miejscach, a także w wynajętym pokoju. Odłożył program i przetarł oczy.

Na straganach z żywnością kupił następnego pasztecik - Kardynał nie był wybredny - oraz małe piwo. Szybko zjadł i wypił, po czym poszedł dalej. Zbliżała się czwarta, zaczynało się ściemniać, a wiatr oziębził się z nadejściem wieczoru. Chang wiedział, że ma trzy możliwości: wrócić do Raton Marine i czekać na wieści od Aspiche'a lub Cravera, obserwować hotel St. Royale i dowiedzieć się jak najwięcej o nowej klientce, zaczynając od jej prawdziwego nazwiska; oraz trzecią - zacząć odwiedzać burdele. Uśmiechnął się. Wybór był prosty.

Prawdę mówiąc, wizytacja burdela o tej porze miała sens, gdyż dopiero otwierały swe podwoje, więc miał większe szanse uzyskania jakichś informacji. Mógł zacząć od nazwiska Isobel Hastings, bo nawet jeśli było fikcyjne, Chang wiedział, że ludzie przyzwyczajają się do swoich przykrywek i raz użyte przybrane nazwisko prawdopodobnie zostanie podane ponownie - a jeśli było prawdziwe, tym lepiej - Zawrócił w kierunku rzeki, przeszedł kawałek bulwarem, do zepsutego serca starego miasta. Najpierw zamierzał odwiedzić najnędzniejsze domy, ponieważ szybko zapełniały się klientelą. Ten dom nazywano South Quays, gdyż stał frontem do rzeki, a ponadto było to żartobliwą aluzją (ponieważ w mieście nie było południowego mola) do pewnych, zachęcających do zacumowania na dłużej, części kobiecego ciała. Przyjmowano tam głównie ludzi morza i bezlitośnie eksploatowano zatrudnione kobiety, a jednak było to najlepsze miejsce do rozpoczęcia poszukiwań. South Quays stanowiło ściek, do którego spływały wszystkie szumowiny miasta.

Idąc, pożałował, że zostawił gazetę na stoliku. Będzie musiał kupić drugą i poszukać w niej wiadomości o następnym zabójstwie. Nawet enigmatyczna wzmianka o „zaginięciu” dostarczy mu nazwisko towarzysza Rosamonde. Kolejna śmierć w posiadłości Roberta Vandaariffa podczas takiej uroczystości z pewnością skłoni finansistę do wyciszenia sprawy, chociaż Chang zastanawiał się, jak długo uda się ukrywać śmierć Trappinga. Wiedział, że nawet jeśli Rosamonde go nie okłamała, za jej opowieścią kryło się coś więcej. Dowodziło tego jego spotkanie w pociągu z Persefona (wolał to imię od Isobel). Jednak podejmując śledztwo zlecone przez Rosamonde (czy jak tam się naprawdę nazywała), mógłby rozwikłać sprawę Trappinga, jednocześnie pilnując własnych interesów, gdyż dowiedziałaby się znacznie więcej o tym domu, gościach, przyjęciu i okolicznościach. Tylko że ona nie podała mu żadnych szczegółów poza opisem kobiety, którą chciała odnaleźć. Idąc, cmoknął z irytacją, stwierdzając, że może zapewnić sobie bezpieczeństwo, jedynie podejmując działania, które prawdopodobnie ujawnią jego udział w tej sprawie.

\*

Kiedy tam dotarł, na Digging Lane było jeszcze pusto. Znalazł się na tyłach domu, którego front wychodził na rzekę, co pozwalało szybko pozbyć się awanturników lub niewypłacalnych klientów. Przed wąskimi drewnianymi drzwiami, pomalowanymi jaskrawo, żółtą farbą, wyróżniającą się na tej uliczce brudnych cegieł i poplamionego od deszczów drewna, stał postawny mężczyzna. Chang podszedł do niego i kiwnął głową. Mężczyzna poznał go i odpowiedział takim samym skinieniem. Potężną pięścią zastukał trzy razy w drzwi. Otworzyły się i Chang wszedł do małego holu, z tanim chodnikiem na podłodze i kopnącą lampą naftową zamiast gazowej. Następny potężnie zbudowany mężczyzna zażądał

jego laski, którą Chang mu oddał, a potem z zawodowym uśmiechem wskazał zasłonę z koralików, za którą znajdował się salon. Chang pokręcił głową.

- Przyszedłem porozmawiać z panią Wells - rzekł. - Zapłacę za jej czas.

Mężczyzna zastanowił się, po czym wszedł za zasłonę. Po; krótkiej chwili, którą Chang spędził, oglądając tani reprint oprawiony w ramki i zawieszony na ścianie (przedstawiający życie intymne chińskiej kobiety z gutaperki), goryl wrócił i przeprowadził go przez salon - obok trzech kanap pełnych półnagich, przesadnie umalowanych kobiet, wszystkich wyglądających równie młodo i nędznie w tym obrzydliwie przyćmionym świetle, ziewających, drapiących się, a nawet pokasłujących w chusteczki - do pokoju pani Wells, która siedziała przy kominku z księgą rachunkową na kolanach. Była siwowłosa, mała i chuda, a w pracy rutynowo opiekuńcza i brutalna jak farmer. Podniosła głowę i spojrzała na niego.

- Jak długo to potrwa?

- Jestem pewny, że niedługo.

- Ile chcesz zapłacić?

- Przygotowałem tyle.

Sięgnął do kieszeni i wyjął pomięty banknot. Było to więcej, niż powinien zaproponować, lecz w tej sprawie ryzyko było większe niż zwykle, więc nie zamierzał skąpić. Rzucił banknot na książkę rachunkową i usiadł na krześle naprzeciwko pani Wells. Wzięła pieniądze i skinęła na postawnego mężczyznę, który wciąż stał w przejściu. Chang usłyszał, jak goryl wychodzi i zamyka drzwi, ale nie odrywał oczu od kobiety.

- Nie mam zwyczaju dostarczać informacji o moich klientach - zaczęła.

Mówiąc, dzwoniła zębami - w znacznym procencie zrobionymi z białej porcelany, co dość odrażająco uwydatniało prawdziwy kolor tych naturalnych, które jej pozostały. Chang już zapomniał, jak bardzo go to irytuje. Przerwał jej, podnosząc dłoń.

- Nie interesują mnie pani klienci. Szukam kobiety, niemal na pewno dziwki, którą pani może znać, nawet jeśli jej pani nie zatrudnia.

Pani Wells powoli pokiwała głową. Chang nie wiedział, co to ma znaczyć, lecz ponieważ nic nie mówiła, dodał:

- Być może nazywa się Isobel Hastings lub takiego używa nazwiska. Ma około metra pięćdziesięciu, kasztanowe włosy, kręcone. Najistotniejsze jest to, że mogła być widziana dziś rano w czarnym płaszczu, cała zbryzgana zaschniętą krwią, pokrywającą jej twarz, włosy, wszystko. Spodziewam się, że taka dziewczyna, wracająca w takim stanie do pani domu lub jakiegokolwiek innego - chociaż podobne rzeczy się zdarzają - zwróciłaby uwagę.

Pani Wells nic nie powiedziała.

- Pani Wells?

Pani Wells nadal milczała. Szybkim ruchem, zanim zdążyła zamknąć księgę, Chang wyciągnął rękę i zabrał banknot. Spojrzała na niego zdziwiona.

- Chętnie zapłacę za to, co pani wie, lecz nie za uparte milczenie.

Uśmiechnęła się powoli i z namysłem, jakby wyciągała nóż.

- Przepraszam, Kardynale. Tylko się zastanawiałam. Nie znam dziewczyny, o której pan mówi. Nie znam tego nazwiska i żadna z moich dziewczyn nie przyszła do domu zakrwawiona. Z pewnością usłyszałabym o tym i zażądałabym rekompensaty.

Zamilkła, uśmiechając się. Patrząc jej w oczy, odgadł, że wie więcej. Oddał jej banknot. Wzięła go, umieściła w księdze rachunkowej jak zakładkę i zamknęła ją. Chang czekał. Pani Wells zachichotała. Był to nadzwyczaj nieprzyjemny dźwięk.

- Pani Wells?

- Nic, nic. Tylko że jest pan trzecią osobą, która o nią pyta.

- Aha.

- Tak właśnie.

- Mogę spytać, kim były dwie poprzednie osoby?

- Może pan.

Uśmiechnęła się, ale nic nie powiedziała, co było milczącym żądaniem zapłaty. Chang był w rozterce. Z jednej strony zapłacił jej już znacznie więcej, niż powinien. Z drugiej, jeśli potraktuje ją brzytwą, będzie musiał uporać się z dwoma goryłami przy drzwiach.

- Sądzę, że zawsze dobrze panią traktowałem, pani Wells... czyż nie?

Znów zachichotała, doprowadzając go do szału.

- Oczywiście, Kardynale, i ufam, że tak będzie nadal. Tamci nie okazali... takiego szacunku. Dlatego powiem panu, że pierwszą osobą była młoda dama, która pojawiła się dziś rano, twierdząc, że jest siostrą poszukiwanej, a drugą, zaledwie godzinę temu, mężczyzna w żołnierskim mundurze.

- Czerwonym?

- Nie, to był czarny mundur. Cały czarny.

- A ta kobieta... - Spróbował przypomnieć sobie Rosamonde. - Była wysoka? Czarnowłosa? Miała fioletowe oczy? Piękna?

Pani Wells pokręciła głową.

- Nie miała czarnych włosów. Jasnobrązowe. I była zaledwie ładna - a raczej byłaby, gdyby nie oparzenia na twarzy. - Pani Wells się uśmiechnęła. - No wie pan, wokół oczu. Okropność. Jak pan wie, oczy to okna duszy.

\*

Chang wrócił do Raton Marinę. Był wściekły. Nie tylko dowiedział się, że jest zaledwie jednym z tych, którzy szukają tej kobiety, ale niewiele brakowało, by odkryto jego udział w tej aferze, w wyniku czego mógł zawisnąć, nieważne, czy zabił Trappinga, czy nie. To rozwścieczało go jeszcze bardziej. Snuł ponure podejrzenia. Kiedy dotarł do Raton Marinę, już prawie zapadł zmrok. Nie było żadnych wiadomości od Johna Carvera. Nie chcąc na razie przesłuchiwać byłego klienta, Chang poszedł do następnego domu uciech, w pobliżu gmachu sądu. Ten zwany był Second Bench, znajdował się niedaleko i w nieco bezpieczniejszej dzielnicy. Zamierzał po drodze zebrać myśli.

Gdy zmusił się i rozłożył zebrane informacje na czynniki pierwsze, przyznał, że nie było niczego dziwnego w tym, iż pani Wells nie zna Persefony. Kiedy ujrzał ją w pociągu, odniósł wrażenie, że obraz, jaki sobą przedstawiała, był złudny - że dla niej była to niezwykle sytuacja - obciążająca czy też sensacyjna - obojętnie jak niezwykle historia się za tym kryła. Jej loki, chociaż zakrwawione i zmierzwione, były zadbane - co mogło świadczyć o tym, że miała pokojówkę. To oznaczałoby Second Bench, a nawet trzeci z domów uciech, Old Palace. Te szacowne przybytki zatrudniały dziwki wyższej klasy, obsługujące klientelę z lepszych sfer. Były oknami zapewniającymi wgląd w coraz wyższy pułap stołecznego handlu ciałem. Chang odwiedzał Palace jedynie wtedy, kiedy dysponował sporą ilością gotówki, czyli dzięki usługom, jakie oddał jego zarządcy. Nieprzyjemny charakter South Quays rodził pytanie, w jaki sposób te dwie osoby odkryły jego istnienie i dlaczego przyszło im do głowy, żeby tam szukać. Obecność żołnierza mógł zrozumieć, ale kobiety - podającej się za jej siostrę? Szczerze mówiąc, kobieta miała niewielkie możliwości, by dowiedzieć się o istnieniu takiego miejsca, gdyż South Quays był niemal niewidzialny dla ogółu społeczeństwa. Na przykład gdyby Rosamonde wiedziała o tym burdelu, zaskoczyłoby go to bardziej niż prywatny list od papieża. Tymczasem tych dwoje wiedziało. Kim są i dla kogo pracują? I kim jest kobieta, której wszyscy szukają?

To bynajmniej nie potwierdzało bajeczki jego klientki o biednym zamordowanym przyjacielu, który może wcale nie był przypadkową i niewinną ofiarą, lecz zginął z jakiegoś konkretnego powodu - spadku? tytułu? zemsty? - co zataiła przed Changiem w trakcie rozmowy. Kardynał wrócił myślami do pociągu i spojrzął w nieodgadnione szare oczy. Czy patrzył na zabójczynię, czy na świadka? A jeśli naprawdę zabiła... to z premedytacją czy w

samoobronie? Każda z tych ewentualności zmieniała motywów osób, które jej szukały. Fakt, że nikt z nich nie poszedł na policję - nawet jeśli zażądał tego sam potężny Robert Vandaariff - nie świadczył najlepiej o ich dobrych intencjach.

\*

Nie żeby dobre intencje były czymś normalnym w życiu Changa. Zazwyczaj korzystał z usług Second Bench, aczkolwiek było to spowodowane bardziej chęcią zachowania równowagi między możliwościami finansowymi a prawdopodobieństwem złapania paskudnej choroby niż jakimiś szczególnymi zaletami tego burdelu. Mimo wszystko znał personel i obecnego zarządcę - grubasa z ogoloną na łyso głową, zwanego Jurgins i noszącego mnóstwo pierścieni na palcach, który zawsze wydawał się Changowi współ-, czesnym odpowiednikiem nadwornego eunucha. Jurgins miał jowialny sposób bycia, który jednak zniknął jak za dotknięciem magicznej różdżki, ilekroć była mowa o pieniądzach, i pojawiał się znowu, gdy nic nie budziło jego nienasyconej chciwości. Ponieważ wielu jego klientów pochodziło z kręgów biznesowych lub prawniczych, chciwość ta nie zwracała niczyjej uwagi i z pewnością nie była mu brana za złe.

Zamieniwszy kilka cichych słów z ludźmi przy drzwiach, Chang został zaprowadzony do prywatnego pokoju Jurginsa. Pomieszczenie było obwieszane gobelinami i oświetlone kryształowymi lampami o abażurach ozdobionych delikatnymi frędzlami, a w powietrzu unosił się tak intensywny zapach perfum, że drażnił nawet słabe powonienie Changa. Jurgins siedział za biurkiem. Znał Changa na tyle dobrze, aby spotkać się z nim sam na sam, a jednocześnie zostawić otwarte drzwi i goryla w pobliżu. Chang usiadł naprzeciwko niego i wyjął z kieszeni banknot. Pokazał go Jurginsowi. Ten mimo woli pożądlawie postukał palcami w blat.

- Co mogę dziś dla pana zrobić, Kardynale? - Ruchem głowy wskazał banknot. - Czy to prośba o coś szczególnego? Coś... egzotycznego?

Chang zmusił się do obojętnego uśmiechu.

- Moja sprawa jest prosta. Szukam pewnej młodej kobiety, która być może nazywa się Isobel Hastings i mogła pojawić się tutaj, lub w innym podobnym przybytku, dziś wczesnym rankiem, w czarnym płaszczu, mocno zakrwawiona.

Jurgins w zadumie zmarszczył brwi i pokiwał głową.

- Tak więc szukam jej.

Jurgins ponownie skinął głową. Chang napotkał jego spojrzenie i uśmiechnął się z namysłem. Widząc to, z natury przymilny Jurgins uśmiechnął się również.

- Ponadto... - Chang zamilkł na moment, by podkreślić wagę tego stwierdzenia - interesują mnie dwie osoby, które już marnowały twój czas, wypytując o nią.

Jurgins uśmiechnął się szeroko.

- Rozumiem. Wszystko rozumiem. Jest pan sprytnym człowiekiem, zawsze to mówiłem.

Chang skwitował ten komplement nikłym uśmiechem.

- Spodziewam się, że był to mężczyzna w czarnym mundurze i kobieta o brązowych włosach, dobrze ubrana i z... dziwnym śladem po oparzeniu wokół oczu. Czy to dokładny opis?

- Jak najbardziej! - uśmiechnął się Jurgins. - On przyszedł z samego rana i zbudził mnie, a ona tuż po śniadaniu.

- I co im powiedziałaś?

- Obawiam się, że to samo, co muszę powiedzieć panu. To nazwisko nic mi nie mówi. I nie słyszałem żadnych wieści o takiej zakrwawionej dziewczynie ani w tym, ani w żadnym innym domu. Przykro mi.

Chang nachylił się i położył banknot na biurku.

- Nieważne. Nie spodziewałem się niczego innego. Opowiedz mi o tamtych dwojgu.

- Było tak, jak powiedziałem. Ten mężczyzna był oficerem jakiejś formacji - no wie pan, nie znam się na wojskowości - i chyba w pana wieku, uparty brutal, niechący przyjąć do wiadomości, że nie jestem jego podkomendnym, jeśli pan rozumie, co mam na myśli. Kobieta powiedziała, że ta dziewczyna to jej siostra i była całkiem ładna - jak pan mówił, gdyby nie te oparzenia. Mimo to mamy klientów, którzy lubią takie rzeczy.

- A ich nazwiska, a raczej te, jakie podali?

- Oficer przedstawił się jako major Black. - Jurgins uśmiechnął się szyderczo na tak oczywiste łgarstwo. - Kobieta podała się za panią Marchmoor. - Zachichotał z ponurej uciechy. - Jak powiedziałem, chętnie zaproponowałbym jej pracę, gdyby sytuacja nie była tak delikatna. W końcu straciła siostrę i w ogóle...

\*

Second Bench i Old Palace znajdowały się naprzeciwko siebie na północnym brzegu rzeki, więc idąc do Pałace, Kardynał przechodził tak blisko Raton Marine, że postanowił wpaść tam i sprawdzić, czy Carver przysłał wiadomość. Nie przysłał. To było niepodobne do Carvera, który uważał się za tak ważną osobistość, że zawsze miał przy sobie gońców i posłańców - szczególnie późnym wieczorem. Może Carver wyjechał na wieś, co jeszcze zmniejszało prawdopodobieństwo tego, aby od wczorajszego wieczoru do dzisiejszego ranka

mógł zarekomendować Rosamonde usługi Changa. Mimo to było to możliwe, więc na razie odłożył decyzję w tej sprawie do czasu, aż dowie się więcej. Wycisnął z Jurginsa nieco szczegółów co do munduru tego oficera - ze srebrnymi wyłogami i dziwną odznaką regimentu, przedstawiającą wilka pożerającego słońce - i powinien wrócić do biblioteki, zanim ta zamknie swoje podwoje. Zamiast tego zdecydował, że musi pójść do Pałace, ponieważ major i ta dziewczyna już tam byli później lub wcześniej, chciał więc dotrzeć tam jak najszybciej, na wypadek gdyby czekały na niego jakieś istotne informacje, co było raczej mało prawdopodobne. Może ustalić nazwę regimentu i zidentyfikować oficera rano, jeśli nadal będzie to istotne.

Przystanął przed Raton Marinę i spojrzał na swój strój, siląc się na obiektywizm. Nie był odpowiednio ubrany, więc powinien wpaść do swojego pokoju i się przebrać. Do Pałace nie wpuszczano byle kogo, a jeśli zamierzał wypytać jego zarządcę, powinien wyglądać jak najlepiej. Przeklinając w myślach tę zwłokę, szybko pomaszerował ciemną ulicą, na której było więcej ludzi niż poprzednio. Jedni kłaniali mu się, gdy ich mijał, inni po prostu udawali, że nie istnieje, co było w tej dzielnicy normalnym zachowaniem. Chang dotarł do drzwi, wyłowił z kieszeni klucz, lecz kiedy próbował włożyć go do dziurki, odkrył, że zamek został wyłamany. Przyklęknął i obejrzał drzwi. Drewno wokół zamka popękało od silnego kopnięcia. Delikatnie pchnął drzwi, które otworzyły się ze zwykłym skrzypnięciem.

Chang spojrzał na pustą, słabo oświetloną klatkę schodową. W budynku panowała cisza. Zastukał laską w drzwi dozorczyńni. Pani Schneider była amatorką dzinu, ale jak na nią było trochę za wcześnie, by upić się do nieprzytomności. Spróbował przekręcić klamkę, ale drzwi były zamknięte. Zapukał ponownie. Przeklął tę babę, nie po raz pierwszy, po czym wrócił na schody. Szybko i po cichu zaczął wchodzić, trzymając laskę w pogotowiu. Jego pokój znajdował się na samej górze, więc Kardynał był przyzwyczajony do wspinaczki. Przechodząc przez kolejne piętra, czujnie spoglądał na drzwi. Wszystkie wyglądały na zamknięte, a ich mieszkańców nie było słyhać. Może zamek wyłamał jakiś lokator, który zgubił klucz? Było to możliwe, ale wrodzona podejrzliwość Changa nie dawała mu spokoju, dopóki nie dotarł na szóste piętro... gdzie zobaczył otwarte na oścież drzwi swojej klitki.

Szybkim ruchem Chang wysunął z polerowanego dębowego drzewca rączkę laski, zakończoną długim obosiecznym ostrzem, i obrócił w dłoni pozostałą część, którą mógł wykorzystać jako pałkę lub go parowania ciosów. Tak uzbrojony, przyczał się w cieniu i nasłuchiwał. Słyszał tylko odgłosy miasta, ciche, lecz wyraźne. Okno było otwarte, co oznaczało, że ten ktoś wyszedł na dach, aby uciec lub się rozejrzeć. Chang czekał, nie odrywając oczu od drzwi. Ten ktoś w środku musiał słyszeć, jak Kardynał wchodził po

schodach, i z pewnością czeka, aż wejdzie... niecierpliwąc się tak samo jak on. Drętwiały mu nogi. Nabrał tchu i cicho wypuścił powietrze, rozluźniając mięśnie, a wtedy wyraźnie usłyszał dolatujący z ciemnego pokoju szmer. Potem znowu. I trzepot skrzydeł. To gołąb, niewątpliwie wlatujący przez otwarte okno. Z obrzydzeniem wstał i podszedł do drzwi.

Gdy wszedł, ciemność pokoju w połączeniu z przydymionymi szklami okularów może niezupełnie go oślepiły, lecz z całą pewnością przeniosły w krainę głębokiego zmroku i być może to wyostrzyło mu pozostałe zmysły, gdyż zaledwie przekroczył próg, wyczuł jakiś ruch po lewej i instynktownie - oraz dzięki znajomości układu pokoju - uskoczył w prawo, w zagłębienie między wysoką szafą a ścianą, jednocześnie zasłaniając się drzewcem laski. W sączącym się przez okno blasku księżyca błysnęło ostrze szabli, koszącym ruchem opadające ku niemu zza drzwi. Chang zszedł z linii ciosu i odparował go laską. Zaraz potem, równie instynktownie, doskoczył do napastnika. Robiąc to, naparł drzewcem na ostrze szabli - nieporęcznej w walce w tak ciasnej przestrzeni - uniemożliwiając przeciwnikowi zadanie następnego ciosu. Prawa ręka Changa, ta, w której trzymał sztylet, śmignęła naprzód jak włócznia.

Mężczyzna jęknął z bólu, a Chang poczuł impet uderzenia, lecz w ciemności nie wiedział, gdzie trafił cios. Mężczyzna próbował przekręcić szablę i wycelować ją ostrzem lub końcem w ciało Changa, który upuścił laskę i złapał go za rękę, starając się do tego nie dopuścić. Cofnął prawą rękę i zadał jeszcze trzy szybkie pchnięcia, jedno po drugim, przekraczając wyrywane z ciała ostrze. Przy ostatnim pchnięciu poczuł, jak mięśnie przeciwnika wiotczeją, więc puścił go i zrobił krok w tył. Mężczyzna z jękiem osunął się na podłogę i zaczął rzeźić. Chang wolałby go przesłuchać, lecz nic nie mógł na to poradzić.

Kiedy chodziło o przemoc, Chang był realistą. Chociaż doświadczenie i umiejętności zwiększały jego szanse przeżycia, Wiedział, że margines błędu jest niewielki i często zależy nie tyle od szczęścia, co od zdecydowania lub siły woli. W tych ułamkach chwil stanowczość, a nawet ponura determinacja były decydujące, a wszelkie wahanie śmiertelnie niebezpieczne. Każdego można zabić, niezależnie od okoliczności, i zawsze może się zdarzyć, że człowiek, który nigdy nie miał w ręku szabli, zrobi coś, czego wytrawny pojedynekowicz nie zdoła przewidzieć. W swoim życiu Chang zarówno zadawał, jak i otrzymywał ciosy i nie łudził się, że umiejętności uchronią go zawsze i przed każdym. W tym konkretnym przypadku miał szczęście, że napastnikowi zależało na załatwieniu sprawy po cichu i zamiast rewolweru wybrał broń całkowicie nieodpowiednią w walce na tak bliską odległość. Gdy pierwszy cios chybił, Chang doskoczył i zdołał go pchnąć, ale margines błędu był bardzo niewielki. Gdyby

Chang przystanął, odskoczył w głąb pokoju lub próbował wpaść na klatkę schodową, następny cios szabli skosiłby go jak kłos żyta.

\*

Chang zapalił lampę, odnalazł gołębia i - mając dziwne uczucie, gdy przechodził nad ciałem napastnika - wyrzucił go przez otwarte okno na dach. W pokoju panował lekki nieład. Został dokładnie przeszukany, lecz bez zniszczenia czegokolwiek, a ponieważ Chang niewiele posiadał, mógł szybko doprowadzić go do poprzedniego stanu. Podeszedł do wciąż otwartych drzwi i zaczął nasłuchiwać. Z klatki schodowej nie dochodził żaden dźwięk, co oznaczało, że albo nikt niczego nie słyszał, albo rzeczywiście był sam w budynku. Zamknął drzwi, których zamek został wylamany tak samo jak w drzwiach frontowych, a potem podparł je krzesłem. Dopiero wtedy uklęknął, wytarł sztylet o mundur zabitego i wsunął ostrze w drzewce laski. Obrzucił ją baczym spojrzeniem. Miał szczęście - gdy odparował cios, szabla uderzyła w laskę płazem i nie uszkodziła drzewca. Postawił laskę pod ścianą i spojrzał na leżącego człowieka.

Był to młodzieniec z krótko ostrzyżonymi jasnymi włosami, w czarnym mundurze ze srebrnymi wyłogami i srebrną odznaką przedstawiającą wilka pożerającego słońce. Na prawym ramieniu miał srebrny epolet porucznika. Chang pospiesznie przeszukał jego kieszenie, które poza drobną sumą pieniędzy (te zabrał) i chusteczką były puste. Potem dokładnie obejrzał ciało. Pierwsze pchnięcie trafiło w bok, tuż pod żebrami. Trzy następne przebiły klatkę piersiową i płuca, sądząc po krwawej pianie na ustach zabitego.

Chang westchnął i przykucnął. Nie znał tego munduru. Buty sugerowały kawalerzystę, jednak oficer mógł nosić rozmaite obuwie, a który młodzieniec na tyle głupi, żeby być oficerem, nie chciałby mieć wysokich czarnych butów? Podniósł szablę. Była to kosztowna broń, doskonale wyważona i bardzo ostra. Długość, lekkie wygięcie i ciężar szabli świadczyły, że była przeznaczona do walki z końskiego grzbietu, do zadawania cięć. Zapewne lekka kawaleria - na pewno nie husaria, może dragoni lub lansjerzy. Oddziały do szybkich manewrów, rekonesansu, działań wywiadowczych. Chang pochylił się nad ciałem i odpiął pochwę szabli. Wsunął broń do pochwy i rzucił na łóżko. Pozbędzie się ciała, ale za tę szablę z pewnością dostanie trochę pieniędzy, gdyby pilnie potrzebował gotówki.

Wstał i odetchnął, w końcu pozwalając napiętym nerwom wrócić do stanu zwykłej gotowości. W tym momencie pozbywanie się zwłok było ostatnią rzeczą, na którą zamierzał tracić czas. Nie miał pojęcia, która jest godzina, a im później przybędzie do Pałace, tym trudniej będzie mu rozmawiać z zarządzającą i tym większą przewagę będą mieli jego rywale. Pozwolił sobie na uśmiech na myśl o tym, że przynajmniej jedno z nich będzie uważało go za

martwego, ale wiedział również, że major będzie oczekiwał wieści od swojego młodego agenta - i to szybko. Chang niewątpliwie mógł oczekiwać następnej wizyty, tym razem liczniejszych gości, i to niebawem. Dopóki nie załatwi tej sprawy w swoim pokoju, nie jest bezpieczny, co oznacza, że musi pozbyć się ciała natychmiast, gdyż naprawdę nie zamierzał zostawiać go tu - być może na kilka dni. Jego węch nie był aż tak słaby.

Tak więc pospiesznie przygotował się do wizyty w Old Pałace: ogolił się, umył nad umywalką, zmienił ubranie, wkładając czystą białą koszulę, czarne spodnie, krawat i surdut, a w końcu wypastował i wyglansował buty. Wepchnął do kieszeni wszystkie pieniądze, jakie miał, oraz trzy tomiki poezji (z *Persefona* włącznie), po czym uczesał przed lustrem jeszcze wilgotne włosy. Wyjął zakrwawioną chusteczkę i zmiętą rzucił w kąt, a potem schował nową do kieszeni surduta, razem z brzytwą. Otworzył okno wyszedł na dach, aby zobaczyć, czy w którymś z pobliskich °kien ktoś stoi lub pali się światło. Nie. Wrócił do pokoju i wzięwszy trupa pod pachy, wytaszczył go przez okno, a potem na przeciwległy skraj dachu. Spojrzał w dół, na zaułek na tyłach budynku, po czym odszukał stertę śmieci wokół jak zwykle zapchanego ścieku. Jeszcze raz się rozejrzał, po czym przeniósł zwłoki poza krawędź, wycelował i puścił. Zabity żołnierz wylądował na stercie śmieci. Jeśli Chang będzie miał szczęście, nie da się od razu stwierdzić, czy spadł, czy został zamordowany w zaułku.

Wrócił do pokoju, wziął laskę i szablę, zdmuchnął lampę i wyslizgnął się przez okno, przymykając je za sobą. Nie dało się zamknąć od zewnątrz, lecz zważywszy na to, że wrogowie i tak wiedzieli, gdzie mieszka, nie miało to żadnego znaczenia. Szedł dachami. Budynki tego kwartału były ze sobą połączone, więc nie przedstawiało to większych trudności, jedynie w paru miejscach musiał uważać na śliskich i ozdobnych gzymsach. Dotarłszy na dach piątego budynku, który był opuszczony, otworzył właz na strych i zeskoczył w ciemność. Zwinnie wylądował na drewnianej podłodze, macał chwilę, aż znalazł luzną deskę. Podniósł ją i wepchnął pod nią szablę, po czym z powrotem zakrył deską otwór. Może nigdy nie wróci po tę szablę, ale musiał założyć, że kolejni żołnierze będą przeszukiwali jego pokój i lepiej, żeby nie znaleźli żadnych śladów bytności zabitego kamrata. Znów zaczął macać i znalazł drabinkę wiodącą na klatkę schodową. Po chwili Chang był już na ulicy, wciąż elegancki, i szedł w kierunku Pałace, mając na i tak obciążonym sumieniu śmierć jeszcze jednego człowieka.

\*

Ten dom zawdzięczał swoją nazwę bliskiemu sąsiedztwu królewskiej rezydencji, przekazanej - gdy jej grube mury stały się zbyt niemodne - około dwustu lat wcześniej w użytkowanie rozmaitym królewskim pociotkom, potem Ministerstwu Wojny, później mieściła

się w nim zbrojownia lub akademia wojskowa, aż w końcu - aż do chwili obecnej - siedziba Królewskiego Instytutu Nauki i Badań. Chociaż mogłoby się wydawać, iż taka organizacja niezbyt zachęca do prowadzenia w pobliżu ekskluzywnego burdelu, to w istocie różne przedsięwzięcia instytutu były niemal zawsze finansowane przez rywalizujących ze sobą najbogatszych ludzi w mieście, chcących na wyścigi opłacać różne wynalazki, odkrycia i badania nowych kontynentów oraz gwiazd, aby już zawsze łączono ich nazwiska z czymś trwałym i pożytecznym. Z kolei członkowie instytutu na wyścigi starali się przyciągnąć sponsorów - i tak obie te społeczności uprzywilejowanych i wykształconych wspólnie stworzyły dzielnicę, której ekonomia oparta była na pochlebstwach i przekupstwie oraz nadmiernej konsumpcji, jaka zawsze im towarzyszy. W ten sposób powstał burdel Old pałace - nazwany, również żartobliwie, od najstarszego pałacu na świecie.

Front domu był szacowny i surowy, a sam budynek wciśnięty w ciągnący się przez cały kwartał rząd identycznych pudeł z szarego kamienia, o stromych dachach, zielonych i jasno oświetlonych drzwiach, z chodnikami prowadzącymi do żelaznej bramy i umieszczoną obok wartownią. Chang stanął tak, żeby być dobrze widocznym, zaczekał, aż otworzą mu bramę, a potem podszedł do drzwi budynku, gdzie następny strażnik wpuścił go do środka. Wewnątrz było ciepło i jasno, a z oddali dochodził wesoły śmiech i dźwięki muzyki. Młoda szatniarka przyszła po okrycie. Chang nie zdjął surduta, ale dał jej laskę i wynagrodził za fatygę. Poszedł na koniec foyer, gdzie chudy mężczyzna w białej marynarce tkwił za pulpitem, pracowicie skrobiąc coś w notesie. Spojrzał na Changa z miną wyrażającą ledwie skrywane rozbawienie.

- Ach - powiedział, jakby dając w ten sposób do zrozumienia, od ilu komentarzy na temat osoby Changa powstrzymuje się z czystej uprzejmości i współczucia.

- Madame Kraft.

- Nie jestem pewien, czy jest osiągalna... W rzeczy samej, jestem pewien, że...

- To ważne - rzekł Chang, spokojnie wytrzymując jego spojrzenie. - Zapłacę za poświęcony mi czas tyle, ile zażąda. Jestem Chang.

Mężczyzna zmrużył oczy, jeszcze raz zmierzył Changa wzrokiem, a potem z powątpiewającym prychnięciem skinął głową. Nabazgrał jeszcze kilka słowna zielonej karteczce, wepchnął ją do skórzanej tulejki, a potem włożył ją do mosiężnej rury przymocowanej do ściany. Z głośnym sykiem tuleja nagle znikła im z oczu. Mężczyzna wrócił do pulpitu i swoich notatek. Mijały minuty. Mężczyzna zupełnie ignorował Changa. Z cichym stuknięciem skórzana tuleja wyłoniła się z innej rury i wpadła do mosiężnej kieszeni

poniżej. Mężczyzna podniósł tuleję i wyjął z niej kawałek niebieskiego papieru. Miał obojętną minę, która zdradzała pogardę.

- Tędy.

\*

Changa przeprowadzono przez elegancki salon i długim korytarzem, w którym światła były przygaszone, a wytapetowane ściany zdawały się jeszcze zacieśniać tę niewielką przestrzeń. Na końcu znajdowały się obite blachą drzwi, w które mężczyzna w białej marynarce zapukał cztery razy, niespiesznie. W odpowiedzi otworzono wąskie okienko, a po obejrzeniu przybyłych je zamknięto. Czekali. Drzwi się otworzyły. Przewodnik kazał Changowi wejść do wyłożonego ciemną boazerią pokoju pełnego biurek, bibularzy i ksiąg, z wielkim liczydłem przymocowanym na honorowym miejscu na stoliku pod ścianą. Drzwi otworzył wysoki mężczyzna w koszuli z długimi rękawami, z ciężkim rewolwerem pod pachą, o ciemnych włosach i skórze barwy wypolerowanego wiśniowego drewna. Ruchem głowy wskazał Changowi następne drzwi na samym końcu biura. Chang podszedł do nich, pomyślał, że uprzejmię będzie zapukać, i zrobił to. Po chwili usłyszał stłumione zaproszenie do wejścia.

Ten pokój był następnym biurem, ale tylko z jednym szerokim biurkiem. Leżała na nim tablica podzielona na kilka kolumn, do której przybito szereg deseczek z otworami na kolorowe kołeczki, układające się w równe rzędy. Całość tworzyła skomplikowaną siatkę. Tablica była zapisana imionami i numerami oraz usiana zatyczkami. Chang widział ją już i wiedział, że przedstawia poszczególne pokoje, pracujące w nich dziewczyny (lub chłopców) oraz godziny, i że każdej nocy jest ścierana i zapisywana ponownie. Za biurkiem, z kredą w jednej i wilgotną gąbką w drugiej, stała Madelaine Kraft, zarządzająca - i jak mówili niektórzy - aktualna właścicielka Old Palace. Ta zgrabna kobieta w nieokreślonym wieku nosiła prostą suknię z chińskiego jedwabiu, który w przyjemny sposób spływał po jej złocistej skórze. Była nie tyle piękna, co pociągająca. Chang słyszał, że pochodzi z Egiptu, a może z Indii, i stopniowo awansowała na swoje obecne stanowisko dzięki dyskrecji, inteligencji i bezlitosnym intrygom. Niewątpliwie miała znacznie większe wpływy niż on, gdyż wysoko postawieni mężczyźni w całym kraju skwapliwie zabiegali o jej milczenie i łaski, będąc na jej usługi. Oderwała oczy od tablicy i ruchem głowy wskazała Changowi fotel. Odłożyła kredę i gąbkę, wytarła palce w suknię i upiła łyk herbaty z białej porcelanowej filizanczki stojącej obok tablicy. Nie usiadła. - Przyszedł pan zapytać o Isobel Hastings?

- Tak.

Madelaine Kraft nic nie powiedziała, co uznał za zachętę do kontynuowania.

- Proszono mnie, żebym ją odnalazł, jako... zakrwawioną damę, wracającą po całonocnej pracy.

- Skąd wracała?

- Tego mi nie powiedziano, zakładając, że ilość krwi wystarczy, żeby ktoś ją zapamiętał.

- Od kogo wracała?

- Nie wiem, ale zakładam, że była to jego krew.

Pani Kraft milczała przez chwilę, pogrążona w zadumie. Chang zrozumiał, że nie zastanawia się, co mu odpowiedzieć, ale czy powiedzieć mu to, co myśli.

- W gazetach piszą, że ktoś zaginął - zauważyła. Chang machinalnie skinął głową.

- Pułkownik dragonów.

- Czy to mógł być on?

- To bardzo możliwe - odparł tak obojętnie, jak potrafił. Znowu upiła łyk herbaty.

- Rozumie pani, że gram uczciwie - dodał Chang. To sprawiło, że się uśmiechnęła.

- Dlaczego miałabym to rozumieć?

- Ponieważ płacę, a pani w interesach postępuje uczciwie. Sięgnął po portfel i wyjął trzy nowiutkie banknoty. Nachylił się i położył je na tablicy. Madelaine Kraft podniosła je, spojrzała na nominały i wrzuciła do otwartej drewnianej szkatułki stojącej obok filiżanki z herbatą. Zerknęła na zegar.

- Obawiam się, że nie mam zbyt wiele czasu. Skinął głową.

- Jak zrozumiałem, moja klientka pragnie zemsty.

- A pan? - zapytała.

- Po pierwsze chcę wiedzieć, kto jeszcze jej szuka. Znam agentów - oficera i „siostrę” - ale nie wiem, kogo reprezentują.

- A potem?

- To zależy. Najwyraźniej byli tu i zadawali pytania. Chyba że i pani jest w to zamieszana.

Lekko przechyliła głowę i po krótkim namyśle usiadła za biurkiem. Sięgnęła po filiżankę, upiła następny łyk herbaty i oburącz przycisnęła ją do piersi, spokojnie przyglądając się Kardynałowi nad blatem biurka.

\*

- No dobrze - zaczęła - zacznę od tego, że nie znam tego nazwiska ani takiej kobiety. Żadna osoba z mojego domu - ani nikt znany moim pensjonariuszkom - nie pojawił się dziś wczesnym rankiem, mając na ubraniu choćby małą plamkę krwi. Zadałam sobie ten trud i

zapytałam o to, i taką otrzymałam odpowiedź. Ponadto major Blach był tu dziś po południu. Powiedziałam mu dokładnie to samo co panu.

Wymówiła to nazwisko inaczej niż Jurgins czy pani Wells, jakby było cudzoziemskie... Czy miał cudzoziemski akcent? Tamci nic o tym nie wspominali.

- A siostra?

Uśmiechnęła się konspiracyjnie.

- Nie widziałam żadnej siostry.

- Kobieta z bliznami na twarzy, po oparzeniach, podająca się za siostrę Isobel Hastings, panią Marchmoor...

- Nie widziałam jej. Może dopiero przyjdzie. Może nie wie o istnieniu tego domu.

- To niemożliwe. W dwóch innych była przede mną, więc o istnieniu tego również powinna wiedzieć.

- Jestem pewna, że ma pan rację.

Chang gorączkowo rozważał różne możliwości. Pani Marchmoor wiedziała o innych domach uciech, ale pominęła ten... Szybko wyciągnął właściwy wniosek: nie przyszła tutaj, ponieważ zostałyby rozpoznana.

- Mogę spytać, czy któraś z pani pensjonariuszek ostatnio... awansowała, może bez pani zgody? Jakaś kobieta o jasnobrązowych włosach?

- Istotnie, tak było.

- Kobieta mogąca szukać zakrwawionej siostry?

- Raczej nie. - Ściągnęła brwi. - Jednak wspomniał pan o bliznach na twarzy.

- Mogły być świeże.

- Niekoniecznie. Margaret Hooke odeszła cztery dni temu.

Córka zrujnowanego młynarza. Nie znano by jej w żadnym z wiejskich domów.

- Czy ma siostrę?

- Nie ma nikogo. Jednak najwyraźniej na coś wpadła. Gdyby mi pan powiedział, co - lub kto - to jest, byłabym zobowiązana.

- Ma pani własne podejrzenia. Dlatego rozmawiamy.

- Rozmawiamy, ponieważ jeden z kilku stałych klientów Margaret Hooke jest właśnie w moim domu.

- Rozumiem.

- Widywała wielu ludzi. Jednak ktoś chcący się czegoś dowiedzieć... Jak już mówiłam, nie mamy wiele czasu na rozmowę.

Chang skinął głową i wstał. Gdy skierował się do drzwi, zawołała za nim, cicho i stanowczo.

- Kardynale? - Obejrzał się. - Jaką pan odgrywa w tym rolę?

- Madame, ja tylko wykonuje zlecenie. Popatrzyla na niego uważnie.

- Major Blach rzeczywiście pytał o Isobel Hastings. Jednak szukał również informacji o mężczyźnie w czerwieni, najemniku, może nawet współniku tej zakrwawionej dziewczyny.

Przeszedł go ostrzegawczy dreszcz. Ten człowiek z pewnością wypytywał także panią Wells i Jurginsa, którzy o tym nie wspomnieli, śmiejąc się za plecami Changa.

- Dziwne. Oczywiście nie potrafię wyjaśnić jego zainteresowania, chyba że śledził moją klientkę i widział, jak rozmawiamy.

- Aha. Skłonił się.

- Dam pani znać, co odkryłem. - Podeszedł do drzwi, otworzył je i znów się odwrócił. - Która z pani pensjonariuszek zabawia klienta Margaret Hooke?

Madelaine Kraft uśmiechnęła się lekko rozbawiona, a jednocześnie ze współczuciem.

- Angelika.

\*

Chang wrócił do frontowych drzwi i odebrał swoją laskę, po czym tak uzbrojony - i nieniekuszony przez personel, zdający się rozumieć, że wszystko zostało uzgodnione - podeszedł do mężczyzny w białej marynarce. Zauważył, że mężczyzna trzyma w ręku następną niebieską karteczkę i zanim zdążył coś powiedzieć, tamten nachylił się do niego i szepnął:

- Tylnymi schodami na dół. Zaczekaj pod schodami, a potem idź za nimi. - Uśmiechnął się. Akceptacja Kraft otworzyła mu wszystkie drzwi. - Dodatkową korzyścią będzie to, że opuścisz ten dom niepostrzeżenie.

Ponownie zajął się swoim notatnikiem, a Chang szybko przeszedł obok niego, kierując się w głąb budynku zachęcająco szerokimi arkadami, ukazującymi urzekające wizje komfortu i luksusu, stawy dla ducha i ciała, śmiech i muzykę - do tylnych drzwi, pilnowanych przez następnego postawnego mężczyznę. Chang spojrzał na niego - sam też był wysoki i ten nagły nadmiar wyższych i masywniej szych mężczyzn zaczynał go męczyć. Zaczekał, aż tamten otworzy mu drzwi, po czym zszedł po niskich drewnianych stopniach do wąskiego korytarza mającego około dwudziestu metrów długości. W tym piwnicznym przejściu było chłodniej, w powietrzu czuło się wilgoć, a ściany były z cegieł. Pod schodami znajdował się schowek. Chang otworzył go i wszedł do środka, zginając się prawie wpół, po czym usiadł na taborecie. Zamknął drzwi i poczuł się jak głupiec.

Spotkanie z panią Kraft przyniosło więcej pytań niż odpowiedzi. Wiedział, że jego rozmowa z Rosamonde w pokoju map była obserwowana, tak więc Black musiał dowiedzieć się o nim od kogoś innego - od jakiegoś innego informatora, spotkawszy go w rezydencji Vandaariffa, albo - co musiał przyznać - od samej Rosamonde. Jeśli panią Marchmoor była Margaret Hooke, to Angelice również groziło zniknięcie - chociaż podejrzenia pani Kraft nie powstrzymały jej od przyjęcia stałego klienta, który mógł być tego przyczyną. To mogło oznaczać, że ten klient nie był tak ważny, jak inna osoba lub siła, dotychczas ukiyta w cieniu. Chang miał nadzieję zdobyć tę informację. Przetarł oczy. W ciągu jednego dnia naraził się na zarzut popełnienia morderstwa, popełnił inne, a następnie został przeciwnikiem co najmniej trzech tajemniczych sił - czterech, licząc Rosamonde - nie mając pojęcia, o co naprawdę toczy się gra. Co więcej, w wyniku tego nie zbliżył się ani o krok do Isobel Hastings, która z każdą godziną stawiała się bardziej tajemnicza.

Pomimo tej gonitwy myśli minęła zaledwie minuta, gdy usłyszał odgłos otwieranych drzwi i kroki schodzących po schodach ludzi, jakiś człowiek coś mówił, lecz Chang nie mógł rozróżnić słów. Pomyślał się, że to towarzystwo składa się z co najmniej trzech osób, może czterech. W końcu zeszli ze schodów i ruszyli korytarzem, oddalając się od niego. Ostrożnie uchylił drzwi schowka i zerknął: tamci musieli iść jeden za drugim, więc zobaczył jedynie plecy ostatniego, niepozornego mężczyzny w eleganckim czarnym fraku. Zaczekał, aż dojdą do końca korytarza, zanim powoli otworzył drzwi na całą szerokość i wydostał się ze schowka. Nim stanął w wyprostowanej pozycji, skręcili za róg i zniknęli. Starając się iść na palcach, żeby wyciszyć odgłos swoich kroków, potruczał spieszenie za nimi, chcąc zmniejszyć dystans.

Dotarłszy do załomu, przystanął, nasłuchując, i ponownie usłyszał ten głos - niski i dziwnie mamroczący - lecz nie zdołał rozróżnić słów, zagłuszonych brzękiem kluczy i szczękiem zamka. Przykucnął i zaryzykował, wyglądając zza rogu, wiedząc, że oczy pojawiające się tuż nad podłogą mają większe szanse ująć uwagi ewentualnego obserwatora. Grupa mężczyzn stała jakieś dziesięć metrów dalej, przed zamkniętymi stalowymi drzwiami. Mężczyzna, który szedł na końcu, nadal stał plecami do Changa. Ten uważnie mu się przyjrzał i zobaczył młodzieńca o rzadkich mysich włosach oblepiających czaszkę. Za nim Chang widział trzech innych ludzi: małego człowieczka w popielatoszarym płaszczu, pochylonego nad zamkiem i usiłującego znaleźć klucz, wysokiego i barczystego mężczyznę w futrze, niecierpliwie postukującego laską w podłogę, i nachylonego - to on mamrotał - nad czwartą osobą, tkwiącą pod jego ramieniem jak kwiat w niedźwiedziej skórze grenadiera: Angelika. Miała na sobie błękitną suknię i nie reagowała na to, co do niej mówił, tylko

beznamiętnie spoglądała na dłonie eleganckiego człowieczka, który szybko przerzucał klucze. W końcu znalazł właściwy, przekręcił go w zamku i otworzył drzwi, z triumfalnym uśmiechem odwracając się do dwóch pozostałych. To był Harald Crabbe.

W tym momencie mężczyzna w futrze otworzył kieszonkowy zegarek i ściągnął brwi.

- Gdzie on się podziewa, do diabła? - zapytał chrapliwym metalicznym głosem. Odwrócił się do trzeciego mężczyzny i syknął wściekle: - Przyrowadź go.

Chang błyskawicznie wrócił za załom korytarza, rozpaczliwie szukając jakiejś kryjówki. Miał szczęście, że siedząc w kucki, odruchowo spojrzał w górę i zobaczył dwie żelazne rury szerokości jego ramienia, biegnące przez całą długość korytarza tuż pod sufitem. Za plecami usłyszał inny głos - Crabbego. Zagłuszający kroki trzeciego mężczyzny, który znajdował się tuż za załomem korytarza. Jeszcze krok i odkryje obecność Changa.

\*

- Bascombe.

- Tak, proszę pana?

- Jedną chwileczkę. - Ton głosu Crabbego zmienił się - najwidoczniej teraz zwracał się do mężczyzny w futrze. - Jeszcze minutka. Nie dawałbym mu poznać naszego rosnącego zniecierpliwienia ani satysfakcji, jaką ten widok niewątpliwie by wywołał. Ponadto - tu ponownie zmienił ton na ociekający słodyczą - jego zdobycz jest z nami.

- Nie jestem niczyją zdobyczą - odparła Angelika cicho, lecz stanowczo.

- Oczywiście, że nie - zapewnił ją Crabbe - ale on nie musi o tym wiedzieć, dopóki nie będziemy gotowi.

Chang spojrzał przerażony. Na drugim końcu korytarza, nad, schodami, otworzyły się drzwi. Ktoś nadchodził. Kardynał znalazł się w potrzasku. Strach dodał mu sił. Rozpędził się i podskoczył, zapierając się nogami o ściany i wyciągając ręce do rur pod sufitem. Jednak jego nogi wciąż były widoczne ze schodów, a grupka za rogiem lada chwila usłyszy kroki. Podciągnął się, zaczepił nogami o rury, a potem silnym szarpnięciem wtoczył się na nie i pospiesznie podwinął połę płaszcza, żeby nie zwisały. Z rozpaczą spojrzał w dół. Jego laska została na podłodze pod ścianą, gdzie ją położył, wyglądając zza załomu korytarza. Nic nie mógł na to poradzić. Tamci nadchodzili. Czy zdążył? Czy go zauważyli? Usłyszeli? Chwilę później - z trudem wstrzymując oddech - Chang ujrzał trzeciego mężczyznę, Bascombe'a, który wyszedł zza rogu i stanął zaledwie kilka centymetrów od jego laski. Kroki z drugiego końca korytarza zbliżały się - głośniejsze, niż sądził. Nadchodziło więcej osób, nie jedna.

- Pan Bascombe! - zawołał któryś z mężczyzn w radosnym powitaniu, tym serdeczniejszym (lub bardziej kpiącym), że prawdopodobnie nie widzieli się zaledwie przez

pięć minut. Jednak ten ton głosił, że to ich wspólna przygoda, wieczór spędzany razem - a także dobitnie świadczył o tym, kto tu jest przewodnikiem, Changa zaswędziały ręce. Cicho oddychał przez nos. Nie mógł uwierzyć, że go nie zauważyli, i szykował się do skoku na Bascombe'a, ataku na nowo przybyłych i ucieczki po schodach. Tuż pod nim przeszli dwaj mężczyźni. Znów zamarł, wstrzymując oddech. Jeden z nich, elegancki gość w nienagannie wyprasowanym czarnym fraku, ze zjeżonymi rudymi bokobrodami i długimi, gęstymi, rudymi włosami (najwidoczniej ten, który zawołał), podtrzymywał chwiejącego się, wyższego i szczuplejszego mężczyznę w stalowoniebieskim mundurze i niebieskim czako na głowie, z rzędem medali na piersi i w wysokich butach, które bezlitośnie utrudniały mu pijacki chód. Gdy znaleźli się dostatecznie blisko, Bascombe doskoczył, podtrzymał umundurowanego z drugiej strony i wszyscy trzej zniknęli za rogiem.

Chang pozostał na miejscu, dopóki nie usłyszał trzasku zamykających się za nimi drzwi, po czym zawisł na rurach i zeskoczył na podłogę. Otrzeptał się - rury były brudne - i podniósł laskę. Odetchnął, karcąc się za to, że w tak głupi sposób wpadł w pułapkę. Wiedział, że uratował go mężczyzna w mundurze, którego pijacki krok odwrócił uwagę tamtych od wszystkiego innego. Przypomniawszy sobie rozmowę mężczyzny w futrze z Crabbem: na którego z tych dwóch czekali - pijanego oficera czy jowialnego dandysa? I chociaż wzbraniał się przed tą myślą, gdyż powoli, lecz nieuchronnie odbierała mu spokój ducha, mijając załom korytarza i patrząc na żelazne drzwi, które zamknęli za sobą, zastanawiał się, który z nich rości sobie prawo do Angeliki?

\*

Przybyła z Macao jako dziecko i została sierotą, gdy jej ojciec, portugalski marynarz, zginął w bójce na noże na drugi dzień po zejściu na ląd. Jej matka była Chinką i uroda dziewczyny zawsze urzekała Changa, od kiedy po raz pierwszy zobaczył ją w salonie South Quay, gdzie znalazła schronienie po okrutnych przeżyciach w publicznym sierocińcu. Egzotyczna uroda i dziwnie pociągająca rezerwa wyniosły ją z tej paskudnej nory do Second Bench, a w końcu, jako dojrzała siedemnastolatka, trafiła do pachnącego luksusem Old Palace, kiedy madame Kraft odkupiła jej kontrakt za niewiadomą sumę. W ten sposób praktycznie stała się dla Changa niedostępna. Nie rozmawiał z nią od pięciu miesięcy. Oczywiście przedtem też prawie z nią nie rozmawiał - z natury nie był skłonny do rozmów, zwłaszcza z kimś, do kogo mógł żywić jakieś uczucia. Chociaż powtarzał sobie, że ona wie, jak szczególne miejsce zajmuje w jego - nie mógł powiedzieć „sercu”, gdyż czymże ono było u człowieka takiej jak jego profesji (może „panoramiczny obraz” byłby lepszym określeniem w jego pogańskiej i jałowej egzystencji) - z jej strony nie usłyszał nigdy słowa zachęty, gdyż

niezależnie od żywionych uczuć, ona tak samo jak on wołała zachować milczenie. Z początku mogło to być spowodowane trudnościami z opanowaniem języka, lecz teraz stało się dowodem jej profesjonalizmu, razem z promiennym uśmiechem, gibkim ciałem i niewiarygodnie nieobecny spojrzeniem. W tych niesamowitych chwilach, które spędzali razem w namiastce intymności, Angelika zawsze była tylko uprzejma i doświadczona, ale też pozwalała dostrzec odrobinę tego bezkresnego wewnętrznego krajobrazu, jak trzymała w zapasie... odrobinę, która utkwiała w duszy Changa jak haczyk.

\*

Spróbował otworzyć metalowe drzwi, nie zdołał i westchnął zniecierpliwiony. To był stary zamek, mający zaledwie opóźnić zdeterminowany pościg, a nie go powstrzymać. Sięgnął do kieszeni płaszcza po kółko z wytrychami i przejrzał je. Drugi pasował i Chang otworzył drzwi - były dobrze naoliwione i nie zaskrzypiały - po czym przeszedł przez nie w ciemność. Przymknął je za sobą, pozostawiając uchylone, i nasłuchiwał. Grupka przed nim szła powoli i nic dziwnego, zważywszy na to, że wśród nich był pijany mężczyzna i Angelika w butach i sukni nieodpowiedniej do marszu ciemnym i wyboistym tunelem. Chang podążał za nimi cicho, trzymając przed sobą laskę i wodząc dłonią po ścianie. Tunel nie był długi - na oko zaledwie dostatecznie długi, żeby wyprowadzić z zaułka i poza następny kwartał domów. Chang spróbował określić kierunek marszu. Najpierw schodami w dół, potem korytarz, zakręt i ciemny tunel, który zdawał się bardzo łagodnie skręcać w lewo... Jedną przecznicę od burdelu znajdowała się najdalej wysunięta ściana pałacu - teraz będącego siedzibą instytutu. Niewątpliwie tunel wybudowano jako sekretne wyjście z pałacu, być może do domu kochanki lub jako drogę ucieczki przed motłochem. Chang uśmiechnął się na myśl o przewrotności losu, ale nie zapomniał o ostrożności. Nigdy nie był w instytucie i nie miał pojęcia, co może tam znaleźć.

Ludzie przed nim zatrzymali się. Ktoś zapukał w następne żelazne drzwi i metaliczne stukanie (laski tego postawnego mężczyzny?) odbiło się w tunelu głośnym echem. Chang usłyszał trzask otwieranego zamka, brzęk łańcucha przeciąganego przez żelazny pierścień, a potem zgrzyt grubych zawiasów. Pomarańczowe światło zboczyło mrok. Tamci stali u podnóża krótkich kamiennych schodów, a nad nimi była otwarta kłapa wjazdu znajdującego się na poziomie ziemi, jak drzwi piwnicy. Kilku innych mężczyzn stało tam z latarniami, kolejno ściskając dłonie przybyłych. Nie zamknęli drzwi - może zamierzali odprowadzić Angelikę z powrotem? - więc Chang wykorzystał to, by wślizgnąć się na górę po kamiennych stopniach, przyciąć i wyrzeć. Nad nim, upiornie nagie w świetle księżyca, kołysały się bezlistne gałęzie.

Wyrzał i przekonał się, że tunel prowadzi na rozległy trawiasty dziedziniec między budynkami pałacu. Kałuża światła oddalała się, gdy grupkę przybyłych prowadzono przez trawnik, więc Chang pozostał w mroku. Skulił się i wyszedł z tunelu - czując się tak, jakby opuszczał kryptę - po czym ruszył za tamtymi, nieco zbaczając w kierunku najbliższego drzewa, którego pień zapewniał mu nieco lepszą osłonę. Okna otaczających dziedziniec budynków były ciemne. Nie miał pojęcia, jaką część pałacu zajmowali ludzie z instytutu i co robili, mógł więc mieć tylko nadzieję, że go nie zauważą. Podbiegł do następnego drzewa rosnącego jeszcze bliżej muru, a gruba murawa stłumiła odgłos jego kroków. Łatwo było się domyślić, dokąd zmierzają tamci - ku następnemu mężczyźnie z latarnią, który stał przy wejściu do jakiejś dziwnej budowli na środku dziedzińca, nieco oddalonej od innych budynków i niepołączonej z żadnym z nich.

Była parterowa, wzniesiona z cegły, bez okien i - na ile mógł stwierdzić - owalna. Zobaczył, że sześciuosobowa grupka wraz z prowadzącymi ją ludźmi dociera do drzwi i wchodzi do środka. Stojący przy drzwiach mężczyzna nie wszedł. Chang przebiegł do następnego drzewa, jeszcze bardziej uważając, żeby nie narobić hałasu. Był jakieś dwadzieścia metrów od drzwi. Wartownik stał nieruchomo. Chang obejrzał dziedziniec, zastanawiając się, czy spróbować podkraść się do owalnego budynku z drugiej strony w nadziei, że znajdzie tam drugie drzwi, okno albo jakiś otwór w dachu. Jednak w końcu przykucnął i postanowił zaczekać. Może strażnik wejdzie do środka albo tamci wyjdą? Wciąż rozmyślał o tych ludziach. Nie znał nikogo z nich poza Crabbem i Angeliką. Ten cały Bascombe był fagasem wiceministra lub mężczyzny w futrze, nie wiadomo, tak jak nie było oczywiste, który z tych dwóch jest tu ważniejszy. Tożsamość dwóch ostatnich była tajemnicą - patrząc spod sufitu, nie widział rysów ich twarzy ani odznak na mundurze pijanego oficera. Najwyraźniej dzisiejsze spotkanie miało jakiś związek z przyjęciem w domu Roberta Vandaariffa, gdyż Crabbe uczestniczył w obu. Czy któryś z nich traktował Margaret Hooke tak samo jak teraz Angelikę - Margaret Hooke, która szukała Isobel Hastings (również będącej u Vandaariffa) i miała takie same ślady na twarzy jak martwy Arthur Trapping? Jej oparzenia były świeże, a Trapping doznał swoich w ciągu tych kilku minut dzielących jego wyjście z głównej sali od chwili, gdy Chang znalazł go na podłodze, co przynajmniej dowodziło, że te oparzenia nie były przyczyną śmierci Trappinga, ponieważ kobieta przeżyła. Najistotniejszy był luźny charakter grupki zebranej w jakimś wspólnym celu - zrobienia czegoś, czego być może zaledwie ubocznym skutkiem była śmierć Arthura Trappinga i poszukiwania Isobel Hastings. Chang wątpił, aby motywem tych poszukiwań była zemsta.

Jego Persefona być może naprawdę zabiła przyjaciela Rosamonde - ta krew skądś się wzięła - ale polowano na nią z powodu tego, co widziała.

\*

Wartownik nagle odwrócił się plecami do Changa, który po chwili usłyszał kroki na dziedzińcu. W krąg światła wszedł szczupły mężczyzna w długim, ciemnym, dwurzędowym płaszczu ze srebrnymi guzikami i takimiż epoletami, z gołą głową i rękami założonymi do tyłu. Na żądanie wartownika zatrzymał się kilka metrów przed nim, skłonił i trzasnął obcasami. Był ogolony i nosił monokl, który błysnął w świetle lampy, gdy mężczyzna zażądał wpuszczenia do środka, czego strażnik mu odmówił. Mężczyzna westchnął z rezygnacją. Spojrzał w bok i wyciągnął lewą rękę, jakby wskazując miejsce, w którym chciałby poczekać. Wartownik odwrócił głowę, spoglądając we wskazanym kierunku. Mężczyzna błyskawicznym ruchem wyciągnął prawą rękę, kciukiem odbezpieczając czarny i błyszczący pistolet, który wycelował prosto w twarz wartownika. Ten zastygł, po czym na stanowczo wyszeptane polecenie tamtego upuścił broń w trawę, postawił obok lampę, a potem odwrócił się twarzą do drzwi. Mężczyzna wziął lampę i przystawił pistolet do pleców wartownika. Ten kluczem otworzył drzwi i obaj zniknęli w środku.

Nie zamknęli za sobą drzwi. Chang szybko przebiegł po trawie, wyciągnął szyję i zajrzał do środka. Prowadziły do ciasnej klatki schodowej, stromo opadającej kilka pięter w dół. Większa część budynku znajdowała się głęboko pod ziemią i Chang zobaczył dwie postacie na dole schodów, ledwie widoczne w migotliwym pomarańczowym blasku lampy. Rozejrzał się na boki, przygotował laskę i zaczął schodzić po schodach, powoli i cicho, w każdej chwili gotowy do ucieczki. Znow znalazł się w wąskim korytarzu, który z łatwością mógł się zmienić w śmiertelną pułapkę, jednak jeśli chciał zdobyć jakieś informacje, nie widział innej drogi. Tuż przed końcem schodów przystanął, nasłuchując. W oddali słyszał rozmowę, lecz dziwna akustyka podziemi zniekształcała słowa. Chang spojrział w górę. Na schodach nie było nikogo. Poszedł dalej.

Schody doprowadziły go do owalnego korytarza odchodzącego łukiem w dwie strony, jakby tworzył krąg wokół jakiejś sali. Głosy dochodziły z lewej, więc Chang poszedł za nimi, przyciskając się do ściany po lewej, żeby pozostać niewidocznym. Gdy przeszedł około dwudziestu metrów, zrobiło się trochę jaśniej i Chang znow przystanął, gdyż nagle - jakby przeszedł przez jakieś niewidoczne drzwi - zaczął słyszeć wszystko bardzo wyraźnie.

\*

- Nie obchodzą mnie wasze kłopoty. - Głos był gniewny, lecz opanowany. - On jest nieprzytomny.

Mężczyzna mówił z niemieckim lub innym - duńskim czy norweskim? - akcentem. Po tych słowach najpierw zapadła cisza, a potem odezwał się doświadczony dyplomata Harald Crabbe.

Oczywiście, doktorze... musi pan wykonywać swoje obowiązki, to zupełnie zrozumiałe, a nawet godne podziwu. Jednakże rozumie pan powagę sytuacji i rolę, jaką odgrywa czas... oraz konieczność pogodzenia naszych przeciwstawnych obowiązków. Wierzę, że jesteśmy przyjaciółmi i...

- Doskonale. Tak więc przyjaźnie mówię wam dobranoc - odparł doktor.

W odpowiedzi rozległ się brzęk stali - wyciąganej z pochwy szabli - oraz trzask odbezpieczanych pistoletów. Chang z łatwością wyobraził sobie tę patową sytuację. Nie miał tylko pojęcia, o jaką stawkę toczyła się gra.

- Doktorze... - ciągnął Crabbe z coraz wyraźniej słyszalnym popłochem w głosie - taka konfrontacja nie leży w niczym interesie, a życzeniem pańskiego młodego pana, gdyby tylko mógł je wyrazić...

- Nie pana, lecz podopiecznego - uciął doktor. - Jego życzenia w tej sprawie niewiele się liczą. Jak już powiedziałem, wychodzimy, chyba że postanowicie mnie zabić. Jeśli tak, to obiecuję, że najpierw rozwalę łeb temu idiocie księciu, co, jak sądzę, pokrzyżuje wam plany, a także trochę... zirytuje jego wpływowego ojca. Dobranoc.

Chang usłyszał szuranie nóg i po chwili zobaczył doktora jedną ręką podtrzymującego chwiejącego się, nieprzytomnego młodzieńca w mundurze, a w drugiej trzymającego pistolet. Chang powoli cofał się przed nimi krok za krokiem, niewidoczny dla członków większej grupki, którą przed chwilą zobaczył: Crabbe'go, Bascombe'a, dandysowatego rudzielca (który trzymał szablę) oraz trzech strażników (z pistoletami). Nigdzie nie było widać mężczyzny w futrze i Angeliki. Podczas tego odwrotu nikt nic nie mówił - jakby sytuacja nie wymagała żadnych słów - i wkrótce Chang dotarł do schodów. Zastanawiał się, czy nie pobiec nimi na górę, lecz w ten sposób ujawniłby swoją obecność, gdyż z pewnością usłyszeliby jego kroki i nie dotarłby na górę niezauważony. Ponadto mógłby doprowadzić do wybuchu strzelaniny i śmierci doktora, a na razie nie wiedział, czy byłoby to dobre, czy nie. Wciąż miał nadzieję, że dowie się więcej. Jeśli się nie mylił, ten pijany młodzian w mundurze był Karlem-Horstem von Maasmärckiem. I znów tajemnicze powiązania między Robertem Vandaariffem, Henrym Xonckiem i Ministerstwem Spraw Zagranicznych wydawały się bliskie wyjaśnienia. Pogrążony w tych rozmyślaniach, Chang na chwilę zapomniał, gdzie się znajduje. Nagle spostrzegł, że doktor go zobaczył.

Stał z półprzytomnym von Maasmärckiem u podnóża schodów i odruchowo zerknął w głąb korytarza, gdzie ze zdumieniem zobaczył jakiegoś człowieka, w dodatku ubranego na czerwono.

Chang wiedział, że stojąc tam, jest niewidoczny dla pozostałych, więc powoli przyłożył palec do ust, nakazując doktorowi milczenie, doktor wytrzeszczył oczy. Miał jasną skórę i był chudy jak szkielec. Jego jasnoblonde włosy na skroniach i karku były wysoko podgolone, niemal jak u średniowiecznego rycerza, a na czubku długie i ulizane - jednak w trakcie szamotaniny z podopiecznym opadły mu w strąkach na czoło i oczy. Pomimo zdecydowania i pewności siebie nie wydawało się, żeby doktor był człowiekiem czynu, nawykłym do wymachiwania bronią. Chang przezornie wycofał się, utrzymując kontakt wzrokowy, i dał mu znak, żeby ruszył do wyjścia - natychmiast. Doktor ponownie wbił wzrok w tamtych i zaczął tyłem wchodzić po schodach, taszcząc niemal zupełnie bezwładnego księcia. Chang cofał się dalej w głąb korytarza, mając jeszcze większy zamęt w głowie, gdyż zobaczył twarz Maasmarcka i jaskrawoczerwone kręgi oparzeń wokół jego oczu. Tamci zatrzymali się przy drzwiach na dole.

- Jestem pewny, że znów się zobaczymy, doktorze! - zawołał przyjaźnie Crabbe. - I życzę dobrej nocy pańskiemu słodkiemu księciu. - Wiceminister odwrócił się i mruknął do strażników: - Jeśli upadnie, bierzcie go. Jeśli nie, niech jeden z was stanie przy drzwiach, a drugi idzie za nim. Ty... - wskazał wartownika, którego doktor sprowadził na dół pod lufą pistoletu - zostań tutaj.

Dwaj strażnicy pospiesznie zaczęli wchodzić po schodach, znikając Changowi z oczu, a jeden pozostał z pistoletem w dłoni. Crabbe odwrócił się i razem z Bascombe'em oraz rudym dandysem znikł w głębi korytarza, którym przyszli.

- To bez znaczenia - powiedział do nich. - Znajdziemy księcia jutro, tak czy inaczej, a z doktorem możemy rozprawić się w każdej chwili. Nie ma pośpiechu. Poza tym... - Mówiąc to, zachichotał i dodał poufałym tonem: - Mamy inne, równie ważne spotkanie, prawda, Rogerze?

Znaleźli się poza zasięgiem słuchu Changą. Ten powoli cofnął się jeszcze kilka metrów, a potem przystanął. Żeby wyjść, musiałby obezwładnić strażnika albo poczekać, aż tamci wyjdą, zakładając, że odchodząc, zabiorą ze sobą strażników. Odwrócił się i poszedł korytarzem, mając nadzieję, że tworzy zamknięty krąg i doprowadzi go na drugą stronę.

\*

Chang szedł, oburącz trzymając przed sobą laskę - jedną rączkę, drugą drzewce - gotowy w mgnieniu oka wyciągnąć ukryte ostrze. Nie miał pojęcia, czy jest tropicielem, czy

tropionym, ale wiedział, że jeśli sprawy przybiorą zły obrót, może być zmuszony do walki z kilkoma przeciwnikami naraz, co niemal zawsze fatalnie się kończy. Jeśli napastnicy nie tracą zimnej krwi, któryś z nich zawsze znajdzie lukę w obronie i ich samotny przeciwnik padnie, choćby był nie wiedzieć jak dobrze wyszkolony i zręczny. Jedynym wyjściem było atakowanie z jak największą szybkością i rozproszywszy wroga, toczenie szeregu indywidualnych pojedynków z zaskoczenia. W bezpośredniej walce zaskoczenie dawało pewną przewagę, zbijalo z tropu, co w rezultacie jeszcze powiększało tę przewagę: wściekłość brała górę nad rozsądkiem, strach zagłuszał logiczne myślenie. Krótko mówiąc, powinien zaatakować jak szaleniec. Jednak taka zuchwała strategia miała więcej dziur niż naturalny uśmiech pani Wells, i jeśli któryś z przeciwników zachowa zimną krew - inaczej mówiąc, jeśli nie wszyscy są niedoświadczonymi, głupimi, strachliwymi wieśniakami - to ubiją go tu jak świniaka. Lepiej unikać konfrontacji. Starał się nie robić hałasu.

Idąc korytarzem, usłyszał cichy szum dochodzący zza wewnętrznej ściany - z centralnej komory, jeśli takowa tu była. Na podłodze przed nim leżała wielka sterta długich skrzyń, otwartych i pustych, takich samych, jakie widział na wozach nad kanałem oraz w domu Roberta Vandaariffa - chociaż te były wyłożone nie pomarańczowym, lecz niebieskim filcem. Szum z każdą chwilą przybierał na sile, aż powietrze zdawało się wibrować. Chang zakrył uszy rękami. Przykry ucisk zmienił się w okropny ból. Zataczając się, szedł dalej. Korytarz kończył się drzwiami obitymi blachą. Chang starał się omijać skrzynie, lecz nie mógł się skupić i raz po raz potraçał lub przewracał którąś z nich. Jednak ten pulsujący szum zagłuszał wszelkie odgłosy. Zachwiał się i zamknął oczy. Opadł na kolana.

Kardynał Chang jeszcze przez chwilę słyszał ten okropny szum, odbijający się echem w jego uszach, zanim zrozumiał, że dźwięk ucichł. Pociągnął nosem i dotknął swojej twarzy. Poczł wilgoć. Sięgnął po chusteczkę - z nosa płynęła mu krew. Z trudem stanął: między porzrzanymi skrzynkami, dochodząc do siebie, patrząc; na jaskrawe plamy na chustce, składając ją na pół i ponownie ocierając twarz. Pozbierał się, pociągnął nosem, wepchnął chusteczkę do kieszeni i ostrożnie podszedł do drzwi. Przycisnął do nich ucho, nasłuchując, ale były zbyt grube - co tylko zwiększyło jego zdumienie siłą oddziaływania tego szumu, który wywarł taki efekt nawet przez masywne ściany i drzwi. Co się stało z ludźmi, którzy byli w tej sali? Co stanowiło źródło tych dźwięków? Przez moment stał, zastanawiając się, jak ta sytuacja ma się do jego głównych zadań - odnalezienia prawdziwego zabójcy Arthura Trappinga i nieuchwytej Isobel Hastings. Chang wiedział, że zapuścił się na niebezpieczne wody, a może nawet wpadł w pułapkę. Potem pomyślał o Angelice, być może znajdującej się

po drugiej stronie tych drzwi, zamieszanej w to nie wiadomo w jaki sposób, ale z pewnością niemającej nikogo, komu mogłaby zaufać. Nacisnął klamkę.

Ciężkie drzwi bezgłośnie otworzyły się na dobrze naoliwionych zawiasach i Chang prześlizgnął się przez nie jak duch, a kiedy zobaczył widok, jaki ukazał się jego oczom, krew odpłynęła mu z twarzy. Znalazł się w krótkim przedsionku, wydzielonym z większej, wysoko sklepionej sali o ścianach pokrytych lśniącymi rurami, niczym wielkie organy jakiejś katedry, widzianej przez duże okno z grubego szkła. Rury zbiegały aż do podłogi i zbierały się pod podobnym do sceny podium, na którym stał szeroki stół. Na tym stole leżała Angelika, zupełnie naga, z twarzą zakrytą maską z metalu i czarnej gumy, z ciałem niemal niewidocznym pod zwojami czarnych rurek i przewodów, jak apatyczna wersja męczeństwa świętej Isobel. Dalej stało kilku mężczyzn w hełmach z mosiądzu i skóry, z grubymi okularami na oczach oraz dziwnymi pudełkowatymi osłonami na ustach i uszach. Chang poznał ich po ubraniach: niski mężczyzna w szarym stroju, elegancik w czerni, chudzielec, który zapewne był Bascombe'em, i ten potężnie zbudowany, który zdążył zdjąć futro, podwinąć rękawy koszuli, a na ręce założyć grube skórzane rękawice, sięgające do łokci. Wszyscy spoglądali w jego stronę - nie na niego, lecz przez szybę na podium i skomplikowany proces, który się tam odbywał.

Większą część przedsionka zajmowało szerokie kamienne koryto z jakimś bulgoczącym i parującym płynem, do którego wchodziło co najmniej pięćdziesiąt tych cienkich czarnych rurek, pokrywających niemal każdy centymetr podłogi. Nad tym syczącym jeziorem Wisiała na łańcuchach ociekająca metalowa płyta, najwidoczniej dopiero co wyciągnięta z cieczy. Naprzeciwko Changa, po drugiej stronie koryta, stał mężczyzna w skórzanych rękawicach i grubym skórzanym fartuchu oraz jednym z tych dziwacznych hełmów. Niezgrabnie pochylony, trzymał w rękach jakiś pulsujący prostokątny przedmiot, jarzący się matową poświatą, w kształcie dużej księgi, tylko zrobiony z ociekającego, parującego, lśniącego, nieskazitelnie błękitnego szkła. Trzymał tę szklaną księgę na otwartych dłoniach i przedramionach, jakby była zbyt krucha lub niebezpieczna, by ją wziąć w ręce. W głębokim skupieniu najwyraźniej wyjął ją z wrzącej cieczy, a potem zdjął z metalowej płyty. Nagle podniósł wzrok i zobaczył Changa.

\*

Ten nieoczekiwany widok wytrącił go z równowagi. Przez krótką, pełną napięcia chwilę Chang patrzył, jak szklana księga ześlizguje się ze skórzanych rękawic. Mężczyzna rozpaczliwie usiłował ją utrzymać, lecz ta tylko jeszcze szybciej zaczęła zsuwać się w przeciwną stronę. Uczynił jeszcze jedną próbę, ale wypadła mu z rąk, uderzyła o krawędź

kamiennego koryta i roztrzaskała się na tysiąc ostrych kawałków. Chang zobaczył, jak wszyscy biegną w kierunku okna. Mężczyzna przy korycie zatoczył się do tyłu, kurczowo zaciskając ręce najeżone wąskimi odłamkami płonącego szkła. Jednak przede wszystkim czuł odór, ten sam zapach, który unosił się nad ciałem Arthura Trappinga, tylko niewiarygodnie silniejszy. Zapiekły go oczy, ścisnęło w gardle i ugięły się pod nim kolana. Mężczyzna przed nim wrzeszczał - stłumione przez hełm krzyki odbijały się echem w całej sali. Pozostali zbliżali się szybko. Chang nie mógł zrobić kroku. Spojrzał przez okno na leżącą na stole Angelikę, wijącą się, jakby rurki wysysały z niej życiodajną krew, po czym chwiejnie odwrócił się, zasłaniając dłonią usta, półprzytomny od oparów, z chmurami czarnych płatków wirujących mu przed oczami. Pobiegł, ile sił w nogach.

Gnał na oślep przez sterty skrzyń, łapczywie chwytając czystsze powietrze, słysząc za plecami krzyki goniących. Wyrwał ostrze z drzewca laski, szykując się do obrony. Pędził korytarzem, głośno tupiąc, z sercem ściśniętym na myśl o tym, co zobaczył i o pozostawionej tam Angelice. Czy mógł ją uwolnić? Czy przyszła tam dobrowolnie? Co właściwie zrobił? Nagle wpadł na strażnika, który usłyszał jego kroki i rozpaczliwie sięgnął po pistolet. Zdążył wyjąć broń w tej samej chwili, gdy Chang dopadł go i uderzył laską w lufę. Strzał chybił, a prawa ręka Chang'a śmignęła naprzód, mężczyzna zdążył się uchylić i ostrze zamiast w gardło trafiło go w prawe ramię. Zawył. Chang wyrwał ostrze z rany i uderzył drzewcem w twarz strażnika, powalając go na kolana. Obejrzał się, usłyszał przebiegających między skrzyniami ludzi i popędził schodami na górę. Był w połowie drogi, gdy z dołu padł strzał - to strażnik próbował strzelać, trzymając broń w lewej ręce. Chybił, ale hałas musiał niewątpliwie zaalarmować wartownika na górze, któremu wystarczyłoby jedynie zatrzaskać właz, żeby odciąć Changowi drogę ucieczki. Kardynał parł do góry, nie zważając na protesty nóg i dysząc z wysiłku. Wciąż był odurzony oparami, a myślami pozostawał przy stole w wysoko sklepionej sali i zamaskowanej, szamoczącej się Angelice. Następny strzał z dołu, znów pudło, i Chang dotarł na górę. Wyskoczył na dziedziniec i przyjął obronną postawę - lecz nie zobaczył nikogo. Zastygł, chwiejąc się i ciężko dysząc, na pół ślepy w ciemnościach. Obejrzał się w kierunku drzwi i zobaczył strażnika... leżącego nieruchomo, twarzą do ziemi.

Zanim zdążył pomyśleć o doktorze, z mroku wyszły dwie postacie i jedna z nich zatrzaskała drzwi. Chang zrobił krok w tył, w kierunku trawnika, i gwałtownie się odwrócił, słysząc kroki za plecami. Dwie inne postacie. Chciał uskoczyć w bok, schodząc im z drogi, gdy znów usłyszał kroki przed sobą. Był otoczony w ciemności przez sześciu ludzi... noszących czarne mundury i srebrne insygnia. Z brzękiem wyjęli szable. Nic nie mógł zrobić.

Czy Angelika zginęła? Nie wiedział. Nie wiedział niczego. Chang wepchnął ostrze sztyletu w drzewce laski i spojrzął na żołnierzy.

- Albo mnie zabijcie, albo zaprowadźcie do waszego majora. - Wskazał drzwi. - Tamci będą tu lada chwila.

Jeden z żołnierzy odsunął się, robiąc przejście, i skinął ręką, pokazując Changowi szeroki portal, będący właściwą bramą wiodącą na dziedziniec. Gdy Chang mszył naprzód, żołnierze wyciągnęli ku niemu ostrza szabli, a ten, który się odsunął, zażądał:

- Pańska broń.

Chang rzucił mu laskę i szedł dalej, na pół spodziewając się pchnięcia szablą w plecy. Zamiast tego pospiesznie zaprowadzono go w cień portalu i czekającego tam czarnego powozu. Żołnierz niosący jego laskę schował szablę do pochwy i wyjął mały pistolet, który przyłożył Changowi do karku. Gdy to zrobił, pozostali również schowali szable i zajęli się swoimi obowiązkami - dwaj usiedli na koźle, jeden otworzył drzwi powozu i wsiadł, po czym odwrócił się, by pomóc Changowi, a dwaj pozostali pobiegli otworzyć bramę. Ten z pistoletem też wsiadł i zamknął drzwi. Wszyscy trzej usiedli po tej samej stronie, Chang pośrodku, z pistoletem przyciśniętym do żeber. Naprzeciwko nich, po drugiej stronie powozu, siedział żylasty mężczyzna w średnim wieku, o krótko ściętych siwych włosach i twarzy niezdradzającej żadnych uczuć. Zastukał knykciami w dach powozu i ruszyli.

\*

- Major Black, jak dobrze się składa - powiedział Chang. Tamten zignorował go i skinął na tego z pistoletem, który wręczył mu laskę Changa. Major obejrzał ją, wysunął część ostrza z drzewca, prychnął z dezaprobatą i wepchnął je z powrotem. Z nieskrywaną pogardą spojrzął na Changa, ale nic nie powiedział. Jechali w milczeniu przez kilka minut, przy czym lufa pistoletu przez cały czas mocno wbijała się w bok Changa, który zastanawiał się, która jest godzina. Ósma? Dziewiąta? Później? Zwykle potrafił określić godzinę po ssaniu w żołądka, lecz ostatnio jadał tak nieregularnie, że ten sposób zaczął go zawodzić. Musiał zakładać, że zamierzają sprzątnąć go gdzieś po cichu. Ziewnął.

- Interesująca odznaka - rzekł, wskazując pierś majora. - Wilk Skoll połykający słońce. Niezbyt podnoszący na duchu widok. Obraz Ragnarok, czyli ostatecznej bitwy, którą siły porządku muszą przegrać, choć pomagają im bogowie. Chyba że sprzymierzył się pan z chaosem i złem, oczywiście. Mimo wszystko to dziwne insygnia regimentu. Niemal dziwaczne...

Major skinął głową i żołnierz po lewej mocno uderzył Changa łokciem w nerkę. Chang poczuł przeszywający ból. Zaparło mu dech. Mimo to uśmiechnął się i wykrztusił:

- A co z panną Hastings? Znalazł ją pan? Zadał pan sobie zdumiewająco dużo trudu, nieprawdaż? Tylko po to, żeby się przekonać, iż wszystkie wasze informacje o niej były nieprawdziwe. Nie musi mi pan mówić, dobrze wiem, jak się pan czuł. Jak dureń.

Następny silny cios. Żołądek podszedł Changowi do gardła. Będzie musiał być nieco mniej bezpośredni, jeśli nie chce obrzygać sobie kolan. Znow zmusił się do uśmiechu.

- Nie jest pan nawet odrobinę ciekaw, co przed chwilą widziałem? Pańscy ludzie słyszeli strzały. Nie chce pan wiedzieć, kto został zabity? Sądzę, że to może wiele zmienić - równowagę sił i tym podobne sprawy. Przepraszam, czy mogę? Chusteczkę?

Major kiwnął głową, a Chang powoli sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Jego dłoń już prawie się w niej zanurzyła, gdy mężczyzna po lewej odtrącił ją i sam do niej sięgnął, wydając zakrwawioną chustkę. Chang uśmiechnął się w podziękowaniu i wytarł usta. Jechali już kilka minut. Nie miał pojęcia, w jakim kierunku. Prawdopodobnie wiozą go do lasu lub nad rzekę, lecz to oznaczało, że mogą być teraz gdziekolwiek. Popatrzył na majora. Ten przyglądał mu się uważnie.

- No cóż - westchnął Chang. - W istocie. Zamieszanie i strzały, ale najbardziej interesujący był zapach - pewnie wie pan, o czym mówię - dziwny i odurzający, a także dźwięk, to dokuczliwe brzęczenie jak jakiegoś mechanicznego roju, donośne jak szum maszyny parowej. Z pewnością wszystko to pan wie. Jednak to, co robili tej kobiecie... - Chang zamilkł na moment, wytrącony z równowagi wspomnieniem Angeliki wijącej się pod zwojami czarnych rur i otoczonej przez mężczyzn w skórzanych maskach...

- Ta dziwka nic mnie nie obchodzi - rzekł major z ciężkim pruskim akcentem, głosem zimnym i twardym jak stalowy gwóźdź.

Chang spojrział na niego. Sytuacja wyglądała znacznie lepiej. Zakaszał w chusteczkę, otarł usta, wymamrotał przeprosiny, po czym niedbale wepchnął chusteczkę do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

- Tak mi przykro. No tak, oczywiście, majorze, pana interesuje książę i minister, postacie z kręgów przemysłu i finansjery, będące fragmentami wielkiej układanki, prawda? Podczas gdy ja, za pozwoleniem...

- Nie jest pan częścią niczego - prychnął major.

- Miło, że mi pan to mówi - odparł Chang i wyrwał dłoń z kieszeni, błyskawicznie otwierając brzytwę i przykładając ją do gardła żołnierza trzymającego pistolet. Złapał za rękę zaskoczonego dotykem zimnej stali mężczyznę i wykręcił ją tak, że lufa pistoletu była wycelowana w majora. Wszyscy znieruchomieli. - Jeśli któryś się mszy - syknął Chang - ten młodzieniec umrze, a wy będziecie musieli pokonać rozwścieczonego człowieka

trzymającego pistolet, który jest bardzo, bardzo skuteczny na tak niewielką odległość. Puść pistolet.

Żołnierz posłał rozpaczliwe spojrzenie majorowi Blackowi, który skinął głową, gniewnie marszcząc brwi. Chang wziął pistolet, starannie wycelował w twarz majora, po czym usiadł obok Blacka, przyłożył mu brzytwę do szyi, a pistolet wycelował w żołnierzy. Nikt się nie mszył. Chang skinął na żołnierza siedzącego przy drzwiach.

- Otwórz je.

Żołnierz nachylił się i wykonał polecenie. Turkot jadącego powozu nagle stał się głośniejszy i groźniejszy. Ciemna ulica umykała spod kół. Była wybrukowana. Wciąż znajdowali się w mieście i zapewne jechali w kierunku rzeki. Chang wyrzucił pistolet przez otwarte drzwi i wziął swoją laskę. Zastukał nią w dach i powóz zaczął zwalniać. Chang obrzucił groźnym spojrzeniem obu żołnierzy, a potem zwrócił się do majora:

- Powiem panu coś. Zabiłem już jednego z was. Zabiję wszystkich, jeśli będę musiał. Nie podobają mi się wasze metody. Schodźcie mi z drogi.

Wyskoczył przez otwarte drzwi i przeturlał się po bruku. Wstał i chwiejnie mszył przed siebie, wpychając brzytwę do kieszeni. Tak jak się obawiał, żołnierze też wyskoczyli z powozu, a jeden zeskoczył z kozła. Wszyscy wyjęli szable. Chang odwrócił się i uciekł, nie próbując wprowadzić w czyn groźby, którą usiłował nastraszyć majora.

\*

Jakimś cudem podczas skoku z powozu nie zgubił okularów. Wprawdzie były dobrze dopasowane na wypadek takich właśnie sytuacji, ale i tak dziwił się, że nadal ma je na nosie. Przebiegł, kawałek ulicą, na której paliły się lampy gazowe, więc cokolwiek widział, ale nie miał pojęcia, w której dzielnicy się znajduje, tara więc w tym znaczeniu tego słowa biegł na oślep, i co sił w nogach. Nie wątpił, że tamci posiekają go na kawałki, jeśli zdołają go dopaść - byli do tego zdolni i z pewnością porzucili już wszelkie plany, jakie wcześniej mieli wobec jego osoby. Skręcił za róg, potknął się o pęknięty kamień i o mało nie wyłożył się jak długi. Zamiast tego z impetem wpadł na metalowy parkan, stęknął i pobiegł dalej, wzdłuż ogrodzenia. To była lepsza dzielnica szeregowych domków, gdzie ruch uliczny był bardzo słaby. Chang obejrzał się i zobaczył, że ścigający zmniejszają odległość. Spojrzał przed siebie i zaklął. Powóz z majorem Blackiem zawrócił i jechał naprzeciw niego ulicą. Chang rozejrzał się rozpaczliwie i po lewej stronie zobaczył wylot bocznej uliczki. Przyspieszył, chcąc dotrzeć tam przed powozem, który jechał prosto na niego. Woźnica popędzał konie, smagając je batem. Były już tak blisko, że Chang zdołał dostrzec białka ich ślepi, gdy uskoczył w ciemny zaułek i pobiegł, ślizgając się na mokrych kamieniach, dziękując opatrności, że

uliczka jest za wąska dla powozu, który z turkotem przejechał obok. Przez moment zastanawiał się, czy nie powinien zaczekać na żołnierzy i załatwić jednego po drugim. Zaulek nie był na to dostatecznie wąski albo on nie dość głupi lub zdesperowany. Pobiegnął dalej.

Uliczka przechodziła między dwoma dużymi budynkami bez żadnych drzwi i okien niżej niż na wysokości pierwszego piętra. Z przygnębieniem uświadomił sobie, że jeśli odetną mu drogę, znajdzie się w pułapce. Nieco pocieszała go myśl, że podeszwy żołnierskich buciorów jeszcze mniej nadają się do biegania po niej niż jego butów, grożąc poślizgnięciem się na śliskiej i nierównej nawierzchni. Wybiegł z zaułka, nie zobaczył powozu i przystanął. Z rozpędu wypadł na środek ulicy i stał, ciężko dysząc, próbując ustalić, gdzie jest, znaleźć jakiś punkt orientacyjny. Dotarł do części miasta zamieszkaanej przez porządnych obywateli - czyli dzielnicy, którą znał najslabiej. Nagle, tuż przed sobą, słodko zapraszającą jak spełnienie dziecięcej modlitwy, zobaczył następną ulicę biegnącą w dół. Jedyne ulice w tym mieście, które biegnęły w dół, wiodły ku rzece, co przynajmniej pozwoliło mu ustalić strony świata.

Puścił się pędem, po czym odrobinę zwolnił, gdy stromizna zaczęła grozić utratą równowagi. Słyszał biegnących za nim żołnierzy, ścigających go z typowo germańską zawziętością. Zastanawiał się, czy Black i doktor działają razem, a ci żołnierze należą do świty Karla-Horsta Maasmarcka. Ragnarok to koniec świata ze skandynawskiej sagi, więc takie insygnia nosili zapewne żołnierze elitarnego regimentu, co jakoś nie pasowało do rozlazłego i nieprzytomnego księcia. Motywy doktora rozumiał - chęć obrony podopiecznego z królewskiego rodu miała sens - ale czego chciał major? Jakim interesom księcia (albo jego ojca) posłużyłaby śmierć Changa lub schwytanie Isobel Hastings? A czy major mógł służyć komuś innemu? Jakże inaczej dostałby się ze swoimi żołnierzami na terytorium obcego kraju? Wokół jego nóg zaczęły snuć się pierwsze pasma mgły, gdy pobiegł dalej. Łapczywie chwycił ustami wilgotne powietrze.

Ulica skręciła i Chang również. W oddali dostrzegł plac z fontanną i nagle, jakby przekręcił kluczyk i otworzył zasoby pamięci, wiedział już, gdzie jest. Worthing Circle. Po prawej była rzeka, po lewej Circus Garden, naprzeciwko dzielnica handlowa, a za nią ministerstwa. Na placu było sporo ludzi, ponieważ po zmroku na Worthing Circle w najlepsze kwitł nierzęd, tak więc Chang skierował się w prawo, ku rzece i gęściejszej mgle. To o mało nie okazało się zgubne. Czekał tam na niego powóz. Woźnica strzelił z bata i konie mszyły prosto na Changa. Przetoczył się po bruku, uskoczywszy w ostatniej chwili. Miał odciętą drogę do rzeki i dzielnicy handlowej. Podniósł się, gdy woźnica szarpał wodze, próbując zawrócić, i wyprostował się, a w tym momencie nad głową świsnęła mu kula. Black wychylał

się z okna powozu, trzymając dymiący pistolet. Chang przebiegł przez plac tuż przed trzema żołnierzami, ponownie skręcił w prawo i popędził w kierunku Circus Garden, serca miasta.

Bolały go nogi. Nie miał pojęcia, ile już przebiegł, ale wiedział, że musi coś zrobić, inaczej zginie. Zobaczył następny zaułek i wpadł weń. Natychmiast przystanął i przywarł do muru, wyjmując ostrze z laski. Jeśli zdoła z zaskoczenia załatwić pierwszego z nich... Jednak zanim zdążył dokończyć tę myśl, pierwszy żołnierz wyskoczył zza rogu, zobaczył Changa i zasłonił się szablą. Chang laską zadał mu w głowę cios, który tamten zdołał odbić, a sztyletem pchnął w pierś - lecz zbyt wolno i niecelnie. Ostrze przecięło mundur, nie sięgając ciała. Żołnierz złapał go za przegub ręki, w której Chang trzymał sztylet. Dwaj następni żołnierze byli tuż-tuż i mogli dopaść go w ciągu kilku sekund. Chang z gniewnym warknięciem kopnął przeciwnika w kolano i poczuł, jak pękają kości. Żołnierz z krzykiem upadł pod nogi nadbiegającego kamrata. Chang wyrwał mu się i odskoczył, ale zrozpaczony zobaczył, że trzeci żołnierz z szablą w dłoni przeskoczył przez wijących się na ziemi towarzyszy. Chang nadal się cofał. Żołnierz skoczył z wyciągniętą szablą, lecz Chang odbił cios laską i pchnął sztyletem, niej mając nadziei, że cios dosięgnie przeciwnika. Żołnierz zaatakował ponownie i Chang znów odbił ostrze, a wtedy napastnik wymierzył zamaszysty cios w głowę. Kardynał zasłonił się laską - nic więcej nie mógł zrobić - i zobaczył, jak drzewce rozsypuje się w drzazgi. Upuścił resztki laski i uciekł.

\*

Pędząc wąską uliczką, Chang pocieszał się myślą, że za cenę utraty laski pozbył się przynajmniej jednego przeciwnika, ale ze sztyletem przeciwko szablom nie miał żadnych szans. Przed sobą ujrzał wylot alejki i gromadę ludzi, ledwie widocznych w półmroku. Wydał groźny, nieartykułowany okrzyk, który wywarł pożądany efekt: tłum odwrócił się w jego kierunku i pierzchnął - ale nie dość szybko. Chang wpadł na ostatniego z nich - mężczyznę, który najwidoczniej właśnie negocjował cenę za usługi z jedną z umykających kobiet - i złapał go za kołnierz. Brutalnym szarpnięciem okręcił go i cisnął pod nogi pierwszego z nadbiegających żołnierzy. Ten instynktownie podniósł szablę, żeby nie nadzieć na nią nieszczęśnika, i odepchnął go drugą ręką, ale Chang także się odwrócił, schowany za tą prowizoryczną tarczą. W chwili, gdy popchnięty przechodzień odleciał na bok, Chang wbił sztylet w pierś żołnierza. Nie sprawdzając efektu ciosu, wyrwał ostrze z rany, odwrócił się i pobiegł dalej. Za plecami usłyszał krzyki kobiet. Czy trzeci żołnierz wciąż go ściga? Chang zerknął przez ramię. Tak. Przeklinając w duchu wojskową dyscyplinę, Chang przebiegł przez ulicę i wpadł w następną wąską uliczkę, gdyż ostatnią rzeczą, jaką teraz chciał zobaczyć, był powóz majora.

Znów stracił orientację - wiedział tylko, że jest gdzieś w pobliżu Circus. Ta uliczka była zastawiona skrzynkami i beczkami, a biegnąc, minął więcej niż jedne drzwi. Trzeci żołnierz został nieco z tyłu, ale nie rezygnował. Na chwilę zniknąwszy mu z oczu, Chang pochylił się i pobiegł jeszcze szybciej, aż znalazł sklep w suterenie, z wejściem poniżej poziomu chodnika. Przeskoczył przez balustradę i na ugiętych kolanach wylądował u stóp schodków, po czym schował głowę i spróbował powstrzymać sapanie. Czekał. Ulica była ciemna, spowita mgłą i pusta - a nawet jeśli ktoś go zobaczył, być może nie wskaże żołnierzowi jego kryjówki. Chang spływał potem. Nie pamiętał, kiedy ostatnio biegł tak długo i kiedy był w tak idiotycznej sytuacji. Dlaczego wyrzucił pistolet? Jeśli miał popełnić morderstwo, dlaczego nie zastrzelił wszystkich przeciwników w powozie? Czekał. W końcu nie mogąc tego dłużej znieść, wszedł powoli po schodkach i zerknął na ulicę. Żołnierz stał tam, z wyciągniętą szablą, rozglądając się na prawo i lewo. On też ledwo trzymał się na nogach - Chang słyszał, jak głośno dyszy, wypuszczając z ust obłoki pary, najwyraźniej nie wiedząc, w którą stronę uciekł Chang. Zrobił kilka kroków w jedną stronę, wyciągnął szyję, a potem zawrócił. Chang zmrużył oczy i jego desperacja zaczęła zamieniać się w zimny gniew. Po cichu przelożył sztylet do lewej ręki, a prawą wyjął i otworzył brzytwę. Żołnierz wciąż stał plecami do niego, około piętnastu metrów dalej. Chang był pewny, że jeśli tylko zdoła po cichu wyjść na ulicę, przebiegnie połowę dzielącej ich odległości... kilka następnych metrów, zanim tamten się odwróci... a resztę, gdy podniesie szablę do ciosu. Żołnierz zdoła zadać najwyżej jeden cios i jeśli Changowi uda się go uniknąć, będzie po wszystkim.

A jeśli nie? No cóż, tak czy owak będzie jak w tym cytacie z *Jokasty* Blaine'a: *w każdej chwili z prochu w proch*. Przystanął, starając się ochłoniąć z gniewu wywołanego tym, że jest tropiony jak zwierzę na ulicach swojego miasta przez bandę obwiesiów, chcących zakłócić pokój i ład. Zaczął wchodzić po schodach, zamierzając zaatakować (w końcu przecież obiecał, że zabije ich wszystkich). Nagle znów się schował. Powóz z turkotem podjechał bliżej... a potem zatrzymał się tuż przy żołnierzu. Chang czekał, nasłuchując. Usłyszał ostry głos majora, pytającego o coś po niemiecku, potem zapadła cisza, a po chwili rozległ się słodki metaliczny trzask, gdy żołnierz chował szablę do pochwy. Chang wyrzwał i zdążył jeszcze zobaczyć, jak żołnierz wspina się na kozioł i powóz znika we mgle. Spojrzał na swoje ręce i rozluźnił zaciśnięte na broni palce. Poczuł ból. Bolały go też nogi i łomotało w skroniach. Złożył brzytwę i schował ją do kieszeni, a sztylet wetknął za pas. Wytarł twarz zakrwawioną chusteczką. Pot na jego karku i plecach stygł. Chang ponuro przypomniał sobie, że nie ma gdzie spać.

\*

Przeszedł przez jezdnię i wszedł w następną uliczkę, rozglądając się za odpowiednim miejscem. Wiodła między dwoma dużymi budynkami, których nie mógł rozpoznać w ciemności, ale wiedział, że znajduje się w dzielnicy hoteli, biur i sklepów. Odnalazł okno na pierwszym piętrze, umieszczone dostatecznie blisko sterty beczek, i wspiął się na nie. Okno było w zasięgu ręki. Wepchnął ostrze sztyletu między parapet a okiennicę i przekręcił, forsując zatrzask, po czym rękami podniósł okno. Wetknął sztylet za pas i z zawstydzającym trudem - przez moment ryzykownie balansując w powietrzu, gdy ręce niemal odmówiły mu posłuszeństwa - wsunął się do środka. Niezdarnie opadł na podłogę ciemnego pomieszczenia i zamknął okno. Zaczął po omacku badać otoczenie. Był w jakimś składziku z półkami zastawionymi świecami, ręcznikami, mydlami i pościelą. Zdołał znaleźć drzwi i je otworzyć.

Idąc wyłożonym chodnikiem korytarzem, o ścianach pokrytych drewnianą boazerią i oświetlonym ciepłym, zapraszającym blaskiem gazowych lamp, Chang podsumowywał w myślach wydarzenia minionego dnia. Po jednej stronie był Crabbe i mężczyzna w futrze, odpowiedzialni za te dziwne oparzenia, tak więc do nich zaliczył również Trappinga, panią Marchmoor i księcia Karla-Horsta. Po drugiej był major Black... i być może doktor. Pomiędzy tymi dwoma frakcjami było zbyt wielu innych: Vandaariff, Xonck, Aspiche, Rosamonde... i oczywiście Isobel Hastings. Każda lista zawsze kończyła się jej nazwiskiem, jedynej osoby, o której niczego nie zdołał się dowiedzieć.

Korytarz doprowadził go w błogą ciszę ładnie sklepionego pomieszczenia, ozdobionego palmami w donicach i o lustrzanych ścianach, z kontuarem recepcji i tkwiącym za nim mężczyzną we fraku. Chang włamał się do hotelu. Energicznie skinął głową recepcjoniście i sięgnął do kieszeni płaszcza po portfel. Przez ten dzień wydał prawie całą sumę otrzymaną od Aspiche'a, a teraz miał pozbyć się reszty. Nie przejął się tym. Prześpi się, wykąpie, ogoli, zje kolację i nabierze sił przed jutrzejszym dniem. Nazajutrz zawsze może zabrać ze strychu szablę i sprzedać ją za gotówkę. Na myśl o tym uśmiechnął się, dochodząc do kontuaru i kładąc portfel na marmurowym blacie.

- Dobry wieczór panu - powiedział recepcjonista z uśmiechem.
- Mam nadzieję, że nie jest za późno. Recepcjonista zerknął na portfel.
- Oczywiście, że nie, proszę pana. Witamy w hotelu Boniface.
- Dziękuję - odparł Chang. - Chciałbym wynająć pokój.

### 3

## Lekarz

Doktor Abelard Svenson stał przy otwartym oknie wychodzącym na niewielki dziedziniec przedstawicielstwa dyplomatycznego Macklenburga, spoglądając na gęstniejącą mgłę i nieliczne mętne światła miejskich gazowych lamp dostatecznie silne, aby przedrzeć się przez jej grubą kurtynę. Pogryzał korzennego pierniczka, postukując nim o zęby, świadom tego, że długie i ponure rozmyślenia o sytuacji, w jakiej się znalazł, to luksus, na który go nie stać. Językiem wepchnął piernik między zęby i rozgryzł go na kawałki, które również pogryzł, a potem połknął. Odwrócił się plecami do okna i sięgnął po porcelanową filiżankę letniej czarnej kawy, upił łyk, znajdując pewną przyjemność w smaku słodkiego imbirowego syropu zmieszanego z gorzkim napojem. Zadawał sobie pytanie, czy w Tndiach lub Syjamie piją kawę z imbirem. Opróżnił filiżankę, odstawił ją i sięgnął po papierosa. Spojrzał przez ramię na łóżko i leżącą na nim nieruchomą postać. Westchnął, otworzył papierošnicę, włożył do ust paskudnego rosyjskiego papierosa z czarnego tytoniu, po czym z sekretarzyka obok stojącej lampy wziął zapalę i zapalił ją, potarłszy o paznokieć kciuka. Zapalił papierosa, zaciągnął się, poczuł w płucach znajome ciepło, machnięciem zgasił zapalę i powoli wypuścił dym. Nie może tego dłużej odkładać. Musi porozmawiać z Flaussem.

Przeszedł przez pokój do zaryglowanych drzwi, omijając łóżko, po czym - wetknąwszy papierosa w usta, żeby mieć obie ręce wolne do odsunięcia rygla - obejrzał się na bladego młodzieńca, ochryple oddychającego pod wełnianymi kocami. Karl-Horst von Maasmärck miał dwadzieścia trzy lata, choć nieustanne folgowanie przyjemnościom i słabe zdrowie sprawiły, że wyglądał o dziesięć lat starzej. Miał mocno przerzedzone ciemnoblonde loki (co uwidoczniało się szczególnie, gdy były zlepione potem), dziedzicznie cofnięty podbródek, bladą skórę obwisłą pod oczami i wokół słabo zarysowanych ust oraz popsute zęby. Svenson podszedł do nieprzytomnego mężczyzny - a właściwie przerośniętego chłopca - i dotykając tętnicy szyjnej, sprawdził puls, nierównomierny pomimo podanego laudanum, po czym jeszcze raz przeklął swoją klęskę. Ten dziwny owalny wzór odcisnięty na skórze księcia wokół oczu i na skroniach - nie całkiem oparzenie, nawet nie otarcie, raczej przebarwienie, przy odrobinie szczęścia chwilowe - był żywą kpina z daremnych wysiłków doktora Svensona, starającego się kontrolować niezdolnego podopiecznego.

Patrząc na niego, powstrzymał chęć zgaszenia papierosa na policzku księcia i skarcił się w duchu za przyjęcie błędnej taktyki, idiotyczne zaufanie i nadmierną uległość. Skupił się na księciu i nie zwracał uwagi na nowe osoby w jego otoczeniu: członków rodziny tej kobiety, dyplomatów, żołnierzy, wysoko postawionych pieczeniarzy. Nigdy nie przypuszczał, że będzie musiał wydierać księcia z ich łap, grożąc pistoletem. Prawie ich nie znał, a już zupełnie nie orientował się, jakie mieli plany wobec łatwo dającego się odurzyć Karla-Horsta.

Tym wszystkim zajmował się poseł Flaussa, który całkowicie zawiódł... albo wprost przeciwnie. Svenson musiał złożyć Flaussowi raport o stanie zdrowia księcia, ale wiedział, że powinien wykorzystać tę sposobność, by ustalić, czy naprawdę nie ma żadnego sprzymierzeńca w przedstawicielstwie dyplomatycznym. Spojrzał na swój płaszcz wiszący na kolumnie łóżka i przerzucił go sobie przez ramię. Okrycie było cięższe niż zwykle z powodu wepchniętego do kieszeni pistolem. Rozejrzał się po pokoju i nie dostrzegł niczego, co groziłoby przebudzeniem księcia pod jego nieobecność. Odsunął zasuwę i wyszedł na korytarz. Przy drzwiach stał na baczność żołnierz w czarnym mundurze i z karabinem u nogi. Doktor Svenson zamknął drzwi na duży żelazny klucz, który schował do kieszeni marynarki. Żołnierz nawet nie drgnął, gdy doktor przeszedł obok niego i mszył korytarzem, a lekarz wcale o nim nie myślał. Był przyzwyczajony do żołnierzy i ich żelaznej dyscypliny. Wszelkie pytania należało kierować do ich dowódcy, który z niewiadomych powodów tego dnia był nieobecny.

Svenson dotarł na koniec korytarza i stanął na podeście, spoglądając przez balustradę w dół, na znajdujący się trzy kondygnacje niżej hol. Z wysoka widział czarno-białą szachownicę marmurowej posadzki - w wyniku złudzenia optycznego wyglądającej jak schody wiodące jednocześnie w górę i w dół - oraz wiszący nad nią kryształowy żyrandol. Svenson, który miał lęk wysokości, patrząc na gruby łańcuch wiszącego przed nim żyrandola, poczuł lekki niepokój. A kiedy spojrzał - przed czym jak osioł nie potrafił się powstrzymać - w górę, na sklepienie klatki schodowej, do którego ten łańcuch był przymocowany nad podestem czwartego piętra, zakręciło mu się w głowie. Odsunął się od poręczy i wszedł na trzecie piętro, idąc blisko ściany, ze wzrokiem wbitym w podłogę. Wciąż patrząc pod nogi, minął wartowników na podeście i przed drzwiami posła. Skrzywił się, wyprostował i zapukał. Nie czekając na zaproszenie, wszedł.

\*

Kiedy Svenson wrócił z instytutu z księciem, Flauss był nieobecny i nikt nie potrafił wyjaśnić, dokąd się udał. Poseł wpadł do pokoju doktora jakieś czterdzieści minut później - w trakcie daremnych prób oczyszczenia organizmu pacjenta z trucizny lub narkotyku - i władczo zapytał, co doktor Svenson wyczynia. Zanim lekarz zdążył odpowiedzieć, Flauss zauważył leżący na stoliku rewolwer oraz ślady na twarzy Karla-Horsta i zaczął krzyżeć. Svenson odwrócił się i zobaczył, że poseł jest blady jak ściana - nie wiadomo, czy z gniewu, czy ze strachu - lecz na ten widok stracił resztki cierpliwości i wyrzucił natręta z pokoju. Teraz, wchodząc do jego gabinetu, był boleśnie świadomy tego, jak niewiele wie o Conradzie Flaussie. Prowincjonalny arystokrata udający kosmopolitę, prawnik z wykształcenia, znajomy

ze studiów wuja monarchy - tak więc posiadający wszelkie kwalifikacje potrzebne dyplomacie towarzyszącemu księciu podczas zaręczynowej wizyty, a gdyby rezultatem małżeństwa miało być otwarcie ambasady, na co wszyscy mieli nadzieję, objęcie stanowiska ambasadora księstwa. Dla Flaussa - dla wszystkich - Svenson był przyjacielem panującej rodziny, opiekunem, nikim ważnym. Takie traktowanie zasadniczo odpowiadało doktorowi, gdyż niej przysparzało mu pracy. Teraz jednak będzie musiał się postawić.

Flauss siedział za biurkiem, pisząc coś, a jego sekretarz cierpliwie czekał obok i spojrzał na wchodzącego Svensona. Doktor zignorował go, usiadł na jednym z obitych pluszem foteli naprzeciwko biurka i położył sobie na kolanach popielniczkę z zielonego szkła, którą wziął z mijanego po drodze stolika. Flauss przeszył go wzrokiem. Svenson odpowiedział takim samym spojrzeniem i znacząco zerknął na sekretarza. Flauss prychnął, nagryzmolił swój podpis na dole kartki, osuszył ją i wetknął w dłoń sekretarza.

- To wszystko - warknął.

Sekretarz strzelił obcasami i opuścił pokój, dyskretnie zerknąwszy na doktora. Cicho zamknął za sobą drzwi. Dwaj mężczyźni zmierzyli się gniewnymi spojrzeniami. Svenson wiedział, że poseł szykuje się do przemowy i na samą myśl westchnął ze znużeniem.

- Doktorze Svenson, powiem panu, że nie jestem... przyzwyczajony... do takiego traktowania, takiego nieuprzejmego traktowania przez członka misji. Jako kierujący nią poseł...

- Nie jestem członkiem misji - powiedział spokojnie Svenson, przerywając mu.

Flauss aż się zapłuł.

- Przepraszam?

- Nie jestem członkiem pańskiej misji. Jestem członkiem świty monarchy. I odpowiadam wyłącznie przed nim.

- Przed księciem? - skrzywił się Flauss. - Mówiąc między nami, ten biedny młodzieniec...

- Przed diukiem.

- Za pozwoleniem, to ja jestem posłem diuka. Ja przed nim odpowiadam.

- Zatem jednak mamy coś wspólnego - mruknął sucho Svenson.

- Czyżby był pan bezczelny? - syknął Flauss.

Svenson przez chwilę nie odpowiadał, chcąc maksymalnie wykorzystać swoje niewielkie środki nacisku. W rzeczywistości, wbrew temu co powiedział, nie miał żadnej realnej władzy, którą reprezentowali tu wyłącznie Flauss i Blach. Gdyby jeden z nich zwrócił się przeciwko niemu i odkrył, jak słabe ma karty, Svenson byłby na straconej pozycji. Jego

jedyną nadzieją było to, że ci dwaj nie są przekupni, a jedynie niekompetentni. Napotkał wzrok posła i strząsnął popiół do szklanej popielniczki.

- Czy pan wie, Herr Flauss, dlaczego młody człowiek w kwiecie wieku potrzebuje lekarza, który towarzyszy mu w trakcie wizyty zaręczynowej?

Flauss prychnął.

- Oczywiście, że wiem. Książę jest niesolidny i ma słaby charakter. Mówię to jako osoba, której jego dobro głęboko leży na sercu. Często nie potrafi dostrzec politycznych skutków swojego postępowania. Sądzę, że jest to dość powszechne zjawisko wśród młodych...

- Gdzie pan był dziś wieczorem?

Posel gwałtownie zamknął usta i milczał przez chwilę. Nie mógł uwierzyć własnym uszom. Zdobył się na krzywy, wyniosły uśmiech.

- Za pozwoleniem...

- Księżciu groziło poważne niebezpieczeństwo. Pana tu nie było. W żaden sposób nie zdołałby go pan ochronić.

- Właśnie czekam na pański raport na temat stanu zdrowia Karla-Horsta, a szczególnie tych... tych... dziwnych oparzeń na jego twarzy.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie... ale zrobi pan to. Flauss wytrzeszczył oczy.

- Jestem tutaj na bezpośrednie polecenie jego ojca - ciągnął Svenson. - Jeśli nie dopełnimy naszych obowiązków - zarówno ja, jak i pan, Herr Flauss - będziemy winni poważnego niedopatrzenia. Od lat służę diukowi i doskonale rozumiem, co to oznacza. A pan?

\*

Doktor Svenson mijał się z prawdą. Ojciec księcia, diuk, był opasłym i pustogłowym człowiekiem, zbzikowanym na punkcie wojskowych mundurów i polowań. Doktor Svenson dwukrotnie spotkał go na dworze i z niepokojem spoglądał na to, co widział. W rzeczywistości otrzymał polecenia od pierwszego ministra diuka, barona von Hoerna, który poznał doktora pięć lat temu, kiedy Svenson był lekarzem wojskowym mackienburskiej marynarki, znanym głównie - jeśli w ogóle - ze skutecznego leczenia odmrożeń u marynarzy bałtyckiej floty. Seria tajemniczych morderstw w porcie, popełnionych przez kuzyna Karla-Horsta, wywołała skandal, a Svenson wykazał zarówno niezwykłą zręczność w tropieniu sprawcy tych czynów, jak i takt, przekazując te informacje ministrowi. Wkrótce potem został przeniesiony na książęcy dwór, gdzie miał dyskretnie obserwować lub prowadzić śledztwo w rozmaitych przypadkach - chorób, ciąży, morderstw, aborcji - jakie mogą wydarzyć się na

dworze, nigdy nie zdradzając tożsamości swojego zleceniodawcy. Dla Svensona, któremu morze zawsze kojarzyło się ze smutkiem i wygnaniem, możliwość poświęcenia się takiej pracy - w istocie będącej miłym oderwaniem się od natrętnego patriotyzmu - była pożądanym zapomnieniem. Jego obecność w orszaku Karla-Horsta łatwo można było wytłumaczyć i Svenson aż do dziś nie rzucał się w oczy, przekazując zaszyfrowane raporty pocztą dyplomatyczną lub wysyłając pocztówki z subtelnie aluzyjnymi pozdrowieniami miejscową pocztą, na wypadek gdyby ktoś przejmował jego listy. Robił tak już wcześniej - podczas krótkich misji w Finlandii, Danii oraz Nadrenii - ale właściwie nie był szpiegiem, lecz wykształconym człowiekiem, który ze względu na zajmowane stanowisko ma wszędzie łatwy dostęp i jest niedoceniany przez tych, których obserwuje. Tak było tutaj, a tenisowa wymiana drobnych złośliwości między Flausssem a Blachem nieco ożywiła zadanie, wyglądające na trywialne niańczenie. Niepokoiło go tylko to, że w ciągu trzech tygodni od ich przyjazdu - i regularnie otrzymywanych przez Flaussa instrukcji z monarszego dworu - Svenson nie dostał żadnej odpowiedzi. Zupełnie jakby baron von Hoern zniknął.

\*

Pomysł małżeństwa wypłynął po podróży kontynentalnej lorda Vandaariffa, który w poszukiwaniu sprzyjającego bałtyckiego portu trafił do Macklenburga. Jego córka należała do jego świty - po raz pierwszy będąc za granicą - i jak to często bywa, kiedy starsi są zajęci interesami, dzieci zbliżają się do siebie. Svenson nie łudził się, by kobieta urzeczona choć w niewielkim stopniu Karlem-Horstem mogła zachować niewinność, jeśli nie była zupełnie ślepa lub koszmarnie brzydka, ale wciąż nie mógł pojąć istoty tego związku. Lydia Vandaariff była niezaprzeczalnie ładna, niezmiernie bogata, a jej ojciec właśnie otrzymał tytuł szlachecki - chociaż jego finansowe imperium rozciągało się znacznie dalej niż granice jakiegokolwiek państwa. Karl-Horst był zaledwie jednym z wielu książąt szukających większej fortuny, z każdym dniem mniej atrakcyjnym i bynajmniej niegrzeszącym nadmiarem rozumu. Svenson nie miał złudzeń, że wszystko to czyniło prawdziwą miłość tych dwojga bardziej prawdopodobną i zbył ten element romansu wzruszeniem ramion, popełniając poważny błąd, całą uwagę poświęcając trzymaniu Karla-Horsta w ryzach. Teraz widział, że niebezpieczeństwo czaiło się gdzie indziej.

Przez pierwszy tydzień istotnie łagodził skutki pijaństwa, obżarstwa, hazardu i dziwkarstwa, interweniując sporadycznie, głównie służąc pomocą medyczną młodemu księciu wracającemu z całonocnych hulanków. Kiedy książę zaczął mniej czasu spędzać w burdelu i przy stołach do gry i częściej chodzić na kolacje z Lydią, składać dyplomatyczne wizyty z Flausssem i pracownikami Ministerstwa Spraw Zagranicznych, jeździć konno z

wojskowymi lub strzelać z przyszłym teściem, Svenson mógł więcej czasu poświęcić lekturze, słuchaniu muzyki lub krótkim wycieczkom, zadowolając się opieką nad księciem wieczorem, po powrocie. Głupotę takiego postępowania zrozumiał dopiero podczas przyjęcia zaręczynowego - czy naprawdę zdarzyło się to zeszłej nocy? - I kiedy znalazł księcia samego w ogrodzie, klęczącego nad oszpeconym ciałem pułkownika Trappinga. W pierwszej chwili nie wiedział, co księżę robi, gdyż widok klęczącego Karla-Horsta zazwyczaj skłaniał Svensona do szukania mokrej szmaty do wycierania wymiocin. Tym razem jednak księżę gapił się na coś jak urzeczony, dziwnie spokojny, a nawet zadowolony. Svenson odciągnął go i zaprowadził z powrotem do budynku, pomimo protestów tego idioty. Zdołał znaleźć Flaüssa - a teraz zastanawiał się, na ile przypadkowa była tam obecność posła - oddał księcia pod jego opiekę i pospiesznie wrócił do zwłok. Znalazł przy nich gromadkę ludzi - Haralda Crabbego, hrabiego d'Orkacza, Francisa Xoncka oraz innych, których nie znał. Po chwili przybył sam Robert Vandaariff z tłumem służby. Zauważył Svensona i odprowadziwszy go na bok, wypytał ściszym głosem o bezpieczeństwo księcia i jego stan. Kiedy Svenson poinformował go, że księżę czuje się doskonale, Vandaariff odetchnął z wyraźną ulgą i zapytał, czy Svenson byłby tak uprzejmy i powiadomił o tym jego córkę - która zorientowała się, iż miał miejsce jakiś dziwny wypadek, chociaż nie domyślała się, jakiego rodzaju - że księżę ma się dobrze i jeśli to możliwe, pozwolił jej się z nim zobaczyć.

Svenson oczywiście spełnił jego prośbę, lecz znalazł Lydię Vandaariff w towarzystwie żony Arthura Trappinga, Charlotty Xonck jej starszego brata, Henry'ego Xoncka, człowieka pod względem wpływów i bogactwa ustępującego jedynie Vandaariffowi i - być może, choć Svenson miał co do tego poważne wątpliwości - starej królowej. Gdy Svenson stał przed nimi, próbując możliwie delikatnie przedstawić wydarzenia w ogrodzie, niewinność księcia, niewytłumaczalny charakter tego zajścia - rodzeństwo Xonck zaczęło go przesłuchiwać, na wyścigi chcąc udowodnić, że coś ukrywa. Svenson z przyzwyczajenia przyjął pozę człowieka bardzo słabo rozumiejącego ich język, zmuszając ich do powtarzania pytań i bezowocnie usiłując ułożyć jakąś bajeczkę, co zamiast ugasić ich dziwne podejrzenia, tylko zwiększyło ich irytację. Henry Xonck właśnie władczo dźgnął wskazującym palcem pierś Svensona, gdy stojąca za nimi skromnie ubrana kobieta - którą uznał za towarzyszkę uśmiechającej się i milczącej Lydii - nachyliła się i szepnęła coś do ucha Charlotty Xonck. Dziedziczka natychmiast spojrzała Svensonowi przez ramię, a w jej szeroko otwartych i widocznych przez otwory maski oczach pojawiła się głęboka niechęć. Svenson odwrócił się i zobaczył księcia, eskortowanego przez uśmiechniętego Francisa Xoncka, który zignorował rodzeństwo i wesoło zachęcił Lydię, żeby dołączyła do narzeczonego.

Doktor wykorzystał ten moment, aby szybko skłonić się wielmożom i czmychnąć, pozwoliwszy sobie najpierw obrzucić wzrokiem księcia i ocenić stopień jego upojenia, a potem kobietę, która wcześniej szepnęła coś do ucha Charlotcie Xonck, a teraz uważnie przyglądała się Francisowi Xonckowi. Dopiero wychodząc z salonu, Svenson uświadomił sobie, że zrzęcznie uniemożliwiono mu zbadanie ciała. Zanim wrócił do ogrodu, zwłok nie było. Z oddali ujrzał tylko trzech żołnierzy majora Blacha, rozstawionych w odległości kilku metrów jeden od drugiego i idących z wyciągniętymi szablami przez ogród.

Nie mógł przesłuchać księcia, a Flauss i Blach nie chcieli odpowiedzieć na jego pytania. Nic nie wiedzieli o Trappingu i otwarcie wątpili, by kogoś tak ważnego - czy w ogóle kogokolwiek - znaleziono martwego w ogrodzie. Natomiast gdy zapytał, dlaczego żołnierze Blacha przeszukują teren, major tylko warknął, że stara się sprawdzić jego rojenia o niebezpieczeństwie, morderstwie i tajemnicach. Zaraz potem prychnął, że więcej nie będzie tracił na to czasu. Flauss ze swej strony całkowicie zbagatelizował sprawę, mówiąc, że nawet jeśli popełniono tu jakieś przestępstwo nie jest to ich sprawa i z szacunku dla przyszłego teścia księcia powinni o tym zapomnieć i trzymać się z daleka. Svenson nie miał na to żadnej odpowiedzi (poza rosnącą milczącą pogardą), ale bardzo chciał wiedzieć, co księżę robił sam przy ciele.

Jednak ani na chwilę nie był sam na sam z Karlem-Horstem. Opracowany przez Flaussa plan zajęć, jak również niechęć księcia do odpowiadania na pytania były powodem tego, że przez cały następny ranek młodzieniec trzymał się z daleka od Svensona, a potem opuścił misję z posłem i Blachem, podczas gdy doktor zajmował się ropiejącym zębem jednego z żołnierzy Blacha. Kiedy nie wrócili do zmroku, był zmuszony wyjść do miasta i ich poszukać...

\*

Wypuścił powietrze i spojrzał na Flaussa, którego dłonie na blacie biurka zacisnęły się w pięści.

- Mówiliśmy o zaginionym pułkowniku Trappingu - zaczął. Flauss prychnął, lecz Svenson zignorował go i mówił dalej: - Może pan myśleć o tym, co pan chce. Natomiast nie może pan zaprzeczać, że dziś wieczorem księżę został napadnięty. Chcę powiedzieć, że widziałem już takie ślady, jakie ma na twarzy. Widziałem je na twarzy tego martwego pułkownika.

- Naprawdę? Sam pan powiedział, że nie zbadał ciała...

- Widziałem jego twarz.

Flauss milczał. Podniósł pióro, po czym gniewnie rzucił je na biurko.

- Nawet jeśli pańskie twierdzenia są prawdą... W ciemnym ogrodzie, z daleka...

- Gdzie pan wtedy był, Herr Flauss?

- Nie pański interes.

- Był pan z Robertem Vandaariffem. Flauss uśmiechnął się wyniośle.

- Gdyby tak było, raczej nie mógłbym panu o tym powiedzieć. Jak pan sugeruje, cała ta sprawa jest niezwykle delikatna. Należy chronić reputację księcia, jego związek narzeczeński i zamieszanych w to potentatów. Lord Vandaariff był na tyle uprzejmy, aby poświęcić czas na omówienie strategii...

- Płaci panu?

- Nie zamierzam odpowiadać na tak bezczelne...

- A ja nie zamierzam dłużej wysłuchiwać bzdur.

Flauss otworzył usta, ale nic nie powiedział, oburzony zniewagą. Svenson zaczął się obawiać, że posunął się za daleko. Flauss wyjął chustkę i otarł nią czoło.

- Doktorze Svenson, jest pan wojskowym, o czym zapominam, nawykłym mówić bez ogródek. Tym razem zignoruję pański ton, gdyż istotnie musimy polegać na sobie, żeby ochronić księcia. Co do wszystkich pańskich pytań, to przyznaję, że bardzo chciałbym wiedzieć, jak pan zdołał znaleźć wieczorem księcia i „uratować” go - a także przed kim.

Svenson wyjął monokl z lewego oka i popatrzył nań pod światło. Zmarszczył brwi, podniósł go do ust i pochuchał, aż powierzchnia szkła pokryła się mgiełką. Wytarł je rękawem i na powrót umieścił monokl w oku, z nieskrywaną niechęcią spoglądając na Flaussa.

- Obawiam się, że muszę wracać do mojego pacjenta. Flauss zerwał się na równe nogi. Svenson nie mszył się z fotela.

- Postanowiłem, że od tej chwili księciu przez cały czas będzie towarzyszyła uzbrojona straż - oznajmił.

- Doskonały pomysł. Czy Blach się na to zgodził?

- Powiedział, że to doskonały pomysł. Svenson pokręcił głową.

- Księżę nigdy tego nie zaakceptuje.

- Nie będzie miał wyboru, tak samo jak pan, doktorze. Jakikolwiek prawa do opieki nad księciem mógł pan mieć dotychczas, utracił pan je, nie potrafiąc zapobiec incydentowi, który wydarzył się tego wieczora. Obaj z majorem postanowiliśmy, że od tej chwili to on będzie opiekował się księciem. Wszelkie zabiegi medyczne będą wykonywane w asyście majora Blacha lub jego ludzi.

Flauss wstał i wyciągnął rękę.

- Żądam, aby oddał mi pan klucz od pokoju księcia. Wiem, że go pan zamknął. Jako poseł domagam się jego wydania.

Svenson wstał powoli, nie spuszczać Flaussa z oka, odstawił Popielniczkę na stolik i poszedł do drzwi. Poseł stał z wyciągniętą ręką. Svenson otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. Za plecami usłyszał tupot nóg i po chwili Flauss dogonił go, czerwony, zaciskając zęby.

- To się panu nie uda. Wydałem rozkaz.

- Gdzie jest major Blach? - zapytał Svenson.

- Major Blach wykonuje moje rozkazy - odparł Flauss.

- Uparcie odmawia pan odpowiedzi na moje pytania.

- To mój przywilej!

- Jest pan w błędzie - rzekł groźnie Svenson i spojrzał na posła.

Zamiast strachu przed reakcją księcia zobaczył źle skrywany triumfalny uśmiech.

- Był pan zbyt zajęty, doktorze Svenson. Wszystko się zmieniło. Zmieniło się wiele, bardzo wiele rzeczy.

Svenson odwrócił się do Flaussa i przerzucony przez prawą rękę płaszcz przełożył na lewą, odsłaniając kieszeń ze sterzącą z niej kolbą pistolem. Flauss zbladł i wykrztusił:

- K-kiedy wróci major Blach...

- Z przyjemnością się z nim zobaczę - dokończył Svenson. Miał już pewność, że baron von Hoern nie żyje.

\*

Poszedł w kierunku schodów i kiedy skręcił do podestu, ze zdziwieniem zobaczył majora Blacha opartego o ścianę, niewidocznego z głębi korytarza. Svenson przystanął.

- Słyszał pan? Poseł chce się z panem widzieć. Major Blach wzruszył ramionami.

- Nieważne.

- Powiedziano panu, w jakim stanie jest książę?

- To oczywiście poważna sprawa, jednak w tej chwili potrzebuję pana gdzie indziej.

Nie czekając na odpowiedź, zaczął schodzić na dół. Svenson poszedł za nim, jak zwykle przytłoczony szorstkim zachowaniem majora, ale również ciekawy tego, co może być ważniejsze niż kryzysowa sytuacja księcia.

\*

Blach przeprowadził go przez dziedziniec do kasyna w kwaterze żołnierzy. Trzy duże białe stoły uprzątnięto i ułożono na nich; żołnierzy w czarnych mundurach. Przy każdym stali dwaj towarzysze. Pierwsi dwaj leżący żyli, ciało trzeciego było nakryte białym całunem.

Blach wskazał ręką stoły i odsunął się, nic nie mówiąc Svenson powiesił płaszcz na krześle i zauważył, że jego instrumenty już przyniesiono i ułożono na metalowej tacy. Zerknął na pierwszego mężczyznę, krzywiącego się z bólu, zapewne ze złamaną nogą, po czym machinalnie przygotował zastrzyk morfiny. Drugi mężczyzna był w znacznie gorszym stanie. Krwawił z rany na piersi, miał płytki oddech i woskowatą skórę. Svenson rozpiął mu mundur i odchylił zakrwawioną koszulę. Wąska rana kłuta między żebrami - ostrze może przebiło płuca, a może nie. Odwrócił się do Blacha.

- Jak dawno się to stało?

- Chyba godzinę temu... może trochę więcej.

- Może umrzeć z upływu krwi - zauważył Svenson. Odwrócił się do pacjenta. - Przywiążcie go do stołu.

Kiedy to robili, podszedł do mężczyzny ze złamaną nogą, podciągnął mu rękaw munduru i zrobił zastrzyk. Wbijając igłę, mówił cicho:

- Nic ci nie będzie. Zrobimy, co w naszej mocy, żeby poskładać ci nogę, ale musisz zczekać, aż zajmiemy się twoim kolegą. To pomoże ci zasnąć.

Żołnierz, właściwie jeszcze chłopiec, kiwnął głową z twarzą mokrą od potu. Svenson posłał mu uśmiech i odwrócił się do Blacha, zdejmując marynarkę i podwijając rękawy koszuli.

- To bardzo proste. Jeśli ostrze sięgnęło płuc, są teraz pełne krwi i umrze w ciągu kilku minut. Jeśli nie, i tak może umrzeć w wyniku utraty krwi lub zakażenia. Zrobię, co w mojej mocy. Gdzie pana znajdzie?

- Zostanę tutaj - odparł major Blach.

- Bardzo dobrze.

Svenson spojrzał na trzeci stół.

- To mój porucznik - rzekł major Blach. - Nie żyje od kilku godzin.

\*

Svenson stał w otwartych drzwiach, paląc papierosa i spoglądając na dziedziniec. Wytarł ręce ścierką. Operacja zajęła mu dwie godziny. Żołnierz nadal żył - najwyraźniej ostrze nie sięgnęło płuc - ale miał gorączkę. Jeśli przeżyje tę noc, może wyzdrowieje. Drugi miał nogę złamaną w kolanie. Chociaż Svenson robił, co mógł, mało prawdopodobne, aby ten mężczyzna nie utykał. Przez cały czas major Blach się nie odzywał. Svenson dopalił papierosa i rzucił niedopałek na żwir. Rannych przeniesiono do ich kwater - przynajmniej prześpią się w swoich łóżkach. Major opierał się o stół w pobliżu ciała zabitego. Svenson wypuścił dym z płuc i wrócił do pokoju.

Pomimo rodzaju zadanych ciosów nie ulegało wątpliwości, że śmierć przyszła szybko. Svenson spojrzał na majora.

- Nie wiem, czy mogę powiedzieć coś, czego sam pan nie widzi. Cztery rany klute - pierwsza zapewne ta tutaj, pchnięcie między żebra na lewym boku ofiary... bolesna, ale nie śmiertelna. Trzy następne, znajdujące się w odległości kilku centymetrów od siebie, przeszły pod żebrami i dosięgły płuc, a może nawet serca. Nie mogę tego stwierdzić, dopóki nie otworzę klatki piersiowej. Silne ciosy - widać zsinienia i wgłębienia wokół ran od noża lub sztyletu wbitego aż po rękojeść, żeby zabić.

Blach skinął głową. Svenson czekał, aż coś powie, lecz major milczał. Svenson westchnął, po czym zaczął opuszczać i zapinać rękawy koszuli.

- Chce mi pan powiedzieć, jak powstały te obrażenia?

- Nie chcę - odparł major.

- Bardzo dobrze. To może przynajmniej zechce mi pan powiedzieć, czy miały coś wspólnego z napaścią na księcia?

- Jaką napaścią?

- Książę Karl-Horst ma oparzenia na twarzy. Bardzo możliwe, że powstały przy jego aktywnym współudziale. Mimo wszystko uważam to za napaść.

- Wtedy, kiedy odprowadził go pan do domu?

- Właśnie.

- Zakładałem, że jest pijany.

- Był odurzony, ale sądzę, że nie alkoholem. Jednak co miał pan na myśli, mówiąc „zakładałem”?

- Był pan obserwowany, doktorze.

- Naprawdę?

- Obserwujemy wiele osób.

- Jednak najwyraźniej nie księcia.

- Czyż nie był w otoczeniu notabli swojej nowej narzeczonej?

- Tak, majorze, był. I - powtórzę to, na wypadek, gdyby pan nie rozumiał - właśnie w takim towarzystwie i za ich przyzwoleniem doznał takich oparzeń.

- To pan tak twierdzi, doktorze.

- Może pan sam zobaczyć.

- Czekam na to z niecierpliwością.

Svenson pozbierał swoje instrumenty. Podniósł głowę. Major Blach wciąż mu się przyglądał. Doktor ze zniechęconym westchnieniem wrzucił do torby skalpel o podwójnym ostrzu.

- Ilu ludzi ma pan obecnie pod swoją komendą, majorze?

- Dwudziestu żołnierzy i dwóch oficerów.

- Teraz ma pan osiemnastu ludzi i jednego oficera. I zapewniam pana, że ktokolwiek to zrobił - jeden człowiek czy cała banda - nie miał nic wspólnego z moimi poczynaniami, gdyż ja byłem całkowicie zaprzątnięty próbami uchronienia tego młodego idioty przed okryciem się hańbą.

Major Blach nie odpowiedział.

Doktor Svenson zatrzasnął torbę i zdjął płaszcz z oparcia krzesła.

- Mogę tylko mieć nadzieję, że obserwował pan również posła, majorze, gdyż on przez cały ten czas był nieobecny i odmawia wszelkich wyjaśnień. - Odwrócił się na pięcie i pomaszerował do drzwi, przy których obejrzał się i zawołał: - Pan mu opowie o tych ciałach, czyja?!

- Jeszcze nie skończyliśmy, doktorze - syknął Blach. Zasłonił prześcieradłem twarz zabitego porucznika i podszedł do Svensona. - Sądzę, że musimy odwiedzić księcia.

\*

Weszli po schodach na trzecie piętro, gdzie zastali Flaussa z dwoma strażnikami. Poseł i major wymienili znaczące spojrzenia, ale Svenson nie miał pojęcia, co to może oznaczać. Ci dwaj nienawidzili się, ale mogli współdziałać z rozmaitych powodów. Flauss prychnął na Svensona i wskazał drzwi.

- Doktorze, zdaje się, że ma pan klucz.

- A próbował pan pukać? - zapytał Blach, a Svenson uśmiech.

- Oczywiście, że próbowałem - odparł nieprzekonująco Flauss - ale z przyjemnością spróbuję ponownie. - Odwrócił się i mocno kopnął piętą w drzwi, a po chwili zawołał: - Wasza wysokość?! Książę?! Tu Herr Flauss z majorem i doktorem Svensonem.

Czekali. Flauss odwrócił się do Svensona i prawie splunął:

- Niech pan otwiera! Nalegam, żeby natychmiast otworzył pan te drzwi!

Svenson uśmiechnął się uprzejmie i wyjął z kieszeni klucz. Wręczył go Flaussowi.

- Może pan sam to zrobić, panie pośle.

Flauss wziął klucz i włożył go do zamka. Przekręcił klucz i klamkę, ale drzwi się nie otworzyły. Ponownie przekręcił klamkę i pchnął drzwi ramieniem. Odwrócił się do nich.

- Nie dadzą się otworzyć, coś je trzyma.

Major Blach podszedł, odsunął go, chwycił za klamkę i barkiem uderzył w drzwi. Ustąpiły na centymetr. Blach dał znak dwóm żołnierzom i wszyscy trzej pchnęli jednocześnie. Drzwi uchyliły się na kolejny centymetr, a potem powoli na tyle, aby mogli dostrzec, że z drugiej strony są zastawione komoda. Trzej żołnierze, pchając, poszerzyli szparę tak, że jeden z nich mógł się przez nią precyzyjnie. Blach natychmiast zrobił to samo, a Flauss za nim, odpychając żołnierzy. Ze zrezygnowanym uśmiechem Svenson poszedł w ich ślady, taszcząc lekarską torbę.

Księżę znikł. Komodę przeciągnięto przez pokój, żeby zabarykadować drzwi, a okno było otwarte.

- Uciek! Znowu! - szepnął Flauss. Rzucił się na Svensona. - Pan mu pomógł! Pan miał klucz!

- Nie bądź idiotą - mruknął major Blach. - Popatrz na pokój. Ta komoda jest z mahoniu i tak ciężka, że ledwie we trzech zdołaliśmy ją mszyć. Księżę nie mógł przesunąć jej sam, a doktor nie mógł mu w tym pomóc, gdyż musiał opuścić pokój, zanim zatarasowano drzwi.

Flauss milczał. Svenson napotkał gniewne spojrzenie Blacha. Major warknął do swoich ludzi:

- Jeden niech idzie do bramy i dowie się, czy księżę opuścił posiadłość, a jeśli tak, to czy był sam!

Svenson podszedł do komody, otworzył ją i spojrzał na zawartość.

- Księżę nosi wojskowy mundur, którego tu nie widzę: ciemnozielony uniform pułkownika grenadierów. Lubi go z powodu odznaki w formie bomby zapalającej. Sądzę, że budzi ona seksualne skojarzenia. - Spojrzeli na niego, jakby mówił po francusku. Svenson podszedł do okna i wychylił się. Pod oknem, trzy piętra niżej, zobaczył żwir wygrabionej ścieżki. - Majorze Blach, może pośle pan zaufanego człowieka, żeby sprawdził żwir pod tym oknem. Jeśli znajdzie tam dwa wgłębienia, będzie to dowód na to, że użyto drabiny. Oczywiście, taka długa drabina powinna zwrócić uwagę.

- Niech mi pan powie, Herr Flauss, czy w tej posiadłości jest taka drabina?

- A skąd mam wiedzieć?

- Sądzę, że może pan spytać służbę.

- A jeśli nie ma takiej drabiny? - zapytał major Blach.

- Wówczas albo została tu przyniesiona, co powinno zostać zauważone przez wartownika, albo użyto czegoś innego, na przykład haka na sznurze. Oczywiście... - dodał,

cofając się i oglądając tynk wokół okna - nie widzę żadnych wgłębień ani resztek liny, po której mogliby opuścić się na dół.

- A zatem jak zeszli? - chciał wiedzieć Flauss. Svenson ponownie podszedł do okna i wychylił się. Nie było żadnego balkonu ani winorośli czy rosnącego tuż obok drzewa. W rzeczy samej, ten pokój wybrano właśnie z tego powodu. Odwrócił się i spojrzał w górę - zaledwie dwa piętra wyżej był dach.

\*

Gdy szli po schodach na górę, Blachowi przyniesiono wiadomość z bramy. Nie widziano tam księcia i nikt nie przechodził przez nią w ciągu ostatnich trzech godzin od przybycia majora. Svenson ledwie słyszał meldującego żołnierza, tak bardzo obawiał się nieuniknionej wycieczki na dach budynku. Szedł wzdłuż ściany, starając się nie łapać kurczowo poręczy, mając zamęt w głowie. Przed nimi inny żołnierz opuszczał składane schodki z sufitu korytarza na szóstym piętrze. Wyżej był wąski strych, a w nim włąz na dach. Major Blach mszył pierwszy - z pistoletem, który nagle pojawił się w jego dłoni - i wszedł szybko, znikając w mroku. Flauss natychmiast poszedł w jego ślady, wspinając się zreźniej, niż sugerowała jego krępa budowa ciała. Svenson przełknął ślinę i powoli wdrapał się za nimi, ściskając rękami pręty drabinki i walcząc z mdłościami, gdy ta kołysała się za każdym razem, gdy przenosił ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Czując się jak dziecko, wygramolił się na czworakach na chropowate deski podłogi strychu i rozejrzał się. Flauss już przeciskał się przez wąski włąz, widoczny na tle słabych świateł miasta, tonącego we mgle. Z ledwie powstrzymywanym jękiem doktor Svenson zmusił się, by pójść za nimi.

Kiedy stanął na dachu, najpierw na kolanach, a potem na uginających się nogach, ujrzał majora Blacha skulonego na skraju dachu w miejscu znajdującym się nad sypialnią księcia. Major odwrócił się i zawołał:

- Mech na kamieniach jest starty w kilku miejscach od ocierających je sznurów lub drabinki sznurowej! - Wstał i podszedł do Flaussa i Svensona, rozglądając się. Wskazał dachy pobliskich budynków. - Czego nie rozumiem, to tego, że żaden z nich nie znajduje się dostatecznie blisko. Nie wątpię, że książę został wciągnięty na dach, ale ten budynek jest wyższy od wszystkich sąsiednich co najmniej o jedno piętro. Ponadto oddziela go od nich cała szerokość ulicy. Jeśli nie zatrudnili cyrkowców, nie mam pojęcia, jak zdołali zejść z tego dachu i uciec.

- Może nie zeszli - podsunął poseł. - Może po prostu ponownie weszli do środka przez strych.

- Niemożliwe. Strych jest zamykany od wewnątrz.

- Może ktoś im pomógł - podsunął lekko urażony poseł.

- W istocie - przyznał Blach. - W takim razie jeszcze nie przeszli przez bramę. Moi ludzie natychmiast przeszukają cały teren.

- Doktorze?

- Hm?

- Co pan o tym myśli?

Svenson przełknął ślinę i wciągnął nosem chłodne nocne powietrze, próbując się uspokoić. Odwrócił oczy od nieba i otwartej przestrzeni, wbijając wzrok w czarną papę dachu.

- Zastanawiam się tylko... co to takiego?

Flauss podążył wzrokiem we wskazanym kierunku i podszedł tam. Podniósł mały biały przedmiot i przyniósł go pozostałym.

- To niedopalek papierosa - stwierdził major Blach.

\*

Minęło pół godziny. Wrócili do pokoju księcia, gdzie major systematycznie przetrząsał wszystkie szuflady i szafy. Flauss w ponurym milczeniu siedział na fotelu, a Svenson stał przy otwartym oknie i palił. Dokładne przeszukanie apartamentu nic nie dało, a na żwirze pod oknem nie było żadnych śladów stóp ani wgłębień. Blach wrócił z latarnią na dach, lecz nie znalazł żadnych tropów poza swoimi własnymi - chociaż na bocznej ścianie budynku zostało kilka śladów w miejscu, gdzie sznury zdarły śliski mech rosnący wzdłuż rynny.

- Może po prostu uciekł, żeby zażyć swych wieczornych przyjemności - podsunął poseł i posępnie spojrzał na Svensona. - Ponieważ śledził go pan przedtem, teraz nam nie ufa...

- Nie bądź głupi - warknął major Blach. - To było zaplanowane, z pomocą księcia lub bez niej. Prawdopodobnie bez niej, jeśli był tak nieprzytomny, jak twierdzi doktor. Z dachu zeszli co najmniej dwaj ludzie, może więcej - wartownik nie słyszał szurania przesuwanej komody, co świadczy o tym, że zapewne było ich czterech - po czym zabrali ze sobą księcia. Musimy zakładać, że został porwany i zdecydować, jak go odbić.

Major Blach z trzaskiem zamknął ostatnią szufladę i spojrzał na Svensona.

- Słucham? - zapytał doktor.

- Pan znalazł go wcześniej?

- Tak.

- Niech mi pan powie gdzie i jak.

- Doceniam pańskie zainteresowanie - odparł pogardliwie Svenson. - Sądzi pan, że to ci sami ludzie? Bo jeśli tak, to wie pan, kim są - obaj to wiecie. Rzucicie im wyzwanie? Poprowadzi pan żołnierzy do rezydencji Roberta Vandaariffa? Albo do wiceministra Crabbego? Do hrabiego d'Orkancza? Do stalowni Xoncka? A może jeden z was już wie, gdzie on jest, i możemy zakończyć tę śmieszłą zgadywanke?

Svenson z zadowoleniem zauważył, że major tak jak on spogląda na Flaussa.

- Ja nic nie wiem! - wykrzyknął poseł. - Jeśli musimy prosić o pomoc tych zacnych obywateli... jeśli oni mogą nam pomóc... - Doktor Svenson zmarszczył brwi. Flauss poszukał wsparcia u majora Blacha. - Doktor nadal nie wyjaśnił nam, jak poprzednio znalazł księcia. Może zdoła znaleźć go znowu.

- Nie ma w tym niczego tajemniczego - skłamał Svenson. - Przeszukałem burdel. Ktoś z burdelu mi pomógł. Księżę był tuż obok. Najwidoczniej dzięki hojnym dotacjom Henry'ego Xoncka na rzecz instytutu przyjaciele jego młodszego brata mają tam ułatwiony dostęp.

- Skąd pan wiedział o burdelu? - zapytał Flauss.

- Dobrze znam księcia. Ale nie w tym rzecz! Powiedziałem wam, z kim był. Jeśli ktokolwiek wie, co się z nim stało, to jeden z nich. Ja nie mogę ich naciskać. Sami musicie to zrobić, a ściśle mówiąc, Herr Flauss w asyście ludzi majora. To jedyne wyjście.

Svenson zgasił papierosa w filiżance, z której tak dawno temu pił kawę.

- To do niczego nie prowadzi - stwierdził. Wziął płaszcz i wyszedł z pokoju.

\*

Myśląc tylko o tym, że nie jadł od wielu godzin, Svenson zszedł po schodach do wielkiej kuchni, w której nie było nikogo. Przetrzęsł szafki i znalazł twarde ser, wyschniętą kiełbasę oraz bochenek świeżego chleba. Nalał sobie kieliszek bladeżółtego wina i usiadł przy wielkim stole, żeby pomyśleć, metodycznie krojąc kawałki chleba oraz równe plasterki kiełbasy i układając je na kromkach. Po pierwszym kęsie, stwierdziwszy, że chleb jest zbyt suchy, wstał i znalazł słoiczek musztardy. Otworzył go i łyżką nałożył, więcej niż lubił, na chleb, po czym ponownie umieścił na nim kiełbasę i ser. Przełknął kęs i popił winem. Jadł mechanicznie, słysząc odgłosy wzmożonej aktywności żołnierzy i zastanawiając się, co robić. Księżę został uprowadzony, odbity i uprowadzony ponownie, tak więc należało podejrzewać, że przez tych samych ludzi i z tych samych powodów. Jednak doktor wciąż miał przed oczami niedopałek papierosa.

Flauss podał mu ten niedopałek, a Svenson oddał mu go, ledwie rzuciwszy nań okiem, po czym odwrócił się i spróbował z godnością zejść z dachu, jednak to jedno spojrzenie potwierdziło podejrzenia, które zaczęły kiełkować w jego umyśle. Ten niedopałek był

zgnieciony w charakterystyczny sposób, który widział poprzedniego wieczoru - przez kobietę wciskającą papierosa do lakierowanej cygarniczki w St. Royale Hotel. Ta kobieta - upił kolejny łyk wina, wyjął monokl i schował go do kieszonki na piersi, a potem potarł twarz - była szokująco, niesamowicie ładna. Najwyraźniej była również niebezpieczna, lecz w sposób niemal uchodzący uwagi, jak niezwyklej okaz kobry, budzącej podziw swoją długością lub ubarwieniem, każącej zapomnieć o zabójczym jądzie, będącym przecież jej główną cechą, której, jak wiedział, nie sposób pominąć... nawet wprost przeciwnie. Westchnął i usiłował się skupić, połączyć tę kobietę z hotelu z jej bytnością na dachu misji. Nie widział w tym żadnego sensu, ale wiedział, że to może doprowadzić go do księcia, więc zaczął metodycznie przeszukiwać zasoby swojej pamięci.

\*

Znacznie wcześniej tego dnia, kiedy zdał sobie sprawę z tego, że księżę nie wrócił, a Flauss i Blach również zniknęli, Svenson dostał się do pokoju księcia i przetrząsnął go w poszukiwaniu jakiegokolwiek wskazówki co do planów księcia na ten wieczór. Zasadniczo Karl-Horst był równie sprytny jak średnio rozgarnięty chłopiec lub kot. Jeśli coś chował, to pod materacem lub w bucie, ale najprawdopodobniej należało tego szukać w kieszeni płaszcza, który nosił w danym momencie. Svenson znalazł w jego kieszeniach kilka pudełek zapalek, programy teatralne i wizytówki, ale poza tym niczego niezwykłego, niczego, co rzucaloby się w oczy. Usiadł na łóżku i zapalił papierosa, rozglądając się po pokoju, szukając natchnienia. Na stoliku obok łóżka stał wazon z błękitnego szkła, a w nim dziesięć białych lili, w różnych stadiach uwiądu. Svenson przyjrzał się im. Nigdy wcześniej nie widział w pokoju księcia kwiatów ani podobnych przejawów kobiecego gustu w żadnym z pomieszczeń misji. Nie słyszał, żeby na terenie misji była jakaś kobieta, a teraz, kiedy się nad tym zastanowił, nie dostrzegł u Karla-Horsta żadnego zamiłowania do kwiatów czy innych pięknych rzeczy. Może były prezentem od Lydii Vandaariff. Może przez mroki jego pogańskich upodobań zdołała przedrzeć się odrobina uczucia.

Svenson ściągnął brwi i podszedł do stolika, patrząc na wazon. Przetarł monokl i uważniej przyjrzał się naczyniu, które było dziełem artysty, miało nieco nieregularną powierzchnię z celowo pozostawionymi skazami, wypukłościami i pęcherzami. Ponownie ściągnął brwi - czyżby coś tam było? Wziął ręcznik z toaletki księcia i rozłożył na łóżku, po czym oburącz złapał lilie i ociekające wodą umieścił na ręczniku. Podniósł wazon i popatrzył nań pod światło. Rzeczywiście coś w nim było, chyba kawałek szkła, odbijający przechodzące światło, chociaż pozornie niewidzialny. Svenson postawił wazon na stoliku i podwinął rękaw koszuli. Włożył rękę, macał przez chwilę - to coś było bardzo śliskie - i wyjął

niewielki prostokąt niebieskiego szkła, mniej więcej wielkości wizytówki. Wylał go oraz ręce w ręcznik, po czym zaczął oglądać zdobycz. Po kilku sekundach, jakby ktoś uderzył go młotkiem, Svenson osunął się na kolana, kręcąc głową, oszołomiony, ze zdziwienia o mało nie wypuściwszy z ręki kawałka niebieskiego szkła.

Spojrzał ponownie.

\*

Miał wrażenie, że znalazł się w czyimś śnie. Po chwili błękitne zabarwienie szkła znikło, jakby przedostał się przez woal... i ujrzał przed sobą pokój - ciemny, elegancko urządzonego pokój z wielką czerwoną sofą, kandelabrami i grubymi dywanami, a potem - przez co w pierwszej chwili o mało nie upuścił szkła - ten obraz poruszył się, jakby doktor szedł przez pokój, lub stojąc, wodził dookoła wzrokiem i zobaczył patrzących na niego ludzi. Nie słyszał nic prócz własnego oddechu, lecz poza tym jego umysł był całkowicie zaprzątnięty tymi obrazami - żywymi obrazami - jednocześnie przypominającymi fotografie i niepodobnymi do nich, jednocześnie żywszymi i nie tak ostrymi, bardziej trójwymiarowymi i w niepojęty sposób przesiąkniętymi emocjami: dotykiem jedwabnej sukni, halek ocierających się o kobiece nogi, jej satynowego ciała pod halkami i mężczyzny stojącego między jej udami, poczuciem jej uśmiechu, gdy jej ciało pospiesznie przyjmowało odpowiednią pozycję. Głowę odchyliła na oparcie sofy, gdyż widział sufit i czuł jej włosy opadające na twarz oraz szyję - twarz, jak sobie uświadomił, zakrytą maską - potem drżenie jej łona, pożądliwe, cudowne, gdy - co Svenson zrozumiał, czując falę łagodnych skurczów wstrząsających jego ciałem - mężczyzna w nią wszedł. Nagle obraz nieco się zmienił, jakby kobieta obróciła głowę, i zobaczył kawałek dużego lustra wiszącego za nią na ścianie. Przez sekundę Svenson widział w nim odbicie twarzy mężczyzny i pokoju. Tym mężczyzną był Karl-Horst van Maasmarck.

Jego kochanką nie była Lydia Vandaariff, lecz jakaś kobieta o brązowych włosach. W odbiciu pokoju za plecami księcia zaszokowany Svenson ujrzał innych ludzi - widzów? - a za nimi jeszcze coś. Otwarte drzwi? Okno? Nie zastanawiał się nad tym i z większym, niż oczekiwał, trudem oderwał wzrok od kawałka szkła. Co właściwie widział? Ze wstydem spojrzał na siebie - był bardzo podniecony. Co więcej, starał się myśleć trzeźwo. Nie tylko widział przebieg stosunku, ale czuł również, jak kobieta dotykała się, żeby się nawilżyć i doznać większej przyjemności, jak Karl-Horst niezdarnie ściągał spodnie, jak w nią wchodził... Uświadomił sobie, że wszystkie te doznania były udziałem kobiety, chociaż nie widział samych mchów ciała. Nabrał tchu i ponownie skupił wzrok na kawałku szkła, zapadając weń jak w głęboką toń: najpierw sofa, potem kobieta podciągająca suknię, później

książę stający między jej nogami, zespolenie, kobieta odwracająca głowę, lustro, odbicie, a potem, po chwili, znów pusta sofa - i cała scena się powtórzyła... i powtórzyła znowu.

\*

Svenson odłożył szkiełko. Miał przyspieszony oddech. Co trzymał w ręku? Jakby esencję kobiecych uczuć oddestylowano i w jakiś sposób zamknięto w tym kawałku szkła. Kim była ta kobieta? Kim byli widzowie? Co stało się potem? I kto poinstruował księcia, gdzie i jak to ukryć? Ponownie obejrzał ten spektakl i odkrył, że jeśli bardzo się postara, może spowolnić jego przebieg, zatrzymać w dowolnym momencie z niemal nieznośnie cudownym skutkiem. Stanowczo przeszedł do momentu z lustrem i uważnie przyjrzał się odbiciu. Zdołał dostrzec, że postacie w głębi - około dziesięciu osób, mężczyzn i kobiet - również są zamaskowane, ale nie rozpoznał żadnej z nich. Powoli przeszedł dalej i w ostatniej chwili zauważył otwarte drzwi - widocznie ktoś wychodził z pokoju - a za nimi okno, zapewne znajdujące się w sporej odległości, na którym było coś napisane. Odczytał odwrócone litery E, L oraz A. W pierwszej chwili pomyślał, że spogląda z tawerny - słowo *ale* to reklama piwa - lecz im dłużej rozmyślał o luksusowo urządzonym pokoju i elegancji gości, a także odległości między drzwiami a oknem z napisem, tym mniej prawdopodobna wydawała mu się tawerna, a nawet restauracja.

Przez chwilę tkwił myślami w miejscu, a potem nagle znalazł odpowiedź. Hotel St. Royale.

\*

Pięć minut później Svenson siedział w powozie, który toczył się w kierunku przybytku, będącego chyba najszacowniejszym hotelem w mieście, znajdującym się w samym sercu Circus Garden. W kieszeniach płaszcza miał kawałek szkła i pistolet. Nie był bogaty i nie należał do kasty uprzywilejowanych, tak więc mógł jedynie zachowywać się wyniośle, co podpatrzył na macklenburskim dworze, i mieć nadzieję, że znajdzie ludzi, którzy mu pomogą, z sympatii lub ze strachu. Właściwie zamierzał jedynie odnaleźć księcia i upewnić się, że ten dureń jest bezpieczny. Poza tym gdyby zdołał dowiedzieć się czegoś o pochodzeniu i budowie tego szkiełka, byłby bardzo zainteresowany, gdyż to potwierdzało jego podejrzenia, że Karl-Horst zadaje się z ludźmi, których ambicji nie jest w stanie ogarnąć. Chociaż Svenson natychmiast osobiście sprawdził niesamowite możliwości tego wynalazku, wiedział, że ma on o wiele większe znaczenie, którego nawet nie był sobie w stanie wyobrazić.

Wszedł do jasnego holu St. Royale i obojętnie zerknął na frontowe okna, odnajdując litery, które widział w lustrze. Były po jego lewej ręce i idąc ku nim, próbował zlokalizować

drzwi, z których były widoczne. Nie zdołał. Ściana, w której powinny się znajdować, była obita pluszem bez żadnych szwów. Podeszedł do niej, oparł się o nią, po czym niespiesznie wyjął papierosa i zapalił, przyglądając się jej z bliska - na próżno. Na ścianie w pobliżu wisiało duże lustro w grubej złoczonej ramie. Stał przed nim i zobaczył swoją sfrustrowaną minę. Lustro było duże, ale jego dolna krawędź znajdowała się metr nad podłogą, tak więc nie mogło maskować drzwi. Svenson westchnął i rozejrzał się po holu. Goście wchodzili i wychodzili albo siedzieli na skórzanych kanapach. Nie wiedząc, co robić, poszedł do kontuaru recepcji. Mijając szerokie schody prowadzące na piętra, zszedł z drogi dwóm schodzącym kobietom, przepuszczając je z uprzejmym skinieniem głowy. Gdy to robił, nagle zdrętwiał, czując odurzający zapach drzewa sandałowego. Spojrzał zaszokowany na jasnobrązowe włosy i delikatną szyję odchodzącej. To była kobieta ze szklanej karty - był tego pewien, czując silny zapach jej perfum - chociaż nigdy przedtem ich nie wąchał, a z pewnością nie z kawałka szkła. Pomimo to, choć nie potrafiłby wyjaśnić czemu, oddziaływanie tych perfum i ciała tej kobiety było dla niego czymś intymnie znajomym, tak jak i ona sama.

Obie kobiety zmierzały w kierunku hotelowej restauracji. Doktor Svenson pomknął za nimi, dogonił je tuż przed wejściem i znacząco kaszlnął. Odwróciły się. Zaskoczony zobaczył, że twarz kobiety o jasnobrązowych włosach szpeci ślad po oparzeniu w kształcie obwódki wokół oczu, sięgającej aż do obu skroni. Miała na sobie elegancką jasnoniebieską suknię, białą skórę bez żadnych innych skaz, oraz umalowane czerwoną szminką usta. Jej towarzyszka była nieco niższa i miała trochę pełniejszą twarz, lecz na swój sposób była równie pociągająca. Nosila suknię w żółte i bladezielone paski, z wysokim koronkowym kołnierzykiem. Skupiwszy na sobie ich uwagę, Svenson zaczął nagle rozpaczliwie szukać właściwych słów. Nigdy nie był żonaty i w ogóle rzadko przebywał w towarzystwie kobiet. To smutne, lecz doktor Svenson lepiej czuł się w obecności zwłok niż żywej kobiety.

- Panie wybaczą, czy mogę prosić, by poświęciły mi panie chwilę swojego czasu?

Patrzyły na niego w milczeniu. Brnął dalej:

- Nazywam się Abelard Svenson i mam nadzieję, że mogą mi panie pomóc. Jestem lekarzem. Właśnie szukam osoby pozostającej pod moją opieką, bardzo ważnej osoby, tak więc rozumiecie panie, iż należy o nią pytać niezwykle dyskretnie.

Wciąż na niego patrzyły. Kobieta ze śladami po oparzeniu uśmiechnęła się lekko, zainteresowana, nieznacznie unosząc kącik ust. Powiodła spojrzeniem po jego szynelu, epoletach i stojące kołnierza.

- Jest pan żołnierzem? - zapytała.

- Jak powiedziałem, jestem lekarzem i oficerem macklenburskiej marynarki. Kapitan chirurg Svenson, jeśli pani nalega, oddelegowany do zadań specjalnych... - zniżył głos - przy placówce dyplomatycznej.

- Macklenburg? - upewniła się druga.

- W rzeczy samej. To niemieckie księstwo na wybrzeżu Bałtyku.

- Istotnie mówi pan z akcentem - stwierdziła i zachichotała. - Zdaje się, że jest coś takiego jak macklenburski pudding?

- A jest? - zdziwił się doktor.

- Oczywiście - potwierdziła pierwsza kobieta. - Z rodzynkami i śmietaną oraz specjalnymi przyprawami, anyżkiem i goździkami...

- I mielonymi orzechami laskowymi - dodała druga. - Posypyany nimi z wierzchu.

Doktor pokiwał głową, zupełnie zagubiony. - Obawiam się, że nic o tym nie wiem.

- Nie przejmowałabym się tym - rzekła pierwsza, pobłażliwie klepiąc go po ramieniu.

- Czy nie męczy się panu to oko?

Patrzyły na jego monokl. Uśmiechnął się i poprawił go.

- Zapewne tak - przyznał. - Jednak tak się do niego przyzwyczaiłem, że już nie zwracam na to uwagi. - Wciąż się uśmiechały, chociaż bynajmniej nie był błyskotliwy ani czarujący. Z jakiegoś powodu postanowiły go zaakceptować, więc starał się wykorzystać tę okazję. Ruchem głowy wskazał restaurację. - Zakładam, że szły panie na obiad. Gdyby zechciały panie wypić ze mną kieliszek wina, miałyby panie więcej niż dość czasu, żeby pomóc mi wykonać zadanie.

- Zadanie? - powtórzyła kobieta ze śladami na twarzy. - Jakież to interesujące. Ja jestem pani Marchmoor, a to jest panna Poole.

Svenson wziął pod rękę obie panie, wchodząc między nie, i chociaż ten fizyczny kontakt sprawił mu przyjemność, nieznacznie zmienił krok tak, aby pistolet w jego kieszeni nie ocierał się o biodro panny Poole.

- Jestem nadzwyczaj wdzięczny za uprzejmość - rzekł i poprowadził je do restauracji.

\*

Kiedy jednak znaleźli się wewnątrz, to one przeprowadziły jego obok kilku wolnych stolików na sam koniec sali, gdzie rząd dyskretnie rozmieszczonych drzwi prowadził do małych sal restauracyjnych. Kelner otworzył im drzwi, a kobiety puściły Svensona i weszły jedna za drugą. Doktor skinął głową kelnerowi i poszedł za nimi. Gdy drzwi zamknęły się z cichym stuknięciem, zdał sobie sprawę, że salka nie jest pusta. Na drugim końcu stołu przykrytego eleganckim lnianym obrusem, z porcelanową zastawą, srebrnymi sztucami i

kwiatami w kryształowym wazonie siedziała - lub raczej zasiadała - wysoka kobieta o czarnych włosach i przenikliwych fiołkowych oczach. Miała na sobie czarny żakiecik narzucony na suknię z czerwonego jedwabiu i subtelnie haftowany żółtą nicią w chińskie wzory. Spojrzała na Svensona z uśmiechem, który uznał za neutralnie uprzejmy, a który mimo to zaparł mu dech. Doktor napotkał jej spojrzenie i z szacunkiem skłonił głowę-Ona upiła łyk wina, wciąż mu się przyglądając. Dwie przybyłe usiadły naprzeciwko siebie, po obu stronach kobiety w czerwieni.

Svenson stał niezręcznie na jego końcu - stół był na tyle duży, że z każdej strony mogły przy nim usiąść co najmniej trzy osoby - aż pani Marchmoor nachyliła się i szepnęła coś do ucha kobiecie w czerwieni. Ta skinęła głową i uśmiechnęła się nieco szerzej. Svenson poczuł, że się rumieni.

- Doktorze Svenson, proszę usiąść i nalać sobie wina. Stwierdzam, że jest bardzo dobre. Jestem madame Lacquer-Sforza. Pani Marchmoor mówi mi, że wykonuje pan jakieś zadanie.

Panna Poole podsunęła Svensonowi butelkę wina na srebrnej tacy. Wziął ją, po czym nalał sobie i kobietom.

- Bardzo przepraszam, że przeszkadzam... Właśnie miałem wyjaśnić tym damom...

- To bardzo dziwne - głośno zastanawiała się madame Lacquer-Sforza - że postanowił pan prosić je o pomoc. Czy był po temu jakiś powód? Znaie się?

Damy zachichotały. Svenson wyjaśnił pospiesznie:

- Oczywiście, że nie. Rozumie pani, że prosząc je o pomoc, zdradzam rozpaczliwy charakter moich poszukiwań. Krótko mówiąc - jak już powiedziałem - jestem członkiem poselstwa Księstwa Macklenburga, a ściśle mówiąc, świty jedynego syna i dziedzica diuka, księcia Karla-Horsta von Maasmärke. Podobno bywał w tym hotelu. Szukam go. Może to głupie, ale gdyby któraś z obecnych tu dam - gdyż wiem, że księżę jest wielkim miłośnikiem piękna - widziała go lub słyszała o jego bytności i mogła wskazać mi jego obecne miejsce pobytu, byłbym niezwykle zobowiązany.

Uśmiechały się do niego, popijając wino. Był zarumieniony, było mu gorąco, więc też się napił, zbyt pospiesznie, i zakrztusił się. Otarł usta serwetką i odkaszlnął, czując się jak dwunastolatek.

- Doktorze, niech pan usiądzie, proszę. - Nie miał pojęcia, że wciąż stoi. Madame Lacquer-Sforza uśmiechnęła się do niego, gdy usłuchał, w trakcie tego ponownie wstając, aby zdjąć płaszcz i powiesić go na krześle obok. Znow uniósł kieliszek. - Jeszcze raz dziękuję za uprzejmość. Nie zamierzam przeszkadzać paniom dłużej niż to konieczne...

- Niech mi pan powie, doktorze - zapytała pani Marchmoor - czy często gubi pan księcia? Czy jest on człowiekiem, który potrzebuje... opieki? I czy to zajęcie odpowiednie dla oficera i lekarza?

Kobiety zachichotały. Svenson machnął ręką i znów napił się wina, żeby ochłonąć - miał spocone dłonie, a kołnierzyk koszuli ścisnął mu szyję.

- Nie, nie, to nadzwyczajna sytuacja. Otrzymaliśmy wiadomość od samego diuka, a w tym momencie zarówno poseł stojący na czele misji, jak i jej attache wojskowy są nieobecni - tak samo, oczywiście, jak książę. Nie mając pojęcia, gdzie się po-dziewa, postanowiłem poszukać go osobiście, gdyż wiadomość wymaga szybkiej odpowiedzi. - Miał ochotę otrzeć czoło, ale nie zrobił tego. - Mogę spytać, czy wiecie coś o księciu? Często wspominał hotel St. Royale, więc może go widziałyście albo nawet poznałyście osobiście, gdyż w istocie - jeśli wybaczą mi panie śmiałość - jest wielbicielem pięknych kobiet.

Upił łyk wina. One nie odpowiadały. Pana Poole nachyliła się i szeptała coś do ucha madame Lacquer-Sforzy. Ta skinęła głową. Pana Poole wyprostowała się i wypila łyk wina. Pani Marchmoor obserwowała go. Mimo woli, patrząc jej w oczy, poczuł dreszcz rozkoszy na wspomnienie - jakże żywe! - gładkiej skóry jej ud. Przełknął ślinę i odchrząknął.

- Pani Marchmoor, czy zna pani księcia?

\*

Zanim zdążyła odpowiedzieć, drzwi za jego plecami otworzyły się i weszli dwaj mężczyźni. Svenson zerwał się na równe nogi i odwrócił twarzą do nich, chociaż żaden z nich nie zaszczycił go spojrzeniem. Pierwszy był wysokim, szczupłym mężczyzną o wysokim czole i krótko obciętych włosach. Nosił czerwony mundur z żółtymi wyłogami, czarne buty oraz przyszyte do kołnierza epolety pułkownika. Oddał kelnerowi płaszcz i mosiężny hełm, poczym podszedł prosto do madame Lacquer-Sforzy, ujął jej dłoń i nachylił się, aby ją ucałować. Potem skłonił się dwóm pozostałym kobietom i zajął miejsce obok pani Marchmoor, która już nalewała mu wino do kieliszka. Drugi mężczyzna przeszedł na przeciwną stronę stołu, mijając Svensona, aby usiąść obok pani Poole. Idąc w ślady pułkownika, ucałował dłoń madame Lacquer-Sforzy, ale w mniej pompatyczny sposób, po czym usiadł. Sam napelnił sobie, kieliszek i bezceremonialnie pociągnął tęgi łyk. Włosy miał jasne przetykane siwizną, długie i tłuste, zaczesane za uszy. Jego płaszcz był niezłej jakości, ale w kiepskim stanie. Prawdę mówiąc, wygląd tego człowieka kojarzył się z niegdysь cenionym sprzętem - na przykład sofą, która została pozostawiona na deszczu i częściowo zniszczona. Svenson widywał takich ludzi na uniwersytecie i zastanawiał się, czy ten

człowiek jest uczonym, a jeśli tak, to co też robi w tym towarzystwie. Madame Lacquer-Sforza zabrała głos:

- Pułkowniku Aspiche i doktorze Lorenz, mam przyjemność przedstawić panom doktora Svensona z Księstwa Macklenburg i członka dyplomatycznej świty księcia Karla-Horsta von Maasmärcka Doktorze Svenson, pułkownik Aspiche jest nowym dowódcą Czwartego Regimentu dragonów, niedawno mianowanego gwardią książęcą - zaszczytna nominacja - a doktor Lorenz jest członkiem rzeczywistym Królewskiego Instytutu Nauki i Badań.

Svenson skinął głową obu panom i podniósł kieliszek. Lorenz uznał to za kolejną okazję, żeby pociągnąć spory łyk, opróżniając kieliszek i nalewając sobie drugi. Aspiche obrzucił Svensona niezwykle badawczym spojrzeniem. Doktor od razu rozpoznał mundur i wiedział, że ma przed sobą następcę Trappinga. Domyślał się, że ten człowiek musi czuć się nieswojo ze względu na okoliczności swojego awansu, jeśli nie - zważywszy na brak ciała - z innych poważniejszych powodów. Svenson postanowił pogmerać w ranie.

- Miałem zaszczyt poznać nieszczęsnego poprzednika pułkownika Aspiche'a, pułkownika Trappinga, właśnie tego wieczoru, gdy pułkownik zaginął. Ze względu na jego rodzinę, jeśli nie spokój całego wdzięcznego narodu, mam nadzieję, że tajemnica jego zniknięcia szybko zostanie rozwiązana.

- Wszystkich nas zmartwiła ta strata - mruknął Aspiche.

- Musi być trudno obejmować dowodzenie w takich okolicznościach.

Aspiche spojrzał na niego gniewnie.

- Żołnierz robi to, co jest konieczne.

- Doktorze Lorenz - gładko przerwała mu madame Lacquer-Sforza - zdaje się, że odwiedził pan Macklenburg.

- Owszem - odparł Lorenz ponuro i dumnie, jak wychłostany Pies, powstrzymujący się przed buntem z obawy przed następnym biciem. - W zimie. Mogę tylko powiedzieć, że było zimno i pochmurno.

- Co pana tam sprowadziło? - spytał uprzejmie Svenson.

- Jestem pewien, że nie pamiętam - odparł Lorenz, mówiąc do swego kieliszka.

- Robią tam wspaniałe puddingi - zachichotała panna Poole, a siedząca naprzeciwko pani Marchmoor zawtórowała.

Svenson wykorzystał ten moment, żeby przyjrzeć się jej twarzy. To co w pierwszej chwili wyglądało na oparzenie, teraz uznał za coś innego: skóra nie była naciągnięta jak w przypadku blizn, lecz dziwnie odbarwiona, jakby wytrawiona łagodnie działającym kwasem

lub poparzona szczególnie nieostrożnym opalaniem, albo nawet nietrwałym tatuażem, może wykonanym rozcieńczoną henną? Jednak nie mogło to być zamierzone działanie, gdyż ten ślad był bardzo szpecący, więc natychmiast odwrócił oczy, nie chcąc się gapić. Napotkał spojrzenie madame Lacquer-Sforzy, która uważnie go obserwowała.

- Doktorze Svenson, czy jest pan człowiekiem lubiącym grać? - zapytała.

- To zależy wyłącznie od rodzaju gry, madame. Nie jestem hazardzistą, jeśli o to pani pyta.

- Być może. A co z panami? Pułkownika Aspiche? Aspiche podniósł głowę. Nie słuchał. Zaskoczony Svenson zauważył, że choć prawa ręka pani Marchmoor jest niewidoczna pod stołem, to kąt nachylenia ramienia wskazuje na to, że jej dłoń spoczywa na podolku pułkownika. Aspiche zakrztusił się i w skupieniu ściągnął brwi. Pani Marchmoor - a także madame Lacquer-Sforza - obserwowały go z anielsko niewinnym zainteresowaniem.

- Każdy prawdziwy mężczyzna ma hazard we krwi - oznajmił. - A przynajmniej każdy żołnierz. Niczego się nie uzyska, nie będąc przygotowanym na stratę - wszystkiego lub części. Nawet największe zwycięstwo wymaga ofiar. W pewnych okolicznościach odmowa przystąpienia do gry jest po prostu tchórzostwem. - Upił łyk wina i poruszył się na krześle, z rozmysłem nie patrząc na panią Marchmoor, której dłoń nadal pozostawała pod stołem, po czym zwrócił się do Svensona: - Nie kieruję tych uwag do pana, doktorze, gdyż pański zawód nakazuje ratować i zachowywać życie.

Madame Lacquer-Sforza poważnie skinęła głową i zwróciła się do drugiego z przybyłych:

- Doktorze Lorenz?

Lorenz próbował dostrzec coś przez blat, spoglądając tam, gdzie znajdował się podolek Aspiche'a, jakby siłą woli chciał usunąć przeszkodę. Nie odrywając oczu od blatu stołu, znów upił łyk wina - taka umiejętność koncentracji wywarła głębokie wrażenie na Svensonie - i wymamrotał:

- Prawdę mówiąc, gra to złudzenie, gdyż ryzyko można wyrazić w procentach i dokładnie przewidzieć, jeśli ktoś ma cierpliwość i zna matematykę. Istotnie, może być ryzykowna, gdyż rachunek prawdopodobieństwa dopuszcza różne wyniki, ale to prawdopodobieństwo łatwo można wyliczyć i na dłuższą metę inteligentny gracz zdobędzie wygraną proporcjonalną do stopnia, w jakim on lub ona - tu posłał spojrzenie madame Lacquer-Sforzy - działa zgodnie z racjonalną wiedzą.

Znowu pociągnął łyk. Gdy to robił, panna Poole dmuchnęła mu w ucho. Zaskoczony doktor Lorenz zakrztusił się i opryskał winem stół. Pozostali wybuchnęli śmiechem. Panna

Poole wzięła serwetkę i otarła nią zaczerwienioną twarz Lorenza. Madame Lacquer-Sforza ponownie napełniła jego kieliszek. Svenson zauważył, że lewa ręka pułkownika Aspiche'a zniknęła pod stołem, a potem dostrzegł, że pani Marchmoor nieznacznie poruszyła się na krześle. Svenson przełknął ślinę. Co on tam robi? Ponownie napotkał wzrok madame Lacquer-Sforzy, przyglądającej mu się z uśmiechem.

- A pani, madame? - zapytał. - Nie słyszeliśmy pani opinii. Zakładam, że poruszyła pani ten temat z jakiegoś powodu.

- Jakie to niemieckie, doktorze, tak bezpośrednio i do rzeczy. - Upiła łyk wina i uśmiechnęła się. - Jeśli o mnie chodzi, to bardzo proste. Nigdy nie gram o nic, na czym mi zależy, lecz jestem gotowa postawić najwyższą stawkę w grze o coś, co jest mi obojętne. Oczywiście mam to szczęście, że nie zależy mi niemal na niczym, tak więc ten świat jest dla mnie czymś w rodzaju... z braku lepszego słowa powiem „gry”. Jednak zapewniam pana, że to gra poważna.

\*

Nie odrywała oczu od Svensona, patrząc na niego spokojnie i z rozbawieniem. Nie rozumiał, co właściwie dzieje się w tym pokoju. Po jego lewej pułkownik Aspiche i pani Marchmoor otwarcie obmacywali się pod stołem. Po prawej panna Poole lizała ucho doktora Lorenza, który posapywał i przygryzał dolną wargę, obiema rękami tak mocno ściskając kieliszek, że ten w każdej chwili mógł pęknąć. Svenson znów spojrzął na madame Lacquer-Sforzę. Nie zwracała uwagi na pozostałych. Zrozumiał, że byli już urobieni - jeszcze zanim tutaj przyszli. To na nim skupiła uwagę. Pozwolono mu tu wejść z konkretnego powodu.

- Pani mnie zna, madame... i mojego księcia.

- Być może.

- Czy wie pani, gdzie on jest?

- Wiem, gdzie może być.

- Powie mi pani?

- Może. Zależy panu na nim?

- To mój obowiązek. Uśmiechnęła się.

- Doktorze, obawiam się, że muszę prosić o szczerą odpowiedź.

Svenson przełknął ślinę. Aspiche zamknął oczy i ciężko dyszał. Pana Poole włożyła dwa palce do ust Lorenza.

- To chodzący kłopot - rzekł nagle Svenson. - Zapłaciłbym, żeby ktoś stłukł go na kwaśne jabłko.

Madame Lacquer-Sforza rozpromieniła się.

- Znacznie lepiej.
- Madame, nie znam pani zamiarów...
- Ja tylko proponuję wymianę. Szukam kogoś, tak samo jak pan.
- Muszę natychmiast znaleźć mojego księcia.
- Tak, a jeśli później będzie pan mógł mi pomóc, będę bardzo zobowiązana.

Umysł Svensona burzył się przeciwko całej tej sytuacji - w której wszyscy pozostali jakby postradali rozum - ale nie znalazł żadnego powodu do odmowy. Badawczo spojrzął we fiołkowe oczy, stwierdził, że są nieprzeniknione i znów przełknął ślinę.

- Kogo pragnie pani znaleźć?

\*

Powietrze w laboratorium instytutu było przesycone wonią ozonu, spalonej gumy i jakimś szczególnym zapachem, którego Svenson nie rozpoznał - będącym mieszaniną siarki, sodu i metalicznego odoru krwi. Książę bezwładnie leżał na fotelu, mając po: jednej stronie Crabbego, a po drugiej Francisa Xoncka. Na drugim końcu pokoju stał hrabia d'Orkancz, w skórzanym fartuchu i takich samych rękawicach zakrywających jego ręce po łokcie. Za nim znajdowały się uchylone metalowe drzwi - czyżby przez nie wnieśli tu Karla-Horsta? Svenson z wycelowanym pistoletem zabrał księcia, który był dostatecznie przytomny, by stać i chwiejnie chodzić, ale najwyraźniej nie mógł mówić i - na szczęście dla Svensona - protestować. U podnóża schodów doktor zobaczył dziwną postać w czerwonym stroju, która gestem kazała mu iść dalej. Ten człowiek wydawał się tu takim samym intruzem jak Svenson - i też był uzbrojony - ale doktor nie miał teraz czasu na rozmyślania. Strażnicy wybiegli za nim na dziedziniec, a nawet na ulicę, gdzie dopisało mu szczęście i złapał dorożkę. Dopiero po powrocie do misji, w jasnym gazowym świetle pokoju księcia zauważył obwódki wokół jego oczu, których nie widział w mrocznym podziemiu i w ciemnym wnętrzu dorożki. Wtedy był zbyt zaprzątnięty stanem zdrowia księcia, a później nagabywaniami Flaussa, aby zastanawiać się nad związkiem między prywatną salką w hotelu St. Royale a laboratorium instytutu, a tym bardziej zniknięciem Trappinga z rezydencji Vandaariffa. Teraz, siedząc przy kuchennym stole i słuchając odgłosów przygotowywanej ekspedycji, zrozumiał, że nie może dłużej czekać.

Nie powiedział nic Blachowi ani Flaussowi - nie ufał im i był aż nadto szczęśliwy, że wyszli razem, gdyż oni też nie ufali sobie nawzajem. Najwidoczniej madame Lacquer-Sforza była powiązana z panią Marchmoor, która doznała takich samych oparzeń jak książę. Dlaczego więc pozwolono Svensonowi przerwać ten proces? A jeśli madame Lacquer-Sforza nie była w zмовie z ludźmi z instytutu, to co ze szkiełkiem, ukazującym wydarzenia

najwyraźniej mające miejsce w St. Royale i łączące ją z całą tą aferą. Svenson przetarł oczy, starając się skupić na najważniejszym. Kto - klika Crabbego czy towarzystwo madame Lacquer-Sforzy - miał powód i środki, aby po cichu uprowadzić księcia przez dach misji?

\*

Jednym haustem dopił wino i odsunął krzesło od stołu. Na górnych piętrach zrobiło się cicho. Bez namysłu schował jedzenie do szafki, a kieliszek i nóż zostawił do umycia przy zlewie. Wyjął papierosa, zapalił go kuchenną zapalką, którą następnie wrzucił do pieca. Zaciągnął się i ściągnął brwi, zdejmując odrobinę tytoniu z języka. Nazwisko - Isobel Hastings - nic mu nie mówiło. Nie znał zwyczajów tutejszych dziwek - oprócz tych, które poznał zajmując się półprzytomnym księciem - ale nie sądził, żeby to miało jakieś znaczenie. Jeśli kobieta w czerwieni poprosiła go o pomoc, to z pewnością miała również innych poszukiwaczy, dobrze znających miasto i mieszkańców. To oznaczało także, że inni zawiedli, a jej informacje były błędne. Zostawił te rozważania na później - z pewnością nie mogła oczekiwać, że teraz będzie tracił na to czas, obojętnie, co jej obiecał.

Svenson wyszedł na dziedziniec, zakładając po drodze płaszcz i przekładając lekarską torbę z ręki do ręki, żeby wepchnąć je w rękawy. Przystanął na otwartej przestrzeni i zapiął płaszcz jedną ręką, spoglądając na okna. W budynku panowała cisza. Wyszli, nie zostawiając mu żadnej wiadomości. Wiedział, że musi przeprowadzić własne poszukiwania, ale nie mógł się zdecydować, dokąd iść. Księcia nie będzie w St. Royale - choćby dlatego, że Svenson otwarcie szukał go tam wieczorem - ani w instytucie, z tego samego powodu. Pokręcił głową, wiedząc, że zarówno St. Royale, jak instytut mogą być doskonałymi kryjówkami - oba były ogromne - właśnie dlatego, że już zostały przeszukane. Co więcej, jeśli uprowadziła go klika Crabbego i Xoncka, to księżę mógł być gdziekolwiek, ponieważ ci dwaj na pewno mieli setki miejsc, w których mogli go niepostrzeżenie umieścić. Svenson nie mógł liczyć na to, że sam zdoła odszukać Karla-Horsta. Powinien znaleźć jednego z porywaczy i zmusić go do mówienia.

Podszedł do bramy, skinął głową wartownikowi i wyszedł na ulicę, gdzie zczekał na pustą dorożkę, w myślach rozważając różne możliwości. Skreślił Vandaariffa - Blach i Flauss już z nim rozmawiali - jak również madame Lacquer-Sforzę. Szczerze mówiąc, nie mógł być pewny tego, czy zdołaliby użyć wobec niej przemocy, co - jak się obawiał - będzie konieczne. Tak więc zostawiali Crabbe, Xonck i hrabia d'Orkancz. Pozostałych skreślił jako mało ważnych - dwie pozostałe kobiety, Aspiche'a, Lorenza, sekretarza Crabbego. Próba wyciśnięcia czegoś z któregoś z nich byłaby stratą czasu, a ponadto nie miał pojęcia, gdzie ich szukać. Natomiast wiedział, że księżę bywał na obiadach w domach Crabbego, d'Orkancza i

Xoncka, a on skrupulatnie zapamiętał daty i adresy. Doktor westchnął i zapiął guzik pod szyją. Było dobrze po północy, zimno, a ulica pusta. Jeśli ma dokąd pójść, to do najbliższego mieszkającego z tych trzech, do Haralda Crabbego.

\*

Maszerował przez godzinę w szybkim, rozgrzewającym Temple. Mgła była gęsta, miejskie bruki zimne i wilgotne, lecz Svensonowi to odpowiadało, gdyż była to typowa pogoda jego ojczyzny. Kiedy dotarł na Hadrian Square, okna domu pod numerem czternastym były ciemne. Svenson wszedł po schodkach i zastukał kołatką. Włożył rękę do kieszeni płaszcza i zacisnął dłoń na rękojeści pistoletu. Żadnej odpowiedzi. Zastukał ponownie. Nic. Zszedł na ulicę i za najbliższy róg. Znalazł tam boczną uliczkę dla dostawców, zapewniającą dostęp do drzwi na tyłach domów tego kwartału i zagrodzoną bramą z żelaznych prętów. Była otwarta. Svenson przeszedł przez nią i mszył wąskim zaułkiem.

Dom Crabbego był trzeci z kolei. Z powodu mgły Svenson musiał iść powoli i w śmiesznie niewielkiej odległości od muru, żeby móc stwierdzić, gdzie kończy się jeden budynek, a zaczyna drugi, nie mówiąc już o zlokalizowaniu tylnych drzwi. Nigdzie nie paliło się światło. Spoglądając w okna, Svenson wpadł na taczkę i o mało się nie przewrócił. Powstrzymawszy jęk, potarł kolano. Za taczką szereg kamiennych stopni prowadził do piwnicy, a może do kuchni. Spojrzał w górę - to powinien być dom Crabbego. Zacisnął dłoń na schowanym w kieszeni pistolecie i podkrał się do uchylonych drzwi. Po cichu wyjął broń i przykucnął. Przełknął ślinę i szerzej otworzył drzwi. Nikt do niego nie strzelił, co uznał za obiecujący początek swojej kariery włamywacza.

Pomieszczenie za drzwiami było ciemne i ciche. Svenson wślizgnął się do środka, pozostawiając otwarte drzwi. Schował pistolet do kieszeni i sięgnął do drugiej, po zapalnik. Potarł jedną o kciuk - trzask zapalanej zapalniczki wydał się niezwykle głośny w nocnej ciszy - po czym pospiesznie się rozejrzał. Znalazł się w magazynie. Pod ścianami stały słoje, pudła, puszki i beły, na środku skrzynie, kosze i beczki, a na drugim końcu pomieszczenia dostrzegł następne schody. Dmuchięciem zgasił zapalniczkę, wyrzucił ją i poszedł w ich kierunku. Ponownie wyjął pistolet z kieszeni i powoli, stopień po stopniu, wszedł po schodach. Nie trzeszczały. Na górze były następne drzwi, otwarte na oścież. Gdy jego głowa znalazła się na poziomie progu, spojrzął przez nie, ale niczego nie zobaczył, gdyż płomień zapalanej zapalniczki na chwilę go oślepił. Nasłuchiwał, jednocześnie zastanawiając się nad tym, co robi - jak głupio i ryzykownie postępuje. Gdyby widział jakąś inną możliwość, skorzystałby z niej. A tak miał tylko nadzieję, że nie będzie musiał zastrzelić jakiegoś bohaterskiego sługi i nie

przestraszy śmiertelnie pani... Czy jest jakaś pani Crabbe? Schody doprowadziły go do holu, przez który kroczył powoli, zastanawiając się, czy zapalić drugą zapalniczkę. Westchnął i znów schował pistolet. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było wpaść po ciemku na jakąś porcelanową lampę lub gablotę z chińską porcelaną. Wyjął drugą zapalniczkę.

Wtedy usłyszał głosy dochodzące z magazynu, przez który przyszedł.

Svenson pospiesznie zapalił zapalniczkę, starając się osłonić ją drugą ręką, w której trzymał lekarską torbę, po czym szybko i cicho przeszedł korytarzem do najbliższych drzwi. Przeszedł przez nie i znalazł się w kuchni. Na kuchennym stole leżały zwłoki jakiegoś nieznanego mu człowieka, nakryte prześcieradłem aż po brodę. Słyszając kroki na schodach, Svenson błyskawicznie odwrócił się i na drugim końcu kuchni zobaczył następne drzwi. Płomień zapalniczki parzył mu palec. Ominął stół i wypadł przez wahadłowe drzwi. Zdażył jeszcze zobaczyć nakryty obrusem stół, po czym machnięciem ręki zgasił zapalniczkę. Odrzucił ją, włożył oparzony palec do ust, przytrzymał wahadłowe drzwi, aż znieruchomiały, a potem po cichu podszedł do stołu i schował się pod nim. Wyjął pistolet. Kroki dotarły do kuchni. Usłyszał głosy dwóch mężczyzn, a potem charakterystyczny odgłos odkorkowywanej butelki.

\*

- No i jesteśmy - powiedział pierwszy głos, sprawiający wrażenie niezmiernie z siebie zadowolonego. - Mówiłem ci, że będzie miał coś dobrego. Gdzie są kieliszki? - Odpowiedział mu cichy brzęk szkła, potem głośniejszy, a w końcu bulgot nalewanego wina - sądząc po odgłosach, do sporych kielichów. Znów odezwał się pierwszy mężczyzna: - Myślisz, że możemy zaryzykować i zapalić światło?

- Wiceminister... - zaczął drugi.

- Tak, wiem, w porządku. No i dobrze. Nie chcę patrzeć na tego gościa dłużej, niż muszę. Co za strata czasu. Kiedy on ma tu być?

- Posłaniec mówił, że przed spotkaniem z nami ma jakąś pilną sprawę do załatwienia.

Pierwszy mężczyzna westchnął. Svenson usłyszał trzask zapalanej zapalniczki - w szparze pod drzwiami zamigotało żółte światło - a potem rozległo się pykanie zapalnego cygara.

- Chcesz jedno, Bascombe? - zapytał pierwszy mężczyzna.

Svenson pospiesznie przejrzał zasoby swojej pamięci. W ciągu ostatnich tygodni poznał tyle osób i usłyszał tyle nazwisk... Czy był wśród nich jakiś Bascombe? Być może, ale nie mógł sobie przypomnieć. Może gdyby zobaczył jego twarz...

- Nie, dziękuję panu - odparł Bascombe.

- Nie jestem żaden „pan” - roześmiał się pierwszy mężczyzna. - Zostaw to dla Crabbego albo księcia, chociaż ośmielę się powiedzieć, że sam będziesz wkrótce jednym z nich. Jak ci się to podoba?

- Sam nie wiem. To wszystko dzieje się tak szybko.

- Jak wszystko co najlepsze, no nie?

Bascombe nie odpowiedział i milczeli przez chwilę, popijając wino. Svenson czuł zapach cygara. To było doskonałe cygaro. Oblizwał wargi. Rozpaczliwie chciało mu się palić. Nie rozpoznawał żadnego z głosów.

- Masz jakieś doświadczenie ze zwłokami? - zapytał pierwszy głos z lekkim rozbawieniem.

- Prawdę mówiąc, tak bliski kontakt zdarza mi się po raz pierwszy - odparł drugi z mężczyzn, tonem zdradzającym Sven-sonowi, że mówiący wie, że z niego kpią, ale stara się na to nie zważać. - Mój ojciec umarł, kiedy byłem mały...

- No i twój wuj. Czy widziałeś jego ciało?

- Nie. Jeszcze nie byłem... chociaż oczywiście przyjdę na pogrzeb.

- Przywykniesz do tego jak do wszystkiego. Zapytaj jakiegoś lekarza albo żołnierza. - Svenson znów usłyszał bulgot nalewanego wina. - No dobrze, a poza zwłokami... co z kobietami?

- Słucham? Tamten zachichotał.

- Och, nie bądź takim sztywniakiem. Nic dziwnego, że Crabbe cię faworyzuje. Nie jesteś żonaty?

- Nie.

- Zaręczony?

- Nie. - Zapytany zawahał się. - Była pewna... ale nie, to nie było nic poważnego. Jak już mówiłem, wszystko to wydarzyło się tak szybko...

- Zatem burdele, co? Albo uczennice?

- Nie, nie - odparł Bascombe zawodowo cierpliwym tonem, po którym Svenson rozpoznał doświadczonego dworaka. - Jak już mówiłem, moje uczucia zawsze... no cóż, zawsze były podporządkowane poczuciu obowiązku...

- Wielkie nieba, a więc chłopcy?

- Panie Xonck! - warknął, chyba bardziej rozdrażniony niż oburzony.

- Tylko pytam. Kiedy się podróżuje tyle co ja, pewne rzeczy przestają dziwić. Na przykład w Wiedniu jest więzienie, które można odwiedzić za skromną opłatą, jak odwiedza się zoo, i za zaledwie kilka fenigów więcej można...

- Panie Xonck, za pozwoleniem, z pewnością nasze obecne sprawy...

- Czy proces niczego cię nie nauczył?

W tym momencie młodszy z nich zamilkł, pojmując, że może to być znacznie poważniejsze pytanie, niż sugerował żartobliwy ton.

- Oczywiście - odparł - była to transformacja...

- Zatem napijmy się jeszcze wina.

Czy to była prawidłowa odpowiedź? Svenson usłyszał bulgotanie, gdy Francis Xonck zaczął przemowę.

- Morale to coś, co nosimy w sobie. Nie istnieje nigdzie indziej, zapewniam cię. Rozumiesz? Jest swoboda i odpowiedzialność, a które z nich jest czymś naturalnym, zależy od punktu widzenia, Bascombe. Co więcej, nałogi sajak genitalia - przeważnie budzą odrazę, a jednak nasze własne są nam drogie. - Parsknął, ubawiony swoim dowcipem, pociągnął łyk, głośno wypuścił powietrze. - Jednak podejrzewam, że ty nie masz żadnych nałogów, prawda? No cóż, kiedy zmienisz kapelusz i zostaniesz lordem Tarrem, siedzącym na jedynym złożu niebieskiej glinki w promieniu sześciuset kilometrów, ośmielę się twierdzić, że ten stan rzeczy szybko się zmieni. Mówię to z własnego doświadczenia. Znajdź sobie jakąś pominą kurkę domową i ożeń się z nią, żeby pilnowała ci domu, a potem używaj sobie gdzie indziej. Na przykład mój brat...

Bascombe roześmiał się nieco gorzko.

- O co chodzi? - zapytał Xonck.

- O nic.

- Nalegam.

Bascombe westchnął.

- To nic, tylko że zaledwie tydzień temu byłem jeszcze... jak powiedziałem, to bez znaczenia... po prostu można tylko śmiać się z tego, jak łatwo uwierzyć... głęboko uwierzyć...

- Zaczekaj. Jeśli to ma być długa historia, to potrzebna nam następna butelka. Chodź.

\*

Svenson usłyszał, jak wychodzą z kuchni do holu, a po chwili po odgłosie kroków odgadł, że schodzą do piwnicy. Nie sądził, że zdoła wymknąć się niepostrzeżenie, ponieważ nie miał pojęcia, gdzie ta piwnica jest ani jak długo w niej będą. Mógłby spróbować odnaleźć frontowe drzwi, ale wiedział, że będąc tutaj, ma doskonałą okazję dowiedzieć się więcej, jeżeli tylko nie zostanie odkryty. Nagle skojarzył: Bascombe! Sekretarz Crabbego. Ten chudy, młody człowiek, który nigdy się nie odzywał, zawsze uważnie słuchał, miał niedługo zostać lordem? Svenson skarcił się w duchu za to, że nie wykorzystuje najlepszego źródła

informacji. Wyjął następną zapalną i po cichu podszedł do wahadłowych drzwi. Posłuchał - tamci wciąż byli poza zasięgiem słuchu - zapalił ją i obejrzał zwłoki leżące na stole.

Martwy mężczyzna miał około czterdziestki, rzadkie włosy, zadarty nos i gładko ogolone policzki. Jego twarz usiana była czerwonymi plamami, pełna życia, choć trupioblada, a wargi ściągnięte w grymasie i odsłaniające poślizki od nikotyny i niekompletne uzębienie. Działając równie szybko, jak spalała się zapalną, Svenson odchylił całun i mimo woli jęknął. Ręce nieboszczyka od łokci w dół były poprzecinane siatką paskudnych, zygzakowatych, błyszczących niebiesko żył, nabrzmiętych tak, że zdawały się przecinać skórę. Na pierwszy rzut oka żyły wyglądały na mokre, ale Svenson ze zgrozą zauważył, że były ze szkła i biegnęły w dół przedramion, grubiejac, wpijając się i usztywniac ciało wokół siebie. Jeszcze niżej zsunął prześcieradło i ze zdziwienia upuścił zapalną. Ten człowiek nie miał dłoni. Jego przeguby były niebieskie, poszarpane i popękane - jakby dłonie ponizej nich rozbiły się na kawalki.

\*

Kroki zaczęły się zblizac. Svenson pospiesznie zakrył nieboszczyka i zrejterował do jadalni, ostrożnie unieruchamiajac wahadłowe drzwi, majac zamęt w głowie. Po chwili usłyszał, jak tamci idą korytarzem i wchodzą do kuchni.

- Jeszcze jeden kieliszek, Bascombe! - zawołał Xonck i rzucił do trzeciego mężczyzny: - Zakładam, że przyłączysz się do nas, a raczej do mnie, gdyż Bascombe nie podziela mojego pragnienia. Zawsze obserwujesz wszystko z dystansu, prawda, Rogerze?

- Jeśli nalegasz - mruknął nowy głos.

Svenson wstrzymał oddech. Był to głos majora Blacha. Svenson powoli zacisnął dłoń na kolbie pistoletu.

- Doskonale. - Xonck z głośnym cmoknięciem wyciągnął korek z butelki i napełnił kieliszki. Napił się i Svenson usłyszał ciche pomruki zadowolenia. - Jest bardzo dobre, nieprawdaż? Do licha! Zdaje się, że moje cygaro zgasło. - Svenson dostrzegł odbłask zapalanej zapalnej. Xonck mówił dalej: - Dlaczego nie rzucimy na niego okiem? Ściągnij całun, Bascombe. Otóż i on - i w całej okazałości. No, majorze, co pan na to?

Major nie odpowiedział. Po chwili zapalną zgasła. Xonck zachichotał.

- Mniej więcej to sarno powiedzieliśmy. Zdaje mi się, że stary Crabbe rzekł, jasna cholera! Tyle że to nie była cholera - zachichotał Xonck. - Zawsze mówię, że we wszystkim trzeba znajdować dobre strony.

- Co mu się stało? - zapytał Blach.

- A jak pan myśli? Nie żyje. Był dość cenny, wie pan - był bardzo doświadczonym technikiem. Dobrze, że mamy jeszcze Lorenza - jeśli nadal go mamy - ponieważ, majorze, nie jestem do końca przekonany, że rozumie pan, kto jest odpowiedzialny za całą tę cholerną katastrofę. Pan, majorze. Doszło do tego, ponieważ nie potrafił pan zlokalizować jednego nędznego łobuza, który w wyniku tego zdołał zakłócić naszą pracę w najmniej odpowiednim momencie. Tak jak nie potrafił pan upilnować członków swojej misji dyplomatycznej - bo zakładam, że zna pan człowieka, który zabrał księcia, grożąc nam pistoletem. Byłoby to zabawne, gdyby nie stwarzało problemów, z którymi teraz wszyscy musimy się uporać!

- Panie Xonck... - zaczął major Blach.

- Zamknij ten swój cudzoziemski dziób - warknął zimno Xonck. - Nie chcę słuchać usprawiedliwień. Chcę pomysłów, pomyśl o swoich problemach. A potem powiedz nam, co zamierzasz z nimi zrobić.

W pomieszczeniu zapadła głucha cisza, w której słychać było tylko brzęk kieliszka Xoncka. Svenson był zdumiony. Nigdy nie słyszał, żeby ktoś w ten sposób zwracał się do Blacha, i nie wyobrażał sobie, żeby ten mógł zareagować na to inaczej niż wybuchem wściekłości.

Blach odchrząknął.

- Na początek...

- Po pierwsze, majorze - przerwał mu Bascombe, nie Xonck - jest ten człowiek z pańskiej misji, lekarz księcia, jeśli się nie mylę.

- Tak - syknął Blach. - On nie jest ważny. Wróć tam i każę go zastrzelić w jego własnym łóżku pod byle pretekstem, nikt się nie przejmie...

- Po drugie - znów przerwał mu Bascombe - ten niebezpieczny człowiek w czerwieni.

- Chang. Mówią na niego Kardynał Chang - wyjaśnił Blach.

- To Chińczyk? - zapytał Bascombe.

- Nie - warknął Blach i Svenson usłyszał drwiący chichot Xoncka. - Został... nazywają go tak z powodu blizn, podobno, bo ja ich nie widziałem. Uciekł nam. Zabił jednego z moich ludzi i ciężko poranił dwóch innych. To tylko niebezpieczny kryminalista bez wyobraźni i pojęcia. Rozstawiłem ludzi w miejscach, które podobno odwiedza. Szybko zostanie złapany i...

- Przyprohwadzony do mnie - dokończył Xonck.

- Jak pan sobie życzy.

- Po trzecie - ciągnął Bascombe - ta kobieta szpieg, Isobel Hastings.

- Nie znaleźliśmy jej. Nikt nie może jej znaleźć.

- Ona musi gdzieś być, majorze - powiedział Bascombe.  
- Nic o niej nie wiedzą w burdelach, do których mnie skierowano...  
- Zatem sprawdźcie hotel! - krzyknął Xonck. - Sprawdźcie pokoje gościnne!  
- Nie znam miasta tak dobrze jak wy...  
- Dalej! - warknął Xonck.  
- A po czwarte - ciągnął gładko Bascombe i Svenson mimo woli podziwiał jego zimną krew - musimy zaaranżować powrót waszego księcia.

Svenson nadstawił ucha, gdyż właśnie na to czekał, ale w pokoju zapadła głucha cisza... którą przerwał wściekły wybuch Blacha.

- O czym pan mówi? - zapienił się.  
- To bardzo proste, ale przed nami jeszcze mnóstwo pracy. Przed ślubem i powrotem do Macklenburga...

- Nie, nie! Dlaczego pan mi to mówi? Przecież już go zabraliście, nie zawiadamiając mnie o tym! Zabraliście go kilka godzin temu!

Tamci zamilkli. Blach pospiesznie wyjaśnił, co zdarzyło się w misji - ucieczkę na dach, zatarasowane drzwi - a potem opowiedział, jak razem z Flaussem dopiero co złożyli skargę i prośbę o pomoc na ręce lorda Vandaariffa, który obiecał zrobić co w jego mocy.

- Oczywiście, przez cały czas zakładałem, że został uprowadzony przez was - powiedział Blach - chociaż nie miałem pojęcia, w jaki sposób.

Znów zapadła cisza.

- Nie mamy pańskiego księcia - rzekł Xonck cicho i spokojnie. - No dobrze. Po piąte, Blach, będzie pan nadal starał się znaleźć Changa i tę całą Hastings. My znajdziemy księcia. Bascombe pozostanie w kontakcie. A po szóste... Taak, po szóste... - Przerwał na moment, żeby dopić wino. - Może pomoże nam pan wynieść biednego Croonera z kuchni pani Crabbe. Powinni już mieć wszystko przygotowane nad rzeką. Weźmiemy pański powóz.

\*

Dwadzieścia minut później Svenson stał w kuchni sam, spoglądając na pusty stół i paląc papierosa. Otworzył torbę lekarską, znalazł pusty szklany słoiczek i wyjął korek. Zapalił zapalniczkę i pochylił się nad stołem, oglądając blat. Wypalił kilka zapalek, zanim znalazł to, czego szukał: mały płatek czegoś, co wyglądało jak niebieskie szkło. Zwitek waty wepchnął odłamek do słoiczka, zakorkował go i schował do torby. Nie miał pojęcia, co to takiego, ale był przekonany, że przyda się porównać to ze szkiełkiem znalezionym w pokoju księcia. Zatrzasnął torbę. Nie mógł wrócić na teren poselstwa. Nie miał pojęcia, jak długo może zostać tutaj - zapewne już nie powinno go tu być. Teraz przynajmniej wiedział, kim są

jego wrogowie, przynajmniej niektórzy z nich: ani Xonck, ani Bascombe nie wspomnieli o madame Lacquer-Sforzy - Svenson zastanawiał się, czy to ona jest odpowiedzialna za porwanie księcia. Jednak ona również szukała tej Hastings - dążenia różnych osób przedziwnie się pokrywały. W rzeczy samej, ci ludzie wspomnieli o doktorze Lorenzu, jakby był jednym z nich, podczas gdy Svenson na własne oczy widział go w towarzystwie madame Lacquer-Sforzy. Może wszyscy byli gotowi zdradzić jedni drugich, ale na razie działali ręką w rękę. Gdzieś w głębi domu zegar wybił trzecią. Svenson wziął torbę i wyszedł.

Brama wjazdowa była teraz zamknięta, więc sztywno, jak człowiek nienawykły do takich wysiłków o takiej porze, wspiął się i zeskoczył na drugą stronę. Mgła wciąż była gęsta, na ulicach było ciemno, a Svenson nadal nie wiedział, dokąd iść. Starał się oddalić od misji, zmierzając w kierunku Circus Garden i centrum miasta, trzymając się w cieniu i zmuszając coraz bardziej utrudzony umysł do pracy. Chociaż książę niewątpliwie był w niebezpieczeństwie, Svenson wątpił, aby było ono śmiertelne. A jednak przeszedł go dreszcz, kiedy Xonck wspomniął o procesie. Czy ten mógł być związany z oparzeniami twarzy? Mówili o tym jak o jakimś pogańskim rytuale, plemienną ceremonii lub - pomyślał ponuro - cechowaniu bydła. Ten nieboszczyk, Crooner, najwyraźniej był w to zamieszany, i było to związane z nauką, dlatego robili to w instytucie i brał w tym udział Lorenz. A kto nie brał w tym udziału oprócz niego samego? Svenson natychmiast znalazł odpowiedź: Tsobel Hastings i ten niebezpieczny człowiek w czerwieni, niejaki Chang. Musi ich znaleźć, zanim zrobi to major Blach. Może oni wiedzą, gdzie jest książę.

Svenson szedł, stukając obcasami o mokre kamienie bruku. Zaczął błądzić myślami, wilgotną i zimną mgłą kojarząc z dawnymi czasami w Warnemünde, zimną balustradą nabrzeża, śniegiem bezgłośnie padającym do morza. Przypomniawszy sobie, jak będąc chłopcem, poszedł zimą do lasu - zrozpaczony, chciał zostać sam, i siedząc w grubym płaszczu pod sosną, usypał sobie legowisko ze śniegu, położył się na nim i patrzył na konary. Nie wiedział, jak długo tak leżał, błądząc myślami, może nawet niebezpiecznie bliski zapadnięcia w sen, gdy zdał sobie sprawę z tego, że śnieg i mroźne powietrze podstępnie wyssały ciepło z jego ciała. Zdrętwiała mu twarz. Stało się to powoli, gdy myślami był gdzie indziej... Teraz nawet nie mógł sobie przypomnieć imienia tej dziewczyny, lecz zmuszając zmarznięte kończyny do ruchu, podnosząc się najpierw na klęczki, a potem chwiejnie stając na nogach, uświadomił sobie, że właśnie ujrzał w skrócie całe swoje życie. Jj życie każdego człowieka - jako proces, w którym ciepło powoli i nieuchronnie ucieka w zetknięciu z nieczułym i pięknym lodem.

\*

Przystanął i rozejrzał się. Wielka brama prowadząca do parku Circus Garden była po jego prawej stronie, a po lewej marmurowe fontanny. Musiał podjąć decyzję. Jeśli zaczęłby szukać człowieka w czerwieni, Changa, to nawet gdyby dopisało mu szczęście i zdołał go odnaleźć, prawdopodobnie wpadłby na jednego z żołnierzy majora Blacha. Poszukiwania Isobel Hastings wymagały znajomości hoteli i pokoi gościnnych, której jako cudzoziemiec nie posiadał. Crabbé, Xonck i d'Orkancz, jak sami przyznawali, nie porwali księcia. Choć bardzo się tego obawiał, choć na samą myśl o tym czuł zdenerwowanie i niezbyt sobie ufał, najlepszym pomysłem, jaki przychodził mu do głowy, były poszukiwania w hotelu St. Royale i u madame Lacquer-Sforzy. Znajdował się zaledwie kilka minut marszu od hotelu. Może widok torby lekarskiej otworzy mu drzwi o tak późnej porze?

W oknach hotelu wciąż paliły się światła, lecz ulica przed nim była cicha i pusta. Svenson podszedł do drzwi. Były zamknięte. Zanim zdążył zapukać w szybę, zobaczył idącego ku niemu portiera w liberii, niosącego pęk kluczy, zbudzonego przez zgrzyt obracanej klamki. Portier przekręcił klucz w zamku i uchylił drzwi.

- Mogę w czymś pomóc? - zapytał przez szparę.

- Tak, proszę wybaczyć, wiem, że to późna - albo wczesna - godzina... Szukam... Jestem lekarzem i muszę koniecznie porozmawiać z osobą mieszkającą w tym hotelu... z madame Lacquer-Sforza.

- Ach. Z hrabiną.

- Hrabiną?

- To niemożliwe. Jest pan lekarzem?

- Tak. Nazywam się Svenson i jestem pewien, że mnie przyjmie...

- Doktor Svenson, no tak. Nie, obawiam się, że to niemożliwe. Portier spojrzał Svensonowi przez ramię i głośno cmoknął, jak na konia. Svenson błyskawicznie odwrócił się, aby zobaczyć, do kogo był skierowany ten sygnał. W odpowiedzi z cienia po drugiej stronie ulicy wyszło czterech mężczyzn. Svenson rozpoznał ich po płaszczach - byli strażnikami instytutu. Odwrócił się do drzwi, lecz portier już zdążył je zamknąć i właśnie przekręcał klucz. Svenson załomotał pięścią w szybę. Portier go zignorował. Svenson znów odwrócił się do nadchodzących. Stanęli luźnym półkolem na środku ulicy, zagrządzając mu drogę ucieczki. Sięgnął do kieszeni płaszcza po pistolet.

- Nie ma takiej potrzeby, doktorze - szepnął ochryply głos po jego prawej.

Spojrzał tam i zobaczył krępą i groźną postać hrabiego d'Orkancza, stojącego w cieniu naprzeciwko frontowych drzwi hotelu. Miał na głowie cylinder, gruby futrzany płaszcz, w prawej ręce trzymał laskę ze srebrną gałką. Mierzył Svensona chłodnym spojrzeniem.

- Może przyda się panu później... Zapewniam pana, że w tej chwili są pilniejsze sprawy do omówienia. Miałem nadzieję, że pan przyjdzie, i nie rozczarował mnie pan - taka zgodność to dobry początek rozmowy. Przejdzie się pan ze mną?

Nie czekając na odpowiedź, hrabia odwrócił się i pomaszzerował w mgłę. Svenson zerknął na jego ludzi, z wysiłkiem przełknął ślinę i pospieszył za nim.

- Dlaczego pan na mnie czekał? - zapytał, dogoniwszy go.

- A dlaczego pan chciał się widzieć z hrabiną o tak dziwnej porze?

Svenson poruszył wargami, szukając odpowiedzi. Zerknął przez ramię i zobaczył tych czterech podążających za nimi w odległości kilku metrów.

- Nie musi pan odpowiadać - szepnęła d'Orkancz. - Obaj mamy swoje tajemnice i nie wątpię, że miał pan poważne powody. Kiedy zauważyłem, że jest pan członkiem księżęcej świty, przypomniałem sobie pańskie nazwisko. To pan jest autorem tej cennej broszury o skutkach odmrożeń?

- Owszem, jestem autorem takiej broszury, czy przedstawia ona jakąś wartość czy nie...

Jeśli dobrze pamiętam, najbardziej interesujące było przedziwne podobieństwo między niektórymi uszkodzeniami tkanek wywołanymi przez ekstremalnie niskie temperatury a pewnymi rodzajami oparzeń.

- Istotnie.

Hrabia poważnie pokiwał głową.

- I właśnie dlatego na pana czekałem.

\*

Poprowadził Svensona elegancką boczną uliczką, od wschodu graniczącą z murem ogrodu. Przystanęli przed drewnianą furtą osadzoną we wnęce sklepionej niczym kaplica. Hrabia otworzył ją i wprowadził doktora do ogrodu. Poszli po gęstej, sprężystej murawie i Svenson usłyszał, jak strażnicy wchodzą za nimi i zamykają furtę. Wokół widział wielkie puste urny i donice oraz zwisające bezlistne gałęzie. Wyżej było zasnuwane mgłą niebo. Pospiesznie dogonił hrabiego, podążającego w kierunku dużej i jasno oświetlonej oranżerii, której mętne szyby rozpraszały światło lamp. Hrabia otworzył przeszklone drzwi i wszedł, przytrzymując je dla Svensona. Ten wszedł także i uderzyła go fala wilgotnego, lepkiego powietrza. D'Orkancz zamknął za nimi drzwi, pozostawiając czterech strażników w ogrodzie. Ruchem głowy wskazał stojący w pobliżu wieszak.

- Zapewne zechce pan zdjąć płaszcz.

Hrabia zdjął płaszcz, idąc przez - wyłożoną dywanem, jak zauważył Svenson - szklarnię do łoża z baldachimem i zaciągniętymi zasłonami. Umieścił swój płaszcz, kapelusz i laskę na drewnianym stoliczku i ostrożnie spojrział przez szparę w zasłonie. Patrzył przez jakieś dwie minuty, z nieprzeniknioną miną. Svenson już czuł strużki potu spływające mu po plecach. Postawił torbę lekarską na dywanie i zdjął szynel, poczuł ciężar pistoletu w kieszeni. Powiesił okrycie na wieszaku. Niechętnie rozstawał się z bronią, ale nie sądził, aby udało mu się zastrzelić d'Orkancza i wszystkich jego strażników. Hrabia zerknął na niego i gestem zachęcił, żeby podszedł do łóżka. Gdy Svenson to zrobił, hrabia odsunął zasłonę.

Na łóżku leżała trzęsąca się kobieta owinięta w grube koce. Miała zamknięte oczy, bladą cerę i płytki oddech. Svenson spojrział na hrabiego.

- Czy ona śpi? - szepnął.

- Nie sądzę. Gdyby nie była tak zimna, powiedziałbym, że ma gorączkę. Ponieważ jednak jest zimna, nie potrafię powiedzieć, co to jest. Może pan zdoła. Proszę...

Odsunął się od łoża, jednocześnie rozsuwając zasłony.

Svenson pochylił się, by obejrzeć twarz kobiety. Rysy jej twarzy znał za lekko azjatyckie. Uniósł powiekę, sprawdził puls, dotyka tętnicy szyjnej, z niepokojem zauważył kobaltową barwę jej warg i języka, a z jeszcze większym śladem na jej twarzy i szyi - podobne do tych, jakie na kobiecej skórze mógłby pozostawić gorset lub macki ośmiornicy. Sięgnął pod koc i wziął ją za rękę, poczuł, jaka jest zimna i ponownie sprawdził tętno. Zauważył startą skórę na czubkach wszystkich palców. Sięgnął po drugą rękę, której palce wyglądały identycznie. Svenson ściągnął koce do jej pasa. Kobieta była naga i niebieskie ślady miała na całym torsie. Wyczuł za plecami jakiś ruch. Hrabia przyniósł mu jego torbę. Svenson wyjął z niej stetoskop i osłuchiwał płuca. Odwrócił się do hrabiego.

- Czy ona była w wodzie?

- Nie była - wychrypiał hrabia.

Svenson zmarszczył brwi, słuchając rzęzącego oddechu. Brzmiał dokładnie jak u odratowanego topielca. Znow sięgnął do torby po lancet i termometr. Zmierzy jej temperaturę, a potem pobierze próbkę krwi.

\*

Mniej więcej czterdzieści minut później Svenson umył ręce i przetrął oczy. Spojrział w okno, sprawdzając, czy słońce już wzeszło, ale niebo nadal było czarne. Ziewnął, próbując przypomnieć sobie, kiedy ostatnio był całą noc na nogach - a w każdym razie, kiedy miał więcej sił. Hrabia pojawił się przy nim z filizanką z białej porcelany.

- Kawa z brandy - oznajmił, podając filiżankę Svensonowi i wracając do stolika po swoją.

Kawa była gorąca i czarna, niemal przypalona, ale doskonała. Razem z brandy - i to sporą porcją, jak na tak małą filiżankę - była dokładnie tym, czego potrzebował. Upił następny łyk, opróżniając filiżankę, po czym odstawił ją.

- Dziękuję - rzekł.

Hrabia d'Orkancz skinął głową, po czym skierował wzrok na łożo.

Jaka jest pańska diagnoza, doktorze? Czy ona może wyzdrowieć?

- Przydałoby mi się więcej informacji.

- Być może. Powiem panu, że jej stan jest rezultatem wypadku że nie była w wodzie - o czym mogę pana tylko zapewnić, nie wyjaśnić w przekonujący sposób - chociaż woda przenikała jej ciało. Jednak nie była to zwykła woda, doktorze, lecz ciecz o specjalnych właściwościach, zawierająca ładunek energetyczny. Ta kobieta dobrowolnie poddała się tej procedurze. Ku mojemu ogromnemu ubolewaniu procedura została przerwana. Kierunek przepływu płynu został odwrócony i w rezultacie... jak by to powiedzieć... została jednocześnie wysuszona i zatopiona.

- Czy to był ten... proces, o którym słyszałem i którego skutki widziałem na twarzy księcia?

- Proces? - warknął czujnie d'Orkancz, ale natychmiast się uspokoił. - Oczywiście, książę... Rozmawiał pan z nim, a on nie był w stanie niczego ukrywać. Niestety.

- Musi pan zrozumieć, że przede wszystkim mam obowiązek chronić księcia i wypełnić swoją powinność jako lekarz, działający w dobrej wierze. Tak więc jeśli to... - Svenson wskazał kobietę, której blade ciało wydawało się niemal przezroczyste w świetle lamp - jest niebezpieczeństwo, na jakie naraził pan Kaiia-Horsta...

- Nie jest.

- Jednak...

- Nic pan nie wie. Proszę zająć się tą kobietą, jeśli łaska, doktorze Svenson.

Ostry ton głosu hrabiego sprawił, że dalsze protesty uwięzły doktorowi w gardle. Otarł pot z czoła.

- Jeśli przeczytał pan moją broszurę z dostateczną uwagą, aby zapamiętać moje nazwisko, już pan to wie. Ona ma wszelkie objawy typowe dla niedoszłego topielca, odratowanego po długim pobycie w lodowatej wodzie - na przykład w Bałtyku zimą. W pewnej temperaturze procesy życiowe zostają bardzo spowolnione, co może być zarówno śmiertelnie groźne, jak korzystne. Ona żyje i oddycha. Nie potrafię orzec, czy w wyniku

wypadku w jej mózgu nastąpiły nieodwracalne zmiany. Nie jestem także w stanie powiedzieć, czy kiedykolwiek obudzi się z tego... zimowego snu. Jednak... jednak muszę zapytać o te ślady na jej ciele, w jaki sposób...

D'Orkancz uniósł rękę. Svenson zamilkł.

- Czy jest coś, co można zrobić teraz, doktorze? Oto moje pytanie.

- Trzymać ją w cieple. Zmuszać do picia ciepłych płynów. Sugerowałbym jakiś rodzaj masażu dla pobudzenia krążenia - wyłącznie obwodowego - centralne albo uległo uszkodzeniu, albo nie.

Hrabia d'Orkancz milczał przez chwilę. Jego filiżanka z kawą stała nietknięta na stoliku.

- Jeszcze jedno pytanie, doktorze Svenson. Być może najważniejsze ze wszystkich.

- Tak?

- Jak pan sądzi, czy ona śni?

Svenson był zaskoczony, gdyż w tonie głosu hrabiego nie usłyszał jedynie współczucia. Pod powierzchowną troską kryło się szczere zainteresowanie. Odpowiedział ostrożnie, zerknąwszy na znów zasłonięte łożo.

- Zauważyłem sporadyczne ruchy gałek ocznych... które można przypisać jakiemuś rodzajowi śpiączki. Nie jest to katatonia... chora nie jest przytomna, ale może... jej umysł tworzy sny... może deliryczne, a może przynoszące spokój.

Hrabia d'Orkancz nic nie odpowiedział i na moment pogрузzył się w rozmyślaniach. Gdy wrócił do rzeczywistości, spojrzał na doktora.

- A teraz... co mam z panem zrobić, doktorze Svenson? Svenson zerknął na swój płaszcz, wiszący na wieszaku z pistoletem schowanym w kieszeni.

- Pójdę już...

- Zostanie pan tutaj, doktorze - szepnął ochryple hrabia - dopóki nie pozwolę panu odejść. Pomógł mi pan i chciałbym nagrodzić pana za współpracę, a jednak najwyraźniej stanowi pan zagrożenie dla innych żywotnych interesów, które muszę chronić.. - Muszę odzyskać mojego księcia. Hrabia d'Orkancz głośno westchnął.

\*

Svenson gorączkowo szukał argumentów, ale nie był pewien, co może wyjawic: mógł wymienic Aspieche'a czy Lorenza, madame Lacquer-Sforzę lub majora Blacha, mógł wspomniec o kawałku niebieskiego szkła, lecz czy w ten sposób stałby się dla hrabiego cenniejszy czy niebezpieczniejszy? Czy prędzej uratuje życie, udając ignoranta ślepo oddanego księciu? Nie widział, co się dzieje na zewnątrz oranżerii, gdyż od szyb odbijało się

jaskrawej światło lamp, tak więc nie mógł umiejscowić strażników. Nawet jeśli zdoła sięgnąć po broń i jakoś pokonać d'Orkancza - sądząc po szerokich barach, mężczyznę niezwykle silnego - to jak wymknie się pozostałym? Nie wiedział, gdzie jest, był wyczerpany, nie miał żadnej bezpiecznej kryjówki - i nadal nie ustalił miejsca pobytu księcia.

Spojrzał na hrabiego.

- Miałby pan coś przeciwko temu, gdybym zapalił?

- Miałbym.

- Ach.

- Papierosy ma pan w kieszeni płaszcza, prawda?

- Są... i

- Zapewne w pobliżu służbowego pistoletu, którym posłużył się pan wcześniej. Czy nie sądzi pan, że od tego czasu wiele się wydarzyło? Ja borykałem się ze śmiercią i zniszczeniem, z intrygą i zemstą. Pan także. I ponownie utracił pan księcia. Obaj moglibyśmy pośmiać się z siebie, gdyby konsekwencje nie były tak krwawe. Zabił pan kiedyś kogoś, doktorze?

- Obawiam się, że wielu ludzi zginęło z moich rąk...

- Na stole operacyjnym, owszem, ale to co innego. Chociaż może pan się o to obwiniać, to zupełnie co innego, o czym dobrze pan wie. Przecież rozumie pan, o co pytam.

- Rozumiem. Owszem.

- Kiedy?

- W Bremie. Człowieka, który - jak się zdaje - uwiódł młodą siostrzenicę diuka i znikł. Otrzymałem rozkazy i... grożąc pistoletem, zmusiłem go do wypicia trucizny. Nie jestem z tego dumny. Tylko idiota mógłby się tym szczycić.

- Czy on wiedział, co pije?

- Nie.

- Jestem pewien, że coś podejrzewał.

- Możliwe.

Svenson przypomniał sobie czerwoną twarz tamtego, wydobywające się z jego gardła rżenie, wytrzeszczone oczy, a potem kompromitujące listy wyjęte z jego kieszeni, gdy martwy leżał na podłodze, a nad nim unosił się silny odór żółci. To wspomnienie dręczyło go. Svenson przetarł oczy. Było mu gorąco, jeszcze bardziej niż przedtem. W oranżerii było naprawdę duszno. Zaschło mu w ustach. Nagle poczuł ukłucie lęku. Spojrzał na hrabiego, potem na pustą filiżankę, a następnie - jakże długo odwracał głowę - na nietkniętą kawę hrabiego. Nagle blat stolika znalazł się nad jego głową. Opadł na klęczki i mętnie uzmysłowił

sobie, że nawet nie poczuł uderzenia kolan o podłogę. Kręciło mu się w głowie. Włókna dywanu wcisnęły się w policzek. Czarna i ciepła toń zamknęła się nad nim, a on w nią zapadł.

\*

Otworzył oczy w mroku, wiedziony jakąś nieokreśloną dręczącą potrzebą przez ciepłą wełnianą zasłonę snu. Zamrugał. Powieki miał niezwykle - niewiarygodnie - ciężkie, więc je zamknął. Nagle znów się ocknął, z gwałtownym skurczem całego ciała, i tym razem zarejestrował więcej sygnałów przesyłanych mu przez zmysły: chropowatą powierzchnię drewna, zapach kurzu i oliwy, turkot kół i stukot kopyt. Leżał na wozie, patrząc na ledwie widoczną w mroku plandekę. Wóz jechał z głośnym turkotem - widocznie jechali po kocich łbach i obudziły go wstrząsy. Wyciągnął prawą rękę i dotknął brezentowej plandeki, jakieś pół metra nad nim. Zaszło mu w ustach i w gardle. Łomotało w skroniach. Z niejaką przyjemnością stwierdził, że nie jest martwy, że z jakiegoś powodu hrabia darował mu życie. Przynajmniej na razie. Ostrożnie poruszył kończynami, obolałymi, ale sprawnymi. Tuż obok leżał jego zmięty płaszcz. Pistoletu już nie było w kieszeni, ale wciąż posiadał niebieskie szkiełko. Macał dalej, wyciągnawszy rękę, i drgnął, gdy natrafił na obutą stopę. Svenson przełknął ślinę i wytrzeszczył oczy. Ile trupów - lub półżywych, licząc tę kobietę i żołnierzy - widział tylko tego jednego dnia? Byłoby to zabawne, gdyby nie było tak okropne. Z ponurą determinacją doktor macał dalej - ciało leżało obok niego, głową w jego nogach - przesuwając dłoń od butów do spodni, które miały gruby boczny szew. Mundur. Przesuwał palce dalej, aż dotknął leżącej obok nogi ręki. Męska dłoń, lodowato zimna.

Wóz znów podskoczył i Svenson zmusił swój zmęczony umysł do następnego wysiłku. Spróbował określić, w jakim jedzie kierunku - Czy leży głową do kierunku jazdy? Nie potrafił powiedzieć, gdyż wóz jechał tak wolno i po tak nierównej nawierzchni, że czuł tylko, jak podskakuje i opada. Wyciągnął rękę za głowę i dotknął drewnianej przeszkody. Pomacał w rogu, gdzie łączyła się z burtą wozu i nie znalazł żadnych klamer ani rygli... czy to mógł być tył? Jeśli tak, to był zamknięty od zewnątrz i żeby się wydostać musiałby wygramolić się górami, może nawet przeciąć brezentową plandekę - gdyby miał czym. Poszukał swojej torby lekarskiej, ale nie znalazł. Krzywiąc się, ponownie dotknął zwłok i przetrząsnął kieszenie mundurowej bluzy, a potem spodni nieboszczyka. Wszystkie zostały opróżnione. Z odrazą odszukał kołnierz i dotknął insygniów. Pułkownik. Svenson przemógł odrazę i dotknął jego twarzy: wymacał gruby kark, wąsy, a potem ledwie wyczuwalne obwódki wokół oczu. Leżał obok Arthura Trappinga.

\*

Doktor Svenson położył się na wznak, twarzą do góry, zaciskając powieki i zasłaniając dłonią usta. Wciągał powietrze nosem i powoli wypuszczał je ustami. Musiał zebrać myśli. Odurzono go i wieziono - niewątpliwie zamierzając pozbyć się go po cichu - razem ze zwłokami Trappinga. Nie miał bronii ani sprzymierzeńców, był w obcym kraju i nie wiedział, gdzie dokładnie się znajduje, chociaż sądząc po brukowanej drodze, jeszcze nie wyjechali z miasta. Próbował myśleć trzeźwo - wciąż był odurzony i tak bardzo zmęczony - i zmusił ręce do podjęcia trudu przetrząśnięcia zawartości swoich kieszeni: chusteczka, banknoty, monety, ogryzek ołówka, jakaś złożona karteczka, monokl. Odwrócił się do Trappinga i ponownie go obszukał, tym razem dokładniej. W kurtce, między warstwami materiału na lewej piersi, namacał coś twardego, maskowanego przez przypięte tam medale. Przysunął się bliżej zwłok i niezdarnie oparł na łokciach, obiema rękami chwytając szew. Pociągnął za materiał i poczuł, że szew puszcza. Przy następnym szarpnięciu Svenson stracił równowagę. Chwycił mocniej i pociągnął z całej siły. Szew puścił. Svenson wetknął palec w dziurę i dotknął jakiejś twardej, śliskiej powierzchni. Wepchnął kciuk i wyciągnął ten przedmiot. Nie potrzebował światła, aby rozpoznać takie samo szkiełko, jakie miał w kieszeni. Schował je do kieszeni obok pierwszego. Nagle zamarł. Wóz się zatrzymał.

Poczuł kołysanie, gdy powożący zeskoczyli z kozła, a potem usłyszał kroki po obu stronach wozu. Zebrał płaszcz na piersi i zamknął oczy. Mógł przynajmniej udawać, że śpi. Jeśli nadarzy się sposobność, by uciec lub zdzielić kogoś po głowie, to lepiej, jeśli będą uważali go za śpiącego lub nieprzytomnego, chociaż był w kiepskiej formie, a nawet będąc w najlepszej, nie umiał się bić. Usłyszał głośny metaliczny zgrzyt odsuwanych rygli. Opuszczenie opuszczanej klapy. Ściągnięto brezentową plandekę. Svenson wciągnął w płuca chłodne, wilgotne powietrze poranka, a poświata, którą widział przez zamknięte powieki, świadczyła o tym, że już jest widno. Zanim zdążył zdecydować, czy otworzyć oczy, czy nie, otrzymał silne uderzenie w brzuch. Szturchnięcie drewnianą pałką sprawiło, że zgiął się wpół, jęcząc z bólu. Natychmiast otworzył oczy, spazmatycznie łapiąc powietrze i przyciskając dłonie do brzucha, czując przeszywający ból w całym ciele. Usłyszał męskie śmiechy, bezlitosne i piskliwe.

Z trudem, chcąc uniknąć następnego ciosu, doktor Svenson podparł się rękami, przetoczył na bok i podciągnął nogi, jedną po drugiej, po czym klęknął. Długie jasne włosy opadły mu na oczy i odgarnął je niezgrabnie. Wyjął z kieszeni monokl i umieścił w oku, po czym rozejrzał się. Wóz stał na zamkniętym brukowanym dziedzińcu, a poranna mgła przywarła do dachów otaczających go domów. Podwórze było zastawione beczkami i skrzyniami wypełnionymi po brzegi kawałkami zardzewiałego złomu. Na drugim końcu

znajdowały się otwarte podwójne drzwi, a za nimi kuźnia. Byli u kowala. Dwaj obwiesie hrabiego d'Orkancza stali przy końcu wozu. Jeden z nich miał długi kij zakończony ostrym hakiem. Drugi, praktyczniejszy, trzymał pistolet Svensona. Korzystając z porannego światła, doktor ponownie spojrzął na zwłoki Trappinga. Szarą twarz znaczyły purpurowe teraz obwódki wokół oczu. Nie było widać żadnej oczywistej przyczyny zgonu - żadnej rany, żadnych obrażeń czy zsinień. Svenson zauważył, że Trapping ma na jednej ręce rękawiczkę rozdartą na czubku wskazującego palca. Nachylił się i ją ściągnął. Koniec palca miał barwę indygo, a skóra w tym miejscu została przebita igłą lub jakimś cienkim ostrzem. Ciało wokół nakłucia było oblepione niebieskobiałym proszkiem. Słyszac kroki od strony kuźni, Svenson podniósł głowę i zobaczył Francis Xoncka oraz majora Blacha, wychodzących na dziedziniec. Upuścił rękawiczkę.

\*

- Nareszcie, nareszcie! - zawołał Francis Xonck. - Na przystani wszystko jest już przygotowane. - Uśmiechnął się do Svensona. - Jednak spodziewaliśmy się tylko dwóch. Musimy miprowizować. Tędy. Weźcie taczki. Ruchem głowy wskazał taczki i podszedł do drewnianej ściany która - pchnięta przez niego - gładko się odsunęła. Za nią była stroma, brukowana alejka. Xonck pomaszerował nią. Blach obrzucił Svensona nienawistnym spojrzeniem i pstryknął palcami. Z kuźni za nim wyszli dwaj żołnierze w czarnych mundurach. Svenson nie rozpoznał ich, ale nigdy nie miał pamięci do twarzy. Major Blach warknął do nich: „Eskortujcie doktora!” i poszedł za Xonckiem Svenson chwycił swój płaszcz, zeskoczył z wozu i opuścił podwórze, pilnowany przez żołnierzy. Obejrzał się za siebie i zobaczył, jak ludzie hrabiego układają ciało Trappinga na taczkach.

Gdy szli, Svenson założył płaszcz, bo było bardzo zimno. Po obu stronach dróżki wznosił się parkan z nieheblowanych i popękanych desek, a przez dziury w nim widać było zrujnowane budynki oraz sterty śmieci. Domyślił się, że idą nad rzekę. Brzuch niemal przestał go boleć i chwilowy przestach ustępował miejsca zimnej, trzeźwej kalkulacji. Tak szyderczo, jak tylko potrafił, odezwał się do majora Blacha:

- Znalazłeś księcia, majorze? Czy też przez całą noc spijałeś komuś wino... i lizałeś komuś buty?

Blach stanął jak wryty i odwrócił się. Svenson zrobił, co mógł, mając tak sucho w ustach, żeby zebrać trochę śliny i splunąć w jego kierunku. Nie trafił, ale osiągnął cel: major Blach poczerwieniał i zrobił krok w jego stronę. Francis Xonck ostro przywołał go do porządku: „Majorze!”. Blach przystanął, posłał Svensonowi kolejne mordercze spojrzenie, odwrócił się i poszedł dalej alejką. Xonck przez chwilę spoglądał mu przez ramię, a

napotkawszy wzrok Svensona, zachichotał. Zaczekał, aż Blach się z nim zrówna, a potem wziął go za ramię i popchnął naprzód, odgradzając go sobą od Svensona. Doktor się obejrzał. Ludzie hrabiego wieźli ciało nakryte plandeką. Jeden pchał taczki, a drugi szedł za nim z pistoletem. Nie zdołałby uciec, gdyby był tak głupi, żeby spróbować. Zamiast tego jeszcze głośniejsze zawołał do Blacha:

- Czy łatwo jest zdradzić swój kraj, majorze?! Jestem ciekaw, jaka była cena? Złoto? Nowy mundur? Kobiety? Atletyczni młodzieńcy? Stado owiec?

Major Blach odwrócił się, sięgając po broń. Xonck oburącz złapał go za klapy i z trudem - najwidoczniej Xonck był silniejszy, niż na to wyglądał - powstrzymał Blacha. Gdy major przestał się szamotać, Xonck znów obrócił go w miejscu, szepnął mu coś do ucha i popchnął naprzód. Kiedy major przeszedł kilka kroków, Xonck zwrócił się do Svensona i skinął na żołnierzy. Ci popchnęli Svensona, który znowu mszył, teraz mając Xoncka tuż przed sobą. Xonck obejrzał się z uśmiechem.

- Ja sugerowałbym raczej stado świń niż owiec, ale chyba rozumiem aluzję. Jestem Francis Xonck.

- Kapitan chirurg Abelard Svenson.

- Myślę, że nie tylko - uśmiechnął się Xonck. - Wywarł pan niezwykle wrażenie na hrabim d'Orkanczu, co zdarza się tak rzadko, że właściwie należałoby uczcić to paradą. - Uśmiechnął się ponownie, spoglądając na idących za nimi żołnierzy i ludzi z taczkami. - Może to jest ta właśnie parada.

- Wolałbym więcej flag - rzekł Svenson - i trochę trąbek.

- Na pewno innym razem - zachichotał Xonck.

Szli dalej. Svenson zobaczył rzekę. Byli bardzo blisko niej, ale zasłaniały ją budynki i mgła.

- Znaleźliście księcia? - zapytał z udawaną beztroską Svenson.

- A pan go znalazł? - odparł Xonck.

- Obawiam się, że nie - przyznał Svenson. - Chociaż wiem, kto go ma.

- Naprawdę? - Xonck przyglądał mu się przez chwilę z błyskiem w oku. - Na pewno czerpie pan z tego ogromną satysfakcję.

- Nie jestem pewien, czy wiecie, kto to zrobił. Chociaż wierzę, że pan lub pańscy kompani próbowaliście ich znaleźć.

Xonck nie odpowiedział, ale Svenson zauważył, że jego uśmiech stał się nieco wymuszony i nie sięgał już oczu. Xonck spojrzął przed siebie i zobaczył, że dotarli do końca dróżki.

- Ach, cudowne nabrzeże. Jesteśmy na miejscu.

Dróżka przechodziła w śliską pochylnię, znikającą w szarych falach rzeki. Po obu jej stronach wznosiło się kamienne nabrzeże, na które łatwiej można było opuścić ładunek lub trap dla pasażerów. Po prawej była przycumowana płaskodenna, niepozorna łódź z jednym wiosłem na rufie, jak w gondolach. Część jej dziobu była opuszczana i mogła pełnić rolę trapu, tak jak w tej chwili. Na środku wąskiego pokładu leżała zamknięta metalowa trumna. Druga, otwarta, stała na nabrzeżu. Svenson domyślił się, że na Wodzie trap zostanie opuszczony, a trumny ześlizgną się po nim i zatoną. Gdyby próbowali wypchnąć je za burtę, łódź niebezpiecznie by się przechyliła. Byli w niej dwaj następni ludzie hrabiego i przyszedli z pomocą kompanom upychającym Arthura Trappinga do trumny. Stojąc z boku, pilnowany przez żołnierzy, Svenson patrzył, jak umieścili w niej zwłoki i zamknęli wieko kilkoma uchwytnymi zakręcanymi na śruby. Z rodzącą się nadzieją zauważył, że oprócz ciała Trappinga na taczkach przywieziono jego torbę lekarską. Podniósł głowę i ujrzał stojącego na nabrzeżu majora Blacha, mierzącego go gniewnym spojrzeniem. Major warknął do Xoncka, który podszedł i stanął przy nim.

- A co z nim? - Ruchem głowy wskazał Svensona. - Są tylko dwie trumny.

- Co pan proponuje? - zapytał Xonck.

- Posłać ludzi z powrotem do kuźni. Obciążyć go złomem i łańcuchem.

Xonck kiwnął głową i odwrócił się do ludzi hrabiego, którzy przywieźli ciało.

- Słyszeliście? Złom i łańcuch, szybko.

Svenson z ulgą zobaczył, że zanim obrócili taczki i pokłusowali dróżką w górę, rzucili jego torbę na ziemię. Major Blach wyjął z kabury pistolet i, wciąż gapiąc się na Svensona, warknął do swoich ludzi:

- Pomóście przy załadunku. Ja go przypilnuję.

Xonck z uśmiechem wskazał broń Blacha, a potem szerokim machnięciem ręki objął całą okolicę.

- Zauważył pan, jaki spokojny mamy ranek, doktorze Sven-son? Jako człowiek myślący rozumie pan, że huk rewolweru majora mógłby zakłócić ten spokój i zwrócić niepożądaną uwagę na nasze wysiłki. W rzeczy samej, ponieważ będąc osobą rozumną, mógłby pan dojść do wniosku, że głośne wołanie o pomoc mogłoby mieć taki sam skutek, muszę przypomnieć, iż w takim wypadku zachowanie ciszy nie byłoby już istotne. Chcę powiedzieć, że jeśli narobi pan hałasu, zostanie pan zastrzelony na miejscu, jak toczący pianę z pyska kundel.

- Jakże uprzejmie, że zechciał mi pan to wyjaśnić - mruknął Svenson.

- Uprzejmość niewiele kosztuje - uśmiechnął się Xonck.

\*

Żołnierze podeszli do trumny, lecz jeden z nich zerknął na doktora z zaciekawieniem, jeśli nie z wahaniem. Svenson obserwował, jak przenoszą trumnę na łódź. Zaczekał na odpowiedni moment - gdy dwaj z nich stali po kolana w wodzie, jeden na łodzi, a jeden popychał trumnę z tyłu - i rzekł do majora Blacha:

- Niech mi pan powie, majorze, czy Herr Flauss jest zdrajcą tak jak pan, czy tylko nieudacznikiem?

Blach odbezpieczył broń. Xonck głośno westchnął i położył dłoń na ramieniu majora.

- Naprawdę, doktorze, powinien pan przestać.

- Jeśli mam zostać zamordowany, to przynajmniej chciałbym wiedzieć, czy zostawiam mojego księcia w rękach dwóch zdrajców czy jednego.

- Przecież w chwili obecnej on nie jest w niczyich rękach.

- Nie w ich.

- Tak, tak - uciął Xonck. - Już mi pan to mówił. Ostrożnie tam!

Jego ludzie zepchnęli trumnę za daleko i cała łódź niebezpiecznie się przechyliła. Jeden z nich skoczył na drugi koniec pokładu, żeby zrównoważyć ciężar, a trzej pozostali przesunęli trumnę na miejsce. Ludzie hrabiego ostrożnie zajęli miejsca na łodzi - jeden przy wiosle na rufie, drugi, szykując krótsze wiosła na obu burtach.

- Po co trudziliście się przewiezieniem pułkownika aż tutaj? - zapytał Svenson. - Dlaczego po prostu nie utopiliście zwłok w kanale koło Harchmort?

Xonck zerknął z ukosa na majora.

- Nazwijmy to niemiecką pedanterią - rzekł.

- Hrabia badał ciało - powiedział Svenson, nagle nabrawszy pewności, że taki był rzeczywisty powód. - W swojej oranżerii.

Nie wiedzieli czegoś... albo mieli coś do ukrycia... czyżby przed kimś w Harchmort? Ubywali coś przed Vandaariffem? Czy nie byli współnikami?

- Musimy go zabić - warknął Blach.

- Nie tym - odparł Xonck, wskazując rewolwer Blacha. Svenson wiedział, że musi działać, zanim pozostali wrócą z taczkami i będzie ich zbyt wielu. Wskazał na swoją torbę lekarską.

- Panie Xonck, widzę tam moją torbę lekarską. Wiem, że umrę, i zdaję sobie sprawę z tego, że nie możecie mnie zastrzelić, żeby nie narobić hałasu. Tak więc pozostaje wiele znacznie gorszych możliwości - uduszenie, zadżganie, utopienie, wszystkie Powolne i

bolesne. Jeśli pan pozwoli, mogę szybko przygotować zastrzyk, który zadziała szybko, cicho i bezboleśnie - ku obopólnemu zadowoleniu.

- Boisz się, co? - zadrwił major Blach.

- Przyznaję, że tak - odparł Svenson. - Jestem tchórzem. Jeśli muszę umrzeć, a wydaje się, że muszę, za łatwowernego księcia, którego wykorzystaliście i porwaliście, to wolę zasnąć niż cierpieć.

Xonck przyjrzał mu się, po czym zawołał do jednego z żołnierzy:

- Daj mi tę torbę!

Najbliżej stojący żołnierz zrobił to. Xonck otworzył ją, przejrzał zawartość i zmierzył Svensona badawczym, sceptycznym spojrzeniem.

- Żadnych igieł - stwierdził. - Ani prób oblewania kwasem czy czymkolwiek, co pan tam ma. Wypije pan swój napój i zrobi pan to po cichu. Jeśli przysporzy pan jakichkolwiek kłopotów, każę pana zakneblować, a potem pozwolę majorowi pokazać się z jak najgorszej strony. Zapewniam pana, że nikt nie usłyszy różnicy.

Skinął na żołnierza. Ten odruchowo trzasnął obcasami i podał torbę Svensonowi.

- Zapewniam, że jestem panu wdzięczny - rzekł doktor, otwierając torbę.

- Szybko - rzucił Xonck.

\*

Svenson myślał gorączkowo. Powiedział już wszystko, co tylko przyszło mu do głowy, żeby poruszyć tych dwóch żołnierzy, nazywając Blacha zdrajcą. Na próżno. Przez moment zastanawiał się nad swoją lojalnością - jak daleko zaszedł, do jakich desperackich posunął się kroków - zupełnie nieleżącą w jego charakterze. Po co to wszystko? Wiedział, że nie dla księcia - będącego źródłem nieustannych kłopotów i rozczarowań - ani jego ojca, zimnego i twardego. Może dla von Hoerna? Albo dla Korynny? Może zrobił to, ponieważ musiał nadać swemu życiu jakiś sens, robić coś, obojętnie co, pomimo jej utraty? Svenson zajrzał do swojej torby lekarskiej, nie próbując ukryć drżenia rąk. Istotnie, wieczny sen po zażyciu trucizny był o wiele lepszy niż zuchwała próba ucieczki, zakończona nieuchronnym niepowodzeniem. Nie miał złudzeń co do brutalnych kroków, jakie podjąłby

Blach - szczególnie chcąc uciszyć ewentualne wątpliwości swoich ludzi - żeby zmienić Svensona w zmasakrowaną, błagającą o szybką śmierć ofiarę. Zażycie trucizny było kuszącym rozwiązaniem i przez moment logiczne rozumowanie zastąpił ciąg obrazów z przeszłości: górskie hale w kwiatkach, kawa w letnim ogródku, łoża w paryskiej operze, Korynna jako młoda dziewczyna, farma jej wuja. To było niewiarygodne, przytłaczające - nie

mógł się poddać. Sięgnął do torby, wyjął fiolkę, po czym rozmyślnie wypuścił ją z ręki, żeby rozbiła się na nabrzeżu. Błagalnie spojrzał na Xoncka.

- Nieważne, nieważne... mam inne środki, których mogę użyć... zaraz znajdę, proszę o chwilkę cierpliwości...

Postawił torbę na ziemi i przyklęknął przy niej, przetrząsając jej zawartość. Zerknął na żołnierza po prawej. Ten miał tylko szablę w pochwie i żadnej innej broni. Svenson był dostatecznie przytomny, żeby zrozumieć, że nie ma szans chwycić niespodziewanie za rękojęść i wyrwać jej z pochwy. Musiałby to robić pod nieodpowiednim kątem. W najlepszym wypadku zdołałby wyciągnąć ją do połowy i szamotać się z żołnierzem, a wtedy major Blach spokojnie strzeliłby mu w plecy. Xonck obserwował go. Svenson wybrał fiolkę, obejrzał ją pod światło, pokręcił głową i schował do torby, po czym zaczął szukać innej.

- Co było nie tak z tamtą? - spytał niecierpliwie Blach.

- Zbyt wolne działanie - odparł Svenson. - O, jest! To się nada.

Wstał, trzymając w ręku drugą szklaną fiolkę. Żołnierze stali po jego bokach, a wszyscy trzej znajdowali się na narożu przystani i pochylni. Około pięciu metrów od nich, na drugim rogu, stali Xonck i Blach. Między nimi był trap i łódka z dwiema trumnami, na której czekali dwaj ludzie hrabiego.

- No i co pan wybrał? - zapytał Xonck.

- Arsenik - odparł Svenson. - Środek stosowany w niewielkich dawkach przy leczeniu łuszczycy, suchot oraz - najczęściej występującego u książąt - syfilisu. W większej dawce śmiertelny. - Wyjął korek i rozejrzał się, starannie oceniając odległość. Ładujący jeszcze nie zeszli z łodzi. Czekający na niej spoglądali na niego z nieskrywaną ciekawością. Wiedział, że nie ma wyboru. Skłonił się Xonckowi.

- Dziękuję panu za uprzejmość. - Odwrócił się do majora Blacha i rzekł z uśmiechem:

- Usmaż się w piekle.

Potem szybkim ruchem przyłożył fiolkę do ust i wypił jednym haustem. Przełknął, zacharczał obrzydliwie, krztusząc się, czerwony na twarzy. Upuścił fiolkę, złapał się za gardło i zatoczył na żołnierza po prawej, tracąc równowagę. Wydał z siebie straszliwy charkot, poruszył wargami, wywalił język na brodę, postawił oczy w słup i chwiał się. Wszyscy na niego patrzyli. Całe jego ciało zeszytywniało, jakby zawieszony na krawędzi przepaści, miało zaraz runąć w objęcia śmierci. W tym momencie Svenson z przedziwną jasnością zdał sobie sprawę z panującej w mieście ciszy i tego, że w pobliżu mieszka tylu ludzi, a tutaj słychać jedynie plusk fal o burtę łodzi i krzyk mew w oddali.

Całym ciężarem ciała wpadł na żołnierza. Nagle zrobił zwrot, oburącz złapał go za mundur i popchnął w kierunku łodzi. Żołnierz stracił równowagę, spadł z nabrzeża i z trzaskiem spadł na burtę łodzi, która gwałtownie się zakołysała. Rozpaczliwie wymachując rękami i kopiąc nogami wodę, przechylił łódź i trumny zaczęły sunąć po pokładzie. Bezradnie zasłonił się rękami, gdy pierwsza wpadła na niego, strącając go z pokładu do wody. W następnej chwili druga trumna wpadła na pierwszą, w wyniku czego łódź stanęła dęba, zwalając obu ludzi hrabiego z nóg, prosto na obie trumny. Dodatkowy ciężar jeszcze powiększył przechył: łódź przewróciła się do góry dnem, grzebiąc pod sobą wszystkich trzech żołnierzy i trumny.

Svenson rzucił się w kierunku alejki. Żołnierz, który pozostał, próbował złapać go obiema rękami za płaszcz. Svenson odwrócił się i wściekle szarpnął, usiłując się wyrwać. Słyszał plusk wody i krzyki Blacha. Żołnierz był młody i silniejszy od niego. Szarpali się, kręcąc się w miejscu. Żołnierz na moment unieruchomił Svensona i chwycił go za gardło. Kątem oka doktor zauważył, że Blach celuje w niego z rewolweru. Rozpaczliwie szarpnął, zasłaniając się ciałem żołnierza. Usłyszał głośny huk i poczuł ciepłą wilgoć na policzku. Żołnierz z roztrzaskaną czaszką runął na ziemię. Svenson otarł krew z oczu i zobaczył, jak Francis Xonck wymierza mocny policzek majorowi Blachowi.

- Ty idioto! Co za hałas! Ty głupcze!

Svenson spojrział na leżącego u jego stóp żołnierza. Chwycił jego szablę i wyrwał ją z pochwy, zmuszając Xoncka do pospiesznego odwrotu. Svenson odwrócił się, słysząc trzask odwodzonego przez Blacha kurka.

- Jeśli już narobiłem hałasu - warknął - to odrobina więcej nie zaszkodzi...

- Majorze! Majorze, nie trzeba! - syknął wściekle Xonck.

Svenson wiedział, że Blach strzeli. Krzyknął i rzucił szablą jak nożem - poleciała, koziółkując, prosto na nich - po czym rzucił się do ucieczki. Usłyszał ich krzyk i brzęk uderzającego o kamień ostrza. Nie wiedział, czy odskoczyli na boki, czy nie. Myślał tylko o tym, żeby gnać naprzód. Biegł po śliskich od porannej mgły kamieniach, a tupot jego nóg zagłuszał odgłosy pogoni. Był już w połowie drogi na górę, gdy przed sobą ujrzał dwóch ludzi z taczka. Była wyładowana złomem i każdy z nich trzymał ją za jedną rączkę, popychając przed sobą. Svenson nie zwolnił kroku, lecz podupadł na duchu, gdy na jego widok natychmiast zaczęli biec, drwiąco uśmiechnięci. Gdy nabrali szybkości, kawałki złomu zaczęły spadać z taczki, z brzękiem uderzając o kamienie i płot. Kiedy znaleźli się jakieś pięć metrów od niego, puścili taczkę. Svenson wskoczył na ogrodzenie po lewej, podciągając nogi.

Taczka uderzyła w płot pod nim, odbiła się i pomknęła w dół. Z potwornym trudem podciągnął się i przetoczył na drugą stronę, spadając na stertę pudeł i śmieci.

\*

Padając, nic sobie nie zrobił, chociaż upadł na wznak i przez chwilę nie mógł się podnieść. Po drugiej stronie płotu usłyszał łoskot przewracającej się taczki i przeraźliwe krzyki. Czyżby wpadła na Xoncka lub Blacha? Svenson przetoczył się na kolana, gdy ogrodzenie nad nim zakołysało się pod ciężarem przeskakującego przez nie napastnika - jednego z tych dwóch, którzy pchali taczkę. Gdy ten wylądował i na moment zgiął się wpół, Svenson oburącz wyrwał z błota grubą deskę i uderzył. Cios trafił w dłoń, w której tamten trzymał pistolet. Svenson poczuł, jak pękają kości śródrecza. Mężczyzna wrzasnął i pistolet upadł na ziemię. Svenson zamachnął się ponownie, wstając, mierząc w twarz przeciwnika. Ten stęknął, padł i jęcząc, zwinął się pod płotem. Ogrodzenie znów się zakołysało, gdy przechodził przez nie następny. Svenson skoczył i chwycił pistolet - swój własny - po czym obrócił się, nie wstając z klęczek. Drugi taczkowy znieruchomiał na płocie, przez który zdążył już przerzucić jedną rękę i nogę. Przestraszony patrzył na pistolet. Svenson strzelił - nie trafiając w niego, tylko w płot - lecz to wystarczyło, by napastnik zniknął mu z oczu. W następnej chwili lśniące ostrze szabli przeszło przez szparę w ogrodzeniu na wysokości głowy Svensona, omijając ją o kilka centymetrów. Doktor wycofał się na czworakach jak krab, gdy ostrze raz po raz przechodziło przez szpary, usiłując go trafić. Dostrzegł sylwetki mężczyzn za płotem i ponownie wypalił. Ktoś odpowiedział ogniem, oddając trzy szybko następujące po sobie strzały, które opryskały go błotem. Doktor dwukrotnie wystrzelił na oślep i rzucił się do ucieczki, biegnąc ile sił w nogach.

Dopiero teraz zauważył, że dziedziniec znajduje się na tyłach zrujnowanego domu bez okien i dachu, z tylnymi drzwiami wyrwanymi z futryny i leżącymi w błocie. W przejściu i w dziurach okien ujrzał liczne twarze. Pomknął ku nim, usiłując lepiej im się przyjrzeć. Zobaczył dzieci, staruszka i kobiety o skórze barwy kawy z mlekiem i czarnych włosach, w kolorowych, lecz znoszonych ubraniach. Wycelował pistolet nie w nich, ale w niebo.

- Przepraszam... wybaczcie... uwaga!

Pospiesznie uskakiwali mu z drogi, gdy wpadł do środka, obejrzawszy się za siebie i spostrzegłszy kołyszący się płot i przeskakujących przezeń ludzi. Wpadł do jakiegoś ciemnego pomieszczenia, przeskakując przez garnki, prycze, stosy ubrań, starając się nie nadepnąć na nic i na nikogo, odurzony odorem tyłu ludzi przebywających w tak niewielkiej przestrzeni, palącego się ognia i aromatycznych przypraw - których nawet nie potrafiłby nazwać. Za nim rozległ się huk strzału i kawałek odłupanego przez kulę drewna uderzył go w

twarz. Skrzywił się, wiedząc, że krwawi, i o mało nie wpadł na małe dziecko. Do diabła, gdzie tu są drzwi na ulicę? Błyskawicznie przebiegał od drzwi do drzwi, omijając mieszkańców, w tym kilka kóz, przeskakując przez paleniska. Usłyszał krzyki - tamci też wpadli do środka - i w tej samej chwili znalazł się w pomieszczeniu wyglądającym na główny hol i na jego końcu zobaczył podwójne drzwi. Podbiegł do nich tylko po to, aby odkryć, że są zabite gwoździami. Oczywiście, przecież to dom przeznaczony do rozbiórki. Pomknął dalej, szukając okna wychodzącego na ulicę. Padł następny strzał - nie wiedział skąd - i poczuł nieprzyjemny podmuch przelatującej mu nad uchem kuli. Wpadł za zasłonę i na łóżko, usłyszał przerażone krzyki kobiety i gniewne wrzaski mężczyzny, na moment nogi zaplątały mu się w pościel, ale już dostrzegł następny kilim zawieszony na ścianie. Rzucił się ku niemu i odsunął go. W oknie za zasłoną na szczęście nie było szyby. Wskoczył przez nie, osłaniając rękami głowę, i wylądował z poślizgiem zakończonym upadkiem na bmk. Pistolet wypadł mu z ręki.

Svenson podniósł się z ziemi. Miał startą skórę na rękach, potłuczone kolana i bolała go noga w kostce. Gdy schylił się po pistolet, z okna padł kolejny strzał. Doktor odwrócił się i zobaczył Blacha, jedną ręką przyciskającego do twarzy zakrwawioną chustkę, a w drugiej ściskającego dymiący rewolwer, którym celował w Svensona. Ten nie zdążył uskoczyć. Z błyskiem nienawiści w oczach Blach nacisnął spust. Iglica natrafiła na pustą komorę. Blach wściekle zaklął, wysypując łuski na parapet, szukając nowych naboí. Svenson złapał swój pistolet i uciekł.

\*

Nie wiedział, gdzie jest. Biegł do utraty tchu, usiłując zgubić pościg - skręcając raz po raz i przemykając przez puste parcele i parki. W końcu zatrzymał się na jakimś cmentarzu i usiadł z twarzą w dłoniach, pod osłoną starego, popękanego grobowca. Ciężko dyszał, wyczerpany. Zrobiło się jasno - był już wczesny ranek - i otwarta przestrzeń pomiędzy obiektami była zaskakująco dobrze widoczna. Jednak wydarzenia minionej nocy wcale nie wydawały się przez to mniej realne. Wręcz przeciwnie, Svenson czuł, że temu jasnemu dzionkowi nie może ufać. Pobielwały od deszczu kamień, zatarty napis „Thackaray” pod palcami, bezlistne gałęzie nad głową - wszystko to nie pasowało do okrutnego i dziwnego świata, w którym się znalazł. Przez moment zastanawiał się, czy może zażył opium i leży teraz oglupiały w jakiejś chińskiej palami, śniąc narkotyczne sny. Przetarł oczy i splunął.

Svenson wiedział, że nie jest prawdziwym szpiegiem ani żołnierzem. Był zagubiony. Bolała go noga w kostce, miał podrapane ręce, był głodny, drapało go w gardle, a po podanym przez hrabiego narkotyku głowę miał dziurawą jak szwajcarski ser. Niechętnie zdjął

but i obmacał obolałą kostkę. Nie była złamana, a zapewne nawet niezwichnięta, ale będzie musiał ją oszczędzać przez kilka następnych dni. Skrzywił się na myśl o tym, jak małe ma na to szanse, po czym wyjął z kieszeni pistolet i sprawdził magazynek. Zostały mu tylko dwa naboje, a nie wziął zapasowych. Wepchnął broń do kieszeni i uświadomił sobie, że wszystkie pieniądze też zostawił w misji, razem z zapasowymi nabojami. Stracił torbę lekarską i miał na sobie mundur oraz szynel, które - choć w stonowanym odcieniu pruskiego błękitu - rzucały się w oczy.

Piekła go twarz. Podniósłszy rękę, namacał zaschniętą krew i niewielką drzazgę, wciąż tkwiącą pod prawą kością policzkową. Wyjął ją delikatnie i przycisnął chustkę do policzka. Uświadomił sobie, że strasznie chce mu się palić. Znalazł w kieszeni płaszczapapierośnicę, wyjął jednego papierosa, a potem zapalił go potartą o paznokieć kciuka zapalką. Dym rozkosznie wypełnił mu płuca, doktor powoli go wydmuchnął. Niespiesznie wypalił go, starając się skupić na oddychaniu i kłębach dymu unoszących się nad nagrobkami. Cisnął niedopałek do kałuży i zapalił drugiego papierosa. Nie chciał, by zakręciło mu się w głowie, ale nikotyna trochę przywracała mu otuchę. Chowając papierośnicę, natrafił ręką na szkło. Zupełnie zapomniał o tym drugim szkiełku, które znalazł przy Trappingu. Rozejrzał się wokół - na cmentarzu nadal nie było nikogo, a w otaczających go budynkach nie dostrzegł żadnych śladów życia. Svenson wyjął szkiełko. Wyglądało identycznie jak to, które zabrał z sypialni księcia. Czy zajrzy w umysł Arthura Trappinga i znajdzie jakieś wyjaśnienie jego zagadkowej śmierci? Położył palącego się papierosa na nagrobku i popatrzył przez szkło.

\*

Trwało chwilę, zanim niebieska mgła się rozwiała, lecz zaraz po tym Svenson wpadł w oszalałymi wir obrazów, przenikających się wzajemnie bez żadnego ładu i składu. Nie tyle doświadczał przeżyć będących udziałem tamtego - tak jak w przypadku spotkania pani Marchmoor z księciem - co poznawał jego luźne myśli, a może sny. Oderwał wzrok od szkła i wypuścił powietrze z płuc. Drżał, gdyż to przeżycie było równie szokujące, równie niezwykle jak poprzednio. Strząsnął rosnący wałeczek popiołu z papierosa i zaciągnął się. Ponownie odłożył go i zebrał siły do następnej, lepiej sprecyzowanej wizyty.

Pierwsze obrazy ukazały pełne bibelotów, ładnie urządzone wnętrza - dywan na podłodze z ciemnego drewna i szklane klosze lamp, delikatne chińskie zdobnictwo i solidna tapicerka mebli - oraz kobietę siedzącą na sofie, młodą kobietę, widoczną tylko częściowo. Svenson widział jej odsłonięte ramiona i wąskie dłonie oparte o sofę, a potem jej kształtne łydki ledwie wystające spod sukni, gdy wyciągnęła nogi, jej śliczne zielone buciki do

kostek... Każdemu z tych obrazów towarzyszyła duma posiadacza, z jaką spoglądał na nią człowiek, którego oczami patrzył teraz Svenson.

Obraz gwałtownie przeskoczył do innej sceny, ukazując skalistą okolicę i widzianą z góry rozpadlinę z szarego kamienia - kamieniołom? - pod tylko nieco jaśniejszym szarym niebem. Nagle Svenson był w tej rozpadlinie i czuł żwir wpijający mu się w kolano - klęczał i pochylał się nad kolorową żyłą przecinającą skałę i mającą barwę indygo. Ręka - jego ręka, ale młoda, silna, w czarnym rękawie płaszcza i okryta czarną rękawiczką - wyciągnęła się, dotknęła niebieskiego pasma, wepchnęła w nie palec i odłamała kawałek, jakby był z kruchej kredy.

Następny cykl obrazów również rozpoczął się w kamieniołomie, ale widzianym z coraz większej wysokości. Nagle stał w zimowym sadzie - chyba wśród jabłoni, których pnie były otulone słomą. Spojrzał w lewo i ujrzał wysoki mur oraz stary żywoplot, a za nimi stromy dach wiejskiej posiadłości.

Skierował się jeszcze bardziej w lewo i nagle stanął oko w oko z Haraldem Crabbem, z drwiącym uśmiechem rozpartym na siedzeniu i spoglądającym przez okno powozu, za którym drzewa szybko umykały w dal. Crabbe zwrócił się do niego - a raczej tego kogoś - i zupełnie wyraźnie powiedział: „twoja decyzja”, po czym znowu odwrócił się do okna.

Za oknem nagle pojawiło się inne pomieszczenie - wygięty kamienny korytarz zakończony obitymi blachą drzwiami. Te drzwi otworzyły się, ukazując dużą komnatę pełną jakiejś maszynerii i potężnego mężczyznę pochylonego nad stołem i przywiązaną do blatu kobietą, której tożsamość skrywały jego szerokie plecy... Nagle Svenson rozpoznał to pomieszczenie - laboratorium instytutu, skąd wyprowadził księcia.

\*

Oderwał wzrok od szkła. Było tam więcej obrazów, których nie mógł dostrzec - jakby patrzył przez zalewaną deszczem szybę. Jego papieros zgasł. Zastanawiał się, czy zapalić następnego, ale wiedział, że musi szybko zdecydować, co robić. Nie miał pojęcia, czy tamci wciąż go szukają. Jeśli tak, to w końcu trafiana cmentarz. Powinien znaleźć sobie jakąś bezpieczną kryjówkę. Albo, pomyślał, wziąć byka za rogi. Czy może jeszcze jakoś pomóc księciu? Sumienie nie pozwalało mu go opuścić. Nie mógł wrócić do misji - nie ufał Flaussowi - i wciąż nie miał pojęcia, gdzie szukać mężczyzny w czerwieni i Isobel Hastings. Jeśli nie zamierzał po prostu gdzieś się ukryć, to jedyne, co mu pozostawało - obojętnie jak głupie mogło się to wydawać - to ponownie spróbować porozmawiać z madame Lacquer-Sforzą. Z pewnością mógł bezpiecznie wejść do hotelu St. Royale, wykorzystując poranne

zamieszanie. W pistolecie nadal miał dwie kule - więcej, niż trzeba, aby ją przekonać, jeśli tylko zdoła się tam dostać.

Spojrzał w dół i zobaczył, że nie włożył buta, więc zrobił to, ostrożnie wciągając go na wciąż obolałą kostkę. Wstał i zrobił kilka kroków. Teraz, kiedy opadł podwyższony przez strach poziom adrenaliny, bardziej odczuwał ból, ale wiedział, że może chodzić - a właściwie nie ma innego wyboru. Potrzebował odpoczynku. Sprawdzi to ostatnie źródło informacji, a potem znajdzie sobie jakiś nocleg. Nie wiedział, czy zdoła bezpiecznie wrócić do Macklenburga. Głośno westchnął i utykając, opuścił cmentarz, wchodząc w wąską uliczkę biegnącą obok kościołka. Słońce skryło się za chmurami, więc nie był w stanie ustalić stron świata. Na końcu uliczki rozejrzał się, a potem zerknął na otwarte drzwi kościoła. Wszedł do ciemnego wnętrza i mszył nawą, kłaniając się kilku świętym, zdecydowanym krokiem idąc w kierunku dzwonnicy, na którą z pewnością prowadziły schody. Zmarszczył brwi, starając się przybrać zawodowo zaaferowaną minę, po czym przeszedł obok zaskoczonego księdza, mówiąc:

- Dzień dobry, ojcie. Na dzwonnicy?

Z powagą skinął głową, gdy tamten wskazał mu drzwiczki. Svenson podszedł do nich i zaczął wchodzić, w duchu jęcząc na myśl o liczbie stopni, jakie będzie musiał pokonać na chorej nodze. Starał się iść różnym krokiem, dopóki nie zniknął z oczu księdza, a potem zaczął oszczędzać kostkę, trzymając się poręczy i skacząc na jednej nodze. Po około siedemdziesięciu takich męczących akrobacjach dotarł do wąskiego okna zasłoniętego drewnianą okiennicą. Pchnął ją, otwierając i strącając nagromadzone na niej gołębie odchody i pióra, po czym uśmiechnął się. Z tej wysokości widział srebrny łuk rzeki, zieleń Circus Garden, biały kamienny masyw ministerstwa i otwartą przestrzeń St. Isobel Square. Pomiędzy tym wszystkim znalazł St. Royale z jego wysokimi wieżyczkami z czerwonymi dachówkami, zwieńczonymi czarno-złotymi proporczykami.

Zszedł, najszybciej jak mógł, i wrzucił monetę do skarbonki. Znalazłszy się na ulicy, przemknął wąskimi uliczkami i zaułkami, trzymając się blisko ścian. Minął kwartał składów, rojący się od mężczyzn ładujących na wozy najróżniejszej wielkości skrzynie. Pośrodku tego zamieszania stała niewielka kantyna, wciśnięta między elewator a skład bławatny, mieniący się kolorowymi belami materiałów. Svenson kupił kubek kawy i trzy świeże bułki. Pochłonął je, idąc, jeszcze ciepłe, i najwolniej jak potrafił, żeby nie poparzyć sobie ust, wypił kawę. Zbliżając się do kupieckiej dzielnicy w pobliżu St. Isobel, poczuł się jak człowiek, na tyle by zdać sobie sprawę, że ma pokaleczoną twarz i brudny płaszcz. Przyglądał włosy i otrząpał

plaszcz - nic więcej nie mógł zrobić - po czym z udawaną pewnością siebie pomaszerował dalej. Wyobraził sobie, że jest majorem Blachem, co było przynajmniej zabawne.

\*

Minął hotel, idąc krętą uliczką dostawczą za szeregiem modnych restauracji, o tej porze zastawioną przez dostawców produktów spożywczych i mięsnych. Był ostrożny i dopisywało mu szczęście, gdyż dotychczas nie został zauważony przez nieprzyjaciół. W przeciwnym razie złapaliby go szybko i sprawnie. Zdawał sobie sprawę, że jego wrogowie są dostatecznie znaczący, żeby wpłynąć na mechanizmy prawa i sprawiedliwości. Najłżejsze wykroczenie - nie mówiąc o zastrzeleniu na ulicy kogoś z ludzi hrabiego - zaprowadziłoby go do więzienia, a może nawet na szubienicę. Stał na końcu uliczki, spoglądając na Grossmaere, szeroką aleję, która dwie przecznice dalej przechodziła obok St. Royale. Najpierw spojrzał w przeciwną stronę (tamci mogli rozstawić swoje posterunki nieco dalej), ale nikogo nie dostrzegł, a przynajmniej żadnego z ludzi hrabiego lub Blacha. Jeśli był w to zamieszany Crabbe, albo - Boże broń - Vandaariff, niezliczona ilość ich sługusów mogła tropić go i próbować zabić.

Spojrzał w kierunku hotelu. Czy mogą go obserwować z góry? Na ulicy panował spory ruch, gdyż było już dobrze po dziewiątej i wszystkie sklepy były otwarte. Svenson nabrał tchu i ruszył, idąc po przeciwnej stronie ulicy niż ta, po której znajdował się hotel, trzymając się blisko ściany i za plecami innych przechodniów. Dłoń włożył do kieszeni płaszcza i zacisnął na kolbie pistoletu. Przez cały czas obserwował hotel, zerkając do każdego mijanego sklepu i bramy. Doszedłszy do rogu, przeszedł przez jezdnię i niedbale oparł się o mur. St. Royale znajdował się po drugiej stronie. Svenson nadal nie zauważył nikogo, kto mógłby go szukać. To nie miało sensu. Przecież już raz go tu złapali, gdy próbował się z nią zobaczyć. Dlaczego nie wzięli pod uwagę tego, że może spróbować zrobić to ponownie? Zastanawiał się, czy zastawili pułapkę w środku - może w którymś z pokoi - gdzie mogliby go niepostrzeżenie załatwić. Ta możliwość czyniła jego zadanie jeszcze bardziej ryzykownym, gdyż do ostatniej chwili nie będzie wiedział, czy jest bezpieczny, czy nie. Mimo to dokonał wyboru. Z ponurą determinacją mszył przed siebie.

Już dochodził do hotelu, gdy widok zasłoniły mu dwa wozy dostawcze, których zaprzęgi wpadły na siebie. Woźnice głośno klęli, a ich pomocnicy zeskoczyli z wozów, aby rozplatać uprzęże i ostrożnie wycofać oba pojazdy. W wyniku tego jadące za nimi wozy także stanęły, czemu towarzyszyły głośne przekleństwa każdego nowo przybyłego woźnicy. Ten widok odwrócił na moment uwagę Svensona, przyglądającego się, jak dwa pierwsze wozy w końcu rozdzielają się i mijają, a woźnice wymieniają szczególnie paskudne epitety. Znalazł

się na wprost wejścia do hotelu w chwili, gdy korek zaczął się rozładowywać. Tuż przed nim, we wspaniałej fioletowej sukni przetykanej srebrną nitką, w czarnych rękawiczkach i eleganckim czarnym kapeluszu, stała madame Lacquer-Sforza. Obok niej, znów ubrana w pasiastą suknię, tylko teraz w niebieskie i białe paski, zobaczył pannę Poole. Svenson natychmiast cofnął się w cień markizy restauracji. Nie zauważyły go. Czekał - rozglądając się - podekscytowany tym, że będzie mógł porozmawiać z nią, nie wchodząc do hotelu, gdzie mogli zastawić na niego pułapkę. Przełknął ślinę, zaczekał na przerwę w mchu i zrobił krok do przodu.

Ledwie oderwał lewą stopę od chodnika i miał ją postawić na bruku jezdni, gdy zamarł i cofnął się instynktownie. Zza pleców tych dwóch kobiet wyłonił się Francis Xonck - teraz w eleganckim żółtym płaszczu i cylindrze, wkładając żółte rękawiczki z kozłłej skóry. Z szerokim uśmiechem nachylił się i szepnął coś, co sprawiło, że pana Poole zarumieniła się i zachichotała, a madame Lacquer-Sforza uśmiechnęła się krzywo. Xonck wszedł między obie panie, a one wzięły go pod ręce. Ruchem głowy wskazał ulicę i przez jedną okropną chwilę Svenson myślał, że został zauważony - właściwie stał na widoku - lecz zaraz zobaczył, że Xonck wskazał otwarty powóz, który już podjeżdżał, zasłaniając doktorowi widok. W powozie siedział hrabia d'Orkancz w futrze i z ponurą miną. Nie odezwał się ani nie skłonił pozostałym, gdy wsiadali do powozu. Xonck pomógł wsiąść kobietom, a sam wdrapał się ostatni. Madame Lacquer-Sforza usiadła obok hrabiego. Pochyliła się i szepnęła mu coś do ucha. Niechętnie, ale się uśmiechnął, jakby on również nie mógł się powstrzymać. Widząc to, Xonck wyszczerzył w uśmiechu białe zęby, a panna Poole znów zachichotała. Powóz mszył. Svenson odwrócił się i powlókł w przeciwną stronę.

Odjechała - i była jedną z nich. Obojętnie, jakie jeszcze snuła intrygi, madame Lacquer-Sforza była ich współniczką. Gdyby tylko mógł porozmawiać z nią na osobności... Jednak teraz nie miał pojęcia, gdzie, kiedy i w jaki sposób może się to zdarzyć. Svenson obejrzał się i zobaczył dwóch ludzi hrabiego stojących przy głównym wejściu. Miarowym krokiem odszedł, spuściwszy głowę i zdając sobie sprawę z tego, że o mało nie popełnił samobójstwa. Na końcu kwartału znów skręcił za róg i przywarł plecami do ściany. Co ma teraz zrobić? Dokąd pójść? Co może zdziałać przeciwko tak wpływowej klice? Spojrzał przed siebie i zobaczył Grossmaere Avenue... Czy tak? Istotnie - to była ta ulica, którą tak dawno temu podążał z hrabią do tajemniczego ogrodu i oranżerii. Ta kobieta. Może ją odnaleźć, zabrać, może przeszukać oranżerię, a nawet zastawić zasadzkę na samego hrabiego. Co ma do stracenia? Znów zerknął na wejście do hotelu - tamci dwaj śmiali się z czegoś. Svenson

zaczekał na przerwę w mchu i przemknął przez jezdnię, lawirując między powozami. Obejrzał się za siebie. Nikt go nie śledził. Wymknął się im i miał przed sobą nowy cel.

\*

Próbował przypomnieć sobie drogę do ogrodu. Było ciemno i ulice zasnuwała gęsta mgła, a jego uwagę zaprzętały inne sprawy - idący za nim ludzie i rozmowa z hrabią. W dzień, pełne ludzi, ulice wyglądały zupełnie inaczej. Mimo to mógł spróbować znaleźć ten ogród: trzeba skręcić tutaj, przejść do następnej przecznicy, przez zaułek i skręcić za następny róg. Znalazł się na skrzyżowaniu i już zaczął się obawiać, że pomylił drogę, gdy nieco dalej, po drugiej stronie ulicy, zobaczył wylot wąskiej alejki. Czy to ta? Pospiesznie poszedł ulicą, aż znalazł się naprzeciwko jej wylotu i zajrzał w głąb zaułka. Ten wyglądał inaczej, ale Svensonowi wydawało się, że dostrzega tę podobną do kaplicy budowlę, gdzie hrabia otworzył furtę. Czy ten wysoki mur otacza ogród? Czy pilnują go strażnicy? Czy zdoła sforsować zamek? Chociaż uliczka była pusta, Svenson wiedział, że będzie musiał rozwiązać wszystkie te problemy, pozostając w odległości rzutu kamieniem od bardzo ruchliwej ulicy. Już miał przejść na drugą stronę, ale jeszcze raz się rozejrzał, sprawdzając, czy nie jest śledzony.

Zamarł. Patrząc przez podwójne szklane drzwi budynku, który musiał być hotelem, zobaczył młodą kobietę siedzącą na pluszowej kanapie. Kasztanowe loki opadały jej na ramiona, gdy w skupieniu pochylała się nad otwartym zeszytem, robiąc notatki, otoczona stosami książek i gazet. Jedną nogę miała podwiniętą i niewidoczną, lecz na drugiej - sukienka uniosła się trochę, odsłaniając kształtną łydkę - miała śliczny zielony bucik do kostki. Nie zastanawiając się ani chwili, doktor Svenson otworzył drzwi hotelu i wszedł.

## 4

### **Hotel Boniface**

Naturalnie pierwszą reakcją panny Temple była irytacja. Opuściła swoje pokoje, aby uniknąć niemych i badawczych spojrzeń pokojówek, w milczeniu chodzących za nią jak para kotów, oraz znacznie bardziej natarczywego zachowania ciotki Agathy. Przespała prawie cały poprzedni dzień, a kiedy otworzyła oczy, znów było ciemno. Wykąpała się i zjadła w milczeniu, po czym znów zasnęła. Kiedy zbudziła się ponownie wczesnym rankiem, jej ciotka usadowiła się przy jej łóżku, w fotelu przyniesionym przez pokojówki z innego pokoju. Panna Temple usłyszała, jaki okropny sprawiła kłopot, zaczynając od niespodziewanej nieobecności na podwieczorku, potem na kolacji, a wreszcie nie pokazując się (w typowy dla siebie, uparty i zuchwały sposób) przez cały wieczór, tak że trzeba było zawiadomić służbę hotelową -

czego, mówiąc bez ogródek, nie da się zatuszować. Zamieszanie w hotelu jeszcze pogłębił cholernie nieoczekiwany powrót panny Temple (zaledwie kilka minut, jak twierdziła Agatha, po tym, jak zasnęła, wyczerpana niepokojem i czekaniem).

Agatha była starszą siostrą ojca panny Temple i przez całe życie mieszkała w mieście. Kiedyś wyszła za człowieka, który umarł młodo i bez grosza przy duszy, w wyniku czego Agatha spędziła długie lata wdowieństwa, korzystając z fortuny dalekiej i niechętniej krewnej. Włosy miała siwe i zawsze schowane pod kapeluszem, opaską lub chustką, jakby kontakt z powietrzem mógł wywołać chorobę. Zęby miała całe, ale odbarwione w miejscach, gdzie opadły dziąsła, na skutek czego wydawały się dość długie i zmieniały te rzadkie uśmiechy, które posyłała bratanicy, w groźny wilczy grymas.

Panna Temple przyznawała, że był powód do obaw, więc robiła co mogła, żeby uśmierzyć obawy starszej pani, posuwając się nawet do tego, że odpowiedziała głośno i wyraźnie na ostrożnie zadane pytanie, najwyraźniej będące powodem całego tego, delikatnie mówiąc, śledztwa: czy bratanica nie straciła cnoty? Zapewniła ciotkę, że w rzeczy samej wróciła nietknięta i jeszcze bardziej zdeterminowana, by taką pozostać. Jednak nie podała żadnych szczegółów odnośnie do tego, gdzie była i przez co przeszła.

\*

Zakrwawiona jedwabna bielizna i brudny płaszcz zostały spalone w piecu w jej pokoju, kiedy spała, po tym, jak pokojówki z wahaniem zwróciły uwagę ciotki na te części garderoby, znalazłszy je rozrzucone na podłodze. Panna Temple nie chciała słyszeć o wezwaniu lekarza, a ciotka Agatha bez protestu przyjęła tę odmowę. Taka ugodowość zaskoczyła pannę Temple, która jednak od razu zrozumiała, że zdaniem ciotki mniejszy krąg wtajemniczonych zmniejsza ryzyko skandalu. Znalaziono silnie działającą maść na wciąż świeże otarcie nad lewym uchem. Będzie tam miała bliznę, lecz umyte i ponownie zakręcone włosy doskonale ją zasłaniały, poza niewielkim, wiśniowo-czerwonym kawałkiem wielkości dzieciennego kciuka, który sięgał - blyszcząc maścią - aż do kości policzkowej, plamiąc jej nieskazitelną cerę. Jednak spożywającej śniadanie w łóżku pannie Temple zaczęła nieco ciążyć obecność siedzącej w fotelu ciotki, obserwującej ją niczym zwierzątko czekające na resztki - w tym przypadku oczekującej dalszych wyjaśnień, okruczeń zapewnień, że jej pozycja i emerytura nie zostały zagrożone przez te głupie, samowolne wybryki naiwnej dziewczyny, porzuconej przez chorobliwie ambitnego narzeczonego. Rzecz w tym, że Agatha nic nie mówiła. Ani razu nie potępiła poczynań panny Temple, ani razu nie wytknęła młodej damie braku rozwagi i odpowiedzialności, nie mówiła o szczęśliwej ucieczce, niewątpliwie będącej efektem jakiejś niezasłużonej boskiej interwencji. Z tym wszystkim panna Temple

potrafiłaby sobie poradzić, ale milczenie - to dziwnie potępiające milczenie - niezmiernie ją irytowało. Kiedy zabrano tacę, oznajmiła głośno i wyraźnie, że choć przykro jej z powodu wynikłego zamieszania, przeżyła interesującą przygodę, z której wyszła bez szwanku i jest zdecydowana wyjaśnić tę sprawę, daleką jeszcze od zakończenia. Ciotka nie odpowiedziała, jedynie przeniosła pełne dezaprobaty spojrzenie z panny Temple na biurko, gdzie panował idealny porządek i leżał duży, naoliwiony rewolwer - wyglądający jak przyczajony gad i będący prezentem przywiezionym przez wuja z jednej z jego dziwnych wypraw do Wenezueli. Ciotka znów spojrzała na pannę Temple. Ta oznajmiła, że będzie jej potrzebne pudełko pasujących do tej broni nabojów.

Ciotka nic nie powiedziała. Panna Temple uznała to za znakomitą sposobność do zamknięcia dyskusji w dość stanowczy sposób. Wstała z łóżka i poszła do pokoju toaletowego, zamykając za sobą drzwi. Ze znużonym westchnieniem podciągnęła nocną koszulę do pasa i usiadła na nocniku. Było jeszcze wcześniej rano, ale dostatecznie jasno, by mogła dostrzec swoje zielone buciki stojące na podłodze, tam, gdzie postawiły je pokojówki. Skrzywiła się, podcierając, wstała i opuściła pokrywkę. Kiedy brała kąpiel, było ciemno, mrok rozjaśniało tylko światło świec. Teraz podeszła do lustra i zrozumiała, dlaczego służące tak się na nią gapiły. Na szyi, nad kołnierzykiem nocnej koszuli, miała sińce - wyraźne ślady palców i kciuka. Przyniosła twarz do lustra i delikatnie ich dotknęła, upiornego śladu ręki Spragga. Cofnęła się o krok i ściągnęła nocną koszulę przez głowę. Zaparło jej dech i dreszcz przeszedł jej po krzyżu, gdyż ujrzała zupełnie inne, nie swoje ciało. Widok licznych siniaków i zadrapań w dobitny i okropny sposób uzmysłowił jej, że cudem uszła z życiem. Przesunęła palcami po wszystkich tych posiniaczonych i bolących miejscach, a w końcu przycisnęła dłoń tam, gdzie jego palce zraniły ją najbardziej.

Zamknęła oczy i westchnęła ciężko, jednak to nie przyniosło jej ulgi. Panna Temple nie tolerowała u siebie takich przejawów słabości. Surowo przypomniała sobie, że przecież uciekła. A ci mężczyźni nie żyją.

\*

Po kilku minutach panna Temple wyłoniła się z pokoju toaletowego w szlafroku, wezwała pokojówki i usiadła za biurkiem. Podciągnęła rękawy - starając się nie patrzeć na ciotkę, która gapiła się na nią - i z udawaną pewnością siebie podniosła rewolwer. Zajęło jej to więcej czasu, niż chciała - tyle, że obie pokojówki też to zobaczyły - ale w końcu zdołała otworzyć bębenek i wysypać naboje na bibularz. Zrobiwszy to, pospiesznie sporządziła listę, co również zajęło jej więcej czasu, niżby chciała, ponieważ każda z pozycji wymagała szczegółowych wyjaśnień. Kiedy skończyła, podmuchała na papier, żeby wysuszyć atrament,

po czym zwróciła się do pokojówek. Były nimi dwie wiejskie dziewczyny, w wieku na tyle zbliżonym do jej, żeby uwidaczniające się różnice w doświadczeniu i edukacji były oczywiste i nieznośne. Starszej, która umiała czytać, wręczyła złożoną kartkę.

- Marie, tu jest lista rzeczy, których potrzebuję od personelu hotelu i ze sklepów w mieście. Pokażesz personelowi pozycje jeden, dwa i trzy, a potem uzyskasz wskazówki co do sklepów mogących posiadać przedmioty numer cztery i pięć. Dam ci pieniądze... - Panna Temple sięgnęła do szuflady biurka i wyjęła skórzany notesik z kilkoma wetkniętymi weń, nowiutkimi banknotami. Powoli wyjęła dwa... trzy z nich i wręczyła Marie, która wzięła je i kiwnęła głową. - I kupisz te rzeczy. Nie zapomnij rachunków, żebym wiedziała, ile dokładnie wydałaś pieniędzy.

Marie ponuro skinęła głową, i nie bez powodu, gdyż panna Temple zawsze liczyła się z pieniędzmi i w przeciwieństwie do innych nie pozwalała, aby drobne sumy znikwały w kieszeniach służby, a przynajmniej bez jej świadomego udziału.

- Pierwszą rzeczą na tej liście jest zbiór gazet: „World”, „Courier” i „Harald” z dzisiejszego dnia, z wczorajszego i przedwczorajszego. Drugą jest mapka miejscowych linii kolejowych. Trzecią mapą ze szczególnym uwzględnieniem moczarów wzdłuż wybrzeża. Czwartą rzeczą, którą masz mi znaleźć, jest pudełko takich nabojęw. - Wręczyła Marie jeden z nabojęw wyjętych z rewolweru. - Piątą pozycją, której znalezienie zapewne zajmie ci najwięcej czasu, gdyż będzie konieczna niezwykła dokładność, to trzy komplety bielizny - znasz moje wymiary - z najlepszego jedwabiu: biały, zielony i... czarny.

Z drugą pokojówką, Marthą, wróciła do pokoju toaletowego, aby dać się uczesać, zasznurować gorset i nałożyć warstwy pudru oraz kremu na sińce na szyi. Wyszła w innej zielonej sukience z delikatnym włoskim haftem na staniku i w bucikach do kostek, posłusznie wyczyszczonych przez Marthę. W tej samej chwili pukanie do drzwi obwieściło przybycie pierwszej porcji gazet i map. Chłopiec hotelowy wyjaśnił, że musieli zamówić niektóre gazety z poprzednich dni i że dostarczą je niebawem. Panna Temple dała mu napiwek i gdy tylko wyszedł, umieściła prasę na stole i zaczęła ją przeglądać. Nie wiedziała, czego właściwie szuka, jednak miała dość frustrującej niewiedzy w kwestii tego, w co właściwie się wplątała. Porównała mapkę kolejową z mapą interesującej ją okolicy i zaczęła metodycznie wytyczać drogę ze stacji Stopping do Orange Canal. Jej palec zawędrował aż do De Conque, gdy nagle uświadomiła sobie, że Martha i Agatha gapią się na nią. Energicznie poprosiła Marthę, żeby zaparzyła herbatę, a ciotkę obrzuciła stanowczym spojrzeniem. Nie zamierzając pojąć aluzji, ciotka Agatha rozsiadła się w innym fotelu i wymamrotała, że filiżanka herbaty dobrze jej zrobi.

Panna Temple przesunęła się na krzesło, ramieniem zasłaniając ciotce widok, po czym jej palec powędrował dalej, do Orange Locks, a stamtąd do samego Orange Canal. Czerpała szczególną przyjemność z odnajdywania kolejnych stacji, każdą z nich mając świeżo w pamięci. Mapa kolejowa nie ukazywała żadnych szczegółów - dróg czy wiosek - nie mówiąc już o dużych posiadłościach, tak więc panna Temple przysunęła sobie atlas i znalazła stronę dokładnie ukazującą tamte okolice. Zdziwiła się, jak dużą przebyła odległość, i powstrzymała kolejny dreszcz zgrozy na myśl o tym, jaka była to samotna i niebezpieczna podróż. Okolica między dwiema ostatnimi stacjami wyglądała na niezamieszkaną - na żadnej z map panna Temple nie znalazła ani jednej miejscowości. Wiedziała, że dom stał nad morzem, gdyż pamiętała zapach soli w powietrzu, chociaż dobrze wiedziała, że wiatry od morza rozchodzą się daleko na takim płaskim terenie, jakim są mokradła, tak więc brzeg mógł być o wiele dalej, niż się wydawało. Próbowała wytyczyć prawdopodobny obszar na podstawie czasu, jakiego potrzebował powóz, by dotrzeć ze stacji do dworu, i szukała na mapie jakichś charakterystycznych punktów. Obok kanału znalazła dziwny symbol i szybko sprawdzwszy legendę, dowiedziała się, że oznacza to „miny”. Jak stara jest ta mapa? Czy dom tej wielkości może być zupełnie nowy? Panna Temple spojrzała na ciotkę.

- Co to jest Harschmort?

Ciotka Agatha głośno wciągnęła powietrze, ale nie odpowiedziała. Panna Temple zmrużyła oczy. Obie nie odzywały się (gdyż w pewnych sprawach starsza pani odziedziczyła rodzinny upór) i po minucie głuchego milczenia panna Temple zatrzasnęła atlas, zdecydowanie wstała od stołu i poszła do sąsiedniego pokoju. Wróciła, co ciotka stwierdziła z rosnącym niepokojem, z rewolwerem w dłoni, wkładając naboje do bębena i zatraskując go z niemalym trudem. Panna Temple podniosła głowę, zobaczyła, że obie kobiety gapią się na nią i drwiąco prychnęła. Czyżby myślały, że chce je zastrzelić? Wzięła torebkę i wrzuciła do niej rewolwer. Owinęła pasek wokół nadgarstka, a potem obiema rękami zaczęła zbierać papiery. Nie próbując nawet ukrywać irytacji, warknęła na Marthę:

- Drzwi, Martho.

Służąca podbiegła do frontowych drzwi i otworzyła je, tak by panna Temple, mając zajęte ręce, mogła przez nie przejść.

- Będę pracowała tam, gdzie znajdę spokój, jeśli nie chęć współpracy.

\*

Idąc wyłożonym grubym dywanem korytarzem, a potem do holu, panna Temple miała wrażenie, że wraca do świata żywych, a co więcej, że stawia czoło wydarzeniom, które ją porwały. Mijając różne pokojówki i portierów wiedziała - ponieważ była to poranna zmiana -

że to ci sami, którzy widzieli jej dramatyczne wejście. Oczywiście, że wszyscy o tym mówili i rzucali w jej kierunku badawcze spojrzenia, kiedy przechodziła obok. To jednak nie zmniejszyło pewności siebie panny Temple, która wiedziała, że jeśli w ogóle coś się zmieniło, to tylko to, że musi działać jeszcze bardziej zdecydowanie. Wiedziała, jakie ma szczęście, iż jest niezależna i tak mało zważa na opinię innych. Niech sobie gadają, pomyślała, byle widzieli, jak wysoko trzymam głowę, i dopóki mam nad nimi przewagę, jaką daje bogactwo. Skinęła głową recepcjonście, panu Spanningowi, temu samemu, który otworzył jej drzwi, gdy wróciła zakrwawiona. Wiedziała, że zwyczajnie towarzyskie niewiele różnią się od tych, jakie mogła zaobserwować u bydła w stadach swego ojca albo u jego psów. Tak więc panna Temple spoglądała na pana Spanninga odrobinę dłużej niż zwykle, aż posłusznie skłonił się w odpowiedzi.

Usadowiła się na jednej z szerokich pluszowych kanap w pustym holu, szybkim i twardym spojrzeniem informując personel, że niczego nie potrzebuje, układając papiery w równych kupkach. Zaczęła od „Harschmort”, notując swoje uwagi - stan min, lokalizację. Potem zabrała się za „Courier”, na którego stronach najprędzej spodziewała się znaleźć ploteczki towarzyskie. Chciała dowiedzieć się wszystkiego o tym balu maskowym - najpierw poznać zdanie opinii publicznej, a następnie - dzięki wszelkim dostępnym komentarzom na temat zamordowanych mężczyzn znalezionych na drodze lub zaginionych kobiet - jego prawdziwy zbrodniczy charakter. Przeglądała artykuły bez sprecyzowanego zdania, co może być najważniejsze: wielkie tytuły informujące o kolonialnych potyczkach, pomysłowych wynalazkach, międzynarodowych przepychankach, wielkich balach, wentach charytatywnych, wyprawach naukowych, reformach we flocie, walkach o ministerialne teki. Było oczywiste, że będzie musiała nad tym ślęczeć. Nie minęło dziesięć minut, gdy na jej papiery padł cień i nagle usłyszała - czyżby ktoś wszedł przez główne drzwi? - lekko ponaglące chrząknięcie. Panna Temple podniosła głowę, zamierzając głośno mknąć, gdyby była to ciotka Agatha lub Martha, lecz przed nią stał ktoś inny.

\*

Był dziwnym człowiekiem, wysokim i elegancko zaniedbanym, w sposób właściwy jedynie pedantom, w niebieskim szynelu z jasnymi epoletami i srebrnymi guzikami oraz w znoszonych czarnych butach. Włosy miał prawie białe, z przedziałkiem na środku głowy, przylizane, choć pośpiech sprawił, że kilka kosmyków spadło mu na oczy (jedno z nich spoglądało przez monokl na łańcuszku). Był nieogolony i panna Temple odniosła wrażenie, że nie czuje się najlepiej. Nie potrafiła odgadnąć wieku mężczyzny, częściowo z powodu jego zmęczenia, a częściowo sposobu, w jaki jego włosy, długie na czubku głowy, były podgolone

na potylicy i skroniach, niemal jak u średniowiecznego rycerza - chociaż może po prostu był Niemcem. Gapił się na nią, mierząc ją wzrokiem od twarzy po stopy. Ona też na nie spojrzała, a potem znów na jego twarz. Najwyraźniej zabrakło mu słów. Była w nim jakaś nieporadność, którą znalazła nieledwie rozczulającą.

- Proszę mi wybaczyć - zaczął. Mówił z akcentem, który sprawił, że ten zwrot wydał się bardziej formalny, niż naprawdę był. - Ja... przepraszam... widziałem panią... nie wiedziałem, ale teraz... jakimś cudem... przez okno... - Urwał, nabrał tchu, przełknął ślinę i otworzył usta, żeby zacząć od początku, ale natychmiast je zamknął. Uświadomiła sobie, że patrzy na jej głowę - na ranę na policzku - a potem, z rosnącym niepokojem zauważyła, że opuścił wzrok niżej, na jej szyję. Popatrzył na nią i powiedział zdziwiony:

- Została pani ranna!

Panna Temple nie odpowiedziała. Chociaż właściwie nie spodziewała się, że kosmetyki na długo zakryją sińce, nie była przygotowana na tak szybkie zdemaskowanie, a tym bardziej na konfrontację ze swoim okropnym stanem, który odzwierciedlał się w zatroskanej minie nieznanego. No właśnie, kim jest ten mężczyzna? Czyżby agenci kobiety w czerwieni znaleźli ją tak szybko? Bardzo powoli sięgnęła po torebkę. Zauważył ten ruch i podniósł dłoń.

- Proszę, nie... oczywiście. Pani nie wie, kim jestem. Jestem kapitan chirurg Abelard Svenson z macklenburskiej marynarki, w dyplomatycznej służbie księcia Karla-Horsta von Maasmärcka, który właśnie zaginął. Jestem pani sprzymierzeńcem. Musimy porozmawiać, to sprawa najwyższej wagi.

Gdy to mówił, pana Temple dokończyła ruch ręki, chwyciła torebkę i położyła ją sobie na kolanach. Patrzył w milczeniu, jak wsuwa dłoń do środka, doskonale rozumiejąc, że jest tam broń.

- Mówił pan, że mnie... widział?

- Istotnie - odparł, a potem dziwnie się uśmiechnął. - Nawet nie potrafię tego wyjaśnić, gdyż w rzeczywistości, o ile mi wiadomo, jeszcze nigdy się nie spotkaliśmy!

Zerknął przez jej ramię i cofnął się o krok - najwidoczniej personel hotelu zwrócił na niego uwagę. Dla panny Temple działało się zbyt dużo i zbyt szybko. Nie ufała mu. Myślnami wróciła do tamtego strasznego wieczoru - do Spragga i Farquhara - i nie wiadomo ilu innych sługusów na służbie kobiety w czerwieni.

- Nie wiem, o czym pan mówi - powiedziała - albo raczej, co się panu zdaje, że pan mówi, gdyż po akcencie poznaję, iż jest pan cudzoziemcem. Zapewniam pana, że nigdy się nie spotkaliśmy.

Otworzył usta, by coś powiedzieć, zamknął je i znowu otworzył.

- To może być prawdą. A jednak widziałem panią, i jestem pewien, że może mi pani pomóc.

- Dlaczego miałby pan tak sądzić?

Nachylił się do niej i szepnął:

- Pani buty.

Na to panna Temple nie znalazła odpowiedzi. On uśmiechnął się i znów przełknął ślinę, oglądając się przez ramię, na ulicę.

- Czy jest tu jakieś inne miejsce, gdzie moglibyśmy przedyskutować...

- Nie ma - ucięła.

- Nie jestem szaleńcem...

- Ale zapewniam pana, że na takiego pan wygląda.

- Nie spałem. Tropiono mnie... nie jestem niebezpieczny.

- Niech pan to udowodni - zażądała panna Temple.

\*

Zdała sobie sprawę z tego, że ostry ton jej głosu wiązał się z tą częścią jej osobowości, która chciała się tego człowieka pozbyć. Jednocześnie inna część pojęła, że oprócz przedzierania się przez sterty map i gazet jest to najlepsza okazja, jakiej mogłaby sobie życzyć dla dobra swego śledztwa. Jeżyła się, gdyż wszystko to stało się tak nagle i niespodziewanie, i ponieważ ten mężczyzna najwyraźniej był śmiertelnie strudzony i przygnębiony, a ludzi w takim stanie panna Temple instynktownie unikała. Jednak kto wie, co sama jeszcze przeżyje - albo będzie musiała znosić - w przyszłości, jeśli nadal będzie prowadziła to dochodzenie? Choćby była przygotowana na ewentualne kłopoty jak najlepiej, rzeczywistość zachwiała pewnością siebie panny Temple.

Spojrzała na mężczyznę i powiedziała cicho:

- Byłabym wdzięczna, gdyby... w jakiś sposób... proszę. Poważnie skinął głową.

- Zatem... pani pozwoli.

Usiadł na drugim końcu kanapy i sięgnął do kieszeni płaszcza. Wyciągnął dwa lśniące niebieskie szkiełka, obrzucił je spojrzeniem i schował jedno do kieszeni. Drugie podał pannie Temple.

- Sam nie rozumiem, co to jest. Wiem tylko, co pokazuje. Jak powiedziałem, mamy wiele do omówienia i jeśli moje obawy są uzasadnione, bardzo mało czasu. Nie spałem całą noc, przepraszam za mój opłakany wygląd. Proszę spojrzeć w to szkiełko tak, jakby patrzyła

pani w jezioro - trzymając je w obu rękach, inaczej na pewno je pani upuści. Ja cofnę się trochę. Może to powie pani więcej, niż powiedziało mnie.

Podał jej szkiełko i odszedł od kanapy. Drżącymi rękami wyjął ze srebrnej papierośnicy paskudnie wyglądającego papierosa z czarnego tytoniu i zapalił. Panna Temple przyjrzała się szkiełku. Było ciężkie, zrobione ze szkła, jakiego jeszcze nigdy nie widziała - jasnoniebieskie i mieniające się różnymi odcieniami - od indygo po kobalt, a nawet akwamarynę - w zależności od przechodzącego przez nie światła. Ponownie zerknęła na dziwnego doktora - sądząc po akcencie, rzeczywiście był Niemcem - a potem spojrzała w szkiełko.

\*

Gdyby jej nie ostrzegł, na pewno by je upuściła. A tak cieszyła się, że siedzi. Nigdy nie doświadczyła czegoś takiego, miała wrażenie, że pływa, tak wciągające były uczucia, tak namacalne te obrazy. Ujrzała siebie - siebie samą - w salonie domu Bascombe'ów i wiedziała, że zaciska dłonie na obiciu kanapy, ponieważ, korzystając z tego, że matka ich nie widzi, Roger pochylił się i leciutko dmuchnął jej we włosy na karku. Wrażenie było bardzo podobne do tego, co czuła, mając na twarzy maskę z piór i oglądając się w lustrze, tylko tutaj patrzyła na siebie cudzymi oczami - ktoś pożądlivym wzrokiem spoglądał na jej łydki i ramiona jak na swoją własność. Nagle obraz się zmienił, płynnie jak we śnie... nie rozpoznała tej rozpadliny czy kamieniołomu, ale sapnęła na widok wiejskiej posiadłości wuja Rogera, lorda Tarra. Potem był powóz i wiceminister - „twoja decyzja?” - a w końcu ten niesamowity, biegnący łukiem korytarz, obite blachą drzwi i przerażająca komnata. Podniosła głowę i ponownie znalazła się w holu hotelu Boniface. Z trudem łapała oddech. To był Roger. Wiedziała, że to wszystko były przeżycia i myśli Rogera Bascombe'a. Serce podeszło jej do gardła z niepokoju, natychmiast zastąpionego przez gniew. Decyzja? Czy to oznaczało to, co jej się zdawało? Jeśli tak - a nie mogło być inaczej, nie mogło! - to w tym momencie Harald Crabbe nieodwołalnie został osobistym wrogiem panny Temple. Skierowała błyszczące oczy na Svensona, który podszedł do kanapy.

- Jak... jak to działa? - zapytała.

- Nie wiem.

- Ponieważ... cóż... ponieważ to bardzo dziwne.

- Istotnie, to niesamowite i... nienaturalnie bezpośrednie.

- Tak! To jest... jest... - Nie mogła znaleźć słów, więc przestała ich szukać i tylko wypaliła: - Nienaturalne!

- Rozpoznała pani coś? - zapytał. Zignorowała pytanie.

- Gdzie pan to zdobył?
- Jeśli powiem, pomoże mi pani?
- Być może.

Spoglądał jej w oczy z zatroskaną miną, którą panna Temple już kiedyś widziała. Miała ładną buzię, gęste włosy i niezłą figurę, gdyby ktoś pytał ją o zdanie, lecz teraz już wiedziała i pogodziła się z tym, że jest wyjątkowa w taki sam sposób, jak zwierzę, które w pełni i całkowicie akceptuje swoje ciało. Doktor Svenson, stojąc w obliczu jej dziwnie pierwotnej osobowości, przełknął ślinę i westchnął.

- Znalazłem to zaszyte w kurtce martwego człowieka - odparł.

- Nie... - Zupełnie zaskoczona, podniosła szkiełko i nagle w jej głosie pojawiło się napięcie. - Nie tego człowieka?

Nie była przygotowana na taką ewentualność, że coś równie poważnego mogło się stać Rogerowi. Zanim zdążyła powiedzieć coś więcej, doktor Svenson pokręcił głową.

- Nie wiem, kim jest ten człowiek, ten... obserwator, jeśli można tak powiedzieć...

- To Roger Bascombe - wyjaśniła. - Pracuje w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Doktor cmoknął, wyraźnie na siebie zły.

- Oczywiście...

- Zna go pan? - spytała ostrożnie.

- Nie osobiście, ale widziałem, a raczej słyszałem, go dziś rano. Zna pani Francisca Xoncka?

- To straszny rozpustnik! - powiedziała panna Temple i natychmiast poczuła się jak głupia kuchta, bezmyślnie powtarzająca plotki kobiet, którymi gardziła.

- Niewątpliwie - przyznał doktor Svenson. - Jednak Francis Xonck i ten mężczyzna - Bascombe - razem pozbywali się zwłok...

Wskazała szkiełko.

- Człowieka, który je miał?

- Nie, kogoś innego, chociaż powiązanego z tym przez to niebieskie szkło... Proszę mi wybaczyć, uprzedzam fakty...

- Ile zwłok pojawia się w tej sprawie? O ilu panu wiadomo? - zapytała i zanim zdążył odpowiedzieć, dodała: - I czy mógłby pan, jeśli to możliwe, opisać je, choćby ogólnie?

- Opisać?

- Zapewniam, że nie jest to z mojej strony jedynie niezdrowa ciekawość.

- Nie, nie... Istotnie, być może pani również była jedynie świadkiem... chociaż mogę tylko mieć nadzieję, że nie... W każdym razie, tak - osobiście widziałem dwa ciała, choć może

ich być więcej, zabitych przez tamtych albo przeze mnie, nie wiem. Jednym, jak już mówiłem, był nieznan mi mężczyzna w podeszłym wieku, powiązany z Królewskim Instytutem Nauki i Badań, jak sądzę, człowiek posiadający znaczną wiedzę. Drugim wojskowy, oficer - o jego zniknięciu pisano w gazetach - pułkownik Arthur Trapping. Sądzę, że został otruty. Jak ten pierwszy... chociaż tak naprawdę to oficer zginął pierwszy... Jednak nie mam pojęcia, w jaki sposób zginął ten z instytutu, chociaż to część tajemnicy błękitnego szkła...

- Tylko oni? - upewniła się panna Temple. - Rozumiem.

- Wie pani o innych? - zapytał doktor Svenson. Postanowiła mu zaufać.

- Jeszcze dwóch - powiedziała. - Dwóch strasznych ludzi.

\*

Przez chwilę nie była w stanie powiedzieć nic więcej. Pod wpływem nagłego impulsu wyjęła z torebki chusteczkę, pośliniła rożek i pochyliła się, żeby zetrzeć krew z twarzy doktora. Wymamrotał słowa przeprosin i wziął od niej chusteczkę, cofnął się i energicznie wytarł sobie twarz. Po chwili odjął chustkę od policzka, złożył i podał pannie Temple. Uśmiechając się ponuro i machinalnie wycierając oczy, dała mu znak, żeby ją zatrzymał.

- Proszę pokazać mi to drugie szkiełko - powiedziała. - Ma je pan w kieszeni.

Svenson zbladł.

- Ja... nie sądzę, aby to był odpowiedni moment...

- Nalegam.

Chciała dowiedzieć się więcej o wewnętrznym życiu Rogera - kogo widywał, jaką umowę zawarł z Crabbem, co naprawdę do niej czuł. Svenson szukał wymówek, czyżby chciał coś w zamian?

- Nie mogę pozwolić... dama... proszę...

Panna Temple oddała mu pierwsze szkiełko.

- Ta wiejska posiadłość należy do wuja Rogera, lorda Tarra.

- Lord Tarr jest jego wujem?

- Oczywiście, że lord Tarr jest jego wujem.

Svenson milczał. Panna Temple znacząco uniosła brwi. Czekwała.

- Przecież lord Tan - został zamordowany - zauważył Sven-son.

Panna Temple wytrzeszczyła oczy.

- Francis Xonck mówił coś o dziedzictwie Bascombe'a - rzekł Svenson. - O tym, że wkrótce będzie wpływowy i potężny. Sądzę, że kiedy Crabbe mówił o „decyzji”...

- Obawiam się, że to niemożliwe - ucięła panna Temple. Jednak mówiąc to, zastanawiała się gorączkowo. Roger nie był dziedzicem swego wuja. Chociaż lord Tarr (zręczliwy, podagryczny starzec) nie miał synów, miał córki posiadające męskie potomstwo - co jasno i z goryczą wyjaśniła jej matka Rogera. Ponadto, jakby podkreślając marginalny status Rogera, podczas ich wspólnej wizyty w Tarr Manor wiecznie chory lord nie chciał widzieć się z Rogerem, a tym bardziej poznać jego narzeczonej z prowincji. A teraz lord Tarr został zamordowany, a Roger jakimś cudem został dziedzicem jego ziem i tytułu? Nie mogła w to uwierzyć, ale jaki inny spadek mógł dostać Roger? Nigdy nie uważała Rogera Bascombe'a za mordercę, a tym bardziej teraz, po niedawnym spotkaniu z kilkoma zbirami, jednak wiedziała, że jest słaby i podatny na wpływy, pomimo szerokich barów i wyniosłej pozy. Nagle przeszedł ją dreszcz. Ludzie, z którymi się zadawał, pokaz na sali operacyjnej, w którym dobrowolnie uczestniczył... Chociaż poprzysięgła sobie, że go zniszczy, mimo głębokiej i absolutnej pogardy do wszystkiego związanego z Bascombe'em, panna Temple z lekkim ukłuciem żalu uświadomiła sobie, że jest zgubiony. Tak jak zastanawiała się na sali operacyjnej w Harschmort, czy Roger w pełni zdaje sobie sprawę z tego, z kim lub czym się związał - i myśląc o tym, żałowała, że nie potrafi ustrzec go przed jego własną ślepotą gdy chodzi o możnych i bogatych - tak teraz panna Temple nagle nabrała pewności, że tak czy inaczej i wbrew jego oczekiwaniom te wydarzenia doprowadzą go do zguby.

\*

Spojrzała na Svensona.

- Niech pan da mi to drugie szkiełko. Albo jesteśmy sojusznikami, albo nie.

- Nawet nie wyjawiała mi pani swego nazwiska.

- Nie?

- Nie - rzekł doktor Svenson.

Panna Temple wydeła usta, a potem uśmiechnęła się wdzięcznie i podała mu rękę, razem ze standardowym wyjaśnieniem.

- Jestem panna Temple, Celestial Temple. Mój ojciec lubił astronomię. Mam szczęście, że nie nadał mi imienia będącego nazwą któregoś z księżyców Jowisza. - Zawahała się, lecz dodała: - Chociaż jeśli mamy być sojusznikami to... no tak... musi mi pan mówić Celeste. Oczywiście, że tak, chociaż ja naprawdę nie mogę nazywać pana... Abelardem? Jest pan starszy, jest pan cudzoziemcem, a poza tym brzmiałoby to zabawnie. - Uśmiechnęła się. - No tak. Bardzo mi miło pana poznać. Jestem pewna, że nigdy nie znałam żadnego oficera macklenburskiej floty ani żadnego kapitana chirurga.

Doktor Svenson niezgrabnie ujął jej dłoń. Pochylił się, żeby ją ucałować. Łagodnie zabrała rękę.

- Nie musi pan tego robić. Nie jesteśmy w Niemczech.

- Oczywiście... Jak pani uważa.

Panna Temple z cichą satysfakcją zauważyła, że doktor Svenson się zarumienił.

Uśmiechnęła się i znacząco spojrzała na kieszeń, w której miał drugie szkiełko. Zauważył to spojrzenie i zawahał się, wyraźnie stropiony. Nie wiedziała, w czym tkwi problem - przecież już widziała pierwsze - i nie zamierzała dać się zbyć po raz drugi.

- Może wolałaby pani obejrzeć je w bardziej kameralnych...

- Nie.

Svenson westchnął, wyjął szkło z kieszeni i z nieukrywanym niepokojem wręczył je pannie Temple.

- Ten mężczyzna to nie Bascombe, ale mój książę, również rozpustnik. Obrazy z St. Royale Hotel. Może zna pani tę kobietę - którą ja znam jako panią Marchmoor - albo... hmm... widzów. W tym szkiełku... hmm... doznania są udziałem kobiety.

Wstał i odwrócił się plecami do panny Temple, demonstracyjnie szukając i zapalając następnego papierosa, nie chcąc patrzeć jej w oczy. Zerknęła na pracowników recepcji, wciąż patrzących z zainteresowaniem, chociaż niemogących usłyszeć ani słowa z ich rozmowy, a potem na Svensona, który dyskretnie usunął się na bok i odwrócił, żeby przyglądać się liściom dużej rośliny doniczkowej. To wszystko niesłychanie pobudziło jej ciekawość. Spojrzała w szkiełko.

Kiedy odłożyła je po kilku minutach, miała rumieńce na twarzy i przyspieszony oddech. Rozejrzała się nerwowo, napotkała leniwe i ciekawskie spojrzenie recepcjonisty i pospiesznie odwróciła głowę. Z ulgą i wdzięcznością zobaczyła, że doktor Svenson nadal stoi plecami do niej, gdyż on z pewnością wiedział, czego doświadczyła, aczkolwiek za pośrednictwem ciała innej kobiety. Wprost nie mogła uwierzyć w to, co się stało - a raczej nie stało, pomimo intymności, niesamowitej sugestywności tych tyleż niepokojących co cudownych wrażeń. Dopiero co - nie mogła w to uwierzyć, w publicznym miejscu, pierwszy raz, bez żadnego ostrzeżenia! Była zawstydzona tym, że tak się upierała, że nie posłuchała delikatnych ostrzeżeń doktora i nie zrezygnowała, w wyniku czego... z jakimś mężczyzną, którego nie знаła i do którego nic nie czuła... chociaż dzieliła uczucia albo odczucia tamtej kobiety... Czy można je rozdzielić? Usiadła wygodniej i poprawiła suknię, z zakłopotaniem czując lekkie, uparte mrowienie między nogami. Gdyby ciotka w tym momencie zapytała ją o cnotę, co miałaby jej odpowiedzieć? Panna Temple spojrzała na szklany prostokąt, który

trzymała w dłoniach, myśląc o ogromnych i wielce niepokojących możliwościach kryjących się w tym wynalazku.

\*

Zakaszłała znacząco. Doktor Svenson natychmiast się odwrócił, umykając wzrokiem, nie chcąc spojrzeć jej w oczy. Podszedł do kanapy. Panna Temple oddała mu szkiełko i uśmiechnęła się wstydliwie.

- Wielkie nieba...

Schowwał szkło do kieszeni, rozbrajająco zmartwiony.

- Naprawdę bardzo mi przykro... Obawiam się, że nie dość jasno...

- Proszę, niech się pan nie przejmuje, to ja powinnam przeprosić... choć, prawdę mówiąc, wolałabym więcej o tym nie rozmawiać.

- Oczywiście, proszę wybaczyć moją niezręczność.

Nic nie powiedziała, gdyż nie mogła odpowiedzieć, nie rozwijając tematu, który - jak przed chwilą sama oznajmiła - chciała już zamknąć. Zapadła krótka cisza. Doktor patrzył na pannę Temple z niepokojem. Nie miał pojęcia, co teraz powiedzieć. Panna Temple westchnęła.

- Ta dama, której... doznania - jak pan to ujął - przekazuje to szkiełko... Czy pan ją zna?

- Nie, nie, ale może... kogoś pani rozpoznała?

- Nie jestem pewna, bo wszyscy nosili maski, ale myślę, że ta dama...

- Pani Marchmoor.

- Tak. Sądzę, że już ją widziałam. Nie znam jej nazwiska ani nawet jej twarzy, ponieważ widziałam ją w masce.

Zobaczyła, że doktor Svenson wytrzeszcza oczy.

- Na przyjęciu zaręczynowym? - I zaraz dodał: - U lorda Vandaariffa!

Panna Temple nie odpowiedziała od razu, zastanawiając się.

- Istotnie, w... hmm... jak nazywa się ten dom?

- Harschmort.

- Zgadza się. Czy on był kiedyś w minie?

- Tak mi mówiono - powiedział Svenson. - To dawna nadmorska twierdza, chyba normańska, którą później przebudowano na...

Panna Temple przypomniała sobie wysokie, grube i groźne mury, i zaryzykowała przypuszczenie:

- Więzienie?

- Właśnie, a jeszcze później lord Vandaariff urządził tam sobie rezydencję, odkupiwszy je od Korony i całkowicie przebudowawszy ogromnym kosztem.

- A poprzedniej nocy...

- Odbywało się tam przyjęcie zaręczynowe księcia i panny Vandaariff! Czy... czy... czy pani tam była?

- Przyznaję, że... tak.

Spoglądał na nią z ogromnym zainteresowaniem, i wiedziała, że sama też bardzo chce dowiedzieć się więcej, szczególnie po usłyszeniu tych sensacyjnych wieści o Rogerze i jego wuju. Ponadto perspektywa wysłuchania relacji z balu maskowego z ust innej osoby była niezwykle kusząca. Jednak panna Temple dostrzegła także zmęczenie w oczach i postawie nowo zyskanego sojusznika, a ponadto - szczególnie widząc, jak nieustannie podejrzliwie zerka w kierunku ulicy - uznała, że daleko rozsądniej będzie znaleźć mu bezpieczne miejsce, w którym mógłby odpocząć i nabrać sił, aby mogli zrealizować plan, kiedy już go obmyślą. Ponadto musiała przyznać, że chce mieć jeszcze trochę czasu na przejrzenie gazet - gdyż teraz lepiej orientowała się, czego ma szukać - tak, by zdając mu pełną relację w minionych zdarzeń, nie sprawiać wrażenie głupiej pensjonarki. Uważała, że wagi jej przeżyć nie powinna umniejszać nieznanymi kilku nazw czy brak paru zupełnie oczywistych, jeśli dobrze się zastanowić, hipotez. Wstała. Z odruchową uprzejmością, trochę przypominającą zachowanie dobrze ułożonego psa, Svenson natychmiast zerwał się na równe nogi.

- Proszę iść za mną - powiedziała, pospiesznie zbierając gazety i książki. - Byłam zawstydzająco niedomyślna. - Ruszyła w kierunku recepcji, trzymając naręcze papierów i oglądając się na doktora Svensona, który kroczył tuż za nią, ze słabym protestem cisnącym mu się na usta. - A może jest pan głodny? - zapytała.

- Nie, nie - wykrztusił. - Ja... przed chwilą... na ulicy... kawę i...

- Doskonale. Panie Spanning? - To do chudego mężczyzny za kontuarem, który natychmiast skupił na niej całą swoją uwagę. - To jest doktor Svenson. Będzie mu potrzebny apartament - nie ma służby - więc sypialnia i salon powinny wystarczyć. Będzie chciał coś zjeść, zapewne jakąś zupę, gdyż nie czuje się najlepiej. Ponadto niech ktoś wyczyści mu płaszcz i buty. Bardzo dziękuję. Proszę doliczyć to do mojego rachunku. - Odwróciła się do doktora i ucięła jego nieskładne protesty. - Nie bądź głupcem, doktorze. Potrzebujesz pomocy i koniec. Jestem pewna, że pan kiedyś pomoże mnie. Ach, panie Spanning, bardzo panu dziękuję. Doktor Svenson nie ma bagażu, więc sam weźmie klucz.

Pan Spanning podał klucz Svensonowi, który wziął go bez słowa. Panna Temple położyła papiery na kontuarze, szybko podpisała rachunek położony przed nią przez

repcjonistę, po czym ponownie je podniosła. Posławszy jeszcze zimny uśmiech Spanningowi - otwarcie wyzywając go, żeby doszukał się w tym czegoś choć odrobinę niewłaściwego lub plamiącego jej reputację - poszła pierwsza na górę krętymi schodami, niewielka, lecz energiczna, a chudy doktor niepewnie podążał za nią. Dotarli na drugie piętro, gdzie panna Temple skręciła w prawo, idąc szerokim i wyłożonym czerwonym chodnikiem korytarzem.

- Panno Temple! - szepnął Svenson. - Proszę, to zbyt wiele... Nie mogę przyjąć takiej szczodrej... Mamy wiele do omówienia, ale znajdę sobie mniej kosztowny pokój w jakimś skromnym pensjonacie...

- To byłoby bardzo kłopotliwe - odparła panna Temple. - Zdecydowanie nie jestem skłonna odwiedzać pana w takim miejscu, a pan - jeśli sędzić po pana ukradkowych spojrzeniach - nie powinien kręcić się po ulicach, dopóki w pełni nie ogarniemy grożącego nam niebezpieczeństwa. Naprawdę, doktorze, bądźmy rozsądni.

Panna Temple była z siebie dumna. Po tylu wydarzeniach, które wydawały się zaaranżowane specjalnie po to, żeby dowieść jej ignorancji i nieudolności, możliwość podjęcia takich zdecydowanych działań była ogromnie satysfakcjonująca. Była również - chociaż знаła go zaledwie kilka minut - zadowolona z tego, że zaakceptowała doktora Svensona jako sprzymierzeńca i pomogła mu w miarę swoich możliwości. Tak jakby im więcej robiła, tym bardziej zapominała o dotkliwej samotności, jaką czuła w Harschmort.

- Ach - powiedziała - pokój dwadzieścia siedem. - Przystanąła obok drzwi, pozwalając doktorowi je otworzyć. Zrobił to i zajrzał do środka, a potem odsunął się, żeby ją przepuścić. Pokręciła głową. - Nie, doktorze. Musi się pan wyspać. Wrócę do mojego apartamentu, a kiedy pan odpocznie, proszę zawiadomić pana Spanninga, który przekaże mi wiadomość, i będziemy mogli porozmawiać. Zapewniam pana, że czekam na to z ogromną niecierpliwością, ale dopóki pan nie odpocznie...

Przerwał jej odgłos otwieranych w głębi korytarza drzwi. Z przyzwyczajenia spojrzała w tamtym kierunku i znów na Sven-sona - a potem, szeroko otwierając oczy ze zdziwienia, ze słowami niedokończonego pożegnania na ustach - znów odwróciła się do gościa, który wyszedł ze swojego pokoju na korytarz. Stał, obserwując ją, patrząc na nią i na Svensona. Panna Temple zauważyła, że doktor także jest wstrząśnięty i pospiesznie sięga do kieszeni szynela. Mężczyzna powoli szedł ku nim korytarzem, a gruby chodnik tłumił jego kroki. Był wysoki, miał czarne włosy i czerwony płaszcz, sięgający prawie do podłogi. Na nosie zaś miał te same okrągłe okulary, które widziała w pociągu. Poruszał się z kocią zwinnością atlety, spokojnie i groźnie jednocześnie. Wiedziała, że powinna sięgnąć do torebki po

rewolwer, lecz zamiast tego położyła dłoń na ramieniu doktora, uspokajając go. Mężczyzna w czerwieni stał zaledwie metr lub dwa od nich. Patrzył na nią - nie mogła dostrzec jego oczu - potem spojrzął na doktora, a później na otwarte drzwi. Szepnął konspiracyjnie:

- Żadnego rozlewu krwi. Żadnych książąt. Możemy zamówić herbatę?

\*

Mężczyzna w czerwieni zamknął za sobą drzwi, nie odrywając nieprzeniknionego spojrzenia skrytych za ciemnymi szklami oczu od panny Temple i doktora, stojących w małym salonie. Oni oboje zdążyli już chwycić za broń. Przez długą chwilę wszyscy troje patrzyli na siebie w milczeniu. W końcu panna Temple powiedziała do doktora Svensona:

- Rozumiem, że zna pan tego człowieka?

- Nie rozmawialiśmy... może należałoby powiedzieć, że wpadliśmy na siebie. Nazywa się... proszę mnie poprawić, jeśli się mylę... Chang.

Mężczyzna w czerwieni potwierdził to skinieniem głowy.

- Nie znam pańskiego nazwiska, ale dama... miło mi w końcu spotkać słynną Isobel Hastings.

Panna Temple nie odpowiedziała. Usłyszała, jak stojący za nią Svenson zakrztusił się. Odsunął się, wytrzeszczając oczy.

- Isobel Hastings? Przecież... przecież pani chodziła z Bascombe'em!

- Owszem - powiedziała panna Temple.

- Jak... jak to możliwe, że pani nie poznali? Jestem pewien, że on też pani szuka!

- Ona wygląda zupełnie inaczej w... dziennym świetle - zachichotał Chang.

Svenson gapił się na nią, na sińce, na ślad pozostawiony przez kulę.

- Jestem głupcem... - szepnął. - Jednak skąd... proszę wybaczyć...

- On był w pociągu - powiedziała do Svensona, wpatrując się w Changa. - Kiedy wracałam z Harschmort. Nie rozmawialiśmy.

- Nie? - spytał Chang. Spojrzął na Svensona. - A my nie rozmawialiśmy? Pan i ja? Myślę, że jednak tak. Mężczyzna taki jak ja. Kobieta cała we krwi... powiedziała panu o tym? Człowiekowi, który z pistoletem w ręku wchodzi w tłum wrogów. Sądzę, że można rzec, iż... rozumieliśmy się bez słów.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Panna Temple zajęła miejsce na małej sofie. Spojrzała na doktora i wskazała mu fotel. Zawahał się, ale usiadł. Oboje spojrzeli na Changa, który podszedł do wolnego fotela naprzeciwko ich obojga. Dopiero wtedy panna Temple zauważyła błysk metalu w jego dłoni - ostrze brzytwy. Patrząc, jak się porusza, nie miała wątpliwości, że potrafiłby zrobić z niej znacznie lepszy użytek niż oni oboje ze swojej broni

palnej - a jeśli tak, to należało rozegrać to zupełnie inaczej. Kaszlnęła znacząco i demonstracyjnie wyjęła rękę ze swojej zielonej torebki. Potem zdjęła torebkę z podółka i położyła na sofie. Chwilę później Chang błyskawicznie schował brzytwę do kieszeni. Po kilku następnych sekundach Svenson wyjął rękę z kieszeni płaszcza.

- Mówił pan poważnie o herbacie? - spytała panna Temple. - Bardzo chętnie bym się napiła. Sprawy wielkiej wagi zawsze najlepiej omawiać przy filiżance herbaty. Doktorze, pan siedzi najbliżej, byłby pan tak uprzejmy i zadzwonił na obsługę?

\*

Nie rozmawiali przez ten krótki czas, jaki upłynął od zamówienia i dostarczenia herbaty, ani podczas napełniania filiżanek, ograniczając się do krótkich prośb o cytrynę, mleko lub cukier. Panna Temple upiła łyk, jedną ręką przytrzymując spodek od dołu. Herbata była doskonała. Pokrzepiona nią panna Temple zdecydowała, że ktoś powinien przejąć inicjatywę. Doktor wyglądał tak, jakby zaraz miał zasnąć, a Chang uśmiechał się zdecydowanie drapieżnie.

- Panie Chang, jest pan bardzo małowówny, i jestem pewna, że się nie pomylę, mówiąc, że wszyscy mamy uzasadnione powody do podejrzliwości. A jednak jest pan tu. Powiem panu, że doktor Svenson i ja poznaliśmy się nie dalej niż godzinę temu w wyniku przypadkowego spotkania w holu tego hotelu, takiego samego jak spotkanie z panem na korytarzu. Widzę, że jest pan niebezpiecznym człowiekiem - nie jest to z mojej strony komplement ani krytyka, to po prostu rzuca się w oczy - tak więc należy założyć, że gdyby między nami doszło do jakichś głębokich nieporozumień, ich rezultatem byłaby... no cóż, zapewne śmierć kogoś z nas. Zgadza się pan z tym?

Chang skinął głową z uśmiechem.

- Doskonale. Wyjaśniwszy to sobie, nie widzę powodu, abyśmy mieli coś ukrywać. To, co powiemy, nie poruszy zmarłych, a jeśli mamy połączyć nasze siły, to dzieląc się ze sobą wiedzą, staniemy się silniejsi. Tak?

Chang ponownie kiwnął głową i upił łyk herbaty.

- Jest pan bardzo zgodny. Tak więc proponuję, ponieważ już rozmawiałam z doktorem Svensonem... To kapitan chirurg Abelard Svenson z macklenburskiej floty.

Obaj panowie wymienili kurtuazyjne ukłony.

- Krótko omówię mój udział w tej aferze. Ponieważ jeszcze nie doszliśmy do tego z doktorem, mam nadzieję, że dla niego również będzie to interesujące. Doktor nie spał przez całą noc, będąc obiektem zacieklego pościgu i utracił swojego księcia, jak wnikliwie

zauważył pan na korytarzu. - Uśmiechnęła się. - Jeśli doktor Svenson jest w stanie kontynuować...

- Jak najbardziej - mruknął Svenson. - Herbata postawiła mnie na nogi.

- Panie Chang?

- Nie chcę być impertynentem - odrzekł Svenson - ale podsłuchując tych ludzi, usłyszałem, że nazywali pana Kardynałem.

- Niektórzy tak mnie nazywają. Z powodu płaszcza.

- Czy pan wie - powiedziała panna Temple - że doktor Svenson rozpoznał mnie po kolorze moich butów? Zdaje się, że mamy wiele wspólnego.

Chang uśmiechnął się do niej i przechylił głowę, próbując odgadnąć, czy mówi poważnie. Panna Temple głośno zachichotała, zadowolona, że dzięki temu zapomniał o swojej brzytwie. Upiła kolejny łyk herbaty i zaczęła swoją opowieść:

- Nie nazywam się Isobel Hastings, ale Celestial Temple. Jednak nikt mnie tak nie nazywa. Wszyscy nazywają mnie panną Temple albo - przy bardzo rzadkich okazjach - Celeste. W tym momencie i w tym mieście, po spotkaniu z doktorem, któremu na to zezwoliłam, liczba mających ten przywilej osób urosła do dwóch. Drugą osobą jest moja ciotka. Wkrótce po przybyciu tutaj zza morza zaręczyłam się z Rogerem Bascombe'em, młodszym sekretarzem Ministerstwa Spraw Zagranicznych, pracującym dla Haralda Crabbego. - Wyczuła zdumienie Svensona na tę wieść, ale nie patrzyła na niego, gdyż znacznie łatwiej było jej mówić o tak delikatnych i bolesnych sprawach, zwracając się do kogoś zupełnie nieznanego - a tym bardziej do Changa, którego oczu nie widziała za szklami okularów. - Kilka dni temu, po około tygodniu nieobecności z różnych, lecz najzupełniej wiarygodnych powodów, Roger przysłał mi list, w którym zerwał zaręczyny. Chcę jasno powiedzieć wam obu, że nie żywię żadnych głębszych uczuć - oprócz wzgardy - do Rogera Bascombe'a. Jednak ten szorstki i okrutny sposób zerwania skłonił mnie do szukania prawdziwej przyczyny tego postępu, gdyż on nie udzielił mi żadnych wyjaśnień. Dwa dni temu śledziłam go aż do Harschmort. W przebraniu zobaczyłam wiele rzeczy i osób, których nie chciałam widzieć. Zostałam schwyta, przesłuchana i - będę szczerą - oddana dwóm mężczyznom, którzy mieli mnie zniewolić, a potem zabić. Zamiast tego to ja zabiłam ich - stąd, doktorze, moje pytanie o ciała. W powrotnej drodze spotkałam Kardynała Changa, z którym wymieniliśmy ukłony. W trakcie przesłuchania podałam nazwisko Isobel Hastings... które najwidoczniej do mnie przywarło.

Mężczyźni milczeli. Panna Temple dołała herbaty najpierw sobie, a potem im, gdy obaj podsunęli jej filiżanki.

- Jestem pewna, że macie wiele pytań, poczynając od tego, co i kogo widziałam, ale może byłoby lepiej, gdybyśmy rozszerzyli krąg wyznań? Doktorze?

Svenson kiwnął głową, opróżnił filiżankę i nachylił się, żeby ponownie ją napełnić. Znow upił łyk, wypuścił parę z ust i oparł się wygodnie.

- Czy któreś z was miałyby coś przeciwko temu, gdybym zapalił? - Absolutnie nie - powiedziała panna Temple. - Jestem pewna, że to rozjaśni panu myśli.

- Jestem ogromnie zobowiązany - rzekł Svenson, wyjął papierosa i zapalił.

Wydmuchnął dym. Panna Temple przyłapała się na tym, że patrząc na uwydatniające się kości jego szczęki i obciągniętą skórą czaszkę, zastanawia się, czy ten człowiek w ogóle coś jada.

- Powiem krótko. Jestem członkiem dyplomatycznej świty następcy tronu mojego kraju, księcia Karla-Horsta von Maasmärcka, który ma poślubić Lydię Vandaariff. To małżeństwo o międzynarodowym znaczeniu i włączono mnie do świty jedynie pozornie w charakterze lekarza. Moim głównym zadaniem jest ochrona księcia - przed jego własną głupotą i tych z jego otoczenia, którzy chcieliby ją wykorzystać, a których nigdy nie brakuje. Sądzę, że zarówno poseł kierujący misją, jak i attache wojskowy zdradzili swój kraj i oddali księcia szajce przestępców realizujących jakieś podejrzane cele. Raz zdołałem uwolnić księcia z ich rąk, po tym, jak został poddany, może dobrowolnie, czemuś, co nazywają procesem, pozostawiającym być może tymczasowe ślady na twarzy, rodzaj oparzeń...

Panna Temple wyprostowała się, chcąc coś powiedzieć, i zobaczyła, że Chang robi to samo. Svenson podniósł rękę.

- Jestem pewien, że wszyscy je widzieliśmy. Ja po raz pierwszy na balu w Harschmort, kiedy przez chwilę widziałem ciało Arthura Trappinga, ale od tej pory jeszcze kilkakrotnie - u księcia, u kobiety zwanej pani Marchmoor...

- Margaret Hooke - wtrącił Chang.

- Przepraszam?

- Naprawdę nazywa się Margaret Hooke. To dziwka wysokiej klasy.

- Ach - sapnął doktor Svenson zakłopotany tym, że takie słowo padło w obecności panny Temple. Chociaż rozczuliła ją ta troska, uznała ją za męczącą. Jeśli ktoś wdaje się w takie przygody i prowadzi śledztwo, taka delikatność jest śmieszna. Uśmiechnęła się do Changa.

- Jeszcze do niej wrócimy, gdyż pojawi się ponownie w naszych relacjach - powiedziała mu. - Czyż nie czynimy postępów? Doktorze, proszę mówić dalej.

- Mówię, że te ślady mogą być chwilowe - ciągnął Svenson - ponieważ właśnie tej nocy podsłuchałem, jak Francis Xonck wypytywał Rogera Bascombe'a o jego doznania podczas procesu, a sam widziałem twarz Bascombe'a, kiedy byłem w instytucie - mówię trochę nie po kolei - i nie miał takich śladów.

Panna Temple poczuła ukłucie żalu.

- Przeszedł go, zanim przysłał mi list - powiedziała. - Wtedy, kiedy podobno pracował z wiceministrem... tak, to musiało być wtedy.

- Oczywiście - rzekł łagodnie Chang.

- Oczywiście - powtórzyła panna Temple.

\*

- Harald Crabbe - pokiwał głową Svenson. - On tkwi blisko środka tej afery, ale są też inni: klika z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, rodzina Xonck, hrabia d'Orkancz, hrabina Lacquer-Sforza, a może nawet Robert Vandaariff. I w jakiś sposób mój ojczysty Macklenburg jest częścią ich planu. Widząc obojętność moich kolegów, sam uratowałem księcia z ich rąk, zanim poddali go tym dziwacznym eksperymentom w instytucie. To tam spotkałem Kardynała Changą. W naszej misji byłem zmuszony opatrzyć kilku naszych żołnierzy, którzy również, jak sądzę, go spotkali... - Ponownie uniósł dłoń. - Nie osądzam pana, ponieważ wkrótce potem próbowali zabić mnie. W międzyczasie księżę został uprowadzony ze swojego pokoju, nie wiem jak - wiem tylko, że przez dach. Próbowałem go odszukać. W domu Haraldą Crabbego podsłuchałem filozoficzną dyskusję Francisą Xoncka i Rogera Bascombe'a nad dziwnie zdeformowanym ciałem pracownika instytucie, któremu cała krew w żyłach zamieniła się w błękitne szkło. Dołączył do nich attache wojskowy mojej misji, major Blach, który należy do spisku, jednak jedyna nowa informacja, jaką tam zdobyłem, wynikała z wypowiedzi Blacha, który zakładał, że ich klika przejęła księcia, na co Xonck zapewnił go, że nie. W każdym razie uciekłem i próbowałem znaleźć madame Lacquer-Sforzę, jednak zostałem zatrzymany przez ludzi hrabiego d'Orkancza i zmuszony do konsultacji przy łóżku innej ofiary ich nieudanego eksperymentu, a następnie - to długa opowieść - przekazany w ręce zabójców, mających posłać mnie na dno rzeki razem ze zwłokami naukowca i Arthura Trappinga. Uciekłem. Ponownie próbowałem znaleźć madame Lacquer-Sforzę, jednak zobaczyłem ją z Xonckiem i d'Orkanczem. Ona jest jedną z nich. W trakcie ucieczki ujrzałem przez okno pannę Temple i rozpoznałem ją z jednego ze szkiełek... Jeszcze nie wspomniałem o szkiełkach. - Niezgrabnie wyjął szkła i położył je na stoliku obok tacy z herbatą. - Jedno pochodzi z pokoju księcia, drugie znalazłem przy Trappingu. Jak stwierdziła panna Temple, są cennym, choć zagadkowym dowodem.

- Nie powiedział pan, gdzie słyszał pan nazwisko Isobel Hastings - zauważył Chang.

- Nie? Przepraszam, od madame Lacquer-Sforzy. Prosiła, żebym pomógł jej znaleźć niejaką Isobel Hastings w zamian za informację, gdzie jest książę - w instytucie. To było dziwne, gdyż wyjawiała mi, gdzie on jest, co pozwoliło mi zabrać go wbrew woli Crabbego i d'Orkancza. Właśnie dlatego próbowałem znów ją odszukać, bo choć ktoś dziś wieczorem uprowadził księcia przez dach naszej misji, przynajmniej niektórzy ze spiskowców - Xonck i Crabbe - wydawali się nie znać miejsca jego pobytu. Miałem nadzieję, że ona je zna.

Panna Temple poczuła dziwne mrowienie karku.

- Może pomogłoby nam, doktorze, gdyby opisał pan tę kobietę.

- Oczywiście. Wysoka, o czarnych włosach okalających twarz i zebranych z tyłu, jasna skóra, kosztowne ubranie, eleganckie aż do przesady, wytworna, inteligentna, złośliwa, niebezpieczna i powiedziałbym, że naprawdę niezwykła. Podążyła za madame Lacquer-Sforzę, a ktoś z personelu hotelowego nazwał ją hrabiną...

- W hotelu St. Royale? - zapytał Chang.

- Właśnie.

- Pan ją zna? - zdziwiła się panna Temple.

- Wyłącznie jako „Rosamonde”... Wynajęła mnie... ponieważ właśnie to robią ludzie, wynajmują mnie do pewnych spraw. Ona wynajęła mnie, żebym znalazł Isobel Hastings.

Panna Temple milczała.

- Zakładam, że pani zna tę kobietę - rzekł Chang. Panna Temple skinęła głową, lekko wytrącona z równowagi, gdyż choćby nie wiadomo jak gorąco temu zaprzeczała, słowa doktora na nowo przywołały obraz tej kobiety i lęk, jaki budziła.

- Nie wiem, jak się nazywa - powiedziała. - Spotkałam ją w Harschmort. Była w masce. Z początku sądziła, że przybyłam tam z panią Marchmoor i innymi... dziwkami, jak pan powiedział, a potem przesłuchiwała mnie... i to ona posłała mnie na śmierć.

Ostatnie słowa powiedziała żałośnie cichym głosem. Dwaj jej towarzysze milczeli.

\*

- Co jest zabawne, naprawdę zabawne - rzekł Chang - że chociaż nas ścigają, nie jesteśmy tymi, za których nas uważają. Mój udział w tej historii jest prosty. Jestem człowiekiem do wynajęcia. Ja również śledziłem kogoś aż do Harschmort - człowieka, którego pan widział martwego, doktorze. Pułkownika Arthura Trappinga. Zatrudniono mnie, żebym go zabił.

Upił łyk herbaty i znad brzegu filiżanki obserwował ich reakcję. Panna Temple usilnie starała się nie kiwnąć głową z takim samym uprzejmym zainteresowaniem, z jakim

skwitowałyby czyjąś wzmiankę o skrywanej namiętności do uprawy begonii. Zerknęła na Svensona, który siedział z kamienną twarzą, jakby ta wiadomość jedynie potwierdzała dobrze znany mu fakt. Chang się uśmiechnął. Panna Temple miała wrażenie, że z lekką goryczą.

- Nie zabiłem go. Ktoś inny to zrobił, chociaż widziałem ślady, o których pan wspomniał, doktorze. Trapping był narzędziem w rękach rodziny Xoncków. Nie rozumiem, dlaczego ktoś go zabił.

- Może ich zdradził? - podsunął Svenson. - Francis Xonck wrzucił jego zwłoki do rzeki.

- Czy to oznacza, że Xonck go zabił, czy że nie chciał, aby znaleziono jego ciało, bo nie mógł pozwolić, żeby odkryto ślady na twarzy? A może z innego powodu? Mówił pan o tej kobiecie. Dlaczego miałaby zdradzić innych i pozwolić panu uratować księcia? Nie wiem.

- Zdołałem przeprowadzić krótkie oględziny ciała pułkownika i sądzę, że został otruty. Wstrzyknięto mu coś w palec.

- Czy mógł to być wypadek? - zapytał Chang.

- To mogło być cokolwiek - odparł doktor. - Miałem zostać zamordowany i nie byłem w stanie trzeźwo myśleć.

- Mogę spytać, kto pana wynajął, żeby go pan zabił? - wtrąciła się panna Temple.

Chang zastanawiał się chwilę.

- Najwidoczniej to tajemnica zawodowa - stwierdziła panna Temple. - Jeśli jednak nie ma pan do tej osoby absolutnego zaufania, to może...

- Adiutant Trappinga, pułkownik Aspiche. Svenson się roześmiał.

Spotkałem go wczoraj w towarzystwie madame Lacquer-Sforzy w hotelu St. Royale. Pod koniec wizyty pani Marchmoor... - Spojrzał zmieszany na pannę Temple. - Powiedzmy, że on należy do nich.

Chang pokiwał głową i westchnął.

- Wszystko to było bardzo dziwne. Nazajutrz nie było ciała, żadnych wiadomości, a Aspiche był beużyteczny i rozkojarzony, ponieważ - co pan potwierdza - właśnie został uwiedziony. Krótco potem ja także spotkałem się z próbą uwiedzenia przez tę kobietę zatrudniającą mnie, żeby znaleźć Isobel Hastings - prostytutkę, która zamordowała jej drogiego przyjaciela.

Panna Temple prychnęła. Popatrzyli na nią. Machnęła ręką, dając Changowi znak, żeby mówił dalej.

- Z takim opisem przeszukałem kilka burdeli, z oczywistych teraz powodów nie znajdując Isobel Hastings, ale niebawem odkrywając, że dwie inne osoby - pani Marchmoor i major Black...

- Ścisłe mówiąc - Blach - poprawił go Svenson, podając prawidłową wymowę.

- Dobrze, Blach - mruknął Chang. - Oboje też jej szukali, a ponadto major szukał również mnie. Widziano mnie w Harschmort, a jestem osobą dobrze niektórym znaną. Kiedy wróciłem do mojego miejsca zamieszkania, jeden z ludzi majora próbował mnie zabić. Wycieczka do trzeciego burdelu naprowadziła mnie na ślad grupki ludzi: pańskiego księcia, Bascombe'a, Francisxa Xoncka, jakiegoś postawnego mężczyzny w futrze...

- To hrabia d'Orkancz - rzekł Svenson.

- O! - wykrzyknęła panna Temple. - Ja też go widziałam!

- Zabrał Margaret Hooke z tego samego burdelu, a teraz wziął następną kobietę. Śledziłem ich do instytutu, zobaczyłem, jak pan wchodzi, doktorze, i poszedłem za panem. Przeprowadzają tam dziwne eksperymenty z ogromnymi ilościami ciepła i błękitnym szkłem... - Chang podniósł z tacy jedno ze szkiełek. - To takie samo szkło, ale zamiast takich małych kawałków jak te - z wielkim trudem i za pomocą skomplikowanej maszynerii - stworzyli tam całą niebieską księgę. Niestety, tworzący ją człowiek przestraszył się na mój widok i wypuścił ją z rąk. Jestem pewien, że to był ten człowiek, którego widział pan na kuchennym stole wiceministra. Korzystając z wywołanego tym zamieszania, uciekłem, tylko po to, by wpaść w ręce majora i jego ludzi. Im także uciekłem i dostałem się tutaj... całkiem przypadkowo.

Pochylił się i wziął dzbanek, po czym nalał sobie następną filiżankę herbaty. Panna Temple trzymała świeżo napełnioną filiżankę, grzejąc sobie dłonie.

- Co miał pan na myśli, mówiąc, że nie jesteśmy tymi, za których biorą nas wrogowie?  
- zapytała Changa.

- Chciałem przez to powiedzieć, że uważają nas za agentów jakiejś większej siły - szajki przeciwstawiającej się ich dążeniom, o której istnieniu dotychczas nie wiedzieli. Są tak aroganccy, że uważają, iż tylko taka klika - potężna unia podstępnych zbrodniarzy, jak oni - jest w stanie im zagrozić. Myśl, że zostali zaatakowani przez trzy samotnie i indywidualnie działające osoby, którymi gardzą, to ostatnia rzecz, w jaką mogliby uwierzyć.

- Tylko dlatego, że to im nie pochlebia - prychnęła panna Temple.

\*

Doktor Svenson był w drugim pokoju, spał. Jego płaszcz i buty zabrano do czyszczenia. Panna Temple i Chang przez chwilę rozmawiali o swoich doświadczeniach w

hotelu i zbiegu okoliczności, który połączył ich troje, ale rozmowa wkrótce się urwała. Panna Temple przyglądała się siedzącemu naprzeciw niej mężczyźnie, próbując oswoić się z myślą, że jest przestępcą, płatnym zabójcą. Widziała pewien rodzaj zwierzęcej elegancji - a jeśli nie elegancji, to efektywności - oraz zuchwalstwo połączone z opanowaniem. Wiedziała, że mówi to o doświadczeniu, które uznała za pociągające - jako to, czego jej brakowało - chociaż znajdowała tego człowieka jednocześnie atrakcyjnym i niepokojącym. Miał wyraziste rysy twarzy, a głos beznamiętny i chropowaty, w niemal wyzywający sposób. Była bardzo ciekawa, co o niej myśli, co pomyślał na jej widok w pociągu i co sądzi teraz, widząc ją w jej zwykłym otoczeniu - ale nie mogła go o to zapytać. Czuła, że w pewien sposób nią gardzi, pogardza tym pokojem hotelowym, herbatą, całym jej życiem - bo była pewna, że gdyby sama nie należała do kasty uprzywilejowanych, nienawidziłaby jej przez całe swoje życie.

Kardynał Chang obserwował ją ze swojego fotela. Uśmiechnęła się do niego i sięgnęła do zielonej torebki.

- Może pomoże mi pan, gdyż dopiero próbuję się z tym oswoić... - Wyjęła rewolwer i położyła go na stole między nimi. - Posłałam po zapas amunicji, ale nie bardzo znam się na broni. Jeśli coś pan o tym wie, byłabym wdzięczna za każdą dobrą radę.

Chang pochylił się, wziął do ręki rewolwer, odciągnął kurek i powoli go opuścił.

- Nie lubię broni palnej - powiedział - ale wiem o niej dość, aby załadować, wystrzelić i wyczyścić po użyciu. - Z zapalem pokiwała głową. Wzruszył ramionami. - Będzie nam potrzebna jakaś szmatka.

Prze następne pół godziny pokazywał jej, jak ładować, celować, rozkładać, czyścić i składać z powrotem broń. Kiedy zrobiła to sama, ku swej głębokiej satysfakcji, położyła rewolwer na stole i spojrzała na Changa, w końcu ośmielając się zadać pytanie, które dręczyło ją od początku.

- A co z zabijaniem?

Chang nie odpowiedział od razu.

- Będę wdzięczna za radę - nalegała.

- Myślałem, że już umie pani zabijać - zauważył Chang. Nie uśmiechnął się przy tym, co doceniła.

- Nie tym - odparła, wskazując rewolwer. Zrozumiała, że on jeszcze nie zdecydował, czy traktować ją poważnie. Czekala, mierząc go poważnym spojrzeniem. Chang odpowiedział, przyglądając się jej z uwagą:

- Trzeba podejść najbliżej jak się da, przyłożyć lufę do ciała i nie strzelać, jeśli nie zamierza się zabić.

Panna Temple skinęła głową.

- Zachować spokój. Oddychać. Wtedy łatwiej się zabija i łatwiej umiera, jeśli do tego dojdzie.

Zauważyła, że się uśmiecha. Zajrzała w czarne szkła.

- Pan żyje z taką możliwością, nieprawdaż?

- Jak my wszyscy, czyż nie?

Zaczerpnęła tchu, gdyż wszystko to działo się zbyt szybko. Schowała rewolwer do torebki. Chang patrzył, jak to robi.

- Jeśli nie zabiła ich pani tym, to jak? Dwóch mężczyzn. Odkryła, że trudno jej mu to wyjaśnić.

- Ja... no cóż, jeden z nich... próbował... było ciemno i...

- Nie musi mi pani tego opowiadać - przerwał jej cicho. Znow nabrała powietrza i powoli je wypuściła.

Dopiero po chwili była w stanie zapytać Changa, jakie miał plany na ten dzień, zanim natknął się na nich w korytarzu. Pokazała mu gazety oraz mapy i wyjaśniła swoje zamiary, a potem zauważyła, że powinna wrócić do swojego apartamentu, choćby po to, by rozproszyc obawy ciotki. Przypomniała sobie również o dwóch szkiełkach, które doktor Svenson zostawił na stole.

- Naprawdę powinien pan do nich zajrzeć, szczególnie że sam pan widział to ich dziwne szklane dzieło. To doświadczenie nieporównywalne z żadnym innym - zarówno niesamowite, jak diaboliczne. Uzna mnie pan za głupią, ale mówię panu, że wiem o tych szkiełkach dość, aby widzieć w nich inny rodzaj opium, księga zaś, którą pan opisał... cała księga - no cóż, nie potrafię sobie wyobrazić wspanialszego - lub w istocie straszliwszego - więzienia.

Chang pochylił się, wziął jedno ze szkiełek i obrócił je w palcach.

- Jedno z nich pokazuje doznania... nie potrafię tego wyjaśnić. Rogera Bascombe'a. Jestem w nich. Niech mi pan wierzy, to niezwykle niepokojące. Druga zawiera doznania pani Marchmoor - pańskiej Margaret Hooke - i jest jeszcze bardziej niepokojąca. Nie powiem nic więcej, tylko tyle, że lepiej oglądać je w samotności. Oczywiście, aby wejrzeć w któreś z nich, będzie pan musiał zdjąć okulary.

Chang spojrział na nią. Zdjął okulary, złożył i schował je do kieszeni. Nie zareagowała. Widywała podobne twarze na swojej plantacji, chociaż nigdy po drugiej stronie stołu. Uśmiechnęła się do niego uprzejmie, a on ruchem głowy wskazał szkło, które trzymał w dłoni.

- Naprawdę mają cudowny odcień błękitu.

\*

Panna Temple zostawiła Kardynała Changa, polecając mu zamówić wszystko, co tylko zechce zjeść doktor po przebudzeniu, a ona podpisze rachunek po powrocie. Wróciła do swojego apartamentu, niosąc całe naręczę gazet i książek, więc trzykrotnie kopnęła w drzwi, zamiast przekładać papiery z ręki do ręki, żeby poszukać klucza. Po chwili usłyszała szuranie nóg i drzwi otworzyła Martha. Panna Temple weszła i rzuciła stos papierów na stół. Ciotka siedziała tam, gdzie ją zostawiła, popijając herbatę. Zanim zdążyła ją skarcić, panna Temple powiedziała:

- Muszę zadać ci kilka pytań, ciociu Agatho, i żądam szczerych odpowiedzi. Może będziesz mogła mi pomóc. Byłabym bardzo wdzięczna.

Przy słowie „wdzięczna” zmierzyła ciotkę stanowczym spojrzeniem, a potem odwróciła się do Marthy, aby zapytać o Marie. Martha wskazała pokój toaletowy. Panna Temple weszła tam i zobaczyła Marie pospiesznie składającą i układającą jedwabną bieliznę na desce do prasowania. Na widok wchodzącej panny Temple cofnęła się i w milczeniu czekała, podczas gdy jej pani oglądała nabytą garderobę.

Panna Temple była zadowolona tak bardzo, że obdarzyła Marie wdzięcznym uśmiechem. Wtedy Marie wskazała pudełko z nabojami stojące przy lustrze, po czym oddała pannie Temple rachunki i resztę pieniędzy. Panna Temple pospiesznie sprawdziła sumę i - zadowolona - dała Marie dwie monety napiwku za jej starania. Marie dygnęła, zaskoczona nagrodą, a potem jeszcze raz, gdy panna Temple kazała jej opuścić pokój. Gdy za służącą zamknęły się drzwi, panna Temple ponownie uśmiechnęła się i zajęła nowymi nabytkami. Jedwab był przyjemny w dotyku. Z zadowoleniem zauważyła, że Marie była na tyle bystra, by wybrać zielony komplet pasujący do jej sukni i bucików. Zobaczyła w lustrze swoją rozpromienioną twarz, zarumieniła się i odwróciła głowę. Wzięła się w garść, odkaslnęła i zawołała pokojówki.

Kiedy dwie młode służące zdjęły z niej suknię i gorset, a potem pomogły włożyć bieliznę z zielonego jedwabiu i wierzchnią odzież, panna Temple - czując podniecające mrowienie na całym ciele - zaniósła pudło z nabojami do salonu i postawiła na stole. Z udawaną nonszalancją, przypominając sobie kolejno instrukcje Changa, nawiązała uprzejmą konwersację z ciotką, a jednocześnie zakręciła bębenkiem, otworzyła go z trzaskiem i zręcznie załadowała naboje do pustych komór.

- Czytałam gazety, ciociu - zaczęła.

- Zdaje się, że masz ich sporo.

- I wiesz, czego się dowiedziałam? Znalazłam niezwykle zaskakującą informację o wuju Rogera Bascombe'a, lordzie Tarr.

Ciotka Agatha wydeła usta.

- Nie powinnaś przejmować się takimi...

- Widziałaś tę informację?

- Być może.

- Może?

- Tylu rzeczy nie mogę spamiętać, moja droga...

- Podobno został zamordowany, ciociu.

Ciotka nie odpowiedziała od razu. A kiedy to zrobiła, powiedziała tylko:

- Ach.

- Ach - powtórzyła panna Temple.

- Był bardzo podagryczny - zauważyła jej ciotka - więc należało się tego spodziewać.

O ile mi wiadomo, rozszarpały go wilki.

- Najwidoczniej nie. Najwyraźniej rany miały upozorować atak wilków.

- Ludzie zrobią wszystko - mruknęła ciotka Agatha. Sięgnęła po dzbanek, żeby nalać sobie następną filiżankę herbaty.

Panna Temple zatrzasnęła bębenek i znów nim zakręciła. Słyszając ten dźwięk, ciotka zastygła i szeroko otworzyła oczy. Panna Temple nachyliła się do niej i powiedziała tak stanowczo i spokojnie, jak umiała:

- Droga ciociu, musisz się pogodzić z tym, że potrzebne ci pieniądze są w moim posiadaniu, a więc, pomimo dzielącej nas różnicy wieku, to ja jestem panią. Takie są fakty. Denerwując mnie, nie poprawisz swojej sytuacji. Wprost przeciwnie, ona się poprawi, jeśli okażesz chęć współdziałania. Nie chcę być ci wrogiem, ale musisz zrozumieć, że twoje dotychczasowe przekonanie, że wiesz, co dla mnie najlepsze - małżeństwo z Rogerem - teraz jest błędne.

- Gdybyś nie była taka trudna... - wypaliła ciotka, natychmiast gryząc się w język.

Panna Temple spojrzała na nią z niepohamowaną wściekłością. Ciotka Agatha cofnęła się, jakby zobaczyła węża.

- Przepraszam, moja droga - szepnęła przerażona. - Ja tylko...

- Nie obchodzi mnie to. Nie obchodzi! Nie pytam o lorda Tarra, ponieważ mnie on obchodzi. Pytam, ponieważ - choć może o tym nie wiesz - zamordowano również kilka innych osób, a Roger Bascombe siedzi w tym po uszy i teraz ma zostać lordem Tarrem! Nie

wiem, w jaki sposób Roger Bascombe stał się dziedzicem wuja. Jestem jednak pewna, że ty to wiesz i natychmiast mi powiesz.

\*

Panna Temple powoli szła korytarzem w kierunku klatki schodowej, niosąc na przegubie torebkę z ciężkim rewolwerem i garścią naboju. Prychnęła, rozszłoszczona, podrzucając głową - trudna - i przekleła ciotkę, tę krótkowzroczną starą idiotkę. Ta kobieta potrafiła myśleć tylko o swojej emeryturze i własności oraz licznych przyjęciach, na jakie mogłaby być zapraszana jako krewna obiecującego urzędnika ministerstwa, jakim był Roger. Panna Temple zastanawiała się, dlaczego właściwie ją to dziwi - ciotka знаła ją zaledwie od trzech miesięcy, a Bascombe'ów długie lata. Jak długo musiała planować i jak dotkliwe było jej rozczarowanie, uśmiechnęła się szyderczo panna Temple. Jednak to, że ciotka ją obwinięła za zerwanie, dotknęło ją do żywego.

Przyparta do muru ciotka odpowiedziała na pytania panny Temple, lecz jej odpowiedzi jedynie pogłębiły mroki tajemnicy. Kuzynki Rogera - otyła Pamela i młodsza, lecz równie spasiona Berenice - obie miały małych synów, posiadających większe niż Roger prawa do tytułu i ziem lorda Tarra. Jednak obie podpisały dokument, w którym zrzekały się praw swoich dzieci, co otwierało Rogerowi drogę do dziedzictwa i szlacheckiego tytułu. Panna Temple nie pojmowała, jak Roger tego dokonał, gdyż nie był zbyt bogaty, a znała obie kobiety na tyle dobrze, by wiedzieć, że żadna nie zadowoliliby się skromną sumką. Było oczywiste, że gotówkę dostarczył ktoś inny - Crabbe lub jego wspólnicy. Dlaczego jednak Roger był taki ważny i co jego awans miał wspólnego z tymi wszystkimi intrygami i morderstwami, na które się natknęła? Ponadto - chociaż mówiła sobie, że to czysto akademickie pytanie - przejmując dziedzictwo należne swoim kuzynkom, z czego Roger rezygnował i w jakim celu?

W trakcie krótkiej rozmowy zebrała również informacje - gdyż jej ciotka z ewangelicznym zapalem kolekcjonowała towarzyskie ploteczki - o właścicielu Harschmort, o balu maskowym, reputacji księcia Karla-Horsta i jego narzeczonej (odpowiednio kiepskiej i nieskazitelnej), a ponadto o różnych innych osobach, takich jak Xonck, Lacquer-Sforza, d'Orkancz, Crabbe, Trapping i Aspiche. Tych dwóch ostatnich ciotka nie znała, chociaż słyszała o tragicznym zaginięciu Trappinga. Wiceministra znała za pośrednictwem Bascombe'ów, lecz nawet ta rodzina swoje główne zainteresowanie skupiała na ministrze, a nie na jego szacownym zastępcy, który był urzędnikiem rządowym, ale nie postacią publiczną. Ponieważ rodzina Xoncków była sławna głównie z powodu swojego majątku, o wiele mniej interesowała ciotkę - choć ta o nich słyszała - którą pociągały głównie tytuły

szlacheckie. Istotnie, Robert Vandaariff został przez nią uznany za Człowieka Godnego Zainteresowania dopiero po tym, jak został lordem, chociaż panna Temple rozumiała, iż człowiek tego rodzaju na pewnym etapie musi zostać lordem, inaczej rząd miałby dla niego marginalne znaczenie. Francisa Xoncka otaczała atmosfera skandalu, chociaż nikt nie wiedział dlaczego - szeptano o dziwnych upodobaniach, jakie wykazywał, bawiąc za granicą - jednak jego starsze rodzeństwo było porządne. Hrabiego d'Orkancza ciotka знаła wyłącznie jako patrona opery - podobno urodził się w jakiejś nędznej wiosce na Bałkanach, wychował w Paryżu i odziedziczył rodzinne tytuły oraz dobra po serii tajemniczych pożarów. Poza tym Agatha potrafiła tylko powiedzieć, że to człowiek o wyrafinowanych gustach, wykształcony i poważny, który mógłby pracować na uniwersytecie, gdyby ci uniwersyteccy uczeni nie byli tacy okropni. Ostatnie nazwisko, które panna Temple podsunęła ciotce z lekkim wahaniem, w trakcie skądinąd żwawo prowadzonego przesłuchania, starsza pani skwitowała bezradnym wzruszeniem ramion. Oczywiście, hrabina Lacquer-Sforza była znana, ale nic o niej nie wiadano. Przybyła do miasta poprzedniej jesieni - tu Agatha uśmiechnęła się i zauważyła, że musiało to być mniej więcej wtedy, kiedy przyплыnęła tu panna Temple. Agatha nigdy nie widziała tej damy, ale mówiono, że urodą dorównuje księżniczce Clarissie lub Lydii Vandaariff. Uśmiechnęła się i słodko zapytała bratanicę, czy może widziała hrabinę i czy tak jest naprawdę. Panna Temple tylko warknęła, że nie, nie widziała żadnej z tych osób - nie poznała nikogo z towarzystwa, chyba że za pośrednictwem Rogera - i z pewnością nie z najwyższych kręgów. Prychnęła, że Roger Bascombe, którego znała, raczej nie należał do osób mających takie znajomości. Jej ciotka, smutno kręcąc głową, przyznała, że to prawda.

\*

Panna Temple przystanęła na podeście między drugim a trzecim piętrem, rozejrzała się, sprawdzając, czy jest obserwowana, po czym usiadła na schodach. Czowała, że musi uporządkować myśli, zanim dołączy do nowych znajomych - musiała także uporządkować myśli o tych nowych znajomych - zanim znów rzuci się w wir przygody. Ku jej ogromnemu pomieszeniu kluczowym punktem pozostawał Roger, tkwiący po szyję w całej tej historii. Był głupcem, nie miała co do tego cienia wątpliwości, ale czowała, że nieustannie natyka się na swoje dawne uczucia, gdy próbuje iść naprzód, zapominając o nich. Dlaczego po prostu nie może wyrzucić ich z myśli i z serca? Przez chwilę była pewna, że jej się to udało i ból, jaki odczuwała, ściskanie w piersi i w gardle to nie miłość do Rogera, lecz raczej jej brak, gdyż usunięcie czegoś tak wielkiego musi pozostawić pustkę - dziurę w sercu, można by rzec, wokół której jej myśli przynajmniej chwilowo muszą krążyć, potem jednak niespodziewanie zaczęła się martwić o to, że Roger tak bezmyślnie ryzykował życie, i układać krótką i ostrą

przemowę, mającą ukazać mu jego głupotę. Panna Temple ciężko westchnęła i z jakiegoś powodu przypomniała jej się cukrownia na rodzinnej plantacji, wielkie miedziane kotły i spiralne zwoje chłodnic, w których trzcinę cukrową przerabiano na mm. Wiedziała, że Roger sprzymierzył się z ludźmi, którzy nie cofają się przed morderstwem - którzy chcieli zamordować ją - i obawiała się, że tak jak nauka i ogień zmieniają trzcinę cukrową w mm, tak cała ta sytuacja musi nieuchronnie doprowadzić do konfrontacji między nią a Rogerem. Czuła w torebce ciężar rewolweru. Pomyślała o Changu i Svensonie - czy oni również mają tak mieszane uczucia? Obaj sprawiali wrażenie tak pewnych siebie - szczególnie Chang, będący typem mężczyzny, jakiego jeszcze nie spotkała. Zaraz jednak pojęła, że to nieprawda, iż знаła innych mężczyzn równie zdolnych do używania przemocy - w istocie jej ojciec był taki - ale tamci zawsze skrywali brutalność pod płaszczykiem interesów i troski o prywatną własność. Tymczasem Chang niczego nie udawał. Usiłowała znaleźć to odświeżającym - mówiła sobie, że tak właśnie jest - ale nie mogła powstrzymać nerwowego drżenia. Doktor Svenson wydawał się mniej groźny i bardziej podatny na zwyczajne obawy i wahania, ale przecież ona także - a panna Temple wiedziała, że nikt na świecie nie podejrzewałby jej o to, że potrafi wyjść cało z takich oparów, w jakie wpadła. Tak więc zaufała możliwościom doktora, tak samo jak ufała swoim. Ponadto, uśmiechnęła się na samą myśl o tym, wielu skądinąd mądrych ludzi głupiej w obecności uwodzicielskiej kobiety.

Teraz przynajmniej miała pewność, że uzbrojona w ciotczyne plotki będzie w stanie nadać za rozmową. Wiele uwag wygłaszanych przez jej nowych towarzyszy dotyczyło miasta, jakiego nie znała - burdeli, instytucji i misji dyplomatycznych - zarówno nizin, jak i wyżyn społecznych, jednakowo obcych jej dotychczasowym doświadczeniom. Chciała mieć poczucie, że wniosła do ich partnerskiego związku równy udział nie tylko w postaci pieniędzy na opłacenie pokoju lub posiłku. Jeśli mają razem przeciwstawić się tej... jak nazwał to doktor? Tej klice. Powinna nadal rozwijać swoje umiejętności. To, czego dokonała do tej pory, wydawało się zarówno śledztwem, jak i błędzeniem po omacku, a nawet usunięcie Spragga i Farquhara jawiło się jako niewiarygodny zbieg okoliczności. Przeciwno sobie miała tajemnicze siły i takich samych sojuszników, a czym dysponowała poza drobnymi w torebce? W tym momencie z łatwością mogła wpaść w spiralę wątplenia i strachu, w której jej pewność siebie stopniałaby jak lody na słońcu. Wyobraziła sobie, że jest sama w pociągu, w przedziale z kimś takim jak hrabia d'Orkanez. Co mogłaby zrobić?

Siedząc na schodach hotelu Boniface, panna Temple rozejrzała się, patrząc na tapetę w skomplikowany wzór kwiatów i liści, przygryzając wargę aż do krwi. Otarła oczy i prychnęła. Jedno, co mogłaby zrobić, to przycisnąć lufę rewolweru do jego ciała i naciskać

spust tyle razy, ile byłoby trzeba, żeby jego paskudne cielsko osunęło się na podłogę. A potem znaleźć hrabinę Lacquer-Sforzę i batożyć ją, dopóki bicz nie wypadłby jej z omdlewającej dłoni. A potem... Roger. Westchnęła. Do Rogera po prostu odwróciłaby się plecami i odeszła.

\*

Wstała i zeszła na drugie piętro, lecz przystanąła na ostatnim stopniu, słysząc głosy na korytarzu. Wyrzała zza rogu i zobaczyła trzech mężczyzn w czarnych mundurach i jednego w ciemnobrązowym płaszczu, stojących przed drzwiami pokoju numer dwadzieścia siedem. Mężczyźni mamrotali coś do siebie (panna Temple była przeciwniczką mamrotania w ogóle i lubiła słyszeć, co mówią ludzie, nawet jeśli nie dotyczyło to jej osobiście), a potem cała grupa odeszła od drzwi, kierując się do głównych schodów na końcu holu. Ona wślizgnęła się na korytarz i najszybciej jak mogła, podeszła do drzwi. Zaparło jej dech, kiedy zobaczyła, że są uchylone - tamci musieli być w środku - i z ogromnym niepokojem pchnęła je, otwierając na oścież. W salonie nie było nikogo. Papiery, które zostawiła, były porozrzucane, ale nigdzie nie zauważyła dowodów bytności Changa lub Svensona ani śladów walki. Pospiesznie przeszła do sypialni, ale i tam nie było nikogo. Pościel była skotłowana, a okno otwarte, a po obu mężczyznach ani śladu. Panna Temple wyrzała przez okno.

Wychodziło na uliczkę na tyłach hotelu i znajdowało się na wysokości co najmniej dziesięciu metrów od jej braku. Panna Temple mocniej ścisnęła torebkę i wyszła na korytarz. Żołnierze ścigali zarówno Changa, jak Svensona, ale za którym z nich tutaj przyszli? Zmarszczyła czoło. Nie mógł to być Chang, gdyż nikt nie wiedział, że przebywa w pokoju dwadzieścia siedem. Podbiegła do drzwi, z których wyszedł - od pokoju trzydzieści cztery - one również były otwarte. Pokój był pusty. Okno zamknięte. Wróciła na korytarz, jeszcze bardziej poruszona. Żołnierze wiedzieli, w których pokojach szukać Svensona i Changa. Z przerażeniem pomyślała o swoim apartamencie i o ciotce.

\*

Panna Temple wbiegła po schodach, gorączkowo wyjmując rewolwer z torebki. Minęła podest, odbezpieczyła rewolwer i nabrała tchu. Wyszła na korytarz, na którym nie zobaczyła nikogo. Czyżby już byli w środku? A może dopiero mieli nadejść? Drzwi były zamknięte. Panna Temple załomotała w nie pięścią. Po drugiej stronie panowała cisza. Załomotała ponownie. Nadal żadnej odpowiedzi. Wyobraźnia podsunęła jej obraz zamordowanej ciotki i pokojówek, pokoju zalanego krwią. Wyjęła z torebki klucz i lewą ręką, dość niezręcznie, otworzyła drzwi. Pchnęła je i uskoczyła na bok. Cisza. Wyrzała zza futryny. W przedpokoju nie było nikogo. Trzymając obiema rękami rewolwer, powoli

przeszła przez przedpokój. W saloniku również nikogo nie było, nie zauważyła też śladów walki. Skierowała się do drzwi do salonu, które były zamknięte. Nigdy ich nie zamykano. Podkraśniała się do nich, zerknęła przez ramię i lewą ręką chwyciła klamkę. Przekręciła ją powoli i słysząc szcęk zamka, popchnęła. Krzyknęła - później miała nadzieję, że cichutko - gdyż tuż przed nią, z rewolwerem wycelowanym w jej twarz, stał doktor Svenson, mający na nogach tylko skarpetki. Obok niego, roztrzęsiona i pobladła, siedziała ciotka. Za nią obie służące, skamieniałe ze strachu. Dziwne mrowienie sprawiło, że panna Temple błyskawicznie się odwróciła. Za nią, z długim sztylblem w dłoni, stał Kardynał Chang, który właśnie wyszedł z pokoju służących. Uśmiechnął się ponuro.

- Bardzo dobrze, panno Temple. Czy zastrzełiłaby mnie pani, zanim zdążyłbym poderżnąć pani gardło? Nie wiem, co jest największym z komplementów.

Przełknęła ślinę, jeszcze nie mogąc opuścić rewolweru.

- Sugerowałbym zabezpieczyć drzwi - powiedział doktor Svenson za jej plecami.

Chang skinął głową.

- Istotnie. - Odwrócił się i podszedł do drzwi, szybko wyjrzał na korytarz, po czym cofnął się i zamknął je za sobą, przekręcając klucz. - Może jeszcze krzesło... - mraknął do siebie i wybrał jedno ze stojących w saloniku, żeby wepchnąć oparcie pod klamkę. Zrobiwszy to, z chłodnym uśmiechem odwrócił się do pozostałych. - Poznaliśmy pani ciotkę.

- Byliśmy bardzo zaniepokojeni, nie zastawisz tu pani - dodał Svenson.

Schował już pistolet i wyraźnie czuł się nieswojo, stojąc między przerażonymi kobietami.

- Poszłam drugimi schodami - wyjaśniła panna Temple. Zauważyła, że obaj baczenie się jej przyglądają i w ślad za ich spojrzeniami zerknęła na swoje ręce. Powoli zwolniła kurek rewolweru i wypuściła powietrze z płuc. - Są tam żołnierze...

- Tak - rzekł Chang. - Zdołaliśmy im uciec.

- W jaki sposób? Oni byli na jednych schodach, a nie minęliście mnie na drugich. I skąd znaleźcie numer mojego pokoju?

- Z rachunku za herbatę, który pani podpisała - odparł Svenson. - Jest na nim numer pani pokoju. Proszę się nie obawiać, nie zostawiliśmy go tam. A co do ucieczki...

- Doktor Svenson jest marynarzem - uśmiechnął się Chang. - Umie się wspinać.

- Umie, kiedy muszę - sprostował Svenson, kręcąc głową.

- Przecież... wyjrzałam przez okno! - wykrzyknęła panna Temple. - Tam była tylko gładka ceglana ściana!

- I metalowa rynna - zaznaczył Svenson.

- Bardzo cienka!

Mówiąc to zauważyła, że doktor wyraźnie pobladł. Z wysiłkiem przełknął ślinę i otarł czoło.

- Właśnie - uśmiechnął się Chang. - Doktor to cudowny wspinacz.

Panna Temple przechwyciła spojrzenie ciotki, trzęsącej się w fotelu, i nagle poczuła wyrzuty sumienia z powodu tego, że naraziła ją na takie niebezpieczeństwo. Spojrzała na wszystkie trzy kobiety i powiedziała stanowczo:

- Nieważne. Dowiedzą się w recepcji, od tego paskudnego pana Spanninga, któremu podpale ten ulizany łeb. Ja zapłaciłam za pokój doktora. Będą tu lada chwila.

- Ilu pani widziała? - chciał wiedzieć Chang.

- Czterech. Trzech żołnierzy i jednego w brązowym płaszczu.

- To człowiek hrabiego - rzekł Svenson.

- Nas jest troje - powiedział Chang. - Będą chcieli zgarnąć nas po cichu, a nie pokonać w otwartej walce.

- W holu mogą być inni - ostrzegł Svenson.

- Nawet jeśli tak, możemy dać im radę.

- Jakim kosztem? - spytał doktor. Chang wzruszył ramionami.

Panna Temple rozglądała się, patrząc na wygodę i bezpieczeństwo, jakim cieszyła się w hotelu Boniface, dobrze wiedząc, że to już się skończyło. Zwróciła się do pokojówek:

- Martho, przygotuj torbę podróżną. Ma być na tyle lekka, żebym mogła ją nieść, z najniezbędniejszymi rzeczami. Może być ta w kwiaty. - Dziewczyna nie mszyła się z miejsca. Panna Temple podniosła głos: - Natychmiast! Myślisz, że to odpowiednia chwila, żeby się objąć? Marie, ty przygotujesz bagaże mojej ciotki i wasze. Na jakiś czas pojedziecie nad morze. Ruszaj!

Pokojówki pobiegły wykonać polecenia. Ciotka spojrzała na pannę Temple.

- Celeste... moja droga... nad morze?

- Muszę wysłać cię w bezpieczne miejsce. I przepraszam, bardzo, bardzo przepraszam, że naraziłam cię na takie niebezpieczeństwo. - Panna Temple pociągnęła nosem i wskazała swój pokój. - Sprawdzę, ile mam gotówki. Oczywiście dam ci pieniądze na podróż i wypiszę czek. Musisz wziąć obie pokojówki...

Spojrzenie Agathy, dosyć spłoszone, pobiegło od panny Temple do Changa i Svensona. Żaden z nich bynajmniej nie wyglądał na godnego towarzysza szanującej się panny.

- Ale... nie możesz... jako dobrze urodzona panienka... taki skandal... musisz jechać ze mną!

- To niemożliwe.

- I nie będziesz miała pokojówki. To absolutnie niemożliwe! - Starsza pani naburmuszyła się, mierząc obu mężczyzn groźnym spojrzeniem. - A nad morzem będzie zimno...

- Właśnie o to chodzi, ciociu. Musisz pojechać tam, gdzie nikt się ciebie nie będzie spodziewał. I nie możesz o tym mówić nikomu, absolutnie nikomu.

- A co z tobą? - szepnęła starsza pani.

- Nie potrafię powiedzieć - odparła. - Nie wiem.

\*

Minęło co najmniej dwadzieścia minut i panna Temple, machinalnie wodząc palcami tam i z powrotem po jednym z przyniesionych przez doktora niebieskich szkiełek, widziała Changa przy głównych drzwiach, zerkającego do holu. Cofnął się, pochwycił jej spojrzenie i wzruszył ramionami. Martha przyniosła zapakowaną torbę. Panna Temple posłała ją, żeby pomogła Marie, wetknęła szkiełko do torebki - nie patrząc na doktora, który ponownie dając jej do zbadania, niekoniecznie zgodził się, żeby je zatrzymała - postawiła torbę podróżną na fotelu i usiadła. Błądząc myślami, ledwie rzuciła okiem na to, co zapakowała jej pokojówka, i zamknęła torbę. Westchnęła. Ciotka siedziała przy stole, obserwując ją. Chang stał przy drzwiach. Svenson opierał się o stół obok ciotki. Pokojówki odrzuciły jego propozycję pomocy przy pakowaniu.

- Jeśli ci ludzie jeszcze nie przyszli - powiedziała ciotka - to może w ogóle nie przyjdą. Może nie ma potrzeby nigdzie jechać. Jeśli nie znają Celeste...

- To nieistotne, czy znają pani bratanicę, czy nie - rzekł łagodnie Svenson. - Na pewno wiedzą, kim jestem ja i Chang. A ponieważ wiedzą też, że tu jesteśmy, będą obserwowali hotel. To tylko kwestia czasu, kiedy powiążą pani bratanicę z nami...

- Już to zrobili - rzekł Chang od drzwi.

- Zatem spróbują to wykorzystać - ciągnął Svenson. - Jak powiedziała pani bratanica, grozi pani niebezpieczeństwo.

- Skoro jednak - upierała się ciotka - jeszcze ich tu nie ma...

- Całe szczęście - ucięła panna Temple. - Może dzięki temu wymkniemy się stąd niepostrzeżenie.

- To będzie trudne - zauważył Chang.

Panna Temple westchnęła. To będzie bardzo trudne. Wszystkie wyjścia będą obserwowane z ulicy. Jedyne pytanie i jedyna nadzieja w tym, kogo wypatrują ci ludzie - na pewno nie dwóch służących i starszej pani.

- Lepiej niech pan to zrobi. I to sprawnie! - prychnęła ciotka Agatha, jakby Chang był robotnikiem, a jego powątpiewanie preludium do żądania większej zapłaty.

Panna Temple znów westchnęła i wstała.

- Musimy założyć, iż recepcjonista, który skierował ich do pokoju doktora, został opłacony, żeby nadal informował o naszych poczynaniach. Musimy odwrócić jego uwagę, kiedy moja ciotka i służące będą opuszczały hotel. Ludzie na ulicy nie będą ich wypatrywali, przynajmniej jeśli nie otrzymają żadnego sygnału z recepcji. Kiedy opuścicie hotel - zwróciła się do ciotki - musicie natychmiast pojechać dorożką na dworzec kolejowy, a potem na wybrzeże, południowe wybrzeże. Na przykład do Cape Rouge, tam na pewno jest wiele zajazdów. Przyślę ci list, na urząd pocztowy, kiedy będzie już bezpiecznie.

- A co z tobą? - zapytała Agatha.

- Och, powinniśmy dość łatwo sobie poradzić - odparła panna Temple z wymuszonym uśmiechem. - Ta historia wkrótce się zakończy.

Spojrzała na Svensona i Changa, szukając potwierdzenia tych słów, lecz ich niepewne miny nie przekonałyby nawet nierozgarniętego dziecka. Ostro krzyknęła do pokojówek, żeby skończyły pakowanie i włożyły płaszcze.

\*

Panna Temple wiedziała, że sama musi pójść do pana Spanninga, ponieważ pozostali będą bardziej pomocni przy noszeniu bagażu, a poza tym nie powinni się pokazywać. Obejrzała się za siebie i zobaczyła, jak idą w kierunku tylnych schodów. Chang i Svenson nieśli kufer z ubraniami ciotki, pokojówki szły z jej obu stron, w jednej ręce niosąc swój bagaż, a drugą podtrzymując starszą panią. Panna Temple sama dotarła do głównych schodów, niosąc dużą torbę i zieloną torebkę, starając się wyglądać beztrudnie i miło kłaniać się napotkanym gościom. Na drugim piętrze klatka schodowa przechodziła w dużą galerię nad wspaniałym holem, a potem w szeroki łuk głównych schodów. Panna Temple zerknęła przez balustradę i nie zauważyła żadnych żołnierzy, ale tuż przed drzwiami stali dwaj mężczyźni w brązowych płaszczach. Zaczęła schodzić po szerokich schodach i zobaczyła za kontuarem recepcji pana Spanninga, który odwrócił się do niej, gdy tylko znalazła się w jego polu widzenia. Uśmiechnęła się do niego promiennie. Kiedy podchodziła, Spanning rozglądał się po holu, więc zanim zdążył dać komuś znak, zawołała wesoło:

- Panie Spanning!

- Panno Temple? - odparł czujnie, zawsze oślizgły, a teraz wahający się między nieufnością a dumą ze swojego sprytu.

Podeszła do recepcji, kątem oka sprawdzając, czy nikt nie czai się pod schodami i jednocześnie obserwując frontowe drzwi w lustrze za plecami Spanninga. Mężczyźni w brązowych płaszczach zauważyli ją, ale nie weszli do środka. Wbrew swoim zwyczajom panna Temple stanęła na palcach i oparła się łokciami o kontuar.

- Na pewno wie pan, po co przyszłam - uśmiechnęła się. - Wiem? - odparł Spanning z wymuszonym usługowym uśmiechem, który zupełnie do niego nie pasował.

- Och tak. Zatrzepotała rzęsami.

- Jestem pewien, że nie...

- Może był pan tak zajęty, że to panu umknęło... - Spojrzała na pusty hol. - Chociaż raczej na to nie wygląda. Proszę mi powiedzieć, panie Spanning, czy był pan tak zajęty sprawami niecierpiącymi zwłoki? - Wciąż się uśmiechała, lecz w jej słodkim głosie zadźwięczały stalowe nutki.

- Jak pani wie, panno Temple, moje obowiązki są bardzo...

- Tak, tak, ale nie musiał pan zajmować się kimś innym? Spanning chrząknął podejrzliwie.

- Mogę spytać...

- Wie pan co - ciągnęła panna Temple - zawsze chciałam spytać pana o markę pańskiej pomady, gdyż pańskie włosy zawsze są takie... ułożone. I śliskie. Ułożone i śliskie. Chciałam polecić to uczesanie wielu mężczyznom w tym mieście, ale nie wiedziałam, co rekomendować, a zawsze zapominam zapytać!

- Pomada Bronsona, panno Temple.

- Bronsona. Wspaniale. - Nagle spoważniała, nachyliła się do niego i zapytała: - Nie obawia się pan pożaru?

- Pożaru?

- Pochylając się zbyt blisko nad świecą? Mogłoby... no wie pan... fuu! - Zachichotała.

- Ach, dobrze mi się śmiać. Jednak pytam poważnie, panie Spanning. I żądam odpowiedzi, obojętnie jak bardzo stara się pan mnie oczarować!

- Zapewniam panią, panno Temple...

- O czym? O czym mnie pan - dzisiaj - zapewnia? Teraz już się nie uśmiechała, ale patrzyła mu prosto w oczy. Nie odpowiedział. Położyła zieloną torebkę na kontuarze, opuszczając ją z głośnym stuknięciem. Jej zawartość bynajmniej nie przypominała typowej

zawartości kobiecej torebki. Spanning zobaczył, jak zręcznie obróciła torebkę w jego stronę i chwyciła coś przez materiał - wciążył w sposób niedbały, lecz groźny.

- W czym dokładnie mogę pomóc? - zapytał pokornie.

- Zamierzam podróżować. Tak jak moja ciotka, ale w innym kierunku. Zamierzam zatrzymać moje pokoje. Zakładam, że mój czek rozwieje wszelkie wątpliwości?

- Oczywiście. I wróci pani...

- Kiedyś.

- Rozumiem.

- To dobrze. Czy pan wie, że niedawno w tym hotelu roіło się od cudzoziemskich żołnierzy?

- Naprawdę?

- Najwidoczniej zostali skierowani na drugie piętro. - Rozejrzała się i zniżyła głos do szeptu. Spanning odruchowo pochylił się do niej. - Czy pan wie, panie Spanning... czy pan wie, jaki dźwięk wydaje ktoś... pobity tak mocno, że nie jest już w stanie nawet krzyknąć... z bólu?

Pan Spanning wzdrygnął się i zamrugał. Panna Temple przysunęła się jeszcze bliżej i szepnęła:

- A ja wiem.

Spanning przełknął ślinę. Panna Temple wyprostowała się i uśmiechnęła.

- Zdaje się, że ma pan buty i płaszcz doktora?

\*

Weszła po głównych schodach na drugie piętro, a potem przebiegła korytarzem do tylnych, z zieloną torebką w jednej, butami w drugiej ręce i płaszczem doktora przerzuconym przez lewe ramię. Torba, wypchana zbytecznymi ubraniami, została pozostawiona pod opieką Spanninga z poleceniem, aby przechował ją do czasu, aż ona opuści hotel, co - jak oznajmiła - stanie się najprawdopodobniej po lunchu. W ten sposób poinformowała Spanninga (oraz żołnierzy), że ona (a w domyśle również Svenson i Chang) przez kilka następnych godzin pozostaną w jej apartamencie. Gdy tylko zniknęła z pola widzenia recepcjonisty, panna Temple uniosła brzeg sukni i pomknęła schodami na górę. Przy odrobinie szczęścia jej towarzysze wykorzystali tę chwilę, gdy ona odwróciła uwagę tamtych, i wyprowadzili ciotkę oraz pokojówki służbowym wyjściem. Tam portier wyniesie im bagaże i przywoła dorożkę, a Svenson i Chang będą mogli pozostać w środku. Czy żołnierze już wchodzą do holu, poruszając się o wiele szybciej niż ona? Dotarła na czwarte piętro i przystanęła, żeby posłuchać. Nie usłyszała tupotu buciorów i potruchtała dalej. Na ósmym piętrze znów

przystanęła, zarumieniona z wysiłku i zdyszana. Jeszcze nigdy nie była na najwyższym piętrze hotelu i nie wiedziała, gdzie szukać tego, co według Changa na pewno tutaj było. Poszła korytarzem, mijając drzwi wyglądające jak drzwi do zwyczajnych hotelowych pokoi, aż minęła zakręt i ujrzała przed sobą ścianę. Odwróciła się i zobaczyła identyczny ślepy zaułek na drugim końcu korytarza. Zgrzana i zdyszana po wspinaczce, panna Temple niepokoiła się, że pościg w każdej chwili może dotrzeć tu jej tropem. Zirytowana, szepnęła, a raczej głośno syknęła w przestrzeń:

- Pssst!

Odwróciła się błyskawicznie, słysząc ciche skrzypienie. Fragment oklejonej tapetą w czerwone ptaszki ściany odchylił się na ukrytych zawiasach, odsłaniając doktora Svensona, a za nim, na wąskich schodach, stromych jak drabina, Changa, stojącego w przejściu na dach. Pomimo wcześniejszych obaw panna Temple nie zdołała powstrzymać słów podziwu na widok tak sprytnie zamaskowanych drzwi.

- Wielkie nieba! - wykrzyknęła. - Ktokolwiek to zrobił, jest sprytny jak pięć małych razem wziętych!

- Pani ciotka bezpiecznie odjechała - oznajmił Svenson, wychodząc na korytarz, żeby zabrać jej rzeczy.

- Miło mi to słyszeć - odparła panna Temple. Doktor wcisnął się w swój płaszcz, który - wyszczotkowany i wyprasowany - odzyskał nieco swego wojskowego szyku. - W ogóle nie zauważyłam tych drzwi - ciągnęła, podziwiając ukryte zawiasy. - Nie wiem, jak można je dostrzec...

- Idą za panią? - syknął Chang z przejścia.

- Nikogo nie widziałam - odparła szeptem panna Temple. - Nie było ich w holu... Och! Odwróciła się gwałtownie, gdy dłoń doktora Svensona zacisnęła się na jej ramieniu.

- Najmocniej przepraszam! - powiedział, łapiąc równowagę i próbując założyć prawy but. Nie mógł zrobić tego jedną ręką i był zmuszony używać obu, wykonując dziwne podskoki.

- Powinniśmy się pospieszyć! - zawołał Chang.

- Jedną chwileczkę - szepnął Svenson, który prawie założył jeden but.

Panna Temple czekała. Nie miał łatwego zadania. Spróbowała zająć go uprzejmą pogawędką.

- Jeszcze nigdy nie byłam na dachu, a na pewno nie na tak wysokim. Z pewnością będziemy mieli wspaniałą widok. Z lotu ptaka!

Nie wiadomo dlaczego, ale te słowa nie dodały mu otuchy. Svenson spojrział na nią, jeszcze bledszy niż przed chwilą, i zajął się drugim butem.

- Dobrze się pan czuje, doktorze? Wiem, że spał pan zaledwie parę godzin...

- Idźcie - powiedział, nadaremnie siląc się na bez troski ton. Drugi but wszedł do połowy. Doktor zatoczył się, tupnął nogą, klapiąc nim jak jakąś dziwną rybą przyczepioną do podeszwy. - Zaraz was dogonię... zapewniam...

- Doktorze! - syknął Chang. - Wszystko będzie dobrze. Dach jest szeroki i nie będzie to taka wspinaczka jak po rynnie!

- Po rynnie? - powtórzyła panna Temple.

- No cóż... właściwie... - mamrotał doktor Svenson.

- Sądziłam, że poszło panu doskonale. Chang uśmiechnął się kpiąco.

- Mam problemy z wysokością. Poważne problemy...

- Tak jak ja z niektórymi warzywami - uśmiechnęła się panna Temple. - Będziemy sobie pomagali. Chodźmy!

Niespokojnie spojrzała mu przez ramię w głąb korytarza, z ulgą zobaczyła, że wciąż jest pusty, i wzięła doktora pod rękę. Wepchnął nogę do buta, prawie do samego końca. Przeszli przez drzwi.

- Dobrze zamknijcie - szepnął Chang, idący przed nimi. - Lepiej, żeby nie zauważyli wyłamane zamka.

\*

Niebo nad nimi było szare i wydawało się bliskie na wyciągnięcie ręki, a słońce skryło się za grubą warstwą zimowych chmur.

Powietrze było chłodne i wilgotne, i gdyby wiatr wiał choć odrobinę silniej, panna Temple miałaby wrażenie, że jest na morzu. Z rozkoszą wciągnęła je w płuca. Spojrzała w dół i z lekkim zdziwieniem zobaczyła, że pod nogami ma chropowatą warstwę papy i miedzianych taśm. A więc tak się chodzi po dachu! Za nią doktor Svenson przyklęknął, całą uwagę skupiając na swoim lewym bucie, nie; rozglądając się wokół. Chang zablokował drzwi kawałkami połamanej deski, wciskając je jak kliny, żeby trudno było je otworzyć. Cofnął się i otarł rękę o płaszcz. Zobaczyła, że w drugiej trzyma jej torbę podróżną, o której zupełnie zapomniała. Wyciągnęła rękę, żeby ją od niego wziąć. Pokręcił głową i wskazał pobliski budynek.

- Sądzę, że powinniśmy pójść tam, na północ.

- Jeśli tak trzeba - mruknął Svenson.

Wstał, wciąż nie odrywając oczu od dachu. Panna Temple uznała, że powinna działać.

- Wybaczcie - powiedziała - ale zanim zaczniemy wspólną podróż, sądzę, jestem pewna, że powinniśmy porozmawiać.

Słyszac to, Chang ścignął brwi.

- Tamci mogą w każdej chwili...

- Tak, chociaż nie sądzę. Myślę, że czekają na nas na ulicy albo na to, aż pan Spanning postara się opróżnić pokoje przylegające do mojego, żeby goście nie usłyszeli krzyków. Jestem przekonana, że mamy co najmniej kilka minut.

Obaj mężczyźni spojrzeli na siebie. W tym spojrzeniu dostrzegła lekkie zwątpienie. Chrząknęła znacząco, przyciągając ich uwagę.

- Ku ogromnemu zaniepokojeniu mojej jedynej żyjącej krewnej jestem zmuszona podróżować w towarzystwie dwóch mężczyzn, co - łagodnie mówiac - nie przystoi szanującej się pannie. Dziś rano byliśmy sobie obcy. Teraz wszyscy troje nie mamy się gdzie podziac. Czego chcę, a nawet żądam, to szczerzej deklaracji celu, jaki każde z nas zamierza osiągnąć i jakiemu panu służyć. Krótko mówiac, jak się umawiamy.

Czekała na ich reakcję. Milczeli.

- Nie uważam tego żądania za wygórowane - powiedziała panna Temple.

Svenson kiwnął głową, spojrział na Changa i wymamrotał, gmerając w kieszeni:

- Wybaczcie... papieros odwróci moją uwagę od wysokości, tego morza pustki... - Znowu spojrział na pannę Temple. - Ma pani rację. To bardzo rozsądne. Nie znamy się, połączył nas przypadek.

- Nie możemy tego odłożyć na później? - spytał Chang, tonem ledwie mieszczącym się w granicach cywilizowanej rozmowy.

- Na przykład na kiedy? - odparła panna Temple. - Czy wiemy chociaż, dokąd mamy iść? Czy wybraliśmy już najlepszy sposób działania? Kogo ścigać? Oczywiście, że nie, ponieważ każde z nas poczyniło inne założenia na podstawie różnych własnych doświadczeń.

Chang odetchnął i uspokoił się. Po chwili skinął głową, jakby zapraszając ją, żeby zaczęła.

\*

- Zostałam zaatakowana, jestem bez dachu nad głową. Zwodzono mnie, grożono mi i okłamywano. Chcę sprawiedliwości... czyli ukarania wszystkich zamieszanych w to osób. - Nabrała powietrza. - Doktorze?

Svenson wykorzystał ten moment, aby zapalić papierosa, schować papierośnicę do kieszeni i wydmuchnąć dym. Skinął głową.

- Ja muszę odzyskać mojego księcia, nawet jeśli bierze udział w tym spisku, nadal jest moim obowiązkiem go z tego wypłatać. Nie wątpię, iż to oznacza małą wojnę, ale nie mam wyboru. Kardynale?

Chang zawahał się, jakby uważał to za bezsensowną formalność, ale potem rzekł cicho i szybko:

- Jeśli ta sprawa nie zostanie załatwiona, nie będę miał pracy, mieszkania ani dobrej reputacji. Za narażenie tego wszystkiego na szwank zamierzam się zemścić - jak już mówiłem, muszę dbać o moje dobre imię. Czy to panią zadowala?

- Tak.

- Wszystkie te cele są ze sobą powiązane i śmiertelnie niebezpieczne - rzekł Chang. - Będziemy je realizowali, do końca?

- Zamierzam na to nalegać - odparła panna Temple.

- Ja również - rzekł doktor Svenson. - Nieważne, co stanie się z Karlem-Horstem, należy z tym skończyć. Ten spisek... ta klika... Nie mam pojęcia, czym kierują się jej członkowie, ale wiem, że wszyscy razem są jak gnijąca rana, jak rak. Jeśli nie zostanie usunięty całkowicie, znów odrośnie, jeszcze zdradliwszy i groźniejszy. Nikt z nas ani naszych bliskich nie będzie bezpieczny.

- Zatem umowa stoi - podsumował Chang. Uśmiechnął się krzywo i wyciągnął rękę. Doktor Svenson wetknął papierosa do ust i wolną ręką uściśnął dłoń Chang'a. Panna Temple położyła swoją małą rączkę na ich dłoniach. Nie miała pojęcia, do czego to doprowadzi - w końcu chodziło o intrygę - ale nie sądziła, żeby kiedykolwiek w życiu była szczęśliwsza. Ponieważ właśnie wyraziła zgodę na coś niezmiernie poważnego, starała się powstrzymać chichot, ale cała promieniała.

\*

- Wspaniale! - oznajmiła. - Cieszę się, że tak szczerze to sobie wyjaśniliśmy. A teraz drugie pytanie: co robimy dalej? Szukamy innego schronienia? Czy przypuszczamy atak, a jeśli tak, to gdzie? Na St. Royale? Na ministerstwo? Harschmort?

- Sądzę, że najpierw powinniśmy zejść z tego dachu - zauważył Chang.

- Tak, tak, ale możemy rozmawiać, idąc, nikt nas nie podsłucha.

- Zatem tędy - zostań z nami, doktorze - na północ. Ten hotel jest połączony z sąsiednim budynkiem. Sądzę, że nie ma żadnej luki.

- Luki? - zdziwił się Svenson.

- Do przeskoczenia - wyjaśnił Chang. Svenson nic nie powiedział.

- Niewątpliwie - powiedziała panna Temple - powinniśmy spojrzeć na ulicę i zobaczyć, gdzie wokół Boniface są rozstawieni ich ludzie.

Chang westchnął, ustępując, po czym spojrzął na Svensona, który machnięciem ręki dał im znak, żeby sami poszli na krawędź dachu.

- Ja pójdę dalej, żeby nie spowalniać marszu...

Powoli mszył we wskazanym kierunku, wpatrując się w czubki swoich butów. Panna Temple podeszła do krawędzi dachu i ostrożnie spojrzała w dół. Widok był wspaniały. Aleja w dole wyglądała jak domek dla lalek pełen małych zabawek. Odwróciła głowę i zobaczyła, że Chang dołączył do niej i przyklęknął w cieniu pokrytego miedzią gzymsu.

- Widzi pan kogoś? - szepnęła. Wskazał koniec ulicy: za wózkiem sklepikarza stali dwaj mężczyźni, niewidoczni z hotelu, lecz z łatwością mogący obserwować główne wejście. Z rosnącym podnieceniem panna Temple spojrzała w przeciwną stronę, uśmiechnęła się i pociągnęła Changa za rękaw. - Żelazne ogrodzenie, na rogu!

Tuż za nim czaiły się dwie inne postacie, widoczne z góry, a od strony ulicy skryte przez welon porastającego płot bluszczu.

- Pilnują ze wszystkich stron - rzekł Chang. - Czterej są w mundurach, to już więcej, niż widziała pani w hotelu. Teraz sądzą, że jesteśmy w potrzasku, i mogą użyć wszystkich ludzi, którymi dysponują. Może już są w pani apartamencie. Musimy iść.

Zobaczyli, że Svenson przeszedł już po dachach dwóch bardzo ładnych kamienic, połączonych ze sobą i z hotelem Boniface.

- Wysokość jest spora - powiedział - a odległość do następnego dachu zbyt duża, żeby ktokolwiek z nas zdołał ją przeskoczyć. Budynek stoi frontem do alei, która jest jeszcze szersza, a tyłem do uliczki nieco węższej, ale i tak nie do przeskoczenia.

- Mimo to chcę rzucić na to okiem - powiedziała panna Temple i z uśmiechem podeszła do krawędzi dachu. Ten znajdował się co najmniej dwa piętra wyżej niż dach budynku po drugiej stronie ulicy, cokolwiek się w nim mieściło - nie potrafiła tego odgadnąć, ponieważ okna były małe i zakopcone. Spojrzała w dół i zakręciło jej się w głowie. Doktor miał rację, nie wyobrażała sobie, żeby ktoś zdołał przeskoczyć tę przepaść. Zauważyła, że Chang przykucnął na skraju dachu, patrząc w dół. Domyśliła się, że znów liczy żołnierzy.

Panna Temple wróciła do doktora i zobaczyła, że ten jest zdecydowanie nieswój. Prawdę mówiąc, uznała to za pocieszające, gdyż w porównaniu z groźną sprawnością Changa wyraźny lęk Svensona trochę łagodził jej poczucie ignorancji i słabości.

- Widzieliśmy kilku żołnierzy obserwujących hotel od frontu - powiedziała. - W środku jest ich więcej. Chang sądzi, że zbierają siły.

Svenson skinął głową. Wyjmował następnego papierosa.

- Sporo ich pan wypala, prawda? - zauważyła przyjaźnie. - Będziemy musieli znaleźć panu takie.

- To będzie trudne - odparł z uśmiechem. - Są z Rygi, a kupiłem je od zaprzyjaźnionego sklepikarza w Macklenburgu. Nawet tam nie mogę ich kupić nigdzie indziej i wątpię, żeby ktoś zdołał znaleźć je tutaj. W moim pokoju w misji mam ich całą cedrową skrzynkę, ale co z tego! Panna Temple zmrużyła oczy.

- Czy bez nich będzie pan opryskliwy i zbolały?

- Nie będę - zapewnił Svenson. - Co więcej, nikotyna dobrze mi robi - przywraca siły, jednocześnie pobudzając i uspokajając.

- Nie lubię tylko żucia tytoniu i spluwania - oznajmiła panna Temple. - Ten sposób używania tytoniu jest powszechnie przyjęty tam, skąd pochodzę, i obrzydliwy. Ponadto tytoń w dowolnej postaci strasznie plami zęby.

Zauważyła, że zęby doktora mają kolor świeżo ściętego dębu.

- Skąd pani pochodzi? - zapytał Svenson, odruchowo zaciskając wargi.

- Z wysp - odparła panna Temple. - Tam jest ciepłej i codziennie można jeść świeże owoce. Ach, jest Chang.

- Widzę żołnierzy na ulicach - powiedział, podchodząc do towarzyszy - ale nie w zaułku na tyłach. Może uda nam się uciec po tym dachu. - Pokazał niewątpliwie zamknięte drzwi prowadzące do kamienicy. - I dostać do tego zaułka. Jednak nie wiem, jak się stamtąd wydostaniemy, gdyż na obu jego końcach natkniemy się na żołnierzy.

- Zatem jesteśmy w pułapce - stwierdził Svenson.

- Możemy ukryć się na dole - powiedział Chang. Odwrócili się do panny Temple, chcąc usłyszeć jej zdanie, co samo w sobie sprawiło jej przyjemność, ale zanim zdążyła odpowiedzieć, po dachach przeleciał echem dźwięk trąbki.

\*

Odwróciła się, słysząc ten dźwięk, któremu natychmiast odpowiedział głuchy tętent.

- Konie! - wykrzyknęła. - Mnóstwo koni!

Wszyscy troje (panna Temple, przytrzymując doktora pod rękę) ostrożnie wyjrżeli zza krawędzi dachu na aleję. Pod nimi, całą szerokością ulicy, paradowali konni żołnierze w jasnoczerwonych mundurach i błyszczących mosiężnych hełmach, zwieńczonych czubami z czarnego końskiego włosia.

- Jadą po nas? - zapytała.

- Nie wiem - odparł Chang.

Zauważyła, że wymienili spojrzenia ze Svensonem. Wolałaby, żeby nie robili tego tak często, a przynajmniej nie tak otwarcie.

- Czwarty regiment dragonów - powiedział doktor i wskazał jakąś postać, wyglądającą na ważną, ze złotymi epoletami. - Pułkownik Aspiche.

Panna Temple patrzyła, jak przejeżdżał, mając po bokach oficerów, a z przodu i z tyłu szeregi żołnierzy - z surową miną, nieruchomym spojrzeniem, doskonale panując nad swoim nienagannie utrzymanym rumakiem. Próbowwała policzyć jego ludzi, ale jechali za szybko - co najmniej dwustu, może dwa razy więcej. Widząc lukę w szeregach jeźdźców, panna Temple ścisnęła ramię Svensona.

- Wozy!

Kolumna liczyła około dziesięciu wozów, którymi powozili umundurowani żołnierze.

- Te wozy są puste - zauważył Svenson. Chang ruchem głowy wskazał hotel Boniface.

- Przejeżdżają obok hotelu. To nie ma nic wspólnego z nami. Miał rację. Panna Temple zobaczyła, że czerwone mundury mijają hotel i zmiierzają w kierunku Grossmaere.

- Co się tam znajduje? - zapytała. - Do St. Royale jedzie się inną drogą.

Doktor Svenson wyciągnął szyję.

- Instytut. Jadą do instytutu z pustymi wozami... po tę szklaną maszynę i te... no... te, o których oboje mówiliście... po skrzynie.

- Skrzynie dostarczono na wozach do Harschmort - rzekł Chang. - W laboratorium instytutu też wszędzie stały skrzynie.

- Te w Harschmort były wyłożone pomarańczowym filcem i oznaczone numerami - powiedziała panna Temple.

- Te w instytucie nie były pomarańczowe - przypomniał sobie Chang. - Były niebieskie.

- Założę się o moje oczy, że chcą przewieźć następne - dodał Svenson. - Albo przenoszą laboratorium po śmierci tego człowieka w instytucie.

Na dole znów zagrały trąbki - pułkownik Aspiche nie był zwolennikiem cichego przemarszu. Svenson próbował coś powiedzieć, ale panna Temple nie dosłyszała go. Spróbował ponownie, nachylając się do niej i pokazując palcem.

- Ludzie majora Blacha weszli do hotelu.

Panna Temple zobaczyła, że miał rację - strumień czarnych postaci, ledwie widocznych za rzeką jeźdźców w czerwonych mundurach, płynął w stronę hotelu jak gromada szczurów do kanału ściekowego.

- Jeśli mogę coś zasugerować - rzekł doktor - to chyba doskonały moment, by spróbować się stąd wydostać.

\*

Kiedy schodzili po wyłożonych grubym chodnikiem schodach, panna Temple dziwiła się, że ktokolwiek może uważać się za zabezpieczonego przed włamaniem. Chang w mgnieniu oka dostał się do budynku, którego właściciele z pewnością byli dumni z doskonałych zabezpieczeń przeciw włamaniowym. Na szczęście na górnych piętrach nie natknęli się na nikogo (gdyż mieszkająca w tych pokojach służba była w pracy) i zdołali po cichu przejść przez kilka następnych, gdzie słyszeli kroki, brzęk naczyń, a raz nawet wyjątkowo obrzydliwe sapanie. Panna Temple wiedziała, że parter i tylne wyjście to najbardziej prawdopodobne miejsca konfrontacji - gdyż tam z pewnością będzie służba, jeśli nie ktoś jeszcze - tak więc kiedy zeszli ze schodów, przepchnęła się przed Changa i Svensona, nie zważając na ich zdziwione miny. Dobrze wiedziała, że jej niegroźny wygląd może zapewnić im spokojne przejście, podczas gdy spotkanie panów z jakimś intruzem niemal na pewno skończy się awanturą. Kątem oka zobaczyła młodą gosposię ustawiającą słoiki, która odruchowo dygnęła przechodzącym. Panna Temple odpowiedziała jej skinieniem głowy i wmaszerowała do kuchni, w której zastała trzy zapracowane kucharki. Posłała im zdawkowy uśmiech.

- Dzień dobry. Jestem panna Hastings i chcę skorzystać z tylnych drzwi. - Nie czekała na odpowiedź. - Zdaje się, że znajdują się tam? Jestem zobowiązana. Jaka dobrze utrzymana kuchnia. Te dzbanki do herbaty są naprawdę ładne...

W następnej chwili opuściła kuchnię i zbiegła po krótkich schodkach do tylnych drzwi. Odsunęła się na bok, przepuszczając Changa. Za nim i za plecami doktora zobaczyła zaciekawione twarze służby, która podążyła za nimi.

- Widzieliście paradę kawalerii?! - zawołała. - To czwarty regiment dragonów, gwardia książęca. Wielkie nieba, są wspaniali! Tyle trąbek i tyle pięknych wierzchowców. Pamiętny widok. Do widzenia!

Wyszła za doktorem przez drzwi i odetchnęła z ulgą, gdy Chang je za nią zamknął.

Stukot kopyt był teraz cichszy, oddział już przejechał. Biegąc w kierunku wylotu alejki, panna Temple z obawą zauważyła, że Chang wyjął swój obosieczny nóż, a Svenson pistolet. Panna Temple sięgnęła do zielonej torebki, ale musiała podciągać suknię, żeby biec, i nie mogła otworzyć jej jedną ręką. Gdyby umiała kląć, teraz z pewnością by zaklęła, gdyż zaskoczyła ją szybkość, z jaką jej towarzysze zareagowali na nową sytuację. Wybiegli na ulicę. Svenson wziął ją pod rękę i zaczęli pospiesznie oddalać się od hotelu Boniface. Chang

szedł krok czy dwa za nimi, wypatrując wroga. Nikt za nimi nie krzyknął, nie strzelił. Dotarli do następnej przecznicy i Svenson skręcił za róg. Przywarli do ściany i czekali na Changa, który pojawił się chwilę później. Wzruszył ramionami i wszyscy troje poszli dalej, najszybciej jak mogli. Wydawało się wprost niewiarygodne, że tak łatwo udało im się uciec. Panna Temple uśmiechnęła się mimo woli, uradowana sukcesem.

Zanim któryś z nich zdążył wyznaczyć kierunek marszu, panna Temple przyspieszyła kroku, zmuszając ich, by podążali za nią. Doszli do następnej szerokiej alei - Regent's Gate - i panna Temple zobaczyła w oddali znajomy szyld. Poprowadziła ich w tym kierunku. Wpadła na pewien pomysł.

- Dokąd pani idzie? - spytał szorstko Chang.

- Musimy obmyślić strategię - odparła panna Temple. - Nie możemy robić tego na ulicy. Nie możemy usiąść w kawiarni, zaczęto by o nas mówić i...

- Może powinniśmy wynająć pokój? - podsunął Svenson.

- Dopiero wtedy zaczęto by o nas mówić - przerwała mu panna Temple. - Jest jednak takie miejsce, gdzie nasza dziwna grupka nie będzie rzucała się w oczy.

- Co to za miejsce?:- zapytał podejrzliwie Chang. Uśmiechnęła się, zadowolona ze swojego sprytu.

- Galeria sztuki.

\*

Aktualnie wystawianym artystą był pan Veilandt - malarz z okolic Wiednia - na którego wystawę zabrał ją Roger, robiąc w ten sposób kurtuazyjny gest w stronę delegacji austriackich bankierów. Przyjęcie trwało dostatecznie długo, aby panna Temple zdążyła zainteresować się samymi obrazami - z negatywnym skutkiem, gdyż uznała je za niepokojące i nاپuszone. Wszyscy inni ignorowali je, pijąc sznapsa i dyskutując o rynkach lub taryfach, tak jak uprzedzał ją Roger. Doszedłszy do wniosku, że galerii nie zaszkodzi następna wizyta w ogóle niezainteresowanych osób, zaciągnęła Svensona i Changa do holu, po czym porozmawiała z kustoszem. Wyjaśniła ściszym głosem, że była tu z austriacką delegacją, a teraz przyprowadziła reprezentanta macklenburskiego dworu, poszukującego prezentu ślubnego dla księcia - człowieka o wyrafinowanym guście - z pewnością słyszał pan o zapowiadającym małżeństwie? Kustosz przytaknął, z powagą kiwając głową. Potem zerknął na Changa i panna Temple taktownie napomknęła, że jej drugi towarzysz również jest artystą, na którym ogromne wrażenie wywarła reputacja prowokatora, jaką cieszy się pan Veilandt. Marszand ze zrozumieniem kiwnął głową i zaprowadził ich do głównej sali, zręcznie wsunąwszy w ręce doktora Svensona broszurę z cenami i tytułami.

Obrazy były takie, jak zapamiętała: duże, ponure płótna, ukazujące w niemal obsceniczny sposób chwile zwątpienia i kuszenia świętych, bez wyjątku mało apetyczne. W rzeczy samej, gdyby nie kontekst, w jakim przedstawione postacie były charakteryzowane przez namalowane nad ich głowami aureole, cały ten zbiór obrazów tworzyłby typowo pogański spektakl czystej dekadencji. Aczkolwiek panna Temple wyczuwała, że artysta użył welonu świętości, aby zaspokoić swoje zdeprawowane gusta, nie była pewna, czy na poziomie głębszym od cynicznej zręczności nie stworzył obrazów prawdziwszych, niż zamierzał. Istotnie, kiedy zobaczyła je po raz pierwszy, w towarzystwie nadętych finansistów, jej niepokój nie był wywołany ich rozpustną i bluźnierczą zmysłowością, lecz wprost przeciwnie - niebezpiecznym osamotnieniem i wątlą obecnością cnoty. Panna Temple poprowadziła swoich towarzyszy w głąb galerii, z dala od kustosa.

\*

- Dobry Boże - szepnął doktor Svenson. Spoglądał na tabliczkę obok wielkiego pomarańczowego płótna, z którego postacie zdawały się zsuwać i materializować w powietrzu. - *Świata Rowena i wikingowie* - przeczytał i spojrzał na oblicze świętej oblane rumieńcem, który przy dużej dawce dobrej woli można by uznać za wywołany religijnym zapalem. - Dobry Boże.

Chang milczał, równie urzeczony, choć z jego ukrytych za ciemnymi okularami oczu nie dało się niczego wyczytać. Panna Temple powiedziała ściszone głosem, tak by nie usłyszał jej kustosz:

- Tak więc teraz możemy spokojnie porozmawiać...

- *Błogosławione męstwo świętego Kaspra* - przeczytał doktor, patrząc na płótno na przeciwległej ścianie. - Czy to są świńskie ryje?

Panna Temple chrząknęła. Odwrócili się do niej, lekko zmieszani.

- Dobry Boże, panno Temple - rzekł Svenson - czy te obrazy nie robią na pani wrażenia?

- Prawdę mówiąc, robią, ale już je widziałam. Pomyślałam, że skoro mamy za sobą wizje niebieskich szkiełek, poradzimy sobie i z nimi.

- Tak, tak, rozumiem - mruknął Svenson i dość niezręcznie dorzucił: - Ta galeria jest całkiem pusta. Dogodne miejsce.

Chang nie wygłaszał żadnych komentarzy na temat miejsca czy obrazów pana Veilandta, jedynie się uśmiechnął - chyba nieco bardziej drapieżnie niż zwykle.

- Pomyślałam... - zaczęła panna Temple. - Oglądał pan te szkiełka, Kardynale?

- Tak.

Chang uśmiechał się zdecydowanie obleśnie.

- No cóż, na tym ukazującym Rogera Bascombe'a... i mnie... - Urwała i zmarszczyła czoło, zbierając myśli - zdecydowanie zbyt wiele naraz przelatywało jej przez głowę. - Próbuję zdecydować, na czym powinniśmy teraz skupić nasze wysiłki, a ponadto czy powinniśmy trzymać się razem, czy też będziemy skuteczniejsi, działając indywidualnie.

- Wspomniała pani o szkiełku... - podsunął Chang.

- Ponieważ ukazywało wiejską posiadłość wuja Rogera, lorda Tarra, oraz jakiś kamieniołom...

- Zaraz, zaraz - przerwał jej Svenson. - Francis Xonck, mówiąc o dziedzictwie Bascombe'a... wspomniał o jakiejś substancji, którą nazwał „niebieską gliną”. Słyszeliście o niej?

Panna Temple pokręciła głową, Chang wzruszył ramionami.

- Ja też nie - ciągnął Svenson. - Jednak Xonck sugerował, że Bascombe wkrótce zostanie właścicielem ogromnego złoża takiej gliny. To na pewno ten kamieniołom, który znajduje się na ziemi jego wuja.

- Na jego ziemi - poprawił Chang. Svenson skinął głową.

- Myślę, że ona jest niezbędna do sporządzania tego ich niebieskiego szkła!

- Dlatego Tarr został zabity - dodał Chang. - I dlatego wybrali Bascombe'a. Przekonali go do swojej sprawy i złoża glinki znajdą się pod ich kontrolą.

W tym momencie panna Temple wszystko zrozumiała - słowa Crabbego o przydatności szlacheckiego tytułu dla ambitnego człowieka, miłe towarzystwo takich kobiet jak hrabina, a nawet - tu westchnęła rozczarowana - pani Marchmoor, a także cygara, brandy i pochlebstwa takiego rozpustnika, jak Francis Xonck. Zastanawiała się, czy Roger zna rzeczywistą wartość tej niebieskiej glinki, czy też kupiono go tanio jak indiańskiego dzikusa, za paciorki i piórka. Potem przypomniała sobie, że on również miał na twarzy czerwone ślady. Czy zachował nietknięty umysł, czy w trakcie procesu został zmieniony w ich niewolnika?

- A więc jednak jest pionkiem... - szepnęła.

- Założyłbym się, że każdy członek tej klikki uważa wszystkich innych za pionków - zachichotał Chang. - To dotyczy nie tylko biednego Bascombe'a.

- Istotnie - przyznała panna Temple. - Jestem pewna, że ma pan rację. On na pewno jest taki jak oni wszyscy.

Wzruszeniem ramion zbyła ten przejaw współczucia.

- Mimo to pozostaje pytanie, czy powinniśmy skierować nasze wysiłki na Tan - Manor?

- Jest inna możliwość - rzekł doktor Svenson. - Zapomniałem o tym. Niecałe trzy minuty marszu stąd jest otoczony murem ogród, do którego zaprowadził mnie hrabia d'Orkancz, żebym zbadał nieprzytomną kobietę. Właśnie tam wracałem, kiedy zobaczyłem panią przez okno.

- Jaką kobietę? - zainteresował się Chang. Svenson ciężko westchnął i pokręcił głową.

- Jeszcze jedną nieszczęsną ofiarę eksperymentów hrabiego i kolejną zagadkę. Wykazywała wszelkie objawy utonięcia w lodowatej wodzie, chociaż niewątpliwie zostały one wywołane działaniem jakiejś maszyny. Zakładam, że miało to coś wspólnego z tym niebieskim szkłem lub skrzyniami. Nie potrafię powiedzieć, czy przeżyła tę noc. Jednak to pomieszczenie - oranżeria, aby trzymać ją w ciepłe - musi być fortecą hrabiego i znajduje się bardzo blisko. Odszukał mnie, żebym ją leczył...

- Odszukał pana? - zdziwiła się panna Temple.

- Twierdził, że czytał pewną broszurę, którą napisałem przed laty, o wpływie zimnej wody morskiej na...

- Istotnie jest bardzo czytany.

- Przyznaję, że to śmieszne...

- Wierzę panu, ale dlaczego pana szukał? - Panna Temple ściągnęła brwi, intensywnie myśląc. - Chwileczkę... jeśli ta broszura została napisana tak dawno temu, to oznacza, że hrabia już wówczas zajmował się podobnymi obrażeniami!

Svenson skinął głową.

- Tak! Czyżby to świadczyło, że hrabia jest głównym architektem tych eksperymentów?

- W Harschmort to niewątpliwie on zajmował się skrzyniami i tymi dziwnymi mechanicznymi maskami. Wynika z tego, że jest ich mistrzem nauk...

Zadrzała na wspomnienie brutalnych praktyk, jakim poddawał półprzytomne kobiety.

- Jak wyglądała ta kobieta? - przerwał Svensonowi Chang. - Ta w oranżerii.

- Jak wyglądała? - powtórzył lekarz, wyrwany z zadumy. - No cóż... miała ślady na całym ciele... była młoda i piękna, tak... i chyba była Azjatką. Czy pan wie, kto to taki?

- Oczywiście, że nie.

- Możemy sprawdzić, czy nadal tam jest...

- To jedna z możliwości - powiedziała panna Temple, usiłując zapanować nad tą rozmową. - Przychodzi mi do głowy kilka miejsc wartych przeszukania: Harschmort, w St. Royale u hrabiny...

- Dom Crabbego przy Hadrian Square - podsunął Svenson. Odwrócili się do Changa. Milczał, pogrążony w myślach. Nagle podniósł głowę i pokręcił nią.

- Ścigając jednego z nich, zdobylibyśmy jeńca - w najlepszym razie. To oznacza przesłuchanie, groźby, jednym słowem kłopoty. To prawda, możemy poszukać księcia czy któregoś z nich, ale najprawdopodobniej zastaniemy Haralda Crabbego jedzącego kolację z żoną i będziemy musieli poderznąć gardła obojgu.

- Nie spotkałam się z panem Crabbem - powiedziała panna Temple. - Wolałabym ewentualną rzeź ograniczyć do tych, którzy z pewnością wyrządzili nam jakąś krzywdę.

Wiedziała, że Chang poruszy kwestię morderstwa, żeby ich przestraszyć i owszem, była przestraszona, ale zdawała sobie również sprawę z tego, że była to taka sama próba jak ta, jaką ona zaaranżowała dla nich obu, prowadząc ich do galerii. Gdy tak stali i rozmawiali, zrozumiała, że wejście z dwoma mężczyznami do pomieszczenia pełnego na pół obnażonych ciał w istocie było deklaracją pewnej wiedzy i umiejętności, których w istocie nie posiadała. Nie taki miała zamiar, ale to sprawiło, że czuła się ich równorzędną partnerką.

- Zatem nie wystarczy pani po prostu zabić ich wszystkich - uśmiechnął się Chang.

- Nie - odparła panna Temple. - Od początku chciałam wiedzieć dlaczego, od pierwszej chwili, gdy tylko postanowiłam śledzić Rogera.

- Uważa pani, że powinniśmy się rozdzielić? - zapytał Svenson. - Ktoś z nas poszedłby do oranżerii, co może wiązać się ze wspomnianym podrzynaniem gardeł, jeśli jest pełna ludzi hrabiego, a ktoś inny odwiedziłby Tarr Manor?

- A co z pańskim księciem? - spytała panna Temple. Svenson potarł oczy.

- Nie wiem. Nawet oni tego nie wiedzieli.

- Kto nie wiedział? - zapytał Chang. - Dokładnie.

- Xonck, Bascombe, major Blach, hrabia...

- Czy wykluczyli hrabinę?

- Nie. Ani lorda Vandaariffa. Tak więc... księżę być może jest w St. Royale lub w Harschmort. Może gdybyśmy zdołali go odnaleźć, pogłębiłoby to rozdźwięki między nimi i kto wie... sprowokowało do podjęcia jakichś nierozważnych działań lub przynajmniej ujawnienia ich prawdziwych zamiarów.

Chang skinął głową. Odwrócił się do panny Temple i zapytał zupełnie poważnie:

- Co pani sądzi o tym, żebyśmy się rozdzielili? O samodzielnej próbie realizacji jednego z tych celów?

\*

Zanim zdołała odpowiedzieć - a wiedziała, że musi to zrobić - panna Temple nagle wróciła myślami do podskakującego powozu, którym jechała ze Spragiem, do zapachu jego potu, szczeciny na karku, przytłaczającego ciężaru jego ciała, siły natarczywych rąk i strachu wywołanego tym, że tak brutalnie ją obezwładnił. Odpędziła tę myśl i ujrzała kobietę w czerwieni, jej przesywające fiołkowe oczy ostrzejsze niż noże, jej wzdargliwą, jaśniepańską minę i drwiący chichot, który zdawał się odrywać wszystkie nerwy od kręgosłupa panny Temple. Zamrugła. Popatrzyła na obrazy i na tych dwóch mężczyzn, którzy zostali jej sojusznikami - ponieważ ich wybrała i ponieważ zdecydowała się podjąć tę ryzykowną grę. Wiedziała, że zrobią to, co im powie.

- Nie mam nic przeciwko temu - uśmiechnęła się. - Powiedziałabym, że jeśli w ten sposób będę miała okazję własnoręcznie zastrzelić jednego z tych łobuzów, to doskonale.

- Chwileczkę - rzekł doktor Svenson. Patrzył przez jej ramię na przeciwległą ścianę. Podeszedł tam, wycierając monokl o klapę szynela. Stał przed niewielkim płótnem - chyba najmniejszym na tej wystawie - i zerknął na tabliczkę z opisem, a potem ponownie uważnie obejrzał obraz. - Oboje powinniście tu podejść.

Panna Temple zbliżyła się do płótna i nagle ze zdziwienia zaparło jej dech. Jak mogła nie zapamiętać tego obrazu? Płótno - najwyraźniej wycięty fragment jakiegoś większego dzieła - ukazywało eteryczną kobietę spoczywającą na czymś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak sofa lub otomana, lecz po dokładniejszych oględzinach okazało się przechylanym stołem, zaopatrzonym nawet w pasy (czy też może artysta w taki sposób przedstawił biblijne szaty?) krępujące jej ramiona. Nad głową kobiety unosiła się złota aureola, lecz na jej twarzy wokół oczu widniały takie same czerwone obwódki, jakie pozostały na twarzach ziemskich ofiar.

Svenson zajrzał do broszurki.

- *Fragment Zwiastowania...* ma... chwileczkę... - Przewrócił kartkę. - Ma pięć lat. To najnowszy nabytek w kolekcji. Przepraszam.

Zostawił ich i podeszedł do kustosa, który siedział za biurkiem, robiąc notatki w rejestrze. Panna Temple wróciła do obrazu. Nie mogła zaprzeczyć, że jest niepokojąco piękny i ze zgrozą zauważyła, że jasna szata kobiety jest obszyta na kołnierzu rzędem zielonych kręgów.

- Szaty tych w Harschmort - szepnęła do Changa. - Kobiety we władzy hrabiego nosiły takie same!

Doktor wrócił, kręcąc głową.

- No, naprawdę niesamowite - syknął. - Ten artysta, pan Oskar Veilandt, najwyraźniej był mistykiem i szaleńcem, oddającym się alchemii i czarnej magii.

- Doskonale - rzekł Chang. - Może dzięki niemu powiążemy te wszystkie luźne nitki...

- On może doprowadzić nas do innych! - szepnęła podniecona panna Temple.

- Też tak pomyślałem - kiwnął głową doktor. - Jednak powiedziano mi, że pan Veilandt nie żyje już od pięciu lat.

Wszyscy troje zamilkli. Pięć lat? Jak to możliwe? Co to oznacza?

- Ślady na jej twarzy - powiedział Chang. - Są dokładnie takie same...

- Tak - przytaknęła Svenson - co mówi nam, że ta intryga, ten proces, liczy co najmniej tyle lat. Musimy dowiedzieć się więcej: gdzie artysta mieszkał, gdzie umarł, kto sprawuje pieczę nad jego dziełami, na przykład kto sponsoruje tę wystawę...

Panna Temple wyciągnęła palec i wskazała tabliczkę z nazwą dzieła, a przy niej czerwoną kropeczkę.

- Co więcej, doktorze, musimy się dowiedzieć, kto ten obraz kupił!

\*

Kustosz galerii, pan Shanck, z przyjemnością udzielił im informacji (po tym, jak doktor dokładnie wypytał go o ceny kilku większych płócien, w trakcie tego wspominając o rozmiarach ściany macklenburskiego pałacu, ale niestety, pan Shanck niewiele wiedział. Sam Veilandt był zagadką, szkoły kończył w Wiedniu, bywał we Włoszech i Konstantynopolu, miał atelier na Montmartre. Te obrazy przysłał marszand z Paryża, gdzie podobno Veilandt umarł. Zerkając w kierunku tych imponujących dzieł zauważył, że powstały niewątpliwie w wyniku nadmiernego spożycia absyntu lub jakiegoś innego destrukcyjnego nałogu. Obecny właściciel pragnął pozostać anonimowy - zdaniem pana Shancka z powodu skandalizującego charakteru tych dzieł - a pan Shanck kontaktował się z nim za pośrednictwem swojego kolegi z galerii przy bulwarze St. Germain. Pan Shanck najwyraźniej cieszył się aurą intrygi, otaczającą tę kolekcję, i chętnie dzielił się tymi poufnymi informacjami z tymi, których uznał za godnych tego zaszczytu. Mimo to zrobił podejrzliwą minę, gdy panna Temple obojętnym tonem, głośno zastanowiła się, kto też nabył „ten dziwny obrazek” i czy podobne do tego są jeszcze do kupienia. Spodobał jej się i chętnie kupiłaby sobie podobny do domu. Prawdę powiedziawszy, kustosz na te słowa pobałdł.

- Ja... zakładałem... wspomniała pani o ślubie... księcia... Panna Temple pokiwała głową, co jednak nie rozwiązało nagłych obaw kustosza.

- Zgadza się. Właśnie dlatego chciałabym taki kupić.

- Przecież żaden z nich nie jest na sprzedaż! Nigdy nie były!

- To chyba nie najlepszy sposób prowadzenia galerii - powiedziała - a poza tym jeden został jednak sprzedany.

- Po co... po co państwo tu przyszli? - wyjąkał, bardziej do siebie niż do niej, łamiącym się głosem.

- Obejrzeć obrazy, panie Shanck, jak już mówiłam.

- Wcale nie został kupiony - prychnął, machnięciem ręki wskazując obrazek. - Został przekazany w prezencie ślubnym. Dla Lydii Vandaariff. Cała ta wystawa została zorganizowana jedynie po to, by zebrać w jednym miejscu wszystkie te płótna! Wszyscy znający galerię i każdy zasługujący na poinformowanie... oczywiście, związek plastyków także... religia... moralność... żądza... mistycyzm... musicie zdawać sobie sprawę... rozmaite siły... niebezpieczeństwo...

Pan Shanck spojrzał na nich i nerwowo przełknął ślinę.

- Jeśli tego nie wiecie, to jak... kto was...

Panna Temple zauważyła rosnący przestach tego człowieka i odkiwała, że odruchowo uśmiecha się do niego, kręcąc głową na znak, że to wszystko jest nieporozumieniem. Zanim jednak zdążyła coś powiedzieć, Chang doskoczył, groźny i zdecydowany, chwytając pana Shancka za krawat i przyciągając do siebie nad biurkiem. Shanck bełkotał, zabawnie protestując.

- Ja nic nie wiem! - krzyknął. - Ludzie korzystają z galerii jako miejsca spotkań i płacą mi, żebym na to pozwalał. Nic nie mówię. Nikomu o was nie powiem, o żadnym z was, przysięgam...

- Panie Shanck - zaczęła panna Temple, ale Chang przerwał jej gniewnym warknięciem, jeszcze mocniej łapiąc mężczyznę za krawat.

- Mówiłeś, że te malowidła zostały zgromadzone w jednym miejscu... przez kogo?

Shanck wybełkotał, potwornie rozwścieczony i przestraszony - chociaż panna Temple miała wrażenie, że się ich nie obawia.

- Przez... no... przez jej ojca!

\*

Puszczony przez Changa, kustosz uciekł i zamknął się w pomieszczeniu, które - jak podejrzewała panna Temple - było schowkiem na szczotki. Westchnęła, zniechęcona. Jednak dzięki temu mieli chwilę, by porozmawiać.

- Musimy natychmiast stąd wyjść - oznajmiła. Zza odległych drzwi dochodziły jakieś głosy. Wyciągnęła rękę i powstrzymała Changa, który zamierzał to sprawdzić. - Jeszcze nie zdecydowaliśmy...

- Oranżeria - Chang przerwał jej. - Może okazać się niebezpiecznym miejscem, gdzie przyda nam się siła ognia. Ponadto jest niedaleko.

Panna Temple zjeżyła się, słysząc ten stanowczy ton, ale zaraz zauważyła na jego twarzy przelotny grymas. Choć z powodu jego ciemnych okularów nie potrafiła odczytać, jakie wywołały go uczucia, sam fakt ich istnienia obudził jej zainteresowanie. Chang zaczął jej przypominać rumaka szlachetnej krwi, którego siła jest uzależniona od mnóstwa rozmaitych impulsów i wymaga bardzo umiejętnego kierowania.

- Zgadza się - rzekł Svenson.

- Doskonale - powiedziała panna Temple. Z niepokojem słyszała coraz głośniejsze hałasy dobiegające ze schowka na szczotki. - Proponuję jednak, żebyśmy stąd wyszli.

- Czekajcie! - zawołał doktor Svenson i pobiegł z powrotem do *Zwiastowania* Veilandta. Rzuciwszy okiem w kierunku schowka pana Shancka, doktor zerwał obraz ze ściany.

- Chyba nie zamierza go ukraść? - szepnęła panna Temple. Nie zamierzał. Zamiast tego odwrócił obraz i spojrzał na odwrocie, po czym lekkim skinieniem głowy potwierdził, że znalazł tam coś ciekawego. W następnej chwili obraz wrócił na ścianę, a doktor biegiem rzucił się do towarzyszy.

- Co tam było? - spytał Chang.

- Napis - odrzekł Svenson, wypychając ich na ulicę. -

Zastanawiałem się, czy znajdę tam jakąś wzmiankę o większym dziele lub - skoro ten człowiek był alchemikiem - jakąś magiczną formułkę.

- I znalazł pan? - zapytała panna Temple.

Kiwnął głową, wyjmując z kieszeni kawałek papieru i ogryzek ołówka.

- Istotnie, i zaraz ją zapiszę, chociaż te symbole nic mi nie mówią, jednak był tam także napis drukowanymi literami. Nie wiem, co oznaczał...

- Jaki napis? - zapytał Chang.

- *I tak oto zostaną skonsumowani.*

Chociaż żywo pamiętała napis na tablicy w Harschmort, panna Temple nic nie powiedziała, bo nie było na to czasu. Już wyszli na ulicę i doktor wziął ją pod rękę, prowadząc w kierunku oranżerii.

- Krwią? - zapytał Chang.

- Nie - odrzekł doktor. - Niebieskimi literami.

\*

- Wylot tej uliczki znajduje się dokładnie naprzeciwko hotelu Boniface - rzekł ściszym głosem Svenson, gdy szli. - Aby bezpiecznie dotrzeć do bramy ogrodu, będziemy musieli obejść hotel szerokim łukiem i podejść z przeciwnej strony.

- I nawet tam możemy natknąć się na strażników - zauważył Chang.

- Przedtem tam byli. Jednak wtedy był tam hrabia, a teraz mogli odejść razem z nim. Problem w tym, że wszedłem przez ogród, od tyłu, w ciemności i mgle, więc nie mam pojęcia, czy dom przylega do innych, a tym bardziej, czy jest obecnie zamieszkały.

Chang westchnął.

- Obchodząc hotel, bardzo nadłożymy drogi, ale...

- Nonsens - prychnęła panna Temple. Mężczyźni spojrzeli na nią. Naprawdę musi nad tym zapanować. - Wynajmiemy powóz - wyjaśniła i uświadomiła sobie, że dla żadnego z nich wynajmowanie dorożki nie było czymś na porządku dziennym.

Nie ulegało wątpliwości, że wszyscy troje reprezentowali różne rodzaje zalet i słabości. Jako kobieta, panna Temple wyczuwała ich pewność siebie co do tego, w czym ona może zawieść, jednocześnie nie mając takiego rozeznania co do swoich słabości.

Uznała, że wynajęcie powozu to jej zadanie, tak więc zwróciła ich uwagę na ten, który akurat nadjeżdżał aleją.

- Właśnie jeden się zbliża. Czy któryś z was zechciałby pomachać na dorożkarza?

\*

Co uczyniwszy, wszyscy zajęli miejsca z dala od okien i po kilku minutach znaleźli się na drugim końcu uliczki. Chang skinieniem głowy dał pannie Temple znać, że nie widzi żadnych żołnierzy. Wysiedli i odprawili powóz. Wszyscy troje poszli pustą, wąską, brukowaną uliczką, która - jak zauważyła panna Temple - nosiła nazwę Plum Court. Brama znajdowała się w połowie uliczki. Kiedy się do niej zbliżali, odgłosy z sąsiednich uliczek ucichły w gęstniejącym cieniu rzucanym przez okoliczne budynki, zupełnie zasłaniające światło, tak że dochodziło tu tylko to, które padało z góry, bardzo słabe przy tak mocno zachmurzonym niebie. Panna Temple zastanawiała się, jak ogrodowe rośliny mogą rosnąć w tak ciemnym i dusznym miejscu. Gruba drewniana furta była osadzona w łukowatym portalu,

dziwnie przypominającym wejście do kaplicy. Sam portal ozdobiony był kunsztownymi płaskorzeźbami przedstawiającymi morskie potwory, syreny i tonących marynarzy, którzy szli na dno z uśmiechem na ustach.

Panna Temple skierowała wzrok na koniec alejki i w padającym z głównej ulicy świetle ujrzała front hotelu Boniface, wyraźnie jak na kolorowej pocztówce. W drzwiach stał pan Spanning w towarzystwie dwóch żołnierzy. Panna Temple klepnęła Changa w ramię i pokazała mu to. Pospiesznie podszedł do bramy, postawił kwaciastą torbę panny Temple na bruku i sięgnął do kieszeni po ciężki pęk kluczy na kółku. Szybko wyszukał odpowiedni, mrużąc przez zaciśnięte usta:

- Proszę dać mi znać, jeśli nas zauważą... i może stańcie bliżej muru.

Panna Temple i doktor przycisnęli się do muru, sięgając po broń. Panna Temple była bardziej niż trochę zaniepokojona - jeszcze nigdy nie strzelała z rewolweru, a tu proszę, bawi się w opryszka. Chang wetknął klucz do dziurki i przekręcił. Bez skutku. Spróbował następnego, jeszcze jednego, i jeszcze, cierpliwie wyszukując kolejne w pęku.

- Jeśli ktoś jest po drugiej stronie drzwi - szepnął Svenson - usłysz nas!

- Na pewno już usłyszał - odparł szeptem Chang i panna Temple zauważyła, że odruchowo odsunął się - i oni też - stając z boku drzwi, osłonięty framugą przed strzałami, jakie ktoś mógłby przez nie oddać.

Wypróbował następny klucz, potem jeszcze jeden, i jeszcze. Wyprostował się i westchnął, po czym spojrzął na mur. Miał chyba ze trzy metry wysokości, lecz z gładkiej ściany wystawał ozdobny łuk drzwi. Chang schował klucze do kieszeni i odwrócił się do Svensona.

- Doktorze, proszę spleść dłonie...

Panna Temple lekko zaniepokojona i z nieco przewrotnym zaciekawieniem patrzyła, jak Chang staje jedną nogą na splecionych dłoniach doktora Svensona i skacze. Ledwie uchwyciwszy się wystającego łuku, zmienił pozycję tak, by wepchnąć kolano w zagłębienie muru, przeniósł ciężar ciała i wyciągnąwszy rękę, złapał się górnej krawędzi. W mgnieniu oka, zdaniem panny Temple, dając pokaz niezwyklej sprawności fizycznej, Chang przerzucił jedną nogę za krawędź muru. Spojrzął na nich z zawodową obojętnością i znikł im z oczu. Zapadła cisza. Svenson odbezpieczył pistolet. Po chwili rozległ się zgrzyt otwieranego zamka, drzwi otworzyły się i Chang skinął na nich, żeby weszli.

- Czekano na nas - powiedział i wziął od panny Temple torbę.

\*

Pogrążony w mroku ogród był miejscem niesamowitym: zwiędłe rabaty, placki wyschniętej trawy, nagie i obwisłe gałęzie delikatnych, ozdobnych drzew. Panna Temple przechodziła między kamiennymi urnami wyższymi od niej, oplecionymi zwisającymi, zeschniętymi łodygami ostatnich letnich kwiatów. Ogród znajdował się na tyłach dużego domu, który kiedyś - jak zauważyła - był pomalowany na biało, a teraz prawie czarny od grubej warstwy sadzy. Okna i tylne drzwi zostały zabite deskami, praktycznie odgradzającymi dom od ogrodu. Przed sobą panna Temple zobaczyła oranżerię, niegdyś wspianą kopułę z szarzielonego szkła, pokrytą pasmami mchu i bmdu. Drzwi stały otworem, ciemne jak dziura po wybitym zębie. Kiedy szli w ich kierunku, spostrzegła, że doktor Svenson przygląda się rabatom i mamrocze coś pod nosem.

- Co pan tam widzi, doktorze? - zapytała.

- Przepraszam, po prostu patrzyłem, jakie rośliny hodował hrabia. To ogród zielarza o mrocznej duszy. - Pokazał jej kilka zwiędłych łodyg, które pannie Temple wydały się identyczne. - To ciemierzycy... belladona... naparstnica... mandragora... rącznik... krwawnik...

- O rany - szepnęła panna Temple, nie znając wymienianych przez Svensona roślin, ale gotowa podziwiać jego znajomość rzeczy. - Można by pomyśleć, że hrabia jest aptekarzem!

- Oczywiście, panno Temple, wszystkie one są mniej lub bardziej trujące. - Doktor podniósł głowę i razem spojrzeli na drzwi, przez które Chang wszedł, nie czekając na nich. - Może jednak później będzie czas na przyjrzenie się tym rabatom...

\*

Światło w oranżerii miało zielonkawą barwę, jakby weszli do akwarium. Panna Temple podeszła po grubych tureckich dywanach do Changa, który stał obok dużego łoża z baldachimem. Zasłony były ściągnięte ze słupków, a pościel zdjęta. Z rosnącą odrazą spojrzała na materac. Grube obicie było poplamione rdzawymi plamami zaschniętej krwi, a przy wezłowie równie dziwnymi rozpryskami ciemnobłękitnej i jadowicie pomarańczowej barwy. Ku jej zaskoczeniu doktor Svenson wdrapał się na łóżko i na czworakach zaczął pochylać się nad tymi plamami, obwąchując je. Dla panny Temple tak bliski kontakt z cudzymi wydzielinami - w dodatku zupełnie nieznaney osoby - znacznie przekraczał jej poczucie obowiązku. Odwróciła się i zaczęła błądzić wzrokiem po pomieszczeniu.

Chociaż wyglądało na to, że hrabia opuścił oranżerię i zabrał ze sobą wszystko, co mogłoby wyjaśnić, do czego ją wykorzystywał, panna Temple zdołała dostrzec, że to owalne pomieszczenie było podzielone na różne strefy działań. Przy drzwiach znajdował się mały stół roboczy. Opodal zlewy i miy, którymi doprowadzano wodę, a obok zlewów przysadzisty piec

węglowy z szeroką żelazną płytą do gotowania lub - co bardziej prawdopodobne - podgrzewania alchemicznych substancji i eliksirów. Za nimi stał długi drewniany stół przybity do podłogi i zaopatrzony, co zauważyła z dreszczem zgrozy, w skórzane pasy. Obejrzała się za siebie. Doktor Svenson nadal pochylał się nad materacem, a Chang zaglądał pod łóżko. Podeszła do stołu. Jego blat był powypalany i usiany plamami, tak samo - co odkryła, gdy stopa uwięzła jej w sporej dziurze - jak dywan. W rzeczy samej, dywan był zupełnie zniszczony na krótkich odcinkach między piecem a stołem i między piecem a zlewami, a także, zamykając trójkąt, między zlewami a stołem. Podeszła do pieca, był zimny. Z ciekawości przyklęła przed nim i otworzyła drzwiczki. Był pełen popiołu. Rozejrzała się, szukając szczypiec, znalazła je i w skupieniu wystawiając koniuszek języka, zaczęła przesiewać popiół. Po chwili wstała, wytarła ręce i uszczęśliwiona odwróciła się do towarzyszy, trzymając kawałek granatowo-niebieskiego materiału.

- Coś znalazłam, panowie. Jeśli się nie mylę, to chiński jedwab. Czy to możliwe, że z kobiecej sukni?

Chang podszedł do niej i wziął od niej kawałek nadpalonego materiału. Przez chwilę przyglądał mu się bez słowa, a potem oddał panie Temple. Nieco szorstkim tonem zawołał do doktora:

- A pan co nam powie, doktorze?!

Panna Temple nie sądziła, by doktor zwrócił uwagę na ton głosu Changa czy jego nerwowe bębnienie palcami o udo, gdyż odpowiedział niespiesznie, jakby właśnie rozwiązywał kolejną zagadkę.

- Nie jestem pewien... bo widzicie, te plamy krwi tutaj... chociaż moje doświadczenia z różnymi kolorami zaschniętej krwi wydają się stosunkowo świeże...

Wskazał środek materaca i panna Temple pociągnęła Changa, żeby razem z nią przysunął się bliżej łóżka.

- Wygląda na to, że ktoś stracił sporo krwi, doktorze - powiedziała. - Czyż nie?

- Może, ale nie jeśli - proszę wybaczyć niedelikatność - utrata krwi była spowodowana naturalną... hmm... miesięczną niedyspozycją. Widzi pani, że plama jest na środku materaca, tam gdzie należało spodziewać się bioder...

- A może poród? - zapytała. - Czy ta kobieta była w ciąży?

- Nie była. Oczywiście, są inne wyjaśnienia: mógł to być skutek następnej rany, użycia przemocy, nawet pewnego rodzaju trucizny...

- Mogła zostać zgwałcona? - zapytał Chang.

Svenson nie odpowiedział od razu, zerknąwszy najpierw na pannę Temple. Zachowała kamienną twarz i tylko uniosła brwi, zachęcając go do odpowiedzi. Znów zwrócił się do Changa:- Oczywiście, że tak, ale krwotok był obfity. Taka napaść musiałaby mieć katastrofalne skutki, zapewne śmiertelne. Nie mogę powiedzieć nic więcej. Kiedy badałem tę kobietę, nie była ranna. Oczywiście, nie ma gwarancji, że...

- A co z innymi plamami? Niebieskimi i pomarańczowymi? - zapytała panna Temple, wciąż obserwując, jak Chang nerwowo bębni palcami o nogę.

- Nie potrafię powiedzieć. Niebieskie... no cóż, przede wszystkim ich zapach pokrywa się z tym dziwnym odorem, jaki czułem w instytucie i przy zwłokach w kuchni Crabbego - maszynowy, chemiczny. Mogę tylko zgadywać, że jest związany z procesem wytwarzania szkła. Może to narkotyk, a może... sam nie wiem, środek konserwujący lub wiążący - a ponieważ wiąże wspomnienia ze szkłem, może d'Orkancz miał nadzieję, że utrzyma tę kobietę przy życiu. Jestem pewien, że chciał ją uratować - dodał, patrząc na surową minę Changa. - Co do pomarańczowej barwy, to dziwna rzecz. Pomarańcze - lub esencja ze skórki pomarańczy - czasem używana jest jako insektycyd, ze względu na kwasy niszczące eh i ty no wy pancerz. Te plamy mają właśnie taki zapach - gorzkiego koncentratu otrzymanego za pomocą pary.

- Jednak, doktorze, czy sam wygląd tych plam nie sugeruje, że płyn został... wydzielony przez tę kobietę? Jest rozprysnięty, jakby wypluty... - spekulowała panna Temple.

- Owszem, tak. Przenikliwa uwaga!

- Sugeruje pan, że miała robaki?

- Nie, niczego nie sugeruję, tylko zastanawiam się nad efektem działania takiego odczynnika, reagującego z niebieskim płynnym szkłem w ludzkim ciele. Może hrabia próbował wykorzystać go jako odtrutkę?

- Ponieważ rozpuszcza pancerzyk owada, mógłby rozpuścić szkło w jej płucach.

- Właśnie, chociaż - oczywiście nic nie wiemy o składnikach tego szkła, więc nie jestem w stanie orzec, czy mógł okazać się skuteczny.

Przez chwilę nic nie mówili, spoglądając na łoże i ślady po ciele, które na nim leżało.

- Jeśli podziałał - rzekła wreszcie panna Temple - to nie wiem, dlaczego spalili jej suknię.

- Nie wiemy - ze smutkiem pokiwał głową Svenson. - Nie wiemy - warknął Chang. Odwrócił się i wyszedł do ogrodu.

\*

Panna Temple spojrzała na doktora Svensona, który wciąż siedział na łóżku, z zatroskaną i zmieszaną miną, jakby oboje wiedzieli, że coś jest nie tak. Zaczął schodzić - niezgrabnie, bo przeszkadzały mu buty i płaszcz oraz włosy spadające na oczy. Panna Temple pierwsza dotarła do drzwi, porwała torbę z miejsca, gdzie zostawił ją Chang. Torba była szokująco ciężka, Martha była idiotką, myśląc, że ona zdoła przenieść ją choćby kawałek. Wypadła do ogrodu. Chang stał na środku wyschniętego trawnika, spoglądając na ciemne okna domu, które swą upartą ciemnością przypominały pannie Temple lustrzane odbicie okularów Chang. Postawiła torbę i podeszła do niego. Nie odwrócił się. Przystanęła przy nim, może metr od niego. Obejrzała się i zobaczyła doktora Svensona stojącego w drzwiach oranżerii i obserwującego ich.

- Kardynale Chang? - zagadnęła. Nie odpowiedział. Panna Temple nie wiedziała, czy jest coś bardziej irytującego od osoby ignorującej najzupełniej uprzejme, a nawet współczujące pytanie. Nabrała tchu, powoli wypuściła powietrze i ponownie łagodnie zapytała: - Znał pan tę kobietę?

Chang odwrócił się do niej i odparł zimno:

- Ma na imię Angelika. Nie może jej pani znać. Jest... była... dziwką.

- Rozumiem - powiedziała panna Temple.

- Czyżby? - warknął Chang.

Panna Temple zignorowała wyzwanie i ponownie pokazała strzęp nadpalonego jedwabiu.

- Poznaje pan, że to jej?

- Nosila taką suknię wczoraj wieczorem, będąc w towarzystwie hrabiego, który zabrał ją do instytutu. - Chang odwrócił się i zawołał przez ramię do Svensona: - Była tam z nim, wśród tych maszyn! Najwidoczniej to ją pan widział, a teraz zapewne nie żyje.

- Naprawdę? - zapytała panna Temple. Chang prychnął.

- Sama pani powiedziała, że spalił suknię...

- Powiedziałam - przyznała - ale to nie ma sensu. Nie widzę świeżo wzruszonej ziemi w tym ogrodzie, a pan?

Chang zerknął na nią podejrzliwie, a potem rozejrzał się. Zanim zdążył odpowiedzieć, Svenson zawołał od drzwi oranżerii:

- Ja nie widzę!

- Ponadto - proszę wybaczyć niedelikatność - nie znalazłam w piecu żadnych kości. A ponieważ widziałam szczątki zwierząt, które spłonęły w pożarze, sądzę, że gdyby ktoś spalił tutaj ciało, pozostałoby przynajmniej kilka kości. Doktorze?

- Tak sędzę, owszem, choćby kość udowa...

- Zatem pytam, Kardynale Chang - ciągnęła panna Temple - dlaczego, jeśli ona umarła, a on opuścił to miejsce, nie zakopał lub nie spalił jej tutaj? To naprawdę wydaje się rozsądne, a jednak tego nie zrobił.

- Czemu więc spalił suknię? - zapytał Chang.

- Nie mam pojęcia. Może była zniszczona, z plamami, które opisał doktor. Może została skażona. - Odwróciła się do Sven-sona. - Czy ona miała na sobie taką suknię, kiedy ją pan widział, doktorze?

Svenson odkaslnął.

- Nie widziałem takiej sukni - odparł.

- Tak więc nie mamy pewności - oznajmiła panna Temple, patrząc na Changa. - Może pan nienawidzić hrabiego d'Orkancza, ale również nadal mieć nadzieję, że odnajdzie pan tę kobietę żywą, i kto wie, może nawet zdrową.

\*

Chang nie odpowiedział, ale wyczuła w nim pewną zmianę, wyraźnie inną postawę, z jaką przyjął tę odrobinę nadziei. Panna Temple pozwoliła sobie na moment satysfakcji, lecz zamiast tej przyjemności nagle ogarnął ją głęboki smutek i poczucie osamotnienia, jakby przyjmowała za pewnik swoistą solidarność z Changiem, wzajemne podobieństwo, a teraz przekonała się, że nic takiego nie istnieje. Jego uczucia - sam fakt, że miał uczucia, nie mówiąc już o ich natężeniu i tym, iż żywił je do tego rodzaju kobiety - wpędzały ją w przygnębienie. Nie pragnęła być obiektem uczuć takiego mężczyzny - oczywiście, że nie - a mimo to nie była gotowa tak nagle stawić czoło samotności, w dodatku próbując kogoś pocieszyć, co wydawało się szczególnie niesprawiedliwe i z pewnością nie należało do ulubionych zajęć panny Temple. Nic nie mogła na to poradzić. Dotkliwie odczuwała samotność i nagle zaczęła pociągać nosem. Upokorzona, starała się powstrzymać łzy i uśmiechnąć, mówiąc tak rażno i przyjaźnie, jak tylko mogła:

- Zdaje się, że wszyscy kogoś straciliśmy. Pan tę kobietę, Angelikę, doktor swojego księcia, a ja... mojego okrutnego i głupiego Rogera. Chociaż różnica polega na tym, że wy dwaj macie jeszcze nadzieję - oraz chęć - odzyskać tych, których straciliście... podczas gdy ja zadowolę się udzielaną wam pomocą, zdobyciem informacji... i zemstą.

Głos jej się załamał i pociągnęła nosem, zła na siebie za tę słabość, ale nie mogąc jej pokonać. Czy to jest jej życie? Ponownie poczuła w sercu tę zapierającą dech pustkę. Jak mogła pozwolić, by zappełnił ją taki głupiec jak Roger Bascombe. Jak w ogóle mogła sobie pozwolić na uczucia, które pozostawiły jedynie nieukojoyony ból? Jak mogła nadal je żywić,

wciąż chcieć, by powiedział, że to wszystko nieporozumienie, i wziął ją za rękę... Była to z jej strony nieznośna słabość. Po raz pierwszy w swoim dwudziestopięcioletnim życiu panna Temple nie wiedziała, gdzie będzie spała. Zobaczyła, że doktor Svenson podchodzi do niej, i z wymuszonym uśmiechem powstrzymała go machnięciem ręki.

- Pani ciotka... - zaczął - z pewnością, panno Temple, jej troska o panią...

- Phi! - prychnęła panna Temple, nie mogąc znieść jego współczucia. Podeszła do swojej torby i podniosła ją jedną ręką, starając się ukryć jej ciężar i chwiejnie idąc w kierunku bramy. - Zaczekam na ulicy! - zawołała przez ramię, chcąc, by nie zobaczyli malujących się na jej twarzy emocji. - Kiedy skończycie, z pewnością będziemy mieli dużo do zrobienia...

\*

Postawiła torbę na ziemi i oparła się o mur, przyciskając dłonie do oczu, z ramionami wstrząsanymi szlochem. Zaledwie przed chwilą była tak dumna z tego, że znalazła w piecu strzęp jedwabiu, a teraz... I dlaczego? Ponieważ Chang darzy uczuciem jakąś dziwkę? Cały ciężar tego wszystkiego, co przeszła, poświęciła i odepchnęła, znów przygniótł niczym głaz jej drobną postać i wrażliwe serce. Jak znieść takie osamotnienie, taką beznadziejność? Pośród tej burzy uczuć panna Temple, obdarzona sprawnym i przenikliwym umysłem, nie zapomniała o strachu, jaki budzili w niej nieprzyjaciele i nie omieszkała skarcić się za takie dziewczęce popłakiwanie po kątach. Sięgnęła do zielonej torebki po chusteczkę i szukając jej, dotknęła rewolweru, następnego dowodu na to, kim się stała - czemu stawiała czoło z jak zwykle, jeśli miała być szczerą, oplakany skutkiem. Wytarła nos. Wiedziała, że naprawę jest trudna. Nie miała przyjaciół. Była rzeczowa i wymagająca, surowa i nielitościwa. Pociągnęła nosem, gorzko żałując tych rozważań, pogardzając potrzebą, która je zrodziła, a także nimi samymi. W tym momencie nie wiedziała, czego pragnie bardziej, zwinąć się w kłębek na werandzie swego wyspiarskiego domu czy strzelić w serce jednemu z tych łotrów od błękitnego szkła... Tylko czy to była odpowiedź na jej obecny stan ducha?

Głośno pociągnęła nosem. Ani Chang, mimo swych skrywanych humorów, ani Svenson, pomimo swoich wahań, nie stali tu na ulicy we łzach. Jak miała się z nimi równać? Ponownie bezlitośnie zadała sobie pytanie, co właściwie robi. Powiedziała Changowi, że jest gotowa samotnie poprowadzić to śledztwo, chociaż w głębi serca w to nie wierzyła. Teraz wiedziała, że właśnie to musi zrobić - gdyż w tym momencie robienie czegoś wydawało się mieć kluczowe znaczenie - jeśli kiedykolwiek miała pozbyć się tego okropnego wrażenia, że jest podmiotem. Obejrzała się na bramę ogrodu - żaden z nich jeszcze się nie pojawił. Oburącz podniosła torbę i poszła drogą, którą przyszli, oddalając się od hotelu Boniface. Z

każdym krokiem coraz bardziej czuła się jak statek wypływający z portu, aby żeglować po nieznanych wodach, a im dalej odchodziła, tym bardziej była zdeterminowana.

Doszła do alei i zatrzymała dorożkę. Obejrzała się. Serce podeszło jej do gardła. Chang i Svenson stali w bramie ogrodu. Svenson zawołał coś do niej. Chang zaczął biec. Wsiadła do dorożki i rzuciła torbę na podłogę.

- Jedź! - krzyknęła.

Powóz mszył i zaulek oraz jej dwaj towarzysze z niemal okrutną szybkością zniknęli jej z oczu. Dorożkarz obejrzał się na nią i na jego twarzy ujrzała nieme pytanie o cel podróży.

- Do hotelu St. Royale - rzuciła.

## 5

### Ministerstwo

Zanim Chang dotarł do końca alejki, powóz znikł już z pola widzenia i nie dało się nawet ustalić, w jakim odjechał kierunku. Kardynał gniewnie splunął, dysząc z daremnego wysiłku. Obejrzał się i zobaczył doganiającego go Svensona. Doktor miał zaniepokojoną minę.

- Odjechała? - wysapał.

Chang kiwnął głową i znów splunął. Nie miał pojęcia, co tej dziewczynie strzeliło do głowy ani dokąd się skierowała, wiedzona jednym ze swych nieodpowiedzialnych impulsów.

- Moglibyśmy pójść za nią... - zaczął Svenson.

- Jak! - warknął Chang. - Dokąd ona pojechała? Czy zrezygnowała z dalszego śledztwa? A może postanowiła sama zaatakować wroga? Jeśli tak, to którego? I w jakim momencie? Kiedy zostanie schwytana i zanim ją zabiją, powie im wszystko, co chcą wiedzieć, żeby nas dopaść?

Chang był na nią wściekły, ale prawdę mówiąc, na siebie również. Jego gniewny wybuch spowodowany obawą o los Angeliki graniczył z głupotą. Dlaczego? Angelika nie darzyła go uczuciem. Jeśli jeszcze żyje i jeżeli on zdoła ją odnaleźć, to jedynie poprawi jego relacje z Madelaine Kraft. I to wszystko, na tym koniec. Odwrócił się do Svensona i zapytał:

- Ile ma pan pieniędzy?

- Ja... nie wiem... wystarczy na dzień lub dwa... najedzenie i pokój...

- A na bilet kolejowy?

- Zależy, jak daleka byłaby to podróż...

- Zatem proszę. - Chang włożył rękę do kieszeni płaszcza i wyjął skórzany portfel.

Były w nim tylko dwa banknoty o niewielkich nominałach, reszta po noclegu w hotelu

Boniface, ale miał jeszcze garść złotych monet w kieszeni spodni. Z gorzkim uśmiechem wręczył doktorowi Svensonowi jeden banknot. - Nie wiem, co się z nami stanie, a podpora finansowa naszego partnerstwa właśnie odeszła. Jak stoi pan z amunicją?

Jakby na poparcie swojej odpowiedzi, Svenson wyjął z kieszeni pistolet.

- Doładowałem go z zapasów panny Temple. Jej broń ma taki sam kaliber...

- To służbowa czterdziestka czwórka.

- Właśnie.

- A jej broń?

- Również, chociaż zwodniczo mała...

- Nie wie pan, czy choć raz z niej strzelała?

- Nie sędzę.

Obaj stali przez chwilę, bijąc się z myślami. Chang daremnie próbował pozbyć się wyrzutów sumienia. Rany boskie, dlaczego nie uświadomił sobie, że to tak potężna broń, przecież sam jej pomagał ją czyścić. Zastanawiał się, o czym wtedy myślał, choć prawdę mówiąc, dobrze wiedział, co odwróciło jego uwagę: zdziwienie na jej widok w jakże innym stanie niż w pociągu, jej delikatna szyja poznaczona sińcami, a nie plamami krwi, zwinne palce rozkładające naoliwiony czarny rewolwer. Potrząsnął głową. Odrzut takiej broni poderwie jej rękę aż nad głowę. Jeśli nie przyciśnie lufy do ciała przeciwnika, nigdy w nic nie trafi. Po prostu nie miała pojęcia, co robi.

- Nie ma sensu roztrząsać tego, co się stało - rzekł doktor. - Idziemy za nią?

- Jeśli ją złapią, zginie.

- Zatem musimy się rozdzielić, żeby sprawdzić więcej miejsc. To naprawdę pech. Wydaje się, że zaledwie przed chwilą samotnie pędziliśmy nasze życie. Będzie mi brakowało kogoś, kto w razie potrzeby pomógłby mi wdrapać się po rynnie.

Uśmiechnął się i wyciągnął rękę, a Chang ją uścisnął.

- Jestem pewien, że wdrapie się pan na nią sam.

Svenson uśmiechnął się krzywo, jakby doceniał zachętę Changa, ale nie wyglądał na przekonanego.

- Dokąd pójdziemy? - spytał. - I gdzie znów się spotkamy?

- Dokąd ona mogła pojechać? - zastanawiał się Chang. - Sądzi pan, że uciekła do ciotki? Tak byłoby łatwiej dla nas wszystkich...

- Nie sędzę - odparł Svenson. - Wprost przeciwnie, myślę, że jeśli poczuła się zagrożona, to jedynie skłoniło ją do podjęcia bezpośrednich działań.

Chang zmarszczył brwi, myśląc o tym, co powiedziała mu w ogrodzie, o jej twarzy i uśmiechu, który nie sięgnął jej szarych oczu.

- Zatem pojechała do tego idioty Bascombe'a. Svenson westchnął..

- Biedna dziewczyna. Chang znów splunął.

- Pytanie tylko, czy wpakuje mu kulę w łeb, czy z płaczem rzuci się do nóg.

- Nie zgadzam się z panem - powiedział spokojnie Sven-son. - Ona jest dzielna i pomysłowa. Cóż o sobie wiemy? Niewiele. Wiemy jednak, że panna Temple zaskoczyła wielu potężnych ludzi i zdołała ich przekonać, że jest śmiertelnie niebezpieczną zabójczynią oraz kurtyzana. Gdyby nie ona, obu nas zgarnęliby w hotelu. Jeśli zdołamy ją znaleźć, to założę się z panem, że znów ocali nam obu życie.

Chang nie odpowiedział, a potem się uśmiechnął.

- Jaką walutę macie w Macklenburgu? Złote szylingi? Svenson skinął głową.

- Zatem z przyjemnością założę się z panem o dziesięć złotych szylingów, że panna Temple nie uratuje nam życia. Oczywiście, to głupi zakład - bo jeśli nie uratuje, to żaden z nas nie odbierze wygranej.

- Pomimo to przyjmuję zakład.

Ponownie uścisnęli sobie dłonie. Svenson odchrząknął.

- A teraz... ten Bascombe...

- Ma dom na wsi, Tarr Manor. Może jest tam? Albo w ministerstwie lub z Crabbem. - Chang pospiesznie rozejrzał się na boki. Nie powinni tak długo stać na ulicy tak blisko hotelu Boniface. - Wycieczka do Tarr Manor...

- Gdzie to jest?

- Na północy, około pół dnia jazdy pociągiem. Możemy łatwo dowiedzieć się na dworcu Stopping, a może nawet złapiemy tam pannę Temple. Jednak taka wycieczka zabierze sporo czasu. Pozostałe możliwości - jego dom, ministerstwo, mieszkanie Crabbego - wszystkie są w mieście i jeden z nas może je sprawdzić.

Svenson przytaknął.

- Zatem jeden z nas jedzie na wieś, drugi zostaje w mieście. Co pan woli? Ja tu i tam jestem obcy.

Chang się uśmiechnął.

- Ja również, doktorze. - Wskazał swój czerwony płaszcz i ciemne okulary. - Nie pasuję do wiejskiej rezydencji ani do salonów wyższych sfer...

- Jednak to pana miasto, a pan jest zwierzęciem miejskim, jeśli wybaczy mi pan to określenie. Ja pojedę na wieś, gdzie mundur i opowieści o macklenburskim pałacu mogą zrobić większe wrażenie.

Chang odwrócił się i zatrzymał dorożkę.

- Powinien się pan pospieszyć. Jak powiedziałem, może spotka ją pan na dworcu Stropping. Droga do ministerstwa prowadzi mnie w przeciwną stronę. Tu się rozstaniemy.

Po raz trzeci podali sobie ręce, uśmiechając się. Svenson wsiadł do dorożki. Chang bez słowa mszył w przeciwną stronę. Za plecami usłyszał głos Svensona i odwrócił się.

- Gdzie się spotkamy?! - zawołał doktor. Chang przyłożył dłonie do ust i krzyknął:

- Jutro w południe! Pod zegarem na Stropping!

Svenson kiwnął głową i pomachał mu ręką, po czym usiadł. Chang wątpił, czy któryś z nich tam będzie.

\*

Najszybciej jak mógł, Chang skręcił z alei w labirynt krętych uliczek i wąskich zaułków. Przede wszystkim chciał przystąpić do tego zadania na swój zwykły profesjonalny sposób, a nie rzucać się na oślep w coś, czego nie rozumiał - chociaż właśnie tak robiła Celeste. Zastanawiał się, dlaczego myśli o niej jako Celeste, chociaż mówiąc do niej i w rozmowie z doktorem Svensonem, zawsze nazywał ją „panną Temple”. Nieważne - niewątpliwie dlatego, że zachowuje się jak dziecko. Porzuciwszy te rozmyślania, Chang doszedł do wniosku, że jeśli ma podjąć próbę wejścia do biur Ministerstwa Spraw Zagranicznych lub do domu Haralda Crabbego, to powinien być lepiej przygotowany. Przyspieszył do lekkiego truchciku. Nie może pokazać się w Raton Marine, gdyż lokal z pewnością jest obserwowany. Musi teraz zakładać, że Aspiche należy do szajki. Bardzo chciałby skorzystać z biblioteki. Tyle pytań wymagało odpowiedzi - związanych z niebieską gliną, hrabią i hrabiną, Bascombe'em i Crabbem, zagranicznymi podróżami Francisa Xoncka, z Oskarem Veilandtem, a nawet - musiał przyznać - panną Celestial Temple. Jednak w bibliotece znalazła go Rosamonde, więc z pewnością tam na niego czekają. Tak więc, myśląc praktycznie i mrocznie, poszedł do Fabriziego.

Ten włoski zbrojmistrz i były najemnik obsługiwał klientów z całego miasta, a jedyną ich wspólną cechą było upodobanie do eleganckich narzędzi mordy. Chang wszedł do jego sklepu, jak zwykle ze skrywaną przyjemnością spoglądając na zawartość szklanych gablot. Z ulgą ujrzał za kontuarem samego Fabriziego w zielonym flanelowym fartuchu narzuconym na nienagannie odprasowany garnitur.

- Doktorze - rzekł Chang, pochylając głowę w ukłonie.

- Kardynale - odparł Fabrizi, poważnie i z szacunkiem. Chang wyjął sztylet i położył go przed nim.

- Miałem przykry wypadek z resztą twojej wspaniałej laski - rzekł. - Chciałbym, żebyś ją pan naprawił, jeśli to możliwe. W międzyczasie potrzebne mi będzie narzędzie zastępcze. Oczywiście z góry zapłacę za pańskie usługi.

Wyjął z portfela ostatni banknot i położył go na kontuarze. Fabrizi zignorował to, natomiast podniósł sztylet i sprawdził stan ostrza. Odłożył broń na ladę, z lekkim zdziwieniem spojrzął na banknot, jakby ten spadł tam z nieba, po czym spokojnie złożył go i schował do kieszeni fartucha. Ruchem głowy wskazał jedną ze szklanych gablot.

- Może pan sam wybrać sobie zastępczą broń. Pańska będzie gotowa za trzy dni.

- Jestem wielce zobowiązany - rzekł Chang. Podszedł do gabloty. Fabrizi wyszedł zza kontuaru i stanął za nim. - Co by pan proponował?

- Wszystkie są doskonałe - rzekł Włoch. - Dla takiego mężczyzny jak pan zalecałbym cięższe drzewce, tak by można użyć samej laski, prawda? Ta jest z tekowego drewna... a ta z drewna malajskiego drzewa żelaznego.

Podał tę ostatnią Changowi, który wziął ją z przyjemnością. Wygięta jak rękojeść skałkowego pistoletu rączka zapewniała pewny chwyt. Wyjął ostrze - nieco dłuższe niż to, do którego był przyzwyczajony - i zważył laskę w ręce. Była cudowna i Chang uśmiechnął się jak człowiek trzymający na rękach noworodka.

- Jak zwykle, wspaniała robota - rzekł.

\*

Było już po trzeciej. Nie mogąc dowiedzieć się w bibliotece, gdzie mieszka Bascombe, Chang doszedł do wniosku, że najłatwiej będzie śledzić go, kiedy wyjdzie z ministerstwa. Ponadto jeśli Celeste naprawdę zamierzała go szybko odnaleźć, z pewnością też pójdzie do ministerstwa i postara się z nim spotkać, a może zabić go w jego biurze. A jeśli go tam nie będzie... no cóż, Chang odpowie sobie na to pytanie, gdy będzie to konieczne. Zważył monety w kieszeni, zrezygnował z dorożki i pomaszerował w kierunku labiryntu białych budynków. Dotarcie do St. Isobel Square zajęło mu około piętnastu minut, a pięć następnych - włącznie z krótką przerwą na złapanie tchu i przyglądzenie włosów - dojście do frontowych drzwi. Przeszedł pod wielkim białym łukiem, przez morze powozów i tłum poważnych ludzi zaprzątniętych sprawami wagi państwowej, po czym znalazł się na wysypanym żwirem dziedzińcu, gdzie liczne alejki, wyłożone kamiennymi płytami i obsadzone szpalerami ozdobnych krzewów, prowadziły do różnych ministerstw. Jakby stanął w samym środku koła, którego każda szprycha prowadziła do innego tajemniczego świata biurokracji. Ministerstwo

Spraw Zagranicznych znajdowało się na wprost niego, mszył więc przed siebie, z chrzęstem krocząc po żwirze, a potem stukając obcasami o kamienne płyty, aż dotarł do innego, mniejszego przejścia, wiodącego do marmurowego holu i drewnianego biurka, za którym siedział mężczyzna w czarnym garniturze, w asyście żołnierzy w czerwonych mundurach. Z lekkim niepokojem Chang rozpoznał żołnierzy 4. regimentu dragonów, ale zanim zdążył ich dostrzec, oni już go zauważyli. Przystanął, gotowy bronić się lub uciekać, lecz żołnierze nadal stali na baczność. Siedzący między nimi mężczyzna w garniturze z badawczym prychnięciem spojrzał na Changa. - Tak?

- Do pana Rogera Bascombe'a - rzekł Chang. Tamten oszacował jego strój i maniery.

- A... kogo mam zapowiedzieć?

- Pannę Celeste Temple - odparł Chang.

- Proszę wybaczyć... pannę Temple, mówi pan? Mężczyzna był dostatecznie dobrze przygotowany do rozmów z cudzoziemcami, by nie skwitować tego szyderczym uśmiechem.

- Przynoszę wiadomość od niej - wyjaśnił Chang. - Jestem pewien, że zechce ją usłyszeć. Jeśli pan Bascombe jest nieosiągalny, chcę porozmawiać z wiceministrem Crabbem.

- Rozumiem... chce pan... rozmawiać z wiceministrem. Jedną chwileczkę.

Mężczyzna napisał kilka słów na karteczce i wetknął ją do skórzanej rurki, którą wepchnął w mosiężną szczelinę w biurku, gdzie zniknęła, wessana z głośnym sykiem. Changowi przypomniał się Old Pałace i trochę pocieszyła go myśl, że najwyższe szczeble władzy łączy pewne podobieństwo z ekskluzywnym burdelem. Czekał. Przyszło kilku innych gości, których przepuszczono lub poddano takiej samej procedurze, wysyłając wiadomość przez skórzane rury. Chang zerknął na innych czekających - ciemnoskórego mężczyznę w białym mundurze i kapeluszu z pawimi piórami, bladego Rosjanina w niebieskim mundurze z czesanej wełny, ozdobionym rzędem medali i przepasanym szarfą, oraz dwóch starszych panów w podniszczonych czarnych frakach, jakby przez ostatnie dwadzieścia lat brali udział w tym samym balu. Nie zdziwił się, gdy wszyscy czterej też zaczęli się na niego gapić. Rozejrzał się ukradkiem, sprawdzając, czy nie odcięto mu drogi ucieczki i wypatrując niebezpieczeństwa na korytarzach i schodach za biurkiem. Żołnierze stali bez mchu.

\*

Minęło pięć minut, zanim rurka z odpowiedzią z trzaskiem wpadła do przegrody obok biurka. Urzędnik rozwinął kartkę, zanotował coś w książce i wręczył papier jednemu z żołnierzy. Następnie zawołał do Changa:

- Może pan iść na górę! Ten człowiek pokaże panu drogę. Potrzebne mi pana nazwisko i podpis... o, tutaj.

Wskazał drugą książkę leżącą na blacie biurka i podał Kardynałowi pióro. Chang wziął je, podpisał się i oddał pióro.

- Nazywam się Chang - powiedział.

- Po prostu „Chang”? - zdziwił się urzędnik.

- Obawiam się, że w tym momencie tak. - Nachylił się i szepnął: - Jednak mam nadzieję wygrać na wyścigach... a wtedy kupię sobie inne.

Żołnierz poprowadził Changa szerokim korytarzem i zwyczajnymi schodami z polerowanego czarnego granitu, z kutą poręczą. Mijali innych, wchodzących lub schodzących ludzi w czarnych garniturach, ściskających teczki z papierami i niezwracających uwagi na Changa. Na pierwszym podejściu żołnierz skręcił i powiodł go marmurowym korytarzem do następnych schodów, przegrodzonych żelaznym łańcuchem. Otworzył kłódkę i odsunął się, przepuszczając Changa, po czym znów założył łańcuch. Na tych schodach nie spotkali nikogo, a im wyżej wchodzili, tym bardziej Chang zaczynał się obawiać, że zagłębia się w labirynt, z którego nie zdoła się wydostać. Spojrzał na idącego przed nim żołnierza w czerwonym mundurze, zastanawiając się, czy nie lepiej byłoby po prostu pchnąć go nożem pod żebra, póki są sami, a potem zaryzykować. A tak mógł tylko mieć nadzieję, że żołnierz naprawdę prowadzi go do Bascombe'a - lub Crabbego - a nie w jakieś odludne miejsce i w pułapkę. Wspomnił o panie Temple, aby sprowokować reakcję, a także sprawdzić, czy była tu przed nim. Zdziwiło go, że zdołał tutaj wejść bez większego problemu. Mogło to oznaczać, że ona tutaj jest albo że jej nie ma - albo jedynie to, że chcieli ją znaleźć, o czym już wiedział. Musiał zakładać, że ci ludzie, którzy pozwolili mu tu wejść, nie zamierzali go stąd wypuścić. Pomimo to chęć zabicia żołnierza była czysto odruchowa. Wszystko w swoim czasie.

Minęli trzy kondygnacje, ale żadnych drzwi ani okien. Jednak na podejściu następnego piętra żołnierz wyjął z kieszeni płaszcza długi mosiężny klucz, zerknął na Changa i podszedł do grubych drewnianych drzwi. Włożył klucz do zamka i przekręcił go kilkakrotnie przy wtórze donośnych trzasków maszynerii, odbijających się echem na klatce schodowej, zanim drzwi się otworzyły. Odsunął się i dał Changowi znak, by wszedł. Chang zrobił to, instynktownie dzieląc uwagę między podejrzanym mężczyzną za plecami a pomieszczeniem, do którego wchodził. Krótki marmurowy korytarzyk kończył się następnymi drzwiami, oddalonymi od niego o jakieś pięć metrów. Chang obejrzał się na żołnierza, który skinieniem głowy kazał mu iść dalej. Kiedy Chang się nie mszył, żołnierz nagle zatrzasnął drzwi. Zanim Chang zdążył doskoczyć i złapać za klamkę, usłyszał zgrzyt przekręcanego klucza. Drzwi nie ustąpiły. Był zamknięty. Zwymyślał się od naiwnych głupców i pomaszerował do drzwi na

końcu korytarzyka, spodziewając się, że i one będą zamknięte, ale mosięzna gałka obróciła się z cichym trzaskiem dobrze naoliwionego mechanizmu.

\*

Ujrzał przestronny gabinet z ciemnozielonym dywanem i niskim sufitem nieco mniej przytłaczającym dzięki kopulastemu świetlikowi z mlecznego szkła na samym środku sklepienia. Pod ścianami stały półki zapchane setkami opasłych tomów - niewątpliwie urzędowymi dokumentami z całego świata, nagromadzonymi przez dziesięciolecia. Obszerny pokój zajmowały dwa okazałe meble - długi stół konferencyjny po lewej ręce Chang'a i kosztowne biurko po prawej. To ostatnie, niczym planeta o ogromnej masie, przyciągało siłą grawitacji szereg satelitów: stoliczków, popielniczek i stojaków na mapy. Przy biurku nie było nikogo, lecz za stołem, spoglądając znad porozkładanych papierów, siedział Roger Bascombe.

- Ach - powiedział i niezgrabnie wstał.

Chang rozejrzył się po gabinecie i zauważył następane drzwi - zamknięte - osadzone w ścianie za Bascombe'em, jak również coś, co mogło być zamaskowanymi drzwiami w regale, który stał za biurkiem. Zamknął za sobą drzwi, odwrócił się do Bascombe'a i lekko zastukał końcem laski w dywan.

- Dzień dobry - powiedział.

- Istotnie - odparł Bascombe. - Dni robią się coraz cieplejsze.

Chang ściągnął brwi. Nie takiej konfrontacji oczekiwał.

- Sądzę, że zostałem zapowiedziany - rzekł.

- Tak. Właściwie zapowiedziano pannę Celeste Temple. Oczywiście potem podano pańskie nazwisko. - Bascombe wskazał ścianę, pod którą Chang zobaczył aparat nadawczo-odbiorczy poczty pneumatycznej. Bascombe ponownie skinął głową w stronę stołu. - Proszę... zechce pan usiąść?

- Wolałbym stać - odparł Chang.

- Jak pan sobie życzy. Ja wolę siedzieć, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu...

Bascombe znów usiadł za stołem i przez chwilę układał papiery.

- Zatem - zaczął - zna pan pannę Temple?

- Najwyraźniej.

- Tak, najwyraźniej - kiwnął głową Bascombe. - Ona jest... no cóż... jest sobą. Nie mam powodu mówić o niej nic więcej.

Chang miał wrażenie, że Bascombe bardzo ostrożnie dobiera słowa, jakby obawiał się, że zostanie na czymś przyłapany... albo podsłuchany.

- A właściwie dlaczego? - zapytał Chang.

- Ponieważ sama dokonała wyboru - odparł Bascombe. - Tak jak pan.

- I pan?

- Oczywiście, każdy musi ponosić konsekwencje swoich czynów. Na pewno nie chce pan usiąść?

Chang zignorował pytanie. Uważnie przyglądał się temu szczupłemu, dobrze ubranemu mężczyźnie siedzącemu za stołem, próbując zdecydować, do którego z rywalizujących kręgów nieprzyjaciół go zaliczyć. Mimo woli dostrzegał w nim to, co jego zdaniem widziała kobieta: odpowiedzialność, wyrafinowanie, dziwną mieszaninę wyniosłości i obojętności. I nie jakaś tam kobieta, ale konkretnie panna Temple. Kochała tego człowieka - niemal na pewno nadal kocha - gdyż kobiety już takie są. Patrząc na niego, Chang musiał przyznać, że Bascombe posiada wiele atrakcyjnych cech, a jednocześnie zdawał sobie sprawę, że bardzo go nie lubi. Kardynał się uśmiechnął.

- Ambicja... wyprawia z człowiekiem dziwne rzeczy, przyzna pan?

Bascombe zmierzył go beznamiętnym, poważnym spojrzeniem księgowego.

- Jak to?

- Chciałem powiedzieć, że... często się zdaje, iż człowiek zdobywa to, czego wydawał się pragnąć... tylko nie ma pojęcia, jakim kosztem.

- Dlaczego pan mi to mówi?

- No właśnie, dlaczego? - uśmiechnął się Chang. - Taka opinia powinna wynikać z osobistych doświadczeń. Tak więc skąd ja mógłbym to wiedzieć? - A kiedy Bascombe nie odpowiedział, Chang wskazał laską wielkie biurko. - Gdzie pańscy współpracownicy? Gdzie pan Crabbe? Dlaczego spotyka się pan ze mną sam? Nie wie pan, kim jestem. Nie rozmawiał pan z biednym majorem Blachem? Nie jest pan w najmniejszym stopniu zaniepokojony?

- Nie jestem - odparł Bascombe z niedbałą pewnością siebie, na widok której Chang miał ochotę rozkwaśnić mu nos. - Pozwolono panu wejść do tego gabinetu, żeby złożyć panu pewną propozycję. Zakładam, że nie jest pan idiotą i ja również nie jestem idiotą, tak więc nic mi nie grozi, dopóki nie zostanie ona złożona.

- A jakaż to propozycja?

\*

Jednak zamiast odpowiedzieć, Bascombe gapił się na Changa, mierząc wzrokiem jego i jego strój, jakby miał przed sobą jakieś zwierzę albo cyrkowca. Chang był dostatecznie bystry, by zrozumieć, że tamten robi to celowo, chcąc go rozzłościć, jednak nie rozumiał, dlaczego Bascombe tak ryzykuje, będąc ewidentnie w niebezpieczeństwie. Cała ta sytuacja

była dziwna - bo choć Bascombe mówił o planach i propozycjach, Chang wiedział, że jego przybycie do ministerstwa musiało być zaskoczeniem. Bascombe zatrzymywał go tu, bardzo ryzykując, ponieważ na coś czekał - na przybycie posiłków? To nie miało sensu, ponieważ żołnierze mogli go zatrzymać, zanim wszedł na górę. Zamiast tego przyprowadzili go tu okrężną drogą. Czyżby to wszystko było na pokaz i Bascombe demonstrował w ten sposób swoją lojalność, czy też prowadził jakąś podwójną grę? A może ta zwłoka nie miała na celu sprowadzenia tu kogoś, ale umożliwienie komuś opuszczenia tego pokoju?

Szybkim ruchem Chang podniósł laskę i doskoczył do Bascombe'a. Zanim młodzieniec zdołał podnieść się z krzesła, Kardynał uderzył go końcem laski w ucho. Bascombe osunął się z krzykiem, przyciskając dłoń do ucha. Chang wykorzystał okazję i przycisnął laskę do jego gardła. Bascombe zakrztusił się i poczerwieniał. Chang pochylił się i powiedział powoli:

- Gdzie ona jest?

Bascombe nie odpowiedział od razu. Chang mocno nacisnął laską na jego tchawicę.

- Gdzie ona jest?

- Kto? - wycharczał Bascombe.

- Nie sądzę, żeby wiedział, o kogo panu chodzi.

Chang błyskawicznie odwrócił się i płynnym ruchem wyrwał ostrze z laski. Za biurkiem, niedbale oparty o regał, stał Francis Xonck w musztardowo-żółtym prochowcu, ze starannie ufryzowanymi rudymi włosami i niezapalonym cienkim cygarem w dłoni. Chang ostrożnie zrobił krok w jego kierunku, zaryzykował rzut oka na Bascombe'a, który wciąż próbował złapać oddech.

- Dzień dobry - powiedział Chang.

- Dzień dobry. Mam nadzieję, że nie zrobił mu pan krzywdy.

- Dlaczego? Czy to pańska własność? Xonck się uśmiechnął.

- Bardzo sprytnie. Jednak wie pan co, ja też jestem sprytny i muszę panu pogratulować - zagadka dotycząca tej, której pan tak rozpaczliwie poszukuje, jest naprawdę zajmująca. Chodzi o Rosamonde? Czy o pannę Temple, a może powinienem powiedzieć Hastings? Albo jeszcze lepiej, o tę nieszczęsną skośnooką dziwkę hrabiego? Tak czy inaczej, myśl, że naprawdę szuka pan którejś z nich, jest naprawdę zabawna. Ponieważ jest pan tak męski, a jednocześnie taki z pana bufon. Pan wybaczy.

Wyjął z kieszeni pudełko zapalek i zapalił cygaro, spoglądając na Changa z nad rozżarzonego końca, po czym spojrzał na Bascombe'a.

- Przeżyjesz, Rogerze?

Uśmiechnął się, słysząc odpowiedź Bascombe'a - głuchy kaszel - i rzucił wypaloną zapalną na blat biurka.

Chang zbliżył się o kolejny krok do Xoncka, który wydawał się równie beztroski jak przed chwilą Bascombe, i dziwnie wesoły, podczas gdy tamten był czujny.

- Mam pana o to zapytać?

- Lepiej niech pan posłucha - odparł sucho Xonck. - Albo zamiast tego pomyśli. Drzwi za panem są zamknięte, tak samo jak te za mną. Nawet gdyby zdołał pan wydostać się stąd tymi, które znajdują się za Bascombe'em - co się panu nie uda - obiecuję, że szybko zagubi się pan w labiryncie korytarzy, nie mając żadnych szans na ucieczkę przed znaczną liczbą żołnierzy, którym rozkazano pana zabić. Zginąłby pan, panie Chang, a pańska śmierć nie posłużyłaby nikomu - tak jak śmierć psa przejechanego w ciemnościach przez dorożkę.

Ściągnął brwi, zdjął z dolnej wargi okruch tytoniu i odrzucił go, a potem znów spojrzał na Changa.

- Proponuje pan, żebym panu służył? - zapytał Chang.

- Raczej sobie - wychrypiał Bascombe od stołu.

- Dochodzi do siebie! - zaśmiał się Xonck. - Jednak wie pan co? On ma rację. Niech pan będzie rozsądny i odda przysługę samemu sobie.

- Tracimy czas... - mruknął Chang, ruszając na Xoncka. Ten ani drgnął, ale powiedział szybko i ostro:

- To głupie. Zabiję cię. Zatrzymaj się i pomyśl.

Mimo woli Chang zrobił to. Już prawie miał tamtego w zasięgu ręki i gdyby uderzył drzewcem laski... Jednak tego nie zrobił, między innymi dlatego, że zauważył, iż Xonck się nie boi... ani trochę.

- Z jakiegokolwiek powodu pan tu przyszedł - rzekł Xonck - musi pan zakończyć swoje poszukiwania. Wpuszczono tu pana tylko dlatego, jak już powiedział pan Bascombe, żeby złożyć panu propozycję. Jest mnóstwo czasu, by rozpocząć walkę lub umrzeć - na to zawsze jest czas - ale nie ma już czasu, by odnaleźć tę kobietę, którą miał pan nadzieję tu znaleźć.

\*

Chang miał ogromną ochotę przeskoczyć przez biurko i dźgnąć go, ale instynkt - któremu nauczył się ufać - mówił mu, że Xonck to nie Bascombe i atak na niego należy przeprowadzić równie ostrożnie, jak na jadowitą kobrę. Xonck nie wyglądał na uzbrojonego, ale mógł mieć mały pistolet albo buteleczkę z kwasem. Jednocześnie Chang nie wiedział, co sądzić o jego ostrzeżeniach w kwestii ucieczki korytarzami ministerstwa. Chociaż mogło to

być prawdą, Xonck miał poważne powody, by kłamać. Tylko dlaczego pozwolili mu tu wejść bez eskorty żołnierzy? Zbyt wiele pytań, ale Chang wiedział, że najwięcej można się dowiedzieć o człowieku, poznając cenę, za jaką spodziewa się ciebie kupić. Cofnął się z szyderczym uśmiechem.

- Jaka to propozycja?

Xonck uśmiechnął się, ale odpowiedział Bascombe, wyraźnie i spokojnie, pomimo chryпки, jakby opisywał poszczególne kroki obsługi jakiejś maszyny.

- Nie mogę podać szczegółów. Nie próbuję pana przekonać, tylko oferuję możliwość. Ci, którzy przyjęli nasze zaproszenie, odnieśli i będą odnosili należyte korzyści. Ci, którzy je odrzucili, już nie sprawią nam kłopotów. Zna pan pannę Temple. Być może mówiła o naszych zerwanych zaręczynach. Ja nie mogę - gdyż nie potrafię mówić o tym, co było przedtem, tak jak nie mogę opowiadać o moim niemowlęctwie. Tyle się zmieniło, tyle wyjaśniło, że mogę jedynie mówić o tym, kim się stałem. To prawda, że uważałem się za zakochanego. Tak było, ponieważ nie potrafiłem spojrzeć szerzej, gdyż wierzyłem, mając wąskie horyzonty, iż ta miłość mnie wyzwoli. W jaki sposób spoglądałem na ten świat, który - jak sobie wmawiałem - tak dobrze rozumiałem? Poprzez bezużyteczny związek z inną osobą, przez ucieczkę, zastępującą samodzielne działanie. To co uważałem jedynie za konsekwencje tego związku - pieniądze, pozycja, odpowiedzialność, przyjemność - teraz postrzegam jedynie jako elementy moich nieograniczonych możliwości. Rozumie pan?

Chang wzruszył ramionami. Ta błyskotliwa wypowiedź była nieco abstrakcyjna, jak wyuczone na pamięć przemówienie demagoga... a jednak, czy przy recytowaniu tych słów oczy Bascombe'a pozostały nieruchome? Czy nie zdradzały wewnętrznego napięcia? Jakby w odpowiedzi na te pytania Changa, Bascombe pochylił się ze skupioną miną.

- To naturalne, że różne osoby mają rozmaite cele, lecz równie oczywiste jest, że jeśli te cele łączą się ze sobą, to korzyść jednego przynosi korzyści wszystkim. Przysłuż się sobie. Jest pan człowiekiem zręcznym, a może nawet dość inteligentnym. Sposób, w jaki zdołał pan pokrzyżować nasze plany, dowodzi pańskiej wartości. Nie mówimy o wzajemnych urazach, jedynie o różnicy interesów. Niech pan zrezygnuje z dalszych takich działań, przyłączy się do nas i bogaci się do woli. Czegokolwiek pan chce - wszelkie pańskie czyny zostaną nagrodzone.

- Ja nie mam wuja ze szlacheckim tytułem - zauważył Chang. Wolałby, żeby Xoncka tu nie było - nie dało się odgadnąć prawdziwych intencji Bascombe'a w obecności jego pana.

- Roger też już nie ma - zachichotał Xonck.

- Właśnie - rzekł Bascombe, okazując tyleż samo uczucie, co drewniane krzesło, na którym siedział.

- Obawiam się, że nie rozumiem waszej propozycji - rzekł Chang.

Xonck prychnął.

- Niech pan się nie zgrywa.

- Kieruje panem pożądanie - rzekł Bascombe. - Ambicja. Frustracja. Gorycz. Co pan zrobi? Będzie walczył z nimi, aż jedna z pańskich przygód źle się skończy i wykrwawi się pan w jakimś ciemnym zaułku? Czy powierzy pan swoje życie kaprysom jakiejś... - tu lekko się zająknął - ...dziewczyny z prowincji? Sekretnym interesom niemieckiego szpiega? Poznał pan hrabinę. Ujęła się za panem. To na jej żądanie jest pan tutaj. Wyciągamy rękę. Niech pan ją przyjmie. Proces zmieni pana, tak jak zmienił nas wszystkich.

Ta oferta była złożona w niezmiernie łaskawy sposób. Chang patrzył na Xoncka, który miał na twarzy łagodny, sztuczny uśmiech.

- A jeśli odrzucę tę propozycję?

- Nie robi pan tego - rzekł Bascombe. - Nie jest pan głupcem.

Chang dostrzegł strużkę krwi pod uchem Bascombe'a, lecz doznany ból najwidoczniej nie osłabił pewności siebie tego człowieka ani bystrości jego spojrzenia, z którego Chang nic nie mógł wyczytać. Znowu spojrzął na Xoncka, który przetoczył cygaro między palcami i wydmuchnął strugę dymu w kierunku sufitu. Pytanie, jak dowiedzieć się więcej, jak znaleźć Angelikę lub Celeste, a nawet - musiał przyznać - stawić czoło Rosamonde. Czy przyszedł tu tylko po to, żeby bez oporu oddać się w ich ręce?

\*

Przynajmniej na temat ministerstwa Xonck mówił prawdę. Szli po ciemku krętym korytarzem, Bascombe z latarnią na przedzie, Xonck z tyłu. Pomieszczenia, które mijali - w migotliwym świetle lampy Chang widział tylko ich migawkowe obrazy - zostały zbudowane bez żadnej logiki. Jedne były zapchane skrzyniami, mapami, stołami i krzesłami, kanapami i biurkami, podczas gdy inne - zarówno duże, jak małe - były puste lub stało w nich tylko jedno krzesło. Jedynym wspólnym mianownikiem był całkowity brak okien, a właściwie jakiegokolwiek oświetlenia. Ze swoim kiepskim wzrokiem Chang wkrótce zupełnie stracił orientację, prowadzony przez Bascombe'a tu i tam, w górę po schodach i w dół po stromych pochylniach. Wprawdzie pozwolili mu zatrzymać laskę, ale z każdym krokiem coraz bardziej był w ich mocy.

- Ten wasz proces... - zapytał, pozornie kierując pytanie do Bascombe'a, ale mając nadzieję, że odpowie mu Xonck. - Czy naprawdę sądzicie, że po nim stracę chęć zniszczenia was obu?

Bascombe przystanął, odwrócił się twarzą do niego i odpowiedział, zerknąwszy najpierw na Xoncka.

- Kiedy sam pan tego doświadczy, będzie się pan wstydził swoich wątpliwości i drwin, jak również bezsensownego życia, jakie wiódł pan dotychczas.

- Bezsensownego?

- Żałośnie. Jest pan gotowy?

- Pewnie tak.

Chang usłyszał szmer w ciemności za plecami. Był pewien, że Xonck trzyma w ręku broń.

- Idziemy - mruknął Xonck.

- Przekonaliście pułkownika Aspiche'a do waszej sprawy, prawda? Czwarty regiment dragonów to dobry oddział - i tak pomocny Ministerstwu Spraw Zagranicznych. Dobrze, że przeszedł na waszą stronę. - Cmoknął i rzucił przez ramię do Xoncka: - Nie nosi pan żałoby. A Trapping był pańskim szwagrem.

- I jestem załamany jego śmiercią.

- Dlaczego więc musiał umrzeć?

Nie otrzymał odpowiedzi. Chang zrozumiał, że potrzebowałby czegoś więcej, żeby ich sprowokować. Szli w ciszy zakłócanej jedynie szuraniem ich nóg, a światło lampy odbijało się od czegoś, co wyglądało jak zawieszony pod sufitem kandelabry. Korytarz doprowadził ich do jakiegoś większego pomieszczenia. Xonck zawołał do idącego z przodu Bascombe'a:

- Rogerze, postaw lampę na podłodze!

Bascombe odwrócił się, spojrział na Xoncka, jakby nie do końca zrozumiał, a potem postawił lampę na drewnianej podłodze, poza zasięgiem Changa.

- Dziękuję. A teraz idź. Znajdziesz drogę. Powiedz, żeby przygotowali maszyny.

- Jest pan pewien?

- Tak.

Zanim zniknął w ciemności, Bascombe jeszcze raz badawczo spojrział na Changa, który wykorzystał tę okazję i posłał mu szydery uśmiech. Słyszał jego kroki jeszcze chwilę po tym, jak Bascombe wyszedł z kręgu światła, ale niebawem w pokoju znów zapadła cisza. Xonck przeszedł kilka kroków w półmroku i wrócił z dwoma krzesłami. Postawił je i

kopniakiem przysunął jedno Changowi, który zatrzymał je nogą. Xonck usiadł i po chwili Chang poszedł za jego przykładem.

\*

- Pomyślałem, że warto podjąć szczerą dyskusję. W końcu za pół godziny będzie pan moim sprzymierzeńcem albo tępem, więc nie ma sensu owijać niczego w bawełnę.

- To takie proste? - zdziwił się Chang.

- Owszem.

- Nie wierzę panu. Nie mówię o mojej decyzji, czy poddać się, czy zginąć - ta jest prosta - ale pańskie motywy... chęć rozmowy bez Bascombe'a... wcale nie są takie proste.

Xonck przyglądał mu się, ale nic nie mówił. Chang postanowił zaryzykować i zrobić dokładnie to, czego tamten się domagał - mówić szczerze.

- Są dwa poziomy tego waszego przedsięwzięcia. Są ci, którzy przeszli ten cały proces, tak jak Margaret Hooke... oraz tacy - jak pan lub hrabina - którzy pozostają wolni. I rywalizują pomimo pańskiej retoryki.

- Rywalizują o co?

- Nie wiem - przyznał Chang. - Dla każdego z was stawka jest inna. Podejrzewam, że właśnie na tym polega problem. Jak zawsze.

Xonck zachichotał.

- Jednak moi towarzysze i ja doskonale się zgadzamy. Chang skrzywił się pogardliwie. Zdawał sobie sprawę z tego, że nie widzi prawej ręki Xoncka, którą ten niedbale opuścił z boku krzesła, chowając za nogą założoną na drugą nogę.

- Dlaczego miałyby to pana dziwić? - spytał Xonck. Chang znów się skrzywił.

- Czemu więc tak kiepsko upozorowano nieszczęśliwy wypadek Tarra? Dlaczego zginął Trapping? Co z tym martwym malarzem, Oskarem Veilandtem? Dlaczego hrabina pozwoliła ocalić księcia? I gdzie on teraz jest?

- Mnóstwo pytań - zauważył sucho Xonck.

- Przepraszam, jeśli pana zanudzam. Gdybym jednak był na pańskim miejscu i nie znał odpowiedzi...

- Jak już wyjaśniłem, będzie pan...

- Nie sądzi pan, że to zabawne? Próbuje pan zdecydować, czy zabić mnie, zanim się do was przyłączę, żeby nie powiadomił innych o pańskich własnych planach, a ja próbuję zdecydować, czy zabić pana, czy spróbować dowiedzieć się więcej o tym waszym procesie.

- Tylko że ja nie mam żadnych własnych planów.

- Jednak hrabina ma. I pan o tym wie. Inni nie wiedzą.

- Bascombe będzie rozczarowany, jeśli się pan nie zjawi. On tak lubi porządek. -  
Xonck wstał, jedną rękę nadal trzymając z tyłu. - Niech pan zostawi lampę.

Chang wstał razem z nim, niedbale trzymając laskę w lewej ręce.

- Czy spotkał pan tę młodą kobietę, pannę Temple? Była narzeczoną Bascombe'a.

- Tak słyszałem. Jestem pewny, że to był wstrząs dla biednego Rogera. Dobrze, że on jest taki zrównoważony. Tyle hałasu o nic.

- Hałasu?

- Te poszukiwania Isobel Hastings - prychnął Xonck. - Tajemniczej dziwki morderczyni.

Oczy Xoncka błyszczały inteligencją i sprytem, a jego ciało poruszało się ze zwinną swobodą atlety lub polującego wilka - jednak pod tym wszystkim, niczym warstwa przegniłej tkanki w pniu drzewa, tkwiła arogancja bogacza. Chang wiedział, że ten człowiek jest niebezpieczny i może nawet pokonałby go w walce - nigdy nie wiadomo - lecz to wszystko opierało się na fundamencie przywilejów, nieuzasadnionej wyższości zrodzonej przez siłę, strach, pogardę, kupione doświadczenie i bezgraniczną arogancję. Chang uznał za dziwne, że lekceważąca uwaga Xoncka o Celeste pomogła mu ocenić tego człowieka - bo choć ona też była głupią bogatą dziewczyną, mimo to zdołała przetrwać i - co najważniejsze - zaakceptować fakt, że te przeżycia ją zmieniły. Chang nie wierzył, by Francis Xonck kiedykolwiek się zmienił. W rzeczy samej wszelka zmiana była czymś poniżej jego godności.

- Rozumiem więc, że jej pan nie spotkał - powiedział Chang. Xonck wzruszył ramionami i wskazał drzwi w cieniu za Changiem.

- Jakoś zniosę tę stratę. Pan pozwoli...

- Nie.

- Nie?

- Dowiedziałem się już tego, czego chciałem. Teraz odejdę. Xonck wyjął rękę zza pleców i wycelował w pierś Changa błyszczący pistolet o posrebrzanej rękojeści.

- Do piekła?

- Prędzej czy później z pewnością. Dlaczego zaproponowaliście mi udział w waszym procesie? Czyj to był pomysł?

- Bascombe już panu mówił. Jej.

- Czuję się zaszczycony.

- Niepotrzebnie.

Xonck spoglądał na niego, a migoczące światło latarni podkreślało wyraziste rysy jego twarzy. Sterczący nos i wystająca broda nadawały mu zdecydowanie diabelski wygląd. Chang

wiedział, że jest zaledwie kwestią chwili, zanim Xonck go zastrzeli lub przekaże Bascombe'owi. Był przekonany, że jego domysły co do tarć w klice były słuszne i że Xonck był dostatecznie sprytny, żeby też to dostrzec. Lecz czy był dostatecznie arogancki, aby sądzić, iż nie mają żadnego znaczenia, że jest nietykalny? Oczywiście, że tak. Czemu więc chciał porozmawiać? Dowiedzieć się, czy Chang nadal pracuje dla Rosamonde? A jeśli sądził, że tak... czy będzie próbował go zabić, czy zechce zrobić hrabinie przyjemność i pozwoli mu uciec... Może dlatego odesłał Bascombe'a?

Chang ze smutkiem pokręcił głową, jakby dał się przyłapać.

- A mówiła, że jest pan najmądrzejszy z nich wszystkich, mądrzejszy nawet od hrabiego d'Orkancza.

Xonck przez chwilę nie odpowiadał. Potem rzekł:

- Nie wierzę panu.

- Wynajęła mnie, żebym znalazł Isobel Hastings. Zrobiłem to. Zanim zdołałem się z nią skontaktować, przeszkodził mi ten idiota, niemiecki major...

- Nie wierzę panu.

- Niech pan sam ją zapyta. - Nagle zniżył głos i syknął gniewnie: - Czy to wraca Bascombe?

Chang zaczął się odwracać, jakby usłyszał kroki, więc naturalnie Xonck nie byłby człowiekiem, gdyby nie spojrział - choćby przelotnie - w tamtym kierunku. W tym momencie Chang, trzymający dłoń na oparciu drewnianego krzesła, poderwał je i z całej siły cisnął nim w Xoncka. Pistolet wypalił, rozbijając drewno, a potem jeszcze raz, ale usiłując się uchylić, Xonck nie zdołał dobrze wycelować i chybił. Krzesło z trzaskiem uderzyło go w ramię. Zaklął i zatoczył się do tyłu w obawie, że Chang rzuci się na niego z laską. Krzesło upadło na podłogę, a Xonck z twarzą wykrzywioną grymasem wściekłości próbował ponownie wymierzyć. Trzeciemu wystrzałowi zawtórował zdziwiony okrzyk. Chang złapał lampę naftową i cisnął nią w niego. Płyn oblał wyciągniętą rękę Xoncka. Iskry wystrzału zapaliły naftę. Strzał chybił o dobry metr. Chang zdążył jeszcze zobaczyć, jak Xonck, rycząc z wściekłości, upuścił pistolet i rozpaczliwie usiłuje zedrzeć z siebie prochowiec, a jego spowite płomieniami palce kurczowo zaciskają się w syczącym ogniu trawiącym całą prawą rękę. Chang skoczył w ciemność.

Nic nie widział. Zwolnił i zaczął iść krok za krokiem, z wyciągniętymi rękami, żeby nie wpaść na ścianę lub jakiś mebel. Musi szybko oddalić się od Xoncka, ale powinien zrobić to po cichu. Namacał ścianę po lewej i poszedł wzdłuż niej, chyba w przeciwnym kierunku. Czyżby siedł jakimś korytarzem? Przystanął, by posłuchać. Już nie słyszał Xoncka... czy ten

mógł tak szybko ugasić ogień? A może nie żyje? Chang nie sądził, żeby tak było. Pocieszała go tylko myśl, że teraz Xonck będzie musiał strzelać lewą ręką. Chang skradał się dalej, macając zasłonę, aż natrafił na przejście. Minąwszy je - i o mało nie skręciwszy sobie nogi, gdy nie natrafił na pierwszy stopień - znalazł bardzo wąskie schody. Z łatwością mógł dotknąć rękami ścian. Cicho zszedł na dół. Dotarł na podest dwadzieścia schodków niżej i usłyszał na górze jakieś hałasy. To z pewnością Bascombe. Zaraz przyniosą światła i rozpoczną poszukiwania. Chang pomacał przed sobą, szukając ściany, znalazł drzwi, a potem klamkę. Były zamknięte. Chang bardzo ostrożnie sięgnął do kieszeni po pęk kluczy i mocno je chwyciwszy, żeby nie brzęczały, zabrał się za zamek. Otworzył go drugim z kolei kluczem, wszedł do środka i cicho zamknął za sobą drzwi.

\*

W tym nowym pomieszczeniu, jakkolwiek pełniło rolę, też było ciemno jak w grobie. Chang zastanawiał się, ile upłynie czasu, zanim w korytarzach zaroi się od żołnierzy. Po omacku szedł naprzód. Natrafił rękami na stos drewnianych skrzyń, a potem na zakurzony regał. Ominął je i z ulgą namacał szklaną tafłę, jakieś okno, niewątpliwie zamalowane na czarno. Chang wyjął z laski sztylet i zręcznie postukał ręką w szkło, wybijając szybę. Światło wdarło się do pomieszczenia, zmieniając bezkształtny mrok w zwyczajny przedsionek pełen zakurzonych i nieużywanych mebli. Zerknął przez pękniętą szybę. Okno wychodziło na jedną z podobnych do szprych alejek i było - wyciągnął szyję - co najmniej dwa piętra poniżej dachu. Z niepokojem zauważył, że zewnętrzny mur jest gładki, bez póltek, występów czy rur umożliwiających wspinaczkę lub zejście. Tędy nie zdoła uciec.

Chang błyskawicznie odwrócił się, czując na plecach zimny powiew - jakby z otwartych drzwi. Źródłem tego podmuchu był zakratowany otwór w podłodze, z którego chłodne powietrze - wraz z przyprawiającym o mdłości zapachem - płynęło w kierunku otwartego okna. Chang przyklęknął przy otworze. Usłyszał jakieś głosy. Westchnął zniechęcony - nie mógł rozróżnić słów, zniekształconych przez pogłos. Otwór był dostatecznie szeroki, żeby mógł się przezeń przecisnąć dorosły mężczyzna. Chang pomacał i z ulgą odkrył, że kanał jest suchy. Najciszej, jak mógł, odsunął kratkę, a kiedy szpara była dostatecznie szeroka, wcisnął się do środka. Wewnątrz panowały nieprzeniknione ciemności. Wetknął do środka laskę i sam wcisnął się w ślad za nią. Miejsca ledwie wystarczało na poruszanie się na czworakach. Cicho po-czołgał się naprzód.

Przebył około pięciu metrów, gdy kanał rozdzielił się na trzy inne - dwa boczne i jeden biegnący stromo w górę. Głosy dochodziły z góry, z piętra, które przed chwilą opuścił. Spojrzał w tamtym kierunku i dostrzegł słabe światło. Ruszył w górę, zapierając się nogami,

żeby się nie ześlizgnąć. Po chwili kanał znów stał się znacznie mniej stromy, a wpadające doń światło jaśniejsze. Chang piął się dalej, z coraz większym trudem, gdyż powierzchnia kanału była pokryta jakimś drobnym proszkiem, który uniemożliwiał znalezienie pewnego chwytu czy podparcia. Czy to sadza? W ciemności nie mógł tego sprawdzić, więc nadal próbował dotrzeć do źródła światła, klnąc w duchu, że zapewne strasznie się ubrudził. Wyciągnął rękę i dotknął palcami występu, a tuż za nim metalowej kratki osłony. Złapał kratę i podciągnął się, aż mógł spojrzeć przez nią, jednak zobaczył tylko ubłoconą posadzkę i wystrzępioną ciemną zasłonę. Nadstawił uszu... i usłyszał głos, którego nie poznał.

\*

- To protegowany mojego wuja. Oczywiście ja nie aprobuję mojego wuja, tak więc nie jest to najlepsza rekomendacja. Czy jest dobrze związany? Doskonale. Rozumiecie, że nie jestem, zważywszy na ostatnie wydarzenia, skłonny podejmować ryzyka związanego z uprzejmością.

W odpowiedzi jakaś kobieta uprzejmie zachichotała. Chang ściągnął brwi. Głos mówił z akcentem podobnym do akcentu doktora, ale w leniwy i rozwlekły sposób rozdzielając słowa bez wycucia sensu czy tempa rozmowy, co pozbawiało wypowiedzi wszelkiego dowcipu.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale może powinienem pomóc...

- Nie.

- Wasza wysokość.

Po tych słowach mówiący strzelił obcasami. On też miał niemiecki akcent.

Pierwszy głos mówił dalej, najwyraźniej nie do drugiego, ale do kobiety.

- Czego ludzie nie rozumieją, czego nie pojmie ten, kto tego nie doświadczył? To ogromny ciężar obowiązku.

- Odpowiedzialności - przytaknęła. - Tylko nieliczni z nas potrafią ją udźwignąć. Herbaty?

- *Danke*. Czy on może oddychać?

To pytanie najwyraźniej zostało zadane z ciekawości, nie z troski, i w odpowiedzi Chang usłyszał głuchy odgłos uderzenia i gwałtowny atak kaszlu.

- Nie powinien oddać ducha, dopóki proces go nie zmieni - ciągnął pedantycznie głos.

- Dowie się, co oznacza słowo „lojalność”, co? Jest tu cytryna?

Głosy nadal dobiegały z oddali, może z drugiego końca pokoju. Chang nie potrafił tego stwierdzić. Wyciągnął rękę i ostrożnie dotknął kraty osłony. Ustąpiła, ale nie na tyle, aby mógł ją zdjąć. Pchnął ponownie, stanowczo i trochę silniej.

- Kim jest człowiek, którego mają przyprowadzić? - spytał pierwszy głos.

- Przystępcą - odparł drągi.

- Przystępcą? Dlaczego mielibyśmy przyjąć kogoś takiego?

- Jeszcze nie wyraziłem zgody...

- Różne ścieżki życia przynoszą różne troski - powiedziała gładko kobieta, przerywając drugiemu mężczyźnie. - W istocie gdy nie mamy już niczego, czego moglibyśmy nauczyć się od życia, przestajemy żyć.

- Oczywiście - ochoczo zgodził się głos. - I zgodnie z tą logiką jest pan bardzo żywy, majorze, gdyż najwyraźniej musi się pan jeszcze wiele nauczyć o rozsądnym myśleniu!

Chang zanotował w myślach, że ten drągi głos zapewne należy do majora Blacha, a pierwszy - choć jego sposób bycia nie zgadzał się z sennym transem opisanym przez Svensona - do Karla-Horsta von Maasmärcka, ale nie one skupiły całą jego uwagę. Ta kobieta była Rosamonde, czyli hrabiną Lacquer-Sforzą. Nie miał pojęcia, co ona tu robi. Bardzo poruszyło go to, że mówiła o nim.

- Major jest zły, wasza wysokość, ponieważ ten człowiek przysporzył mu wielu kłopotów. Jednak owszem, właśnie dlatego pan Bascombe za moją sugestią zmusi go, żeby się do nas przyłączył.

- I zrobi to? Dostrzeże w tym sens? Księżę siorbnął herbatę.

- Możemy tylko mieć nadzieję, że jest równie rozsądnym człowiekiem, jak pan.

Księżę zachichotał pobłaźliwie, słysząc tak śmieszoną sugestię. Chang ponownie przywarł do kraty. Wiedział, że to głupie, ale bardzo chciał zobaczyć i sprawdzić - gdyż rozpoznał charakterystyczny odgłos - kim jest leżący na podłodze i kopany nieszczęśnik. Czuł, że krata ustępuje, ale nie miał pojęcia, jaki wyda dźwięk, gdy będzie ją wypychał. Nagle drzwi pokoju otworzyły się z łoskotem, ktoś głośno kłął, a ktoś inny równie donośnie wzywał pomocy. To Bascombe. W pomieszczeniu wybuchło zamieszanie: Xonck wściekle kłął, Rosamonde głośno domagała się wody, ręczników i nożyczek, a księżę i Blach wydawali sprzeczne rozkazy komuś, kto też był tam. Chang odsunął się od kratownicy, gdyż w tym zamieszaniu nieprzyjaciele znaleźli się w polu jego widzenia.

\*

Krzyki przycichły do gniewnych pomruków, gdy opatrywano Xoncka. Bascombe próbował wyjaśnić, co zaszło w gabinecie i dlaczego poszedł przodem.

- Dlaczego to zrobiłeś? - warknęła Rosamonde.

- Jak... pan Xonck prosił, żeby...

- Mówiłam ci. Mówiłam ci, ale nie posłuchałeś. Jednak te słowa nie były skierowane do Bascombe'a.

- Posłuchałem - syknął Xonck. - Pomyliłaś się. On by się nie poddał.

- Poddałby się mnie.

- Zatem następnym razem możesz sama go łapać... i ponieść konsekwencje - odparł złowrogo Xonck.

Spoglądali na siebie i Chang zauważył, że pozostali obserwują to z wyraźnym niepokojem. Bascombe wyglądał na porażonego, księżę - wciąż ze śladami na twarzy - na zaciekawionego, jakby nie wiedział, czy powinien się tym przejmować, a Blach patrzył na nich ze źle skrywaną dezaprobatą. Na podłodze za nimi, związany i zakneblowany, leżał krępy mężczyzna w garniturze. Chang go nie znał. Obok Xoncka klęczał inny człowiek, łysawy i w grubych okularach, owijając mu poparzoną rękę gazą.

Xonck siedział na drewnianym stole, spuściwszy nogi między rzemiennymi pasami. Wokół nich na podłodze stało kilka tych długich skrzyń. Całą jedną ścianę pokrywały duże mapy z powbijanymi szpilkami o kolorowych łebkach. Nad stołem na długim łańcuchu zwisał żyrandol. Chang spojrzał w górę. Sklepienie było bardzo wysokie, a sama komnata owalna - tak więc znajdowali się pod jedną z czterech narożnych kopuł budynku. Tuż pod belkami sufitu był rząd okrągłych okienek. Pamiętając widok z ulicy, wiedział, że znajdowały się tuż nad dachem, ale nie widział sposobu, żeby się do nich dostać. Ponownie spojrzał na mapy. Ze zdziwieniem zauważył, że ukazywały północne Niemcy. Księstwo Macklenburskie.

Xonck z gniewnym pomrukiem zsunął się ze stołu i pomaszerował do drzwi. Twarz miał ściągniętą i zagryzał wargi, najwyraźniej z bólu.

- Dokąd pan idzie? - zapytał Bascombe.

- Ratować moją cholerną rękę! - krzyknął Xonck. - Znaleźć lekarza! Żeby nie zabić kogoś z was!

- Widzi pan, co miałam na myśli, wasza wysokość - powiedziała beztrąsko Rosamonde do księcia. - Odpowiedzialność jest jak odwaga. Nie wiesz, czyją masz, dopóki nie poddasz jej próbie. Oczywiście, wtedy jest już za późno na namysły. Rezultatem jest sukces lub klęska.

Xonck przystanął w drzwiach, starając się powstrzymać jęk. Zanim owinięto mu rękę gazą, Chang stwierdził, że cała jest w pęcherzach.

- Istotnie... wasza wysokość - warknął zjadliwie, jakby te słowa były dymiącym kwasem. - Brak odpowiedzialności może być śmiertelnie groźny. Rzadko bywamy w

groźniejszej sytuacji niż wtedy, kiedy ufamy tym, którzy obiecują wszystko. Czyż szatan nie był najpiękniejszym z aniołów?

I z tymi słowami wyszedł chwiejnym krokiem. Bascombe zwrócił się do hrabiny:

- Madame...

Wyrozumiale skinęła głową.

- Dopilnuj, żeby nikogo nie skrzywdził. Bascombe pośpiesznie wyszedł.

\*

- Teraz jesteśmy sami - rzekł książę zadowolonym tonem, który miał być czarujący. Hrabina uśmiechnęła się, spoglądając na mężczyzn stojących w drugim końcu pokoju.

- Tylko książę uważa, że jest „sam” w pokoju, tylko dlatego, że nie ma innych kobiet.

- Ponieważ Francis Xonck właśnie wyszedł, czy to czyni go kobietą? - zaśmiał się major Blach, ochryple jak wrona.

Książę także się roześmiał. Chang poczuł odrobinę współczucia dla Xoncka. Miał ochotę wyjść i zaatakować ich. Gdyby udało mu się najpierw zabić Blacha, z pozostałym nie miałby kłopotów. Rosamonde znów się odezwała i ponownie odkrył, że ma urzekający głos.

- Proponuję, żebyśmy położyli Herr Flaussa na stole.

- Doskonały pomysł - poparł ją książę. - Blach... i ty tam...

- To pan Gray z instytutu - powiedziała cierpliwie Rosamonde, jakby już to mówiła.

- Doskonale... podnieście go...

- Jest bardzo ciężki, wasza wysokość... - wymamrotał Blach, z twarzą czerwoną z wysiłku.

Chang uśmiechnął się, widząc, jak Blach i nieco starszy Gray zabawnie zmagają się z ciężkim i wierzgającym Hen - Flausssem, który robił co mógł, żeby nie trafić na stół.

- Wasza wysokość? - powiedziała pytająco hrabina Lacquer-Sforza.

- Chyba muszę... to śmieszne... Przestań się szamotać, Flauss, albo będzie jeszcze gorzej. To wszystko dla twojego dobra i później mi za to podziękujesz!

Książę odepchnął Graya i złapał wierzgającego mężczyznę za nogi. Wcale nie poszło mu lepiej, ale ciężko dysząc, umieścili Flaussa na stole. Chang z satysfakcją zauważył, że Rosamonde śmieje się z nich, chociaż dyskretnie.

- Gotowe! - sapnął Karl-Horst. Niedbale skinął ręką Grayowi, po czym wrócił na swoje miejsce i do filiżanki z herbatą.

- Przywiążcie go i przygotujcie... hmm... aparat...

- Mamy go przesłuchać? - spytał Blach.

- W jakiej sprawie? - odparł książę.

- W sprawie jego sprzymierzeńców w Macklenburgu. Tego tutaj. Zapytamy o doktora Svensona...

- Po co tyle zachodu? Po przejściu procesu powie nam to dobrowolnie. Przecież będzie jednym z nas.

- A pan nie przeszedł procesu, majorze? - spytała hrabina z uprzejmym zainteresowaniem.

- Jeszcze nie, madame.

- Przejdzie - oznajmił książe. - Będę nalegał. Wszyscy moi ludzie będą zobowiązani wziąć udział w tym... oczyszczeniu. Nie wiesz, Blach, nie wiesz jak... - Siorbnął herbatę. - Oczywiście, dlatego nie zdołałeś znaleźć Svensona i zawiodłeś w sprawie tego... tego... kryminalisty. Tylko dzięki mądrości hrabiny nie polecono ci dokonać zmian w Macklenburgu!

Blach nie odpowiedział, tylko dość niezręcznie spróbował zmienić temat, ruchem głowy wskazując drzwi.

- Czy potrzebujemy Bascombe'a, żeby kontynuować?

- Jestem pewien, że pan Gray sobie poradzi - powiedziała hrabina. - Może jednak pomoże mu pan ze skrzyniami?

Chang jak urzeczony przyglądał się, jak otwierają długie skrzynie i wyciągają z nich gruby zielony filc. Kiedy Blach przywiązywał Flaüssa do stołu - bezlitośnie zaciągając pasy - pan Gray wyjął coś, co wyglądało jak wielkie okulary o niemożliwie grubych szklach w oprawie z czarnej gumy, będące częścią jakiegoś urządzenia i oplecione zwojami błyszczącego miedzianego drutu. Gray założył i przymocował te okulary szamoczącemu się mężczyźnie - i tym razem dość mocno - a potem z wysiłkiem przekręcił jakiś przełącznik lub kurek. Chang usłyszał syk sprężonego powietrza. Gray wyprostował się i spojrzał na Rosamonde.

- Proponuję, żebyśmy odeszli od stołu - powiedziała.

Z wnętrza skrzyni zaczęło promieniować błękitne światło, coraz jaśniejsze. Flauss wyprężył się w pętach, chrapliwie oddychając przez nos. Dał się słyszeć głośny syk aparatury. Chang zrozumiał, że to dla niego wymarzona okazja. Pchnął kratę do przodu i w bok, jednocześnie wślizgując się do pokoju. Poczul ukłucie współczucia dla Flaussa, szczególnie jeśli naprawdę był sojusznikiem Svensona, chociaż ten nic o tym nie wspominał - jednak to był dla niego najbardziej sprzyjający moment, gdy cała czwórka obserwowała szamotaninę nieszczęśnika, niczym publiczną egzekucję. Chang ścisnął w dłoni laskę, wyprostował się, zrobił trzy szybkie kroki i z całej siły uderzył pięścią w podstawę czaszki Blacha. Siła

uderzenia rzuciła majora do przodu, zanim ugięły się pod nim kolana i padł na podłogę. Chang odwrócił się do zaskoczonego księcia, który gapił się na to z rozdziawionymi ustami. Kardynał uderzył go w szczękę tak mocno, że mężczyzna przeleciał przez krzesło i runął na stolik z herbatą. Chang obrócił się na pięcie do Graya, który stał obok Blacha. Końcem laski dźgnął go w wydatny brzuch. Gray-w podeszłym wieku, ale Chang wolał nie ryzykować - z jękiem zgiął się wpół i klapnął na podłogę, czerwony na twarzy. Chang obrócił się do Rosamonde i wyjął z laski sztylet, gotowy odeprzeć atak. Ten nie nastąpił. Uśmiechała się do niego.

Brzęczenie aparatury przeszło w przeraźliwe wycie. Flauss odrażająco dygotał, tocząc pianę z zakneblowanych ust. Chang wskazał skrzynię.

- Zatrzymaj to! Wyłącz maszynę! Rosamonde odkrzyknęła, powoli i stanowczo:

- Jeśli ją teraz zatrzymasz, zabijesz go!

Chang ze zgrozą popatrzył na Flaussa, a potem pospiesznie na pozostałych. Blach leżał nieruchomo i Kardynał zastanawiał się, czy uderzenie pięścią złamało mu kark. Księżę podniósł się na czworaki i pomacał szczękę. Gray nadal siedział na podłodze. Chang znów spojrzał na Rosamonde. Hałas był wprost ogłuszający, a otaczające ich światło jaskrawo-błękitne, jakby było nad nimi najpogodniejsze, najczystsze letnie niebo. Nie było sensu niczego mówić. Wzruszyła ramionami, wciąż się uśmiechając.

\*

Kardynał nie wiedział, jak długo tak stali, spoglądając sobie w oczy - co najmniej kilka minut. Zmusił się, by ponownie spojrzeć na obezwładnionych przeciwników, po czym trzepnął laską w dłoń Karla-Horsta, gdy ten próbował chwycić nóż, który spadł ze straconej ze stolika tacy. Hałas procesu sprawiał, że wszystko to wydawało się dziać bezgłośnie, gdyż nie słyszał zwyczajnych, rzeczywistych dźwięków - brzęku noża padającego na podłogę, przekleństw księcia, jęków pana Graya. Ponownie skupił uwagę na Rosamonde, świadom tego, że ona jest dla niego jedynym zagrożeniem w tym pomieszczeniu, wiedząc, że spoglądając jej w ten sposób w oczy, poddaje swoje życie ocenie, która nieuchronnie musi wytknąć jego samotność, nicość i zło. Nad twarzą Flaussa unosiła się para. Chang próbował myśleć o Sven-sonie i Celeste. Oboje zapewne już nie żyli albo zmierzali do zguby. Nic nie mógł na to poradzić. Wiedział, że jest sam.

Z donośnym trzaskiem proces zakończył się, blask nagle przygasł, a hałas ścichł echem w oddali. Changowi dzwoniło w uszach. Zamrugał. Flauss leżał nieruchomo, lecz jego pierś unosiła się w oddechu - przynajmniej jeszcze żył.

- Kardynale Chang.

Głos Rosamonde zabrzmiał niepokojąco cicho po całym tym hałasie, jakby Chang niedosłyszał.

- Madame.

- Wyglądało na to, że już pana nie zobaczę. Mam nadzieję, że wybaczy mi pan śmiałość, jeśli powiem, że byłam rozczarowana.

- Nie byłem w stanie towarzyszyć panu Xonckowi.

- Nie. Jednak jest pan tu i jestem pewna, że zawdzięcza pan to swojej przebiegłości.

Chang zerknął na księcia i Graya, którzy się nie ruszyli.

- Niech pan się nie martwi - powiedziała Rosamonde. - Chcę z panem porozmawiać.

- Jestem ciekaw, czy major Blach jeszcze żyje. Chwileczkę... - Chang przyklęknął przy ciele i przycisnął dwa palce do szyi mężczyzny. Znalazł puls. Wstał i wepchnął ostrze sztyletu w drzewce laski. - Może następnym razem.

Uprzejmie skłoniła głowę, jakby uważała, że to byłoby pożądane zakończenie, po czym skinęła na mężczyznę w podeszłym wieku.

- Jeśli pan pozwoli - skoro i tak nam przerwano - może pan Gray mógłby zająć się Herr Flauserem? Po prostu żeby się upewnić, że nie zrobił sobie krzywdy. Czasami wysilek... to gwałtowna transformacja.

Chang skinął głową Grayowi, który chwiejnie wstał i podszedł do stołu.

- Możemy usiąść? - zapytała Rosamonde.

- Jestem zmuszony prosić, żeby zachowywała się pani rozsądnie - odparł Chang.

Roześmiała się i z pewnością to rozbawienie było szczere.

- Och, Kardynale, nic innego nawet by mi sienie śniło... tutaj. Podeszła do dwóch krzeseł, na których przed chwilą siedziała z księciem. Ten jeszcze nie podniósł się z podłogi. Usiadła na swoim miejscu, a Chang wziął przewrócone krzesło Karla-Horsta i wyciągnął laskę w jego kierunku. Książę, pojmując aluzję, czmychnął w kąt jak ponury krab.

- Zechce pan dać Kardynałowi Changowi i mnie chwilę na przedyskutowanie naszej sytuacji, wasza wysokość?

- Oczywiście, hrabino, jak pani sobie życzy - wymamrotał z godnością, na jaką może zdobyć się ktoś, kto kuli się niczym zbity pies.

Chang usiadł, odgarnawszy połę płaszcza, po czym spojrział na stół. Gray rozpiął pasy i zdejmował maskę ze szkła oraz drutów, ściągając ją z czegoś, co wyglądało jak różowa galaretowata pozostałość, która zebrała się tam, gdzie maska dotykała skóry. Chang nagle zaciekawiał się i chciał przyjrzeć się świeżym oparzeniom, lecz zanim maska została całkiem usunięta, Rosamonde odezwała się, odciągając jego uwagę od tego widowiska.

- Wydaje się, że od naszego spotkania w bibliotece minęło sporo czasu? - zaczęła. - A przecież to było... zaraz... zaledwie przedwczoraj?

- Owszem, od tej pory minął cały długi dzień.

- Istotnie. Czy zrobił pan to, o co prosiłam? - Z kpiącą powagą pokręciła głową.

- Czyli co?

- No, czy znalazł pan Isobel Hastings, oczywiście.

- Znalazłem.

- I przyprowadził ją pan do mnie?

- Tego nie uczyniłem.

- Co za rozczarowanie. Jest taka piękna? - Roześmiała się, jakby dłużej nie potrafiła udawać, że to poważne pytanie. - Poważnie, Kardynale. Co pana powstrzymuje?

- Teraz? Nie wiem, gdzie ona jest.

- Ach... ale gdyby pan wiedział?

Niedokładnie zapamiętał kolor jej oczu, jak płatki najbielszego kwiatu irysa. Miała na sobie jedwabny kaftan tego samego koloru. Z jej uszu zwisały kolczyki weneckiej roboty, z bursztynu oprawionego w srebro. Smukłej szyi nie zdobiła żadna biżuteria.

- Też bym tego nie zrobił.

- Jest tak nadzwyczajna? Bascombe tak nie uważał, jednak u takiego mężczyzny jak Bascombe nie szukałabym prawdy o kobiecie. On jest zbyt... no cóż, słowo „praktyczny” byłoby uprzejmym określeniem.

- Zgadzam się z tym.

- Zatem nie opisze mi jej pan?

- Sądzę, że poznała ją pani osobiście, Rosamonde. Zdaje się, że kazała ją pani zgwałcić i zamordować.

- Naprawdę? - Szeroko otworzyła oczy z udawaną nieśmiałością.

- Tak słyszałem.

- Zatem to na pewno prawda.

- Może więc pani mogłaby ją opisać.

- Widzi pan, Kardynale, właśnie na tym polega problem. Ponieważ - co być może jest oczywiste - podczas spotkania z tą damą uznałam ją za nic nieznaczącą, upartą i bezwartościową smarkulę. Czy zostało jeszcze trochę herbaty?

- Dzbanek leży na podłodze - rzekł Chang.

Zerknął w kierunku stołu. Gray wciąż pochylał się nad Flaussem.

- *Dommage* - uśmiechnęła się Rosamonde. - Nie odpowiedział pan.

- Chyba nie slyszalem pytania.

- Sądziłam, że to oczywiste. Dlaczego wybrał pan ją, a nie mnie?

Jeśli to możliwe, jej uśmiech stał się jeszcze bardziej ujmujący i odrobinę zmysłowy, jak zapowiedź kuszących obietnic.

- Nie wiedziałem, że mam jakiś wybór.

- Naprawdę, Kardynale... będę rozczarowana.

\*

Była to bardzo dziwna rozmowa - pośród leżących na podłodze ciał i skomplikowanej maszynerii, przy klęczącym księciu i w sekretnej komnacie labiryntu, jakim był gmach Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Chang zastanawiał się, która godzina. Zadawał sobie pytanie, czy Celeste jest gdzieś w pobliżu. Ta kobieta była najniebezpieczniejsza z całej szajki. Dlaczego zachowuje się jak jej adorator?

- Może miało to coś wspólnego z tym, że pani wspólnicy próbowali mnie zabić.

Zbyła te słowa machnięciem ręki.

- A zabili pana?

- A czy pani zabiła pannę Temple?

- *Touche*. - Przyglądała mu się przez chwilę. - Tylko o to chodzi? O to, że przetrwała?

- Być może. W końcu kimże jestem, jak nie mistrzem przetrwania?

- Prowokacyjne pytanie. Zapewniam pana, że zanotuję je w moim dzienniku.

- Nawiasem mówiąc, Xonck wie - rzekł Chang, rozpaczliwie próbując zmienić temat.

- O czym?

- O sprzeczności waszych interesów.

- To czarujące, że tak się pan stara, ale - i proszę w żadnym razie nie uważać tego za krytykę - powinien pan skupić się na zbrodniach i bieganiu po dachach. To, co wie pan Xonck, to moja sprawa. Ach, Hen - Flauss, widzę, że znów jest pan z nami.

Chang odwrócił się i zobaczył go stojącego przy stole, obok Graya. Ślady oparzeń ostro kontrastowały z bielą jego twarzy, skóra wokół nich była ściągnięta i śliska, a kołnierzyk koszuli wilgotny od śliny i potu. Spojrzenie miał niepokojąco nieobecne.

- Podziwiam pana, Kardynale - powiedziała Rosamonde. Odwrócił się do niej.

- To mi pochlebia.

- Naprawdę? - Uśmiechnęła się. - Wie pan, podziwiam niewielu ludzi... i mało komu o tym mówię.

- Dlaczego więc mówi to pani mnie?

- Nie wiem. - Zniżyła głos do prowokacyjnie intymnego szeptu. - Może z powodu tego, co stało się z pana oczami. Dostrzegam blizny i mogę sobie tylko wyobrazić, jakie są straszne bez tych okularów. Spodziewam się, że byłyby odrażające, a jednocześnie wyobrażam sobie, że z przyjemnością dotknęłabym ich językiem. - Przyjrzała mu się uważnie, po czym wróciła do wystudiowanej pozy niewzruszonego spokoju. - Jednak widzi pan, teraz ja za dużo sobie pozwalam. Przepraszam. Panie Gray?

Spojrzała na Graya, który podszedł do nich z Flausssem. Chang z odrazą patrzył na nieruchome oczy tego ostatniego, jakby miał przed sobą dzieło poronionego preparatora zwierząt. Odwrócił się z obrzydzeniem, żalując, że nie zainterweniował wcześniej. To, co przydarzyło się Flaüssowi, wydawało mu się gorsze od śmierci. Gwałtownie odwrócił głowę, słysząc głośny bulgot. Stojąc za Flaiissem, Gray zaciskał dłonie na jego szyi, dusząc go. Chang zaczął podnosić się z krzesła, obracając głowę do Rosamonde. Czy nie dość uczynili...

- Co...

Słowa zamarły mu na ustach. Flauss błyskawicznie podniósł ręce i ze straszliwą siłą zacisnął je na gardle Changa. Kardynał złapał go za przeguby, usiłując rozerwać chwyt. Flauss z obojętną miną wbijał palce w jego krtań, pozbawiając go tchu. Chang kolaniem kopnął go w brzuch, co jednak nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia. Jeszcze bardziej zacisnął chwyt. Przed oczami Changowi zawirowały czarne plamki. Wyrwał ostrze z laski. Gray gapił się na niego zza ramienia Flaussa, wciąż zaciskając dłonie na szyi tamtego... Flauss wykonywał polecenia Graya! Chang wbił sztylet w przedramię Graya. Stary wrzasnął i odskoczył, brocząc krwią. Uwolniony Flauss natychmiast zwiotczał i choć nie oderwał palców od szyi Changa, przestał je zaciskać. Chang wyrwał mu się, spazmatycznie łapiąc oddech. Nie pojmował, co się stało. Odwrócił się do Rosamonde. Trzymała coś w dłoni w rękawiczce. Dmuchnęła. Twarz Changa spowił obłoczek błękitnego dymu.

\*

Proszek działał błyskawicznie. Changowi zaparło dech i poczuł dotkliwe zimno, jakby połykał lód. Wraz z oddechem ten chłód wniknął do jego płuc i do mózgu. Laska i sztylet wypadły mu z rąk. Nie mógł mówić. Nie mógł się poruszyć.

- Nie obawiaj się - powiedziała Rosamonde. - Nie jesteś martwy. - Spojrzała Changowi przez ramię na wciąż klęczącego księcia. - Może wasza wysokość mógłby pomóc panu Grayowi zatrzymać krwawienie? - Potem zwróciła fiołkowe oczy na Changa. - Teraz, Kardynale Chang... jesteś mój. - Wyciągnęła rękę i zatrzymała Karla-Horsta, zmierzającego do Graya. - Właściwie czemu Kardynał nie miałby pomóc panu Grayowi? Jestem pewna, że ma większe doświadczenie w opatrywaniu ran niż księżę Macklenburga.

\*

Pomógł im we wszystkim, bez wahania wykonując jej polecenia, a jego umysł przyglądał się temu jakby z jakiejś ogromnej odległości lub przez oszronione okno. Najpierw wprawnie obandażował ranę Graya, potem położył Blacha na stole, żeby Gray mógł obejrzyć głowę majora. Jak długo to trwało? Bascombe wrócił z kilkoma dragonami w czerwonych mundurach i porozmawiał z hrabiną, kiwnął głową i powiedział coś księciu na ucho. Potem wydał rozkaz dragonom, a ci podnieśli Blacha, Gray zaś wziął Flaussa pod rękę i wszyscy opuścili owalny pokój. Chang został sam z Rosamonde. Podeszła do drzwi i zamknęła je na klucz. Wróciła do niego i przysunęła sobie krzesło. Nadal nie mógł się ruszyć. Jej twarz miała wyraz, jakiego jeszcze nie widział, jakby rozmyślnie usunęła z niej nawet najmniejszy ślad życzliwości.

- Będziesz słyszał moje pytania i odpowiadał na nie gestem, gdyż proszek w płucach nie pozwala ci mówić. To przejściowy efekt, chyba że zechcę, aby był trwały. Na razie zadowolę mnie odpowiedź twierdząca lub przecząca - wystarczy skinienie głowy. Miałam nadzieję przekonać cię w rozmowie lub w wyniku procesu transformacji, ale teraz nie ma na to czasu i nikogo, kto mógłby go należycie przeprowadzić, a byłabym bardzo zła, gdybym przypadkiem straciła wszystkie te informacje.

Jakby pytała kogoś innego. Poczul, że kiwa głową na znak, że zrozumiał. Opór był niemożliwy - ledwie nadażał za jej słowami i zanim znalazł w nich sens, jego ciało już odpowiedziało.

- Byłeś z tą małą Temple i lekarzem księcia? Chang skinął głową.

- Czy wiesz, gdzie oni są teraz? Pokręcił głową.

- Przyjdą tu? Ponownie pokręcił głową.

- Macie umówione miejsce spotkania? Chang kiwnął głową. Rosamonde westchnęła.

- Cóż, nie zamierzam tracić czasu na zgadywanie gdzie... Rozmawiałeś z Xonckiem.

On jest podejrzliwy, czy szczególnie wobec mnie?

Chang skinął głową.

- Czy Bascombe słyszał waszą rozmowę? Pokręcił głową. Rosamonde się uśmiechnęła.

- Zatem jest jeszcze czas... To prawda, że Francis Xonck ma część ogromnej władzy swego starszego brata, ale tylko część, gdyż jest tak buntowniczy i rozpustny, że nie ma między nimi zażyłej przyjaźni, i a nadzieje na spadek są niewielkie. Oczywiście ja jestem przyjaciółką Francisca bez względu na okoliczności, tak więc naprawdę nie ma się do kogo zwrócić. No, dość tego. Wyobraźcie sobie, ty próbujesz przestraszyć mnie. A teraz powiedz,

czego się dowiedziałeś w trakcie swojego śledztwa. Czy wiesz, kto zabił pułkownika Trappinga?

Chang pokręcił głową.

- Czy wiesz, dlaczego wybraliśmy Macklenburg? Pokręcił głową.

- Czy wiesz o Oskarze Veilandcie? Skinął głową.

- Naprawdę? Dobrze. Wiesz o błękitnym szkle? Chang kiwnął głową.

- Ach... to niedobrze. Dla ciebie, rzecz jasna. Co widziałeś... zaraz, byłeś w instytucie?

Kiwnął głową.

- Włamałeś się tam... to byłeś ty, kiedy ten idiota upuścił księgę... A może to ty sprawiłeś, że wypadła mu z rąk?

Chang skinął głową.

- Niewiarygodne. Jesteś niesamowity. On nie żyje, wiesz? Oczywiście to, co z powodu tego stało się z dziewczyną hrabiego... Jednak nie sądzę, żeby to cię obchodziło?

W więzieniu swojego umysłu Chang skręcił się, usłyszawszy potwierdzenie swoich domysłów, że jego działania okazały się zgubne dla Angeliki. Kiwnął głową. Rosamonde przechylił głowę.

- Naprawdę? Nie z powodu tego mężczyzny. Zaraz, zaraz... ta dziewczyna... Była z burdelu... Nie podejrzewałam cię o taką rycerskość... Chwileczkę, może ją znałeś?

Chang kiwnął głową. Rosamonde się roześmiała.

- Co za zbieg okoliczności z powieści dla kobiet. Niech zgadnę... może strasznie ją kochałeś?

Chang skinął głową. Rosamonde roześmiała się jeszcze głośniej.

- Och, to doskonałe! Drogi, drogi Kardynale Chang... Sądzę, że właśnie dałeś mi ten złoty samorodek informacji, jakiej potrzebuję, żeby odzyskać przyjaźń pana Xoncka. To nieoczekiwana nagroda. - Próbowała powstrzymać uśmiech, ale nie zdołała. - Widziałeś jakieś inne szkło oprócz tego z rozbitej księgi?

Chang kiwnął głową.

- Przykro mi, ze względu na ciebie. Czy to... no tak, oczywiście, książkę miał jedno z tych nowych szkiełek hrabiego, prawda? Czy widział kto człowieka, który bardziej lubi przyglądać się sobie? Lekarz ją znalazł?

Chang potwierdził.

- Zatem lekarz i panna Temple też wiedzą o błękitnym szkle? Skinął głową.

- I wiedzą o procesie - nieważne, oczywiście, że wiedzą - ona widziała go osobiście, a doktor badał księcia... Czy rozumiecie znaczenie małżeństwa Lydii Vandaariff?

Chang pokręcił głową.

- Byłeś w Tar Manor? Zaprzeczył. Zmrużyła oczy.

- Panna Temple tam była, jak sądzę, z Rogerem... ale tak dawno temu, że nie ma to znaczenia W porządku. Teraz ostatnie pytanie... czy jestem najniezwyklejszą kobietą, jaką znałeś?

Chang kiwnął głową. Uśmiechnęła się. Potem powoli, jak słońce zapadające za horyzont, ten uśmiech zgasł i westchnęła.

- To słodka myśl na zakończenie, chyba dla nas obojga. Szkoda, że to już koniec. Jesteś dla mnie egzotyczną potrawą... surową... i wolałabym dłużej rozkoszować się jej smakiem. Szkoda. - Sięgnęła do kieszonki obcisłego jedwabnego kaftana i koniuszkiem okrytego rękawiczką palca nabrała następną dawkę niebieskiego proszku. - Myśl o tym jak o drodze do połączenia z utraconą ukochaną...

Dmuchięła mu proszkiem w twarz. Chang miał zamknięte usta, ale czuł, jak pył wnika mu do nosa. Natychmiast doznał wrażenia, że mózg mu zamarza, a krew krzepnie, rozsadzając naczynia krwionośne. Czuł potworny ból, ale nie mógł się poruszyć. Łoskot odbił mu się echem w uszach. Mgła zasnuła oczy. Tuż przed nosem miał posadzkę. Leżał. Był ślepy. Był martwy.

\*

Żyrandol składał się z trzech koncentrycznych żelaznych kręgów z gniazdami z kutego metalu do osadzania świec... łącznie było ich chyba ze sto. Chang spoglądał w górę, na sklepienie, i widział, że osiem z nich jeszcze się pali. Tle minęło czasu? Nie miał pojęcia. Ledwie mógł myśleć. Obrócił się na bok, żeby zwymiotować, i odkrył, że już to zrobił, być może wiele razy. Wymioty były niebieskie i cuchnące. Przekręcił się na drugi bok. Miał wrażenie, że ktoś odciął mu głowę i umieścił w skrzynce z lodem i słomą.

Był pewien, że uratował go niedrożny nos. Uszkodzony i źle zrosnięty, zatrzymał zabójczy proszek albo jego część. Chang otarł dłonią twarz - strużki niebieskiego śluzu ściekały mu z nosa i ust. Rosamonde zamierzała go zabić dużą dawką błękitnego proszku, ale zrosty w nosie osłabiły jego działanie, spowalniając wchłanianie trucizny i dając organizmowi czas na przeciwdziałanie. Jak długo to trwało? Spojrzał w górę, na okrągłe okienka. Noc. W pomieszczeniu było zimno, a kapiący z żyrandola воск tworzył na posadzce niechlujny krąg. Chang spróbował wstać. Nie mógł. Odsunął się od wymiotów, zwinął w kłębek i zamknął oczy.

\*

Kiedy się obudził, czuł się o wiele lepiej, choć nadal nie był bardziej zwawy niż świńska tusza. Podniósł się na klęczki, z odrazą poruszając językiem w ustach. Wyjął chusteczkę i wytarł sobie twarz. W tym pomieszczeniu nie było wody. Chang wstał i na moment zamknął oczy. Ciemność wokół niego falowała, ale nie upadł. Zobaczył dzbanek leżący na boku na podłodze. Podniósł go i lekko nim poruszył - w środku pozostały resztki płynu. Uważając, by nie skaleczyć się utraconym dzióbkiem, wypił łyk gorzkiej herbaty, przepłukał nią usta i wypluł. Wysączył resztę i połknął, po czym postawił rozbity dzbanek na tacy. Bez specjalnego zdziwienia zobaczył swoją laskę leżącą pod stolikiem. Zrozumiał, że pozostawiając ją tutaj, okazali mu swoją wzdargę, a ponadto chcieli, żeby przy jego ciele znaleziono broń. Chociaż osłabiony i chory, Chang poprzysiągł, że tego pożałują.

W pomieszczeniu była lampa i po kilkuminutowych poszukiwaniach znalazł także zapalki. Za drzwiami czekała taka sama ciemność jak poprzednio, lecz tym razem Chang mógł oświetlać sobie drogę, chociaż nadal nie miał pojęcia, dokąd powinien iść. Wędrował tak przez jakiś czas, nie napotykając nikogo i nie słysząc żadnych głosów, przez szereg magazynów, sal konferencyjnych i korytarzy. Przez żadne z tych pomieszczeń nie przechodził z Bascombe'em i Xonckiem, tak więc po prostu szedł przed siebie, na przemian skręcając w lewo i w prawo, żeby utrzymać kierunek marszu. W końcu natrafił na ślepy zaułek: duże drzwi bez zamka i klamki. Nie ustąpiły. Były zamknięte lub zastawione z drugiej strony. Chang zamknął oczy. Znowu poczuł mdłości, wywołane nadmiernym dla osłabionego ciała wysiłkiem. Zirykowany, uderzył pięścią w drzwi.

Z drugiej strony odpowiedział mu stłumiony głos.

- Panie Bascombe?

Zamiast odpowiedzi, Chang ponownie załomotał w drzwi. Usłyszał zgrzyt podnoszonej antaby. Nie wiedział, co robić - cisnąć lampą, przygotować sztylet czy uciec. Na nic nie miał siły. Drzwi się uchyliły. Chang stanął oko w oko z szeregowcem w czerwonym mundurze dragona.

Żołnierz zmierzył go wzrokiem.

- Pan nie jest panem Bascombe'em.

- Bascombe odjechał - rzekł Chang. - Kilka godzin temu. Nie widział go pan?

- Stoję na warcie dopiero od szóstej. - Żołnierz ściągnął brwi. - Kim pan jest?

- Nazywam się Chang. Przyszedłem tu z panem Bascombe'em i innymi. Źle się poczułem. Mógłbym... - Chang na moment zamknął oczy i z trudem dokończył zdanie: - Mógłbym dostać trochę wody?

Dragon wziął od niego lampę i podtrzymując, zaprowadził do niewielkiej wartowni. W tej, tak jak na korytarzu, było oświetlenie gazowe, rzucające ciepłe, zamglone światło. Chang zauważył, że nieopodal znajdują się szerokie schody - zapewne głównej klatki schodowej, z której inne wejście wiodło do sekretnych komnat, do których zaprowadzili go Bascombe i Xonck. Był zbyt zmęczony, żeby o tym myśleć. Usiadł na drewnianym krześle i dostał kubek herbaty z mlekiem. Żołnierz, który przedstawił się jako Reeves, położył mu na kolanach metalowy talerz z chlebem i serem, po czym skinął na Changa, żeby coś zjadł.

Gorąca herbata paliła mu przełyk, ale czuł, jak przywraca mu siły. Oderwał zębami kęs białego chleba i przeżuł z trudem, żeby uspokoić żołądek. Po kilku kęsach poczuł, że jest głodny i powoli pochłonął wszystko, co było na talerzu. Reeves ponownie nappełnił mu kubek i usiadł ze swoim w dłoni.

- Jestem ci bardzo wdzięczny - rzekł Chang.

- Nie ma za co - uśmiechnął się Reeves. - Wyglądał pan jak śmierć na chorągwi, jeśli wolno tak powiedzieć. Teraz wygląda pan jak nieboszczyk.

Roześmiał się.

Chang uśmiechnął się i upił kolejny łyk herbaty. Czuł ból w przełyku i na podniebieniu, poparzoną przez proszek. Każdy oddech przychodził mu z trudem, jakby miał połamane żebra. Mógł się tylko zastanawiać, w jakim stanie są jego płuca.

- Zatem mówi pan, że wszyscy odjechali? - zapytał Reeves. Chang skinął głową.

- Zdarzył się nieszczęśliwy wypadek z lampą. Jeden z gości, Francis Xonck, znasz go? - Reeves pokręcił głową - polał sobie rękę naftą i zaczął się palić. Pan Bascombe pojechał z nim do lekarza. Ja zostałem i z niewiadomego powodu poczułem się źle. Myślałem, że Bascombe wróci, ale zasnąłem i nawet nie wiem, która jest godzina.

- Dochodzi dziewiąta - odparł Reeves. Nieco nerwowo spojrzął w kierunku drzwi. - Muszę dokończyć obchód...

Chang wyciągnął rękę.

- Nie będę ci przeszkadzał. Już idę, tylko pokaż mi drogę. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnę, to fatygować...

- To żadna fatyga pomóc przyjacielowi pana Bascombe'a - uśmiechnął się Reeves.

Wstali i Chang niezręcznie postawił kubek oraz talerz na szafce.

Odwrócił się i zobaczył w drzwiach człowieka z błyszczącym mosiężnym hełmem pod pachą i z szablą u boku. Reeves stanął na baczność. Mężczyzna wszedł do wartowni. Na kołnierzu i epoletach czerwonego munduru nosił złote insygnia kapitana.

- Reeves... - zaczął, nie odrywając oczu od Changa.

- To pan Chang, panie kapitanie. Znajomy pana Bascombe'a. Kapitan nic nie powiedział.

- Był w środku, panie kapitanie. Kiedy robiłem obchód, usłyszałem, jak stukał w drzwi...

- Które drzwi?

- Numer pięć, panie kapitanie, w części pana Bascombe'a, pan Chang źle się poczuł...

- Tak. No dobrze, zmykaj stąd. Już dawno powinienesz zmienić Hicksa.

- Rozkaz!

Kapitan wszedł do wartowni i skinął na Changą, żeby usiadł. Reeves wziął swój hełm i wypadł z pomieszczenia, przystanąwszy na moment w progu, żeby za plecami kapitana skłonić się Changowi. Jego szybkie kroki odbiły się echem w korytarzu, a potem na schodach. Kapitan napełnił sobie kubek herbatą i usiadł. Dopiero wtedy Chang usiadł także.

- Chang, mówi pan? Kardynał skinął głową.

- Tak się nazywam.

- Smythe, kapitan, czwarty regiment dragonów. Reeves mówił, że źle się pan czuje?

- Owszem. Reeves był bardzo uprzejmy.

- Proszę. - Smythe sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął piersiówkę. Odkręcił zakrętkę i wręczył butelkę Changowi. - Śliwkowa brandy - rzekł z uśmiechem. - Lubię słodczyce.

Chang pociągnął łyk. Wprawdzie wiedział, że to lekkomyślność, ale bardzo potrzebował drinka. Poczul przeszywający ból w gardle, ale brandy spłukała resztki błękitnego proszku. Oddał piersiówkę.

- Jestem zobowiązany.

- Jest pan jednym z ludzi Bascombe'a? - spytał kapitan.

- Za dużo powiedziane. Przyszedłem tu na jego zaproszenie. Jeden z jego gości miał wypadek z lampą naftową...

- Tak, Francis Xonck - skinął głową kapitan. - Słyszałem, że został paskudnie poparzony.

- To mnie nie dziwi. Jak już powiedziałem pańskiemu wartownikowi, czekając na ich powrót, źle się poczułem. Chyba zasnąłem, może miałem gorączkę... To było kilka godzin temu, a kiedy się zbudziłem, byłem sam. Sądziłem, że pan Bascombe wróci. Jeszcze nie skończyliśmy naszych interesów.

- Niewątpliwie stan pana Xoncka wymagał jego obecności.

- Niewątpliwie - przytaknął Chang. - To... ważna figura.

Pozwolił sobie na śmiałość i sam dolał sobie herbaty. Smythe nie zwrócił na to uwagi. Wstał, podszedł do drzwi, zamknął je i przekręcił klucz. Potem nieco smutno uśmiechnął się do Changa.

- W rządowym budynku ostrożności nigdy za wiele.

\*

- Czwarty regiment został niedawno przydzielony do Ministerstwa Spraw Zagranicznych - zauważył Chang. - Zdaje się, że było o tym w gazetach. Czy może do pałacu?

Smythe wrócił na swoje miejsce i przez chwilę przyglądał się Changowi, zanim odpowiedział. Upił łyk herbaty i wyciągnął się na krześle, trzymając kubek w obu dłoniach.

- Sądzę, że poznał pan naszego pułkownika.

- Dlaczego pan tak sądzi?

Smythe milczał. Chang westchnął - głupota zawsze kosztuje.

- Widział mnie pan wczoraj rano - rzekł. - W dokach, z Aspichem.

Smythe skinął głową.

- Głupie miejsce na spotkanie.

- Zechce mi pan wyjaśnić powód tego spotkania?

- Może... - Chang wzruszył ramionami. Wyczuwał podejrzliwość i nieufność rozmówcy, ale postanowił jeszcze go sprawdzić. - Jeśli pan powie mi coś pierwszy.

Smythe zacisnął wargi.

- Co takiego? Chang uśmiechnął się.

- Był pan z Aspichem i Trappingiem w Afryce?

Smythe zmarszczył brwi. Nie takiego pytania się spodziewał. Skinął głową.

- Pytam - ciągnął Chang - ponieważ pułkownik Aspiche bardzo podkreślał moralne i zawodowe różnice między nim a Trappingiem. Nie mam żadnych złudzeń co do charakteru pułkownika Trappinga. Jednak - jeśli pan wybaczy - upór w wyborze miejsca naszego spotkania był zaledwie jednym ze znanych mi przykładów bezmyślnej arogancji Aspiche'a.

Chang nie wiedział, czy nie posunął się za daleko. Nigdy nie wiadomo, jak ktoś pojmuje lojalność, szczególnie doświadczony żołnierz. Smythe przyjrzał mu się bacznie, zanim odpowiedział.

- Wielu oficerów kupuje swoje stanowiska, tak więc służba z ludźmi, którzy wcale nie są żołnierzami, nie jest niczym niezwykłym. - Chang zdawał sobie sprawę, że Smythe niezwykle ostrożnie dobiera słowa. - Podpułkownik nie był jednym z nich... ale...

- Nie jest już takim człowiekiem jak kiedyś? - podpowiedział Chang.

Smythe przyglądał mu się przez moment, mierząc go twardym, przenikliwym, nieprzyjemnym spojrzeniem. Po chwili ciężko westchnął, jakby niechętnie podjął decyzję, której z jakiegoś powodu nie mógł uniknąć.

- Zna pan nałóg spożywania opium? - zapytał.

Chang z trudem powstrzymał uśmiech i odpowiedział obojętnym skinieniem głowy. Smythe mówił dalej.

- Zatem wie pan, że upodobanie do opium może zniszczyć człowieka, skłonić go do poświęcenia wszystkiego innego dla narkotycznego snu. Tak jest z Nolandem Aspichem, tylko że rolę opium pełni pozycja i sukces Arthura Trappinga. Nie jestem jego wrogiem. Służyłem mu wiernie i z szacunkiem. Jednak zazdrość o niezasłużony awans Trappinga niszczy, albo już zniszczyła, wszystko, co było w nim wartościowe.

- On teraz dowodzi regimentem. Smythe pokiwał głową. Spochmurniał.

- Dość już powiedziałem. Jaki był cel waszego spotkania?

- Jestem wykonawcą różnych zleceń - odparł Chang. - Podpułkownik Aspiche zlecił mi znalezienie Arthura Trappinga, który zniknął.

- Po co to zrobił?

- Nie z miłości, jeśli pan pyta. Trapping reprezentował potężnych ludzi i ich wpływy - ich władza sprawiła, że regiment został przerzucony z kolonii do królewskiego pałacu. Teraz zniknął. Aspiche chciał objąć dowodzenie, ale niepokoiło go to, kto stoi za zniknięciem Trappinga.

Smythe skrzywił się z obrzydzeniem. Chang cieszył się, że nie wyjawiał mu całej prawdy.

- Rozumiem. Znalazł pan go?

Chang zawahał się, a potem wzruszył ramionami. Kapitan wydawał się w porządku.

- Owszem. Jest martwy, zamordowany. Nie wiem, w jaki sposób ani przez kogo. Ciało wrzucono do rzeki. Smythe wyglądał na zaskoczonego.

- Dlaczego? - zapytał.

- Naprawdę nie wiem.

- Dlatego pan tu przyszedł? Zameldować o tym Bascombe'owi?

- Niezupełnie...

Smythe zeszytniał z nagle obudzoną czujnością. Chang podniósł rękę.

- Niech pan się nie obawia, a raczej nie obawia się mnie. Przyszedłem tu porozmawiać z Bascombe'em, ale... Co pan o nim sądzi?

Smythe wzruszył ramionami.

- To urzędnik ministerstwa. Nie jest głupi ani tak nadęty jak niektórzy. Dlaczego pan pyta?

- Bez specjalnego powodu. On odgrywa w tym wszystkim niewielką rolę. Mnie interesuje głównie Xonck i hrabina Lacquers - Sforza, ponieważ oni byli sojusznikami pułkownika Trappinga (szczególnie Xonck) i z niewiadomych mi powodów jedno z nich - nie wiem które, a może nawet oboje - zaaranżowało jego śmierć. Wie pan równie dobrze jak ja, że Aspiche siedzi u nich w kieszeni. Wasza dzisiejsza operacja przewozu skrzyń z aparaturą z Królewskiego Instytutu...

- Do Harschmort, tak.

- Właśnie - gładko potwierdził Chang, zadowolony z uzyskanej od Smythe'a informacji. - Robert Vandaariff jest częścią ich planu, a być może głównym architektem, wraz z księciem Mackienburga...

Smythe przerwał mu, podnosząc dłoń. Wyjął piersiówkę, odkręcił ją z marsową miną i pociągnął łyk. Potem podał ją Changowi, który nie odmówił. Łyk brandy wywołał następny pożar w jego przelęku, lecz Kardynał potraktował to jako karę i niezbędną kurację. Oddał butelkę.

- To wszystko... - Smythe mówił tak cicho, że trudno go było usłyszeć. - Miałem pewne podejrzenia, ale te awanse, odznaczenia, przydział do pałacu i ministerstwa... eskortowanie wozów ze skrzyniami lub osobników tak głupich, że oblewają się płonąca naftą...

- Kto jest waszym przełożonym w pałacu? - zapytał Chang. - Jest tu Bascombe i Crabbe, ale nawet oni muszą uzyskać aprobatę kogoś wyżej postawionego.

Smythe nie słuchał. Był zatopiony w myślach. Podniósł głowę, z twarzą naznaczoną zmęczeniem, którego Chang wcześniej nie widział.

- Pałac? To banda nieudolnych książąt, nadętych i nielubianych, bez żadnych wpływów. - Smythe pokręcił głową. - Powinien pan już iść. Niedługo zmiana warty i może zjawić się tu pułkownik, który często późnym wieczorem spotyka się z wiceministrem. Układają plany, lecz żaden z oficerów nie ma pojęcia jakie. Jak może pan sobie wyobrazić, większość ich jest równie arogancka jak Aspiche. Powinniśmy się pospieszyć, mogli im już podać pana nazwisko. Rozumiem, że opowieść o pańskim kiepskim samopoczuciu była zmyślona?

Chang wstał razem z nim.

- Wcale nie. Ono było skutkiem otmcia i nadludzkich wysiłków, jakie musiałem podjąć, żeby ujść z życiem.

Smythe pozwolił sobie na nikły uśmiech.

- Czymże stał się ten świat, skoro człowiek nie słucha lepszych od siebie i nie chce umrzeć, gdy go o to proszą?

\*

Smythe szybko sprowadził go po schodach na drugie piętro, a potem kilkoma krętymi korytarzami na balkon nad tylnym wyjściem.

- Tutaj warty zmieniają się później niż przy frontowych drzwiach i wciąż będą tam moi ludzie - wyjaśnił. Uważnie przyjrzał się Changowi, wodząc wzrokiem po jego stroju i kończąc na nieprzeniknionych oczach. - Obawiam się, że jest pan draniem, a przynajmniej normalnie za takiego bym pana uznał, ale dziwne czasy rodzą niezwykle sojusze. Wierzę, że mówi pan prawdę. Jeśli zdołamy pomóc sobie nawzajem... no cóż, wówczas nie będziemy zupełnie sami.

Chang wyciągnął rękę.

- Ja wiem, że jestem draniem, kapitanie. Jednak jestem również wrogiem tych ludzi. Jestem panu bardzo zobowiązany za uprzejmość. Mam nadzieję, że kiedyś zdołam się zrewanżować.

Smythe uściskał mu dłoń i wskazał drzwi.

- Jest wpół do dziesiątej. Musi pan iść.

Zaczęli schodzić na dół. Pod wpływem nagłego impulsu Chang szepnął do niego:- Nie jesteśmy sami, kapitanie. Może poznał pan niemieckiego lekarza Svensona ze świąty księcia Macklenburga. Albo młodą kobietę, pannę Celeste Temple. Działamy razem, więc jeśli powoła się pan na mnie, zaufają panu. Zapewniam, że są groźniejszymi przeciwnikami, niż się wydaje.

Doszli do bramy. Kapitan Smythe pożegnał go nieznacznym skinieniem głowy - gdyż jakikolwiek bardziej uprzejmy gest zostałby zapamiętany przez żołnierzy - i Chang wyszedł na ulicę.

Dotarł na St. Isobel Square i usiadł przy fontannie, skąd z łatwością mógł dostrzec każdego podchodzącego. Księżyc rzucał nikłą poświatę zza brudnoszarych chmur. Mgła unosiła się znad rzeki i pełzła ku niemu po kamieniach, drapiąc w gardle i płucach swym wilgotnym oddechem. Z nagłym niepokojem zaczął się zastanawiać nad doznanymi obrażeniami. Znał żrące środki, po których podaniu ofiara wypluwała życie wraz z krwawymi strzępami płuc - czyżby to było pierwsze stadium takiej udreki? Wciągając powietrze, poczuł przeszywający ból, jakby miał w płucach szkło, boleśnie kaleczące przy każdym oddechu.

Zakaszła i wypluła na bruk grudkę gęstej flegmy. Wydała mu się ciemniejsza niż zwykle, ale nie potrafił powiedzieć, czy od błękitnego proszku, czy od krwi.

\*

Dlaczego skrzynie wysłano do Harschmort? Ponieważ tam było więcej miejsca? A może bezpieczniej? Jedno i drugie było prawdą, ale przyszedł mu do głowy jeszcze jeden powód - bliskość kanałów. Harschmort to idealne miejsce, aby wyprawić skrzynie drogą morską... do Macklenburga. Skłamał się w myślach za to, że nie skorzystał z okazji i nie przyjrzał się mapom w tamtym pokoju o kopulastym sklepieniu. Mógłby przynajmniej opisać je Sven-sonowi, a teraz za ledwie w przybliżeniu pamiętał, gdzie były białe kolorowe szpilki. Westchnął - stracona okazja. Trudno.

Gdy leżał bez zmysłów, stracił wszelkie nadzieje na odnalezienie panny Temple, gdyż dokądkolwiek mogła się udać, bardzo wątpliwe, aby wciąż tam była - obojętnie, co się stało. Dom Bascombe'a był prawdopodobnym miejscem, ale Chang oparł się pokusie, chociaż z przyjemnością poturbowałby Bascombe'a niezależnie od tego, komu ten człowiek naprawę służy. Po raz pierwszy zadał sobie pytanie, czy Celeste nie miała takich samych obiekcji - czy to możliwe, że nie poszła do Bascombe'a? Opuściła ich miotana burzą uczuć, powiedziawszy o tym, co straciła. Jeśli nie udała się do Bascombe'a, to do kogo? Gdyby poważnie potraktował jej słowa - a uświadomił sobie, że dotychczas tego nie robił - dla Bascombe'a nie było już miejsca w jej sercu. Któż więc tak je złamał?

Chang zwymyślał się od głupców i najszybciej jak mógł, pomaszerował do St. Royale Hotel.

Zignorował frontowe wejście i wszedł w zaułek na tyłach, gdzie ubrani w białe kitle podkuchenni z nocnej zmiany wystawiali metalowe kubły z odpadkami i resztkami kolacji. Podeszedł do najbliższego, wskazał rosnące szeregi kubłów i warknął:

- Kto kazał wam je tu stawiać? Gdzie wasz kierownik? Mężczyzna spojrzał na niego tępym wzrokiem - widocznie zawsze stawiali tu te pojemniki - ale szorstkie słowa Changa zbiły go z tropu.

- P-pan Albert? - zająknął się.

- Tak! Właśnie. Gdzie jest pan Albert? Muszę natychmiast z nim porozmawiać!

Służący wskazał drzwi. Pozostali ich obserwowali. Chang zwrócił się do nich.

- Bardzo dobrze. Zostańcie tu. Zaraz się tym zajmiemy. Podeszedł służbowym korytarzem i skręcił w pierwszy napotkany boczny, oddalając się od kuchni i pana Alberta. Tak jak miał nadzieję, korytarz doprowadził go do pralni i magazynów. Chang szedł różnym krokiem, aż znalazł to, czego potrzebował: umundurowanego portiera, objającego się z

kuflem piwa. Chang wszedł do środka - między szmaty, wiadra i gąbki - po czym zamknął za sobą drzwi. Zaskoczony portier zakrzuszył się i odruchowo zrobił krok do tyłu, z grzechotem potracając stojące za nim miotły. Chang złapał go za kołnierz i przyciągnął do siebie.

- Posłuchaj - rzekł szybko i cicho. - Spiesz mi się. Muszę dostarczyć wiadomość, dyskretnie i osobiście, do pokoju hrabiny di Lacquer-Sforzy. Znasz ją? - Mężczyzna kiwnął głową. - Dobrze. Zaprowadź mnie tam tylnymi schodami. Nikt nie może nas zobaczyć. Nie chcę wystawić na szwank reputacji tej damy, a muszę dostarczyć jej tę wiadomość.

Sięgnął do kieszeni i wyjął srebrną monetę. Portier zobaczył ją, skinął głową, a wtedy Chang schował monetę i pociągnął mężczyznę za sobą. Da mu ją, kiedy dotrą na miejsce.

Pokój był na drugim piętrze, co miało sens dla podejrzliwego Changa - za wysoko, by wspiąć się czy zeskoczyć i z dala od tłumów na ruchliwej alei. Portier zapukał do drzwi. Nikt nie odpowiedział. Zapukał ponownie. Nadal żadnej odpowiedzi. Chang odciągnął go od drzwi i dał mu monetę. Potem wyjął drugą.

- Nie spotkaliśmy się - powiedział i wetknął ją w jego dłoń, podwajając zapłatę.

Portier kiwnął głową, cofając się. Po kilku krokach - uważnie obserwowany przez Changa - odwrócił się i uciekł. Chang wyjął kółko z kluczami. Szczęknął odsuwany rygiel. Przekręcił klamkę i wszedł.

Apartament stanowił skrajne przeciwieństwo tego, który Celeste zajmowała w hotelu Boniface - ociekał przepychem typowym dla St. Royale, od dywanów poprzez kryształ, ogromne i przesadnie rzeźbione meble, po nadmiar kwiatów, wspaniałych draperii, misterny wzór tapety i przytłaczający ogrom pomieszczeń. Chang zamknął za sobą drzwi i stanął w głównym salonie. Apartament wydawał się pusty. Gazowe światła przygaszono, lecz ich słaby blask Changowi wystarczał. Uśmiechnął się krzywo, dostrzegając kolejną różnicę. Części garderoby - oczywiście z koronek i jedwabiu - leżały niedbale rzucone na oparciach krzeseł i kanap, a nawet na podłodze. Nie mógł sobie wyobrazić czegoś takiego w obecności czującej ciotki Agathy, lecz tutaj ta dekadenska beztroska świadczyła o pogardzie dla tak naiwnej potrzeby porządku. Podeszedł do misternie rzeźbionego sekretarzyka zastawionego pustymi butelkami, wziął równie eleganckie drewniane krzesło i zablokował nim drzwi wejściowe, wpychając jego oparcie pod klamkę. Nie chciał, by przeszkodzono mu w trakcie przeszukiwania.

Podkręcił płomień gazowych lamp i wrócił do salonu. Po bokach zobaczył dwoje otwartych drzwi, a na końcu pokoju trzecie, zamknięte. Pospiesznie zajrzał do dwóch pierwszych pomieszczeń - pokoju służącej i mniejszego salonu, również pełnych porzuconych w nieładzie ubrań, a w przypadku saloniku również kieliszków i talerzy. Podeszedł do

zamkniętych drzwi i pchnął je. W środku było ciemno. Po omacku odnalazł gazowy kinkiet i rozświetlił nim następny elegancki pokój - tym razem bawialnię z dwoma wygodnymi szezlongami oraz stolikiem o lustrzanym blacie, zastawionym butelkami. Chang stanął jak wryty, czując w sercu zimne ukłucie lęku. Pod jednym z szezlongów ujrzał zielone buciki.

\*

Omiótł wzrokiem pokój, szukając innych śladów. Na stoliku z drinkami stały cztery kieliszki, niektóre na pół pełne i ze śladami szminki, a na podłodze obok drugiego szezlongu dwa następne. Wysoko na ścianie naprzeciwko wisiało duże lustro w grubej ramie, lekko nachylone i skierowane w stronę drzwi. Chang spojrział na nie z obrzydzeniem, gdyż nie lubił przeglądać się w lustrze, lecz jego wzrok przykuło coś innego, odbicie znajdującego się na ścianie za nim obrazu, który mógł być namalowany jedynie ręką Oskara Veilandta. Chang zdjął go ze ściany, po czym obrócił, by obejrzeć drugą stronę płótna. Widniał tam napis sporządzony niebieskim inkaustem, zapewne nakreślony ręką artysty: *Fragment Objawienia, 3/13.* Poniżej był szereg symboli, przypominających równanie matematyczne zawierające greckie litery, a po nich słowa: *I tak się odrodzą.*

Odwrócił płótno obrazem do siebie i zdumiał się jego posępną wymową. Może to kontrast między samym malowidłem a kosztowną złotą ramą, pogłębiający wrażenie izolacji i odgraniczenia - sprawiał, że obraz wydawał się tak wyzywający, w każdym razie Chang nie mógł oderwać od niego oczu. Właściwie nie był pornograficzny - nie ukazywał zbyt wiele - lecz mimo to był dziwnie nieprzyzwoity. Chang nie potrafiłby tego wytłumaczyć, lecz to malowidło bezsprzecznie budziło w nim równie głęboką odrazę, co podniecenie. Ten fragment obrazu nie przystawał do tego, który widzieli w galerii, ukazującego oszpeconą blizną twarz kobiety, którą Chang nawet w myślach wzdragał się nazywać Marią. Tutaj widać było nagie biodro ukazane z boku i wspaniałe uda obejmujące talię jakiejś odzianej w niebieski strój postaci, która najwyraźniej właśnie ją posiadała. Jednak przyjrząwszy się dokładniej, Chang dostrzegł dłonie tej postaci zaciśnięte na biodrach kobiety. Te dłonie również były niebieskie i ozdobione wieloma pierścieniami, tak samo jak przeguby, na których lśniły liczne bransoletki z różnych metali - złota, srebra, miedzi lub żelaza. Ten mężczyzna nie nosił niebieskiego stroju, lecz jego skóra była niebieska. Może miał to być anioł - co było wystarczająco bluźniercze - lecz nadzwyczajną jakością obrazu podkreślało idealne odwzorowanie szczegółów, niemal wyczuwalny ciężar kobiecego ciała w męskim uścisku, kąt nachylenia ich złączonych postaci, zatrzymanych w mchu, lecz wyraźnie świadczący o namiętności, która będzie trwać - jeśli nie gdzie indziej, to w umyśle patrzącego.

\*

Chang przelknął ślinę i niezdarnie powiesił malowidło na ścianie. Zerknął na nie ponownie, przybity swoją reakcją, znów poruszony i zaniepokojony widokiem długich paznokci każdego z niebieskich palców i ledwie widocznymi śladami, jakie pozostawiły na skórze kobiety. Odwrócił się do szezlonga i podniósł leżące pod nim zielone buciki. Niewątpliwie należały do Celeste. Rzadko się zdarzało, by ktoś - w dodatku ktoś taki jak ona - obudził w nim cieplejsze uczucia, mogące wytworzyć bliższą więź, więc tak gwałtowne jej zerwanie wywołało u Changa okropne wyrzuty sumienia. Niema skarga tych zielonych bucików, myśl o tym, że jej małe stopki mieściły się w czymś tak niewielkim i nadal mogły wytrwale maszerować, nagle stała nie do zniesienia. Westchnął smętnie, żałośnie, po czym odłożył je na szezlong. W tym pokoju były jeszcze jedne drzwi, lekko uchylone. Wziął się w garść i pchnął je końcem laski. Otworzyły się bezgłośnie.

To najwyraźniej była sypialnia Rosamonde. Łoże było ogromne, z wysokimi mahoniowymi kolumnkami na każdym rogu i z zasłonami z grubego purpurowego adamaszku, zwisającymi ze wszystkich stron. Podłoga była usłana częściami garderoby, głównie bielizną, ale tu i ówdzie leżały suknie, żakiet, a nawet buty. W żadnej z tych rzeczy nie rozpoznał własności Celeste, ale wiedział, że nie poznałby ich, nawet gdyby należały do niej. Na samą myśl o bieliznie Celeste mimowolnie zaczął błądzić myślami tam, gdzie dotychczas się nie zapuszczał, co wydawało się - teraz, gdy obawiał się, że ona nie żyje - dziwnie nieprzyzwoite. Może był to skutek oglądania malowidła Veilandta, lecz Chang poczuł nagły zamęt w głowie - i zastanawiał się czy nie w sercu - na myśl o swoich dłoniach obejmujących jej szczupłą kibić... zsuwających się na biodra nieokryte gorsetem lub halkami, błądzące po jej niezaprzeczalnie kremowej skórze. Potrząsnął głową. Co też mu się roi? Zaraz rozchylił zasłony i znajdzie jej zwłoki. Niechętnie oderwał myśli od tych przyjemnych rojeń i wrócił do rzeczywistości, do tej komnaty i swojego nieprzyjemnego zadania. Zacerpnął tchu - aż zakłuło go w piersiach - i podszedł do łoża. Odchylił zasłonę.

\*

Pościel była zmięta i skotłowana, lecz Chang dostrzegł wystające spod niej białe kobiece ramię. Spojrzał na poduszki leżące na głowie kobiety i odsunął pierwszą z nich. Ukazał się gęszcz ciemnobrązowych włosów. Zdjął następną i zobaczył twarz, zamknięte oczy, lekko rozchylone usta i ledwie już widoczne owalne blizny wokół oczu. To była Margaret Hooke, czyli pani Marchmoor. Chang uświadomił sobie, że kobieta jest naga, a ona w tej samej chwili otworzyła oczy. Zamrugnęła, widząc go stojącego nad nią, lecz jej twarz nie

zdradziła żadnych uczuć. Ziewnęła i leniwie przetarła lewe oko. Usiadła, przy czym pościel odsłoniła ją do pasa, zanim machinalnie znów się nią okryła.

- Wielkie nieba - powiedziała, ponownie ziewając. - Która godzina?

- Chyba dochodzi jedenasta - odparł Chang.

- Musiałam przespać wiele godzin. To z pewnością nieładnie z mojej strony. -

Spojrzała na niego z kuszącym błyskiem w oczach. - Ty jesteś Kardynał, prawda? Powiedziano mi, że nie żyjesz.

Chang skinął głową. Przynajmniej miała tyle taktu, żeby nie okazać rozczarowania.

- Szukam panny Temple - powiedział. - Była tu.

- Była... - odparła z lekkim roztargnieniem kobieta, myśląc o czymś innym. - Nie mogłeś zapytać kogoś innego?

Powstrzymał chęć spoliczkowania jej.

- Jesteś tu sama, Margaret. Może chcesz, żebym zaprowadził cię do pani Kraft, która na pewno strasznie się martwi twoim zniknięciem.

- Nie, dziękuję. - Spojrzała na niego tak, jakby dopiero teraz go zobaczyła. - Jesteś niemiły - zauważyła jakby ze zdziwieniem.

Chang złapał ją za brodę, zmuszając, by spojrzała mu w oczy.

- Jeszcze nawet nie zacząłem być niemiły. Co z nią zrobiliście?

Uśmiechnęła się do niego z ledwie skrywanym lękiem.

- Dlaczego sądzisz, że nie zrobiła tego sobie sama?

- Gdzie ona jest?

- Nie wiem... byłem taka senna... zawsze jestem senna... potem... jednak niektórym ludziom chce się potem jeść. Pytałeś w kuchni?

Chang nie odpowiedział na tę wulgarną aluzję - wiedział, że kłamie, chcąc go sprowokować i zyskać na czasie, a mimo to jej słowa obudziły ponure wizje, które widział oczami duszy - widok ust tej kobiety, rozchylonych ze zdziwienia własną rozkoszą, a potem z niepokojącą łatwością jej twarz zmieniła się w twarz Celeste o wargach wydętych z niepokojącej i przyjemności. Zaskoczony Chang cofnął się o krok, puszczając panią Marchmoor. Ona odrzuciła przykrycie i wstała, po czym podeszła do stosu porzuconych na podłodze ubrań. Była wysoka i zgrabniejsza, niż przypuszczał. Rozmyślnie odwróciła się do niego tyłem i zgięła się w pasie jak tancerka, bezwstydnie ukazując swe wdzięki. Gdy się wyprostowała i zerknęła na Changa, uśmiechem kwitując jego aprobujące spojrzenie, Kardynał zauważył siateczkę blizn na jej plecach - śladów bata. Wślizgnęła się w chiński szlafrok z jasnego

jedwabiu z wielkim czerwonym smokiem na plecach i wprawnym ruchem zawiązała pasek, jakby jej ręce rozpoczynały lub kończyły jakiś dobrze znany rytuał.

- Widzę, że goi ci się twarz - zauważył Chang.

- Moja twarz jest bez znaczenia - odparła, rozgarniając nogą kupkę odzieży, odnajdując jeden pantofel i wpychając weń stopę. - Zmiana zachodzi we wnętrzu i jest subtelna.

Chang skrzywił się pogardliwie.

- Moim zdaniem opuściłaś jeden burdel dla drugiego. Przeszyła go wzrokiem i z ogromną satysfakcją zobaczył, że ją obraził.

- Nie masz o tym pojęcia - powiedziała z udawaną beztroską.

- Niedawno widziałem, jak ktoś inny przechodzi ten wasz odrażający proces, wbrew swojej woli, i mówię ci, że jeśli zrobiliście to panie Temple...

Zaśmiała się pogardliwie.

- To nie jest kara. To dar, i śmiechu warta myśl o tym, że twoja cenna panna Nikt...

Chang przez moment poczuł głęboką ulgę, gdyż rozwiała jego obawę, której sam sobie nie uświadamiał - że Celeste stała się jedną z nich... Niemal jakby wołał, żeby umarła. Jednak pani Marchmoor mówiła dalej:

- ...nie jest w stanie pojąć możliwości, zasobów mocy... Wiedział, że przemawia przez nią duma, typowa dla tych, którzy przez całe życie byli pomiatani, a potem zostali wyniesieni i po latach pokornego milczenia z ich ust płynie rzeka aroganckich słów. Widząc, jak z uwodzicielki zmienia się w sekutnicę, Chang uśmiechnął się drwiąco. Zauważyła to i się rozzłościła.

- Myślisz, że wiesz, kim jestem. Albo kim jest ona...

- Wiem, że szukałaś nas obojga w burdelach. Bez sensu i powodzenia.

- Bez powodzenia? - zaśmiała się. - Przecież jesteś tutaj, prawda?

- Panna Temple też tu była. Gdzie jest teraz? Znów się roześmiała.

- Naprawdę nie rozumiesz...

Chang zrobił szybki krok naprzód, złapał ją za klapy szlafroka i cisnął na łóżko, bezsilnie machając nogami. Stał nad nią i dał jej chwilę, by odgarnęła włosy z twarzy i spojrzała w jego bezdenne oczy.

- Nie, Margaret - syknął. - To ty nie rozumiesz. Byłaś dziwką. Oddajesz swoje ciało bez namysłu, tak więc rozumiesz, że człowiek mojej profesji... no cóż, pomyśl o tym, co ja robię bez namysłu. A ja właśnie poluję na ciebie, Margaret. Dzisiaj podpaliłem Francisca Xoncka, pokonałem majora pilnującego księcia i przeżyłem podstępny napad twojej hrabiny.

Już nie zdoła mnie podejść, rozumiesz? W tych sprawach - na których dobrze się znam - rzadko trafia się druga okazja. Wasi ludzie, a przynajmniej ci, którzy są do tego zdolni, mieli okazję mnie zabić, ale nie zdołali. Przyszedłem tu, żeby ustalić - i to szybko - czy możesz być dla mnie choć w najmniejszym stopniu użyteczna. Jeśli nie, to zapewniam cię, że bez skrupułów zabiję cię, jakbyś była jednym z wielu szczurów w tym ścieku, który - możesz mi wierzyć - zamierzam oczyścić.

Podkreślił te słowa, wyjmując ukryte w lasce ostrze - mając nadzieję, że nie przesadził - zniżył głos do tonu towarzyskiej pogawędki.

- A teraz, Margaret, zapytam ponownie... gdzie jest panna Temple?

\*

W tym momencie Chang po raz pierwszy zrozumiał głębię przemiany. Ta kobieta nie była głupia, była sama, rozsądna i doświadczona, a jednak choć szeroko otworzyła oczy z przerażenia na widok obnażonego ostrza, zaczęła na niego wrzeszczeć, jakby słowa były orężem mogącym go odpędzić.

- Jesteś głupcem! Jej już nie ma i nigdy jej nie odnajdziesz ani nie zdołasz ocalić! Nie będziesz w stanie tego pojąć! Jesteś jak dziecko, wszyscy jesteście jak dzieci, a ten świat nigdy nie był wasz i nigdy nie będzie! Zostałam wchłonięta i odrodzona! Oddałam się i odrodziłam! Nie możesz mnie skrzywdzić, nie możesz nic zmienić, ty nędzny robaku! Zostaw mnie! Wynos się stąd i poderżnij sobie gardło w rynsztoku!

Wrzeszczała i jej krzyki rozwścieczyły Changą. Pogarda w jej głosie jak jadowity kiel przebiła pancierz jego spokoju, odrzucił laskę i lewą ręką złapał ją za kostkę wierzgającej nogi, gwałtownie przyciągając do siebie. Usiadła, wciąż krzycząc, z twarzą wykrzywioną z gniewu, nawet nie próbując się bronić, tocząc pianę z ust. W prawej ręce trzymał sztylet. Powstrzymał się i nie dźgnął jej, lecz uderzył w szczękę pięścią. Jej głowa odskoczyła do tyłu i poczuł przeszywający ból palców, ale nie upadła. Jej mowa stała się nieskładna, miała łzy w kącikach oczu i potargane włosy.

- ...nie niewarci! Ignoranci i głupcy, sami w komnatach, nędznych komnatach swoich nędznych ciał... psiarniach... jak spółkujące psy...

Odłożył sztylet i uderzył ją jeszcze raz. Z pomrukiem upadła na łoże i zamilkła, z bezwładnie zwisającą głową. Chang pomachał dłonią, skrzywił się i schował sztylet do pochwy. Uspokoił się. Te pogardliwe słowa najwyraźniej kierowała przeciw sobie, więc nie dotyczyły jego. Pamiętał, jak pani Kraft powiedziała, że Margaret Hooke była córką młynarza. Zastanawiał się, czy ktoś w hotelu usłyszał krzyki, i miał nadzieję - może sądząc po obfitości pustych butelek - że nie były one czymś niezwykłym w pokojach Rosamonde,

hrabiny Lacquer-Sforzy. Spojrzał na nieruchome ciało Margaret Hooke. Rozchyłony szlafrok ukazywał miękki brzuch i bezwładnie rozrzucone nogi, wyglądające dziwnie rozbijająco.

Była przystojną kobietą. Jej piersi unosiły się i opadały przy każdym oddechu. Była zwierzęciem jak każde inne. Pomyślał o bliznach na jej plecach, tak odmiennych od tych na jej twarzy, również będących świadectwem poddania się woli możniejszych od niej, lecz także jakiegoś nieświadomego pragnienia osiągnięcia spokoju ducha. Jej gwałtowny wybuch powiedział Changowi, że jeszcze nie osiągnęła tego stanu, tylko uwięziła swe niezadowolenie głęboko pod warstwami samokontroli. Może to było najbardziej wzruszające. Poprawił jej szlafrok, przesunawszy dłońmi po jej biodrach, i niezauważony przez nikogo opuścił hotel.

Idąc ciemnymi ulicami, Chang wciąż słyszał słowa pani Marchmoor: „Nie zdołasz jej ocalić!”. Oznaczały, że coś stało się z Celeste, albo miało się stać, i kobieta była pewna, że on nie będzie w stanie temu przeszkodzić. Jej arogancja kazała mu wybrać tę drogą możliwość. Czuł ciężar bucików Celeste w kieszeniach płaszcza. Podejrzewał, że prawdopodobnie zabrali ją do jakiegoś skupiska tej mocy, może by poddać ją procesowi albo po prostu zabić. Jeśli jednak tak było, to czemu jeszcze tego nie zrobili? To niepokojące pytanie sprawiło, że wrócił myślami do Angeliki i szklanej księgi. Czy ośmielił się powtórzyć ten rytuał z Celeste? Próbę z Angeliką przerwała jego interwencja, ale jaki miał być jej wynik? Nie wątpił, że jeszcze potworniejszy.

Pytanie tylko, dokąd ją zabrali. Zapewne do Harschmort - gdzie zawieźli skrzynie - albo do Tarr Manor, o które pytała go Rosamonde. Oba te miejsca były odludne i rozległe, i nikt postronny by im nie przeszkadzał. Chang zakładał, że Svenson dotarł do posiadłości, więc może on powinien udać się do Harschmort... Jeśli jednak naprawdę mieli przeciwko sobie takie siły, to czy może liczyć na to, że doktor ją uratuje? Wyobraził sobie tego porządnego człowieka, jak próbuje iść z bezwładną Celeste na rękach, strzelając z pistolem do ścigającego go oddziału dragonów... zgubiony. Musi się dowiedzieć, dokąd ją zabrali. Jeśli źle odgadnie, wszyscy troje mogą zginąć. Będzie musiał zaryzykować wizytę w bibliotece.

\*

Jak w przypadku większości dużych budynków, do biblioteki nie przylegały żadne domy, których dachy całkowicie rozwiązywałyby problem. Zarówno wielkie frontowe drzwi, jak i tylne dla personelu, zawsze były pilnowane od wewnątrz przez strażników, nawet w nocy. Ze swojego punktu obserwacyjnego, z odległości około dwudziestu metrów, Chang widział również macklenburskich żołnierzy, siedzących w cieniu kolumn stojących wzdłuż frontowych schodów. Zakładał, że byli także z tyłu - tak więc strażę wewnątrz i na zewnątrz. Nieważne. Chang przebiegł do przysadzistej kamiennej budowli oddalonej około piętnastu

metrów od głównego budynku. Drzwi były zamknięte na drewnianą zasuwę, lecz po minucie wyłożonego majstrowania sztyletem - wsuwanym przez szparę, wbijanym w rygiel i przesuwany odrobinę w bok, raz po raz - stanęły otworem. Wszedł do środka i zamknął je za sobą. W słabym świetle wpadającym przez zakratowane okienko zobaczył kilka lamp, wybrał jedną i sprawdził, czy jest w niej nafta, a potem ostrożnie zapalił zapałkę. Mocno przykręcił płomień, pozwalając, by dawała tylko tyle światła, ile potrzebował, by znaleźć klapę w podłodze. Postawił lampę i z całej siły pociągnął za kółko. Zazgrzytały zawiasy, lecz ciężka metalowa płyta dała się odchylić. Chang wziął lampę i zajrzał do ciemnego otworu. Po raz drugi tego dnia podziękował losowi za brak wężu. Schodził do kanałów.

Robił to już kiedyś w trakcie długotrwałego sporu z klientem, który nie chciał zapłacić. Ten człowiek wysłał swoich agentów do biblioteki i Chang musiał skorzystać z tej niezwykle nieprzyjemnej drogi ucieczki. Wciąż śmierdział ściekami, gdy wieczorem tego samego dnia kopniakiem rozwalął okno w domu owego klienta, żeby rozwiązać spór za pomocą ostrza brzytwy - ale było to późną wiosną. Teraz miał nadzieję, że z powodu nadchodzącej zimy poziom wody będzie jeszcze niski i uda mu się przejść, nie zanurzając się w ściekach. Otwór prowadził do śliskich kamiennych schodów, bez poręczy czy uchwyty. Zszedł po nich, trzymając w jednej ręce laskę, a w drugiej lampę, aż dotarł do kanału. Strumień nieczystości zmalał od czasu jego poprzedniej wizyty i Chang z ulgą zobaczył śliski kamienny murek biegnący wzdłuż kanału i pozwalający przejść suchą nogą. Pochylił głowę pod niskim sklepieniem i bardzo ostrożnie nań wszedł.

Było bardzo ciemno i płomień lampy przygasał i sypał skrami w smrodliwym powietrzu. Kanał biegł pod ulicą, a po chwili liczący kroki Chang znalazł się pod biblioteką. Po kolejnych dwudziestu krokach dotarł do następnych kamiennych schodków i włązu. Wspiął się, napał barkiem na klapę i wyszedł w najniższej położonej piwnicy biblioteki - trzy poziomy pod holem. Najlepiej jak mógł, oczyścił buty i zamknął klapę.

Przyświecając sobie nikłym płomieniem lampy, Chang przemknął przez korytarz i do magazynów. Doskonale znał ten budynek - mógłby poruszać się w nim po omacku. Na każde rozległe piętro biblioteki otwarte dla czytelników przypadały trzy piętra magazynów. Te były zagracone, zakurzone i wąskie, zapchane rzadko wypożyczanymi księgami, których jednak nie można było się pozbyć. Ściany - a także podłogi i sufity - były jedynie żelaznymi kratownicami i za dnia można było dostrzec przez otwory, niczym przez jakiś dziwny kalejdoskop, samo sklepienie budynku, znajdujące się dwanaście pięter wyżej. Chang pospiesznie pokonał sześć kondygnacji wąskich schodów i znalazł się na trzecim piętrze,

pchnął ramieniem zawsze blokujące się drzwi biblioteki i wszedł do nakrytego kopulastym sklepieniem pomieszczenia z mapami, gdzie tak niedawno został wynajęty przez Rosamonde.

Teraz podkręcił płomień lampy, wiedząc, że strażnicy nie mogą go zobaczyć, gdyż pokój z mapami był daleko od głównych schodów, z których można by dostrzec światło. Postawił lampę na jednej z wielkich drewnianych skrzyń i na biurku kustosza zaczął szukać pewnego konkretnego tomu - opasłego *Codex of Royal Surveyor's Map*, jako najpewniejszego źródła wiedzy o okolicach Harschmort i Tarr Manor. Nie wiedział jednak, gdzie dokładnie znajdują się te miejsca, a przynajmniej nie na tyle, by odgadnąć, która z map je obejmuje. Wziął miniaturowe wydanie *Codex* i sprawdził w indeksie nazw, wytyżając wzrok. Minęło kilka minut, zanim odszukał oba te miejsca wraz z odnośnikami do głównej mapy na początku książki. Zlokalizowawszy je na głównej mapie z siatką geograficzną, wklejoną na początku *Codex*, uzyskał numery dokładnych map, których w zbiorach bibliotecznych były całe setki. Stracił kilka kolejnych minut, ślęcząc nad główną mapą, zanim przeszedł do szczegółowych, przechowywanych w szerokich i płytkich szufladach wysokiego biurka. I znów niemal dotykając nosem numerów identyfikacyjnych, odnalazł dwie potrzebne mu mapy i wyjął je z przegródek. Zaniósł mapy - obie o powierzchni prawie dwóch metrów kwadratowych - do jednego z szerokich stołów i przyniósł lampę. Przetarł oczy i rozpoczął następny etap poszukiwań.

\*

Mapa Tarr Manor - i dość rozległych włości lorda Tarra - ukazywała, że znajdują się one w okręgu Floodmaere. Łatwo było znaleźć kamieniołom, leżący prawie dziewięć kilometrów od głównego budynku, w miejscu, gdzie posiadłość lorda obejmowała łańcuch kamienistych wzgórz. Sama rezydencja była duża, ale nie nazbyt, a otaczający ją teren nie budził żadnych podejrzeń: sady, pastwiska, stajnie. Na mapie widać było liczne zabudowania w pobliżu samego kamieniołomu, ale czy dostatecznie duże, by hrabia mógł przeprowadzać w nich swe eksperymenty?

Mapa Harschmort mówiła równie mało. Ten dom był z pewnością większy i w pobliżu znajdowały się kanały, lecz otaczały go moczary i równinne łąki. Chang był w tym domu - nieszczególnie wysokim. Szukał jakiegoś miejsca, w którym mogliby odtworzyć rozległe podziemia instytutu, osadzonego głęboko w ziemi, jednak musiałyby to być wysoka wieża. Na żadnej z dwóch map nie dostrzegł niczego takiego. Westchnął i potarł oczy. Miał coraz mniej czasu. Ponownie skupił uwagę na mapie Harschmort, ponieważ to tam dragoni Aspiche'a zabrali skrzynie. Szukał czegoś, co mógł przeoczyć. Nie widział samego końca mapy, więc obrócił ją na stole, przysuwając bliżej światła. W pośpiechu naderwał lewy dolny

róg. Zaklął gniewnie i spojrzął na uszkodzony kawałek. Coś było na nim napisane. Pochylił się. Był to odnośnik do innej mapy tego samego terenu. Dlaczego? Zapamiętał ten numer i wrócił do *Codex*, po czym pospiesznie odszukał wskazaną mapę. W pierwszej chwili nie pojął, w czym rzecz. Druga mapa ukazywała plan jakichś budynków. Chang pospieszył do biurka, szybko odnalazł mapę i rozpostarł ją na stole. Zupełnie zapomniał. Robert Vandaariff na swój wielki dom zaadaptował byłę więzienie.

Zaledwie chwilę później znalazł to, czego szukał. Obecnie rezydencja była kręgiem budynków otaczających otwartą przestrzeń rozległego i wypielegnowanego ogrodu we francuskim geometrycznym stylu. Na mapie więzienia nad tą centralną częścią dominowała owalna budowla, która - jak natychmiast domyślił się Chang - skrywała wiele pięter i panoptikum więziennych cel, skupionych wokół głównej wieży strażniczej, a wszystko to pod powierzchnią ziemi. Ponownie spojrzął na mapę Harschmort Vandaariffa... na której nie było nawet śladu po budowli. Chang natychmiast pojął, że ta budowla wciąż tam jest, pod ziemią. Pomyślał o komnacie w instytucie, o mnóstwie rur biegnących po ścianach do stołu, na którym położono Angelikę. Więzienne cele z łatwością można było do tego przystosować. W Tarr Manor nie było niczego takiego, gdyż koszt podobnej budowli znacznie przekraczał dochody tej średniej wielkości posiadłości. Zostawił mapy tam, gdzie były, wziął lampę i pomaszerował z powrotem do magazynów. Z tego co wiedział, Celeste mogła teraz leżeć na takim stole w Harschmort.

\*

Zanim wysiadł w Stropping, było dobrze po północy. To miejsce było jeszcze gorsze, niż je zapamiętał (ponieważ Chang nie lubił wyjeżdżać z miasta, więc obraz stacji nieuchronnie był zabarwiony przez gniew i niechęć). Świst gwizdków, fontanny pary, groźnie patrzące anioły po obu stronach okropnego zegara, a pod nim zdesperowana garstka zbłąkanych dusz, nawet o tak późnej godzinie, odizolowanych od świata pod szerokim żelaznym baldachimem. Chang pomknął do dużej tablicy z numerami pociągów, peronów i nazwami stacji docelowych, w biegu starając się skupić wzrok. Był w połowie drogi, gdy rozmazane litery ułożyły się w czytelną treść: peron 12, odjazd 12.23 do Orange Canal. Kasa biletowa była zamknięta - zapłaci konduktorowi - więc pomknął na peron. Pociąg stał tam, w kłębach pary unoszącej się z rozgrzanego do czerwoności paleniska.

Podszedłszy bliżej, z natychmiast rozbudzoną czujnością zauważył rząd dobrze ubranych postaci - męskich i kobiecych - wsiadających do ostatniego wagonu. Zwolnił kroku. Czyżby następny bal? Po północy? Ci ludzie nie dotrą do Harschmort wcześniej niż przed drugą rano. Zaczekał, aż wsiądzie ostatnia z osób, z których żadnej nie rozpoznał, po czym

niepostrzeżenie podszedł do ostatniego wagonu. Wsiadło około dwudziestu osób. Spojrzał na zegarek - 12.28 - i dał im jeszcze minutę na opuszczenie pomostu, po czym wszedł po schodkach i do wagonu. Konduktora nie było. Czyżby odprowadzał tamtych do przedziałów? Chang przeszedł jeszcze kilka kroków i rozejrzał się. W ostatnich przedziałach nie było nikogo. Odwrócił się do drzwi i zamarł. Po marmurowym peronie dworca Stropping szła pani Marchmoor, w wyzywająco żółto-czarnej sukni, za nią maszerował oddział około piętnastu dragonów w czerwonych mundurach, a u jej boku ich oficer. Chang obrócił się na pięcie i pomknął w głąb wagonu. Przedziały były puste. Na drugim końcu korytarza Chang szarpnięciem otworzył drzwi i zamknął je za sobą, nie zwalniając kroku. Ten wagon też był pusty. Nie było w tym niczego dziwnego o tak późnej godzinie, szczególnie że wsiadający sprawiali wrażenie jednej dużej grupy. Prawdopodobnie usiądą wszyscy razem, a Chang nie wątpił, że pani Marchmoor dołączy do nich, kiedy tylko się upewni, że nie ma go w pociągu. Dotarł do końca drugiego wagonu i wpadł do trzeciego. Obejrzał się z niepokojem, gdyż przez szklane drzwi dostrzegł w oddali czerwone mundury dragonów. Byli w pociągu. Chang zaczął biec. Przedziały tego wagonu również były puste - nawet nie fatygował się zaglądnieniem do nich. Dotarł na koniec trzeciego wagonu i stanął jak wryty. Następne drzwi były inne. Wychodziły na mały otwarty pomost, po obu stronach zabezpieczony poręczami z łańcuchów. Za nim, zaledwie krok dalej, zaczynał się następny wagon, inny od pozostałych, pomalowany na czarno ze złotymi zdobieniami i odpychająco wyglądającymi drzwiami z oksydowanej stali. Chang złapał za klamkę. Drzwi były zamknięte. Odwrócił się i zobaczył czerwone mundury na końcu korytarza. Był w potrzasku.

Pociąg szarpnął i mszył. Chang spojrzał w prawo i zobaczył, że peron zaczyna zostawać w tyle. Bez namysłu przesadził poręcz i wylądował na żwirze z impetem, od którego zaparło mu dech w piersi. Wyprostował się. Pociąg nabierał prędkości. Chang mszył za nim, zmuszając ciało do wysiłku, walcząc z wrażeniem, że wciągnął w płuca zawartość pudełka szpilek. Zaczął biec, mocno pracując nogami, zrównał się z pomostem, z którego skoczył, a potem przyspieszył, chcąc dogonić pierwszy pomost czarnego wagonu. Tory przed nim znikwały w tunelu. Spojrzał na okna czarnego wagonu, ciemne, zasłonięte - czy może zamalowane? Albo zamknięte stalowymi okiennicami? Pękały mu płuca. Już widział początek pierwszego wagonu, ale nawet jeśli zdoła tam dobiec, czy znajdzie siłę, żeby się wspiąć? Przed oczami przemknęła mu odrażająca wizja, jak wpada pod koła pociągu, które w mgnieniu oka obcinają mu nogi, tryska krew i ostatnią rzeczą, jaką widzi w życiu, są brudne, okopcone podkłady kolejowe torów w Stropping. Przyspieszył. Usłyszał gwizd. Zbliżali się do tunelu. Z ulgą zobaczył drabinkę przyśrubowaną na przedzie wagonu. Skoczył i złapał się

jej, podkurczył nogi zwisające tuż nad szynami, podciągnął się z wysiłkiem - jakimś cudem nie wypuszczając laski - i zdołał oprzeć kolano o najniższy szczebelek. Głośno sapał, paliło go w piersi i w gardle. Pociąg wpadł do tunelu i połknął go mrok.

\*

Chang trzymał się kurczowo, zaczepiwszy obie nogi o szczeble, żeby ulżyć rękom. Ciężko dyszał. Zakaszłał i kilka razy splunął w ciemność, czując w ustach smak krwi. Kręciło mu się w głowie i niewiele brakowało, aby zemdleć. Mocniej chwycił się żelaznych szczebli i oddychał głęboko, z trudem. Ze zgrozą uświadomił sobie, że jeśli ktoś go zauważył, nie będzie w stanie się obronić. Przeklął Rosamonde i jej niebieski proszek. Płuca paliły go jak przerabiane na mielonkę. Ponownie splunął i z bólu zacisnął powieki.

Zaczekał, aż skończy się tunel, co trwało co najmniej piętnaście minut. Nikt nie wyszedł z wagonu. Pociąg mknął przez miasto na północny wschód, mijając opustoszałe podwórza i rozsypujące się domy z cegieł, ku drewnianym i krytym papą chatom stojącym wzdłuż torów na skraju miasta. Skryty za chmurami księżyc dawał wystarczająco dużo światła, żeby Chang mógł dostrzec kolejny pomost z łańcuchami, łączący czarny wagon z następnym, który wcale nie miał drzwi, tylko drabinkę wiodącą na górę. Dopiero po chwili, dowodzącej jak bardzo był zmęczony, Chang zrozumiał, co widzi. To była węglarka, a przed nią lokomotywa. Wyprostował się i oparty na jednej nodze, wyciągnął rękę do drabinki węglarki. Zabrakło mu około dziesięciu centymetrów. Gdyby skoczył, niemal na pewno zdołałby się jej złapać i fakt, że się zastanawiał, również świadczył o zmęczeniu. Nie mógł jednak zostać na drabince, a tym bardziej nie wierzył, że dałby radę przeskoczyć przez poręcz na pomost. Wyciągnął rękę i jedną nogę, zerknął na umykające w tył szyny pod sobą, na rozmazane przez prędkość podkłady. Potem skupił wzrok na drabince, nabrał tchu i skoczył... Wylądował idealnie, z mocno bijącym sercem. Teraz lepiej widział stalowe drzwi. Wyglądały dokładnie tak samo jak tamte na drugim końcu wagonu: grube, stalowe i bez okien, równie zapraszające jak drzwiczki bankowego sejf. Chang spojrzał w górę i zaczął pięć się po drabince.

Węglarka niedawno została napełniona, więc jej górną krawędź od zapasu węgla dzieliło zaledwie pół metra - wystarczająco, by ukryć Changa przed oczami kogoś, kto patrzyłby z pomostu. Co więcej, na środku węglarki węgiel utworzył kopczyk, zasłaniający go przed maszynistami i palaczami. Położył się na plecach i patrzył w nocne mgły, gdy pociąg mknął przez nie, z głośnym stukotem kół i sykiem pary, dźwiękami tak monotonnymi, że aż kojącymi. Obrócił się na bok i splunął na ściankę węglarki. Smak w ustach nie pozostawiał cienia wątpliwości - to była krew. Poczul pierwszy dreszcz strachu pełzający po

krzyżu na wspomnienie tego strasznego roku, kiedy dostał batem po oczach - skazany na szpital dla biedoty i szczęśliwie przeżywszy gorączkę, z każdą myślą uwięzioną w tej okropnej otchłani pomiędzy osobą, jaką był w swoich wspomnieniach, a tą, którą bał się zostać - słabą, zależną, pogardzaną. A kiedy opuścił szpital i próbował odzyskać swoje dawne życie, rzeczywistość okazała się gorsza od obaw. Po pierwszym dniu zrezygnował i rozpoczął nowe życie, którego motorem była gorycz, gniew i rozpacz nędzarza. Co do młodego szlachcica, który go uderzył... Chang nie wiedział, kim był - otrzymał cios w uniwersyteckiej piwiarni w trakcie bijatyki pomiędzy dwoma grupami studentów. Widział go przez bardzo krótką chwilę: wydatna szczęka, zastygłe w złośliwym uśmiechu usta, płonące szaleństwem zielone oczy. Z tego co wiedział - albo na co miał nadzieję - ten człowiek mógł już dawno umrzeć na syfilis... bo na takiego wyglądał.

Teraz, w węglarce, znów poczuł strach. Jeśli jego płuca zostały zniszczone, to jego życie także. Mógł, pokaszując, pracować w bibliotece, ale nie zdołałby nadal wykonywać swojego fachu, będącego dlań źródłem radości i dumy. Pomyślał o swoich niespodziewanych przygodach z ostatnich dni i wiedział, że z ciałem w takim stanie nie zdołałby wymknąć się żołnierzowi w swoim pokoju, uciec z instytutu, majorowi, Xonckowi czy przeżyć zdrady Rosamonde. Stworzył się na nowo dzięki sile woli, ucząc się sztuki przetrwania i nowego fachu (kiedy, komu i w jakim stopniu zaufać, kiedy, jak i kogo zabić czy tylko poturbować), a co najważniejsze, z kim bezpiecznie nawiązywać w ściśle odgraniczonych obszarach swego nowego życia - podczas pracy i odpoczynku, działania i bezczynności - namiastkę międzyludzkich kontaktów. Czy była to pogawędka o koniach z barmanem Nicholasem między drinkami w Raton Marinę, czy podczas rzadkich chwil odprężenia z Angeliką (stukot pociągu przywiódł wspomnienie jej ojczyściego języka i tego, jak powiedział jej, że ktoś mówiący po chińsku przypomina mu gadającego kota, a ona się uśmiechnęła, ponieważ wiedział, że lubi koty), możliwość nawiązania takich stosunków zależała od jego miejsca w świecie i umiejętności zadbania o siebie. Jeśli ją straci? Zamknął oczy i wypuścił powietrze z płuc. Pomyślał, że może tu umrzeć we śnie, zachłysnąwszy się własną krwią, a palacze znajdą go dopiero wtedy, kiedy zużyją większą część zapasu węgla. Kiedy to będzie - za kilka dni? Jego ciało wrzucą do anonimowego grobu albo do rzeki. Pomyślał o doktorze Svensonie i zobaczył go, jak z trudem uchodzi przed pościgiem - utykając, tak jak wtedy, kiedy byli razem, chociaż żaden z nich o tym nie wspomniał - jak kończą mu się naboje i rzuca pistolet... i ginie. Chang również. Błądząc myślami, niepostrzeżenie, niczym we śnie, pod wpływem współczucia dla doktora nagle znalazł się na jego miejscu. Zobaczył swoje ręce odrzucające pistolet i wyjmujące ukryty w lasce sztylet (choć jakaś część jego świadomości zdziwiła

się, skąd doktor ma taką broń), którym atakuje napastników ścigających go we mgle (czy może sypiącym śniegu, bo chyba zgubił okulary). Wszędzie szable, wokół żołnierze w czarnych i czerwonych mundurach... Bezsilny, bo wytrącono mu broń... a ostrza mknące ku niemu jak wygłodniałe srebrzyste ryby pędzące z głębi morza, przesywające mu pierś - czy może to tylko klucie przy oddychaniu? A potem gdzieś z tyłu, bardzo odległy, a jednocześnie sączący się prosto do ucha, kobiecy szept, wilgotny i ciepły oddech. Angelika? Nie... to Rosamonde. Mówiła mu, że umarł. Oczywiście... Nie było innego wytłumaczenia.

\*

Kiedy Chang otworzył oczy, pociąg już się zatrzymał. Słyszał sporadyczne posykiwanie odpoczywającej maszynerii, niczym pomruk oswojonego smoka, ale nic więcej. Usiadł, mrugając, po czym wyjął chustkę, żeby wytrzeć twarz. Oddychało mu się łatwiej, ale miał stmpy w kącikach ust i przy obu otworach nosa. Nie wyglądały na zakrzepłą krew - po ciemku nie mógł tego stwierdzić - raczej na krew zestaloną po wylaniu na cukier lub mielone szkło. Wyrzał zza krawędzi węglarki. Pociąg stał na stacji. Na peronie nie zobaczył nikogo. Drzwi czarnego wagonu wciąż były zamknięte - albo zamknięte ponownie, gdyż nie wiedział, czy w środku jeszcze ktoś jest. Na stacji było ciemno. Ponieważ pociąg nie mszał dalej, Chang doszedł do wniosku, że to koniec trasy, czyli Orange Canal. Z trudem wygramolił się z węglarki i zszedł po drabince, trzymając laskę pod pachą. Cały był zeszywniały. Spojrzał w niebo, z położenia księżycy próbując wywnioskować, jak długo spał. Dwie godziny? Cztery? Zeskoczył na żwir i otrzepał się, najdokładniej jak umiał. Wiedział, że płaszcz na plecach ma czarny od węgla. W takim stanie nie zdołałby przejść obok portiera, ale co z tego. I tak nie miał takiego zamiaru.

\*

Jak to często bywa, podróż powrotna do Harschmort wydawała się znacznie krótsza niż poprzednio ucieczka stamtąd. Punkty orientacyjne - wydma, wyrwa w drodze, pień drzewa - pojawiały się jeden po drugim w niemal zdyscyplinowanych odstępach, tak więc pół godziny minęło bardzo szybko i Chang stanął w sięgającej kolan trawie na szczycie pagórka, spoglądając nad równiną podmokłą łąką na jasno oświetlone, złowrogie mury rezydencji Roberta Vandaariffa. Podchodząc tam, rozważał różne możliwości na podstawie swojej znajomości różnych części budynku. Do ogrodów na tyłach prowadziły liczne szklane drzwi, które umożliwiały łatwy dostęp, lecz ogrody znajdowały się nad ukrytymi pomieszczeniami - dawnym podziemnym więzieniem - i mogły być dobrze strzeżone. Przy frontowych drzwiach z pewnością był tłum, a boczne skrzydła miały okna wysoko nad ziemią, jak w prawdziwym więzieniu. Zostawało tylko lewe skrzydło domu, najwidoczniej będące miejscem ożywionej

sekretnej działalności, w którym znalazł ciało Trappinga i skąd uciekł, rozbiwszy szybę w jedynym z nisko położonych okien. Czy powinien spróbować wejść tamtędy? Musiał założyć, że pani Marchmoor ostrzegła ich o jego możliwej wizycie, chociaż nie znalazła go w pociągu. Na pewno będą na niego czekali.

Mgła rozeszła się pod podmuchem wiatru, w blasku księżyca ukazując mu większą przestrzeń. Chang przystanął, tknięty nagłym podejrzeniem. Dotarł do połowy łąki i nagle zauważył w trawie przed sobą wydeptaną wąską ścieżkę. Ktoś niedawno tu był. Powoli mszył naprzód, wypatrując miejsc, gdzie biegły te ślady. Po chwili znów przystanął i przykłęknął. Wyciągnął laskę przed siebie i rozchylił trawę. Zobaczył żelazny łańcuch, ledwie widoczny na tle piaszczystej gleby. Chang wsunął laskę pod spód i podniósł, wyjmując łańcuch z piasku. Łańcuch miał zaledwie pół metra długości i na jednym końcu metalową szpilę wbitą głęboko w ziemię. Z lekką zgrozą zauważył, że drugi koniec jest połączony z potrzaskiem na niedźwiedzia - a w tym wypadku raczej na człowieka. Złowieszcze żelazne szczęki były rozciągnięte i gotowe strzaskać mu nogę. Spojrzał na dom, a potem za siebie. Nie miał pojęcia, co jeszcze mogli tu zostawić. Nie wiedział, czy dopiero tu zaczyna się linia sideł, czy też miał szczęście, dochodząc tutaj cały. Droga biegła spory kawałek dalej, a skręciwszy w jej kierunku, nie byłby bezpieczniejszy, niż idąc dalej naprzód. Będzie musiał zaryzykować.

Nie chcąc stracić laski, ostrożnie wsunął ją pod gładką krawędź potrzasku i popchnął, aż dotknął zapadki. Pchnął ją końcem laski i sidła zatrzasnęły się błyskawicznie, dźwięcząc donośnie. Chociaż się tego spodziewał, Chang był zaskoczony i zmrożony szokująco brutalnym działaniem sideł. Krzyknął, przyłożywszy zwiniętą w trąbkę dłoń do ust, aby skierować dźwięk w stronę domu. Krzyknął ponownie, rozpaczliwie i błagalnie, kończąc przeciągłym jękiem. Uśmiechnął się, odprężył i poczuł się znacznie lepiej, jak maszyna, z której uszedł nadmiar pary. Czekał. Krzyknął po raz trzeci, jeszcze głośniejsze i nagrodził go błysk zapalanego w oknie światła, skrzywienie drzwi i rząd wychodzących z nich ludzi, niosących pochodnie. Nisko pochylony, Chang czmychnął tam, skąd przyszedł, chowając się w wysokiej trawie. Przywarł do ziemi i czekał, aż wyrówna mu się oddech. Słyszał ludzkie głosy. Powolutku podniósł nieco głowę i obserwował nadchodzących. Było ich czterech, każdy z pochodnią. Nagle przypomniał sobie o czymś i zdjął okulary, nie chcąc, by odbił się w nich blask ognia. Tamci podeszli bliżej i z satysfakcją zauważył, że kroczyli bardzo ostrożnie, jeden za drugim, nie zbaczając ze śladów poprzednika. Dotarli do rozbrojonego potrzasku, najwyżej dziesięć metrów od miejsca, gdzie leżał. Najwyraźniej doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że nie widzą wijącego się na trawie człowieka i nie słyszą kolejnych krzyków. Rozglądali się podejrzliwie.

Chang znowu się uśmiechnął. Węglowy pył absorbował światło i czynił go prawie niewidocznym. Mężczyźni cicho rozmawiali. Nie słyszał, co mówili. Nieważne. Trzej z nich byli dragonami w mosiężnych hełmach lśniących w świetle pochodni, ale ten na przedzie miał gołą głowę i cywilny płaszcz sięgający kolan. Żołnierze trzymali w rękach szable i pochodnie. Ten oprócz pochodni miał karabin. Wbił pochodnię w piaszczysty grunt i obejrzał potrzask, szukając śladów krwi. Potem wyprostował się, podniósł pochodnię i uważnie popatrzył na łąkę. Chang powoli przywarł do ziemi, nie chcąc, by go zauważono. Czekał, doskonale wiedząc, co tamten robi, jakby czytał w jego myślach. Ten człowiek zdawał sobie sprawę, że jest obserwowany, ale nie miał pojęcia z którego miejsca. Chang nawet odrobinę mu współczuł, lecz obojętnie kto wpadł na pomysł zastawienia potrzasków, najwyraźniej umieścił je tu ten człowiek. Chociaż Chang był zabójcą, nie żywił sympatii do tych, którzy lubili zadawać ból. Starał się zapamiętać twarz tego mężczyzny, jego wydatną szczękę, nastroszone siwe bokobrody i łysinę na czubku głowy. Może spotkają się w środku.

\*

Po kolejnej minucie stało się jasne, że nie mają ochoty prowadzić poszukiwań, kręcąc się wśród zastawionych potrzasków. Wrócili do budynku. Chang pozwolił im odejść, a potem ostrożnie poszedł po ich śladach, nisko pochylony. Na skraju łąki przyciął się w gęstej trawie i czekał. Tamci mogli obserwować teren z jednego z ciemnych okien. Miał przed sobą to samo skrzydło co poprzednio, ale nie widział okna, w którym dwie noce wcześniej wybił szybę. Już została wstawiona. Chang uśmiechnął się krzywo i zaczął szukać odpowiedniego kamienia. Skoro pani Marchmoor przybyła tu przed nim, mógł dostać się do środka, jedynie narobiwszy trochę zamieszania.

Przyklęknął i rzucił. Kamień był poręczny, gładki i poszybował prosto do celu, z impetem trafiając w okno na prawo od drzwi, z których wyszli czterej mężczyźni. Szyba pękła z miłym dla ucha traskiem. Chang pobiegł w kierunku domu i na lewo od drzwi, przeskoczył gazon i dotarł do ściany w tej samej chwili, gdy usłyszał krzyki i zobaczył światło zapalające się w rozbitym oknie. Drzwi się otworzyły. Przywarł do muru. W drzwiach pojawiła się ręka trzymająca pochodnię, a za nią mężczyzna z nastroszonymi bokobrodami. Całą uwagę - oczywiście - skupił na rozbitym oknie, stojąc bokiem do Changą.

Ten wyrwał pochodnię z dłoni zaskoczonych mężczyzny i mocno kopnął go w zębra. Mężczyzna padł z jękiem. Dalej, w otwartych drzwiach, Chang zobaczył kilku dragonów. Machnął im pochodnią przed nosami, zmuszając do odwrotu i chwytając klamkę drzwi. Zanim otrząsnęli się z zaskoczenia, wrzucił pochodnię do pokoju, mając nadzieję trafić w zasłony. Zatrzasnął drzwi, odwrócił się do siwego mężczyzny, który usiłował wstać. Uderzył

go laską w głowę. Mężczyzna wrzasnął z oburzenia i bólu. Podniósł ręce, zasłaniając się przed następnym ciosem. To pozwoliło Changowi ponownie kopnąć go w żebra i odepchnąć na bok, pozbawiając równowagi, aż z krzykiem runął na ziemię. Chang ominął go i pobiegł wzdłuż ściany. Przy odrobinie szczęścia dragoni ugaszą ogień i nie dopuszczą do pożaru domu, i dopiero wtedy mszą w pogon.

Minął zakręt i pobiegł dalej. Posiadłość Harschmort miała kształt prawie zaciśniętej podkowy, a on znajdował się na jej prawym końcu. W środku był ogród i Chang pomknął między ozdobne drzewa i żywopłoty, starając się jak najbardziej zwiększyć odległość dzielącą go od pościgu. Był pewien, że w dzień ten ogród sprawiał wrażenie sztucznego tworu - natura podporządkowana surowym rygorom geometrycznych wzorów. Teraz, podczas pospiesznej ucieczki, wydawała się Changowi mrocznym labiryntem, stworzonym głównie do wywoływania zderzeń z ławkami, fontannami, żywopłotami i pomnikami, które zniemacka wyłaniały się przed nim w nocnej mgle. Jeśli jednak zdoła zgubić tutaj pościg, tamci będą musieli się przegrupować i szukać go dosłownie wszędzie, co oznaczało mniej wrogów w każdym poszczególnym miejscu, a więc dawało mu szansę. Przystanął w cieniu przyszyżonego krzewu, czując ból w płucach przypominający o sobie niczym uparty wierzyciel. Gdzieś za plecami usłyszał kroki. Ruszył, nisko pochylony, starając się stąpać po trawiastych ścieżkach, a nie po żwirze. Przyszło mu do głowy, że być może właśnie przechodzi nad ukrytymi komnatami. Czy w ogrodzie mogło pozostać jakieś wejście? Nie miał czasu go szukać, a ponadto mgła była zbyt gęsta, tak więc przekradał się dalej, w kierunku drugiego skrzydła.

To tam, gdzie znajdowała się wielka sala balowa, po raz pierwszy spotkał Trappinga. Jeśli wydarzenia dzisiejszego wieczoru miały bardziej sekretny charakter, być może nie będzie tam nikogo.

Odgłosy kroków rozlegały się nieprzyjemnie blisko. Chang słuchał uważnie, czekając, próbując określić liczbę prześladowców. Walka na szable z dwoma lub trzema dragonami na otwartej przestrzeni byłaby samobójstwem, nawet gdyby nie miał pokiereszowanych płuc. Pospiesznie, zgięty wpół, przeszedł wzdłuż sięgającego mu do pasa żywopłotu, a potem przez żwirowy plac w następną gęszcz ozdobnych krzewów. Chrząst tych kilku kroków po żwirze przyciągnie tamtych niczym krew ogary, więc Chang natychmiast zmienił kierunek marszu, skręcając w stronę domu i najbliższych oszklonych drzwi. Dotarł pod osłonę innego niskiego żywopłotu i nasłuchiwał tupotu buciorów zbiegających się tam żołnierzy, zadowolony, że nie przyszło im do głowy rozstawić paru ludzi po bokach i złapać go w pułapkę. W chwili gdy gratulował sobie w duchu, usłyszał charakterystyczny chrząst

skórzanego pasa gdzieś przed sobą. Zaklął bezgłośnie i wyjął ukryty sztylet. Czyżby go zauważyli? Nie sądził. Po chwili zlokalizował tamtego w pobliżu stożkowato przystrzyżonego świerka. Zaczął się skradać, cicho jak duch. Powolutku obszedł drzewo i zobaczył plecy okryte czerwonym płaszczem.

Widocznie jego świszczący oddech, zapach niebieskich kryształów lub jakiś objaw zmęczenia zdradził jego obecność, bo gdy tylko Chang wyciągnął rękę, natychmiast wyczuł, że ten mężczyzna nie podda się bez walki. Zaciśnął lewą dłoń na ustach dragona, nie pozwalając mu krzyknąć, ale prawą ręką nie zdążył jeszcze ominąć ramienia żołnierza i dotknąć ostrzem gardła. Mężczyzna szarpnął się i niezdarnie machnął szablą, a mosiężny hełm spadł mu z głowy na trawę. W następnej chwili Chang pozbawił go równowagi i przyłożył sztylet do gardła... i w tej samej chwili zobaczył, że mężczyzną, którego życie trzyma w swoich rękach, jest Reeves.

\*

Jakie to miało znaczenie? Dragoni byli jego wrogami, płatnymi sługusami skorumpowanych i niegodziwych. Co go obchodzi, czy Reeves został podstępem nakłoniony do służby? Chang przypomniał sobie uprzejme zachowanie tego człowieka w ministerstwie i znał jego przyczynę, tak samo jak wiedział, że jego przymierze ze Smythe'em rozsypie się w gruzy, jeśli zacznie zabijać dragonów. Wszystko to przemknęło mu przez głowę wraz z pospieszonymi kalkulacjami, gdzie mogą być teraz pozostali żołnierze i jakiego narobił hałasu. Przysunął usta do ucha Reevesa.

- Reeves - szepnął - nie ruszaj się. Nic nie mów. Nie jestem twoim wrogiem.

Żołnierz przestał się szarpać. Chang wiedział, że mają zaledwie kilkanaście sekund, zanim tamci ich znajdą.

- To ja, Chang. Okłamali cię. Ta kobieta jest w domu. Zamierzają ją zabić. Mówię prawdę.

Puścił go i cofnął się o krok. Reeves odwrócił się, poblądły, unosząc rękę do szyi.

- Czy kapitan Smythe jest w Harschmort? - spytał szybko Chang.

Ich uwagę przyciągnął głośny trzask. Reeves się odwrócił. Za jego plecami Chang zobaczył łysiego z nastroszonymi bakami, który wraz z grupką dragonów wyszedł z cienia żywopłotu. Byli jeszcze daleko, co najmniej dwadzieścia metrów od nich.

- Hej ty tam! - krzyknął cywil. - Odsuń się! Poderwał karabin do ramienia i wycelował. Reeves odwrócił się do Changa, nie wiedząc, co robić, gdy odgłos wystrzału odbił się echem w ogrodzie. Ciało Reevesa wygięło się w okropnym skurczu agonii i z twarzą wykrzywioną grymasem bólu runął na Changa. Ten spojrzał i zobaczył, że mężczyzna z

karabinem przeładował broń i wprowadził następny nabój do komory. Trzasnął zamkiem i podniósł broń. Chang puścił Reevesa - który jeszcze lekko poruszał nogami, jakby w ten sposób chciał naprawić szkody wyrządzone przez kulę - i uskoczył za drzewo.

Następna kula przeleciała mu nad głową. Chang skoczył w ciemność, przedzierając się przez żywopłoty, usiłując dotrzeć do budynku. Nie łudził się, że tam będzie bezpieczniejszy, ale przynajmniej znajdzie jakąś osłonę przed kulami. Huknął trzeci strzał, który o mało go nie trafił, a potem czwarty, wymierzony nie wiadomo gdzie... Czyżby na moment ich zgubił? Usłyszał głos łysego, wydającego rozkazy żołnierzom. Dotarł na koniec ogrodu i przystanął, dysząc. Od najbliższych oszklonych drzwi dzielił go około pięciometrowy pas trawy. Byłby doskonale widoczny przez ten czas, jakiego potrzebowałby na dotarcie do tych drzwi i otwarcie ich. Idiotyczny plan. Zastrzeliliby go na miejscu. Obejrzał się za siebie. Czuł, że dragoni są coraz bliżej. Musi być inny sposób.

\*

Jednak nic nie przychodziło mu do głowy. Był wykończony, obolały, zmęczony i wstrząśnięty śmiercią Reevesa. Spojrzał na oszklone drzwi, szykując się do zuchwałego, samobójczego biegu. Tylko czekali, aż się pokaże. Nad szklanymi drzwiami były dwa piętra gładkiego granitowego muru, a wyżej eleganckie wykuszowe okno z widokiem na ogród. W żaden sposób nie zdołałby się tam dostać. Wyobrażał sobie, że widok z tego okna musi być przepiękny. Może to pokój należący do samej Lydii Vandaariff? Może pełen poduszek i jedwabi? Z poprzedniej wizyty w Harschmort pamiętał, że to śliczna dziewczyna. Leniwie zastanawiał się, czy jest dziewicą, i skrzywił się z obrzydzeniem na myśl o Karlu-Horście, puszczającym się w pociągu jak paw. Ta myśl z kolei przypomniała mu Angelikę, zawsze dzielącą ich dystans i to, że nie zdołał jej ocalić. Zamknął oczy, gdy jego skołatany umysł przywołał końcowe słowa *Cristiny DuVine'a*:

*Czymże jest siła ciężenia przy magnetyzmie uczuć?*

*Czymże upływ czasu przy jej serca niezgłębionej toni?*

Chang otrząsnął się z rozpacz. Znow się zamyślił. Spojrzał na okno. Coś było nie tak z widokiem, który odbijał się w szybie. W ustawionym pod ostrym kątem szkle widział kawałek ogrodu za swoimi plecami... i kłęby mgły niesione przez wiatr. Zmarszczył brwi. Nie czuł żadnego podmuchu wiatru, a przynajmniej nie tak silnego, by mógł gnać kłęby mgły. Odwrócił się, szukając miejsca odbitego w oknie. W jego sercu znow obudziła się nadzieja. Podmuch wydobywał się z dołu.

Chang skradał się skrajem ogrodu, wzdłuż granicy trawnika, aż zobaczył unoszące się w powietrzu pasma mgły. Podeszedł bliżej i zobaczył rząd czterech kamiennych urn, każda

wysokości postawnego mężczyzny. Z trzech sterczały zwiędłe łodygi zeschniętych kwiatów. Czwarta była pusta i najwidoczniej to z niej wydobywało się ciepłe powietrze. Chwył rękami za krawędź i stanął na palcach, żeby zajrzeć do środka. Ciepłe powietrze cuchnęło, drażniąc jego podniebienie i płuca. Skrzywił się i cofnął. Dłonie miał pokryte warstewką niebieskiego krystalicznego pyłu, pozostawionego przez chemiczne wyziewy. Chang przyklęknął i wyjął chusteczkę. Mocno owiązał nią twarz, wstał i po raz ostatni spojrzął na ogród. Nikogo nie zobaczył - wciąż czekali, aż spróbuje podbiec do ściany budynku. Wepchnąwszy laskę pod pachę, podciągnął się i przełożył nogę przez krawędź urny. Zajrzał do niej. Na jej dnie zobaczył drewnianą kratkę, również obsypaną niebieskim pyłem, mającą nie dopuścić, by wpadające do niej liście i gałązki - teraz pokryte warstewką proszku - dostały się do rury. Chang pochylił się i mocno kopnął kratkę. Jego noga z głośnym trzaskiem przeszła przez nią na wylot. Kopnął jeszcze raz, rozbijając ją zupełnie. W oddali słyszał tupot nadbiegających dragonów, którzy usłyszeli ten dźwięk i ruszyli w jego kierunku. Opuścił się niżej, znikając im z oczu, po czym rękami usunął resztki drewnianej kraty. Zsunął się do podstawy urny, zapierając się nogami o jej ściany, żeby nie wpaść do ciemnego otworu. Nie miał pojęcia, jak daleko biegnie rura, czy nie mnie w przepaść lub do rozpalonego pieca, ale wiedział, że to i tak lepsze od kuli w plecy. Powoli opuścił się w otwór rury - której stalowe ścianki były ciepłe - aż zawisł na rękach, trzymając się dolnej krawędzi urny.

Skoczył.

## 6

### **Kamieniołom**

Wysiadłszy z powozu przed mrocznym wejściem dworca Stopping, doktor Svenson był duchem zupełnie gdzie indziej. Podczas jazdy z Plum Court pozwolił błądzić swoim myślom, poruszony niekorzystnym porównaniem zuchwałej pogoni panny Temple za utraconą miłością ze smutkami i wadami swojej egzystencji. Gdy schodził po zatłoczonych schodach, machinalnie wypatrywał w tłumie małej postaci z grzywą kasztanowych loków i w zielonej sukni, lecz w myślach czynił sobie cierpkie wyrzuty w sposób typowy dla Skandynawa i odziedziczony po nietolerancyjnym ojcu. Co zrobił ze swoim życiem? Cóż więcej poza niedocenianą służbą u niegodnego księcia i jego jeszcze mniej wartego syna? Westchnął i wszedł do głównej hali dworca. Jak zawsze jego smutek skupiał się wokół Korynny.

Próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz był na farmie. Trzy zimy temu? Ta pora wydawała się jedyną znośną dla tej wizyty. Każda inna, gdy drzewa były pełne kolorów i

życia, nazbyt boleśnie mu ją przypominała. Był na morzu i po powrocie dowiedział się, że zmarła podczas epidemii „gorączki krwi”, która wybuchła w dolinie. Chorowała cały miesiąc, ale nikt do niego nie napisał. Opuściłby statek. Wróciłby i powiedział jej wszystko. Czy wiedziała, co czuł? Wiedział, że tak - ale co mówiło jej serce? Była jego kuzynką. Nigdy nie wyszła za mąż. Raz ją pocałował. Popatrzyła na niego, a potem się odsunęła... Nie było dnia, żeby nie znalazł chwili, by dręczyć się tym wspomnieniem... ani dnia przez siedem ostatnich lat. Podczas ostatniej wizyty zastał nowych dzierżawców (w wyniku jakiegoś sporu z wujem brat Korynny opuścił farmę i przeniósł się do miasta), a chociaż ci powitali go uprzejmie i zaproponowali pokój, gdy wyjaśnił, że jest krewnym właściciela, bardzo przygnębił go fakt, że ludzie mieszkający w jej domu nie wiedzieli, nie pamiętali, nie mieli w swoich sercach miejsca dla tej, która była pochowana w sadzie. Dotkliwie poczuł swoje osamotnienie, z którego już nigdy nie zdołał się otrząsnąć, nawet w wirze obecnych zajęć. Obojętnie, gdzie się znajdował, jego dom był razem z nią - zarówno żywą, jak i zmarłą. Nazajutrz wrócił do pałacu.

Od tej pory podróżował do Wenecji, Bema i Paryża, zawsze w służbie barona von Hoerna. Dobrze się spisywał, wystarczająco dobrze, żeby przydzielano mu ważniejsze zadania, zamiast odesłać na zimny jak lód statek, a nawet ratował życia. To wszystko nie miało znaczenia. Myślał tylko o niej.

\*

Znów westchnął ciężko, po czym uświadomił sobie, że nie ma zielonego pojęcia, gdzie szukać Tarr Manor. Podeszedł do kasy biletowej i stanął w kolejce. Dworzec rozbrzmiewał szumem gorączkowej ludzkiej aktywności, jak gniazdo os kopnięte przez złośliwego dzieciaka. Na otaczających go twarzach Svenson widział zniecierpliwienie, niepokój i zmęczenie ludzi zjednoczonych desperackim pragnieniem złapania odpowiedniego pociągu, niestrudzenie przemierzających się tłumnie w jedną i w drugą stronę, jak krwinki w układzie krążenia jakiegoś ogromnego mitycznego stwora. Nigdzie nie dostrzegł śladu panny Temple, a dworzec był tak zatłoczony, że Svenson mógł mieć tylko nadzieję, że znajdzie ją w pociągu, którym zamierzała jechać. Po chwili, wystarczającej by wyjął i wypalił jedną trzecią papierosa, znalazł się na początku kolejki. Nachylił się do kasjera i wyjaśnił, że chce się dostać do Tarr Manor. Mężczyzna bez namysłu wypisał bilet, przepchnął go przez otwór w szybie i podał cenę. Svenson wyjął pieniądze i wsunął je przez otwór, odliczając monetę po monecie. Wziął bilet, na którym napisano „Floodmaere, 3.02” i znów nachylił się do okienka.

- Na której stacji mam wysiąść? - zapytał. Kasjer spojrzał na niego z nieskrywaną pogardą.

- Tarr Village - odparł.

Svenson zdecydował, że zaczeka i zapyta konduktora, jak długo potrwa podróż. Poszedł w głąb dworca, szukając właściwego peronu. Znalazł go na końcu wielkiej hali. Spojrzał na obrzydliwy zegar i uznał, że nie musi się spieszyć. Kostka jego nogi spisywała się nieźle i nie miał zamiaru przeciążać jej bez powodu. Starał się zaglądać do wszystkich mijanych sklepików - z żywnością, książkami, gazetami i napojami - ale w żadnym nie znalazł panny Temple. Kiedy dotarł do czekającego składu, stało się oczywiste, że Floodmaere nie jest najbardziej atrakcyjnym celem podróży. Do węglarki były dołączone tylko dwa wagony i lokomotywa, która z pewnością pamiętała lepsze czasy. Svenson znów się rozejrzał, szukając kobiety w zielonej sukni - jakiegokolwiek zielonego stroju - ale nie znalazł. Pstryknięciem odrzucił niedopałek i wszedł do ostatniego wagonu, godząc się z myślą, że jej tu nie ma i że odnajdzie ją Chang. Skarcił się w duchu. Skąd to ukłucie zazdrości, ta - musiał przyznać - dziecinna zaborczość? Ponieważ spotkał ją wcześniej niż Chang? To również nieprawda, gdyż Chang widział ją w pociągu... Pokręcił głową. Była taka młoda... A Chang - skończony łobuz... praktycznie obwieś... Nie żeby on czy Chang pasowali do... żeby miał choćby dopuścić czy świadomie pragnąć... To naprawdę śmieszne.

\*

Siwawy i nieogolony konduktor o twarzy wyglądającej na ulepioną z ciasta porwał bilet Svensona i opryskliwie kazał mu przejść dalej. Svenson zrobił to, dochodząc do wniosku, że może porozmawiać z nim później o czasie przyjazdu, pociągach powrotnych i pasażerach. Lepiej nie zwracać na siebie uwagi, jeśli to możliwe. Poszedł korytarzem pierwszego wagonu, zaglądnąc do każdego mijanego przedziału. Były puste oprócz ostatniego, zajętego przez liczną rodzinę Cyganów i co najmniej jedną skrzynię z jakimś drobiem.

Wszedł do drugiego i ostatniego wagonu, który był bardziej zapelniony. W każdym przedziale ktoś siedział, ale w żadnym nie było panny Temple. Stojąc na końcu korytarza, Svenson westchnął. Wyglądało na to, że jego misja się nie powiodła. Czy powinien wysiąść z pociągu? Wrócił do konduktora, który przyglądał mu się gadzim wzrokiem, pełnym zimnej niechęci. Svenson włożył monokl i uśmiechnął się uprzejmie.

- Przepraszam. Jadę tym pociągiem do Tarr Village i miałem nadzieję spotkać tu znajomych. Czy to możliwe, żeby pojechali wcześniejszym pociągiem?

- Oczywiście, że to możliwe - prychnął konduktor.

- Nie wyraziłem się jasno. Chciałem spytać, kiedy był ostatni pociąg, ten poprzedni, którym mogli pojechać moi znajomi?

- O 2.52 - ponownie prychnął konduktor.

- To zaledwie dziesięć minut przed tym.

- Widzę, że jest pan profesorem matematyki. Svenson uśmiechnął się cierpliwie.

- Zatem poprzedni pociąg zatrzymujący się w Tar Village dopiero co odjechał?

- Jak już mówiłem, tak. Jeszcze coś?

Svenson zignorował go, rozważając możliwości. Może, jeśli jej powóz szybko jechał, panna Temple zdążyła na pociąg o 2.52. Jeśli tak, to powinien pojechać za nią w nadziei, że złapie ją na stacji Tarr Village. Jeżeli jednak wcale tu nie przyjechała - jeśli nadal jest w mieście - powinien udać się do domu Rogera Bascombe'a lub do ministerstwa i zrobić, co w jego mocy, żeby pomóc Changowi. Konduktor z wyraźną przyjemnością obserwował jego niezdecydowanie.

- Proszę pana?

- Tak, dziękuję. Będą mi potrzebne informacje o jutrzejszych pociągach powrotnych...

- Zwykle okazuje się, że najlepiej zapytać o to zawiadowcę stacji.

- Zawiadowcę Tarr Village?

- Właśnie.

- Doskonale. Dziękuję.

Svenson odwrócił się i pomaszerował korytarzem do drugiego wagonu, słysząc za plecami głośne prychnanie konduktora. Nie był przekonany o słuszności swojego wyboru, jednak jeśli istniał choćby cień szansy, że ona tam pojechała, musiał za nią podążyć. Zapyta o nią na stacji - powinni ją pamiętać - a jeśli jej tam nie było, wróci pierwszym pociągiem. Nie powinien stracić więcej niż kilka godzin. W najgorszym razie znajdzie Changa w Stopping jutro rano - jeśli dopisze im szczęście, z panną Temple u boku.

Zerknął do pierwszego przedziału i zobaczył w nim mężczyznę i kobietę, siedzących obok siebie. Ponieważ miejsce naprzeciwko nich było wolne, otworzył drzwi, uklonił się i zajął miejsce przy oknie. Wsunął monokl do kieszonki i przetarł oczy. Nie spał dłużej niż dwie godziny. Jego przygnębienie pogłębiała teraz świadomość, że ta podróż jest prawdopodobnie niepotrzebna, i lekka dezaprobata na myśl o tym, jak lekkomyślnie panna Temple pogрузyła się - a także ich obu - w wirze wydarzeń, nie mając żadnego planu ani informacji. Zastanawiał się, kiedy policja otrzyma ich rysopisy. Czy ci spiskowcy są na tyle pewni siebie, żeby wciągnąć w to przedstawicieli prawa? Skrzywił się. Praktycznie to oni byli prawem. Crabbe miał regiment wojska na każde zawołanie, Blach swoich żołnierzy...

Svenson mógł tylko mieć nadzieję, że ten jadący na wieś pociąg wywozi go poza strefę ich wpływów. Usłyszał gwizd i pociąg mszył.

\*

Po mniej więcej minucie opuścił stację i znalazł się w tunelu. Gdy wyjechali między okopcone ceglane budynki, Svenson wykorzystał tę okazję, by przyjrzeć się swoim towarzyszom podróży. Kobieta była młoda, może młodsza od panny Temple, z włosami kolom jasnego piwa wsuniętymi pod niebieski jedwabny czepek. Miała białą cerę i różowe policzki - tak więc mogłaby być z Macklenburga - a w nieco pulchnych palcach ścisnęła czarną książkę. Uśmiechnął się do niej. Zamiast odpowiedzieć uśmiechem, zerknęła na mężczyznę, który gniewnie i podejrzliwie spojrzał na doktora. On też miał jasne włosy - Svenson zaczął się zastanawiać, czy tych dwoje to rodzeństwo - oraz żyłasty wygląd niedożywionego konia, a także długie ręce i szerokie dłonie, którymi ścisnął kolana. Nosił brązowy garnitur w prążki i kremowy krawat. Na siedzeniu obok siebie położył wysoki brązowy cylinder. Svenson nie mógł nie zauważyć, że przyglądający mu się otwarcie mężczyzna ma niezdrową cerę i kręgi po oczach - niemal na pewno z niewyspania.

Jako człowiek z zasady tolerancyjny i co najmniej uprzejmy, doktor Svenson dopiero po chwili zdał sobie sprawę z tego, że ta para spogląda na niego z nieskrywaną nienawiścią. Ponownie zerknął na ich twarze i upewnił się, że nigdy przedtem ich nie spotkał... Czyżby wchodząc tu, naruszył ich prywatność? Może on chciał się jej oświadczyć? A może jego intencje były mniej przyzwoite? Kiedyś w Wenecji Svenson kupił podniszczony zbiór opowiadań o przyjemnościach zażywanych w różnych środkach transportu - pociągu, statku, powozie, podróży konno czy sterowcem - i pomimo zmęczenia właśnie przypominał sobie szczegółowy opis rozkosznych doznań podczas jazdy na wielbłądzie (ze względu na unikalny rytm, w jakim porusza się to zwierzę), gdy siedząca naprzeciw kobiecie z rozmachem otworzyła książkę i zaczęła głośno czytać.

*- Zaś w godzinie zbawienia prawi będą niczym latarnie w mrokach nocy, gdyż to ich blask pozwoli odróżnić niewiernych od prawych. Spójrzcie głęboko w serca tych wokół was i zadawajcie się jeno ze świętymi, albowiem miasta tego świata są siedliskiem grzechu i w godzinie sądu spadnie na nie gniew Boży. Zepsute naczynia zostaną rozbite. Nieczyste domostwo spalone. Skażona trzoda wydana na rzeź. Przetrwają tylko błogosławieni, którzy już otwarli się na oczyszczający płomień. To oni ponownie zazną raj.*

Zamknęła księgę i ponownie zacisnąwszy na niej obie dłonie, z dezaprobatą spojrzała na doktora zmrużonymi oczami. Jej głos, mający tyle powabu co chrzęst potłuczonego fajansu, pozwolił mu łatwiej dostrzec teraz w rysach jej twarzy oznaki głupoty, które

dotychczas był gotów przypisać zwyczajnej tępotcie. Jej towarzysz jeszcze mocniej ścisnął swoje kolana, jakby miał być potępiony, gdyby je puścił. Svenson westchnął - naprawdę nie mógł się powstrzymać - lecz w tym nastroju trudno go za to winić.

- Cóż za wspaniała homilia - zaczął. - Jednak mówiąc o raju... - Kobieta wyduła usta, zaskoczona tym, że śmiał coś powiedzieć. - Czy ma pani na myśli warunki życia przed upadkiem, gdy wstyd był czymś nieznanym, a pożądanie niesplamione grzechem? Byłoby to niezwykle. Zawsze zadziwia mnie mądrość Boga, który oferuje zbawionym niewinność i radość zwierząt spółkujących na drodze - lub kto wie, w przedziale kolejowym. Oczywiście, chodzi o czystość doznań. Dziękuję za to Panu w każdej minucie mego życia. W pełni się z panią zgadzam.

Sięgnął do kieszeni po papierosa. Nie odpowiedzieli, chociaż z przyjemnością zauważył, że zrobili wielkie oczy. Umieścił monokl w oku i skłonił się.

- Najmocniej przepraszam...

Wyszedł na korytarz.

\*

Opuściwszy przedział, Svenson znalazł zapalki i zapalił papierosa. Głęboko się zaciągając, próbował pozbierać myśli rozproszone po tej idiotycznej wymianie zdań. Pociąg pędził na północ, mijając nędzne chaty, sterty gruzu i mizerne karłowate drzewa. Widział postacie siedzące przy ogniskach i biegające obdarte dzieciaki, obszczekiwane przez podniecone psy. Po chwili wszystko zniknęło i pociąg przejechał przez wspaniały królewski park, a potem obok placyku z kamiennymi posągami przypominającymi mu Francję. Wypuścił powietrze, wydmuchując dym na szybę i odnotowując różnice między podróżowaniem drogą lądową i morską - względną obfitość i różnorodność obrazów dostrzeganych na lądzie w porównaniu z ubóstwem wrażeń dostarczanych przez nawet najbogatszy morski krajobraz. Zauważył jednak, że bogactwo lądu zdaje się wyjaławiać umysł, gdyż zadowalał się samym oglądaniem umykających w dal widoków, podczas gdy morze skłaniało go do rozmyślań. Życie na lądzie - chociaż chętnie je pędził, co samokrytycznie przyznawał - wydawało mu się dziwnie leniwe i niepozwalające na głębszą analizę moralną, na filozoficzne rozważania, do jakich zmusza człowieka morze. Ta para w przedziale - w istocie na poziomie małp - była doskonałym przykładem samozadowolenia. Z bólem pomyślał o Ko-rynnie i jej życiu na wsi - chociaż pochłaniała tyle książek, że wydawała się nosić w głowie ocean słów - ponieważ rozmawiali kiedyś o tym... a ona zawsze obiecywała, że przyjedzie do niego i popłyną razem... Doktor Svenson odepchnął od siebie te myśli i skupił je na pannie Temple. Pomyślał, że jej przeżycia na morzu, podczas pobytu na

wyspie i podróży, musiały wywrzeć wpływ na te cechy jej charakteru, które uważał za godne podziwu.

Zebrał siły i przeszedł korytarzem, znów zaglądając do przedziałów - - może znajdzie bardziej gościnnych pasażerów. Ci niewątpliwie stanowili różnorodną zbieraninę - kupcy z żonami, grupka studentów, robotnicy oraz paru lepiej ubranych mężczyzn i kobiet, których Svenson nie znał, lecz mimowolnie (gdyż taki był świat Lacquer-Sforzy, Xoncka i d'Orkancza) przyglądał im się bardzo podejrzliwie. Co więcej, wyglądało na to, że pasażerowie siedzą w przedziałach parami - czasem po kilka par - ale nigdy pojedynczo. Tylko w jednym przedziale zauważył mężczyznę i kobietę siedzących naprzeciwko siebie w milczeniu. Svenson zgasił papierosa na podłodze wagonu i wszedł do ich przedziału, kłaniając im się, gdy podnieśli głowy na dźwięk otwieranych drzwi.

Siedzieli na siedzeniach pod oknem, tak więc doktor Svenson usadowił się po stronie mężczyzny, przy drzwiach. Usiadłszy, natychmiast uświadomił sobie, jak bardzo jest zmęczony. Wyjął monokl, przetarł oczy kciukiem i palcem wskazującym, po czym ponownie umieścił go w oczodole, mrugając jak oślepiona słońcem jaszczurka. Mężczyzna i kobieta obserwowali go dyskretnie, a nie wrogo, jak tamta para w pierwszym przedziale, lecz z czujną podejrzliwością najzupełniej naturalną u kogoś, komu obcy przybysz przerywa samotne rozmyślenia w publicznym środku komunikacji. Svenson uśmiechnął się rozbrajająco i zapytał, podając konwersacyjną gałązkę oliwną, czy dobrze znają linię do Floodmaere.

- Szczególnie interesuje mnie - dodał - czy zacie państwo odległość do Tarr Village i ile dzieli nas od niej stacji.

- Jedzie pan do Tarr Village? - zapytał mężczyzna.

Był około trzydziestki i nosił nienagannie wyprasowany garnitur kiepskiej jakości, jak urzędnik w kancelarii jakiegoś przeciętnego prawnika. Czarne włosy miał rozdzielone na czubku głowy i przy-lizane, a szerokie bruzdy po grzebieniu odsłaniały bladą i łuszczącą się skórę czaszki, kontrastującą z różową cerą. Czy w przedziale jest za gorąco? Svenson wcale tak nie uważał. Popatrzył na kobietę, damę mniej więcej w jego wieku, o ciemnoblond włosach upiętych w kok. Jej suknia była prosta, lecz dobrze uszyta - czyżby była guwernantką jakichś arystokratycznych dzieciaków? - i obnosiła się ze swoim wiekiem z godnością, którą Svenson natychmiast uznał za pociągającą. O czym on myśli? Najpierw o Korynnie, potem o pannie Temple, o psach spółkujących w raj, a teraz gapi się na każdą napotkaną kobietę skarcił się w myślach doktor, nawet w tej chwili badawczo spoglądając na jej opięty przez suknię biust. W tej samej chwili spojrzął na twarz tej kobiety i wydało mu się, że skądś ją pamięta. Czyżby już się spotkali? Odkasznął i odparł rażno:

- Istotnie, chociaż jeszcze nigdy tam nie byłem.

- Co prowadzi tam pana, panie...? - uprzejmie uśmiechnęła się kobieta.

Svenson z przyjemnością odwzajemnił uśmiech. Nie miał pojęcia, gdzie mógł ją widzieć, może na ulicy albo nawet na dworcu. Otworzył usta, by odpowiedzieć. W chwili gdy zaczął sądzić, że jego ponury nastrój się poprawi, jego wzrok padł na czarny tomik, który trzymała na podołku. Zerknął na mężczyznę. Ten też miał taki, wystający z bocznej kieszeni płaszcza. Czyżby to był pociąg purytanów?

- Blach. Kapitan Blach. Poznacie po moim akcencie, że jestem cudzoziemcem i w istocie pochodzę z Macklenburga. Może czytaliście o zaręczynach następcy macklenburskiego tronu z panną Lydią Vandaariff. Należę do orszaku księcia Karla-Horsta.

Mężczyzna ze zrozumieniem kiwnął głową, a kobieta nie zareagowała, przyjaźnie spoglądając na Svensona i wydając się rozważać jego słowa. Co to mogło oznaczać? Co wiedzą ci dwoje? Doktor Svenson postanowił to sprawdzić. Nachylił się i konspiracyjnie zniżył głos.

- A sprowadzają mnie tu zgubne wydarzenia... zgubne dla tego świata... Jestem pewien, że nie muszę się nad tym rozwodzić. Miasta tego świata... no cóż, są siedliskiem grzechu. Któż w istocie zostanie zbawiony?

- Istotnie, kto? - powtórzyła cicho kobieta, powoli i z namysłem.

- Podróżowałem z pewną kobietą - ciągnął Svenson. - Nie pozwolono mi... może nie powinienem więcej o tym mówić... spotkać się z tą damą. Sądzę, że mogła zostać zmuszona do przejazdu wcześniejszym pociągiem. W trakcie tego straciłem mój... - ruchem głowy wskazał książkę na kolanach kobiety - mój przewodnik.

Czy to kłamstwo było szyte zbyt grubymi nićmi? Doktor Svenson czuł się śmieszny, lecz mężczyzna nachylił się do niego i zaglądając mu w twarz, zapytał ze szczerą troską:

- Nie pozwolono panu? Kto nie pozwolił?

Takie intrygi - udawanie i kłamstwa - wciąż z trudem przychodziły zacnemu doktorowi. Nawet pracując dla barona von Hoern, wołał dyskrecję, subtelne naciski i takt od prymitywnej siły. Jednak w obliczu nieskrywanej ludzkiej ciekawości miał - jako lekarz - dostatecznie duże doświadczenie w powoływaniu się na wiarygodne źródła, kiedy czuł się bezsilnym ignorantem (ilu skazanych na śmierć ludzi pytało go, czy umrą? Ilu z nich okłamał?), aby ukryć chwilowe wahanie - podczas którego usiłował coś wymyślić - udając, że zastanawia się, czy powierzyć im swoją opowieść. Zerknął na korytarz, nachylił się do rozmówcy, jakby sugerując, że w tym przedziale są bezpieczni, po czym powiedział głosem niewiele głośniejszym od szeptu:

- Musicie wiedzieć, że zginęło kilku mężczyzn i być może jednak kobieta. Powstała organizacja, działająca w ukryciu i kierowana przez dziwnego człowieka w czerwieni, na pół ślepego Chińczyka, śmiertelnie wprawnie władającego ostrzem. Księcia zaatakowano w Królewskim Instytucie i przerwano bardzo ważną pracę... szkło... czy wiecie coś o... może widzieliście... niebieskie szkło?

Pokręcili głowami. Svenson podupadł na duchu. Czyżby całkowicie się co do nich mylił?

- Wiecie o lordzie Tarze... o tym, że... Mężczyzna energicznie pokiwał głową.

- Został zbawiony, tak.

- Właśnie - przytaknął Svenson z nieco większą pewnością siebie, zastanawiając się, czy ten człowiek jest zdrowy na umyśle. - Za kilka dni będzie nowy lord Tarr. Jego siostrzeniec. To przyjaciel księcia... i nas wszystkich...

- Kto nie pozwolił panu spotkać się z pańską damą? - uparcie dociekała kobieta.

Svenson wciąż miał dziwne wrażenie, że gdzieś już ją widział... To lekkie pochylenie głowy, kiedy zadawała pytanie.

- Agenci Chińczyka - odparł Svenson, czując się przy tym jak idiota. - Musieliśmy wsiąść do różnych powozów. Modłę się, żeby była bezpieczna. Ci ludzie nie wiedzą, co to przyzwoitość. Mieliśmy - jak dobrze wiecie - podróżować razem, tak jak uzgodniono...

- Do Tarr Village? - zapytał mężczyzna.

- Właśnie.

- Czy któryś z tych agentów mógł wsiąść do tego pociągu? - zainteresowała się kobieta.

- Nie sądzę. Nie widziałem ich, a wiem, że wsiadałem jako ostatni.

- Przynajmniej tyle.

Odetchnęła z ulgą, ale nadal była spięta i ostrożna.

- Po czym możemy tych agentów rozpoznać? - zapytał mężczyzna.

- W tym rzecz. Nie noszą mundurów, są podstępni i przebiegli. Przeniknęli nawet do otoczenia księcia i przeciągnęli na swoją stronę jednego z nas - doktora Svensona, lekarza księcia!

Mężczyzna ze wzburzeniem wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby.

- Mówię wam o tym - ciągnął Svenson - ale obawiam się, że nikt inny nie powinien o tym wiedzieć. Może wszystko jest w porządku, a nie chciałbym wzbudzić... to jest rozgłaszać publicznie...

- Oczywiście, że nie - przytaknęła kobieta.

- Nawet naszemu...? - zaczął mężczyzna.

- Komu? - spytał Svenson. Mężczyzna pokręcił głową.

- Tak, ma pan rację. W końcu zostaliśmy zaproszeni i jesteśmy gośćmi na bankiecie - powiedział z uśmiechem, zapominając o okropnej opowieści doktora. Dotknął ręką wystającej z kieszeni książki i poklepał ją jak śpiącego pieska. - Wie pan co, kapitanie Blach, wygląda pan na bardzo zmęczonego - rzekł uprzejmie. - Będzie pan miał dużo czasu, aby znaleźć przyjaciółkę. Do Tarr Village jest jeszcze co najmniej pół godziny jazdy. Może pan odpocznie? Wszyscy będziemy potrzebowali siły, aby się wspiąć.

Svenson zastanawiał się, co miał na myśli - kamieniołom? A może wzgórze? Albo schody w rezydencji? Svenson nie wiedział i był wyczerpany. Potrzebował snu. Czy będzie przy nich bezpieczny? Kobieta przerwała mu te rozmyślenia.

- Jak ma na imię pańska przyjaciółka, kapitanie?

- Słucham?

- Pańska przyjaciółka. Nie podał nam pan jej imienia. Svenson dostrzegł, że wymienili zaniepokojone spojrzenia, chociaż jej twarz pozostała pogodna i przyjacielska. Coś było nie tak.

- Jej imię?

- Nie wymienił go pan.

- Właśnie - poparł ją mężczyzna, z lekkim opóźnieniem i może dlatego nieco natarczywie, jakby chciał nadrobić opieszałość.

- Ach tak. Jednak widzicie państwo... ja go nie znam. Wiem tylko, jak była ubrana - w zieloną suknię i zielone buty. Mieliśmy się spotkać i podróżować razem. No cóż... czy wy znaliście swoje imiona przed podróżą?

Nie odpowiedziała od razu. Kiedy mężczyzna ją wyręczył, Svenson zrozumiał, że odgadł prawidłowo.

- Nie znamy naszych imion nawet teraz, kapitanie, tak jak nas poinstruowano.

- A teraz naprawdę powinien pan odpocząć - rzekła kobieta, chyba po raz pierwszy z szerokim uśmiechem. - Obiecuję, że pana obudzimy.

\*

We śnie doktor Svenson był częściowo świadom tego, że od dwóch dni prawie w ogóle nie spał, tak więc spodziewał się niespokojnych snów. Ta odrobina racjonalnego myślenia może nieco osłabiła nadciągające falami sugestywne wizje, lecz ich nie powstrzymała. Wiedział, że zrodził je żal i samotność - a przede wszystkim bezsilność wobec śmierci Korynny i jego późniejsze chroniczne tchórzostwo, z jakim zamknął się w swojej

skorupie - a potem cały ten smutek zmieszał się w jednym wirze z boleśnie niezaspokojonym pożądaniami innych kobiet. Czy stało się tak dlatego, że był zmęczony i we śnie przestał się kontrolować? Czy też, co był skłonny przyznać, poczucie winy wywołało skrywaną przyjemność, z jaką śnił takie erotyczne sny w przedziale jadącego pociągu? Wiedział tylko, że zasnął, w myślach wpadając w objęcia miękkich ramion i czułych palców. Czuł się tak, jakby jego ciało zostało rozszczerzone w diamencie, widząc - i czując - swoje mnogie obrazy w rozkosznych sytuacjach... Pani Marchmoor pieszcząca go pod stołem... panna Poole wpychająca mu język do ucha... jego nos we włosach Rosamonde, wciągający zapach jej perfum... wsparty na kolanach i rękach na łóżku i liżący każdą wypukłość bujnego ciała Angeliki... jego dłonie - o wstydzie! - ściskające przez suknię pośladki panny Temple... z zamkniętymi oczami pieścił czule i pożądliwie nagą pierś jasnowłosej guwernantki, która usiadła obok niego i aby ulżyć jego męce, podała mu usta... niewiarygodnie miękka poduszka jej ciała... jej dłoń głaszcząca jego włosy... jej czuły szept... ręka ściskająca jego ramię.

Ocknął się. Siedziała obok niego. Potrząsała nim, ściskając jego ramię. Usiadł, boleśnie świadomy swojego podniecenia, rad z tego, że ma na sobie płaszcz. Jej włosy musnęły mu twarz. Mężczyzna znikł.

- Dojeżdżamy do Tar Village, kapitanie - powiedziała z uśmiechem. - Przepraszam, że budzę.

- Nie, nie, dziękuję, oczywiście...

- Bardzo mocno pan spał. Obawiam się, że musiałam mocno panem potrząsnąć.

- Przepraszam...

- Nie ma pan za co przeproszać. Musiał pan być bardzo strudzony.

Zauważył, że górny guzik jej sukni jest rozpięty. Poczul, że ma wilgotne wargi i otarł je rękawem. Co zaszło, kiedy spał? Ruchem głowy wskazał puste miejsce.

- Pani towarzysz...

- Poszedł na przód pociągu. Zaraz do niego dołączę, ale chciałam się upewnić, że się pan zbudził. Pan... mówił pan przez sen.

- Naprawdę? Nie pamiętam... rzadko pamiętam swoje sny.

- Powiedział pan „Korynna”.

- Istotnie?

- Tak. Kim ona jest?

Doktor Svenson zrobił zdziwioną minę i pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia. Naprawdę, to bardzo dziwne. - Spojrzała na niego i jej łagodny wzrok oraz uparty ucisk w spodniach sprawiły, że dodał: - Nie podała mi pani swojego imienia.

- Nie. - Zawahała się. - Mam na imię Elóise.

- Jest pani guwernantką dzieci jakiegoś lorda? Roześmiała się.

- Nie lorda. I nie jestem guwernantką. Raczej powierniczką i płatną nauczycielką francuskiego, łaciny, muzyki i matematyki.

- Rozumiem.

- Nie mam pojęcia, jak pan to odgadł. Zapewne dzięki swojemu wojskowemu wykszoleniu. Wiem, że oficerowie muszą czytać w myślach swoich ludzi jak w otwartej książce! - Uśmiechnęła się. - Jednak nie zajmuję się przez cały dzień uczniami. Mają od tego inną panią, która jest ich prawdziwą guwernantką i o wiele bardziej ode mnie cieszy ją kontakt z dziećmi.

Svenson nie znalazł na to odpowiedzi, przez moment zadowolając się patrzeniem jej w oczy. Znow uśmiechnęła się i wstała. Próbował podnieść się razem z nią, ale powstrzymała go, kładąc dłoń na jego ramieniu.

- Muszę przejść na początek pociągu, zanim dojedziemy. Może jednak spotkamy się w Village.

- Bardzo bym chciał.

- Ja również. Mam nadzieję, że odnajdzie pan swoją przyjaciółkę.

W tym momencie doktor Svenson przypomniał sobie, gdzie ją widział i dlaczego nie mógł umiejscowić jej twarzy, gdyż Elóise nosiła wówczas maskę - i nachylała się, by szepnąć coś do ucha Charlotte Trapping w Harschmort, tamtej nocy, gdy został zabity pułkownik Trapping.

\*

Wyszła i drzwi przedziału zatrzęsnęły się za nią. Svenson usiadł i przetarł twarz, a potem, karcąc się w myślach, podciągnął spodnie. Wstał, poruszył ramionami, poprawiając płaszcz i czując w kieszeni ciężar pistoletu. Odetchnął głęboko. Próbował opanować instynktowny pociąg, jaki czuł do tej kobiety, mówiąc sobie, że przebywała wśród jego nieprzyjaciół w Harschmort, a teraz była w pociągu, niewątpliwie nadal im służąc. Nie chciał uwierzyć, że Elóise była świadoma tego, jak mroczne są te siły, a przecież czyż mogła nie wiedzieć? Wszyscy oni mieli te czarne książki i żywo reagowali na jego bajeczkę... I to ona próbowała go sprawdzić, zadając pytania... Mimo to z sympatią i lekkim skrępowaniem myślał o roli, w jakiej wystąpiła w jego śnie. Znow westchnął i całkowicie usunął ją ze

swoich myśli. W jakimkolwiek celu inni pasażerowie pielgrzymowali do Tarr Village, doktor Svenson chciał jedynie odznaleźć pannę Temple, zanim znów przydarzy jej się coś złego. Natychmiast wróci, jeśli zawiadowca stacji powie, że jej nie widział. Gdziekolwiek jest, z pewnością potrzebuje pomocy.

Podszedł do okna i spojrzał na przesuwany się za nim krajobraz Floodmaere: wysokie zarośla pokrywające płaskie pagórki, tu i tam przerywane pasami łąk lub czerwonymi skałkami, sterczącymi jak połamane kły. Doktor Svenson widywał już takie skały na wzgórzach w pobliżu swojego domu i wiedział, że zawierają rudę żelaza. Wspominał charakterystyczny smak, jaki nadawały płynącej przez dolinę wodzie po wiosennych roztopach. Nic dziwnego, że są tu kopalnie. Z rozbawieniem zauważył czyste niebo. Minęło tyle pochmurnych i mglistych dni, że nie pamiętał, kiedy widział je ostatni raz. Z uśmiechem pomyślał, że najpewniej dochodzi piąta, gdyż słońce już zaczęło chylić się ku zachodowi, jakby wygnane z błękitnego nieba. Przynajmniej - nie tak jak rano - mógł się z tego śmiać. Podłoga pod jego stopami nie podskakiwała tak bardzo - pociąg zwalniał. Dojeżdżali. Wyjął następnego papierosa - ile mu ich zostało? - włożył do ust, zapalił i machnięciem zgasił zapalnik, ze zgrozą myśląc o podróżowaniu bez tytoniu. Pociąg się zatrzymał. Będzie musiał znaleźć w wiosce papierosy jakiejś innej marki.

\*

Zanim wysiadł, wszystkie pary były już daleko przed nim, idąc w kierunku budynku stacji. Na ile mógł dostrzec, pociąg był pusty - nie licząc Cyganów. Nie widział Elóise ani urzędnika, który najwyraźniej jej towarzyszył, chociaż dostrzegł ziejącą nienawiścią parę z pierwszego przedziału. Młoda blondynka obejrzała się, zauważyła go i pociągnęła za łokieć towarzysza, który też się obejrzał. Przyspieszyli kroku, przy czym jej pulchny tyłeczek poruszał się w sposób, który - zazwyczaj - Svenson obserwowałby z przyjemnością, ale teraz miał tylko ochotę go kopnąć. Pozwolił im wszystkim oddalić się i wyjść przez drewniane arkady, zanim wszedł do budynku stacji. Stały tam trzy puste ławki i zimny metalowy piecyk. Podszedł do kasy, lecz jej okienko było zasłonięte żaluzją. Zapukał w nią i zawołał. Nikt mu nie odpowiedział. Na końcu kontuaru były drzwi. Zapukał w nie również, znów nie otrzymał żadnej odpowiedzi, a potem spróbował je otworzyć, ale były zamknięte. Jeśli panna Temple tu była, w co wątpił, to teraz już jej tutaj nie ma.

Na ścianie wisiała tablica z wykazem odjazdów i przyjazdów. Z przygnębieniem przeczytał, że następny powrotny pociąg ma o ósmej rano. Svenson gniewnie zaklął. Stracił tyle godzin, podczas gdy ona jest nie wiadomo gdzie i nie wiadomo, czy Chang nie będzie potrzebował jego pomocy. Rozejrzał się, jakby gdzieś tu mógł znaleźć wyjście z sytuacji, ale

musiał pogodzić się z tym, że jedynym rozsądnym rozwiązaniem będzie pójście do wioski i poszukanie jakiegoś pokoju na noc. Może powinien dołączyć do Elóise i jej tajemniczej grupki, wyposażonej w czarne książki? Czy to były Biblie? Nie miał pojęcia, cóż innego mogłoby to być, szczególnie wobec unoszącego się nad nimi wszystkimi widma zbawienia i grzechu, tylko kto brałby coś takiego poważnie? Był pewien, że odpowiedź jest bardziej zagadkowa i skomplikowana... A może tylko wolałby widzieć Elóise w otoczeniu łotrów, a nie fanatyków?

Wyszedł na drogę. Do tej pory pozostali znikli mu już z oczu. Po obu stronach drogi rósł gęszcz czarnego wrzośca, którego twarde ciernie rzucały złowrogie cienie na drogę. Cienie? Księżyc wschodził i Svenson spojrział nań z zadowoleniem. Nad wrzoścami, w oddali, ujrzał strzechy Tarr Village. Poszedł ku nim różnym krokiem, przed upływem minuty droga doprowadziła go do wybrukowanego placu z niewielkim skwerem na środku. Po drugiej stronie stał kościół z białą dzwonnica, lecz - na szczęście - na najbliższym budynku wisiał duży drewniany szyld z namalowanym krukiem w srebrnej koronie. Svenson stanął w drzwiach, z jedną nogą na progu, i popatrzył na plac. Tu i ówdzie w budynkach zobaczył światła, lecz na ulicach nie było żywego ducha, a ciszy nie przerywał żaden dźwięk. Gdyby stali tu jacyś strażnicy, Tarr Village przypominałaby wojskowy obóz po zmroku. Svenson wszedł do tawerny.

\*

Svenson wiedział, że jako cudzoziemiec nie jest kompetentnym sędzią, ale tawerna Pod Królem Krukiem wydała mu się zdecydowanie dziwna jak na wiejski pub, podsycając - wraz z przesadnie schludnym wyglądem samego miasteczka i apokaliptyczną aurą otaczającą grupkę podróżującą pociągiem - jego rosnące podejrzenia, że Tarr Village w rzeczywistości może być jedną z tych wspólnot skupiających wyznawców jakiejś religii lub doktryny moralnej (tylko jakiej i kto jest jej charyzmatycznym lub surowym przywódcą?). Po pierwsze, nie pachniało tu jak w gospodzie, piwem, dymem oraz kwaśną mieszaniną ludzkiego potu i brudu. W rzeczy samej, unosił się tu zapach mydła, octu i wosku, główna sala była wyszorowana do białości niczym pokład zadbanego statku, ściany wybielone, a ogień na niewielkim kominku płonął rażno. Po drugie, jedyni dwaj goście nosili nienagannie wyprasowane czarne garnitury, koszule z wysokimi kołnierzykami i czarne podróżne płaszcze. Obaj stali opodal kominka z kieliszkami czerwonego wina w dłoniach, milcząc lub już nie rozmawiając, ale najwyraźniej czekając na coś lub kogoś. Obaj pospiesznie obrócili się, słysząc, jak wchodzi.

Jeden odchrząknął i rzekł:

- Pan wybaczy. Czy właśnie pan przybył... pociągiem o piętnastej zero dwie?

Svenson z obojętną miną uprzejmie kiwnął głową.

- Tak.

Przesłuchiwali go albo czekali, aż sam zacznie mówić... tak więc milczał.

- To płaszcz mundurowy macklenburskiego żołnierza, jeśli się nie mylę - zauważył drugi.

- Owszem.

Pierwszy szepnął coś do ucha drugiego. Ten skinął głową. Wciąż spoglądali na niego, jakby nie mogli podjąć właściwej decyzji. Svenson przeniósł spojrzenie na bar, za którym stał milczący gruby mężczyzna w śnieżnobiałej koszuli.

- Potrzebny mi pokój na noc - powiedział Svenson. - Macie jakiś?

Mężczyzna spojrzął na dwóch swoich klientów - albo szukając instrukcji, albo chcąc tylko zobaczyć, czy czegoś sobie nie życzą przed wyjściem - a potem wyszedł zza barm, wycierając ręce.

Minął Svensona, mamrocząc:

- Tędy...

Svenson jeszcze raz popatrzył na dwóch gości przy kominku i odwrócił się, by pójść za odgłosem ciężkich kroków właściciela gospody.

Pokój był skromny, cena niewygórowana. Rzuciwszy okiem na wąskie łóżko, stojak z miednicą, twarde krzesło i lustro, Svenson powiedział, że mu odpowiada i spytał, gdzie może znaleźć coś do zjedzenia. Gospodarz ponownie mruknął „tędy” i zaprowadził go z powrotem na dół. Minęły najwyżej dwie minuty i tamci dwaj nadal byli przy kominku. Obserwowali go, gdy zdejmował płaszcz i siadał przy stoliczku, który wskazał mu właściciel, zanim znikł w drzwiach za barem, zapewne wiodących do kuchni. Svenson nie przejął się tym, że gospodarz nie zapytał go, co chce zjeść. Przywykł do podróżowania po kraju i jądania tego, co się trafi. Kiedy ostatnio miał coś w ustach? Czy to była herbata wypita w hotelu Boniface z panną Temple i Changiem? A po tym? Chleb z kiełbasą poprzedniej nocy... Dwa skąpe posiłki w ciągu dwóch dni. Za mało, jak na tyle przygód.

Tamci dwaj wciąż mu się przyglądali, nie starając się nawet tego ukryć.

- Chcecie mi coś powiedzieć? - zapytał.

Poruszyli się, mamrocząc coś i pochrząkując. Teraz on przyjrzał im się uważnie. Zza barm dolatywał miły szcęk talerzy i sztućców.

Pokrzepiony samą perspektywą posiłku, Svenson ponownie zwrócił się do tych dwóch.

- Domyślam się, że jesteście tu, żeby spotkać się z pasażerem, który przyjechał pociągiem odchodzącym z dworca Stropping o piętnastej zero dwie? Domyślam się również, że nie znacie tego, z kim macie się spotkać. Tak więc uznaję wasze przypatrywanie się mojej osobie, jakbym był zwierzęciem w zoo, nie tyle za afront, co za dowód waszej głupiej nieudolności. Czy może jestem w błędzie? Proszę, powiedzcie mi, jeśli tak jest. Czy może to kwestia zniewagi, którą jako dżentelmeni... - tu znacząco ściszył głos - powinniśmy rozstrzygnąć na zewnątrz?

Zwykle Svenson nie był skłonny do takich aroganckich zachowań, ale miał pewność, że ci dwaj nie nawykli do uciekania się do przemocy i w istocie są wykształconymi ludźmi noszącymi czyste mankiety i niebrudzącymi sobie rąk - tak jak on. Może dał o sobie znać wpływ Changą? Po chwili ten, który odezwał się pierwszy - wyższy i z dłuższym nosem - uspokajająco podniósł dłoń.

- Przepraszamy, jeśli pana zaniepokoiiliśmy, nie było to naszym zamiarem. Rzecz w tym, iż taki mundur - i akcent - jest dość rzadko spotykany w tych stronach...

- Jesteście z tych stron? - zdziwił się Svenson. - Zdaje mi się, że raczej przyjechaliście tu dziś pociągiem, tym o czternastej pięćdziesiąt dwie, choć może wcześniejszym. Osoba, której teraz szukacie, miała przyjechać z wami, ale nie zjawiała się. Mieliście nadzieję, że przyjedzie następnym pociągiem. Fakt, że dopuszczaliście możliwość, iż to mogę być ja, dowodzi, że - jak już powiedziałem - nie znacie tej osoby. Mimo woli można by zacząć się zastanawiać, czy cel takiego spotkania jest zupełnie niewinny.

W tym momencie drzwi kuchni otworzyły się z trzaskiem i zjawił się gospodarz, niosąc w obu rękach drewnianą tacę zastawioną kilkoma talerzami z pieczystym, grubymi pajdami chleba, parującymi ziemniakami, sosem i tłuczoną rzepą z masłem. Postawił ją na stoliku Svensona, po czym niepewnie mszył w kierunku bam.

- Co do picia? - mruknął.

- Kufel piwa, jeśli łaska.

- On nie ma piwa - oznajmił drągi mężczyzna o rzednących włosach, zaczesanych do przodu w stylu starego imperium.

- Zatem wino - rzekł Svenson. Gospodarz kiwnął głową i wszedł za bar. Doktor Svenson znów obrócił się do tych dwóch. Czuł zapach stojących przed nim potraw, zaostrażający mu apetyt. - Nie odpowiedzieliście na moją... hipotezę - rzekł.

Tamci szybko popatrzyli po sobie, odstawili kieliszki i bez słowa pospiesznie opuścili gospodę Pod Królem Krukiem.

\*

Zegar w przedsionku gospody wybił siódmą. Doktor Svenson zapalił pierwszego z pozostałych mu papierosów, zaciągnął się głęboko, a potem powoli wydmuchnął dym na resztki swego posiłku. Podniósł swój drugi kieliszek wina - zawiesistego, wiejskiego bordeaux - i opróżnił go, po czym wstał od stołu. Gospodarz siedział za barem, czytając książkę. Svenson włożył szynel i zawołał do niego:

- Chciałbym przejść się trochę po łąkach! Czy po powrocie będę miał jakieś kłopoty z dostaniem się do środka? Kiedy udaje się pan na spoczynek?

- W Tarr Village nie zamyka się drzwi - odparł zapytany i wrócił do lektury.

Svenson zrozumiał, że na tym rozmowa się zakończyła, więc poszedł do frontowych drzwi.

Na zewnątrz był pogodny i chłodny wieczór, a jasny księżyc rzucał srebrzystoblady blask na trawnik skweru, jakby dopiero co padał deszcz. Po drugiej stronie placu Svenson dostrzegł światła w oknach kościoła. Inne budynki wyglądały na niezamieszkałe, jakby ktoś wydał rozkaz gaszenia wszystkich świec o jakiejś wyznaczonej godzinie. Jakby na potwierdzenie tego, światła w oknach gospody Pod Królem Krukiem też zgasły, pogaszone przez właściciela na noc. Przecież było dopiero po siódmej! Kiedy ci wieśniacy wstają? Przed świtem? Może jednak puiytański charakter grupki jadącej pociągiem był jak najbardziej na miejscu, może długi czas spędzony przez niego w mieście grzechu (gdyż Svenson nie mógł zaprzeczyć, iż takim właśnie było) napęłnił go nadmiernym sceptycyzmem. Ruszył przez trawnik w kierunku kościoła, zamierzając sprawdzić, dlaczego ludzie znajdujący się wewnątrz nie śpią.

Na środku skweru rósł bardzo duży i stary dąb. Przechodząc pod nim, Svenson spojrzał przez gęstwiny jego wielkich, splątanych i bezlistnych konarów na księżyc, z rozmysłem dręcząc się chwilowym zawrotem głowy. Gdy spojrzał na swoje buty, żeby złapać równowagę, usłyszał w pobliżu charakterystyczny turkot powozu, wjeżdżającego do Tarr Village. Powóz był mały i zwrotny, ciągnięty przez dwa czarne konie i powożony przez zakutanego w oponczę woźnicę, który ściągnął wodze przed gospodą. Svenson natychmiast zrozumiał, że to spóźniony uczestnik bankietu, który miał się tu spotkać z tamtymi dwoma mężczyznami. Woźnica podszedł do drzwi, zapukał, zaczekał i zapukał ponownie - tym razem znacznie głośniej. Po kilku minutach - nie doczekawszy się odpowiedzi - wrócił do powozu. Svenson mimo woli poczuł podziw dla upartego właściciela gospody. Na rozkaz swego pana woźnica wspiał się z powrotem na kozioł. Głośno gwizdnął, szarpnął lejce i powóz przejechał przez plac, po czym znikł w głębi wioski. Niebawem Svenson przestał go słyszeć i wokół znów zapadła cisza, jakby tego powozu nigdy tu nie było.

\*

Kościół w Tarr Village był zupełnie zwyczajny: z bielonego drewna, z pnącą się ku niebu prostokątną dzwonnica z tyłu, bardziej przypominającą wieżę strażniczą. Front wyglądał bardziej zagadkowo. Podwójne drzwi były zamknięte i podchodząc do nich, zauważył, że przez oba uchwyty przeciągnięto gruby łańcuch, przytrzymywany przez grubą kłódkę. Svenson poszedł brukowaną alejką i rozejrzał się. Nikogo nie zobaczył, więc pokonał trzy kamienne stopnie i przyłożył ucho do drzwi. Coś... jakiś dźwięk, który irytował go coraz bardziej, im dłużej go słuchał... monotonne brzęczenie. Czyżby muzyka? Dziwny, niezdrowy pisk piszczałki organów? Cofnął się, ale nie dostrzegł niczego, co by to wyjaśniało. Budynek stał na otwartej przestrzeni, więc Svenson cicho przeszedł po trawie, która sięgała mu do kostek i ciężka od wieczornej rosy, zmoczyła mu buty. W jednej z bocznych ścian kościoła był rząd wysokich okien. Powierzchnie szyb znaczył skomplikowany wzór ołowianych ramek, lecz jednobarwne szkło nie pozwalało dostrzec wzoru. Zaczął się zastanawiać, czy są jedynie dekoracją-jakimś geometrycznym wzorem - jak w meczecie, gdzie jakikolwiek wizerunek mężczyzny lub kobiety, nie mówiąc już o postaci Proroka, byłby świętokradztwem. Patrząc w górę, widział tylko słabą poświatę wewnątrz - paliło się tam jakieś światło, lecz nie jaśniejsze od blasku małej lampy lub kilku świeczek. Nagle ujrzał w oknach błysk, niczym zygzak lazuruwej błyskawicy. To światło zgasło równie szybko, jak się zapaliło. Nie towarzyszył mu żaden dźwięk, żadne wydarzenie... Czy naprawdę to widział? Ależ tak. Pobiegł na tyły kościoła, gdzie znajdowały się drugie drzwi. Wpadł zza rogu...

- Kapitanie Blach!

To był mężczyzna z pociągu, wyglądający na urzędnika kancelarii prawniczej towarzysz Elóise. Stał w otwartych drzwiach kościoła, w jednej ręce trzymając zapalonego papierosa, a w drugiej - niewiarygodne - ciężki klucz nastawny z rodzaju tych, jakich używa się do największych maszyn. Zanim Svenson zdążył coś powiedzieć, mężczyzna wetknął papierosa do ust i wyciągnął do doktora dłoń.

- Jednak dotarł pan, a już się obawiałem, że pan nie przyjdzie. Znalazł pan swoją przyjaciółkę?

- Niestety nie...

- Bez obawy, na pewno poszła do domu z innymi.

- Światło. - Svenson wskazał kciukiem okna za plecami. - Niebieski błysk przed chwilą...

- Tak! - rozpromienił się mężczyzna. - Czyż to nie wspaniałe? Naprawdę przyszedł pan w samą porę!

Znów się zaciągnął, po czym upuścił papierosa na kamienny ganek i zdusił go butem. Svenson popatrzył na klucz, który był niemal równie długi jak męskie przedramię. Mężczyzna zauważył jego spojrzenie i zachichotał, ważąc klucz w dłoni, jak trofeum.

- Pozwalają nam pomagać przy obsłudze. To naprawdę tak ekscytujące, jak przypuszczałem! Proszę wejść, wszyscy się ucieszą na pański widok!

Odwrócił się i wszedł do kościoła, przytrzymując Svensonowi drzwi. Ten niebieski rozblask przypomniał mu d'Orkancza i instytut. Podał temu mężczyźnie fałszywe nazwisko, lecz jeśli jest tam jakiś członek kliki, natychmiast go rozpozna. Co więcej - rozmyślał gorączkowo, pokazując mężczyźnie, żeby szedł pierwszy, i zamykając za sobą drzwi - czy kobiety poszły do Tarr Manor? O jakim innym domu mogła być mowa? Jeśli tak, to istniało wyraźne powiązanie - czarne książki, purytańskie poglądy - za Bascombe'em i jego kliką. Musi jednak zdecydować, musi coś zrobić, gdyż mężczyzna już wprowadzał go do sieni, w której wisiały kościelne szaty. Lord Tan - został zabity, aby można było przejąć kontrolę nad kamieniołomem i złożami niebieskiej glinki. Cóż to miało wspólnego z tymi religijnymi bzdurami? I jaka kościelna ceremonia wymagała klucza nastawnego tej wielkości?

Mężczyzna nagle przystanął, jedną ręką dotknąwszy piersi doktora Svensona, a drugą - tę, w której trzymał klucz, co wyglądało idiotycznie - przyciskając do ust, gestem nakazującym ciszę. Ruchem głowy pokazał otwarte drzwi, a potem ostrożnie ruszył naprzód, aż mogli zajrzeć do następnego pomieszczenia. Svenson poszedł za nim, jednocześnie zaniepokojony i zaciekawiony, wyciągając szyję, by zajrzeć mu przez ramię.

Znaleźli się obok ołtarza, spoglądając w głąb nawy, gdzie ławki odsunięto i ustawiono pod ścianą. Na środku uzyskanej w ten sposób przestrzeni stał prowizoryczny stół z kilku drewnianych skrzyń - takich jak te, które Chang widział w instytucie, a ludzie pułkownika Aspiche'a wywieźli tego ranka na wozach. Na stole stała jakaś... machina - skomplikowany konglomerat metalowych części sterczących z głównego korpusu przypominającego średniowieczny hełm z przyłbicą i połączonych błyszczącymi zwojami miedzianego drutu, biegnącymi do stojącej na podłodze otwartej skrzynki (której zawartości doktor nie był w stanie zobaczyć). W powietrzu unosił się ten sam ostry metaliczny zapach - ozonu, kordytu, spalonej gumy i oleju - jaki wyczuwał wokół zwłok Trappinga i Angeliki oraz mężczyzny w kuchni Crabbego, tylko teraz tak intensywny, że drażnił jego nozdrza, nawet z daleka. Wokół maszyny kręgiem stali ludzie - ta sama mieszanina klas i typów, jaką widział w pociągu, łącznie z wysokim gościem z pierwszego przedziału. Większość zdjęła płaszcze i podwinęła rękawy, niektórzy trzymali narzędzia, inni naoliwione szmaty, kilku tylko stało, wzięwszy się pod boki, i patrzyło z satysfakcją, a wszyscy z uwielbieniem spoglądali na stojącą przed nimi

machine. W tym kręgu wyróżniał się mężczyzna w przybrudzonej, lecz elegancko skrojonym czarnym płaszczu, z przetykanymi siwizną włosami odgarniętymi za uszy, z twarzą niemal zupełnie zasłoniętą przez czarne gogle i dłońmi powiększonymi do gigantycznych rozmiarów przez grube skórzane rękawice, sięgające do łokci.

Był to doktor Lorenz.

\*

Svenson cofnął się od drzwi. Jego towarzysz wyczuł ten ruch i odwrócił się z zaniepokojoną miną. Svenson podniósł rękę i zaczął udawać, że się dusi, pokazując, że ma kłopoty z oddychaniem. Zrobił kolejny krok w tył, jednocześnie dając tamtemu znak, żeby szedł dalej, że zaraz poczuje się lepiej i dogoni go. Zamiast pójść dalej, tamten mszył ku niemu, zmuszając Svensona do jeszcze bardziej teatralnych grymasów, a potem, ku zgrozie doktora, zawrócił, jakby zamierzając wezwać pomoc. Svenson złapał go za rękę i pociągnął w kierunku tylnych drzwi. Dotarli na koniec przedsionka, zanim Svenson pozwolił sobie głośno zakasłać i za-rzezić.

- Kapitanie Blach, co się stało? Żle się pan czuje? Jestem pewien, że doktor Lorenz...

Svenson wypadł przez tylne drzwi na wybrukowany kamiennymi płytami ganek i pochylił się, opierając dłonie o kolana i spazmatycznie łapiąc powietrze. Mężczyzna wyszedł za nim na zewnątrz, z niepokojem dopytując się, co mu jest. Svenson nie mógł wejść do kościoła. Lorenz poznałby go. A teraz, cokolwiek się stanie, ten mężczyzna na pewno o nim wspomni - może już to zrobił? - w sposób niepozostawiający cienia wątpliwości tym, którzy już uznali go za wroga. Poczul na ramieniu krzepiący uścisk mężczyzny i podniósł głowę.

- Mam nadzieję, że im nie przeszkodziliśmy - wychrypiał.

- Och nie - odparł mężczyzna. - Jestem pewien, że nawet nie zauważyli pańskiej obec...

Zgodnie z jego oczekiwaniami, mówiąc to, mężczyzna odruchowo odwrócił głowę w kierunku drzwi. Svenson błyskawicznie wyprostował się i kolbą trzymanego w prawej dłoni pistoletu mocno uderzył go za uchem. Mężczyzna stęknął, zaskoczony, i zatoczył się na framugę drzwi. Svenson zawahał się - nie chciał uderzyć go ponownie. Nie miał wprawy w zadawaniu ciosów w głowę, ale dobrze wiedział, że mogą być śmiertelne. Mężczyzna jęknął i zachwiał się. Svenson zaklął i uderzył go jeszcze raz, aż poczul nieprzyjemne mrowienie w całej ręce. Mężczyzna osunął się, nieprzytomny. Svenson pospiesznie schował pistolet i wciągnął go do przedsionka. Nastawił ucha i nie usłyszawszy żadnych niepokojących dźwięków, szybko ściągnął z wieszaków kilka płaszczy. Zakrył nimi ciało, zostawiając je w pozycji siedzącej za otwartymi drzwiami, które je zasłaniały. Pomacał głowę ogłuszonego. W

miejscu uderzenia wyczuł opuchliznę i guza, ale czaszka chyba nie była uszkodzona, chociaż nie mógł być tego pewny, dokonując oględzin po ciemku. Mężczyzna żył i doktor powiedział sobie, że to wystarczy, chociaż to nie zmniejszyło jego poczucia winy. Podniósł klucz. Potem skrzywił się na swoje roztrzepanie i ponownie przyklęknął, poszperał pod warstwą ubrań i znalazł czarną książeczkę. Wepchnął ją do kieszeni płaszcza i ponownie podkraść się do wewnętrznych drzwi. Znowu było słychać brzęczenie.

Machina wibrowała na stole, wydając coraz głośniejszy skowyt, który najwyraźniej wskazywał - sądząc po reakcji otaczających ją ludzi - że przebiegający w jej wnętrzu proces zbliża się do pomyślnego końca. Lorenz trzymał w ręku kieszonkowy zegarek, drugą dłoń miał uniesioną w górę, a otaczający go ludzie czujnie czekali, aż da im znak. Svensonowi przypominali grupkę przerośniętych chłopców, czekających, aż wychowawca da im sygnał do rozpoczęcia meczu. Machina podskakiwała, wprawiając w niebezpieczne drżenie skrzynie, na których stała. Czyżby miała eksplodować? Lorenz nie mszał się. Mężczyźni wciąż otaczali ją kręgiem. Nagle naukowiec opuścił rękę i doskoczyli do maszyny, mocno ją przytrzymując. Najwidoczniej w ten sposób skierowali jej energię do wewnątrz, gdyż Svenson dostrzegł najpierw cienkie smużki dymu, a potem coraz silniejszą poświatę. Zobaczył, że wszyscy mocno zacisnęli powieki i odwrócili głowy od maszyny. Pojawszy, co to oznacza, ułamek sekundy wcześniej Svenson uskoczył za framugę drzwi, przywarł plecami do ściany i zamknął oczy. Sąsiednie pomieszczenie rozjaśniła niebieska błyskawica, którą ujrzał przez zaciśnięte powieki i choć ich nie otworzył, przez moment migotała mu w oczach. Zakrył dłonią usta i nos przed nieznośnym odorem. Słyszał, jak ludzie w sąsiednim pomieszczeniu krztuszą się i śmieją, gratulując sobie. Zaryzykował i ponownie wystawił głowę.

Lorenz pochylił się nad machiną. Odchylił coś w rodzaju metalowej pokrywy na zawiasie, podobnej do płyty pieca, po czym sięgnął do środka dłonią w grubej rękawicy, w jasnyniebieskie światło, które zupełnie odbarwiało jego już i tak bladą twarz. Uwaga wszystkich skupiła się na ręce Lorenza, który sięgnął głębiej do otwartej komory i wyjął z niej kulę pulsującego niebieskiego... kamienia? Szkła? Pokazał ją zebrany, którzy powitali to chóralnym okrzykiem radości. Twarze mieli zaczerwienione i bez-rozumne. Od tego chemicznego zapachu Svensonowi kręciło się w głowie. Mógł sobie wyobrazić, jak działał na nich. Lorenz odchylił połę płaszcza. Jego pierś przecinał gruby skórzany ban-dolet, z którego zwisał długi rząd metalowych flaszek z metalowymi zakrętkami, jak ładunki prochowe dawnego muszkietera. Ostrożnie odkorkował jedną z nich, a potem wcisnął trzymaną w dłoni kulę - jakby była ze świecącej, plastycznej gliny - w wąski otwór. Kiedy cała znalazła się w środku, zakręcił flaszkę i zręcznym ruchem ściągnął połę płaszcza.

Doktor Lorenz spojrział na otaczających go mężczyzn i zapytał ze spokojnym zainteresowaniem:

- Gdzie jest pan Coates?

\*

Svenson uskoczył za framugę. Dwoma szybkimi krokami przesadził przedsiónek, a potem biegiem opuścił kościół. Przemknął przez pusty podjazd i wbiegł za następny budynek, z powrotem na brukowaną ulicę i na rynek. Biegł, nisko pochylony, najciszej jak mógł, i nie zatrzymał się, dopóki nie dotarł do pnia dębu - wtedy przyklęknął i w końcu odwrócił się, z mocno bijącym sercem. Na trawniku stało kilku mężczyzn, a jeden z nich przeszedł aż przed front kościoła i z jego schodków spoglądał na rynek. Svenson schował się za drzewo. Czy widzieli, jak uciekał? Przy odrobinie szczęścia widok nieszczęsnego Coatesa zatrzymał pościg na dostatecznie długą chwilę, żeby nie zauważyli jego odwrotu. Oczywiście, zważywszy na ich podniecenie, na widok ofiary mogli zapalać żądzą zemsty. Co powie im Coates? Co może im powiedzieć? Svenson nie odważył się zaryzykować i przebiec przez otwarty teren do gospody Pod Królem Krukiem. Zerknął w górę. Ktoś mógł zręcznie wspiąć się na drzewo i schować się w gałęziach. Svenson zadrzał. Nie był Kardynałem Changiem.

Mężczyzna stojący przed kościołem jeszcze raz popatrzył na trawnik, a potem wrócił do drzwi na tyłach kościoła, zabierając po drodze innych. Svenson usłyszał trzaśnięcie zamykanych drzwi. Teraz mógł uciec, ale został za drzewem i obserwował. Minęło piętnaście minut na dotkliwym chłodzie, zanim drzwi znów się otworzyły i wyszedł przez nie szereg mężczyzn niosących skrzynie. Na końcu kroczył Lorenz, już bez rękawic i gogli, przytrzymując poły płaszcza. Znikli Svensonowi z oczu, idąc tą samą drogą, którą wcześniej odjechał powóz. Mógł się tylko domyślać, że prowadziła do Tarr Manor.

Svenson odczekał jeszcze dwie minuty, zanim wyszedł zza drzewa i poszedł z powrotem do kościoła. Nie miał pojęcia, co chce tam znaleźć, ale wszystko było lepsze niż błądzenie w ciemnościach. Coatesa nie było już w kącie, w którym go umieścił. Svenson miał nadzieję, że - ocucony - zdołał odejść o własnych siłach. Doktor ostrożnie przemknął przez przedsiónek do ciemnego kościoła. Światło księżyca nadal sączyło się przez okna, lecz bez błękitnej poświaty pomieszczenie sprawiało zupełnie inne wrażenie, smutku i opuszczenia, chociaż ławki pospiesznie poustawiano na swoich miejscach. Svenson spojrział na ołtarz, pod którym teraz zalegał dziwny cień. Popatrzył na okna, ale nie widział, co zasłania światło. Jakaś smuga czy nalot na szkle, może sadza z maszyny? Podeszedł do ołtarza i zrozumiał swój błąd. Nie był to cień, lecz kałuża. Svenson uniósł biały obrus i pod ołtarzem ujrzał skurczone ciało pana Coatesa, który leżał tam z poderżniętym gardłem.

Svenson przygryzł wargę. Puścił obrus i odwrócił się, sięgając do kieszeni po służbowy rewolwer. Sprawdził naboje i kurek, obrócił bębenek i schował go z powrotem. Rozejrzał się, walcząc z chęcią przewrócenia kopniakiem jakiejś ławki i starając się oddychać miarowo. Nie mógł nic zrobić dla Coatesa, jedynie zapamiętać go jako miłego i opiekuńczego. Wyszedł z kościoła i pomaszerował drogą.

\*

Ponieważ mężczyźni dźwigali skrzynie z maszyną, Svenson był prawie pewien, że ich dogoni - a przynajmniej zobaczy - lecz przeszedł półtora kilometra po wiejskiej drodze, z wrzoscowym żywopłotem po lewej i pustymi zimowymi polami po prawej, a nie było ich w zasięgu wzroku. Przy kamieniu milowym droga rozwidła się i stanął w blasku księżyca, zastanawiając się, co robić. Nie było żadnego drogowskazu, a obie drogi wyglądały na jednakowo uczęszczane. Patrząc dalej, zobaczył, że lewe rozgałęzienie wiedzie na niewielkie wzniesienie, i przypomniał sobie wzmiankę Coatesa o wspinaczce. Nie mając żadnej innej wskazówki, Svenson w tę stronę skierował swe kroki.

Na szczycie zobaczył, że droga opada i znów się wznosi, łagodnie się wijąc, na szereg coraz wyższych, porośniętych krzakami wzgórz. Z każdym zdobytym szczytem doktor lepiej widział cel swojej wędrówki i zanim przed nim stanął - wciąż nie znajdując śladu tamtych mężczyzn - już widział rezydencję takich rozmiarów, że musiała to być Tarr Manor: otoczona sadami, osłonięta rzędem bezlistnych topoli, ze starym kamiennym murem i wysoką żelazną bramą od frontu. Zabudowania gospodarcze były nieliczne i małe, a sam dom, choć mały w porównaniu z monstrualnie wielkim Harschmort, był dużym, ozdobionym krenelażem sześcianem z przepychem ścian szczytowych, rynien i cegły na pół ukrytych w gąszczu bluszczu, który w zdradliwym blasku księżyca przypominał Svensonowi łuski jakiegoś gada.

W oknach na parterze paliły się światła. Doktor poczuł ukłucie ciekawości, widząc, że poza nimi światło pali się jedynie w okienku pod samym dachem, czyli - jak skrupulatnie policzył - nad czterema kondygnacjami zupełnie ciemnych okien. Ostrożnie podszedł do bramy, gdyż głupio byłoby dać się zastrzelić jako intruz próbujący wdrzeć się na prywatny teren - i znalazł ją zamkniętą na łańcuch. Zawołał, kierując swój krzyk ku budce strażniczej pod drugiej stronie ogrodzenia, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Spojrzał w górę, na szczyt wysokiej bramy i wzdrygnął się na myśl o ewentualnej wspinaczce. Wolał poszukać innej, nie tak ekstremalnej drogi i przypomniał sobie widziany w szkiełku Bascombe'a fragment rozsypującego się muru w pobliżu sadu. Gdyby znalazł to miejsce, z łatwością mógłby tamtędy wejść. Ruszył wzdłuż muru, deptając wysoką i suchą trawę, przygniecioną - zapewne przez wiatr - do twardego jak kamień piasku.

Svenson próbował wymyślić jakiś plan działania, do czego nigdy nie miał szczególnych zdolności. Lubił studiować dowody i wyciągać wnioski, a nawet konfrontację z tymi, których przygważdżały fakty, lecz te wszystkie czynności, takie jak bieganie po dachach, wspinaczka po rynnach, strzelanie i bycie tym, do którego strzelają... to nie było w jego stylu. Wiedział, że powinien podejść do Tarr Manor przygotowany do bitwy i próbował sobie wyobrazić, co zrobiłby Chang, ale wcale mu to nie pomogło, jedynie uświadomiło, jak wielką Chang był dla niego zagadką. Problemem Svensona był nadmiar możliwości.

Szukał kilku rzeczy jednocześnie i zależnie od tego, co znajdzie, zmieniały się jego cele. Miał nadzieję znaleźć pannę Temple, chociaż nie sądził, że mu to się uda. Miał nadzieję odnaleźć kobietę z pociągu, chciał także wiedzieć, czy jest tak zepsuta, jak się obawiał, czy może zwiedziono ją tak jak nieszczęsnego Coatesa. Miał nadzieję zebrać jakieś informacje o Bascombe'em i poprzednim lordzie Tarr. Miał nadzieję odkryć, co naprawdę dzieje się w kamieniołomie. Poznać prawdę o Lorenzu i jego maszynierii, a także, co robiła tym mężczyznom z miasta. Miał nadzieję dowiedzieć się, kto był w powozie, a w ten sposób więcej o tych dwóch ludziach, którzy przybyli z miasta, żeby tu nań czekać. Jednak te wszystkie cele mieszały mu się i jedynym planem, jaki zdołał wymyślić, było wejść do domu i jak najdyskretniej się rozejrzeć. Tylko co będzie, surowo i logicznie pytał tkwiący w nim sceptyk, jeśli oprócz Lorenza znajdzie się tam jeszcze ktoś z kliky, kto może go rozpoznać? Co, jeśli zostanie doprowadzony przed oblicze hrabiny lub hrabiego d'Orkancza? Przystanął i westchnął ciężko, ze ściśniętym gardłem. Nie miał pojęcia, co wtedy zrobi.

\*

Wyszukawszy miejsce, gdzie w murze była dziura, Svenson najpierw zajrzał przez nią, upewniając się, że może bezpiecznie wejść. Teraz znalazł się znacznie bliżej budynku, od którego okien dzieliło go tylko kilka owocowych drzewek i zapuszczone rabaty. Przypomniawszy sobie artykuł w gazecie o śmierci lorda Tarra - czy nie znaleziono go w ogrodzie? Svenson podciągnął się i wspiął na mur, tylko trochę podrapawszy sobie przy tym dłonie, po czym zeskoczył na murawę. W najbliższych oknach nie paliło się światło, być może był to gabinet starego lorda, obecnie nieużywany (czy to oznaczało, że Bascombe'a nie ma w rezydencji?). Svenson ostrożnie poszedł tam, stąpając po trawie, by nie pozostawić śladów butów na rabatach. Dotarł do okien. Dwa z nich okazały się oszklonymi drzwiami, gdyż patrząc z muru, nie widział schodów, prowadzących do nich z ogrodu. Svenson wyciągnął szyję i poprawił monokl. Jedne drzwi były uszkodzone: tuż przy klamce brakowało szyby. Popatrzył na schody pod nogami i nie znalazł na nich szkła - zostało oczywiście uprzątnięte - po czym znów skupił uwagę na otworze po szybie. Wokół drewnianej ramki zauważył drobne odpryski

drewna. Jeśli dobrze odczytał te ślady, szyba została wypchnięta od wewnątrz. Nawet gdyby Svenson był gotów uwierzyć (a nie był), że starego lorda zabiło jakieś zwierzę, to dlaczego miałyby wybijać szybę w taki sposób, żeby można było dosięgnąć zamka? A ponadto napastnik powinien chyba wejść z zewnątrz. Jeśli był już w środku, to po co w ogóle wybijał szybę? Może lord Tarr sam ją wybił, próbując uciec? To jednak miałyby sens tylko wtedy, gdyby drzwi były zamknięte od zewnątrz... gdyby lord Tarr został uwięziony w swoim pokoju...

Teraz drzwi były zamknięte od wewnątrz. Svenson ostrożnie wsunął rękę w otwór i je otworzył. Wszedł do ciemnego pokoju i zamknął drzwi. W świetle księżycy zobaczył biurko i ściany zastawione regałami na książki. Poszukał w kieszeni zapalniczki, potarł nią o paznokcie i na jednej z półek znalazł świeczkę w starym mosiężnym lichtarzyku. Przy jej świetle starannie przeszukał wszystkie szuflady biurka, lecz dowiedział się tylko tego, że lord Tan\* żywo interesował się medycyną i w swojej rezydencji mieszkał niemal zupełnie sam. Oprócz jednej książki rachunkowej - zapisanej od początku do końca, zapewne przez jego zarządcę - było tam bardzo dużo notatników i plików recept od różnych lekarzy. Svenson widywał to dostatecznie często, by domyślić się, że słabnące zdrowie było dla lorda nie tyle powodem poszukiwań skutecznego leku czy kuracji, co źródłem swoistej przyjemności. W istocie ten człowiek zdawał się z satysfakcją odnotowywać w swoim dzienniku kolejne niepowodzenia. Starannie zapisany notatnik Svenson znalazł w pierwszej szufladzie od góry, pod kolejnym plikiem recept na rozmaite mikstury. Kartkował go machinalnie i już zamierzał odłożyć na miejsce, gdy wpadła mu w oko wzmianka: *Doktor Lorenz, kuracja minerałami. Nieskuteczna!* Przewrócił kartkę i znalazł jeszcze dwie wzmianki, identyczne z pierwszą, tylko z rosnącą liczbą wykrzykników. Ostatnia opisywała także gwałtowną reakcję organizmu lorda Tana, połączoną z przymusowym opróżnieniem różnych zbiorników w jego ciele. To była ostatnia strona dziennika, lecz Svenson zauważył wążutki pasek papieru między nią a okładką... Tak więc była tam jeszcze jedna kartka, albo kilka, starannie wycięta przez kogoś brzytwą. Zmarszczył brwi. Notatki nie były datowane, gdyż egotyczny pacjent zakładał, że nie ma potrzeby zapisywać tego, co już wie, tak więc Svenson nie dowiedział się, jak długo to trwało. Nieważne.

Wrzucił dziennik do szuflady i zamknął ją. Klika próbowała zwerbować lorda Tana w swoje szeregi, zanim postanowili zastąpić go Bascombe'em... i zamordować.

\*

Svenson przyklęknął przy dziurce od klucza i w odległości półtora metra zobaczył niezbyt obiecującą, nagą ścianę. Westchnął, wstał i bardzo, bardzo wolno przekręcił klamkę.

Zatrask puścił ze zbyt głośnym kliknięciem. Zastygł, gotowy zatrzaskać drzwi i uciec do ogrodu. Najwyraźniej nikt tego nie usłyszał. Zacerpnął tchu i równie powoli uchylił drzwi, zerkając przez poszerzającą się szparę. Rozpaczliwie pragnął zapalić papierosa. Na korytarzu nie było nikogo. Otworzył drzwi na tyle, żeby wystawić głowę i spojrzeć w drugą stronę. Korytarz był pogrążony w półmroku, rozjaśnianym tylko przez blask padający z pomieszczeń na jego końcu. Nie wiedział, co to za pomieszczenia i nie słyszał żadnych odgłosów. Nerwy miał napięte jak struny. Niechętnie wyszedł na korytarz i zamknął drzwi, nie chcąc, by ktoś zobaczył je uchylone, i zaczął sprawdzać, chociaż obawiał się, że zabłądzi i nie rozpozna ich, kiedy będzie próbował uciec. Zaraz jednak powiedział sobie, że nie musi uciekać. Jest drapieżnikiem. To mieszkańcy tego domu powinni bać się jego. Wsunął dłoń do kieszeni i chwycił rękojeść rewolweru. To głupie, że nabrał pewności siebie, dotknąwszy broni. Albo się ma odwagę, albo nie - skarcił się w duchu. Każdy może mieć broń. Mimo to poczuł się lepiej i poszedł na koniec korytarza, żeby wyjrzeć zza narożnika.

Gwałtownie cofnął głowę i przycisnął dłoń do ust. Odór - ten ostry siarkowy zapach rozgrzanej maszynierii - zaatakował jego nozdrza i gardło, jakby wciągnął opary stalowni. Przetarł nos i oczy chusteczką, po czym spojrział ponownie, przytrzymując ją przy twarzy. Ujrzał duży pokój, wyglądający na poczekalnię, z eleganckimi staroświeckimi kanapami i fotelami ustawionymi pod ścianami. Siedzenia były szerokie, jak dla kobiet w turniurach lub krynolinach. Przy fotelach stały stoliczki zastawione filiżankami z niedopitą herbatą i talerzykami z okruchami lub resztkami ciasta. Doktor Svenson naliczył jedenaście filiżanek. Czy dość dla wszystkich kobiet z pociągu? Tylko gdzie się podziały i kim był ich gospodarz? Przekradł się przez poczekalnię i zajrzał w drzwi po przeciwnej stronie - do małego przedpokoju z niebezpiecznie stromymi schodami prowadzącymi przez łukowate przejście do następnego pomieszczenia. W tej samej chwili spod przejścia wyjrzała niska, korpulentna kobieta w czerni. Oboje jednocześnie odskoczyli, kobieta z piskiem, a Svenson z ustami otwartymi w niemej próbie wyjaśnienia. Nieznajoma wyciągnęła do niego rękę i przełknęła ślinę, drugą ręką wachlując sobie zaczerwioną twarz.

- Najmocniej przepraszam - zdołała wykrztusić. - Myślałam, że oni... że wy... że wszyscy poszliście! Nigdy nie... ja tylko szukałam ciasta. Jeśli jakieś zostało. Żeby je schować. Zanieść do kuchni. Kucharz na pewno już udał się na spoczynek, a to bardzo duży dom. Mogą tu być szczury. Rozumie pan?

- Strasznie mi przykro, że panią zaskoczyłem - odparł doktor Svenson zatroskanym głosem.

- Myślałam, że wszyscy już sobie poszli - powtórzyła słabym i drżącym głosem.

- Oczywiście - zapewnił. - To zupełnie zrozumiałe. Posłała niespokojne spojrzenie w kierunku schodów, po czym znów popatrzyła na Svensona.

- Jest pan jednym z tych Niemców, prawda?

Svenson skinął głową i - ponieważ doszedł do wniosku, że to do niej przemówi - strzelił obcasami. Kobieta zachichotała i natychmiast zasłoniła usta pulchną różową dłonią. Obserwował jej twarz, przypominającą twarzyczkę łobuzersko uśmiechniętego dziecka. Włosy miała kunsztownie ułożone, jednak nietworzące żadnej konkretnej fryzury. W istocie - co uświadomiło mu, jak wolno zauważa takie rzeczy - była to raczej wyszukana peruka. Czarna suknia oznaczała żałobę i spostrzegł, że jej oczy mają tę samą barwę co oczy Bascombe'a, a jej usta ten sam owalny krój... Czy mogła być jego siostrą? Kuzynką?

- Mogę panią o coś zapytać?

Skinęła głową. Svenson odsunął się na bok i wskazał poczekalnię za swoimi plecami.

- Czy czuje pani ten zapach?

Znów zachichotała, tym razem z niepewnym błyskiem w świńskich oczkach. To pytanie zaniepokoiło ją, a nawet przstraszyło. Zanim zdążyła odejść, powiedział:

- Chciałem tylko powiedzieć, że nie spodziewałem się, że będą... pracować... tutaj. Zakładałem, że odbędzie się to gdzie indziej. Mówię w imieniu nas wszystkich, że mam nadzieję, iż ten zapach nie wsiąknie w tapicerkę. Czy mogę spytać, czy rozmawiała pani z którąś z tych kobiet? Pokręciła głową.

- Jednak widziała je pani? Skinęła.

- I jest pani obecną gospodynią tego domu. Ponownie kiwnęła głową.

- Czy może pani... Ja tylko upewniam się, jak im poszło, rozumie pani? Mogłaby mi pani powiedzieć, co pani widziała? Och, proszę podejść i skorzystać z fotela. Może jednak zostało tu trochę ciasta...

\*

Usadowiła się na sofie w paski i postawiła sobie na podołku talerz z nietkniętymi kawałkami ciasta. Z zapalem włożyła sobie cały kawałek do ust, zachichotała, przełknęła ze zdeterminowaną wprawą i wzięła następny - jakby trzymanie go w dłoni sprawiało jej przyjemność. Powiedziała pospiesznie:

- No wie pan, takie rzeczy wyglądają... no cóż, dość okropnie, po prostu okropnie, ale tyle rzeczy wygląda tak z początku, tyle rzeczy, które są dobre, a nawet w rezultacie wspaniałe... - Uświadomiła sobie, co właśnie powiedziała i do kogo, i parsknęła piskliwym śmiechem, zduszonym przez następny kęs ciasta. Przełknęła je, z biustem falującym z wysiłku pod obcisłą suknią. - A one sprawiały wrażenie tak uszczęśliwionych... te kobiety...

aż niepokojąco, muszę powiedzieć. Gdyby to nie było takie przerażające, byłabym zazdrosna. Może wciąż jestem zazdrosna, ale oczywiście nie mam po temu żadnego powodu. Roger mówi, że to zdziała cuda dla rodziny, to wszystko, czego pewnie nie powinnam panu mówić, ale wierzę, że ma rację. Mój chłopiec jest mały i jeszcze przez lata niczego nie zdoła zrobić dla rodziny, a Roger obiecał, oprócz innych dowodów swej hojności, że Edgar odziedziczy po nim, że Roger - który nie ma dzieci, ale nawet gdyby miał... Wprawdzie miał narzeczoną, ale już nie ma... chociaż to nieważne, bo zawsze mówiłam, że to niedobra dziewczyna, nieważne, że ma pieniądze... On jest zdolny i ma bardzo dobre koneksje, i zrzeknie się wszystkiego na jego rzecz, kiedy przyjdzie czas. Uczciwie! I czy pan wie - to już prawie pewne - że zostaniemy zaproszeni do pałacu? Nie mogę powiedzieć, żeby do tego doszło, gdyby Edgar musiał sam sobie radzić!

Doktor Svenson skinął zachęcająco głową.

- Cóż, praca pana Bascombe'a jest bardzo ważna. Energicznie przytaknęła.

- Wiem!

- Chociaż, jak oczywiście tylko sobie wyobrażam, z pewnością musi być odrobinę... niepokojące patrzeć na takie rzeczy w swoim domu.

Nie odpowiedziała, tylko uśmiechnęła się do niego z przymusem.

- Czy mogę również spytać... pani niedawno zmarły ojciec...

- Co z nim? Nie ma sensu, absolutnie żadnego sensu rozwodzić się nad... nad... nad tą tragedią!

Wciąż się uśmiechała, lecz znów miała popłoch w oczach.

- Była pani wtedy przy nim?

- Nikogo przy nim nie było.

- Nikogo?

- Gdyby ktoś był, również zostałby zabity przez wilki.

- Wilki?

- Co gorsza, nie złapano tych stworzeń. Tak więc ta tragedia może się powtórzyć!

Svenson poważnie pokiwał głową.

- Na pani miejscu nie wychodziłbym z domu.

- Tak robię!

Wstał i wskazał w kierunku przedsionka i schodów.

- Czy... tamci... są na górze?

Kiwnęła głową, a potem wzruszyła ramionami i skończyła jeść - drugi kawałek ciasta.

- Była pani bardzo pomocna. Poinformuję o tym Rogera, kiedy go zobaczę... i ministra Crabbego.

Kobieta znów zachichotała, prychając okruszkami.

\*

Svenson wszedł po schodach, wiedząc, że szuka Elóise. Wiedział, iż panny Temple tu nie ma. Najprawdopodobniej Elóise wcale nie chciała być znaleziona - przecież była jego wrogiem. Czy jest sentymentalnym głupcem? Spojrzał w dół ze schodów i zobaczył panią Bascombe z twarzą zalaną łzami, wpychającą do ust następny kawałek ciasta. Napotkała jego spojrzenie i z krzykiem przerażenia niezgrabnie czmychnęła mu z oczu jak przestraszony pudel. Svenson przez sekundę zastanawiał się, czy pobiec za nią, po czym poszedł dalej. Jego dłoń znów trzymała kolbę rewolweru. Druga ręka zawadziła o czarną książkę, którą miał w kieszeni. Czyżby zidiociał? Zupełnie o niej zapomniał, zapewne z braku światła do czytania, a przecież to najpewniejszy sposób, by wyjaśnić, co robi tu Elóise - i wszyscy inni.

Dotarł na ciemny podest i przypomniał sobie, że na tym piętrze i na wszystkich wyższych jest zupełnie ciemno. Tarr Manor była starym domem, oświetlanym jedynie blaskiem lamp i świec, co oznaczało, że w pobliżu zawsze znajdowała się jakaś szafka z szufladą pełną woskowych ogarków. Doktor po omacku poszedł korytarzem, aż znalazł taką i zapalił świecę. Teraz potrzebował tylko jakiegoś miejsca, w którym mógłby poczytać. Spojrzał na labirynt korytarzy i przejść, po czym postanowił zostać tu, gdzie jest. Nawet robiąc tak krótką przerwę w poszukiwaniach, musiał walczyć z obawą, że w tym czasie coś złego przydarzy się tym kobietom. Przypomniał sobie Angelikę. A co, jeśli Lorenz, najwidoczniej pozbawiony takich skrupułów, jakie miał hrabia d'Orkancz, jest teraz na górze i otwiera jedną z pełnych niebieskiego szkła flaszek?

Svenson wziął się w garść. Niepotrzebnie się podnieca. Dwie minuty. Tyle przeznaczy na lekturę tej książki.

\*

Nie musiał czytać dłużej. Na pierwszej stronie zobaczył cytat, który odczytano mu w pociągu. Na drugiej stronie i na następnej, a także na wszystkich pozostałych, wydrukowany drobnymi literami widniał ten sam tekst - jeden powtarzający się w nieskończoność akapit. Svenson obejrzał okładkę z obu stron, sprawdzając, czy Coates coś tam napisał, i znalazł szereg liczb zapisanych ołówkiem, a potem nieskutecznie wytartych. Przysunął bliżej świecę i otworzył książkę na stronie z numerem odpowiadającym pierwszej z liczb. Wyglądała tak samo jak wszystkie inne, bez żadnej zauważalnej różnicy czy informacji. Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Spojrzał na pierwsze słowo na samej górze strony. Może da się z

nich ułożyć sensowną całość? Czyżby w ten sposób zaszyfrowano wiadomość? Svenson wyjął z kieszeni ołówek i zaczął robić notatki po wewnętrznej stronie okładki.

Pierwszym słowem na stronie 97 było „to”. Popatrzył na następny numer listy Coatesa, strona 132... Pierwszym słowem było „albowiem”... Svenson pospiesznie kartkował książkę.

Ściągnął brwi. „To albowiem rozbite rajem...” nie miało żadnego sensu. Może to również jest jakiś szyfr? Spróbował go złamać. Gdyby „albowiem” oznaczało przeszłość, to „rozbite” mogłoby dotyczyć dotychczasowych postępów prac... tylko po co „to” na początku? Czy zaszyfrowane wiadomości nie powinny być zwięzłe? Svenson westchnął, spoglądając na książkę z takim zrozumieniem, jakby była węgierską gazetą, czując jednak, że rozwiązanie jest w zasięgu ręki... Spróbował z ostatnimi słowami na każdej z tych stron, lecz w ten sposób dowiedział się tylko, że „od Boży ich noc tylko”. Wprawdzie brzmiało to jak jakaś ponura przepowiednia, ale nie pasowało do...

Litery! Sprawdził pierwsze słowa z listy - jeśli wziąć z nich tylko pierwsze litery, otrzymywało się... „T-A-R-R-M-A”... Niecierpliwie zajrzał na następną stronę. Pierwszym słowem było tam „niewiernych”, tak więc chodziło o Tarr Manor! Sprawdzał dalej i doszedł do „Tan - Mano”, po czym następną stronę, o numerze 30, rozpoczęła się od pustego wiersza... i tak samo następną, strona numer 2. Natychmiast zrozumiał. 3.02, czyli czas odjazdu pociągu! Po następnej minucie Svenson miał już prawie całe zdanie, pozostała mu tylko ostatnia strona, na której pierwsze słowa zaczynało się na „p”, tworząc słowo „dostąpir”, które nie mogło być poprawne. Powtórnie sprawdził numery Coatesa i zauważył, że ostatni jest podkreślony. Czy to ma jakieś znaczenie? Zachichotał, odkrywając je - podkreślenie oznaczało całe słowo! Napisał je i przeczytał całe zdanie:

*Tarr Manor. 3.02. Kto ofiaruje grzech, ten dostąpi raj.*

Doktor Svenson z trzaskiem zamknął książkę i podniósł świecę. Ci ludzie - nic nie wiedząc o sobie nawzajem - zostali tu zaproszeni, aby ofiarować „grzech” w zamian za „raj”. Wiedział dostatecznie dużo, żeby wzdrygnąć się na samą myśl o takim raj. Czy ktoś z nich wie, z kim mają do czynienia? Czy wie to Coates? Wrócił na schody, zastanawiając się, dlaczego wybrano tych ludzi. Karl-Horst, lord Tarr, Bascombe, Trapping - uzależnienie ich miało sens taktyczny, gdyż mogli być użyteczni, zajmując tak wysokie stanowiska. Pomyślał o głupiej kobiecie z pociągu i o Elóise. Pomyślał o leżącym pod ołtarzem Coatesie i zrozumiał, jak mało ważni byli ci wszyscy ludzie dla tych, którzy ich omamili. Dotarłszy do schodów, doktor Svenson wyjął z kieszeni rewolwer i zdmuchnął świeczkę. Zaczął wspinać się w ciemność.

\*

Niczego nie słyszał, dopóki nie wszedł na czwarte piętro. Wyżej było tylko poddasze, na którym wcześniej widział zapalone światło. Wchodził na górę, najciszej jak potrafił, lecz ktoś nasłuchujący usłyszałby poskrzypywania i trzaski starego drewna, poprzedzające jego przybycie. Wchodząc po schodach, napotkał również o wiele większe stężenie nieprzyjemnego zapachu, od którego - paradoksalnie, jakby szedł w rozrzedzonym alpejskim powietrzu - oddech stawał się płytszy i kręciło się w głowie.

Ciszę przerwał odgłos kroków na strychu nad nim. Svenson odciągnął kurek i poszukał drogi wyżej, niemal się o nią potykając: drabina leżała na podłodze. Ktokolwiek znajdował się nad nim, był odcięty.

Svenson opuścił kurek i wepchnął rewolwer do kieszeni. Podniósł drabinę i poszukał nad głową wjazdu. Ten był tak dopasowany kolorem do sufitu, że dostrzegł go tylko dzięki przytrzymującej klapę zasuwie. Svenson zobaczył drewnianą podpórkę, starannie oparł o nią drabinę i zaczął ostrożną wspinaczkę, ułatwianą przez ciemność. Nie widział, jak wysoko się znajduje i z jakiej wysokości może spaść. Starając się nie patrzeć w dół, wyciągnął rękę - zaniepokojony tym, że teraz przytrzymuje się drabiny tylko jedną ręką - żeby odsunąć rygiel. Podniósł klapę wjazdu i o mało nie stracił równowagi, gdy uderzyła go fala odom. I dobrze, gdyż instynktownie kuląc się na drabinie, bezwiednie uchylił się przed uderzeniem butem na wysokim obcasie. W następnej chwili - zauważywszy but i trzymającą go kobietę - doktor Svenson ześlizgnął się o dobre pół metra, po czym złapał się drabiny (uderzając brodą o jeden z jej szczebli). Popatrzył w górę, rozcierając zdrętwiałą szczękę. Z rozwianym włosiem i butem w dłoni spoglądała na niego Elóise.

- Kapitan Blach!

- Zrobili ci krzywdę? - wysapał, starając się oprzeć zwisającą nogę na szczeblu.

- Nie... nie, ale... - Spojrzała na coś, czego nie mógł stąd zobaczyć. Płakała. - Proszę, muszę stąd zejść!

Zanim zdążył zaprotestować, była już na drabinie i prawie weszła mu na głowę. Na pół podtrzymując, a na pół trzymając się jej, odnalazł stopami podłogę w samą porę, żeby jej w tym, pomóc. Odwróciła i wtuliła twarz w jego pierś, drżała. Po chwili objął ją - ostrożnie, nie przyciskając zbyt mocno, choć nawet ten luźny kontakt wywołał przyjemne zdziwienie, że jej łopatki są tak małe - i czekał, aż ucichnie burza szalejących w niej uczuć. Zamiast się uspokoić, zaczęła szlochać. Jego gruby płaszcz tłumiał płacz. Spojrzał ponad jej ramieniem na otwarty wjazd. Padającego stamtąd światła nie rzucała lampa czy świeca - było dziwnie blade i zimne, i nie migotało. Doktor Svenson odważył się pogłodzić kobietę po głowie i szepnąć jej

do ucha: „Wszystko w porządku... wszystko będzie dobrze”. Odrobinę odsunęła się od niego, przelatykając ślinę, z twarzą zalaną łzami. Spojrzał na nią poważnie.

- Możesz oddychać? Ten zapach... chemikalia... Kiwnęła.

- Zakryłam głowę. Ja... musiałam...

Zanim zdążyła wyrzucić z siebie coś więcej, wskazał włącz.

- Czy jest tam ktoś jeszcze, kto potrzebuje pomocy? Pokręciła głową i zamknawszy oczy, odsunęła się. Svenson nie wiedział, co o tym sądzić. Obawiając się tego, co zobaczy, wspiął się po drabinie.

\*

Wąskie poddasze ze skosami z dwóch stron było tak niskie, że może siedmioletnie dziecko zdołałoby stanąć na jego środku, nie pochylając głowy. Na podłodze pod oknem naprzeciwko leżały ciała dwóch kobiet, najwyraźniej martwych. Równie oczywiste, chociaż niewytłumaczalne było to, że to te ciała były źródłem dziwnej błękitnej poświaty rozjaśniającej poddasze. Svenson wczołgał się tam. Odór był nieznośny, więc doktor zatrzymał się, by zasłonić usta i nos chusteczką, zanim na czworakach mszył dalej. Były to kobiety z pociągu - jedna dobrze ubrana, a druga zapewne to jej pokojówka. Obie krwawiły z uszu i nosa, a ich oczy były zasnutę mgłą i zmatowiały, jednak od wewnątrz, jakby zawartość gałek ocznych ścięła się i zgęstniała pod wpływem niezwykle wysokiego ciśnienia. Pomyślał o medycznych zainteresowaniach hrabiego d'Orkancza i przypomniał sobie mężczyzn, których wyciągano zimą z morza, a których miękkie ciała nie zdołały wytrzymać miażdżącego ciężaru ton lodowatej wody. Oczywiście, te kobiety były zupełnie suche, więc ich stanu nie można było wytłumaczyć w ten sposób... i żadna choroba arktycznego pochodzenia nie wyjaśniała istnienia tej nieziemskiej błękitnej poświaty unoszącej się z każdego odsłoniętego centymetra ich odbarwionej skóry.

Svenson zamknął za sobą włącz i zszedł, po czym położył drabinę na podłodze. Zakaszał w chusteczkę i schował ją do kieszeni. Gardło miał nieprzyjemnie wyschnięte i mógł tylko sobie wyobrazić, jak czuje się Elóise. Dowlokła się do schodów i usiadła, spoglądając w zalegającą piętro niżej ciemność. Usiadł obok niej, nie próbując ponownie jej objąć, lecz - jako lekarz - ujmując jej rękę w obie dłonie.

- Obudziłam się z nimi. W tym pokoju - powiedziała szeptem, rwącym się, lecz opanowanym głosem. - To była panna Poole...

- Panna Poole!

Elóise spojrzała na Svensona.

- Tak. Mówiła do nas wszystkich - przy herbacie i cieście - do nas wszystkich z tylu różnych miejsc... przybyliśmy z rozmaitych powodów, szukając szczęścia... to było takie sympatyczne.

- Jednak panny Poole nie ma na strychu.

- Nie. Ona miała książkę. - Elóise pokręciła głową, zasłaniając oczy dłonią. - Mówię bez ładu i składu, przepraszam.

Svenson spojrzał w kierunku strychu.

- Jednak te kobiety... musiałaś je znać, były w pociągu...

- Nie znam ich lepiej niż pana - odparła. - Powiedziano nam, jak się tu dostać, i kazano o tym nie mówić...

Svenson ścisnął jej dłoń, walcząc z budzącym się współczuciem, wiedząc, że musi się dowiedzieć, kim ona naprawdę jest.

- Elóise... muszę cię o to zapytać, gdyż to bardzo ważne... i musisz powiedzieć mi prawdę...

- Ja nie kłamię, ta książka, te kobiety...

- Nie pytam o nie. Muszę się dowiedzieć czegoś o tobie. Czyją jesteś powierniczką? Czyimi dziećmi się opiekujesz?

Popatrzyła na niego, być może zaniepokojona jego nagłą natarczywością, a może szukając najlepszej odpowiedzi, po czym skrzywiła się i odparła z goryczą: - Nie wiem, czemu sądziłam, że wszyscy to wiedzą. Dziećmi Charlotte i Arthura Trappingów.

\*

- Za dużo by opowiadać - rzekła, prostując się i odgarniając z oczu niesforne kosmyki włosów. - Jednak nie zrozumie pan, dopóki nie wyjaśnię, że po zniknięciu pułkownika Trappin-ga... - Popatrzyła na niego, jakby sprawdzała, czy potrzebuje dodatkowych wyjaśnień, lecz Svenson tylko pokiwał głową, dając jej znak, żeby mówiła dalej. - Pani Trapping zamknęła się w swoich pokojach i nie odbierała żadnych telefonów oprócz tych od braci. Mówię o braciach, gdyż taki jest zwyczaj w tej rodzinie, ale w rzeczywistości brat, z którym chciała porozmawiać i do którego słała kartkę za kartką - pan Henry Xonck - nie odpowiedział ani razu, a ten, z którym łączyły ją dość napięte stosunki - pan Francis Xonck - wpadał codziennie. Podczas jednej z tych wizyt odszukał mnie, gdyż bywał tam dostatecznie często, aby wiedzieć, kim jestem i co robię dla pani Trapping. - Ponownie popatrzyła na Svensona, który spojrzał na nią pytająco. Pokręciła głową, jakby zbierając myśli. - Oczywiście, pan jej nie zna. To trudna kobieta. Starszy brat odciął ją od rodzinnego interesu. Owszem, ma pieniądze, ale żadnej pracy, władzy, poczucia przynależności. To ją dręczy i

dlatego tak bardzo chciała, żeby jej mąż stał się ważną osobą, a jego nieobecność tak ją zaniepokoiła. W rzeczy samej, bardziej niż utratę męża przeżyła utratę - jeśli można tak powiedzieć - siły napędowej. W każdym razie Francis Xonck przyszedł do mnie i zapytał, czy chciałabym jej pomóc. Wie, jak jestem oddana pani Trapping - jak mówiłam, wiedział, iż polega na moich radach, a jest człowiekiem, który niczego nie przeoczy. A ja oczywiście wyraziłam zgodę, chociaż zastanawiało mnie jego nagle zainteresowanie siostrą, kobietą gardzącą nim za zgubny wpływ, jaki miał na jej już zdemoralizowanego małżonka. Powiedział mi, że chodzi o intrygę wymagającą zachowania tajemnicy, a nawet... przy czym spojrzał mi w oczy i nie powiedziałabym o tym nikomu, kapitanie, gdyby nie to, co zaszło...

Szerokim gestem objęła otaczający ich mrok. Svenson uściśnął jej dłoń. Uśmiechnęła się znowu, choć jej oczy nie zmieniły wyrazu.

- Spojrzał na mnie - we mnie - i szepnął, że mogę odkryć pewne zalety tej sprawy, że może stać się dla mnie... objawieniem. I zachichotał. Jednak chociaż udawał, że mnie uwodzi, opowiadana przez niego historia była mroczna i okropna. Był przekonany, że pułkownik Trapping jest przetrzymywany wbrew swojej woli, a z powodu obawy przed skandalem nie można zwrócić się z tym do władz. Pan Xonck słyszał tylko plotki, lecz był zbyt znaną osobą, żeby osobiście się tym zająć. Powiedział, że to fragment znacznie większego obrazu. Poinformował mnie, że będzie się po mnie oczekiwać, iż wyjawię sekrety, kompromitujące tajemnice Trappingów oraz rodziny Xonck, i upoważnił mnie do tego. Odmówiłam, przynajmniej bez wcześniejszej konsultacji z panią Trapping, lecz on nalegał z najwyższą stanowczością, że wyjawienie tmdnej sytuacji jej męża zagroziłoby dalszemu trwaniu ich małżeństwa, nie mówiąc już o tym, jaki miałyby wpływ na nadszarpnięte nerwy tej biednej kobiety. Mimo wszystko wydawało się to niewłaściwe, gdyż tego, co wiedziałam, dowiedziałam się tylko dzięki jej zaufaniu. Ponownie odmówiłam, ale on nalegał, pochlebiając mi i wychwalając moje oddanie, sugerując, że spełnienie jego prośby świadczyłoby o jeszcze głębszym oddaniu. W końcu zgodziłam się, mówiąc sobie, że nie miałam innego wyboru. Chociaż oczywiście miałam. Zawsze jest jakiś wybór... lecz jeśli ktoś cię chwali lub nazywa piękną, jakże łatwo jest mu uwierzyć. - Westchnęła. - A dziś rano przysły instrukcje, żeby wsiąść do pociągu i przyjechać tutaj.

- *Kto ofiaruje grzech, ten dostąpi raj* - rzekł Svenson. Elóise prychnęła, kiwając głową.

- Było więcej takich jak ja - krewnych, służących, współników lub znajomych możliwych osób. Każda z nas znała jakieś tajemnice. I jedną po drugiej panna Poole wyprowadzała z poczekalni do przyległego pokoju. Było tam kilku mężczyzn w maskach.

Kiedy przyszła moja kolej, powiedziałam im wszystko, co wiedziałam - o Henrym Xoncku i Arthurze Trappingu, o ambicji i pragnieniach Charlotte Trapping. Wstydzę się tego, tym bardziej że choć częściowo robiłam to, mając szczerą nadzieję uratować zaginionego, to inna - o czym mówię z przykrością - pragnęła ujrzeć ten obiecany raj. A teraz... nawet nie pamiętam, co powiedziałam, co mogło być tak ważne, bo Trappingowie nie są uwikłani w żadne skandale. Jestem głupia...

- Nie, wcale nie - szepnął Svenson. - Wszyscy jesteśmy niemądrzy, wierz mi.

- To żadna wymówka - odparła stanowczo. - Wszyscy mamy szanse być silni.

- Okazałaś siłę, wyjeżdżając tak daleko sama - rzekł - a jeszcze większą tam na strychu.

Zamknęła oczy i westchnęła. Svenson starał się mówić łagodnie. Bez zastrzeżeń uwierzył w jej opowieść, chociaż nakazywał sobie podejrzliwość. Była w Harschmort-z Trappingiem, jak wyjaśniła - lecz mimo to potrzebował więcej informacji, zanim w pełni jej zaufa.

- Powiedziałaś, że panna Poole miała książkę...

- Położyła ją na stole po tym, jak powiedziałam im to, co moim zdaniem chcieli usłyszeć. Była zawinięta w jedwab, jak jakaś Biblia albo żydowska Tora, a kiedy go odwinęła...

- Księga była zrobiona z błękitnego szkła. Na dźwięk tych słów zapało jej dech.

- Tak! A pan wspomniął o szkle w pociągu i wtedy nie wiedziałam, ale w tym momencie pomyślałam o panu i pojęłam, że nie rozumiałam mojej sytuacji. W tej samej chwili przypomniał mi się zimny błysk w oczach pana Francisa Xoncka, a potem panna Poole otworzyła tę szklaną księgę i przeczytałam... a raczej powinnam powiedzieć, że to ona przeczytała mnie. To nie ma sensu, ale też żadnego nie miało. Wpadłam w nią jak w staw, jakbym wskoczyła do cudzego ciała, ale nie tylko - widziałam sny, pragnienia, rozkosze, na wspomnienie których się mmienię - oraz wizje takiej... potęgi. Nagle... panna Poole chyba położyła moją dłoń na księdze, gdyż pamiętam jej śmiech... nagle... nie potrafię tego opisać... Byłam w otchłani... tak głębokiej i tak zimnej, tonęłam... wstrzymywałam oddech, ale w końcu musiałam nabrać tchu i wciągnęłam... nie wiem co takiego, lecz coś lodowato zimnego jak płynne szkło. Miałam wrażenie, że... umieram. - Zamilkła, otarła oczy i spojrzała na właz.

- Obudziłam się tam. Miałam szczęście... wiem, że miałam szczęście. Wiem, że powinnam tam umrzeć tak jak tamte dwie, ze skórą świecąca na niebiesko.

\*

- Możesz iść? - zapytał Svenson.

- Mogę. - Wstała i wygładziła suknię, wciąż trzymając go za rękę, po czym pochyliła się, żeby włożyć buty. - Po trudzie, jaki sobie zadali, żeby mnie tu ściągnąć, nagle postanowili się mnie pozbyć! Gdyby nie pan, kapitanie Blach, boję się myśleć...

- Więc proszę tego nie robić. Musimy opuścić ten dom. Chodźmy... Na niższych piętrach jest ciemno. Dom wygląda na opuszczony, przynajmniej chwilowo. Szedłem za kilkoma mężczyznami, którzy - jak sądzę - znajdują się gdzieś na terenie tej posiadłości. Może panna Poole i pozostałe kobiety poszły do nich dołączyć.

- Kapitanie Blach...

- Nazywam się Svenson - przerwał jej. - Abelard Svenson, kapitan chirurg mackienburskiej marynarki, przydzielony do towarzystwa pewnemu bardzo niemądremu księciu, którego - jako jeszcze większy głupiec niż on - wciąż mam nadzieję uratować. Jak już pani powiedziała, nie ma czasu, by opowiedzieć o wszystkim. Arthur Trapping nie żyje. Dziś rano Francis Xonck próbował utopić mnie w rzece, w tej samej żelaznej trumnie co zwłoki pułkownika Trappinga. Być może drogą tych machinacji zamierza pozbyć się obojga swoich krewnych, a... do licha, za dużo by o tym gadać, a nie mamy czasu, gdyż tamci mogą wrócić. Mężczyzna, z którym jechała pani pociągiem, pan Coates...

- Nie znałam...

- Jego nazwiska, a on nie wiedział, jak się nazywa pani. Nie żyje. Zabili go z najnarniejszego powodu, jaki może sobie pani wyobrazić. Są niebezpieczni i nie mają żadnych skrupułów. Proszę posłuchać, rozpoznałem panią. Muszę to powiedzieć... Widziałem panią wśród nich w Harschmort, niecałe dwa dni temu...

Podniosła dłoń do ust.

- To pan! Pan przyniósł Lydii Vandaariff wiadomość o księciu! Jednak... to nie wszystko, prawda? Chodziło o pułkownika Trappinga...

- Którego znalazłem zabitego, zamordowanego nie wiem przez kogo, ale chcę powiedzieć, że postanowiłem pani zaufać, pomimo pani powiązań z rodziną Xonckow i...

- Przecież widział pan, że próbowali mnie zabić...

- Tak, lecz niektórzy z nich najwidoczniej z przyjemnością mordują się nawzajem. Nieważne. Natomiast muszę pani powiedzieć, że gdybyśmy stąd uciekli, na co liczę, ale zostali rozdzieleni... Nie, to śmieszne...

- Co? Co?

- Są dwie osoby, którym może pani zaufać, chociaż nie wiem, jak zdołałyby je pani odnaleźć. Jednym jest człowiek, którego opisałem w pociągu: noszący czerwony strój i czarne

okulary, bardzo niebezpieczny łobuz - Kardynał Chang. Mam się spotkać z nim jutro w południe pod zegarem na dworcu Stropping.

- Ale dlaczego...

- Dlatego że... Elóise... jeśli ostatnie dni czegoś mnie nauczyły, to tego, że nie wiem, gdzie będę jutro w południe. Może będziesz tam zamiast mnie... może spotkaliśmy się tylko z tego powodu.

Skinęła głową.

- A druga? Mówił pan o dwóch osobach.

- Nazywa się Celeste Temple. To młoda kobieta, bardzo... zdeterminowana, o kasztanowych włosach, drobna. To była narzeczona Rogera Bascombe'a, pracownika ministerstwa, który jest w to zamieszany. On jest właścicielem tego domu! Dość tych głupstw, nie mamy czasu. Musimy uciekać.

\*

Trzymając Elóise za rękę, Svenson sprowadził ją po kolejnych schodach, czując przebiegający po plecach dreszcz niepokoju. Stracili zbyt dużo czasu. Nawet jeśli uda im się uciec z tego domu, dokąd mają się udać? Tamci dwaj mężczyźni wiedzą, że zatrzymał się Pod Królem Krukiem i jeśli są członkami klikki, a muszą być, to gospoda nie jest bezpieczną przystanią, ale następny pociąg będzie dopiero rano. Czy mógłby zanoć w jakiejś stodole? A Elóise? Zacerwienił się na samą myśl o tym i uściśnął jej dłoń, instynktownie zapewniając, że nie ulegnie pokusie, jaką w nim obudziła - a ona nadwątlila w nim to przekonanie, oddawszy uścisk.

Na szczycie następnych schodów - wiodących do jasno oświetlonej poczekalni, w której zostawił tę całą Bascombe, Svenson ponownie przystanął, pokazując Elóise, że muszą być bardzo cicho. Nasłuchiwał... w budynku panowała cisza. Powoli zeszli po schodach, po czym Svenson podeszedł do drzwi i zajrzał do poczekalni. Była pusta, a na stolikach wciąż stały naczynia (ale nie ciasto). Spojrzał w drugą stronę - następna poczekalnia, również pusta. Odwrócił się do Elóise i szepnął:

- Nikogo. Którędy do drzwi?

Zeszła ze schodów i podeszła do niego, stanęła przy nim i wychyliła się, żeby spojrzeć. Cofnęła się, wciąż stojąc bardzo blisko, i odpowiedziała szeptem:

- Sądzę, że trzeba przejść przez ten pokój i jeszcze jeden. To niedaleko.

Svenson ledwo słyszał jej słowa. W trakcie szamotaniny na strychu jej suknia rozpięła się pod szyją. Patrząc z góry - nie była bardzo niska, lecz mimo to widok był śliczny - widział determinację w jej oczach, skórę w dekolcie sukni i złączenie obojczyków z mostkiem, czyli

kości, które zawsze przywodziły mu na myśl dziwnie zmysłowe ruchy ptasich szkieletów. Popatrzyła na niego. Nawet nie podchwyciwszy jego spojrzenia, wiedziała, że jej się przygląda. Nic nie powiedziała. Dla doktora Svensona czas zwolnił bieg - być może w wyniku całej tej rozmowy o lodzie i zamrażaniu. Upajał się jej widokiem i akceptacją. Był równie bezradny jak w obecności hrabiny. Przełknął ślinę i próbował coś powiedzieć.

- Dziś po południu... wie pani... w pociągu... miałem... taki sen.

- Tak?

- Ja... mój Boże, tak...

- Pamięta go pan?

- Tak.

Nie miał pojęcia, co kryje się w jej oczach. Już miał ją pocałować, gdy usłyszeli krzyk.

\*

Krzyczała kobieta, gdzieś w głębi domu. Svenson spojrzał w kierunku obu poczekalni, ale nie miał pojęcia, w którą stronę iść. Kobieta krzyknęła ponownie. Svenson złapał Elóise za rękę i pociągnął ją z powrotem między stoliczkami z filiżankami i talerzykami, a potem korytarzem, którym tu przyszedł, a ona mocno trzymała go za rękaw płaszcza. Szybko otworzył drzwi i wepchnął ją do gabinetu. Próbowwała protestować, ale słowa zamarły jej na ustach, gdy wcisnął jej do rąk ciężki rewolwer. Otworzyła usta z zaskoczenia, a Svenson delikatnie zacisnął jej palce na kolbie, tak by poprawnie trzymała broń. W ten sposób udało mu się skupić jej uwagę na tyle, że mógł mówić szeptem i mieć pewność, że go rozumie. Za nimi kobieta krzyknęła znowu.

- To gabinet lorda Tarra. Drzwi do ogrodu - wskazał na nie - są otwarte, a kamienny mur jest tu wystarczająco niski, żeby dało się przezeń przejść. Zaraz wróć. Jeśli nie, to nie wahaj się - idź. Jutro o ósmej rano odjeżdża pociąg do miasta. Gdyby ktoś cię zaczepił, jeśli nie będzie to mężczyzna w czerwieni lub kobieta w zielonych butach - strzelaj tak, by zabić.

Skinęła głową. Doktor Svenson pochylił się i przycisnął wargi do jej warg. Odpowiedziała z zapalem, wydając cichy jęk zachęty, żalu, rozkoszy i rozpacz. Cofnął się i zamknął drzwi. Dotarł do końca korytarza, mijając niewielkie pomieszczenie służbowe. Tam zaopatrzył się w ciężki lichtarz i obróciwszy go, mocno zacisnął na nim dłoń. Kobieta przestała krzyczeć. Pomaszerował w kierunku, z którego wcześniej zdawał się dobiegać krzyk, trzymając w ręku trzy kilogramy mosiądzu.

\*

Kolejny korytarz doprowadził Svensona do dużej, wyłożonej dywanem jadalni z wysokimi ścianami obwieszonymi olejnymi malowidłami, z dominującym ogromnym stołem otoczonym przez około dwudziestu krzesel o wysokich oparciach. Przy końcu tego stołu stała grupka ludzi w czarnych płaszczach. Zwinięta w kłębek, na stole leżała krewna Bascombe'a, ciężko dysząc. Idąc ku nim po dywanie, który tłumiał jego kroki, Svenson zobaczył, jak mężczyzna stojący na środku łapie ją za brodę i obraca twarzą ku sobie. Miała zamknięte oczy i przekrzywioną perukę, odsłaniającą żałośnie rzadkie, zlepione i nijakie, jej naturalne włosy. Mężczyzna był wysoki i miał stalowosiwe włosy sięgające do kołnierzyka. Svenson z niepokojem ujrzał rząd medali na gorsie jego fraka oraz szkarłatną szarfę przecinająca pierś - insygnia najwyższej urodzonych. Gdyby był tutejszy, z pewnością rozpoznałby tego człowieka... może z królewskiego rodu? Po jego lewej stali dwaj mężczyźni z gospody. Po prawej Harald Crabbe, który - tknięty jakimś przecuciem - spojrzął i szeroko otworzył oczy na widok wchodzącego Svensona.

- Odsuńcie się od niej! - krzyknął surowo Svenson. Nikt się nie mszył.

- To doktor Svenson - powiedział Crabbe do swojego zwierzchnika.

Doktor zobaczył, że ten w drugiej, okrytej rękawiczką dłoni, trzyma przy ustach szamoczącej się kobiety pastylkę z niebieskiego szkła. Słyszając okrzyk Svensona, kobieta otworzyła oczy. Zobaczyła pastylkę i zbulgotała z przerażenia.

- Tak? - zapytał spokojnie mężczyzna, kierując to pytanie do Crabbego, ujmując pastylkę w dwa palce.

- Istotnie, wasza wysokość - odparł z szacunkiem wiceminister, gapiąc się na Svensona.

- Zostaw ją! - ponownie zawołał Svenson.

Był najwyżej trzy metry od nich i zbliżał się szybko.

- Doktor Svenson to macklenburski buntownik... - zaczął Crabbe.

Mężczyzna obojętnie wzruszył ramionami i wepchnął szkło w usta kobiety, po czym oburącz zacisnął jej szczęki i przytrzymał, tłumiąc rozpaczliwe wrzaski, gdy pastylka zaczęła działać. Z pogardą spojrzął na Svensona i nie poruszył się. Svenson, nie zwalniając kroku, zamachnął się lichterzem - który tamci zauważyli dopiero teraz - zamierzając rozwalić łeb temu facetowi, nieważne kim był.

- Phelps! - warknął Crabbe, rozkazując i rozpaczliwie. Niższy z dwóch mężczyzn - ten uczesany w stylu empire - skoczył naprzód, wyciągając rękę do Svensona i usiłując go powstrzymać, ale doktor już się zamachnął i lichterz trafił mężczyznę w przedramię, łamiąc

mu obie kości. Trafiony wrzasnął i upadł na bok, odrzucony siłą uderzenia, Svenson szedł dalej i teraz Crabbe znalazł się pomiędzy nim a arystokratą, który nadal się nie poruszył.

- Starek! Powstrzymaj go! Powstrzymaj go! Starek! - wrzeszczał rozkazująco Crabbe, cofając się. Zza jego pleców wyskoczył drugi z mężczyzn z gospody - pan Starek - wyciągając obie ręce i próbując złapać Svensona. Ten odepchnął je lewą ręką. Przez moment zmagali się, oddaleni od siebie na długość ręki, a potem Svenson zamachnął się prawą, wolną ręką, w której trzymał lichtarz. Cios trafił Starcka tuż za uchem. Rozległ się obrzydliwy, głuchy chrzęst przypominający odgłos rozbijanej dyni i mężczyzna runął jak długi. Cofający się Crabbe wpadł na arystokratę, który w końcu raczył zwrócić uwagę na zamieszanie, jakie zapanowało wokół. Puścił brodę kobiety, która toczyła z ust niebieskoróżową pianę. Svenson zamierzył się, chcąc nad ramieniem dyplomaty uderzyć niegodziwego arystokratę - księcia, diuka czy kimkolwiek był - i nagle, jakąś częścią swego umysłu uświadomił sobie, że postępuje dokładnie tak samo jak Chang. Zaskoczyło go to, jak dobrze się z tym czuje i z jaką przyjemnością rozkwasi zaraz twarz tego potwora... Jednak w tej samej chwili sufit - padając bowiem, nie wiedział, cóż innego mogłoby być tak ciężkie - nagle i niespodziewanie runął mu na głowę.

\*

Otworzył oczy, doskonale pamiętając, że już przedtem był w równie oplakanej sytuacji, tylko tym razem nie znajdował się w jadącym powozie. Czuł z tyłu głowy bezlitośnie pulsujący ból, a mięśnie karku i prawego barku paliły go żywym ogniem. Zdrętwiała mu prawa ręka. Svenson spojrział i odkrył, że jest przykuty kajdankami do drewnianego słupka. Siedział na ziemi, oparty o bok drewnianych schodów. Wytężył wzrok, usiłując dostrzec coś pomimo łupania w głowie. Schody nad nim biegły licznymi kondygnacjami w górę, na wysokość prawie trzydziestu metrów. W końcu jego zamroczony umysł odkrył prawdę. Znajduje się w kamieniołomie.

Podniósł się z ziemi, rozpaczliwie pragnąc zapalić, pomimo gorzkiej suchości w gardle. Zmrużył oczy i osłonił je dłonią przed światłem pochodni i dokuczliwym żarem. Ocknął się w centymetry niezwykle ożywionej aktywności. Wyłowił z kieszeni monokl i spróbował ogarnąć jej sedno.

Kamieniołom był głęboki, a jego pomarańczowe kamienne ściany zdradzały wyższą zawartość żelaza, niż sądził, patrząc z pociągu. Intensywność tego czerwonego koloru sprawiła, że jego zamroczony umysł zaczął się zastanawiać, czy w sekrecie nie przetransportowano go w macklenburskie góry. Leżał na podłożu z ubitego żwiru oraz gliny, a wokół widział przyzmy różnych substancji mineralnych: piasku, kamieni, cegieł, żużlu i

szlaki. Po przeciwnej stronie ujrzał szereg zsuwni, koryt i śluz - gdyż kamieniołom z pewnością potrzebował wody z miejscowego źródła lub tłoczonej - oraz wylot podziemnego szybu. W pobliżu tego ostatniego - dość daleko, lecz wystarczająco blisko, żeby doktor Svenson zaczął się pocić - stał wielki ceglany piec z metalowymi drzwiczkami. Przy nich przykucnął doktor Lorenz, skupiony jak paskudny gnom, znów w okularach i rękawicach, a za nim tłoczyła się gmpka podobnie zabezpieczonych asystentów. Po drugiej stronie kamieniołomu, na drewnianych ławkach, które przypominały doktorowi Svensonowi placyk do lekcji pod gołym niebem, siedzieli mężczyźni i kobiety z pociągu. Przed nimi, udzielając im ściszym głosem jakichś instrukcji, stała niska kobieta o bujnych kształtach, która mogła być jedynie panną Poole. Samotny w swej ostatniej ławce Svenson ze zdumieniem zobaczył nieszczęsną Bascombe, już w nieprzekrzywionej peruce i o twarzy - choć nieco bledszej i ściągniętej - gładkiej jak porcelana.

Usłyszał jakiś dźwięk i spojrzał w górę. Tuż nad nim, na szerokim pierwszym podejściu schodów, tworzącym widokowy balkon na kamieniołom, stała grupka odzianych na czarno mężczyzn: arystokrata, Crabbe, a u jego boku, z twarzą barwy wyschniętego makaronu i ręką na temblaku, pan Phelps. Za nimi wszystkimi, pałac cienkie czarne cygaro, stał wysoki mężczyzna o krótko ostrzyżonych włosach i w mundurze 4. regimentu dragonów z insygniami pułkownika na kołnierzu. Był to Aspiche. Nie zwracali uwagi na Svensona. On rozglądał się, nie śmiąc mieć nadziei, że Elóise uciekła, wypatrując jej w tłumie. Po drugiej stronie schodów wielki pokrowiec z połączonych plandek zakrywał coś dwakroć większego od wagonu i znacznie wyższego. Czyżby jakiś wyszukany sprzęt górniczy? Czy zasłaniający go pokrowiec dowodził, iż zakończyli wydobywanie i złożenie niebieskiej gliny zostało wyeksploatowane? Znów spojrzał na piec, chcąc się zorientować, co właściwie robi doktor Lorenz, lecz wtedy jego wzrok padł na inną plandekę, tworzącą niewielki wzniesienie w pobliżu wielkich stert drewna do palenia w piecu. Svenson z trudem przełknął ślinę. Spod plandeki wystawała kobieca stopa.

\*

- Ach... obudził się - powiedział głos nad nim.

Spojrzał w górę i zobaczył Haralda Crabbego, przechylającego się przez poręcz i mierzącego go zimnym, mściwym wzrokiem. Po chwili do wiceministra dołączył arystokrata z miną człowieka oglądającego trzodę, której nie zamierza kupić.

- Wasza wysokość wybaczy mi na chwilę. Sugeruję, żeby skupił pan uwagę na doktorze Lorenzu, który niewątpliwie za chwilę zademonstruje coś niezwykle interesującego.

Sklonił się i dał znak Phelpsowi, który poczłapał za swoim panem po schodach. Zaciągnąwszy się cygarem, Aspiche poszedł za nimi, pozwalając, by jego szabla stuknęła przy tym o każdy stopień. Svenson wolną ręką otarł usta, po czym spróbował odkaslnąć i wypluć flegmę. Odwrócił się twarzą do nadchodzących, gdy Crabbe schodził z ostatniego schodka.

- Nie wiedzieliśmy, czy odzyska pan przytomność, doktorze - rzekł. - Nie żebyśmy szczególnie się tym przejmowali, rozumie pan, ale skoro tak, wydaje się celowe porozmawianie o wyczynach pana i pańskich przyjaciół. Gdzie pozostali - Chang i dziewczyna? Komu wszyscy troje służycie, tak uparcie i głupio próbując przeszkodzić w czymś, czego nie rozumiecie?

- Ministrowi naszego sumienia - odparł Svenson głosem bardziej ochrypłym, niż się spodziewał. Bardzo chciało mu się spać. Powoli zaczęło wracać krążenie w ręce i przelotnie pomyślał, że wkrótce poczuje ból, gdy odzyska w niej czucie. - Jaśniej nie mogę się wyrazić.

Crabbe patrzył na niego tak, jakby nie był w stanie pojąć tych słów i doszukiwał się w nich jakiegoś ukrytego znaczenia.

- Gdzie Chang i dziewczyna? - powtórzył.

- Nie wiem, gdzie są. Nie wiem nawet, czy żyją.

- Po co pan tu przyszedł?

- I jak tam pańska głowa? - wtrącił Aspiche. Svenson zignorował go, zwracając się do wiceministra:

- A jak pan sądzi? Szukałem Bascombe'a. Szukałem was. I szukałem mojego księcia, żeby strzelić mu w głowę i oszczędzić mojemu krajowi hańby, jaką byłoby objęcie przez niego tronu.

Kąciki ust Crabbego uniosły się w imitacji uśmiechu.

- Chyba złamał pan rękę temu człowiekowi. Może pan nastawić mu kości? Jest pan lekarzem, prawda?

Svenson popatrzył na Phelpsa i napotkał jego błagalne spojrzenie. Ile minęło czasu? Co najmniej parę godzin, w ciągu których brzegi złamanych kości okrutnie szarpały ciało tego biedaka przy każdym poruszeniu. Svenson poruszył przykutą do słupa ręką.

- Musielibyście mnie rozkuć, ale tak, z pewnością mógłbym coś zrobić. Macie drewno na łubki?

- Mamy nawet gips, albo coś podobnego, jak twierdzi Lorenz, czego używają w kopalni lub do wzmacniania osypujących się ścian. Pułkownik, zechce pan eskortować doktora i Phelpsa? Gdyby doktor Svenson zrobił jakikolwiek podejrzany ruch, będę wielce zobowiązany, jeśli umie mu pan głowę.

\*

Przeszli przez kamieniołom, obok prowizorycznego amfiteatru, w kierunku Lorenza. Gdy przechodzili obok, Svenson nie mógł się powstrzymać i zerknął na pannę Poole, która napotkała jego spojrzenie z olśniewającym uśmiechem. Powiedziała coś do słuchaczy, widocznie przeprasząc na chwilę, po czym szybkim krokiem podeszła do przechodzących.

- Doktorze! - zawołała. - Nie sądziłam, że znów pana spotkam, nie tak szybko i na pewno nie tutaj. Powiedziano mi... - tu złośliwie spojrzała na Aspiche'a - że okazał się pan bardzo kłopotliwy i o mało nie zabił naszego honorowego gościa! - Pokręciła głową, jak nad czarującym i niesfornym chłopcem. - Mówią, że wrogowie mają często bardzo podobne charaktery i różni ich tylko nastawienie, co, jak chyba wszyscy widzimy, może szybko się zmienić. Dlaczego nie przyłączy się pan do nas, doktorze Svenson? Proszę wybaczyć mi szczerość, lecz kiedy ujrzałam pana po raz pierwszy w St. Royale, nie miałam pojęcia, z jaką awanturniczą postacią mam do czynienia. Pańska legenda rośnie z każdym dniem, niemal dorównując sławie pańskiego nieszczęsnego przyjaciela, Kardynała Changa, który, jak mi powiedziano, już nie będzie pańskim rywalem w heroicznym wyczynach.

Słyszając to, Svenson zbladł. Ku widocznemu niezadowoleniu pułkownika Aspiche'a panna Poole wzięła Svensona pod rękę i cicho zacmokała, nachylając się do niego. Pachniała drewnem sandałowym, tak jak pani Marchmoor. Te miękkie dłonie, oszałamiający zapach, pot spływający mu po karku, łupanie w głowie i irytująca beztroska tej kobiety sprawiły, że doktor Svenson miał wrażenie, iż zaraz zagotuje mu się mózg. Zachichotała, widząc jego minę.

- Oczywiście, teraz powie mi pan, że jest pan zbawcą i obrońcą kobiet, o czym słyszałam dziś wieczorem. Niech pan jednak spojrzy. - Odwróciła się i pomachała do siedzącej na ławce nieszczęsnej Bascombe, która natychmiast odpowiedziała jej takim samym gestem z entuzjazmem obitego psa machającego ogonem. - To jest Pamela Hawthorne, obecna właścicielka Tarr Manor, najszczęśliwsza osoba pod słońcem pomimo przykrego nieporozumienia.

- Została poddana waszemu procesowi?

- Jeszcze nie, ale jestem pewna, że tak będzie. Nie, ona jedynie poznała potęgę naszej nauki. Ponieważ to jest nauka, doktorze, co jako człowiek wykształcony z pewnością pan przyzna. Nauka to postęp, tak jak przymus jest podstawową tkanką naszego społeczeństwa. Czasem bardziej świadomi muszą je popchnąć we właściwym kierunku, jak krnąbrne dziecko. Z pewnością pan to rozumie.

Chciał ją zwymyślać, nazwać dziwką, gwałtownie zerwać ten udawany flirt, ale zamęt w głowie nie pozwolił mu znaleźć odpowiednich epitetów. Może powinien wykorzystać zawrót głowy i zwymiotować? Zamiast tego spróbował się uśmiechnąć.

- Mówi pani bardzo przekonująco, panno Poole. Czy mogę o coś spytać, jako cudzoziemiec?

- Oczywiście.

- Kim jest ten człowiek?

Svenson odwrócił się i wskazał wysoką postać stojącą na podeście schodów obok Crabbego i spoglądającą na kamieniołom z miną Borgii patrzącego z watykańskiego balkonu. Panna Poole znów zachichotała i poufale poklepała go po ramieniu. Pomyślał, że przed tym procesem zapewne nie posiadała takich umiejętności i wciąż szukała dla nich ujścia. Czy był dla niej uczniem, nieświadomym narzędziem czy tresowanym pieskiem?

- Przecież to diuk Staelmaere. No wie pan, rodzony brat naszej królowej.

- Nie wiedziałem.

- Och tak. Gdyby królowa i jej dzieci umarły - Boże broń - diuk objąłby tron.

- Musiałoby umrzeć wielu jego krewnych.

- Proszę mnie dobrze zrozumieć. Diuk jest najbardziej zaufanym krewnym Jej Wysokości. Jako taki pozostaje w najbliższych stosunkach w jej obecnym rządzie.

- Zdaje się być zaprzyjaźniony z panem Crabbe. Zaśmiała się i już miała rzucić jakiś żart, gdy brutalnie przerwał jej Aspiche.

- Dość tego. On jest tutaj, żeby opatrzyć rękę temu człowiekowi. Potem umrze.

Przyjęła tę uwagę z godnością i zwróciła się do Svensona:

- Niezbyt przyjemna perspektywa, doktorze. Na pańskim miejscu zastanawiałabym się nad zmianą stron. Naprawdę nie wie pan, co pan traci. I gdyby nigdy się pan miał nie dowiedzieć... czyż to nie byłoby smutne?

Panna Poole z drwiącym uśmiechem skinęła głową i wróciła do ławek. Svenson spojrzał na Aspiche'a, który obserwował to z widoczną ulgą. Czy w zaciszu saloniku St. Royale obmacywała Aspiche'a czy Lorenza? Doktor był prawie pewien, że Lorenza, chociaż ten wyglądał na całkowicie pochłoniętego wytopem i nie zwracał na nią uwagi. Svenson zobaczył, że Lorenz opróżnia jedną ze swych wiszących na bandolecie flaszek do metalowego kubka, który jego asystenci zamierzali umieścić w piecu. Zastanawiał się, na czym naprawdę polega ten proces chemiczny, najwidoczniej składający się z kilku kolejnych etapów oczyszczania... Czyżby w ten sposób przygotowywano niebieską glinę do użycia? Spojrzał

na pannę Poole i zastanawiał się, gdzie jest teraz jej szklana książka. Gdyby zdołał ją zdobyć...

Aspiche znowu mu przerwał, ciągnąc za mrowiące ramię do pana Phelps'a, który z trudem zdejmował czarny płaszcz. Svenson spojrzał na Aspiche'a, zamierzając prosić o łyki i trochę brandy do znieczulenia, gdy w pomarańczowym blasku pieca dostrzegł na jego twarzy blizny pozostawione przez proces transformacji, niczym tatuaż jakiegoś karaibskiego dzikusa. Jak mógł nie zauważyć ich wcześniej? Nie zdołał się powstrzymać - wybuchnął śmiechem.

- Z czego się śmiejesz? - warknął pułkownik.

- Z ciebie - odparł śmiało Svenson. - Wyglądasz jak klaun. Wiesz, że kiedy ostatni raz widziałem Arthura Trappin-ga - nawiasem mówiąc, leżącego w tramnie - jego twarz wyglądała tak samo? Tylko dlatego, że zwiększyli twoje umysłowe możliwości, przestałeś być bezwolnym narzędziem w ich rękach?

- Siedz cicho albo cię zabiję!

Aspiche popchnął go w kierunku Phelps'a, który próbował się odsunąć i poszarzał z bólu.

- I tak mnie zabijecie. Posłuchaj, Trapping miał potężnych przyjaciół, był im potrzebny. Ty jesteś tylko żołnierzem i twój awans powinien ci uzmysłwić, jak łatwo ciebie też można zastąpić. Psy są potrzebne tylko do polowania. Jesteś ich sługusem, pułkowniku, i dzięki zwiększonym zdolnościom umysłowym powinienes to rozumieć.

Aspiche na odlew uderzył go w twarz. Svenson upadł na kolana. Zapiekł go policzek. Zobaczył, że Lorenz usłyszał odgłos uderzenia i odwrócił się do nich. Czarne okulary skrywały wyraz jego twarzy.

- Nastaw mu rękę - powiedział Aspiche.

\*

„Gips” okazał się jakimś rodzajem spoiwa do pieca, ale Svenson uznał, że spełni swoją rolę. Złamania nie były skomplikowane i trzeba przyznać Phelpsowi, że nie zemdlął - chociaż Svenson zawsze uważał to za wątpliwe osiągnięcie. Gdyby zemdlął, wszystkim byłoby łatwiej. A tak zostawił go roztrzęsionego i wykończonego, siedzącego na ziemi, z kończyną w gipsie. Svenson grzecznie przeprosił go za wyrządzoną krzywdę, zapewniając, że zamierzał uderzyć diuka, a Phelps odparł, że oczywiście, w tych okolicznościach było to najzupełniej zrozumiałe.

- Pański towarzysz... - zaczął Svenson, wycierając dłonie w szmatę.

- Obawiam się, że go pan załatwił - odparł Phelps ledwie słyszalnym szeptem, mającym delikatny dźwięk suchego ryżowego papieru. Ruchem głowy wskazał plandekę. Teraz, gdy znajdowali się bliżej niej, Svenson, oprócz kobiecej nogi, zauważył również męską, w czarnym półbucie. Jak on się nazywał - Starek? Balast zabójstwa legł ciężkim brzemieniem na barkach doktora. Spojrzał na Phelpsa, mając wrażenie, że powinien coś powiedzieć, lecz zauważył jego nieobecne spojrzenie i przygryzioną z bólu wargę.

- Tak bywa na wojnie - parsknął pogardliwie Aspiche. - Kiedy postanowiłeś walczyć, wybrałeś śmierć.

Svenson ponownie spojrzał na plandekę zakrywającą ciała, rozpaczliwie usiłując sobie przypomnieć, jakie pantofelki nosiła Elóise. Czy to jej stopa? Dobry Boże, ile osób leży pod tą plandeką? Co najmniej cztery, sądząc po wysokości sterty, może więcej. Miał nadzieję, że schwytawszy go, nie będą fatygowali się przeszukiwaniem gospody czy pilnowaniem stacji kolejowej rano i jakoś uda jej się uciec.

- Będzie żył? - zapytał drwiąco doktor Lorenz, podchodząc do nich z okularami wiszącymi na szyi. Patrzył na Phelpsa, ale nawet nie czekał na odpowiedź. Zmierzył Svensona szybkim, profesjonalnym spojrzeniem, niezdradzającym niczego prócz równie profesjonalnej podejrzliwości, po czym podszedł do Aspiche'a. Skinął na asystentów, którzy przyszli za nim.

- Jeśli mamy pozbyć się dowodów, to teraz jest odpowiednia chwila. Piec jest rozgrzany do maksimum i temperatura może tylko się obniżyć. Jeśli będziemy zwlekali, pozostanie więcej szczątków.

Aspiche spojrzał na drugą stronę kamieniołomu i podniósł rękę, zwracając uwagę Crabbego. Svenson zobaczył, że minister mży oczy, a potem uświadamia sobie, co pokazuje Aspiche, i energicznie kiwa głową.

- Do roboty! - krzyknął Aspiche do ludzi Lorenza.

Zerwali plandekę i podchodząc parami do sterty, zaczęli przenosić ciała. Svenson mimo woli cofnął się o krok. Na wierzchu leżały ciała dwóch kobiet ze strychu, wciąż jarzące się jasnyniebiesko. Pod nimi leżeli Coates i Starek oraz inny mężczyzna, którego słabo pamiętał z pociągu, także ze świecą niebiesko skórą (widocznie mężczyznom również pokazano księgę). Ze zgrozą patrzył, jak pierwsze dwa ciała zaniecono do pieca i kopniakiem otwarto szerokie drzwiczki, odsłaniając rozpalone do białości wnętrze. Svenson się odwrócił. Poczł mdlący odór palonych włosów. Aspiche złapał go za ramię i pociągnął z powrotem w stronę Crabbego. Doktor niejasno zdawał sobie sprawę z tego, że Phelps chwiejnie idzie z nimi. Przynajmniej nie było tam Elóise... przynajmniej los jej tego oszczędził...

\*

Gdy znów mijali pannę Poole i jej podopiecznych, ujrzał ją między siedzącymi na ławkach i rozdającą książki - nie w czarnych, lecz w czerwonych skórzanych okładkach - i szepczącą coś do każdego. Domyślił się, że to nowy szyfr i klucz do nowych wiadomości. Zobaczyła, że na nią patrzy, i uśmiechnęła się. Pannie Poole towarzyszyli mężczyzna i kobieta, z którymi rozpoczął podróż pociągiem. Ledwo ich rozpoznał. Chociaż ich stroje wyglądały teraz inaczej - jego ubranie było usmarowane smarem i sadzą, a jej w lekkim nieładzie - wyraźniejsza była zmiana, jaka zaszła na ich twarzach. Tam, gdzie przedtem Svenson widział napięcie i podejrzliwość, teraz ujrzał spokój i pewność siebie, jakby naprawdę stali się innymi ludźmi. Oni również skinęli mu głowami, promiennie się uśmiechając. Zastanawiał się, kim naprawdę są, czyje zaufanie zdradzili i co znaleźli w szklanej księdze, że zmienili się aż tak bardzo.

Próbował znaleźć w tym wszystkim jakiś sens, zmusić zmęczony umysł do myślenia. Powinien wyciągać jeden wniosek po drugim, lecz w tym stanie nic nie przychodziło mu do głowy. Na czym polegała różnica między szklaną księgą a procesem transformacji? Księga najwyraźniej mogła zabić, aczkolwiek wydawała się czynić to w sposób niemal okrutnie przypadkowy, jak toksyczne działanie owoców morza, więc wątpił, by spowodowane przez nią zgony były zamierzone i zaplanowane. Co jednak robiła ta księga? Elóise mówiła o zapadaniu w nią, o wizjach. Pomyślał o kuszącym działaniu niebieskiego szkła, a potem odniósł to do księgi... Tylko co..? Czuł, że jest bliski czegoś... Pisanie... Książkę trzeba zapisać, myśli zarejestrować... Czy właśnie to robili? Przypomniawszy sobie, jak Chang opisywał instytut i mężczyznę upuszczającego księgę w trakcie jej produkcji... jej wytwarzania jakimś sposobem z Angeliki... I tego samego mężczyznę w kuchni Crabbego. Na czym polega różnica między wykorzystaniem jakiejś osoby do stworzenia księgi a późniejszym wpisaniem do niej obecnych tutaj ludzi - czy też uwięzieniem w niej niczym w pajęczynie? A transformacja? Przeczował, iż jest to proste przekształcenie, proces chemiczny, wykorzystujący właściwości niebieskiej glinki, niebieskiej glinki w jakiś sposób topionej w szkło, wpływającej na osobowość, znoszącej zahamowania i poczucie lojalności. Czy po prostu usuwającej moralne obiekcje? A może zamieniającej je na inne? Pomyślał, ile może osiągnąć w życiu człowiek bez skrupułów lub sto takich osób działających razem, jeśli w dodatku ich liczba codziennie rośnie. Przetarł oczy. Znów był oszołomiony i powrócił do pierwszego pytania: na czym polega różnica między procesem transformacji a księgą? Obejrzał się na pannę Poole i jej klasę siedzącą między stertami różnych substancji mineralnych. Nagle pojął, że to kwestia kierunku reakcji. Podczas transformacji energię

dawano obiektowi, znosząc zahamowania i przekonując do sprawy. W trakcie kontaktu ze szklaną księgą energia była wysysana z obiektu - razem (a może w formie, jeśli wspomnienia miały wartość energetyczną) ze szczególnymi wydarzeniami jego życia. Niewątpliwie chodziło o szantaż, gdyż tajemnice tych wszystkich ludzi teraz znalazły się w księdze panny Poole, a ta księga - tak jak szkiełka - pozwalała każdemu przeżyć te wstydlive chwile.

Ofiary nie mogły się ich wyprzeć i klika miała nad nimi nieograniczoną władzę.

Teraz wszystko zaczęło nabierać sensu. Te księgi były narzędziami i, jak każde narzędzie, mogły zostać użyte do różnych celów, zależnie od swej zawartości. Co więcej, mogły być skonstruowane w różny sposób, w różnych celach, jedne kompletne, inne z różną ilością pustych stron. Mimo woli przypominał sobie żywe i niepokojące malowidła Oskara Veilandta, niewątpliwie przedstawiające proces transformacji, i zapisane na odwrocie alchemicznymi symbolami. Czy powstanie tych ksiąg również było dziełem tego człowieka? Gdyby tylko wciąż żył! Czy to możliwe, by hrabia - najwyraźniej będący mistrzem tej zdegenerowanej nauki - ukradł sekrety Veilandta, a potem kazał go zabić? Na myśl o księgach i ich przeznaczeniu Svenson nagle zaczął się zastanawiać, czy d'Orkancz zamierzał zrobić księgę tylko z Angeliki, zawierającą ogrom przygód kobiety lekkich obyczajów. Byłoby to niezwykle skuteczne narzędzie, dostarczające przeżyć tysiąca nocy w burdelu bez potrzeby wychodzenia z domu. To jednak tylko jeden przykład. Możliwości były wprost nieograniczone, gdyż jakich przygód, podróży i rozkoszy zaznanych przez jednego człowieka nie można było zapisać w takiej księdze, aby każdy mógł ich zaznać, przeżywając je osobiście? Jakich wystawnych bankietów? Jakich ilości wina? Jakich bitew, pieszczot, inteligentnych rozmów... Możliwości były wprost bezgraniczne - tak jak cena, jaką ludzie byliby gotowi za to zapłacić.

Znów spojrzał na pannę Poole i uśmiechniętą parę. Co ich zmieniło? Co zabiło innych, a oszczędziło tych dwoje? Wydało mu się to niezwykle ważne, stało się zmarszczką na gładkiej toni tego strumienia myśli. Gdyby tylko istniał jakiś sposób, żeby to odkryć... teraz jednak wszelkie nadzieje na ustalenie, kim są ci ludzie i co mogło ich zabić, rozsypały się w proch. Svenson gniewnie prychnął. Może jednak ma wystarczające przesłanki? Ich skóra była nasycona niebieską substancją, co nie przydarzyło się tym, którzy przeżyli. Pomyślał o tych dwojgu ludziach, którzy z podejrzliwych niechętnych stali się przyjaźni i otwarci... Svenson potknął się, oszołomiony tymi myślami. Aspiche złapał go za ramię i popchnął.

- Ruszaj się! Wkrótce sobie odpoczniesz!

Doktor Svenson ledwie go słyszał. Myślał o Elóise i o tym, że nie pamiętała, jakie skandaliczne tajemnice Trappingów lub Henry'ego Xoncka mogła ujawnić. Powiedziała to w

sposób świadczący o tym, iż nie miała czego wyjawiać, ale... Svenson wiedział, że zabrano jej jakieś wspomnienia, tak samo jak wspomnienia o krzywdach, niesprawiedliwościach i zawiści odebrano tej parze młodych ludzi, żeby zapisać je w szklanej księżce. Ci zaś, którzy umarli... Co d'Orkancz powiedział o Angelice? O energii, która w pożalowania godny sposób poszła w innym kierunku... W tym wypadku też musiało się tak stać... Energia księgi wniknęła zbyt głęboko, powodując śmierć tych ludzi, pozostawiając ślad na ich ciałach. Tylko dlaczego zabiła ich, a innych nie? Ponownie obejrzał się na uśmiechniętych ludzi siedzących wokół panny Poole. Nikt z nich nie pamiętał tego, co wyjawiał - w istocie czy wiedzieli chociaż, dlaczego się tu znaleźli? Pokręcił głową z podziwem, gdyż każdego z nich można było odesłać do domu, nieświadomego, co naprawdę tu zaszło, pamiętającego jedynie wycieczkę na wieś i tajemnicze zgony. Skoro jednak nie można było wyjaśnić przyczyn śmierci tych, których uznano za nieważnych? Kto by protestował, kto choć pamiętałby o tych zabitych?

Myśli Svensona na moment pobiegły do Korynny - do jej obrazu, który przechowywał w swoim sercu - i poczuł rosnący gniew. Śmierć Starcka legła ciężarem na jego sumieniu, ale słowa tego prostaka Aspiche'a (dlaczego tacy ludzie zawsze redukują całą złożoność świata do jednosylabowych słów i morza nieartykułowanych pomruków?) przypomniały mu, kim są jego wrogowie. Nie jest Changiem - nie potrafi zabijać bez skrupułów ani robić tego wystarczająco sprawnie, żeby ocalić życie - ale jest Abelardem Svensonem. Wie, co robią ci niegodziwcy i którzy z nich są naprawdę za wszystko odpowiedzialni: stojący na podeście nad nim Harald Crabbé i diuk Staelmaere. Jeśli ich zabije, to Lorenz, Aspiche i panna Poole przestaną się liczyć, gdyż wyrządzane przez nich zło będzie ograniczone ich skromnymi możliwościami i niewątpliwie wzbudzi w nich takie samo niezadowolenie, jakiego doznawali przed swoim wspaniałym procesem transformacji. Ta zależała od istnienia kliku, której tron stanowili ci dwaj, d'Orkancz, Lacquer-Sforza i Xonck. A Robert Vandaariff... ten musi być ich przywódcą. Doktor Svenson nagle nabrał pewności, że nawet gdyby uciekł, nie spotka Changa ani panny Temple na dworcu Stopping. Albo oboje nie żyją, albo są w Harschmort.

Tylko co może zrobić? Aspiche jest wysoki, silny, uzbrojony i niebezpieczny - może nawet równie niebezpieczny jak Chang. Doktor Svenson jest nieuzbrojony i zmęczony. Spojrzał przez ramię na piec. Lorenz szedł ku nim, ściągając rękawice. Na górze Crabbe i diuk rozmawiali cicho - albo Crabbe mówił, a diuk tylko kiwał głową, z twarzą jak wykuta z kamienia. Svenson policzył, że od podestu dzieli go piętnaście drewnianych schodów. Gdy wbiegł po nich na górę, wyprzedzając Aspiche'a, Crabbe z pewnością zasłoniłby diuka własnym ciałem... Svenson myślał o zawartości swoich kieszeni - czy jest w nich coś, co

mogłoby posłużyć za broń? Ściągnął brwi. Ogryzek ołówka, papierośnica, szkiełko... tak, szkiełko, gdyby biegnąc, złamał je w palcach i ostrą krawędzią poderznął gardło Crabbemu, a potem wziął diuka jako zakładnika... Może zawłóklby go na górę... czy diuk ma tam swój powóz? Mógłby pojechać nim na stację albo nawet wrócić do miasta. Lorenz się zbliżał. Odwróci uwagę Aspicha. Svenson wsunął rękę do kieszeni, szukając szkiełka. Napiął mięśnie, szykując się do biegu.

- Pułkowniku Aspiche! - zawołał doktor Lorenz. - Jesteśmy prawie...

Aspiche mocno uderzył Svensona w tył głowy, powalając go na kolana. Doktor miał wrażenie, że głowa zaraz pęknie mu z bólu. Żołądek podszedł mu do gardła, w ustach poczuł gorzki smak żółci, w oczach stanęły mu łzy. Gdzieś z tyłu - jakby w odległości wielu kilometrów - usłyszał piskliwy śmiech Lorenza, a potem ponury głos Aspiche'a, szepczący mu do ucha:

- Nawet o tym nie myśl.

Svenson wiedział, że zapewne zginie, ale wiedział też, że jeśli nie wstanie z klęczek, straci i tę niewielką szansę, jaką ma. Splunął i otarł usta rękawem, z lekkim zdziwieniem zauważając, że wciąż trzyma w ręku niebieskie szkiełko. Z najwyższym trudem złapał je drugą ręką i zaczął się podnosić. Chwiejnie wstawał, gdy Aspiche chwycił go za kołnierz płaszcza i szarpnięciem postawił na nogi. Puścił, a Svenson zatoczył się i o mało znów nie upadł. Ponownie usłyszał piskliwy śmiech Lorenza, a potem dobiegający z góry głos Crabbego.

- Doktorze Svenson! Jakież nowe wieści o miejscu pobytu pańskich towarzyszy?

- Powiedziano mi, że nie żyją! - odrzyknął ochryłym i słabym głosem.

- Być może - odparł Crabbe. - Chyba już dość zabraliśmy panu czasu.

Za plecami usłyszał cichy świst szabli, wyjmowanej z pochwy przez Aspiche'a. Powinien odwrócić się i stawić mu czoło..Złamać szkiełko i wbić mu je w kark, w oko albo... Nie mógł się odwrócić. Patrzył tylko na Crabbego, z zadowoloną miną opierającego się o poręcz. Svenson wskazał ściany kamieniołomu i krzyknął do wiceministra:

- Macki enburg!

- Słucham?

- Macklenburg. Ten kamieniołom. Rozumiem powiązanie. Ta niebieska glinka. Tutaj jest tylko małe złożo. W górach Macklen-burga musi być jej pełno. Mając w garści diuka, miałby pan bezgraniczną władzę... Taki jest pański plan?

- Plan, doktorze Svenson? Obawiam się, że to tylko jego fragment. Plan to wszystko to, co zamierzamy osiągnąć, mając taką władzę. Z pomocą takich mądrych ludzi, jak nasz diuk...

Svenson splunął. Crabbe urwał w połowie zdania.

- Takie wulgarne...

- Znievažyliście mój kraj! - zawołał Svenson. - I tego człowieka. Zapłacicie za to, każdy z was...

Crabbe spojrział na stojącego za plecami Svensona Aspiche'a.

- Zabij go.

\*

Wystrzał zaskoczył go, gdyż spodziewał się ciosu szablą, i dopiero po chwili pojął, że to nie jego trafiła kula. Usłyszał krzyk - i znów zdumiał się, że ten nie wyrwał się z jego ust - po czym zobaczył, jak diuk Staelmaere zatacza się na poręcz, ściskając przestrelone na wylot prawe ramię, i krew spływa mu między długimi białymi palcami, zaciskającymi ranę. Crabbe obrócił się na pięcie, gdy diuk osunął się na kolana i głowa opadła mu na pierś. Nieco wyżej nad nimi, ściskając w obu dłoniach dymiący rewolwer, stała Elóise.

- Niech to szlag, madame! - wrzasnął Crabbe. - Czy pani wie, do kogo pani strzeliła? To zbrodnia! To zdrada stanu!

Strzeliła ponownie i tym razem Svenson zobaczył, jak kula trafiła w pierś diuka. Trysnęła fontanna krwi. Staelmaere otworzył usta ze zdziwienia, zaskoczony silnym uderzeniem i potwornym bólem, po czym osunął się na deski.

Svenson - któremu to niespodziewane ocalenie dodało sił - odwrócił się błyskawicznie i przypomniawszy sobie coś, co kiedyś widział podczas bójki w jakimś barze, przydepnął nogę pułkownikowi Aspiche'owi, jednocześnie oburącz odpychając go od siebie. Gdy przeciwnik padał, doktor całym ciężarem ciała przyciskał jego but, nie pozwalając mu uwolnić nogi i złapać równowagi. Svenson usłyszał trzask pękających kości, gdy pułkownik z rykiem bólu i wściekłości upadł na ziemię. Odskoczył, bo Aspiche, już leżąc, czerwony z gniewu i ze łzami w oczach, zamachnął się szablą. Zbiegł po schodach. Elóise znów strzeliła, najwyraźniej chybiając. Crabbe wycofał się w kąt podestu, zasłaniając rękami twarz i kuląc się. Svenson doskoczył i uderzył go w dołek. Crabbe stęknął i zgiął się wpół, przyciskając ręce do brzucha. Svenson uderzył ponownie, tym razem w odsłoniętą szczękę wiceministra, który runął na deski. Svenson jęknął - nie miał pojęcia, że tak zaboli go ręka - poczym chwiejnie mszył do swej wybawicielki.

- Dziękuję ci, moja droga - wy sapął - za uratowanie mi życia. Wejdźmy na górę...

- Nadchodzą! - powiedziała Elóise z przestachem. Spojrzał w dół i zobaczył nadbiegających asystentów Lorenza oraz mężczyzn, którzy zerwali się z ławek. Lorenz pomógł wstać Aspiche'owi i podskakujący na jednej nodze, kulawy pułkownik wymachiwał szablą, wykrzykując rozkazy.

- Zabić ich! Zabić! Zamordowali diuka!

- Diuka? - szepnęła Elóise.

- Dobrze uczyniłaś - zapewnił ją Svenson. - Jest ich tak wielu...

Wziął od niej rewolwer, odciągnął kurek i doskoczył do skulonego Crabbego. Złapał go za kołnierz i poderwał na klęczki, po czym wepchnął lufę w jego ucho. Tamci stłoczyli się przy wejściu na podest, z nienawiścią patrząc na Svensona i Elóise. Doktor spojrział w dół, na dno kamieniołomu, gdzie Lorenz podtrzymywał Aspiche'a.

- Zabiję go! - krzyknął do nich. - Wiecie, że to zrobię! Odwołajcie swoich ludzi!

Zerknął przez ramię i zobaczył, że tamci rozstępują się przed panną Poole. Z lodowatym uśmiechem weszła na podest.

- Nic się panu nie stało, ministrze? - zapytała.

- Żyję - wymamrotał Crabbe. - Czy doktor Lorenz zakończył pracę?

- Tak.

- A pani podopieczni?

- Jak pan widzi, mają się dobrze i palą się, by pana obronić i pomścić diuka.

Crabbe westchnął.

- Może tak jest lepiej, może da się to lepiej załatwić. Będzie trzeba zająć się ciałem.

Panna Poole skinęła głową, a potem spojrzała na stojącą za Svensonem Elóise.

- Wygląda na to, że nie doceniliśmy pani, panno Dujong!

- Zostawiłaś mnie, żebym umarła! - krzyknęła Elóise.

- Oczywiście, że tak - rzekł Crabbe, rozcierając szczękę. - Nie przeszła pani próby i wydawało się, że umrze pani tak jak pozostali. Nic nie można było na to poradzić, więc nie ma pani racji, obwiniając Elspeth. Ponadto niech pani teraz spojrzy na siebie - co za odwaga!

- Sądzi pan, że zbyt pośpiesznie podjęliśmy decyzję, panie ministrze? - spytała panna Poole.

- Istotnie. Może pani Dujong jednak przyłączy się do nas.

- Przyłączyć się?! - krzyknęła Elóise. - Przyłączyć się do was? Po tym... po tym jak...

- Zapomniałaś? - powiedziała panna Poole. - Nawet jeśli ty nie pamiętasz, po co przyszedłaś, ja pamiętam bardzo dobrze te wszystkie kłopotliwe tajemnice, które zaproponowałaś w zamian za transformację.

Elóise stała z otwartymi ustami, patrząc to na Svensona, to na pannę Poole.

- Ja nie... nie mogłabym...

- Przedtem tego chciałaś - ciągnęła panna Poole. - I nadal chcesz. Dowiodłaś, że jesteś śmiała.

- Właściwie nie masz wyboru, moja droga - zauważył z westchnieniem Crabbe.

Svenson zauważył zmieszanie Elóise i wbił lufę w ucho Crabbego, uciszając go.

- Nie słyszeliście, co powiedziałem? Idziemy!

- Och tak, doktorze Svenson, słyszeliśmy pana bardzo wyraźnie - mruknął Crabbe, krzywiąc się. Popatrzył na pannę Poole. - Elspeth?

Na jej usta powrócił lodowaty uśmiech.

- Cóż z pana za rycerz, doktorze. Najpierw panna Temple, a teraz panna Dujong. Zdaje się, że jest pan istnym zdobywcą kobiecych serc. Nigdy bym nie przypuszczała.

Svenson zignorował ją i pociągnął Crabbego w kierunku schodów.

- Opuszczamy to miejsce.

- Elspeth! - wychrypiął wiceminister.

- Nic z tego - oznajmiła panna Poole.

- Słucham? - zdziwił się Svenson.

- Nie odejdziecie. Ile kul panu zostało?

Z dołu odpowiedział jej głuchy głos Aspiche'a:

- Wystrzeliła trzy razy, a w bębenu jest sześć.

- No właśnie. - Panna Poole wskazała stojących przy niej mężczyzn. - Trzy kule. Tu jest co najmniej dziesięciu, a może pan zastrzelić najwyżej trzech. Złapiemy was.

- Jednak najpierw zastrzelę ministra Crabbego.

- Kontynuowanie naszej pracy jest ważniejsze, a wasza ucieczka mogłaby jej zagrozić.

Zgadza się pan, panie ministrze?

- Niestety, Svenson, ta kobieta ma rację... Doktor trzepnął go kolbą rewolweru w głowę.

- Przestań gadać!

Panna Poole powiedziała do stojących za nią mężczyzn:

- Doktor Svenson to niemiecki agent. Udało mu się doprowadzić do śmierci rodzzonego brata naszej królowej...

Spojrzał na Elóise i zobaczył jej szeroko otwarte ze strachu oczy.

- Uciekaj - rzucił do niej. - Uciekaj, ja ich zatrzymam.

- Niech się pani nie tmdzi, panno Dujong - rzekła panna Poole. - Nie możemy pozwolić wam uciec, naprawdę nie możemy. I zapewniam pana, doktorze, że obojętnie, ile czasu pańska odwaga zapewni pańskiej sojuszniczce, w tej sukni nie zdoła przebiec pięciu kilometrów otwartej przestrzeni i uciec tym dżentelmenom.

\*

Svenson nie wiedział, co robić. Nie wierzył, żeby tak łatwo poświęcili Crabbego, lecz czy mógł ryzykować życie Elóise? Gdyby jednak się poddali - co oczywiście nie wchodziło w grę - jaką mieliby nadzieję na przeżycie? Żadnej! Staliby się popiołem w piecu Lorenza. Odrażająca myśl, nie do przyjęcia...

- Doktorze... Abelardzie... - szepnęła do niego z góry Elóise.

Spojrzał na nią bezradnie.

- Nie przyłączysz się do nich - wyjąkał. - Nie zostaniesz...

- A jeśli ona chce zostać? - spytała przebiegle panna Poole.

- Nie chce... nie może... milcz!

- Doktorze!

To Lorenz wołał go z dołu. Svenson przesunął się bliżej poręczy, ciągnąc za sobą zakładnika. Spojrzał. Lorenz podszedł do złożonej z kilku mniejszych, ogromnej plandeki, skrywającej jakieś urządzenie wielkości wagonu kolejowego.

- Może to dowiedzie panu wielkości naszego celu!

Lorenz pociągnął za łączący je sznur i plandeki opadły. Uwolniony z ich uwięzi, dotychczas ukryty pod nimi przedmiot, natychmiast wzbił się około metra w powietrze. Był to ogromny cylindryczny balon, statek powietrzny, sterowiec. Gdy uniósł się na tyle, na ile pozwalały mu przytrzymujące go liny, doktor ujrzał śmigła, silniki oraz dużą kabinę pod spodem. Sterowiec był większy, niż się zdawało, gdyż powiększył się niczym wychodzący ze swego kokonu owad, przy czym żelazne rozpory tworzące jego szkielet z traskiem zaskakiwały na swoje miejsca. Całość była pomalowana na kolor najciemniejszego nocnego nieba. Lecąc w nocy, byłby niemal niewidzialny.

Nim Svenson zdążył coś powiedzieć, Elóise krzyknęła. Błyskawicznie odwrócił się i zobaczył, jak traci równowagę, złapana za nogę przez męską dłoń, wsuniętą przez szparę między schodami. Ta ręka w czerwonym rękawie należała do Aspiche'a, sięgającego z dołu, gdy Svenson jak ostami głupiec pozwolił, by Lorenz odwrócił jego uwagę. Bezradnie patrzył, jak kobieta próbuje się wyrwać i nadepnąć na przegub napastnika drugą nogą. To wystarczyło, żeby prysł czar. Mężczyźni stojący przy pannie Poole rzucili się na nich, odcinając Svensona od Elóise. Crabbe skulił się i upadł na deski, pozbawiając Svensona

równowagi. Zanim zdążył wycelować, napastnicy już go dopadli. Ciosy w szczękę i w skroń rzuciły go na poręcz. Elóise znów krzyknęła, otoczona przez mężczyzn. Zawiódł ją. Tamci złapali go i przerzucili przez poręcz.

\*

Odzyskał przytomność, mając nad sobą wirujące, bezchmurne, nocne niebo, a pod głową miarowo podskakującą twardą żwirową nawierzchnię. Wleczono go za nogi. Po chwili uświadomił sobie, że ma ręce nad głową, a jego płaszcz ciągnie się za nią, niczym grabie, zgarniając żwir. Domyślił się, że ciągną go do pieca. Gdzie Elóise? Bolał go kark i całe ciało, ale nigdzie nie czuł przeszywającego bólu świadczącego o połamanych kościach, a wleczony w taki sposób za nogi, z pewnością by go czuł. Miał puste ręce - co się stało z jego rewolwerem? Przeklął swoje mizerne próby zostania bohaterem. Uratowany przez kobietę, zawiódł jej zaufanie przez swoją nieudolność. Gdy tylko tamci zobaczą, że się ocknął, rozwalą mu czaszkę cegłą. A co może zdziałać, nieuzbrojony, przeciwko dwóm? Pomyślał o wszystkich, których zawiódł... Czy tym razem będzie inaczej?

Tamci bezceremonialnie puścili jego nogi. Svenson zamrugnął, wciąż oszołomiony, gdy jeden z nich spojrział na niego z chytrym uśmiechem, a drugi podszedł do pieca.

- Ocknął się - rzekł ten uśmiechnięty.

- Uderz go łopatą - poradził drugi.

- Zaraz to zrobię - powiedział pierwszy i zaczął się za nią rozglądać.

Svenson próbował usiąść, uciec, lecz jego ciało - niezgrabne, obolałe i zdrętwiałe - nie chciało go słuchać. Przetoczył się na bok, podciągnął kolana, a potem powoli dźwignął się i zrobił kilka chwiejnych kroków.

- A dokąd to się wybierasz, co?! - krzyknął rozbawiony głos za jego plecami.

Svenson skulił się, spodziewając się uderzenia szpadlem, które rozbije mu potylicę. Szukał jakiegoś wyjścia, jakiegoś pomysłu, ale widział tylko unoszący się nad kamieniołomem sterowiec, a nad nim bezlitosne nocne niebo. Czy to ma być koniec? Ma zginąć taką głupią i brutalną śmiercią, zatłuczony jak zwierzę w rzeźni? Nagle Svenson odwrócił się, wyciągając rękę.

- Chwileczkę, błagam.

Mężczyzna istotnie znalazł już szpadel i trzymał go gotowy do uderzenia. Jego towarzysz stał kilka kroków za nim, z metalowym pogrzebaczem, którym widocznie przed chwilą otworzył drzwiczki pieca. Nawet stojąc daleko od jego rozpalonego wnętrza, Svenson czuł buchający żar. Tamci uśmiechali się do niego.

- Myślisz, że zaproponuje nam pieniądze? - powiedział ten z pogrzebaczem.

- Nie - odrzekł doktor. - Po pierwsze ich nie mam, a po drugie, nawet gdybym je miał, i tak byłyby wasze po tym, jak uderzycie mnie w głowę.

Słyszając to, tamci śmiejąc się, pokiwali głowami, potwierdzając, że odgadł ich zamiary.

- Niczego nie mogę wam zaoferować. Jednak proszę, dopóki mogę mówić, gdyż jestem pewien, że będziecie ciekawi, a nie chciałbym narażać takich porządnych ludzi, bo wiem, że robicie tylko to, co musicie - na takie straszliwe niebezpieczeństwo.

Gapili się na niego. Svenson przełknął ślinę.

- Co za niebezpieczeństwo? - zapytał ten z łopata, mocniej ściskając ją w dłoniach i szykując się do zadania silnego ciosu w twarz doktora.

- No tak, oczywiście, nikt wam nie powiedział. Nieważne, nie zamierzam się wtrącać... jeśli jednak, dla spokoju mojego sumienia, obiecacie wrzucić to... ten przedmiot do pieca po tym... no cóż, po tym jak ja... - Sięgnął do kieszeni, wyjął niebieskie szkło, nie wiedząc, które to z dwóch, po czym pokazał je mężczyznom. - Wiem, że wygląda jak zwyczajny kawałek szkła, lecz dla własnego bezpieczeństwa musicie wrzucić go do ognia. Zróbcie to teraz albo pozwólcie zrobić to mnie...

Zanim zdążył coś dodać, ten z łopata doskoczył do niego i wyrwał mu szkiełko z ręki. Cofnął się o dwa kroki, mierząc go podejrzliwym spojrzeniem, a potem spojrzał na szkiełko. Znieruchomiał. Jego towarzysz popatrzył na niego, na Svensona, a potem doskoczył do kompana, aby spojrzeć przez jego ramię na szkiełko i wyciągnąć po nie wielkie twarde łapsko. On też zastygł, gdy szkiełko skupiło całą jego uwagę.

Svenson obserwował to z niedowierzaniem. Czy to może być aż takie proste? Zrobił krok naprzód, lecz gdy wyciągnął ręce po łopatę, szkiełko zakończyło cykl i obaj mężczyźni wydali ciche westchnienia, które sprawiły, że zamarł. Zaraz jednak zaczął się nowy cykl, w który weszli z rozdziawionymi ustami i szklanymi oczami. Z brutalną determinacją Svenson wyrwał szpadel z rąk pierwszego i uderzył dwa razy na płask, ogłuszając obydwu wciąż oszołomionych niedoszłych oprawców. Potem odrzucił szpadel, podniósł szkiełko i odszedł, najszybciej jak mógł. Nie uderzył kantem, więc jeśli będą mieli szczęście, to obaj przeżyją.

\*

Od kamiennych ścian odbił się echem głuchy ryk - tak monotony, że ledwie go usłyszał, zakładając, że rozbrzmiewa w jego potłuczonej głowie. To z pewnością silnik i śmigła sterowca! Zastanawiał się, czym jest napędzana ta maszyna. Węgłem? Parą? Podtrzymywana stalowymi obejmami kabina wyglądała żałośnie krucho. Czy ktoś słyszał jego rozmowę z tamtymi dwoma? Czy ktoś widział, co zaszło? Spojrzał, mrużąc oczy - co się

stało z jego monoklem? - na niesamowity powietrzny statek. Ten wznosił się na wysokości czerwonych skalnych ścian, uwiązany do dna kamieniołomu jedynie kilkoma linami. W oknie gondoli Svenson widział jakieś postacie, jednak odległość była zbyt duża, by mógł je rozpoznać. Tamci go nie obchodzili, ale co się stało z Elóise? Jeśli nie powlekli jej do pieca razem z nim, jeśli jej nie zabili, to co z nią zrobili?

Na wysokich schodach nie było nikogo, tylko na samej górze, na wysokości podwieszanej pod balonem kabiny, zebrała się grupka ludzi. Na dnie kamieniołomu ujrzał tylko trzech mężczyzn pilnujących ostatnich lin i spoglądających w górę. Doktor Svenson w końcu wstał i kurz oraz kamyki osypały się z jego płaszcza, ponownie podlegając sile grawitacji. Pokuśtykał w kierunku schodów, powłócząc prawą nogą, mając wrażenie, że kark i ramiona oblepiono mu gipsem, a potem podpalono. Otarł usta brudnym rękawem i splunął, więcej kurzu wtarł sobie do ust, niż z nich usunął. Miał krew na twarzy. Własną? Nie wiedział. Te postacie na górze schodów to z pewnością mężczyźni i kobiety z pociągu. Czy będzie wśród nich panna Poole? Domyślił się, że nie. Nie będzie wśród nich nikogo ważnego. Panna Poole pomacha im z gondoli, odlatując z pozostałymi do Harschmort. Gdzie jest Elóise?

Svenson przyspieszył kroku, pokonując opór swego ciała. Sięgnął do kieszeni i wyjął papierośnicę. Zostały mu trzy papierosy i kuśtykając, włożył sobie jeden w zakrwawione wargi, a potem krzyknął z bólu, potarłszy zapalką o pęknięty paznokieć. Przełożył zapalkę do drugiej ręki, zapalił papierosa i wciągnął w płuca cudownie drapiący dym. Potrząsnął obolałą dłonią i mszył, powłócząc prawą nogą, zdoławszy w końcu odkaszlnąć i wypluć grudę gęstej flegmy, krwi i pyłu. Oczy mu łzawiły, ale mimo to palenie sprawiało mu przyjemność i pozwoliło ponownie skupić się na misji. Znow stał się niestrudzonym, niepowstrzymanym wojownikiem, o jakich mówią legendy. Ponownie splunął i znow dopisało mu szczęście, bo kiedy spojrzał w dół, sprawdzając, czy nie pluje krwią, jego uwagę przykuło coś błyszczącego w pyle. Jakież szkło... jego monokl! Łańcuszek zerwał się, kiedy tamci go wlekli, ale szkło było całe! Wytarł je, najlepiej jak mógł, uśmiechając się głupio, po czym wyjął koszulę ze spodni, żeby wytrzeć monokl jeszcze raz, gdyż rękaw tylko bardziej go ubrudził.

Crabbe stał w otwartym okienku, krzycząc coś do stojącego na schodach mężczyzny. Był nim Phelps, który najwyraźniej doszedł do siebie na tyle, żeby samodzielnie się poruszać. Obok Crabbego w oknie stała panna Poole, istotnie machając ręką. Nie dostrzegł Lorenza, który zapewne pilotował sterowiec. Doktor Svenson zupełnie nie znał się na takich maszynach i nie wiedział, jak utrzymują się w powietrzu. Aspiche z pewnością jest w środku. A gdzie ciało diuka? Może w powozie, wracającym z Phelpsem do miasta? Może jest w nim

również Elóise - tylko żywa czy martwa? Wydawało się to prawdopodobne. Będzie musiał wejść po schodach i udać się za nimi do Tarr Village.

Był w połowie drogi przez kamieniołom, a i sterowiec rósł nad nim z każdym jego krokiem. Wciąż nikt go nie zauważył, nikt nie zaczął szukać tamtych dwóch ogłuszonych mężczyzn. Lada chwila ktoś się odwróci, a mężczyźni trzymający liny w każdej chwili mogą je puścić. Nie dojdzie do schodów, a w tym stanie nie zdoła uciec nawet przed małym dzieckiem. Powinien się ukryć. Svenson przystanął, rozglądając się za jakąś wnęką w skale, kiedy coś upadło w pył około trzech metrów przed nim. Popatrzył, nie wiedząc, co to takiego, po czym skierował wzrok tam, skąd to mogło spaść. Wysoko w górze, w tylnym oknie gondoli sterowca, ujrzał przyciśniętą do szyby dłoń i bladą, ledwie widoczną twarz. Znow spojrzał na to, co upadło. Książka... czarna książka... oprawiona w skórę... Ponownie popatrzył w górę. To była Elóise. Ależ z niego idiota!

\*

Doktor poderwał się do biegu w chwili, gdy najbliżej stojący mężczyzna trzymający linę w końcu spojrzał w jego stronę, lecz ostrzegawczy okrzyk uwiązał mu w gardle i zmienił się w nieartykułowany jęk. Svenson pochylił się i barkiem uderzył go w pierś. Obaj runęli na ziemię, a lina zsunęła się z wbitego w ziemię kołka, o który była zaczepiona. Zaczęła więc się wokół nich, gdy sterowiec zatańczył na uwięzi. Dwaj pozostali mężczyźni uznali to za sygnał i zwolnili liny, uświadamiając sobie swój błąd dopiero wtedy, kiedy wymknęły im się z rąk. Przerażony Svenson poderwał się z ziemi, doskoczył do wijącej się liny i wsunął rękę w zawiązaną na jej końcu pętlę. Sterowiec poderwał się, unosząc wrzeszczącego doktora w powietrze. Polecieli w czarne nocne niebo. Svenson machał nogami, ściskając linę mocniej, niż kiedykolwiek uważał to za możliwe. Przeleciał nad tłumem na schodach, kołysząc się jak wahadło. W następnej chwili zostawili w tyle kamieniołom i znaleźli się nad łąką. Przez moment wabiła go jej miękka trawa, przesuwająca się tuż pod nim. Czy zdoła przeżyć upadek? Dłoń zaplątała mu się w linę. Strach sprawił, że palce zacisnęły się na niej jak stalowe kleszcze i zanim zdołał opanować ten chwilowy paraliż, balon wzbił się jeszcze wyżej, a łąka błyskawicznie znalazła się nisko w dole.

Mając czarne niebo nad sobą i wokół siebie, szarpany przez zimny wiatr, doktor Svenson bezradnie spojrzał na niewiarygodnie odległą gondolę i zaczął się ku niej wspinać, chwytając linę zakrwawionymi rękami, dysząc, szlochając, starając sennie myśleć o zięjącej pod nogami piekielnej otchłani, mocno zaciskając powieki.

## Hotel St. Royale

Raz podjąwszy decyzję, panna Temple uważała dalsze rozważania za stratę czasu, tak więc z wysokości powozu nie zastanawiała się nad zaletami swojej podróży do hotelu St. Royale, zamiast tego pozwalając sobie cieszyć oczy widokiem mijanych sklepów oraz zajętych codziennymi sprawami mieszkańców stolicy. Zazwyczaj nie zwracała uwagi na otoczenie - pomijając odrobinę niezdrowej ciekawości, z jaką starała się odgadnąć wady charakteru na podstawie ubioru i zachowania niektórych ludzi - lecz teraz, w rezultacie śmiałego rozstania z doktorem i Kardynałem Changiem, czuła się na siłach obserwować bez konieczności osądzania, mknąc do celu, jak wypuszczona z łuku strzała. W rzeczy samej czuła, że to działanie uciszyło burzę uczuć, które miotaly nią w ogrodzie hrabiego i - co gorsza - na ulicy. Gdyby nie była w stanie stawić czoła wyzwaniu, jakim był hotel St. Royale, jak mogłaby uważać się za poszukiwaczkę przygód? Bohaterki nie wybierają sobie bitew, podejmując tylko te, w których są pewne zwycięstwa. Wprost przeciwnie, robią co mogą i nie okłamują się, polegając na pomocy innych, tylko same osiągają cel. Czy bezpieczniej byłoby zaczekać na Changa i Svensona, mimo iż ten plan był głównie jej dziełem, po czym razem wejść do środka? Było to co najmniej dyskusyjne, i choćby ze względu na dyskrecję najlepiej zrobi, wchodząc tam sama. Ważniejsze jednak było jej poczucie własnej wartości i chęć wykazania się czymś przed towarzyszami. Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie spotkanie z nimi przed hotelem. Zachichotała na myśl o tym, ile czasu stracili na poszukiwania, a oto ona zjawia się z ważnymi informacjami i może nawet ze schwytaną kobietą w czerwieni lub hrabią d'Orkanczem.

Ponadto St. Royale było jej przeznaczeniem. Kobieta w czerwieni, ta cała Lacquer-Sforza (jeszcze jeden dowód, aczkolwiek najzupełniej zbyteczny, upodobania Włochów do wyszukanych nazwisk), była jej największym wrogiem. To ona skazała pannę Temple na śmierć i jeszcze gorsze rzeczy. Co więcej, panna Temple nie mogła nie zastanawiać się nad jej rolą w uwiedzeniu - gdyż nie było na to innego słowa - Rogera Bascombe'a. Oczywiście wiedziała, że główną rolę odegrała ambicja Rogera, z łatwością wykorzystywana przez wiceministra, z którego zdaniem Roger musiał się liczyć jako zdeklarowany karierowicz. Mimo wszystko nie mogła sobie nie wyobrażać tej kobiety sam na sam z Rogerem w tym pokoju... niczym kobry ze szczeniakiem. Oczywiście, uwiodła go, ale w jakim - rozpatmjąc rzecz w kategoriach czysto cielesnych - stopniu? Wystarczyło jedno uniesienie tych idealnie równych brwi i wyducie wydatnych szkarłatnych ust, żeby rzucić go na kolana. I czy wzięła go dla siebie, czy oddała jednej ze swych służek - którejś z dam z Harschmort, na przykład

pani Marchmoor czy też Hooke? Naprawdę, zbyt wiele nazwisk. Panna Temple zmarszczyła brwi, gdyż rozmyślania o głupocie Rogera irytowały ją, a myśl o nieprzyjaciolach wykorzystujących go z taką łatwością irytowała ją jeszcze bardziej.

\*

Powóz zajechał pod hotel i zapłaciła woźnicy. Zanim zdążył wyskoczyć ze swej budki, żeby jej pomóc, portier w liberii podszedł i podał jej dłoń. Panna Temple przyjęła ją z uśmiechem i ostrożnie wysiadła. Powóz odjechał z turkotem, gdy szła do drzwi. Skinęła głową w podziękowaniu drugiemu portierowi, który je przed nią otworzył, i weszła do wielkiego holu. Nie zauważyła nikogo znajomego - tym lepiej. Ostentacyjny przepych St. Royale niezupełnie jej odpowiadał. Takie miejsca istniały, by zaspokajać ludzką próżność, co słusznie uważała za ich główną zaletę, lecz nie pochwalała. Jaki sens ma to, że uważają cię za niezwykłą osobę, jeśli wcale nie widzą ciebie, tylko twoje otoczenie. Mimo to panna Temple podziwiała ten przepych. Widziała obite szkarłatną skórą kanapy i wielkie lustra w złożonych ramach, szemrzącą fontannę z pływającymi w niej nenufarami, duże donice z kwiatami oraz rząd złocisto-czerwonych kolumn, podtrzymujących balkon nad holem. Te dwa kolory wiły się wokół słupów niczym ręcznie rzeźbione wstęgi. W górze, na suficie, było więcej szkła i złożonych luster oraz kryształowy żyrandol zakończony kulą z drobno rżniętego szkła wielkości głowy panny Temple.

Dokładnie obejrzała sobie to wszystko, wiedząc, że jest tu wiele do zobaczenia i takie widoki łatwo mogą oszołomić i skłonić do przeoczenia naprawdę istotnych szczegółów: na przykład takich jak rząd luster pod dziwnie wygiętą lewą ścianą i wyglądających nieco dziwnie, gdyż rozmieszczonych w taki sposób, jakby miały nie tyle służyć stojącym przed nimi ludzom, co odbijać całe wnętrze holu, a nawet ulice przed hotelem - niemal jak rząd okien, a nie luster. Panna Temple natychmiast przypomniała sobie wstrętą uwagę jeszcze wstrętniejszego pana Spragga o weneckim lustrze i swój bezwiedny pokaz w przebieralni Harschmort. Starając się zapomnieć o tym upokarzającym, a zarazem podniecającym przeżyciu, skoncentrowała się na czekającym ją zadaniu. Wyobraziła sobie, że stoi w tym holu, zbierając odwagę, gdy Chang i Svenson wchodzi tu za nią i powstrzymują ją, zanim zdążyła coś zrobić. Poczulaby się jak bezużyteczna idiotka, którą starała się nie być.

\*

Panna Temple pomaszerowała do kontuaru recepcji. Recepcjonista był wysokim mężczyzną o rzednących włosach zaczesanych na czoło i odrobinę zbyt wypomadowanych, tak że zwykle przezroczysty preparat był widoczny na skórze pod włosami. Rezultat był nie tyle odpychający, co nienaturalny i rozprasający. Posłała mu bezosobowy uśmiech

zarezerwowany dla urzędowych spraw i poinformowała go, że przyszła odwiedzić hrabinę Lacquer-Sforzę. Z szacunkiem skinął głową i odparł, że hrabiny nie ma obecnie w hotelu, po czym wskazał jej drzwi restauracji, sugerując, że może zechce wypić filiżankę herbaty i poczekać. Panna Temple spytała, czy hrabina niedługo wróci. Mężczyzna odpowiedział, że naprawdę nie wie, lecz hrabina ma zwyczaj spotykać się o tej porze z kilkoma damami przy późnej herbatce albo wczesnym aperitifie. Spytał, czy panna Temple zna te panie, gdyż któraś z nich być może jest już w restauracji. Podziękowała mu i zrobiła krok w kierunku sali. Zawołał ją, pytając, czy zechce zostawić hrabinie swoje nazwisko. Panna Temple powiedziała mu, że ma zwyczaj robić niespodzianki, i poszła dalej.

Zanim zdążyła rzucić okiem na stoliki w poszukiwaniu niebezpiecznie znajomych twarzy, kelner w czarnym fraku wyrósł przy niej, pytając, czy ma się tu z kimś spotkać, czy przyszła na herbatę czy na kolację, a może - tu zachęcająco uniósł brew - na aperitif. Panna Temple, która nie lubiła, gdy przeszkadzano jej w jakichkolwiek okolicznościach, warknęła, że woli herbatę, dwie słodkie bułeczki oraz owoce, świeże i obrane, po czym minęła go, spoglądając na stoliki. Podeszła do znajdującego się naprzeciwko drzwi, a jednocześnie w głębi restauracji, tak by nie rzucać się w oczy patrzącym z ulicy czy z holu, a jednocześnie widzieć wszystkich wchodzących. Położyła torebkę z rewolwerem na krześle obok, starając się, by była zasłonięta wykrochmalonym obrusem i niewidoczna, po czym wygodnie usiadła, aby czekać na herbatę, i znów zaczęła rozmyślać o swojej samotności. Doszła do wniosku, że jest jej z nią dobrze - w rzeczy samej, czuje się wolna. Wobec kogo ma zobowiązania? Chang i Svenson potrafili zadbać o siebie, ciotka była spakowana i daleko. Czym mogli jej teraz zagrozić wrogowie, oprócz bezpośredniego fizycznego ataku? Niczym - tak więc myśl o tym, aby sięgnąć po broń i tu, w tej restauracji, stawić czoła nieprzyjaciół, stawała się coraz bardziej kusząca.

Skubała rąbek obrusa - który był bardzo dobrej jakości, co niezwykle ją cieszyło - i odkryła, że równie duże wrażenie robią na niej hotelowe sztuce, którym - pomimo eleganckich linii - nie brakowało odpowiedniego ciężaru, szczególnie istotnego w przypadku noża, nawet jeśli używa się go tylko do rozkrawania bułeczek i rozsmarowania masła po ich parującej powierzchni. Chociaż panna Temple tego ranka już piła herbatę, niecierpliwie czekała na następną okazję do wypicia filiżanki ulubionego napoju. Kilka bułeczek, herbata i owoce oraz - w razie potrzeby - trochę wołowiny przed snem zupełnie wystarczało jej do szczęścia. Najpierw przyniesiono herbatę. Uważnie obserwowała, jak kelner manipuluje czajniczkiem, czajnikiem, filiżanką i spodkiem, srebrnym sitkiem i jego podstawką, dzbanuszką mleka i talerzykiem z plasterkami świeżo pokrojonej cytryny. Gdy postawił je

przed nią i odszedł, skłoniwszy się, panna Temple zaczęła ustawiać wszystko zgodnie ze swoimi upodobaniami i dla swej wygody. Cytrynę odsunęła na bok (ponieważ nie lubiła herbaty z cytryną, chociaż często wysysała kilka plasterków po zjedzeniu wszystkiego innego, traktując to jako rodzaj kwaśnej przekąski, uważając także, że skoro już zapłaciła za plasterki cytryny, to równie dobrze może ich skosztować), sitko obok, mleko po drugiej stronie, a czajniczek i czajnik z gorącą wodą tak, by łatwo mogła ich dosięgnąć - co najczęściej, ze względu na ich ciężar i siłę potrzebną do ich uniesienia w powietrze, oznaczało odległość jej wyciągniętej ręki, umożliwiającą swobodne napełnianie filiżanki bez względu na to, czy wysokość krzesła pozwalała jej dosięgnąć podłogi całymi stopami, czy - tak jak teraz - zaledwie czubkami palców. Na końcu upewniła się, że na stole jest dosyć miejsca na zamówione bułeczki, owoce, dżem i gęstą śmietanę.

Wstała i nalała sobie do filiżanki odrobinę herbaty, żeby sprawdzić, czy jest należycie ciemna. Była. Dołała trochę mleka i ponownie podniosła czajniczek, po czym powoli go przechyliła. Przy pierwszej filiżance, jeśli zachować ostrożność, można zapomnieć o sitku, gdyż większość liści jest nasiąknięta i opadła na dno czajniczka. Herbata miała idealny mahoniowy kolor i była jeszcze dostatecznie gorąca, by parować. Panna Temple usiadła i upiła łyk. Płyn był idealny, aromatyczny i smaczny. Po kolejnych dwóch minutach, które spędziła, delektując się napojem, przyniesiono resztę i ponownie z zadowoleniem odkryła, że dżem jest gęstym przetworem z czarnych jagód, a owoce - nie do wiary - to wyhodowane w szklarni mango, pokrojone na plasterki grubości i długości palca. Leniwie zastanowiła się, ile to będzie ją kosztowało, a potem wzruszyła ramionami. Kto wie, czy dożyje do rana? Po cóż więc odmawiać sobie drobnych i nieoczekiwanych przyjemności?

\*

Chociaż starała się pamiętać o tym, żeby zerkać w kierunku drzwi restauracji i przyglądać się każdemu wchodzącemu, przez następne dwadzieścia minut panna Temple była zajęta głównie krojeniem bułeczek na idealnie równe części, smarowaniem ich dżemem, na który nakładała śmietanę. Zrobiwszy to, odłożyła je na bok i spałaszowała dwa kawałki mango, jeden po drugim, wbijając srebrny widelec w koniec każdego i zjadając od drugiego końca, kęs po kęsie. Potem dopiła pierwszą filiżankę herbaty i ponownie wstała, żeby nalać sobie drugą, tym razem używając sitka i dodając równą objętość wody, żeby rozcieńczyć napar, który przez cały czas naciągał. Skosztowała, dołała jeszcze odrobinę mleka, znów usiadła i spożyła połowę pierwszej bułeczki, popijając każdy kęs łykiem herbaty. Zjadła następny kawałek mango i zajęła się drugą połową pierwszej bułeczki, a zanim ją skończyła, nadszedł czas na następną filiżankę herbaty, tym razem wymagającej nieco więcej gorącej

wody. Została jej draga połowa drugiej bułeczki i ostatni kawałek mango, i właśnie zastanawiała się, co zjeść najpierw, gdy uświadomiła sobie, że po drugiej stronie jej stolika stoi hrabia d'Orkancz. Ku swej ogromnej satysfakcji panna Temple zdołała promiennie się doń uśmiechnąć i pomimo zaskoczenia powiedzieć:

- Och, wygląda na to, że w końcu pan przyszedł. Najwyraźniej nie tego się spodziewała.

- Nie sądzę, żebyśmy byli sobie przedstawieni - odparł hrabia.

- Nie byliśmy - powiedziała panna Temple. - Pan jest hrabia d'Orkancz. Ja jestem Celeste Temple. Zechce pan usiąść? - Wskazała mu wolne krzesło, to, na którym nie leżała jej torebka. - Napije się pan herbaty?

- Nie, dziękuję - powiedział hrabia, spoglądając na nią ciekawie i podejrzliwie. - Mogę spytać, po co pani tu przyszła?

- Czy to uprzejmie tak wypytywać damę? Jeśli mamy porozmawiać... Nie wiem, skąd pan pochodzi, mówią, że z Paryża, ale o ile mi wiadomo, nawet paryżanie nie są tak nieuprzejmi, a przynajmniej nie tak bezmyślnie nieuprzejmi. Byłoby znacznie lepiej, gdyby pan usiadł. - Panna Temple uśmiechnęła się łobuzersko. - Oczywiście, jeśli się pan nie boi, że pana zastrzelę.

- Skoro pani nalega - odparł hrabia. - Nie chciałbym być... źle wychowany.

\*

Wysunął krzesło i usiadł, przy czym jego potężne ciało wydawało się znajdować jednocześnie blisko i daleko od panny Temple. Dłonie położył na stole, lecz jego twarz zdawała się dzielić od nich spora odległość. Nie miał na sobie futra, lecz nienagannie skrojony smoking oraz wykrochmaloną białą koszulę, zapinaną na błyszczące niebieskie zatrzaski. Zauważyła, że na palcach, niepokojąco silnych i grubych, nosi wiele srebrnych pierścieni. W kilku z nich były osadzone niebieskie kamienie. Gęstą brodę miał równo przystrzyżoną, usta zmysłowe, a oczy błyszczące i błękitne. Emanowała z niego jakaś dziwna siła, niepokojąca i typowo męska.

- Ma pan ochotę na coś innego niż herbata? - zapytała panna Temple.

- Może czajniczek kawy, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

- Nie ma nic złego w picciu kawy - odparła nieco sztywno panna Temple. Podniosła rękę, przywołując kelnera, i kiedy podszedł do ich stolika, przekazała mu zamówienie hrabiego. - Jeszcze coś? - zapytała hrabiego.

Pokręcił głową. Kelner pomknął do kuchni. Panna Temple upiła kolejny łyk herbaty i usiadła wygodnie, nieznacznie chwytając prawą ręką pasek torebki i wciągając ją sobie na

kolana. Hrabia d'Orkancz przyglądał się jej i gdy zobaczył ruch ukrytej pod obrusem ręki, w jego oczach pojawił się błysk rozbawienia.

- Zatem wygląda na to, że oczekiwała pani mojego przybycia - stwierdził.

- Nie miało dla mnie większego znaczenia, kto to będzie, ale wiedziałam, że któreś z was się tu pojawi, a skoro to pan, więc rozmawiam z panem. Może wolałabym z kimś innym - z kimś, z kim łączą mnie pewne osobiste sprawy - lecz to nie zmienia przedmiotu tej rozmowy.

- A cóż nim jest?

Panna Temple uśmiechnęła się.

- Widzi pan, takie pytanie można zadać jakiejś głupiutkiej młodej pannie. Takie pytanie zadałby mi adorator - idiota, przekonany, że przypochlebnie żywa rozmowa to droga do obmacywania mojego ciała na jakiejś sofie. Jeśli mamy do czegoś dojść, hrabio, byłoby dobrze, gdybyśmy oboje wyrażali się jasno i rozsądnie. Nie sądzi pan?

- Sądzę, że niewielu mężczyzn obmacywało panią na sofie.

- Dobrze pan sądzi. - Ugryzła bułeczkę. Już od kilku minut żałowała, że hrabia przerwał jej posilanie się. Popiła łykiem herbaty. - Może byłoby lepiej, gdybym to ja zadawała pytania?

Uśmiechnął się - być może z przymusem, nie potrafiła powiedzieć - i skinął głową.

- Jak pani woli.

Jednak w tym momencie przyniesiono jego kawę i musiała milczeć, gdy kelner stawiał filiżankę, czajnik, mleko, cukier oraz zestaw niezbędnych łyżeczek. Kiedy odszedł, dała hrabiemu czas na skosztowanie napoju i z zadowoleniem zobaczyła, że pije kawę bez dodatków, co zmniejszało zwłokę. Odstawił filiżankę i znów skinął głową.

- Ta kobieta... Zakładam, że dla pana była to jedna z wielu kobiet - zaczęła - lecz ja mówię o kobiecie z burdelu, niejkiej Angelice. Zdaniem doktora Svensona mógł pan być szczerze zaniepokojony, a nawet zaskoczony, niefortunnym rezultatem pańskiego... eksperymentu, przeprowadzonego na niej w Królewskim Instytucie. Ciekawi mnie - i obiecuję, że nie jest to bezmyślna ciekawość, lecz zawodowe zainteresowanie - czy żywił pan jakieś prawdziwe uczucia do tej dziewczyny przed lub po tym nieudanym eksperymencie?

Hrabia upił następny łyk kawy.

- Miałaby pani coś przeciwko temu, gdybym zapalił? - zapytał.

- Jeśli pan musi - odparła panna Temple. - To paskudny nałóg, więc czemu miałabym go panu odmawiać.

Poważnie skinął głową i z wewnętrznej kieszeni smokinga wyjął srebrną papierośnicę. Przez chwilę oglądał jej zawartość, po czym wyjął małe, mocno zwinięte, prawie czarne cygaro, i zatrzasnął wieczko. Włożył cygaro do ust, a papierośnicę do kieszeni, po czym wyjął pudełko zapalek. Zapalił cygaro, pociągnął kilka razy, aż koniec rozjarzył się czerwono, i rzucił wypaloną zapałkę na spodek. Wydmuchnął dym, upił kolejny łyk kawy i spojrzał pannie Temple w oczy.

- Pyta pani z powodu Bascombe'a, oczywiście.

- Tak?

- Na pewno. Zrujnował pani plany. Kiedy pyta pani o Angelikę, istotę niższego rzędu, której pozwoliliśmy przyłączyć się do naszej pracy, której zaoferowaliśmy awans społeczny, materialny i duchowy, w istocie pyta pani o nasze uczucia wobec niego, kolejnej istoty, choć nie z takich nizin społecznych, którą przyjęliśmy do siebie. Ponadto zastanawia się pani, a w rzeczy samej rozpaczliwie pragnie wiedzieć, jakie uczucia on żywi wobec nas.

Panna Temple spojrzała na hrabiego z gniewnym błyskiem w oczach.

- Wprost przeciwnie, monsieur hrabio. Pytam z ciekawości, gdyż odpowiedź prawdopodobnie zdecyduje, czy pańskim przeznaczeniem jest jedynie surowa kara orzeczone przez wymiar sprawiedliwości, czy też długie, bolesne, niekończące się cierpienia zadane przez mściciela.

- Naprawdę? - spytał z umiarkowanym zainteresowaniem.

- Co do mnie... no cóż, dla mnie istotne jest tylko to, żeby pokrzyżować wasze plany i uniemożliwić ich dalszą realizację - czy to za pomocą prawa, kuli czy perswazji. Roger Bascombe jest dla mnie nikim. Jednak to, co ja czuję wobec pańskiej przyjaciółki, która tak głęboko mnie zraniła - tej tak zwanej hrabiny - inni czują wobec pana z powodu Angeliki. Ponieważ jest lekkomyślnością zakładać, że śmierć jakiejś tam kobiety nie pociągnie za sobą żadnych konsekwencji.

- Rozumiem.

- Nie sądzę, żeby pan rozumiał.

\*

Nie odpowiedział, tylko napił się kawy. Odstawił filiżankę i powiedział z lekkim znużeniem, jakby nawet wyrażanie opinii w tej sprawie przychodziło mu z trudem.

- Panno Temple, naprawdę jest pani interesującą młodą damą. Panna Temple przewróciła oczami.

- Obawiam się, że ten komplement niewiele dla mnie znaczy, kiedy pada z ust mordercy.

- Tak też wywnioskowałem z pani wypowiedzi. A kogóż tak strasznie skrzywdziłem?

Panna Temple wzruszyła ramionami. Hrabia strzepnął popiół na spodek i znów się zaciągnął, przy czym koniuszek cygara rozżarzył się do czerwoności.

- Może więc zgadnę? Mógłby to być ten lekarz z Macklenburga, gdyż istotnie nie szczędziłem wysiłków, aby umarł, ale nie widzę go w roli opisanego przez panią zawziętego mściciela - jest na to zbyt racjonalny. Może więc ten drugi, którego nigdy nie spotkałem, ten płatny zabójca? Ten zapewne jest zbyt cyniczny i posepny. A może ktoś inny? Mszczący się za jakieś dawno doznane krzywdy?

Westchnął, jakby akceptując to brzemie grzechu, a potem znów się zaciągnął - przy czym panna Temple nie odrywała oczu od końca palącego się cygara - jakby rzucał się w objęcia jakiejś wewnętrznej potrzeby.

- Po co właściwie przyszła pani do St. Royale? - zapytał.

Ugryzła kęs bułeczki - szczerze ciesząc się tą poważną wymianą zdań - i popiła go łykiem herbaty, a potem, przelękając, pokręciła głową, wprawiając w ruch kasztanowe loki okalające jej twarz.

- Nie, nie odpowiem na pańskie pytania. Byłam już przesłuchiwana w Harschmort i ten jeden raz zupełnie mi wystarczy. Jeśli chce pan ze mną rozmawiać, to na moich warunkach. A jeśli nie, to proszę, może pan w każdej chwili odejść. Dowie się pan, dlaczego tu jestem, dokładnie wtedy, kiedy zdecyduję się to panu powiedzieć.

Nie czekając na jego odpowiedź, nabiła na widelec ostatni kawałek mango, ugryzła i zlizwała sok z warg. Wspaniały smak owocu sprawił, że mimo woli się uśmiechnęła.

- Wie pan - powiedziała, przełknąwszy tyle owocu, żeby wyraźnie mówić - że to mango jest niemal równie smaczne jak te, które rosną w przydomowym ogrodzie mojego ojca? Różnica - chociaż i ten owoc jest bardzo dobry - moim zdaniem jest spowodowana różnym nasłonecznieniem, a to jest rezultatem położenia planety względem słońca. Rozumie pan? Każdego dnia wokół nas działają potężne siły - a kim my jesteśmy? Do czego dążymy? Jakiemu panu służymy?

- Podziwiam metaforę - rzekł sucho hrabia.

- Tylko czy ma pan na to odpowiedź?

- Może mam. Może... sztuka? - Sztuka?

Panna Temple nie była pewna, co chciał przez to powiedzieć, i przestała żuć, podejrzliwie mrużąc oczy. Czyżby szedł za nią do galerii sztuki (a jeśli tak, to kiedy? Gdy była tam z Rogerem? Później? Czyżby tak szybko skontaktował się z nim kustosz galerii, pan Shanck?). A może miał na myśli coś innego... Tylko co? Dla panny Temple sztuka była

ciekawostką, jak rzeźbiona kość albo wysuszona głowa znaleziona na wiejskim targu - bezmiarem niezbadanych terytoriów, których nie miała ochoty zwiedzać.

- Sztuka - powtórzył hrabia. - Czy zapoznała się pani z... z ideą?

- Jaką konkretnie?

- Ze sztuką alchemiczną. Aktem transformacji. Przemiany i odrodzenia.

Panna Temple uniosła dłoń.

- Przykro mi, ale wie pan co? To jedynie skłania mnie do zapytania o pańskie związki z pewnym malarzem, niejakim Oskarem Veilandtem. Sądzę, że on również pochodzi z Paryża i jest dobrze znany jako twórca wielkiej i prowokacyjnej kompozycji, której tematem jest Objawienie. Rozumiem - choć być może to tylko okropna plotka - że to ekspresyjne arcydzieło zostało pocięte na trzynaście kawałków i rozproszone po całym kontynencie.

Hrabia upił następny łyk kawy.

- Obawiam się, że go nie znam. Mówi pani, że jest z Paryża?

- Tak jak wielu innych ludzi, którzy okazują się nieznośni.

- Widziała pani jego dzieło?

- Och tak.

- I co pani o nim sądzi? Uznała pani je za inspirujące?

- Tak.

Uśmiechnął się.

- Tak? W jakim sensie?

- Na jego widok nabrałam przekonania, że zabił pan jego twórcę. Ponieważ on nie żyje, a pan tak wiele od niego zapożyczył - te rytuały, proces transformacji i tę cenną niebieską glinę. Jakie to dziwne, że takie rzeczy posiadał malarz, chociaż podejrzewam, że był także mistykiem i alchemikiem, ponieważ mówiono mi, że często się to zdarza w tej zamieszkującej poddasza, złopiącej absynt społeczności. To dziwne, że wspomniał pan przed chwilą o alchemii. Głosi pan śmiałe poglądy, monsieur, a jednak człowiek zaczyna się zastanawiać, czy kiedykolwiek wpadł pan na jakiś oryginalny pomysł.

\*

Hrabia d'Orkancz wstał. Trzymając cygaro w prawej ręce, wyciągnął do niej lewą i panna Temple odruchowo pozwoliła mu ująć swoją dłoń - drugą zaciskając na kolbie rewolweru. Podniósł jej dłoń do ust, poczuła na palcach jego wilgotny gorący oddech, po czym puścił jej rękę i cofnął się.

- Wcześniej pan odchodzi - zauważyła.

- Proszę uważać to za zawieszenie kary.

- Dla mnie czy dla pana?

- Dla pani, panno Temple. Gdyż jest pani uparta i ten upór panią zgubi.

- Doprawdy?

Nie była to najbardziej cięta odpowiedź, ale skoro wywołała błysk w jego oczach, najlepsza, jaką była w stanie znaleźć w tym momencie.

- Tak. I jeszcze jedno - rzekł, po czym oparł dłonie na stole i nachylając się do niej, szepnął: - Gdy tak się stanie, poddasz się dobrowolnie. Jak każdy. Myślisz, że walczysz z potworami, sądzisz, że z nami walczysz, ale zmagasz się tylko ze swoim strachem... a ten strach pryśnie w obliczu pożądania. Myślisz, że nie czuję twojego głodu? Widzę go równie wyraźnie jak słońce. Już jesteś moja, panno Temple. Poczekam tylko na odpowiedni moment, żeby cię wziąć.

Hrabia wyprostował się i włożył cygaro do ust, przesuwając po czarnym zwitku tytoniu wilgotnym i różowym językiem. Wydmuchnął dym kącikiem ust i nie mówiąc nic więcej, odwrócił się, by swobodnym krokiem wymaszerować z restauracji i zniknąć pannie Temple z oczu.

Nie wiedziała, czy opuścił hotel, czy wszedł po szerokich schodach na piętro. Może szedł do pokoju hrabiny, może hrabina już wróciła, a ona nie zauważyła jej podczas rozmowy z hrabią. Tylko dlaczego oddalił się tak nagle, i czemu jej groził? Wspomniała o tym artyście, Veilandcie. Czyżby trafiła w czuły punkt? Czy hrabia d'Orkancz ma czułe punkty? Panna Temple nie wiedziała, co robić. Wszelkie plany, jakie mogłaby wymyślić, przekreśliła chwilowa chęć zirytowania hrabiego i pokonania go w rozmowie. I co w ten sposób osiągnęła? Wydeła wargi i przypomniała sobie, jak zobaczyła go po raz pierwszy w pociągu do Orange Canal, w futrze jeszcze powiększającym jego potężną posturę, jego natarczywe i przenikliwe spojrzenie. Od razu wzbudził w niej lęk, który jeszcze spotęgował się po dziwnym pokazie w amfiteatrze. Jednak była zadowolona z jego reakcji na wzmiankę o Oskarze Veilandcie. Pomimo okropnej opowieści doktora o nieszczęsnej kobiecie i truciźnie panna Temple uważała, że hrabia d'Orkancz jest jednak zwyczajnym człowiekiem - z pewnością okropnym, aroganckim, brutalnym i silnym, ale także niezwykle próżnym, co po wnikliwej analizie pozwoli znaleźć jakiś sposób, żeby go pokonać.

\*

Pokrzepiwszy się tą myślą, wykorzystwała kilka następnych minut, żeby poprosić o rachunek i dokończyć posiłek, wysysając plasterek cytryny i jednocześnie szukając w torebce odpowiedniej kwoty. Zastanawiała się, czy nie kazać dopisać tego do rachunku hrabiny, ale zdecydowała, że takie paskudne sztuczki są poniżej jej godności. Co więcej, nie miała

najmniejszej ochoty zawdzięczać tej kobiecie cegokolwiek (hrabia najwyraźniej nie podzielał obiekcji panny Temple, pozwalając jej zapłacić za swoją kawę). Panna Temple wstała, wzięła torebkę, rzuciła na talerzyk skórkę wyssanej cytryny i wytarła palce w pomietą serwetkę. Czując lekki niepokój, wyszła z restauracji, która zaczęła się zapełniać amatorami wczesnej kolacji. Chang i Svenson się nie zjawili. Z jednej strony to dobrze, gdyż nie osiągnęła niczego konkretnego i naprawdę chciała się od nich uwolnić, żeby móc swobodnie działać. Tylko czy to nie oznacza, że coś im się stało? Czy pod jej nieobecność nie próbowali zrealizować jakiegoś szczególnie idiotycznego planu? Oczywiście, że nie. Byli po prostu zajęci swoimi sprawami, tą całą Angeliką i księciem doktora Svensona. Ich nieobecność tylko wyjdzie na dobre ich wspólnym celom.

Wróciła do recepcji, gdzie ten sam recepcjonista poinformował ją, że hrabina jeszcze nie przybyła. Panna Temple rozejrzała się i nachyliła do niego. Oczami wskazała wygiętą ścianę z lustrami i zapytała, czy ktoś zajął prywatne pokoje na ten wieczór. Recepcjonista nie odpowiedział od razu. Panna Temple zniżyła głos do szeptu, jednocześnie nadając mu obojętny i niewinny ton.

- Może zna pan inne damy należące do kręgu przyjaciół hrabiny, na przykład panią Marchmoor. Albo tę drugą, zapomniałam jak...

- Pannę Poole? - podsunął recepcjonista.

- Panna Poole! Tak. Co za słodkie stworzenie. - Panna Temple starała się nadać swym roześmianym oczom wyraz niewinności, a zarazem zepsucia. - Zastanawiam się, czy któraś z nich spotka się z hrabiną albo hrabią d'Orkanczem... w jednym z waszych prywatnych apartamentów?

Posunęła się nawet do tego, że przygryzła wargę i mrugnęła do recepcjonisty. Ten otworzył rejestr oprawiony w czerwoną skórę, przesunął palcem po stronie, a potem zamknął książkę i skinął na jednego z kelnerów. Kiedy ten podszedł, recepcjonista wskazał pannę Temple.

- Ta dama dołączy do gości hrabiny w pokoju numer pięć.

- Jest tam jeszcze jedna młoda dama - powiedział kelner. - Przybyła przed kilkoma minutami...

- No cóż, to nawet lepiej - stwierdził recepcjonista i zwrócił się do panny Temple: - Będzie pani miała towarzystwo. Poul, proszę, zaprowadź pannę...

- Pannę Hastings - podsunęła panna Temple.

- Pannę Hastings do pokoju numer pięć. Gdyby któraś z pań czegoś potrzebowała, proszę po prostu zadzwonić po Poula. Powiadomię hrabinę, kiedy przyjdzie.

- Jestem panu bardzo wdzięczna - powiedziała panna Temple.

\*

Poprowadzono ją z powrotem do restauracji, gdzie dopiero teraz zauważyła szereg drzwi, których klamki i zawiasy tak zręcznie maskował wzór tapety, że były prawie niewidoczne. Dlaczego nie widziała wchodzącej tu przed chwilą kobiety? Może była zbyt zajęta rozmową z hrabią? A może przybycie tamtej przyspieszyło jego odejście? Czyżby zrobił to, żeby odwrócić jej uwagę? Panna Temple była bardzo ciekawa, któż to może być. W powozie jadącym do Harschmort towarzyszyły jej trzy kobiety, z których dwie to zapewne Marchmoor i Poole - choć kto wie, może tamci mają wiele takich pań lekkiego prowadzenia - jednak nie miała pojęcia, kim była ta trzecia. Potem pomyślała o tłumie ludzi, których widziała w amfiteatrze - tak jak ta kobieta w masce naszywanej zielonymi koralikami, napotkana na korytarzu. Pytanie, czy jest to ktoś, kto zna ją z widzenia. Przez większość czasu w Harschmort nosiła maskę, a ci, którzy widzieli ją bez niej albo nie żyli, albo byli znanymi osobami, tak jak hrabina... przynajmniej taką miała nadzieję, ale kto wie? Kto jeszcze stał po drugiej stronie lustra? Panna Temple pobladła. Może Roger? Mocniej ścisnęła torebkę. Wyjęła z niej monetę dla kelnera i zostawiła otwartą, żeby móc szybko wydobyć rewolwer.

Otworzyła drzwi i na końcu stołu ujrzała postać w masce z piór, pasującej do błyszczącej niebiesko-zielonej sukni. Pawie pióra tworzyły piękną oprawę dla jej złocistych włosów. Usta miała małe i pąsowe, twarz delikatnie uróżowaną, łabędzią szyję i niebieskie rękawiczki na smukłych dłoniach. Przypominała pannie Temple jednego z tych rasowych rosyjskich chartów, smukłych, szybkich i wojowniczych, mających niepokojący zwyczaj szczyrzenia kłów na wszystko, co działa na ich delikatne nerwy. Włożyła monetę w dłoń kelnera, który zapowiedział jej przybycie:

- Panna Hastings.

Kobiety skinęły sobie głowami. Kelner zapytał, czy czegoś potrzebują. Nie odpowiedziały i nie poruszyły się, więc po krótkiej chwili skłonił się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

- Isobel Hastings - powiedziała panna Temple i wskazała krzesło przy drugim końcu stołu, naprzeciwko blondynki w masce. - Mogę?

Kobieta bez słowa przyzwalająco skinęła dłonią i panna Temple usiadła, wygodnie podciągnąwszy suknię, nie odrywając oczu od tamtej. Na stole pomiędzy nimi stała srebrna taca, a na niej karafki z bursztynowym, złocistym i rubinowym płynem oraz mnóstwo kieliszków i kielichów (nie żeby panna Temple wiedziała, który jest do czego, nie mówiąc już

o rozpoznaniu zawartości karafek). Przed blondynką stał kieliszek wielkości tulipana na prostej przezroczystej nóżce, wypełniony rubinowym płynem. W kryształowym naczyniu trunek wyglądał jak krew. Panna Temple napotkała badawcze spojrzenie kobiety, jej osłonięte maską oczy nieco jaśniejsze od kołom sukni.

- Powiedziano mi, że te ślady znikają w ciągu kilku dni - powiedziała, starając się, by w jej głosie brzmiała współczująca nuta. - Ile minęło?

Jej słowa jakby tamtą obudziły. Podniosła kieliszek, upiła łyk, przełknęła i z trudem powstrzymała chęć oblizania warg. Postawiła kieliszek na stole, ale nadal trzymała go w palcach.

- Obawiam się, że jest pani... w błędzie - powiedziała głosem osoby wykształconej, starannie dobierając słowa w sposób, który pannie Temple wydał się nieco rozlazły, jakby monotonne i nieciekawe życie z czasem zawężyło jej horyzonty myślowe.

- Przepraszam, zakładałam... z powodu tej maski...

- Tak, oczywiście... to najzupełniej zrozumiałe... ale nie, to nie dlatego... nie. Ja nie... Przyszłam tutaj... w sekrecie.

- Jest pani bliską znajomą hrabiny?

- A pani?

- Powinam powiedzieć, że nie - odparła niejasno panna Temple, brnąc dalej. - Jestem raczej znajomą pani Marchmoor. Chociaż oczywiście rozmawiałam z hrabiną. Czy - jeśli mogę mówić otwarcie - była pani obecna w Harschmort House, na tym ciekawym pokazie hrabiego?

- Byłam tam... tak.

- Mogę spytać, co pani o tym sądzi? Oczywiście, jest pani tutaj, co samo w sobie jest odpowiedzią, ale poza tym ciekawi mnie, czy...

- Ma pani ochotę się czegoś napić? - kobieta przerwała jej. Panna Temple uśmiechnęła się.

- A co pani pije?

- Porto.

- Ach.

- Nie pochwała pani tego? - natychmiast spytała kobieta lekko urażonym tonem.

- Ależ skądże, może odrobina...

Kobieta gwałtownie popchnęła srebrną tacę przez dzielące je kilkadziesiąt centymetrów stołu. Zabrzęczały kieliszki i zadźwięczały karafki, ale nic się nie wywróciło i nie stłukło. Pomimo tego dziwnego gestu panna Temple i tak musiała wstać, żeby dosięgnąć

tacy, i zrobiła to, po czym nalała trochę rubinowego płynu do identycznego kieliszka, zatkała karafkę grubym kryształowym korkiem i usiadła. Powąchała słodki, pachnący jak lekarstwo trunk, i nie napiła się, zniechęcona nieprzyjemnym zapachem.

- A zatem - podjęła przerwana rozmowę - obie byliśmy w Harschmort House...

- A co z hrabią d'Orkanczem? - spytała kobieta, ponownie jej przerywając. - Zna go pani?

- Och, oczywiście. Przed chwilą z nim rozmawiałam - odparła panna Temple.

- Gdzie?

- Tu, w hotelu, rzecz jasna. Najwyraźniej ma inne ważne sprawy i nie może do nas dołączyć.

\*

Przez moment myślała, że kobieta wstanie, ale nie wiedziała, czy po to, by szukać hrabiego, czy po to, by uciekać, przestraszona jego tak bliską obecnością. Była to jedna z tych chwil, w których panna Temple żałowała, że jest spostrzegawczą i inteligentną młodą kobietą, gdyż im bardziej wgłębiała się w analizowaną sytuację, tym więcej dostrzegała ewentualności i tym mniej wiedziała, co robić. Był to najbardziej frustrujący rodzaj zrozumienia, jaki można sobie wyobrazić. Nie wiedziała, czy zerwać się i powstrzymać tamtą przed opuszczeniem pokoju, czy też rozwijać niemiły wątek niezwykle autorytetu hrabiego. Wołałaby, żeby ta kobieta przez kilka minut mówiła sama i dała jej czas na spróbowanie porto. Już sama nazwa tego trunku do niej przemawiała, jako do mieszkanki wysp, ale jeszcze nigdy go nie kosztowała, ponieważ wraz z cygarami zawsze był zarezerwowany dla mężczyzn po posiłku. Spodziewała się, że będzie miał równie paskudny smak jak zapach - bo z reguły większość trunków jej nie smakowała - ale doceniała to, że nazwa tego kojarzy się z podróжами i morzem.

Kobieta nie wstała, lecz po kilku sekundach wygodnie rozsiadła się na krześle. Pochyliła się - i jakby czytając w myślach zaniepokojonej panny Temple - podniosła kieliszek i uniosła go w toaście, a panna Temple podniosła swój. Wypiły. Pannie Temple spodobał się słodki smak rubinowego płynu, lecz nie wywołane przezeń pieczenie w ustach i w gardle oraz mrowienie w żołądku. Odstawiła kieliszek i z wymuszonym uśmiechem wciągnęła powietrze przez zęby. Kobieta w masce opróżniła swój kieliszek i wstała, żeby nalać sobie następny. Panna Temple popchnęła ku niej tacę - znacznie bardziej eleganckim ruchem, niż zrobiła to tamta - po czym patrzyła, jak kobieta bierze karafkę i nalewa sobie porto, wypija je, nie zamykając karafki, i ku zdziwieniu panny Temple ponownie napelnia kieliszek. Nie odstawiając karafki, kobieta usiadła.

Chwaląc w duchu swoją przebiegłość, panna Temple uśmiechnęła się skrycie, pojmując, że nie powinna spoglądać na to z dezaprobatą, a wręcz przeciwnie, gdyż im bardziej pijana i gadatliwa będzie jej towarzyszka, tym więcej się od niej dowie.

- Nie zdradziła mi pani swego nazwiska - zaczęła słodko.

- I nie zdradzę - warknęła kobieta. - Noszę maskę. Jest pani głupia? Wy wszyscy jesteście głupi?

- Najmocniej przepraszam - powiedziała powściągliwie panna Temple, powstrzymując chęć ciśnięcia kieliszkiem w jej twarz. - Zdaje się, że miała dziś pani ciężki dzień. Czy ktoś panią zdenerwował? Mam nadzieję, że mogę pani jakoś pomóc?

Kobieta westchnęła przeciągle i pannę Temple znów zdziwiła - a nawet zaniepokoiła - łatwość, z jaką nawet udawana uprzejmość przebija pancierz rozpaczy.

- Bardzo przepraszam - powiedziała kobieta głosem niewiele głośniejszym od szeptu.

Panna Temple odniosła wrażenie, że jej towarzyszka jest osobą, która w swoim życiu rzadko musiała wypowiadać te słowa, a teraz wymówiła je wiedzona głęboką rozpaczą.

- Nie, nie, proszę - nalegała panna Temple. - Musi mi pani powiedzieć, co się wydarzyło, że ten dzień był dla pani tak tmdny, a wtedy razem znajdziemy jakieś rozwiązanie.

Kobieta dopiła porto, zakrztusiła się, z trudem przełknęła i znów sobie naląła. To wyglądało coraz groźniej, gdyż jeszcze nie była nawet pora kolacji, lecz panna Temple tylko dotknęła wargami brzegu kieliszka i powiedziała:

- Cudowne porto, nieprawdaż?

Kobieta jakby jej nie usłyszała, zaczęła mamrotać pod nosem, co przy jej wysokim i ostrym głosie dawało iście cyrkowy efekt. Wyglądała w tym momencie jak jedna z tych dziwacznych mechanicznych lalek, które „mówią”, wypuszczając powietrze ze skomplikowanego układu pęcherzy i metalowych płytek pozytywki. Dźwięki nie były dokładnie takie same, ale widok tak, gdyż głos blondynki zupełnie nie pasował do jej ciała. Panna Temple wiedziała, że jednym z powodów tego jest maska - ostatnio wiele myślała o maskach - i dziwnie niepokoiły ją te pomszające się, koraloworóżowe wargi, otwierające się i zamykające w otoczce wielobarwnych piór, widok bladej twarzy i wydętych ust - które choć cienkie, były całkiem wyraźnie zarysowane - błysk białych zębów i ciemnoróżowych dziąseł oraz języka. Miała dziwną chęć wetknąć dwa palce w usta tej kobiety, żeby sprawdzić, czy są ciepłe. Wzięła w karby błędzący umysł i odepchnęła od siebie tę szokującą myśl, ponieważ jasnowłosa dama w końcu zaczęła mówić.

\*

- Tak naprawdę jestem bardzo zgodna, a nawet potulna, w tym rzecz - a kiedy ktoś ma taki temperament, kiedy jest znany i nikt tego nie docenia, ludzie przyjmują to za rzecz oczywistą i chcą jeszcze więcej. Zawsze chcą więcej, a ja już mam taki charakter, gdyż zawsze w rozsądnych granicach starałam się robić, co mogłam, dla wszystkich, bo próbowałam nie być dumna, chociaż mogłam, mogłam być najdumniejszą dziewczyną w kraju - mam pełne prawo być, kim chcę, co jest frustrujące, bo czasem czuję, że powinnam... że powinnam być drugą królową, więcej niż królową, bo królowa jest stara i okropnie brzydka... a najgorsze jest to, że gdybym zechciała, gdybym zaczęła rozkazywać, wrzeszczeć i żądać, miałabym, miałabym to... teraz jednak zastanawiam się, czy to prawda, czy to nie trwało za długo i teraz nikt by już nie słuchał, śmialiby mi się w twarz, a przynajmniej za moimi plecami, tak jak teraz śmieją się za moimi plecami, chociaż wiedzą, kim jestem, i po prostu robiliby dalej to, co robią, tylko bardziej otwarcie i nie dbając o pozory, z pogardą, której nie mogłabym znieść, a mój ojciec jest najgorszy z nich wszystkich, zawsze był najgorszy, a teraz wcale mnie nie dostrzega, nawet nie próbuje udawać - nigdy go nie obchodził - i oczekuje po mnie, że pogodzę się z przyszłością, jaką mi wybrano. Nikt nie wie, jakie wiodę życie. Nikogo to nie obchodzi... a ten człowiek, taki wulgarny... oczekuje się po mnie... cudzoziemiec... to okropne... I jedyną moją pociechą jest to, że zawsze wiedziałam, że on... kimkolwiek się okaże... złamie mi serce.

\*

Kobieta wypila czwarty kieliszek porto - a kto wie, ile ich wychyliła przed przybyciem panny Temple? - skrzywiła się i natychmiast sięgnęła po karafkę. Panna Temple pomyślała o swoim ojcu - nieokrzesanym, wybuchowym, straszliwie obojętnym i zdawkowo uprzejmym. Jedynym sposobem, by zrozumieć ojca, było uznać go za jeden z żywiołów, jak ocean czy chmury, i znosić bez urazy słoneczne dni czy burze. Wiedziała, że zachorował i prawdopodobnie nie zostanie go wśród żywych, kiedy wróci - jeśli kiedykolwiek wróci - do domu na wyspie. Ta myśl wywołałaby smutek i wyrzuty sumienia, gdyby na to pozwoliła, ale nie pozwalała, gdyż tak naprawdę nie wiedziała, czy ten żal różni się od tego, jaki budził w niej brak tropikalnego słońca. Panna Temple uważała, że każda zmiana wywołuje smutek. Czy brak ojca - spowodowany dzielącą ich odległością lub jego śmiercią - był szczególnie smutny? Czy też smutny był fakt, że nie była tego pewna? Matki nigdy nie знаła, gdyż ta, jako młoda kobieta (młodsza niż teraz panna Temple, jakie to dziwne!), umarła podczas porodu. Tylu ludzi jest rozczarowaniem dla wszystkich, czy można więc powiedzieć, że brak któregoś z nich jest stratą dla świata? W taki sposób panna Temple reagowała na wyrazy współczucia z powodu utraty matki, a jeśli w jej sercu pozostała dobrze ukryta i

niezabliźniona rana, to nie zamierzała tracić czasu i zgłębiać jej na użytek obcych ani w ogóle nikogo. Mimo wszystko z jakiegoś powodu, którego nie mogła - lub nie chciała - nazwać, beładna paplanina tej kobiety wzbudziła w niej współczucie.

- Gdyby się pani z nim zobaczyła, jak pani sądzi, co poradziłby pani hrabia d'Orkancz? - zapytała uprzejmie.

Kobieta zaśmiała się gorzko.

- Czemu więc pani nie wyjedzie?

- A dokąd mam wyjechać?

- Jestem pewna, że jest wiele miejsc...

- Nie mogę wyjechać! Mam obowiązek!

- Niech pani odmówi jego spełnienia. Albo jeśli to niemożliwe, niech pani obróci to na swoją korzyść. Mówi pani, że powinna być królową...

- Przecież nikt nie będzie słuchał... nikt nie wyobraża sobie... Panna Temple zaczęła się irytować.

- Jeśli naprawdę pani chce... Kobieta chwyciła kieliszek.

- Wszyscy mówicie to samo, dumni ze swojej mądrości, która służy jedynie do usprawiedliwiania zajmowanego miejsca przy moim stole! „Bądź wolna! Poszerzaj swoje horyzonty!”. Bzdury!

- Jeśli jest pani tak uciskana - cierpliwie odparła panna Temple - to jak zdołała pani tu przyjść, zamaskowana i sama?

- A jak pani sądzi? - prychnęła kobieta. - Hotel St. Royale to jedyne miejsce, gdzie mogę pojechać! Z dwoma stangretami, którzy mają dopilnować, żebym dojechała i wróciła, nie zatrzymując się nigdzie po drodze!

- To przesadnie dramatyczne - orzekła panna Temple. - Jeśli chce pani pójść gdzie indziej, niech pani idzie.

- Jak?

- Jestem pewna, że St. Royale ma wiele wyjść.

- I co potem? Dokąd mam iść?

- Dokądkolwiek pani chce. Zakładam, że ma pani pieniądze, a to duże miasto. Można po prostu...

Kobieta zmarszczyła brwi.

- Nie ma pani pojęcia... nie wie pani, co...

- Wiem, kiedy mam do czynienia z nieznosnym dzieckiem - powiedziała panna Temple.

Kobieta spojrzała na nią jak spoliczkowana. Wprawdzie porty spowolniły jej reakcje, lecz na jej twarzy malowało się niezrozumienie i rosnący gniew. Panna Temple nie miała ochoty znosić takich kaprysów, więc wstała i wskazała na czerwoną draperię zasłaniającą część ściany po lewej stronie.

- Wie pani, co to jest? - spytała ostro.

Kobieta pokręciła głową. Panna Temple prychnęła, podeszła do zasłony i odsunęła ją gwałtownym szarpnięciem. Jej pomysły plan na moment legł w gruzach, gdy odsłoniła gładką ścianę. Zanim jednak kobieta zdążyła coś powiedzieć, panna Temple dostrzegła wgłębienia w pomalowanym drewnie - gdyż było to pomalowane drewno, a nie tynk - za które można było chwycić, a także zręcznie zamaskowane zawiasy, które pozwoliły jej się zorientować, jak to otworzyć. Wepchnęła palce w otwory i otworzyła drewniane okiennice, odsłaniając ciemne okno, będące oprawionym w złote ramy weneckim lustrem, ukazującym im obu niczym nieograniczony widok na hol hotelu St. Royale oraz ulicę przed nim.

- Widzi pani? - spytała, lekko rozkojarzona tym niezwykłym widokiem.

Widziała ludzi znajdujących się zaledwie metr dalej i niemogących jej zobaczyć. Gdy tak patrzyła, jakaś młoda kobieta podeszła do lustra i zaczęła nerwowo poprawiać włosy. Ten znajomy widok sprawił, że pannę Temple przeszedł dreszcz.

- Co to ma znaczyć? - spytała szeptem blondynka.

- Tylko to, że świata nie mierzy się przez pryzmat pani kłopotów i nie jest pani osiłą intrygi, w którą jest pani wplątana.

- Co... co za nonsens... to jakby patrzeć na akwarium! Nagle kobieta przycisnęła dłoń do drżących ust i w popłochu zaczęła rozglądać się za karafką. Panna Temple podeszła do stołu i odsunęła tacę poza zasięg jej rąk. Kobieta spojrzała na nią błagalnie.

- Och, pani nic nie rozumie! W moim domu wszędzie są lustra!

\*

Drzwi za nimi otworzyły się i obie odwróciły się do wchodzącego Poula, który wprowadził do pokoju następną damę. Była wysoka, o ciemnoblonde włosach i ślicznej twarzy, oszpeconej znikającymi obwódkami wokół oczu. Miała beżową suknię obszytą ciemnobrązowymi frędzlami, a na szyi potrójny naszyjnik z pereł. W ręce trzymała torebkę. Zobaczyła kobiety i uśmiechnęła się, po czym dała Poulowi napiwek i odprawiła go ruchem głowy.

- Tu jesteście! - powiedziała wesoło. - Nie wiedziałam, czy będziecie mogli przyjść, a tu taka nieoczekiwana przyjemność! Miałyście czas się poznać, prawda?

Poul wyszedł i zamknął za sobą drzwi, a kobieta usiadła przy stole na krześle panny Temple, odsuwając kieliszek z portu i podciągając suknię. Panna Temple nie rozpoznała jej twarzy, lecz pamiętała głos, należący do kobiety w jedwabiu, która w powozie jadącym do Harschmort opowiadała, jak rozbierali ją dwaj mężczyźni. Blizny na jej twarzy zniknęły - to ona w amfiteatrze opowiadała o swoim nowym życiu, nowo odkrytych szczytach potęgi i rozkoszy... Pani Marchmoor... albo Margaret Hooke.

- Zastanawiałam się, czy znowu się spotkamy - powiedziała panna Temple lodowatym tonem, zamierzając w ten sposób ostrzec blondynkę, że nowo przybyła stanowi zagrożenie dla nich obu.

- Jestem pewna, że wcale się nie zastanawiałeś - odparła pani Marchmoor. - Wiedziałaś, ponieważ wiedziałaś, że zostaniesz wytropiona. Hrabia mówi mi, że jesteś... interesująca. - Zwróciła się do zamaskowanej kobiety w niebieskiej sukni, która wróciła do stołu, chociaż nie na swoje krzesło. - Jak sądzisz, Lydio, czy z twoich obserwacji wynika, że panna Temple jest osobą godną naszego czasu? Warto w nią inwestować czy też należy ją zniszczyć?

Lydia? Panna Temple spojrzała na blondynkę. Czy to może być córka Roberta Yandaariffa, dziedziczka największej fortuny, jaką można sobie wyobrazić, i narzeczona podopiecznego doktora, pijanego księcia? Obiekt jej rozmyślań nie zareagował, znów rozglądając się za karafką. Tym razem blondynka złapała ją, wyjęła korek i naląła sobie następny kieliszek.

Pani Marchmoor zachichotała. Lydia Vandaariff opróżniła kieliszek - chyba piąty? - i głośno jęknęła.

- Zamknij się. Spóźniłaś się. O czym wy mówicie? Dlaczego rozmawiam z wami, chociaż miałam się zobaczyć z Elspeth? Albo nawet z hrabiną! I dlaczego nazywasz ją Temple? Powiedziała, że nazywa się Hastings.

Panna Vandaariff odwróciła się do panny Temple, patrząc na nią podejrzliwie.

- Czyż nie? - Znowu popatrzyła na panią Marchmoor. - Co masz na myśli, mówiąc „wytropiona”?

- To taki kiepski żart - powiedziała panna Temple. - Nikt mnie nie znalazł, wprost przeciwnie, to ja znalazłam to miejsce. Cieszę się, że rozmawiałaś z hrabią, to oszczędzi mi wyjaśnień...

- Ale kim ty jesteś? - Lydia Vandaariff z każdą minutą była bardziej pijana.

- Jest wrogiem twojego ojca - odparła pani Marchmoor. - Niewątpliwie jest uzbrojona i chce rozlewu krwi lub okupu. W noc balu zabiła dwóch ludzi - o tylu wiemy, może więcej -

a jej wspólnicy zamierzają dokonać zamachu na twojego księcia. Blondynka wytrzeszczyła oczy.

- Ona?

Panna Temple uśmiechnęła się.

- To śmieszne, prawda?

- Przecież... przecież powiedziałaś, że byłaś w Harschmort!

- Byłam. I próbowałam być dla ciebie miła...

- Co robiłaś na moim balu maskowym? - warknęła panna Vandaariff.

- Zabijała ludzi - wtrąciła złośliwie pani Marchmoor.

- Ten żołnierz! - szepnęła Lydia. - Pułkownik Trapping! Mówili mi... wyglądał tak zdrowo... ale dlaczego ktoś...? Dlaczego postanowiłaś go zabić?

Panna Temple przewróciła oczami i wypuściła powietrze przez zaciśnięte zęby. Odniosła wrażenie, że występuje w jakiejś komedii z idiotycznymi dialogami. Miała przed sobą młodą kobietę, której ojciec niewątpliwie tkwi po uszy w całej tej intrydze, oraz drugą, będącą jedną z ich najlepszych agentek. Dlaczego traci czas, odpowiadając na ich głupie pytania, zamiast przejąć kontrolę nad sytuacją? Jakże często w swoim życiu panna Temple doświadczyła rosnącej frustracji, gdy pozwoliła działać innym, choć wiedziała, że ich intencje absolutnie nie pokrywają się z jej intencjami. Taka sytuacja nieustannie powtarzała się z jej ciotką i służbą, a teraz znów czuła się jak lotka odbijana przez te dwie kobiety tak denerwująco i bezsensownie gadające. Wsunęła dłoń do torebki i wyjęła rewolwer.

\*

- Macie być cicho. Obie - oznajmiła. - I odpowiadać tylko na moje pytania.

Panna Vandaariff na widok lśniącego czarnego rewolweru, który w małej dłoni panny Temple wydawał się zatrważająco wielki, szeroko otworzyła oczy. Pani Marchmoor wprost przeciwnie, przybrała anielsko spokojny wyraz twarzy, choć panna Temple wątpiła w jego prawdziwość.

- A jakież to będą pytania? - odparła pani Marchmoor. - Siadaj, Lydio! I przestań pić! Ona ma broń, więc spróbuj się skupić!

Panna Vandaariff od razu usiadła, potulnie składając dłonie na podolku. Takie zachowanie zdziwiło pannę Temple, która zaczęła się zastanawiać, czy surowe traktowanie nie było jedynym, jakie do niej przemawiało i jakiego - pomimo całej tej przeczącej temu paplaniny - naprawdę pragnęła.

- Szukam hrabiny - powiedziała. - Powiecie mi, gdzie ona jest.

- Rosamonde... - zaczęła panna Vandaariff. - Cóż, ona... Urwała gwałtownie, spojrzawszy na koniec stołu. Panna Temple obrzuciła gniewnym spojrzeniem panią Marchmoor i ponownie odwróciła się do Lydii, która przycisnęła dłoń do ust.

- Słucham? - zapytała panna Temple.

- Nic - szepnęła panna Vandaariff.

- Chciałabym, żebyś dokończyła zdanie. „Rosamonde”? Panna Temple nie doczekała się odpowiedzi. Jeszcze bardziej rozżłościł ją uśmiezek satysfakcji na ustach pani Marchmoor. Z gniewnym pomrukiem odwróciła się do blondynki.

- Czy przed chwilą nie skarżyłaś się na swoją sytuację, drapieżną naturę ludzi otaczających ciebie i twojego ojca, obrzydliwego narzeczonego i to, że pomimo swojej pozycji nie cieszysz się należnym ci szacunkiem? A tutaj kogo słuchasz? Osoby, która jeszcze kilka tygodni temu była pracownicą burdelu! Osoby wiernie służącej ludziom, którymi gardzisz! Osoby, która najwyraźniej wcale ci dobrze nie życzy! Panna Vandaariff milczała.

Na wargach pani Marchmoor pojawił się ponury uśmiech.

- Sądzę, że ta dziewczyna miesza nam obu w głowach, Lydio. Powszechnie wiadomo, że została porzucona przez Rogera Bascombe'a, przyszłego lorda Tarra, i niewątpliwie to żalosna próba odzyskania jego uczucia przywiodła ją w nasze progi.

- Nie przyszedłam tu z powodu Rogera Bascombe'a! - prychnęła panna Temple, lecz zanim zdążyła coś dodać i ponownie zapanować nad sytuacją, wzmianka o Rogerze sprawiła, że panna Vandaariff ponownie przybrała wyniośle łaskawą pozę.

- Czy można się dziwić, że ją rzucił? Popatrzcie na nią! Z rewolwerem w hotelowej restauracji. To dzikuska! Należałoby ją wychlostać!

- Nie mogę się z tym nie zgodzić - odparła pani Marchmoor. Panna Temple kręciła głową, słuchając tych potwornych idiotyzmów.

- Co za bzdury! Najpierw mówisz, że jestem morderczynią i agentką działającą przeciwko wam, a teraz głupiutką dziewczyną ze złamanym sercem! Zdecyduj się, żebyś wiedziała, z czego się śmiać! - Panna Temple zaatakowała pannę Vandaariff, podnosząc głos prawie do krzyku. - Dlaczego jej słuchasz? Traktuje cię jak służącą! Traktuje cię jak dziecko!  
- Ponownie odwróciła się do kobiety na końcu stołu, która machinalnie nawijała na palec pukiel ciemnoblonde włosów. - Po co ściągnęliście tu pannę Vandaariff? Co zamierzacie z nią zrobić? Poddać transformacji? Czy uczynić ofiarą waszych chuci? Widziałam to, wiesz? Widziałam ciebie - i jego - w tym pokoju!

Panna Temple sięgnęła do swojej zielonej torebki. Nadal miała jedno ze szkielek doktora - tylko które? Wyjęła je, spojrzała na nie i zatoczyła się - na widok czego pani

Marchmoor na pół podniosła się z krzesła. Panna Temple wzięła się w garść, wyrwała z błękitnej otchłani i wycelowawszy rewolwer w kobietę, kazała jej nie mszać się z miejsca. To było inne szkiełko, z Rogerem i nią samą, jednak jego złowieszcza wymowa powinna wystarczyć. Panna Temple położyła szkło przed panną Vandaariff.

- Widziałaś kiedyś jedno z tych szkiełek? - zapytała. Kłótniwa blondynka najpierw spojrzała na panią Marchmoor, a dopiero potem pokręciła głową.

- Podnieś je i popatrz - ostro rzuciła panna Temple. - I przygotuj się na szok! Zostaniesz przeniesiona w umysł i ciało innej osoby. Bezsilna, w pułapce zmysłów, będziesz obiektem ich pożądania!

- Lydio, nie rób tego - syknęła pani Marchmoor. Panna Temple wycelowała rewolwer.

- Lydio... zrób to.

\*

Panna Temple odkryła, iż jest coś przedziwnego w łatwości, z jaką można postawić kogoś w sytuacji, wiedząc z własnego doświadczenia, że będzie ona niepokojąca, przerażająca lub odpychająca, po czym przyglądać się temu z ponurą satysfakcją. Nie miała pojęcia, jakie doświadczenie w intymnych sprawach ma panna Vandaariff, lecz jej dziecinne zachowanie świadczyło o tym, że była chowana pod kloszem. Tak więc choć panna Temple nie wepchnęła jej brutalnie w objęcia Karla-Horsta i pani Marchmoor baraszkujących na sofie - chociaż uczyniłaby to z przyjemnością - wciąż czuła się trochę nieswojo z powodu tego, że zmusiła ją do obejrzenia mniej szokującego szkiełka. Pamiętała swój pierwszy kontakt i to, jak naiwnie zapewniała doktora Svensona, że nie ma niczego takiego, czego nie mogłaby znieść (a potem nie mogła spojrzeć mu w oczy) i szokująco nagle, cudownie niepokojące wrażenie, gdy książę stanął między rozłożonymi nogami kochanki, której bezsprzecznie przyjemne doznania natychmiast zaczęła dzielić. Jako młoda dama, której wartość cnoty wpojono jak dyscyplinę heskiemu żołnierzowi, nie mogła teraz dokładnie orzec, w jakim stopniu ją zachowała - a raczej nie potrafiła oddzielić doznań cielesnych od umysłowych, od przeżyć, których zaznała. Gdyby zaczęła się nad tym zastanawiać, co z pewnością byłoby ryzykownym luksusem, musiałaby stawić czoło prawdzie i przyznać, że jej zmieszanie to nic innego, jak niezdolność odróżnienia wyobrażeń od rzeczywistości, a dzięki temu niebezpiecznemu szkiełku dostęp do ekstazy może być równie łatwy jak włożenie butów.

Panna Temple wyjęła szkiełko, chcąc za jednym zamachem udowodnić pannie Vandaariff, jak podli są jej wrogowie i jak pociągające mogą być niebezpieczne przyjemności, jakie być może już jej podsuwali, ostrzec ją i przestraszyć, żeby przeciągnąć ją na swoją stronę. Jednak obserwując spoglądającą na szkło dziewczynę - widząc jej

przygryzioną wargę, przyspieszony oddech, lewą rękę drżącą na blacie stołu - i zerknąwszy na koniec stołu, gdzie pani Marchmoor równie uważnie przyglądała się zamaskowanej dziedziczce, nie była już taka pewna, czy było to mądre posunięcie. Widząc skupioną minę Lydii, zaczęła się nawet zastanawiać, czy czasem nie zrobiła tego, by z innej perspektywy spojrzeć na swoje przeżycia, jakby obserwując pannę Vandaariff, przyglądała się sobie, gdyż aż nazbyt ochoczo - pomimo potrzeby zachowania czujności i grożącego jej niebezpieczeństwa - mogła wyobrazić sobie, jak znów stoi w holu hotelu Boniface, zapadając w otchłań niebieskiego szkła, bezwiednie ściskając w dłoniach fałdy sukni, podczas gdy doktor Svenson - choć odwrócony plecami - doskonale wie, jakie doznania są udziałem jej drżącego ciała.

Panna Temple z dreszczem zgrozy przypomniała sobie słowa hrabiego d'Orkancza - że stanie się ofiarą własnej żądz!

Błyskawicznie wyciągnęła rękę i wyrwała pannie Vandaariff szkło. Zanim oszołomiona blondynka zdążyła zrobić coś więcej niż wymamrotać kilka niezrozumiałych słów, schowała je do torebki.

- Widzisz?! - krzyknęła gniewnie. - To zakazana wiedza, cudze doznania...

Panna Vandaariff oszołomiona skinęła głową, nie odrywając oczu od torebki.

- Jak... jak to możliwe?

- Zamierzają wykorzystać twoją pozycję, uwieść cię tak, jak uwiedli Rogera Bascombe'a...

Panna Vandaariff niecierpliwie pokręciła głową.

- Nie pytam o nich... to szkło... szkło!

- Zatem, Lydio... - Zachichotała pani Marchmoor z końca stołu i spytała z ulgą i satysfakcją: - Nie przestraszyłaś się tego, co zobaczyłaś?

Panna Vandaariff wydała upojne westchnienie. Jej oczy błyszczały z uciechy.

- Trochę... lecz prawdę mówiąc, nie dbam o to, co widziałam, tylko co czułam...

- Czyż nie było to zdumiewające? - syknęła pani Marchmoor, zapominając o wcześniejszym niepokoju.

- Och, dobry Boże... było! To było nadzwyczajne! Byłam w jego rękach, czułam jego pożądanie... a on dotykał jej... - Odwróciła się do panny Temple. - Dotykał ciebie!

- Przecież... nie, nie... - zaczęła panna Temple i zamilkła, spojrzawszy na panią Marchmoor, rozpromienioną jak latarnia morska. - Jest drugie szkło, z tą kobietą! I z twoim księciem! Znacznie bardziej intymne, zapewniam cię...

Panna Vandaariff rzuciła się na pannę Temple.

- Pokaż mi je! Masz je przy sobie? Musisz mieć... musi ich być wiele, wiele... Daj mi jeszcze raz popatrzeć na tamto, chcę zobaczyć wszystkie!

Panna Temple cofnęła się poza zasięg jej wyciągniętych rąk.

- Nie obchodzi cię to, że ta kobieta z twoim przyszłym...

- Dlaczego miałoby mnie to obchodzić? On jest dla mnie nikim! - odparła panna Vandaariff, machnięciem ręki wskazując koniec stołu. - Ona też jest dla mnie nikim! A te wrażenia... te cudowne doznania...

Była pijana. Była rozkojarzona, zdeprawowana, zepsuta, a teraz uczepliła się jak ulicznik ręki panny Temple, usiłując dobrać się do jej torebki.

- Opanuj się! - syknęła panna Temple, robiąc trzy szybkie kroki do tyłu.

Wycelowała rewolwer, chociaż już rozumiała (i w głębi duszy wiedziała, że właśnie znajomość takich szczegółów czyni z Changa zawodowca, więc trzeba je znać i pamiętać, na przykład jak grozić ludziom bronią), że używając broni jako środka perswazji, należy być przygotowanym do jej użycia. Jeśli nie - a panna Temple pojęła, że w tym momencie nie byłaby w stanie strzelić do panny Vandaariff - władza, jaką się ma, gaśnie niczym płomień zdmuchniętej świeczki. Panna Vandaariff była zbyt rozkojarzona, żeby myśleć o czymkolwiek poza swą nagle rozbudzoną żądzą. A pani Marchmoor to zauważyła. Panna Temple obróciła się na pięcie, podsuwając lufę rewolweru pod jej nos.

- Nie ruszaj się!

Pani Marchmoor znów zachichotała.

- Zastrzelisz mnie? Tu, w tym zatłoczonym hotelu? Zostaniesz aresztowana. Wsadzą cię do więzienia i powieszą. Dopilnujemy tego.

- Być może, ale ty umrzesz przede mną.

- Biedna panno Temple, pomimo swej odwagi niczego nie rozumiesz.

Panna Temple prychnęła głośno. Nie miała pojęcia, dlaczego pani Marchmoor czuje się upoważniona do wygłaszania takich sądów, więc skryła swą niewiedzę za zasłoną pogardy.

- O czym wy mówicie? - zaskomlała Lydia. - Gdzie jest więcej tych rzeczy?

- Popatrz jeszcze raz na tę - uspokajająco powiedziała pani Marchmoor. - Jeśli nabierzesz wprawy, będziesz mogła panować nad szybkością wydarzeń, a nawet sprawić, by wybrany moment trwał dowolnie długo. Wyobraź to sobie, Lydio, wyobraź sobie, jakimi momentami możesz upajać się bez końca.

Pani Marchmoor uniosła brwi i przechyliła głowę, patrząc na pannę Temple, jakby zachęcała ją do oddania szkiełka, sugerując, że gdy dziedziczka zajmie się nim, one dwie będą mogły spokojnie porozmawiać.

Wbrew temu, co radził jej instynkt, a może po prostu ciekawa, czy to, co właśnie powiedziała pani Marchmoor, okaże się prawdą, panna Temple sięgnęła do torebki i wyjęła szkło. Gdy jej palce dotknęły jego śliskiej powierzchni, miała ochotę sama w nie spojrzeć. Zanim zdążyła sobie tego zabronić, panna Vandaariff wyrwała jej szkiełko z ręki i czmychnęła na swoje miejsce, nie odrywając oczu od błękitnego prostokąta, który z nabożeństwem trzymała w dłoniach. Po chwili Lydia zaczęła przesuwając czubkiem języka po dolnej wardze... myślami będąc gdzie indziej.

- Co to z nią zrobiło? - zapytała zaniepokojona panna Temple.

- Teraz ledwo nas słyszy i możemy rozmawiać - odparła pani Marchmoor.

- Zdaje się, że nie zależy jej na narzeczonym.

- A dlaczego miałoby zależeć?

- A tobie zależy? - zapytała panna Temple, mając na myśli namiętne sceny zamknięte w błękitnym szkłe.

Pani Marchmoor roześmiała się i ruchem głowy wskazała szkiełko.

- Zatem ty jesteś w tej karcie... a w drugiej ja... razem z księciem? - zapytała.

- Istotnie, i jeśli zamierzasz zaprzeczać...

- Dlaczego miałabym zaprzeczać? Mogę dobrze to sobie wyobrazić, choć przyznaję, że tego nie pamiętam. To cena, jaką się płaci za uwiecznienie swoich wspomnień.

- Nie pamiętasz? - Panna Temple była zdumiona dekadencją beztroską tej kobiety. - Nie pamiętasz, że... z księciem... na oczach widzów...

Panna Marchmoor znów się zaśmiała.

- Och, panno Temple, to oczywiste, że skorzystałabyś, poddając się transformacji. Takie głupie pytania już nigdy nie padłyby z twoich ust. Kiedy rozmawiałaś z hrabią, czy prosił, żebyś się do nas przyłączyła?

- Nie prosił!

- Jestem zdziwiona.

- W istocie groził mi, że poddam się wam, pokonana... Pani Marchmoor niecierpliwie potrząsnęła głową.

- Przecież to jedno i to samo. Słuchaj, możesz wymachiwać tym rewolwerem, ale to nie powstrzyma mnie - gdyż jestem teraz zbyt mądra, aby żywić urazę - od zapytania cię, czy zechcesz pogodzić się z nieuniknionym i przyłączyć do naszych wysiłków dla przyszłości. To

lepsze życie, gwarantujące wolność, swobodę działania i zaspokajania pragnień. Poddasz się, panno Temple. Gwarantuję ci to.

Panna Temple nie miała jej nic do powiedzenia. Machnęła lufą rewolweru.

- Wstań.

\*

Jeśli pani Marchmoor o czymś ją przekonała, to jedynie o tym, że ten prywatny gabinet jest zbyt eksponowanym miejscem. Przydał się do zasięgnięcia języka, ale nie był miejscem, w którym powinna dłużej zostać - chyba żeby chciała ryzykować konflikt z prawem. Trzymając rewolwer i szkiełko w torebce, kazała obu kobietom wejść po szerokich schodach i do pokojów hrabiny Lacquer-Sforzy. Pani Marchmoor usłuchała z tolerancyjnym uśmiechem, a panna Vandaariff, wciąż w masce, rzucając ukradkowe spojrzenia ukazujące jej zaczerwienioną twarz i szkliste oczy. Na pytanie czające się w oczach recepcjonisty pani Marchmoor odpowiedziała, wesoło machając ręką, i bez żadnych problemów zagłębiły się w luksusowe wnętrza St. Royale.

Apartamenty znajdowały się na drugim piętrze, na które weszły po kolejnych, tylko nieco węższych schodach o tralkach i poręczach z polerowanego mosiądzu, będących kontynuacją giętej balustrady zaczynającej się na parterze. Panna Temple zauważyła, że te kręte schody są echem czerwonych i złotych wstęg wyrzeźbionych na kolumnach. Podziwiała głębię myśli projektanta tego budynku, to, że ktoś zadał sobie taki tmd, oraz to, że była tak bystra, żeby to zauważyć. Panna Vandaariff znów na nią spojrzała, teraz z lekkim niepokojem, jakby jej też przyszedł do głowy jakiś pomysł.

- Tak? - spytała panna Temple.

- Nic takiego.

Panna Marchmoor zwróciła się do niej, nie zatrzymując się.

- Powiedz, co myślisz, Lydio.

Panna Temple podziwiała władzę, jaką ta kobieta ma nad dziedziczką. Skoro pani Marchmoor nosiła jeszcze ślady procesu transformacji, musiała należeć do kliki od niedawna i nie minęło wiele czasu, od kiedy pracowała w burdelu. Tymczasem Lydia Vandaariff traktowała ją jak starą guwernantkę. Pannie Temple wydawało się to co najmniej niezwykle.

- Ja tylko niepokoję się hrabią. Nie chcę, żeby tu przyszedł.

- Jednak on może tu przyjść, Lydio - odparła pani Marchmoor. - Dobrze o tym wiesz.

- Nie lubię go.

- A mnie lubisz?

- Nie. Nie lubię - mruknęła opryskliwie.

- Oczywiście. A jednak doskonale się dogadujemy. - Pani Marchmoor posłała pannie Temple przebiegły uśmiech i wskazała odgałęzienie korytarza. - Tędy.

\*

Hrabiny nie było w apartamencie. Pani Marchmoor otworzyła drzwi swoim kluczem i wprowadziła je do środka. Kiedy weszły na schody i znalazły się na korytarzu, panna Temple wyjęła rewolwer i ostrożnie podążała za dwoma kobietami, czujnie wypatrując zasadzki. W przedsionku potknęła się o jakiś but. But? A gdzie pokojówki? To było dobre pytanie, gdyż w pokoju hrabiny panował nieopisany bałagan. Gdziekolwiek padło spojrzenie panny Temple, widziała talerze i kieliszki, butelki i popielniczki oraz różne części damskiej garderoby, od sukni i butów po najbardziej intymne - halki, pończochy, gorsety - porozwieszane na kanapie w salonie!

- Siadajcie - powiedziała i obie kobiety usiadły obok siebie na kanapie.

Panna Temple rozejrzała się, nasłuchując. Z innych pokojów nie dolatywały żadne dźwięki, chociaż lampy gazowe były zapalone i świeciły jasno.

- Hrabiny nie ma - poinformowała ją pani Marchmoor.

- Czy to miejsce zostało splądrowane pod jej nieobecność? Panna Temple spytała najzupełniej poważnie, ale pani Marchmoor tylko się roześmiała.

- To prawda, że hrabina nie wykazuje zamiłowania do porządku.

- Nie ma służby?

- Woli, by ta zajmowała się innymi sprawami.

- A ten zaduch? Dymu, alkoholu, brudnych talerzy... chce tu mieć szczury?

Pani Marchmoor z uśmiechem wzruszyła ramionami. Panna Temple zmarszczyła brwi, patrząc na leżący na podłodze gorset.

- Obawiam się, że to mój - zachichotała pani Marchmoor.

- Dlaczego miałabyś zdejmować gorset w salonie szlachetnie urodzonej damy? - spytała nieco zbulwersowana panna Temple, już wyobrażając sobie odpowiedź i różne szokujące szczegóły.

Odwróciła głowę, skrywając niesmak, i zobaczyła swoje odbicie w dużym ściennym lustrze: zdeterminowana osoba w zielonej sukni, o kasztanowych włosach upiętych z tyłu, nieco ciemniejszych w ciepłym blasku gazowych lamp, a wokół nieład pozostały po dekadencej zabawie. Jej wzrok przykuł odbity w lustrze, jakiś jasnyniebieski błysk widoczny za jej głową, i odwróciwszy się, ujrzała oprawione w ramy płótno, które musiało być dziełem Oskara Veilandta.

\*

- Następne *Objawienie*... - szepnęła.

- W istocie - odszepnęła w odpowiedzi pani Marchmoor niepewnie i ostrożnie. Słyszac jej głos, panna Temple poczuła się jak ptaszek podchodzony przez skradającego się kota. - Widziałaś już gdzieś takie?

- Tak.

- Który fragment? Co ukazywał?

Nie zamierzała odpowiadać na pytania tej kobiety, lecz siła oddziaływania tego obrazu sprawiła, że słowa same wyrwały jej się z ust.

- Głowę...

- Oczywiście, na wystawie u pana Shancka. Głowa jest piękna... ten wyraz niebiańskiego spokoju i zadowolenia, czyż nie? A tu... spójrz na te palce trzymające jej biodra... widać, jak w interpretacji artysty posiadł ją anioł...

Panna Vandaariff jęczała za ich plecami. Panna Temple chciała się do niej odwrócić, ale nie mogła oderwać oczu od tego niepokojącego obrazu. Powoli doń podeszła... Pociągnięcia pędzla były nieskazitelnie płynne, jakby barwnik nakładano na porcelanę, a nie na płótno. Ciało było idealnie oddane, aczkolwiek ukazujący jego fragment obraz - pozbawiony kontekstu, nieukazujący twarzy, tylko biodra i dwie niebieskie dłonie - wydał jej się jednocześnie urzekający i okropny. Oderwała od niego oczy. Obie kobiety przyglądały się jej. Panna Temple z trudem wyrwała się spod złowrogiego wpływu płótna.

- To alegoria - oznajmiła spokojnym głosem. - Opowiada historie waszego spisku. Anioł to wasze niebieskie szkło, a ta kobieta symbolizuje wszystkich, których nim traktujecie. To *Objawienie*, gdyż wierzycie, że narodziny tego, do czego zmierzają wasze plany, będzie... będzie...

- Odrodzeniem nas wszystkich - dokończyła pani Marchmoor.

- Nigdy nie widziałam czegoś równie bluźnierczego! - oznajmiła z przekonaniem panna Temple.

- Nie widziałaś reszty tego obrazu - powiedziała panna Vandaariff.

- Cicho, Lydio.

\*

Panna Vandaariff nie odpowiedziała, ale nagle przycisnęła obie dłonie do brzucha i jęknęła z najwyraźniej nieudawanego bólu... Zgięła się w pół i jęknęła ponownie, kołysząc się i stękając z rosnącym przestraczem, jakby ta dolegliwość była czymś dobrze jej znanym.

- Panno Vandaariff?! - krzyknęła panna Temple. - Co pani jest?

- Nic jej nie będzie - powiedziała spokojnie pani Marchmoor, wyciągając rękę i delikatnie poklepując cierpiącą po ramieniu. - Wypiłaś może przypadkiem trochę porto? - zapytała pannę Temple.

- Nie.

- Zauważyłam drugi kieliszek...

- Ledwie umoczyłam w nim usta.

- Bardzo rozsądnie.

- Co w nim było? - spytała panna Temple.

Panna Vandaariff znów jęknęła, a pani Marchmoor pochyliła się i wzięła ją za rękę.

- Chodź, Lydio, musisz pójść ze mną. Poczujesz się lepiej... Panna Vandaariff zajęczała jeszcze żałośniej.

- Chodź, Lydio...

- Co jej jest? - dopytywała się panna Temple.

- Nic. Po prostu spożyła za dużo przygotowawczego filtru. Ile wypila kieliszków?

- Sześć? - zastanowiła się panna Temple.

- Wielkie nieba, Lydio! Dobrze, że tu jestem i pomogę ci pozbyć się nadmiaru. - Z pobłażliwym uśmiechem pani Marchmoor pomogła panie Vandaariff wstać. Potem poprowadziła chwiejącą się blondynkę w kierunku uchylonych drzwi i przystanęła przed nimi, aby odwrócić się do panny Temple. - Bez obawy, zaraz wrócimy, to tylko drzwi do toalety. Wiedziano, że ona pije porto, więc dodano do trunku filtr przygotowawczy. Ta mieszanka była jej potrzebna. Ale nie w takiej ilości.

- Potrzebna do czego? - spytała panna Temple, podnosząc głos. - Przygotowująca do czego?!

Pani Marchmoor jakby jej nie słyszała. Podniosła rękę i przyglądała włosy panny Vandaariff.

- Śmiem twierdzić, że dobrze jej zrobi, jeśli wyjdzie za mąż i skończy z tymi mrzonkami o niezależności. Nie ma do tego głowy.

Panna Vandaariff znowu jęknęła, może protestując przeciwko tak niesprawiedliwej ocenie, a panna Temple z irytacją i zaciekawieniem patrzyła, jak dwie kobiety znikają w sąsiednim pokoju - jakby nie miała rewolweru i nie były jej zakładniczkami! Nie ruszała się z miejsca, głęboko urazona, słuchając brzęku pokrywki nocnika i pospiesznego szelestu halek, a potem zdecydowała, że to doskonała okazja, by niepostrzeżenie zbadać pozostałe pomieszczenia. W głównym salonie, w którym teraz stała, były trzy pary drzwi - jedne wiodły do pomieszczenia z nocnikiem, prawdopodobnie będącego lokum pokojówki, oraz dwoje

innych. Przez jedno łukowate przejście widziała drugi salon. Stał w nim stoliczek do kart z resztkami niedojedzonego posiłku, a pod ścianą długi kredens zastawiony butelkami. Patrząc tam i próbując poskładać to w jakąś logiczną całość, wywnioskować, ile osób siedziało przy tym stoliku i ile wypito trunku, co uważała za swoją powinność jako dociekliwej poszukiwaczki przygód, panna Temple zaniepokoiła się. Wypiła przynajmniej jeden łyk porto. Czy to wystarczy, by ten „filtr” wywarł złowrogi wpływ na jej organizm? Do czego zamierzali przygotować pannę Vandaariff? Do małżeństwa? Mało prawdopodobne, przynajmniej w normalnym znaczeniu tego słowa. Panna Temple pomyślała o zwierzętach prowadzonych na rzeź i zimny dreszcz przeszedł jej po plecach.

\*

Przyciskając dłoń do czoła, wróciła do salonu i pospiesznie podeszła do trzecich drzwi, otwartych na oścież, słysząc dobiegające z sąsiedniego pokoju jęki i szuranie nóg. Znalazła się w sypialni hrabiny. Ujrzała ogromne łóżko z purpurowym baldachimem i następne części garderoby porzucane na podłodze. Jednak wszystkie te przedmioty, duże i małe, zdawały się unosić w powietrzu w tym pokoju, którego odległe ściany, podobnie jak podłoga, były ciemne niczym tafla czarnego stawu, na którym porzucane ubrania pływały jak liście. Rozchyliła zasłonę łóżka. Nozdrza panny Temple rozszerzyły się w pierwotnym oddechu... Z pościeli unosił się delikatny zapach ciała hrabiny. Częściowo była to woń perfum z olejkiem roślinnym, lecz pod tym słodkim aromatem krył się inny, emanujący z pościeli, przypominający zapach świeżego chleba, rozmarynu, solonego mięsa, a nawet limony. Ten zapach spowił pannę Temple i przypomniał jej ludzkie cechy hrabiny, to że choć przerażająca i niebezpieczna, miała jednak swoje słabostki i zachcianki... A panna Temple spenetrowała jej kryjówkę.

Ponownie wciągnęła zapach i oblizwała wargi.

\*

Panna Temple zadała sobie pytanie, czy w tym bałaganie hrabina mogła ukryć coś cennego, jakiś dziennik, plan lub przedmiot, który wyjaśniałby sekretne cele kliku. Za plecami wciąż słyszała bolesne postękiwania panny Vandaariff. Co też oni zrobili tej kobiecie! Jęczała, jakby rodziła. Panna Temple znów poczuła niepokój, krople potu perlącego się na czole i spływającego między łopatkami. Jej prawdziwi przeciwnicy - hrabina i książkę d'Orkancz - z pewnością w końcu tu przyjdą. Czy jest przygotowana na spotkanie z nimi? Jakoś poradziła sobie podczas rozmowy z hrabią, lecz była o wiele mniej usatysfakcjonowana przydługawym spotkaniem z tymi dwoma damami, będącymi przecież mniej groźnymi przeciwniczkami (jeśli słowo „przeciwniczka” było właściwym określeniem dla zupełnie

rozkojarzonej panny Vandaariff). Nie wiedzieć czemu, spotkanie, które powinno być gwałtowną i nieprzyjazną konfrontacją, zmieniło się w zagadkową, dziwną, zmysłową i swobodną rozmowę. Panna Temple postanowiła odkryć, co się da, i jak najszybciej opuścić apartament.

Najpierw przesunęła dłonią pod olbrzymimi poduchami przy wezłowiu łoża. Nic. Tego należało się spodziewać - szybkie uniesienie materaca i rzut oka pod łóżko dały taki sam rezultat - tak więc nie żywiąc większych nadziei, panna Temple podeszła do bieliźniarki hrabiny, aby przeszukać szufladę z bielizną. Tylko głupia kobieta mogłaby ukryć tam coś w przekonaniu, że intymny charakter zawartości powstrzyma szukającego. Nieznosząca wścibstwa panna Temple wiedziała, że jest wprost przeciwnie, że jedwabie, haftki, zatrzaski i fiszbiny niemal w każdym budzą niezdrową ciekawość i chęć poszperania w nich, tak więc chowanie w takim miejscu na przykład pamiętnika byłoby równoznaczne z pozostawianiem go jak gazety do czytania w poczekalni albo - jeszcze gorzej - w jadalni dla służby w porze posiłku. Tak jak się spodziewała, między bielizną hrabiny nie znalazła niczego godnego uwagi, choć może chwilę dłużej, niż powinna, przesuwiała palcami po delikatnych koronkach, a nawet z rumieńcem zawstydzenia powąchała kilka tych zmysłowych strojów, więc zamknęła szufladę. Najlepsze skrytki to najbanalniejsze miejsca pod słońcem, znajdujące się na widoku lub wśród wielu podobnych przedmiotów, na przykład butów. Tam też nie znalazła niczego poza zadziwiająco bogatą kolekcją kosztownego obuwia. Panna Temple odwróciła się. Czy ma czas na przeszukanie całej szafy? Czy Lydia Vandaariff wciąż jęczy? Szukała jakiejś skrytki, którą wybrałaby na miejscu hrabiny. Widziała tylko porozrzucane wszędzie części garderoby...nagle się uśmiechnęła. Obok bieliźniarki, tuż przy ścianie, zobaczyła stertę bluzek i szali, która wydała jej się celowo ułożona tak, żeby nie zawadzić o nie nogą. Uklękła przy niej i pośpiesznie zaczęła przeglądać kolejne warstwy. Bardzo szybko, spowitą w żółty włoski adamaszek niczym niemowlę w beciku, znalazła księgę zrobioną z niebieskiego szkła.

\*

Księga była wielkości średniego tomu encyklopedii - może „N” lub „F” - miała ponad trzydzieści centymetrów wysokości i nieco mniej centymetrów szerokości, i ze sześć centymetrów grubości. Okładka była gruba, jakby twórca szkła naśladował wytłaczaną tokańską skórę, jaką panna Temple widziała na rynku w pobliżu St. Isobel, i półprzezroczysta, gdyż choć zdawało się, że można przez nią zajrzeć do środka, warstwy były na to zbyt gęste. Na pierwszy rzut oka księga wydawała się jednobarwna, w żywym kolorze indygo, lecz przyjrząwszy się jej, panna Temple dostrzegła smugi o zmiennej barwie, przechodzącej przez całą paletę odcieni, od błękitu przez kobalt po akwamarynę, a każdy z nich dający

niepokojąco wyczuwalny bodziec dla oczu duszy, jakby niósł nie tylko wizualne, ale i emocjonalne przesłanie. Nie znalazła żadnego napisu na okładce ani - gdy wzięła księgę do ręki i obróciła - na grzbiecie.

Dotknąwszy księgi, panna Temple o mało nie zemdląła. Jeśli niebieskie szkieleto było kusząco zajmujące, to ta księga wywoływała istny wir potężnych sensacji, mogących porwać bez reszty. Panna Temple z cichym okrzykiem cofnęła rękę.

Spojrzała na otwarte drzwi, za którymi już nie słyszała tamtych dwóch kobiet. Naprawdę powinna do nich wrócić, opuszczając ten pokój, gdyż niewątpliwie w każdej chwili mogły tu wejść, a tuż za nimi hrabia lub hrabina. Wsunęła dłoń w adamaszkowy szal, żeby przezeń chwycić księgę, a potem owinąć i zabrać ze sobą, gdyż z pewnością był to łup, który zadziwiłby doktora i Changa. Spojrzała na nią i przygryzła wargę. Jeśli otworzy tę księgę, nie dotykając okładki... na pewno jąto ochroni... i na pewno zdobędzie więcej informacji, którymi będzie mogła się z nimi podzielić. Jeszcze raz zerknąwszy przez ramię - czyżby panna Vandaariff zemdląła? - ostrożnie otworzyła księgę.

Strony - mogła bowiem patrzeć na kilka naraz, gdyż każda cienka warstwa szkła nakładała na następną swój dziwny wzór wirujących niebieskości - zdawały się delikatne jak skrzydła ważki. Te prostokątne skrzydła ważki wielkości talerzy były dziwnie umocowane go grzbietu, tak że istotnie mogła je przewracać jak strony zwyczajnej książki. Nie była w stanie powiedzieć tego od razu, ale wydawało się, że są ich setki, a wszystkie nasycone - tak jak okładka - pulsującą niebieską poświatą, zalewającą całe pomieszczenie niezmiernym widmowym blaskiem. Bała się przewrócić pierwszą stronę z obawy, że szkło pęknie (tak jak obawiała się przyglądać jej zbyt uważnie), ale kiedy zebrała się na odwagę i to zrobiła, odkryła, że szkło jest w istocie bardzo mocne - bardziej przypominało grabą szybę wystawową niż cienkie jak papier szkło, jakim naprawdę było. Panna Temple odwróciła jedną, a potem drugą kartę. Spojrzała na nie, zamruwała, a potem zamknęła oczy - czyżby te bezpostaciowe kształty się poruszały? Jej niepokój przeszedł w ociężałość i senność, a jeśli nawet nie senność, to niemożność skupienia się i brak samokontroli. Znów zamruwała. Powinna natychmiast zamknąć księgę i wyjść. W pokoju zrobiło się gorąco. Kropla potu spadła z jej czoła na szkło i w miejscu, gdzie upadła, powierzchnia pociemniała, zawirowała i ciemna plama zaczęła rozszerzać się na całą stronę. Panna Temple spojrzała na nią z nagłym przestraszeniem - ten węzeł barwy indygo, przypominający otwierającą się orchideę lub krew wypływającą z rany, był może najpiękniejszą rzeczą, jaką widziała w życiu, chociaż czuła strach na myśl o tym, co będzie, gdy plama rozejdzie się po całej stronie. Tak się jednak nie stało, ostatni jasnoblękitny fragment znikł i nie widziała już dalszych stron... tylko tę toń

barwy indygo. Panna Temple usłyszała cichy jęk, mętnie zdała sobie sprawę z tego, że wydobył się z jej własnych ust - i pozwoliła się wchłonąć.

\*

Obrazy zawirowały w jej umyśle, a potem przemknęły przezeń, a najdziwniejsze, przerażające i cudowne było to, że zdawała się wcale nie być tam obecna, gdyż tak jak w przypadku szkła pani Marchmoor, jej świadomość zsumowała się z doznaniem, w którym wir wpała. Panna Temple poczuła, że wchłania cudowne doświadczenia życiowe kilku osób, jedno po drugim, tak sugestywne i liczne, że zagrażały samemu istnieniu Celeste Temple jako stabilnego bym... Była na balu maskowym w Wenecji, pijąc wino z korzeniami, czując odór wody w kanałach, wilgotnych kamieni i rozgrzanych łożowych świec, i dłonie obmacujące ją od tyłu w ciemności, gdy zmysłowo pochylona, prowadziła rozmowę ze stojącym przed nią zamaskowanym klerykiem, jakby nic szczególnego się nie działo... Powoli skradała się wąskim korytarzem z cegieł, mijając liczne nisze po obu jego stronach, trzymając osłoniętą latarnię, licząc mijane wgłębienia, by przy siódmym po prawej podejść do ściany, odchylić żelazną płytkę i przycisnąwszy oko do ukrytej za nią dziurki, zajrzeć do wielkiej sypialni, gdzie ujrzała dwie postacie, muskularnego młodzieńca o udach białych jak mleko, przechylonego przez stolik i stojącego za nim starszego mężczyznę, zaczerwienionego i toczącego pianę z ust... Jechała na koniu, mocno i zręcznie ściskając go nogami, w jednej ręce trzymając wodze, a w drugiej złowrogo zakrzywioną szablę, pędząc po jałowej afrykańskiej równinie na atakujący klin jeźdźców w białych turbanach i o smagłych twarzach, krzycząc ze strachu i radości, a czerwono odziani mężczyźni wokół niej też krzyczeli. Oba szeregi pędziły na siebie co koń wyskoczy. Pochyliła się nad karkiem wierzchowca, wyciągając szablę, mocno spinając konia kolanami na ułamek sekundy przed zderzeniem - ostrze Araba ześlizgnęło się jej po ramieniu, a koniec jej szabli wbił się w jego szyję. Trysnęła krew i poczuła ohydne szarpnięcie, gdy konie rozbiegły się w przeciwne strony i szabla została wyrwana z rany, a przed nią pojawił się następny Arab i wrzasnęła w bitewnym szale... Przepiękny wodospad wysoki jak dwie katedry... Stała wśród przysadzistych, czerwonoskórych Indian o czarnych włosach obciętych na modłę średniowiecznych królów, uzbrojonych w łuki i strzały... Pływające góry lodu, zapach solonych ryb, futrzany kołnierz łaskoczący twarz, a za nią głosy mówiące o skórkach, kości słoniowej i kopalnych kruszcach, w jej dużej dłoni w rękawiczce niepokojąca figurka tłustego, szyderczo uśmiechniętego, jednookiego bożka... Ciemna marmurowa komnata pełna błyszczącego złota, garnki, dzbany, grzebienie i broń, wszystko ze złota, a potem sarkofag, niewiele większy od ciała chłopca króla, spowitego w grubą całun z kutego złota wysadzanego drogimi kamieniami, jej dłoń

otwierająca składany nóż i próbująca wyłamać jeden szczególnie wielki szmaragd... W pracowni malarza, naga na sofie, bezwstydnie wyciągnięta, spoglądająca przez otwarte okno na perłowszare chmury, między jej nogami pomalowany na niebiesko mężczyzna, zmysłowo trzymający w dłoniach jej białe stopy, kładący je sobie na ramionach i obracający się razem z nią, aby zapytać artystę, czy to właściwa poza, za ogromnym płótnem nie widziała jego ani jego twarzy, tylko silne dłonie trzymające paletę i pędzel, lecz zanim usłyszała jego odpowiedź, jej uwagę ponownie zwrócił partner, który przeciągnął palcami po jej wygolonym wżórku, ledwie go dotykając... Przechadzając się tam i z powrotem po cuchnącym ciasnym pomieszczeniu pełnym czarnych, spoconych ciał w brzęczących łańcuchach, robiąc notatki w rejestrze... Na bankiecie wśród wysokich, bladych, brodatych mężczyzn w mundurach i ich eleganckich dam, obwieszonych biżuterią, wielkie srebrne tace zastawione kieliszczykami o złotych brzegach, pełnych przezroczystego, ognistego trunku o smaku lukrecji, wychylając kieliszek za kieliszkiem, kwartet smyczkowy w tle uprzejmej konwersacji, kryształowe talerze z czarnym kawiosem w lodzie, półmiski razowego chleba i pomarańczowych ryb, skinienie głową urzędnikowi z niebieską szarfą na piersi, który niepostrzeżenie wkłada jej w dłoń tomik w czarnej skórzanej okładce z jedną zagiętą kartką, którą później przeczyta z uśmiechem, zastanawiając się, którego z zebranych tu gości te instrukcje każą jej zdradzić... Klęcząca przy obozowym ognisku w kręgu z kamieni, czarny cień zamku na tle księżycowego nieba, jego strome ściany z czerwonych skał, wrzucająca jeden zwój po drugim w płomień, patrząca, jak czernieją i zwijają się, a pieczęcie z czerwonego wosku rozplývają się w nicość... Kamienny dziedziniec w upalny wieczór, otoczony wonnym kwitnącym jaśminem i śpiewem ptaków, na obitym jedwabiem podeście, wokół kilka niezainteresowanych kobiet, pijących, rozmawiających i drwiąco spoglądających na muskularnych półnagich strażników w turbanach, z rozłożonymi nogami i palcami zaplątanymi w długich splecionych w warkoczyki włosach młodej dziewczyny pochylonej nad nią, miarowo i sennie poruszającej wargami i językiem, wzbierające w niej podniecenie, rosnąca fala pożądania, wznosząca się, wznosząca, jej palce ściskające mocniej, zmysłowy chichot dziewczyny, która akurat w tym momencie cofa się, samym koniuszkiem języka przesuując po rozpalonym, spragnionym ciele, a potem znów opada jak uderzająca o brzeg fala, porywając, unosząc, wyżej, dalej, obiecując rozsypać się jak kwiat tysiącem niebieskich orchidei na i w każdym centymetrze jej ciała...W tej cudownej chwili, w odległych zakątkach swej świadomości, panna Temple uświadomiła sobie, że się zagubiła i z pewnym trudem zlokalizowała w swej pamięci - lub pamięci tylu innych osób - cichy głos wśród krzyku ekstazy, słowa pani Marchmoor mówiącej pannie Vandaariff o właściwościach szkiełka, o

tym, że dzięki koncentracji można przejąć kontrolę nad przebiegiem zarejestrowanych wydarzeń i emocjami. Zręczny języczek dziewczyny wywołał następny spazm rozkoszy w jej łonie i panna Temple - oczami kogoś, kto oddał to doświadczenie do tej książki - spojrzała w dół i z najwyższym trudem skoncentrowała się na jej włosach, które trzymała w palcach, na warkoczykach z wplecionymi koralikami, a potem na samych koralikach, ich barwie... Były niebieskie, oczywiście, niebieskie... niebieskie szkło... Nakazała sobie znów w nie spojrzeć, głęboko, znów jęcząc, mimo woli poruszając biodrami, ale jakoś zdołała odwrócić swoją uwagę od tego słodkiego badawczego języka, odegnąć od siebie wszelkie myśli i uczucia, aż zobaczyła tylko gładką powierzchnię szkła, a wtedy całą siłą woli zapragnęła znaleźć się gdzie indziej i zdołała się uwolnić.

\*

Znów jęknęła i otworzyła oczy. Ze zdziwieniem zobaczyła, że leży z głową na podłodze, przyciśniętą do stosu ubrań obok książki. Była słaba, zgrzana i spocona. Podniosła się na czworaki i spojrzała za siebie. W apartamentach hrabiny było cicho. Jak długo zaglądała do książki? Nie była w stanie spamiętać wszystkich wydarzeń, jakie widziała, w jakich brała udział. Czy trwało to godziny, czy całe życie? A może było jak sen, w którym godziny mijają w ciągu kilku minut? Jakoś zdołała wstać, chwiejąc się i czując nieprzyjemnie śliską wilgoć między nogami. Co się z nią stało? Jakie myśli wepchnięto jej do głowy, jakie wspomnienia - sprawców i ofiar gwałtów, potu i krwi, mężczyzn i kobiet? Panna Temple zaczęła się zastanawiać, czy nie stała się najbardziej wyuzdaną dziewczicą w historii.

\*

Zmusiwszy wyczerpane ciało do wysiłku, starannie owinęła książkę adamaszkowym szalem i zawiązała go. Potem rozejrzała się za swoją zieloną torebką. Nie znalazła jej. Czy nie trzymała jej w ręku? Ależ tak, była tego pewna... jednak nigdzie jej nie było.

Wstała, podniosła zapakowaną książkę i skupiła uwagę na wciąż uchylonych drzwiach. Najciszej jak mogła, zajrzała przez szparę do salonu. Przez moment nie była pewna, czy naprawdę wyrwała się z kart książki, tak dziwny ujrzała widok, tak upozowaną scenę, jakby zaglądała do pompejańskiej groty odtworzonej na użytek współczesnych. Pani Marchmoor spoczywała wygodnie wyciągnięta na sofie, beżową suknię miała opuszczoną do bioder, a gorset zdjęty, tak że jej górna połowa ciała była naga, nie licząc potrójnego sznura pereł obejmującego jej szyję. Panna Temple nie zdołała się powstrzymać przed zerknięciem na jej lewą pierś, ciężką i bladą, której brodawkę kobieta leniwie pieściła palcami lewej ręki, gdyż prawą pierś zupełnie zasłaniała głowa panny Vandaariff. Ta, już bez maski, z rozpuszczonymi włosami, leżała na sofie obok pani Marchmoor, z zamkniętymi oczami i podwiniętymi

nogami, jedną zaciśniętą w pięść rękę trzymając na podolku, a drugą podtrzymując prawą pierś kobiety, ssąc ją sennie, jak karmione dziecko.

Naprzeciwko nich na fotelu, z cygarem w jednej i hebanową laską z rączką z macicy perłowej w drugiej ręce, znów w futrze, siedział hrabia d'Orkancz. Za nim stali półkolem czterej inni mężczyźni: jeden w podeszłym wieku z ręką na temblaku, niski krzepki człowiek o czerwonej twarzy i widocznych bliznach wokół oczu, oraz dwaj mężczyźni w mundurach, którzy - jak wiedziała, poznawszy doktora Svensona - musieli być z Macklenburga. Jeden był ponury i wyglądający na twardziela, o krótko obciętych włosach, opalanej i ściągniętej twarzy i przekrwionych oczach. Drugiego znała, zawarłszy z nim bliższą znajomość dzięki szkiełku. Był to Karl-Horst von Maasmärck. Nie zrobił na niej najlepszego wrażenia - wysoki, blady, chudy, wycieńczony i zniewieściały, z mocno cofniętym podbródkiem i oczach przypominających nieugotowane ostrygi. Jednak szybko przesunęła wzrok dalej, gdzie na drugiej otomanie siedziała hrabina Lacquer-Sforza, trzymając w dłoni cygarniczkę, z której pod sufit unosiła się smużka dymu. Miała na sobie obcisły żakiet z fioletowego jedwabiu, obsyty krótkimi czarnymi piórkami, podkreślającymi jej biały dekolt i szyję, oraz długie bursztynowe kolczyki. Jej suknia pod żakietem była czarna i jak strój jakiejś zaczarowanej istoty, zdawała się spływać z ciała wprost w czarną podłogę... na której oprócz wcześniej porzrzuconych części garderoby leżała zawartość pociętej i podartej torebki panny Temple.

Oprócz panny Vandaariff oczy wszystkich w głębokim milczeniu były zwrócone na pannę Temple.

\*

- Dobry wieczór, Celeste - powiedziała hrabina. - Powróciłaś z księgi. To robi wrażenie. Nie każdemu się to udaje, wiesz.

Panna Temple nie odpowiedziała.

- Cieszę się, że tu jesteś. Cieszę się, że miałaś okazję wymienić poglądy z hrabią i moją towarzyszką, panią Marchmoor, a także zawrzeć znajomość z drogą Lydią, z którą oczywiście macie wiele wspólnego - jako dwie dziedziczki, których życie musi zdawać się najlepszym przykładem nieograniczonych niczym horyzontów.

Hrabia wydmuchnął kłęb niebieskiego dymu. Pani Marchmoor uśmiechnęła się, patrząc w oczy pannie Temple, i powoli potarła rdzawy koniuszek sutka kciukiem i wskazującym palcem. Żaden z mężczyzn się nie poruszył.

- Musisz zrozumieć - ciągnęła hrabina - że nie ma już twojego towarzysza, Kardynała Changa. Doktor z Macklenburga w popłochu uciekł z miasta, opuszczając cię. Widziałas skutki naszego procesu transformacji. Zaglądałaś do jednej z naszych szklanych ksiąg. Znasz

nasze nazwiska i twarze oraz związki łączące nas z lordem Vandaariffem i rodziną von Maasmaärck z Macklenburga. Musisz nawet - tu się uśmiechnęła - znać fakty kryjące się za rychłą nominacją nowego lorda Tarra. Wiesz o tych wszystkich sprawach, a ponieważ mam pewność, że jesteś równie sprytna jak uparta, możesz domyślić się znacznie więcej.

Podniosła do ust lakierowaną cygarniczkę i zaciągnęła się, po czym leniwie podniosła rękę, ponownie opierając ją o sofę. Z ledwie słyszalnym westchnieniem rozchyliła wargi w krzywym uśmiechu, wydmuchując dym kącikiem ust.

- Z powodu tego wszystkiego, Celeste Temple, jest pewne, że musisz umrzeć.

Panna Temple nie odpowiedziała.

- Przyznaję - ciągnęła hrabina - że mogłam cię źle ocenić. Tak mówi mi hrabia, a jak z pewnością wiesz, on rzadko się myli. Jesteś silną, dumną, zdeterminowaną dziewczyną i chociaż przysporzyłaś mi wielu kłopotów, a nawet - przyznaję - doprowadzałaś do szału, zasugerowano mi, żebym złożyła ci pewną propozycję. Jest to propozycja, jakiej zazwyczaj nie składam tym, których postanowiłam zniszczyć. Mimo to zasugerowano mi, żebym pozwoliła ci zostać cenną uczestniczką naszego wielkiego dzieła.

Panna Temple nie odpowiedziała. Ugięły się pod nią nogi, a w sercu czuła chłód. Chang nie żyje? Doktor uciekł? Nie mogła w to uwierzyć. Nie chciała.

Jakby wyczuwając opór w drzeniu jej warg, hrabia wyjął cygaro z ust i powiedział cichym, ochrypłym, złowrogim głosem:

- Nie można tego ująć prościej. Jeśli się nie zgodzisz, poderżniemy ci gardło tutaj, w tym pokoju. W przeciwnym razie pójdiesz z nami. Bądź pewna, że żadne chytre wybiegi na nic się nie zdadzą. Porzuć wszelką nadzieję, panno Temple, gdyż ta zostanie wykreślona ze słownika i zastąpiona przez słowo „pewność”.

Panna Temple spojrzała na jego poważną twarz, a potem na złowrogo piękną hrabinę Lacquer-Sforzę, na jej uśmiech jednocześnie kusząco ciepły i zimny jak lód. Czterej mężczyźni spoglądali na nią beznamiętnie, a księżę drapał się paznokciem po nosie. Czy wszyscy zostali poddani procesowi transformacji, która pozbawiła ich zwierzęcą logikę wszelkich moralnych hamulców? Zauważyła blizny na twarzy księcia i krępego mężczyzny. Ten w podeszłym wieku zdawał się podzielać wyzierający z ich oczu głód - może ślady na jego twarzy już zblakły - tylko żołnierz miał normalny wyraz twarzy, na której było jeszcze miejsce na niepewność i zwątpienie. Na twarzach pozostałych widziała jedynie nieludzkie, fanatyczne zapamiętanie. Zastanawiała się, który z nich ma ją zabić. W końcu popatrzyła na pannę Marchmoor, a jej nieprzenikniona mina kryła coś, co panna Temple uznała za szczere zaciekawienie... jakby nie wiedziała, co panna Temple robi.

- Wygląda na to, że nie mam wyjścia - szepnęła panna Temple.

- Nie masz - potwierdziła hrabina, po czym odwróciła się do siedzącego obok mężczyzny i uniosła brwi, jakby dając mu znać, że jej rola na tym się kończy.

- Będziesz tak uprzejma, panno Temple - powiedział hrabia d'Orkancz - i zdejmiesz buty oraz pończochy?

\*

Poszła boso - co było prostym środkiem ostrożności, uniemożliwiającym jej szybką ucieczką po brukowanych ulicach - po schodach i opuściła hotel St. Royale. Pani Marchmoor została, ale wszyscy pozostali wyszli - żołnierz, krępy mężczyzna i ten starszy poszli przodem, by przygotować powozy, hrabia i hrabina po bokach panny Temple, a za nią księżę i panna Vandaariff uczepona jego ramienia. Gdy schodzili po szerokich schodach, panna Temple zobaczyła za kontuarem recepcji nowego urzędnika, który tylko skłonił się z szacunkiem w odpowiedzi na uprzejmy ukłon hrabiny. Panna Temple zastanawiała się, dlaczego taka kobieta w ogóle potrzebowała procesu transformacji czy magicznego niebieskiego szkła. Wątpiła, by ktokolwiek miał siłę lub chęć opierać się jakiegokolwiek jej prośbie. Zerknęła na hrabiego, który obojętnie patrzył przed siebie, w jednej ręce trzymając laskę z rączką z macicy perłowej, a w drugiej zawiniętą w adamaszek niebieską księgę, niczym wygnany król, zamierzający odzyskać swój tron. Idąc, czuła pod stopami szorstkie włókna dywanu. Jako dziewczynka miała stopy stwardniałe od biegania boso po ojcowskiej plantacji. Teraz były miękkie i delikatne jak stopy każdej damy i uniemożliwiały ucieczkę równie skutecznie jak żelazne kajdany. Z ukłuciem żalu pomyślała o swoich zielonych bucikach, kopniętych pod sofę. Wiedziała, że już nikt nie będzie o nie dbał i mimo woli zadała sobie pytanie, czy ktokolwiek jeszcze będzie dbał o nią.

Przed hotelem czekały dwa powozy - jeden czerwony, kryty, jednokonny, a drugi duży i czarny, z namalowanym na drzwiczkach herbem, w którym domyśliła się godła Macklenburga. Księżę, panna Vandaariff, żołnierz i krępy mężczyzna wsiedli do powozu, a starszy pan wspiął się na kozioł, aby usiąść obok woźnicy. Hotelowy portier otworzył przed hrabiną drzwi jednokółki i przytrzymał je pannie Temple, która wsiadła, czując, jak karbowane żelazne stopnie nieprzyjemnie wbijają się w podeszwy jej stóp. Usiadła naprzeciwko hrabiny. Chwilę później dołączył do nich hrabia i powóz zadygotał pod jego ciężarem. Usiadł obok hrabiny i portier zamknął drzwi. Hrabia zastukał laską w dach powozu i mszyli. Od kiedy hrabia zażądał, by zdjęła buty, do momentu, gdy wsiedli do powozu, nie padło ani jedno słowo. Panna Temple odkasznęła i spojrzała na nich. Zbyt długa cisza zawsze działała jej na nerwy.

- Chciałabym się czegoś dowiedzieć - oznajmiła.

- A czegoż to? - wychrypiał po chwili hrabia.

Panna Temple spojrzała na hrabinę, gdyż pytanie było skierowane do niej.

- Chciałabym wiedzieć, jak zginął Kardynał Chang. Hrabina Lacquer-Sforza bystro i przenikliwie spojrzała jej w oczy.

- Zabiłam go - oznajmiła w sposób najwyraźniej mający zniechęcić pannę Temple do dalszych pytań.

Panna Temple nie dała się zastraszyć. Jeśli hrabina nie chciała o tym mówić, sprowokowanie jej do tego będzie próbą sił.

- Naprawdę? - powiedziała. - Był niebezpiecznym przeciwnikiem.

- Był - przyznała hrabina. - Nappełniłam jego płuca mielonym szkłem uzyskanym z naszej niebieskiej gliny. Ma rozmaite działanie, a w takiej dawce, jaką wciągnął Kardynał, jest śmiertelne. Oczywiście „niebezpieczny” to słowo o wielu odcieniach - z przewagą fizyczną często najszybciej i najłatwiej można sobie poradzić.

Niedbały sposób, w jaki hrabina opisała zabicie Changa, całkowicie zaskoczył pannę Temple. Chociaż bardzo krótko znała Kardynała Changa, zrobił na niej tak duże wrażenie, że jego gwałtowna śmierć wydała jej się straszna.

- Umarł szybką czy powolną śmiercią? - zapytała, siłąc się na obojętność.

- Nie nazwałabym jej szybką... - Mówiąc to, hrabina sięgnęła do czarnej torebki wyszywanej koralikami i po kolei wyjęła z niej cygarniczkę, papierosa, którego do niej wetknęła, oraz zapalnik, którą go zapaliła. - Jednak ta śmierć sama w sobie jest przyjemna, gdyż - jak sama widziałas - błękitne szkło wywołuje przyjemne sny i rozmaite... zmysłowe doznania. Często bywa, że wieszani mężczyźni umierają w stanie niezwykłego podniecenia...

- Zamilkła na moment, podnosząc brwi w niemym pytaniu, czy panna Temple nadaża. - Albo nawet spontanicznego wytrysku, co przynajmniej dla mężczyzny może być przyjemniejszym od innych sposobem zejścia z tego świata. Sądzę, że podobne, a może jeszcze silniejsze reakcje towarzyszą śmierci po podaniu błękitnego szkła. A przynajmniej taką mam nadzieję, gdyż istotnie twój Kardynał Chang był groźnym przeciwnikiem i nie żywiłam do niego urazy, chociaż pragnęłam jego śmierci.

- Czy potwierdziłaś swoją hipotezę, oglądając jego spodnie? - burknął hrabia.

Dopiero po chwili panna Temple domyśliła się, że żartuje.

- Nie było na to czasu - zachichotała hrabina. - Życie jest pełne smutku. Tylko czym on jest? Jesiennymi liśćmi - opadłymi, zapomnianymi i porwanymi przez wiatr.

\*

Widmo śmierci Changa - której pomimo sensacyjnych sugestii hrabiny nie potrafiła sobie wyobrazić inaczej, jak okropnej, połączonej z krwotokiem z nosa i ust - skierowało myśli panny Temple ku czekającemu ją losowi.

- Dokąd jedziemy? - zapytała.

- Na pewno wiesz - odparła hrabina. - Do Harschmort House.

- Co się ze mną stanie?

- Lęk przed tym, czego nie można zmienić, niczemu nie służy - oznajmił hrabia.

- Jedynie przyjemności obserwowania, jak się wiesz - szepnęła hrabina.

Panna Temple nie znalazła na to odpowiedzi, lecz po kilku sekundach, podczas których jej próby zerkania przez wąskie okienka, umieszczone po obu stronach ich siedzenia, nie jej, zapewne pozwalające osobom zajmującym jej miejsce pozostać niewidocznymi lub, w mniej złowieszczych okolicznościach, zapaść w sen, nie pozwoliły jej stwierdzić, w jakiej dzielnicy miasta się znajdują. Ponownie odkaszlęła.

Hrabina zachichotała.

- Zrobiłam coś, co cię rozbawiło? - spytała panna Temple.

- Nie, ale zaraz zrobisz - odparła hrabina. - Słowo „zdeterminowana” nawet w połowie nie oddaje twojego charakteru, Celeste.

- Niewiele osób zwraca się do mnie tak poufale - powiedziała panna Temple. - Chyba można je policzyć na palcach jednej ręki.

- Czyż nie poznałyśmy się dostatecznie dobrze? Powiedziałabym, że raczej tak.

- Zatem jak masz na imię?

Elegancka kobieta znów zachichotała i wydawało się, że nawet hrabia d'Orkancz skrzywił usta w niechętnym uśmiechu.

- Rosamonde - powiedziała hrabina. - Rosamonde, hrabina di Lacquer-Sforza.

- Lacquer-Sforza? To jakieś miejsce?

- Kiedyś było. Obawiam się, że teraz to tylko idea.

- Rozumiem - mruknęła panna Temple, wcale nie rozumiejąc, ale starając się udawać zgodną.

- Każdy ma swoją plantację, Celeste... swoją własną wyspę, choćby tylko w sercu.

- Jakie to smutne - westchnęła panna Temple. - Ja uważam prawdziwą wyspę za znacznie bardziej satysfakcjonującą.

- Czasem - powiedziała hrabina nieco twardszym tonem - takie miejsca można odwiedzać lub posiadać tylko w taki sposób.

- Czyli nie naprawdę?

- Jeśli tak chcesz na to patrzeć.

Panna Temple zamilkła, wiedząc, że umknął jej głębszy sens wypowiedzi hrabiny.

- Ja nie zamierzam stracić mojej wyspy - powiedziała.

- Nikt nie zamierza, moja droga - odparła hrabina.

\*

Jechali w milczeniu, aż hrabina uśmiechnęła się równie miło jak poprzednio i powiedziała:

- Zamierzałaś zadać mi jakieś pytanie?

- Tak - odparła panna Temple. - Chciałam spytać o Oskara Veilandta i jego *Objawienia*, gdyż w swoim apartamencie masz jeden z nich. Przy herbacie dyskutowałam z hrabią o tym artyście.

- Naprawdę?

- W rzeczy samej wytknęłam hrabiemu, że moim zdaniem wydaje się podejrzanie wiele mu zawdzięczać.

- Istotnie?

- Tak bym to ujęła.

Panna Temple nie łudziła się, że zdoła rozzłościć lub odwrócić ich uwagę w takim stopniu, by mogła wyskoczyć z powozu - co najprawdopodobniej spowodowałoby jej śmierć pod kołami pojazdu jadącego za nimi - a jednak te obrazy były tematem, który mógł jej dostarczyć użytecznych informacji o grożącym jej procesie transformacji, i mogłaby je wykorzystać, aby go uniknąć. Nie rozumiała jego naukowych podstaw czy alchemii - czy nauka i alchemia to niejedno i to samo? - gdyż nigdy nie interesowały jej kwestie czysto teoretyczne, choć wiedziała, że przynajmniej hrabia jest nimi żywo zainteresowany. Co więcej, panna Temple wiedziała, iż temat zaginionego malarza to jego czuły punkt, a z zasady nie uważała natarczywych dociekań za coś poniżej swej godności.

- A właściwie dlaczego? - spytała hrabina.

- Dlatego - odparła panna Temple - że *Objawienie* najwyraźniej jest alegorią waszego procesu transformacji, a nawet całego waszego spisku - i pomijając skalę arogancji oraz niezbity fakt, że sam w sobie ten obraz to jawne bluźnierstwo - z waszego punktu widzenia stanowiącego postęp uzyskiwany za pomocą tego waszego cennego niebieskiego szkła. Oczywiście - ciągnęła, zerknąwszy z ukosa na nieporuszonego hrabiego - wygląda, że to wszystko, te alchemiczne sekrety twórcy zapisane z tyłu jego obrazów zostały przywłaszczone przez hrabiego i przez was wszystkich kosztem życia zaginionego pana Veilandta.

- Powiedziałaś to hrabiemu?

- Oczywiście.

- I jak na to zareagował?

- Odszedł od stolika.

- To poważne oskarżenie.

- Wprost przeciwnie, zupełnie oczywiste. Co więcej, po tym, jak wprawiliście w ruch cały ten mechanizm śmierci i zniszczenia, takie oskarżenie nikomu z was nie powinno wydawać się niewiarygodne czy nieuzasadnione. Ponieważ ten proces jest potwornością, a zamordowanie jego twórcy tym bardziej, nie przypuszczałam, że mordercą będzie człowiek tak... wrażliwy.

\*

W odpowiedzi, może aż za bardzo spełniając nadzieje panny Temple na wytrącenie go z równowagi, hrabia d'Orkancz powoli nachylił się i wyciągnął prawą rękę, po czym złapał ją za gardło. Daremnie wcisnęła się w siedzenie i próbowała sobie wmówić, że gdyby chciał ją skrzywdzić w gniewie, to złapałby ją szybciej. Gdy silne palce zacisnęły się na jej szyi, zaczęła mieć wątpliwości i z niepokojem spojrzała w jego zimne niebieskie oczy. Trzymał ją mocno, ale nie dusił. Natychmiast powróciło odrażające wspomnienie pana Spragga. Zastygła.

- Oglądałaś obrazy, dwa z nich, tak? - powiedział cicho i groźnie. - Powiedz nam... jakie odniosłaś wrażenie?

- Co do czego? - wykrztusiła.

- Czegokolwiek. Jakie nasunęły ci się myśli?

- No cóż, jak powiedziałam, alegoria...

Ścisnął jej szyję tak mocno, że nagle przestraszyła się, że skręci jej kark. Hrabina pochyliła się do niej.

- Celeste, hrabia próbuje zachęcić cię do myślenia.

Panna Temple skinęła głową. Hrabia rozluźnił chwyt. Przełknęła ślinę.

- Chyba pomyślałam, że te obrazy są nienaturalne. Ta kobieta na nich, oddająca się aniołowi... oddająca się zmysłom i rozkoszy... jakby nic innego nie istniało. To niemożliwe. Niebezpieczne.

- Dlaczego? - zapytał hrabia.

- Ponieważ nic z tego nie wynika! Ponieważ... ponieważ... nie byłoby granicy między światem a ciałem i umysłem, co byłoby nieznośne!

- Ja uważam, że to byłoby cudowne - szepnęła hrabina.

- Nie dla mnie! - krzyknęła Panna Temple.

Z cichym szelestem sukni hrabina zmieniła miejsce, siadając obok panny Temple, i przycisnęła usta do jej ucha.

- Jesteś pewna? Bo widziałam cię, Celeste... Widziałam cię zza lustra pochyloną nad książką... I wiesz co?

- Czy wiem co?

- Kiedy byłaś w moim pokoju... klęcząc tak słodko wypięta... czułam twój zapach...

Panna Temple jęknęła, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Pomyśl o tej księdze, Celeste - syknęła hrabina. - Pamiętasz, co widziałas! Co robiłaś, co z tobą robiono, kim się stałaś, przez jakie wspaniałe podróżywałaś światy!

Na te słowa panna Temple poczuła, że palą ją policzki. Co się z nią działo? Wspomnienia z księgi były niczym ślady cudzych stóp w jej umyśle. Były wszędzie! Nie chciała ich! Tylko dlaczego nie mogła ich wyrzucić z pamięci?

- Mylisz się! - krzyknęła panna Temple. - To nie to samo!

- Ty też nie jesteś taka sama! - warknął hrabia d'Orkancz. - Już zrobiłaś pierwszy krok w procesie transformacji!

W powozie zrobiło się nieznośnie gorąco. Dłoń hrabiny znalazła nogę panny Temple i szybko znikła pod jej suknią, a palce wprawnie przesuwwały się po udzie. Panna Temple jęknęła. To nie były nachalne, sztywne i brutalne paluchy pana Spragga, lecz - choć wciąż atakujące - delikatne, zwinne i uparte paluszki. Nikt jeszcze nie dotykał jej w taki sposób, w tym miejscu. Nie była w stanie zebrać myśli.

- Nie... nie... - zaczęła.

- Co widziałas w księdze? - nalegał ochryplym, groźnym głosem hrabia. - Czy znasz smak śmierci i władzy? Czy wiesz, jak burzy się krew kochanków? Tak! Wiesz to wszystko i jeszcze więcej! Teraz masz to w sobie! Czujesz to, w tej właśnie chwili! Czy zdołasz kiedyś zapomnieć o tym, co widziałas? Potrafisz wyrzec się tych rozkoszy, zaznawszy pełni ich upajającej mocy?

Palce hrabiny wślizgnęły się w rozcięcie jej jedwabnych majteczek i zręcznie przesunęły się po delikatnym ciele. Panna Temple próbowała się odsunąć, lecz siedzenie było tak wąskie, a to uczucie takie cudowne...

- Nie sądzę, żebyś potrafiła, Celeste - szepnęła hrabina. Lekko poruszyła czubkami dwóch palców, a potem włożyła je trochę głębiej, jednocześnie delikatnie poruszając kciukiem nieco wyżej. Panna Temple nie wiedziała, co ma robić, z czym walczyć, jak się oprzeć ich woli - bo nie miała ochoty się opierać, czując tę niebiańską, coraz większą rozkosz

- a jednak chciała się wyrwać tym drapieżcom, usiłującym ją wykorzystać. Co ich obchodzi jej rozkosz? Jest dla nich środkiem, narzędziem, niewyczerpanym źródłem podniecia i kontroli. Palce hrabiny wsuwały się i wysuwały. Panna Temple jęknęła.

- Twój umysł płonie! - syknął hrabia. - Nie zdołasz przed nim umknąć... mamy cię, musisz się poddać... twoje ciało zdradzi cię, twoje serce także... już porzuciłaś nadzieję i poddałaś się... powracają niedawne wspomnienia... otaczają cię... całe twoje życie, twoja jaźń... zmieniły się, gdy twoja niegdyś czysta dusza została skalana przez użycie mojej szklanej księgi!

Gdy to mówił, czuła, jak w jej oszołomionym umyśle otwierają się drzwi do balu maskowego w Wenecji, dwóch mężczyzn podglądanych przez dziurkę, modelki na otomanie, niebiańskiego seraju i tyłu, tyłu innych... Panna Temple dyszała, gdy hrabina zręcznie pieściła palcami najintymniejsze zakątki jej ciała, przyciskając usta do jej ucha i podsycając jej rozkosz cichymi drwiącymi pojękiwaniami, które - choć były odgłosami udawanej ekstazy - jeszcze bardziej ją podniecały... Panna Temple poczuła rosnące oszołomienie, w które zaraz mogła zapaść, niczym w ciepłą chmurę... Nagle jednak zamknęła oczy i ujrzała się w powozie, napastowaną przez wrogów, potem martwego Changa z bladą twarzą zalaną krwią, uciekającego z płaczem doktora i w końcu, jakby była to odpowiedź, której szukała, bezkresną pustkę białego piasku na brzegu obojętnego błękitnego morza... Cofnęła się znad skraju przepaści, zdecydowawszy, iż to ich otchłań, nie jej.

I właśnie w tym momencie, w sposób, który powiedział jej, że tamci nie dostrzegli jej duchowego zwycięstwa, hrabina zabrała rękę i z drwiącym uśmiechem wróciła na swoje miejsce. Hrabia puścił jej szyję i odchylił się. Poczowała, jak podniecenie opada, a ciało instynktownie protestuje przeciwko nagłemu braku stymulujących bodźców. Napotkała ich spojrzenia i zobaczyła, że doprowadzili ją do tego stanu tylko po to, żeby dowieść jej, jak jest uległa. Spoglądali na nią z wyniosłą pogardą, która przed chwilą byłaby miażdżąca. Zanim zdążyła coś powiedzieć, dłoń hrabiny - ta sama, która przed chwilą była pod jej suknią - mocno uderzyła ją w twarz. Głowa panny Temple odskoczyła i zapiekł ją policzek. Hrabina uderzyła ją ponownie, równie mocno, rzucając w kąt powozu.

- Zabiłaś dwóch moich ludzi - syknęła wściekle. - Nie myśl, że o tym zapomniałam.

Panna Temple dotknęła zdrętwiałej twarzy, zaskoczona i wstrząśnięta. Poczowała pozostawioną przez dłoń hrabiny wilgoć - swoją własną. Gwałtowny przyptyk gniewu wywołanego policzkiem ostudziła przykra świadomość faktu, że w ciasnym wnętrzu powozu unosi się zapach jej podniecenia. Gwałtownie obciągnęła suknię i zobaczyła, że hrabina metodycznie wyciera palce w chusteczkę. Ich próba zademonstrowania jej, jak bardzo jest

bezsilna, tylko wzmocniła opór panny Temple. Pociągnęła nosem i zamrugała, powstrzymując łzy. Otuchy dodał jej widok jej zielonej torebki, wystającej z kieszeni obszernego futra hrabiego d'Orkancza.

\*

Powóz zajechał na dworzec Stropping, gdzie pannie Temple znów kazano iść boso po schodach i peronie do pociągu. Była pewna, że stopy będzie miała zupełnie czarne od kurzu pozostawionego przez tłumy podróżnych, i nie myliła się. Przystanęła i spojrzała na nie z nieskrywanym obrzydzeniem, zanim popchnięto ją naprzód. I znów hrabia i hrabina szli po jej bokach, księżę i jego narzeczona za nimi, a trzech pozostali zamykali pochód. Przechodzący obok ludzie uprzejmie się kłaniali - zapewne księciu i pannie Vandaariff, których łatwo było rozpoznać - lekko zaskoczeni widokiem bosonogiej młodej damy, którą najwidoczniej było stać na służącą do układania włosów, ale nie na obuwie. Panna Temple nie zwracała na nich uwagi, nawet gdy ich pytające spojrzenia zmieniały się w otwartą dezaprobatę. Przez cały czas szukała jakiejś możliwości ucieczki, lecz żadnej nie znalazła. Nie skorzystała nawet z pomocy dwóch umundurowanych konstabli, gdyż w takim eleganckim towarzystwie nikt nie uwierzyłby w jej opowieść o porwaniu, a tym bardziej spisku. Będzie musiała uciec jakoś z pociągu.

Właśnie podjęła tę decyzję, gdy z głębokim niepokojem zauważyła dwie postacie czekające z konduktorem na pomoście, w otwartych drzwiach ostatniego wagonu. Na podstawie opisu podanego przez doktora Svensona rozpoznała w jednej z nich Francisa Xoncka, w zapiętym na jeden guzik długim płaszczu, którego jeden rękaw zwisał pusty, gdyż nie mieściła się w nim grubo obandażowana ręka. Drugą osobą był wysoki mężczyzna w nienagannie wyprasowanym płaszczu, człowieka, którego rozpoznałaby nawet z drugiego końca dworca. Panna Temple przystanęła, lecz hrabia d'Orkancz delikatnie złapał ją za ramię i pociągnął za sobą, dopóki po kilku krokach nie doszła do siebie. Wtedy ją puścił - nawet nie zaszczycił jej spojrzeniem. Zerknęła na hrabinę i zauważyła, że kobieta uśmiecha się z okrutnym rozbawieniem.

- Ach, spójrz, to Bascombe i Francis Xonck! Może podczas podróży będzie czas na pojednanie kochanków!

Panna Temple znów przystanęła i dłoń hrabiego ponownie popchnęła ją naprzód.

\*

Roger pospiesznie przesunął po niej wzrokiem, lecz zauważyła, choć próbował skryć to za beznamietną maską urzędnika, że jej obecność jest mu równie niemiła jak jego jej. Kiedy rozmawiali ostatni raz? Dziewięć dni temu? Dziesięć? Wtedy byli jeszcze zaręczeni i

się kochali. Na samą myśl o tym twarz panny Temple wykrzywił grymas niechęci. Czyż wydarzenia ostatnich godzin mogły bardziej zmienić sens tego słowa? Wiedziała, że teraz dzieli ich przepaść, jakiej wcześniej nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, różnice przekonań i doświadczeń równie głębokie jak ocean, który przepłynęła, aby wejść w świat Rogera Bascombe'a. Musiała zakładać, że Roger oddał się klice i jej procesowi, amoralnym przyjemnościom, zdeprawowanym w stopniu, jaki mogła sobie jedynie wyobrazić na podstawie swojego kontaktu z księgą. Musiał brać udział w zamordowaniu swego wuja - bo jak inaczej odziedziczyłby tytuł? Zapewne przyglądał się także - a może nawet uczestniczył? - gdy popełniano morderstwa i jeszcze gorsze zbrodnie, może nawet na Kardynale Changu? Nie chciała w to wierzyć, a jednak był tutaj. A co ze zmianami, jakie zaszły w niej samej? Panna Temple wróciła myślami do tamtej okropnej nocy, którą przeplakała w łóżku nad listem Rogera. Czym było to zerwanie w porównaniu z napaścią Spragga, groźbami hrabiny czy zwierzęcą brutalnością procesu? Czym było w porównaniu z zasobami determinacji i przebiegłości, siły woli i odwagi, jakie w sobie odkryła? Albo wobec możliwości pełnoprawnego uczestniczenia w przygodach doktora i Changa? Spojrzenie Rogera padło na jej brudne nogi. W jego obecności zawsze była nienagannie elegancka i widziała, że w tym momencie patrzy na nią - a w tej sytuacji nie mógł patrzeć inaczej - jak na coś, co odrzucił. Na moment podupała na duchu, ale zaraz wyprostowała się dumnie, rozdymając nozdrza. Nieważne, co sobie myśli Roger Bascombe - to nie ma już żadnego znaczenia.

Francis Xonck zainteresował ją jedynie przez krótką chwilę, wystarczającą, by rzucić mu taksujące spojrzenie. Znała jego historię - nicpoń i hulaka, brat Henry'ego Xoncka - i zobaczyła wszystko, co chciała, widząc jego napuszoną pawią pozę i krzywy uśmieszek, z satysfakcją notując wyraźnie dokuczliwą i bolesną kontuzję ręki. Zastanawiała się, jak się jej nabawił, i żałowała, że nie była tego świadkiem.

Ci dwaj wyszli im naprzeciw, żeby przywitać hrabinę. Xonck pierwszy skłonił się i wyciągnąwszy rękę, ujął jej dłoń i podniósł do ust. Jakby panna Temple nie była dostatecznie zmieszana, że zgrozą ujrzała, jak Francis Xonck dyskretnie kręci nosem, trzymając dłoń hrabiny - tę samą, która wcześniej była między jej nogami. Uśmiechając się szelmowsko i patrząc hrabinie w oczy - która odpowiedziała mu równie łajdackim uśmiechem - Xonck, zamiast ucałować palce, powoli przesunął po nich językiem. Puścił dłoń, stukając obcasami, i z domyślnym szyderyczym uśmiechem odwrócił się do panny Temple. Nie podała mu ręki, a on nie wyciągnął swojej, po czym uśmiechnął się jeszcze szerzej i skinął głową hrabiemu. Panna Temple nie zwracała już na niego uwagi, mimo woli patrząc, jak Roger składa pocałunek na dłoni hrabiny. Zauważyła, że i on poczuł jej zapach, chociaż zareagował nań

lekkim zmieszaniem, a nie szelmowskim uśmiechem. Nie patrząc w roześmiane oczy hrabiny, musnął wargami i puścił jej dłoń.

- Sądzę, że wy dwoje już się znacie - powiedziała hrabina.

- Istotnie - odparł krótko Roger Bascombe. Skłonił się. - Panno Temple.

- Panie Bascombe.

- Widzę, że zgubiła pani buty - rzekł, okazując chęć nawiązania uprzejmej rozmowy.

- Lepiej buty niż duszę, panie Bascombe - powiedziała, choć te słowa wydały jej się szorstkie i dziecinne. - Czy może powinnam powiedzieć, lordzie Tarr?

Roger na moment spojrzał jej w oczy, jakby było coś, czego nie mógł lub nie chciał powiedzieć w tym towarzystwie. Potem odwrócił się, kierując swoje słowa do hrabiego i hrabiny:

- Jeśli pozwolicie, powinniśmy wsiadać. Pociąg zaraz mszy.

\*

Panna Temple została sama w przedziale wagonu, który jej towarzysze najwyraźniej mieli wyłącznie dla siebie. Spodziewała się - lub obawiała - że hrabia i hrabina wykorzystają tę podróż, aby znów ją molestować, lecz gdy hrabia otworzył przedział i wepchnął ją do środka, odwróciwszy się, zobaczyła, jak zamyka za nią drzwi i spokojnie oddala się korytarzem. Natychmiast spróbowała drzwi otworzyć. Nie były zamknięte na klucz i wystawiwszy głowę, zobaczyła kilka metrów dalej Francisca Xoncka pogrążonego w rozmowie z jakimś macklenburskim oficerem. Na dźwięk otwieranych drzwi odwrócili się z tak zirytowanymi i groźnymi minami, że panna Temple cofnęła się do przedziału, obawiając się, że za nią przyjdą. Nie zrobili tego i po kilku niespokojnych minutach panna Temple usiadła i próbowała się zastanowić, co robić. Wieźli ją do Harschmort, samotną, nieuzbrojoną i w dodatku bosą. Jaki jest pierwszy przystanek po drodze do Orange Canal? Crampton Place? Gorsemont? Packington? Czy podczas postoju na stacji mogłaby dyskretnie otworzyć okno i opuścić przez nie pociąg? Czy zdołałaby zeskoczyć z takiej wysokości - dobrych kilku metrów - na tory, nie raniąc sobie nóg na kamieniach? Była pewna, że gdyby po takim skoku nie mogła biec, zostałaby natychmiast złapana. Panna Temple westchnęła i zamknęła oczy. Czy ma inne wyjście?

Zastanawiała się, która jest godzina. Przejścia z książką i w powozie były bardzo wyczerpujące. Bardzo chętnie napiłaby się czegoś, a jeszcze chętniej zasnęła w bezpiecznym miejscu. Podciągnęła nogi na siedzenie i zebrała suknię wokół nich, kuląc się i czując jak przewożone dokądś zwierzę w kącie klatki. Wbrew najlepszym chęciom wróciła myślami do Rogera i znów zdumiała się odległością, na jaką oddalili się od swego dawnego życia.

Przedtem zerwanie z nią było jedynie jedną z wielu rzeczy - tak jak jego rodzina czy skrupuły - z których zrezygnował dla swoich ambicji. Teraz jednak jechali tym samym pociągiem, zaledwie kilka metrów od siebie. Nic nie powstrzymało go przed przyjściem do jej przedziału (hrabina z pewnością pozwoliłaby na to, choćby dla zabawy), a jednak nie robił tego. Chociaż on również musiał przejść proces transformacji ze wszystkimi jego konsekwencjami, uznała takie postępowanie za celowo okrutne - bo czy nie trzymał jej w ramionach? Czy nie pozostała w nim ani odrobina tamtej sympatii lub troski, choćby tyle, by ją pocieszyć i uspokoić wyrzuty sumienia wywołane czekającym ją losem? Najwyraźniej nie i mimo wcześniejszych postanowień oraz duchowych zwyczajów nad księgą i oprawcami - bo czy cokolwiek one zmieniały? - panna Temple znów znalazła się sama w jałowej krainie swej straty.

\*

Drzwi przedziału otworzył macklenburski oficer. W rękę trzymał metalową manierkę, którą wyciągnął w jej stronę. Chociaż zaschło jej w gardle, zawahała się. Z irytacją zmarszczył brwi.

- Woda. Weź ją.

Odkorkowała manierkę i napiła się. Odetchnęła i napiła się raz jeszcze. Pociąg zwalniał. Otarła usta i oddała manierkę. Wziął ją, ale nie mszył się z miejsca. Pociąg stanął. Czekali w milczeniu. Ponownie podał jej manierkę. Panna Temple pokręciła głową.

Zakorkował manierkę. Pociąg ruszył. Z przygnębieniem zobaczyła napis „Crampton Place”, przesuwający się za oknem i znikający jej z oczu. Kiedy pociąg znowu nabral prędkości, żołnierz skłonił się i opuścił przedział. Panna Temple ponownie podkulila nogi i oparła głowę o podgłówek, postanawiając raczej zasnąć niż zalać się łzami.

Żołnierz budził ją, pojawiając się znowu, gdy pociąg stanął na Packington, Gorsemont, de Conque i Raaxfall. Za każdym razem przynosił stalową manierkę z wodą i stał, nic nie mówiąc, dopóki pociąg nie nabral prędkości - wtedy zostawiał ją samą. Po de Conque panna Temple już nie zasnęła, nie tylko dlatego, że irytowało ją to częste budzenie, ale po prostu nie miała ochoty na sen. Zastąpiło ją uczucie, którego nie potrafiła nazwać, dokuczliwe i niepokojące, pod wpływem którego raz po raz wierciła się na siedzeniu. Nie wiedziała, gdzie jest - a raczej, co uświadomiła sobie ze wstrząsem jak po uderzeniu kuli - nie miała pojęcia, kim jest. W krótkim czasie oswoiwszy się z niezwykłością życia pełnego przygód - strzelanin, ucieczek po dachach, szukania śladów w piecach - jakby leżały w jej charakterze (i przez chwilę panna Temple z satysfakcją przypominała sobie wszystkie swoje awanturnicze wyczyny z kilku ostatnich dni), w obliczu klęski musiała stawić czoło innej

możliwości, a mianowicie takiej, że jest tylko naiwną i upartą młodą kobietą, niepotrafiącą zrozumieć grozy sytuacji. Pomyślała o doktorze Svensonie na dachu. Był przerażony, lecz kiedy ona i Chang wychylili się za krawędź, by spojrzeć na ulicę, doktor zdołał sam przejść po dachach hotelu Boniface i dwóch następnych budynków, nawet przeskakując nad (wąskimi co prawda, ale strach nie rządzi się logiką) szczelinami między domami. Wiedziała, jak dużo go to kosztowało, a wyraz jego twarzy zdradzał determinację, jakiej ona nie miała - o czym świadczyły ostatnie wydarzenia.

Chociaż surowa, ta samokrytyka pomogła panie Temple, tak że trzeźwo, choć ponuro - zirytowana brakiem notesu i ołówka (och, jakże chciałyby mieć ołówki!) - zaczęła zastanawiać się, jakie ma perspektywy. Nie wiedziała, czy znów będą ją molestowali i oczerniali, tak jak nie potrafiła powiedzieć, czy mimo słów hrabiny nie zabiją jej przed lub po torturach. Znów zadrżała, w pełni uświadamiając sobie, jak śmiertelnie niebezpieczni są jej wrogowie, i zaparło jej dech na myśl o jeszcze gorszej możliwości - o procesie transformacji. Czyż mogło być coś gorszego od przemiany w kogoś, kim gardziła? Śmierć i tortury byłyby przynajmniej działaniami przeciwko niej. Natomiast proces zniszczyłby jej poczucie tożsamości i siedząc w tym przedziale, panna Temple zdecydowała, że na to nie pozwoli. Czy miało to oznaczać skok do kotła, czy wciągnięcie w płuca szklanego pyłu jak Chang lub po prostu sprowokowanie jakiegoś strażnika, żeby skręcił jej kark - nigdy nie podda się jego złowroziej kontroli. Przypomniała sobie nieboszczyka opisanego przez doktora - to, co kawałki rozbitej księgi uczyniły z jego ciałem. Jeśli tylko zdoła złapać taką księgę i ją rozbić albo trzymając w ramionach, rzucić się na posadzkę - szkło z pewnością rozsypie się na kawałki, pozbawiając ją życia. Może hrabina miała rację, może śmierć w wyniku zatrucia błękitnym szkłem niesie odrobinę upajających snów.

\*

Zaczęła się robić głodna - choć z przyjemnością wypila herbatę, nie był to pożywny posiłek - więc po kilku minutach, nie zdoławszy wymyślić nic innego, otworzyła drzwi przedziału i znów wyjrzała na korytarz. Żołnierz stał tam, gdzie przedtem, ale zamiast Francisa Xoncka towarzyszył mu krępy mężczyzna z bliznami na twarzy.

- Przepraszam! - zawołała Panna Temple. - Jak się pan nazywa?

Żołnierz zmarszczył brwi, jakby sam fakt, że coś do niego powiedziała, stanowił niewybaczalne naruszenie etykiety. Mężczyzna z bliznami - który chyba trochę doszedł do siebie, nie miał już tak szklistych oczu i poruszał się nieco sprawniej - odparł, lekko przeciągając słowa.

- To major Blach, a ja jestem Herr Flaüss, poseł macklenburskiej misji dyplomatycznej, towarzyszący księciu Karlowi-Horstowi von Maasmärckowi.

- To jest major Blach? - Jeśli major był zbyt dumny, żeby z nią rozmawiać, panna Temple z przyjemnością będzie mówiła o nim, jakby był słupem. Wiedziała, że był jednym z prześladowców doktora i Changa. - Nie miałam pojęcia - powiedziała. - Ale oczywiście wiele o nim słyszałam. O was obu.

W rzeczywistości niewiele słyszała o pośle poza tym, że doktor go nie lubił, a nawet i tego nie wyraził słowami, tylko roztargnionym wzruszeniem ramion, ale sądziła, że każdy lubi, by o nim mówiono, poddany procesowi czy nie. Oczywiście wiedziała, że major jest śmiertelnie niebezpiecznym przeciwnikiem.

- Możemy czymś służyć? - spytał poseł.

- Jestem głodna - odparła panna Temple. - Chciałabym coś zjeść, jeśli to możliwe w tym pociągu. Wiem, że minie co najmniej godzina, zanim dotrzemy do Orange Canal.

- Prawdę mówiąc, nie wiem - powiedział poseł - ale zaraz zapytam.

Skłonił się jej i odszedł korytarzem. Panna Temple patrzyła, jak odchodzi, a potem zauważyła, że major nie spuszcza jej z oczu.

- Wracaj do środka - warknął.

\*

Kiedy pociąg zatrzymał się w St. Triste, major wszedł do przedziału, niosąc oprócz manierki paczuszkę owiniętą w biały woskowany papier. Bez słowa wręczył obie rzeczy pannie Temple. Nie próbowała jej otworzyć, woląc zrobić to w samotności - w końcu była to jedyna dostępna rozrywka - więc oboje w milczeniu czekali, aż pociąg mszy. Kiedy tak się stało, major wyciągnął rękę po manierkę. Nie dała mu jej.

- Mogę popić posiłek wodą?

Major obrzucił ją gniewnym spojrzeniem. Najwyraźniej nie miał żadnego powodu, by odmówić, poza złośliwością, która jedynie zdradziłaby większe zainteresowanie, niż chciał jej okazać. Zostawił manierkę i opuścił przedział.

Zawartość białej pacuszki nie była zbyt interesująca - cienki klin białego sera, kromka ryżowego chleba i dwa marynowane buraki, które zabarwiły chleb i ser na czerwono. Mimo to zjadła je tak wolno i metodycznie, jak umiała - na przemian odgryzając małe kęsy i przeżuując co najmniej dwadzieścia razy przed połknięciem. Tak minęło około piętnastu minut. Potem wypila resztę wody z manierki i zakorkowała ją. Zgniotła papier w kulę i z manierką w dłoni wyjrzała na korytarz. Major i poseł stali tam gdzie poprzednio.

- Skończyłam! - zawołała. - Jeśli chce pan zabrać manierkę.

- Jakże uprzejmie z pani strony - powiedział poseł Flauss i trącił łokciem majora, który pomaszzerował do niej i wyrwał manierkę z jej ręki. Panna Temple pokazała mu kulę papieru.

- Mógłby pan zabrać i to? Z pewnością nie chce pan, żebym posłała po konduktora!

Major zrobił to bez słowa. Panna Temple zatrzepotała rzęsami, a potem, kiedy major się odwrócił, zrobiła to samo, patrząc na posła, i wróciła na swoje miejsce, chichocząc. Nie miała pojęcia, co w ten sposób zyskała, lecz to łobuzerskie zachowanie pozwoliło jej odzyskać odwagę.

W St. Porte major Blach do niej nie przyszedł. Gdy pociąg zwolnił i nikt się nie pojawił, panna Temple spojrzała na drzwi przedziału. Czyżby rozzłościła go tak, żeby dał jej okazję otworzyć okno? Wstała, wciąż patrząc na pusty korytarz, a potem gorączkowo zaczęła szarpać zasuwki okna. Nie zdołała otworzyć nawet pierwszej, gdy za plecami usłyszała cichy trzask otwieranych drzwi. Odwróciła się, gotowa powitać dezaprobatę majora rozbajającym uśmiechem.

Zamiast żołnierza w drzwiach stał Roger Bascombe.

\*

- Ach - powiedziała. - Pan Bascombe. Skłonił się sztywno.

- Panna Temple.

- Zechce pan usiąść?

Miała wrażenie, że się zawahał, może dlatego, iż zastał ją w trakcie otwierania okna, a może dlatego, że tyle między nimi pozostało niedopowiedziane. Wróciła na swoje miejsce, najlepiej jak mogła, schowała brudna stopy pod sukienką i czekała, aż Roger mszy się z wciąż otwartych drzwi. Kiedy tego nie zrobił, zapytała z uprzejmością podszytą odrobiną zniecierpliwienia:

- Dlaczego mężczyzna miałby bać się usiąść? Nie powinien - chyba tylko tego, że okaże się źle wychowany, stojąc jak domokrążca... albo ołowiany macklenburski żołnierz.

Skarcony i - co poznała po wydęciu ust - zirytowany Roger zajął miejsce naprzeciwko niej. Nabrał tchu.

- Panno Temple... Celeste...

- Widzę, że twoje blizny już się zagoiły - powiedziała zachęcająco. - Pani Marchmoor wciąż je ma i przyznaję, że wyglądają bardzo nieprzyjemnie. Co do biednego pana Flaussa - a może powinnam mówić Herr Flaussa - to ze swoją aparycją równie dobrze mógłby być tamowanym tubylcem z kręgu polarnego!

Z satysfakcją zobaczyła, że Roger skrzywił się, jakby ktoś wepchnął mu pod język plasterek cytryny.

- Skończyłaś? - zapytał.

- Nie wydaje mi się, ale dam ci znać, jeśli tego sobie...

- Nie dziwi mnie to, że nieustannie skupiasz uwagę na takich drobiazgach - warknął na nią Roger. - Zawsze taka byłaś, ale nawet ty powinnaś rozumieć powagę swojej sytuacji!

Panna Temple nigdy nie słyszała z jego ust równie lekceważących i gwałtownych słów. Odpowiedziała mu cicho, lodowatym tonem.

- Doskonale ją rozumiem... zapewniam pana... panie Bascombe.

Nie odpowiedział i z rosnącą irytacją zrozumiała, że czeka, aż ona zrozumie to, co uważał za zapomnienie. Zdecydowana nie przerywać pierwsza milczenia, panna Temple zaczęła studiować zmiany w jego wyglądzie i zachowaniu - wbrew sobie, gdyż wciąż miała nadzieję zareagować jedynie wzdrygniętym grymasem na jego uwagę. Pojęła, że spotkanie z Rogerem dawało jej doskonałą okazję odkrycia skutków procesu transformacji. Spotkała się już z panią Marchmoor i księciem - z jej pragmatyzmem i z jego beznamietną obojętnością - ale tych dwojga przedtem nie знаła. To, co wyczytała z twarzy Rogera Bascombe'a, zabolalo ją bardziej niż cokolwiek innego, gdyż ta transformacja - co niestety wiedziała w głębi serca - była czymś, czego szczerze pragnął. Roger zawsze zważał na to, co właściwe i przyzwoite, skrupulatnie przestrzegając towarzyskich konwenansów, doskonale pamiętając, kto nosi jaki tytuł i jakie posiada włości - ale wiedziała i częściowo dlatego go lubiła, że ta pieczołowitość wynikała z braku własnego tytułu i podrzędnej pozycji w ministerstwie - czyli z wrodzonej ostrożności. Teraz widziała, że to się zmieniło, że jego umiejętność zapamiętywania różnych interesów i pozycji towarzyskich nie była już obroną, lecz wprost przeciwnie, służyła do manipulowania ludźmi dla własnych korzyści. Nie wątpiła, że sokolim okiem spoglądał na innych członków organizacji, czekając na ich najmniejsze potknięcie (tak jak nagle nabrała przekonania, że skrycie cieszyło go obandażowane ramię Francisa Xoncka). Przedtem, kiedy Roger krzywił się na jej wybuchy lub wyrażane opinie, robił to z powodu jej braku taktu lub chęci do podtrzymywania towarzyskiej rozmowy, którą usiłował nawiązać - I a jego reakcja była dla niej źródłem złośliwej przyjemności. Teraz, chociaż próbowała go sprowokować, widziała jedynie wysilone, niechętnie pobłażanie, którego źródłem było rozczarowanie wywołane przekonaniem, że ta rozmowa to strata czasu. Ta zmiana nieoczekiwanie napełniła pannę Temple smutkiem.

\*

- Pomyślałem, że dołączę do ciebie na chwilę - zaczął - jak sugerowała hrabina di Lacquer-Sforza...

- Jestem pewna, że hrabina podsuwa ci różne sugestie - przerwała mu panna Temple - i nie wątpię, że ochoczo ich słuchasz!

Czy sama w to wierzyła? Ten zarzut był zbyt łatwy do wysunięcia, żeby go nie wykorzystać... chociaż nie zrobił na nim żadnego wrażenia.

- Ponieważ - dodał po chwili wahania - po przybyciu do Harschmort House masz przejść przez proces transformacji, okaże się, że choć w ciągu ostatnich dni nasze drogi się rozeszły, potem staniemy po jednej stronie - jako sprzymierzeńcy.

Nie tego się spodziewała. Patrzył na nią wyczekująco, defensywnie, jakby jej milczenie było preludium do następnego wybuchu dziecinnej złości.

- Celeste, proszę cię, żebyś była rozsądna. Mówię o faktach. Jeśli to konieczne, jeżeli to wyjaśni sytuację, ponownie zapewniam cię, że z mojej strony nie ma mowy o jakimkolwiek uczuciu... ani urazie.

Panna Temple nie mogła uwierzyć własnym uszom. Urazie? Przecież to ona została tak podle porzucona, to ona znosiła przez niezliczone wieczory i popołudnia towarzystwo prawie zmumifikowanych, głupkowatych członków niebogatej rodziny Bascombe'ów!

- Słucham? - zdołała wykrztusić. Odkaslnął.

- Chcę powiedzieć... przyszedłem powiedzieć... nasz nowy sojusz... skoro przejdiesz na naszą stronę, to jak znam hrabinę, będzie nalegała, abyśmy działali we dwoje...

Panna Temple zmrużyła oczy na myśl o tym, co mogłoby to oznaczać.

- ...byłoby najlepiej, gdybyś, jako osoba rozsądna, tak samo jak ja pozbyła się próżnych nadziei i bezsensownej goryczy. Zapewniam cię, to będzie mniej bolesne.

- A ja zapewniam cię, Rogerze, że już to zrobiłam. Niestety, przez ostatnie dni miałam tyle zajęć, że jeszcze nie zdążyłam wyzbyć się głębokiej pogardy.

- Celeste, mówię to dla twojego dobra, nie mojego... to wielkoduszność... naprawdę.

- Wielkoduszność?

- Nie spodziewam się, żebyś to dostrzegła - wymamrotał.

- Oczywiście, że nie! Nie ja pozwoliłam, aby maszyna przerobiła mi mózg!

\*

Roger przez chwilę patrzył na nią w milczeniu, a potem powoli wstał, wygładził płaszcz i z przyzwyczajenia przeczesał włosy palcami. Nawet teraz w głębi serca uważała, że jest bardzo przystojny. Jednak w spojrzeniu, którym ją mierzył, zobaczyła coś, czego przedtem nie widziała - nieskrywaną pogardę. Nie był rozgniewany, w istocie najbardziej zabolął ją brak jakichkolwiek emocji. To naprawdę nie miało sensu. W pamięci panny

Temple takie chwile zawsze łączyły się z jakimiś uczuciami, tak więc Roger Bascombe wydał jej się inny od wszystkich znanych jej ludzi.

- Zobaczysz - powiedział chłodnym i cichym głosem - proces gruntownie cię odmieni i ujrzysz - jestem pewien, że po raz pierwszy w życiu - prawdziwą naturę swojego ciasnego umysłu. Hrabina twierdzi, że masz cechy charakteru, których nie dostrzegłem - z czym mogę się tylko zgodzić. Zawsze byłaś dość ładna, ale jest wiele ładnych dziewcząt. Czekam z niecierpliwością, aż zostaniesz odmieniona do szpiku kości przez tę „maszynę”, której doskonałości nie jesteś w stanie pojąć. Wtedy przekonam się, czy jest w tobie coś naprawdę szczególnego.

Opuścił przedział. Panna Temple nie ruszała się, analizując jego zjadliwe słowa i tysiąc możliwych odpowiedzi, zarumieniona i zaciskająca pięści. Spojrzała w okno i ujrzała w nim swoje odbicie rzucone między nią a ciemny krajobraz jałowej trawiastej równiny przemykającej za oknem. Pomyślała, że to niewyraźne, przezroczyście odbicie jest dokładnym odzwierciedleniem jej stanu - we władzy innych, mając tylko częściowy wpływ na swój los, nieważna i na pół rzeczywista. Westchnęła. Jak to możliwe, że Roger Bascombe wciąż budzi w niej jakieś uczucia? Jak to możliwe, że jest przez niego tak strasznie nieszczęśliwa? Ze wzburzenia nie była w stanie zebrać myśli, znaleźć punktu wyjścia, od którego mogłaby zacząć szukanie odpowiedzi. Serce biło jej coraz mocniej, aż w końcu usiadła, kryjąc twarz w dłoniach i ciężko dysząc. Podniosła głowę. Pociąg zwalniał. Przycisnęła twarz do okna, dłonią zasłaniając padające z korytarza światło, i przez odbicie w szybie zobaczyła stację, peron i białą tablicę z napisem „Orange Locks”. Odwróciła się i ujrzała majora Blacha, który otworzył drzwi i skinął, by wyszła.

\*

Za peronem czekały dwa powozy, każdy zaprzężony w cztery konie. Do pierwszego, z narzeczoną trzymającą go pod rękę, wsiadł książę, a za nim, tak jak poprzednio, poseł i starszy mężczyzna z zabandażowaną ręką. Major zaprowadził pannę Temple do drugiego powozu, otworzył drzwi i pomógł jej wsiąść. Skłonił głowę i odsunął się - niewątpliwie, by dołączyć do księcia - a na jego miejscu pojawił się hrabia d'Orkancz, który usiadł naprzeciwko niej, potem hrabina - zajęła miejsce obok niej i naprzeciwko hrabiego - później Francis Xonck, który z uśmiechem usiadł obok d'Orkancza, i na końcu, z twarzą bez wyrazu, Roger Bascombe. Ten zawahał się przez moment, widząc, że z powodu mszy hrabiego i miejsca zajmowanego przez grubo obandażowaną rękę Xoncka jedyne wolne miejsce zostało akurat obok panny Temple. Bez komentarza wsiadł do powozu. W ten sposób panna Temple została wciśnięta między hrabinę a Rogera. Ich nogi stykały się ze sobą w drwiąco poufały

sposób. Stangret zamknął drzwi i wspiął się na kozioł. Trzasnął z bata i powóz z turkotem potoczył się ku Harschmort.

\*

Jechali w milczeniu i po pewnym czasie panna Temple, która początkowo założyła, że to z powodu obecności jej jako intruza, krzyżującego ich plany i spiski, zaczęła się zastanawiać, czy tak jest naprawdę. Byli dostatecznie ostrożni, by niczego nie wyjawiać, a mimo to zaczęła wyczuwać istniejącą między nimi rywalizację i nieufność... szczególnie po tym, jak dołączył do nich Francis Xonck.

- Kiedy możemy oczekiwać diuka? - zapytał.

- Jestem pewien, że przed północą - odparł hrabia.

- Rozmawiałeś z nim?

- Mówił z nim Crabbé - powiedziała hrabina. - Nie ma powodu, żeby robił to ktoś inny. To tylko skomplikowałoby sprawy.

- Wiem, że wszyscy wsiedli do pociągu... wszystkie gmpy - dodał Roger. - Pułkownik miał osobiście odebrać diuka, a dwaj nasi ludzie...

- Nasi? - zapytał hrabia.

- Z ministerstwa - wyjaśnił Roger.

- Aha.

- Wyjechali mu na spotkanie.

- Jakże przezornie - mruknęła hrabina.

- A co z twoją kuzynką Pamelą? - spytał Xonck. - I jej pozbawionym praw bachorem? Roger nie odpowiedział. Francis Xonck drwiąco zachichotał.

\*

- A mała księżniczka? - zapytał Xonck. - *La Nouvelle Marie?*

- Doskonale odegra swoją rolę - zapewniła hrabina.

- Chociaż nie ma pojęcia, jaka to rola - skrzywił się Xonck. - Co z księciem?

- Także mamy go w ręku - wychrypiał hrabia. - Jak dotrze na miejsce?

- Zapewniono mnie, że przybędzie dziś w nocy - odparł Xonck. Panna Temple zastanawiała się, dlaczego to akurat on ma jakieś wiadomości o statkach. - Kanał przez cały ostatni tydzień był zamknięty i został przygotowany.

- A co z górami i naukowym cudem doktora?

- Lorenz zdaje się pewny, że nie będzie żadnych problemów - odrzekła hrabina. - Najwidoczniej ładunek doskonale się zmieścił.

- A co z... hmm... lordem? - zapytał Roger.

Nikt mu nie odpowiedział. Tamci spoglądali po sobie.

- Pan Crabbé był ciekaw... - zaczął Roger.

- Lord zgadza się na wszystko - powiedziała hrabina.

\*

- A co z wyznawcami? - spytała hrabina.

- Blenheim przysłał wiadomość, że dyskretnie przybywali przez cały dzień - odparł Roger - razem ze szwadronem dragonów.

- Nie potrzebujemy więcej żołnierzy. Ich obecność to błąd - stwierdził hrabia.

- Zgadzam się - powiedział Xonck. - Jednak Crabbe nalega, a zgodziliśmy się słuchać go we wszystkich sprawach dotyczących rządu.

Hrabina zwróciła się do siedzącego po drugiej stronie panny Temple Rogera.

- Czy ma on jakieś nowe informacje o... o naszym nieodżałowanym szwagrze dragonie?

- Nie, a przynajmniej ja nic nie wiem. Oczywiście, nie rozmawialiśmy od...

- Blach upiera się, że to załatwione - rzekł Xonck.

- Pułkownik został otruty - warknęła hrabina. - To nie jest metoda tego, którego major chce o to winić, nie mówiąc już o tym, że ten człowiek zapewnił swego zleceniodawcę, iż tego nie zrobił, chociaż otrzymałby za to pieniądze. Co więcej, skąd wiedziałby, kiedy dopaść ofiarę tak, żeby była bezbronna po przejściu przez proces? Nie mógł tego wiedzieć. O tym wiedzieli tylko wybrani - i to bardzo nieliczni. - Wskazała zabandażowaną rękę Xoncka i skrzywiła się. - To ma być eleganckie rozwiązanie?

Xonck nie odpowiedział.

Po chwili Roger Bascombe odkaszlnął i powiedział spokojnie:

- Może major też powinien poddać się procesowi.

\*

- Ufasz, że Lorenz załadował wszystko na pokład? - zapytał Xonck hrabiego. - Termin był krótki, a tak duże ilości...

- Oczywiście - uciął szorstko hrabia.

- Jak wiesz - ciągnął Xonck - rozesłano zaproszenia.

- Sformułowane tak, jak uzgodniliśmy? - upewniła się hrabina.

- Oczywiście. Dostatecznie groźne, by zwrócić uwagę... jeśli jednak nie będziemy mieli odpowiedniego środka nacisku ze zbiorów na wsi...

- Jestem pewna, że będziemy mieli - zachichotała hrabina. - Jeśli jest przy nim Elspeth Poole, a doktor Lorenz dołoży wszelkich starań.

- W zamian za jej udział w tych wysiłkach! - zaśmiał się Xonck. - Jestem pewien, że ta transakcja przemówi do jego matematycznego umysłu. No wiecie, sinusy, tangensy i półkule.

- A co z naszą sroczką? - zapytał Xonck, przechylając głowę, żeby spojrzeć w twarz pannie Temple. - Czy jest godna procesu? Czy jest godna księgi? Czegoś zupełnie innego? A może nie da się przekabacić?

- Każdego można przekabacić - powiedział hrabia. Xonck nie zwrócił na niego uwagi, tylko wyciągnął rękę, aby dotknąć pukla włosów panny Temple.

- Może... wydarzy się coś zupełnie innego... - Odwrócił się do hrabiego. - Czytałem zapisy na odwrocie każdego płótna. Wiem, co zamierzasz, czego próbowałeś dokonać z tą twoją azjatycką dziwką. - Hrabia nic nie powiedział, a Xonck roześmiał się, przyjmując jego milczenie za potwierdzenie swych domysłów. - Na tym polega kłopot, kiedy masz do czynienia z ludźmi mądrymi, monsieur hrabio. Jest tylu niemądrych ludzi, że ci mądrzy czasem zaczynają sądzić, że nikt nie zdoła ich przejrzeć.

- Dość tego - powiedziała hrabina. - Celeste zaszkodziła mojej reputacji, tak więc - tak jak wszyscy uzgodniliśmy - bezsprzecznie należy do mnie. - Podniosła rękę i dotknęła palcem śladu po kuli na skroni panny Temple. - Zapewniam was, że nikt nie będzie rozczarowany.

\*

Koła powozu zaturkotały na brukowanym placu przed Harschmort House i panna Temple usłyszała, jak woźnica pokrzykuje na konie, zatrzymując je. Otworzono drzwi i została przekazana dwóm lokajom w czarnej liberii. Pod nogami poczuła zimny i twardy bruk. Zanim zorientowała się, gdzie jest, zobaczyła wysiadającego z drugiego powozu księcia i jego towarzystwo. Panna Vandaariff na przemian marszczyła brwi i uśmiechała się tajemniczo. W następnej chwili hrabia mocno chwycił pannę Temple pod rękę i pociągnął w kierunku grupki osób stojących w pobliżu frontowych drzwi. Bezceremonialnie, nawet nie spojrzawszy, czy inni idą za nimi, poprowadził ją tam, a ona starała się nie potknąć na nierównym bruku. Zatrzymali się, gdy hrabia odwzajemnił pozdrowienia mężczyzny i kobiety stojących przed liczną gromadą mężczyzn, odzianych w czarne mundury macklenburskich żołnierzy i noszących czerwone mundury dragonów. Mężczyzna był wysoki i barczysty, z siwymi i zabójczo szerokimi bokobrodami oraz łysiną, która lśniła w blasku pochodni i zmieniała jego twarz w prymitywną maskę. Uprzejmie skłonił się hrabiemu. Kobieta nosiła zwykłą czarną suknię, w której wyglądała bardzo korzystnie, a na sympatycznej twarzy miała charakterystyczne ślady wokół oczu. Jej ciemnoblonde włosy były lekko podkręcone i związane z tyłu czarną wstążką. Skinęła głową pannie Temple, a potem uśmiechnęła się do hrabiego.

- Witamy z powrotem w Harschmort, monsieur - powiedziała. - Lord Vandaariff jest w swoim gabinecie.

Hrabia skinął głową i zwrócił się do mężczyzny.

- Blenheim?

- Wszystko jak kazano, monsieur.

- Zajmij się księciem. Pani Steame, proszę odprowadzić pannę Vandaariff do jej pokojów. Panna Temple dołączy do was. W swoim czasie hrabina odbierze obie damy.

Mężczyzna kiwnął głową, a kobieta dygnęła. Hrabia pociągnął pannę Temple i popchnął ją w kierunku drzwi. Obejrzała się i zobaczyła, jak kobieta - pani Steame - znów dyga przed hrabiną i panną Vandaariff, po czym całuje Lydię w oba policzki i bierze ją za rękę. Hrabia puścił pannę Temple, skupiając uwagę na wymianie zdań między Xonckiem, Blachem i Blenheimem. Pani Stearne wzięła ją za rękę i we trzy weszły do domu - a za nimi czterech lokai w liberiach.

Panna Temple zerknęła na panią Stearne, pewna, że w końcu rozpoznała czwartą kobietę z pierwszej podróży powozem do Harschmort. To ona była przebrana za pirata, przeszła przez proces transformacji w amfiteatrze, krzycząc przed widzami w eleganckich strojach. Pani Stearne zauważyła jej spojrzenie i uśmiechnęła się, ściskając jej dłoń.

Okna pokojów Lydii Vandaariff wychodziły na rozległy wypielęgnowany ogród na tyłach domu. Panna Temple domyśliła się, że niegdyś był to więzienny dziedziniec. Sam pomysł zamieszkania w takim miejscu wydał jej się makabryczny, jeśli nie śmiesznie afektowany, tym bardziej że pokoje były tak pełne koronek, że sprawiały wrażenie jednej nadmiernie wypchanej poduszki. Lydia natychmiast poszła przebrać się w jednym z bocznych pokojów razem z dwoma pokojówkami, mamrocząc do nich opryskliwie i kręcąc głową. Panna Temple została posadzona na kanapie. Na widok jej brudnych stóp panna Stearne zawołała następną pokojówkę z miednicą i ręcznikiem. Dziewczyna uklękła i starannie umyła jej nogi, jedną po drugiej, po czym wytarła je miękkim ręcznikiem. Przez cały ten czas panna Temple milczała, wciąż próbując ogarnąć sytuację, na przemian czując gniew i zwątpienie. Starła się jak najlepiej zapamiętać drogę od frontowych drzwi do apartamentów Lydii, żywiąc jednak niewielką nadzieję na ucieczkę, gdyż wszędzie roiło się od służby i żołnierzy, jakby rezydencja była obozem wojskowym. Panna Temple nie mogła nie zauważyć, że wokół nie ma niczego - pilnika do paznokci, kryształowej patery na słodycze, noża do listów czy lichtarza - który mogłaby złapać i wykorzystać jako broń.

Kiedy dziewczyna skończyła, zabrała przybory, skłoniła się najpierw pannie Temple, a później pani Steame, i opuściła pokój, obie przez chwilę siedziały w ciszy - a raczej prawie

w ciszy, gdyż gniewne uwagi wygłaszane przez pannę Vandaariff do pokojówek dochodziły do nich mimo odległości i zamkniętych drzwi.

- Była pani w powozie - powiedziała w końcu panna Temple. - Jako pirat.

- Byłam.

- Nie znam pani nazwiska. Dotychczas poznałam panią Marchmoor i słyszałam, jak inni mówili o panie Poole...

- Proszę nazywać mnie Caroline - powiedziała pani Steame. - To nazwisko mojego męża - zmarłego i nieopłakiwanego. Oczywiście, ja także nie poznałam pani nazwiska. Nie znałyśmy niczyich nazwisk i chyba wszystkie zakładałyśmy, że pozostałe są zatrudnione od dawna. Może pani Marchmoor wcześniej należała do personelu, ale jestem pewna, że była równie przestraszona i podniecona jak reszta.

- Wątpię, czyby się do tego przyznała - odparła panna Temple.

- Ja też. - Caroline się uśmiechnęła. - Wciąż nie wiem, jak znalazła się pani w powozie - to naprawdę dowodzi odwagi. A to, co zrobiła pani potem... Mogę tylko zgadywać, jakie to było trudne.

Panna Temple wzruszyła ramionami.

- Oczywiście - skinęła głową Caroline. - Jakie miała pani wyjście? Jednak zdaniem większości ludzi miała pani mnóstwo rozmaitych możliwości - choć pani sądzi inaczej - tak jak ja. I tak znalazłyśmy się tu obie. Chociaż nasze charaktery w znacznej mierze mogą być zmienione, dowiadujemy się tego stopniowo, po kolejnych próbach. Tak więc jesteśmy tu razem, mając ze sobą więcej wspólnego, niż chciałybyśmy przyznać. Chociaż tylko głupiec nie chce przyjąć prawdy do wiadomości.

\*

Suknia tej kobiety była skromniejsza, nie tak ostentacyjna jak strój pani Marchmoor - nie tak jarmarcznie imitująca sposób ubierania się bogatych - i panna Temple z przykrością uświadomiła sobie, że odczuwa instynktowną sympatię do tej osoby, należącej do jej nieprzyjaciół (co zdarzało się panie Temple dostatecznie rzadko, aby być niespodzianką samą w sobie). Niewątpliwie przydzielono ją tu właśnie w tym celu i z powodu ujmującego sposobu bycia, który przetrwał proces transformacji lub był zręczną pozą, mającą jeszcze bardziej osłabić determinację panny Temple.

- Widziałam panią - powiedziała oskarżycielskim tonem - w teatrze. Krzyczała pani...

- Na pewno krzyczałam - powiedziała Caroline. - Jednak to jak usuwanie bólowego zęba. Sam akt jest tak okropny, że zdaje się, iż nic go nie usprawiedliwia... jednak ten spokój ducha, kiedy już jest po wszystkim... Ta lekkość... A moje wcześniejsze życie było wolne od

większych trosk, rozumie pani, nie licząc drobnych codziennych zmartwień... Teraz nie wyobrażam sobie, że mogłabym się obyć... no cóż, to błogostan.

- Błogostan?

- Pewnie wydaje się to pani głupie.

- Wcale nie. Widziałam panią Marchmoor, jej... jej... spektakl, a także księgę... jedną z waszych szklanych ksiąg. Byłam w niej i te wrażenia, to wyuzdanie... Zapewne można to nazwać „błogostanem” - powiedziała panna Temple - ale zapewniam panią, że ja nie użyłabym tego słowa.

- Nie powinna pani zbyt surowo osądzać pani Marchmoor. Robi, co musi, dla osiągnięcia ważniejszego celu. Tak jak my wszyscy. Nawet pani, panno Temple. Jeśli zajrzała pani do jednej z tych nadzwyczajnych ksiąg, musi pani to wiedzieć. - Skinęła w kierunku przebieralni panny Vandaariff. - Tyle jest wrażliwych ludzi, spragnionych, potrzebujących. Tyle z tego, co pani przeczytała i zapamiętała, w istocie miało swe korzenie w samotności? Jeśli ktoś może uwolnić się od źródła tego cierpienia... czy naprawdę widzi pani w tym winę?

- Cierpienie i strata są częścią życia - odparowała panna Temple.

- Są - przyznała Caroline. - A jednak... jeśli nie muszą być? Panna Temple pokręciła głową i przygryzła wargę.

- Jest pani miła, podczas gdy inni... no cóż, to gniazdo żmij. Moi towarzysze zostali zabici. Mnie sprowadzono tu siłą. Byłam i będę zniewalana, jakby wszyscy ci elegancko ubrani ludzie byli zgrają Kozaków!

- Mam nadzieję, że tak się nie stanie, naprawdę - powiedziała Caroline. - Jednak jeśli proces coś mi wyjaśnił, to że to, co się tu dzieje, jest jedynie odzwierciedleniem tego, co zdecydowałaś - w istocie, o co prosiłaś.

- Słucham?

- Nie mówię tego, żeby cię rozzłościć. - Podniosła rękę, zanim panna Temple zdążyła oznajmić, że już się rozzłościła. - Sądzisz, że nie widzę sińców na twojej ślicznej szyi? Myślisz, że cieszy mnie ten widok? Nie jestem kobietą, która marzy o władzy czy sławie, chociaż wiem, że zabijano - nawet nie próbuję zrozumieć dlaczego - z tych powodów. Mam pewność, że popełniano morderstwa w moim otoczeniu i w tym domu. Wiem, że nie mam pojęcia o planach tych, którzy stoją wyżej. A jednak czuję, że te marzenia - ich i moje - niosą ze sobą... możesz to nazwać drugą stroną medalu albo błogością wyznaczonego celu i radość... tak, Celeste, radość poddania.

Panna Temple pociągnęła nosem i przełknęła ślinę, zdecydowana nie ulec. Nie przywykła, żeby zwracano się do niej tak poufale, i odkryła, że to ją irytuje. Ta kobieta

przedstawiała cele klikli w sposób racjonalny i pociągający, a ponieważ nie odnosiła się wrogo do panny Temple, była tym groźniejszą przeciwniczką. Ten pokój, z nadmiarem koronek i duszącym zapachem perfum, był nieznośnie przytłaczający.

- Wolałabym, gdyby zwracała się pani do mnie „panno Temple” - powiedziała.

- Oczywiście - powiedziała Caroline z uprzejmym, smutnym uśmiechem.

\*

Jak zegar, którego tryby, przestawione na inny bieg, zamilkły i w pokoju zapadła sprzyjająca kontemplacji cisza. Mimo to panna Temple nie była w stanie myśleć o niczym innym, jak o przygnębiająco jałowym wyglądzie apartamentu - niewątpliwie świadczącym o upodobaniach panny Vandaariff - i jego niskim suficie, który choć z luksusowego wiśniowego drewna, robił przytłaczające wrażenie. Rozejrzała się i doszła do wniosku, że przynajmniej cztery ściany tej celi są dostatecznie oddalone od siebie. Czyżby to luksusowe i bezosobowe wnętrze miało być jej ostatnią ostoją jako normalnej osoby? I jakby nagle brzemień rozpacz stało się zbyt ciężkie, łzy napłynęły jej do oczu i pociekły po policzkach, a drobnymi ramionami wstrząsnął szloch. Zamrugowała, próbując powstrzymać łzy i drżenie warg. Tak często w jej życiu łzy były skutkiem jakiegoś afrontu lub straty, wyrazem frustracji i poczucia krzywdy, gdy ktoś (jej ojciec lub guwernantka) mógł spełnić jej życzenie, lecz złośliwie nie chciał tego uczynić. Teraz panna Temple miała wrażenie, że oplakuje świat bez takich autorytetów, a miła twarz Caroline - choć dobrze wiedziała, że ta kobieta należy do jej wrogów - jeszcze wzmagала poczucie beznadziei. Przygnębiało ją to, że jej nawet najbardziej trywialne pytania pozostaną bez odpowiedzi, że jej krzywda nikogo nie obchodzi, że nie tylko nikt jej nie kocha, ale nawet nie żywi dla niej cieplejszych uczuć.

Otarła oczy i przeklęła swoją słabość. Czy stało się coś, czego w głębi serca nie oczekiwała? Jakież to rewelacje osłabiły jej pragmatyczną, ponurą determinację? Czy nie przygotowywała się na taką właśnie sytuację i czy to zdecydowanie oraz stanowczość nie były jej jedyną nadzieją? Mimo to łzy nie przestawały płynąć i ukryła twarz w dłoniach.

Nikt jej nie dotknął, nikt się nie odezwał. Pozostała pochylona, nie wiedząc jak długo, aż przestała łkać, mocno zaciskając powieki. Była tak przestraszona, może nawet bardziej niż podczas śmiertelnych zmagania ze Spraggiem, gdyż te były gwałtowne i nagłe, podczas gdy teraz dano jej czas - tyle czasu - żeby mogła poczuć strach, wzdragać się na myśl o tym, że jej dusza lub coś, jakiś podstawowy składnik jej osobowości, ma zostać brutalnie i bezlitośnie zmieniony. Widziała Caroline na scenie, szarpiącą skórzane jarzma, słyszała jej zwierzęce jęki, gdy cierpiała. Przypomniała sobie swoje wcześniejsze postanowienie, że wyskoczy przez okno albo w jakiś sposób sprowokuje wrogów, żeby ją zabili. Lecz gdy podniosła głowę i

zobaczyła cierpliwie czekającą na nią Caroline, zrozumiała, że jej na to nie pozwolą. Obok Caroline stała panna Vandaariff i dwie pokojówki. Dziedziczka miała na sobie dwie białe jedwabne szaty. Wierzchnia - bez rękawów - była obszyta przy kołnierzu i rąbku gęsto haftowanymi zielonymi kręgami. Była boso i nosiła maseczkę z białych piór. Jej włosy pracowicie zakręcono w długie loki i upięto z tyłu głowy - podobnie jak włosy panny Temple. Panna Vandaariff uśmiechnęła się konspiracyjnie, a potem przycisnęła dłoń do ust, tłumiąc chichot. Caroline zwróciła się do służących:

- Panna Temple może przebrać się tutaj.

Pokojówki podeszły do niej i dopiero teraz panna Temple zobaczyła, że trzymają w rękach drugi komplet białych szat.

\*

Caroline szła między nimi, w czarnej maseczce z piór, trzymając je za ręce, a za nimi maszerowała trójka macklenburskich żołnierzy w czarnych mundurach, głośno stukając obcasami czarnych butów. Pod bosymi stopami panna Temple czuła zimną marmurową posadzkę korytarza - tego samego korytarza z wielkimi lustrami. Zdjęto z niej zielone jedwabne majteczki i koszulkę, po czym tak jak poprzednio, najpierw ubrano w krótką przezroczystą szatę, na nią nałożono dłuższą bez rękawów, a wreszcie maseczkę z białych piór. Przez cały czas czuła na sobie uważne spojrzenia panny Vandaariff i Caroline.

- Zielony jedwab - powiedziała z aprobatą Lydia na widok bielizny panny Temple.

Caroline z uśmiechem napotkała spojrzenie panny Temple.

- Z pewnością uszyta na zamówienie.

Panna Temple odwróciła głowę, czując, że jej pragnienia - głupie i naiwne - obnażono tak samo jak jej ciało.

Pokojówki skończyły zawiązywać tasiemki i odsunęły się, dygnawszy obojętnie. Caroline odprawiła je, każąc powiedzieć hrabinie, że czekają na jej znak. Potem uśmiechnęła się do obu kobiet w bieli.

- Obie jesteście takie ładne - powiedziała.

- Istotnie - uśmiechnęła się panna Vandaariff i nieśmiało zerknęła na pannę Temple. - Sądzę, że nasze biusty są takie same, ale Celeste jest niższa, więc jej piersi wydają się większe. Przez moment byłam zazdrosna i miałam ochotę je uszczypnąć! - Roześmiała się i żartobliwie poruszyła palcami. - Chociaż wiecie, jestem zadowolona z tego, że jestem wysoka i szczupła.

- Zapewne najbardziej podoba ci się biust pani Marchmoor - rzuciła panna Temple nieco ochrypłym głosem, próbując złagodzić tę kwaśną uwagę. Panna Vandaariff jak mała dziewczynka pokręciła głową.

- Nie, nie lubię jej ani trochę - powiedziała. - Ona jest zbyt nieokrzesana. Wolę, by otaczali mnie ludzie mniejsi, ładni i eleganccy. Jak Caroline, która najlepiej na świecie nalewa herbatę i ma łabędzią szyję.

Zanim Caroline zdążyła coś powiedzieć - co niewątpliwie byłoby pochwałą jakichś zalet panny Vandaariff - usłyszeli dyskretne pukanie do drzwi. Pokojówka otworzyła je - stali w nich trzej żołnierze. Nadeszła pora. Panna Temple próbowała zebrać siły, by podbiec do okna i wyskoczyć. Jednak nie mogła się mszyć, a w następnej chwili Caroline wzięła ją za rękę.

\*

Nie doszli nawet do połowy lustrzanego korytarza, gdy za plecami usłyszeli tupot butów. Panna Temple zobaczyła mężczyznę z bokobrodami, Blenheima, w którym domyśliła się szambelana lorda Vandaariffa, biegnącego ku nim na czele oddziału dragonów w czerwonych mundurach. W rękach trzymał karabin, a wszyscy dragoni przytrzymywali szable, żeby nie plątały im się pod nogami.

Po chwili cała ta grupa minęła je, biegnąc do jednych z drzwi po prawej. Idąc, panna Temple spróbowała przypomnieć sobie topografię Harschmort i wydawało jej się, że te drzwi wiodą do jednego z pokoiów znajdujących się przy bocznej ścianie budynku. Caroline pociągnęła ją za rękę, przyspieszając kroku. Panna Temple zobaczyła, że zbliżają się do tych drzwi, przez które poprzednio przeszła z hrabiną do pomieszczeń, gdzie znalazła szaty, wiodących do sali operacyjnej. Teraz wydawało się to wspomnieniem z innego życia. Szły dalej. Dotarły do drzwi. Czy powinna spróbować uciec? Caroline nie puściła jej ręki, tylko skinęła na jednego z żołnierzy, żeby otworzył drzwi. W tej samej chwili następne drzwi, za którymi znikł Blenheim i jego oddział, otworzyły się gwałtownie, wypuszczając chmurę czarnego dymu.

Jakiś dragon z usmarowaną sadzą twarzą krzyknął do nich:

- Wody!

Jeden z macklenburskich żołnierzy natychmiast odwrócił się i pobiegł z powrotem korytarzem. Dragon znów znikł w drzwiach. Panna Temple zastanawiała się, czy powinna zaryzykować i skoczyć za nim, lecz zanim zdążyła się ruszyć, Caroline znów ścisnęła jej dłoń i pociągnęła za sobą. Jeden z pozostałych macklenburskich żołnierzy otworzył następne drzwi, a drugi pospiesznie wprowadził kobiety, zabierając je z zadymionego korytarza. Gdy

zamknęły się za nimi drzwi, panna Temple była pewna, że słyszała jeszcze głośniejsze krzyki i tupot nóg odbijający się echem w marmurowym korytarzu.

Po chwili znów zapadła cisza. Caroline dała znak pierwszemu żołnierzowi, który podszedł do zręcznie zamaskowanych drzwi w przeciwległej ścianie i znikł za nimi. Drugi żołnierz ustawił się przy wyjściu na korytarz, założywszy ręce do tyłu i oparłszy się plecami o drzwi. Caroline rozejrzała się, sprawdzając, że wszystko w porządku, po czym puściła ich dłonie.

- Nie ma powodu do niepokoju - powiedziała. - Po prostu zaczekamy, aż wszystko się uspokoi.

Jednak panna Temple widziała, że Caroline jest zaniepokojona.

- Jak pani sądzi, co się stało? - zapytała.

- Nic takiego, z czym pan Blenheim nie radził sobie już tysiąc razy - odparła Caroline.

- Naprawdę wybuchł pożar?

- Blenheim jest okropny - powiedziała Lydia Vandaariff, nie zwracając się do nikogo konkretnego. - Kiedy ja będę o tym decydowała, zwolnię go.

Panna Temple myślała gorączkowo. Po drugiej stronie sali amfiteatralnej jest druga poczekalnia - może tam poszedł pierwszy żołnierz? Przypomniała sobie, że podczas jej pierwszej wizyty sala była pusta. A gdyby uciekła tam teraz? Jeśli znów nie ma tam nikogo, może by zdołała wspiąć się na galerię, potem na spiralne schody, a stamtąd potrafiłaby uciec zapamiętaną drogą, którą prowadzili ją Spragg i Farquhar, służbowym przejściem do powozów. Biegłaby po podłodze, dywanach i trawie, więc mogłaby uciec na bosaka! Musi tylko na moment odwrócić uwagę...

Panna Temple wydała z siebie zduszony jęk i pospiesznie szepnęła do panny Vandaariff:

- Lydio! Wielkie nieba! Nie widzisz, jak gorsząco jesteś obnażona?

Lydia natychmiast spojrzała na swoje szaty i zaczęła je poprawiać, mamrocząc nerwowo. Oczywiście ściągnęła na siebie uwagę Caroline i macklenburskich żołnierzy.

Panna Temple skoczyła do drzwi naprzeciwko, dopadła ich i przekreśliła klamkę, nim ktokolwiek zauważył, co robi. Otworzyła drzwi i wypadła przez nie, zanim Caroline wydała okrzyk zaskoczenia.

W następnej chwili panna Temple też krzyknęła, gdyż wpadła na hrabiego d'Orkancza. Stał w półmroku, całkowicie tarasując przejście swoim potężnym ciałem, powiększonym jeszcze przez gruby skórzany fartuch, założony na białą koszulę. Ogromne skórzane rękawice zakrywały mu ręce aż do łokci, pod jedną pachą trzymał groźnie

wyglądający mosiężny hełm z rzemiennymi paskami, wielkim szklanym wizjerem podobnym do oczu owada oraz dziwnymi metalowymi skrzynkami przylutowanymi na wysokości ust i uszu. Oskoczyła i cofnęła się do pokoju.

Hrabia spojrzał z dezaprobatą na Caroline, a potem na pannę Temple.

- Przyszedłem po ciebie osobiście - powiedział. - Najwyższy czas, żebyś została wybawiona.

## 8

### Katedra

Chang pamiętał, by ugiąć nogi w kolanach - wiedząc, że w przeciwnym razie łatwo mógłby którąś złamać - i gdy tylko to zrobił, zderzył się z wygiętą, gorącą ścianą brudnego, śliskiego metalu. Czas, jaki spędził w powietrzu, niewątpliwie krótki, wystarczył, by wywołać wrażenie zawieszenia i pustkę w brzuchu, powodującą chwilową dezorientację, pogłębianą przez panującą w szybie ciemność. Jego umysł rejestrował upadek - uderzył o zgięcie rury po skoku z trzech lub czterech metrów - gdy jego ciało skuliło się i potoczyło, całkowicie tracąc równowagę, aż znów zaczęło spadać, ponownie napotkawszy pionowy odcinek rury. Tym razem uderzenie było mocniejsze, aż zaparło mu dech - trafił bowiem w zespawane naroże dwóch rur górną połową ciała - ale nogi ześliznęły się dalej, pociągając za sobą resztę. Próbował znaleźć jakiś uchwyt, lecz metal był śliski, pokryty tą samą mazią, która oblepiała kratę urny, więc zsuwał się w ciemność, przytrzymując laskę, terkoczącą pod płaszczem. Mimo wszystko uderzenie wyhamowało prędkość i teraz już nie spadał, lecz zsuwał się we wnętrzu rury. Owiewające go powietrze było coraz bardziej cuchnące i gorętsze, tak więc musiał stawić czoło ponurej możliwości, że ta podróż zakończy się w jakimś piecu. Przycisnął ręce i nogi do ścian rury, powoli, lecz pewnie wytracając prędkość. Kiedy natrafił na następne połączenie, zdołał złapać krawędź spawu i zatrzymać się, z nogami dyndającymi w ciemności. Z trudem podciągnął się i wepchnął tors w otwór, zaklinowując się tak, by dać odpocząć rękom. Łapał oddech, zastanawiając się, jak głęboko dotarł i czemu, do licha, to robi.

Zamknął oczy - i tak nic nie widział - i starał się skupić na tym, co słyszy. Z rury poniżej dochodził miarowy, metaliczny grzechot, przerywany regularnymi podmuchami cuchnących chemikaliów. Nachylił się do drugiej, bocznej rury, która nie była tak duża - czy dostatecznie szeroka, żeby się w nią zmieścił? - i chłodniejsza w dotyku. Zaczekał, na wypadek gdyby cykl pracy tej był dłuższy, lecz nie usłyszał w niej żadnego grzechotania i nie wyczuł trujących wyziewów. Mimochodem zarejestrował w pamięci, że boli go głowa.

Poczuł pierwsze skurcze żołądka. Musi się stąd wydostać. Obrócił się w tej ciasnej przestrzeni i wpełchnął nogi w węższą mūrę. Ledwie się w niej zmieścił i pospiesznie odepchnął od siebie ponurą możliwością, że jej średnica zwęża się w połowie drogi - wolał nie myśleć o wspinaczce z powrotem w jej śliskim wnętrzu. Schował laskę pod płaszczem i przytrzymał ją lewą ręką, po czym, najwolniej jak mógł, zaczął się zsuwać, przyciskając nogi do boków rury. Tu było mniej mazistego osadu i Chang odkrył, że prawie kontroluje tempo swojego opadania, gdyż rura biegła w dół pod znacznie łagodniejszym kątem. Im bardziej oddalał się od głównego szybu, tym powietrze było czystsze i tym mniej się obawiał, że wpadnie do kotła z roztopionym szkłem. Rura na długim odcinku - nawet nie próbował odgadnąć, jak długim - opadała w dół, po czym zaczęła biec poziomo, na szczęście nie zwężając się, tak że leżał w niej na plecach (starając się zapomnieć o opowieściach o trumnach i ludziach pogrzebanych żywcem). Rura wciąż się zakrzywiała, lecz teraz w poziomie... Jakbym - pomyślał z uśmiechem - krążył po omacku w owalnym pokoju. Centymetr po centymetrze posuwał się naprzód, starając się robić jak najmniej hałasu, chociaż raz musiał się zatrzymać, siłą woli powstrzymując wymioty, zaciskając zęby i dysząc jak zgoniony koń przez poranione nozdrza. Parł naprzód, aż - tak nieoczekiwanie, że jego zamroczony umysł dopiero po chwili pojął, co widzi i że w ogóle coś widzi - ciemność nad jego głową przebił punkcik światła. Ostrożnie wyciągnął rękę i namacał spód metalowego zaczepu, a potem delikatnie przesuwał dłoń wokół niego, wyczuł zarysy oraz cudownie zapraszające zawiasy jakiejś pokrywy.

Chang odblokował zaczep, odsunął rygiel, a potem oburącz powoli pchnął pokrywę. Ze zgrzytem zardzewiałego metalu poruszyła się na zawiasach. Zastygł, nasłuchując, i nakazał sobie odczekać jeszcze całą męczącą minutę. Do szybu wpadło słabe światło i z obrzydzeniem zobaczył, jaki jest zardzewiały i brudny. Pchnął mocniej i kłapa otworzyła się z przeciągłym piskiem protestu. Chang wciągnął w płuca czyste powietrze i usiadł. Tylko głowa i część jednego ramienia bez trudu przeszły przez otwór. Zobaczył, że znajduje się w jakiejś maszynowni o ceglanych ścianach - być może zapasowej i na szczęście nieużywanej - z których pod różnymi kątami wychodziły inne podobne rury, biegnąc do ogromnego nitowanego kotła z mnóstwem tarcz i rurek. Chang schował się w rurze, wystawił prawą rękę, potem znów głowę i po kolejnej minucie rozpaczliwych wysiłków zdołał precyzyjnie przecisnąć przez otwór lewą rękę oraz tors, boleśnie ocierając sobie przy tym zębra i ramię. Czując się jak owad wychodzący z lepkiego kokonu - i równie słaby - Chang stopniowo opuścił się na podłogę i rozejrzał po pomieszczeniu. Było niewielkie. Z rzędu wieszaków zwisała kolekcja strzykawek i zakorkowanych probówek, para skórzanych rękawic oraz jeden z tych okropnych hełmów z mosiądzu i skóry. Niewątpliwie właz, którym się wydostał, służył do

badania płynnych lub gazowych mieszanin wprowadzanych do żelaznego kotła. Obok wieszaka znajdował się kinkiet z grubą, w dwóch trzecich wypaloną, kopcącą łojową świecą - źródło słabego światła, które przedostało się przez szparę włazu. Fakt, że świeczka się paliła, powiedział Changowi, że ktoś niedawno tu był... i zapewne wróci.

W tym momencie nie obchodziło go to, tak samo jak machina i jej przeznaczenie. Pod rzędem rur stało brudna skórzane wiadro przeciwpożarowe. Doczołgał się do niego i zaczął wymiotować, aż poczuł pustkę w żołądku i suchość w gardle. Usiadł, wyciągnął ze spodni połę koszuli i wytarł nią usta, a potem wyszarpnął jeszcze bardziej, żeby otrzeć sobie usmarowaną twarz. Z trudem wstał i z rezygnacją spojrzął na swój płaszcz z czerwonej skóry. Duma jego garderoby była zupełnie zniszczona. Wprawdzie strzepnął z płaszcza węglowy pył, lecz starszy warstwę chemicznego nalotu, zobaczył, że czerwona skóra jest odbarwiona i pokryta bąblami, niemal jakby materiał doznał oparzeń. Starł tyle bmdu, ile mógł, a potem wytarł palce w brudna spodnie, czując się, jakby pływał w jakimś ohydny bagnie. Zacerpnął tchu. Wciąż był lekko oszołomiony i łupało go w głowie. Wiedział, że ten ból - i niezwalczony opium - nie opuści go przez kilka dni. Spodziewał się, że już wysłano za nim pościg w głąb domu, choćby po to, by się upewnić, że jego kości z trzaskiem i chrzęstem pałą się w piecu albo udusił się w jednej z rur, utknąwszy jak wiewiórka w kominie. Zaszło mu w gardle i okropnie kręciło mu się w głowie. Potrzebował wody. Bez niej zginie, usieczony przez pierwszego napotkanego dragona.

\*

Drzwi były zamknięte, ale zamek stary, i Chang zdołał go sforsować jednym ze swoich wytrychów. Prowadziły do wąskiego, owalnego tunelu o ceglanych ścianach, oświetlonego przez pochodnię zatknietą w metalowym uchwycie nad drzwiami. Nie zdołał dostrzec drugiej zapalanej pochodni. Wszedł w ciemność po prawej. Tuż za zakrętem tunel kończył się ścianą, której zaprawa była zdecydowanie świeższa od tej w ścianach i sklepieniu. Chang zawrócił i przeszedł obok drzwi kotłowni, przyglądając się sklepieniu i ścianom tunelu. Był pewien, że korytarz prowadzi do większej komnaty. Powinien wydostać się z tych podziemi, żeby odetchnąć świeżym powietrzem i znaleźć pannę Temple.

Następna pochodnia była zatknietą przy otwartym przejściu. Za nim znajdowały się spiralne kamienne schody z poręczą z jasnego metalu, osadzoną w wewnętrznej ścianie. Chang spojrzął w górę, ale kręte schody pozwalały dojrzeć zaledwie kilka następnych metrów. Nastawił ucha... Usłyszał coś, jakby cichy szum wiatru lub ulewy w oddali. Ruszył w górę.

Po przejściu dwudziestu stopni napotkał następne przejście i owalny tunel. Zajrzał i zobaczył, że sklepienie jest skośne, jakby bieгло pod ławkami stadionu. Cofnął się i zamknął oczy. Paliło go w gardle. Miał wrażenie, że ktoś uciska mu pierś. Wyobrażał sobie drobiny szkła wbijające się w jego obolałe płuca. Powlókł się dalej, szukając czegoś, co przyniosłoby mu ulgę. Dokładnie w takim samym miejscu były drzwi, których zamek sforsował z taką samą łatwością. W pomieszczeniu było ciemno. Chang wyjął pochodnię z uchwytu i poświecił: następna kotłownia z mnóstwem metalowych rur wychodzących ze ścian. Być może tu znajdowało się złączenie, przy którym jeszcze nie zdołał wyhamować. Zauważył następne skórzane wiadro przeciwpożarowe. Podeszedł do niego i z ulgą stwierdził, że jest w nim woda - brudna, brązowawa i nieapetyczna, ale nie zważał na to. Odłożył pochodnię, zdjął okulary i obmył sobie twarz. Splukał paskudny smak z ust i splunął, po czym zaczął łapczywie pić. Usiadł, opierając się o rury, i założył okulary. Wykaszlał następną kulę nie wiadomo czego i wypluł ją w kąt pomieszczenia. Nie był to hotel Boniface, ale musiało mu wystarczyć.

\*

Wrócił na korytarz i na schody. Zastanawiało go to, że nikt tu nie zszedł, żeby go szukać. Albo byli pewni, że nie żyje... albo spadł głębiej, niż sądził... A może skupili się na najbardziej prawdopodobnych miejscach, w których mógł wylądować... Na myśl o tym uśmiechnął się, gdyż każda z tych możliwości oznaczała, że wróg jest pewny siebie, a to dawało mu czas. Może jednak chcieli tylko uniemożliwić mu dotarcie do pewnego konkretnego pomieszczenia i przerwanie jakiegoś eksperymentu, po którym mogliby polować na niego do woli. Było to możliwe i mogło oznaczać tylko jedno - Celeste. Ależ z niego głupiec. Pobiegł schodami w górę, przeskakując po dwa stopnie naraz. Następne przejście. Zajrzał w nie i zobaczył kolejny wąski i zakurzony tunel ze skośnym sklepieniem. Nasłuchiwał. Monotonny szum był głośniejszy, lecz Chang był przekonany, że to tylko korytarze pomocnicze i nadal znajduje się poniżej głównego. Czy będzie musiał dotrzeć na samą górę, żeby dostać się do środka? Musi być inna droga, gdyż miał pewność, że ta nad nim roi się od żołnierzy. Pobiegł korytarzem, najpierw w prawo, gdzie znalazł kotłownię, ale pustą, z kotłem usuniętym lub niezainstalowanym, a potem ślepy zaułek. Zawrócił i pobiegł w lewo. Tam szum był głośniejszy i kiedy Chang dotarł do końca tunelu, nie napotykając po drodze żadnych innych drzwi, dotknął dłonią ceglanego muru i poczuł, że ten lekko drży w rytm głuchego szumu.

Pobiegł w górę kolejnymi spiralnymi schodami, zastanawiając się, jak głęboko spadł, i tym razem nie napotkał otwartego przejścia, lecz zamknięte metalowe drzwi. Spojrzał w górę,

nie zobaczył nikogo i ponownie nastawił uszu, nasłuchując jakichś znajomych dźwięków. Czyżby to były głosy? Muzyka? Nie był pewien. Jeśli tak, to świadczyły o tym, że znajduje się zaledwie kilka poziomów pod głównym budynkiem. Skupił uwagę na drzwiach. To musi być wyjście, którego szukał. O mało nie parsknął śmiechem. Jakiś idiota zostawił klucz w zamku! Chang chwycił klamkę i przekręcił ją w tej samej chwili, gdy ktoś z drugiej strony zrobił to samo. Kardynał wykorzystał okazję i z całej siły kopnął drzwi, uderzając kogoś, kto za nimi stał, po czym skoczył, wyjmując sztylet. Ujrzał zataczającego się i ściskającego zabandażowane ramię - które przyjęło na siebie całą siłę uderzenia - leciwego pana Graya, sługusa Rosamonde, który kierował procesem transformacji nieszczęsnego pana Flaussa. Chang uderzył go w twarz dolną częścią laski, powalając na podłogę, po czym pospiesznie rozejrzał się na boki. Nikogo. Ten korytarz był szerszy, również o skośnym sklepieniu, lecz zamiast pochodni oświetlały go gazowe kinkiety, w których blasku Chang dostrzegł rząd drzwi lub nisz po obu stronach. Zanim Gray zdążył podnieść głowę i krzykiem wezwać pomocy - co właśnie zamierzał zrobić - Chang usiadł mu na piersi, kolanami mocno przycisnął ręce i przygniótł gardło laską. Ze złowrogim syknięciem, które przykuło uwagę starego, Chang przyłożył sztylet do jego twarzy tuż pod lewym okiem.

- Gdzie panna Temple? - szepnął.

W odpowiedzi Gray otworzył usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Chang nieco zwolnił nacisk na jego grdykę.

- Spróbuj jeszcze raz - syknął.

- Ja... nie wiem! - jęknął pan Gray.

Chang cofnął pięść, w której zaciskał sztylet, i uderzył pana Graya w policzek, aż głowa nieszczęśnika odbiła się od posadzki.

- Spróbuj jeszcze raz - syknął.

Gray zaczął płakać. Chang znów się zamachnął. Gray wytrzeszczył oczy ze strachu i zaczął poruszać wargami, rozpaczliwie szukając słów.

- Ja... nie... nie... nie widziałem jej... mają ją zabrać do amfiteatru... albo do komnaty... gdzieś w domu! Nie wiem! Ja tylko mam przygotować proces... wspaniały proces...

Chang ponownie uderzył go pięścią.

- Kto jej pilnuje? Ilu strażników?

- Nie potrafię powiedzieć! - szlochał pan Gray. - Jest tylu Macklenburczyków i dragonów... ona jest z hrabią... z panną Vandaariff... razem mają przejść proces...

- Proces?

- Odnowy...

- Odnowy? - Chang z zadowoleniem poczuł, że ten akt przemocy powoli przeradza się w morderczą furję.

- Spóźniłeś się! Proces już się zaczął... A jeśli go przerwiesz, zabijesz je obie! - Pan Gray w czarnych szklach Changa ujrzał swoje oblicze. Zaskomlał. - Och! Wszyscy mówili, że... Dlaczego nie jesteś martwy?

Zaskoczony, jeszcze szerzej otworzył oczy, choć wydawało się to niemożliwe, gdy Chang wbił mu sztylet w serce, wiedząc, że to, sposób szybszy i mniej krwawy niż poderżnięcie gardła. W ciągu kilku sekund Gray zwiotczał i znieruchomiał na zawsze. Chang podniósł się na klęczki, wciąż ciężko dysząc, otarł sztylet o fartuch Graya i wepchnął ostrze w drzewce laski. Znów splunął, poczuł przeszywający ból w płucach i wymamrotał ponuro:

- Skąd wiesz, że nie jestem? Zaciągnął zwłoki na schody i za pierwszy zakręt, po czym podniósł je i popchnął, starając się zrzucić z pewnością nie nieodżałowanego pana Graya na sam dół. Gdziekolwiek wylądowało ciało, przynajmniej będzie niewidoczne dla tych, którzy podejda do tych drzwi. Schował do kieszeni klucz, który pan Gray tak nieopatrznie pozostawił w zamku, po czym wrócił na korytarz, próbując odgadnąć, co robił tu pan Gray. Westchnął. Mógł wyciągnąć z niego więcej informacji, ale spieszył się, a ponadto tak długo go ścigano i napadano, że świerzbiły go ręce. Fakt, że przeciwnik był w podeszłym wieku i ranny, nie miał dla Kardynała Changa żadnego znaczenia. Wszyscy ci ludzie, co do jednego, byli jego wrogami i bez skrupułów pozabija ich wszystkich.

\*

Nisze w ścianach były drzwiami więziennych cel - z bardzo grubej blachy, z poodcinanymi klamkami, zamykane na żelazne zasuwki wchodzące w mur. Chang złapał palcami zakratowane okienko i szarpnął z całej siły, lecz nawet nie drgnęło. Zajrzał przez nie do celi. Krata naprzeciwko była zasłonięta brezentem. Wiedział, że po drugiej stronie brezentu jest wielka sala, ale wtedy nie mógł się do niej dostać. Pospiesznie przeszedł zakrzywiającym się korytarzem. Gray był kolejnym głupcem z instytutu, jak Lorenz i mężczyzna, którego zaskoczył w trakcie produkcji księgi. Jako miłośnik poezji Chang wierzył, że nauka jest niebezpieczna i najlepiej oddawać się jej w samotności, a nie na usługi tego, kto najlepiej płaci, jak to robił instytut, szukając patronatu ludzi śniących o potędze. Ludzie, którym się to roi, nie naprawią świata - choć gdyby Chang miał być szczerzy, to czy ktokolwiek jest w stanie go naprawić? Uśmiechnął się złowrogo na myśl o tym, że jednak ten świat jest ciut lepszy bez skorumpowanego pana Graya. Ubawiła go myśl, że można by go postrzegać jako instrument naprawy rzeczywistości.

Na końcu korytarza znajdowały się następne drzwi. Klucz Graya z trzaskiem otworzył zamek i Chang zajrzał do pomieszczenia niewiele większego od szafy, z sufitu wychodziło siedem dużych rur i znikało w podłodze, a każda miała właz podobny do tego, przez który wyszedł na dole. Pomieszczenie było duszne, rozgrzane i pełne kwaśnych wyziewów błękitnej gliny. Po drugiej stronie był kolejny wieszak z następnym zbiorem flaszek, fiolek i niepokojąco dużych strzykawek. Ryk maszyn odbijał się głośnym echem w ciasnym pomieszczeniu, jakby Chang stał przy piszczałkach wielkich kościelnych organów. Między dwiema rurami zauważył smugę światła i przyjrzawszy się uważniej, dostrzegł pomiędzy nimi szereg szczelin... Zrozumiał, że w istocie przeciwległą ścianę pomieszczenia tworzy szereg rur, a za nimi, widoczna przez szpary, znajduje się wielka sala. Przykucnął, zdjął okulary i przycisnął twarz do najbliższej ze szczelin. Rury były gorące, a przez szparę widział tylko fragment sali, ale i tak widok był zdumiewający. Ściana naprzeciwko, wysoka niczym urwisko, była oblepiona rurami biegnącymi przez całą wysokość nakrytej kopułą sali, a na skraju jego pola widzenia wznosiło się coś w rodzaju wysokiej głównej wieży, przypominającej oś koła, której stalowa powierzchnia usiana była maleńkimi otworami. Można było przez nie zajrzeć do wnętrza każdej celi dawnego więzienia. Chang na czworakach przesunął się do następnej szpary, chcąc zobaczyć więcej. Ujrzał inny fragment ściany naprzeciwko. Między rzędami rur znajdował się szereg otwartych cel - a właściwie kilka szeregów - wciąż zamkniętych kratami, wyglądających jak galerie dla widzów w teatrze. Usiadł i z przyzwyczajenia otrzepał się, po czym skrzywił się, widząc, jaki jest umorusany. Cokolwiek zamierzano robić w tej sali, miało się to odbyć przy licznej widowni.

\*

Wrócił na spiralne schody, wchodząc powoli, trzymając oburącz laskę. Następne i ostatnie drzwi pojawiły się dopiero, gdy pokonał dwakroć więcej schodów niż na niższych poziomach. Zdziwił się, widząc, że są drewniane, z nową mosiężną klamką i zamkiem, pasującymi do wystroju Harschmorta. Prawdopodobnie znalazł się na najwyższej kondygnacji lochów. Gray mówił, że uważano go za martwego, tylko czy sądzili, iż umarł w gmachu ministerstwa, czy teraz w rurach pieca? Z pewnością rozpoznali go w ogrodzie... tylko czy to ma jakieś znaczenie? Z przyjemnością wystąpi w roli mściwego ducha. Uchylił drzwi i zerknął, nie do korytarza, jak oczekiwał, lecz ciemnego pokoiku za zaciągniętą kotarą, spod której wydobywało się światło migoczące w takt kroków po drugiej stronie. Chang wślizgnął się do środka i podkraść do zasłony. Dwoma palcami ostrożnie odchylił materiał i spojrzął przez wąską szparę.

Kotara maskowała niszę dużego magazynu z półkami ciągnącymi się wzdłuż ścian i podłogą niemal całkowicie zastawioną stojakami z butelkami, słoikami, puszkami i pudłami. Zobaczył dwóch tragarzy stawiających na wózek drewnianą skrzynię pełną pobrzękujących brązowych butelek. Po chwili znikli z nią, przystając, by porozmawiać z kimś, kogo Chang nie mógł dostrzec. Gdy odeszli, w pomieszczeniu zapadła cisza, przerywana jedynie odgłosem kroków i dźwiękiem, który Chang słyszał aż za często: pobrzękiwaniem tkwiącej w pochwie szabli znudzonego wartownika, przechadzającego się tam i z powrotem. Ten wartownik znajdował się po drugiej stronie stojaków. Aby go dosięgnąć, Chang musiałby wyjść z zasłoniętej kotarą niszy i dopiero wtedy przeprowadzić atak.

Zanim zdążył to zrobić, do jego uszu dobiegł tupot zbliżających się kroków i rozkazujący głos, który słyszał już w ogrodzie.

- Gdzie pan Gray?

- Nie wrócił, panie Blenheim - odparł wartownik, sądząc po akcencie, niebędący Macklenburczykiem.

- Co robi?

- Nie wiem. Pan Gray zszedł po schodach...

- Niech go szlag trafi! Nie wie, która godzina? Nie zna harmonogramu?

Chang się przygotował. Zaraz mszą na poszukiwania. Bez hałasujących tragarzy nie zdoła się wymknąć i zamknąć drzwi tak, żeby go nie usłyszeli. Może i lepiej. Pan Blenheim odsunie kotarę i Chang go zabije. Wartownik może zdążyć podnieść alarm, zanim też zginie - albo zabije Changa. Tak czy inaczej, nie odejdzie sam.

Jednak Blenheim nie mszył się z miejsca.

- Nieważne - warknął zirytowany. - Pan Gray może się powiesić. Chodź za mną.

Chang słuchał ich oddalających się kroków. Dokąd poszli? Co było tak ważne?

\*

Idąc, Chang przeżuwał kawałek białego chleba oderwany z dużego bochenka znalezionej po drodze w magazynie. W mijanych pomieszczeniach nie rozpoznawał żadnego z tych, które znał ze swych poprzednich wędrówek przez ukryte przejścia Harschmorta. Znajdował się na dolnej kondygnacji, umeblowanej ładnie, ale bez przepychu. Nie wiedział, w jakiej części tego zbudowanego na planie podkowy domu wyszedł z rur. Powinien dotrzeć do środkowej, gdzie znajdzie wejście do wieży widokowej oraz wielkiej sali. Nie pamiętał, kiedy ostatnio jadł tak smaczny chleb. Powinien był wepchnąć do kieszeni drugi kawałek. Myśląc o tym, Chang zerknął na kieszeń obciążoną zielonym bucikiem panny Temple. Czy jest sentymentalnym głupcem?

Przystanął. Gdzie właściwie jest? Nagle uświadomił sobie przesywającą jak ostrze prawdę: jest w rezydencji Roberta Vandaariffa, pośród bogatych i uprzywilejowanych, członków towarzystwa, których darzył odwzajemnioną pogardą. Pomyślał o chlebie, który jadł z takim apetytem, co nagle wydało mu się zdradą, i poczuł rosnącą nienawiść do tego luksusowego otoczenia, oznak łatwego życia, które spotykał tu na każdym kroku. W Harschmort House Kardynał Chang nagle zobaczył siebie takim, jakim zapewne widzieli go mieszkańcy: jako wściekłego psa, któremu udało się dostać do środka, na własną zgubę. I po co tu przyszedł? Ratować niemądrą dziewczynę przed tym światem możnych? Zabić tylu wrogów, ilu będzie mógł? Pomścić śmierć Angeliki? Czy to zdoła choć zarysować skorupę ich świata, tego nieludzkiego labiryntu? Czuł, że umiera, i jego śmierć pozostanie równie niezauważona, jak jego życie. Na chwilę zamknął oczy i gniew ustąpił miejsca rozpacz. Zaraz jednak otworzył je, z sykiem wciągając powietrze przez zaciśnięte zęby. Rozpacz ułatwiłaby im zwycięstwo. Podjął przerwany marsz i ugryzł następny kęs chleba, żałując, że nie znalazł niczego do picia. Prychnął gniewnie. Właśnie tak chciałby wpaść na Blenheim, majora Blacha lub Francisa Xoncka: z butelką piwa w jednej i pajdą chleba w drugiej ręce. Wepchnął resztę chleba do ust i wyjął sztylet z laski.

Idąc, zszedł z drogi dwóm małym oddziałom dragonów i grupce Niemców w czarnych mundurach. Wszyscy podążali w tę samą stronę, więc zmienił kierunek marszu i poszedł za nimi, zakładając, że idą tam, dokąd udał się Blenheim. Tylko dlaczego nikt go nie szuka? I czemu nikt nie szuka pana Graya? Ten wyczyniał coś z chemikaliami, z zawartością rur... a żaden z żołnierzy nie wydawał się przejęty jego nieobecnością. Czyżby Gray robił dla Rosamonde coś, o czym nie wiedzieli pozostali? Wykonywał jakieś tajne zadanie? Czy to może świadczyć o rozłamie w ich szeregach? To by go nie zdziwiło, dziwiłby się, gdyby było inaczej, i wyjaśniałoby, dlaczego nikt go nie szuka. Oznaczałoby również, iż Chang bezwiednie pokrzyżował plany Rosamonde. Hrabina będzie wiedziała tylko tyle, że Gray nie wrócił, lecz nie wiedząc dlaczego - uśmiechnął się na samą myśl - będzie zaskoczona i zaniepokojona. Bo jeśli jej człowiekowi przeszkodził hrabia lub Xonck, dowiadując się, że zamierzała ich zdradzić? Uśmiechnął się na myśl o udręce, jaką przyniesie jej niepewność.

Potem wrócił myślami do wielkiej sali, wspominając rzędy cel, z których więźniowie - lub widzowie - mogli widzieć, co się dzieje na dole, gdzie, jak zakładał, znajdzie Celeste. Zastanawiał się, jak wysoko wszedł. Może znalazł się na wysokości tego rzędu cel? Tylko jak je znaleźć? Nisza za kotarą skrywała wejście na spiralne schody... Drzwi do tych cel mogą być ukryte w równie prosty sposób. Może już je minął? Potruchtał korytarzem, otwierając każde z wiodących na zewnątrz drzwi i zaglądając w ciemne kąty. Niczego nie znalazł i

szybko doszedł do wniosku, że traci czas. Czy nie powinien pójść za żołnierzami i Blenheimem, którzy zapewne mieli strzec hrabiego i jego ceremonii? Czyż Celeste nie może być tam, gdzie oni? Jeszcze przez minutę będzie prowadził poszukiwania, a potem pobiegnie za nimi. Minęła minuta, a potem jeszcze pięć, lecz Chang wciąż nie mógł porzucić tropu, który wydawał mu się właściwy, i sprawdzał pomieszczenie za pomieszczeniem. Całe to piętro domu wyglądało na opuszczone. Niedbale splunął na jasne, wypolerowane drewno podłogi i skrzywił się, widząc szkarłatny kolor flegmy, po czym minął następny zakręt. Gdzie się znalazł? Spojrzał w górę.

Westchnął. Ależ z niego idiota.

Znalazł się w czymś w rodzaju laboratorium, ze stolikami ławami, drewnianymi stojakami, półkami pełnymi słoików i butli, dużym moździerzem i tłuczkiem, pędzlami, wiadrami, dużymi stołami o popalonych blatach, świecami, lampami, kilkoma dużymi stojącymi lustrami - do odbijania światła? - oraz mnóstwem różnej wielkości płócien. Był w pracowni artysty. W pracowni Oskara Veilandta.

Nie było wątpliwości, kto jest autorem tych obrazów, gdyż wszystkie zdradzały ten sam styl, ponure kolory i niepokojącą kompozycję. Chang przeszedł przez to pomieszczenie, czując się równie nieswojo, jakby przechodził przez grobowiec. Oskar Veilandt nie żyje, a to są jego dzieła... Więcej niż zabrano z Paryża? Czyżby Robert Vandaariff starał się zgromadzić wszystkie prace tego malarza? Mimo iż było tu tyle pędzli i butelek, żaden obraz nie wyglądał na niedokończony - jakby artysta wciąż żył i pracował. Czyżby ktoś inny konserwował lub czyścił jego płótna na zlecenie Vandaariffa? Pod wpływem nagłego impulsu Chang podszedł do małego portretu opartego o jeden ze stolików i przedstawiającego kobietę w masce, żelaznym kołnierzu i błyszczącej koronie. Odwrócił płótno. Tak jak mówił Svenson, na odwrocie było zapisane alchemicznymi symbolami i matematycznymi wzorami. Próbował znaleźć podpis lub datę, ale niczego takiego nie było. Odstawił portret i na drugim końcu pomieszczenia ujrzał duży obraz wiszący na ścianie, dolną krawędzią niemal dotykający podłogi i przedstawiający naturalnej wielkości portret Roberta Vandaariffa. Magnat stał przy czarnym kamiennym krenelażu, na tle dziwnej czerwonej góry i jasnoniebieskiego nieba. Te trzy elementy kompozycji przypominały Changowi ni mniej, ni więcej tylko tła teatralnej scenografii. Vandaariff w jednej ręce trzymał zapakowaną księgę, a w drugiej dwa duże metalowe klucze. Kiedy został namalowany ten obraz? Vandaariff osobiście znał Veilandta, co oznaczało, że jego zaangażowanie datuje się przynajmniej od śmierci malarza.

Jednak stojąc pośród tak wielu niepokojących dzieł tego człowieka, trudno było uwierzyć, że nie żyje, tak sugestywną emanowały groźbą. Chang ponownie spojrzął na portret, na którym Vandaariff przypominał alegoryczną postać księcia z rodu Medyceuszy. Uderzyło go to, że obraz wisi niżej niż inne, dolną krawędzią ramy niemal dotykając podłogi. Podszedł, zdjął obraz z haka i niezbyt delikatnie odstawił na bok. Pokręcił głową nad oczywistością tego faktu. Za obrazem była następna wąska nisza i trzy kamienne stopnie prowadzące do drzwi.

Otworzyły się do środka, cicho na świeżo naoliwionych zawiasach. Chang wszedł do następnego lekko zakrzywionego korytarza, w którym światło sączyło się przez wąskie okienka w wewnętrznej ścianie, jak we wnętrzu starego statku lub - co bliższe prawdy - w więziennym korytarzu. Wzdłuż wewnętrznej ściany znajdowały się cele. Chang podszedł do najbliższej. Te drzwi również miały odcięte klamki i były zamknięte na wchodzące w mur zasuwę. Odsunął judasza i zaparło mu dech.

Przeciwległa ściana celi, zamknięta kratą, ukazywała wnętrze wielkiej sali. Chang wątpił, by kiedykolwiek widział miejsce będące takim pomnikiem ponurych aspiracji twórcy i równie przerażające, jak tak potworna katedra z czarnego kamienia i lśniącego metalu.

Na środku pomieszczenia wznosiła się potężna żelazna wieża, sięgająca od kopuły sklepienia (sala była jasno oświetlona wielkimi zyrandolami zawieszonymi na grubych łańcuchach) po podłogę pokrytą płataniną rur i kabli biegnących od ścian do podstawy wieży, niczym mechaniczne morze omywające podnóże dziwacznej latami morskiej. Gładka powierzchnia wieży była usiana maleńkimi wizjerami. Człowiek uwięziony w jednej z tych zakratowanych cel nie mógł wiedzieć, czy ktoś go obserwuje, czy nie. Chang wiedział, że w takich warunkach więźniowie mimo woli zaczynają postępować tak, jakby byli obserwowani przez cały czas i ich zachowanie ulega nieustannej poprawie, a buntowniczy duch zostaje zmiażdżony niczym niewidzialną ręką. Prychnął na myśl o tym, jak ideowo bliska jest ta monstrialna konstrukcja jej obecnym panom.

Z miejsca, gdzie się znajdował, nie mógł dostrzec podstawy wieży i już miał poszukać lepszego punktu obserwacyjnego, gdy usłyszał metaliczny szczęk i w jednej z cel naprzeciwko dostrzegł jakiś ruch... poruszające się nogi... Ktoś schodził do celi po drabinie. W następnej chwili znów usłyszał ten odgłos, tym razem znacznie bliżej, po prawej. Zanim zdążył zlokalizować jego źródło, trzeci szczęk rozległ się tuż nad jego głową, w celi, do której zaglądał. Klapa w suficie otworzyła się i we włazie pojawiły się nogi w niebieskich mundurowych spodniach, wyszukując stopnie osadzonej w ścianie metalowej drabinki, której Chang wcześniej nie zauważył. Mężczyźni i kobiety schodzili do cel po drugiej stronie sali,

przeważnie najpierw panowie, a później damy, niektórzy rozstawiali składane turystyczne krzeselka, zmieniając więzienne cele w loże teatralne. Powietrze wokół rozbrzmiewało podnieconym gwarem publiczności, czekającej niecierpliwie, aż podniesie się kurtyna. Mężczyzna w niebieskim mundurze - najwyraźniej marynarz - wesolo zawołał coś do kogoś w sąsiedniej celi. Cokolwiek miało się wydarzyć, Chang nie mógł temu zapobiec z miejsca, w którym się znajdował. Chociaż sporo się już dowiedział, podjął błędną decyzję co do miejsca pobytu Celeste. Jakikolwiek spektakl przygotował hrabia dla tych ludzi, Chang był pewien, że dziewczyna miała odegrać w nim jakąś rolę. Równie dobrze mogła właśnie schodzić po schodach wieży.

\*

Gdy biegł, przy każdym oddechu czuł w płucach igielki bólu. Wypłuł jeszcze więcej krwi i znów przeklął swoją głupotę. Dlaczego nie zabił hrabiny od razu, kiedy miał okazję? Parł naprzód, szukając schodów wiodących na wyższe piętro, które musiały znajdować się w pobliżu... Znalazł je i w tej samej chwili usłyszał kroki kogoś, kto po nich schodził. Nie zdążyłby w porę się wycofać. Wyjął sztylet i czekał, głęboko wdychając powietrze zakrwawionymi ustami.

Nie wiedział, kogo właściwie spodziewał się ujrzeć, ale na pewno nie kapitana Smythe'a. Oficer zobaczył Changa i stanął jak wryty. Zerknął w górę i pospiesznie podszedł do niego.

- Dobry Boże - szepnął.

- Co się dzieje? - syknął Chang. - Coś się dzieje na górze...

- Myślę, że nie żyjesz... sam myślałem, że nie żyjesz... jednak nikt nie mógł znaleźć ciała. Przyszedłem tego dopilnować.

Smythe wyjął szablę i mszył ku niemu, płynnie poruszając ostrzem.

- Kapitanie, w tej wielkiej sali... - zaczął Chang.

- Zaufałem ci jak głupiec, a ty zabiłeś mojego człowieka - warknął Smythe. - Człowieka, który uratował ci życie, zdrajco!

Rzucił się na Changa, a ten odskoczył pod ścianę korytarza. Kapitan wymierzył cięcie w jego głowę, lecz Kardynał uchylił się i przetoczył po posadzce. Ostrze wbiło się w tynk, wzbijając obłoczek pyłu.

Smythe szykował się do następnego ataku. W odpowiedzi - nie mając żadnych szans ująć z życiem z tej walki - Chang wyprostował się i stanął na środku korytarza, szeroko rozkładając ręce i odsłaniając pierś. Wściekły i zniechęcony syknął do Smythe'a:

- Jeśli tak myślisz, rób, co chcesz. Jednak mówię ci, że nie zabiłem Reevesa!

Smythe zatrzymał się, mając Changa w zasięgu szabli.

- Zapytaj swoich ludzi! Byli tam! - warknął Chang. - Został zastrzelony z karabinu przez... przez... jak on się nazywa... ten nadzorca... Blenheim! Szambelan! Nie bądź cholernym idiotą!

Kapitan Smythe milczał. Chang uważnie go obserwował. Stali dostatecznie blisko, żeby mógł odbić ostrze szabli laską i pchnąć kapitana sztyletem. Jeśli żołnierz nie pójdzie po rozum do głowy, Chang nie będzie miał innego wyjścia.

- Nie tak mi to przedstawiono - powiedział powoli Smythe. - Użyłeś go jako tarczy.

- Kto tak powiedział? Blenheim?

Kapitan milczał, wciąż mierząc go gniewnym wzrokiem. Chang ściągnął brwi.

- Rozmawialiśmy, Reeves i ja. Blenheim nas zobaczył. Czy chociaż obejrzałeś ciało? Reevesowi strzelono w plecy.

Te słowa spadły na Smythe'a jak cios i Chang widział, że kapitan zaczyna się zastanawiać, siłą woli opanowując gniew. Po chwili opuścił szablę.

- Pójdę obejrzeć ciało.

Spojrzał na schody i znów na Changa, z innym wyrazem twarzy, jakby zobaczył go dopiero teraz.

- Jesteś ranny - stwierdził, wyjmując z kieszeni chustkę i rzucając ją Changowi. Ten złapał ją, otarł dłonie i twarz, widząc paskudny charakter swoich obrażeń w zaniepokojonym wyrazie twarzy oficera. Ponownie myśli o tym, że może jest umierający, walczyła w nim z chęcią kontynuowania poszukiwań. Jaki miały teraz sens, czy w ogóle miały kiedyś jakiś sens? Spojrzał na Smythe'a, niewątpliwie porządnego człowieka, ale spętanego przez swój mundur, podziwiających go podkomendnych - a kto wie, może żonę i dzieci. Chang nagle miał ochotę warknąć, że nie pragnie niczego takiego, że gardzi takim zniewoleniem, a także uprzejmością Smythe'a. Czy tak samo gardził sobą za to, że kochał Angelikę, lub za to, że troszczył się o Celeste? Pospieszenie odwrócił wzrok od zaniepokojonego kapitana i ujrzał otaczający go, drwiący wystrój Harschmorta. Umrze w Harschmorta.

- Jestem, ale nic nie można na to poradzić. Przykro mi z powodu Reevesa, ale musisz mnie wysłuchać. Zabrali pewną kobietę, tę, o której mówiłem, Celeste Temple. Zamierzają coś jej zrobić, zapewne poddać tej okropnej ceremonii, którą widziałem. To gorsze od śmierci i zapewniam cię, że ta kobieta wolałaby umrzeć.

Smythe skinął głową, lecz Chang widział, że kapitana wciąż szokuje jego wygląd.

- Wyglądam gorzej, niż się czuję. Przeszedłem rurami, więc przesiąknęłam odorem - wyjaśnił. Chciał oddać chusteczkę Smythe'owi, zobaczył jego minę i wepchnął ją do kieszeni.

- Po raz ostatni błagam, powiedz, co się dzieje na górze?

Smythe zerknął w górę, jakby ktoś szedł za nim po schodach.

- Obawiam się, że nie wiem - odparł. - Dopiero co wszedłem do domu. Byliśmy na zewnątrz, czekając na przyjazd pułkownika...

- Aspiche'a?

- Tak. To okropne nieszczęście, przyjechali z wieścią, że zdarzył się okropny wypadek i diuk Staelmaere...

- Ludzie wchodzą do wielkiej sali, żeby obserwować ceremonię! - powiedział Chang.

- Nie ma czasu...

- Nic o tym nie wiem. Wszędzie jest pełno ludzi, a dom jest bardzo duży - odparł oficer. - Wszyscy moi ludzie są zajęci przy świetle diuka, która wylądowała...

- Wylądowała?

- Długo by opowiadać. Jednak zrobił się straszny bałagan...

- Zatem może jest jeszcze nadzieja! - rzekł Chang.

- Na co?

- Muszę tylko dostać się na górę i znaleźć drogę do... Widział, że Smythe nie wie, czy mu pomóc, czy sprawdzić prawdziwość jego wersji. Podejrzewał, że obecność Aspiche'a sprawiła, że oficer jest bliski buntu.

- Nasz przydział do pałacu - zaczął cicho Smythe, jakby to była odpowiedź na wszystkie pytania Changa - był połączony ze znaczącą podwyżką żołdu dla wszystkich oficerów, a to wybawiło wielu tych, którzy po latach pobytu za granicą tonęli w długach.

Tak więc nie powinno mnie dziwić, że ta nagroda, te dodatkowe pieniądze były pułapką...

- Idź do Reevesa - cicho powiedział Chang - i porozmawiaj z ludźmi, którzy byli przy jego śmierci. Posłuchają cię. Czekaj w gotowości. Gdy przyjdzie czas, będziesz wiedział, co robić, wierz mi.

Smythe spojrzał na niego bez przekonania. Chang zaśmiał się, skrzecząc ochryple jak wrona, po czym klepnął go w ramię.

\*

- Z początku w tym domu można się zgubić - szepnął do niego Smythe, gdy weszli po schodach na korytarz głównej kondygnacji. - Lewe skrzydło zajmuje głównie sala balowa, teraz pełna ludzi, a prawe, długi lustrzany korytarz, wiodący do prywatnych komnat i

apartamentów, również pełnych ludzi. W prawym skrzydle jest także drugi, wewnętrzny korytarz, jaki prowadzi do spiralnych schodów, którymi nigdy nie wchodziłem. Widziałem, że po obu stronach korytarza stali macklenburscy żołnierze.

- A środek budynku? - zapytał Chang.

- Wielki hol, kuchnie, pralnia, kwatery służby, zarządcy domu, czyli Blenheima, oraz jego ludzi.

- Gdzie jest gabinet lorda Vandaariffa? - zapytał nagle Chang, gorączkowo się nad czymś zastanawiając. - Na tyłach domu?

- Tak - skinął głową Smythe - na głównej kondygnacji. Nie byłem tam. Całe lewe skrzydło jest zastrzeżone dla specjalnych gości i garstki zaufanej służby. Nie ma tam dragonów.

- Skoro tak, co tu robisz? Kiedy przybyłeś z ministerstwa? Smythe uśmiechnął się kwaśno.

- To cię rozbawi. Gdy moi ludzie zostali zluzowani, otrzymałem pilną wiadomość - zakładałem, że od mojego pułkownika - że jesteśmy potrzebni w hotelu St. Royale. Po pospiesznym przybyciu na miejsce, chociaż łagodzenie domowych kłótni zwykle nie należy do naszych obowiązków, spotkałem wyjątkowo arogancką kobietę, która poinformowała mnie, że muszę natychmiast towarzyszyć jej podczas podróży koleją do tego domu.

- Pani Marchmoor, oczywiście. Smythe pokiwał głową.

- Najwyraźniej przestraszył ją pewien człowiek w czerwieni, jeśli dobrze zrozumiałem, skończony łotr.

- Sądzę, że jechaliśmy tym samym pociągiem. Schowałem się w węglarce.

- Taka możliwość przysłała mi do głowy - rzekł Smythe - ale nie mogłem posłać człowieka, żeby to sprawdził, chyba że kazałbym mu iść po dachu, gdyż zakazano nam przechodzić przez czarny wagon bez okien.

- Co w nim było? - spytał Chang.

- Nie mam pojęcia. Pani Marchmoor miała klucz i tylko ona tam wchodziła. Po przybyciu do Orange Locks spotkaliśmy pana Blenheima z wozami i powozem. Wszedł ze swoimi ludźmi do wagonu, nadzorowany przez panią Marchmoor i wyładowali...

- Co takiego? - syknął Chang z nagle obudzonym zainteresowaniem, trochę obawiając się odpowiedzi.

- Tego też nie wiem. Coś zakrytego brezentem. Może kolejną skrzynię, a może trumnę. Jednak kiedy ją rozładowywali, wyraźnie słyszałem, jak Blenheim kazał woźnicy jechać powoli, żeby nie potłuc szkła...

\*

Przerwał im odgłos zbliżających się kroków. Chang przywarł do ściany. Smythe wyszedł zza rogu i w korytarzu rozległ się charakterystyczny i władczy głos pana Blenheima.

- Kapitanie! Co pan tu robi z dala od swoich ludzi? Jakie sprawy ma pan w tej części domu?

Chang nie widział Smythe'a, ale słyszał jego lekko spięty głos.

- Zostałem posłany na poszukiwanie pana Graya - odparł.

- Posłany? - warknął z nieskrywanym niedowierzaniem Blenheim. - Przez kogo?

Co za bezczelny człowiek. Gdyby Chang był na miejscu Smythe'a i wiedział, że nadzorca niedawno zamordował jednego z jego ludzi, głowa Blenheima już toczyłaby się po podłodze.

- Przez hrabinę, panie Blenheim. Może zechce pan wypytywać ją?

Blenheim zignorował te słowa.

- I co? Znalazł pan pana Graya?

- Nie.

- To dlaczego jeszcze pan tu jest?

- Jak sam pan widzi, właśnie wychodzę. Rozumiem, że kazał pan przenieść ciało mojego żołnierza do stajni.

- Oczywiście. Goście pana na pewno nie mają ochoty oglądać tupa.

- Istotnie. Jednak ja, jako jego dowódca, muszę się nim zająć. Blenheim prychnął wzgardliwie.

- Zatem zechce pan opuścić tę część domu i zapewnić mnie, że nie wróci tu ani pan, ani pańscy ludzie. Zgodnie z wolą lorda Vandaariffa jest przeznaczona wyłącznie dla jego gości.

- Oczywiście. To dom lorda Vandaariffa.

- A ja tym domem zarządzam, kapitanie - powiedział Blenheim. - Pozwoli pan ze mną.

\*

Chang, najszybciej jak mógł, podążył do gabinetu właściciela rezydencji. Nie przyjrzał się planom starego więzienia tak dokładnie, jak by chciał, lecz wydawało się logiczne, iż strażnik powinien mieć dostęp do centralnej wieży obserwacyjnej. Czy Vandaariff zaadaptował, niewątpliwie rozbudowując i upiększając mahoniem oraz marmurem, dawną siedzibę dyrektora więzienia? Jeśli domysł Changa był słuszny, to przez gabinet Vandaariffa powinien dotrzeć do Celeste. Wciąż tłukła mu się w głowie myśl, że musi ją uratować. Wiedział, że ma również inne cele - pomścić Angelikę, dowiedzieć się prawdy o Oskarze

Veilandcie, odkryć, jaki rozłam w szeregach wroga doprowadził do śmierci Trappinga. I zwykle z przyjemnością połączyłby wszystkie te wątki, rozpatrując możliwe rozwiązania, jakby przeglądał zawartość biblioteki. Jednak teraz nie miał na to czasu i nie mógł popełnić błędu, gdyż nie będzie miał drugiej szansy.

Nie mógł ryzykować, że ktoś go zobaczy, tak więc musiał błyskawicznie przebiegać przez korytarze, kryć się w kątach i za kotarami przed przechodzącą służbą. Marszcząc brwi, pomyślał, że niemal wszyscy obecni w Harschmort są jakiegoś rodzaju sługami - swej profesji, małżeństwa, pieniędzy, strachu, pożądania. Pomyślał o Svensonie i jego wiernej służbie - w imię czego, Chang nie mógł zrozumieć - a także poczuciu obowiązku oraz, nawet jeśli krzywił się na to słowo, honoru. Teraz miał ochotę napluć na to wszystko równie gniewnie, jak rozlewał krew na tych białych marmurowych posadzkach. A co z Celeste? Czy była niewolnicą Bascombe'a? Swojej rodziny? Bogactwa? Chang pojął, że nie wie. Przez moment widział ją, jak próbuje przeładować pistolet w hotelu Boniface... Niemożliwa bestyjka. Zastanawiał się, czy zdołała kogoś zastrzelić.

\*

Zobaczył, że goście znów są w maskach i wieczorowych strojach, a strzępki ich rozmów świadczyły o niecierpliwym oczekiwaniu i zaciekawieniu.

- Wiesz, mówią, że dziś wieczorem będzie ich ślub.

- Ten mężczyzna w płaszczu z czerwoną podszewką to lord Carfax, który wrócił z Bałtyku!

- Widziałeś tych tragarzy z okutymi żelazem skrzyniami?

- Dadzą nam znak, kiedy mamy podejść. Powiedziała mi to Elspeth Poole!

- Jestem tego pewna. Niesamowity wigor...

- Takie sny... a potem taki spokój duszy...

- Przyjdą posłusznie jak kukielki...

- Widziałaś? W powietrzu? Co za maszyna!

- Znikają w ciągu kilku dni. Wiem to z najlepszego źródła...

- Słyszałem od kogoś, kto już to przeszedł... Szczególne doznanie...

- Nikt go nie widział. Nie wpuszczono nawet Henry'ego Xoncka!

- Nigdy nie słyszałam takiego krzyku i nie widziałam takiej ekstazy...

- Co za niezrównana kolekcja!

- Powiedziała do wszystkich zebranych: „Czyż historię nie najlepiej zapisywać śladami bata?”. Ta kobieta jest niesamowita!

- Nikt nie rozmawiał z nim od wielu dni. Najwidoczniej dziś wieczorem chce ujawnić wszystkie swoje sekretne plany...

- Będzie mówił! Hrabia obiecał, że...

- A wtedy... prawda zostanie objawiona!

- Istotnie... Prawda zostanie objawiona!

\*

Te ostatnie zdania padły z ust chudych mężczyzn w frakach i maskach z czarnej satyny. Chang zagłębił się w labirynt prywatnych apartamentów i stał teraz za marmurowym postumentem, na którym ustawiono starożytną i delikatną amforę z malachitu i złota.

Chichoczący mężczyźni przeszli obok w głąb sporego salonu, w kierunku kredensu pełnego butelek i kieliszków. Nalali sobie whisky i zaczęli saczyć ją z zadowoleniem, opierając się o mebel i uśmiechając do siebie, wyglądając jak dzieci czekające na pozwolenie rozwinięcia urodzinowych prezentów. Jeden z nich ściągnął brwi. Pokręcił nosem.

- Co jest? - zapytał drugi.

- Ten zapach.

- Wielkie nieba - zgodził się drugi, też pociągnawszy nosem. - Co to może być?

- Nie mam pojęcia.

- Naprawdę okropny...

Chang skulił się za postumentem. Jeśli do niego podejda, nie będzie miał innego wyjścia, jak ich zaatakować. Jeden na pewno zdąży krzyknąć. Ściągnie pomoc. Pierwszy zrobił krok w kierunku wazy. Drugi syknął do niego:

- Czekaj!

- Myślisz, że już zaczynają?

- Nie rozumiem...

- Ten zapach! Myślisz, że już zaczynają? Alchemiczne opary!

- Wielkie nieba! Taki mają zapach?

- Nie wiem, a ty?

- Ja też nie, ale możemy się spóźnić!

- Szybko, szybko...

Pospiesznie opróżnili i odstawili kieliszki. Przemknęli obok Changa, nie zauważając go, poprawiając maski i przyglądając włosy.

- Co każą nam robić? - zapytał jeden, otwierając drzwi.

- Nieważne - popędzał go drugi. - Musisz to zrobić!

- Zrobię!

- Będziemy odrodzeni! - wykrzyknął z radosnym chichotem jeden z nich, zamykając drzwi. - A wtedy nic nas nie powstrzyma!

Chang wyszedł z kryjówki. Kręcąc głową, zastanawiał się, czy ich reakcja byłaby inna, gdyby nie przeszedł przez rury pieca, lecz pojawił się w salonie Harschmorta, roztaczając zapach swojego hoteliku. Wiedział, że taki odór rozpoznaliby dzięki swojej pozycji społecznej. Odrażające wyziewy Harschmorta i procesu transformacji niosły obietnicę rozwoju, osłabiającą zdrowy rozsądek. Teraz zrozumiał, że klika mogła śmiało i otwarcie głosić swoje zamiary zdobycia władzy oraz dominacji. Najlepsze było to, iż żaden z jej członków - tłoczących się tu w wieczorowych strojach, jakby otrzymali zaproszenie na królewski dwór - nie widział siebie jako zdominowanego, choć ich rozpaczliwe peany dobitnie świadczyły, że takimi byli. Nierealność całej sytuacji - tej inicjacji - tylko jeszcze bardziej im pochlebiała. Bawili się swymi jedwabiami, maskami i spiskami, będącymi, zdaniem Chang, kuszącymi rekwizytami cyrkowego szarlatana. Zamiast spojrzeć podejrzliwie na hrabinę lub hrabiego, ci ludzie radośnie spoglądali w inną stronę, na tych, nad którymi będą mogli dominować dzięki swej nowo nabytej „mądrości”. Dostrzegł w tym okrutny sens: każdy plan oparty na ludzkiej chęci wyzyskiwania innych i niedostrzegania prawdy o sobie musi się powieść.

\*

Chang uchylił drzwi na końcu i zjrzał do opisanego przez Smythe'a korytarza, z drzwiami po obu stronach na całej długości. Jedne z tych drzwi doprowadziły go do ciała Arthura Trappinga. Na końcu zobaczył spiralne schody. Był przekonany, że gabinet Vandaariffa znajduje się gdzie indziej, jeśli można się z niego dostać do wielkiej sali.

Od czego zacząć poszukiwania? Smythe powiedział, że w rezydencji jest pełno gości, tak jak w korytarzu roi się od wartowników... lecz w tym momencie nie było ani jednego. Chang nie mógł oczekiwać, że tak będzie, gdy zajrzy już za każde z tych... - szybko policzył - co najmniej trzydziestu drzwi. Tyle czasu... czy może mieć nadzieję, że Celeste jeszcze żyje?

Śmiało wyszedł na korytarz, oddalając się od schodów. Minął pierwsze drzwi, potem następne, czując rosnący niepokój. Jeśli to coś, co przydarzyło się Aspiche'owi i diukowi (Chang miałby trudności, gdyby przyszło mu wymienić bardziej godnego pogardy członka królewskiej rodziny) istotnie zakłóciło ceremonię w wielkiej sali, to Chang będzie musiał zakłócić ją jeszcze bardziej. Rozłożył laskę, choć wciąż nikt mu nie przeszkadzał, a był już w połowie korytarza. Czy wszystko mogło się już zacząć, pomimo tego, co mówił Smythe? Chang przystanął. Jedne z drzwi po lewej były uchylone. Podkrał się do nich i zerknął przez szparę. Ujrzał wąski fragment pokoju z czerwonym dywanem, takąż tapetą i stolikiem z

czarnej laki, na którym stała chińska waza. Nasłuchiwał... i usłyszał charakterystyczny szelest odzieży oraz sapanie. Cofnął się, z rozmachem kopnął drzwi i runął do środka.

Przed nim na dywanie klęczał macklenburski żołnierz ze spodniami opuszczonymi do kolan, rozpaczliwie próbujący je podciągnąć i jednocześnie złapać szablę, której pas i pochwa zaplątały mu się wokół kostek. Usta miał otwarte w niemym okrzyku protestu i Chang ujrzał, jak zmienia się wyraz jego oczu i wstyd ustępuje miejsca oszołomieniu. W następnej chwili wbił sztylet po rękojeść w gardło żołnierza, uniemożliwiając mu podniesienie alarmu. Wyrwał ostrze z rany i odskoczył na bok jak toreador przed tryskającym strumieniem krwi. Pozwolił zabitemu upaść na bok, z bladymi pośladkami wystającymi spod poły koszuli.

Czy było coś dobitniej świadczącego o bezbronności rodzaju ludzkiego niż obnażone genitalia i pośladki zabitego? Chang nie sądził. Może jeden zgubiony bucik... ale to czysty sentymentalizm.

Obok martwego żołnierza, leżąc na plecach z suknią zadartą do pasa, leżała elegancko odziana kobieta, z potarganymi włosami i twarzą pokrytą perlistym potem pod maską z zielonych paciorków. Miała szaleństwo w oczach, którymi bezustannie mrgała, oddychając szybko i chrapliwie... Jednak reszta jej ciała wydawała się nie reagować, jak we śnie. Ten mężczyzna najwidoczniej zamierzał ją zgwałcić, ale Chang zauważył, iż jej bielizna jest tylko częściowo ściągnięta, tak więc zaskoczył napastnika. Mimo to obojętna mina kobiety świadczyła o zupełnym braku zainteresowania. Przez moment stał nad nią, nie mogąc oderwać wzroku od jej urody, skurczów i spazmów wstrząsających jej ciałem, gdy leżała pograżona w transie. Zastanawiał się, ile minęło czasu, zanim żołnierz od słuchania jej dyszenia, przez zaciekawienie i podglądanie, przeszedł do działania. Chang zamknął za sobą drzwi. Korytarz wciąż był pusty. Kardynał nachylił się, by poprawić ubranie kobiety. Wyciągnął rękę, chcąc odgarnąć kosmyk włosów z jej twarzy, i odsłonił podłożoną jak poduszkę pod głowę księgę, którą jej niewidzące oczy tak gwałtownie chłoneły... błyszczącą, niebieską szklaną księgę.

Sapanie kobiety przeszło w pojękiwania, a jej skóra była gorąca i zaczerwieniona jak w gorączce. Chang spojrział na księgę i oblizał usta. Ze zdecydowaniem, którego wcale nie był pewien, złapał kobietę pod pachy i podniósł, mrużąc oczy przed jasnym błyskiem odsłoniętego szkła. Gdy ją odciągał, skomlała, protestując jak śpiące szczenię odrywane od suki. Posadził ją i skrzywił się, gdyż blask księgi zdawał się przeszywać mu mózg. Chang zatrzasnął ją, zaciskając zęby, nawet przez skórzane rękawiczki czując jej dziwne pulsowanie i energetyczny opór przy jej zamykaniu. Kobieta ucichła. Chang obserwował ją, machinalnie wycierając sztylet o dywan - i tak był czerwony, więc co za różnica? - gdy jej oddech

stopniowo się uspokajał, a oczy nabierały przytomniejszego wyrazu. Delikatnie odchylił zasłonę z koralików. Nie znał tej kobiety. Była po prostu jeszcze jedną z wielkich dam schwytanych w pajęczynę Harschmort House.

Chang wstał i wziął poduszkę z pobliskiej sofy. Rozciął jeden jej koniec sztyletem i gwałtownie wywrócił na drugą stronę, wyrzucając na podłogę kłęby pożółkłej waty. Ostrożnie umieścił księgę w poszewce i odwrócił się. Ta dama, której palce żałośnie drapały dywan, poradzi sobie, gdy się ocknie, i do końca życia będzie się zastanawiała, co jej się przydarzyło... A jeśli zacznie krzyczeć, narobi potrzebnego mu zamieszania. Podszedł do drzwi i przystanął, oglądając się za siebie. W tym pokoju nie było drugich drzwi - a jednak coś przykuło jego uwagę. Tapeta była czerwona, w złote pierścienie, które nieco przypominały styl florenetyński. Chang przeszedł przez pokój, patrząc na prostokąt tapety na przeciwległej ścianie. W środku jednego ze złotych pierścieni materiał był lekko postrzępiony. Nacisnął to miejsce palcem i tapeta ustąpiła, odsłaniając otwór. Chang przeszedł obok kobiety, która potrzęsała głową i usiłowała podeprzeć się łokciem. Wyszedł na korytarz.

\*

Ponownie potwierdziło się przekonanie Changa, że większość skutecznie ukrytych rzeczy pozostaje schowana tylko dlatego, że nikomu nie przychodzi do głowy ich szukać. Kiedy już wiedział, czego szuka - wąskiego korytarza między pokojami - łatwo było znaleźć wiodące do niego drzwi. Choć było możliwe, że po drugiej stronie otworu znajduje się zwyczajny pokój, Chang czuł, że byłoby to sprzeczne z ideą przyświecającą twórcy Harschmort House, który najwyraźniej zamierzał stworzyć zintegrowane środowisko. Po co umieszczać judasza w jednym pokoju, gdy można stworzyć ukryte przejście biegnące między dwoma rzędami apartamentów, by cierpliwy człowiek w obuwiu o miękkich podszewkach mógł podglądać wielu gości? Zachichotał na myśl, że to może tłumaczyć sławę skutecznego negocjatora, jaką cieszył się Robert Vandaariff, jego niesamowitą zdolność do przewidywania posunięć konkurentów w interesach, dorównującą jego renomie hojnego gospodarza, szczególnie - tu Chang pokręcił głową z podziwu nad jego sprytem - wobec tych, z którymi najenergiczniej walczył. Nie dalej jak trzy metry od drzwi, którymi wszedł, Chang znalazł dwie pary następných, osadzonych blisko siebie, a raczej dodatkowe w miejscu, w którym gdzie indziej była tylko lita ściana.

Wyjął klucze - najpierw Graya, a potem swoje - i spróbował otworzyć zamek. Ten był dość skomplikowany i różnił się od innych, napotkanych w tym domu. Chang z rosnącym niepokojem zerkał na boki, próbując otworzyć go drugim, a potem trzecim kluczem. Zdawało

mu się, że z końca korytarza, z klatki schodowej, dobiega narastający szum... Aplauz? Czyżby dawano tam jakieś przedstawienie? Klucz nie pasował. Wypróbował następny. Z trzaskiem, który odbił się echem w całym korytarzu, otworzyły się drzwi na balkonie nad schodami i Chang usłyszał odgłos kroków zbliżającego się tłumu. Będą tu lada chwila. Klucz obrócił się w zamku i Chang bez namysłu uchylił drzwi i wśliznął się w panujący za nimi mrok. Zamknął je jak najszybciej i najciszej, nie mając pojęcia, czy ktoś go usłyszał lub zauważył.

Po omacku mszył w ciemność. Przejście było wąskie, tak że idąc, ocierał łokciami o ściany, lecz kamienna posadzka była gładka i umożliwiała bezszelestne poruszanie się (w przeciwieństwie do desek, które z czasem mogłyby się wypaczyć i zacząć trzeszczeć). Wymacał sobie drogę, w czym przeszkadzała mu laska, którą trzymał w jednej ręce, zawinięta w powłoczkę księga, którą miał w drugiej, oraz obciążające kieszenie buciki panny Temple, zawadzające o ściany. Otwór judasza w pokoju nieprzytomnej kobiety znajdował się na wysokości oczu, tak więc idąc, wodził rękami po ceglanych ścianach, usiłując znaleźć jakieś wgłębienie. Na pewno jest blisko... Zniecierpliwiony o mało nie rzucił się biegiem w ciemność, gdy nagle zawadził nogą o schodek i stracił równowagę. Od upadku powstrzymały go tylko dwa następne stopnie, o które boleśnie stłukł sobie kolano. Odkrył, że kłęczący na schodkach zajmujących całą szerokość przejścia. Ostrożnie odłożył laskę i księgę i zaczął obmacywać ścianę w poszukiwaniu otworu. Znalazł go dzięki półksiężycowi światła wpadającego przez częściowo odsłonięty otwór. Cicho wyjął zatyczkę i zajrzał do pokoju. Kobieta odczołgała się od zabitego żołnierza i kłęczała na dywanie. Dłonie miała schowane pod suknią - poprawiając bieliznę lub próbując ustalić, jak daleko napastnik posunął się w swych zapędach. Nadal nosiła maskę i Chang z zainteresowaniem odkrył, że mimo łez na policzkach wydaje się spokojna i zdeterminowana... Czy to rezultat kontaktu z księgą?

Zasłonił judasza i zastanowił się, dlaczego schodki zajmują całą szerokość korytarzyka. Czyżby w ścianie naprzeciwko znajdował się następny otwór? Chang zmienił pozycję, pomacał i bez trudu znalazł zatyczkę. Wyjął ją, najdelikatniej jak mógł, i nachylił się, żeby zajrzeć do drugiego pokoju.

\*

Mężczyzna opierał głowę na rękach złożonych na blacie biurka. Chang poznał go mimo czarnej opaski na oczach - tak jak rozpoznawał każdego, kogo śledził, potrafiąc zidentyfikować go od tyłu lub w tłumie jedynie po wzroście i mchach. Śpiącym był jego były klient, człowiek, który niedawno zarekomendował jego usługi Rosamonde, prawnik John Carver. Chang nie wątpił, że tajemnice, jakie ten człowiek znał z racji swego zawodu, mogły otworzyć przed kliką wiele drzwi w stolicy. Zastanawiał się, ilu przedstawicieli prawa

zwerbowano w ten sposób, i pokręcił głową na myśl o tym, jakie to musiało być proste. Twarz Carvera była równie czerwona, jak twarz tamtej kobiety, i cienka strużka śliny spływała mu z kącika ust na blat. Pod jedną dłonią Carvera leżała migocząca niebieska księga. Oszołomiony przez nią prawnik przyciskał do niej skroń, a na jego twarzy malował się idiotyczny grymas. Chang z zaciekawieniem zauważył, że twarz i czubki palców Carvera, które dotykały szkła, przybrały niebieskawą barwę... wyglądały jak odmrożone, choć perlący się na czole pot przeczył takiemu wyjaśnieniu. Chang z niesmakiem zauważył, że Carver drugą ręką kurczowo ściska swoje krocze. Rozejrzał się po pokoju, szukając innego lokatora lub jakiejś użytecznej wskazówki, ale niczego nie znalazł. Nie wiedział, co klika zamierza osiągnąć przez taki kontakt z księgą - oprócz zniewolenia ofiary. Czy w ten sposób zmieniano ludzi tak jak w trakcie procesu transformacji? Czy w księdze jest coś, co chciano im pokazać? Czuł ciężar tej, którą trzymał pod pachą. Wiedział, mając szklany pył w płucach i usłyszawszy opowieść Svensona o mężczyźnie z potłuczonymi szklanymi rękami, że taka księga może być śmiertelnie niebezpieczna, lecz jako narzędzie, maszyna... Nie potrafił ogarnąć jej rzeczywistej destrukcyjnej mocy. Chang zamknął otwór zatyczką i zaczął laską szukać następnych schodków.

Gdy je znalazł, znów wyjął zatyczkę i zajrzał najpierw do otworu po lewej stronie, tam, gdzie zostawił kobietę. Miał wyrzuty sumienia. Czy nie powinien zrezygnować z podglądania i pójść prosto do gabinetu? Jednak robiąc to, nie zdobędzie informacji o klice, a taka okazja mogła się już nigdy nie powtórzyć... Po prostu przyspieszy kroku. Zajrzał do komnaty i zamarł. Dwaj mężczyźni w czarnych płaszczach sadzali na sofie starszego pana w czerwonym płaszczu. Chang nie widział twarzy duchownego. Czyżby był nim biskup Baax-Saornes? Po diuku Staelmaere i królowej był najbardziej wpływową osobą w państwie, rządowym doradcą i tropicielem korupcji... a teraz dwaj słudusi ocierają mu ślinę z brody. Jeden z nich zawijał coś w płótno - zapewne księgę - a drugi mierzył biskupowi puls. Nagle obaj odwrócili się, słysząc pukanie do drzwi, których Chang nie mógł zobaczyć. Pospiesznie opuścili pokój.

Nie rozmyślając dłużej o skompromitowanym biskupie, któremu i tak nie mógł już pomóc, Chang zajrzał do komnaty po drugiej stronie. Następny odurzony człowiek z zaczerwienioną twarzą przyciśniętą do jarzącego się szkła. Ile tych piekielnych ksiąg stworzono? Tym mężczyzną był Henry Xonck, który teraz zgubił gdzieś swą władczą pozę... Wessała ją księga? Ten pomysł wydawał się absurdalny, a jednak Chang pamiętał o szklanych kartach i o zawartych w nich wspomnieniach. Jeśli te księgi działają tak samo, tylko znacznie silniej? Chang nagle zaczął się zastanawiać, czy wspomnienia jedynie

kopiowano, czy usuwano z pamięci ofiar? Jak wiele wspomnień Henry'ego Xoncka, jaką część jego duszy mu zabrano?

\*

Następne judasze ukazały takie same widoki i chociaż Chang nie rozpoznał wszystkich nieprzytomnych osób, zobaczył dość, by ocenić siłę zmasowanego ataku na najbardziej wpływowe osobistości w kraju: ministra finansów, ministra wojny, sławną aktorkę, księżną, admirała, sędziego Sądu Najwyższego, wydawcę „Timesa”, prezesa banku Imperial, owdowiałą baronesse prowadzącą najważniejszy opiniotwórczy salon stolicy, i w końcu Madelaine Kraft, na widok której miał ochotę przerwać poszukiwania i interweniować. Wszyscy znajdowali się w stanie głębokiego, niemal narkotycznego odurzenia, zupełnie nieprzytomni i bezwładni, całkowicie skupieni na księdze, którą im podsunęto. W kilku pokojach Chang widział zamaskowane postacie - mężczyzn i kobiet - pilnujące ofiar, czasem zabierające księgi i budzące nieprzytomnych, czasem dające im czas na nurzanie się w błękitnych odmętach. Chang nie rozpoznał żadnej z tych osób. Był pewien, że zaledwie kilka dni wcześniej ich zadania wykonywały podobne do pani Marchmoor i Rogera Bascombe'a, a jeszcze wcześniej hrabina lub Xonck. Teraz ich klika rozrosła się, przyjmując wielu nowych członków, więc mogli zająć się ważniejszymi sprawami. To upewniło Changa, że w tym domu dzieje się jeszcze coś, co może odwrócić uwagę od werbowania wysoko postawionych osób, a zarazem jest na tyle ważne, żeby przyciągnąć uwagę przywódców kliki. Pospieszenie mszył w ciemność.

Zignorował następne judasze, zmierzając do końca korytarza i mając nadzieję, że znajdzie tam drzwi. Zamiast nich napotkał obraz. Wyciągniętą przed siebie laską natrafił na coś, co nie było kamieniem, i sięgnąwszy ręką, znalazł grubą rzeźbioną ramę. Wydawała się podobnej wielkości jak ta, w którą oprawiony był portret Roberta Vandaariffa, maskujący drzwi do rzędu cel, chociaż w korytarzyku było tak ciemno, że Chang nie miał pojęcia, co obraz przedstawia. Nie tracił czasu na rozmyślania, tylko opadł na kolana, szukając uchwytu lub dźwigni otwierającej ukryte drzwi. Tylko dlaczego ten portret wisi w korytarzyku? Czy to oznacza, że drzwi się obracają i niedawno ktoś przez nie przeszedł? Niepodobna - zwykle drzwi na zawiasach byłyby znacznie łatwiejsze do ukrycia i wygodniejsze w użyciu. I co jest na tym obrazie, który ukryto w ciemności?

Przykucnął i westchnął. Potłuczony, zmęczony, spragniony... Chang opadł z sił. Nadal mógł walczyć - tak nakazywał mu instynkt - ale nie był w stanie trzeźwo myśleć. Zamknął oczy i nabrał tchu, po czym powoli wypuścił powietrze, myśląc o tym, co znajduje się po drugiej stronie tych drzwi. Ukryty zatrask... może nie obok ramy, lecz będący jej częścią.

Przesunął palcami po wewnętrznej krawędzi ozdobnej (wręcz przesadnie) ramy, najpierw sprawdzając miejsce, gdzie powinna być zwyczajna klamka... Kiedy znalazł wgłębienie, okazało się, że sztuczka polega jedynie na tym, że gałka znajduje się po lewej, a nie po prawej stronie - przez co z łatwością mógł stracić kolejne pół godziny. Chwycił dziwnego kształtu gałkę i przekręcił. Dobrze naoliwiony zamek otworzył się bezgłośnie i Chang poczuł, że drzwi ustępują. Pchnął je i wszedł.

\*

Natychmiast zrozumiał, że znajduje się w gabinecie Vandaariffa, gdyż ten siedział tam za ogromnym biurkiem, staromodnym gęsim piórem pracowicie zapisując długi zwój pergaminu. Lord nie podniósł głowy. Chang zrobił kolejny krok, przytrzymując otwarte drzwi, rozglądając się po pokoju. Dywany były czerwono-czarne, a długi pokój podzielony meblami na mniejsze części: długi stół konferencyjny ze stojącymi wokół krzesłami o wysokich oparciach, kilka foteli i sof, biurko asystenta, rząd wysokich zamkniętych szaf na dokumenty, a w końcu wielkie biurko lorda zasłane papierzyskami, zwiniętymi mapami i mnóstwem szklanek oraz kubków - niczym wyrzucone przez fale odpadki otaczających zapisywany właśnie pergamin.

Poza lordem w gabinecie nie było nikogo.

Lord Vandaariff nadal nie zauważał Changa, całkowicie zajęty pisaniem. Kardynał przypomniał sobie, że przyszedł tu głównie po to, żeby znaleźć przejście do wielkiej sali. Nie widział go. Za stołem znajdowały się drzwi, wyglądające na jedyne w tym pomieszczeniu.

Chang zrobił krok naprzód i kątem oka dostrzegł coś, co przykuło jego uwagę. Znajdujący się za jego plecami obraz, którego dobrze nie widział w ciemności. Znów spojrzął na Vandaariffa, a ten wcale nie zwracał na niego uwagi. Chang szerzej otworzył drzwi. Następne płótno Oskara Veilandta, wyglądające jak spód fragmentów *Objawienia* i innych obrazów. To, co na pierwszy rzut oka wydawało się przypadkową bazgraniną, w istocie było gęsto zapisanymi liniami symboli i diagramów. Chang bardziej domyślił się, niż zobaczył, że cała formuła tworzy kształt podkowy... Matematyczne równanie mające kształt Harschmort House. Ponadto, co uświadomił sobie niemal mimo woli, zastanawiając się, czy nie jest to jedynie wytworem jego wyobraźni, ten wzór miał perwersyjnie anatomiczny kształt: ten wygięty w literę U zarys domu z dziwacznej kształtu cylindryczną wieżą, wyższą, niż przypuszczał, i mieszczącą w sobie wielką salę... Jakikolwiek inny sens miała alchemia Veilandta, było najzupełniej oczywiste, że jej korzenie tkwiły tyleż w asocjacjach seksualnych, co w transmutacjach pierwiastków - a może miała dowodzić, że to jedno i to samo? Chang nie wiedział, co to ma wspólnego z ceremonią w wielkiej sali i Vandaariffem. A

jednak... Usiłował sobie przypomnieć, kiedy Vandaariff kupił i wyremontował więzienie Harschmort - nie dawniej jak przed dwoma laty. Czy kustosz galerii nie powiedział im, że Veilandt nie żyje od pięciu lat? To niemożliwe, gdyż alchemiczne wzory na drzwiach zdecydowanie były dziełem tego samego człowieka. Czy to możliwe, że Veilandt wcale nie umarł? Czy jest tutaj - może z własnej woli, choć zważywszy na stopień, w jakim Vandaariff i d'Orkancz wykorzystywali wszystkie jego odkrycia, nagle bardziej prawdopodobne wydało się, że jest tu więźniem albo gorzej - ofiarą własnej alchemii, uwięzionym w szklanej księdze na użytek innych..

Mimo zmęczenia i desperacji Chang nie mógł powstrzymać budzącej się nadziei. Jeśli Veilandt żyje, to można go odnaleźć! Od kogo innego mogą się dowiedzieć, jak oprzeć się lub przezwyciężyć działanie tego szkła? Z nagłym ukłuciem w sercu Chang pojął, że może to być szansa uratowania Angeliki. I natychmiast zaczęły dręczyć go wątpliwości, czy ratować Celeste, czy też próbować ocalić Angelikę. Veilandt może być wszędzie - zamknięty w klatce lub leżący półprzytomny w jakimś kącie. Albo, jeśli zachował zdrowe zmysły, znajduje się tam, gdzie najlepiej może pomóc klice - czyli z hrabią d'Orkanczem przy podstawie wielkiej wieży.

Chang ponownie spojrzął na obraz. Był to plan Harschmort, a także oszalamiająco skomplikowana formuła alchemiczna o wyraźnie pornograficznej wymowie. Skupiwszy się na mapie (gdyż nie znał się na alchemii i nie miał czasu na jałowe podniety), starał się zlokalizować miejsce, w którym obecnie się znajdował. Czy wiedzie stąd jakaś prosta droga do wielkiej sali i wznoszącej się w niej wieży obserwacyjnej?

Sam pokój był zaznaczony na planie. Dostatecznie znał grekę, aby odczytać literę alfa, nad którą, jakby dla zwielokrotnienia jej potęgi, widniała maleńka omega... Od omegi jedna linia prosta wiodła do gąszczy symboli reprezentujących komnatę. Chang spojrzął na płótno, czując się jak analfabeta. Jeśli ten pokój to alfa, to gdzie w nim jest omega? Podejrzewał, że za biurkiem Vandaariffa, tam gdzie ścianę przesłaniała gruba kotara.

Chang podszedł do niej szybko, czujnie obserwując Vandaariffa. Ten nadal nie odrywał się od pisania i od czasu przyjścia Chang'a zapisał chyba pół strony. Ten człowiek był chyba najbardziej wpływową osobą w kraju i Chang nie mógł powstrzymać ciekawości. Podszedł do biurka i spojrzął w nieruchomą i obojętną twarz Roberta Vandaariffa. Właściwie sam odór jego odzienia powinien wytrącić z równowagi nawet świętego. Kardynał miał wrażenie, że oczy Roberta Vandaariffa nie widzą nikogo i niczego. Były otwarte, ale nieruchome i szkliste, zapatrzone nie wiadomo w co, niby w blat biurka, ale lekko w bok, jakby spisywał swoje myśli. Chang pochylił się jeszcze niżej, żeby obejrzyć pergamin. Teraz

znalazł się tuż obok Vandaariffa, lecz ten wciąż nie reagował. O ile Chang mógł stwierdzić, bogacz dokumentował treść finansowej transakcji - zdumiewająco szczegółowo - związanej z transportem czegoś drogą morską do Macklenburga, francuską bankowością, stopami procentowymi, rynkami, udziałami i programami spłat kredytów. Patrzył, jak Vandaariff kończy i rażno odwraca stronę. Nagły ruch ramienia sprawił, że Chang odskoczył, ale lord tylko dokończył zdanie na nowej stronie. Chang spojrział na podłogę za biurkiem i zobaczył wiele długich kart pergaminu całkowicie pokrytych tekstem, jakby Robert Vandaariff przelewał na nie wszystkie znane sobie finansowe sekrety. Chang ponownie popatrzył na jego poruszające się palce, zmrożony niehumaniczną sprawnością, z jaką poruszają piórem, i zauważył, że ich czubki są zabarwione na niebiesko... A przecież w pokoju nie było zimno i ten błękit miał żywszą barwę, niż Chang kiedykolwiek widział u żywego człowieka.

Zostawił podobnego do automatu lorda, złapał zasłonę i odsunął ją. Za nią znajdowały się zamknięte drzwi. Pogmerał przy pęku kluczy, wybierając jeden, i nagle upuścił wszystkie, przestraszony obecnością Vandaariffa i poskrzypywaniem pióra za plecami. Podniósł klucze i niecierpliwie i gniewnie z całej siły kopnął w drzwi tuż przy zamku. Kopnął jeszcze raz i drewno pękło. Nie przejmował się hałasem ani tym, że zostawi ślady. Znowu kopnął i połamał drewno wokół rygla. Uderzył barkiem w drzwi, wyłamując je, po czym chwiejnie wpadł do krętego tunelu, którego koniec znajdował się gdzieś na dole, niewidoczny.

Lord Vandaariff nawet nie drgnął, tylko wciąż zapisywał pergamin swym pajęczym pismem. Chang potarł ramię i pobiegł.

\*

Tunel był wyłożony gładkimi kamiennymi płytami i oświetlony rozmieszczonymi w regularnych odstępach kulami gazowych lamp. Lekko zakręcał na odcinku około stu kroków, zmuszając Changą do zwolnienia tempa. I dobrze, gdy bowiem przystanął, żeby nabrać tchu - opierając się jedną ręką o ścianę i pozwalając grudce krwawej flegmy cicho spłynąć z ust - usłyszał w oddali chór głosów. Tunel przed nim ostro skręcał w prawo, ku wielkiej sali. Czy będzie tam jakiś strażnik? Śpiew zagłuszał wszelkie inne odgłosy. Dochodził z dołu... To śpiewali ludzie w celach na górze! Chang opadł na kolana i ostrożnie wyjrzał zza rogu.

Tunel prowadził do wąskiej kładki, właściwie pomostu, zabezpieczonego z obu stron łańcuchami i wiodącego do czarnej, złowrogo wyglądającej żelaznej wieżyczki, która wznosiła się aż pod sufit. Przez metalową siatkę pomostu sączył się dobiegający z dołu śpiew. Chang spojrział tam, lecz mdłe światło i słaby wzrok nie pozwalały mu dostrzec sali na dole. Na końcu kładki znajdowały się żelazne drzwi, grube, z masywnym zamkiem i żelazną

zasuwą - otwarte na oścież. Chang przystanął obok nich, czekając i nasłuchując. Niczego nie usłyszał i wśliznął się w mrok... na następne spiralne schody, te zespawane z żeliwnych płyt.

Schody wiodły na dach, ku czemuś, co musiało być głównym wejściem do wieży. Chang jednak skierował się w dół i postukiwanie jego butów było bardziej wyczuwalne niż słyszalne przez chór. Teraz słyszał go wyraźniej, lecz był to taki rodzaj śpiewu, że nawet dla znającego język słowa równie dobrze mogły być tekstem włoskiej (albo na przykład islandzkiej) opery, tak zniekształcone i nienaturalne były te dźwięki. Mimo wszystko zdołał wychwycić takie słowa jak „niezgłębiony błękit”, „niekończące się obrazy” i „odkupienie”, które tylko skłoniły go do przyspieszenia kroku.

Wnętrze wieży oświetlały regularnie rozmieszczone kinkiety, lecz ich blask był celowo przyćmiony, tak by nie był widoczny przez otwory. Chang zwolnił kroku. Dostrzegł coś na schodach poniżej. Porzucony płaszcz. Podniósł go i obejrzał w świetle najbliższego kinkietu. Płaszcz od munduru, kiedyś ciemnoniebieski, a teraz prawie czarny od brudu i - co zauważył z zainteresowaniem - krwi. Plamy były jeszcze wilgotne i całkowicie przemoczyły przód płaszcza. Nie dostrzegł jednak żadnego rozdarcia czy rozcięcia. Czy to krew jego właściciela, czy też jego nieprzyjaciół? Ktokolwiek go nosił, mógł zostać raniony w głowę lub przyciskać do piersi kikut odciętej ręki. Wszystko było możliwe. I właśnie wtedy - jak wolno działał jego mózg! - Chang zauważył naszywki na sztywnym kołnierzu. Ponownie obejrzał krój, kolor, srebrne obszycia epoletów... W myślach sklął się od głupców.

Płaszcz niewątpliwie należał do Svensona i był zakrwawiony.

Chang pospiesznie rozejrzał się po klatce schodowej i na jej ścianie zobaczył szeroki rozbryzg krwi. Na tych schodach miał miejsce jakiś akt przemocy - być może przed chwilą. Czy Svenson zginął? Jak zdołał dotrzeć do Harschmort z Tarr Manor? Chang cofnął się kilka kroków, wodząc wzrokiem po żelaznych płytach. Widać było ślady krwi, lecz rozmazane... Nie pozostawił ich idący ranny człowiek, lecz wleczony tędy ranny. Lub umierający.

Chang odrzucił płaszcz. Jeśli doktor go zostawił, on nie będzie go dźwigał. Najszybciej jak mógł, zaczął schodzić. Wiedział, że musi pokonać prawie taką samą odległość, na jaką się wspiał, czyli około dwustu kroków. Co, do licha, znajdzie przy podstawie wieży? Ciało Svensona? Co robi teraz d'Orkancz? Dlaczego nie ma tu straży?

Chang poślizgnął się w kałużę krwi i złapał się poręczy. Zbyt łatwo mógł popełnić błąd i poślizgnąwszy się tu, wylądować na dole ze skręconym karkiem. Starał się skoncentrować. Chór wciąż śpiewał, chociaż Chang minął rzędy cel i te dźwięki dobiegały teraz gdzieś z góry. Kiedy Svenson tu przybył? Na pewno razem z Aspiche'em! Czyżby doktor był powodem niepokoju Smythe'a? Chang uśmiechnął się, choć zaraz skrzywił na

myśl o tym, jak pułkownik zemściłby się na każdym, kto wszedłby mu w drogę. Nie cieszyła go wizja doktora stojącego samotnie przeciwko tym wszystkim ludziom. Doktor nie był żołnierzem ani wyrachowanym zabójcą. To była rola Changa, który wiedział, że musi Svensona odnaleźć.

A jeśli doktor nie żyje? Wtedy być może Chang umrze razem z nim... i z panną Temple.

\*

Zbiegł po trzydziestu schodach i przystanął na niewielkim podeście. Płuca przeszywał mu kłujący ból, a wiedział, że nie powinien w takim stanie pojawiać się na dole. Tuż obok znajdował się jeden z otworów widokowych, więc odsłonił go, uśmiechając się ze złowrogim wyczekiwaniem. Otwór był osłonięty płytą z przydymionego szkła. Od wewnątrz można było przez nie patrzeć, lecz więźniom to szkło nie pozwoliłoby dostrzec, czy ktoś odsunął metalową płytę. Chang zdjął okulary i przycisnął twarz do szyby w tej samej chwili, gdy śpiew ucichł.

W górze i naprzeciwko niego były cele, pełne elegancko ubranych ludzi w maskach, którzy z twarzami przyciśniętymi do krat wyglądali jak pensjonariusze domu wariatów. Przeniósł spojrzenie w dół, ale nie dostrzegł stołów. Nadal był za wysoko.

Kiedy się cofał, usłyszał dobiegający z dołu głos - nienaturalnie głuchy, dziwnie wzmocniony i bezsprzecznie donośny. Nie rozpoznał go od razu, gdyż słyszał tylko kilka słów, wypowiedzianych ochrypłym szeptem do Haralda Crabbego, gdy potężnym i okrytym futrem ramieniem obejmował Angelikę. Mimo to Chang wiedział, że to hrabia d'Orkancz. Klnąc w duchu, puścił się pędem, przeskakując po dwa i trzy stopnie, ręką z laską przytrzymując się poręczy, drugą chroniąc owiniętą księgę przed kolizją, trzepocząc połami rozwianego płaszcza, którego obciążone kieszenie uderzały o jego nogi. Wokół odbijał się echem nieludzki głos hrabiego.

- Jesteście tu, ponieważ wierzycie... w siebie... w rezygnację z siebie dla pięknego marzenia... dla przyszłości... możliwości... transformacji... objawienia... odrodzenia. Może są wśród was tacy, którzy okażą się godni... naprawdę godni i naprawdę gotowi poświęcić swe złudzenia... poświęcić cały swój świat... który jest światem iluzji... dla tego najwyższego stopnia wiedzy. Po objawieniu jest mianowanie... tak jak Marię uczyniono inną od wszystkich kobiet... jak Sarę uczyniono brzemiennej po wielu bezpłodnych latach... jak w Ledzie złożono bliźniacze nasiona piękna i zniszczenia... tak wszystkie te naczynia przed wami zostały wybrane... mianowane... aby znaleźć swe przeznaczenie w transformacji, której będziecie świadkami. Poczujecie działanie ogromnych sił... zasmakujecie wielkości... eterycznej

ambrozji... znanej dotychczas jedynie istotom nazywanym bogami przez pasterzy... i dzieci, którymi wszyscy kiedyś byliśmy...

\*

Chang stracił równowagę i musiał przystanąć, oburącz łapiąc się poręczy, żeby powstrzymać upadek. Splunął i dysząc, zaczął po omacku szukać judasza, zdjawszy okulary, żeby lepiej widzieć. Poniżej ujrzał wielką salę, niczym piekielną żelazną katedrę przygotowaną do czarnej mszy. U podnóża wieży stało podium - wyglądające jak zawieszzone na srebrzystych rurach - a na nim trzy stoły operacyjne, każdy otoczony przez stojaki, tace i mosiężne skrzynki maszynarii. Na każdym leżała kobieta, spętana rzemiennymi jarzmami jak Angelika w instytucie, naga, z ciałem całkowicie zasłoniętym przez obrzydliwą płataninę czarnych rur. Twarz każdej z nich zasłaniała czarna maska, od której odchodziły cieńsze rurki - od każdego ucha, oka, nosa i ust - a włosy miały osłonięte czarnym płótnem, tak że pomimo ich nagości Chang mógł jedynie zgadywać, kto leży na tych stołach. Jedynie kobieta leżąca najbliżej wieży, którą ledwie mógł dostrzec ze swojego punktu obserwacyjnego, różniła się od innych, gdyż podeszwy jej stóp miały niebieskie zabarwienie, takie samo jak dłonie Roberta Vandaariffa.

Obok niej stał hrabia d'Orkancz, w skórzanym fartuchu i rękawicach, jakie nosił w instytucie, oraz mosiężnym hełmie, do którego podłączona była inna rura, biegnąca do metalowej skrzynki w miejscu ust. Hrabia mówił do tej skrzynki, a maszynaria wzmacniała jego głos, by niczym głos Boga docierał do najdalszych zakątków wielkiej sali. Za d'Orkanczem stali jeszcze czterej mężczyźni, w identycznych strojach i maskach. Pracownicy instytutu, jak Gray lub Lorenz? A może jednym z nich jest Oskar Veilandt, obecny jako więzień lub niewolnik? Chang nie widział podstawy wieży. Gdzie są wartownicy? Gdzie jest Svenson? Na którym stole leży Celeste? Żadna z kobiet nie wyglądała na przytomną - jak ją stąd wyniesie?

Chang odwrócił się, słysząc za plecami jakiś dźwięk - brzęczenie schodów. Wiły się wokół żelaznego filaru i właśnie z niego ten brzęk się wydobywał. Chang wyciągnął rękę i poczuł wibracje. To drganie przypominało mu mrę poczty pneumatycznej... Czyżby filar był pusty w środku? Jak inaczej można by szybko przesyłać różne rzeczy z góry na dół? To była jego szansa. Kiedy rzeczy dotrą na dół, ktoś otworzy drzwi wieży, żeby je odebrać, a wtedy Chang będzie mógł się z niej wydostać. Założył okulary, postawił owiniętą w powłoczkę księgę pod ścianą i pobiegł.

Hrabia wciąż przemawiał. Chang go nie słuchał. Kolejne bzdury, następny akt cyrkowej błazenady mającej ogłupić widzów. Jakiegokolwiek skutki miała naprawdę

transformacja, Chang nie wątpił, że to tylko zasłona skrywająca ogrom wyzysku i chciwości. Brzęk ucichł. Gdy Chang wypadł zza ostatniego zakrętu, zobaczył dwóch mężczyzn w fartuchach, rękawicach i hełmach, pochylających się przy otwartych drzwiach windy, wyciągających z niej okutą żelazem skrzynię, żeby załadować ją na wózek. Za nimi były otwarte drzwi wiodące na podium, a po obu ich stronach stali macklenburscy żołnierze. Chang zignorował mężczyzn przy wózku i z okrzykiem skoczył ze schodów na najbliższego Macklenburczyka. Uderzył go przedramieniem w szczękę i kolaniem w żebra, powalając na podłogę. Zanim drugi żołnierz zdążył wyjąć szablę, Chang uderzył go laską w brzuch. Trafiony zgiął się wpół, przy czym jego twarz znalazła się tak blisko Changa, że ten usłyszał, jak jego zęby uderzyły o siebie. Błyskawicznie wbił mu sztylet w gardło i równie szybko wyrwał ostrze. Zanim martwe ciało runęło na ziemię, Chang obrócił się na pięcie i kopnął w skroń pierwszego żołnierza. Obaj znieruchomieli. Dwaj mężczyźni w maskach spoglądali na niego z głębokim zdumieniem mieszkańców Księżyca, po raz pierwszy widzących okrucieństwo Ziemian.

Chang skoczył do otwartych drzwi. Hrabia zamilkł. Gapił się na Changa. Zanim Kardynał zdążył zareagować, usłyszał coś za plecami i nie oglądając się, uskoczył w tej samej chwili, gdy dwaj mężczyźni w hełmach pchnęli na niego wózek. Metalowy kant zahaczył o jego prawe udo, dostatecznie mocno, by wytoczyć krew, lecz nie dość, by go powalić. Chang wskoczył na podium i na moment poraził go ogrom tej podobnej do katedry sali, powodując lekki zawrót głowy. Oceniał sytuację. Na podium było jeszcze czterech Macklenburczyków - trzech żołnierze, którzy błyskawicznie wyjęli szable, oraz major Blach, spokojnie sięgający po czarny pistolet. Chang rozejrzał się pospiesznie. Nigdzie nie dostrzegł Svensona i w żadnym z noszących mosiężne hełmy mężczyzn nie zdołał rozpoznać Veilandta. Zerknął w górę, na tłum ludzi w maskach, w napięciu obserwujących bieg wydarzeń. Nie było czasu. Jedyne droga ucieczki wiodła ku stołom i maszerującemu na niego, zamierzającemu zagrozić mu drogę do kobiet d'Orkanczowi.

Żołnierze mszyli do ataku. Chang natarł na hrabiego, a potem uskoczył w lewo i wpadł pod pierwszy stół, przemykając pod zwisającymi rurami. Żołnierze próbowali wyminąć hrabiego. Chang parł dalej, nisko pochylony, aż prześlizgnął się pod drugim stołem. Wyszedł spod niego, a hrabia krzyknął do żołnierzy, żeby się nie ruszyli.

\*

Chang wstał i spojrzał za siebie. Hrabia patrzył na niego zza pierwszego stołu, wciąż w mechanicznej masce, nad oplatana rurami pierwszą kobietą. U boku hrabiego stał Blach, z pistoletem gotowym do strzału. Żołnierze czekali. Svensona tu nie było. Najprawdopodobniej

tak samo jak Veilandta, przynajmniej przy zdrowych zmysłach, gdyż dwaj mężczyźni za plecami hrabiego nie przerwali swej pracy przy mosiężnej maszynerii, wyglądając jak para mechanicznych insektów. Chang spojrział na krawędź podium. Ze wszystkich stron otaczało je parujące morze metalowych rur, syczących, gorących i buchających siarkowymi oparami. Stąd nie było ucieczki.

- Kardynale Chang!

Hrabia d'Orkancz przemówił tym samym mechanicznie wzmocnionym głosem, który Chang słyszał w wieży. Padające z bliska słowa były tak nieprzyjemnie szorstkie, że Kardynał mimo woli się skrzywił.

- Nie ruszaj się! Przeszkodziłeś w czymś, czego nie pojmujesz! Zapewniam cię, że nie masz pojęcia, czym to grozi!

Nie zwracając na niego uwagi, Chang wyciągnął rękę i zerwał ciemny materiał owijający włosy kobiety na drugim stole.

- Nie dotykaj ich! - wrzasnął hrabia.

Włosy były zbyt ciemne. To nie Celeste. Natychmiast podbiegł do trzeciego stołu. Żołnierze poszli w jego ślady, zatrzymując się za drugim. Hrabia i Blach pozostali przy pierwszym stole. Major wycelował pistolet w głowę Changa. Kardynał schował się za trzecią kobietę i ściągnął jej zawój z głowy. Jej włosy były zbyt jasne i mniej kręcone... Celeste musi być na pierwszym stole. Jak głupiec przebiegł obok niej i zostawił ją w rękach d'Orkancza.

Wyprostował się. Widząc to, żołnierze zrobili krok naprzód i Chang zauważył ruch ręki Blacha. Ponownie przykucnął na ułamek sekundy przed tym, zanim padł strzał. Kula przeleciała mu nad głową i przebiła jedną z grubych rur, z której trysnął pióropusz pary, migoczącej w powietrzu jak niebieskobiały płomień. Hrabia znów wrzasnął.

- Stać!

Żołnierze, którzy już prawie dopadli trzeciego stołu, zamarli. Chang zaryzykował rzut oka nad gmatwaniną czarnych rur - dostrzegając między nimi białe ciało - i napotkał złowrogie spojrzenie majora.

W sali panowała cisza, przerywana jedynie głuchym szumem pieca i syczeniem uchodzącego gazu. Musi pokonać dziewięciu wrogów - wliczając tych dwóch z wózkiem - i ściągnąć Celeste ze stołu. Czy zdoła tego dokonać, nie robiąc jej krzywdy?

Czy może ją spotkać coś gorszego od tego, co jej grozi, gdy tego nie zrobi? Wiedział, czego by po nim oczekiwała, tak jak wiedział, jak nikłe są jego szanse na ujście stąd z życiem. W piersi czuł ból wywołany niezliczonymi skaleczeniami. Właśnie dlatego dotarł tak daleko, podjął ten wysiłek, żeby wyrzucić swoje piętno na tym świecie uprzywilejowanych.

Chang ponownie spojrział na tłum ludzi w maskach, patrzących na niego w milczeniu. Poczul się jak zwierzę na arenie.

Hrabia odłączył od maski czarną mrę wzmocniającą głos i starannie przewiesił ją przez najbliższą skrzynkę z dźwigniami i przyciskami. Stał twarzą do Changa i ruchem głowy - wyglądając jak jakiś piekielny stwór, ogr z legend - wskazał kobietę leżącą najbliżej Changa.

- Szukasz kogoś, Kardynale?! - zawołał. Teraz jego głos nie był tak donośny, lecz wychodząc z dziwnej skrzynki zamocowanej przy ustach, nadal wydawał się nieludzki. - Może zdołam ci pomóc.

Hrabia d'Orkancz zdjął materiał zakrywający włosy trzeciej kobiety. Opadły kaskadą czarnych i lśniących loków. Hrabia wyciągnął drugą rękę i odgarnął rury zasłaniające jej nogi. Ciało było odbarwione i ohydnie błyszczące, bardziej niż dłoń Vandaariffa czy przyciśnięta do księgi twarz Johna Carvera - blade jak polarny lód, śliskie od potu, niegdyś złociste i ciepłe, teraz zimne i obojętne jak biały popiół. Na trzecim palcu jej lewej stopy Chang ujrzał srebrny pierścionek, lecz już widząc jej włosy, poznał, że to Angelika.

\*

- Wierzę, że znasz tę damę - ciągnął d'Orkancz. - Oczywiście, być może znasz również dwie pozostałe, pannę Poole - ruchem głowy wskazał kobietę w środku - oraz panią Marchmoor.

Hrabia spojrział na kobietę leżącą tuż przed Changiem. Ten próbował rozpoznać Margaret Hooke (ostatni raz widzianą na łóżku w St. Royale) w tym, co widział - włosach, kształtach, barwie ciała widocznego pod czarną gumą. Zrobiło mu się niedobrze.

Wypluł grudkę krwi na podium i ochryłym głosem, zdradzającym zmęczenie, krzyknął do hrabiego:

- Co z nimi zrobisz?

- To co zaplanowałem. Szukasz Angeliki czy panny Temple? Jak widzisz, nie ma jej tu.

- A gdzie jest? - zapytał ochryple Chang.

- Sądzę, że masz wybór - odparł hrabia. - Jeśli próbujesz uratować Angelikę, w żaden sposób nie zdołasz wynieść jej stąd, a potem zrobić tego samego z panną Temple. Na twojej twarzy widzę skutki działania szkła.

Chang milczał.

- Oczywiście, to czysto akademickie rozważania. Już co najmniej dziesięć razy powinienes zginąć, prawda, majorze Blach? Teraz tak się stanie. Może to właściwe, że

dojdzie do tego u stóp - jeśli dobrze mnie poinformowano - kobiety, w której byłeś beznadziejnie zakochany.

Patrząc na hrabiego, Chang złapał kilka rur biegnących do ciała pani Marchmoor, zamierzając je oderwać.

- Jeśli to zrobisz, zabijesz ją, Kardynale! Czy tego chcesz? Zabić bezbronną kobietę? Z tej odległości nie zdołam cię powstrzymać. Proces już się rozpoczął! Żadna z nich nie może się już wycofać, ich przeznaczeniem jest transformacja lub śmierć!

- Jaka transformacja?! - wrzasnął Chang, przekrzykując szum w rurach i syk gazu za plecami.

W odpowiedzi hrabia d'Orkancz sięgnął po czarną mrę i ponownie podłączył ją do swojego hełmu. Jego słowa gromowym echem odbiły się od sklepienia sali.

- Anielska transformacja! Ciało stworzone przez niebiańskie moce!

\*

Hrabia d'Orkancz szarpnął jedną z mosiężnych dźwigni, a drugą rękę z rozmachem opuścił na metalowy przycisk. Rury wokół Angeliki, wiotkie i zwisające, napięły się, wypełnione gazem i wrzącą cieczą. Jej ciało wyprężyło się, a powietrze rozdarł ohydny i narastający skowyt. Chang nie mógł oderwać od tego oczu. Hrabia pociągnął drugą dźwignię i kobieta zaczęła poruszać palcami rąk i nóg. Po trzeciej, ku rosnącemu przerażeniu Chang, ich kolor jeszcze bardziej się zmienił, przybierając ciemnoniebieską barwę. D'Orkancz pociągnął jednocześnie dwie dźwignie, a pierwszą przestawił w początkowe położenie. Skowyt jeszcze przybrał na sile, rozbrzmiewając w każdej mrze i odbijając się echem w całej sali. Tłum na górze jęknął i Chang usłyszał dobiegające z cel okrzyki podniecenia, radości i zachęty, które zmieniły się w drugi donośny chór. Ciało Angeliki prężyło się, poruszając rurami jak pies otrząsający się z wody, a potem przez krzyki i wycie Chang usłyszał inne dźwięki, które przeszły mu serce jak nożem: głos Angeliki, przeciągły jęk dobywający się z jej płuc, jakby jej ciało resztkami sił broniło się przed atakiem maszynarii. Po policzkach Kardynała popłynęły łzy. Cokolwiek zrobi, zabije ją - lecz czyż nie zabijają jej na jego oczach? Nie mógł się mszyć.

Przeciągłe wycie urwało się jak ucięte nożem, uciszając ludzi niczym wystrzał. Chang nie wierząc własnym oczom, patrzył, jak całe jej ciało ogarnia niebieska fala, przesuając się od stóp i dłoni w górę, przez biodra i pierś aż do głowy.

Ciało Angeliki przybrało błyszczącą, jasnoniebieską barwę, jakby... jakby nagle całe zmieniło się w szkło.

Hrabia zwolnił przyciski i przestawił ostatnią dźwignię. Odwrócił się do widzów i triumfalnym gestem podniósł dłonie.

- Stało się!

Tłum odpowiedział ekstatycznym, radosnym okrzykiem. D'Orkancz skłonił się, podniósł drugą rękę, a potem odwrócił się do Blacha, na moment odłączywszy mowę głosową od swego hełmu.

- Zabij go.

Obsceniczny charakter tego, co d'Orkancz uczynił Angelice - bo czyż nie był to gwałt na jej osobowości? - skłonił Changa do działania i zmienił jego serce w lód. Wyskoczył zza trzeciego stołu i rzucił się na dwóch Macklenburczyków stojących u wezłowania panny Poole, wkładając w każdy błyskawiczny i zabójczy cios doświadczenie tysiąca takich potyczek. Zaatakował bez chwili wahania, pozorując wypad - przy czym szable doskonale wyćwiczonych Niemców jednocześnie skierowały się w jego pierś - po czym odbił oba ostrza drzewcem laski. Ciął sztyletem w twarz bliżej stojącego, rozłupując ją od brody po nos. Krew trysnęła na srebrzyste rury, żołnierz się zatoczył. Drugi wymierzył energiczne pchnięcie w tułów Changa. Łamiąc laskę, Chang podbił szablę w górę, tak że przeszła mu nad ramieniem, a napastnik znalazł się blisko niego. Kardynał wbił sztylet w pierś i natychmiast wyrwał ostrze z rany, jednocześnie - gdyż każda sekunda wydawała się ciągnąć w nieskończoność - opadając na kolana. Kolejna kula, wystrzelona przez Blacha, przeleciała mu nad głową i trafiła w ścianę rur. Trzeci żołnierz przybiegł od strony nóg panny Poole, przeskakując leżących kompanów. Chang odwrócił się i skoczył do Angeliki. Blach stał przy jej głowie, próbując ponownie wycelować. Hrabia d'Orkancz znajdował się przy jej stopach. Chang znalazł się w potrzasku, gdyż żołnierz był tuż-tuż. Kardynał obrócił się i przeciął pęk rur. W twarz nacierającego lodowatym jęzorem trysnął ohydnie cuchnący gaz. Chang okręcił się na pięcie, odbił pchnięcie szablą i uderzył pięścią w gardło napastnika, obezwładniając go. Zanim Blach zdążył strzelić, Chang pchnął półprzytomnego żołnierza w kierunku majora. Padł strzał i żołnierz drgnął. Następny wystrzał i coś - kula lub odłamek kości - przeszło przez ciało nieszczęśnika i otarło się o ramię Kardynała. Pchnął umierającego na Blacha i natychmiast skoczył do drzwi.

Jednak Blach zrobił to samo i nagle stanęli oko w oko, w odległości najwyżej metra od siebie. Blach szybko wycelował i strzelił, a w tej samej chwili Chang ciął go sztyletem w dłonie. Ostrze przecięło palce, kula chybiła i broń Blacha upadła na ziemię. Blach ryknął z wściekłości i skoczył po nią. Drogę do drzwi wciąż zagradzał metalowy wózek i dwaj mężczyźni w hełmach. Chang pchnął z całej siły i cofnęli się kilka kroków, ale zaraz połapali

się i stawili opór, odcinając mu drogę ucieczki. Blach podniósł pistolet lewą ręką. Hrabia pospiesznie wiązał parujące, poprzecinane rury.

Blach wycelował. W tym zamieszaniu spadła metalowa pokrywa i Chang nagle zauważył, co jest na wózku. Bez namysłu odrzucił sztylet, złapał najbliższy leżący przedmiot i cisnął nim za siebie, w majora, i rzucił się na wózek.

\*

Szklana księga poszybowała w kierunku Blacha, który w tej samej chwili nacisnął spust i rozbił ją w powietrzu. Uderzenie kuli odrzuciło część szklanych odłamków w stronę wieży. Z siłą pocisków karabinowych spadły na jej żelazną ścianę i dwóch mężczyzn w hełmach, którzy stali w drzwiach i rozpaczliwie próbowali uskoczyć. Jednak reszta odłamków poleciała dalej. Hrabiego d'Orkancza zasłaniał stół, a Angelikę - jeśli w jej obecnym stanie szkło w ogóle mogło na nią podziałać - osłaniały rury, tak że na ich drodze znalazł się głównie major. Jego niczym niechroniona twarz i ciało natychmiast pokryło mnóstwo większych i mniejszych skaleczeń.

Chang wystawił głowę zza wózka i zobaczył, jak oficerem wstrząsają drgawki. Major miał otwarte usta i wydobywał się z nich odrażający, ochryply ryk, jak dym z płonącego domu. Wokół każdego skaleczenia pojawiły się niebieskie nacieki, rozszerzające się, pękające, odłazące płatami. Dobywający się z jego gardła ryk ucichł w chmurce różowego pyłu. Major Blach z chrzęstem upadł na kolana, a potem na twarz, która przy uderzeniu o podłogę rozsypała się jak pokryta lapis-lazuli płytka terakoty.

\*

W wielkiej sali zapadła cisza. Hrabia powoli wstał zza stołu. Spostrzegł Changa, niezdarnie gramolącego się z wózka. Hrabia wydał z siebie wzmocniony przez maszynię ryk furii, który wstrząsnął całą salą. Rzucił się na Changa niczym olbrzymi rozwścieczony niedźwiedź. Nie mając sztyletu, który wpadł gdzieś pod jedną z żelaznych szaf, Chang złapał wózek. Dwaj mężczyźni w hełmach klęczeli na podłodze, wstrząśnięci, lecz nie podzieliwszy losu majora, przed czym uchroniły ich grube skórzane fartuchy. Kardynał pchnął wózek w kierunku hrabiego. Nie czekając na wynik tego posunięcia, podbiegł do schodów i zaczął się wspinać.

Niemal natychmiast poślizgnął się na kałuży krwi na siódmym stopniu, upadł i obejrzał się za siebie, szukając w kieszeni płaszcza brzytwy. Dwaj ludzie w fartuchach kulili się, wciąż z dala od drzwi, w których stał hrabia d'Orkancz. Ten podniósł pistolet Blacha i celował w Changa. Kardynał wiedział, że w pistolecie została tylko jedna kula i wystarczy, że zrobi dwa kroki, a zjedzie z linii strzału, jednak nie patrzył na hrabiego, tylko na znajdujący

się za jego plecami stół, na którym szklana błękitna ręka Angeliki... zaczęła się poruszać. Chang wrzasnął. Dłoń Angeliki przesunęła się, macając. Chwyliła garść przewodów i wyrwała je z gniazd, aż trysnęły strugi niebieskawej, gorącej pary. Hrabia odwrócił się w chwili, gdy złapała następną garść kabli, wrywając je niczym chwasty w ogrodzie. Kiedy d'Orkancz rzucił się ku niej, wzywając na pomoc swoich asystentów, przez jego ramię Chang zdążył dostrzec okropny obraz. Twarz Angeliki, wciąż częściowo zasłonięta maską, była wykrzywiona z wściekłości, jej otwarte usta, język i wargi miały barwę indygo, a niebieskobiałymi zębami kłapała jak zwierzę. Chang pobiegł po schodach w górę.

\*

Za następnym zakrętem zobaczył owiniętą powłóczką księgę, którą zostawił pod ścianą. Złapał ją w biegu, a prawą ręką w końcu zdołał wyjąć z kieszeni brzytwę. Na dole usłyszał krzyki, potem trzaśnięcie drzwi i z głuchym szcękaniem winda ożyła. Po chwili dogoniła opadającego z sił Changa i pomknęła wyżej. Ktokolwiek stoi tam na straży, zostanie ostrzeżony, zanim Kardynał zdoła tam dotrzeć. Czyżby za moment miał spotkać Blenheima i jego ludzi, zbiegających mu na spotkanie? Chang parł do góry. Jeśli zdoła dotrzeć do przejścia do gabinetu Vandaariffa...

Te rozmyślenia przerwał mu głos przemawiającego do zebranych d'Orkancza, odbijający się echem w wielkiej sali.

- Nie obawiajcie się! Jak sami wiecie, nasi wrogowie są liczni i zdesperowani. Przysłali zabójcę, żeby zakłócił przebieg naszej pracy. Jednak nasze dzieło nie zostało przerwane! Same niebiosy nie zdołałyby pokrzyżować naszych planów! Spójrzcie na to, co zaszło na waszych oczach! Patrzcie na skutki transformacji!

Chang mimo woli przystanął, mając przed oczami okropny widok twarzy i ręki Angeliki. Spojrzał w dół, do wnętrza metalowej wieży, i usłyszał chóralny okrzyk zdumienia, wydobywający się z ust zamkniętych w celach widzów i przypominający świst wiatru.

- Widzicie! - ciągnął hrabia. - Ona żyje! Chodzi! I sami widzicie, jaką nadzwyczajną mocą...

Tłum znów westchnął - wydając przeciągły jęk przzerwany kilkoma głośnymi okrzykami, nie wiadomo czy przestachu, czy radości. Następny jęk. Co się tam dzieje? Chang wciąż miał na policzkach ślady łez, jakie wywołał widok Angeliki, ale nie zdołał się oprzeć. Dосkoczył do jednego z wizjerów i odsunął metalową zasłonę. Pozostawanie tu było głupotą, gdyż wrogowie mogli odciąć mu drogę, ale musiał wiedzieć, czy ona żyje. Czy wciąż jest ludzką istotą?

Nie widział jej - znajdowała się za blisko podstawy wieży - ale zobaczył d'Orkancza. Hrabia spoglądał tam, gdzie zapewne znajdowała się Angelika. Stał przy drugim stole, przy innej skrzynce z dźwigniami i przyciskami. Takie pudło znajdowało się przy każdym stole, połączone z nim czarnymi przewodami. Chang skrzył się ze zgrozy, podświadomie wiedząc, że dwie pozostałe kobiety także zaraz zostaną przemienione. Spojrzał na nieruchomą postać na trzecim stole i poczuł przeszywający ból w sercu na widok Margaret Hooke, szarpiącej wieży, pokaleczonej, wijącej się w męce, gdy jej ciało zamieniało się w błękitne szkło. Czy wybrała sobie taki los, czy też w ręce d'Orkancza wpadła z powodu swej wybujałej ambicji, z powodu kilku okruchów władzy, jakie jej rzucił, przekonana, iż jego dążenia są zgodne z jej oczekiwaniami?

Tłum znowu jęknął i pod Changiem ugięły się kolana. Pospiesznie złapał równowagę, przytrzymując się poręczy. W głowie kręciło mu się tak, jakby ktoś go w nią kopnął, zaraz jednak mdłości mu przeszły i mszył dalej, jednak w tej krótkiej chwili przez głowę przemknęło mu kilka różnych scen, jak we śnie: pokój, ulica, łóżko, zatłoczony plac - jeden obraz po drugim. Potem te obrazy zaczęły przesuwać się wolniej i pozostał tylko jeden, ale bardzo wyraźny: hrabia d'Orkancz stojący w drzwiach w futrze, z wyciągniętą dłonią w rękawiczce, trzymającą błyszczący prostokąt niebieskiego szkła. Chang poczuł, że wyciąga po nie rękę i choć wiedział, że mocno zaciskają na poręczy schodów, zobaczył, jak jego palce dotykają szkła... te delikatne paluszki, które tak dobrze znał... poczuł gwałtowny przypływ pożądania, gdy porwało go - ją - wciągnęło ukryte w tym szkłe wspomnienie, nagle i niewiarygodnie żywe doznanie, upajające jak opium i równie nieodparte, które gwałtownie i okrutnie znikło, zanim rozpoznał, do kogo należało lub w jakich powstało okolicznościach. Hrabia schował kartę do kieszeni i uśmiechnął się. Chang wiedział, że w ten sposób łotr przedstawił się Angelice, która teraz w jakiś sposób przekazywała to wspomnienie do umysłu i ciała każdego obecnego tu w promieniu stu metrów.

\*

Obraz znikł z następną falą mdłości i Chang nagle poczuł w głowie pustkę oraz straszliwą samotność. Jej nagła obecność w jego umyśle wydawała się brutalnym wtargnięciem, lecz gdy ustała, podświadomie pragnął jej powrotu - ponieważ to była ona, Angelika, z którą od tak dawna pragnął przeżyć właśnie tak intymne chwile. Chang ponownie spojrział na kręte schody, walcząc z chęcią powrotu na dół, w objęcia miłości i śmierci. Jakaś część jego duszy mówiła, że śmierć nie miałaby znaczenia, gdyby spotkała go z jej ręki.

- Czujecie w sobie tę moc!? Poznajecie prawdę!?

Głos hrabiego zerwał zakłęcie. Chang potrząsnął głową, odwrócił się i co sił w nogach pobiegł schodami w górę. Nie rozumiał wszystkiego, co czuł, i nie potrafił zdecydować, co powinien zrobić. Dlatego - jak to często robił - Kardynał Chang skupił się na działaniu, szukając kogoś, na kim mógłby wyładować wzbierający gniew i rozlewem krwi uspokoić zamęt w sercu.

Znów dało się słyszeć narastające, chrapliwe wycie, wznoszące się pod kopułę wielkiej sali. Hrabia d'Orkancz podszedł do następnej kobiety, panny Poole, aby przestawić dźwignie i rozpocząć jej metamorfozę. Przeróżające odgłosy maszynierii tonęły w okrzykach dobiegających z cel, gdyż teraz, wiedząc, co ma się zdarzyć, tłum jeszcze głośniejszym wyrażał swoją aprobatę i radość. Chang jednak widział wygięte w łuk ciało kobiety, niczym mającą zaraz pęknąć gałąź, i uciekł przed tym aplauzem, jakby ścigało go stado demonów.

Nadal nie miał pojęcia, gdzie znajdzie Svensona lub pannę Temple, lecz jeśli ma im pomóc, powinien pozostać wolny. Wycie w rurach urwało się nagle i po krótkiej chwili skupionej ciszy tłum znów zaczął krzyżeć. Hrabia ponownie zaczął bredzić o mocy, transformacji i prawdzie, a tłum przyjmował te bzdury okrzykami radości. Chang gniewnie wykrzywił usta. W rurach znów słyhać było wycie - d'Orkancz zajął się Margaret Hooke. Chang nic nie mógł na to poradzić. Minął dwa kolejne zakręty i zobaczył drzwi wiodące do przejścia i gabinetu lorda Vandaariffa.

Przystanął, ciężko dysząc, i splunął. Żelazne drzwi były zamknięte i nie ustąpiły - zastawione od wewnątrz. Chcą go zagnać jak osaczonego jelenia na szczyt wieży. Po raz ostatni wycie w rurach nagle się urwało i tłum wybuchł radosną wrzawą. Wszystkie trzy kobiety zostały poddane alchemicznej przemianie. Wrogowie czekali na niego na górze. Nie odnalazł Celeste. Utracił Angelikę. Zawiódł. Chang schował brzytwę do kieszeni i podjął przerwana wspinaczkę.

\*

Przejście na górze zrobione było z takich samych stalowych płyt, połączonych grubymi nitami, jak ściany wagonu kolejowego. Masywne drzwi otworzyły się bezgłośnie, ukazując elegancki i jasny hol o białych ścianach i błyszczącej marmurowej posadzce. Jakies sześćdziesiąt centymetrów od nich stała zgrabna kobieta w ciemnej sukni, z włosami związanymi z tyłu wstążką i twarzą na pół zakrytą maseczką z czarnych piór. Sztywno skinęła mu głową. Za nią ujrzał dziesięciu dragonów w czerwonych mundurach, z szablami w rękach. Najwyraźniej kazano im nie atakować.

Chang wyszedł z wieży na marmurową posadzkę i spojrzał pod nogi. Na płytach pozostała szeroka smuga krwi, która najwidoczniej wypłynęła z jakiejś poważnej rany i

została rozmazana - zapewne kiedy wleczono ciało. Ślad przechodził tuż pod nogami kobiety. Chang napotkał jej spojrzenie. Było spokojne i jasne, chociaż się nie uśmiechała. Chang zauważył to z ulgą. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo ma dość szyderczej pewności siebie swoich wrogów. Może jednak jej zachowanie nie miało nic wspólnego z nim, lecz z tą zakrwawioną posadzką.

\*

- Kardynale Chang - powiedziała. - Pozwoli pan ze mną. Chang wyjął księgę z powłoczki. Czuł, jak jej antagonistyczna energia napiera na niego przez czubek każdego okrytego rękawiczką palca. Mocniej ścisnął ją w dłoniach i pokazał kobiecie.

- Pani wie, co to jest - rzekł, wciąż ochryplym i urywanym głosem. - Nie cofnę się przed jej rozbiciem.

- Jestem pewna, że nie. Rozumiem, że nie cofnie się pan przed niczym. Jednak tutaj do niczego nie dojdziemy. Nie chcę wygłaszać krytycznych uwag, mówiąc, że nie wie pan, co się naprawdę stało i o co toczy się gra. Jestem pewna, że jest wiele osób, z którymi chce się pan spotkać, a także wiele osób chce zobaczyć się z panem. Czy nie lepiej, w miarę możliwości, unikać przemocy?

Jasny, ubrudzony krwią marmur pod jej stopami wydawał się idealnym podsumowaniem tego okropnego miejsca i Chang z trudem powstrzymał gniewną ripostę.

- Jak się pani nazywa? - zapytał.

- Zapewniam, że nie jestem nikim ważnym. Mam tylko... Przerwało jej głośne sapnięcie Changa. Przez moment widział Angelikę - nienaturalną barwę jej skóry, szklistą i lśniąca głębię kolom indygo oraz nieco jaśniejszy lazur powierzchni - taki obraz na zawsze wyrzył się w jego pamięci, lecz nagle podziałął na niego z siłą, jakiej Chang nie był w stanie się oprzeć ani wyrazić słowami. Przełknął ślinę, krzywiąc się, po czym znów splunął, próbując gniewem powstrzymać łzy. Machnął prawą ręką, wściekle zaciskając palce na myśl, że mógłby zrobić coś tak okropnego ku uciesze tylu... tylu szacownych widzów.

- Widziałem to wielkie dzieło - syknął. - Nic, co pani powie, nie zmieni mojego zdania.

W odpowiedzi kobieta odsunęła się na bok i skinęła ręką, żeby poszedł za nią. Na ten znak dragoni rozstąpili się, tworząc szpaler, przez który miał przejść. Jakies dziesięć metrów dalej Chang zobaczył drugi szereg rozstępujący się z trzaskiem obcasów i formujący następne przejście w głąb budynku.

Za plecami usłyszał niosący się z dołu stłumiony ryk - to wrzeszczał tłum w celach - ale zanim Chang zaczął się zastanawiać nad powodem, nagle ugięły się pod nim kolana, gdy

oczami duszy ujrzał następny obraz. Z nieopisanym wstydem zobaczył siebie samego, z laską w dłoni, wyelegantowanego w miarę swoich możliwości, i z zabawną dumą oraz ledwie skrywanym pożądaniem ujmującego wyciągniętą do niego dłoń. Wyciągniętą, co teraz rozumiał (i czuł) z obojętnością i pogardą. Przez jeden krótki, lecz niewiarygodnie klarowny moment spojrzął na siebie oczami Angeliki i zobaczył się jako pożałowania godny relikwiarz jej dawnego życia, którego przez cały czas nienawidziła każdą cząstką swej duszy.

Wizja znikła i zachwiał się. Zobaczył, że dragoni też są wstrząśnięci, mrugając i dochodząc do siebie, a kobieta potrząsa głową. Spojrzała na niego ze współczuciem, ale nie zmieniła wyrazu twarzy. Ponownie skinęła na Changa.

- Byłoby lepiej, Kardynale - powiedziała - gdybyśmy wydostali się poza zasięg.

\*

Szli w milczeniu, dragoni w szyku przed i za nimi, Chang z bijącym sercem, jeszcze nie otrząsnąwszy się w pełni po wizji Angeliki, z najmiłszymi wspomnieniami skażonymi teraz żalem. Zauważył, że kobieta zerknęła na księgę, którą trzymał. Nic nie powiedział. Był wściekły i zrozpaczony, wykończony, a z każdym krokiem ogarniał go głębszy i bardziej ponury fatalizm. Nie mógł patrzeć na tych żołnierzy, na kobietę czy kogokolwiek z tych zaciekawionych, dobrze odżywionych osób, które wyglądały zza szpalek dragonów, nie wyobrażając sobie, jak błyskawicznie i brutalnie atakuje je brzytwą.

- Mogę spytać, skąd ją pan wziął? - zapytała kobieta, wciąż patrząc na księgę.

- Z jednego z pokojów - warknął Chang. - Obezwładniła kobietę, której ją dano. Kiedy tam przyszedłem, nie zdawała sobie sprawy z obecności żołnierza, który zaczął ją gwałcić.

Powiedział to najostrożniej, jak mógł. Kobieta w czarnej masce nie drgnęła.

- Mogę spytać, co pan zrobił?

- Poza zabranie księgi? To było tak dawno, że prawie nie pamiętam. Chyba nie chce pani powiedzieć, że to panią obchodzi?

- Czy to takie dziwne?

Chang przystanął i - co robił bardzo rzadko - podniósł głos.

- Sądząc po tym, co widziałem, proszę pani, to po prostu niemożliwe!

Słyszając gniewny ton jego głosu, dragoni zatrzymali się ze stukotem obcasów, podnosząc szable. Kobieta uspokajająco uniosła dłoń.

- Oczywiście, to musi być bardzo irytujące. Rozumiem, że niezwykłość dokonań hrabiego trudno ogarnąć i znieść. Ja przeszłam proces, oczywiście, ale to nic w porównaniu z tym... tym, co zapewne widział pan... w więzi.

Mówiła rozsądnie, a nawet ze współczuciem. Chang nie mógł tego znieść. Gniewnie wskazał zakrwawioną podłogę.

- A co zdarzyło się tutaj? Następne niezwykle dokonanie hrabiego? Kolejna egzekucja?

- Pańskie ręce, Kardynale, są unurzane we krwi, więc czy powinien pan stawiać takie zarzuty?

Chang mimo woli spojrział na swoje dłonie. Po spotkaniu w panem Grayem i żołnierzami na dole był cały zbryzgany krwią, ale bynajmniej się tym nie przejął. Ich śmierć nie miała żadnego znaczenia. Byli pionkami, głupcami, zwierzętami pociągowymi... może tak jak i on.

- Nie mogę panu powiedzieć, co się tu stało - ciągnęła. - Byłam w innej części domu. Z pewnością jednak to tylko może dowieść nam obojgu, jak poważne są to sprawy.

Wykrzywił drwiąco wargi.

- Zechciałby pan pójść dalej - poprosiła - gdyż jesteśmy mocno spóźnieni...

- Dokąd? - spytał Chang.

- Tam, gdzie znajdzie pan odpowiedzi na pańskie pytania, oczywiście.

Chang nie mszył się, jakby pozostając tu, mógł odwlec potwierdzenie śmierci panny Temple i doktora. Żołnierze gapili się na niego. Kobieta spojrzała prosto w jego czarne szkła i podeszła bliżej. Jej nozdrza zadrgały lekko, wyczuwając odór barwnika, lecz twarz pozostała nieruchoma. Widział w jej oczach pewność będącą skutkiem procesu transformacji, ale nie dumę czy arogancję. Czy teraz, kiedy przeniknął tak blisko kliku, spotkał osobę stojącą wyżej w hierarchii zaufanych sług?

- Musimy iść - szepnęła. - W tej sprawie nie jest pan najważniejszy.

\*

Zanim Chang zdążył odpowiedzieć, przerwał im głośny okrzyk dochodzący z głębi korytarza przed nimi. Chang natychmiast rozpoznał ten chrapliwy głos.

- Pani Steame! Pani Steame! - krzyknął pułkownik Aspiche. - Gdzie jest pan Blenheim? Jest tu natychmiast potrzebny!

Kobieta odwróciła się do niego, a dragoni rozstąpili się, przepuszczając oficera nadchodzącego na czele niewielkiego oddziału.

Chang zauważył, że Aspiche kuleje. Na widok Kardynała pułkownik zmrużył oczy i zacisnął wargi, a potem z wysiłkiem skupił wzrok na kobiecie.

- Mój drogi pułkowniku... - zaczęła, lecz on przerwał jej niegrzecznie.

- Gdzie jest pan Blenheim? Już dawno powinien tu być! To niedopuszczalne spóźnienie!

- Nie wiem, gdzie on jest. Posłano mnie po...

- Zdaję sobie z tego sprawę - warknął Aspiche, znów jej przerywając, jakby chciał zapomnieć o tym, że zatrudnił kiedyś Changą. Nie pozwalał sobie nawet wymówić jego imienia. - Jednak zajęło to pani tyle czasu, że poproszono mnie, żebym przyprowadził również panią. - Zwrócił się do towarzyszących mu ludzi, wskazując boczne pokoje i wydając rozkazy. - Po trzech do każdego skrzydła, biegiem, i natychmiast meldujcie o wszystkim. Musicie go znaleźć. Ruszać!

Żołnierze pobiegli. Unikając spojrzenia Changą, Aspiche podszedł do kobiety i podał jej ramię. Changą pomyślał, że bardziej pomoże to utykającemu pułkownikowi niż tej damie. Zastanawiał się, jak bardzo ucierpiała noga Aspiche'a, i poczuł się zdecydowanie lepiej.

- Czy jest jakiś powód tego, że on nie jest skuty ani martwy? - zapytał pułkownik najuprzejmiej, jak pozwalał mu gniew wywołany tym, że musi o to pytać.

- Nie otrzymałam takich poleceń - odparła pani Steame, którą Changą po dokładniejszych oględzinach uznał za najwyżej trzydziestoletnią.

- Jest niezwykle niebezpieczny i nie ma żadnych skrupułów.

- Tak mi mówiono. A jednak... - Z dziwnie nieruchomą twarzą odwróciła się do Changą. - Naprawdę nie miał innego wyjścia. Kardynałowi Changą można pomóc tylko w jeden sposób - udzielając mu informacji. Choćby miało to być tylko chwilową pociechą. Dostarczymy mu ich. Ponadto nie mam ochoty stracić w niepotrzebnej szarpaninie księgi, którą ma Kardynał.

- Informacje, tak? - prychnął Aspiche, wyglądając zza kobiety. - O czym? O jego dziwce? O tym idiocie Svensonie? O...

- Cicho bądź, pułkowniku - syknęła, wyprowadzona z równowagi.

Changą z ulgą i niemalym zdziwieniem zobaczył, że Aspiche schował się za nią i z urazą wyduł usta. I przestał gadać.

\*

Sala balowa była blisko. Wykorzystanie jej na potrzeby drugiego tak licznego zgromadzenia miało sens. Może część widzów z wielkiej sali też zdążyła tu przyjść i dołączyć do tych z amfiteatru na końcu spiralnych schodów? Z nagłym przygnębieniem Changą zaczął się zastanawiać, czy nie tam zabrano pannę Temple, skoro nie znalazł jej w wielkiej sali. Czyżby przeszedł obok niej i - będąc tak blisko - nie zdołał uchronić przed okropnym losem?

Z kulejącym Aspiche'em poruszali się nieco wolniej. Stukot żołnierskich butów zagłuszał inne odgłosy i Chang zastanawiał się, czy jego egzekucja lub przymusowe nawrócenie ma być gwoździem programu. Prędzej rozbije sobie księgę na głowie, niż do tego dopuści. Mimo wszystko wyglądało to na dość szybką śmierć i równie okropną dla umierającego, jak przyglądających się temu ludzi. Przynajmniej w ostatnich chwilach swego życia zdoła sprawić, że jego kaci się pochorują.

Zdał sobie sprawę z tego, że pani Steame mu się przygląda. Kpiąco przechylił głowę, zachęcając kobietę, żeby coś powiedziała. Jednak ona - po raz pierwszy - zawahała się.

- Chciałabym... jeśli łaska, byłabym wdzięczna... gdyż, jak już mówiłam, byłam zajęta gdzie indziej... a tam, hrabia... gdyby mógł mi pan powiedzieć, co pan widział tam, na dole.

Chang miał ochotę ją spoliczkować.

- Co widziałem?

- Pytam, ponieważ nie znam pani Marchmoor i panny Poole... Wiem, że one... wiem, że przeszły... to wielkie osiągnięcie hrabiego...

- Czy poddały się temu dobrowolnie? - zapytał Chang.

- Och tak - zapewniła pani Steame.

- Dlaczego pani tego nie zrobiła?

Zawahała się, patrząc w jego osłonięte ciemnymi szklami oczy.

- Ja... musiałam... miałam obowiązki...

Przerwało jej znaczące chrząknięcie Aspiche'a, wyraźnie przestrzegające przed rozmową na ten temat, a może w ogóle przed rozmową z Changiem.

- Zamiast pani była tam Angelika.

- Tak.

- Ponieważ tego chciała?

Pani Stearne obróciła się do Aspiche'a, zanim zdążył ponownie chrząknąć.

- Pułkowniku, bądź cicho! - warknęła. Znow spojrzała na Changa. - Pójdę, kiedy przyjdzie moja kolej. Jednak z pewnością wie pan od doktora Svensona - tak, wiem, kim on jest i znam pannę Temple - co się przydarzyło tamtej kobiecie w instytucie. W istocie dano mi do zrozumienia, że pan też tam był, a może nawet ponosi odpowiedzialność... Nie twierdzę, że zrobił to pan rozmyślnie - dodała pospieszenie, gdy Chang otworzył usta - tylko że dobrze pan wie, iż była w ciężkim stanie. Hrabia uważał, że to jej jedyna szansa.

- Szansa na co? Nie widziała pani, co... jak... czym się stała!

- Rzeczywiście nie...

- Zatem nie powinna pani zabierać głosu! - krzyknął Chang.

\*

Aspiche zachichotał.

- Coś cię bawi, pułkowniku? - warknął Chang.

- Ty mnie bawisz, Kardynale. Chwileczkę.

Aspiche przystanął i odsunął się od pani Steame. Sięgnął do kieszeni szkarłatnego płaszcza i wyjął jedno z tych swoich cienkich cygar oraz pudełko zapalek. Odgryzł i wypluł koniec cygara. Ze złośliwym uśmiechem spojrzał na Changa, włożył cygaro do ust i zaczął zapalać zapalną.

- Widzisz, polecono mi cię jako do szpiku zdeprawowanego człowieka, niemającego skrupułów ani sumienia, gotowego tropić i zabijać za pieniądze. A tymczasem kogo tu widzę, gdy w ostatnich chwilach życia objawia się prawdziwa natura? Mężczyznę przywiązanego do dziwki, która poświęca mu tyle uwagi, co wczorajszemu śniadaniu. Człowieka, który sprzymierzył się - on, samotny wilk z doków! - z głupim lekarzem i jeszcze głupszą dziewczyną, a może powinienem powiedzieć starą panną? Ile ona ma lat? Dwadzieścia pięć? A jedyny mężczyzna, jakiego miała, przejrzał na oczy i zostawił ją jak starą chabetę!

- Zatem oni żyją? - wyszeptał Chang.

- Och... tego nie powiedziałem - zachichotał Aspiche, machnięciem gasząc zapalną.

Zaciągnął się, rozżarzając koniuszek cygara, po czym kątem ust wypuścił cienką smugę dymu. Ponownie podał ramię pani Steame, ale Chang nie mszył się z miejsca.

- Musisz wiedzieć, pułkowniku, że dopiero co zabiłem majora Blacha i trzech jego ludzi - a może pięciu, nie miałem czasu podliczyć. Z taką samą przyjemnością zabiję ciebie.

Aspiche skrzywił się i wydmuchnął chmurę dymu.

- Czy pani wie, pani Steame - Chang podniósł głos, żeby mogli go usłyszeć wszyscy dragoni - w jakich okolicznościach poznałem pułkownika? Powiem pani...

Aspiche warknął i sięgnął po szablę. Chang uniósł księgę wysoko nad głowę. Dragoni w obu szeregach podnieśli szable, gotowi do ataku. Pani Steame z szeroko otwartymi oczami stanęła między nimi.

- Pułkowniku, Kardynale, nie możemy...

Chang zignorował ją, spoglądając w pełne nienawiści oczy Aspiche'a.

- Poznałem podpułkownika, kiedy mnie wynajął, abym zabił - zgładził - jego dowódcę, pułkownika Arthura Trappinga z czwartego regimentu dragonów.

Po tych słowach zapadła cisza, ale widać było, jakie wrażenie zrobiły na żołnierzach. Pani Steame jeszcze szerzej otworzyła oczy. Ona też знаła Trappinga. Odwróciła się do Aspiche'a.

- Pułkownik Trapping... - zaczęła niepewnie.

- To oburzające! Co jeszcze wymyślisz, żeby podburzyć moich ludzi?! - krzyknął Aspiche. Chang musiał przyznać, że ten łotr doskonale odgrywa obrażonego, chociaż z drugiej strony, będąc tak potwornie zakłamanym, zapewne wmówił sobie, że nigdy nie wynajmował płatnego zabójcy. - Powszechnie wiadomo, że jesteś kłamliwym, podstępny...

- I kto go zabił, pułkowniku? - zadrwił Chang. - Odkryłeś to już? Jak długo pożyjesz, zanim i ciebie to spotka? Ile czasu sobie kupisz, sprzedając swój honor? Czy prosili cię, żebyś był obecny przy topieniu jego zwłok w rzece?

Aspiche z wrzaskiem zamachnął się szablą, ale gniew pozbawił go rozważli. Na moment przeniósł cały ciężar ciała na kontuzjowaną nogę i zachwiał się. Chang odepchnął panią Steame i uderzył pięścią w gardło Aspiche'a. Pułkownik zatoczył się do tyłu, szarpiąc palcami kołnierz, krztusząc się, z twarzą nabiegłą krwią. Chang natychmiast się cofnął, stanął koło pani Steame i podniósł ręce w pokojowym geście. Pani Steame krzyknęła na dragonów, którzy najwyraźniej zamierzali rzucić się na Changa.

- Stać! Przestańcie! Natychmiast! Wszyscy!

Dragoni zawahali się, gotowi do ataku. Odwróciła się do Changa i Aspiche'a.

- Kardynale, bądź cicho! Pułkownikowi Aspiche, proszę zachowywać się, jak przystoi oficerowi eskorty! Idziemy. Jeśli znów dojdzie do czegoś takiego, nie odpowiadam za to, co stanie się z wami oboma!

Chang skinął głową i odsunął się o krok od pułkownika. Zdążył się już przyzwyczaić do łagodnego sposobu bycia pani Steame i jej władczy ton bardzo go zdziwił. Pojawił się jak na zawołanie, niczym coś wyuczonego lub automatyczna reakcja wyszkolonego żołnierza - tylko że chodziło o uczucie, cechę charakteru pozwalającą niemającej pojęcia o dowodzeniu kobiecie rozkazywać dwudziestu żołnierzom, wyręczając w tym ich przełożonego. I znów zakres wywołanych przez proces transformacji zmian zadziwił go i zaniepokoił.

\*

Szli dalej w milczeniu, skręcając w następny boczny korytarz, omijając kuchnię. Chang zaglądał w każde otwarte drzwi, które mijali, szukając Svensona albo panny Temple lub okazji do ucieczki. Chwilowa przyjemność wywołana sprowokowaniem Aspiche'a już minęła i znów targały nim wątpliwości. Wiedział, że miałby szansę, gdyby cisnął księgę w kierunku żołnierzy, a potem skoczył w powstałą lukę, ale nie miało to sensu, ponieważ nie wiedział, dokąd idą. Uciekając na oślep, wpadłby na następny oddział żołnierzy lub wrogi tłum zwolenników hrabiego. Poszatkowaliby go bez wahania.

Odwrócił się, słysząc za plecami kroki biegnącego człowieka. Był nim jeden z dragonów, których Aspiche wysłał na poszukiwanie Blenheima. Żołnierz minął kolegów zamykających pochód, zasalutował pułkownikowi i zameldował, że Blenheim zaginął, a pozostali przeszukują pomieszczenia. Aspiche skinął głową.

- Gdzie jest kapitan Smythe? Żołnierz nie odpowiedział.

- Znajdź go! - warknął Aspiche, jakby już wcześniej wydał taki rozkaz, a niewiarygodnie głupi żołnierz go nie wykonał. - Powinien być na zewnątrz i rozstawiać warty. Natychmiast mi go tu przyprowadź!

Dragon zasalutował i odszedł. Aspiche nie dodał nic więcej i poszli dalej.

Kilkakrotnie musieli zaczekać, przepuszczając grupki gości przechodzących korytarzem i zapewne zmierzających do sali balowej. Goście nosili wieczorowe stroje i maski, przeważnie byli uśmiechnięci i zadowoleni, jak ci dwaj mężczyźni, których wcześniej Chang podsłuchał w salonie. Spoglądali na żołnierzy oraz troje idących między nimi ludzi - Changa, Aspiche'a i panią Stearne - jak na jakiś rebus, który powinni rozwiązać: żołnierz, dama, demon. Chang uśmiechał się szyderczo do każdego, kto przyglądał się zbyt długo, ale po każdym takim spotkaniu czuł się bardziej osamotniony i coraz wyraźniej uświadamiał sobie, jaką lekkomyślnością była jego wizyta w Harschmort... a także to, iż jego zguba jest nieuchronna.

Przeszli jeszcze około czterdziestu metrów, zanim napotkali niskiego mężczyznę w grubym płaszczu i czarnych okularach, z przecinającym pierś pasem, na którym wisiały ze dwa tuziny metalowych flaszek. Zatrzymał ich, unosząc rękę. Aspiche wyrwał się pani Stearne i pokuśtykał naprzód, mówiąc cicho, ale nie tak cicho, by Chang go nie usłyszał.

- Doktorze Lorenz - szepnął. - Czy coś jest nie tak? Doktor Lorenz najwyraźniej nie podzielał jego chęci zachowania dyskrecji. Odparł ostrym tonem, kierując te słowa do Aspiche'a i kobiety.

- Potrzebuję kilku waszych ludzi. Jestem pewien, że sześciu wystarczy. Nie ma czasu do stracenia.

- Potrzebuje pan? - warknął Aspiche. - Dlaczego potrzebuje pan moich ludzi?

- Ponieważ coś się stało tym, których przydzielono mi do pomocy - warknął Lorenz. - Chyba jest pan w stanie to zrozumieć!

Lorenz wskazał kciukiem otwarte drzwi za swoimi plecami. Dopiero teraz Chang zauważył krwawy ślad dłoni na framudze i drzazgi, najwyraźniej odłupane przez kulę.

Aspiche odwrócił się i wskazał palcem sześciu żołnierzy z pierwszego szeregu, po czym - kuśtykając - znikł wraz z nimi w przejściu. Lorenz odprowadził ich wzrokiem, ale nie

ruszył ich śladem, tylko stał, machinalnie postukując palcem w jedną z flaszek. Po chwili skupił uwagę na Changu i pani Stearne, a potem znacząco spojrzął na księgę, którą Kardynał trzymał pod pachą. Doktor Lorenz oblizwał wargi.

- Wiesz, która to?

Pytanie skierował do pani Stearne, ale nie odrywał oczu od księgi.

- Nie wiem. Kardynał mówi, że zabrał ją jakiejś damie.

- Aha - mruknął Lorenz. - W masce z koralików? Chang nie odpowiedział. Lorenz ponownie oblizwał wargi i skinął głową.

- To na pewno ta. Lady Melantes. I lord Acton. I kapitan Hazelhorst. A także, jak sądzę, sama pani Marchmoor. Jeśli dobrze pamiętam. Dość ważny tom.

Pani Stearne nie odpowiedziała. Chang wiedział, że w ten sposób daje do zrozumienia, że doskonale zdaje sobie z tego sprawę i doktor Lorenz nie musi jej o tym przypominać.

Po chwili Aspiche pojawił się na czele swoich ludzi, niosących bardzo ciężkie nosiłki nakryte grubym brezentem przymocowanym do ramy i dokładnie zakrywającym to, co było pod spodem.

- Doskonale - oznajmił Lorenz. - Dziękuję. Tędy. Wskazał im drzwi po przeciwnej stronie korytarza.

- Nie dołączy pan do nas? - zapytał Aspiche.

- Nie mam czasu - odparł Lorenz. - Straciłem już pięć cennych minut. Jeśli ma to być zrobione, trzeba działać natychmiast, gdyż nasz zapas lodu się kończy! Proszę przekazać wszystkim moje wyrazy uszanowania. Madame...

Skłonił się pani Stearne i wyszedł w ślad za żołnierzami.

\*

Doszli do końca korytarza i znów przystanęli. Aspiche wysłał przodem żołnierza, żeby sprawdził, czy droga jest wolna. Gdy czekali, Chang mocniej ścisnął księgę. Szereg dragonów przed nim zmniejszył się z dziesięciu do czterech. Zręcznym rzutem mógł obezwładnić wszystkich i utorować sobie drogę... tylko dokąd? Patrzył na plecy idących przed nim żołnierzy i wyobrażał sobie, jak rozpadłaby się księga. Nie mógł nie myśleć o Reevesie i swoim delikatnym przymierzu z kapitanem Smythe'em. Co mu zrobili ci dragoni? Czy mógłby spojrzeć w twarz Smythe'owi, zabiwszy tak podstępnie jego ludzi? Gdyby nie było innego wyjścia, nie zastanawiałby się, lecz jeśli nie ma stąd ucieczki, to po co zabijać żołnierzy? Zachowa tę księgę, żeby zabić tylu przywódców kliky, ilu zdoła, w tym Rosamonde i hrabiego, albo żeby kupić za nią życie, jeśli nie swoje, to Svensona lub Celeste. Miał nadzieję, że oni wciąż żyją.

Krzywiąc się, przełknął ślinę i zobaczył, że pani Stearne patrzy na niego. Celowo czy nie, powolna wędrówka sprawiła, że jego gniew osłabł i ciało poczuło cały ciężar zmęczenia i smutku. Poczuł, że ma coś na wardze i otarł ją rękawiczką. Zobaczył smugę krwi. Spojrzał na panią Steame, lecz jej twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

- Jak widzicie, niewiele mam do stracenia - powiedział.

- Każdy tak myśli - zauważył pułkownik Aspiche - dopóki nie straci i tej odrobiny, która potem wydaje mu się całym światem.

Chang nic nie powiedział, niechętnie przyjmując do wiadomości, że pułkownik może czasem powiedzieć coś, co ma sens.

Żołnierz ponownie pojawił się w drzwiach, stuknął obcasami i zasalutował Aspiche'owi.

- Przepraszam, panie pułkowniku, ale oni czekają. Aspiche rzucił cygaro na podłogę i zdusił je obcasem. Pokuśtykał do sali balowej na czele swoich ludzi. Gdy szli za nimi, pani Steame uważnie przyglądała się Changowi i niepostrzeżenie odsunęła się poza zasięg jego rąk.

\*

Kiedy weszli na salę balową, zastali w niej taki tłum, że przeciskali się przezeń tylko dzięki torującym drogę dragonom, przed którymi elegancko ubrani widzowie cofali się jak szepcząca fala. Dotarli na środek sali, a wtedy na donośny rozkaz Aspiche'a żołnierze z obu szeregów zrobili po sześć kroków, poszerzając otwartą przestrzeń z obu stron, po czym wykonali w tył zwrot i stanęli twarzami do Kardynała Changa i pani Stearne, którzy zostali sami.

Pani Steame zrobiła krok naprzód i dygnęła, spuszczać głowę, jakby stała przed monarchą. Przed nimi, na podium, zasiadali niekoronowani władcy tego wszystkiego: hrabina di Lacquer-Sforza, wiceminister Harald Crabbé i Francis Xonck, na którego zabandażowaną rękę Kardynał spojrział z głęboką satysfakcją. Obok nich stał książę z Herr Flaussem, w masce, najwyraźniej odzyskawszy już władzę w nogach, a po jego lewej ręce uśmiechnięta, smukła blondynka w białych szatach i masce z białych piór.

- Bardzo dobrze się spisałaś, Caroline - powiedziała hrabina, skinieniem głowy odpowiadając na ukłon. - Możesz zająć się swoimi obowiązkami.

Pani Steame wyprostowała się i jeszcze raz spojrzała na Changa, po czym szybko weszła w tłum. Został sam przed swymi sędziami.

- Kardynale Chang... - zaczęła hrabina.

Kardynał Chang odkaslnął i splunął. Szkarłatna ciecz przeleciała pół drogi do podium. W tłumie rozległy się gniewne pomruki. Chang zauważył, że dragoni nerwowo popatrzyli na siebie, gdy tłum za nimi zaczął napierać.

- Hrabino... - rzekł Chang, odwzajemniając powitanie nieprzyjemnie ochrypłym głosem. Powiódł wzrokiem po podium. - Ministrze... panie Xonck... wasza wysokość...

- Potrzebna nam ta księga - oznajmił Crabbe. - Połóż ją na podłodze i cofnij się.

- I co potem? - prychnął Chang.

- Potem zostaniesz zabity - odparł Xonck. - Bezboleśnie.

- A jeśli nie?

- Wtedy to, co widziałeś - odparł hrabina - będzie zaledwie prologiem do twoich cierpień.

Chang spojrział na otaczający go tłum i dragonów. Nadal nie widział Smythe'a, Svensona ani Celeste. Doskonale zdawał sobie sprawę z bogatego wystroju tej sali - kryształowych żyrandoli, lśniącej podłogi, ścian z luster i szkła - oraz eleganckich strojów zamaskowanych widzów, tak kontrastujących z jego wyglądem. Wiedział, że dla tych ludzi stan jego ubrania i ciała stanowi dowód przynależności do niższej klasy społecznej. Ta myśl sprawiała mu przykrość z powodu Angeliki, będącej dla nich takim samym pariasem jak on, ciekawym okazem hodowlanego zwierzęcia. Po cóż inaczej poddawaliby ją tej odrażającej transformacji, po co w ogóle zabieraliby ją do instytutu? Dla nich jej śmierć nie miała żadnego znaczenia. Ona jednak nie dostrzegała ich pogardy, tak jak nie zauważała jego (choć tu się mylił, oczywiście widziała go, ale po prostu nie chciała), zaślepiona ambicją nie była w stanie ujrzyć prawdy, że została okrutnie wykorzystana. Zaraz jednak Chang przypomniał sobie prywatne apartamenty i zatopione w szklanych księgach wielkie osobistości, które tam widział, i Roberta Vandaariffa, przemienionego w bazgrzący po pergaminie automat. Pogarda klikli nie ograniczała się do ludzi niższego stanu czy pozycji.

Musiał przyznać, że wykorzystywali wszystkich.

Mimo to szyderczo prychnął na widok pogardy i wściekłości, jaką emanował tłum za kordonem dragonów. Każdemu z tych gości pozwolono lizać buty klikli, a oni nie mogli się tego zaszczytu doczekać. Kim byli ci, którzy tak łatwo omamili tak wielu?

Złośliwie pomyślał, że połowę pracy wykonały za klikę same ofiary - chora ambicja zawsze kryła się w ich duszach, niecierpliwie czekając na okazję, żeby się ujawnić. Nikomu z nich nie przyszło do głowy, że dali się nabrać i połknęli haczyk - za bardzo cieszyli się z tego, że zdołali go połknąć.

\*

Wyciągnął przed siebie błyszczącą szklaną księgę, pokazując ją wszystkim. Z jakiegoś powodu wyciągnięcie ręki podrażniło jego obolałe płuca i Kardynał Chang zaniósł się kaszlem. Ponownie splunął i otarł zakrwawione usta.

- Będziemy musieli umyć podłogę - zauważyła hrabina.

- Zapewne nieładnie z mojej strony, że nie umarłem w ministerstwie - odparł chrapliwie Chang.

- Bardzo, ale okazałeś się niezwykle trudnym przeciwnikiem, Kardynale. - Uśmiechnęła się do Changa. - Zgadza się pan, panie Xonck? - spytała i Chang wiedział, że kpi z rany Xoncka.

- Istotnie! Przypadek Kardynała dowodzi, jak trudne zadanie czeka nas wszystkich, na jak zacięte zmagania musimy być przygotowani - odparł Francis Xonck, podniósłszy głos, żeby słyszano go w najdalszych kątach sali. - Nasza wizja spotka się z oporem równie zawziętym, jaki wykazał ten stojący przed wami człowiek. Nie lekceważcie go i nie lekceważcie swojej niebywalej mądrości i odwagi.

Chang skrzywił się, słysząc te bezwstydnne pochlebstwa pod adresem tłumu, i zaczął się zastanawiać, dlaczego to Crabbe zajmuje się polityką i wygłaszaniem przemówień, a nie obłudny i elokwentny Xonck. Przypomniawszy sobie nieprzytomnego Heniy'ego Xoncka. Może niedługo Francis Xonck będzie potężniejszy niż pięciu Haraldów Crabbe razem wziętych. Crabbe też musiał to wyczuć, gdyż wystąpił naprzód i także przemówił do audytorium.

- Taki człowiek nawet tej nocy popełnił kilka morderstw, zbyt wiele, by je zliczyć, próbując pokrzyżować nam plany. Zabijał naszych żołnierzy, bezcześcił nasze kobiety, jak dzikus wdarł się do naszego ministerstwa i do tego domu! I dlaczego?

- Dlatego, że jesteś kłamliwym, syfilitycznym...

- Ponieważ - Crabbe z łatwością przekrzyczył zachrypniętego Changa - my oferujemy coś, co zerwie pęta, jakie ten człowiek i jego ukryci w cieniu zleceńodawcy nałożyli wam wszystkim, żeby trzymać was w ryzach i rzucać ochłapy, czerpiąc zyski z waszej pracy i rozumu! Mówimy, że to musi się skończyć, a ten człowiek przyszedł nas zabijać! Sami widzicie!

Tłum odpowiedział na to chóralnym okrzykiem gniewu i Chang znów doszedł do wniosku, że w ogóle nie rozumie ludzi. Dla niego słowa Crabbego były równie idiotyczne i służalcze, jak przemowa Xoncka, tak samo napuszone i głupie. A jednak słuchacze wyli niczym stado psów, żądni krwi Changa. Dragoni cofali się przed napierającym tłumem. Zobaczył, jak popchnięty z tyłu Aspiche nerwowo zerka na podium, a potem gniewnie spogląda na Changa, jakby to wszystko było jego winą.

- Drodzy przyjaciele... proszę! Proszę... chwileczkę! Xonck uśmiechnął się, podnosząc zdrową rękę, przekrzykując gwar. Krzyki natychmiast ucichły. Zdumiewająco panował nad tłumem. Chang wątpił, by ci ludzie przeszli już proces transformacji - raczej nie było na to czasu. Nie mógł zrozumieć, jakim cudem tylu niewykształconych (i niebędących Niemcami) osobników mogło reagować tak jednomyślnie.

- Drodzy przyjaciele - powtórzył Xonck - nie obawiajcie się. Ten człowiek za to zapłaci... i to drogo. - Spojrzał na Changa z uśmiechem. - Musimy tylko określić, w jaki sposób.

- Odłóż księgę, Kardynale - powtórzyła hrabina.

- Jeśli ktoś spróbuje do mnie podejść, rozbiję ją na twojej pięknej twarzy.

- Naprawdę?

- Zrobię to z przyjemnością.

- Co za małostkowość, Kardynale. Nie spodziewałam się tego po panu.

- No cóż, bardzo przepraszam. Jeśli to pani pomoże, to zabiłbym panią nie dlatego, że zapewne zabiła mnie pani tym proszkiem, ale ponieważ jesteś moim najgroźniejszym wrogiem. Książę jest idiotą, Xoncka już pobitem, a wiceminister Crabbe to tchórz.

- Bardzo jesteś śmiały - odparła, nie mogąc skryć uśmiechu. - A co z hrabią d'Orkanczem?

- On uprawia sztukę, ale to pani wytycza jej kierunek, tak więc ostatecznie jest pani sługą. Spiskuje pani nawet przeciwko swoim wspólnikom. Czy któryś z nich wie, jaką misję przydzieliłaś panu Grayowi?

- Panu... jakiemu?

Nagle uśmiech hrabiny przygasł.

- Och, daj spokój, czego się wstydzić? Panu Grayowi. Z instytutu. Był z tobą w ministerstwie, kiedy pan Flauss otrzymał dar transformacji. - Ruchem głowy wskazał krępego Macklenburczyka, który mimo powątpiewającej miny pokiwał głową. Zanim hrabina zdążyła coś powiedzieć, Chang podjął: - Zakładam, że pan Gray pracował dla ciebie. Inaczej dlaczego znalazłbym go głęboko w podziemiach więzienia, gmerającego przy przewodach pieca hrabiego? Nie mam pojęcia, czy zrobił to, co mu kazałaś, czy nie. Zabiłem go, zanim zdążyliśmy sobie porozmawiać.

\*

Musiał przyznać, że była dobra. Nim minęły dwie sekundy, od chwili gdy te słowa wyszły z jego ust, a już odwróciła się do Crabbego i Xoncka z gniewnym sykiem, słyszalnym nie dalej jak dwa kroki od podium.

- Wiedzieliście o tym? Posłaliście Graya z jakąś misją?

- Oczywiście, że nie - szepnęła Crabbe. - Gray odpowiadał przed tobą...

- Może posłał go hrabia? - syknęła znowu, jeszcze gniewniej.

- Gray odpowiadał przed tobą - powtórzył Xonck, mimo pozornego spokoju wyraźnie gorączkowo nad czymś rozmyślając.

- Zatem czemu był w lochach? - zapytała hrabina.

- Na pewno nie był - rzekł Xonck. - Jestem pewny, że Kardynał kłamie.

Odwrócili się do niego. Zanim hrabina zdążyła otworzyć usta, Chang wyjął rękę z kieszeni płaszcza.

- To chyba jego klucz? - Rzucił ciężki metalowy klucz, który z brzękiem upadł na posadzkę.

\*

Oczywiście ten klucz mógł należeć do kogokolwiek. Chang wątpił, by ktoś z nich znał Graya dostatecznie dobrze, żeby go rozpoznać, lecz konkretny przedmiot wywarł pożądany efekt - dowiódł prawdziwości jego słów. Uśmiechnął się z ponurą satysfakcją, czując w końcu, jak ta wymiana zdań wywołuje w jego sercu pożądany chłód. Wiedział, że człowiek niemający niczego do stracenia jest najniebezpieczniejszą z istot i z zadowoleniem skorzystał z okazji, żeby przed śmiercią narobić jak najwięcej zamieszania w szeregach swoich wrogów. Ludzie na podium zamilkli, tłum również - chociaż Chang był pewien, że tłum nie ma zielonego pojęcia, co to ma znaczyć, i wie tylko, że jego przywódcy są niemile zaskoczeni.

- Co on tam robił... - zaczął Crabbe.

- Otwórzcie drzwi! - krzyknęła hrabina, gniewnie patrząc na Changą i podnosząc głos, tak żeby dotarł aż na koniec sali. Chang usłyszał szcęk odsuwanych rygli. Ludzie natychmiast zaczęli szeptać, oglądać się za siebie i cofać. Ktoś wszedł do sali balowej. Chang zerknął na podium. Wszyscy zdawali się wpatrywać w nowo przybyłą osobę. Znow spojrzął przez ramię, gdy szepty przeszły w jęki, a nawet okrzyki przestrawu.

Tłum rozstał się, tworząc puste miejsce między Kardynałem Changiem a powoli zbliżającym się do niego hrabią d'Orkanczem. Ten trzymał w lewej ręce czarną skórzaną smycz, połączoną metalowym ogniwiem z obrozą zapiętą na szyi idącej obok niego kobiety. Mimo wszystko Changowi zaparło dech.

Była naga, a włosy wciąż spadały jej na ramiona falą lśniących loków, gdy miarowym krokiem szła za d'Orkanczem, wodząc oczami po sali i nie zatrzymując ich na nikim, jakby widziała to wszystko po raz pierwszy. Kroczyła powoli, bezwstydnie, ze zwierzęcą swobodą, równo stawiając stopy, ostrożnie wybierając sobie drogę i patrząc na mijane twarze. Jej ciało

lśniło błękitem, w głębi mieniąc się barwą indygo, z wierzchu gładkie jak woda. Szła zwinnie, choć nieco sztywno, sprawiając wrażenie, że każdy jej ruch wymaga decyzji i przygotowania. Była nieziemsko piękna. Chang nie mógł oderwać oczu od jej ciężkich piersi, idealnych proporcji kibi i bioder, długich nóg. Zauważył, że oprócz włosów na głowie nie ma na jej ciele ani jednego włoska. Brak brwi nadawał jej twarzy skupiony wyraz średniowiecznej Madonny, a jej nagi wzgórek łonowy wyglądał jednocześnie niewinnie i grzesznie.

Tylko białka jej oczu były jasne. Skierowała je na Changa.

\*

Hrabia szarpnął smycz i Angelika mszyła naprzód. W sali panowała cisza. Chang słyszał każdy krok bosych stóp na gładkim parkiecie. Spojrzał na d'Orkancza i ujrzał w jego oczach zimną nienawiść. Popatrzył na podium. Zobaczył zaszokowane twarze Crabbego i Xoncka, jednak hrabina, jakkolwiek zakłopotana, uważnie przyglądała się swoim kompanom, jakby oceniała, w jakim stopniu ten widok zdołał odwrócić ich uwagę od sprawy pana Graya. Chang znów spojrzał na Angelikę. Nie mógł się powstrzymać. Podeszła bliżej... i usłyszał jej głos.

- Kar-dy-na-le Chang - powiedziała, jak zawsze starannie wymawiając każdą sylabę.

Jednak jej głos był inny: cichszy, bardziej skupiony, jakby straciła połowę płuc. Jej wargi nie poruszały się - czy mogły się poruszać? - i Chang ze zgrozą uświadomił sobie, że słyszy je tylko w myślach.

- Angeliko... - szepnął.

- To koniec, Kardynale... wiesz, że tak... spójrz na mnie. Chciał zrobić coś innego. Nie mógł. Podchodziła coraz bliżej.

- Biedny Kardynale... tak bardzo mnie pragnąłeś... ja też bardzo pragnęłam... pamiętasz?

Słowa w jego głowie rozrosły się jak chińskie kule w wodzie, rozkwitając niczym kolorowe kwiaty, aż poczuł, jak jej obecność zawładnęła nim, a przesyłane przez nią myśli zastąpiły jego własne.

\*

Już nie znajdował się w sali.

Stali razem na brzegu rzeki, spoglądając na szarą wodę o zmierzchu. Czy naprawdę kiedyś to robili? Wiedział, że tak, raz - kiedyś, przypadkiem, spotkali się na ulicy i pozwoliła mu odprowadzić się do burdelu. Doskonale pamiętał ten dzień, chociaż teraz przeżywał go na nowo za sprawą przekazywanych przez nią myśli. Mówił do niej - słowa bez znaczenia -

chciał powiedzieć coś, żeby do niej trafić, opowiadał o historii mijanych domów, o swoich wyczynach, prawdziwym życiu nabrzeża. Ona prawie się nie odzywała. Wówczas zastanawiał się, czy to z powodu języka, gdyż wciąż mówiła z silnym akcentem, ale teraz, poznawszy jej myśli, wiedział, że po prostu nie chciała się odzywać i cały ten epizod nie miał z nim nic wspólnego. Po prostu zgodziła się iść razem z nim - celowo podeszła do niego na ulicy - żeby uciec przed innym zazdrosnym klientem, który śledził ją aż od Circus Garden. Ledwie słuchała Chang, uprzejmie się uśmiechając i kiwając głową, gdy opowiadał swoje głupie historyjki, chcąc tylko, żeby to jak najprędzej się skończyło... Dopóki nie przystanęli na chwilę na nabrzeżu, spoglądając w wodę. Chang zamilkł, a potem zaczął cicho mówić o drodze rzeki do bezkresnego morza i powiedział, że nawet oni, wiodący tak nędzne życie, przez swoją obecność tutaj, przez tę chwilę, są uczestnikami wielkiej tajemnicy.

Kiedy wskazał jej tę możliwość ucieczki, to nieświadome echo jej wyobrażeń o potędze życia, od którego dzieliło ją tak wiele... była zdziwiona. Zapamiętała ten moment i w końcu, w ostatnich chwilach jego życia, podziękowała mu choć w ten sposób.

\*

Kardynał Chang zamrugał. Spojrzał na podłogę. Opadł na czworaki, z ust ciekła mu krwawa ślina. Pułkownik Aspiche stał nad nim, przyciskając do piersi szklaną księgę. Angelika stała obok hrabiego d'Orkancza, wodząc obojętnym wzrokiem. Hrabia skinął głową w stronę podium, a Chang z trudem się odwrócił. Zastona obok podium znów się rozchyliła i weszła pani Steame. Prowadziła za rękę drobną kobietę w białej jedwabnej szacie. Chang potrząsnął głową. Nie mógł zebrać myśli. Ta kobieta w bieli... znają... znów zamrugał i otarł usta, przełknął ślinę i poczuł ból. Szata była przezroczysta i przylegająca... kobieta była bosa... w masce z białych piór... kasztanowe włosy, opadające gęstymi lokami na ramiona. Chang z wysiłkiem podniósł się na klęczki.

Otworzył usta, by coś powiedzieć, gdy stojąca za kobietą pani Steame wyciągnęła rękę i zdjęła maskę z twarzy panny Temple. Wokół szarych oczu zobaczył wyraźne obwódki procesu i ślad odcisnięty u nasady nosa.

Próbował wymówić jej imię. Nie zdołał.

Pułkownik Aspiche zaszedł go od tyłu. Cios był tak silny, że sala zawirowała i na moment przed tym, zanim pochłonęła go ciemność, Chang pomyślał, że chyba odciął mu głowę.

## 9

### **Prowokator**

Jako lekarz doktor Svenson wiedział, że ciało nie pamięta bólu, tylko bolesne doświadczenie. Jednak potworny strach pozostaje w pamięci jak żadne inne wspomnienie i dlatego, wspinając się na omdlewających rękach ku metalowej gondoli sterowca, patrząc na szaleńczo rozkołysany i mroczny krajobraz w dole, czując, jak lodowaty wiatr mrozi mu palce, doktor był bliski utraty zmysłów. Starał się myśleć o czymś innym poza przepaścią ziejącą pod jego wierzgającymi nogami, ale nie mógł. Zdyszany z wysiłku, nie był w stanie nawet wrzeszczeć czy krzyknąć i przy każdym ruchu jęczał z przerażenia. Przez całe życie unikał wszelkiego rodzaju wysokości. Nawet wchodząc po drabinkach na statku, starał się patrzeć przed siebie, a nie w dół, gdyż jego umysł i żołądek nie wytrzymały widoku nawet niewielkiej wysokości. Mimo woli skrzywił się na samą myśl o drabinkach. Jego jedyną pociechą, chociaż bardzo słabą, było to, że świst wiatru i ciemność skrywały go dotychczas przed oczami patrzących przez okno. Choć nie miał pewności, czy nie został zauważony. Z całej siły zaciskał powieki.

Wspiął się do połowy długości liny i ręce miał jak z ołowiu. Miał wrażenie, że nie zdoła wejść wyżej, może jedynie kurczowo trzymać się liny. Na moment otworzył oczy i natychmiast z jękiem je zamknął, bo od kołysania gondoli zakręciło mu się w głowie. Tam gdzie przedtem w okrągłym okienku widział twarz, teraz była tylko czarna szyba. Czy to naprawdę była Elóise? Na ziemi miał pewność, ale teraz... teraz ledwie wiedział, jak się nazywa. Siłą woli zaczął się wspinać i za każdym razem, gdy jedną ręką puszczał linę, żeby uchwycić ją nad głową, przechodził go dreszcz strachu, a jednak nakazał sobie robić to raz po raz, po omacku, z twarzą wykrzywioną z wysiłku.

Następny metr. Dlaczego się tu nie zatrzymasz? - nalegał jego umysł. Czemu nie zrezygnujesz? Czy ten lęk wysokości nie jest czasem podszyty obawą, że mógłby zechcieć skoczyć? Czemuż miałby wzdragać się na widok balkonu czy okna, jak nie z powodu dziwnej chęci, by rzucić się w dół? Teraz byłoby to takie proste. Łąki pod nim byłyby równie dobrym grobem jak morze. Tle to razy zastanawiał się nad takim rozwiązaniem od śmierci Korynny? Tle razy przechodził go dreszcz, gdy patrzył na reling płynącego po Bałtyku statku, walcząc - niczym zdesperowany terier z ogryzioną kością - z chęcią skoczenia za burtę?

Jeszcze metr, zaciskając zęby i wierzgając nogami, piął się tylko dzięki sile woli i złości. Oto powód, by żyć - nienawiść do tych ludzi, ich wyniosłości, pewności siebie, niepohamowanych apetytów. Pomyślał o pasażerach gondoli, osłoniętych przed lodowatym wiatrem, niewątpliwie otulonych futrami, usypianych przez świst wiatru i warkot śmigieł. Jeszcze trochę, choć ręce miał wiotkie jak liny. Otworzył palce i zacisnął je wyżej... ścisnął linę nogami... znowu i znowu. Starał się myśleć o wszystkim, tylko nie o wysokości - Ten

sterowiec - nigdy nie widział czegoś takiego! Najwidoczniej wypełniony jest jakimś gazem - zapewne wodorem - ale czy tylko? I czym jest napędzany? Nie wiedział, jak balon mógł unieść ciężar gondoli, nie mówiąc już o maszynie parowej... A może ma inny napęd? Coś, co łączy się z Lorenzem i niebieską glinką? W innych okolicznościach Svenson mógłby uznać te kwestie za fascynujące, lecz teraz rzucił się na nie z bezmyślnym zapalem człowieka recytującego tabliczkę mnożenia, żeby nie myśleć o nieuchronnej katastrofie.

\*

Znowu otworzył oczy i spojrzał w górę. Był bliżej, niż myślał - wisiał około dziesięciu metrów poniżej długiej żelaznej kabiny. Górny koniec liny był umocowany do stalowej ramy balonu, tuż za kabiną. W tylnej części gondoli nie dostrzegł żadnych okien... lecz czyżby były tam drzwi? Zaniknął oczy i wspinał się jeszcze półtora metra, po czym znów spojrzał. Nagle się przeraził. Wspinając się z zamkniętymi oczami, nie zauważył tego wcześniej. Teraz znieruchomiał. Z obu stron kabiny i nieco pod nią znajdowały się tylne śmigła - każde o rozpiętości około trzech metrów - i wspinając się po linie, musiał znaleźć się między nimi. W wyniku podmuchów wiatru i jego gwałtownych mchów lina kołysała się, a śmigła wirowały tak szybko, że nie był w stanie powiedzieć, jak duży jest odstęp między nimi. Im wyżej się pisał, tym łatwiej mógł odchylić się w jedną lub drugą stronę - prosto w wirujące śmigło.

Zrobić nie mógł nic, jedynie skoczyć, a im dłużej będzie odwlekał tę decyzję, tym mniej będzie miał siły w rękach. Podciągnął się, mocno zaciskając powieki i mocniej ściskając linę kolanami, żeby powstrzymać kołysanie. Pnąc się wyżej, centymetr po centymetrze, coraz wyraźniej słyszał złowieszczy świst śmigieł, niestrudzenie tnących powietrze. Był tuż pod nimi. Poczł zapach spalin - ten sam ostry smród ozonu, siarki i spalonej gumy, od którego o mało nie pochorował się na strychu Tarr Manor. Ta latająca machina była kolejną zdobyczą tajemnej wiedzy kliki. Wyczuwał obracające się rotory, niewidoczne, lecz wirujące tuż obok niego. Przesunął dłoń po linie, potem drugą, przygotowaną na okrutny cios, który utnie mu rękę. Śmigła wirowały bardzo blisko, ale jakimś cudem nie zawadzały o niego. Svenson pisał się coraz wyżej, dygocząc z wysiłku. Gondola była tuż przed nim, nie dalej jak metr, ale poza zasięgiem. Jakakolwiek próba przesunięcia liny w jej kierunku mogła rzucić go prosto w tylne śmigło. Co gorsza, z tyłu gondoli nie było czego się chwycić, nawet gdyby zaryzykował i podjął taką próbę. Popatrzył w górę. Lina była umocowana do metalowej obręczy stalowym rygłem... To jego jedyna szansa. Jeszcze dwa metry. Głowę miał już nad śmigłami. Niemal mógł dotknąć rygła. Mozolnie pokonał jeszcze trzydzieści centymetrów, sapiąc, wprost niewiarygodnie opadłszy z sił. Jeszcze kilka centymetrów. Z trudem wyciągnął rękę, pomacał rygiel i żłobkowane

stalowe żebro. Znow poczuł przeraźliwy strach - trzymał się liny tylko jedną ręką i kolanami. Przełknął ślinę i zacisnął palce na wsporniku. Będzie musiał puścić linę i się podciągnąć. Powinien owinąć nogi wokół rozporę i przeczołgać się nad śmigłami na dach gondoli. Jednak musiałby puścić linę. Nagle - co zapewne było nieuchronne - zdenerwowanie wzięło górę i lina wyslizgnęła mu się z ręki. Doktor Svenson natychmiast wyciągnął obie ręce ku metalowej podporze i złapał się jej, gwałtownie machając nogami. Spojrzał w dół i zobaczył, że lina znika z prawym śmigłem, pocięta na kawałki. Z przeraźliwym krzykiem podciągnął kolana do piersi, zanim śmigła odcięły mu stopy, po czym przerzucił je przez metalową belkę. Spojrzał w górę, na brezentowy balon tuż nad głową. Poniżej czekała go śmierć - przez poćwiartowanie lub upadek z dużej wysokości. Powoli przesuwiał się po rozporze, cierpliwie łapiąc się zimnych metalowych wsporników. Zesztywniały mu palce, więc przytrzymywał się całymi przedramionami.

Przejście półtora metra zajęło mu dziesięć minut. Gondola znalazła się pod nim. Najostroźniej jak mógł, spuścił nogi i wymacał stopami metalową powierzchnię. Oczy mu łzawiły. Doktor Svenson nie wiedział, czy to płacz, czy reakcja na silny wiatr.

\*

Gondola była obłym metalowym pudłem z oksydowanej stali, zawieszonym metr poniżej ogromnego balonu na metalowych rozporach, przymocowanych do każdego jej naroża. Powierzchnia metalu była śliska od szronu i wilgotnego nadmorskiego powietrza, a doktor Svenson zbyt sparaliżowany strachem i otępiąły z wysiłku, żeby podejść do krawędzi i chwycić się jednej z narożnych rozpor. Zamiast tego skulił się na środku dachu, trzymając się tej samej metalowej belki, po której się tu wspiał. Szczękając zębami, zmusił protestujący mózg do oględzin otoczenia. Gondola miała około czterech metrów szerokości i dziewięciu długości. Dostrzegł w dachu okrągły właz, ale żeby doń dojść, musiałby puścić się metalowej rozporę. Zamknął oczy i skupił się na oddychaniu, drżąc pomimo grubego płaszcza i niedawnego wysiłku - a może właśnie dlatego, gdyż pot na jego ciele i ubraniu okrutnie chłodził go w podmuchach wiatru. Otworzył oczy, gdy gondola się zatrzęsła. Z całej siły ścisnął rozporę. Sterowiec skręcał i Svenson poczuł, że mimo woli rozluźnia chwyt, rozpaczliwie usiłując utrzymać się na dachu szybko skręcającej gondoli. Zaniósł się szaleńczym chichotem na myśl o tym, że rozpaczliwie próbuje utrzymać się na dachu szybko lecącego sterowca, on, który przez całe życie bał się wejść na drabinę. Przypomniał sobie, jak zaledwie wczoraj - czyżby to było tak niedawno? - wyszedł na czworakach na dach macklenburskiej ambasady! Gdyby wtedy wiedział! Mocniej ścisnął belkę i znowu zachichotał. Ten dach! Właśnie rozwiązał tajemnicę zagadkowej ucieczki księcia - przybyli

po niego sterowcem! Przy mniejszej prędkości śmigła poruszały się cicho i z łatwością mogli niepostrzeżenie podlecieć i wysadzić ludzi na dach, żeby uwolnić księcia. Nawet zgnieciony niedopałek papierosa nabierał sensu - rzuciła go hrabina di Lacquer-Sforza, patrząc przez okno gondoli. Co jednak wciąż nie miało sensu, to to, dlaczego księżę został wykradzony bez wiedzy innych członków klikki - na przykład Xoncka i Crabbego. Tak jak śmierć Arthura Trappinga, ten fakt zdawał się dzielić jego wrogów i gdyby Svenson zdołał rozwiązać tę zagadkę... może zrozumiałby wszystko.

Sterowiec nagle wyrównał lot. Mgła spowiała Svensona, który zaczął przesuwać się po wsporniku, starając się nie stąpać zbyt energicznie, gdyż nie chciał, żeby ktoś na dole dowiedział się o jego obecności. Znow zamknął oczy i próbował uspokoić oddech, ograniczając się do sapania i szcękania zębami. Nie ruszy się z miejsca, dopóki nie odpadną mu ręce albo sterowiec dotrze do celu.

Kiedy otworzył oczy, sterowiec wykonywał następny skręt, nie tak ostry jak poprzedni - z czego Svenson wcześniej nie zdawał sobie sprawy, a teraz zauważył przez poszarpane dziury we mgle - na niższym pułapie, około siedemdziesięciu metrów nad porośniętym paprociami płaskowyżem, niemal zupełnie bezdrzewnym. Czyżby zamierzali przelecieć nad morzem? W mroku zobaczył światła, najpierw słabe i migoczące, potem coraz jaśniejsze, co pozwoliło mu ustalić, dokąd lecą. Istotnie, sterowiec cały czas opadał.

Budowla była ogromna, ale stosunkowo niska - Svenson naliczył zaledwie kilka pięter - co sprawiało, że wydawała się potężna. Całość miała kształt przypominający szczękę, z ogrodem w środkowej części. Gdy podlecieli bliżej, warkot śmigieł zmienił natężenie - zwalniali - i Svenson dostrzegł więcej szczegółów: duży otwarty plac przed budynkiem, zastawiony powozami i usiany postaciami woźniców oraz stangretów, podobnymi do mrówek (albo do myszy, gdy sterowiec opadł niżej). Svenson spojrzął w drugą stronę i zobaczył na dachu dwie rozkołysane latarnie, a za nimi grupkę ludzi - niewątpliwie czekających, by uwiązać cumy. Podlecieli bliżej... czterdzieści metrów, dwadzieścia... Svenson nagle przestraszył się, że go zauważą, i szybko złapał się uchwyty włazu, ponownie położywszy się na dachu gondoli. Stalowa płyta była lodowato zimna. Jedną ręką trzymał klamkę, a drugą wyciągnął jak najdalej w bok, żeby nie stracić równowagi. Nogi miał szeroko rozłożone. Opadli jeszcze niżej. Usłyszał dobiegające z dołu krzyki, a potem trzask otwieranego okna i czyjś okrzyk w odpowiedzi na te nawoływania.

Lądowali na dachu Harschmort House.

\*

Doktor Svenson ponownie zamknął oczy, teraz bardziej z obawy przed tym, że go zauważą, niż z powodu lęku wysokości. Wszędzie wokół słycać było krzyki i świst lądującej maszyny. Nikt nie wyszedł przez właz - widocznie cumy rzucono z przedniej części gondoli. Może kiedy śmigła przestały się obracać, liny ponownie mocowano do zasuwy, po której się wspiął. Było tylko kwestią czasu, kiedy odkryją jego obecność. Usiłował rozważyć sytuację i swoje szanse.

Był nieuzbrojony. I wykończony: miał lekko skręconą nogę w kostce, poobijaną głowę i dłonie poobcierane od wspinaczki. Na dachu czekała zapewne banda krzepkich ludzi, gotowych go obezwładnić, jeśli nie zrzucić na brak placu. W gondoli siedzieli inni jego wrogowie: Crabbe, Aspiche, Lorenz, panna Poole... A w ich mocy, kto wie, w jakim stanie - a także, jeśli miał być zupełnie szczery, kto wie po czyjej stojącej stronie - Elóise Dujong. Z dołu dobiegł kolejny trzask, a potem głośny metaliczny grzechot, zakończony brzękiem ciężkiego stalowego pierścienia uderzającego o kamień. Powstrzymał chęć uniesienia głowy i zerknięcia. Gondola zaczęła lekko się kołysać i usłyszał głosy - wołającego coś Crabbego, a potem pannę Poole. Ktoś odpowiedział im z dołu, a potem do rozmowy włączyło się zbyt wiele głosów, żeby mógł śledzić jej przebieg. Schodzili z gondoli po spuszczonej drabince lub schodkach.

- Długo to trwało! - wołał Crabbe do kogoś stojącego na dachu. - Czy wszystko gotowe?

- Bardzo przyjemna podróż - mówiła panna Poole do kogoś innego. - Chociaż nie bez przygód...

- Przeklęte urządzenie - ciągnął Crabbe. - Nie mam pojęcia jak... Lorenz mówi, że potrafi, ale dla mnie to nowość... tak, dwukrotnie... droga prosto w serce...

- Ostrożnie! Ostrożnie! - wołał Lorenz. - I lód, będziemy natychmiast potrzebowali pełnej wanny lodu... tak, wszyscy razem... trzymajcie! Teraz szybko, bo nie ma czasu!

Crabbe słuchał kogoś mówiącego zbyt cicho, by Svenson mógł go usłyszeć, ale najwyraźniej zdającego mu sprawozdanie. Czy to mógł być Bascombe?

- Tak... tak... rozumiem... - Wyobrażał sobie, jak wiceminister kiwa przy tym głową. - A Carfax? Baax-Saornes? Baronowa Roote? Pani Kraft? Henry Xonck? Wspaniale, a co z naszym niezrównanym gospodarzem?

- Pułkownik złamał sobie nogę w kostce, tak - zachichotała Panna Poole (czy było coś, czego ta kobieta nie uważała za zabawne?) - w walce z tym okropnym doktorem Svensonem. Obawiam się, że biedny doktor miał ciężką śmierć. Na samą myśl o tym twarz robi mi się szara jak popiół.

Panna Poole roześmiała się ze swojego żartu, a pułkownik Aspiche ryknął gromkim śmiechem. Wyczerpany Svenson zupełnie obojętnie słuchał, jak żartują sobie z jego śmierci w rozpalonym do czerwoności piecu.

- Tędy, tędy... tak! Naprawdę, panno Poole, najwyraźniej przejażdżka nie posłużyła tej damie!

- A przecież dopiero co wydawała się tak uległa, pułkowniku. Może ta dama po prostu potrzebuje pańskiej uprzejmej troski?

Zabierają Elóise - zatem żyje. Co jej zrobili? Gorzej, co panna Poole rozumiała pod słowem „uległa”? Dręczył się wizją Elóise na drewnianych schodach, z zakłopotaniem w oczach... Przybyła do Tarr Manor z jakiegoś powodu, nieważne, że usunięto go z jej pamięci. Czy Svenson wie, kim ona naprawdę jest? Potem przypomniał sobie jej ciepłe wargi dotykające jego warg. Nie miał pojęcia, co o tym sądzić. Mimo wszystko nie podniósł głowy, obawiając się, że odkryją jego obecność. Powoli mijały sekundy. Mamrotał pod nosem, gorączkowo pragnąc, by tamci jak najszybciej zeszli z dachu.

W końcu głosy ucichły. Tylko co z ludźmi cumującymi maszynę lub strzegącymi jej? Doktor Svenson usłyszał cichy szcęk włazu i poczuł, że uchwyt zaczyna się obracać. Cofnął się, gdy szcęknął otwierany zamek. Kłapa uniosła się i ukazała się umazana smarem twarz mężczyzny w kombinezonie. Zobaczył Svensona i otworzył usta ze zdziwienia. Svenson z całej siły kopnął obcasem w jego twarz i skrzywił się, słysząc nieprzyjemne chrupnięcie. Mechanik znikł we włazie, a doktor pospiesznie mszył za nim. Wepchnął obie nogi w okrągły otwór włazu i ignorując rząd żelaznych szczebli przytwierdzonych do ściany, skoczył na jęczącego i oszołomionego mechanika, siedzącego na dole. Wylądował na jego ramionach, z łoskotem ponownie rozciągając go na podłodze. Chwiejnie wstał z nieruchomej ofiary i przytrzymał się żelaznych szczebli. Z kieszeni kombinezonu mechanika wystawał ciężki, śliski od smaru klucz. Zważywszy go w dłoni, Svenson przypomniał sobie klucz, którym ogłuszył biednego pana Coatesa w Tarr Village, i świecznik, którym zamordował nieszczęsnego Starcka. Czy ta rzeź była potrzebna? A przecież zaledwie wczoraj hrabia wywołał w nim poczucie winy z powodu otrucia tamtego człowieka - łotra jakich mało - w Bremie? Gdzie podziały się jego skrupuły?

Ostrożnie szedł po pokładzie gondoli, podzielonej na mniejsze kabiny jak wnętrze małego, lecz dobrze utrzymanego jachtu. Pod ścianą były obite skórą ławy i stoliczki wyglądające na barki, z przymocowanymi butelkami widocznymi przez frontowe szyby. Zesztywniałymi palcami Svenson zaczął gmerać przy skórzanych paskach. Jego przemarznęte i poobcierane dłonie nie nadawały się teraz do wykonywania tak delikatnych

czynności jak odpinanie pasków. Jęknął, zniecierpliwiony, i zamachnął się kluczem. Uderzył w szklaną płytę, a potem wetknął klucz w otwór i poobtukiwał ostre odłamki szkła. Ostrożnie wydobyl butelkę koniaku i sztywnymi jak szpony palcami wyciągnął korek. Upił długi łyk, zakaszlał, czując przyjemne ciepło, a potem znów się napił. Wypuścił powietrze z płuc. W oczach stanęły mu łzy. Pociągnął kolejny łyk i odstawił butelkę. Chciał się rozgrzać i ożywić, a nie upić.

Naprzeciwko barku stała nieco wyższa drewniana szafka. Podszedł do niej i spróbował ją otworzyć. Była zamknięta. Svenson podniósł klucz i jednym potężnym uderzeniem rozbił drewno wokół zamka. Otworzył drzwiczki i ujrzał rząd dobrze naoliwionych karabinów, pięć lśniących pałaszy oraz trzy rewolwery wiszące na uchwytych. Svenson rzucił klucz na skórzaną ławę i szybko wyjął paczkę naboju oraz rewolwer. Otworzył bębenek i zaczął go ładować. Podniósł głowę, nasłuchując, gdy jego palce wsuwały jeden nabój po drugim do komór. Po sześciu zatrzasnął bębenek. Czy był tu ktoś jeszcze? Sięgnął po jeden z pałaszy. Była to zabawnie wyglądająca, ale mordercza broń, podobna do trzydziestocalowego rzeźnickiego tasaka z błyszczącą mosiężną osłoną dłoni. Nie miał pojęcia, jak się nią posługiwać, ale wyglądała tak groźnie, że był gotów uwierzyć, iż będzie zabijać sama.

Mężczyzna w kombinezonie nie ruszał się. Svenson zrobił krok w kierunku dziobu, przystanął, westchnął, a potem szybko klęknął przy nieprzytomnym, wepchnąwszy rewolwer do kieszeni. Sprawdził puls, dotykając tętnicy szyjnej. Serce biło. Ponownie westchnął na widok złamanego nosa i ułożył nieprzytomnego tak, żeby nie udusił się własną krwią. Wytrzeł dłonie i wstał, wyjmując rewolwer. Teraz, upewniwszy się, że zachował ludzkie odruchy, zapragnął zemsty.

\*

Przeszedł przez kolejną niewielką kajutę do wyjścia - następnego wjazdu ze składanymi metalowymi schodkami, które opuszczono na powierzchnię znajdującego się około dziesięciu metrów niżej dachu. Inne schodki wiodły do kokpitu. Upewnił się, że nie zobaczy go ktoś stojący na dole, i znów nastawił ucha. Środkowa kabina, z ławami i stolikami, niczym nie różniła się od innych, lecz jego wzrok przykuł kawałek sznura leżący na podłodze pod jednym ze wsporników. Svenson przyklęknął i spojrział, zaniepokojony. Sznur był przecięty i zakrwawiony. Najwidoczniej związano nim ręce i nogi Elóise. Ktokolwiek to zrobił, bez skrupułów zacisnął więzy tak, że poraniły ciało do krwi. Na myśl o tym, co przeżyła, Svensona przeszedł dreszcz zgrozy, a potem wściekłości. Czyż to nie dowodziło jej niewinności? Westchnął, gdyż w istocie nie dowodziło niczego poza okrucieństwem i

bezwzględnością kliki. Bez wahania poświęcili potencjalnych członków w Tarr Manor i z pewnością bez skrupułów sprawdzali lojalność nowych członków - którzy, oczywiście bez protestów, znosili każdą próbę. Gdyby tylko wiedział, co do niej mówili, jakie groźby i pokusy, jakie pytania... Gdyby wiedział, co im powiedziała.

Wyjął z kieszeni rewolwer. Z przeciągłym westchnieniem - gdyż nie był tak otępiały, żeby bez oporów zejść po schodkach z rewolwerem w jednej, a pałaszem w drugiej ręce - wyszedł przez właz i jak najszybciej zaczął schodzić (raczej chwiejnie). Omiótł wzrokiem dach, szukając wartowników. Nie dostrzegł żadnego. Sterowiec był umocowany do dachu dwoma linami przywiązanymi pod spodem gondoli, ale nikt go nie pilnował.

Doktor postanowił nie kusić dłużej losu i pomaszerował tam, dokąd udali się jego wrogowie - w stronę kamiennej nadbudówki, znajdującej się dwadzieścia metrów dalej, której drzwi były otwarte i zablokowane cegłą.

Idąc, spojrzął na swoje ręce. W lewej trzymał pałasz, w prawej rewolwer. Czy tak jest prawidłowo? Trafiał w cel, jedynie gdy strzelał z bliskiej odległości. Nie miał absolutnie żadnego doświadczenia w posługiwaniu się pałaszem. Prawą ręką z pewnością sprawniej posługiwał się jedną i drugą bronią, ale która będzie skuteczniejsza w lewej ręce? Pomyślał o tych, z którymi może się spotkać - o macklenburskich żołnierzach i dragonach pułkownika Aspiche'a - którzy będą uzbrojeni w szable i doskonale wyćwiczeni w posługiwaniu się nimi. Trzymając pałasz w lewej ręce, nie zdoła odparować ani jednego ciosu. Jeśli jednak będzie go trzymał w prawej, czy zdoła wystrzelić z rewolweru, i co ważniejsze, trafić? Nie. Nie przełożył pałasza do drugiej ręki.

\*

Otworzył drzwi i zobaczył pustą klatkę schodową o gładkich białych ścianach i kamiennej posadzce. Z dołu nie dobiegał żaden dźwięk. Svenson odsunął cegłę i przymknął drzwi, po czym pospiesznie, przetykając ślinę i starając się opanować lęk, podszedł na krawędź dachu i spojrzął na ogród. Skraj dachu ozdobiony był niskim krenelażem, za którym mógł się schować i obserwować okolice. Mgła wciąż była gęsta, lecz w dole jak przez woal widział ogród ze stożkowatymi koronami ozdobnych drzew, posągi i dekoracyjne urny, a także przeszywające mrok światła wielu pochodni. Najwyraźniej przyświecali sobie nimi dragoni, gdyż słyszał ich nawoływania, ale nie mógł określić, skąd dochodzą. Nagle krzyki przybrały na sile, zdając się dobiegać gdzieś ze środka ogrodu. Padł strzał, a po nim rozległ się zduszony krzyk. Potem padły jeszcze dwa strzały, oddane jeden po drugim, i Svenson zobaczył, jak światła pochodni zbiegają się w jednym miejscu. Popatrzył dalej, próbując

dostrzec, kogo ścigają. Mgła była zbyt gęsta, jednak sam fakt, że się poruszali, świadczył o tym, że ten człowiek jest tylko lekko ranny albo nie jest sam.

Nagle doktor Svenson zobaczył, że coś poruszyło się we mgle tuż pod nim. Jakaś postać podkraśla się wzdłuż żywopłotu do granicy ogrodu, szykując się do szybkiego biegu po żwirze dzielącym go od domu. Mgła czepiała się mokrej roślinności i lekko rozwiewała na jej skraju... Svenson poznał Kardynała Changa. Dragoni ścigają Changa! Svenson jak opętany zamachał rękami, lecz Chang nie patrzył w górę, tylko w jakieś okno. Co za głupiec! Svenson chciał krzyknąć, ale co by to dało, poza ściągnięciem szwadronu dragonów na dach?

W następnej chwili Chang znikł, wtopiwszy się ponownie w cień drzew, chowając nie wiadomo gdzie, a na jego miejscu pojawiło się dwóch dragonów. Z dreszczem zgrozy Svenson zdał sobie sprawę, że gdyby zdołał zwrócić uwagę Changa, ten zapewne już by nie żył. Dragoni rozglądali się podejrzliwie, a później spojrzeli w górę, zmuszając doktora do schowania głowy za mur.

Co robi tu Chang? I jak to możliwe, iż żaden z tych żołnierzy nie zauważył przybycia sterowca? Svenson podejrzewał, że powodem była mgła i jego ciemny kolor. Uznał, że miał szczęście, iż przybyli tu niepostrzeżenie. Gdyby tylko mógł obrócić to na swoją korzyść.

Słyszac głośny trzask łamanego drewna, Svenson znów spojrział na ogród i ze zdumieniem zobaczył Changa, widocznego od pasa w górę - co oznaczało, że Kardynał stoi na czymś ukrytym we mgle - i kopiącego coś ukrytego w środku masywnej kamiennej urny. Światła pochodni zbliżały się ze wszystkich stron i słychać było coraz bliższe odgłosy pogoni. Pod wpływem nagłego impulsu Svenson wychylił się poza krawędź dachu i z całej siły cisnął pałasz w kierunku okna na parterze. Schował się na ułamek sekundy przed tym, zanim trzask pękającej szyby zagłuszył krzyki pogoni. Krzyki w ogrodzie jeszcze przybrały na sile i po chwili usłyszał chrzęst kroków na żwirze. Przynajmniej kilku żołnierzy pobiegło do okna, co dało Changowi więcej czasu na to, co zamierzał zrobić... Ukryć się w urnie? Svenson zaryzykował i wyjrzał, ale już go nie zobaczył. Nic więcej nie mógł zrobić, a pozostając tu dłużej, ryzykował, że zostanie schwytyany. Popędził do schodów i zaczął zbiegać po nich w głąb domu. Może część tej odzyskanej energii zawdzięczał koniakowi, ale świadomość, że jednak jakimś cudem nie jest tu sam, na nowo obudziła w nim nadzieję.

\*

Po dziesięciu stopniach schody doprowadziły go na podest drugiego piętra i tam się skończyły, będąc jedynie wyjściem na dach. Svenson nasłuchiwał przez chwilę i powoli przekręcił klamkę drzwi, a kiedy okazały się otwarte, odetchnął z ulgą i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że wstrzymywał oddech. Zdziwiło go zadufanie tych ludzi, lecz kogóż nie

zdołali przekabacić, z wyjątkiem ich trojga? Znów pomyślał o Changu. Co go tu sprowadziło? Nagle, z poczuciem winy, zrozumiał, że powodem musi być panna Temple. Chang trafił na jej ślad i dotarł po nim do Harschmort. A teraz robił co w jego mocy, żeby uniknąć złapania. Jednak prześladowcy nie wiedzieli o obecności Svensona. Kiedy byli zajęci ściganiem Kardynała Changa, on powinien uratować pannę Temple. Svenson musiał ufać, że Chang poradzi sobie sam.

A co z Elóise? Doktor Svenson westchnął mimo woli. Nie wiedział. Jeśli jednak jest taką, jaką miał nadzieję, że jest (wciąż pamiętał zapach jej włosów), to jak może ją opuścić? Ten dom był bardzo rozległy. Jak osiągnąć oba cele? Przystanął i przycisnął dłoń do oczu, wyczerpany, wahając się, czy pójść za głosem serca, czy rozsądku, gdyż czym jest ratowanie tych kobiet wobec bezsprzecznie ważniejszego celu: uratowania księcia i honoru Macklenburga? Nie wiedział, co począć. Był sam, zupełnie sam.

Bezszelestnie wślizgnął się przez drzwi. Długi korytarz biegł w obie strony, do obu skrzydeł domu, a na wprost znajdowały się szerokie główne schody oraz marmurowy balkon, z którego (gdyby chciał z niego spojrzeć w dół, czego nie zrobił) mógłby zobaczyć główne wejście dwa piętra niżej. Na korytarzu nie było nikogo. Jeśli pannę Temple lub Elóise zamknięto w jednym z pokoiów, na pewno postawiono przed drzwiami straż. Trzeba zejść piętro niżej.

Czego naprawdę szuka? Próbował skupić się na tym, co wie. Czy coś może mu pomóc w wykonaniu tej misji? O ile wiedział, klika wykorzystywała Tarr Manor do gromadzenia i oczyszczania dużych ilości niebieskiej gliny, służącej do produkcji toksycznego gazu, do konstruowania i ukrywania sterowca oraz do czegoś jeszcze gorszego... Hrabia d'Orkancz wykorzystywał dokonania genialnego alchemika, Oskara Veilandta. Drugim celem było gromadzenie - i zamykanie w szkle - poufnych informacji od niezadowolonej służby wysoko postawionych i możnych. Mając taki oręż, klika dysponowała ogromną władzą. Kto nie ma żadnych wstydlivych sekretów? Kto wie, do czego są gotowe posunąć się takie wpływowe osoby, żeby zachować je w tajemnicy? Na myśl o tak ogromnej władzy Svenson przypomniał sobie zastrzelonego diuka Staelmaere. Trzecim celem było jego wciągnięcie - osamotnionego - w szeregi kliki, aby zdobyć jego łaski i uczynić współuczestnikiem. Teraz, kiedy diuk nie żyje, przynajmniej pałacowe intrygi Crabbego zostały udaremnione.

Co to oznaczało dla Elóise, sprawczyni jego śmierci? Może, pomyślał z dreszczem zgrozy, jej lojalność nie miała jednak żadnego znaczenia. Wykazała się taką odwagą, że klika podda ją procesowi i na zawsze uczyni jedną z nich. Gdy tylko o tym pomyślał, natychmiast

zrozumiał, że to prawda. I jeśli się nie myli - a Svenson był głęboko przekonany, że ma rację - to taki sam los czeka pannę Temple.

\*

Doktor cicho zszedł po szerokich dębowych schodach, przywierając plecami do ściany i wyciągając szyję, by wypatrzeć straż na dole. Dotarł na podest pierwszego piętra i spojrzał w dół. Nikogo. Przemknął pod ścianę i zszedł na kolejne piętro. Usłyszał głosy dochodzące z głównego holu, ale rozejrzawszy się pospiesznie, nie dostrzegł na korytarzu żadnych wartowników. Gdzie podziiali się pasażerowie sterowca? Czyżby poszli prosto na parter? Jak ma za nimi iść w sam środek domu?

Nie miał pojęcia, ale przeszedł przez podest nad ostatnim odcinkiem schodów - tu były jeszcze szersze i bardziej okazałe, mające robić wrażenie na gościach. Svenson przełknął ślinę. Nawet stąd widział grupkę czarno odzianych lokajów i płynący do budynku strumień elegancko ubranych gości. Po chwili usłyszał tupot buciorów i zobaczył czerwonego z wściekłości, łysawego mężczyznę z wielkimi bokobrodami, kroczącego na czele oddziału dragonów. Lokaje prężyli się na jego widok jak żołnierze, witając go po nazwisku - Plengham? Mężczyzna nie zwracał na nich uwagi. Po chwili znikł i Svenson odetchnął z nieco kwaśną miną, patrząc na pięciu czy sześciu pozostałych, między którymi musiałby się przedrzeć na oczach setki gapiów.

Słyszając jakiś szmer za plecami, odwrócił się błyskawicznie, wywołując przerażony pisk dwóch dziewcząt w czarnych sukienkach, białych fartuszkach i czepkach. Pokojówki. Svenson spojrzał na ich pominię twarze i natychmiast to wykorzystał. Im więcej pozostawiłby im czasu do namysłu, tym bardziej prawdopodobne było, że zaczęłyby wrzeszczeć.

- Tu jesteście! - warknął. - Właśnie przybyłem z ministrem Crabbem. Skierowali mnie tu, żebym się ogarnął. Potrzebna mi miednica, a mojemu płaszczowi szczotkowanie. Zróbcie, co możecie, tylko szybko, szybko!

Widząc, jak wytrzeszczają oczy na rewolwer w jego rękę, wepchnął go do kieszeni i zdjął płaszcz z ramion, kierując obie dziewczyny do korytarza, z którego przyszły. Rzucił jednej brudny płaszcz i skinął głową drugiej.

- Będę rozmawiał z lordem Vandaariffem, dla którego mam wiadomości niezwyklej wagi. Oczywiście, widziałyście księcia, księcia Karla-Horsta? Mówcie, kiedy pytają!

Obie dziewczyny dygnęły.

- Tak, panie - powiedziały niemal jednocześnie, a jedna, ta bez płaszcza, z bmdnymi ciemnoblonde włosami wymykającymi się spod czepka za uchem, może trochę śmielsza od towarzyszki, dodała: - Jestem pewna, że panna Lydia już poszła na spotkanie z księciem.

- Doskonale - warknął Svenson. - Na pewno poznajecie po moim akcencie... tak, jestem z orszaku księcia. Mam ważne informacje dla waszego pana, ale nie mogę spotkać się z nim w takim stanie, prawda?

Dziewczyna z płaszczem pobiegła otworzyć drzwi. Druga syknęła na nią gniewnie, a pierwsza odpowiedziała podobnym syknięciem, jakby pytała, dokąd mają go zaprowadzić? Druga ustąpiła i wprowadziły go do ozdobionej białymi koronkami łazienki, w której unosił się duszący aromat świec zapachowych i suszonych kwiatów spryskanych perfumami.

Dziewczyny zdecydowanie poprowadziły Svensona do lustra, przed którym o mało się nie wzdrygnął na swój widok. Gdy jedna pokojówka bezskutecznie usiłowała oczyścić jego płaszcz, druga zmoczyła ręcznik i zaczęła wycierać mu twarz. Doktor widział, że ich wysiłki nie dają rezultatów. Jego twarz była maską bólu, pom i zaschniętej krwi. Dopiero kiedy szorstki materiał albo zmył ją, albo wywołał grymas bólu, doktor poznawał, czy to jego własna krew, czy jednej z jego ofiar. Jego platynowe włosy, zwykle schludnie przyzlane, opadły mu na czoło, zlepione krwią i brudem. Zamierzał wykorzystać pokojówki, aby zniknąć z oczu i zdobyć informacje, ale nie mógł nie skorzystać z okazji. Postanowił doprowadzić się do porządku. Odsunął ich natarczywe dłonie i otrząsał swoją zakurzoną kurtkę i spodnie.

- Zajmijcie się moim mundurem. Sam sobie poradzę.

Podszedł do miednicy, zanurzył głowę w zimnej wodzie i mimo woli stęknął. Wyjął ociekającą głowę, po omacku sięgnął po ręcznik, który podała mu jedna z dziewcząt, a potem wyprostował się, energicznie wycierając włosy i twarz, kilkakrotnie przyciskając ręcznik do otwartych na nowo skaleczeń, które pozostawiały na nim czerwone plamki. Odrzucił ręcznik, odetchnął z satysfakcją i jak umiał, przyglądał włosy palcami. Zauważył, że pokojówka z płaszczem przygląda się jego twarzy w lustrze.

- Ta wasza panna Lydia - zwrócił się do niej. - Gdzie teraz jest? Ona i książę?

- Poszła z panią Stearne, panie.

- Kapitanie - poprawiła ją druga. - To kapitan, prawda, proszę pana?

- Jesteś spostrzegawcza - pochwalił Svenson z wymuszonym dobrodusznym uśmiechem. Ponownie spojrzął na miednicę i oblizał się. - Przepraszam...

Sięgnął po miedziany dzbanek i podniósł go do ust, niezgrabnie pijąc, rozlewając sobie wodę na kołnierz i kurtkę. Nie przejmował się tym, tak jak i tym, co sobie pomyślał pokojówki. Nagle poczuł potworne pragnienie. Kiedy ostatnio coś pił? W małej gospodzie w Tarr Village? Wydawało się, że od tamtej pory minęły wieki. Odstawił dzbanek i wziął drugi ręcznik, żeby wytrzeć twarz. Odłożył ręcznik, wyjął z kieszeni monokl i wetknął go w oczodół.

- Jak tam płaszcz? - zapytał.

- Błagam o wybaczenie, kapitanie, ale pański płaszcz jest w bardzo złym stanie - odparła potulnie pokojówka. Wyrwał go jej z rąk.

- W złym stanie? - rzekł. - Jest po prostu brudny. Przynajmniej udało ci się doprowadzić do tego, iż można rozpoznać, że to płaszcz. To nie lada sukces. A ty - zwrócił się do drugiej - sprawiłaś, że wyglądam jak oficer, choć może nie nazbyt szacowny, ale wina leży wyłącznie po mojej stronie. Dziękuję wam obu.

Svenson sięgnął do kieszeni i wyjąwszy dwie srebrne monety, dał po jednej dziewczynom. Szeroko otworzyły oczy... może nawet podejrzliwie. Dał im za dużo, więc może podejrzewały, że będzie chciał od nich czegoś więcej? Doktor Svenson odkaszlnął i poczerwieniał, gdyż obie uśmiechnęły się kusząco. Poprawił monokl i niezgrabnie nałożył płaszcz. Jego szorstki i stanowczy głos zmienił się w zakłopotane mamrotanie.

- Czy byłybyście tak uprzejme i pokazały mi, dokąd poszła ta pa... pani Stearne?

\*

Pokojówki z przyjemnością wskazały mu paluszkami boczne schody, których sam nigdy by nie znalazł, ukryte za zupełnie zwyczajnymi drzwiami obok lustra. Mimo najlepszych chęci Svenson wciąż nie mógł zdecydować, co powinien zrobić najpierw. Podążał śladem Karła-Horsta i jego narzeczonej - czy w ten sposób odnajdzie panny Temple i Elóise? Klika będzie się starała trzymać takie osoby jak panna Temple z daleka od gości - czy też wyznawców, jak arogancko nazywała ich panna Poole - gdyż z pewnością domyśliliby się, że nie znalazła się tu z własnej woli. Ponieważ nie było ich na górnych kondygnacjach, przynajmniej niepostrzeżenie zejdzie na parter. Tylko co, jeśli najpierw znajdzie księcia? Czy wtedy przerwie poszukiwania kobiet? Przez chwilę wyobrażał sobie, jak wraca do Macklenburga, do skromnego życia wiernego sługi, ciągnąc za sobą tego idiotę, mając serce jak zwykle spowite mgłą rozpacz. Tylko co z umową, którą zawarł na dachu hotelu Boniface z Changiem i panną Temple? Którą z tych dróg ma wybrać? Svenson zostawił w holu patrzące za nim pokojówki, z główkami przechylonymi jak ciekawskie koty. Powstrzymał chęć pomachania im ręką i pomaszerował po schodach.

Te były mniejsze od głównych, ale równie dobrze można by rzec, że Sfinks jest mniejszy od piramid, gdyż i tak prezentowały się wspaniale. Każdy stopień był kunsztownie intarsjowany różnokolorowym drewnem, a ściany ozdobione miniaturowymi kopiami bizantyjskich mozaik Justyniana i Teodory z Rawenny. Svenson powstrzymał gwizd podziwu na myśl o sumie, jaką Robert Vandaariff musiał wydać na wykończenie tylko tych jednych bocznych schodów, a potem daremnie usiłował wyliczyć wielkość sumy potrzebnej na

zamienienie więzienia Harschmort w rezydencję. Ta fortuna przekraczała matematyczne umiejętności doktora.

U podnóża schodów spodziewał się zobaczyć drzwi wiodące na korytarz partem, ale takich nie było. Zamiast nich były wahadłowe drzwiczki, jak w hotelowej kuchni. Czyżby znalazł się właśnie w pobliżu kuchni? Przez moment marszczył brwi, usiłując ustalić, gdzie się znajduje. Podczas poprzedniej wizyty wszedł frontowym wejściem wraz z księciem i przez cały czas przebywał w lewym skrzydle - za salą balową - a potem w ogrodzie, gdzie znalazł zwłoki Trappinga. Teraz był na nieznanym mu terenie. Delikatnie pchnął wahadłowe drzwi i zajrzał przez szparę.

Zobaczył pomieszczenie z kamienną posadzką, pełne drewnianych stołów. Przy jednym z nich zasiadali dwaj mężczyźni i trzy kobiety. Najmłodsza rozlewała wino z dzbana do drewnianych kubków. Cała piątka miała na sobie zwyczajne robocze stroje z czarnej wełny. Między nimi na stole stał pusty półmisek i sterta drewnianych talerzy. Najwyraźniej służba spożywała późny posiłek. Svenson wyprężył się i pomaszerował naprzód, imitując majora Blacha, starając się maksymalnie pogorszyć swoją dykcję i pogłębić akcent.

- Przepraszam! Szukam księcia Karla-Horsta von Maasmärcka. Czy tędy przechodził? Albo... przepraszam... można go znaleźć tam?

Spojrzeli na niego, jakby mówił po chińsku. Doktor Svenson ponownie przywołał na pomoc majora Blacha, czyli po prostu zaczął na nich wrzeszczeć.

- Książę! Z waszą panną Vandaariff! Tędy? Niech ktoś z was natychmiast mi powie!

Biedni słudzy kulili się na krzesłach. Jego agresywny, groźny krzyk zepsuł im zakończenie tak przyjemnej wieczerzy. Troje z nich pospiesznie wskazało mu drzwi po przeciwnej stronie, a jedna z kobiet nawet wstała, pokornie kiwając głową i kuląc się, wskazując drzwi.

- Tędy, panie... niecałe dziesięć minut temu... błagam o wybaczenie...

- Ach, to z pewnością bardzo uprzejmie z waszej strony... Wracajcie, proszę, do waszych zajęć! - warknął Svenson, podchodząc do drzwi, zanim komuś przyszło do głowy zapytać, kim, do licha, jest i dlaczego człowiek w tak brudnym ubraniu z takim pośpiechem podąża za księciem. Mógł jedynie mieć nadzieję, że żądania kliki bywają równie dziwaczne, a jej członkowie równie władczy.

Nie trudno było w to uwierzyć.

\*

Przeszedłszy przez wahadłowe drzwi, Svenson znów przystanął, sięgając za siebie, by je unieruchomić. Stał na końcu szerszego, nisko sklepionego pomieszczenia - będącego

czymś w rodzaju przejścia dla służby, pozwalającego przejść bez przeszkadzania innym. Nad nim znajdował się balkon orkiestry, z którego dolatywały delikatne dźwięki harfy. Na wprost, po drugiej stronie korytarza, były następne wahadłowe drzwi, oddalone o nie więcej niż dziesięć metrów, lecz idąc do nich, byłby widoczny z dużej sali. Przywarł do występu muru kryjącego wahadłowe drzwi i słuchał podniesionych głosów ludzi po drugiej stronie.

- Muszą wybrać, panie Bascombe! Nie mogę w nieskończoność powstrzymywać naturalnych procesów! Jak pan wie, oprócz tej sprawy mamy jeszcze transformacje hrabiego, inicjacje w teatrze i wielu, wielu ważnych gości zidentyfikowanych do kolekcji, a przy tym wszystkim niezbędna jest moja obecność...

- Jak już panu mówiłem, doktorze Lorenz, nie znam ich planów!

- Tak czy inaczej, to bardzo proste! Wykorzysta się go natychmiast albo zacznie się rozkład i pójdzie na straty!

- Owszem, jasno dał pan do zrozumienia...

- Nie dość jasno, żeby coś zrobili! - Lorenz zaczął głądzić z wyniosłą pedanterią starego akademika. - Zobaczy pan odbarwienia na skroniach, pod paznokciami, na wargach... nacieki... na pewno, nawet pan rozpozna zapach...

- Niech pan mnie gani, ile pan chce, doktorze, ale musimy czekać na decyzję ministra.

- Będę pana ganił...

- A ja przypominam panu, że nie pan decyduje o losie brata królowej!

- Powiedziałbym... co to za dźwięk?

Powiedział to inny głos. Svenson miał wrażenie, że go zna, ale nie może rozpoznać.

Co ważniejsze, ten głos mówił o odgłosie towarzyszącym otwarciu wahadłowych drzwi, przez które wszedł Svenson. Pozostali przestali się spierać.

- Jaki dźwięk? - warknął Lorenz.

- Nie wiem. Jednak wydawało mi się, że coś słyszę.

- Poza harfą? - spytał Bascombe.

- Tak, ta cudowna harfa - mruknął zjadliwie Lorenz. - Dokładnie tego potrzebuje każdy zamordowany członek królewskiej rodziny, leżący w wannie z roztopiającym się lodem...

- Nie, nie... dolatuje stamtąd... - powiedział człowiek, który najwyraźniej odwrócił się w kierunku pokoju, gdzie stał zasłonięty jedynie występem muru Svenson.

Ten głos należał do Flaussa.

\*

Posel jest z nimi. Pozna Svensona i to będzie koniec. Czy zdoła wrócić przez pomieszczenie dla służby? Tylko co potem? Schodami w górę?

Te rozmyślania przerwał mu zgiełk dużej grupy ludzi wchodzących przez drzwi naprzeciwko. Tupot wielu nóg... a właściwie buciorów. Lorenz powitał przybyłych obojętnie i drwiąco:

- Wspaniale, jak miło, że w końcu raczył pan przybyć. Widzi pan, jaki mamy problem. Potrzebuję dwóch pańskich ludzi do przyniesienia lodu. Powiedziano mi, że gdzieś w rezydencji jest lodownia...

- Kapitanie - Bascombe zręcznie wtrącił się do rozmowy - czy mógłby się pan upewnić, że nie będziemy niepokojeni przez nieproszonych gości wchodzących przejściem dla służby?

- Gdy tylko pošle pan dwóch ludzi po lód - nalegał Lorenz.

- Istotnie - rzekł Bascombe. - Dwóch po lód, czterech do wanny, jeden, by z szacunkiem zapytać ministra, czy ma dalsze polecenia, a jeden niech sprawdzi przejście. Czy to zadowoli wszystkich?

Svenson przemknął z powrotem do drzwi i pchnął je, starając się zrobić to bezgłośnie. Nie ustąpiły. Zostały zaryglowane od środka przez służbę, która nie chciała, żeby znów przerwał im posiłek. Pchnął ponownie, bez skutku. Szybko wyjął pistolet, gdyż przez zgrzyt metalu i tupot nóg w sąsiednim pomieszczeniu usłyszał zdecydowany stukot zbliżających się kroków.

Zanim zdążył przygotować się na spotkanie, zobaczył człowieka spoglądającego na niego z odległości niecałych dwóch metrów - wysokiego mężczyznę o długich kasztanowych włosach, kapitana dragonów w nienagannie uprasowanym czerwonym płaszczu, z mosiężnym hełmem pod pachą i obnażoną szablą w drugiej ręce. Svenson napotkał jego przenikliwy wzrok i mocniej ścisnął kolbę rewolweru, ale nie strzelił. Nie miał ochoty zabijać żołnierza. Kto wie, co naopowiadano tym ludziom i jakie otrzymali rozkazy od takich ważnych szyszek jak Crabbe czy choćby Bascombe? Svenson przypomniał sobie zdecydowanego Changa i wycelował.

Mężczyzna zmierzył go wzrokiem, notując jego mundur, stopień i niechlujny wygląd. Bez komentarza odwrócił głowę w drugą stronę, a potem zrobił krok w kierunku Svensona, udając, że sprawdza drzwi. Svenson drgnął, ale nadal nie pociągał za spust. Kapitan podszedł jeszcze bliżej, wyciągnął rękę i sprawdził, czy drzwi są zamknięte. Lufa rewolweru Svensona niemal dotykała piersi kapitana, lecz ten trzymał szablę ostrzem w dół.

- Doktor Svenson? - szepnął.

Svenson skinął głową, nieprzygotowany na rozmowę.

- Widziałem Changa. Zabiorę tych ludzi w głąb domu. Niech pan idzie w przeciwną stronę.

Svenson znów kiwnął głową.

- Kapitanie Smythe! - zawołał Bascombe. Smythe cofnął się.

- Wszystko w porządku.

- Rozmawiał pan z kimś?

Smythe niedbale machnął w kierunku drzwi, wracając i znikając z oczu Svensona.

- W sąsiednim pokoju jest kilka osób służby. Nikogo nie widzieli. Może to ich słyssał poseł? Teraz drzwi są zamknięte.

- Niewątpliwie - wtrącił niecierpliwie Lorenz. - Możemy iść?

- Panowie pozwolą za mną - powiedział Smythe.

Svenson usłyszał odgłos otwieranych drzwi, szmery i postękiwania ludzi niosących nieżywego diuka, plusk wody wylewającej się z wanny, szuranie nóg i w końcu trzaśnięcie drzwi. Zaczekał. Cisza. Odetchnął i wyszedł zza narożnika, chowając rewolwer do kieszeni płaszcza.

\*

Herr Flauss stał w drzwiach naprzeciwko, przebiegle uśmiechnięty. Svenson wyjął rewolwer. Flauss prychnął.

- I co pan robi, doktorze, zastrzeli mnie i oznajmi swoją obecność wszystkim żołnierzom w tym domu?

Svenson ruszył powoli przez obszerny pokój w kierunku posła, przez cały czas celując w jego pierś. Po tym wszystkim, przez co przeszedł, przykro było pomyśleć, że miałby zginąć przez taką nędzną kreaturę.

- Wiem, co słyssałem - uśmiechnął się Flauss.- Tak jak wiedziałem, że kapitan Smythe nie mówi prawdy. Nie mam pojęcia dlaczego, a jestem naprawdę ciekaw, jaką władzę ma pan nad oficerem dragonów, szczególnie w swoim obecnym, zaniedbanym stanie.

- Jesteś zdrajcą, Flauss - odparł Svenson. - Zawsze byłeś. Stał niecałe dwa metry od posła, a główne drzwi znajdowały się najwyżej metr dalej. Flauss znów prychnął.

- Jak mogę być zdrajcą, jeśli spełniam życzenia mojego księcia? To prawda, że nie zawsze go rozumiałem, tak jak prawdą jest, że udzielono mi pomocy, dzięki której przejrzałem na oczy, ale mylisz się co do mnie i księcia. Zawsze się...

- On też jest zdrajcą i w dodatku idiotą - syknął gniewnie Svenson. - Zdradza swojego Ojca, swój naród...

- Mój biedny doktorze, jesteś zupełnie niedzisiejszy. W Macklenburgu wiele się zmieniło. - Flauss oblizwał wargi, oczy mu rozbłysły. - Twój baron nie żyje. Tak, baron von Hoern. Istnienie jego kiepskiej siatki agentów było publiczną tajemnicą. Po cóż w takim razie interesowałbym się każdym posunięciem zwykłego lekarza okrętowego? I oczywiście sam diuk też nie czuje się dobrze. Twój rodzaj patriotyzmu stał się przestarzały. Wkrótce to Karl-Horst będzie przywódcą narodu i życzliwie spojrzysz na finansowe przedsięwzięcia lorda Vandaariffa oraz jego współników.

Flauss nosił zwykłą czarną maskę. Svenson z odrazą dostrzegł częściowo zakryte przez nią czerwone obwódki.

- Gdzie jest major Blach? - zapytał.

- Na pewno gdzieś w pobliżu i jestem pewien, że bardzo się ucieszy, że pana złapano. On i ja w końcu doszliśmy do porozumienia, oczywiście - kolejny szczęśliwy traf! Naprawdę. To kwestia szerszego spojrzenia. Jeśli, jak pan twierdzi, księżę nie jest szczególnie biegły w sprawach polityki, tym ważniejsze jest, by jego otoczenie mogło nadrobić ten brak.

Tym razem skrzywił się Svenson. Zerknął przez ramię. Przez cały czas jego rozmowy z niezrównoważonym psychicznie posłem niewidoczny harfista nie przestawał grać, co jeszcze podkreślało niesamowity charakter tej sceny. Doktor odwrócił się do Flaussa.

- Skoro wiedziałeś, że tam jestem, dlaczego nic nie powiedziałeś swoim panom, Lorenzowi lub Bascombe'owi? - Podniósł rewolwer. - Dlaczego pozwoliłeś, bym miał przewagę?

- Nie zrobiłem niczego takiego. Jak powiedziałem, nie może mnie pan zastrzelić, nie ściągając na siebie zguby. Nie jest pan ani głupcem, ani awanturnikiem. Jeśli chce pan pozostać przy życiu, odda mi pan broń i pójdziemy razem do księcia. W ten sposób dowiodę, że można mi zaufać w mojej nowej roli. Szczególnie że, aby dotrzeć tak daleko, zapewne musiał pan ominąć wielu nieprzyjaciół.

Przebiegła mina posła doskonale ilustrowała stopień i ograniczenia procesu transformacji. Przedtem ten człowiek nigdy nie miał odwagi, by ryzykować otwartą konfrontację, nie mówiąc już o tak śmiałym wyjawianiu swoich sekretnych planów. Flauss zawsze był miodoustym złośliwym intrygantem, uwielbiającym skomplikowane operacje i niejasne kompetencje. Gardził obcesowym sposobem bycia majora Blacha i nieśmiałą niezależnością Svensona, traktując je jako wyzwanie i osobistą zniewagę. Niewątpliwie - jak to ujął - udzielono mu pomocy, dzięki której wyzbył się poczucia lojalności i niezdecydowania, ale Svenson widział, że poseł nadal jest narcystycznym intrygantem.

- Pańska broń, doktorze Svenson - powtórzył Flauss, zdecydowanym, a jednak komicznie poważnym tonem. - Zmiażdżyłem pana logiką. Nalegam.

Svenson obrócił rewolwer w dłoni, chwytając go za lufę i bębenek. Flauss uśmiechnął się, sądząc, że doktor zamierza uprzejmie oddać mu broń. Zamiast tego, w przyływie nietypowej dla niego zwierzęcej wściekłości, Svenson zamachnął się i uderzył kolbą w głowę posła. Flauss zatoczył się z piskiem. Obrzucił Svensona gniewnym spojrzeniem zdradzonego, jakby odrzucając jego „logikę”, doktor złamał wszystkie prawa natury. Otworzył usta do krzyku. Svenson zrobił krok naprzód i zamachnął się ponownie. Flauss odskoczył, szybciej, niż zdawała się na to pozwalać jego obfita msza, i cios chybił. Flauss znów otworzył usta. Svenson pospiesznie okręcił rewolwer w dłoni i wycelował w twarz posła.

- Jeśli krzykniesz, zastrzelę cię! - syknął. - Nie będę miał powodu, by zachować ciszę!

Flauss nie krzyknął. Z nienawiścią spojrział na Svensona i potarł siniak pod okiem.

- Jesteś brutalem - jęknął. - Zwyczajnym dzikusem!

\*

Svenson cicho szedł korytarzem, mając teraz na twarzy czarną jedwabną maskę posła, żeby lepiej wtopić się w otoczenie. Za radą Smythe'a oddalał się od środka domu, nie mając pojęcia, czy w ten sposób zbliża się do tych, których zamierza uratować. Prawdopodobnie marnował czas, którego miał bardzo mało - tak jak zmarnował życie. Na myśl o tym głośno prychnął. Przez głowę przelatywało mu mnóstwo pytań dotyczących osoby kapitana dragonów. Ten „widział” Changa (lecz czyż nie uciekał on w ogrodzie przed dragonami?), ale skąd go zna? Gdyby mieli czas porozmawiać... Było więcej niż prawdopodobne, że ten człowiek wie, gdzie umieszczono Elóise lub pannę Temple. Przez moment Svenson zastanawiał się, czy przesłuchać Flaussa, ale sam widok posła budził w nim dreszcz odrazy. Zostawił go zakneblowanego i związanego za kanapą, spędziwszy z tym płazem aż za wiele czasu. Wiedział jednak, że nieobecność Flaussa zostanie zauważona - dziwne, że jeszcze nie zaczęto go szukać - tak więc czas jego anonimowości w Harschmort był mocno ograniczony. Ten budynek był jednak ogromny i błędząc bez celu po korytarzach, tylko tracił czas.

Korytarz kończył się dwoma odgałęzieniami odchodzącymi pod kątem prostym. Svenson stanął, niezdecydowany, jak postać z bajki na leśnym rozdrożu, wiedząc, że niewłaściwy wybór doprowadzi go do jakiegoś odpowiednika złego ogra. Z jednej strony zaczynał się ciąg niewielkich pokoi, połączonych jak ogniwa łańcucha. Z drugiej był wąski korytarz o nagich ścianach i podłodze z czarnego marmuru. Stojąc tak, doktor Svenson usłyszał kobiecy krzyk... stłumiony, jakby przechodzący przez grubą ścianę.

Skąd dochodził? Svenson wyteżył słuch. Krzyk się nie powtórzył. Doktor pomaszzerował czarnym korytarzem - nieprzyjaznym i pustym, więc bardziej niebezpiecznym - doszedłszy do wniosku, że jeśli dokonał złego wyboru, to im prędzej się o tym dowie, tym lepiej.

Wzdłuż korytarza ciągnęły się nisze na posągi - przeważnie popiersia z białego marmuru na kamiennych postumentach, czasem bezręki tors. Głowy były kopiami (choć, zważywszy na bogactwo Vandaariffa, kto wie, czy na pewno?) antycznych rzeźb i doktor rozpoznał nieobecne, okrutne lub zamyślane twarze znanych i mniej znanych cesarzy: Augusta, Wespazjana, Gajusza, Nerona, Domicjana, Tyberiusza. Mijając tego ostatniego, Svenson przystanął. Usłyszał stłumione - choć głośniejsze niż krzyk przed chwilą - oklaski. Odwrócił się, chcąc zlokalizować źródło tych dźwięków, i zobaczył wykuty w ścianie za popiersiem tego zgorzkniałego, zamyślanego imperatora szereg regularnych wgłębień, ciągnących się aż pod sufit. Stopnie. Svenson podkraśl się do kolumny i spojrzął w górę. Potem rozejrzał się, zrobił głęboki wdech, zamknął oczy i zaczął się wspinać.

Nie było włazu. Droga wiodła dalej w górę, aż jego dłonie napotkały równą powierzchnię. Doktor otworzył oczy i zamrugał, pozwalając im oswoić się z mrokiem. Zaciskał dłonie na fragmencie drewnianego rusztowania na końcu niskiego pomostu. Usłyszał głosy w oddali... a potem znów szmer oklasków, niczym nagły szelest liści. Czyżby znalazł się za kulisami jakiegoś teatru? Doktor przełknął ślinę, gdyż na widok zapierającej dech w piersiach wysokości, na jakiej pracowała obsługa sceny przy dźwigach i kurtynach, zawsze robiło mu się niedobrze (a mimo woli patrzył na to raz po raz, dręcząc się zawrotami głowy). Pamiętał triumfalny finał spektaklu *Kasto*?

- i *Polluks*, w którym tytułowi bohaterowie szli do nieba, ich okropnie długą partię podczas podnoszenia kilkanaście metrów w górę (przy czym wykonawcy byli dość korpulentni i liny protestowały głośnym skrzypieniem). Przerażony tym widokiem, o mało nie zwymiotował na podolek nieszczęsnej wdowy, która siedziała obok.

Doktor Svenson wygramolił się na pomost i zaczął się po nim skradać. Przed sobą ujrzał cienką smugę światła, być może padającego z uchylonych drzwi i przecinającą ciemność. Cóż za spektakl wystawiają w Harschmort w taką noc jak ta? Zaręczynowe przyjęcie wydano z dwóch powodów: aby publicznie uczcić zaręczyny Karla-Horsta z Lydią, a także umożliwić klice prowadzenie tajnej działalności. Czy ten wieczór także ma dwa oblicza, i to przedstawienie jest przykrywką dla innej złowrogiej działalności w innej części domu?

Svenson szedł dalej, krzywiąc się na drżenie swych łydek i ból w lekko skrzywionej kostce. Pomyślał o przechwałkach Flaussa, że baron nie żyje, a diuk wkrótce umrze. Książę był głupcem i rozpustnikiem, niezwykle podatnym na manipulacje. Gdyby jednak doktor zdołał wyrwać go z objęć kliki - poddanego procesowi transformacji czy nie - może byłaby dla niego jakaś nadzieja, zakładając, że otaczający go ministrowie byłiby odpowiedzialni i zdrowi na umyśle?

Zaraz jednak z ponurym prychnięciem przypomniał sobie swoją rozmowę z Robertem Vandaariffem nad zwłokami Trappinga. Bogacz miał tak ogromne wpływy, że mógł zatuszować każdy nieszczęśliwy lub skandaliczny wypadek, taki jak śmierć pułkownika. Wnuk Roberta Vandaariffa - dziedziczący jako dziecko i potrzebujący regenta - byłby największym zyskiem, jakiego finansista mógłby oczekiwać od inwestycji, którą była jego córka. Po narodzinach dziecka Karl-Horst nie będzie potrzebny i zważywszy na wszystko, nikt po nim nie zapłaci.

Tylko co Svenson może na to poradzić? Jeśli Karl-Horst umrze bezpotomnie, macklenburski tron przypadnie dzieciom jego kuzynki Hortensji-Katerinie, z których najstarsze ma pięć lat. Czy dla księstwa nie byłoby to lepsze niż wchłonięcie przez imperium Vandaariffa? Svenson musiał spojrzeć prawdzie w oczy - zlecona mu przez barona misja miała drugie dno. Wiedząc, o co toczy się gra, jeśli nie zdoła zapobiec temu małżeństwu - co wydawało się niemożliwe - będzie musiał zastrzelić księcia Karla-Horsta i stać się zdrajcą z pobudek patriotycznych.

Ta myśl pozostawiła gorzki smak w ustach, ale nie widział innego wyjścia.

Svenson westchnął, lecz nagle, jak na pokazie kiepskiego magika, widoczna przed nim smuga światła, którą uznał za padającą z niedomkniętych drzwi, okazała się szparą w kurtynie, pół metra przed jego nosem. Odchylił ją ostrożnie i przez szparę wdarło się światło oraz dźwięki, gdyż materiał był bardzo gruby, jakby miał pełnić rolę zapory ogniowej. Teraz doktor Svenson widział i słyszał wszystko... Był przerażony.

\*

Zobaczył salę operacyjną. Wiodące na pomost drzwi znajdowały się na prawo od widowni, a sam pomost biegł nad sceną tuż pod sufitem, około sześciu metrów nad wysokim stołem oraz przywiązaną do niego rzemiennymi pasami kobietą w białych szatach i masce. Stromo wznosząca się galeria pełna była dobrze ubranych i zamaskowanych widzów, uważnie słuchających przemawiającej ze sceny kobiety w masce. Doktor Svenson natychmiast rozpoznał pannę Poole, choćby po emanującym z niej samozadowoleniu.

Za nimi wszystkimi, na dużej czarnej tablicy, widniał napis:

„I TAK OTO ZOSTANĄ ODRODZENI”.

Obok panny Poole stała, chwiejąc się, inna zamaskowana kobieta w bieli, z lekko potarganymi blond włosami, jakby ciężko pracowała. Svenson z niepokojem i dezaprobatą zauważył, że bardzo cienki i obcisły jedwab jest prawie zupełnie przezroczysty i ukazuje każdy szczegół jej ciała. Po drugiej stronie kobiety stał mężczyzna w skórzanym fartuchu, gotowy podtrzymać ją, gdyby miała upaść. Za nimi, obok kobiety leżącej na stole, stał drugi podobnie ubrany mężczyzna, mający skórzane rękawice i trzymający pod pachą coś, co wyglądało jak hełm z mosiądzu i skóry - taki sam, jaki nosił hrabia d'Orkancz, gdy Svenson, grożąc mu bronią, zabierał księcia z instytutu. Stojący przy stole mężczyzna odłożył hełm i zaczął wyjmować części jakiejś aparatury z rzędu drewnianych skrzyń - tych samych, które zabrali z instytutu dragoni Aspiche'a. Mężczyzna podłączył kilka skręconych miedzianych przewodów do aparatury w skrzyniach. Patrząc ze swojego punktu obserwacyjnego, Svenson mógł jedynie stwierdzić, że są to przyrządy z błyszczącej stali, z mosiężnymi guzikami i gałkami. Następnie mężczyzna połączył je z goglami z czarnej gumy, starannie rozmieszczając przewody. Widząc tę gumową maskę i ślady na twarzy ślaniającej się kobiety, Svenson pojął, że kobieta na stole ma zostać poddana transformacji, niewątpliwie tak samo jak przed chwilą ta stojąca obok panny Poole. To ona krzyczała!

Mężczyzna skończył podłączać aparaturę i umieścił odrażającą maskę nad twarzą kobiety, po czym pospiesznie zdarł tę z białych piór, którą nosiła dotychczas. Gwałtownie poruszyła głową na boki, szeroko otwierając oczy i usta. Svenson spostrzegł, że jest zakneblowana. Jej oczy przykuły jego uwagę: były zimne, błyszczące i szare... Svenson jęknął. Mężczyzna założył jej maskę i brutalnie zacisnął paski, zasłaniając doktorowi widok. Svenson nie potrafił orzec, czy kobieta jest odurzona. Czy została pobita?

Wiedział, że ma niewiele czasu. Kiedy panna Poole skończy z blondynką (zastanawiał się, kim ona jest), tej okropnej procedurze zostanie poddana panna Temple.

\*

Panna Poole podeszła do stoliczka na kółkach, na którym - jak domyślił się Svenson - stała taca z medykamentami. Wzięła z niej zamkniętą szklanym korkiem buteleczkę, ze znaczącym uśmiechem odkorkowała ją i zrobiła krok w kierunku pierwszego rzędu widzów, podsuwając otwartą flaszeczkę pod ich nosy, żeby mogli powąchać. Jedna po drugiej - ku rozbawieniu panny Poole - elegancko ubrane postacie natychmiast odsuwały się z obrzydzeniem. Po szóstej osobie panna Poole wróciła w krąg światła, do swojej jasnowłosej podopiecznej.

- Wyzwanie dla najczulszego ze zmysłów, co z pewnością potwierdzą wszyscy wachający tę miksturę, jednak nasz zabieg wymaga, aby ta urocza osoba, będąca niczym strzała lecąca do celu swego przeznaczenia, zażyła ją nie raz, lecz codziennie przez dwadzieścia osiem kolejnych dni, dopóki cykl się nie zakończy. Dotychczas nie można było tego dokonać inaczej jak siłą lub - jak to robiono najczęściej - ukrywając niewielkie ilości preparatu w czekoladzie lub aperitifach. Teraz ujrzycie siłę jej nowo wzmocnionej woli.

Panna Poole odwróciła się do kobiety i podsunęła jej buteleczkę.

- Moja droga - powiedziała - wiesz, że musisz to wypić, tak jak robiłaś to przez ostatnie tygodnie.

Jasnowłosa kobieta skinęła głową i wyciągnęła rękę, by wziąć buteleczkę od panny Poole.

- Powąchaj ją, proszę - poprosiła panna Poole. Kobieta zrobiła to. Pokręciła nosem, ale nic poza tym.

- Proszę, wypij to.

Kobieta przytknęła flaszeczkę do ust i opróżniła duszkiem, jak marynarz wlewający w siebie szklankę rumu. Niezręcznie otarła usta i znieruchomiała na moment, jakby chcąc lepiej wchłonąć płyn, po czym oddała buteleczkę.

- Dziękuję, moja droga - uśmiechnęła się panna Poole. - Bardzo dobrze się spisałaś.

Widownia powitała to oklaskami, a młoda blondynka nieśmiałym uśmiechem.

Doktor spojrział na pomost przed sobą. Na żelaznej ramie podwieszanej pod sufitem, w zasięgu ręki wisiał rząd lamp naftowych w metalowych osłonach, jak w teatrze. Svenson zrozumiał, że ten pomost służy wyłącznie do ich obsługi. Przednia ścianka każdej skrzynki była otwarta i zaopatrzona w szklaną soczewkę, tak by rzucane światło było skupione w jednym punkcie. Przez chwilę zastanawiał się, czy mógłby dostać się tam niepostrzeżenie, pogasić wszystkie lampy i pogrążyć salę w ciemnościach... Jednak było tam co najmniej pięć lamp na żelaznej kratownicy pięciometrowej długości. Nie zdążyłby zgasić wszystkich, zanim zostałby zauważony i zapewne zastrzelony. Tylko co innego może zrobić? Poruszając się najostrożniej i najszybciej, doktor Svenson wymknął się zza kurtyny na pomost, gdzie mógł go zobaczyć każdy, kto spojrzałby w górę.

\*

Panna Poole szepnęła coś do ucha jasnowłosej podopiecznej, a potem podprowadziła ją bliżej widowni. Młoda kobieta dygnęła nisko, co widownia ponownie przyjęła brawami. Svenson mógłby przysiąc, że blondynka zarumieniła się z zadowolenia. Wyprostowała się, a panna Poole zaprowadziła ją do jednego z macklenburskich żołnierzy, który podał jej ramię i

trzasnął obcasami. Blondynka wzięła go pod rękę i wyraźnie raźniejszym krokiem odeszła z nim jednym z zejść, znikając z oczu.

Tym samym przejściem przybyli dwaj następni macklenburscy żołnierze, prowadząc trzecią zamaskowaną kobietę w bieli. Szła, powłócząc nogami i ze spuszczoną głową, najwyraźniej odurzona lub ranna. Kasztanowe włosy rozsypały się jej na ramionach i karku, zasłaniając rysy twarzy. I znów, mimo najlepszych chęci, doktor Svenson przesunął wzrokiem po ciele kobiety. Obcisły biały jedwab podkreślał kształt bioder, a krótkie rękawy uwidaczały alabastrową biel ramion.

Panna Poole gwałtownie i gniewnie odwróciła się do wchodzących. Svenson nie słyszał, co syknęła do żołnierzy, ani co ci potulnie szepnęli w odpowiedzi. Korzystając z tej chwili zamieszania, spojrzął na pannę Temple, leżącą z odrażającą maską na twarzy i bezsilnie szarpiącą więzy.

Panna Poole wskazała nowo przybyłą.

- Teraz zaprezentuję wam zupełnie inny przypadek, być może ilustrujący niebezpieczeństwa związane z udziałem w naszym wielkim przedsięwzięciu oraz jego naprawczą moc. Stojąca przed wami kobieta - widzicie jej mizerny wygląd i kiepski stan - jest tą, która została zaproszona do uczestniczenia w naszym dziele, lecz postanowiła sprzymierzyć się z naszymi wrogami i odrzucić to zaproszenie. Co więcej, to odrzucenie miało formę... morderstwa. Stojąca przed wami kobieta zabiła jednego z nas!

Widownia zaczęła szeptać i syczeć. Svenson przełknął ślinę. To Elóise Dujong. Nie poznał jej, gdyż przedtem miała włosy upięte, a teraz nie. To był drobny szczegół, ale na ten widok o mało nie pękło mu serce. Ten nagły przyływ emocji rozwiął wszystkie wątpliwości co do jej szczerości. Jej rozpuszczone włosy powinny być czymś intymnym, a teraz tę intymność brutalnie pogwałcono i stała tam oszołomiona i bezbronna. Pospiesznie podczołgał się do następnej lampy i sięgnął do kieszeni po rewolwer.

- A jednak - ciągnęła panna Poole - sprowadzono ją przed wasze oblicze, aby zademonstrować ogromną mądrość i korzystne działanie naszego dzieła. Gdyż mimo wszystko poczynania tej kobiety świadczą o jej niezaprzeczalnej odporności i odwadze. Czy należy je zniszczyć tylko dlatego, że brak jej woli lub przenikliwości, by dostrzec jej prawdziwe przeznaczenie? Twierdzimy, że nie, i dlatego przyjmujemy tę kobietę do naszego grona!

Skinęła na asystenta. Ponownie pochylił się nad panną Temple, sprawdzając podłączenia, a potem przyklęknął przy skrzynkach. Svenson rozejrzał się gorączkowo. Za chwilę będzie za późno.

- Obie te kobiety, mówię wam, że bardziej zdeterminowanych zabójczyń nie znaleźlibyście nawet wśród członków sekty Thugów, przyłączą się do nas, jedna po drugiej, po przejściu przez proces transformacji. Widzieliście jego efekty na uczestniczce, która poddała mu się z własnej woli. Teraz zobaczycie, jak zażarte przeciwniczki zmieniają się w najwierniejsze wyznawczynie!

\*

Pierwszy strzał odbił się echem w ciemnościach nad salą. Mężczyzna stojący przy pannie Temple nagle zatoczył się i runął na podłogę pod tablicą. Wypływająca z rany krew zbierała się w fałdach skórzanego fartucha. Na widowni wybuchła wrzawa. Stojący na podium spojrzeli w górę, lecz patrząc pod światło, nie mogli - przynajmniej jeszcze przez chwilę - niczego dostrzec.

Drugi strzał trafił w ramię drugiego mężczyznę, odrzucając go od Elóise i powalając na kolana.

- Jest tam! - wrzasnęła panna Poole. - Zabić go! Zabić!

Z twarzą wykrzywioną grymasem wściekłości wyciągnęła rękę w stronę Svensona. Kiedy upadł drugi mężczyzna w fartuchu, Elóise całym ciężarem ciała zawisała na ramieniu trzymającego ją macklenburskiego żołnierza, pozbawiając go równowagi. Puścił ją i sięgnął po szablę. Natychmiast osunęła się na podłogę. Svenson nie zwracał na niego uwagi. Znajdował się poza zasięgiem ostrza i wiedział, że macklenburski oddział nie jest uzbrojony w broń palną. Wycelował w pannę Poole, ale... Co do licha? Jak mógł zapomnieć o jej okrucieństwie w kamieniołomie? Zawahał się z palcem na spuście.

Pomost pod nim zakołysał się. Svenson odwrócił się i zobaczył dwie dłonie uczezione krawędzi. Przesunął się na kolanach i kolbą rewolweru uderzył najpierw w jedną, a potem drugą rękę, zrzucając napastnika między siedzenia. Pomost znowu się zakołysał. Teraz trzy pary dłoni chwyciły krawędź, rzucając doktora na drewnianą poręcz. Przez moment patrzył bezradnie na rozwścieczony tłum - ludzie gramolący się do góry, kobiety wrzeszczące na niego jak na czarownicę. Nadepnął nogą na najbliższą dłoń, ale dwaj mężczyźni wdrapali się na pomost, biorąc go w kleszcze. Po lewej był atletycznie zbudowany młodzieniec we fraku, niewątpliwie ambitny drugi syn jakiegoś lorda, który postanowił odebrać spuściznę starszemu bram. Svenson strzelił mu w udo i nie czekając, aż trafiony spadnie, obrócił się ku drugiemu napastnikowi - żylastemu mężczyźnie w koszuli z krótkimi rękawami (na tyle przezornemu, by przed wspinaczką zdjąć krępującą mchy marynarkę) - który przeskoczył przez poręcz i czał się jak kot metr dalej. Svenson znów strzelił, lecz w tym momencie następne dłonie

rozkołysały pomost. Kula chybiła i trafiła w jedną z lamp naftowych, rozbijając ją na kawałki. Na salę spadł deszcz rozgrzanego metalu, odłamków szkła i płonącej nafty.

Mężczyzna w koszuli z krótkimi rękawami rzucił się na Svensona, zwalając go z nóg. Na scenie wrzeszczała jakaś kobieta, wokół unosił się dym płonącej nafty. Czyżby poczuł smród spalonych włosów? Przeciwnik był młodszy, silniejszy i wypoczęty. Prawie ogłuszył Svensona uderzeniem łokciem. Doktor bezskutecznie próbował wepchnąć mu palce w oczy. Pomost rozkołysał się jeszcze bardziej i wspięli się nań następni napastnicy. Dał się słyszeć głośny trzask pękającego drewna, niewytrzymującego takiego obciążenia. Kobieta wciąż wrzeszczała. Mężczyzna w koszuli z krótkimi rękawami złapał Svensona oburącz za klapy płaszcza i uśmiechnął mu się szyderczo prosto w nos, szykując się do rozplaszczenia go ciosem pięści.

Pomost urwał się, opadając w kierunku podium i zrzucając ich obu przez poręcz na rząd lamp. Svenson syknął z bólu, gdy gorący metal poparzył mu skórę, a potem (po jednej krótkiej chwili przerażającego zawieszenia w powietrzu, które przejęło go dreszczem od kręgosłupa po genitalia) rąbnął o podłogę sali.

Impet wstrząsnął doktorem, który przez moment leżał nieruchomo, mętnie rejestrując ożywioną bieganinę wokół niego. Zamrugał. Żył. Wrzaski i krzyki rozlegały się ze wszystkich stron... dym... mnóstwo dymu... i żar. Krótko mówiąc, wszystko wskazywało na to, że sala stoi w ogniu. Spróbował się poruszyć. Ze zdziwieniem stwierdził, że nie leży na podłodze, lecz na czymś bynajmniej nie gładkim. Przetoczył się na bok i zobaczył woskowo nieruchomą twarz mężczyzny w koszuli z krótkimi rękawami, leżącego z nienaturalnie wykręconą głową i wywalonym sinym językiem. Svenson podniósł się na czworaki i dopiero gdy kolba rewolweru stuknęła o podłogę, zdał sobie sprawę, że wciąż trzyma broń w ręce.

\*

Rozbite lampy stworzyły ścianę ognia między sceną a galerią, skutecznie odcinając jedną od drugiej. Przez kłęby dymu widział wrzeszczące postacie, ale zaraz odwrócił się, słysząc inny okrzyk, znacznie bliżej. Elóise, przerażona, ale wciąż odurzona narkotykiem, nieporadnie próbowała zdusić nogami płomień liżące jej dymiącą jedwabną szatę. Svenson wepchnął rewolwer za pasek i zdjął płaszcz. Opadł na kolana i zarzucił płaszcz na jej nogi, zdusił płomień, a potem odciągnął ją od ognia. Odwrócił się do stołu i po omacku odnalazł dłoń panny Temple. Jej palce chwyciły go za rękę - w rozpaczliwym i niemym błaganiu - ale musiał się wyrwać, żeby dosięgnąć sprzączki skórzanych pasów. Oswobodził jej ręce i z zadowoleniem zobaczył, jak natychmiast uniosła okropną maskę zakrywającą jej twarz. Uwolnił jej nogi, a potem pomógł zejść ze stołu, ponownie - gdyż Svenson nigdy nie mógł

przyzwyczaję się do takich rzeczy - zdumiony tym, że taki energiczna osobka tak niewiele waży. Gdy wyjęła z ust knebel, nachylił się do jej ucha, przekrzykując szum płomieni oraz trzask płonącego drewna:

- Tędy! Możesz iść?

Przyciągnął ją do siebie, tak że jej głowa znalazła się poniżej chmury dymu i zobaczył, jak wytrzeszczyła oczy na jego widok.

- Możesz iść? - spytał ponownie.

Panna Temple skinęła głową. Wskazał na Elóise, ledwie widoczną, skuloną pod zagiętą ścianą sali.

- Ona nie może! Musimy jej pomóc!

Panna Temple znów kiwnęła głową, a on wziął ją pod rękę, zastanawiając się, czy sam nie jest w gorszym stanie od niej. Spojrzał w górę, słysząc na galerii tupot nóg i głośny syk unoszącej się pary. Przybiegli ludzie z wiadrami. Svenson i panna Temple podnieśli Elóise. Panna Temple była o dobre piętnaście centymetrów niższa od kobiety, którą podtrzymywała.

- Widziałem Changa! - zawołał do niej Svenson. - Na dachu jest latająca maszyna! Oficer dragonów to nasz przyjaciel! Nie zaglądamy w szklaną księgę!

Mówił bez ładu i składu, ale tyle miał do powiedzenia. Z góry znów lano wodę i chmury pary rywalizowały teraz z kłębam dymu. Słyszając nowe kroki, Svenson odwrócił się w stronę nadchodzących. Wycelował rewolwer i lekko popchnął obie damy.

- Ruszajcie! Natychmiast!

\*

Macklenburski żołnierz powrócił z kilkoma innymi. Svenson wycelował broń w chwili, gdy z galerii znów popłynęła woda i z przejścia po drugiej stronie uniósł się pióropusz popiołu oraz pary. Nagle zakręciło mu się w głowie ze zmęczenia i podniecenia. Właśnie postrzelił trzech mężczyzn, a trzeciemu skręcił kark, i dokonał tego w ciągu kilku sekund. Czy tak właśnie postępują tacy ludzie jak Chang? Svenson zakrzuszył się. Zatoczył się do tyłu, zawadził o resztki rozbitej lampy i z jękiem runął jak długi na wznak, uderzając potylicą o podłogę. Poczł przeszywający ból, gdy dały o sobie znać wszystkie obrażenia, jakie odniósł w kamieniołomie i w Tarr Manor. Otworzył usta, ale nie był w stanie nic powiedzieć. Zaraz go złapią. Przesuwał się powoli, leżąc na plecach, jak żółw. W sali było prawie ciemno - paliła się tylko jedna lampa, z przekrzywioną osłoną blokującą światło, rzucająca upiorną pomarańczową poświatę.

Spodziewał się, że zaraz spadnie na niego rój wrogów, którzy zaszlachtują go jak wieprzka. Wokół słyszał syk płomieni i plusk wody, nawoływania mężczyzn i krzyki kobiet.

Czyżby go nie widzieli? Czyżby walczyli tylko z ogniem? Może płomienie uniemożliwiły im pościg? Svenson z trudem przetoczył się na brzuch i zaczął pełznąć przez odłamki szkła i metalu w ślad za kobietami. Kaszłał. Ile nawdychał się dymu? Parł naprzód, w prawej ręce wciąż trzymając rewolwer. Z lekkim niepokojem przypomniał sobie, że pudełko z nabojami jest w kieszeni płaszcza, który dał Elóise. Jeśli jej nie dogoni, zostały mu w bębenku tylko dwa naboje - przeciw wszystkim przeciwnikom obecnym w Harschmort.

Dotarł do przejścia i poczołgał się w dół. Minął zakręt i coś zagroziło mu drogę. Był to but... a potem noga. Należała do człowieka, którego postrzelił w ramię. W tym świetle doktor nie mógł stwierdzić, czy nieszczęśnik jest martwy, umierający czy tylko przytruty dymem. Svenson nie miał czasu tego sprawdzać. Wstał chwiejnie, minął leżącego i znalazł drzwi. Przeszedł przez nie i wciągnął do płuc czyste powietrze.

W pomieszczeniu nie było nikogo. Wyłożone grubym dywanem i pełne drewnianych szaf oraz luster, przypominało mu garderobę opery albo - jeśli była jakaś różnica - pokój Karla-Horsta w macklenburskim pałacu. Myśl, że to pomieszczenie połączone jest z amfiteatralną salą operacyjną, była przygnębiająca z powodu światła, jakie rzucało to na charakter Roberta Vandaariffa. Szafy były pootwierane, a wiszące w nich stroje w nieładzie wysypywały się na podłogę. Svenson przeszedł kilka kroków, strzepując z munduru szkło i popiół, zapadając się w gruby dywan. Nagle przystanął. Na podłodze obok szaf, zniszczona i najwyraźniej zerwana z niej, leżała suknia, którą Elóise miała na sobie w Tarr Manor. Obejrzał się za siebie. Wciąż nie słyszał pogoni. Gdzie podziały się te dwie kobiety? Drapało go w gardle. Powłókł się przez pokój do następnych drzwi i ostrożnie obrócił klamkę, jednym okiem wyglądając przez szparę.

Natychmiast je zamknął. Na korytarzu było pełno ludzi - służby, żołnierzy, wołających o wiadra, wzywających pomocy. Nie da rady się przedostać. Czy kobiety mają większe szanse? Ponownie odwrócił się do drzwi prowadzących na salę. Jego wrogowie mogli w każdej chwili się tu zjawić. Zbyt wiele wyrządził im szkód, żeby mogli to zignorować. Svensonowi żal było tych, których zastrzelił, i rannej (poparzonej lub potłuczonej) panny Poole, chociaż jej nienawidził. Tylko co miał robić? Co jeszcze będzie musiał zrobić?

Nie było czasu na takie rozważania. Czy kobiety mogły ukryć się w tym pokoju? Czując się jak głupiec, szepnął głośno:

- Panno Temple? Panno Temple! Elóise!

Nikt nie odpowiedział. Podszedł do rzędu otwartych szaf, zamierzając szybko do nich zajrzeć, ale zatrzymał się przy leżącej na podłodze sukni Elóise. Podniósł ją, z

przygnębieniem patrząc na rozerwany materiał gorsu i poprzecinane, zwisające wstążki. Przycisnął suknię do twarzy, wdychając zapach, i westchnął, przybity swoim beznadziejnym zachowaniem. Suknia była przesycona odorem niebieskiej gliny - kwaśnym, gryzącym, agresywnym - oraz potu. Z westchnieniem rzucił ją na podłogę. Musi znaleźć te kobiety, oczywiście, że tak, ale co z księciem? Svenson miał ochotę krzyknąć ze złości. Gdzie podział się Karl-Horst? Co może zrobić Svenson poza zastrzeleniem tego głupca, zanim zdąży się ożenić? Przypomniał sobie słowa panny Poole, stojącej na podium z blondynką i obrzydliwą miksturą. Wspomniała o miesięcznym cyklu, mówiąc: „dopóki nie zakończy się cykl”. Najwyraźniej chodziło o jakąś nową alchemiczną substancję hrabiego (albo Veilandta). Svensona przeszedł dreszcz. Panna Poole wspomniała także o „przeznaczeniu” tej kobiety i nagle nabrał pewności, że tą uległą jasnowłosą kobietą, będącą posłusznym narzędziem kliku, była Lydia Vandaariff. Czy Vandaariff mógł być tak bezduszny, by poświęcić własną córkę? Svenson skrzywił się, znając odpowiedź. Jeśli więzy krwi tak niewiele dla lorda znaczą, to co go obchodzi księżę lub sukcesja?

Pokręcił głową. Myśli zbyt wolno. Traci czas.

Ruszył w stronę komody i pod podeszwą jego buta zachrząściło szkło. Spojrzał w dół - nie tu je z siebie strzepnął - i zobaczył, że dywan jest usiany błyszczącymi odłamkami... jasnymi... zwierciadlanymi... Popatrzył: czyżby lustro? Drzwi dwóch sąsiednich szaf były otwarte tak, że stykały się ze sobą, zasłaniając zawartość jednej z nich. Otworzył je i odsłonił wielką poszarpaną dziurę w ścianie, wybitą w wysokim lustrze oprawionym w ozdobioną złotymi liśćmi ramę. Ostrożnie ominął kawałki. Szkło miało dziwny kolor... bezbarwne? Podniósł jeden z większych kawałków i obrócił go w rękach, po czym obejrzał pod światło. Jedna strona była typowym lustrem, lecz druga była przezroczysta, jedynie odrobinę przyciemniała obraz. Było to weneckie lustro i jedna z tych kobiet (mogła to być tylko panna Temple) wiedziała o jego istnieniu i je rozbiła. Svenson odrzucił kawałek i przeszedł przez otwór, starannie zamykając za sobą drzwi szaf, aby spowolnić pościg, a potem ominął drewniany stół, którym najwidoczniej posłużyły się, wybijając szybę, gdyż dostrzegł mikroskopijne błyszczące igielki tkwiące w drewnianym siedzisku.

Pokój po drugiej stronie lustra potwierdził wszystkie najgorsze obawy doktora co do życia w Harschmort House. Ściany były pomalowane na burdelowy róż, na środku leżał prostokątny turecki dywan, na którym stał fotel, stolik do pisania i wygodna sofa. Z boku Svenson ujrzał sekretarzyk z notesami i kałamarzami, ale także butelkami whisky, dzinu i porto. Lampy też były pomalowane na czerwono, żeby światło nie przeświecało przez lustro. Patrząc na ten pokój, doktor uznał go za tandetny i niegustowny. Z jednej strony rozumiał, że

ludzie mają rozmaite gusta. Z drugiej wiedział, że ten wystrój służył jedynie okrutnemu wykorzystywaniu nieświadomych i niewinnych ofiar.

Pospiesznie przyklęknął i dotknął dywanu, szukając śladów krwi, które mogła pozostawić jedna z dwóch kobiet, skaleczywszy się przy przejściu przez rozbitą taflę szkła. Nie znalazł. Wstał i poszedł dalej - a właściwie niezdarnie potruchał. Korytarz był oświetlony takimi samymi czerwonymi lampami, wił się i skręcał bez żadnego widocznego powodu. Ile czasu potrzeba, żeby zacząć się dobrze orientować w takim domu? Svenson zastanawiał się, jak często służba gubi tutaj drogę i na jak długo, a także jaką karę wymierza się tu służącemu, który omyłkowo trafi do takiej sekretnej komnaty jak ta. Niemal spodziewał się znaleźć szkielet w żelaznej klatce, powieszony dla odstraszenia ciekawskich pokojówek i lokajów.

Przystanął i zaryzykował, wysyłając kolejny głośny szept w głąb ciągnącego się dalej korytarza.

- Panno Temple! - Zaczekał na odpowiedź. Nic. - Celeste! Elóise! Elóise Dujong!

W korytarzu panowała cisza. Svenson odwrócił się i nasłuchiwał. Wprost nie mógł uwierzyć, że pościg jeszcze go nie dogonił.

Spróbował poruszyć nogą w kostce i skrzywił się z bólu. Ponownie nadwyrężył ją przy upadku z pomostu i wkrótce będzie mógł nią jedynie powłóczyć albo zacnie zabawnie podskakiwać. Oparł się jedną ręką o ścianę. Dlaczego nie wypił więcej w sterowcu? Dlaczego ominął butelki w pierwszym pokoju? Na Boga, potrzebny mu łyk whisky. Albo papieros! Nałóg przypominał o sobie falą naglącej potrzeby. Jak długo obywa się bez dymka? Jego papierosnica została w wewnętrznej kieszeni płaszcza. Miał ochotę zakląć. Odrobina tytoniu - czy na nią nie zasłużył? Wepchnął pięść do ust, powstrzymując krzyk, i z całej siły zacisnął zęby. Nie pomogło.

Pokuśtykał do skrzyżowania korytarzy. Ten, którym szedł do tej pory, biegł w lewo i kończył się drabinką wiodącą w górę. Po prawej wisiała czerwona zasłona. Svenson nie wahał się - miał dość drabin i chodzenia. Odsunął zasłonę i wycelował rewolwer. Zobaczył następny pokój obserwacyjny z weneckim lustrem osadzonym w ścianie naprzeciwko. Czerwony pokój był pusty, ale ten za lustrem - nie.

\*

Oczom doktora ukazała się scena jak ze średniowiecznego widowiska, rodzaj *Dame Macabre*, w którym postacie z różnych dróg życia są odprowadzane przez Śmierć i jej służki. Odziany w czerwień duchowny, admirał, panowie w eleganckich strojach, damy obwieszone biżuterią i koronkami - jedna po drugiej wtaczały się do pokoju, prowadzone przez

pomagierów w czarnych maskach, którzy sadzali przybyłych na fotelach lub sofach, na jakie ofiary osuwały się bezwładnie, najwyraźniej półprzytomne. Svenson był pewny, że gdyby był rodowitym mieszkańcem tego miasta, rozpoznałby ich wszystkich - a tak poznał tylko Henry'ego Xoncka, baronową Roote (prowadzącą elegancki salon, do którego zaprosiła Karla-Horsta raz i nigdy więcej, gdyż przez cały czas pił, a potem spał w kącie na fotelu), oraz lorda Axewithe'a, prezesa Banku Imperialnego. Dziwnie dobrane towarzystwo, jeszcze dziwniejsze wydawało się to, że wszyscy byli zamroczeni.

Na środku pokoju stał stół, na którym jeden z odzianych na czarno lokajów - kiedy drugi sadzał przyprowadzoną osobę - kładł duży prostopadłościan niebieskiego szkła. Następne szklane księgi? Tylko ile ich jest na stosie? Svenson policzył wzrokiem. Piętnaście? Dwadzieścia? Na końcu stołu stał i spoglądał na to z uśmiechem Harald Crabbe, z rękami założonymi za plecy, z satysfakcją patrząc na rosnącą liczbę ksiąg i procesję luminary sadzanych w coraz bardziej zatłoczonym pokoju. Obok Crabbego, tak jak Svenson się spodziewał, stał Bascombe, robiąc notatki. Svenson zobaczył minę pracującego w skupieniu młodzieńca, jego wydatny nos i cienkie wargi, przyzlane włosy, szerokie ramiona, sztywno wyprostowane plecy i zwinne palce, które szybko przewracały strony, operując ołówkiem jak szydełkiem.

Oczywiście Svenson widział Bascombe'a już wcześniej, u boku Crabbego, a także podsłuchał jego rozmowę z Francisem Xonckiem w kuchni ministerstwa, jednak dopiero teraz obserwował go, wiedząc, że to były narzeczone Celeste Temple. Dziwne, jak pewne cechy mogą połączyć dwoje ludzi - na przykład wspólne zainteresowanie ogrodnictwem, dobra kuchnia, snobizm, apetyt na seks. Svenson mimo woli zadawał sobie pytanie, co łączyło tych dwoje, choćby po to, by dowiedzieć się przez to więcej o swojej małej partnerce, którą poczucie obowiązku kazało mu ochraniać (choć trochę przeszkadzało mu w tym niepokojąco natrętne wspomnienie cienkich jedwabnych szat przylegających do jej ciała... jej nagłego miękkiego ciężaru w jego ramionach, gdy pomagał jej zejść ze stołu... a nawet zwierzęca szybkość, z jaką wyrwała knebel z ust). Svenson przełknął ślinę i zmarszczył brwi, patrząc na Bascombe'a, dochodząc do wniosku, że nie podoba mu się jego wyniosły sposób bycia, widoczny nawet w sposobie, w jaki przegląda swój notes. W macklenburskim pałacu widział dość wybujałych ambicji, by rozpoznać jej objawy równie szybko jak symptomy syfilisu. Co więcej, mógł sobie wyobrazić, w jaki sposób proces zmienił Bascombe'a. To, co przedtem było temperowane przez wątpliwości lub pokorę, w tym alchemicznym procesie nabrało twardości stali. Svenson zastanawiał się, ile minie czasu, zanim ten młodzieniec wbije Crabbemu nóż w plecy.

\*

Ostatnia para lokajów ułożyła ostatnią ofiarę na sofie obok nieprzytomnego duchownego w podeszłym wieku. Kobieta była przystojna, o lekko orientalnych rysach twarzy, ubrana w białą jedwabną suknię, z kolczykami z pereł w uszach. Położono ostatnią księgę - musiało ich tu być prawie trzydzieści! - i Bascombe skończył pisać w swoim notatniku. Ściągnął brwi. Ponownie przejrzał notatki i powtórzył obliczenia. Pogłębiające się zmarszczki na jego czole świadczyły o tym, że wynik jest niezadowolający. Zaczął rozmawiać z zebrnymi, analizując ich odpowiedzi, przesiewając słowa, aż w końcu skupił wzrok na sennej i niezwykle ładnej kobiecie w zielonej sukni i masce ze szklanych paciorków, które - jak domyślił się Svenson - były weneckie i bardzo kosztowne. Bascombe krzyknął tak wyraźnie, że doktor usłyszał go przez szybę: „Gdzie jest księga tej kobiety?!”. Nikt mu nie odpowiedział. Odwrócił się do Crabbego i przez chwilę szeptali do siebie. Crabbe wzruszył ramionami. Wskazał jednego z lokajów, który natychmiast wybiegł z pokoju, najwyraźniej wysłany na poszukiwania. Pozostałe księgi włożono ostrożnie do obitego żelazem kufra. Svenson zauważył, że wszyscy dotykający szkła włożyli skórzane rękawice i przenoszą księgi z najwyższą ostrożnością - przypominając mu marynarzy składających w magazynie amunicji pociski do dział okrętowych.

Wyraźne przeznaczenie poszczególnych ksiąg dla konkretnych osób, najwidoczniej zamożnych i wpływowych, musiało mieć związek z wcześniej zgromadzonymi przez klikę informacjami o różnych skandalach, zdobytymi w Tarr Manor od służby. Czy to kolejny etap planu? W tamtej wiejskiej rezydencji klika uzyskała i zgromadziła w tych księgach możliwość manipulowania możliwymi... Czy jej celem było jedynie zmuszenie ich szantażem do przybycia do Harschmort, gdzie zrealizowano następny etap planu? Pokręcił głową na myśl o tak zuchwałym planie, gdyż następnym etapem miało być przejęcie wiedzy, wspomnień, zamiarów i marzeń najpotężniejszych osób w państwie. Zastanawiał się, czy ofiary zachowują swe wspomnienia. A może niczego nie pamiętają? Co się działo, kiedy - albo jeśli - odzyskiwały przytomność? Czy wiedziały, gdzie i kim są?

Jednak było w tym coś więcej, chociażby zwyczajna mechanika. Ci ludzie dotykali szkła przez rękawice, gdyż nawet zagłądanie do tych ksiąg było niebezpieczne, czego jasno dowodziła śmierć tych, którzy umarli w Tarr Manor. Tylko jak klika mogła wykorzystać te cenne informacje, jak je odczytać? Jeśli nie można dotknąć takiej księgi, nie ryzykując utraty życia lub zdrowych zmysłów, to jaki z nich pożytek? Musi być jakiś sposób... klucz...

Svenson obejrzał się przez ramię. Czyżby usłyszał jakiś szmer? Posłuchał... Nic. Widocznie zawodziły go nerwy. Tamci skończyli wkładać księgi do kufra. Bascombe wetknął

notatnik pod pachę i pstryknął palcami, wydając rozkazy: ci poniosą kufer, tamci pójdą z ministrem, ci zostaną. Ruszył z Crabbem do drzwi. Czyżby minister podał coś swojemu zastępcy? Owszem - ale Svenson nie zdołał dostrzec, co to jest. Potem obaj wyszli.

Dwaj pozostali jeszcze przez moment stali nieruchomo - wyraźnie odprężeni - po czym jeden podszedł do kredensu, a drugi do drewnianego pudełka z cygarami, stojącego na stoliku. Zaczęli rozmawiać, uśmiechając się i pokazując swoich podopiecznych. Ten przy kredensie napelnił dwa kieliszki whisky i podszedł do drugiego, który już wypluwał odgryziony koniec cygara. Dokonali wymiany - kieliszek za cygaro - i zapalili, jeden po drugim. Ich panów nie było zaledwie półtorej minuty, a oni już oblizywali wargi i pykali z minami książąt.

Svenson rozglądał się, szukając natchnienia. Ten pokój obserwacyjny był wyposażony gorzej od poprzedniego - nie było tu drinków i sofy. Tamci dwaj krążyli po pokoju, omijając meble i wygłaszając uwagi na temat nieprzytomnych ludzi. Po następnej minucie już przetrząsali kieszenie fraków i torebki dam. Svenson zmrużył oczy, patrząc na tych łobuzów, i czekał, aż podejdą bliżej. Tuż przed nim znajdowała się kanapa, na której duchowny spoczywał obok kobiety o orientalnej urodzie. Dama leżała z odchyłoną głową (półprzymkniętymi oczami sennie spoglądając w sufit), tak że kolczyki z perłami były dobrze widoczne na tle jej smagłej skóry... Musieli je zauważyć.

Jakby słysząc jego myśli, jeden spojrzął, zobaczył perły i zignorował pięć kolejnych ofiar, spiesząc do kobiety. Drugi poszedł za nim, z cygarem w zębach, i niebawem obaj pochylali się nad kobietą, plecami do Svensona, nie dalej niż pół metra od szklanej tafli.

Przyłożył lufę do szyby i nacisnął spust. Kula uderzyła w plecy bliżej stojącego mężczyzny i rzuciła go na nieszczęsnego duchownego. Przechodząc na wylot, w nieoczekiwany sposób roztrzaskała kieliszek, który łotr trzymał w dłoni. Jego towarzysz obrócił się na pięcie i spojrzął ze zdumieniem na owalny otwór w lustrze. Svenson wystrzelił ponownie. Szkoło gwiazdiście pękło wokół drugiej dziury i pajęczyna rys zasłoniła mu widok. Szybko wepchnął rewolwer za pasek i chwycił stoliczek z atramentem i papierem, niedbale zrzucając wszystko na podłogę. Trzy uderzenia stolikiem, niczym strażackim toporem, i lustro się rozleciało.

Odstawił stolik i obejrzał się za siebie. Odgłos strzałów rozszedł się głównie po długich korytarzach, którymi Svenson tu przyszedł, a te zapewne dość dobrze tłumili dźwięki. Dlaczego nikt go nie ściga? Na dywanie u jego stóp drugi mężczyzna dyszał ciężko, postrzelony w pierś. Svenson uklęknął przy nim, znalazł wlot rany i szybko stwierdził, że jest śmiertelna. Rannemu pozostało zaledwie kilka minut życia. Wstał, nie mogąc znieść

spojrzenia konającego, po czym podszedł do drugiego, martwego, i ściągnął go ze starego duchownego. Zsunął ciało na podłogę, już mając wyrzuty sumienia. Czy nie mógł ich tylko zranić? Albo strzelić raz i zmusić do uległości, związać sznurami od zasłon, jak Flaussa? Może, lecz takie uprzejmości... Czyżby darowanie życia stało się dla niego uprzejmym gestem? Nie, nie ma na to czasu, musi znaleźć kobiety, odbić księcia i powstrzymać panów tych sługusów. Svenson zauważył, że zabity wciąż trzyma w palcach cygaro. Bez namysłu wetknął je sobie w zęby, głęboko się zaciągnął i zamknął oczy z ukontentowania.

\*

Mężczyźni nie byli uzbrojeni, więc wobec braku broni, którą mógłby zabrać, Svenson musiał zdać się na swoje zdolności aktorskie, skradając się z nienaładowanym rewolwerem. Nie ruszając pozostałych obecnych w pokoju, przeszedł przez szereg pustych salonów, wypatrując Bascombe'a lub Crabbego, ale mając nadzieję, że napotka tego pierwszego. Jeśli prawidłowo odgadł znaczenie ksiąg z Tarr Manor, że są zdolne do absorbowania - i zapisywania - wspomnień, to ten kufer z księgami jest istnym niezbadanym łądem możliwości. Sporą wartość ma również notatnik Bascombe'a, w którym opisano i skatalogowano zawartość każdej książki. Mając te notatki, czyż nie znalazłby w tej potwornej bibliotece odpowiedzi na wszystkie dręczące go pytania? Czy nie zdobyłby przewagi nad nieprzyjacielem?

Doktor Svenson rozejrzał się gniewnie. Znalazł się w kolejnym salonie z rozległym foyer i stojącą na środku fontanną, której plusk zagłuszał odgłosy kroków, mogące wskazać mu właściwy kierunek. Doktor mimo woli zaczął się zastanawiać, czy ten labirynt Harschmorta ma swojego Minotaura. Dowlókł się do fontanny i spojrzał w wodę - bo czyż ktokolwiek zdoła powstrzymać ten odruch? Roześmiał się, gdyż Minotaur był tuż przed nim: o zmęczonej, wysmarowanej sadzą, posiniaczonej twarzy, z cygarem w zębach i rewolwerem w dłoni. Czyż dla gości tego galowego wieczoru nie jest okropnym potworem? Svenson zachichotał na samą myśl i zaśmiał się jeszcze głośniejszym głosem, słysząc swój ochrypły głos marynarza próbującego śpiewać po zbyt wielu szklankach dzinu. Odłożył cygaro i umieścił rewolwer za paskiem, po czym zanurzył dłonie w fontannie i najpierw napił się wody, potem obmył sobie twarz, a na końcu przyglądał włosy. Strząsnął z dłoni wodę, której krople rozbiły na falujące kawałki jego odbicie. Obejrzał się. Ktoś nadchodził. Svenson rzucił cygaro do wody i wyjął broń.

\*

To nadchodzili Crabbe i Bascombe, za nimi dwaj pomocnicy, a między nimi charakterystyczna postać wyprostowanego, jakby kij połączony, lorda Roberta Vandaariffa.

Svenson przemknął na drugą stronę fontanny i przypadł do podłogi, mimo strachu i zmęczenia, czując się jak postać z wodewilu.

- To zdumiewające, najpierw teatr, a teraz to! - mówił gniewnie minister. - Czy rozstawiono warty?

- Tak - odparł Bascombe. - Oddział Macklenburczyków. Crabbe prychnął.

- Więcej z nimi kłopotu niż pożytku - powiedział. - Książę to idiota, poseł niechluj, major to teutoński gbur, a ten doktor... Słyszałeś? On żyje! I jest w Harschmort! Musiał przylecieć z nami, ale naprawdę nie wiem, jak tego dokonał. Musiał być gdzieś w sterowcu, ukryty przez współnika.

- Tylko kto mógł nim być? - syknął Bascombe. Kiedy Crabbe nie odpowiedział, Bascombe spróbował zgadnąć. - Aspiche?

Svenson nie dosłyszał odpowiedzi, gdyż tamci przeszli przez foyer i znaleźli się poza zasięgiem jego słuchu. Podniósł się, zadowolony, że go nie zauważyli, i ostrożnie ruszył za nimi. Nie rozumiał tego... choć Vandaariff szedł między dwoma spiskowcami, ci wcale nie zwracali na niego uwagi, pogrążeni w rozmowie... a lord nie brał w niej udziału. Ponadto co się stało z cenną skrzynią skatalogowanych przez Bascombe'a niebieskich ksiąg?

- Tak, tak, tym lepiej - mówił Crabbe. - Obie mają wziąć udział. Biedna Elspeth straciła mnóstwo włosów, a Margaret... no cóż, bardzo chciała kontynuować. Ona zawsze jest chętna, ale... najwyraźniej po konfrontacji z Kardynałem w hotelu Royale... ona... no cóż, sam nie wiem... jest wyraźnie nie w humorze.

- A co z... tą drugą? - uprzejmie wtrącił Bascombe, kierując rozmowę na właściwy temat.

- No tak, to będzie prawdziwy test. Moim zdaniem wszystko dzieje się za szybko. Zbyt wiele działań w zbyt wielu miejscach...

- Hrabina obawia się o nasz harmonogram...

- Tak jak i ja, panie Bascombe - odparł ostro Crabbe. - Ale sam pan zobaczy... To zamieszanie i ryzyko... kiedy próbowaliśmy dokonać inicjacji w amfiteatrze jednocześnie z procesem transformacji przeprowadzanym przez hrabiego w katedrze, akwizycją w salonach i żniwami u lorda Roberta... - Obojętnie wskazał najpotężniejszego człowieka w pięciu okolicznych krajach. - A teraz z powodu tej przeklętej kobiety, diuk...

- Doktor Lorenz jest przekonany, że...

- On zawsze jest przekonany! A jednak, Bascombe, naukowiec jest zadowolony, jeśli uda mu się jeden eksperyment z dwudziestu. Samo przekonanie doktora Lorenza to za mało, gdy tak wiele od tego zależy! Musimy mieć pewność!

- Oczywiście, proszę pana.

- Chwileczkę.

Crabbe przystanął i odwrócił się do dwóch idących za nim pomocników. Svenson pospiesznie schował się za gęstym filodendronem.

- Pobiegnijcie przodem na sam szczyt wieży. Nie chcę żadnych niespodzianek. Upewnijcie się, że droga jest wolna, a potem niech jeden z was wróci. Zaczekamy tutaj.

Mężczyźni pobiegli. Svenson zerknął przez zakurzone liście i ujrzał Bascombe'a, próbującego protestować.

- Czy naprawdę uważa pan, że...

- Naprawdę to nie chcę, żeby ktoś mnie podsłuchał. Zamilkł i czekał, aż tamci dwaj znikną im z oczu.

- Przede wszystkim - zaczął wiceminister, zerknąwszy na Roberta Vandaariffa - jaką księgę mamy dla tego oto lorda V.? Potrzebujemy jakiejś podkładki, prawda?

- Tak, proszę pana, chociaż teraz może to być ta brakująca, którą lady Melantes...

- Którą musimy odzyskać.

- Oczywiście, proszę pana, ale na razie może pełnić rolę tej zawierającej sekrety lorda Vandaariffa, dopóki nie nadarzy się okazja, by nieodwracalnie zniszczyć tamtą.

- Doskonale - mruknął Crabbé. Łypnął na boki i oblizał wargi, nachylając się do Bascombe'a. - Przede wszystkim, Rogerze, to ja otworzyłem przed tobą te wspaniałe możliwości, prawda? Dziedzictwo i tytuł, nowe perspektywy małżeńskie, awans?

- Tak, proszę pana, i jestem wielce zobowiązany. Zapewniam, że...

Crabbé zbył zapewnienia Bascombe'a machnięciem ręki, jakby oganiał się od much.

- To co powiedziałem, że zbyt wiele rzeczy dzieje się jednocześnie, było przeznaczone wyłącznie dla twoich uszu.

Svenson ponownie się zdziwił, iż żaden z tych dwóch nie zwraca uwagi na lorda Vandaariffa, który stał pół metra od nich.

- Jesteś inteligentny, Rogerze, a także równie sprytny jak wszyscy w tym biznesie, czego dowiodłeś. Miej oczy otwarte i dla dobra nas obu uważaj na wszelkie dziwne uwagi lub postępowanie... obojętnie czyje. Rozumiesz? Znajdujemy się w kulminacyjnym punkcie, a ja jestem coraz bardziej podejrzliwy.

- Czy sugeruje pan, że ktoś z nas... hrabina, pan Xonck...

- Niczego nie sugeruję. Jednak doszło do... tych przykrych incydentów...

- Przecież ci prowokatorzy, Chang, Svenson...

- I twoja panna Temple - wtrącił kwaśno Crabbé.

- Biorąc ją pod uwagę, jedynie potwierdzamy to, co ustalono, proszę pana. Wszyscy troje twierdzili, że nikt za nimi nie stoi i ich działaniami kierowała tylko zwykła wrogość.

Crabbé nachylił się do Bascombe'a i zniżył głos do niespokojnego szeptu.

- Tak, tak... a jednak! Doktor przylatuje tu sterowcem! Panna Temple rozszyfrowuje nasze plany odnośnie do Lydii Vandaariff i jakimś cudem potrafi - bez pomocy, w co ledwie można uwierzyć - ująć z życiem ze szklanej księgi! A Chang... ilu zabił? Jakiego narobił zamieszania? Masz o nich tak dobre mniemanie, że uważasz, iż dokonali tego wszystkiego bez niczyjej pomocy? A gdzie indziej, pytam cię, Rogerze, mogliby uzyskać tę pomoc, jeśli nie w naszym gronie?

Crabbé zbladł, wargi drżały mu z wściekłości - lub strachu, albo obu tych emocji, jakby sama myśl o tym wprawiała go we wściekłość. Bascombe nie odpowiedział.

- Znasz pannę Temple, Rogerze, zapewne lepiej niż ktokolwiek na tym świecie. Czy sądzisz, że mogła zabić tych ludzi? Wyrwać się księdze? Znaleźć Lydię Vandaariff i niemal wykraść nam ją sprzed nosa? Gdyby nie przybycie pani Marchmoor...

Bascombe pokręcił głową.

- Nie, proszę pana... ta Celeste Temple, którą znam, nie jest zdolna do żadnej z tych rzeczy. A jednak... musi być jakieś inne wyjaśnienie.

- A mamy je? Czy potrafimy wyjaśnić śmierć pułkownika Trappinga? Cała trójka tych prowokatorów była tamtej nocy w tym domu, ale nie zdołaliby go rozpoznać i zabić, gdyby nie zdrada kogoś spośród nas!

Zamilkli. Obserwując ich, Svenson powoli i cierpliwie podniósł rękę, żeby podrapać się po nosie.

- Francis Xonck został poparzony przez Kardynała Changa - zaczął pospiesznie Bascombe, rozważając możliwości. - Niepodobna, żeby specjalnie dał się tak poturbować.

- Być może... jednak on jest bardzo przebiegły i zuchwały.

- Racja. Hrabia...

- Hrabiego d'Orkancza interesuje tylko jego szkło i transformacje - jego wizja. Jestem pewien, że w głębi serca uważa to wszystko za jeszcze jedno płótno, być może arcydzieło, ale mimo wszystko takie myślenie jest dla mnie zbyt... - Crabbé z wysiłkiem przełknął ślinę i przygładził palcem wąsy. - Może to z powodu jego okropnych planów wobec tej dziewczyny... których zapewne nie wyjawiał nam do końca...

Crabbé spojrział na Bascombe'a z taką miną, jakby za dużo mu powiedział, lecz młodzieniec nawet nie mrugnął okiem.

- A hrabina? - zapytał.

- Hrabina - powtórzył Crabbé. - Właśnie, hrabina...

\*

Odwrócili głowy, gdyż jeden z ich ludzi wracał biegiem. Zaczekali na niego, nie mówiąc nic więcej. Kiedy zameldował, że mają wolną drogę, Bascombe ruchem głowy kazał mu dołączyć do towarzysza. Mężczyzna zawrócił, a dwaj urzędnicy ministerstwa znów zaczęli, aż zniknie im z oczu, po czym bez słowa poszli za nim - najwyraźniej pogrążeni w ponurych rozmyślaniach. Svenson skradał się za nimi. Nieufność i rozłam w szeregach kliki były odpowiedzią na jego modły, których nawet nie śmiał zanosić do Boga.

Pod nieobecność zamykających pochód pomocników wyraźniej widział wiceministra - niskiego mizeraka ze skórzaną teczką, w jakiej nosi się dokumenty. Svenson był pewien, że Crabbe nie miał jej podczas ładowania ksiąg do kufra, co oznaczało, że zabrał ją gdzieś po drodze - może razem z lordem Vandaariffem? Czy w tej teczce są papiery od lorda Vandaariffa? Nadal nie rozumiał, jaką rolę odgrywa w tym lord, który dobrowolnie im towarzyszy, zupełnie przez nich ignorowany. Svenson zakładał, że Vandaariff jest osiłą tego spisku, gdyż zaledwie dwa dni wcześniej celowo odciągnął go od zwłok Trappinga. Obojętnie jak długo klika przygotowywała zasadzkę, w jakim stopniu przejęła kontrolę nad państwem oraz jakimi szalonymi metodami - już dopięła swego, gdyż z pewnością korzystała z wszelkich udogodnień domu lorda i jego nazwiska, żeby osiągnąć swoje cele, a nie mogło do tego dojść przynajmniej bez jego początkowego współudziału i aprobaty. A teraz lord podążał za nimi - w swoim własnym domu - jak posłuszny psiak. Jednak przyglądając mu się, ukryty za fontanną Svenson nie widział na jego twarzy śladów procesu. W jaki inny sposób mógł zostać nakłoniony do współpracy? Za pomocą szklanej księgi? Gdyby tylko doktor mógł zostać z nim sam na sam przez pięć minut! Nawet tak krótki czas umożliwiłby przeprowadzenie szybkiego badania, które pozwoliłoby lekarzowi ocenić fizyczne efekty kontroli umysłu i kto wie... może znaleźć sposób na ich odwrócenie.

Na razie jednak, nieuzbrojony i samotny, mógł tylko podążać za nimi w głąb domu. W mijanych pokojach słyszał odgłosy ludzkiej obecności - kroki, głosy, brzęk sztućców, turkot kół wózków. Dotychczas korytarz nie przechodził przez żadne większe pomieszczenia i nie przecinał innych korytarzy - niewątpliwie mając chronić Vandaariffa przed oczami postronnych. Svenson zastanawiał się, czy służy lorda wiedzą, w jakim jest stanie, i jak na to reagują. Nie sądził, żeby Robert Vandaariff był miłym pracodawcą, może więc służba wie o wszystkim i radośnie świętuje jego upadek. A może klika wykorzystała bogactwo Vandaariffa, żeby kupić sobie milczenie jego służby? Każda z tych możliwości wykluczała

szukanie pomocy u służących... lecz Svenson wiedział, że jego możliwości szybko się kurczą. Z każdym krokiem coraz bardziej zbliżali się do pozostałych członków kliku.

\*

Svenson zaczerpnął tchu. Tamci trzej znajdowali się około dziesięciu metrów przed nim i właśnie skręcali, wchodząc z jednego długiego korytarza w drugi. Gdy tylko znikli, ruszył biegiem, by zmniejszyć odległość, dotarł do narożnika i wyjrzał. Byli pięć metrów przed nim i na grubym chodniku! Svenson z wycelowanym rewolwerem szybko wyszedł zza rogu. Dywan tłumiał jego kroki, które i tak głośny było tupanie ich nóg. Trzy metry, półtora i już był tuż za nimi. Wyczuli jego obecność i odwrócili się w chwili, gdy Svenson lewą ręką złapał za kołnierz Vandaariffa i przystawił mu do skroni lufę trzymanego w prawej ręce rewolweru.

- Nie ruszać się! - syknął. - I nie krzyżeć albo ten człowiek zginie, a wy zaraz po nim. Celnie strzelam z broni krótkiej i niewiele rzeczy sprawiłoby mi większą radość!

Nie podnieśli krzyku i Svenson znów poczuł przechodzący mu po plecach, niepokojąco przyjemny dreszczyk, wywołany tym agresywnym atakiem - chociaż nawet mając naładowaną broń, nie był nadzwyczajnym strzelcem. Czego nie wiedział, to tego, jaką wartość ma dla nich Vandaariff. Z nagłą zgrozą zaczął się zastanawiać, czy czasem nie pragną jego śmierci - chcąc go usunąć z tego świata, ale nie mając odwagi tego zrobić - szczególnie teraz, kiedy Crabbe ma całą teczkę ważnych informacji.

Teczka. Musi ją zdobyć.

- Teczka! - warknął na wiceministra. - Rzuć ją i odsuń się!

- Nie! - krzyknął piskliwie Crabbe, blady jak ściana. Tak! - warknął Svenson, odciągając kurek i wbijając lufę w skroń Vandaariffa.

Palce wiceministra poruszały się na skórzanej ręczce teczki, ale nie puszczały jej. Svenson oderwał broń od czaszki Vandaariffa i wycelował prosto w pierś wiceministra.

- Doktorze Svenson!

Bascombe uniósł ręce w rozpaczliwym i mediacyjnym geście, który Svenson uznał za próbę odebrania mu broni. Skierował lufę w twarz młodzieńca, który wyraźnie pobladł, potem znów w Crabbego, teraz tulącego teczkę do piersi, i znów w Bascombe'a, odciągając Vandaariffa krok do tyłu, żeby mieć więcej miejsca. Dlaczego wciąż nie wychodzą mu takie konfrontacje? Bascombe przełknął ślinę i zrobił krok naprzód.

- Doktorze Svenson - zaczął niepewnie - to się nie uda. Jest pan w gnieździe szerszeni i zostanie pan...

- Oddacie mi mojego księcia - rzekł Svenson. - I tę teczkę.

- Niemożliwe - zapiszczał Crabbé i, ku jego ogromnemu strapieniu, odwrócił się i cisnął teczką jak dyskiem w głąb korytarza.

Odbiła się i zatrzymała pod ścianą jakieś sześć metrów dalej. Svenson podupadł na duchu. Niech szlag trafi tego faceta! Gdyby miał choć jedną kulę, wpakowałby ją w łeb Haralda Crabbégo.

- Dość tego! - zawył Crabbé, bełkocząc ze strachu. - Jak uszedłeś z życiem z kamieniołomu? Kto ci pomógł? Gdzie się ukryłeś w sterowcu? Dlaczego wciąż psujesz wszystkie moje plany?

Głos wiceministra przeszedł w piskliwy wrzask. Svenson cofnął się o kolejny krok, ciągnąc za sobą Vandaariffa. Bascombe - choć przestraszony, lecz nietracący odwagi - ponownie zrobił krok naprzód. Svenson wepchnął lufę do ucha Vandaariffa.

- Zostań tam, gdzie jesteś! Powiecie mi, gdzie jest książę Karl-Horst, inaczej...

Urwał. Gdzieś pod nimi w podziemiach domu rozległo się przeraźliwe wycie, podobne do pisku rozpedzonego i hamującego pociągu... przetykane niczym srebrna nitka w królewskim płaszczu z adamaszku rozpaczliwym krzykiem kobiety. Co Crabbé mówił o poczynaniach hrabiego w „katedrze”? Wszyscy trzej stali nieruchomo, gdy wycie szybko osiągnęło wprost nieznośne natężenie, a potem urwało się jak ucięte nożem. Svenson cofnął się, ciągnąc Vandaariffa.

- Puść go! - syknął Crabbé. - Tylko pogorszysz swoją sytuację!

- Pogorszę? - Arogancja tego człowieka rozwścieczyła Svensona. Och, gdyby miał choć jedną kulę! Wskazał na podłogę, spod której dopiero co dobiegał ten odrażający dźwięk. - Cóż to za okropności? Jakby mało było tych, które już widziałem! - Szarpnął Vandaariffa. - Nie dostaniecie go!

- Już go mamy - szydził Crabbé.

- Wiem, co mu jest - wykrztusił Svenson. - Mogę go uleczyć! Uwierzą mi i zapłacicie za wszystko!

- Nic pan nie wie.

Choć przestraszony, Crabbé był nieustępliwy - cecha niewątpliwie przydatna przy negocjowaniu traktatów, lecz dla Svensona irytująca jak diabli.

- Wasz piekielny proces da się odwrócić - oznajmił. - Jeszcze nie miałem czasu przestudiować tego problemu, ale wiem, że lord Vandaariff nie przeszedł transformacji. Nie ma śladów na twarzy, a zaledwie dwa dni temu był przy zdrowych zmysłach, więc nie zdążyłyby zniknąć. Co więcej, po tym, co widziałem w waszym amfiteatrze, wiem, że gdyby

przeszedł proces, energicznie wrywałby się z mojego uścisku. Nie, panowie, jestem pewien, że znajduje się pod chwilowym wpływem narkotyku i kiedy znajdę antidotum...

- Nie zrobisz niczego takiego! - wykrzyknął Crabbe i dalsze słowa skierował do Vandaariffa, mówiąc ostrym, rozkazującym tonem, jakim mówi się do psa: - Robercie! Odbierz mu broń! Natychmiast!

Ku zaskoczeniu Svensona lord Vandaariff odwrócił się i wyciągnął obie ręce po rewolwer. Doktor cofnął się, lecz lord atakował dalej i Svenson natychmiast zdał sobie sprawę, że działający jak automat arystokrata ma więcej sił od niego. Zobaczył, że na twarzy Crabbego pojawia się szeroki uśmiech.

Nie potrafił dłużej znosić takiej arogancji. Choć Vandaariff nadal atakował, wyciągając jedną rękę do jego szyi, a drugą po rewolwer, Svenson wyrwał mu się i wycelował broń w twarz wiceministra, odciągając kurek.

- Odwołaj go albo zginiesz! - krzyknął.

Bascombe rzucił się na niego. Svenson uderzył go rewolwerem, ostrą muszką rozcinając policzek młodzieńca i zwalając go z nóg. W tym momencie Vandaariff złapał go za rękę i ścisnął. Kurek opadł z trzaskiem. Svenson napotkał spojrzenie Bascombe'a. Obaj wiedzieli, że broń nie wypaliła.

- On nie ma kul! - wrzasnął Bascombe i następne słowa skierował w głąb korytarza: - Na pomoc! Evans! Jones! Na pomoc!

\*

Svenson odwrócił się. Teczka! Odepchnął Vandaariffa i pobiegł po nią, chociaż w ten sposób kierował się wprost ku wracającej eskorcie. Łomocząc butami po śliskim parkiecie i czując przeszywający ból w kostce, dopadł teczki, podniósł ją i kulejąc, mszył z powrotem w kierunku Bascombe'a i Crabbego. Ten ostatni krzyczał do swoich ludzi, którzy niewątpliwie byli tuż za doktorem.

- Teczka! Biercie teczkę! On nie może z nią uciec! Bascombe podniósł się i szedł z rozłożonymi rękami, jakby chciał zagrozić Svensonowi drogę, a przynajmniej przytrzymać go, dopóki pozostali go nie zatłuką. Nie było żadnych bocznych drzwi ani korytarzy, żadnej możliwości uniknięcia starcia. Svenson przypomniał sobie uniwersyteckie czasy i pijackie zabawy w akademikach - czasem nawet konno. Jednak Bascombe był młodszy i wściekły, i z pewnością też takie zabawy pamiętał.

- Powstrzymaj go, Rogerze, zabij go!

Nawet rozwścieczony, Crabbe przemawiał władczym tonem.

Zanim Bascombe zdołał go złapać, Svenson uderzył go teczką w twarz. Cios był bardziej irytujący niż bolesny, lecz sprawił, że Bascombe instynktownie odwrócił głowę. Svenson uderzył go barkiem i odrzucił w tył. Młodzieniec złapał go za ramiona, ale doktor wyrwał się i dłonie Bascombe'a ześlizgnęły się po jego ciele. Svenson prawie go minął, utykając, gdy nagle Bascombe złapał go obiema rękami za lewy but i przytrzymał, pozbawiając równowagi i obalając na podłogę. Doktor przetoczył się na plecy i zobaczył siedzącego na podłodze Bascombe'a, zaczerwienionego i zakrwawionego. Podkulił prawą nogę i kopnął go w twarz. Trafił Bascombe'a w ramię i obaj krzyknęli, gdyż doktor miał nogę skręconą w kostce. Jeszcze dwa takie kopnięcia i był wolny.

Jednak mężczyźni w czerni zdążyli wrócić. Nie miał szans. Podniósł się z podłogi i nagle z radością zobaczył, że ci dwaj odruchowo przystanęli, aby pomóc Crabbemu i Bascombe'owi. Pod wpływem nagłego impulsu Svenson rzucił się ku nim, z teczką w jednej, a rewolwerem w drugiej ręce. Usłyszał protesty Crabbego: „Nie, nie! Jego! Zatrzymajcie go!”. Bascombe też krzyczał: „Teczka! Teczka!”. Jednak Svenson już był przy nich i zamachnął się w chwili, gdy obaj podnieśli głowy. Ciosy teczką i rewolwerem nie sięgnęły celu, ale obaj mężczyźni odskoczyli, co dało mu tak potrzebny kawałek wolnej przestrzeni. Wykorzystał to i przemknął obok nich. Próbowali go gonić, lecz mimo strachu i kontuzji nogi dotychczasowe sukcesy dodały doktorowi Svensonowi ducha.

Pobiegł korytarzem, ślizgając się i krzywiąc przy każdym kroku. Dokąd Crabbe posłał tych dwóch ludzi - „na szczyt wieży”?

Zmarszczył brwi. Lecąc sterowcem, widział, że Harschmort nie ma żadnej wieży. Co więcej, tamci dwaj szybko przybiegli na wezwanie Bascombe'a, tak więc nie mogli być gdzieś wysoko. Chyba że... Minął zakręt i znalazł się w rozległym marmurowym holu o podłodze w czarno-białą szachownicę, z dziwnymi żelaznymi drzwiami w ścianie naprzeciwko, z szerokimi spiralnymi i mrocznymi schodami... To miejsce wyglądało jak szczyt wieży schodzącej w dół. Zanim w pełni pojął konsekwencje tego faktu, stracił równowagę, upadł i przejechał po marmurowej posadzce aż pod przeciwległą ścianę. Potrząsnął głową i spróbował wstać. Cały ociekał... krwią! Wdepnął w szeroką szkarłatną kałużę i przy upadku rozmazał ją przez całą szerokość pomieszczenia, moczając prawą stronę swego ciała w posoce.

Podniósł głowę. W drzwiach naprzeciwko pojawili się dwaj ścigający. Zanim ktoś zdążył się poruszyć, z otwartych drzwi wieży wydobyło się kolejne przeraźliwe mechaniczne wycie, przechodzące w rozrywający uszy świst. Słuch nie mylił Svensona, w tym pisku zdecydowanie słychać było kobiecego krzyk.

Svenson z całej siły cisnął rewolwerem w prześladowców i trafił jednego w kolano. Mężczyzna z jękiem oparł się o framugę, a broń, wirując, prześlizgnęła się po posadzce. Drugi prześladowca skoczył do rewolweru i złapał go w chwili, gdy Svenson rzucił się do drugich drzwi, za którymi szeroki korytarz odchodził od wieży (ostatnią rzeczą, jakiej doktor pragnął, było zbliżyć się do źródła tego hałasu). Usłyszał trzask opadającego kurka, a potem gniewny okrzyk mężczyzny, który zorientował się, że bębenek jest pusty. Svenson znów zwiększył odległość dzielącą go od pogoni. Minął zakręt i znalazł się w następnym, mniejszym holu, z drzwiami po obu stronach. Szybko i bezgłośnie przeszedł przez wahadłowe drzwi, po czym zatrzymał ich kołysanie, uważając, by nie zostawić na nich śladów krwi. Znalazł się w jednym z pomieszczeń kuchennych. Mijając beczki i spiżarnie, ruszył do następnych drzwi. Kiedy do nich dotarł, zaczęły się otwierać. Błyskawicznie uskoczył i ukrył się za nimi. W następnej chwili otworzyły się drzwi naprzeciwko - te, którymi wszedł - i usłyszał głos ścigającego:

- Wszedł tu ktoś?

- Kiedy? - odparł opryskliwy głos niecałe trzy centymetry od ukrytego doktora.

- Przed chwilą. Kościsty facet, cudzoziemiec, cały we krwi.

- Tu go nie było. Widzisz jakieś ślady krwi?

Zapadła krótka cisza, gdy obaj rozmawiający się rozglądali. Stojący obok oparł się przy tym o drzwi, a Svenson jeszcze mocniej przywarł do ściany.

- Nie wiem, dokąd mógł uciec - mruknął mężczyzna w drzwiach od korytarza.

- Na drugą stronę, do pokoju myśliwskiego. Pełno tam broni.

- Niech mnie diabli - syknął ścigający i Svenson usłyszał miłe dźwięki kołyszących się drzwi. Potem doleciał go trzask otwieranego schowka, odgłosy przesuwania czegoś i grzechot jakby rozsypywanego żwiru. Drugi mężczyzna opuścił kuchnię równie szybko jak przyszedł, zamykając za sobą drzwi. Svenson odetchnął z ulgą.

\*

Spojrzął na ścianę. Była pokryta krwią w miejscu, gdzie do niej przywarł. Westchnął. Nic nie mógł na to poradzić. Zastanawiał się, czy w którymś z tych schowków znajdzie coś do picia. Nie był tu bezpieczny, gdyż wrogowie znajdowali się tuż obok, ale zaczynał się do tego przyzwyczajać. No a ten żwir...? Ciekawość wzięła górę i Svenson podkraść się do największego schowka, tak dużego, że można w nim było stanąć. Był pewien, że właśnie do tego podszedł drugi mężczyzna. Otworzył drzwiczki i skrzywił się, gdy zimne powietrze owiało mu twarz. To wcale nie był żwir, lecz lód. Na ciało diuka Staelmaere, sinego, z półprzymkniętymi gadzimi oczami leżącego w żelaznej wannie, wysypano worek lodu.

Po co trzymają tu jego ciało? Co Lorenz zamierza z nim zrobić? Ożywić? To absurd. Dwie kule, z których druga przeszła serce, wyrządziły poważne szkody, a po tylu godzinach krew zaczynała stygnąć i krzepnąć, kończyny sztywniały... Co oni zamierzają zrobić z trupem? Svenson nagle miał ochotę wyjąć scyzoryk i jeszcze bardziej poranić zwłoki - może otworzyć tętnicę szyjną? - aby udaremnić plany Lorenza, ale takie postępowanie wydawało mu się niesmaczne. Bez konkretnego powodu nie zamierzał bezcześcić zwłok nawet takiego niegodziwca.

Jednak patrząc na ciało, doktor Svenson poczuł, że jest bliski rozpacz. Zważył w rękach teczkę. Czy dzięki niej zdoła odnaleźć księcia i uratować przyjaciół? Na myśl o tym kąciki jego ust uniosły się w uśmiechu. Nie pamiętał, kiedy ostatnio się z kimś zaprzyjaźnił. Baron był jego pracodawcą i zgorzkniałym mentorem w pałacu, ale poza tym nic ich nie łączyło. Oficerowie, z którymi służył w porcie lub na statku, byli towarzyszami przez ten czas, ale rzadko ich wspominał, gdy ich drogi rozchodziły się po otrzymaniu nowych przydziałów. Nieliczni przyjaciele ze studiów w większości nie żyli. Na rodzinne kontakty padł cień Korynny i niemal ich nie utrzymywał. Na myśl o tym, że w ciągu tych kilku dni tak wiele - nie tylko swoje życie, ale cały jego sens - związał z tą niezwykłą parą (a teraz może trójką) ludzi, których wcześniej minąłby obojętnie na ulicy... no, to niezupełnie było prawdą. Uśmiechnąłby się domyślnie na widok upartej miny panny Temple, pokręcił głową na barwny strój i aurę tajemnicy Changa... i zadowolił dyskretnym podziwianiem Elóise Dujong w jej niewątpliwie skromnej sukni. I fatalnie nie doceniłby ich wszystkich, tak jak oni, patrząc na niego, nigdy nie spodziewaliby się po nim takich wyczynów. Svenson skrzywił się, spojrzawszy na lepłą krew krzepnącą na jego mundurze. Czego właściwie dokonał? Co zdołał osiągnąć? Od śmierci Korynny jego życie było błędzeniem we mgle... Czy ma zawieść tych troje, tak jak zawiódł ją?

\*

Był śmiertelnie zmęczony, gdy tak stał, nie mając pojęcia, co robić, w drzwiach spiżarni na mięso, otoczony przez nieprzyjaciół. Na metalowym pręcie biegnącym nad jego głową wisiały metalowe haki. Każdy z nich był na drugim końcu zakończony rączką w kształcie małego drewnianego krzyżaka. Przeznaczone do przenoszenia dużych porcji mięsa, mogły posłużyć mu jako doskonała broń. Svenson wybrał dwa z nich i uśmiechnął się. Poczul się jak pirat.

Spojrzał na diuka i coś zwróciło jego uwagę... Wydawało się, że nic się nie zmieniło - trup nie był mniej nieruchomy ani mniej siny. Nagle doktor uświadomił sobie, w czym rzecz. Ta siność nie była normalną barwą martwego ciała, jaką widywał, częściej niżby chciał,

podczas służby na Bałtyku. Nie, ta była jakby jaśniejsza... błękitna. Topniejący lód poruszał się, ześlizgując, a wzrok Svensona przykuła woda w wannie. Lód i woda... Lód leżał w stercie na brzegu wanny i na dolnej połowie ciała diuka, podczas gdy woda, od której zaczynało się topnienie, gromadziła się na jego piersi, nad raną. W nagłym przypiływie ciekawości Svensón stanął za głową diuka i chwyciwszy go pod pachy, podniósł tak, by móc obejrzeć ranę. Gdy ciało wynurzyło się z wody, ze zdumieniem zobaczył, że rana została zaszyta, a otwór wypełniony niebieską gliną.

\*

Drzwi pomieszczenia otworzyły się i spłoszony Svenson wypuścił ciało, które ześlizgnęło się do wanny, przy czym woda z pluskiem wylała się na podłogę. Doktor spojrzął w kierunku drzwi i pospiesznie sięgnął po dwa haki. Teczka! Gdzie teczka? Odłożył ją, kiedy brał haki. Przeklął swoją głupotę, wrzucił jeden hak do wanny i złapał tezkę w chwili, gdy drzwi schowka poruszyły się. Rzucił się do przodu, uderzył barkiem w drzwi, które z miłym dla ucha łupnięciem rąbnęły kogoś, kto stał z drugiej strony. Następny czarno odziany sługus, taszczący worek z lodem, zatoczył się do tyłu i upadł. Worek pękł i lód lśniąca warstwą rozsypał się po posadzce. Svenson dopadł leżącego, wołając przebiec po nim niż ryzykować poślizg po lodzie, i przedostał się przez wahadłowe drzwi, pozostawiając przy tym szeroką czerwoną smugę na ich kremowej farbie.

Znalazł się w głównym pomieszczeniu kuchni z szerokim i długim stołem, ogromnym kamiennym kominkiem, piecami, wieszakami z garnkami, patelniami i pokrywkami. Po drugiej stronie stołu stał doktor Lorenz, w czarnym płaszczu narzuconym na ramiona, z grubymi okularami na czubku nosa, wpatrujący się w arkusz gęsto zapisanego pergaminu. Po jego prawej ręce rozłożony był przyborek z metalowymi narzędziami, kolcami, nożami i ostrymi nożyczkami, po lewej zaś rząd szklanych kolb połączonych węzownicami chłodnic. Svenson zauważył przewieszony przez poręcz krzesła pas z metalowymi flaszками - zapas oczyszczonej niebieskiej gliny z kamieniołomu.

Z boku, bliżej Svensona, siedział pomagier, paląc cygaro. Dwaj inni stali przy kominku, pilnując paru metalowych naczyń wiszących nad ogniem, wyglądających jak niepokojące połączenie dzbanka i średniowiecznego hełmu, owalnego, wzmocnionego stalowymi opaskami, z błyszczącymi metalowymi rurkami plującymi parą. Ci mężczyźni nosili grube skórzane rękawice. Wszyscy czterej ze zdumieniem spojrzeli na Svensona.

\*

Jakby był do tego stworzony, strach i zmęczenie natychmiast dodały mu tak potrzebnej energii. Svenson dwoma susami dopadł stołu i uderzył z całej siły, zanim siedzący

na krzesło zdążył się ruszyć. Hak spadł z głuchym stuknięciem, przybijając prawą rękę nieszczęśnika do blatu. Mężczyzna wrzasnął. Svenson puścił hak i wykopał krzesło spod mężczyzny, który ponownie wrzasnął, gdy upadł na podłogę, i jeszcze bardziej obciążył przybitą do blatu dłoń. Svenson odrzucił teczkę i, najmocniej jak mógł, rąbnął krzesłem następnego przeciwnika, jednego z tych, którzy stali przy kominku. Trafił w wyciągnięte ręce atakującego, powstrzymując go szarżą. Zszedłszy z linii ataku jak toreador - a raczej jak wyobrażał sobie, że zrobiłby to toreador - Svenson uderzył ponownie, tym razem w głowę i ramiona mężczyzny. Krzesło rozleciało się na kawałki i mężczyzna padł. Pierwszy wciąż wrzeszczał. Lorenz wzywał pomocy. Drugi ze stojących przy kominku pędził na doktora. Svenson skoczył w kierunku stojaka z garnkami, za którym znajdował się masywny rzeźnicki pień. Svenson prawie go dopadł, gdy napastnik złapał go za kurtkę. Doktor nie zdążył osiągnąć rzędu leżących tam noży. Przeciwnik odciągnął go, obrócił i uderzył łokciem w szczękę. Svenson z głuchym pomrukiem upadł na rzeźnicki pień, z impetem uderzając wygiętymi plecami o jego krawędź. Na oślep sięgnął za głowę i złapał rączkę jakiegoś narzędzia. Uderzył nim w tej samej chwili, gdy pięść przeciwnika trafiła go w brzuch. Svenson zgiął się wpół, lecz jego cios był wystarczająco silny, żeby odrzucić napastnika. Doktor spojrział, łapiąc oddech. Trzymał w ręku ciężki drewniany tłuczek do mięsa, o ponacinanej głęboko główce, by był bardziej skuteczny. Z rozbitej głowy ślaniającego się mężczyzny płynęła krew. Svenson uderzył jeszcze raz, trafiając w skroń, i przeciwnik padł.

Doktor spojrział na Lorenza. Pierwszy mężczyzna wciąż miał dłoń przybitą do stołu, a twarz bladą i wykrzywioną. Doktor Lorenz gorączkowo sięgał pod fartuch, z nienawiścią spoglądając na Svensona. Muszę dopaść tego pasa z flaszками! - pomyślał Svenson. Ruszył w kierunku stołu, podnosząc młotek. Unieruchomiony mężczyzna zobaczył go i z krzykiem osunął się na kolana. Lorenz, krzywiąc się z wysiłku, w końcu znalazł to, czego szukał - mały czarny pistolet! Przez moment obaj spoglądali na siebie.

- Jesteś natrętny jak wesz! - syknął Lorenz.

- Wszyscy zginiecie - szepnął Svenson. - Co do jednego.

- To śmieszne! Śmieszne!

Lorenz wyciągnął rękę, próbując wycelować. Svenson rzucił młotkiem w rząd szklanych naczyń, rozbijając je na kawałki, po czym padł na podłogę. Lorenz wrzasnął, rozwścieczony tym, że zrujnowano jego eksperyment, i przestraszony tym, że kawałki szkła obsypały mu twarz. Kula przeleciała przez pokój i utkwiała w drzwiach. Svenson poczuł, że leży na teczce, i ją złapał. Lorenz znów strzelił, lecz Svenson na szczęście potknął się o jakiś garnek (i wrzasnął, czując w kostce przeszywający ból), tak więc nie było go w miejscu, w

które tamten wycelował. Dopadł drzwi i przeleciał przez nie, a trzecia kula rozłupała drewno tuż przy jego głowie. Wytoczył się na korytarz, poślizgnął i ciężko klapnął na podłogę. W pomieszczeniu za nim Lorenz ryczał jak raniony byk. Svenson przebiegł przez główny hol i skręcił w boczny korytarz, mając nadzieję, że odnajdzie myśliwski pokój lorda Vandaariffa, zanim jego wypchana głowa zawiśnie tam na honorowym miejscu.

\*

Kuśtykał korytarzem, nie napotykał żadnych drzwi, głęboko zaniepokojony tym, co przed chwilą zrobił - swoją brutalnością i wyrachowaniem. Co się z nim stało? Zrzuca ludzi z pomostów jak szmaciane kukły, morduje, Strzelając przez lustra, dokonuje okropnej rzezi w kuchni, a wszystko to z taką łatwością i wprawą, jakby był doświadczonym zabójcą. Jak Kardynał Chang. A przecież nie jest Changiem, nie jest mordercą i już trzęsą mu się ręce, a twarz ma mokrą od potu. Zatrzymał się i ciężko oparł się o ścianę, gdy nagle przed oczami stanął mu przykry obraz dłoni tamtego nieszczęśnika, przybitej do stołu niczym biała podrygująca ryba. Żołądek podszedł mu do gardła i doktor Svenson pospiesznie rozejrzał się za jakąś urną, garnkiem lub doniczką. Niczego nie znalazł i siłą woli powstrzymał wymioty. W ustach pozostał mu gorzki smak żółci. Nie może tak biegać, staczając jedną potyczkę za drugą, nie wiedząc, czego właściwie szuka. Powinien usiąść, odpocząć i sobie popłakać, odpocząć choć przez chwilę. Wokół słyszał rozmowy gości i odgłosy przygotowań, muzykę, kroki - widocznie znajdował się bardzo blisko sali balowej. Z jękiem ulgi zauważył drzwi, małe, zwyczajne i niezamknięte. Prosząc Boga, w którego nie wierzył, żeby nie było za nimi nikogo, otworzył je i wślizgnął się do środka.

\*

Wszedł w ciemność, zamknął drzwi i natychmiast potknął się o coś, zdzierając sobie skórę z łydki i wywracając coś z trzaskiem, którego echo zdawało się cichnąć długie minuty. Zamarł, czekając... wstrzymując oddech w ciszy... W pobliżu nie słyszał żadnych dźwięków... na korytarzu również.. Powoli wypuścił powietrze. Łoskot spowodowały upadające kije - mioteł i szczotek. Znalazł się w schowku sprzątaczk.

Doktor Svenson ostrożnie postawił teczkę na podłodze i wyciągnął obie ręce w ciemności. Namacał półki - o jedną z nich przed chwilą zawadził nogą - i ostrożnie przesuwał po nich rękami, nie chcąc niczego zrzucić. Pospiesznie wodził palcami po jednej półce za drugą, aż natrafił na drewniane pudełko pełne śliskich cylindrycznych przedmiotów... Świece. Wyjął jedną z pudełka i zaczął szukać zapalek, które powinny być w tym samym miejscu. Rzeczywiście, znalazł je na półce poniżej. Przykucnął i ostrożnie zapalił zapalkę. Ile razy robił to w ciemne noce na statku? W mgnieniu oka tajemnicza komnata zmieniła się w

zwyczajny magazyn środków czystości: mydeł, ręczników, pasty do polerowania mosiądzu, wiader, mioteł, szczotek, miotelek do kurzu, garnków, fartuchów, octu, wosku, świec oraz... Błogosławił przezorność sprzątaczkę, która umieściła tu stołeczek. Odwrócił się i usiadł twarzą do drzwi. Sprzątaczkę była bardzo zapobiegliwa, gdyż w ścianę obok był wbity gwóźdź z przymocowanym do niego łańcuchem do zawiązywania na klamce i blokowania drzwi, tak by można je było otworzyć tylko od wewnątrz. Svenson szybko założył łańcuch i obok pudełka z zapalnikami zauważył trochę wolnej przestrzeni poplamionej woskiem - tam sprzątaczkę stawiała świecę. Wtargnął do jej kryjówki i ją zawłaszczył. Zamknął oczy i poddał się ciężarowi zmęczenia. Gdyby tylko ta sprzątaczkę zostawiła tu zapasik tytoniu...

\*

Bardzo łatwo byłoby zasnąć i wiedział, że to całkiem realne zagrożenie. Krzywiąc się, kazał sobie usiąść, a potem - dlaczego wciąż o niej zapomina? - przypomniał sobie o teczce i położył ją sobie na kolanach. Otworzył zatrzask i wyjął zawartość: gruby plik pergaminu, gęsto zapisanego drobnym pismem. Przekartkował notatki, trzymając je tak, by padało na nie światło świecy.

Zaczął szybko czytać, wodząc wzrokiem po kolejnych liniijkach, a potem kolejnych stronach. Był to wyczerpujący opis zwycięstw i podstępów, najwyraźniej pióra Roberta Vandaariffa. Svenson od razu rozpoznał dość nazwisk i miejsc, aby podążać szlakiem finansowego podboju - kantory we Florencji i Wenecji, firmy brokerskie w Wiedniu i Berlinie, kupcy futer w Sztokholmie, handlarze diamentów w Antwerpii. Jednak im uważniej czytał i im częściej przewracał kartki tam i z powrotem, aby posortować fakty (oraz ustalić, które skróty oznaczają instytucje, gdy okazało się, że „RLS” to Rosamonde Lacquer-Sforza, a nie Rotterdam Liability Service, jak początkowo sądził), tym większego nabierał przekonania, że ta opowieść ma dwa równoległe wątki: opisuje kampanię nacisków i podbojów oraz szereg niezwykłych postaci, niczym łańcuch wysp determinujących sposób przepływu pieniędzy. Jednak przede wszystkim rzuciły mu się w oczy liczne wzmianki o jego rodzinnym Macklenburgu.

Było najzupełniej oczywiste, iż Vandaariff podjął długotrwałe negocjacje, zarówno otwarcie jak przez wielu pośredników, zamierzając zakupić szmat ziemi w górzystej okolicy księstwa, łącznie z prawem wydobywania kopalin. Ten fakt potwierdzał to, co Svenson już odgadł, patrząc na czerwonawą glinę kamieniolomu przy Tan - Manor: że macklenburskie wzgórza kryją jeszcze obfitsze złoża niebieskiej gliny. Dowodził także, iż Vandaariff wiedział o przydatności tego surowca - o jego właściwościach i niegodziwych celach, do jakich można

go zastosować. I wreszcie potwierdzał to, co doktor podejrzewał już od dwóch dni: że Robert Vandaariff jest osobiście w to wszystko zamieszany.

Jedną po drugiej, doktor Svenson zidentyfikował pozostałe najważniejsze postacie spisku, dowiadując się, w jaki sposób znalazły się na kartach sprawozdania Vandaariffa. Hrabina pojawiła się przy okazji pewnych transakcji na rynku weneckim i to dzięki niej lord Vandaariff poznał w Paryżu hrabiego d'Orkancza jako tego, który miał dyskretnie doradzać mu przy zakupie pewnych przedmiotów, niedawno znalezionych w podziemiach bizantyjskiego klasztoru w Salonikach. Jednak była to tylko przykrywka, gdyż w rzeczywistości hrabia miał zbadać i określić właściwości pewnego minerału, którego próbki lord Vandaariff najwidoczniej zdobył w tajemnicy od tego samego weneckiego sprzedawcy. Doktor był zdumiony, nie znajdując żadnej wzmianki o Oskarze Veilandcie, na którego alchemicznych badaniach w tak znacznej mierze zdawali się opierać spiskowcy. Czyżby Vandaariff znał (lub opłacał) Veilandta od tak dawna, że nie widział potrzeby, by o nim wspominać? To nie miało sensu i Svenson przewrócił kilka kartek, sprawdzając, czy nie znajdzie nazwiska malarza później, lecz opowieść szybko rozwinęła się w relację o badaniach i działaniach dyplomatycznych, o naukowcach i odkrywcach z Królewskiego Instytutu, którzy również zostali poproszeni o zbadanie tych próbek, o środkach przeznaczonych na pewne eksperymenty (przy czym po raz pierwszy wymieniono doktora Lorenza i Francisa Xoncka), a potem o samym Macklenburgu, o tajnych kontaktach między lordem Vandaariffem, Haraldem Crabbe oraz ich macklenburskim wspólnikiem - oczywiście, pomyślał Svenson i przewrócił oczami - którym był cierpiący na chroniczną dyspepsję młodszy brat diuka, Konrad, biskup Warnemünde.

Przy pomocy tych wspólników i dzięki swoim pieniądзом Vandaariff bez przeszkód realizował swoje plany, wykorzystując instytut do zlokalizowania złóż, Crabbego do negocjowania zakupu ziemi, jaką nabywał od Konrada, działającego jako przedstawiciel zubożałych arystokratów, do których należała. Svenson zauważył, że kryło się w tym coś więcej, gdyż zamiast złota Konrad otrzymywał tajne dostawy broni przemycanej przez Francisa Xoncka. Brat diuka gromadził arsenał, żeby zapewnić sobie kontrolę nad dziedziczącym tron Karlem-Horstem. Svenson uśmiechnął się, rozbawiony ironią losu. Spiskowcy wykorzystali nieświadomego niczego Konrada, pozwalając mu w tajemnicy uzbroić armię, którą - kiedy sami przejęliby władzę w imieniu mającego szybko przyjść na świat dziecka księcia i szybko pozbyli się Konrada - chcieli wykorzystać do ochrony swoich inwestycji, nie sprowadzając obcych wojsk, co mogłoby wywołać powstanie. Właśnie takim działaniom Vandaariff zawdzięczał swoją reputację. A za tym wszystkim stali hrabia i

hrabina. Svenson szybko zrozumiał coś, czego nie pojmował Vandaariff, że choć finansista uważał się za architekta tego planu, w rzeczywistości był jedynie narzędziem. Doktor nie wątpił, że hrabina i hrabia wprowadzili ten mechanizm w ruch, manipulując lordem. Nie wiadomo, kiedy sprzymierzyli się z pozostałymi, czy uczynili to przed, czy po zwerbowaniu ich przez Vandaariffa, ale natychmiast pojął, dlaczego wszyscy zgodzili się zwrócić przeciwko swojemu dobroczyńcy. Niekontrolowany Vandaariff mógł dyktować im wysokość zysków, a mając go w swej mocy, mogli dysponować całym jego bogactwem.

Wielu rzeczy Svenson nie rozumiał - na przykład braku jakiegokolwiek wzmianki o Veilandcie i jak klika zdołała podporządkować Vandaariffa, który jeszcze podczas przyjęcia zaręczynowego był sobą. Czyżby dlatego zabito Trappinga, bo zagroził, że powie Vandaariffowi, co dla niego szykują? Jeśli tak, to dlaczego niektórzy członkowie kliki nie wiedzą, kim jest zabójca Trappinga? A może Trapping chciał powiedzieć, co hrabia zamierza zrobić z Lydią, jeśli lord Robert jeszcze o tym nie wiedział? Nie, jakie znaczenie miałyby dla nich uczucia Vandaariffa, jeśli zamierzali zrobić go swoim niewolnikiem? A może Trapping odkrył coś innego, coś, co obciążało jednego z członków kliki w oczach pozostałych? Tylko którego i jaki to był sekret?

Svensonowi kręciło się w głowie od nadmiaru nazwisk, dat, miejsc i liczb. Skupił wzrok na gęsto zapisanych kartkach. W Macklenburgu tyle się działo, a on tego nie zauważył. Korzenie spisku sięgały coraz głębiej, ci ludzie gromadzili bogactwa i wpływy, a także - czytając to, pokręcił głową - robili wszystko, żeby je powiększyć. Podpalenia, szantaże, groźby, morderstwa... a nawet... Jak długo to trwało? Wyglądało na to, że całe lata. Czytał o eksperymentach „dokonywanych w celach naukowych i praktycznych”, w ramach których rozsiewano choroby w tych okręgach, gdzie właściciele nie chcieli sprzedać ziemi.

Krew zastygła mu w żyłach. Ujrzał słowa „zakażenie krwi”. Korynna... Czyżby zamordowali ją ci ludzie? Zabili setki ofiar... zarazili jego kuzynkę... żeby obniżyć cenę ziemi?

\*

Usłyszał kroki przed drzwiami. Szybko i bezszelestnie wepchnął kartki do teczki i zdmuchnął świeczkę. Nasłuchiwał. Znów kroki i... czyjeś głosy? Muzyka? Gdyby tylko wiedział, w której części domu się znajduje! Skrzywił się. Gdyby miał nabity rewolwer, gdyby nie czuł się jak połamany, gdyby miał skrzydła! Zakrył oczy dłonią. Drżała. Jest w niebezpieczeństwie, a musi znaleźć pozostałych... i księcia. Jednak tę potrzebę przekreślało podejrzenie - nie, nie podejrzenie, lecz fakt, co do którego nie miał cienia wątpliwości - że przez to wszystko, przez tych ludzi, zginęła Korynna, zamordowana przez nich przypadkowo,

obojętnie i bezmyślnie. Jakby nie czuł już swojego ciała, ale uwolnił się od niego, zachowując jednak nad nim władzę. Tak długo zmagał się i przeklinał okrutny los oraz bezduszny świat, a teraz odkrył, że śmierci ukochanej nie spowodowały siły natury, lecz działania chciwych ludzi. Doktor Svenson przycisnął dłoń do ust, tłumiąc łkanie. Można było temu zapobiec. To nie musiało się zdarzyć.

\*

Otarł oczy i ze świstem wypuścił powietrze z płuc. Trudno to znieść. Z pewnością jeszcze trudniej znieść to w ciasnym schowku. Zdjął łańcuch z klamki, otworzył drzwi i wyszedł na korytarz, zanim nerwy zupełnie odmówiły mu posłuszeństwa. Wszędzie wokół - widoczni w otwartych przejściach - stali goście w maskach i płaszczach. Napotkał spojrzenie jednej z takich par i z uśmiechem skłonił głowę. Odwzajemnili ukłon z uprzejmą zgrozą na twarzach, wywołaną jego wyglądem. Wykorzystując przewagę zaskoczenia, doktor skinął na nich palcem. Przystanęli i inni goście mijali ich, zmierzając ku sali balowej. Kiwnął ponownie, z zachęcającym uśmiechem. Mężczyzna zrobił krok w jego kierunku, a kobieta trzymała go za rękę. Svenson skinął jeszcze raz i mężczyzna w końcu podszedł bliżej, zostawiwszy kobietę.

- Najmocniej przepraszam - szepnął Svenson. - Jestem na służbie księcia Macklenburga, który, jak zapewne panu wiadomo, jest zaręczony z panną Vandaariff. - Wskazał swój mundur. - Uknuto spiszek, doszło do aktów przemocy i jak pan widzi, moja twarz...

Tamten kiwnął głową, ale najwyraźniej zastanawiał się, czy uciec od Svensona, czy mu zaufać.

- Muszę dotrzeć do księcia, który będzie z panną Vandaariff i jej ojcem, ale jak sam pan widzi, nie mogę tego zrobić w tym tłumie, nie powodując zamieszania i rwetesu, co - zapewniam - byłoby niebezpieczne dla wszystkich zainteresowanych.

- Rozejrzał się na boki i dodał jeszcze ciszej: - Wciąż mogą tu krążyć tajni agenci...

- Istotnie! - odparł tamten, z wyraźną ulgą, że może coś powiedzieć. - Powiedziano mi, że jednego schwytano!

Svenson pokiwał porozumiewawczo głową.

- Jednak mogą być inni, a ja muszę dostarczyć wiadomości. Wprost boję się pytać, ale może... czy mógłby mi pan pożyczyć płaszcz? Wspomniałbym o panu księciu i jego współnikom, oczywiście, wiceministrowi, hrabiemu, hrabinie...

- Zna pan hrabinę? - syknął tamten, z poczuciem winy zerkając na czekającą w przejściu kobietę.

- O tak - uśmiechnął się Svenson, nachylając się do jego ucha. - Mam jej pana przedstawić? Jest wprost niezrównana.

\*

W czarnym płaszczu zakrywającym mundur poplamiony krwią, sadzą i pomarańczowym pyłem oraz w czarnej masce zabranej Flaussowi doktor wmieszał się w tłum zmierzający do sali balowej, przepychając się energicznie, na wszelkie narzekania odpowiadając mamrotaniem po niemiecku. Spojrzał w górę i przez następne przejście ujrzał sufit sali balowej, lecz zanim tam dotarł, usłyszał podniesione głosy, które zagłuszył ostry rozkaz:

- Otwórzcie drzwi!

Głos należał do hrabiny. Trzasnęły rygle, a potem rozległy się przerażone szepty ludzi stojących w pierwszych rzędach, którzy zobaczyli... co? Kto przybył? Co się stało? W sali zapadła głucha cisza.

Zaczął jeszcze bardziej bezceremonialnie przepychać się naprzód, aż minął ostatnie przejście i znalazł się w sali balowej. Była pełna gości, którzy właśnie zaczęli się cofać, jakby robiąc miejsce dla kogoś na środku komnaty. Jakaś kobieta krzyknęła, potem druga, ale obie zaraz ucichły. Przecisnął się przez wyraźnie zaniepokojony tłum, aż dotarł do kręgu dragonów, a wtedy przez lukę między odzianymi w czerwone płaszcze żołnierzami zobaczył ponurą twarz pułkownika Aspiche'a. Natychmiast odwrócił się i ujrzał stojącego w kręgu hrabiego d'Orkancza. Przecisnął się przez jeszcze jeden krąg widzów i stanął jak wryty.

\*

Kardynał Chang kulił się na czworakach, półprzytomny, ze śliną ciekącą z ust. Nad nim stała naga kobieta, wyglądająca jak ożywiona rzeźba z błękitnego szkła. Hrabia trzymał ją na rzemiennej smyczy przymocowanej do skórzanej obroży. Svenson zamrugał i przełknął ślinę. Była to kobieta ze szklarni - - Angelika - a w każdym razie jej ciało i włosy... Zakręciło mu się w głowie, gdy tylko pomyślał, co zrobił d'Orkancz, nie mówiąc już o tym, jak tego dokonał. Z niepokojem popatrzył na Changa. Czy to możliwe, że jest w gorszych opałach niż Svenson? Wyglądał okropnie, spocony i blady, zbryzgany krwią, w pociętym, poplamionym i nadpalonym płaszczu. Spojrzenie Svensona pomknęło dalej, w kierunku podium, gdzie rzędem siedzieli wszyscy jego wrogowie: hrabina, Crabbe (lecz nie Bascombe, co dziwne), Xonck, Karl-Horst ramię w ramię z blondynką z amfiteatru. Tak jak obawiał się doktor, Lydia Vandaariff stała się równie bezwolnym narzędziem kliku jak jej ojciec.

Po sali znów przeleciał szmer niczym syk przyboju i tłum rozstąpił się, przepuszczając na środek dwie następne kobiety. Pierwsza nosiła zwykłą czarną suknię, czarną maskę i miała

czarną wstążkę we włosach. Za nią szła kobieta o kasztanowych włosach, w białych jedwabnych szatach. To była panna Temple. Chang zobaczył ją i podniósł się na klęczki. Kobieta w czerni ściągnęła maskę pannie Temple. Svenson jęknął. Na jej twarzy zobaczył wyraźnie widoczne ślady procesu. Nic nie powiedziała. Kątem oka Svenson zauważył Aspiche'a z pałką w dłoni. Pułkownik uderzył i Chang rozciągnął się na podłodze. Aspiche skinął na dwóch dragonów i wskazał im drzwi, przez które weszły kobiety.

Wywleczono Chang. Panna Temple nie zaszczyciła go nawet spojrzeniem.

\*

Jego sprzymierzeńcy byli wykończeni. Chang fizycznie, a panna Temple psychicznie. Svenson musiał spojrzeć prawdzie w oczy: obojga nie można uratować ani uleczyć. A jeśli schwytano pannę Temple, to czego, oprócz śmierci lub tego samego losu, może oczekiwać Elóise? Gdyby ich nie opuścił... Znow zawiódł! Jedna katastrofa po drugiej! Ta teczka... gdyby zdołał przekazać jej zawartość we właściwe ręce, to przynajmniej jeszcze ktoś oprócz niego wiedziałby... Jednak stojąc w pełnej sali balowej, doktor Svenson wiedział, że to próżne nadzieje. Miał niewielkie szanse na ucieczkę z tego domu, a jeszcze mniejsze na dotarcie do granicy lub na statek. Nie miał pojęcia, co robić. Mrużąc oczy, spojrzął na podium, na idiotycznie uśmiechniętego księcia. Gdyby miał rewolwer, wyskoczyłby z tłumu i strzelił. Gdyby zabił księcia i jeszcze kilku wrogów, to by wystarczyło... Jednak nie pozwolono mu nawet na taki gest.

Z zadumy wyrwał go głos hrabiny.

- Moja droga Celeste - zawołała - jak dobrze, że... dołączyłaś do nas! Pani Stearne, jestem wdzięczna za przybycie w porę.

Kobieta w czerni dygnęła z szacunkiem.

- Pani Stearne! - powiedział ochryplym głosem hrabia d'Orkancz. - Czy nie chce pani zobaczyć swoich odmienionych towarzyszek?

Potęźnie zbudowany arystokrata wskazał ręką wejście i ludzie wokół Svensona zaczęli wiercić się i wyciągać szyje, żeby zobaczyć, jak następne dwie lśniące błękitne kobiety, także nagie i z obrożami na szyjach, powoli i prowokacyjnie wchodzi do sali, cicho klapiąc bosymi stopami o parkiet. Ich ciała były lśniące i jasne, na tyle przezroczyste, by w głębi było widać ciemniejsze smugi błękitu. Obie trzymały w dłoniach zwinięte smycze i kiedy podeszły, podały je hrabiemu i stanęły, bez cienia zainteresowania spoglądając na tłum. Ta stojąca bliżej... Svenson przełknął ślinę. Włosy na jej głowie - prawdę mówiąc, uzmysłowił sobie z dreszczem niepokoju, że to jedyne owłosienie na jej ciele - były spalone na lewej skroni. Amfiteatr i płonąca nafta... Patrzył na pannę Poole. Jej ciało było piękne i zarazem nieludzkie

- ta gładka powierzchnia, szklista, a jednocześnie miękka... Svenson spoglądał na to ze zgrozą, a jednak nie mógł oderwać oczu i z niepokojem poczuł, że ten widok go podnieca. Co do trzeciej kobiety, trudno było rozpoznać jej rysy twarzy, ale mogła to być jedynie pani Marchmoor.

Hrabia lekko pociągnął smycz panny Poole, która podeszła do kobiety w czerni. Ta nagle opuściła głowę i zachwiała się, z oczami zasnutymi mgłą. Co się stało? Panna Poole obróciła się w kierunku Svensona. Doktor zaczął się cofać przed spojrzeniem tych dziwnych oczu, lecz te zdawały się przesywać go na wskroś. Kolana ugięły się pod nim i przez jedną okropną chwilę cała sala wirowała mu przed oczami. Był na kanapie w ciemnym salonie, a jego dłoń - delikatna kobieca dłoń - gładziła rozpuszczone włosy pani Stearne, gdy z drugiej strony jakiś mężczyzna w masce pochylał się, by pocałować ją w usta. Panna Poole (ta wizja była jej doznaniem, tak jak w niebieskim szkiełku albo w księgach... stała się żywą księgą!) powoli przeniosła spojrzenie dalej i sięgnęła po kieliszek z winem rękaw białej szacie, podobnej do szaty panny Temple, obie nosiły białe jedwabne szaty podczas inicjacji! Nagle jednak salon znikł i Svenson znów znalazł się w sali balowej, walcząc z żołądkiem podchodzącym mu do gardła. Wokół niego inni goście potrząsali głowami, oszołomieni. Co to było? Zawartość niebieskich szkiełek przekazywano wprost do umysłów wszystkich widzów!

Doktor Svenson rozpaczliwie starał się znaleźć sens tego wszystkiego - kart, procesu, ksiąg, a teraz przemiany tych kobiet w trzy demoniczne gracje - ma tak mało czasu! Wydawało mu się, że rozumie resztę, cel procesu transformacji i produkcji ksiąg, gdyż szantaż i zdobywanie wpływów to często spotykane rzeczy, nawet na tak ogromną skalę, ale to... To była alchemia, której nie był w stanie zgłębić, tak jak nie potrafił sobie wyobrazić, dlaczego ktoś mógłby poddać się czemuś tak okropnemu!

Hrabia powiedział coś jeszcze do pani Stearne i do hrabiny, która mu odpowiedziała, ale doktor nie mógł śledzić ich rozmowy, wciąż oszołomiony przez tę natrętną wizję. Zatoczył się, wpadając na równie zdezorientowanych ludzi za plecami, a potem odwrócił się, żeby przedrzeć się przez tłum, uciec od wrogów, uciec od panny Temple. Nie zrobił nawet siedmiu kroków, gdy ujrzał inny obraz... samego siebie!

Znów był w Tarr Manor, stojąc przed panną Poole na schodach kamieniołomu, Crabbe uciekał na czworakach, a tamci skoczyli na niego, złapali go i przerzucili przez poręcz. Znów zanurzył się we wspomnieniach panny Poole, obserwując swoją klęskę tak gwałtownie, że poczuł nawet jej lekkie rozbawienie na widok jego mizernych wysiłków.

Svenson jęknął, odzyskując przytomność na czworakach na parkiecie. Ludzie odsuwali się od niego, tworząc wolną przestrzeń. Właśnie to przydarzyło się Changowi. Jakoś wyczuła go w tłumie. Svenson usiłował wstać i uciec, ale silne dłonie odepchnęły go i wbrew jego woli rzuciły na środek sali.

\*

Znów się poślizgnął i upadł, wymachując teczką. To koniec. A jednak, coś... usiłował skupić myśli, ignorując wszystko... jakieś krzyki, kroki... Doktor Svenson potrząsnął głową, próbując skupić się na tym co... co... co właśnie widzi! W pierwszej wizji panny Poole - tej o pani Stearne - mężczyzną na kanapie był Arthur Trapping, ze świeżymi śladami procesu transformacji na twarzy. Wspomnienie dotyczyło wieczoru, kiedy umarł - obejmując czas na pół godziny przed morderstwem... A kiedy panna Poole odwróciła głowę, żeby wziąć kieliszek z winem, Svenson zobaczył lustro wiszące na przeciwległej ścianie. W tym lustrze dostrzegł charakterystyczną postać Rogera Bascombe'a, patrzącego z cienia zza uchylonych drzwi.

Nic nie mógł zrobić. Z rozpaczą popatrzył na pannę Temple, a jej obojętne spojrzenie złamało mu serce. Aspiche wyrwał mu teczkę z ręki, a dragoni mocno złapali go za ramiona. Pułkownik machnął pałką i doktora Svensona bezceremonialnie popchnięto na spotkanie przeznaczenia.

## 10

### Dziedziczności

Hrabia d'Orkancz poprowadził ich wszystkich - pannę Temple, pannę Vandaariff, panią Steame i dwóch żołnierzy, w górę, ciemnym przejściem między ławkami amfiteatru. Ten był równie odpychający, jak go zapamiętała, i spojrzała na pusty stół ze zwisającymi pasami oraz rząd stojących pod nim drewnianych skrzynek (niektóre były otwarte i wylewały się z nich strumienie pomarańczowego filcu) ze zgrozą, od której niemal ugięły się pod nią kolana. Hrabia żelazną ręką trzymał ją za ramię. Obejrzał się, sprawdzając, czy wszyscy przybyli, zanim ruchem głowy przekazał ją pani Stearne, która stanęła między dwiema kobietami w białych szatach, ujmując ich dłonie i mocno je ściskając. Pomimo kipiącego w niej gniewu panna Temple odpowiedziała na to odruchowym uściskiem, gdyż tak naprawdę była bardzo przestraszona. Mimo wszystko nie zaszczyciła jej spojrzeniem. Hrabia postawił swój monstrualny mosiężny hełm na jednym ze stołów upstrzonych śladami rdzy (a może zaschniętej krwi?) i podszedł do olbrzymiej tablicy. Szybkimi i zamaszystymi mchami napisał na niej dużymi literami „I TAK OTO ZOSTANĄ ODRODZENI”. Ten napis wydał się pannie

Temple w pewien sposób znajomy, jakby podczas poprzedniej wizyty widziała go w jakimś innym miejscu. Przygryzła wargę, gdyż odniosła wrażenie, że jest to dziwnie ważne, ale nie zdołała sobie przypomnieć dlaczego. Hrabia odłożył kredę na tacę i odwrócił się do nich.

- Panna Vandaariff będzie pierwsza - oznajmił głosem znów przypominającym łoskot toczących się gładów - ponieważ musi wziąć udział w uroczystości, a więc powinna dojść do siebie po inicjacji. Obiecuję ci, moja droga, że to zaledwie pierwsza z wielu przyjemności czekających cię podczas tego wieczoru.

Panna Vandaariff przełknęła ślinę i próbowała się uśmiechnąć. Chociaż zaledwie przed chwilą była w radosnym nastroju, widok tego pomieszczenia i ponura mina hrabiego najwidoczniej znów wzbudziły w niej lęk. Panna Temple pomyślała, że zaniepokoiłyby żelazny posąg świętego.

- Nie wiedziałam, że jest tu takie pomieszczenie - powiedziała bardzo cicho Lydia Vandaariff. - Oczywiście jest tu wiele pokoi, a mój ojciec... mój ojciec... jest niezwykle zajęty...

- Jestem pewna, że nie przypuszczał, iż interesuje cię nauka, Lydio - uśmiechnęła się pani Steame. - Na pewno jest tu wiele magazynów i warsztatów, których też nigdy nie widziałas!

- Pewnie tak - kiwnęła głową panna Vandaariff. Spojrzała na pustą galerię za rzędem lamp, głośno czknęła i zasłoniła usta dłonią. - Czy ludzie będą na to patrzyli?

- Oczywiście - odparł hrabia. - Masz dać przykład. Dawałaś go przez całe życie, służąc swojemu ojcu. Dziś wieczorem przysłużysz się naszemu dziełu i twojemu przyszłemu mężowi, ale przede wszystkim, panno Vandaariff, sobie. Rozumiesz?

Pokornie pokręciła głową, że nie.

- Tym lepiej - wychrypiął - gdyż zapewniam cię, że zrozumiesz.

Sięgnął pod skórzany fartuch i wyjął srebrny kieszonkowy zegarek na łańcuszku. Zmrużył oczy i schował go.

- Pani Stearne, zechce pani odsunąć się od panny Vandaariff? Panna Temple dodała sobie odwagi głębokim wdechem, gdy Caroline puściła jej dłoń i podprowadziła Lydię do stołu. Hrabia spojrzał nad nimi na dwóch żołnierzy.

Zanim panna Temple zdążyła się poruszyć, żołnierze doskoczyli do niej i mocno ją przytrzymali, unosząc tak, że stała na palcach. Hrabia zdjął skórzane rękawice, rzucając jedną po drugiej na mosiężny hełm. Jego głos był stanowczy i ostry jak brzytwa fryzjera.

- Co do pani, panno Temple, zaczekasz, aż panna Vandaariff przejdzie próbę. Będiesz na to patrzyła i ten widok pogłębi twój strach, gdyż całkowicie zagubiłaś się w tej

sprawie. Teraz będziesz moja. Co gorsza, i mówię ci to teraz, żebyś w pełni mogła to zrozumieć, tę twoją autonomię podarujesz mi dobrowolnie, radośnie i z wdzięcznością - sama. Jeśli zachowasz jakieś wspomnienia tych swoich nieznośnych uczynków z ostatnich dni, będziesz patrzyła na nie jak na wybryki rozkapryszonego dziecka albo gorzej, nieposłusznego pieska. Będziesz zawstydzona. Wierz mi, panno Temple, w tym pokoju narodzisz się na nowo, skruszona i mądra... albo wcale. Gapił się na nią. Panna Temple nie odpowiedziała. Nie mogła.

\*

Hrabia prychnął, po czym znów sięgnął po zegarek i zmarszczywszy brwi, schował go pod fartuchem.

- Było zamieszanie na korytarzu... - zaczęła pani Steame.

- Jestem tego świadom - burknął hrabia. - Jednak to... opóźnienie... Przyszli wyznawcy z pewnością już czekają. Zaczynam myśleć, że błędem było nie posłać pani...

Odwrócił się na dźwięk otwieranych drzwi na końcu przejścia. Pomaszerował tam.

- Czy ma pani choć odrobinę poczucia czasu, madame?! - ryknął w mrok, wrócił do stołu i pochylił się nad stojącymi tam skrzynkami. Za nim, schodząc ciemnym przejściem, szła uśmiechnięta młoda kobieta o bujnych kształtach i kręconych ciemnoblonde włosach, o okrągłej i roześmianej twarzy. Nosiła maskę z pawich piór i błyszczącą suknię kolom rzadkiego miodu, ze srebrnymi frędzlami wokół biustu i rękawów. Miała odsłonięte ramiona i niosła kilka zakorkowanych metalowych flaszek. Panna Temple była pewna, że już ją gdzieś widziała. Najwidoczniej był to wieczór natrętnych skojarzeń. Po chwili przypomniała sobie: to panna Poole, trzecia kobieta z powozu jadącego do Harschmort, która tamtej nocy została poddana transformacji.

- Wielkie nieba, monsieur hrabio - powiedziała radośnie panna Poole. - Mam doskonałe wycucie czasu i zapewniam pana, że tej zwłoki nie dało się uniknąć. Nasz program niebezpiecznie się wydłużył...

Urwała na widok panny Temple.

- Kto to jest? - zapytała.

- Celeste Temple. Sądzę, że już się znacie - warknął hrabia. - Przedłużył się z jakiego powodu?

- Powiem panu później. - Panna Poole spojrzała na pannę Temple, bynajmniej nie subtelnie dając do zrozumienia, dlaczego woli nie mówić o powodach opóźnienia, po czym odwróciła się i pomachała radośnie pani Stearne.

- Wystarczy powiedzieć, że musiałam zmienić suknię. Ten pomarańczowy pył, wie pan... Chociaż zanim zacznie pan na mnie krzyczeć, powiem, że nie zabrało mi to więcej czasu niż doktorowi Lorenzowi przygotowanie pańskiej cennej glinki.

Z tymi słowami podała hrabiemu flaszki i tanecznym krokiem podeszła do panny Vandaariff, znów z promiennym uśmiechem na ustach.

- Lydio! - pisnęła i uścisnęła jej dłonie, gdy panna Stearne spoglądała na to z uśmiechem, który panna Temple uznała za maskujący czujność.

- Och, Elspeth! - wykrzyknęła panna Vandaariff. - Przyszłam zobaczyć się z tobą w hotelu...

- Wiem o tym, moja droga, i naprawdę przepraszam, ale, wezwano mnie na wieś...

- Czułam się taka chora...

- Biedactwo! Przecież była tam Margaret, prawda?

Panna Vandaariff w milczeniu pokiwała głową, a potem pociągnęła nosem, jakby chciała powiedzieć, że nie chce być pocieszana przez Margaret, o czym panna Poole dobrze wie.

- Prawdę mówiąc, panna Temple zjawiała się tam pierwsza - zauważyła chłodno pani Stearne. - Miały sporo czasu na rozmowę, zanim pani Marchmoor zdołała ją przerwać.

\*

Panna Poole nie odpowiedziała, tylko zmierzyła pannę Temple taksującym wzrokiem. Odwzajemniwszy jej wyniosłe spojrzenie, panna Temple przypomniała sobie utarczkę w powozie, kiedy wbiła palce w oczy pannie Poole. Wiedziała, że tamta pomimo transformacji zachowa w pamięci wspomnienie tego upokorzenia jak bliznę po uderzeniu batem. Poza tym panna Poole była jedną z tych nieznośnie radosnych osób, których sama obecność doprowadzała pannę Temple do szału jak konieczność skonsumowania pół funta kremu za jednym posiedzeniem. Zarówno pani Marchmoor (opryskliwa i ponura), jak pani Stearne (zamyślona i skryta) ciężkie przejścia najwidoczniej dały do myślenia, natomiast nieustanna wesołość panny Poole sprawiała wrażenie histerycznej negacji. Pannie Temple jej zachowanie wydawało się tym bardziej odrażające, że udawała przyjaciółkę Lydii, żeby aplikować jej ten okropny „filtr”.

- Tak dobrze nam się rozmawiało z Lydią - powiedziała panna Temple. - Nauczyłam ją, jak wpychać palce w oczy głupim babom, które zapominają, gdzie ich miejsce.

Uśmiech zastygł na wargach panny Poole. Obejrzała się na hrabiego - wciąż zajętego skrzynkami, flaszkami oraz zwojami miedzianego drutu - po czym głośno powiedziała do pani Steame, tak żeby wszyscy usłyszeli:

- Ominęło panią tyle interesujących wydarzeń w posiadłości pana Bascombe'a. A może powinnam powiedzieć lorda Tarra? Nasze spóźnienie po części zostało spowodowane schwytaniem i egzekucją lekarza księcia, doktora... Och, jak on się nazywał? Dziwny człowiek, obawiam się, że już nie żyje. Drugim powodem była jedna z naszych kandydatek, której reakcja na zbiór była patologiczna, lecz nie fatalna, w wyniku czego sprawiła nam, hmm, dość poważny kłopot. Aczkolwiek doktor Lorenz jest przekonany, że można to opanować...

Zerknęła na hrabiego. Ten znieruchomiał i słuchał z nieprzeniknioną miną. Panna Poole udała, że tego nie zauważa, i ponownie zwróciła się do pani Stearne, unosząc kąciki wydatnych ust w chytrym uśmiechu.

- Zabawne, Caroline - pomyślałam, że to cię szczególnie zainteresuje - jest to, że ta Elóise Dujong jest opiekunką dzieci Arthura i Charlotte Trappingów.

- Rozumiem - powiedziała ostrożnie Caroline, jakby nie wiedziała, po co panna Poole wygłosiła tę uwagę. - I co się stało z tą kobietą?

Panna Poole wskazała na ciemne przejście między rzędami.

- No, jest w sąsiednim pokoju. Pan Crabbe zasugerował, żeby wykorzystać taką zuchwałość, więc przyprowadziłam ją tu na inicjację.

Panna Temple zobaczyła, że panna Poole spogląda na hrabiego, zadowolona z tego, że może przekazać mu informacje, których nie znał.

- Ta kobieta była blisko związana z Trappingami? - zapytał.

- A więc również z Xonckami - odparła panna Poole. - To Francis zwabił ją do Tan - Manor.

- Czy wyjawiała coś? O śmierci pułkownika albo... albo o... Z niezwykłą dla niego rezerwą ruchem głowy wskazał Lydię.

- Nic mi o tym nie wiadomo, choć oczywiście to wiceminister przesłuchiwał ją ostatni.

- Gdzie jest pan Crabbe? - zapytał.

- Właściwie powinien pan najpierw poszukać doktora Lorenza, monsieur hrabio, gdyż szkoda wyrządzona przez tę kobietę... jeśli pamięta pan, kto jeszcze brał udział w naszym spotkaniu w Tarr Manor... Szkoda jest tak poważna, że doktor pragnie się z panem skonsultować.

- Naprawdę? - warknął hrabia.

- Jak najszybciej. - Uśmiechnęła się. - Gdyby mógł się pan rozdwoić, monsieur, gdyż pańska wiedza jest potrzebna na tylu frontach! Obiecuję, że zrobię, co w mojej mocy, żeby

wyciągnąć jakieś informacje od tej damy, gdyż wygląda na to, że wiele osób mogło życzyć pułkownikowi śmierci.

- Dlaczego tak sądzisz, Elspeth? - spytała Caroline. Nie odrywając oczu od księcia, panna Poole odparła:

- Ja tylko powtarzam słowa wiceministra. Jako bywający w tylu miejscach pułkownik miał doskonałą okazję poznać... wiele tajemnic.

- Jednak tutaj wszyscy jesteśmy jednomyślni - podkreśliła Caroline.

- Mimo to pułkownik nie żyje. - Panna Poole zwróciła się do Lydii, która z niepewnym półuśmiechem przysłuchiwała się rozmowie. - A skoro mowa o tajemnicach... kto wie coś, czego my nie wiemy?

\*

Hrabia gwałtownie chwycił hełm i rękawice. Robiąc to, przysunął się do panny Poole, która mimo woli odruchowo cofnęła się o krok.

- Najpierw inicjacja panny Vandaariff - burknął - a potem panny Temple. Następnie, jeśli starczy czasu - i tylko wtedy - dokona pani inicjacji tej trzeciej kobiety. Zademonstrowanie efektów naszej pracy jest ważniejsze od inicjacji jako takiej.

- Jednak wiceminister...:- zaczęła panna Poole.

- Jego życzenia nas nie obchodzą. Pani Stearne, pójdzie pani ze mną.

- Monsieur?

Było oczywiste, że pani Stearne zamierzała zostać w amfiteatrze.

- Są ważniejsze zadania - syknął i odwrócił się, gdy dwaj mężczyźni w skórzanych fartuchach i hełmach weszli, na pół niosąc bezwładną kobietę.

- Panno Poole, przemówi pani do widzów, ale niech pani nie próbuje dotykać maszynarii. - Krzyknął w kierunku ciemnej galerii: - Otwórzcie drzwi!

Odwrócił się na pięcie i szybkim krokiem ruszył przejściem, znikając w mroku.

Pani Steame popatrzyła na pannę Temple, a potem na Lydię. Miała zatroskaną minę. Potem spojrzała na uśmiechniętą twarz panny Poole, której elegancki strój sprawiał - przynajmniej w opinii właścicielki - że pani Stearne w zwykłej czarnej sukni wydawała się nie pasować do tego miejsca.

- Jestem pewna, że porozmawiamy sobie później - rzekła panna Poole.

- Istotnie - odparła pani Steame i ruszyła za hrabią. Kiedy odeszła, panna Poole skinęła na dwóch pomocników hrabiego. Nad nimi otworzyły się wszystkie drzwi i ludzie wchodzili na galerię, szepejąc na widok tego, co zobaczyli na podium.

- Połóżmy drogą Lydię na stole. Panowie?

\*

Podczas mąk, jakim poddano pannę Vandaariff, dwaj macklenburscy żołnierze mocno trzymali pannę Temple. Panna Poole wepchnęła jej do ust bawełniany knebel, który nie pozwalał jej powiedzieć ani słowa. Chociaż próbowała wypchnąć go językiem, zdołała jedynie przesunąć wilgotny materiał głębiej i zaczęła się obawiać, że może się nim udławić i udusić. Zastanawiała się, czy ta cała Dujong była przy doktorze Svensonie do końca. Na myśl o tym biednym, miłym człowieku panna Temple zamruła energicznie, powstrzymując płacz, gdyż z zapchanym nosem nie mogłaby oddychać. Doktor... zginął w Tan - Manor. Nie rozumiała tego. Przecież Roger był w pociągu do Harschmort, nie w Tarr Manor. Po co ktoś miałby tam jechać? Znow pomyślała o niebieskim szkiełku, o rozmowie Rogera z wiceministrem w powozie... Zakładała, że Rogera skuszono obietnicą wejścia w posiadanie Tarr Manor. Czy to możliwe, że było wprost przeciwnie - że chcąc wejść w posiadanie Tarr Manor, skusili Rogera?

Zaraz jednak pojawiła się inna natrętna myśl. W ostatnich sekundach przeżycia zawartego w szkiełku widziała okute żelazem drzwi i wysoką komnatę... Barczysty mężczyzna pochylał się nad stołem, na którym leżała kobieta... To szkiełko pochodziło od pułkownika Trappinga. Mężczyzną przy stole był hrabia. A kobieta... tego panna Temple nie wiedziała.

Stłumione wrzaski Lydii, wycie maszynierii i naprawdę nieznośny smród przegnały te myśli z jej głowy. Panna Poole stała przed stołem, opisując widowni każdy etap procesu transformacji jak kolejne dania wystawnego posiłku, choć wyprężone ciało i kurczowo zaciśnięte pięści, czerwona twarz i zwierzęce jęki bólu dziewczyny zadawały kłam entuzjastycznemu uśmiechowi drę czyielki. Panna Temple patrzyła z obrzydzeniem, jak widzowie szepczą i klaszczą w kluczowych momentach, traktując to jak cyrkowy numer. Czy mają pojęcie, kto poci się przed nimi w męczarniach - piękność mogąca rywalizować z księżniczkami, ulubienica kronik towarzyskich, dziedziczka imperium? Widzieli tylko wijącą się kobietę i drugą, mówiącą im, jakie to wspańiałe. Panna Temple miała wrażenie, że ta scena obrazuje w skrócie całe życie Lydii Vandaariff.

Kiedy jednak było po wszystkim, panna Temple skarciła się w duchu za bezczynność. Nie sądziła, żeby zdołała wyrwać się tym dwóm żołnierzom, ale była pewna, że moment, gdy spojrzenia wszystkich przykuwał ten okropny widok, mógł być jej jedyną szansą. Gdy tylko pomocnicy hrabiego odwiązali Lydię i bezwładną ściągnęli ze stołu - przy czym napuszona panna Poole gorączkowo szeptała coś do ucha półprzytomnej dziewczyny - żołnierze podeszli do stołu i położyli na nim pannę Temple. Próbowała kopać, ale natychmiast złapali ją za nogi

i mocno przytrzymali. Po kilku sekundach leżała bezsilnie na plecach, na kocu ciepłym i wilgotnym od potu Lydii, z pasami mocno przytrzymującymi jej talię, szyję, pierś oraz ręce i nogi. Stół był ustawiony pod takim kątem, że siedzący na galerii mogli widzieć całe jej ciało, lecz panna Temple widziała tylko blask lamp naftowych i zbitą masę twarzy - równie obojętnych na jej los, jak ludzie czekający nad pustymi talerzami, aż podadzą im mięso.

Patrzyła na Lydię, gdy ta - z twarzą mokrą od potu, wilgotnymi włosami przyklejonymi do karku, otępiałym wzrokiem i rozdziawionymi ustami - bezwolnie poddawała się szybkim oględzinom panny Poole. Panna Temple z drżeniem pomyślała o swoim krótkim życiu, o korowodzie guwernantek i ciotek, rywalek i adoratorów, Bascombe'ów, panien Poole i pań Marchmoor... Teraz dołączy do tych ostatnich, pozbawiona hamulców, ukierunkowana w pożądany przez tamtych sposób, a jej determinacja zostanie wprzęgnięta w kierat cudzych dążeń.

A czego pragnęła zamiast tego? Panna Temple nie była pozbawiona samokrytycyzmu i widziała, jak bardzo zyskały na transformacji panie Marchmoor i Poole, że - w co wcale nie wątpiła - Lydia Vandaariff stanie się teraz osobą o żelaznej woli. Wiedziała, że nawet Rogera - jej oddech z głośnym świstem przedarł się przez knebel, gdy oczami duszy ujrzała jego twarz - wcześniej powstrzymywały skrupuły zrodzone ze strachu i nieśmiałości. Proces nie czynił ich mądrymi - wystarczyło, że przypomniła sobie, jak Roger nie potrafił pogodzić się z myślą, że takich wyczynów mogła dokonać jego była narzeczona - lecz dodawał im zuchwałości. Panna Temple znów się zakrztusiła, gdy bawełniany knebel zaczął ją dusić. Ona już jest zuchwałą. Nie potrzebuje jakiejś głupiej transformacji, a gdyby miała siłę mężczyzny i bat ojca, zaraz rzuciłaby wszystkich tych łotrów na kolana.

Ponadto panna Temple zdawała sobie sprawę - ledwie słuchając kwiecistej przemowy panny Poole - że w tych zmaganiach w znacznym stopniu chodzi o marzenia. Pani Marchmoor została uwolniona z burdelu, pani Steame od ciężaru wdowieństwa, a panna Poole od dziewczęcej nadziei poślubienia najlepszego z osiągalnych kandydatów... co panna Temple doskonale rozumiała. Natomiast one nie rozumiały - nikt tego nie rozumiał, od jej porywczego ojca, przez ciotkę, hrabiego i hrabinę z ich perwersyjnym zachowaniem - szczególnego charakteru jej pragnień, jej spieczonych słońcem, oddychających wilgotnym powietrzem, przesyconych smakiem soli marzeń. Oczami duszy widziała grzeszne fragmenty *Objawienia* Oskara Veilandta, wyraz zdumienia na twarzy Marii i błyszczące niebieskie dłonie z kobaltowymi paznokciami, wbitymi w jej uległe ciało... A jednak wiedziała, że jej własne pożądanie, aczkolwiek rozpalone takim fizycznym kontaktem, tak naprawdę jest już uformowane... Jej baiwy - pigmenty jej potrzeby - istniały, zanim zinterpretował je artysta:

maleńkie, twarde kamyki i kryształki soli, pióra i kości, muszle ociekające purpurowym atramentem, wilgotne na stole i wciąż pachnące morzem.

\*

Oto, co było w sercu panny Temple i teraz. Czując, jak mocno bije w jej piersi, nie bała się, lecz była coraz bardziej wściekła. Wiedziała, że nie umrze, że chcą ją tylko przemienić - jakby miała całkowicie pominąć etap śmierci i ulec powolnemu rozkładowi duszy, strawionej przez robaki, które oni umieszczą w jej umyśle. Nie pozwoli na to. Będzie z nimi walczyła. Zostanie taka, jaką jest, obojętnie co zrobią - obojętnie - a potem ich wszystkich pozabija! Gwałtownie poruszyła głową, gdy jeden z pomocników hrabiego nachylił się nad nią i zastąpił jej białą maskę goglami z metalu i szkła, przyciskając je tak mocno, że czarna guma przywarła do skóry. Zawyla przez knebel, gdyż metalowe krawędzie okularów były twarde i bardzo zimne. Lada chwila przez te miedziane przewody popłynie prąd. Wiedząc, że od męczarni dzielą ją zaledwie sekundy, panna Temple mogła tylko ponownie potrząsnąć głową i mobilizując całą siłę woli, powiedzieć sobie, że Lydia Vandaariff była słaba, to wcale nie będzie takie trudne, a rzucać się i wrzeszczeć będzie tylko po to, by ich zwiść, a nie dlatego, że ją do tego zmusili.

Dwaj żołnierze wnieśli do amfiteatru pannę Dujong, bezwładną i półprzytomną, i położyli ją na podłodze. Nieszczęsna została odziana w białe szaty, lecz włosy opadły jej na twarz i panna Temple nie mogła ocenić jej wieku ani urody. Ponownie zakrzuszyła się kneblem i szarpnęła więzy.

Nie wcisnęli włącznika. Przeklęła ich za to, że się z nią bawią. Wszyscy umrą. Zostaną ukarani - co do jednego. Zabili Changa. Zabili Svensona. Jednak to jeszcze nie koniec. Panna Temple nie zamierza pozwolić...

\*

Paski gogli mocno opinały jej głowę, ale nie aż tak, żeby nie słyszała wystrzałów i gniewnych okrzyków panny Poole. Później znów padły strzały i gniewny krzyk panny Poole przeszedł w przeraźliwy wrzask. Z kolei ten został zagłuszony przez potworny trzask, który wstrząsnął całym stołem, i jeszcze głośniejszy chóralny krzyk... Nagle poczuła dym i płomienie - płomienie! - zaczęły lizać jej stopy! Nie mogła mówić ani się poruszyć, a przez grube gogle widziała tylko ciemne sklepienie, a i to niewyraźnie. Co się stało ze światłem? Czyżby runął strop? Może te „strzały” w rzeczywistości były trzaskiem pękających belek słabego sklepienia?

Żar się wzmagał. Czyżby zamierzali zostawić ją tu, żeby spłonęła żywcem? Jeśli nie, jeżeli uda ranną, nie będą jej mocno trzymali. Wystarczy pchnąć z całej siły i uciec w przeciwną stronę... Tylko co, jeśli jej oprawcy już uciekli i zostawili ją na pastwę płomieni?

Czyjaś dłoń złapała ją za ramię i panna Temple wykręciła rękę, chwytając się tego kogoś. Nie mogła poruszyć głową, nic nie widziała przez gęstniejący dym. Zacisnęła palce. Muszą ją uwolnić, muszą! Powstrzymując krzyk, podkurczyła place, dalej od buchających płomieni. Ręka wyrwała się i panna Temple podupała na duchu, ale w następnej chwili ktoś zaczął majstrować przy klamrze pasa. Była głupia - jak ten ktoś mają uwolnić, jeśli trzyma go za rękę? Po krótkiej, lecz niepokojącej chwili pas puścił i ręce miała wolne. Jej wybawiciel zajął się jej nogami, a panna Temple bez namysłu zaczęła szarpać gogle. Znalazła zatrzask, czując, w którym miejscu zaciśnięto pasek, i skaleczyła się w palec, zrywając okulary z twarzy. Odrzuciła je, po czym złapała garść miedzianych drutów i usiadła, lekko kołyszając okularami, gotowa trzasnąć nimi w łeb tego sumiennego oprawcę, który postanowił ją odwiązać.

Zdołał rozpiąć pozostałe pasy i poczuła, jak wsuwa jedną rękę pod jej kolana, a drugą obejmuje jej plecy, żeby zdjąć ją ze stołu i postawić na podłodze. Panna Temple prychnęła, oburzona tym zuchwalstwem, gdyż jedwabne szaty były cienkie jak nocna koszulka i niezależnie od okoliczności, ten gest był nieznośnie poufały. Zamachnęła się, zamierzając uderzyć ciężkimi goglami (najeżonymi różnymi metalowymi końcówkami, które mogły wyrzucić dużą krzywdę), a drugą ręką wyrwała sobie knebel z ust. Dym był gęsty, a po drugiej stronie stołu buchały płomienie, pomarańczową ścianą odgradzając scenę od galerii i wyjścia z amfiteatru, gdzie słychać było krzyki i w mroku miały się jakieś postacie. Nabrała powietrza i zakrzuszyła się. Jej wybawca objął ją w pól, przyciskając do siebie. Wycelowała w tył jego głowy.

\*

- Tędy! Możesz iść?

Panna Temple powstrzymała cios. Ten głos... zawahała się, a w następnej chwili zniósł ją na dół, poniżej chmury dymu. Szeroko otworzyła oczy, jednocześnie uradowana widokiem stojącego przed nią człowieka i przestraszona jego wyglądem. Wydawało się, że naprawdę przeczłogał się przez piekło, żeby ją uratować.

- Możesz iść?! - zawołał ponownie.

Panna Temple skinęła głową, odrzucając gogle. Miała ochotę zarzucić mu ręce na szyję i zrobiłaby to, gdyby w tym momencie nie pociągnął jej za rękę, wskazując drugą

kobietę - tę Dujong? - która przybyła z Tarr Manor, a teraz kuliła się pod wygiętą ścianą sali z nogami okrytymi płaszczem doktora.

- Ona nie może! - przekrzyczał ryk płomieni. - Musimy jej pomóc!

Kobieta spojrzała na nich, gdy doktor wziął ją za jedną rękę, a posłuszna panna Temple za drugą. Podnieśli ją i zataczając się, ruszyli. Panna Temple była lekko zaniepokojona, a nawet zirytowana tak pospiesznym dokooptowaniem towarzyszką, choć kobieta była przynajmniej na tyle przytomna, że mamrotała coś do doktora Svensona. Czy panna Poole nie powiedziała o niej, że została zwabiona przez Francisa Xoncka? Czy nie była wyznawczynią posiadającą jakieś zastrzeżone informacje? Panna Temple nie miała ochoty na towarzystwo takiej osoby, chociaż dostrzegła szczerą troskę na twarzy doktora, gdy odgarniał włosy z jej spoconego czoła. Za plecami usłyszała tupot nóg i przeraźliwy syk ognia polewanego wodą z wiader. Zakaszłała, gdy w twarze buchnęły im kłęby czarnej pary. Doktor wychylił się zza tej Dujong i krzyknął do panny Temple:

- Chang! Latająca maszyna! Oficer dragonów! Nie... w szklaną księgę!

Panna Temple kiwnęła głową, lecz nawet gdyby syk płomieni ucichł, nie zdołałaby złożyć tych słów w sensowną całość - zbyt wiele innych spraw skupiało jej uwagę: gorący metal i połamane deski pod jej bosymi nogami, jedna ręka podtrzymująca tę kobietę, a druga wyciągnięta, macająca w półmroku. Co się stało ze światłem? Z oślepiającego blasku pozostała jedynie rozproszona pomarańczowa poświata, jak zimowe słońce, niemogące przebić się przez mgłę... Co się stało z panną Poole? Doktor Svenson odwrócił się, słysząc jakiś szmer za plecami. Zostawił cały ciężar kobiety pannie Temple, która powlokła się naprzód. Popchnął ją lekko. W półmroku zobaczyła, że doktor Svenson celuje z rewolweru do prześladowców i usłyszała jego krzyk:

- Ruszajcie! Natychmiast!

Zawsze doskonale rozumiejąca wymogi sytuacji panna Temple ugięła nogi w kolanach, zarzuciła sobie rękę kłopotliwej kobiety na ramię, a potem wyprostowała się, stękając, drugą ręką obejmując ją w pasie i starając się nieść w miarę swoich możliwości. Powoli odeszła od ściany i powlokła się przejściem, mając nadzieję, że przy schodzeniu w dół siła bezwładu pomoże jej przemieścić pannę Dujong. Na zakręcie odbiły się od ściany i obie krzyknęły (cały ciężar zderzenia przejęło ramię wyższej z nich dwóch), cofnęły się o krok i zachwiały, o mało nie upadły, aż wreszcie panna Temple zdołała skierować je obie do następnej części ciemnego korytarza. Zawadziła nogą o coś miękkiego i obie upadły, lecz nieruchome ciało, o które się potknęły, zamortyzowało upadek. Wyciągnięta w ciemności dłoń panny Temple natrafiła na fartuch jednego z pomocników hrabiego, a potem na lepką

smugę na podłodze - na pewno jego krew. Otarła dłoń o fartuch, podkuliła nogi i chwyciwszy pod pachy pannę Dujong, przeciągnęła przez zwłoki. Znów ją podniosła - postępując z głębokim przekonaniem, że nie nadaje się do takiej roboty - i namacała przed sobą drzwi. Nie były zamknięte ani zatarasowane przez leżące zwłoki. Sapiąc, wyciągnęła pannę Dujong przez jasno oświetlone przejście w chłodne, cudowne powietrze.

Zebrawszy wszystkie siły, wytaszczyła ją, najdalej jak mogła, aż ugięły się pod nią nogi, potknęła się i z rozmachem klapnęła na dywan. Na czworakach wróciła do otwartych drzwi i spojrzała, szukając doktora Svensona. Przez szparę sączył się dym. Nie widząc doktora, zatrasnęła drzwi i oparła się o nie, łapiąc oddech.

Przyległy pokój był pusty. Słyszała zgiełk w sali, którą opuściła, i tupot nóg w lustrzanym korytarzu po drugiej stronie. Popatrzyła na swoją podopieczną, właśnie próbującą podnieść się na czworaki. Zobaczyła czarne podeszwy jej stóp i nadpalony, odbarwiony skraj jej jedwabnej sukienki.

- Czy rozumie mnie pani? - syknęła niecierpliwie panna Temple. - Panno Dujong? Panno Dujong!

Kobieta odwróciła się do niej, z włosami zasłaniającymi twarz, próbując jakoś się poruszać w tej szacie, która razem z płaszczem doktora Svensona oplatała jej nogi. Panna Temple westchnęła i przykucnęła przy niej, starając się być miłą i troskliwą, dobrze wiedząc, że ma na to niewiele czasu, a szczerze mówiąc, także ochoty.

- Nazywam się Celeste Temple. Jestem przyjaciółką doktora Svensona. On został z tyłu i jestem pewna, że nas dogoni, lecz gdybyśmy nie zdołali uciec, jego trud poszedłby na marne. Rozumiesz mnie? Jesteśmy w Harschmort House. Tamci chcą nas zamordować.

Kobieta mrugała jak ospała jaszczurka. Panna Temple chwyciła ją pod brodę.

- Rozumiesz mnie? Kobieta kiwnęła głową.

- Przepraszam... oni... - Wykonała dłonią słaby i niewyraźny gest. - Nie mogę myśleć...

Panna Temple prychnęła i wciąż trzymając ją za brodę, szybkim ruchem palców odgarnęła jej włosy z twarzy, układając kosmyki jak ptak wijący gniazdo. Tamta była od niej starsza - w jej obecnym oplakany stanie trudno było powiedzieć, o ile lat - i gdy tak pozwoliła się trzymać i czesać, jej twarz przybrała spokojny wyraz i panna Temple niechętnie uznała, że panna Dujong sprawia sympatyczne wrażenie.

- W porządku, nie musisz - uśmiechnęła się, już tylko lekko spięta. - Mogę myśleć za nas obie, a nawet wolałabym. Jednak nie mogę za nas obie chodzić. Jeśli mamy przeżyć - i żyć, panno Dujong - musisz zacząć chodzić.

- Elóise - szepnęła.
- Słucham?
- Mam na imię Elóise.
- Wspaniale. To wszystko ułatwia.

\*

Panna Temple nie zaryzykowała otwarcia drzwi naprzeciwko, gdyż wiedziała, że korytarz za nimi będzie pełen służby i żołnierzy - chociaż nie miała pojęcia, dlaczego nie przybiegali wtedy do pożaru. Czyżby zakaz wchodzenia do sekretnych komnat, najwyraźniej wydany przez strzegącą swych sekretów klikę, obowiązywał personel nawet w tak kryzysowej sytuacji? Odwróciła się do Elóise, która wciąż klęczała, trzymając w ramionach jakąś podartą suknię - niewątpliwie tę, w której tu przybyła.

- Zniszczyli ją - powiedziała panna Temple, przechodząc obok i zmierzając do otwartych szaf. - Tacy już są. Sugeruję, żebyś odwróciła głowę...

- Przebierasz się? - spytała Elóise, starając się wstać. Panna Temple rozwarła na oścież drzwi szafy i zobaczyła w niej jedno z tych przeklętych luster. Rozejrzała się i znalazła drewniany stołek.

- Och nie - powiedziała. - Rozbijam szybę.

W momencie uderzenia panna Temple zamknęła oczy i cofnęła się, ale i tak rezultat był wielce zadowalający. Przy każdym następnym uderzeniu myślała o jednym z nieprzyjaciół - Spraggu, Farquharze, hrabinie, pannie Poole - i po każdym jej twarz rozpromieniała się jeszcze bardziej. Kiedy dziura była wybita, ale jeszcze nie dość duża, aby można było przez nią przejść, panna Temple z konspiracyjnym uśmiechem spojrzała na pannę Dujong.

- Tam jest sekretna komnata - szepnęła, a gdy tamta niepewnie skinęła głową, panna Temple odwróciła się i uderzyła jeszcze raz. Tego rodzaju działalności z łatwością mogła poświęcić następne pół godziny, odłamując kawałek po kawałku i strącając każdy wiszący fragment szkła. Jednak panna Temple nie zamierzała tracić czasu. Odstawiła stołek i podeszła tam, gdzie leżała podarta suknia Elóise. Rozpostarły ją razem nad swoimi głowami, żeby osłonić je przed spadającym szkłem, i przeszły przez dziurę w lustrze. Później panna Temple wzięła suknię, zwinęła ją w kłęb i rzuciła pod ścianę. Po raz ostatni spojrzała na drzwi, coraz bardziej zaniepokojona nieobecnością doktora, i wyciągnąwszy ręce, przymknęła oba skrzydła drzwi szafy, żeby zasłoniły rozbite lustro. Odwróciła się do Elóise, która tuliła do piersi płaszcz biednego doktora.

- On nas znajdzie - powiedziała panna Temple. - Czemu nie weźmiesz mnie pod rękę?

\*

Nic nie mówiąc, szły po dywanie mrocznego korytarza, a ponury blask gazowych lamp nadawał czerwoną barwę ich bladym i ubrudzonym sadzą twarzom oraz jedwabnym szatom. Panna Temple chciała odejść jak najdalej od pożaru i dopiero wtedy pomyśleć o ucieczce i przebraniach. Jednak przed każdym zakrętem oglądała się i nasłuchiwała kroków doktora. Czyżby uratował je kosztem własnego życia, a w dodatku zostawił ją w towarzystwie kobiety, której nie zna i której nie ma powodu ufać. Czowała na ramieniu ciężar Elóise i znów słyszała ponagląący głos doktora, żeby uciekały, natychmiast... Szła dalej.

Wąski korytarz kończył się rozwidleniem. Po lewej biegł dalej, na wprost była ściana z drabinką wznoszącą się do ciemnego szybu, a po prawej gruba czerwona zasłona. Panna Temple ostrożnie wyciągnęła palec i odchyliła kotarę. Zobaczyła następny pokój obserwacyjny z widokiem na dość duży i pusty salon. Jeśli naprawdę chce uciec przed pościgiem, nie powinna pozostawiać śladu w postaci drugiego zbitego lustra. Cofnęła się. Elóise nie wespnie się po drabinie. Poszły dalej w lewo.

- Jak się czujesz? - zapytała panna Temple, dokładając starań, aby w jej szepcie słychać było życzliwość i pewność siebie.

- Znacznie lepiej - odparła Elóise. - Dziękuję, że mi pomogłaś.

- Nie ma za co - powiedziała panna Temple. - Znasz doktora. Jesteśmy towarzyszami broni.

- Towarzyszami broni?

Panna Dujong spojrzała na nią i panna Temple dostrzegła w jej oczach niedowierzanie na widok jej niewielkiego wzrostu, jej siły i tych głupich szat. Znów poczuła ukłucie irytacji.

- Właśnie - skinęła głową. - Chyba byłoby lepiej, gdybyś zrozumiała, że doktor, ja i człowiek zwany Kardynałem Changiem połączyliśmy siły przeciwko tej klice drani o niegodziwych zamiarach. Nie wiem, ilu z nich znasz: hrabiego d'Orkancza, hrabinę di Lacquer-Sforzę, Francisa Xoncka... - To nazwisko panna Temple wymówiła z naciskiem, znacząco unosząc brwi. - Wiceministra Haralda Crabbego i lorda Roberta Vandaariffa. W ich szajce jest wielu pomniejszych członków, takich jak pani Marchmoor czy panna Poole, którą zapewne znasz, Caroline Steame, Roger Bascombe, zbyt wielu Niemców. Oczywiście trudno to wszystko streścić, ale najwidoczniej ma to związek z księciem Macklenburga, a jeszcze większy z dziwnym błękitnym szkłem, z którego robią księgi zawierające - czy też wchłaniające - ludzkie wspomnienia i doznania. To naprawdę niezwykle...

- Tak, widziałam je... - szepnęła Elóise.

- Widziałaś? - W głosie panny Temple pobrzmiwało rozczarowanie, gdyż nagle zapragnęła opisać komuś swoje zdumiewające przeżycia.

- Oni pokazali taką księgę każdej z nas...

- Jacy oni?

- Panna Poole i doktor... doktor Lorenz. - Elóise przełknęła ślinę. - Niektóre kobiety nie mogły tego znieść... i zginęły.

- Ponieważ nie chciały patrzeć?

- Nie, ponieważ popatrzyły. Te księgi je zabiły.

- Zabiły? Swoim widokiem?

- Tak sędzę.

- Ja od tego nie zginęłam.

- Zapewne jesteś bardzo silna - odparła Elóise.

Panna Temple pociągnęła nosem. Rzadko odrzucała komplementy, nawet jeśli wiedziała, że mają jakiś cel (jak wtedy, gdy Roger wychwalał jej delikatność i poczucie humoru, a jednocześnie jego dłoń na jej talii próbowała zbłądzić niżej), ale naprawdę wyrwała się z tej księgi dzięki sile woli, co było wyczynem, który zrobił wrażenie na zawsze wyniosłej hrabinie. Na myśl, że to mogło się skończyć inaczej, że mogła zostać całkowicie pochłonięta przez księgę i zginąć, dreszcz przebiegł jej po plecach. Istotnie, taki mógł być koniec, gdyż zawartość tej księgi była tak absorbująca. Jednak nie zdołała jej urzec i co więcej, panna Temple była głęboko przekonana, że gdyby zajrzała do innych takich ksiąg, urzekłyby ją w jeszcze mniejszym stopniu, gdyż skoro raz udało jej się wyrwać, z pewnością dokonałaby tego ponownie. Odwróciła się do Elóise, wciąż nie wiedząc, czy może jej zaufać.

- Jednak ty też musisz być silna, jako osoba, którą nasi wrogowie chcieli widzieć w swoich szeregach i którą zaprosili do Tarr Manor. Wiesz, że właśnie dlatego nosimy te szaty? Chcieli nas poddać inicjacji, aby otworzyć nasze umysły na przyjęcie ich ohydnych sekretów, poddać procesowi, który nagiąłby naszą wolę do ich celów.

Przystanęła i spojrzała na siebie, szarpiąc szatę obiema rękami.

- Mimo wszystko, chociaż nie nazwałabym tego stroju praktycznym, dotykający ciała jedwab... jest taki... hmm...

Elóise uśmiechnęła się, a przynajmniej próbowała, lecz panna Temple dostrzegła lekkie drzenie jej dolnej wargi.

- Po prostu... widzisz, ja nie pamiętam... Wiem, że przybyłam do Tarr Manor z jakiegoś powodu, ale za skarby świata nie mogę go sobie przypomnieć!

- Lepiej chodźmy stąd - rzuciła panna Temple, zerkając, czy drzeniu wargi nie towarzyszą łzy, i z ulgą stwierdzając, że nie. - Po drodze możesz mi opowiedzieć, co pamiętasz z Tarr Manor. Panna Poole wspomniała Francisa Xoncka i oczywiście pułkownika Trappinga...

- Jestem opiekunką dzieci pułkownika - powiedziała Elóise - i pan Xonck mnie zna. W istocie, był bardzo uważający od czasu zniknięcia pułkownika. - Westchnęła. - Widzisz, jestem powierniczką siostry pana Xoncka, żony pułkownika, a nawet byłam tu, w Harschmort House, tej nocy, gdy pułkownik znikł...

- Byłaś? - spytała nieco zaskoczona panna Temple.

- Zadają sobie pytanie, czy może byłam mimowolnym świadkiem czegoś lub podsłuchałam jakiś sekret... który obudził ciekawość pana Xoncka lub chęć wykorzystania tego przeciwko rodzeństwu albo nawet ukrycia swojego udziału w zamordowaniu pułkownika...

- Czy to możliwe, że wiedziałaś, kto go zabił i dlaczego? - spytała panna Temple.

- Nie mam pojęcia! - wykrzyknęła Elóise.

- Jednak jeśli wspomnienia przepadły, musiały być warte zabrania - zauważyła panna Temple.

- Tak, tylko czy dlatego, że dowiedziałam się czegoś, czego nie powinnam? Czy też zostałam - nie ma na to innego słowa - współwinną zbrodni?

\*

Elóise przystanęła, przyciskając dłoń do ust, ze łzami w oczach. Pana Temple uznała jej rozpacz za prawdziwą, a po swojej przygodzie z księgą najlepiej wiedziała, że pokusa może zwieść najsilniejszego. Jeśli nie pamięta, co zrobiła, jeśli głęboko żałuje, czy prawda ma jakieś znaczenie? Panna Temple nie miała pojęcia, tak samo jak nie wiedziała, co sądzić o swojej względnej teraz niewinności. Po raz pierwszy pozwoliła, by w jej głosie zabrzmiała nuta łagodnego współczucia.

- Jednak nie dałaś im się zwerbować - powiedziała. - Panna Poole powiedziała hrabiemu i Caroline, że przysporzyłaś im wielu kłopotów.

Elóise westchnęła i zbyła te słowa machnięciem ręki.

- Doktor uratował mnie ze strychu, a potem go dopadli. Poszłam za nimi, z jego rewolwerem, i próbowałam go ocalić. W trakcie tego... przepraszam, ale trudno mi o tym mówić, zastrzeliłam człowieka. Położyłam go trupem.

- Jestem pewna, że dobrze zrobiłaś. Ja nie zastrzeliłam nikogo, ale zabiłam jednego z nich w walce, a drugiego dzięki szczęśliwemu obrotowi koła powozu. - Elóise nic nie

powiedziała, więc panna Temple mówiła dalej: - Nawet rozmawiałam o tym, no cóż, mówi się o różnych rzeczach, z Kardynałem Changicm, a musisz wiedzieć, że to człowiek bardzo małomówny - a nawet tajemniczy - wiedziałam to, gdy tylko go zobaczyłam, choć oczywiście w tym wagonie kolejowym był ubrany w czerwień, miał brzytwę i czytał poezje... i nosił czarne okulary, bo kiedyś raniono go tak, że o mało nie oślepl... I chociaż go nie znałam, to odnotowałam go w pamięci, a kiedy znów go zobaczyłam, kiedy sprzymierzyłam się z doktorem, natychmiast go rozpoznałam. Doktor mówił coś o nim przed chwilą, w amfiteatrze. Nie dosłyszałam co, przez ten okropny wrzask, dym i ogień... Wiesz, to dziwne, ale zauważyłam, że w takich ekstremalnych sytuacjach często informacja docierająca do jednego z naszych zmysłów blokuje wszystkie inne. Na przykład zapach oraz widok dymu i płomieni całkowicie pozbawiły mnie słuchu. To właśnie tego rodzaju reakcje uważam za fascynujące.

Przez chwilę szły w milczeniu, aż wreszcie panna Temple przypomniała sobie, o co jej właściwie chodziło.

- Jednak, no tak, powodem mojej rozmowy z Kardynałem Changiem... No cóż, muszę ci wyjaśnić, że Kardynał Chang jest niebezpiecznym człowiekiem, śmiertelnie groźnym dla wrogów i zapewne zabił więcej ludzi, niż ja kupiłam par butów... Rozmawiałam z nim o tych ludziach, których zabiłam i... Naprawdę trudno mi było o tym mówić, aż w końcu powiedział mi, w jaki sposób ktoś taki jak ja powinien posługiwać się rewolwerem: przycisnąć lufę do ciała przeciwnika. Rozumiesz, co chcę powiedzieć? Mówił mi, co powinnam robić, ponieważ chciał mi pomóc zrozumieć moje własne uczucia. Gdyż wtedy nie wiedziałam, jak o tym mówić. Jednak to wszystko, co się stało... To nam mówi, na jakim świecie żyjemy i do jakich działań musimy być gotowi. Gdybyś nie zastrzeliła tego człowieka, czy ty i doktor wciąż bylibyście żywi? I czyja bym żyła, gdyby doktor mnie nie uwolnił?

\*

Elóise nie odpowiedziała. Panna Temple widziała, że zмага się z wątpliwościami i z doświadczenia wiedziała, że po przewyciężeniu tych wahań i zaakceptowaniu tego, co się zdarzyło, stanie się nieco mniej niewinną osobą.

- Jednak to był diuk Staelmaere - wyszeptła Elóise. - Zabiłam go. Nie rozumiesz... na pewno mnie powieszają!

Panna Temple pokręciła głową.

- Ludzie, których ja zabiłam, byli łotrami - powiedziała. - I jestem pewna, że ten diuk był taki sam, większość diuków to po prostu straszni...

- Tak, ale to nikogo nie obchodzi...

- Nonsens. Mnie obchodzi, i ciebie, i na pewno doktora Svensona także. Właśnie w tym tkwi sedno całej tej sprawy. Opinie naszych wrogów obchodzą nas tyle co zeszłoroczny śnieg.

- Ale... sąd... uwierzy im...

Panna Temple lekceważącym wzruszeniem ramion wyraziła swoje zdanie na temat sądów.

- Może będziesz musiała wyjechać, może doktor zabierze cię z powrotem do Macklenburga albo możesz towarzyszyć mojej ciotce zwiedzającej restaurację w Alzacji - zawsze jest jakiś sposób. Na przykład... patrz, jakie jesteśmy głupie, wlokąc się nie wiadomo dokąd, bez zastanowienia!

Elóise zerknęła przez ramię i niepewnie machnęła ręką.

- Przecież... myślałam...

- Tak, oczywiście - skinęła głową panna Temple. - Z pewnością będziemy ścigane, ale czy któraś z nas miała dość rozsądku, żeby przetrząsnąć kieszenie doktora? To pomysłowy człowiek i nigdy nie wiadomo... Nadzorca mojego ojca z zasady nie msza się z domu bez noża, butelki, suszonego mięsa i prymki tytoniu do nabijania fajki przez tydzień. - Uśmiechnęła się chytrze. - A kto wie, może dowiemy się też czegoś o sekretnym życiu doktora Svensona...

- Tylko że... - pospiesznie zaczęła Elóise. - On na pewno nie...

- Och, daj spokój, każdy ma jakieś sekrety.

- Ja nie mam, zapewniam cię, a przynajmniej żadnych nieprzyzwoitych...

Panna Temple prychnęła.

- Przyzwoitość? A co masz na sobie? Spójrz na siebie, widać ci nogi, bosa nogi! Co za pożytek z przyzwoitości, gdy wbrew naszej woli znalazłyśmy się w takiej sytuacji? Nawet nie nosimy gorsetów! Czy ktoś może nas potępić? Nie bądź głupia... No, już.

Wzięła od niej płaszcz doktora, ale zaraz pokręciła noskiem nad jego stanem. Rdzawe światło skrywało plamy, ale czuła woń ziemi, nafty i potu, jak również silny odór niebieskiej gliny. Bezskutecznie spróbowała go otrzepać, wzbijając obłoczki kurzu, po czym zrezygnowała. Sięgnęła do bocznej kieszeni płaszcza i wyjęła pudełko z nabojami do rewolweru. Wręczyła je Elóise.

- Masz. Teraz wiemy, że jest człowiekiem, który nosi kule. Elóise niecierpliwie skinęła głową, jakby robiła to wbrew swojej woli. Panna Temple napotkała jej spojrzenie i zmrużyła oczy.

- Panno Dujong...

- Pani.

- Słucham?

- Właściwie pani Dujong. Jestem wdową.

- Moje kondolencje. Elóise wzruszyła ramionami.

- Przyzwyczaiałam się.

- Doskonale. Rzecz w tym, pani Dujong - mówiła rzeczowo i zdecydowanie panna Temple - na wypadek, gdybyś nie zauważyła, że Harschmort to dom masek, luster i kłamstw, braku skrupułów i brutalnego wykorzystywania. Nie możemy sobie pozwolić na złudzenia - a już najmniej co do samych siebie, gdyż właśnie to najczęściej wykorzystują nasi wrogowie. Widziałam okropne rzeczy, mówię ci, i równie okropne rzeczy robiono ze mną. Ja również przeszłam... - Zabrakło jej słów i przez moment nie mogła wymówić słowa, zaskoczona swoimi emocjami, więc tylko pokazała płaszcz, potrząsając nim. - To nic. Przeszukiwanie czyichś kieszeni? Doktor Svenson być może oddał życie, żeby nas uratować. Czy sądzisz, że pożałowałby zawartości swoich kieszeni, gdyby mogły pomóc nam w ucieczce albo ratowaniu jego? Nie mamy czasu na takie głupstwa.

Pani Dujong nie odpowiedziała, unikając spojrzenia panny Temple, lecz po chwili pokiwała głową i wyciągnęła ręce, złączywszy dłonie, by wziąć wszystko, co mogłoby znajdować się w kieszeniach. Pospiesznie - pomimo przyjemności, jaką jej to sprawiało, bo panna Temple nie należała do tych, którzy nadal krytykują, powiedziawszy już swoje - znalazła papierošnicę doktora, zapalki, drugie błękitne szkiełko, potwornie brudną chusteczkę i garść monet. Popatrzyły na tę kolekcję i panna Temple z westchnieniem zaczęła chować ją z powrotem na miejsce, gdyż one dwie nie miały żadnych kieszeni.

- Mimo wszystko wygląda na to, że miałaś rację. Chyba niczego się nie dowiedziałyśmy. - Zobaczyła, że Elóise przygląda się srebrnej papierošnicy. Była zupełnie zwyczajna, bez żadnych zdobień, nie licząc wygrawerowanych eleganckimi literami słów: *Zum Kapitänchirurgen Abelard Svenson, vom CS.*

- Może to pamiątka jego promocji na kapitana chirurga? - szepnęła Elóise.

Panna Temple kiwnęła głową. Schowała papierošnicę do kieszeni, wiedząc, że obie zastanawiają się teraz, kto mu ją dał - inny oficer czy ukochana? Panna Temple przerzuciła sobie płaszcz przez ramię i wzruszyła ramionami. Jeśli nazwisko tej osoby zaczynało się na „S”, to może nie było to nic ciekawego, po prostu grzecznościowy prezent od siostry lub kuzynki.

\*

Poszły dalej wąskim, ciemnym korytarzem. Panna Temple martwiła się tym, że doktor ich nie dogonił, i dziwiła, że nikt ich nie ściga. Starła się powstrzymać zniecierpliwione westchnienie, gdy poczuła na ramieniu dłoń towarzyszki. Odwróciła się, starając się przybrać wyrozumiałą minę.

- Przepraszam - zaczęła Elóise.

Panna Temple otworzyła usta. Nie spodziewała się, że ktoś właśnie skarcony za marnowanie czasu będzie tracił go na przeprosiny. Jednak Elóise ponownie dotknęła jej ramienia i mówiła dalej:

- Nie pomyślałam... a są pewne sprawy, o których muszę powiedzieć...

- Musisz?

- Zabrali mnie na pokład latającej maszyny. Zadawali pytania. Nie wiem, co im powiedziałam. Naprawdę nie wiem, czy mogłabym im powiedzieć coś, o czym już by nie wiedzieli od Francisa Xoncka, ale pamiętam, o co pytali.

- Kto pytał?

- Doktor Lorenz podał mi narkotyk i związał ręce, a potem razem z panną Poole upewnili się, że jestem w ich mocy, wysuwając najbardziej impertynenckie żądania... nie byłam w stanie odmówić... chociaż wspominam to ze wstydem...'

Głos uwiązał jej w gardle. Panna Temple pomyślała o swoich przejściach, gdy była zdana na łaskę hrabiego i hrabiny. Współczuła Elóise, a jednak nie była w stanie powstrzymać wyobraźni, podsuwającej jej obrazy tego, co się stało. Poklepała ją po okrytym jedwabiem ramieniu. Elóise pociągnęła nosem.

- A potem przesłuchał mnie minister Crabbe. Pytał o doktora. I o ciebie. I o tego Changa. A potem o zabójstwo diuka. Nie mógł uwierzyć, że nikt nie kazał mi tego zrobić.

Panna Temple prychnęła głośno.

- Potem jednak zapytał mnie, tak cicho, że chyba pozostali go nie słyszeli, o Francisa Xoncka. Z początku myślałam, że chodzi mu o moją pracę dla jego siostry, ale on chciał wiedzieć, co pan Xonck zamierza teraz. Czy jestem na jego usługach. Kiedy odpowiedziałam, że nie, a przynajmniej nic o tym nie wiem, spytał mnie o hrabiego i hrabinę - szczególnie o hrabinę...

- To dość długa lista - odparła lekko zniecierpliwiona panna Temple. - O co dokładnie pytał?

- Czy zabili pułkownika Trappinga. Szczególnie podejrzewał hrabinę, gdyż, jak rozumiem, ona nie zawsze zwierza się innym ze swoich planów albo robi różne rzeczy, nie przejmując się tym, że może przekreślić cudze plany.

- I co powiedziałaś wiceministrowi Crabbemu? - chciała wiedzieć panna Temple.

- No, zupełnie nic. Przecież niczego nie wiedziałam.

- I jak na to zareagował?

- Hm, nie znam go, więc...

- A gdybyś miała zgadywać?

- No właśnie... powiedziałabym, że był wystraszony. Panna Temple zmarszczyła brwi.

- Nie chcę obrażać twojego poprzedniego pracodawcy - rzekła - ale wszystko wskazuje na to, że pułkownik nie był wzorem cnót. Ponieważ jednak wspomniałaś o zaciekawieniu wiceministra Crabbego, słyszałam, jak hrabia d'Orkancz próbował wyciągnąć z panny Poole tę samą informację, a hrabina i Xonck też się o to pytali w powozie. Dlaczego oni wszyscy mieliby tak bardzo przejmować się losem tego... hm... nicponia?

- Nie sądzę, żeby się przejmowali.

Ktokolwiek zabił pułkownika, zrobił to wbrew woli kliki... a może zrobił coś wcześniej, zamierzając ją zdradzić? Trapping jakoś się o tym dowiedział i został zabity, zanim zdążył powiedzieć innym! Pułkownik jeszcze oddychał, kiedy panna Temple odchodziła: został otruty' chwilę wcześniej lub później. Poszła do amfiteatru... a kiedy tam dotarła, hrabia już był... Roger również, bo widziała, jak wchodził przed nią po spiralnych schodach. Nie widziała Crabbego ani Xoncka - wtedy nie miała pojęcia, kim jest Xonck - ani żadnego Macklenburczyka. Jednak za nią, za plecami wszystkich, sama, szła hrabina.

\*

Korytarz się skończył. Po jednej stronie była zasłona, za nią następna komnata, a po drugiej drzwi. Zerknęły przez szparę w kotarze. W tym pokoju obserwacyjnym dominował duży szezlong z jedwabną pościelą i futrami. Oprócz szafki z napojami i sekretarzyka, jakie widziały w poprzednich pomieszczeniach, to miało mosiężną mreż akustyczną i metalową kratkę, która najwidoczniej pozwalała przekazywać polecenia między obiema stronami lustra. Ten pokój nie służył jedynie do obserwacji, lecz przesłuchiwania... lub reżyserowanych prywatnych pokazów.

Pomieszczenie znajdujące się za szklaną ścianą nie przypominało żadnego innego widzianego przez pannę Temple w Harschmort, lecz zaniepokoiło ją bardziej niż sala operacyjna. Nijaki pokój z podłogą z niemalowanych desek, oświetlony przez jedną wiszącą lampę, która rzucała krąg żółtego światła na jedyny mebel: szezlong identyczny z tym, przy którym stały, różniący się jedynie brakiem jedwabi i futer, za to z metalowymi kajdanami przytwierdzonymi do drewnianej ramy.

Jednak to nie widok tego szezlonga zaparł dech w piersiach panny Temple. W otwartych drzwiach tego pokoju, spoglądając na mebel, stała hrabina di Lacquer-Sforza, w czerwonej masce na twarzy, paląc papierosa w długiej lufce. Wydmuchnęła dym, strzepnęła popiół na podłogę i pstryknęła palcami w kierunku otwartych drzwi za swoimi plecami, odsuwając się na bok, żeby przepuścić dwóch mężczyzn w brązowych płaszczach, niosących jedną z tych długich drewnianych skrzyń. Zaczekała, aż podważą łomem wieko i opuszczą pokój, po czym znów pstryknęła palcami. Mężczyzna, który wszedł, z pokorną, a zarazem lekko rozbawioną i protekcyjną miną, nosił ciemny mundur i złotą maskę, zakrywającą górną połowę twarzy. Jego jasne włosy były rzadkie, a podbródek cofnięty, a kiedy się uśmiechnął, dostrzegła kiepskie uzębienie. Jednak na palcu nosił gruby złoty pierścień. Panna Temple ponownie popatrzyła na mundur... ten pierścień to sygnet... To książę doktora Svensona! Widziała go w apartamencie hotelu Royale i nie poznała od razu w galowym mundurze i innej masce. Usiadł na szezlongu i zawołał hrabinę.

Nic nie było słyhać. Cicho podszedłszy do mosiężnej kratki, panna Temple zobaczyła przytwierdzoną do niej małą mosiężną klamkę. Nie dało się jej wyciągnąć, więc spróbowała ją przekręcić, robiąc to powoli, żeby metal nie zazgrzytał. Klamka przekręciła się bezgłośnie i usłyszeli głos księcia.

\*

- ...oczywiście zadowolony i uradowany, ale nie zdziwiony, musisz wiedzieć, gdyż tak jak najsilniejsze zwierzęta rozpoznają się w puszczy, tak ciągną ku sobie ci, którzy z natury górują nad resztą społeczeństwa, gdyż to naturalne, że pokrewieństwu dusz powinno towarzyszyć połączenie o bardziej cielesnym charakterze...

Książę rozpiął kołnierzyk bluzy. Hrabina nie poruszyła się. Panna Temple nie mogła uwierzyć, że taki człowiek może bezwstydnie opisywać kobiecie podłoże ich intymnego związku, chociaż wiedziała, że trudno przecenić arogancję książąt. Mimo wszystko z odrazą wydeła usta, słuchając tych bzdur, podczas gdy książę bladymi i cienkimi palcami odpinał podwójny rząd srebrnych guzików. Panna Temple spojrzała na panią Dujong, która miała równie zaniepokojoną minę, i przysunęła wargi do jej ucha.

- To książę doktora Svensona - szepnęła. - I hrabina... Zanim zdążyła powiedzieć coś więcej, hrabina weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Słyszac to, książę zastygł i zamilkł, szczerząc zęby w niezdrowym i lubieżnym uśmiechu, ukazującym szary nalot na siekaczach. Chwycił klamrę pasa.

- Naprawdę, madame, czekałem na tę chwilę, od kiedy po raz pierwszy ucałowałem pani dłoń...

Hrabina głośno i wyraźnie wypowiedziała kilka pozornie bezsensownych słów:

- Błękitny Józef, błękitny pałac, konsumpcja lodu.

Księżę znieruchomiał z rozdziawionymi ustami. Hrabina podeszła do niego, w zadumie zaciągnęła się papierosem, a potem pozwoliła, by dym sączył się jej z ust, gdy mówiła, jakby wykorzystując swą tajemną moc, stała się jeszcze bardziej demoniczna.

- Wasza wysokość będzie wierzył, że miał mnie w tym pokoju. Chociaż sprawiłoby to panu jeszcze większą przyjemność, nie przekaze pan tej informacji nikomu i w żadnych okolicznościach. Zrozumiał pan?

Księżę skinął głową.

- Nasze spotkanie potrwa pół godziny, tak więc w tym czasie nie będę mogła zobaczyć się z Lydią Vandaariff lub jej ojcem. W trakcie tego spotkania wyznam panu również, że hrabia d'Orkancz woli towarzystwo młodych chłopców. Tej informacji również nie przekaze pan nikomu, aczkolwiek wiedząc o tym fakcie, nie będzie się pan sprzeciwiał samotnym odwiedzinom hrabiego u pańskiej narzeczonej. Rozumie pan?

Księżę pokiwał głową.

- I wreszcie, pomimo naszego spotkania, będzie pan wierzył, iż tej nocy pozbawił pan dziewictwa pannę Vandaariff przed ślubem, tak nienasycony jest pański apetyt seksualny, któremu ona nie jest się w stanie oprzeć. Zrozumiał pan?

Księżę znów kiwnął głową. Hrabina odwróciła, się, słysząc ciche pukanie do drzwi. Uchyliła je i zobaczywszy kto to, otworzyła szeroko, wpuszczając gościa.

Panna Temple przycisnęła dłoń do ust. To był Roger Bascombe.

\*

- Tak? - powiedziała cicho hrabina.

- Chciała pani wiedzieć. Mam zebrać księgi z dzisiejszego zbioru i spotkać się z wiceministrem...

- I dostarczyć księgi hrabiemu?

- Oczywiście.

- Wie pan, na której mi zależy.

- Tak, lorda Vandaariffa.

- Dopilnuje pan, żeby znalazła się w umówionym miejscu. I będzie obserwował pana Xoncka.

- Dlaczego?

- Tego z pewnością nie wiem, panie Bascombe, dlatego musi go pan baczenie obserwować.

Roger skinął głową. Spojrzał przez ramię hrabiny na mężczyznę na szeszlunku, który słuchał ich rozmowy z zaciekawieniem ignoranta, jak kot patrzący na smugę światła przechodzącego przez pryzmat. Hrabina powiodła wzrokiem za spojrzeniem przybyłego i uśmiechnęła się drwiąco.

- Powie pan hrabiemu, że zrobiłam swoje. Księcia i mnie właśnie łączy namiętne uczucie, widzi pan?

Pozwoliła sobie zaśmiać się gardłowo z tego pomysłu, a potem westchnęła z zadowoleniem, jakby w zadumie.

- To straszne, kiedy ktoś nie potrafi oprzeć się swoim popędom... - Uśmiechnęła się do Bascombe'a, a potem zwróciła do księcia: - Mój drogi Karlu-Horście, właśnie posiadałeś moje ciało, ogarnął cię szal zmysłów. Nigdy nie czuleś i nie poczujesz takiej ekstazy. Wszystkie swe przyszłe przyjemności będziesz porównywał z tą... i za nią tęsknił.

Znów się roześmiała. Książę był zarumieniony i dziwnie poruszał biodrami, lekko skrobiąc paznokciami tapicerkę szeszlunku. Hrabina spojrzała na Rogera z krzywym uśmiechem, który potwierdził podejrzenia panny Temple, że jej były narzeczony znajduje się w jej mocy tak samo jak książę. Hrabina odwróciła się do mężczyzny na szeszlunku.

- Możesz... już... skończyć - powiedziała, jak do psa czekającego na nagrodę.

Książę natychmiast znieruchomiał, spazmatycznie łapiąc powietrze, jęcząc i zaciskając dłonie na oparciu szeszlunku. Po chwili, która pannie Temple wydała się bardzo krótka, zaczerpnął tchu, zgarbił się z wysiłku i na jego usta powrócił nieprzyjemny uśmieszek. W zadumie dotknął ciemnej plamy na spodniach i oblizał wargi. Panna Temple prychnęła z obrzydzeniem.

\*

Natychmiast spojrzała na hrabinę, przyciskając dłoń do ust. Hrabina spojrzała na lustro. Układ akustyczny - kratka była otwarta. Tamci usłyszeli prychnięcie panny Temple.

- Ktoś tam jest! - gniewnie warknęła hrabina do Rogera. - Sprowadź Blenheima! Na drugą stronę! Natychmiast!

Panna Temple i Elóise pospieszyły do kotary, gdy Roger znikł im z oczu, a hrabina podeszła do lustra, z twarzą pociemniałą z wściekłości. Kiedy go mijala, książę próbował wstać i wziąć ją w ramiona.

- Moja droga...

Nie przystając, uderzyła go w twarz, powalając na kolana. Podeszła do lustra i wrzasnęła, jakby widziała ich przestraszone twarze:

- Kimkolwiek jesteś i cokolwiek robisz - umrzesz!

Panna Temple pociągnęła Elóise za kotarę i do drzwi naprzeciwko. Nieważne, dokąd prowadziły, ważne, by jak najprędzej się stąd wydostać. Nawet w masce zakrywającej pół twarzy widać było furię wykrzywającą rysy hrabiny i upodabniającą ją do Gorgony. Gdy szarpnęła galkę kratki, panna Temple zadrżała ze strachu. Przemknęły przez drzwi i zatrzasnęły je za sobą, po czym obie pisnęły ze strachu na widok wysokiej postaci, która nagle przed nimi wyrosła. Na wewnętrznej stronie drzwi namalowany był olejny portret ponurego mężczyzny w czerni, o przenikliwym spojrzeniu i cienkich ustach - lorda Vandaariffa, gdyż w tle widać było widmowy Harschmort House. A jednak, choć pobiegła dalej z sercem w gardle, panna Temple rozpoznała dzieło Oskara Veilandta. Ale przecież on umarł, a Vandaariff nie mieszka w tej rezydencji dłużej niż dwa lata! Jęknęła ze złości, że nie może przystanąć i pomyśleć.

Przebiegły przez dziwny przedsionek pełen obrazów i rzeźb, o mozaikowej podłodze. Usłyszały zbliżające się kroki, więc na oślep popędziły w przeciwną stronę, mijając jeden zakręt za drugim, aż dotarły do holu z posadzką ze śliskiego czarno-białego marmuru. Panna Temple usłyszała krzyk. Zauważono je. Elóise pobiegła w lewo, lecz panna Temple złapała ją za rękę i pociągnęła w prawo, ku złowrogo wyglądającym drzwiom z ciemnego metalu, mając nadzieję, że zdołają je za sobą zamknąć i odgrodzić się od pościgu. Przebiegły przez hol, uderzając bosymi stopami o posadzkę, i wpadły na podest z zimnego żelaza. Panna Temple pchnęła Elóise w kierunku opadających w dół spiralnych stalowych schodów, a sama spróbowała zamknąć drzwi. Nie drgnęły. Ponownie pchnęła - bez powodzenia. Opadła na klęczki, wyjęła drewniany klin, który je przytrzymał, a potem zatrzasnęła je, słysząc tupot nóg na marmurze. Szczęknięt zamek, a wtedy pospiesznie znów uklękła i oburącz wepchnęła klin pod drzwi. Pobiegła za panią Dujong, cicho uderzając bosymi nogami w metalowe stopnie.

Spiralne schody przy żelaznej kolumnie na środku były bardzo wąskie, więc ponieważ była mniejsza, panna Temple uważała, że powinna pobiec po wewnętrznej stronie, pół kroku za Elóise, ale trzymając ją za rękę - a Elóise drugą ręką trzymała się poręczy. Metalowe stopnie były bardzo zimne, szczególnie dla ich bosych stóp. Panna Temple miała wrażenie, że w nocnym stroju biega po halach i pomostach jakiejś opuszczonej fabryki - inaczej mówiąc, jak w jednym z tych dziwnych snów, które zawsze kończą się jakąś niepokojącą sytuacją z udziałem ludzi, których ledwo się zna. Zbiegając po schodach, wciąż szczerze zdumiona istnieniem tej wieży z czarnego metalu - pod ziemią - panna Temple zastanawiała się, jakie nowe niebezpieczeństwo im grozi, gdyż tak okropna metalowa budowla wydała jej się dziwnie groźna.

Czyżby usłyszała za plecami jakiś dźwięk? Zatrzymała Elóise, klepnęła ją w ramię, każąc zaczekać i milczeć, po czym spojrzała na schody. Słysząc było kroki, szuranie stóp i strzępy rozmów - ale nie w wieży, tylko na zewnątrz. Dopiero teraz panna Temple spojrzała na ściany wieży - również ze spawanej stali - i dostrzegła zamykane na przesuwane płytki judasze, podobne do tych, jakie czasem widuje się między wnętrzem powozu a woźnicą. Elóise otworzyła najbliższy. Zamiast okienka odsłonił się prostokąt wizjera z przydymionego szkła, przez które zobaczyły... To co ujrzały, zaparło im dech.

Spoglądały w dół na ogromną salę przypominającą jakiś piekielny pszczeli ul, o ścianach tworzących wielopiętrowy układ cel, do których swobodnie można było stąd zajrzeć.

- Przydymione szkło! - szepnęła do Elóise. - Więźniowie nie wiedzą, kiedy są obserwowani!

- Spójrz - powiedziała jej towarzyszka. - Czy to są nowi więźniowie?

Na ich oczach górny rząd cel zapełniał się niczym teatralne łoże elegancko ubranymi i zamaskowanymi gośćmi galowego przyjęcia w Harschmort, schodzącymi przez włazy w sufitach cel, rozkładającymi turystyczne krzeselka, otwierającymi butelki, machającymi do siebie chusteczkami przez ponure metalowe pręty. Całość stanowiła tak nieprawdopodobny i - zdaniem panny Temple - niewłaściwy widok, jak widzowie tłoczący się w krypcie katedry.

Znajdowały się tak wysoko, że nawet przycisnąwszy twarze do szyby, nie mogły dostrzec podłogi na dole. Ile było tam cel? Panna Temple nie potrafiła zliczyć, ilu więźniów mogło pomieścić to więzienie. Co do widzów, to było ich co najmniej stu, a może nawet - arytmetyka nie była jej najmocniejszą stroną - trzy razy tylu. Szum był coraz głośniejszy, jak rozpędzający się motor. Jedynym wyjaśnieniem powodu tego zgromadzenia, a nawet istnienia tej sali, wydawał się system błyszczących rur biegnących przez całą jej wysokość, połączonych w wiązki, wyłaniających się ze ścian niczym pnącza owinięte wokół pnia. Chociaż panna Temple była pewna, iż rzędy cel pokrywają wszystkie ściany sali, przez te rury nie widziała tych dolnych, co powiedziało jej logicznemu umysłowi, że to rury, a nie cele, są ważniejsze. Tylko dokąd biegną i jaką zawierają substancję?

Panna Temple odwróciła głowę, słysząc w oddali przeciągły zgrzyt, który smagnął je jak biczem. Natychmiast złapała Elóise za rękę i mszyła naprzód.

- Dokąd idziemy? - syknęła Elóise.

- Nie wiem - szepnęła panna Temple. - Uważaj, żebyśmy nie zaplątały się w ten płaszcz!

- Tylko że... - Elóise, rozgniewana, lecz posłuszna, podniosła płaszcz wyżej. - Doktor nie zdoła nas znaleźć! Jesteśmy odcięte! Na dole będą ludzie, a my idziemy prosto na nich!

Panna Temple tylko prychnęła w odpowiedzi, gdyż nic nie można było na to poradzić.

- Patrz pod nogi - mruknęła. - Tu jest ślisko.

\*

Gdy schodziły, hałas nad nimi przybrał na sile, zarówno ten płynący z pełnych widzów cel, jak ten - po kolejnym przeciągłym zgrzycie forsowanych drzwi - wywoływany przez pościg na szczycie wieży. Wkrótce o stalowe stopnie zadudniły podkute obcasy. Kobiety bez słowa przyspieszyły kroku i zbiegły kilka pięter po krętych schodach - jak głęboko mogły prowadzić? - aż panna Temple nagle zatrzymała się i odwróciła do Elóise. Obie były zdyszane.

- Płaszcz - wysapała. - Daj mi go.

- Staram się nieść go tak, żeby nic mu się nie...

- Nie w tym rzecz, kule, pudełko nabojów doktora. Szybko! Elóise przełożyła płaszcz z ręki do ręki, chcąc znaleźć kieszeń.

Panna Temple namacała spore pudełko, a potem pospiesznie wyjęła je i podważyła kartonowe wieczko.

- Omiń mnie - syknęła panna Temple - i schodź dalej!

- Przecież nie mamy broni - szepnęła Elóise.

- Właśnie! Jest ciemno i może uda nam się wykorzystać płaszcz, żeby odwrócić ich uwagę. Szybko wyjmij wszystko z kieszeni! Papierośnicę i szkiełko też!

Przecisnęła się obok Elóise i pospiesznie zaczęła rozsypywać naboje na metalowych schodach. Opróżniła pudełko i pokryła kulami cztery stopnie. Kroki nad ich głowami były coraz głośniejsze. Odwróciła się do Elóise i niecierpliwym gestem kazała jej uciekać, szybko! Złapała płaszcz i rozłożyła go trzy stopnie poniżej kul, układając poły i rękawy w jak najbardziej intrygujący kształt. Spojrzała w górę. Tamci byli chyba piętro wyżej. Pobieгла, unosząc szaty, migając białymi nogami i znikając w mroku.

Zaledwie dogoniła Elóise, gdy usłyszały krzyk - ktoś zobaczył płaszcz - a potem pierwszy łomot i następny, krzyki, odbijający się echem grzechot toczących się kul, spadających ostrzy i wrzaski. Przystanęły, by spojrzeć w górę, i panna Temple w ostatniej chwili usłyszała metaliczny zgrzyt i zauważyła błysk odbitego światła. Z piskiem rzuciła się na Elóise i zebrawszy wszystkie siły, uniosła, tak że obie usiadły na poręczy, łapiąc równowagę, lecz mając nogi w powietrzu, gdy upuszczona szabla przemknęła pod nimi jak kosa, jakby stopnie były z lodu, odbiła się na zakręcie i krzesząc skry, spadła na dół. Kobiety zeskoczyły z poręczy, zdumione swym cudownym ocaleniem, po czym podjęły ucieczkę, podczas gdy nad nimi słychać było okrzyki wściekłości i bólu potłuczonych.

\*

Ta szabla to problem, pomyślała z jękiem panna Temple, gdyż spadając, z pewnością zaalarmuje kogoś stojącego na dole, że dzieje się coś złego. A może nie? Może go przebije!? Prychnęła na ten swój niepoprawny optymizm. Nie miała więcej dobrych pomysłów. Dotarły do ostatniego skrzyżowania spirali i zobaczyły podest zastawiony skrzyniami jak hotelowy hol w czasie wakacji. Po prawej znajdowały się otwarte drzwi, wiodące do wielkiej sali. Po lewej następny człowiek w mosiężnym hełmie i skórzanym fartuchu pochylał się nad otwartym lukiem wielkości drzwiczek dużego pieca węglowego, osadzonym w stalowej kolumnie wznoszącej się w środku spiralnych schodów. Mężczyzna starannie oglądał drewnianą tacę z butelkami i flaszkami o ołowianych kapslach, które najwidoczniej wyjął z luku i postawił na podłodze. Obok luku do kolumny przymocowana była mosiężna tablica z przyciskami i gałkami. Ta kolumna była windą.

Na środku podłogi sterczała szabla, wbita w porzuconą belę słomy do pakowania. Zważywszy na brak reakcji mężczyzny, wbiła się bezgłośnie.

Z drzwi wymaszerował drugi mężczyzna w hełmie, przechodząc tuż obok beli słomy, aby wziąć dwie zapieczętowane woskiem butelki, jedną z jasnyniebieskim, drugą z pomarańczowym płynem, po czym bez słowa w pośpiechu znikł za drzwiami. Kobiety stały nieruchomo, nie wiedząc, czy zostały zauważone. Czyżby te hełmy tak bardzo ograniczały pole widzenia i tłumiły dźwięki? Przez otwarte drzwi panna Temple usłyszała głośne rozkazy, odgłosy krzątania i - czego była pewna - głosy kilku kobiet.

Na górze dał się słyszeć głośny brzęk kopniętej kuli, odbijającej się na przemian od stopni i ścian. Mężczyźni podjęli przerwany pościg. Kula przeleciała obok dwóch kobiet, odbiła się od sterty skrzyń pod przeciwległą ścianą i znieruchomiała na podłodze obok butów mężczyzny. Ten przechylił głowę, rejestrując jej niespodziewane przybycie. Były załatwione.

W sali męski głos zaczął mówić tak donośnie, że panna Temple podskoczyła. Jeszcze nigdy nie słyszała tak głośno mówiącego człowieka, nawet wśród marynarzy, gdy przepływała morze. Jednak jego głos nie zawdzięczał swojej siły nadzwyczajnemu wysiłkowi fizycznemu - mężczyzna mówił normalnie, lecz brzmiało to tajemniczo, zdumiewająco i niepokojąco mocno. Ten głos należał do hrabiego d'Orkancza.

- Witajcie wszyscy - zaczął hrabia.

Mężczyzna w hełmie podniósł głowę. Zobaczył pannę Temple. Panna Temple zeskoczyła z ostatnich stopni i przebiegła obok niego.

- Czas zacząć - zagrzmiął hrabia - tak jak was poinstruowano!

Zgromadzony w celach na górze tłum - i była to ostatnia rzecz, jakiej panna Temple oczekiwała - zaczął śpiewać.

Nie mogła się oprzeć, musiała spojrzeć przez te otwarte drzwi.

\*

Jej oczom ukazał się obraz - ujęty w ramy drzwi z przodu i na srebrnym tle błyszczących rur - sali operacyjnej, w której hrabia d'Orkancz mógł swobodnie dać upust swoim demonicznym zainteresowaniom, gdyż znajdowały się tam aż trzy stoły. U stóp każdego stała skrzynka kontrolna z mosiądzu i drewna, do której jeden z ludzi w hełmach wsuwał lśniąca niebieską księgę, jakby wprowadzał nabój do komory. U wezłowania pierwszego stołu stał drugi, z dwiema butelkami, wlewając niebieski płyn do zakończonej lejkiem i zaworem czarnej gumowej rury. Czarne rury wiły się wokół stołu jak węże, śliskie i odrażające, a jednak jeszcze bardziej odrażający był kształt majaczący pod nimi, podobny do białawej larwy w wielkim kokonie. Panna Temple spojrzała na drugi stół i zobaczyła twarz panny Poole znikającą pod upiorną maską z czarnej gumy, nakładaną jej przez asystenta... a potem na trzeci, gdzie kolejny mężczyzna podłączał rury pani Marchmoor. Spoglądając na cele w górze, wysoki i barczysty, ze zwisającą z jego maski grubą i czarną mrą przypominającą jęzor demona, stał hrabia we własnej osobie. Minęła sekunda. Panna Temple wyciągnęła rękę i zatrzasnęła drzwi.

I nagle zrozumiała, gdy ta odbijająca się echem w jej umyśle wizja przypomniła jej ostatnie chwile z niebieskiego szkiełka Arthura Trappinga... że kobietą na pierwszym stole jest Lydia Vandaariff.

\*

Stojąca za nią Elóise krzyknęła. Mężczyzna w hełmie mocno złapał pannę Temple za ramiona i rzucił nią o dopiero co zamknięte drzwi, obalając na podłogę.

Zobaczyła, że napastnik ma szablę. Elóise złapała jedną ze stojących na drewnianej tacy butelek z pomarańczowym płynem i szykowała się, by nią w niego rzucić. Ku ogromnemu zaskoczeniu obu kobiet zamiast przeszyć ją szablą, mężczyzna odwrócił się i uciekł po schodach na górę tak szybko, jak pozwalał mu na to hełm i skórzany fartuch. Panna Temple pomyślała, że brakuje mu tylko skrzydeł nietoperza, a wyglądałby jak spłoszony diablak.

Obie spojrzały po sobie, zaskoczone cudownym ocaleniem. Drzwi na podium znów trzęsły się od uderzeń, a klatka schodowa nad nimi rozbrzmiewała echem krzyków uciekającego. Po chwili odpowiedziały mu głosy zbliżających się żołnierzy. Nie było chwili

do stracenia. Panna Temple mocno chwyciła Elóise za rękę i pociągnęła w kierunku otwartego luku.

- Musisz tam wejść! - syknęła. - Wchodź!

Nie wiedziała, czy będzie tam miejsce dla dwóch osób, a nawet czy winda uniesie taki ciężar, lecz mimo to doskoczyła do mosiężnej tablicy kontrolnej, zmuszając zmęczony umysł - gdyż był to dla niej bardzo wyczerpujący dzień i od dawna nic nie jadła ani nie piła herbaty - do skupienia się na przyciskach. Zielony, czerwony, niebieski i solidna mosiężna gałka. Elóise wciągnęła nogi do windy, mocno zaciskając usta, jedną rękę zwijając w pięść, a w drugiej wciąż trzymając butelkę z pomarańczowym płynem. Krzyki na górze zbliżały się i ktoś łomotał w drzwi sali. Po naciśnięciu zielonego guzika winda podskoczyła. Po wciśnięciu czerwonego zjechała w dół. Niebieski zdawał się nie działać. Ponownie spróbowała zielonego. Nic się nie stało. Nacisnęła czerwony i winda opadła - tylko o kilka milimetrów, ale niżej nie mogła. Drzwi sali trzęsły się w zawiasach.

Rozszyfrowała to. Niebieski guzik sygnalizował, że winda ma kontynuować jazdę. Miał zapobiegać niepotrzebnemu zużyciu maszyny spowodowanemu zmianami kierunku jazdy w połowie drogi. Panna Temple wdusiła niebieski guzik, potem zielony i skoczyła do windy. Elóise złapała ją wpół i wciągnęła do środka. Panna Temple zdążyła schować swoje rozpaczliwie wierzgające nogi w szybko zmniejszający się otwór na moment przed tym, zanim ruszyły ciemnym szybem w górę, zdążywszy jeszcze zobaczyć czarne buty utykających macklenburskich żołnierzy.

\*

W kabinie było okropnie niewygodnie i gdy opadła euforia wywołana tym, że naprawdę jadą do góry, tamci nie zatrzymali windy i nie straciła żadnej kończyny, panna Temple próbowała zmienić pozycję na wygodniejszą. Udało jej się jedynie wbić kolana w żebra towarzyszki, a łokieć Elóise znalazł się w jej uchu. Odwróciła się w drugą stronę, w wyniku czego jej ucho przywarło do biustu Elóise. Ciało kobiety było miękkie i wilgotne od potu, i mimo szczęku łańcuchów windy panna Temple słyszała stłumione bicie jej serca, jak ryzykowną tajemnicę wyznawaną szeptem w zatłoczonym salonie. Zdała sobie sprawę, że jej tors jest wciśnięty między uda tamtej, kolana podciągnięte pod brodę Elóise, a nogi podkulone między nimi obiema. Nie zdążyły zamknąć drzwi windy, więc panna Temple jedną ręką przytrzymywała nogi - drugą obejmując Elóise - żeby nie wysunęły się z podskakującej kabiny do szybu. Nie rozmawiały, lecz po chwili Elóise uwolniła jedną rękę i panna Temple, wdzięczna za pociechę tego przypadkowego i niespodziewanie bliskiego kontaktu z jej ciałem, poczuła, jak towarzyszka delikatnie gładzi ją po głowie.

- Kiedy wjedziemy na górę, spróbuj ściągnąć windę, zanim zdążymy wysiąść - szepnęła.

- Tak - przyznała cicho Elóise. - Musisz wyjść pierwsza. Wypchnę cię.

- A potem ja wyciągnę cię za nogi.

- Na pewno będzie dobrze.

- A jeśli ktoś tam będzie?

- To bardzo możliwe.

- Zaskoczymy ich - oznajmiła spokojnie panna Temple. Elóise nie odpowiedziała, tylko przycisnęła do piersi głowę młodszej towarzyszki z głośnym westchnieniem, które dla panny Temple było w niezrozumiały sposób zarazem słodkie i smutne. Tak bliski kontakt fizyczny z inną kobietą, nie mówiąc już o zbliżeniu emocjonalnym, był dla panny Temple czymś niezwykle, wiedziała jednak, że wspólne przeżycia zbliżyły je, tak jak teleskop eliminujący odległość między statkiem a brzegiem. Tak samo było z Changiem i Svensonem, których po prawdzie wcale nie знаła, a jednak czuła, że są jedynymi ludźmi na tym świecie, na których może polegać, a nawet - co ją dziwiło, gdyż formułując tę myśl, porównywała wydarzenia kilku ostatnich dni z całym swoim dotychczasowym życiem - na których jej zależy. Nie znała swojej matki. Zadała sobie pytanie - podświadomie i tracąc pewność siebie, gdyż nie był to czas na snucie zuchwałych rozważań o swoich uczuciach - czy ten kontakt z żywym i ciepłym ciałem oraz niezaprzeczalną życzliwością nie jest czymś, czym byłaby matczyzna troska. Zarumieniła się, pojmując, jak lekkomyślne są w tej chwili takie pragnienia, wtuliła twarz między ramię a pierś Elóise i wydała z siebie westchnienie, które wstrząsnęło całym jej ciałem.

\*

Jechały w górę w ciemności, aż kabina nagle się zatrzymała. Drzwi otworzyły się i panna Temple ujrzała zdumione twarze dwóch mężczyzn w czarnej liberii służby Harschmort. Jeden rozsunął drzwi, a drugi trzymał drewnianą tacę z flaszkami i butelkami. Zanim zdążyli zamknąć drzwi i zanim ci na dole zdołali ściągnąć windę na dół, energicznie kopnęła obiema nogami - wiedząc, że ich podeszwy są brudne jak u ulicznika - w ich twarze, zmuszając do pospiesznego odskoku, jeśli nie ze strachu, to z obrzydzenia. Elóise popchnęła ją i panna Temple wyleciała z kabiny jak z procy, wrzeszcząc jak opętana, rozczochrana, umazana sadzą i spocona. Pospiesznie odszukawszy wzrokiem mosiężny panel kontrolny, doskoczyła doń i nacisnęła zielony guzik unieruchamiający windę.

Tamci spoglądali na nią z rozdziawionymi ustami i rosnącą irytacją, o której natychmiast zapomnieli na widok gramolącej się z windy Elóise. Wychodziła nogami do

przodu, przy czym jej jedwabne szaty uniosły się, odsłaniając białe uda oraz jedwabne majteczki, których rozcięcie na moment sparaliżowało obu mężczyzn. Wysunęła się z windy i opadła na klęczki. W ręku trzymała flaszkę z pomarańczowym płynem. Na jego widok obaj mężczyźni cofnęli się, a zaciekawienie i pożądanie natychmiast ustąpiło miejsca strachowi.

Gdy tylko Elóise wyszła z windy, panna Temple puściła guzik, doskoczyła do mężczyzny bez tacy i z całej siły obiema rękami popchnęła go na tego, który ją trzymał. Obaj mężczyźni wycofali się za metalowe drzwi, na czarno-białą marmurową posadzkę, starając się nie upuścić cennych i kruchych naczyń. Panna Temple pomogła Elóise wstać i wzięła od niej butelkę z pomarańczową cieczą. Winda za nimi ożyła ze szczękiem i znikła, zjeżdżając. Kobiety skoczyły ku foyer, lecz dwaj służby, doszedłszy do siebie, zagrodzili im drogę.

- Co wy wyprawiacie?! - krzyknął ten z tacą, energicznym ruchem głowy wskazując butelkę w dłoni panny Temple. - Skąd to macie? My... mogliśmy... wszyscy mogliśmy...

Dragi tylko syknął.

- Odstaw to!

- Sam odstaw - warknęła panna Temple. - Postaw tacę i odejdz! Ty też!

- Nie mamy zamiam - warknął ten z tacą, gniewnie mrużąc oczy. - Kim jesteś, żeby nam rozkazywać? Jeśli myślicie, że tylko dlatego, że jesteście dziwkami pana...

- Zejdźcie nam z drogi! - syknął ponownie dragi. - Musimy to posłać na dół! Jeśli nie, zostaniemy wychłostani! Przez was uciekła nam winda!

Próbował obejść je i podejść do drzwi windy, lecz ten z tacą nie mszył się, patrząc z gniewem zrodzonym z urażonej dumy i małostkowości.

- Nie! Nigdzie nie pójda! Muszą wyjaśnić, co tu robią. I powiedzą to mnie albo panu Blenheimowi!

- Nie potrzebujemy Blenheima! - syknął jego partner. - Na Boga, to ostatnie czego...

- Spójrz na nie - rzekł mężczyzna z tacą, z coraz bardziej nieprzyjemną miną. - Nie biorą udziału w ceremonii, ale uciekają. Inaczej po co by krzyczała?

Ta uwaga trafiła do przekonania pierwszemu i po chwili obaj przyglądali się niezbyt skromnie odzianym kobietom.

- Jeśli je zatrzymamy, na pewno zostaniemy nagrodzeni.

- Jeśli nie zrobimy tego, co nam kazano, zostaniemy zwolnieni.

- I tak musimy poczekać, aż winda wróci.

- No tak... Myślisz, że ukradły te szaty?

\*

Podczas tego męczącego dialogu panna Temple zastanawiała się, co robić, centymetr po centymetrze odsuwając się od drzwi, gdy tamci dwaj wahali się i spierali. Wiedziała jednak, że zaraz zrobią coś typowo męskiego i głupiego, więc musiała działać. Trzymała w ręku butelkę z jakimś pomarańczowym płynem, który najwidoczniej był potwornie silnym związkiem chemicznym. Gdyby rozbiła ją na ich głowach, bardzo możliwe, że unieszkodliwiłaby obu mężczyzn i zdołałyby uciec. A jednak widząc, jak wszyscy odskakują na widok tej butelki, jak uczennice na widok pająka, nie mogła ufać, że zawartość rozbitej flaszki - na przykład przechodząc w parę - nie podzielała na nią i na Elóise. Co więcej, ta butelka była doskonałą bronią i należało ją zachować na przyszłe takie spotkania lub negocjacje. Jak każdą wartościową rzecz, tę również panna Temple wolałaby mieć przy sobie, a nie pochopnie się jej pozbywać. Cokolwiek jednak zrobi, musi to powstrzymać tych dwóch przed pościgiem, gdyż miała już po dziurki w nosie tego niekończącego się uciekania.

Dramatycznym gestem panna Temple zamachnęła się i z krzykiem wykonała taki gest, jakby zamierzała rozbić butelkę na głowie mężczyzny trzymającego tacę, który - z powodu teźże tacy - nie mógł zasłonić się rękami przed ciosem. Mimo wszystko przestraszył się tak bardzo, że jednak próbował to zrobić i gdy panna Temple się zamachnęła, taca wyleciała mu z rąk i z trzaskiem upadła na marmurową posadzkę. Butelki i flaszki rozbiły się z miłym dla ucha panny Temple łoskotem, a ich zawartość zlała się ze sobą.

Mężczyźni spojrzeli na nią, jeszcze kuląc się przed spodziewanym ciosem i już rozdziawiając usta ze zdziwienia, że panna Temple nie rozbiła - i wcale nie zamierzała rozbić - butelki z pomarańczowym płynem. W następnej chwili wszyscy czworo popatrzyli na tacę, której powierzchnia syczała i parowała, wydzielając charakterystyczny zapach, od którego panna Temple się zakrztusiła. Ten odór nie był zapachem paskudnej niebieskiej gliny, którego się spodziewała, lecz wonią przypominającą jej nocną jazdę powozem, kiedy to zepchnęła z siebie ciało zabitego Spragga. Był to silny zapach ludzkiej krwi. Zawartość trzech z rozbitych butelek zmieszała się ze sobą i mieszanina przemieniła się - nie można było tego inaczej nazwać - w kałużę jasnej krwi tętniczej, która wylewała się z tacy na podłogę w ilości znacznie większej, niżby wynikało to z pojemności butelek. Tak jakby połączenie chemikaliów nie tylko tworzyło krew, ale zwiększało ilość krwi płynącej jak z niewidzialnej rany w marmurowych płytach.

\*

- Co to za zamieszanie?

Wszyscy czworo spojrzeli na właściciela zdradzającego wyraźną dezaprobatę głosu, dochodzącego z przejścia za nimi, gdzie wysoki człowiek w drucianych okularach i z

nastroszonymi bokobrodami stał, trzymając wojskowy karabin. Był ubrany w długi ciemny płaszcz, którego elegancki krój najwidoczniej miał odwracać uwagę od łysiejącej głowy i okrutnych, zaciśniętych warg. Słudzy natychmiast skłonili się i zaczęli bełkotać:

- Panie Blenheim... proszę pana... te kobiety...

- My tylko... winda...

- Napadły na nas...

- Uciekły...

Pan Blenheim machnął ręką jak rzeźnickim tasakiem.

- Wróćcie z tą tacą, weźcie nowe flaszki i natychmiast je dostarczcie. Przyślijcie pokojówkę, niech tu posprząta. Zameldujcie się w mojej kwaterze, kiedy skończycie. Powiedziano wam, jak ważne jest wasze zadanie. Nie wiem, czy będę mógł nadal was zatrudniać.

Mężczyźni bez słowa chwycili ociekającą tacę i truchtem przebiegli obok niego, z pokornie spuszczonej głowami. Blenheim wciągnął nosem zapach, spojrzał na kałużę krwi i znów na kobiety. Na moment zatrzymał wzrok na butelce z pomarańczowym płynem, trzymaną przez pannę Temple, lecz jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Skinął na nie karabinem.

- Wy dwie pójdziecie ze mną.

Poszły przed nim, przy każdym zakręcie kierowane rzucanymi szorstkim i rozkazującym tonem monosylabami, aż dotarły do przesadnie rzeźbionych drewnianych drzwi. Pan Blenheim pospiesznie rozejrzał się i je otworzył, po czym wprowadził kobiety do środka. Wszedł za nimi z zaskakującą u człowieka jego mszy szybkością i zamknął drzwi, po czym schował do kieszeni klucz. Panna Temple zauważyła, że był to jeden z pęku na srebrnym łańcuchu.

- Lepiej będzie porozmawiać na osobności - oznajmił, obrzucając je zimnym spojrzeniem, w którym obojętność i grubiaństwo walczyły o lepsze z pragmatycznym okrucieństwem. Z niebezpieczną swobodą machnął trzymanym w rękę karabinem.

- Postawisz tę butelkę na stole.

- Naprawdę? - spytała uprzejmie panna Temple.

- Zrobisz to natychmiast.

Panna Temple rozejrzała się po pomieszczeniu. Jego sklepienie było wysokie i ozdobione freskami przedstawiającymi naturę - dżungle, wodospady i dramatycznie zachmurzone niebo - które zapewne stanowiły czyjeś wyobrażenie o Afryce, Indiach lub Ameryce. Pod każdą ścianą stały gabloty z bronią, różnymi artefaktami i trofeami: głowami,

skórami, kłami i pazurami zwierząt. Podłogę pokrywał gruby dywan, a meble obito miękką skórą. W pokoju unosił się zapach kurzu i cygar, a za plecami pana Blenheima panna Temple zauważyła ogromny kredens zawierający więcej rodzajów butelek, niż widziała w życiu. Doszła do wniosku, że - zważywszy na wystrój tego pomieszczenia - zapewne zawierają trunki i napoje produkowane przez różne prymitywne plemiona. Pan Blenheim znacząco chrząknął i panna Temple, posłusznie skinąwszy głową, postawiła butelkę na wskazanym miejscu. Zerknęła na Elóise i napotkała jej pytające spojrzenie. Panna Temple tylko wyciągnęła rękę i ujęła jej dłoń - tę, w której towarzyszka trzymała błękitne szkło - skutecznie zasłaniając je swoją dłonią.

- A więc to pan jest Blenheim? - zapytała, nie mając pojęcia, do czego to prowadzi.

- Jestem - odparł ponurym głosem, w którym słychać było wyraźną nutę samozadowolenia.

- Zastanawiałam się, ponieważ tyle razy słyszałam pańskie nazwisko.

Nic nie powiedział, bacznie jej się przyglądając.

- Tyle razy - dodała Elóise, starając się, by jej głos brzmiał głośniejsz od szeptu.

- Jestem zarządcą tego domu. Wy sprawiacie w nim kłopoty. Przed chwilą byliście w tajnym przejściu, szpiegując jak podstępne żmije, którymi jesteście. Nie próbujcie zaprzeczać! A teraz idę o zakład, że narobiłyście zamieszania w wieży i bałaganu na moim piętrze!

Na nieszczęście pana Blenheima jego litanie - gdyż najwidoczniej był jednym z tych ludzi, którzy budują swój autorytet na umiejętności wyliczania przewin - były groźne jedynie dla tych, w których wzbudzało to poczucie winy. Panna Temple nieznacznym skinieniem głowy przyznała mu rację.

- Co do zarządzania, to przypuszczam, że przy domu tej wielkości jest ono bardzo absorbujące. Ma pan liczny personel? Często i długo przy różnych okazjach poświęcałam wiele uwagi problemowi właściwej relacji liczebności służby do powierzchni domu albo ambicji właścicieli, gdyż często ich towarzyskie aspiracje przerastają rzeczywiste potrzeby...

- Szpiegowaliście. Włamałyście się do tajnego korytarza...

- Bardzo paskudnego wewnętrznego korytarza - odparła. - Gdyby mnie kto pytał, to właściciela tego domu należałoby nazwać podglądaczem...

- Co tam robiliście!? Co usłyszałyście!? Co ukradłyście!? Kto wam za to zapłacił!?

Pan Blenheim podnosił głos przy każdym kolejnym pytaniu i przy ostatnim miał twarz czerwoną jak burak, co mocno kontrastowało z siwizną jego bokobrodów i jeszcze bardziej prowokowało pannę Temple do kpin.

- Wielkie nieba, panie B.! Te wypieki! Może powinien pan pić mniej dżinu?

- Po prostu zablądziłyśmy - pospiesznie wyjaśniała Elóise. - Był pożar...

- Doskonale o tym wiem!

- Widzi pan nasze twarze... moja suknia... - przy tych słowach Elóise zwróciła jego uwagę na poczerniały jedwab ukazujący jej kształtne łydki.

Blenheim oblizwał wargi.

- To nic nie znaczy - wymamrotał.

\*

Jednak dla panny Temple miało to duże znaczenie, gdyż sam fakt, iż pan Blenheim nie zaprowadził ich do swojego pana, dowodził, że ma co do nich własne plany. Z konspiracyjnym uśmiechem niedbałym gestem wskazała łby zwierząt i gabloty z bronią.

- Cóż to za dziwny pokój - zagała.

- Nie ma w nim niczego dziwnego. To pokój myśliwski.

- Z pewnością, ale to dowodzi, iż to pokój mężczyzn.

- I co z tego?

- My jesteśmy kobietami.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- O to, panie Blenheim... - tu bezwstydnie zatrzepotała rękami - chcieliśmy pana zapytać.

- Jak się nazywacie? - wycedził, zaciskając wargi i rozglądając się na boki. - Co wiecie?

- To zależy, komu pan służy.

- Macie odpowiadać!

Panna Temple ze zrozumieniem pokiwała głową, jakby złościł się na kiepską pogodę, a nie na nią.

- Nie chcemy sprawiać kłopotów - zapewniła. - Ale też nie chcemy nikogo obrazić. I tak, na przykład, gdyby był pan głęboko przywiązany do panny Lydii Vandaariff...

Blenheim zbył tę sugestię gwałtownym machnięciem ręki. Panna Temple skinęła głową.

- Lub gdyby był pan szczególnie lojalny wobec lorda Vandaariffa albo hrabiny, hrabiego d'Orkancza, pana Francisa Xoncka, wiceministra Crabbégo lub...

- Powiecie mi to, obojętnie wobec kogo jestem lojalny.

- Oczywiście. Jednak najpierw musi pan wiedzieć, że do tego domu przeniknęli agenci wroga.

- Ten człowiek w czerwieni... - niecierpliwie skinął głową Blenheim.

- Ten drugi - dodała Elóise - który przyleciał tu z kamieniołomu latającą maszyną...

Blenheim ponownie machnął ręką.

- Ci są już w naszych rękach - syknął. - Czemu jednak dwie wyznawczynie w białych szatach biegają po domu i nie słuchają swoich panów?

- Ponownie pytam, o których panach mowa? - spytała panna Temple.

- Przecież... - zamilkł i energicznie kiwnął głową, jakby potwierdziły się jego podejrzenia. - Zatem już... zaczęli spiskować przeciwko sobie...

- Wiedziałyśmy, że nie jest pan głupi - mętnie westchnęła Elóise.

Pan Blenheim nie odpowiedział od razu i panna Temple, choć nie zaryzykowała i nie spojrzała na Elóise, wykorzystała ten moment, by ścisnąć jej dłoń.

- Podczas gdy hrabia jest na dole w więziennej wieży - rzekła śmiało - a hrabina w swoim apartamencie z księciem... gdzie jest pan Xonck? Albo wiceminister Crabbe?

- Lub gdzie oni podobno mają być? - dodała Elóise.

- Gdzie pański lord Vandaariff?

- On jest... - Blenheim urwał.

- Czy wie pan, gdzie znaleźć pańskiego chlebodawcę? - spytała Elóise.

Blenheim znów pokręcił głową.

- Nadal nie odpowiedzieliście na moje...

- Jak pan sądzi, co robiłyśmy? - Panna Temple pozwoliła sobie na lekkie zniecierpliwienie. - Uciekłyśmy z amfiteatru, przed panną Poole...

- Która przybyła wraz z ministrem sterowcem - dodała Elóise.

- Następnie poszłyśmy podejrzeć, co robi hrabina w waszej tajnej izbie - podsumowała panna Temple. - A potem starałyśmy się przeszkodzić hrabiemu w jego laboratorium.

Blenheim zmarszczył brwi.

- A kogo nie niepokoiliśmy? - spytała go cierpliwie panna Temple.

- Francisa Xoncka - szepnął pan Blenheim.

- Pan to powiedział, nie ja.

Przygryzł dolną wargę. Panna Temple mówiła dalej:

- Widzi pan... my niczego nie powiedziałyśmy... sam pan to dostrzegł i wydedukował prawdę. Chociaż... gdybyśmy panu pomogły... proszę pana... czy to postawiłoby nas w lepszym świetle?

- Być może. Trudno powiedzieć, dopóki nie wiem, o jakim dokładnie rodzaju pomocy mowa.

Panna Temple zerknęła na Elóise, a potem nachyliła się do Blenheima, jakby chciała się podzielić jakimś sekretem.

- Czy pan wie, gdzie jest pan Xonck... w tym momencie?

- Wszyscy mają przyjść do sali balowej... - wymamrotał Blenheim. - Jednak nie widziałem go.

- Ach tak? - powiedziała panna Temple, jakby to było nadzwyczaj ważne. - A jeśli pokażę panu, co on robi?

- Gdzie?

- Nie gdzie, panie Blenheim, w istocie nie gdzie, ale... jak? Panna Temple uśmiechnęła się, wyjęła błękitne szkło i podała mu je.

\*

Pan Blenheim niecierpliwie sięgnął po szkiełko, lecz panna Temple cofnęła dłoń.

- Czy pan wie, co to... - zaczęła, lecz nim zdążyła powiedzieć coś więcej, Blenheim doskoczył do niej, złapał ją jedną ręką za przegub, a drugą wyrwał jej szkło. Cofnął się i znów oblizwał wargi, spoglądając to na kartę, to na kobiety.

- Musi pan uważać - ostrzegła panna Temple. - To niebieskie szkło jest bardzo niebezpieczne. Łatwo stracić orientację, więc jeśli jeszcze pan nie patrzył...

- Wiem, co to jest! - warknął Blenheim i cofnął się dwa kroki do drzwi, zagrządzając je swoim ciałem. Jeszcze raz spojrzął na obie kobiety, a potem w szkło.

Oczy mu zmętniały, gdy pogrążył się w szklanym świetle. Panna Temple wiedziała, że to szkiełko ukazuje księcia i panią Marchmoor, co niewątpliwie bardziej ciekawiło pana Blenheima niż Roger przyglądający się jej lubieżnie na sofie. Powoli i cichutko wyjęła z najbliższej gabloty ostry i krótki sztylet z wąskim ostrzem, pofalowanym jak srebrzysty wąż. Pan Blenheim zachwiał się i oddech uwiązał mu w gardle - zakończył się cykl szkiełka - lecz i wtedy nie oprzytomniał, poddając się następnej turze. Stanąwszy na lekko rozstawionych nogach i starając się pamiętać o wszystkich praktycznych radach Changa, panna Temple podeszła do pana Blenheima i wbiła sztylet w jego bok, aż po rękojeść.

Sapnął, odrywając oczy od szkiełka i wytrzeszczając je. Panna Temple oburącz wyrwała sztylet, przy czym mężczyzna zatoczył się na nią. Spojrzął na zakrwawione ostrze. Pchnęła ponownie, tym razem w środek ciała, wbijając mu sztylet pod żebra. Pan Blenheim upuścił szkło na dywan, wyrwał sztylet z ręki panny Temple i zrobił dwa kroki w tył. Stęknął i osunął się na kolana, brocząc krwią z rany na brzuchu. Nie mógł zaczerpnąć tchu ani - na szczęście dla obu kobiet - krzyknąć. Upadł na bok i leżał nieruchomo. Panna Temple, z ulgą zobaczywszy, że dywan ma czerwony wzór, szybko uklękła i wytarła o niego ręce.

\*

Spojrzała na Elóise, która nie mszyła się z miejsca, słuchając cichnącego rżenia umierającego zarządcy.

- Elóise? - szepnęła panna Temple.

Elóise odwróciła się pospiesznie, wyrwana z transu, z szeroko otwartymi oczami.

- Nic ci nie jest, Elóise?

- Nie, nic. Przepraszam, ja... ja nie wiem... może mogłybyśmy po cichu odejść...

- Ścigałby nas.

- Oczywiście. Oczywiście! Nie... no tak, mój Boże...

- Był naszym śmiertelnym wrogiem! - Nagle panna Temple zaczęła się łamać.

- Oczywiście... to tylko... może tyle krwi... Mimo wszystko ta odrobina krytycyzmu przebiła obronny pancerz panny Temple, gdyż w końcu zabijanie ludzi nie było czymś, co robiła na co dzień i bez mrugnięcia okiem, a chociaż miała pewność, że postąpiła rozsądnie, wiedziała również, że było to morderstwo, nie zabójstwo w obronie własnej. Znów wydało jej się, że wszystko dzieje się za szybko, tak gwałtownie, że ona nie jest w stanie zachować swoich przekonań i wydarzenia ją zmieniają. Łzy stanęły jej w oczach. Elóise nagle nachyliła się do niej i objęła jej ramiona.

- Nie słuchaj mnie, Celeste. Jestem głupia! Dobrze zrobiłaś! Panna Temple pociągnęła nosem.

- Byłoby lepiej, gdybyśmy odciągnęły go od drzwi.

- Tak, oczywiście.

Wzięły go za ręce, lecz przeciągnięcie ciężkich zwłok - gdyż Blenheim w końcu wyzionął ducha - za niski regał z książkami pozbawił je tchu. Elóise oparła się o skórzany fotel, a panna Temple, wciąż ściskająca sztylet, wytarła go o ubranie zarządcy. Ponownie westchnąwszy nad brzemieniem, jakim jest dla człowieka pragmatyczny umysł, odłożyła sztylet i zaczęła przeszukiwać kieszenie trupa, układając wszystko w stosik: banknoty, monety, chusteczki, zapałki, dwa całe cygara i niedopałek następnego, ołówki, skrawki czystego papieru, naboje do karabinu oraz tak gruby pęk kluczy, że z pewnością pasowały do każdego drzwi w Harschmort. Jednak w kieszeni na piersi nosił inny klucz... cały z błękitnego szkła. Panna Temple szeroko otworzyła oczy i spojrzała na swoją towarzyszkę.

\*

Elóise nie spojrzała na nią. Bezwładnie opadła na fotel, podciągając jedną nogę, z twarzą otwartą jak księga i szklistymi oczami, oburącz trzymając przed sobą szkiełko. Panna Temple stała ze szklanym kluczem w dłoni, zastanawiając się, ile czasu straciła i ile razy jej

towarzyszka doznała wrażeń pani Marchmoor na sofie. Z rozchylonych ust Elóise wyrwał się cichy jęk i panna Temple poczuła się nieco dziwnie. Im dłużej zastanawiała się nad tym, czego zaznała za sprawą błękitnego szkła - głodu, mądrości, rozkosznego oszołomienia i oczywiście, choć mocno wypaczonej, samoświadomości - tym mniej wiedziała, co o tym myśleć. Ataki na jej osobę (do których dochodziło, ilekroć wsiadła do powozu) nie wywoływały tak mieszanych uczuć - tylko gniew. Jednak to psychiczne molestowanie zmieniło jej poglądy na pożądanie i samo to doświadczenie, całkowicie podkopując jej zwykłą pewność siebie.

Elóise była wdową, tak więc w małżeństwie musiała znaleźć jakąś równowagę w tych sprawach, a jednak zamiast rozsądku i perspektywy panna Temple z zakłopotaniem ujrzała pot perlący się na jej górnej wardze i nerwowo zacisnęła uda na widok jej podniecenia (z czym nigdy przedtem nie miała do czynienia, jeśli nie liczyć pocałunków Rogera i jego prób obmacywania jej, o czym teraz - z całą stanowczością - zabraniała sobie myśleć). Równie dumna jak ciekawska panna Temple nie mogła się nie zastanawiać, czy sama też tak wyglądała.

Wdowa miała zarumienione policzki, lekko przygryzła dolną wargę, mocno ścisnęła palcami niebieskie szkło, wzdychała raz po raz, jedwabna szata przesuwająca się po jej ciele, dostatecznie miękka i cienka, by ukazać stwardniałe sutki. Leciutko poruszała biodrami, jedną długą nogę wyciągnąwszy na dywan i poruszając jej palcami, jakby walczyła z jakąś niewidzialną siłą, a na domiar wszystkiego, ku niepomiernemu zmieszaniu panny Temple, twarz Elóise wciąż zasłaniała maska z piór, tak że w pewien sposób panna Temple miała wrażenie, iż nie spogląda na Elóise, lecz kobietę zagadkę, jaką zobaczyła w weneckim lustrze hrabiny. Wciąż patrząc, gdy Elóise weszła w drugi cykl, i widząc, jak wdowa na chwilę wstrzymuje oddech, panna Temple zdołała wyczuć ten moment, gdy pani Marchmoor wciąga w siebie księcia i mocno ścisnęła udami jego biodra... Zastanawiała się, jak jej samej udało się bez trudu oderwać od szkiełka - a przynajmniej tylko kosztem lekkiego zmieszania - podczas gdy Elóise wyglądała na urzeczoną. Co powiedziała o księdze - o tym, że zabito ludzi, o swoich wątpliwościach? Ze zdecydowaniem, które być może zbyt często w jej życiu nie pozwalało na fascynację, panna Temple wyciągnęła rękę i wyrwała szkło z dłoni towarzyszki.

Elóise uniosła głowę, zupełnie nieświadoma tego, co zaszło i gdzie była, z otwartymi ustami i zamglonym wzrokiem.

- Wszystko w porządku? - zapytała panna Temple. - Zagubiłaś się w tym szkiełku.

Pokazała jej Elóise. Wdowa oblizwała wargi i zamrugowała.

- Wielkie nieba... naprawdę przepraszam...

- Ależ się zaczerwieniłaś - zauważyła panna Temple.

- Z pewnością - mruknęła Elóise. - Nie byłam przygotowana...

- To takie samo przeżycie jak z księgą, równie absorbujące, jeśli nie tak głębokie, gdyż szkła jest o wiele mniej, a więc i zdarzeń nie ma tak wiele. Mówiłaś, że księga ci nie odpowiadała.

- Nie, nie odpowiadała.

- Za to ta karta najwyraźniej odpowiada ci aż za bardzo.

- Może... jednak odkryłam coś, co może się przydać...

- Rumienię się na samą myśl.

Elóise zmarszczyła brwi, gdyż mimo słabości nie była gotowa znosić kpin ze strony młodszej towarzyszkii, ale panna Temple uśmiechnęła się i poklepała ją po kolanie.

- Pomyślałam, że ładnie wyglądasz - powiedziała panna Temple i uśmiechnęła się łobuzersko. - Nie uważasz, że doktor Svenson uznałby cię za jeszcze ładniejszą?

- Nie wiem, o czym mówisz - mruknęła Elóise, znów się rumieniąc.

- Jestem pewna, że on też - odparła panna Temple. - Cóż takiego odkryłaś?

Elóise zaczerpnęła tchu.

- Czy te drzwi są zamknięte?

- Tak.

- Zatem lepiej usiądź, ponieważ musimy poważnie porozmawiać.

\*

- Jak wiesz - zaczęła Elóise - jestem, a raczej byłam, opiekunką dzieci Arthura i Charlotte Trappingów. Pani Trapping to siostra Henry'ego i Francisa Xoncków. Ogólnie uważa się, że szybka kariera pułkownika Trappinga była skutkiem machinacji Henry'ego Xoncka, chociaż teraz widzę, że wszystko to zaplanował i przeprowadził Francis Xonck przy pomocy swoich nowych sprzymierzeńców, chcąc odebrać rodzinny interes bratu. Uknuł intrygę, gdyż pułkownik znał wiele rozmaitych cennych rządowych tajemnic, i zrobił to z błogosławieństwem swojego brata. Nieświadomym kluczem do wszystkiego był pułkownik Trapping, który ufnie składał raporty Henry'emu - przekazując prawdziwe i nieprawdziwe informacje podsuwane mu przez Francisa. Co więcej, to Francis namówił mnie na wizytę w Tarr Manor ze względu na tajemnice, jakie mogłam znać, a które mogły dać mu przewagę i możliwość szantażowania rodzeństwa. Te jednak stały się wprost niezbędne, ponieważ pułkownik został zabity, rozumiesz? Został zabity pomimo tego, że świadomie czy nie, służył klice.

Panna Temple nieznacznie skinęła głową, siedząc na poręczy fotela i kołysząc nogami, mając nadzieję, że w końcu usłyszy coś interesującego.

Elóise mówiła dalej:

- Zastanawiające jest, dlaczego pułkownik był taki ważny.

- Doktor znalazł przy nim drugie niebieskie szkiełko - odparła panna Temple - z zapisanymi wspomnieniami Rogera Bascombe'a. Najwidoczniej było zaszyte w podszewce jego munduru. Jednak powiedziałaś, że odkryłaś...

Jednak Elóise wciąż głośno myślała.

- Czy było w nim coś, co wydawało się szczególnie... poufne? Coś, co usprawiedliwiłoby chowanie go, chronienie?

- Nie sądzę, oprócz fragmentu dotyczącego mnie, poza... no, poza ostatnią chwilą, gdy - czego jestem pewna - ujrzałam Lydię Vandaariff na stole operacyjnym z hrabią d'Orkanczem, który... cóż, no wiesz, bawił się w doktora.

- Co?

- Tak - powiedziała panna Temple. - Zrozumiałam to dopiero teraz, kiedy zobaczyłam te stoły, przypomniałam sobie, że widziałam na jednym z nich Lydię, tylko że kiedy pierwszy raz zajrzałam w szkiełko, nie wiedziałam, kim jest Lydia...

- Ależ, Celeste... - Panna Temple ściągnęła brwi, gdyż nawet teraz nie była pewna lojalności towarzyski i w jej obecności czuła się trochę nieswojo. - Fakt, że szkło było zaszyte w płaszczu pułkownika, dowodzi, że nikt go nie znalazł! A to oznacza, że to co wiedział - i czego mogło dowieść to szkiełko - umarło razem z nim.

- Nie do końca. Doktor ma to szkło, a my znamy sekret.

- Właśnie!

- Co właśnie?

Elóise poważnie pokiwała głową.

- To, co odkryłam, może być jeszcze ważniejsze...

Panna Temple nie mogła już tego dłużej znieść, gdyż nie należała do osób, które wzdragają się przed podarciem na strzępy opakowania prezentu.

- Może, ale jeszcze nie powiedziałaś, co to takiego. Elóise wskazała szkło na podołku panny Temple.

- Pod koniec cyklu - powiedziała - pamiętasz tę kobietę...

- Panią Marchmoor.

- Ona odwraca głowę i widać widzów. Rozpoznałam wśród nich Francisa Xoncka, pannę Poole, doktora Lorenza. Innych nie znam, choć jestem pewna, że ty możesz ich znać. Jednak za tymi ludźmi jest... jakieś okno...

- To nie okno! - powiedziała pospiesznie panna Temple, nachylając się do niej. - To lustro! Prywatne apartamenty hotelu St. Royale są naszpikowane weneckimi lustrami, udającymi okna holu. W rzeczy samej za tym lustrem rozpoznałam wejście do hotelu i dlatego doktor w ogóle tam poszedł...

Elóise niecierpliwie kiwnęła głową, gdyż w końcu doszła do swojego odkrycia.

- A czy zauważył, kto był w holu? Ktoś, kto najwyraźniej wyszedł z jednego z tych apartamentów, żeby porozmawiać z daleka od pozostałych, zajętych, hmm... spektaklem?

Panna Temple pokręciła głową.

- Pułkownik Arthur Trapping - szepnęła Elóise - pogrążony w rozmowie z... lordem Robertem Vandaariffem!

\*

Panna Temple przycisnęła dłoń do ust.

- To hrabia! - wykrzyknęła. - Hrabia zamierza wykorzystać Lydię, wykorzystać jej małżeństwo, chociaż nie wiem dokładnie jak, w kolejnym alchemicznym spisku Oskara Veilandta...

Elóise uniosła brwi.

- Kim jest...

- To malarz i mistyk, wynalazca błękitnego szkła! Powiedziano nam, że umarł, zabity dla zdobycia jego sekretów, ale teraz zastanawiam się, czy żyje gdzieś, może więziony...

- Lub pozbawiony wspomnień, które zawarto w księdze!

- Tak! Jednak rzecz w tym, czy inni wiedzą, jakie hrabia ma naprawdę plany względem Lydii? Co ważniejsze, czy jej ojciec o tym wie? A jeśli Trapping znalazł kartę Rogera i rozpoznał Lydię oraz hrabiego? Czy to możliwe, że pułkownik nie znał prawdy o niktzemności swoich wspólników i zagroził, że wszystko ujawni?

- Obawiam się, że nigdy nie spotkałaś pułkownika Trappinga - rzekła Elóise.

- Istotnie, nigdy nie zamieniłam z nim ani słowa.

- Bardziej prawdopodobne, że pojął, czym dokładnie jest szkło i poszedł do jedynej osoby, która miała głębsze kieszenie niż jego szwagier.

- A my nie widziałyśmy lorda Vandaariffa. Może właśnie teraz zamierza się zemścić na hrabim? A może o niczym nie wie, jeśli Trapping obiecał wyjawić mu tę informację, ale został zabity, zanim zdążył to zrobić?

- Blenheim nie widział lorda Roberta - stwierdziła Elóise.

- I plany hrabiego wobec Lydii nie uległy zmianie - dodała panna Temple. - Widziałam, jak piła jego truciznę. Jeśli Trapping został zabity, żeby niczego nie zdradził jej ojcu...

- To musiał go zabić hrabia! - dokończyła Elóise. Panna Temple zmarszczyła brwi.

- A jednak... jestem pewna, że hrabia był tak samo jak inni zaskoczony losem pułkownika.

- Śmierć jego agenta musiała być ostrzeżeniem dla lorda Roberta - rozmyślała Elóise.

- Nic dziwnego, że się ukrywa.

Może to on przetrzymuje zaginionego malarza, chcąc dokonać wymiany? Może realizuje własny plan, wymierzony przeciwko nim wszystkim?

- Skoro o tym mowa - powiedziała panna Temple, rzuciwszy okiem na buciory pana Blenheima, wystające zza czerwonej otomany - o czym świadczy fakt, że pan Blenheim posiadał... to?

Podniosła klucz z błękitnego szkła i obejrzała go pod światło.

- Jest z tego samego szkła co księgi - zauważyła Elóise.

- Jak myślisz, co otwiera?

- Na pewno jest bardzo kruchy... coś, co również jest zrobione ze szkła?

- Ja też tak uważam - uśmiechnęła się panna Temple. - Co prowadzi do następnego wniosku, że pan Blenheim nie powinien tego klucza mieć. Wyobrażasz sobie, że ktoś z nich powierzył taką rzecz - z pewnością bezcenną - komuś nienależącemu do kliki? On był zarządcą tego domu i orientował się w ich planach nie lepiej niż ich dragoni czy macklenburscy siepacze. Kto mógł mu zaufać?

- Tylko jedna osoba - powiedziała Elóise. Panna Temple skinęła głową.

- Lord Robert Vandaariff.

\*

- Sądzę, że mam pomysł - oznajmiła panna Temple i zeskoczyła z fotela. Ostrożnie przestąpiwszy przez ciemną smugę na dywanie - i tak z trudem zdołały przeciągnąć ciało za otomanę, więc nie przejmowały się plamami - podeszła do kredensu. Żywo zabrawszy się do dzieła, znalazła nieotwartą butelkę z niezłego rocznika oraz ostry nożyk, którym usunęła lakowe zamknięcie oraz część kruchego korka, nie przejmując się tym, że jego drobinki dostaną się do płynu, gdyż nie o trunek jej chodziło. Wybrawszy dużą i pustą karafkę, panna Temple, w skupieniu wysuwając koniuszek języka, zaczęła przelewać ciemnoczerwony płyn, starając się opróżnić butelkę. Kiedy wreszcie ujrzała pierwsze kłaczkę osadu, odstawiła

karafkę i sięgnęła po kieliszek, po czym wlała do niego resztę porto razem z osadem. Wzięła drugi kieliszek i przy użyciu nożyka odsączyła zawartość pierwszego kieliszka, pozostawiając w nim tylko czerwone kłaczkę. Z uśmiechem spojrzała na Elóise, która przyglądała się temu z pobłażliwym zdziwieniem.

- Nie możemy prowadzić naszego dochodzenia, siedząc w tym pokoju, nie możemy dołączyć do doktora ani uciec, nie możemy się zemścić, gdyż nawet mając te rytualne sztylety, zostałybyśmy schwymane lub zabite, gdybyśmy spróbowały stąd wyjść.

Elóise skinęła głową, a panna Temple była zadowolona, że jest tak sprytna.

- No chyba, oczywiście, że uda nam się zwieść nieprzyjaciół. Ten pożar w amfiteatrze narobił zamieszania i założę się, że nikt nie wie, co dokładnie się stało - było za dużo dymu, krzyków i wrzasków, a za mało światła. Rzecz w tym... - przy tych słowach wskazała ręką na czerwony osad w kieliszku - ...że nikt nie wie, czy przeszliśmy proces transformacji, czy nie.

\*

Ruszyły bosą korytarzem, godnie i niespiesznie, udając spokojne, a jednocześnie uważnie przyglądając się panującemu wokół zamieszaniu. Panna Temple trzymała w dłoni sztylet, a błękitne szkiełko umieściła za gumką zielonych jedwabnych majteczek. Elóise trzymała w ręku butelkę z pomarańczowym płynem, a szklany klucz ukryła w majteczkach. Zdjęły maski, które teraz wisiały im na szyjach, pozwalając wyschnąć śladom wokół oczu i na nosie, starannie zrobionym z osadu porto, nałożonego i wklepanego tak, aby imitował obwódki pozostałe po procesie transformacji. Patrząc w lustrzaną szybę kredensu, panna Temple była bardzo zadowolona z efektu i miała nadzieję, że nikt nie przysunie się na tyle blisko, żeby wyczuć rocznik.

Przez ten czas, który spędziły w pokoju myśliwskim, rzeka gości i służby znacznie wzrosła. Natychmiast znalazły się w tłumie mężczyzn i kobiet w płaszczach, frakach i wieczorowych sukniach, w maskach i rękawiczkach, kłaniających się dwóm ubranym w białe szaty kobietom z wyliczonym szacunkiem, jaki okazuje się uzbrojonym w tomahawki Indianom. One nie odpowiadały na te ukłony, udając wywołane procesem transformacji otępienie, jakie panna Temple widziała w amfiteatrze. Fakt, że były uzbrojone, sprawiał jedynie, że wokół nich powstała wolna przestrzeń. Panna Temple rozumiała, że goście przypisują im wyższy status - wyznawczyń należących do wyższego kręgu wtajemniczonych. Z trudem powstrzymywała chęć warknięcia na nich i pogrożenia im sztyletem.

Wszyscy zmierzali do sali balowej, ale panna Temple nie była przekonana, czy powinny tam pójść. Wszystko to, czego naprawdę potrzebowały - ubrania, buty oraz dwaj

towarzysze - będzie gdzie indziej, w jakimś pomieszczeniu na tyłach, takim jak to, w którym spotkała Farquhara i Spragga, gdzie meble są ponakrywane białymi pokrowcami, a stoły zastawione butelkami i jedzeniem. Wyciągnęła rękę i odnalazła dłoń Elóise, gdy jakiś dźwięk za plecami sprawił, że obie odwróciły się i odsunęły od siebie. Ujrzała maszerujących ku niej dragonów, w czerwonych płaszczach i wysokich czarnych butach. Zmierzający do sali balowej goście pospiesznie umykali przed nimi pod ściany, przez co stojąca na środku korytarza panna Temple jeszcze bardziej rzucała się w oczy. Ruchem głowy kazała Elóise wmiszać się w tłum, który ją samą wypchnął w kierunku nadchodzących żołnierzy. Ich oficer zmierzył ją karcącym spojrzeniem, a ona obejrzała się za Elóise, która schowała się za plecami dwóch chuderlawych dżentelmenów w perłowszarych płaszczach. Goście wokół przystanęli, by zobaczyć nieuchronne starcie. Oficer podniósł rękę i jego ludzie natychmiast się zatrzymali. Nagle w korytarzu zapadła głucha cisza, w której panna Temple usłyszała chichot. Powoli odwróciła się i zobaczyła Francis Xoncka palącego cygaro, pochylającego głowę w bezgranicznie pogardliwym ukłonie.

\*

- Jakież perły można znaleźć - wymamrotał - w dodatku zupełnie nieoczekiwanie, w ostępach Harschmort House...

Urwał, ujrzawszy ślady na jej twarzy. Panna Temple nie odpowiedziała, tylko z szacunkiem skinęła głową.

- Panna Temple? - zapytał ze zdumieniem i niedowierzaniem. Dygnęła i wyprostowała się.

Zerknął na oficera, wyciągnął rękę i ujął ją za brodę. Biernie pozwoliła mu poruszać swoją głową, nie odzywając się słowem. Odsunął się, uważnie się jej przyglądając.

- Skąd przychodzisz? - zapytał. - Odpowiadaj.

- Z amfiteatru - powiedziała ochrypłym głosem. - Był pożar...

Nie pozwolił jej dokończyć. Włożył cygaro w zęby i wyciągnął niezabandażowaną rękę, żeby popieścić jej pierś. Tłum wokół zaszemrał, widząc jego zimną determinację i zuchwalstwo. Panna Temple okazała podziwu godny hart ducha: nie zadrżał jej głos i nie zająknęła się, gdy bezczelnie dotykał jej ciała.

- ...od lamp, było pełno dymu i strzały... to był doktor Svenson. Nie widziałam go... leżałam na stole. Panna Poole...

Francis Xonck mocno uderzył ją w twarz.

- ...znikła. Żołnierze zdjęli mnie ze stołu.

Mówiąc to, tak jak widziała w amfiteatrze, z ogromną przyjemnością zadała cios ofiarnym sztyletem, starając się wbić go w twarz Francisa Xoncka. Niestety, przewidział to, odbił cios przedramieniem, a potem złapał ją za przegub i ścisnął. Ponieważ zdradziłaby się, stawiając opór, panna Temple wypuściła z ręki sztylet, który z brzękiem upadł na podłogę. Francis Xonck opuścił jej rękę wzdłuż ciała i cofnął się, a ona stała nieruchomo. Spojrzał nad jej ramieniem na oficera i drwiąco prychnął, co niewątpliwie oznaczało, że tamten wyraźnie okazał swoją dezaprobatę dla tego, czego był świadkiem. Xonck podniósł sztylet i zatknął go sobie za pas. Odwrócił się na pięcie i rzucił przez ramię do oficera:

- Niech pan zabierze tę damę, kapitanie Smythe, i to szybko. Jest pan spóźniony.

\*

Odchodząc, panna Temple zaryzykowała i rzuciła okiem tam, gdzie zostawiła Elóise, lecz już jej nie było. Kapitan Smythe wziął ją pod rękę, nie brutalnie, lecz stanowczo, zmuszając do przyspieszenia kroku. Spojrzała na niego, udając tępy brak zainteresowania. Zobaczyła twarz podobną do twarzy Kardynała Changa, tylko uginającego się pod brzemieniem dowodzenia, znienawidzonych przełożonych, zmęczenia, obrzydzenia i oczywiście z niezmiennym kształtem oczu. Ciemne oczy kapitana miały cieplejszy wyraz, niżby wskazywały na to głębokie zmarszczki wokół nich. Spojrzał na nią podejrzliwie, a potem znów skupił uwagę na opiętych dobrze skrojonym frakiem plecach odchodzącego Francisa Xoncka, który jak skalpel rozcinał rozstępujący się przed nim tłum.

Powiodł ich przez największą ciżbę, czemu towarzyszył spektakl szeptów i wytrzeszczania oczu. Xonck rozdawał na prawo i lewo uściski dłoni, serdecznie poklepując po plecach mężczyzn i obcałowując wysoko urodzone lub piękne panie, aż zostawili za sobą tłum oraz wejście na salę balową i wyszli na otwartą przestrzeń, gdzie zbiegało się kilka korytarzy. Xonck ponownie obrzucił pannę Temple badawczym spojrzeniem, podszedł do drewnianych drzwi, otworzył je i włożył głowę w szparę, szepcząc coś. Po chwili wyjął głowę, zamknął drzwi i znów podszedł do panny Temple. Wyjął cygaro z ust i spojrzał na nie z niesmakiem, gdyż niewiele z niego zostało. Rzucił niedopałek na marmurową posadzkę i przydepnął butem.

- Kapitanie, rozstawi pan swoich ludzi wzdłuż korytarza, po obu stronach, szczególnie pilnując dostępu do tych pokoi. - Wskazał dwoje drzwi w głębi korytarza, po przeciwnej stronie niż sala balowa. - Pułkownik Aspiche wyda panu dalsze instrukcje, kiedy tu przybędzie. Na razie ma pan czekać i dopilnować, żeby ta dama nie znikła.

Kapitan skinął głową i odwrócił się do swoich ludzi, rozmieszczając ich wzdłuż korytarza i przy wskazanych drzwiach. Sam pozostał w pobliżu panny Temple, a także

Francisa Xoncka. Ten jednak, wydawszy rozkaz, nie zwracał już na niego uwagi. Zniżył głos do szeptu, sycząc jak zwinięty i szykujący się do ataku wąż.

- Odpowiesz mi natychmiast, Celeste Temple, i będę wiedział czy mówisz prawdę. A jeśli skłamiesz, zapłacisz za to życiem.

Panna Temple machinalnie skinęła głową, jakby było jej to zupełnie obojętne.

- Co Bascombe powiedział ci w pociągu? Nie tego się spodziewała.

- Że powinniśmy być sprzymierzeńcami - odparła. - Że hrabina tego chce.

- A co powiedziała hrabina?

- Nie rozmawiałam z nią w pociągu..

- Przedtem, przedtem! W hotelu i w powozie!

- Powiedziała, że drogo zapłacę za śmierć jej ludzi. I dotykała mnie lubieżnie...

- Tak, tak - warknął Xonck, poganiając ją. - A Bascombe, co powiedziała o nim?

- Że zostanie lordem Tarrem.

Xonck mamrotał pod nosem, zerkając przez ramię na drewniane drzwi.

- Widocznie było tam za dużo świadków... jakże inaczej, jakże inaczej...

Panna Temple próbowała sobie przypomnieć, co powiedziała do niej hrabina, jakieś prowokacyjne stwierdzenie, które podsyciłoby podejrzenia Xoncka...

- Hrabia też tam był...

- Wiem o tym.

- Ponieważ zadała mu pytanie.

- Jakie pytanie?

- Chyba nie miałam go usłyszeć, bo go nie zrozumiałam...

- Mów, o co pytała!

- Hrabina zapytała hrabiego d'Orkancza, jak jego zdaniem lord Robert Vandaariff odkrył ich plan alchemicznego zapłodnienia jego córki, czyli kto według niego ich zdradził?

\*

Francis Xonck milczał, przesywając ją morderczym wzrokiem, starając się ocenić prawdziwość jej słów. Panna Temple skupiła uwagę na cieniach tworzących skomplikowany wzór na suficie i jakoś zdołała ukryć lęk, ale wiedziała, że jej ostatnie słowa wzburzyły go tak, iż miał ochotę znów ją spoliczkować albo przejść do jeszcze gwałtowniej szych rękoczynów. Nagle za nimi, uciszając jego rosnące wzburzenie, jak wyjęcie gwizdka ucisza czajnik z gotującą się wodą, otworzyły się drewniane drzwi i ukazała się w nich wystraszona twarz macklenburskiego posła, pokryta świeżymi śladami po procesie transformacji.

- Są gotowi, panie Xonck - szepnął.

Xonck warknął i zaczął oddalać się od panny Temple, dotykając palcami rękojeści tkwiącego za paskiem sztyletu. Obrzuciwszy ją jeszcze jednym badawczym spojrzeniem, odwrócił się na pięcie i poszedł za posłem do sali balowej.

\*

Minęły chyba ze dwie minuty, zanim panna Temple doszła do wniosku - słysząc donośne głosy dolatujące zza drzwi - że członkowie kliki przemawiają do zgromadzonych gości. Zdawała sobie sprawę z obecności milczącego kapitana Smythe'a i jego żołnierzy, znajdujących się gdzieś w zasięgu głosu. Nabrała tchu i powoli wypuściła powietrze z płuc. Mogła tylko mieć nadzieję, że zaślepiiony chęcią zdobycia informacji Xonck nie przejrzy jej maskarady, która miała zwieść gości na korytarzu, a nie członków kliki. Instynkt samozachowawczy kazał jej znów włożyć maskę. Westchnęła. Nie zdoła uciec... może jednak sprawdzić grubość prętów klatki. Z uśmiechem odwróciła się do kapitana Smythe'a.

- Kapitanie... widział pan, jak mnie przesłuchiowano... mogę pana o coś zapytać?

- Tak?

- Sprawiał pan wrażenie niezadowolonego.

- Tak?

- Wszyscy inni w Harschmort wyglądają... no cóż, na bezgranicznie zadowolonych z siebie.

Kapitan Smythe nie odpowiedział, spoglądając na najbliższych stojących żołnierzy. Panna Temple zniżyła głos do ledwie słyszalnego szeptu.

- Zastanawiam się dlaczego.

Kapitan uważnie jej się przyjrzał, po czym rzekł, także niemal szeptem:

- Czy dobrze usłyszałem pana Xoncka? Nazywa się pani Temple?

- Owszem.

Obliznął wargi i ruchem głowy wskazał jej szatę, której dekolt ukazywał jedwabny stanik widoczny przez warstwy przezroczystego jedwabiu.

- Powiedziano mi... że lubi pani zielony kolor...

\*

Zanim panna Temple zdołała odpowiedzieć na tę niezwykle zaskakującą uwagę, drzwi za jej plecami znów się otworzyły. Odwróciła się, przybierając obojętny wyraz twarzy, i zobaczyła równie rozkojarzona Caroline Steame. Była tak zaabsorbowana i zaskoczona widokiem panny Temple, że nie zwróciła uwagi na stojącego za nią oficera.

- Celeste - szepnęła pospiesznie. - Musisz natychmiast pójść ze mną.

\*

Wzięła pannę Temple za rękę i poprowadziła przez milczący tłum, który niechętnie się przed nimi rozstępował, z urazą odrywając oczy od tego, co przykuwało jego uwagę na środku sali. Panna Temple nakazała sobie spokój, spodziewając się, że po spotkaniu z Francisem Xonkiem zostanie teraz publicznie przesłuchana przez klikę na oczach setek zamaskowanych ludzi i tylko dzięki temu zdołała powstrzymać okrzyk zaskoczenia. Gdy Caroline Stearne wyciągnęła ją na środek sali, zobaczyła Kardynała Changa klęczącego i plującego krwią, wyglądającego w każdym calu jak człowiek, który przeszedł piekło. Twarz miał bladą i zakrwawioną, mchy spowolnione, a skryte za ciemnymi szklami oczy mocno zamglone. Spojrzał na nią i w ślad za jego spojrzeniem zwróciły się na nią oczy innych stojących przed nią: Caroline, pułkownika Aspiche'a i hrabiego d'Orkancza, który stał w grubym futrze, trzymając smycz zakończoną obrozą na szyi jakiejś damy o wzroście i kształtach panny Temple, różniącej się od niej po pierwsze nagością, a przede wszystkim tym, że wyglądała na odlaną z niebieskiego szkła. Dopiero gdy posąg odwrócił głowę i spojrzał na pannę Temple, z nieruchomą twarzą i oczami pustymi jak oczy rzymskiego posągu ze śliskiego, lśniącego marmuru kolom indygo, panna Temple zrozumiała, że ta postać - albo stwór - żyje. Nogi wrosły jej w ziemię ze zdumienia i nie mogłaby krzyknąć słowa do Changa, nawet gdyby chciała.

Caroline Stearne ściągnęła jej białą maskę na szyję. Panna Temple czekała przez kilka straszliwie długich sekund ciszy, pewna, że ktoś ją zdemaskuje... ale nie doczekała się.

Chang powoli otworzył usta, jakby nie mógł sformułować słów ani zaczerpnąć tchu, by coś powiedzieć.

Wtem, jakby wszystko działo się za szybko, by nadażyć za tym wzrokiem, pułkownik Aspiche zamachnął się czymś, co trzymał w ręce, uderzył w głowę Kardynała Changa, a ten rozciągnął się na podłodze. Skinął na dwóch dragonów, którzy wyszli z kręgu żołnierzy powstrzymujących napierający tłum i złapali Changa za ręce. Przechodząc obok niej, wywlekli go z sali, zupełnie nieprzytomnego. Nie odwróciła się, by odprowadzić go wzrokiem, lecz mimo gwałtownie bijącego serca i cisnących się do oczu łez napotkała inteligentne i badawcze spojrzenie Caroline Steame.

\*

Głos stojącej za jej plecami hrabiny przeciął powietrze jak trzask bicia.

- Moja droga Celeste! Jak miło, że... do nas dołączyłaś. Pani Steame, jestem zobowiązana za przybycie na czas.

Caroline, która już stała twarzą do hrabiny, dygnęła z szacunkiem.

- Pani Stearne! - rozległ się chrapliwy głos hrabiego d'Orkancza. - Nie chce pani obejrzeć swoich odmienionych towarzyszek?

Caroline odwróciła się wraz z wszystkimi obecnymi w sali, gdy hrabia szerokim gestem wskazał dwie kolejne kobiety ze szkła, wchodzące w krąg powolnym, miarowym krokiem, sztywno poruszające rękami, ukazujące niczym nieosłonięte, niepokojąco kuszące, wyzywająco dojrzałe ciała. Zastanawiając się, co miał na myśli hrabia, mówiąc o towarzyszkach Caroline, panna Temple dopiero po chwili ze zgrozą rozpoznała panią Marchmoor oraz pannę Poole, oszpeconą świeżą oparzeliną na głowie. Co oznaczał fakt, że jej nieprzyjaciółki - dobrowolnie? - poddały się takiej transformacji, przemianie w takie... takie stwory?

Hrabia chwycił smycz panny Poole i skierował ją ku pani Stearne. Wargi panny Poole rozchyliły się w mrozącym krew w zyłach uśmiechu i nagle Caroline zachwiała się, a głowa opadła jej na bok. W następnej chwili ten sam efekt objął cały pierwszy szereg gapiów, rozchodząc się jak krąg na wodzie. Panna Temple poczuła, jak ją porywa i rzuca w sam środek sceny tak realistycznej, że natychmiast zapomniała o sali balowej.

\*

Leżała na miękkiej kanapie w ciemnym, oświetlanym blaskiem świec salonie, gładząc śliczne i miękkie, rozpuszczone włosy Caroline Stearne. Panna Temple (a raczej panna Poole) zauważyła, że pani Stearne też ma na sobie białe szaty do inicjacji. Po drugiej stronie pani Stearne siedział mężczyzna w czarnym płaszczu i obcisłej masce z czerwonej skóry, który nachylał się, by pocałować jej usta, a pani Stearne z namiętnym jękiem oddawała mu pocałunek. To było jak opowieść pani Marchmoor o dwóch mężczyznach w powozie, tylko że tu był jeden mężczyzna i dwie kobiety. Pożądanie pani Stearne wywołało łaskawy uśmiech panny Poole, która odwróciła się, by wziąć kieliszek z winem... a robiąc to, przesunęła wzrokiem po otwartych drzwiach i czającej się tam postaci, ledwie widocznej w półmroku. Panna Temple natychmiast rozpoznała Rogera Bascombe'a.

Ten obraz umknął z jej umysłu, jakby ktoś zerwał jej opaskę z oczu, i znów znalazła się w sali balowej, gdzie wszyscy wokół mrugali, oszołomieni, oprócz hrabiego d'Orkancza, który uśmiechał się z denerwującą wyższością. Ponownie powiedział coś do Caroline, jakiś wulgarny żart o siostrach i okazji do zrzucenia woalki, lecz panna Temple nie słuchała ich rozmowy, rozmyślając o tym, czego przed chwilą była świadkiem...

Panna Poole i Caroline Stearne nosiły białe szaty, a mężczyznę na kanapie - widziała go, wzięła sobie jego płaszcz! - był nie kto inny, jak pułkownik Trapping. Panna Temple usiłowała znaleźć w tym jakiś sens, jakby chciała pospiesznie otworzyć drzwi i nie mogła

włożyć klucza do dziurki... To było tamtej nocy w Harschmort... tuż przed śmiercią pułkownika, ponieważ kobiety już miały na sobie białe szaty, ale jeszcze nie przeszły procesu. Co oznaczało, że zdarzyło się to, kiedy ona skradała się przez lustrzany korytarz i omijała mężczyzn przenoszących skrzynie - zaledwie kilka minut przed jej wejściem do pokoju Trappinga. Wcześniej odkryła, że ze wszystkich członków kliki Roger i hrabina znajdowali się najbliżej pułkownika w chwili jego śmierci... A może zabiły go te kobiety - na rozkaz hrabiego? Jeśli pułkownik wykonywał tajną misję na zlecenie lorda Vandaariffa... Tylko dlaczego, zadała sobie nagle pytanie, panna Poole postanowiła podzielić się tym wspomnieniem - które oczywiście musiało zrodzić pytania o los zamordowanego pułkownika - z Caroline Steame? W amfiteatrze wyraźnie było widać, że są rywalkami. Czy chciała zdrwić z uczucia Caroline do nieżyjącego pułkownika, który dla kliki był tylko jeszcze jednym martwym zdrajcą? Czy robiłaby to w obecności tylu osób?

\*

Nagle drgnęła. Czy zidiociała? Musi się skupić! Usłyszała ochrypy krzyk i niespodziewanie bez reszty zanurzyła się w inne wizje: wysokie drewniane schody, oświetlone pomarańczowym blaskiem pochodni na tle czarnego nieba, atakujący tłum, jakaś umykająca postać w czarnym płaszczu - minister Crabbe! - tłum znów atakujący i łapiący szamoczącego się człowieka w stalowoniebieskim szynelu, przelotny błysk jego ściągniętej twarzy i białych jak lód włosów potwierdzający, że to doktor Svenson na moment przed tym, zanim atakujący tłum bezceremonialnie przerzucił go przez poręcz.

Panna Temple podniosła głowę, natychmiast domyśliwszy się, że to musiał być obraz z kamieniołomu w Tarr Manor, i znów znalazła się w sali balowej. Zobaczyła poruszenie w tłumie, napierającym na środek sali, gdzie nagle ujrzała doktora Svensona, zdyszanego i potłuczonego, na czworakach - w tym samym miejscu, gdzie przed chwilą był Chang. Svenson spojrzał na tłum, rozpaczliwie szukając ucieczki, ale odnalazł jej twarz i zdrętwiał na ten widok. Pułkownik Aspiche podszedł do niego i jedną ręką wyrwał mu skórzaną teczkę, a drugą zadał mocny cios pałką. Wszystko to trwało kilka sekund. Tak jak przed nim Chang, doktor Svenson też został wywleczony z sali balowej.

\*

Nie mogąc odprowadzić go spojrzeniem, nie zdradzając się, panna Temple przywarła wzrokiem do kobiet z błyszczącego szkła. Choć budziły niepokój - a na widok panny Poole (jeśli nadal można było tak nazywać ten bezmyślny żywy posąg), oblizującej śliskim końcem języka lazurowe wargi, pannę Temple przeszedł dreszcz niepokoju - to jednak odwlekały chwilę, gdy będzie musiała napotkać przenikliwe spojrzenie fiołkowych oczu hrabiny. Nagle

Caroline złapała ją za rękę i odwróciła w kierunku podium, na którym stali członkowie kliki: hrabina, Xonck, Crabbe, za nimi księżę i Lydia Vandaariff, wciąż w masce i białej szacie, a za tą parą, jak lękliwy podsłuchujący chłopczyk, czał się macklenburski poseł, Herr Flauss. Wbrew zdrowemu rozsądkowi panna Temple od razu popatrzyła na hrabinę, która odpowiedziała jej lodowato zimnym spojrzeniem. Panna Temple z ulgą stwierdziła, że to Harald Crabbe, a nie hrabina, występuje naprzód, aby przemówić.

- Zebrani goście... oddani przyjaciele... wierni wyznawcy... nadszedł czas, gdy wszystkie nasze plany dojrzały do realizacji... i czekają jak owoce na zerwanie. Nasze obecne wysiłki zmierzają do zebrania tych owoców, aby nie padły na jałowy grunt. Wszyscy rozumiecie doniosłe znaczenie tej nocy - to, że w istocie wkraczamy w nową epokę - i któż mógłby w to wątpić, gdy na własne oczy widzimy tego dowody, niczym anioły zstępujące z nieba? Jednak dziś wieczorem ważą się losy naszego przedsięwzięcia. Księżę i panna Vandaariff udają się do Macklenburga na wesele... diuk Staelmaere zostanie przewodniczącym Królewskiej Rady... najpotężniejsze osobistości tego kraju w tym oto domu oddały swoją władzę... i wy wszyscy - co być może jest najważniejsze! - wy wszyscy wykonacie swoje zadania i dopełni się wasze przeznaczenie! I tak oto ziścimy tu nasze wspólne marzenie.

Crabbe urwał i najpierw napotkał spojrzenie pułkownika Aspiche'a - a ten ostrym tonem, kontrastującym z ociekającą miodem przemową wiceministra, wydał rozkaz, po którym zatrzęsnięto wszystkie drzwi sali - a potem hrabiego d'Orkancza, który szarpnął smyczami niczym straszny pogromca lwów, posyłając swoje szklane stwory między zebranych. Przypominały cyrkowe lwy, mierzące wzrokiem potencjalne ofiary, i panna Temple z niepokojem zauważyła, że trzecią kobietę - tę o jej wzroście i kształtach - hrabia posłał w jej kierunku. Stwór odszedł na całą długość smyczy i napiąwszy ją, stał, niecierpliwie przebierając palcami, podczas gdy najbliżej stojący cofali się w popłochu. Panna Temple poczuła psychiczny napór, lodowaty chłód myśli...

- Zaakceptujecie fakt - ciągnął Crabbe - że nie ma miejsca na ryzykowne działania czy wahanie. Musimy mieć pewność - tak jak każdy z was, dołączywszy do nas, musi być pewien każdego mężczyzny i każdej kobiety w tej sali! Nie ma tu nikogo, kto nie przeszedłby procesu transformacji, kto nie oddałby swoich wspomnień do jednej z naszych ksiąg lub w inny sposób nie zademonstrował całkowitego oddania... a przynajmniej tak uważamy. Jak już powiedziałem... rozumiecie, że musimy mieć pewność.

Hrabia szarpnął smycz pani Marchmoor, która wygięła plecy i obrzuciła wzrokiem tłum. Mężczyźni i kobiety przed nią chwiali się, oszołomieni, milkli, skomleli lub jęczeli,

tracili równowagę i padali - gdy przetrząsała ich umysły, szukając śladów zdrady. Panna Temple zobaczyła, że hrabia również zamknął oczy, koncentrując się.

Czyżby pani Marchmoor dzieliła się z nim tym, co widziała? Nagle hrabia gwałtownie otworzył oczy. Jeden z mężczyzn w perłowszarych płaszczach osunął się na kolana. Hrabia d'Orkancz skinął na pułkownika Aspiche'a i dwaj dragoni bezlitośnie wywlekli z sali mężczyznę, teraz łkającego ze strachu. Hrabia ponownie zamknął oczy, a pani Marchmoor kontynuowała swoje milczące przesłuchanie.

Po pani Marchmoor przysła kolej na pannę Poole, krążącą równie beznamyślnie w innej części sali. Znalazła jeszcze dwóch mężczyzn i kobietę, którzy szybko pożałowali tego, że tu przyszli. Przez moment panna Temple zastanawiała się, czy są to tacy ludzie jak ona - nieprzejednani wrogowie niegodziwej kliky - lecz gdy tylko złapali ich żołnierze, natychmiast stało się jasne, że jest wprost przeciwnie. To byli karierowicze, którzy zdołali podrobić zaproszenia lub w inny sposób dostać się na to przyjęcie w nadziei, że opromieni ich blask wyższych sfer. Chociaż ze współczuciem słuchała ich błagań, nie marnowała czasu, zastanawiając się nad ich losem... gdyż panna Poole skończyła i hrabia szarpnął smycz trzeciej kobiety.

Niewidzialna fala myśli pełzła ku niej jak rozchodzący się ogień albo płonący lont, na którego końcu czeka śmierć. Tamta była coraz bliżej i panna Temple nie wiedziała, co robić. Zaraz zostanie zdemaskowana. Czy powinna spróbować ucieczki? Może popchnąć tamtą w nadziei, że rozbije się, upadając? Zostało jej zaledwie kilka sekund. Nabrała tchu i napięła mięśnie jakby w oczekiwaniu na cios. Caroline wyprostowała się, blada, zerknęła na pannę Temple, która nagle uświadomiła sobie, że Caroline jest przerażona. Jednak nadchodząca niebieska kobieta spojrzała na coś za plecami panny Temple. Dał się słyszeć dziwny dźwięk, jakby otwieranych drzwi? - a potem ostry głos wiceministra:

- Za pozwoleniem, monsieur hrabio, dość tego!

\*

Za plecami panny Temple do sali weszła niezwykła grupka. Tłum z szacunkiem pochylał głowy przed wysokim człowiekiem, śmiertelnie bladym i o długich siwych włosach, z rzędem medali na piersi przepasanej niebieską szarfą. Szedł bardzo sztywno - tak samo jak szklane kobiety - jedną ręką trzymając czarną łaskę, a drugą ramię niskiego mężczyzny o wyrazistych rysach twarzy, tłustych włosach i okularach na nosie, który nie wyglądał na odpowiedniego towarzysza takiej osobistości. Po przemowie wiceministra domyśliła się, że to diuk Staelmaere, człowiek, który - jeśli plotki były prawdą - jako swoich służących zatrudnił wyłącznie zubożałych arystokratów, tak bardzo brzydził się ludzi z niższych sfer. Co ten

człowiek robi na takim przyjęciu, pośród pospółstwa? To jednak nie wszystko, gdyż obok diuka - niemal jakby był jego oblubienicą - szedł sam lord Robert Vandaariff. Za nim, podtrzymując lorda Vandaariffa pod rękę, kroczył Roger Bascombe.

- Nie sądzę, żebyśmy zakończyli nasze dochodzenie - rzekł Francis Xonck - które, jak sam pan powiedział, ministrze, ma kluczowe znaczenie.

- Istotnie, panie Xonck. - Harald Crabbe skinął głową i powiedział dostatecznie głośno, żeby tłum go usłyszał: - Jednak ta sprawa nie może czekać! Przed nami stoją dwie najważniejsze osoby w tym kraju - a może na kontynencie! - i jedną z nich jest nasz gospodarz. Uważam przedłożenie ich pilnych potrzeb nad nasze za konieczność, a zarazem uprzejmość.

Panna Temple zauważyła, że Francis Xonck spojrział w jej stronę, i wiedziała, że uważnie przyglądał się rezultatom jej badania. Odwróciła się do nowo przybyłych, bo chociaż nie miała ochoty patrzeć na Rogera, to jeszcze mniejszą chęć miała na oglądanie Xoncka i hrabiny. Nagle zrozumiała, że Crabbe przerwał dochodzenie nie z jej powodu, ale ze względu na przybyszów, których szklana kobieta również by sprawdziła, przekazując ich myśli hrabiemu d'Orkanczowi. Tylko kogo chroni Harald Crabbe? Diuka? Vandaariffa? Czy też swojego zastępcę, Bascombe'a - i sekretne plany, które razem snuli? I dlaczego Caroline jest taka przestraszona? Panna Temple miała ochotę tupać z irytacji na swoją niewiedzę. Czy Vandaariff jest przywódcą kliky, czy nie? Czy zwalcza hrabiego, żeby uratować córkę? Czy działania Crabbego - i obecność Rogera - wskazują na to, że sprzymierzyli się z Vandaariffem? Tylko co ma myśleć o tym, że Roger stał przed drzwiami pokoju tuż przed tym, jak zamordowano Trappinga? Nagle panna Temple przypomniała sobie, jak jej narzeczony pojawił się w sekretnej komnacie, w której hrabina dręczyła księcia. Czyżby Roger zawarł jakieś własne tajne przymierze? A jeśli to on zabił Trappinga (ledwie mogła w to uwierzyć - Roger?), czy zrobił to na polecenie hrabiny?

Diuk Staelmaere zaczął mówić zacinającym się głosem, suchym, jakby w gardle miał garść popiołu.

- Jutro zostanę przewodniczącym Królewskiej Rady... krajowi grozi kryzys... królowa jest chora... następcą tronu nie ma dziedzica ani żadnych zalet... tak więc tej nocy otrzymał dar, o którym marzył, dar, który niechybnie uwięzi jego słaby umysł... cudowną szklaną księgę, w której utonie.

Panna Temple ściągnęła brwi. To nie przypominało żadnego przemówienia diuka, jakie dotychczas słyszała. Ostrożnie zerknęła przez ramię i zobaczyła, że szklana kobieta

skupiła uwagę na diuku, a za nią, przy każdym słowie padającym z ust diuka Staelmaere, ledwie dostrzegalnie porusza ukrytymi w gąszczu brody ustami hrabia d'Orkancz.

- Królewska Rada obejmie rządy... nasza wizja, moi sojusznicy... znajdzie wyraz... odcisnie swe piętno na całym świecie. Obiecuję to... wam wszystkim.

Potem diuk odwrócił się do stojącego obok niego mężczyzny i skłonił się sztywno.

- Milordzie...

Choć głos Roberta Vandaariffa nie był tak niesamowity jak głos diuka, jeszcze bardziej zmroził krew w żyłach pannie Temple, gdyż zanim zaczął mówić, wziął od Rogera złożoną kartkę, wręczoną mu z pokorą podwładnego... Tylko że lord odwrócił się, ponieważ Roger ścisnął jego ramię. Po następnym ściśnięciu - które też zauważyła - Vandaariff rozłożył kartkę i zaczął czytać donośnym głosem, który brzmiał równie głucho jak odgłos kroków w pustym pokoju.

- Nie zwykłem wygłaszać przemówień, tak więc proszę wybaczyć, że czytam z kartki. Dziś wieczorem wysyłam moje jedyne dziecko, moją księżniczkę Lydię, aby poślubiła mężczyznę, którego pokochałem jak syna.

Po trzeciej delikatnej zachęcie ze strony Rogera - który wbił wzrok w podłogę - lord Robert skłonił się księciu i swojej córce, stojącej na podium. Panna Temple zastanawiała się, jakie uczucia do ojca skrywa dziewczyna pod maską... W jakim stopniu proces transformacji spotęgował jej płytki charakter i złość oraz jaki skutek wywrą jego obojętne słowa. Lydia dygnęła i rozciągnęła usta w uśmiechu. Czy wie, że jej ojciec jest marionetką Rogera Bascombe'a? Czy dlatego się uśmiecha?

Lord Robert znów odwrócił się do zebranych i odnalazł właściwe miejsce na stronie.

- Jutro musicie udawać, że tej nocy nigdy nie było. Nikt z was nie wróci już do Harschmort House. Nikt z was nie przyzna się, że tutaj był, tak samo jak nie przyzna się, że zna kogokolwiek z tu obecnych, a wieści z Księstwa Macklenburga będzie bagatelizował jako mało ważne plotki. Jednak trud mojego kolegi, stojącego tu diuka, zmieni ten kraj, a potem wszystkie inne kraje. Niektórzy z was zostaną moimi agentami, podróżującymi tam, gdzie będą potrzebni, lecz zanim dziś odejdziecie, wszyscy otrzymacie instrukcje w formie drukowanej książki szyfrowej od mojego szambelana... pana Blenheima.

Vandaariff rozejrzał się, gdyż w tym momencie Roger kazał mu odszukać Blenheima w tłumie... ale Blenheima nie było. Niezręczna cisza zamieniała się w ogólną konsternację, goście rozglądali się, a stojący na podium marszczyli brwi i rzucali groźne spojrzenia w kierunku pułkownika Aspiche'a, który odpowiedział na to szorstkim wzruszeniem ramion.

Zręcznie - co panna Temple uznała jednocześnie za irytujące i godne podziwu - wykazując inicjatywę, Roger Bascombe odkasznął i wystąpił naprzód.

- Pod nieobecność pana Blenheima książki z instrukcjami możecie odbierać ode mnie w biurze szambelana, zaraz po zakończeniu tego spotkania.

Szybko zerknął w stronę podium, a potem szepnął coś do ucha lordowi Robertowi. Wrócił na swoje miejsce, a lord Robert podjął przerwana mowę.

- Jestem wdzięczny, mogąc dopomóc w tym przedsięwzięciu, tak jak dziękuję tym, którzy najpełniej wyobrazili sobie jego sukces. Zapraszam was wszystkich, byście cieszyli się gością u mnie.

Roger delikatnie wyjął kartkę z jego rąk. Tłum burzą oklasków przyjął słowa tych dwóch wpływowych ludzi, którzy słuchali tego obojętnie, jakby brawa były deszczem, a oni posągami.

Panna Temple była zdumiona. A jednak nie było żadnych zmagania między Vandaariffem i hrabią - lord Robert został całkowicie podporządkowany. Nigdy nie otrzymał informacji od Trappinga i los Lydii - jakkolwiek odrażającą przyszłość jej szykowano - został przypieczętowany. Nie miało znaczenia, czy Oskar Veilandt jest więziony w tym domu, tak jak nie było już ważne, kto zabił Trappinga... Nagle panna Temple zmarszczyła czoło. Jeśli Vandaariff jest ich, to dlaczego Crabbé przerwał dochodzenie? Jeśli sami członkowie kliki nie znali zabójcy Trappinga, czy wszystko szło tak gładko? Czy spór o los Lydii był jedynym dzielącym wrogów? A może istnieją inne różnice zdań?

Jednocześnie panna Temple zastanawiała się, kogo miało zwieść to przedstawienie w wykonaniu diuka i lorda Roberta - słyszała bardziej podnoszące na duchu i przekonujące słowa od podpitych żon rybaków na nabrzeżu. Biorąc przykład z Caroline Steame, pochyliła głowę, gdy dwaj luminarze i ich asystenci - a może powinna powiedzieć, dwie kukielki i ci, którzy pociągali za ich sznurki - szli przez salę balową. Gdy przechodzili obok niej, podniosła głowę i napotkała spojrzenie Rogera Bascombe'a, który w typowy dla niego sposób skrył zaniepokojenie, marszcząc brwi na widok śladów na jej twarzy. Kiedy dotarli na koniec sali, ze zdziwieniem zobaczyła, że hrabia oddaje smycz pani Marchmoor Rogerowi, a panny Poole niskiemu mężczyźnie o wyrazistych rysach. Nie mogąc ani na moment oderwać oczu od Rogera, zobaczyła, że gdy dragoni otworzyli drzwi, podszedł do pułkownika Aspiche'a i wyrwał - nie można było tego nazwać inaczej - skórzaną teczkę z ręki oficera. Przypomniała sobie, że ta teczka była uprzednio w posiadaniu doktora Svensona...

Hrabina przemówiła do tłumu, uprzedzając Xoncka i Crabbego, którzy już otwierali usta i przez chwilę gniewnie się krzywili, zanim zaczęli potakiwać jej, kiwając głowami.

- Panie i panowie, słyszeliście słowa naszego gospodarza. Wiecie, jakie powinniście poczynić przygotowania. Po dopełnieniu tych obowiązków będziecie wolni. Tej nocy możecie korzystać z rozrywek Harschmort House, a potem... każdej nocy... z przyjemności tego świata. Daję wam tę noc... daję wam zwycięstwo.

Hrabina wyszła naprzód i z promiennym uśmiechem zaczęła klaskać. Przyłączyli się do niej wszyscy stojący na podium, a potem wszyscy goście, prześcigając się w aplauzie dla łaskawej hrabiny i wyrażając aprobatę dla wszystkich wokół. Panna Temple też klaskała, czując się jak tresowana małpka, patrząc, jak hrabina cicho mówi coś do Xoncka i wiceministra. Doszedłszy do porozumienia, członkowie klikli zeszli z podium i ruszyli do drzwi. Zanim panna Temple zdążyła zareagować, usłyszała szept Caroline Stearne.

- Musimy iść za nimi. Coś jest nie tak.

\*

Gdy zmierzały w kierunku otwartych drzwi, przyciągając badawcze spojrzenia gości, którzy radośnie kierowali się w przeciwną stronę w ślad za Vandaariffem i diukiem, panna Temple wyczuła za plecami czyjąś obecność. Chociaż nie odważyła się spojrzeć - tego rodzaju ciekawość nie pasowała do niewzruszonej pewności siebie nabytej w wyniku procesu transformacji - po odgłosie kroków poznała, że to hrabia i ostatnia z trzech szklanych Gracji, kobieta, której nie знаła. Zawsze to jakaś pociecha - lepiej spotkać nową przeciwniczkę niż szydercze uśmiechy i niedowierzanie Marchmoor lub Poole. Jednak w głębi serca wiedziała, że nie ma znaczenia, która z nich spenetruje jej umysł - i tak zostanie zdemaskowana. Jej jedyną nadzieją było to, że ten sam instynkt, który kazał Crabbemu zapobiec zbadaniu diuka lub lorda Vandaariffa, nie pozwoli im ryzykować tak bliskiego kontaktu z tą kobietą - gdyż z pewnością pozostali członkowie klikli nie zechcą otworzyć swoich umysłów przed hrabią... a szczególnie jeśli planowali zdradę...

Weszła do obszernego foyer, gdzie zaczekała z kapitanem Smythe'em, który odszedł kilka metrów dalej, jakby nie chciał przeszkadzać w rozmyślaniach swoim przełożonym, a ci z kolei czekali w zniecierpliwionym milczeniu, aż przyjdzie ostatni z nich, po czym zamknięto wszystkie drzwi, aby wypowiedziane słowa nie dotarły do uszu jakiegoś przypadkowo przechodzącego w pobliżu wyznawcy. Gdy zatrzaśnięto drzwi i zasunięto rygle, panna Temple ze smutkiem zaczęła się zastanawiać, co się stało z Elóise i czy Chang oraz doktor Svenson jeszcze żyją. Natychmiast porzuciła te rozmyślania na widok hrabiny di Lacquer-Sforzy, która zapaliła papierosa w długiej czarnej lufce i zaciągnęła się trzy razy, zanim przemówiła, jakby każdy wdech podsycił jej wściekłość. Może jeszcze bardziej

niepokojące było to, iż żaden z otaczających ją potężnych ludzi nie próbował przerwać tego wyraźnie groźnego rytuału.

\*

- Co to było? - warknęła w końcu, przesywając wzrokiem Haralda Crabbego.

- Najmocniej przepraszam, hrabino...

- Dlaczego przeszkodziłeś w dochodzeniu? Sam widziałeś, że ujawniło co najmniej pięcioro intruzów, a każdy z nich mógł pokrzyżować nam plany podczas naszego pobytu w Macklenburgu. Wiesz o tym i o tym, że ten etap jeszcze nie jest zakończony.

- Moja droga, jeśli tak bardzo...

- Nic nie powiedziałam, ponieważ pan Xonck się odezwał i został przez ciebie zakrzyczany w obecności wszystkich. Gdyby ktoś z nas nadal się z tobą nie zgadzał, byłby to dowód braku jednomyślności, a tego - z takim wysiłkiem, wiceministrze - udawało nam się uniknąć.

- Rozumiem.

- Nie sędzę.

Wydmuchnęła następny kłęb dymu, przesywając go bazylijszkowym spojrzeniem. Crabbe próbował odkaszląć i zacząć od nowa, ale przerwała mu, zanim zdążył powiedzieć choć słowo.

- Nie jesteśmy głupcami, Haraldzie. Przerwałeś badanie, żeby hrabia nie mógł poznać myśli pewnych ludzi.

Crabbe niepewnie wskazał pannę Temple, lecz hrabina ponownie nie dopuściła go do głosu, gniewnie marszcząc brwi.

- Nie obrażaj mojej inteligencji. Powoli dojdziemy i do panny Temple, ale teraz mówimy o diuku i lordzie Vandaariffie. Z ich strony nie powinniśmy się obawiać żadnych kłopotów, oczywiście, o ile nie zostaliśmy wprowadzeni w błąd co do ich obecnego stanu. Prawie wszyscy widzieliśmy zwłoki diuka, więc jestem gotowa przyznać, że doktor Lorenz dobrze wykonał swoją robotę, przy której z konieczności musiał współpracować hrabia. Tak więc pozostaje nam lord Robert, za którego transformację - jak mi się zdaje - odpowiadasz ty.

- W pełni go kontroluję - zaprotestował Crabbe. - Sama widziałaś...

- Niczego nie widziałam! Mógł udawać!

- Spytaj Bascombe'a...

- Doskonale. Oczywiście, powinniśmy uwierzyć twojemu zaufanemu asystentowi.

Teraz mogę już spać spokojnie!

- Nikomu nie musisz wierzyć na słowo - warknął Crabbe, wpadając w gniew. - Wezwij lorda Roberta z powrotem i zobacz go sama, rób, co chcesz i tak przekonasz się, że jest naszym niewolnikiem! Dokładnie tak jak planowaliśmy!

- Zatem dlaczego - rzekł Francis Xonck spokojnie i groźnie - przerwałeś badanie?  
Crabbe zająknął się, machając rękami.

- Przyznaję, że nie z powodu, który wówczas podałem, ale by nie podważać autorytetu diuka i lorda Roberta, poddając ich poniżającemu badaniu na oczach wszystkich! Wiele zależy od tego, czy uda nam się pozostać niewidocznymi za tymi figurantami, a objęcie ich dochodzeniem ujawniłoby, że w rzeczywistości są naszymi sługami! I bez tego jest tyle zamieszania... Poczynając od tego, że to Blenheim miał eskortować swojego pana, żeby zachować pozory... Gdyby nie szybka interwencja Rogera, który go zastąpił...

- Gdzie jest Blenheim? - warknęła hrabina.

- Wygląda na to, że znikł, madame - odparła Caroline. - Pytałam gości, tak jak pani kazała, ale nikt go nie widział.

Hrabina prychnęła i spojrzała na drzwi za plecami panny Temple, gdzie stał pułkownik Aspiche, który wszedł ostatni.

- Ja nie wiem - powiedział. - Moi ludzie przeszukali dom...

- To ciekawe, gdyż Blenheim jest lojalny wobec lorda Roberta - zauważył Xonck.

- Lord Robert jest pod naszą kontrolą! - upierał się Crabbe.

- A przynajmniej pod kontrolą tego pańskiego Bascombe'a - sprostował Xonck. - Co to były za papiery?

To pytanie skierował do Aspiche'a, który go nie zrozumiał.

- Ta teczka z papierami! - krzyknął Xonck. - Zabrał ją pan doktorowi Svensonowi! A Bascombe zabrał ją panu!

- Nie mam pojęcia - powiedział pułkownik.

- Jest pan równie nieudolny jak Blach! - parsknął Xonck. - A poza tym gdzie on się podziewa?

Hrabia d'Orkancz westchnął ciężko.

- Major Blach nie żyje. Kardynał Chang.

Xonck przetrwał to, przewrócił oczami i wzruszył ramionami. Znów odwrócił się do pułkownika Aspiche'a.

- Gdzie jest teraz Bascombe?

- Z lordem Robertem - powiedziała Caroline. - Po tym, jak pan Blenheim...

- A gdzie miałyby być?! - zawołał coraz bardziej rozwścieczony Crabbe. - Gdzie? Rozdaje książki z wiadomością! Ktoś musiał to zrobić pod nieobecność Blenheima!

- Jakże szczęśliwie się składa, że postanowił się tym zająć - zauważyła chłodno hrabina.

- Jest z nim pani Marchmoor, której z pewnością ufasz tak jak ja Bascombe'owi! - zapłuł się Crabbe. - Chyba oboje wystarczająco dowiedli swojej lojalności!

Hrabina zwróciła się do Smythe'a:

- Kapitanie, wyślij dwóch swoich ludzi, żeby sprowadzili pana Bascombe'a, gdy tylko skończy. Niech przyprowadzą go tutaj, w razie konieczności z lordem Robertem.

Smythe natychmiast dał znak swoim ludziom i dragoni pobiegli, tupiąc buciorami.

- Gdzie jest Lydia? - zapytał Xonck.

- Z księciem - odpowiedziała Caroline. - Żegna gości.

- Dziękuję ci, Caroline - powiedziała hrabina. - Ktoś przynajmniej mnie słucha. - Zawołała do Smythe'a: - Każ swoim ludziom, żeby ich także przyprowadzili!

- Przyprowadź ich do mnie - wychrypiał hrabia d'Orkancz. - Ta część naszych spraw jeszcze nie jest zakończona.

Słowa hrabiego złowrogo zawisły w powietrzu, lecz pozostali milczeli, jakby obawiali się ponownego rozpoczęcia zażegnanego sporu. Kapitan wyznaczył jeszcze dwóch dragonów, wrócił na miejsce na końcu sali i wbił wzrok w czubki swoich butów, jakby nie słyszał ani słowa.

\*

- Wszystko to można z łatwością wyjaśnić - oznajmił wiceminister, zwracając się do hrabiego - jeśli zajrzemy do księgi, w której zostały zgromadzone myśli lorda Roberta. Ta księga jasno dowiedzie tego, iż zrobiłem to, co uzgodniliśmy. Powinna zawierać szczegółową relację o udziale lorda w całej tej sprawie - fakty, które znał tylko on.

- Co najmniej jedna księga została zniszczona - wychrypiał hrabia.

- W jaki sposób? - spytała hrabina.

- Chang.

- Niech go szlag trafi! - syknęła. - To naprawdę przekracza wszelkie granice. Czy wiecie, która to była księga?

- Nie będę wiedział, dopóki nie porównam pozostałych ze spisem - rzekł hrabia.

- Zatem zrobmy to - rzekł zjadliwie Crabbe. - Chcę jak najszybciej zostać oczyszczony z zarzutów.

- Księgi są właśnie przenoszone na dach - poinformował hrabia. - Co do spisu, dobrze wiesz, że jest w posiadaniu twojego asystenta.

- Wielkie nieba! - wykrzyknął Xonck. - Wygląda na to, że Bascombe stał się bardzo cennym jegomościem!

- Przyniesie tu spis - uspokoił go Crabbe - i wszystko się wyjaśni. To niepotrzebna strata czasu. Rozpraszamy się i niebezpiecznie opóźnimy, podczas gdy odpowiedzi na wszystkie te pytania mamy pod nosem. - Ruchem brody wskazał pannę Temple. - Ona i jej kompani przysporzyli nam niezliczonych kłopotów! Kto wie, może to właśnie oni zabili Blenheima!

- Tak jak Kardynał Chang zabił pana Graya... - zauważył spokojnie Xonck, spoglądając na hrabinę.

Crabbe rozważył jego słowa, zamrugał i - ucieszony zmianą kierunku rozmowy - pokiwał głową.

- Ach! Tak! Tak! Zapomniałem o tym, zupełnie wyleciało mi to z głowy! Hrabino?

- Co? Ponieważ Chang jest mordercą, a pan Gray znikł, nie mam żadnych wątpliwości, że został zabity. Nie wiem, gdzie się to stało. Kazałam panu Grayowi asystować doktorowi Lorenzowi przy diuku.

- Jednak Chang mówi, że spotkali się w podziemiach, w pobliżu rur! - krzyknął Crabbe.

- Tego nie słyszałem... - wychrypiął hrabia d'Orkancz.

\*

Hrabina spojrzała na niego i wyjęła z lufki niedopałek papierosa. Rzuciła go na podłogę i przydepnęła, umieszczając na jego miejscu nowy.

- Byłeś zajęty paniami - odparła. Panna Temple dostrzegła cień zmieszania na twarzy hrabiny, która popatrzyła na trzecią szklaną kobietę, stojącą spokojnie jak oswojony lampart, niesłuchającą ich swarów. Jej jasnoniebieskie ciało uderzająco kontrastowało z ciemnym futrem stojącego w pobliżu d'Orkancza. - Chang twierdził, że pan Gray manipulował przy twoich rurach, na moje polecenie. Najmocniejszym dowodem na to, oczywiście, byłoby jakieś niepowodzenie twoich wysiłków, tymczasem, o ile mi wiadomo, przeprowadziłeś trzy w pełni udane transformacje. Ponieważ chętnie przyznaję, że w ogóle nie rozumiem, na czym polega ten proces, uważam ten rezultat za dowód na to, iż Kardynał Chang jest kłamcą.

- Chyba że zabił Graya, zanim ten zdążył narobić szkód - rzekł Crabbe.

- To niczym nieoparte spekulacje - warknęła hrabina.

- Co nie oznacza, że nie są prawdą...

Hrabina doskoczyła do wiceministra i na jej dłoni - przed chwilą pozornie wkładającej do torebki papierośnicę - nagle pojawił się błyszczący metalowy kastet. Sterczące z niego ostrze przycisnęła do szyi Crabbego, dotykając pulsującej tętnicy.

Crabbe przełknął ślinę.

- Rosamonde... - zaczął hrabia.

- Powtórz to, ty męczący człowieczku - syknęła hrabina - a rozpruję cię jak źle zszyty rękaw.

- Rosamonde... - powtórzył hrabia. Hrabina nie odrywała oczu od wiceministra.

- Tak?

- Mogę coś zasugerować? Ta młoda dama...?

Hrabina dwoma szybkimi krokami odeszła od wiceministra - poza zasięg jego mściwych rąk - i odwróciła się do panny Temple. Była zarumieniona, najwyraźniej zadowolona, a jej oczy błyszczały z podniecenia. Panna Temple wątpiła, by kiedykolwiek znalazła się w większym niebezpieczeństwie.

- Przeszłaś transformację w amfiteatrze? - uśmiechnęła się hrabina. - Czy tak? Zaraz po Lydii Vandaariff?

Panna Temple skinęła głową.

- Co za szkoda, że panna Poole nie może tego potwierdzić. Jednak nie jesteśmy zupełnie bezradni... niech pomyślę... pomarańcz Harschmort... burdelmama... zapewne hotel... i oczywiście zguba...

Hrabina nachyliła się i szepnęła do ucha panny Temple:

- Pomarańczowa Magdalena pomarańczowy Royale konsumpcja lodu!

Zaskoczona panna Temple próbowała coś odpowiedzieć i za późno przypomniała sobie reakcję księcia w sekretnej komnacie...

Hrabina złapała ją za brodę i odchyliła głowę tak, że spojrzały sobie w oczy. Z zimnym szyderyczym uśmiechem hrabina wystawiła język i polizała najpierw jedno, a potem drugie oko panny Temple. Panna Temple pisnęła, gdy hrabina polizała ją znowu, mocno przyciskając język do jej nosa i policzka, przesuwając koniuszkiem po rzęsach. Z triumfalnym uśmiechem hrabina pchnęła ją w ramiona czekającego pułkownika Aspiche'a.

Panna Temple zobaczyła, jak ta elegancka dama ociera dłonią usta i cmoka drwiąco.

- Harker-Bornarth, rocznik trzydziesty siódmy, jak sądzę... doskonały rocznik... szkoda marnować go na tę dzikuskę. Zabierzcie ją stąd.

\*

Bezceremonialnie wywleczono ją z pokoju, poprowadzono korytarzem i wrzucono - nie można tego nazwać inaczej - jak worek fasoli do słabo oświetlonej komnaty pilnowanej przez dwóch Macklenburczyków w czarnych mundurach. Wylądowała na kolanach i błyskawicznie odwróciła się do drzwi. Włosy opadły jej na oczy, ale i tak zdążyła dostrzec zatraskującego drzwi Aspiche'a.

Po chwili usłyszała zgrzyt przekręcanego klucza i cichnące w oddali kroki. Panna Temple przykucnęła i westchnęła. Rękawem szaty otarła twarz, jeszcze lepka od śliny i porto, po czym się rozejrzała.

Tak jak się spodziewała, był to taki sam zakurzony i nieużywany salon jak ten, w którym spotkała Spragga i Farquhara, lecz z okrzykiem radości stwierdziła, iż nie jest tu sama. Zerwała się na równe nogi i doskoczyła do dwóch postaci leżących twarzami do podłogi. Obaj byli ciepłi i - pisnęła z radości - obaj oddychali! W końcu odnalazła swoich towarzyszy! Zebrała resztki sił i spróbowała obrócić ich na plecy.

Twarcz miała mokrą od łez, ale uśmiechnęła się, gdy doktor Svenson zaniósł się okropnym kaszlem. Starła się włożyć kolana pod jego plecy i pomóc mu usiąść. W słabym świetle nie widziała, czy jest zakrwawiony, ale czuła ostry odór niebieskiej gliny, którym przesiąkło jego ubranie i włosy. Pchnęła jeszcze raz i obróciła go tak, że oparł się o pobliską sofę. Znów zakaszał i na tyle doszedł do siebie, że zasłonił usta dłonią. Panna Temple, promieniejąc, odgarnęła mu włosy z czoła.

- Doktorze Svenson... - szepnęła.

- Moja droga Celeste... umarliśmy?

- Nie, doktorze.

- Doskonale... a Chang...?

- Też nie, doktorze. Jest tutaj.

- Wciąż jesteśmy w Harschmort?

- Tak, zamknięci w jakimś pokoju.

- A ty wciąż jesteś sobą?

- Och tak.

- Kapitalnie... jedną chwileczkę... przepraszam. Odwrócił się plecami do niej i splunął, nabrał tchu, jęknął i usiadł prosto, mocno zaciskając powieki.

- Dobry Boże... - wymamrotał.

- Jeszcze przed chwilą byłam wśród naszych wrogów! - powiedziała. - Dzieją się tu niesamowite rzeczy.

- Wyobrażam sobie... wybacz mi tę chwilową słabość... Panna Temple pospieszyła do Kardynała Changa i z trudem powstrzymała płacz na jego widok. Unoszący się wokół niego drażniący zapach był jeszcze intensywniejszy, a zaschnięta krew wokół nosa, ust i na kołnierzu oraz śmiertelna bladość twarzy dobitnie świadczyły, w jak kiepskim jest stanie. Zaczęła wycierać mu twarz swoją szatą, drugą ręką podtrzymując jego głowę, gdy zauważyła, że kiedy obracała go na plecy, ciemne okulary spadły mu z nosa. Spojrzała na głębokie blizny w kącikach jego oczu i przygryzła wargi na myśl o cierpieniach tego nieszczęśnika. Oddech z trudem wydobywał się z jego piersi, z odgłosem przypominającym ten, jaki towarzyszy potrząsaniu skrzynką zardzewiałych gwoździ. Czyżby umierał? Panna Temple przycisnęła jego głowę do swojej piersi i tuląc go, szeptała:

- Kardynale Chang... nie możesz nas opuścić... to ja, Celeste... jest ze mną doktor... nie poradzimy sobie bez ciebie...

Svenson podniósł się ze swego miejsca i jedną ręką chwycił jego przegub, a drugą położył mu na czole. Po chwili obmacał szyję Changa, a potem przyłożył ucho do jego piersi i posłuchał urywanego oddechu. Wyprostował się, westchnął, delikatnie odsunął pannę Temple i wprawnie obmacał potylicę Changa, na którą spadła pałka pułkownika.

Panna Temple bezradnie patrzyła na jego białe palce, przesuwające się po czarnych włosach Changa.

- Myślałem, że przeszłaś proces transformacji - powiedział spokojnie.

- Nie. Udało mi się podrobić ślady. Przykro mi, jeśli... no cóż, nie chciałam cię rozczarować...

- To mi wygląda na doskonały plan.

- Mimo to hrabina mnie przejrzała.

- Jestem pewien, że to nie powód do wstydu... Cieszę się, że widzę cię całą i zdrową. Mogę spytać... aż boję się...

- Rozdzielono mnie z Elóise. Ona miała takie same fałszywe ślady. Nie sądzę, żeby ją złapali, ale nie wiem, gdzie jest. Oczywiście nie jestem tak całkiem pewna, kim ona jest.

Doktor uśmiechnął się, słysząc to, trochę nieobecny i smutny uśmiechem, patrząc już boleśnie przytomnym wzrokiem.

- Ja też nie wiem... i to jest najdziwniejsze. - Tym samym niepokojąco trzeźwym spojrzeniem zmierzył pannę Temple. - A czy kiedykolwiek się to wie?

Oderwał od niej oczy i odkaszlnął.

- Istotnie - pociągnęła nosem panna Temple, poruszona tym nieoczekiwanym wyznaniem. - Mimo to strasznie mi przykro, że ją zgubiłam.

- Wszyscy robiliśmy, co w naszej mocy... to cud, że jesteśmy żywi... każde z nas ucierpiało.

Skinęła głową, chcąc powiedzieć więcej, ale nie mając pojęcia co. Doktor westchnął, zastanowił się, a potem nagle jedną ręką zacisnął Changowi nos, a drugą zakrył usta. Panna Temple jęknęła.

- Co to...

- Chwileczkę.

Nie trwało to dłużej niż chwilę, jak cudownie przywrócony do życia Chang otworzył oczy, napiął mięśnie i złapał Svensona za ręce, a rżenie w jego płucach jeszcze przybrało na sile. Doktor zręcznie uwolnił się z uścisku i Kardynał dostał okropnego ataku kaszlu, któremu towarzyszyły strużki krwawej śliny. Svenson i panna Temple wzięli go pod ręce i podnieśli na klęczki, tak by mógł swobodniej oddychać i odpluwać.

Chang otarł usta palcami i wytarł je o podłogę. Panna Temple zauważyła, że dobrze zrobił, nie próbując ich wytrzeć o swój płaszcz lub spodnie. Odwrócił się do nich, zamrugnął, a potem szybko dotknął swojej twarzy. Panna Temple z uśmiechem podała mu okulary.

- Jak dobrze widzieć was obu - szepnęła.

\*

Siedzieli przez chwilę, dając sobie czas na zebranie sił i przemyślenie sytuacji, a w przypadku panny Temple także otarcie łez i opanowanie drżenia głosu. Tyle było do powiedzenia i do zrobienia, prychnęła gniewnie na swoją słabość, chociaż to prychnięcie wyszło dość słabo z powodu pociągania nosem.

- Masz nad nami przewagę, Celeste - mruknął ochryple Chang. - Widząc krew we włosach doktora, zakładam, że obaj nie wiemy, gdzie jesteśmy, kto nas pilnuje... a nawet która jest godzina.

- Ile minęło czasu, od kiedy nas złapali? - zapytał Svenson. Panna Temple znowu pociągnęła nosem.

- Bardzo mało. Jednak wiele się wydarzyło, od kiedy rozmawialiśmy ostatnio i od kiedy was opuściłam... Tak mi przykro... To było dziecinne i głupie...

Svenson machnięciem ręki zbył jej troski.

- Celeste, wątpię, abyśmy mieli czas... a ponadto to nieważne...

- Dla mnie ważne.

- Celeste... - mruknął Chang, próbując wstać.

- Bądźcie cicho - powiedziała i wstała, tak że teraz patrzyła na nich z góry. - Będę się streszczała, ale najpierw muszę przeprosić za to, że opuściłam was na Plum Court. To było

głupie i nie tylko o mało nie przyplącałam tego życiem, ale prawie zgubiłam was obu. - Uniosła rękę, uciszając protest doktora Svensona. - Przed tymi drzwiami stoją dwaj macklenburscy żołnierze, a w głębi korytarza co najmniej dziesięciu dragonów, ich dowódca i pułkownik. Drzwi są zamknięte i - jak obaj widzicie - w tym pokoju nie ma okien. Zakładam, że nie mamy broni.

Chang i Svenson machinalnie sprawdzili kieszenie, lecz niczego nie znaleźli.

- Nie szkodzi, zdobędziemy ją - powiedziała szybko, nie chcąc tracić czasu.

- Jeśli sforsujemy te drzwi - dodał Svenson.

- Tak, oczywiście. Najważniejsze to udaremnić plan nieprzyjaciela.

- A jaki właściwie jest to plan? - spytał Chang.

- W tym rzecz, że znam tylko jego część. Jednak ufam, że wy też poznaliście jakieś jego fragmenty.

Dotrzymując obietnicy, że będzie się streszczała, panna Temple pospiesznie opowiedziała o spotkaniu w hotelu St. Royale, o naparze pitym przez pannę Vandaariff, o obrazie w pokoju hrabiny, o zmaganiach z księżką, o potyczce - w mocno skróconej wersji - z hrabią i hrabiną w powozie, jeździe pociągiem do Harschmort i wyprawie do amfiteatru. Chang i Svenson kilkakrotnie otwierali usta, żeby coś dodać, ale uciszała ich i mówiła dalej - o sekretnej komnacie, o hrabinie i księciu, o tym, jak zabiła Blenheima, o tym co Elóise odkryła w szkiełku, o Trappingu, Vandaariffie, Lydii, Veilandcie, sali balowej i w końcu o gwałtownej kłótni między hrabiną a jej sojusznikiem przed zaledwie dziesięcioma minutami. Cała ta pospiesznie wyszeptana relacja zajęła jej najwyżej dwie minuty.

Kiedy skończyła, panna Temple odetchnęła, mając nadzieję, że nie zapomniała niczego istotnego, choć oczywiście wiele pominęła, gdyż po prostu za dużo się wydarzyło.

- No cóż... - Doktor podniósł się z podłogi i usiadł na kanapie. - Przejęli kontrolę nad rządem poprzez diuka, choć ten na pewno jest martwy, zapewniam was, a teraz zamierzają opanować Macklenburg...

- Nie obraż się, doktorze - powiedziała panna Temple - ale nie rozumiem, czemu to jedno z tak wielu niemieckich królestw miałoby być takie ważne.

- Księstw - poprawił ją doktor - ale owszem, jest ważne, ponieważ w naszych górach jest więcej tej niebieskiej gliny niż w stu takich rezydencjach jak Tarr Manor razem wziętych. Od lat przejmowali ziemie... - Głos uwiązł mu w gardle i znów potrząsnął głową. - W każdym razie jeśli dziś wieczorem udadzą się do Macklenburga...

- Będziemy musieli podróżować... - mruknął Chang. Po tych słowach znów dostał ataku kaszlu, który starał się zignorować, sięgając do obu bocznych kieszeni swojego płaszcza. - Niosłem je kawał drogi w oczekiwaniu na taką właśnie chwilę...

Panna Temple pisnęła, uszczęśliwiona i zaskoczona, znów energicznie mrugając, żeby powstrzymać łzy. Jej zielone buciki! Bez namysłu i nie dbając o skromność, usiadła na podłodze i z radością włożyła swe utracone skarby na stopy. Spojrzała na Changa, który uśmiechał się - wciąż kaszłąc - i zaczęła zawiązywać sznurowadła.

- Nie potrafię opisać, ile to dla mnie znaczy - mówiła - bo byście się ze mnie śmiali... Już się śmiejecie. Wiem, że to tylko buty i mam ich dużo... i szczerze mówiąc, jeszcze cztery dni temu nie dałabym za nie złamanego szeląga, ale teraz nie oddałabym ich za żadne skarby świata.

- Oczywiście - powiedział cicho Svenson.

- Tak! - wykrzyknęła panna Temple. - I są też twoje rzeczy... z twojego płaszcza, który zgubiłyśmy, ale jak już mówiłam, wzięłyśmy szkiełko, a także srebrną papierośnicę! No, teraz jej nie mam, ale ma ją Elóise i kiedy ją znajdziemy, odzyskasz swoją własność.

- Istotnie... ja... to wspaniale...

- Zdaje się, że jesteś do niej bardzo przywiązany. Doktor skinął głową, ale zaraz odwrócił ją, ściągając brwi, jakby nie chciał już o tym mówić. Chang znów zaniósł się mokrym kaszlem.

- Musimy coś z tym zrobić - rzekł Svenson, ale Chang pokręcił głową.

- To płuca... - wychrypiał.

- Sproszkowane szkło - wyjaśniła panna Temple. - Hrabina powiedziała mi, jak cię zabiła.

- Przykro mi, że muszę rozczarować tę damę... - uśmiechnął się Chang.

Svenson obrzucił go ponurym spojrzeniem.

- Nawet zwykłe szkło uszkodziłoby płuca, a to ma w dodatku właściwości toksyczne. To cud, że nie pogrzyżyłeś się w narkotycznych wizjach.

- Zapewniam cię, że wołałbym je od tego kaszlu.

- Czy można jakoś to szkło usunąć? - zapytała panna Temple. Doktor znów się zamyślił. Kardynał splunął i zaczął mówić.

- Moja opowieść jest prosta. Kiedy nie wiedzieliśmy, dokąd poszłaś, rozdzieliliśmy się. Doktor udał się do Tarr Manor, a ja do ministerstwa. Obaj się pomyliliśmy. Ja spotkałem Bascombe'a i hrabinę, byłem świadkiem procesu transformacji, walczyłem z Xonckiem, o mało nie zginąłem, a potem wpadłem na twój ślad, za późno, w hotelu St. Royale - stąd te

buty - i pojechałem pociągiem do Harschmort. Znalazłszy się tu, zobaczyłem najbardziej wpływowe osobistości oddające swe wspomnienia do ksiąg i Roberta Vandaariffa, który bezmyślnie jak małpa zappełniał stronę za stroną opisem swoich sekretów. Nie zdołałem zapobiec transformacji trzech kobiet... - Chang zamilkł na moment. Panna Temple coraz jaśniej zdawała sobie sprawę z tego, że obaj doszli nie tylko do kresu sił, ale także wytrzymałości psychicznej, i na myśl o tym pękało jej serce. Kardynał odkaslnął. - Jednak zabiłem majora Blacha. Poza tym niewiele zanim mnie złapano, chociaż zdołałem również zabić człowieka hrabiny, pana Graya.

- O! Strasznie się o to kłócili! - wykrzyknęła panna Temple.

- Wykonywał jakieś zadanie, jestem pewny, że w tajemnicy przed innymi. Nie wiem, co robił. - Spojrzał na pannę Temple. - Powiedziałaś, że pilnują nas dragoni?

- Nie stoją przed drzwiami, nie, ale na korytarzu. Jest ich chyba dwunastu i ich dowódca, kapitan Smythe, oraz pułkownik...

- Smythe, mówisz! - Chang wyraźnie się rozpromienił.

- Spotkałem go - rzekł Svenson. - Uratował mi życie!

- Mnie też skądś zna - powiedziała panna Temple. - To było dość niepokojące...

- Jeśli zdołamy pozbyć się Aspiche'a, Smythe nam pomoże, jestem tego pewien - rzekł Chang.

Panna Temple zerknęła na drzwi.

- No cóż, jeśli tylko tego nam potrzeba, to szybko się stąd wydostaniemy. Doktorze?

- Mogę opowiadać po drodze. Wystarczy, jeśli powiem, że na dachu jest statek powietrzny, którym przybyliśmy tu z Tarr Manor. Mogą wykorzystać go, żeby dotrzeć do okrętu na kanale albo dowolnego miejsca na wybrzeżu...

- Albo dolecieć aż do Macklenburga - podsunął Chang. - Te maszyny, które widziałem, są naprawdę potężne.

Svenson pokiwał głową.

- Masz rację, nie wolno lekceważyć ich możliwości, ale to również może zaczekać. Nie możemy dopuścić do tego małżeństwa. Musimy powstrzymać diuka.

- I musimy znaleźć Elóise! - wykrzyknęła panna Temple. - Szczególnie że ona ma szklany klucz!

- Jaki szklany klucz? - wykrztusił Chang.

- Nie wspomniałam o nim? Sądzę, że on pozwala bezpiecznie czytać księgi. Wyjęłyśmy go z kieszeni Blenheima.

- A skąd on go miał? - chciał wiedzieć Chang.

- Właśnie! - rozpromieniła się panna Temple. - A teraz obaj z powrotem na podłogę, albo... w porządku, jestem pewna, że równie dobrze możecie leżeć na kanapie... tylko musicie zamknąć oczy i nie ruszać się.

- Celeste, co ty robisz? - zdziwił się Svenson.

- Umożliwiam nam ucieczkę, naturalnie.

\*

Zastukała w drzwi i najmilej jak umiała, zawołała do wartowników po drugiej ich stronie. Nie odpowiedzieli, lecz panna Temple stuknęła dalej i chociaż kilkakrotnie musiała zmieniać rękę, gdyż rozboleły ją knykcie, w końcu usłyszała zgrzyt przekręcanego w zamku klucza, drzwi uchyliły się ostrożnie i w szparze ujrziała bladą twarz patrzącego na nią podejrzliwie młodego macklenburskiego żołnierza - młodszego od niej, na widok czego uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Najmocniej przepraszam, ale muszę się zobaczyć z pułkownikiem. To bardzo ważne. Mam informacje dla hrabiny - hrabiny, rozumiesz? - na które ona niecierpliwie czeka.

Żołnierz nie mszał się. Czy chociaż ją rozumiał? Uśmiech panny Temple nieco przygasł, gdy nachyliła się i powiedziała głośniejszym, ostrym i rozkazującym tonem:- Muszę się widzieć z pułkownikiem! Natychmiast! Albo zostaniesz ukarany!

Żołnierz spojrzał na swojego towarzysza, stojącego gdzieś obok, najwyraźniej nie wiedząc, co robić. Panna Temple wrzasnęła ile sił w płucach:

- Pułkowniku Aspiche! Mam dla pana ważną wiadomość! Jeśli hrabina jej nie otrzyma, obetnie panu uszy!

Wartownik zatrzasnął drzwi i zaczął obracać klucz w zamku, lecz panna Temple już słyszała gniewny tupot ciężkich buciorów. Po chwili drzwi otworzyły się na oścież i stanął w nich Aspiche, z zaczerwienioną twarzą, jedną ręką trzymając cienkie cygaro, drugą ściskając rękojeść szabli. Przeszył ją wzrokiem jak rozzłoszczony nauczyciel szykujący się do wymierzenia chłosty.

- Bardzo dziękuję za przybycie - powiedziała panna Temple.

- O jakiej informacji skrzeczysz? - warknął. - Twoje maniery pozostawiają wiele do życzenia, tym bardziej jeśli okaże się, że kłamiesz.

- Nonsens - prychnęła panna Temple, udając, że trzęsie się ze strachu, i mówiąc teatralnie drżącym głosem. - Nie musi mnie pan straszyć, bo stan zdrowia moich przyjaciół i rozkazy hrabiny czynią mnie bezradną. Próbuję tylko ocalić życie.

Wytarła nos rękawem.

- Co to za informacja? - powtórzył Aspiche.

Panna Temple zerknęła na stojących za nim wartowników, patrzących na tę scenę z nieskrywanym zaciekawieniem, po czym przysunęła się do pułkownika.

- To naprawdę poufne... - szepnęła.

Aspiche też się pochylił, zaciskając usta. Panna Temple niemal dotknęła wargami jego ucha.

- Błękitny... Cezar... błękitny... regiment... konsumpcja... lodu...

\*

Podniosła wzrok i zobaczyła, że pułkownik wbił wzrok w jakiś punkt za jej plecami.

- Może powinniśmy zostać sami - szepnęła. Aspiche gniewnie odwrócił się do wartowników.

- Zostawcie mnie z więźniami! - warknął. Wartownicy pospiesznie cofnęli się, gdy Aspiche oburącz pchnął drzwi, zatraskując je. Z kamienną twarzą odwrócił się do panny Temple.

- Kardynale... doktorze... możecie wstać.

Wciąż szeptała, nie chcąc zaalarmować wartowników. Chang i Svenson podnieśli się powoli, z ponurym zaciekawieniem spoglądając na pułkownika.

- Każdemu przechodzącemu proces transformacji wprowadza się do pamięci jakieś hasło - wyjaśniła panna Temple. - Podśluchałam, jak hrabina wykorzystała to, które wprowadzono księciu, a później próbowała użyć go na mnie, dowodząc, że nie zostałam przemieniona. Nie byłam zupełnie pewna... ale domyśliłam się...

- Zaryzykowałaś, zgadując? - zapytał Svenson.

- Tak, ale odgadłam prawidłowo. Hasło składa się z kilku części - pierwszą jest kolor i domyśliłam się, że to kolor miejsca, w którym przeprowadzono proces. Pamiętacie, że różne pudła miały różne kolory filcowej wyściółki...

- Pomarańczowe w Harschmort - rzekł Chang. - Niebieskie w instytucie.

- A ponieważ pułkownik został przemieniony, zanim wywieźli skrzynie z instytutu, jego kolorem musiał być niebieski.

- Co z resztą zdania? - pytał Svenson.

- Druga część dotyczy pełnionej roli, określonej przez biblijną metaforę. Założę się, że to pomysł hrabiego. Książę był Józefem, gdyż zostanie ojcem cudzego dziecka, a biedna Lydia Marią... Ja byłabym Magdaleną, tak jak wszystkie kobiety w białych szatach, przechodzące inicjację... Co do pułkownika, reprezentującego władzę, prawidłowo odgadłam, że będzie cezarem. Podobnie z resztą zdania: regiment zamiast Pałace lub Royal.

- Czy on to rozumie? - zapytał Svenson.

- Tak sędę, ale czeka na rozkazy.

- Może powinien poderznąć sobie gardło? - podsunął Chang, chichocząc ochryple.

- Może nam powie, czy złapali Elóise - rzekł Svenson, po czym powoli i wyraźnie zapytał pułkownika: - Czy wiesz, gdzie przebywa pani Dujong?

- Zamknij ten parszywy pysk albo sam ci go zamknę! - ryknął Aspiche.

Svenson odskoczył, szeroko otwierając oczy ze zdumienia.

- Ach - powiedziała panna Temple. - Chyba tylko ta osoba, która wypowiedziała hasło, może mu wydawać rozkazy. - Odchrząknęła. - Pułkowniku, czy wiesz, gdzie możemy znaleźć panią Dujong?

- Oczywiście, że nie - warknął ponuro Aspiche.

- W porządku... a kiedy ostatnio ją widziałeś? Wargi pułkownika wygięły się w obleśnym uśmiechu.

- Na pokładzie sterowca. Doktor Lorenz zadawał jej pytania, a kiedy nie odpowiedziała, panna Poole i ja po kolei...

Pięść doktora Svensona wylądowała z impetem na szczęce pułkownika, obalając go na podłogę. Panna Temple odwróciła się do Svensona - syczącego z bólu i potrzęsającego dłonią - a potem do Aspiche'a, pniącego się z wściekłości i próbującego wstać. Zanim zdołał to zrobić, Chang błyskawicznie wyrwał szablę z pochwy u jego pasa. Lśniące ostrze świsnęło w powietrzu i panna Temple odskoczyła z piskiem. Kiedy się odwróciła, koniec trzymanej przez Kardynała szabli unosił się tuż nad piersią pułkownika. Aspiche znieruchomiał.

- Doktorze? - zapytała cicho panna Temple.

- Przepraszam...

- Nie ma za co, pułkownik to zwierzę. Jak twoja ręka?

- Nic mi nie będzie.

Z zaciętą miną podeszła do Aspiche'a. Wiedziała, że Elóise przeszła ciężkie chwile i teraz przypomniła sobie, jak irytowała się, że oszołomiona i potykająca się towarzysząca spowalnia jej ucieczkę z amfiteatru. Z przyjemnością zrzuciła część poczucia winy i wyrzutów sumienia na tego łotra.

- Pułkowniku, otworzy pan te drzwi i wyprowadzi nas na korytarz. Każe pan wejść obu wartownikom do środka i ich tu zamknie. Gdyby stawiali opór, postara się pan ich zabić. Rozumie pan?

Aspiche kiwnął głową, patrząc to na nią, to na koniec szabli.

- Zatem niech pan to zrobi. Tracimy czas.

Niemcy nie sprawili im żadnych kłopotów, nauczeni wykonywania rozkazów. Po chwili cała czwórka znów stała w rozległym holu, w którym niedawno kłócili się członkowie klikki. Dragoni zniknęli razem ze swoim dowódcą.

- Gdzie kapitan Smythe? - zapytała Aspiche'a.

- Towarzyszy panu Xonckowi i wiceministrowi. Panna Temple zmarszczyła brwi.

- To co pan tu robi? Nie otrzymał pan żadnych rozkazów?

- Oczywiście, że otrzymałem. Miałem was zabić.

- No to czemu czekał pan na korytarzu?

- Dopalałem cygaro! - warknął pułkownik Aspiche. Chang prychnął za jej plecami.

- Każdy w końcu zdradza swoją prawdziwą naturę - mruknął.

\*

Panna Temple zajrzała do sali balowej. Ogromne pomieszczenie było puste. Zawołała swojego jeńca.

- Gdzie są wszyscy? - Otworzył usta, ale nie dopuściła go do głosu. - Gdzie są wszyscy nasi wrogowie: hrabina, hrabia, wiceminister Crabbe, Francis Xonck, księżę i jego narzeczona, lord Vandaariff, diuk Stäelmaere, pani Steame...

- I Roger Bascombe - dodał doktor Svenson. Spojrzała na niego, potem na Changa i smutno pokiwała głową.

- I Roger Bascombe. - Westchnęła. - Po kolei, proszę.

Pułkownik poinformował ich - ponuro zaciskając wargi, bezskutecznie próbując wyrwać się spod kontroli - że ich wrogowie rozdzielili się na dwie grupy. Pierwsza zajęła się gośćmi wielkiego domu, zbierając oszołomionych luminarzy o umysłach wyczyszczonych z tajemnic, które zamknięto w szklanych księgach, tworząc z tych ludzi eskortę potrzebną diukowi Stäelmaere do przejęcia władzy. Diukowi miała towarzyszyć hrabina, wiceminister i Francis Xonck, jak również lord Vandaariff, Bascombe, pani Steame oraz dwie szklane kobiety, Marchmoor i Poole. Druga grupa, o której zadaniach pułkownik nic nie wiedział, składała się z hrabiego d'Orkancza, księcia Karla-Horsta von Maasmärcka, Lydii Vandaariff, Herr Flaüssa i trzeciej szklanej kobiety.

- Nie znam jej - powiedziała panna Temple. - Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa powinna to być Caroline.

- To Angelika, znajoma Kardynała - odparł taktownie doktor Svenson. - Kobieta, której szukaliśmy w oranżerii. Miałaś rację, ona nie umarła.

- Hrabia utrzymał ją przy życiu, używając jako królika doświadczalnego - wyrzeźbił Chang. - Gdyby transformacja się nie powiodła, nie musiałby poświęcać innych, a jeśli

zakończyłaby się sukcesem, mógłby wykorzystać jej uszkodzone ciało. Jak widać, była to podziwu godna oszczędność.

Panna Temple i doktor milczeli, pozwalając mu dać upust rozgoryczeniu i wściekłości. Chang potarł ukryte za ciemnymi szklami oczy i westchnął.

- Pytanie, co oni robią i za którą grupą powinniśmy podążyć. Oczywiście, jeśli uznamy, że powstrzymanie diuka jest równie ważne jak niedopuszczenie do małżeństwa księcia, możemy się rozdzielić...

- Wolałabym nie - pospiesznie wtrąciła panna Temple. - W obu miejscach znajdziemy tłum nieprzyjaciół, więc musimy trzymać się razem.

- Zgadza się - rzekł doktor - i uważam, że powinniśmy pójść za diukiem. Reszta członków kliky udaje się do Macklenburga, a diuk i lord Vandaariff są ich kluczem do utrzymania tu władzy. Jeśli to uniemożliwimy, może udaremnimy cały spisek.

- Zamierzasz ich zabić? - zdziwił się Chang.

- Zabić ponownie, w przypadku diuka - sprostował doktor - ale owszem, jestem za tym. - Westchnął z goryczą. - Zamierzam zabić Karla-Horsta, jeśli tylko wpadnie w moje ręce.

- Przecież to twój podopieczny - przypomniała mu panna Temple, lekko zaszokowana tonem głosu Svensona.

- Mój podopieczny stał się bezwolną kukłą. Jest jak wściekły pies albo koń ze złamaną nogą. Trzeba go dobić, najlepiej, zanim zdąży splodzić dziedzica.

Panna Temple przycisnęła dłoń do ust.

- Oczywiście! Hrabia chce zapłodnić Lydię za pomocą swej alchemii! To dla niego najważniejsza część planu - ucieleśnienie *Objawienia* Oskara Veilandta! I chcą to zrobić dzisiaj, może właśnie teraz!

Doktor Svenson wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby, spoglądając na pannę Temple i Changa.

- Nadal twierdzą, że powinniśmy powstrzymać diuka. Jeśli nie...

- Jeśli nie, ani ja, ani panna Temple nie będziemy mogli dłużej mieszkać w tym mieście - rzekł Chang.

- Następnie zajmiemy się księciem i Lydią? - spytała panna Temple.

Svenson skinął głową, a potem westchnął.

- Obawiam się, że oni już są zgubieni...

Chang nagle zachichotał, wydając dźwięki równie przyjemne jak krztusząca się wrona.

- Az nami jest inaczej, doktorze? Zostaw trochę litości dla nas! Na rozkaz panny Temple Aspiche poprowadził ich do głównego wejścia, ale szybko stało się jasne, że nie mogą tamtędy przejść, gdyż tłoczyło się tam mnóstwo gości czekających na odjazd diuka. Panna Temple nagle przypomniała sobie, że Spragg i Farquhar wyprowadzili ją do powozu przejściem dla ogrodnika, między skrzydłami domu. Dwie minuty później - z Aspiche'em sapiącym tak ponuro, jak pozwalał mu na to jego stan - znaleźli się na otwartej przestrzeni w samą porę, aby z unoszącą się w mroźnym powietrzu parą swych oddechów oglądać schodzący po głównych schodach pochód, zmierzający do okazałego czarnego powozu diuka.

Sam diuk poruszał się powoli i ostrożnie, podobny do zaszuszonego czarnego chrząszcza, podtrzymywany z jednej strony przez niskiego mężczyznę o tłustych włosach - (to doktor Lorenz - szepnęła Svenson) - a z drugiej przez panią Marchmoor, już bez obroży na szyi, z lśniącem ciałem zakrytym teraz grubym czarnym płaszczem. Za nimi podążała hrabina, Xonck i wiceminister Crabbe, a dalej, stojąc na schodach i żegnając odjeżdżającego diuka, zatrzymała się podobna grupka, złożona z Roberta Vandaariffa, Rogera Bascombe'a i panny Poole, również bez obroży i w płaszczu.

Diuk został umieszczony w powozie i po chwili dołączyła do niego pani Marchmoor. Panna Temple spojrzała na swoich towarzyszy. Jeśli zamierzają zaatakować powóz, teraz jest odpowiednia po temu chwila. Zanim jednak zdążyła coś powiedzieć, zobaczyła z przygnębieniem, że reszta gości też szykuje się do odjazdu, pokrzykując do diuka i na swoich stangretów. Atak na powóz diuka był niemal niemożliwy.

- Co robimy? - szepnęła. - Przybyliśmy za późno! Chang zważył szablę w rękę.

- Spróbuję... z nas trojga tylko ja mogę się szybko poruszać... udam się do pałacu i...

- Nie w takim stanie - sprzeciwił się Svenson. - Złapaliby cię i zabili, o czym dobrze wiesz. Spójrz na tych żołnierzy! Mają eskortę!

Wskazał palcem i panna Temple zobaczyła, że to prawda. Około czterdziestoosobowy oddział dragonów zajął pozycję przed i za powozem. Diuk znalazł się poza zasięgiem awanturniczej trójki.

- Podporządkuje sobie Królewską Radę - powiedział głucho Chang. - Jego słowo będzie prawem.

- Mając władzę diuka, pieniądze Vandaariffa, tron Macklenburga i niewyczerpane zasoby niebieskiej glinki, będą niepokonani - szepnęła doktor.

Panna Temple ściągnęła brwi. Może to śmieszne, ale zamierzała spróbować.

- Wprost przeciwnie. Kardynale Chang, zechciej zwrócić pułkownikowi szablę. Nalegam.

Chang spojrział na nią zdziwiony, ale ostrożnie oddał broń Aspiche'owi. Zanim ten zdążył coś zrobić, panna Temple powiedziała stanowczo:

- Pułkowniku Aspiche, niech mnie pan słucha. Pańscy ludzie chronią diuka - to doskonale. Nikt inny, absolutnie nikt, nie może zbliżyć się do diuka podczas jego podróży do pałacu. Teraz pójdzie pan, weźmie konia i dołączy do eskorty - natychmiast, nie rozmawiając z nikim, nie wracając do domu i w razie potrzeby biorąc konia jednego ze swoich ludzi. Kiedy dotrzecie do pałacu, starając się trzymać z daleka od pani Marchmoor, znajdzie pan odpowiednią chwilę, dobrze wybraną, gdyż nie może pan zawieść, ale koniecznie, zanim zbierze się Królewska Rada, i utnie pan głowę diukowi Stäelmaere. Rozumie pan?

Pułkownik Aspiche skinął głową.

- Wspaniale. Nikomu o tym ani słowa. Niech pan już idzie!

Uśmiechnęła się, patrząc, jak Aspiche maszeruje przez zatłoczony plac, by wykonać zadanie, ku najbliższej uwiązany wierzchowcom. Udawała, że nie widzi zdumionych min stojących obok Svensona i Changa.

- Zobaczymy, jak im smakuje ich własne lekarstwo - powiedziała. - Idziemy szukać księcia?

\*

Pułkownik nie wiedział, gdzie dokładnie poszedł hrabia ze swoimi współnikami, powiedział tylko, że zeszli gdzieś pod salę balową. Kardynał Chang był pewny, że podczas swoich wędrówek po Harschmort House dostatecznie dobrze poznał dom, żeby znaleźć drogę, tak więc panna Temple i doktor Svenson mszyli za nim do drzwi dla ogrodnika i do środka. Gdy szli, panna Temple spojrziała na Changa, uśmiechniętego pomimo obrażeń, i przez moment żałowała, że nie może przeczytać jego myśli jak jedna z tych szklanych kobiet. Szli, aby uratować - albo zniszczyć, w razie potrzeby - księcia i Lydię, ale z pewnością będzie tam także Angelika, zaginiona znajoma Kardynała. Czy ma nadzieję, że ją odzyska? Zmusi hrabiego, żeby odwrócił proces transformacji? Czy też chce tylko skrócić jej cierpienia? Poczula brzemień smutku, żalu i urazy z powodu odrzucenia przez Rogera, swojej samotności. Czy te uczucia - które z powodu tego, że były jej uczuciami, chociaż bardzo jej doskwierały, to jednak wydawały się dziwnie mało ważne - można było porównać z ciężarem, jaki dźwiga Chang? Jakże mogłaby tak myśleć? Jakże nie miałyby dzielić ich murem nie do przebycia?

- Skrzydła domu są lustrzanymi odbiciami - rzekł ochryple - a ja byłem na górnych i dolnych kondygnacjach z drugiej strony. Jeśli mam rację, to schody powinny być gdzieś... tutaj...

Uśmiechnął się i panna Temple znów pomyślała, być może z powodu jego opłakanego stanu, jak wybuchową mieszanką jest ujmujący i niebezpieczny uśmiech Changa. Wskazał ręką zwyczajnie wyglądającą niszę zasłoniętą aksamitną kotarą, którą odsunął, ukazując metalowe, uchylone drzwi.

- Co za pewność siebie - zachichotał, otwierając je na oścież. - Zostawiać otwarte drzwi... Można by sądzić, że powinni się już czegoś nauczyć.

Nagle spowaźniał na dźwięk zbliżających się kroków, odwrócił się i spojrzał w głąb korytarza.

- My chyba też... - mruknął doktor Svenson i Chang pospiesznie przeprowadził ich przez drzwi. Zamknął je za nimi, zatrzaskując zamek.

- To ich zatrzyma - szepnął. - Szybko!

Pnąc się dwa piętra wyżej po spiralnych schodach, słyszeli, jak ktoś raz po raz szarpie za klamkę. Dotarli do następnych drzwi, również uchylonych. Chang przecisnął się obok panny Temple i Svensona, żeby zajrzeć przez szparę.

- Czy mogę zaproponować, żebyśmy zdobyli jakąś broń? - szepnął doktor.

Panna Temple pokiwała głową, lecz Chang w odpowiedzi cicho jak kot przemknął przez drzwi i musieli pójść w jego ślady. Znaleźli się w dziwnie zagiętym korytarzu, podobnym do przejść w operze lub rzymskim amfiteatrze, z rzędem drzwi po jednej stronie, jakby wiodących do łóż albo na arenę.

- Tak jak w instytucie - szepnął Svenson do Changa, który skinął głową, wciąż spoglądając w głąb korytarza. Poszli dalej, trzymając się wewnętrznej ściany, tak że nie widzieli już drzwi prowadzących na klatkę schodową. Nagle jakiś dochodzący zza zakrętu szmer sprawił, że Chang zastygł. Uniesioną ręką dał im znak, żeby stanęli, a potem sam ostrożnie ruszył dalej, przywierając do ściany.

Znieruchomiał. Obejrzał się na nich i uśmiechnął, a potem błyskawicznie skoczył do przodu. Panna Temple usłyszała zaskoczony pisk i głuchy odgłos trzech uderzeń. Chang się pojawił i ruchem głowy pokazał im, żeby szli dalej.

\*

Na podłodze przy następnych otwartych drzwiach, ciężko dysząc i brocząc krwią z nosa, leżał macklenburski poseł, Herr Flauss. Przy jego słabo poruszającej się dłoni leżał rewolwer, który Chang podniósł, otworzył i sprawdził bębenek, po czym zamknął go z trzaskiem. Kiedy doktor Svenson uklęknął przy sapiącym pośle, Chang podał broń pannie Temple. Pokręciła głową.

- Lepiej będzie, jeśli weźmiesz go ty albo doktor - szepnęła.

- Doktor - zdecydował Chang. - Ja lepiej posługuję się białą bronią lub pięściami.

Popatrzył, jak Svenson pospiesznie przetrząsa kieszenie posła, przeciwko czemu ten ostatni protestował słabymi mchami rąk. Svenson obejrzał się, słysząc na schodach zbliżające się kroki. Wstał, zostawiając Flaussa. Chang wcisnął mu w dłoń rewolwer, złapał go za rękaw i wziął pod rękę pannę Temple, po czym pociągnął ich oboje korytarzem, aż poseł znikł im z oczu. Svenson zaprotestował szeptem:

- Kardynale, przecież oni z pewnością są w środku... Chang wciągnął ich do niszy i zakrył dłonią usta, tłumiąc kaszel. Panna Temple usłyszała na korytarzu pospieszne kroki... które nagle ucichły. Poczula, że Chang napiął mięśnie, i zobaczyła, że doktor powoli odciąga kciukiem kurek rewolweru. Ktoś szedł ku nim, wolno... kroki zatrzymały się... a potem oddaliły. Nastawiła uszu i usłyszała opryskliwy, gniewny kobiecy głos.

- Zostaw tego idiotę...

Chang czekał... a potem pochylił się w ich stronę.

- Nie pozbywszy się ciała, nie możemy wejść tam po cichu.

Już przeszukują pomieszczenie, zakładając, że tam jesteśmy. Już sam ten fakt powinien opóźnić to, co ma się tam zdarzyć. Jeśli ruszymy teraz, mamy szansę zaskoczyć ich tylną straż.

Panna Temple nabrała tchu, mając wrażenie, że w ciągu ostatnich pięciu minut stała się żołnierzem. Zanim zdążyła się zastanowić - albo, co ważniejsze, zaprotestować przeciwko takiemu stanowi rzeczy - Chang już znikł, a doktor Svenson złapał ją za rękę i ciągnął za sobą.

Poseł pozostał w przejściu, oparty o ścianę, ale nadal bezwładny i bezsilny. Przeszli obok Herr Flaussa, nie wywołując żadnej reakcji poza pociągnięciem rozbitego nosa. Znaleźli się w mrocznym kamiennym przejściu z wąskimi schodkami biegnącymi z obu stron do otaczających pomieszczenie balkonów. Chang skoczył w lewo, Svenson i panna Temple tuż za nim, jak najszybciej starając się zejść z widoku. Panna Temple z niesmakiem pokręciła nosem, czując paskudny odór niebieskiej gliny. Przed nimi, w głębi foyer, przemawiała hrabina.

- Został napadnięty. Nic nie słyszałeś?

- Nie - odparł sucho i mrukliwie hrabia. - Jestem zajęty i mój biznes jest dość hałaśliwy. Przez kogo napadnięty?

- Nie mam pojęcia - odparła hrabina. - Pułkownik Aspiche poderżnął gardła wszystkim ewentualnym kandydatom... dlatego jestem ciekawa.

- Diuk odjechał?

- Zgodnie z planem, a z nim wybrani do zboru. Jak uzgodniliśmy, ich oszołomienie i utrata pamięci zostaną przypisane gwałtownemu wybuchowi epidemii zakażenia krwi, o której pogłoski rozpuszczą nasi wyznawcy. Ta bajeczka dodatkowo usprawiedliwi konieczność objęcia Harschmort kwarantanną, co umożliwi przetrzymywanie lorda Roberta przez dowolnie długi czas. Jednak nie na tym polega kłopot.

- Rozumiem - mruknął hrabia. - Ponieważ właśnie przeprowadzam bardzo delikatny eksperyment, byłbym wdzięczny, gdybyś mi wyjaśniła, co, do diabła, wy wszyscy tu robicie.

\*

Panna Temple starała się jak najciszej iść po wąskich schodach za swymi towarzyszami. Gdy jej głowa znalazła się nad podłogą balkonu, ujrzała kopulaste sklepienie, oświetlone kilkoma groźnie wyglądającymi żelaznymi kandelabrami, najeżonymi kolcami. Nigdy nie potrafiła patrzeć na takie kandelabry, nie wyobrażając sobie okropnych rezultatów ich nagłego upadku na podłogę (szczególnie gdy pod nimi przechodziła), tak więc instynktowny lęk budzony przez te urządzenia sprawiał, że laboratorium hrabiego wydało jej się jeszcze straszniejsze. Balkon zastawiony był stertami książek, papierów i skrzyń pokrytych grubą warstwą kurzu. Svenson pokazał jej palcem, żeby podkraǳła się dalej i zerknęła przez pręty balustrady.

Panna Temple nie była w instytucie, ale przez chwilę zdołała dostrzec piekielne urządzenia otaczające podium u podstawy żelaznej wieży. Ten pokój (pod którego ścianami stały regały i który kiedyś najwidoczniej pełnił rolę biblioteki) był dziwnym skrzyżowaniem laboratorium (gdź były tam stoły zastawione parującymi naczyniami i kolbami z wrzącą cieczą, zarzucone pergaminami i dziwacznych kształtu narzędziami) z Sypialnią, ponieważ na środku, w kręgu pustej przestrzeni uzyskanej po rozsunięciu stołów i krzeseł, stało bardzo duże łóże. Panna Temple zakrztusiła się, zakrywając usta dłonią, ale nie odwróciła głowy. Na łóżu, z szeroko rozłożonymi nogami, leżała Lydia Vandaariff, w białej szacie zadartej do połowy ud, z rękami rozpostartymi i przywiązanymi białymi jedwabnymi sznurami. Twarz miała zlaną potem, a rękami mocno ścisnęła sznury, jakby były bardziej źródłem rozkoszy niż cierpienia. Pościel między jej nogami była mokra, tak samo jak posadzka pod jej stopami, gdzie widać było kałużę wodnistej niebieskiej cieczy, poprzecinanej wijącymi się szkarłatnymi smugami. Haftowany rąbek szaty obciągnięto tak, by zasłaniał jej łono, lecz i tak widać było niebieskie i czerwone plamki na jej udach. Patrzyła na sufit, mrugając gwałtownie.

Opodal, z kieliszkiem w ręku i otwartą butelką brandy stojącą na podłodze między jego nogami, pólleżał na fotelu Karl-Horst von Maasmärck. Hrabia, którego czarne futro

leżało na stosie krzeseł za jego plecami, miał na sobie skórzany fartuch, a w ręku jakiś dziwny metalowy przedmiot w kształcie rury z uchwytem i zaworami oraz stożkowym końcem, który właśnie wycierał szmatą.

\*

Na ścianach za nimi, zawieszonych na niedbale powbijanych w regały hakach, wisiało trzynaście płócien. Panna Temple odwróciła się do Changa i pokazała mu je. On też je zauważył. Wyprostował dłoń i poruszył nią tak, jakby przewracał kartkę. W hotelu St. Royale Lydia mamrotała coś o pozostałych fragmentach *Objawienia*, co świadczyło o tym, iż widziała je wszystkie. Panna Temple wiedziała, że te kawałki płótna to całość odtworzonego dzieła, ale nie spodziewała się, że hrabia powiesił je licem do ściany, tak że widać było nie cały błuźnierczy obraz (który, szczerze mówiąc, bardzo chętnie by zobaczyła), lecz odwrociami, na których był zapisany cały alchemiczny wzór Oskara Veilandta. Malowidło było tylko zasłonięte dymną dla szczegółowej recepty, wedle której dokonał własnego objawienia, zapładniając Lydię Vandaariff za pomocą swej ohydnej wiedzy. Na każdym płótnie były dziesiątki dopisków i diagramów - niewątpliwie pomagające hrabiemu zrozumieć błuźniercze instrukcje Veilandta. Panna Temple spojrzała na leżącą na łóżku dziewczynę i przygryzła wargi, powstrzymując krzyk...

Usłyszała niecierpliwe westchnienie poniżej i trzask zapalanej zapalniczki. Podczołgała się do miejsca, z którego miała lepszy widok na pokój. Z dreszczem zgrozy ujrzała niemal tuż pod sobą liczną grupkę hrabiny. Jak to możliwe, że nie słyszała ich na korytarzu? Obok hrabiny - trzymającej lufkę ze świeżo zapalonym papierosem - stali Francis Xonck i Crabbe, a za nimi co najmniej sześć postaci w czarnych płaszczach z pałkami w dłoniach. Znów spojrzała na Svensona i Changa. Zobaczyła, że ten ostatni skupił uwagę na czymś, co znajduje się pod balkonem naprzeciwko. Błyszcząc w półmroku pomarańczowymi płomykami, które tliły się pod tyglami hrabiego i odbijały w jej skórze, stała trzecia szklana kobieta, Angelika, czekając w milczeniu. Panna Temple spojrzała na nią i zaczęła przyglądać się ciału tej kobiety, zrozumiaławszy, że stanowiło ono obiekt pożądania Changa - spełnionego, gdyż ta kobieta była dziwką, co oznaczało... Panna Temple zarumieniła się, nagle przypomniałszy sobie wspomnienia Angeliki o Changu zawarte w szklanej księdze. Potrząsnęła głową i skupiła uwagę na dość ożywionej rozmowie prowadzonej na dole.

- Nie zawracalibyśmy ci głowy - zaczął Xonck, z lekkim obrzydzeniem spoglądając na odbywający się przed nimi spektakl - ale okazało się, że nieoczekiwanie nie możemy znaleźć pasującego klucza.

- Gdzie jest Lorenz? - zapytał hrabia.

- Przygotowuje sterowiec - odparł Crabbe - otoczony armią żołnierzy. Wolę mu nie przeszkadzać.

- Co z Bascombe'em?

- Towarzyszy lordowi Robertowi - prychnęła hrabina. - Przyniesie nam kufer ksiąg i swój notes, ale on też nie ma klucza i z wielu powodów wolałabym go w to nie mieszać.

Crabbe przewrócił oczami.

- Pan Bascombe jest absolutnie lojalnym...

- Gdzie jest twój klucz? - Hrabia zmierzył wiceministra gniewnym wzrokiem.

- To wcale nie jest mój klucz - odparł z irytacją Crabbe. - I nie sądzę, żebym to ja miał go jako ostatni. Jak mówiła hrabina, zbieraliśmy księgi, a nie badaliśmy...

- A kto miał go ostatni?! - krzyknął hrabia, wyraźnie tracąc cierpliwość.

Mocniej ujął odrażający przyrząd, który trzymał w dłoni.

- Nie wiemy - warknęła hrabina. - Ja uważam, że pan Crabbe. On sądzi, że pan Xonck. Ten myśli, że to Blenheim...

- Blenheim? - prychnął hrabia.

- Nie bezpośrednio - sprostował Xonck. - Trapping. Uważam, że Trapping wziął go, żeby zajrzeć do jednej z naszych ksiąg, może z czystej ciekawości, a może nie...

- Do której?

- Tego nie wiemy - odrzekła hrabina. - Dogadzaliśmy mu i jego śmierć wciąż budzi moje wątpliwości. Blenheim albo wyjął mu klucz z kieszeni, kiedy przenoszono ciało, albo dostał go od lorda Roberta.

- Rozumiem, że Blenheim wciąż się nie odnalazł? Hrabina skinęła głową.

- Rzecz w tym, czy jest martwy, czy niezależny - zauważył Crabbe.

- Może moglibyśmy zapytać lorda Roberta? - podsunął hrabia.

- Moglibyśmy, gdyby odzyskał pamięć - rzekł Xonck. - Jednak, jak wiesz, została zawarta w księdze, której nie możemy odnaleźć. A nawet gdybyśmy ją znaleźli, nie moglibyśmy jej odczytać bez klucza! To śmieszne!

- Rozumiem - mruknął hrabia, jeszcze bardziej posępniejąc. - A co się stało z Herr Flaiissem?

- Nie wiemy! - krzyknął Crabbe.

- A nie sądzisz, że powinniśmy? - spytał rozsądnie hrabia. Odwrócił się do Angeliki i klasnął w dłonie. Jak tresowana tygrysica weszła w krąg światła, przykuwając uwagę wszystkich obecnych.

- Jeśli ktoś się tam ukrywa - powiedział do niej hrabia, spoglądając na balkony - znajdź go.

\*

Panna Temple pospiesznie, z lękiem w oczach, odwróciła się do Changa i Svensona. Co mogą zrobić? Rozejrzała się - nie było gdzie się ukryć! Doktor Svenson bezgłośnie przetoczył się na bok i wyjął rewolwer, mierząc wzrokiem odległość od Angeliki. Chang położył dłoń na jego ramieniu. Doktor strząsnął ją i odciągnął kurek. Panna Temple poczuła, że ogarniają dziwny chłodny spokój. Lada chwila zostaną odkryci.

Zamiast tego głuchą ciszę przerwał głośny trzask na balkonie naprzeciwko, tuż nad Angeliką. W mgnieniu oka Xonck ze sztyletem w ręku zbiegł po wąskich schodach. Panna Temple usłyszała odgłosy szamotaniny, a potem jęki protestu. Xonck sprowadził wyrrywająca się kobietę na dół i rzucił na kolana przed pozostałymi. To była Elóise.

Panna Temple popatrzyła na Svensona i zobaczyła, że zmartwił. Zanim zdążył coś zrobić, ujęła dłoń, w której trzymał rewolwer, i mocno ją ścisnęła. To nie jest odpowiednia chwila na impulsywne reakcje.

Xonck odsunął się od Elóise, i pozostali również, gdyż na skinienie głowy hrabiego Angelika podeszła do niej, tupiąc bosymi stopami o posadzkę jak świeżo podkuty kucyk. Elóise potrząsnęła głową, ze zdumieniem spojrzała na nagą piękność i wrzasnęła. Chciała wrzasnąć ponownie - panna Temple z całej siły ścisnęła dłoń doktora - lecz krzyk zamarł jej w gardle, a przerażenie na jej twarzy zmieniło się w wylężnioną obojętność. Szklana kobieta wdarła się w jej umysł i z bezlitosną wprawą przeglądała jego zawartość. Panna Temple znów zobaczyła, jak hrabia d'Orkancz w skupieniu zamyka oczy. Elóise nie odzywała się, z otwartymi ustami kołysząc się na klęczkach, bezradnie patrząc w zimne oczy przesłuchującej.

Po chwili przesłuchanie się zakończyło. Elóise bezwładnie osunęła się na podłogę. Hrabia stanął nad nią i uważnie się jej przyglądał.

- To jest pani Dujong - szepnął Crabbe. - Ta z kamieniołomu. To ona zastrzeliła diuka.

- Istotnie, uciekła z amfiteatru z panną Temple - potwierdził hrabia. - Panna Temple zabiła Blenheima. Jego ciało jest w pokoju myśliwskim. Blenheim rzeczywiście miał klucz - ona też zastanawiała się dlaczego. Znajduje się za stanikiem pani Dujong, razem ze srebrną papierośnicą i kawałkiem błękitnego szkła. Obie miał przy sobie doktor Svenson.

- Szkło? - spytała hrabina i omiotła pokój podejrzliwym spojrzeniem. - Co pokazuje?

Elóise dyszała z wysiłku, próbując podnieść się na czworaki. Hrabia brutalnie wepchnął rękę za jej stanik, szukając przedmiotów, które przed chwilą opisał. Wyprostował

się i zerknął na srebrną papierośnicę, nie odpowiadając na pytanie hrabiny. Rzucił jej papierośnicę, którą ledwie zdołała złapać.

- To też Svensona - rzekł i posłał gniewne spojrzenie księciu, który wciąż siedział na fotelu, patrząc na to wszystko z pijackim rozbawieniem. - Na szkiełku są wspomnienia pani Marchmoor z pokoju w hotelu St. Royale... ze spotkania z księciem. Najwyraźniej zrobiło ono ogromne wrażenie na pani Dujong.

- Czy to... wszystko? - spytała dość ostrożnie hrabina.

- Nie. - Hrabia ciężko westchnął. - Nie wszystko. Ponownie skinął na Angelikę.

Ku ogromnemu zaniepokojeniu członków klikli szklana kobieta odwróciła się w ich stronę. Zaczęli się cofać, gdy mszyła ku nim.

- C-co robisz? - wykrztusił Crabbe.

- Zamierzam rozwiązać tę zagadkę - wycodził hrabia.

- Nie zdołasz tego dokonać bez naszej pomocy - syknął Xonck. Wskazał dziewczynę na łóżku. - Czy nie dość dla ciebie zrobiliśmy, czy nie pomogliśmy ci zrealizować twoich wizji?

- Wizji, które przyniosą ci zyski.

- Nigdy nie twierdziłem, że nie! Jeśli jednak zamierzasz zamienić mnie w bezwolną kukłę jak Vandaariffa...

- O niczym takim nie myślę - odparł hrabia. - To, co robię, leży w naszym wspólnym interesie.

- Zanim zaczniesz traktować nas jak zwierzęta, Oskarze... i zanim uczynisz mnie swoim wrogiem - powiedziała hrabina, podniesionym i gniewnym głosem - może mógłbyś nam wyjaśnić, co zamierzasz.

\*

Panna Temple zakryła dłonią usta, czując się jak idiotka. Oskar! Czyż to nie oczywiste? Hrabia wcale nie ukradł dzieł Oskara Veilandta, malarz nie był więźniem ani bezwolną kukłą... Ci dwaj to jedna i ta sama osoba! Co mówiła jej ciotka Agatha: że hrabia urodził się na Bałkanach, wychował w Paryżu i odziedziczył ogromny spadek? Przedtem nie pasowało to do tego, co pan Shanck mówił o Veilandcie - szkoła w Wiedniu, pracownia na Montmartrze, tajemnicze zniknięcie... żeby rozpocząć dostatnie życie bogatego arystokraty! Spojrzała na Changa i Svensona. Zobaczyła, że Kardynał gniewnie kręci głową. Svenson nie odrywał oczu od bezradnej Elóise, wyraźnie poruszony jej położeniem.

Hrabia odchrząknął i podniósł niebieskie szkło.

- Temu spotkaniu przyglądali się widzowie, a wśród nich ty, Rosamonde, i ty, Francisie. Jednak sprytna pani Dujong zauważyła drugie spotkanie, do którego doszło za weneckim lustrem w holu... Widziała pułkownika Trappinga rozmawiającego otwarcie z Robertem Vandaariffem.

Tę rewelację powitała głucha cisza.

- Co to ma znaczyć? - spytał Crabbe.

- To jeszcze nie wszystko - dodał hrabia.

- Może po prostu nam powiesz, monsieur! - wrzasnął Crabbe. - Nie mamy za dużo czasu...

- W pamięci pani Dujong widzimy drugie szkło, które doktor wyjął z podszewki munduru Arthura Trappinga. Najwidoczniej jego zwłoki nie zostały dokładnie przeszukane. Ta karta między innymi ukazuje mnie przeprowadzającego wstępne badania Lydii.

- Arthur zamierzał pokazać ją Vandaariffowi - rzekł Xonck. - Ten chciwy głupiec nie mógł się oprzeć...

Crabbe zrobił krok do przodu i zmrużył oczy.

- Czy w ten sposób chcesz nas poinformować, że to ty go zabiłeś? - syknął do hrabiego. - Nikomu nic nie mówiąc? Ryzykując wszystko? Zmieniając cały nasz harmonogram? Nic dziwnego, że lord Robert był tak wzburzony, nic dziwnego, że musieliśmy...

- Ależ właśnie w tym rzecz, Haraldzie - burknął hrabia. - Mówię wam o tym wszystkim właśnie dlatego, że za moją sprawą Arthurowi Trappingowi nie spadł włos z głowy.

- Ależ... w takim razie dlaczego... - zaczął Crabbe i zaraz zamilkł.

Wszyscy członkowie kliki przyglądali się sobie podejrzliwie.

\*

- Powiedziałaś, że dostała je od Svensona? - upewniła się hrabina. - A skąd on je wziął?

- Ona tego nie wie.

- Ode mnie, oczywiście - rzekł senny głos z drugiego końca pokoju. Karl-Horst próbował dolać sobie brandy. - Musiał znaleźć je w moim pokoju. Muszę powiedzieć, że nawet nie zauważyłem Trappinga - bardziej byłem zainteresowany Margaret! To był pierwszy kawałek szkła, jaki widziałem, i prezent mający zapewnić mój współudział.

- Prezent od kogo? - zainteresował się Francis Xonck.

- Bóg raczy wiedzieć. Czy to takie ważne?

- Być może najważniejsze, wasza wysokość - powiedziała hrabina.

Książę zmarszczył brwi.

- Cóż... w takim razie...

Panna Temple odniosła wrażenie, że wszyscy członkowie kliki spoglądają na księcia, ledwie powstrzymując gniew, żalując, że nie mogą go policzkować, dopóki nie powie im tego, co wie, ale nikt z nich nie śmiał okazać zniecierpliwienia czy niepokoju w obecności pozostałych. Tak więc czekali, gdy wydymał wargi, drapał się w ucho i cmokał, przez cały ten czas ciesząc się ich niepodzielną uwagą. Panna Temple też zaczęła się niepokoić. A jeśli Angelika będzie kontynuowała poszukiwania? Kto wie, czy szklana kobieta nie wyczuwa jakos ich obecności? Podkurczona przez długi czas noga zdrętwiała jej, a od kurzu wierciło ją w nosie. Zerknęła na Changa, zobaczyła, jak zaciska wargi, i pojęła, że przez cały ten czas powstrzymuje kaszel. Nie pomyślała o tym, ale nagle przeraziła się, że może - w końcu - zdradzić ich obecność. Powinni coś zrobić. Tylko co? Jakie mają możliwości?

- To chyba musiał być doktor Lorenz albo... Jak on się nazywał? Pan Crooner z instytutu, ten, który umarł w tak okropny sposób. To oni obsługiwali maszynię. Dali mi to szkielek na pamiętkę. Nie wiem, jak ten łotr Svenson je znalazł, chyba że ktoś mu pomógł. Było bardzo dobrze schowane i...

- Doskonale, wasza wysokość, bardzo nam pan pomógł - przerwała mu hrabina.

Podeszła do hrabiego i uwolniła go od przedmiotów, które zabrał Elóise, mówiąc z ledwie powstrzymywanym gniewem:

- To nam nic nie daje. Mamy to, po co przyszliśmy - klucz. Teraz wróćmy do ksiąg i dowiedzmy się, czego się da, z relacji lorda Roberta. Może w końcu odkryjemy, dlaczego zginął pułkownik.

- Nie wierzysz, że zabił go Chang? - spytał Crabbe.

- A ty wierzysz? - prychnęła hrabina. - Z radością to usłyszę. Moje życie byłoby prostsze. Jednak nie. Wszyscy pamiętamy, jak delikatnych i ryzykownych zabiegów wymagało ostateczne pokonanie Roberta Vandaariffa, który do tej chwili był najzupełniej pewien, że cała ta kampania to jego własny pomysł. Wiemy, że pułkownik handlował tajemnicami. Kto wie, ile ich znał? - Wzruszyła ramionami. - Chang jest zabójcą, a to jest polityka. Zostawimy cię, monsieur, twojej pracy.

Hrabia ruchem głowy wskazał Lydię.

- Już skończyłem... jeszcze tylko ostatni szlif.

- Już? - Hrabina spojrzała na bezwładne ciało panny Vandaariff. - No cóż, nie sądzę, żeby przeciąganie tego miało sprawić jej przyjemność.

- Liczy się rezultat, Rosamonde - wycedził hrabia.

- Oczywiście - odparła, spoglądając na mokrą pościel. - Nie będziemy ci już dłużej przeszkadzali. Zobaczymy się na pokładzie sterowca.

Odwróciła się, żeby odejść, gdy Xonck podszedł do nich i wskazał Elóise.

- Co z nią zrobisz?

- Ja mam się nią zająć?

- Nie, jeśli nie chcesz - uśmiechnął się Xonck. - Chciałem być uprzejmy...

- Wolałbym zająć się moją pracą - warknął hrabia d'Orkancz.

- Z przyjemnością spełnię twoje życzenie - rzekł Xonck.

Zdrową ręką postawił Elóise na nogi i wywłókł z pokoju. Po chwili hrabina, Crabbe i reszta orszaku poszła za nim.

\*

Panna Temple spojrzała na swoich towarzyszy i zobaczyła, że Chang przyciska dłoń do ust Svensona. Doktor był wściekły, lecz gdyby narobili hałasu, Angelika wyczułaby ich obecność i obezwładniła ich równie łatwo, jak przed chwilą Elóise. Panna Temple znów się pochyliła, zerkając na laboratorium. Hrabia patrzył za odchodzącymi, a potem wrócił do pracy. Zerknął na Lydię i Angelikę, zignorował księcia, po czym odkręcił zawór sterzący z metalowego przyrządu. Panna Temple zobaczyła, jak z nieoczekiwaną u człowieka tak potężnej postury delikatnością hrabia wlewa jakąś parującą ciecz z jednej z podgrzewanych kolb w otwór, nie ulewając ani kropli, a potem zakręca zawór. Z metalowym przyrządem w rękę podszedł do łóżka i położył go przy nodze Lydii.

- Słyszysz mnie, Lydio?

Lydia kiwnęła głową. Poruszyła się po raz pierwszy, od kiedy panna Temple zobaczyła ją na tym łożu.

- Boli cię?

Lydia skrzywiła się, ale pokręciła głową. Odwróciła ją, słysząc jakiś dźwięk. To książkę nalewał sobie brandy.

- Twój narzeczony nie będzie tego pamiętał, Lydio - rzekł hrabia. - Ty też nie. Leż spokojnie. Trzeba pogodzić się z tym, co nieuniknione.

Hrabia podniósł przyrząd, spojrzał w górę, i donośnie zawołał w kierunku balkonu:

- Lepiej zejdz dobrowolnie! Jeśli ta dama sprowadzi cię na dół, to ściągając przez balustradę!

Panna Temple z przerażeniem spojrzała na Changa i Svensona.

- Wiem, że tam jesteś! Czekałem, ponieważ chcę z tobą porozmawiać... ale nie będę prosił po raz drugi.

Chang odjął dłoń od ust Svensona i obejrzał się, szukając drogi ucieczki. Zanim któreś z nich dwojga zdołało go powstrzymać, doktor zerwał się na równe nogi i krzyknął przez balustradę do hrabiego.

Odwrócił się do nich z dzikim błyskiem w oku, uciszając ich gestem dłoni. Głośno tupiąc, mszył po schodach, ale mijając pannę Temple, wcisnął jej w dłoń rewolwer i nachylił do jej ucha.

- Jeśli się nie pobiorą - szepnął - dziecko nie będzie prawowitym potomkiem!

\*

Panna Temple wzięła broń i spojrzała na niego. Svenson już zniknął na schodach. Odwróciła się do Chang, lecz on tłumiał kaszel i po brodzie ciekła mu cienka strużka krwi. Odwróciła się do balustrady. Doktor wszedł w jej pole widzenia, trzymając ręce z daleka od ciała, pokazując, że nie jest uzbrojony. Skrzywił się z obrzydzenia, zobaczywszy z bliska Lydię Vandaariff, po czym wskazał szklaną kobietę.

- Zapewne wywęszyło mnie to stworzenie? Hrabia zaśmiał się nieprzyjemnie i pokręcił głową.

- Wprost przeciwnie, doktorze, i dobrze się składa, gdyż obaj jesteśmy ludźmi nauki. Zaglądając do pamięci pani Dujong, nie znalazłem wspomnienia ataku na Herr Flaussa. Tak więc wydedukowałem, że prawdziwy sprawca napadu wciąż się ukrywa.

- Rozumiem - rzekł Svenson. - Jednak nie pojmuję, dlaczego mnie pan nie wydał.

- Naprawdę pan nie pojmuje? - powiedział z wyższością hrabia. - Po pierwsze... gdzie pańscy towarzysze?

Doktor szukał właściwych słów, zaciskając palce, i po chwili wybuchnął gniewnie:

- Niech pana diabli! Niech pana diabli wezmą! Sam pan słyszał! Pułkownik Aspiche poderżnął im gardła!

- A panu nie?

Svenson prychnął z pogardą.

- Przypadkiem. Chang już i tak był półżywy, więc załatwił go w kilka sekund. Panna Temple... - Svenson otarł dłonią czoło. - Domyśla się pan, że stawiała opór. Ocknąłem się, słysząc odgłosy ich szarpaniny, i zdołałem rozbić krzesłem czaszkę pułkownika... Niestety, czego zawsze będę się wstydził, za późno, by uratować dziewczynę.

Hrabia rozważył jego słowa.

- Poruszająca opowieść.

- Jesteś sukinsynem! - prychnął Svenson. Nie odrywając oczu od hrabiego, wskazał na Lydię. - Jesteś najgorszy z nich wszystkich, gdyż zmarnowałeś dary, jakich oni nie mieli. Wpakowałbym ci kulę w łeb, monsieur, i posłał do piekła w ślad za Aspiche'em, nie wahając się przy tym dłużej niż przed rozgnieceniem pchły.

\*

Jego słowa skwitował wybuch śmiechu, ale nie hrabiego. Ku zaskoczeniu panny Temple książę wstał z fotela i z kieliszkiem w ręku zrobił krok w kierunku byłego członka swej świty.

- Co z nim zrobimy, monsieur? Zapewne ja mam się tym zająć, bo w końcu to mnie zdradził. Co pan proponuje?

- Jesteś bezmyślnym głupcem - syknął Svenson. - Nic nie rozumiesz, nawet teraz! Na litość boską, Karl, spójrz na nią, na swoją narzeczoną! Będzie nosiła cudze dziecko!

Książę obrócił się do Lydii. Jego twarzy nie opuścił wyraz bezmyślnego rozbawienia.

- Czy wiesz, o co mu chodzi, kochanie?

- Nie mam pojęcia, najdroższy.

- A pan, monsieur?

- My tylko dbamy o jej zdrowie - zapewnił hrabia.

- Ta kobieta jest półżywa! - łyknął Svenson. - Ocknij się, idioto! Lydio, na litość boską, dziewczyno, uciekaj! Jeszcze nie jest za późno!

Svenson szalał, krzyczał i wymachiwał rękami. Panna Temple poczuła, że Chang bierze ją za rękę i nagle - karcąc się za to, że znów za późno - zrozumiała, że doktor hałasuje, żeby zagłuszyć ich kroki na schodach. Szybko zeszli po nich do połowy, tak by nie było ich widać z sali. Spojrzała na rewolwer. Dlaczego doktor dał go jej? Dlaczego sam nie spróbuje zastrzelić księcia? Czemu nie dał go Changowi? Zobaczyła, że Chang też spogląda na broń, a potem patrzy jej w oczy.

Natychmiast zrozumiała i mimo wszystko, chociaż nawet nie widziała jego oczu, zebrało jej się na płacz.

- Doktorze, natychmiast się uspokój! - krzyknął hrabia i pstryknął palcami na Angelikę.

Svenson natychmiast krzyknął, zachwiał się i opadł na kolana. Hrabia ponownie uniósł dłoń i zaczął czekać, aż doktor dojdzie do siebie.

- Nie będę dłużej słuchał, jak dyskredytuje się moją pracę...

- Pracę? - warknął Svenson, wskazując szklane kolby i Lydię. - Medyczne szarlatanstwo, które ta dziewczyna przypłaci życiem!

- Dość! - groźnie krzyknął hrabia, robiąc krok w kierunku doktora. - Czy to szarlataneria stworzyła te księgi? Szarlataneria na zawsze zapisała esencję życia tylu ludzi? Ponieważ to starożytna wiedza, więc ty, jako lekarz - niemający pojęcia o subtelnościach i niuansach energii, o koncepcji żywiołów - w swojej ignorancji natychmiast ją odrzucasz. Ty, który nigdy nie szukałeś chemicznej substancji pożądania, oddania, strachu czy marzeń, nigdy nie zlokalizowałeś korzeni sztuki i religii, mocy odtworzenia w żywym ciele najświętszych i najbardziej bluźnierczych mitów!

Hrabia stał nad Svensonem, krzywiąc się, jakby rozgniewany tym, że tak szczerze rozmawia z kimś takim. Odchrząknął i mówił dalej w swój zwykły, chłodny sposób.

- Pytałeś, dlaczego czekałem i nie ujawniłem twojej obecności. Z pewnością słyszałeś, jak moi sojusznicy spierali się, zadając pytania, na które chciałbym uzyskać odpowiedzi... i niekoniecznie dzielić się z nimi tą wiedzą. Możesz odpowiadać dobrowolnie albo zmuszony przez Angelikę, ale odpowiesz mi na moje pytania.

- Ja nic nie wiem - warknął Svenson. - Byłem w Tarr Manor. Nie obchodzą mnie wasze dworskie intrygi...

Hrabia zignorował jego słowa, machinalnie dotykając pokręteł metalowego przyrządu leżącego przy nodze Lydii.

- Kiedy rozmawialiśmy w mojej oranżerii, wprowadzono twojego księcia. Wówczas ani ty, ani ja nie wiedzieliśmy, kto to zrobił i w jaki sposób.

- Hrabina - rzekł Svenson. - Za pomocą sterowca...

- Tak, wiem. Chcę wiedzieć dlaczego.

- Na pewno jakoś to wyjaśniła!

- Może tak... a może nie...

- Klótnie złodziei - zadrwił doktor. - A wy dwoje robiliście wrażenie dwojga bardzo dobrych przyjaciół...

Księżę doskoczył i uderzył Svensona w ucho.

- Nie będziesz tak mówił do lepszych od siebie! - oznajmił tonem towarzyskiej pogawędki, po czym prychnął z satysfakcją.

Svenson spojrzał na księcia, zaczerwieniony z gniewu, ale swoje słowa nadal kierował do hrabiego.

- Oczywiście nie wiem tego na pewno, jedynie dedukuję.

Księżę został wprowadzony zaledwie parę godzin po tym, jak uratowałem go w instytucie. Tobie i innym o tym nie powiedziano. Najwidoczniej potrzebowała księcia do

swoich własnych celów. Kim jest dla ciebie książę? Pionkiem, figurantem, stopniem prowadzącym na tron...

- Ty niewdzięczny łotrze! - wykrzyknął książę. - Co za bezczelność!

- Dla niektórych może to być oczywiste - rzekł niecierpliwie hrabia.

- Zatem myślę, że odpowiedź również jest oczywista - rzekł pogardliwie Svenson. -

Każdemu przechodzącemu proces transformacji wprowadza się hasło kontrolne, prawda? Przypadkiem zabrałem księcia, zanim mu je wprowadzono, a hrabina, wiedząc o tym i rozumiejąc, że ze względu na charakter księcia wszyscy uważają go za imbecyla, skorzystała z okazji, by wprowadzić do jego umysłu swoje hasło, które w odpowiednim czasie wykorzysta przeciwko chwilowym sojusznikom - każąc mu zrobić coś nieoczekiwanego, na przykład wypchnąć cię ze sterowca. Oczywiście zapytany o to, książę niczego nie będzie pamiętał.

Hrabia milczał. Panna Temple była zdumiona przytomnością umysłu, jaką wykazał doktor.

- Jak powiedziałem... to dość oczywiste - prychnął Svenson.

- Może wymyślił pan to wszystko... ale na tyle z pewnością, że będę musiał stracić trochę czasu i przetrząsnąć pamięć księcia. Zanim jednak to zrobię, doktorze, ponieważ myślę, że pan kłamie, najpierw sprawdzę pańską. Angeliko!

\*

Svenson zerwał się na równe nogi z krzykiem, który zaraz przeszedł w zduszony charkot, gdy Angelika wdarła się w jego umysł. Chang zbiegł ze schodów, a panna Temple tuż za nim. Svenson klęczał, kryjąc twarz w dłoniach, a książę stał nad nim, zamierzając kopnąć go w głowę. Angelika stała obok. Książę spojrział na nich z głupią miną, jakby urażony, że mu przeszkadzają. Hrabia z wrzaskiem przestał czytać myśli doktora. Angelika odwróciła się, trochę za wolno, i panna Temple wycelowała rewolwer. Była nie dalej jak trzy metry od niej, gdy nacisnęła spust.

Kula trafiła szklaną kobietę w łokieć wyciągniętej ręki, odrywając ją w deszczu błyszczących odłamków. Przedramię i dłoń upadły na podłogę, rozsypując się w pióropuszu błękitnego dymu. Panna Temple zobaczyła, jak Angelika szeroko otwiera usta, i w myślach usłyszała jej krzyk, zagłuszający myśli wszystkich obecnych w pokoju. Panna Temple upadła na kolana i ze łzami w oczach strzeliła jeszcze raz. Kula przebiła tors Angeliki, który pokrył się siatką pęknięć. Panna Temple raz po raz naciskała spust i każda kolejna kula pogłębiała je, zmieniając w szczeliny. Wrzask przybrał na sile i panna Temple nie mogła się poruszyć, niemal nic nie widząc, zalewana falą przypadkowych wspomnień niczym sztylety

przeszywających jej umysł: Angelika jako dziecko nad morzem, duszące perfumy burdelu, jedwabie i szampan, lzy, bicie, sińce, chłodne uściski i przede wszystkim boleśnie wątpia nadzieja, że jej skromne marzenia mogą się ziścić. Niebieski tors rozpadł się poniżej żeber i całe ciało runęło na podłogę, rozbijając się na kawałki, zmieniając się w chmurę niebieskiego dymu i śmiercionośnego pyłu.

\*

Panna Temple nie wiedziała, czy jest tak cicho dlatego, że nikt nie może wykrztusić słowa, czy po prostu na chwilę ogłuchła od tego krzyku. Od chemicznych oparów kręciło jej się w głowie. Szybko zasłoniła usta dłonią, zastanawiając się, czy już wciągnęła w płuca śmiercionośny szklany pył. Dymiące szczątki Angeliki leżały rozrzucone na podłodze - błękitne odłamki w kałuży niebieskiej cieczy. Spojrzała na to, mrugając energicznie. Chang siedział oparty plecami o ścianę, patrząc przed siebie. Svenson usiłował odczołgać się na bok. Lydia leżała na łóżku, skomląc i szarpiąc więzy. Książę leżał niedaleko Svensona, sycząc z bólu i niezdarnie klepiąc się po rozciętej przez odłamek szkła dłoni, która w tym miejscu już zrobiła się niebieska. Tylko hrabia utrzymał się na nogach, blady jak ściana.

Panna Temple wycelowała w niego i nacisnęła spust. Kula trafiła w aparaturę na stole, rozbijając szkło i opryskując jego fartuch jakimś parującym płynem. Ten dźwięk ocucił wszystkich. Hrabia skoczył, złapał leżący na łóżku metalowy przyrząd i zamachnął się nim jak maczugą. Panna Temple zamierzała wpakować mu kulę w głowę, lecz zanim zdążyła to zrobić, Chang złapał ją za rękę. Stęknęła, zaskoczona, gdyż ścisnął ją bardzo mocno. Zauważyła, że drugą ręką złapał za kołnierz Svensona i resztkami sił ciągnie ich oboje do drzwi. Spojrzała na hrabię, który pomimo wściekłości ostrożnie ominął stertę potłuczonego szkła, i ponownie spróbowała wycelować. Gdy dotarli do drzwi, Svenson stanął na własnych nogach, ale Chang go nie puścił. Panna Temple już miała strzelić, lecz Chang wyciągnął ją na korytarz.

- Muszę go zabić! - krzyknęła.

- Skończyły ci się naboje! - syknął Chang. - Zorientuje się, jeśli naciśniesz spust!

Nie przeszli dwóch kroków, gdy doktor zawrócił, próbując wyrwać się Changowi.

- Książę... musi umrzeć...

- Dość już zrobiliśmy.

Chang pociągnął ich korytarzem, sapiąc i kaszląc z wysiłku.

- Pobiorą się...

- Hrabia jest groźnym przeciwnikiem, a my jesteśmy bezbronni i osłabieni. Jeśli zaczniemy z nim walczyć, co najmniej jedno z nas umrze. - Chang ledwo mówił. - Mamy co

innego do roboty, a jeśli powstrzymamy innych, to również tego idiotę księcia. Pamiętaj o pani Dujong.

- Przecież hrabia... - zaczęła panna Temple, oglądając się przez ramię.

- Nie może ścigać nas sam. Musi zająć się księciem i Lydią. - Chang zakaszłał i splunął pod ścianę. - Ponadto... dostatecznie zraniliśmy... jego próżność...

Okropnie charczał. Panna Temple zaryzykowała spojrzenie, biegnąc już razem z nimi dwoma. Z niepokojem zauważyła łzy spływające spod okularów Changa i usłyszała jego tłumiony przez sapanie szloch. Otarła twarz, starając się dotrzymać im kroku.

\*

Dotarli do klatki schodowej i zamknęli za sobą drzwi. Chang oparł się o nie, zgięty wpół, i dostał kolejnego ataku kaszlu. Svenson spojrział na niego z troską i podtrzymał. Popatrzył na pannę Temple.

- Bardzo dobrze się spisałaś, Celeste.

- Nie lepiej niż wy - odparła z naciskiem.

Nie chciała mówić o sobie w obecności cierpiącego Changa.

- Racja.

Panna Temple zadrżała.

- Jej myśli... pod koniec... w mojej głowie...

- Została okrutnie wykorzystana - rzekł Svenson - przez hrabiego... i cały świat. Nikt nie powinien przechodzić takich okropności.

Jednak panna Temple wiedziała, że dla Angeliki najokropniejsza nie była transformacja, lecz przedwczesna śmierć, a jej straszny krzyk był protestem równie pierwotnym co bezsilnym, jak ostatni pisk jaskółki schwytej przez jastrzębia. Panna Temple nigdy przedtem nie poczuła takiego strachu przed śmiercią i zastanawiała się, czy ona też umrze w takim przerażeniu, gdy przyjdzie na nią kolej - co mogło stać się jeszcze tej nocy. Pociągnęła nosem. Albo jeszcze tego dnia, gdyż nie miała pojęcia, która jest godzina. Kiedy obserwowali powozy, jeszcze było ciemno, a teraz znajdują się w podziemiach. Czy naprawdę minął dopiero jeden dzień, od kiedy spotkała Svensona w holu hotelu Boniface?

Przelknęła ślinę i odepchnęła od siebie ponure myśli. W dość typowy dla siebie sposób od rozmyślań o śmierci przeszła do prozaicznej kwestii śniadania.

- Kiedy już to załatwimy - powiedziała - naprawdę chętnie coś zjem.

Chang spojrział na nią. Uśmiechnęła się do niego, starając się znieść widok jego kamiennej twarzy i czarnej pustki okularowych szkieł.

- No cóż... minęło trochę czasu... - uprzejmie odpowiedział Svenson, jakby rozmawiali o pogodzie.

- I minie jeszcze trochę - zdołał wychrypieć Chang.

- Jestem tego pewna - odparła panna Temple. - Ponieważ jednak nie jestem ze szkła, wydawało mi się, że to rozsądna uwaga.

- Istotnie - zapewnił niezręcznie Svenson.

- Oczywiście, kiedy załatwimy tę sprawę - dodała panna Temple.

Chang wyprostował się z nieprzeniknioną miną.

- Powinniśmy ruszać - mruknął.

\*

Kiedy szli po schodach do góry, panna Temple uśmiechała się pod nosem. Miała nadzieję, że jej słowa odwrócą uwagę Chang'a i zapomni o smutku. Chociaż sama straciła Rogera, doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że nie wie, co czuje Chang, gdyż nie rozumie, co go łączyło z tą kobietą. Jaki rodzaj uczucia mogą zrodzić tego rodzaju związki? Była dostatecznie mądra, by wiedzieć, że większość małżeństw to pewnego rodzaju transakcje - tak jak jej rodzice połączyli ziemię i kapitał potrzebny do jej uprawiania - lecz panna Temple przedmioty tej wymiany, takie jak tytuły, posiadłości, pieniądze czy spadki, zawsze oddzielała od zawierających te umowy osób. Pomysł handlowania swoim ciałem, traktowania go jak towaru, był czymś przeciwnym jej wrażliwej naturze. Zastanawiała się, co czuła jej matka, kiedy poczęła ją w tym fizycznym związku. Czy było to połączenie dwóch ciał (panna Temple wolała nie rozmyślać o „miłości” w odniesieniu do jej porywczego ojca), czy też zniewolenie przez umowę zawartą między dwiema rodzinami? Spojrzała na idącego przed nią Chang'a. Jakie to uczucie być wolną od takiego brzemienia? Wolną jak dzikie zwierzę?

- Odchodząc, nigdzie nie widzieliśmy Herr Flaussa - zauważył doktor Svenson. -. Może poszedł z pozostałymi?

- A dokąd oni poszli? - spytała panna Temple. - Na pokład sterowca?

- Nie sądzę - rzekł Svenson. - Zanim odlecą, muszą rozwiązać sporne kwestie. Przesłuchają lorda Vandaariffa.

- I być może Rogera - dodała panna Temple tylko po to, żeby dowieść, iż może bez zająknięcia wymówić jego imię.

- Co pozostawia nam do wyboru: szukać ich czy dostać się do sterowca. Co powiesz?  
- zwrócił się Svenson do idącego z przodu Chang'a.

Ten obejrzał się, ocierając zakrwawione wargi i ciężko dysząc.

- Sterowiec. Dragoni. Doktor Svenson kiwnął głową.

- Smythe.

\*

Kiedy dotarli na parter, w budynku było niepokojąco cicho.

- Czyżby wszyscy odjechali... - zastanawiał się Svenson.

- Którędy? - przerwał mu Chang.

- Do góry, najszybciej głównymi schodami, jeśli droga wolna. Ponownie muszę zasugerować, że powinniśmy zdobyć jakąś broń.

Chang westchnął, a potem niecierpliwie pokiwał głową.

- Gdzie?

- Hmm... doktor Svenson najwyraźniej nie miał pojęcia.

- Chodźcie za mną - rzuciła panna Temple.

\*

Pana Blenheima przeniesiono, ale plama na dywanie pozostała. Nie tracili czasu, lecz mimo to panna Temple uśmiechała się na widok zaciekawienia i pożądanego obu jej towarzyszy, plądrujących pokój myśliwski Roberta Vandaariffa. Dla siebie wybrała następny sztylet o wężowej klindze - gdyż poprzedni dobrze jej służył - a Chang wziął dwa zakrzywione noże o szerokich ostrzach i rękojeściach niemal tak długich jak klingi.

- To rodzaj maczety - wyjaśnił, a ona kiwnęła głową, nie mając pojęcia, o czym mówi, ale ucieszona, że jest zadowolony. Z rozbawieniem zobaczyła, że doktor Svenson zdejmuje ze ściany afrykańską włócznię i wpycha za pas nabijany drogimi kamieniami sztylet.

- Nie jestem szermierzem - wyjaśnił, dostrzegłszy jej zaciekawienie i uśmiech Changa.

- Im dalej zdołam ich od siebie utrzymać, tym będę bezpieczniejszy. To prawda, że czuję się jak idiota, ale gdyby miało nam to pomóc przeżyć, to nosiłbym błazeńską czapkę. - Spojrzał na Changa. - Na dach?

\*

Gdy zmierzali do frontowych schodów, panna Temple czuła ciężar sztyletu w dłoni, miała niepokojąco szybki oddech, a w plecy łaskotał ją pot. A jeśli kapitan Smythe nie zignorował rozkazów? Jeśli wcale go tam nie ma? Jeśli zamiast żołnierzy napotkają hrabinę, Xoncka i wiceministra Crabbego? Co będzie musiała zrobić? Załamane nerwy w samotności to jedno, ale w towarzystwie Changa i Svensona? Z każdym krokiem oddychała szybciej i traciła pewność siebie.

Dotarli do głównego holu, rozległego pomieszczenia wyłożonego czarno-białym marmurem, gdzie panna Temple tak dawno temu po raz pierwszy spotkała hrabinę di

Lacquer-Sforzę. Teraz było tu pusto i cicho, słyszała tylko echo ich kroków. Wielkie drzwi były zamknięte. Svenson wyciągnął szyję, by spojrzeć na schody, a panna Temple podążyła wzrokiem w ślad za jego spojrzeniem. Z tego co widziała, na parterze i na piętrze nie było żywej duszy.

Nagle za ich plecami martwą ciszę domu przerwał huk wystrzału. Panna Temple sapnęła, zaskoczona. Chang wskazał odległe skrzydło.

- W biurze Vandaariffa - szepnął.

Svenson otworzył usta, lecz Chang uciszył go gestem uniesionej dłoni. Czyżby tamci zastrzelili Elóise? Jeszcze kilka sekund... trzaśnięcie drzwiami, a potem kroki w oddali.

- Nadchodzą - syknął Chang. - Szybko!

Byli na drugim piętrze, gdy ich wrogowie dotarli do holu na parterze. Chang dał pannie Temple znak, żeby stanęła bliżej ściany, a sam przykucnął. Słyszała głos hrabiny, ale nie mogła rozróżnić słów. Doktor po cichu zmierzał do niepozornie wyglądających drzwi. Panna Temple pomknęła do niego, minęła doktora w drzwiach i wbiegła po wąskich schodach do czekającego Chang. Kardynał złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie, po czym zaczął, aż doktor znajdzie się w zasięgu jego szeptu.

- Po drugiej stronie tych drzwi będzie stał wartownik. Nie możemy skrzywdzić żadnego dragona, dopóki nie dotrzemy do Smythe'a. Jego ludzie mają liczebną przewagę nad naszymi wrogami. Jeśli zdołamy zwrócić jego uwagę, może uda nam się przeciągnąć go na naszą stronę.

- Zatem to ja powinnam tam pójść - stwierdziła panna Temple.

Chang pokręcił głową.

- Ja najlepiej go znam...

- Tak, ale każdy dragon rzuci się na ciebie, gdy tylko cię zobaczy. Na mnie nie, co da mi czas, by zwołać kapitana.

Chang westchnął, lecz Svenson skinął głową.

- Celeste ma rację.

- Wiem, że ma, ale nie podoba mi się to. - Chang powstrzymał następny atak kaszlu. -  
Idź!

Panna Temple otworzyła drzwi i przeszła przez nie, ze sztyletem schowanym pod stanikiem, i skrzywiła się, gdy przeszył ją zimny wiatr, spadający z dachu, niosący smak morskiej soli. Po obu stronach drzwi stali dragoni w czerwonych kurtkach. Około dwudziestu metrów dalej złowrogo unosił się sterowiec, podobny do jakiegoś niesamowitego drapieżnika. Pod ogromnym balonem wisiała długa metalowa kabina wielkości statku, z czarnego

oksydowanego żelaza jak wagon kolejowy. Dragoni pomagali ładować skrzynie na pokład, podając je kilku macklenburskim żołnierzom, stojącym przy końcu trapu. Za szybą oświetlonej blaskiem gazowych lamp kabiny zobaczyła doktora Lorenza z goglami wiszącymi na szyi, zajętego przy pulpicie kontrolnym. Na dachu panował ożywiony ruch, ale nigdzie nie było widać Smythe'a.

Minęła może sekunda, zanim dwaj dragoni zauważyli ją i mocno złapali za rękę. Starła się przekrzyknąć świst wiatru i wyjaśnić im, o co jej chodzi.

- Tak, tak, przepraszam, nazywam się Temple i szukam... przepraszam... szukam kapitana...

Zanim zdążyła dokończyć, ten po prawej wrzasnął w kierunku sterowca:

- Kapitanie! Mamy tu kogoś! Kapitanie!

Panna Temple zobaczyła doktora Lorenza, ze zdumieniem spoglądającego przez okno. Natychmiast znikł jej z oczu, niewątpliwie biegnąc do niej. Przyłączyła się do nawoływań żołnierza.

- Kapitanie Smythe! Szukam kapitana Smythe'a!

Trzymający ją żołnierze spojrzeli po sobie. Postarała się wykorzystać ich zmieszanie i wyrwać, ale trzymali ją mocno, choć kopała ich po kostkach. Na końcu trapu pojawili się kapitan Smythe i doktor Lorenz. Panna Temple podupała na duchu. Zaczęli schodzić po trapie. Smythe wciąż był za daleko, żeby przy tym słabym świetle dostrzec wyraz jego twarzy. Nagle drzwi za jej plecami otworzyły się i Kardynał Chang przyłożył ostrza noży do gardeł obu dragonów. Panna Temple obejrzała się, czując, że wystąpiły jakieś komplikacje. Zobaczyła doktora Svensona z włącznią pod pachą, trzymającego klamkę.

- Są za nami - szepnął.

\*

- Kogóż tu mamy?! - zawołał drwiąco doktor Lorenz. - Co za uparte robactwo. Kapitanie, pozwoli pan?

- Kapitanie Smythe! - krzyknęła panna Temple. - Wie pan, kim jesteśmy! Wie pan, co się stało dziś wieczorem! Słyszał pan, co mówili! Pańskie miasto... pańska królowa...!

Smythe nie ruszał się, stojąc na trapie obok Lorenza.

- Na co pan czeka? - warknął Lorenz i zwrócił się do około tuzina obecnych na dachu dragonów. - Natychmiast zabijcie tych przestępców!

- Kapitanie Smythe! - krzyknęła panna Temple. - Już raz nam pan pomógł!

- Co? - rzucił się na Smythe'a Lorenz, a kapitan bez namysłu zepchnął go z trapu.

Lorenz z łoskotem runął na wysypany żwirem dach trzy metry niżej.

Chang natychmiast schował noże i uwolnił pannę Temple. Dragoni odskoczyli i wyjęli szable, zerkając na oficera, nie wiedząc, co robić. Smythe zszedł z trapu, trzymając dłoń na rękojeści.

- To chyba musiało się zdarzyć - powiedział.

Doktor Svenson sapnął głośno, starając się przytrzymać drzwi. Na razie udawało mu się to, ale niespokojnie spojrzał na Changa, a ten na Smythe'a. Kapitan popatrzył na koniec trapu, gdzie stali dwaj stropieni macklenburscy żołnierze. Upewniwszy się, że nie zamierzają atakować, Smythe wydał rozkaz swoim ludziom:

- Do broni!

Pozostali dragoni jak jeden mąż wyjęli szable. Svenson puścił drzwi i odskoczył, dołączając do panny Temple i Changa.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i stanął w nich Francis Xonck ze sztyletem w ręku. Wyszedł na dach, spojrzał na obnażone szable i swych nieprzyjaciół wolnych.

- No, kapitanie Smythe - rzekł, przeciągając głoski. - Co się stało?

\*

Smythe ruszył ku niemu, wciąż nie wyjąwszy szabli.

- Kto tam się chowa za panem?! - krzyknął. - Niech ich pan wpuści!

- Z przyjemnością - uśmiechnął się Xonck.

Odsunął się na bok, przepuszczając pozostałych członków kliky - hrabinę, hrabiego i Crabbego - a potem księcia, Rogera Bascombe'a (z notatnikami pod pachą) i podtrzymującą chwiejącą się Lydię Vandaariff Caroline Stearne. Za Caroline szło sześciu ludzi w czerni. Pierwsi czterej taszczyli ciężki kufer, a dwaj ostatni wlekli Elóise Dujong. Panna Temple odetchnęła z ulgą, gdyż była pewna, że huk usłyszanego wcześniej wystrzału oznaczał jej śmierć. Na widok wychodzących ludzi dragoni cofnęli się i między obiema grupami powstała wolna przestrzeń. Xonck zerknął na pannę Temple, a potem wysunął się naprzód i zwrócił do kapitana Smythe'a:

- Nie chcę się powtarzać, ale... czy coś się stało?

- Dość tego - uciął Smythe. Wskazał Elóise i Lydię Vandaariff. - Uwolnijcie te kobiety.

- Przepraszam? - powiedział Xonck, jakby nie wierzył własnym uszom, ale uważał to za bardzo zabawne.

- Puśćcie te kobiety.

- Cóż - westchnął Xonck, uśmiechając się do Lydii - ta kobieta nie chce, żeby ją puszczono, ponieważ natychmiast by upadła. Widzi pan, ona źle się czuje. Przepraszam, czy rozmawiał pan ze swoim pułkownikiem?

- Pułkownik Aspiche jest zdrajcą - oznajmił Smythe.

- W moich oczach to pan nim jest.

- Ma pan wadę wzroku. Jest pan łotrem.

- Łotrem, który wie wszystko o długach pańskiej rodziny, kapitanie - prychnął Xonck - zaciągniętych na poczet żołdu, którego może pan nie odebrać. Taka jest cena nielojalności, a może głupoty?

- Jeśli chce pan umrzeć, panie Xonck, niech pan powie jeszcze jedno słowo.

Smythe wyjął szablę i zrobił krok w kierunku Xoncka, który cofnął się pospiesznie. Jego przyklejony do warg uśmiech zmienił się w groźny grymas.

Panna Temple sięgnęła po sztylet, ale nie wyjęła go. I bez tego sytuacja była bardzo napięta. Klika na pewno zaraz pierzchnie przed Smythe'em i jego ludźmi, bo czy mogą liczyć na zwycięstwo nad zawodowymi żołnierzami? Najwidoczniej kapitan Smythe był tego samego zdania, gdyż zamiast zaatakować Xoncka, wskazał szablą stojących przy drzwiach ludzi.

- Rzućcie broń i wracajcie do domu. Załatwimy to wewnątrz.

- Tak się nie stanie - odparł Xonck.

- Nie chcę rozlewu krwi, ale nie boję się go - rzekł Smythe, podnosząc głos i zwracając się do osób stojących za Xonkiem, a w szczególności do kobiet. - Rzućcie broń i...

- To naprawdę niemożliwe, kapitanie - powiedział Harald Crabbe. - Jeśli w ciągu dwóch dni nie znajdziemy się w Macklenburgu, nasze plany legną w gruzach. Nie wiem, co ta zgraja naopowiadała panu... - wskazał pannę Temple, Svensona i Changa - ale mogę panu powiedzieć, że to zimnokrwisci mordercy...

- Gdzie jest pan Blenheim? - bezceremonialnie przerwał mu Smythe.

- Ach! Doskonałe pytanie! - wykrzyknął Crabbe. - Pan Blenheim został zamordowany, i to przez tę młodą kobietę!

Oskarżycielsko wskazał pannę Temple palcem, a ona spojrzała na Smythe'a, zamierzając mu to wyjaśnić, ale zanim zdążyła otworzyć usta, kapitan jej zasalutował. Popatrzył na wiceministra, którego oskarżycielskie słowa najwyraźniej nie wywarły zamierzonego skutku.

- Zatem oszczędziła mi fatygi, gdyż pan Blenheim zamordował jednego z moich ludzi - rzekł Smythe i ryknął na przybyłych tak głośno, że panna Temple podskoczyła: - Rzucić broń! Wracać do środka! Wasze plany właśnie legły w gruzach!

\*

Suchy trzask wystrzału przeleciał głuchym echem po dachu, z niewiele mniejszym impetem niż uderzenie kuli, które okręciło i powaliło na kolana kapitana Smythe'a. Hełm spadł mu z głowy i potoczył się po żwirze. Panna Temple odwróciła się i zobaczyła doktora Lorenza, z dymiącym rewolwerem w dłoni, stojącego pod trapem. Xonck bez wahania doskoczył i z rozmachem kopnął kapitana w szczękę, rozciągając go na ziemi. Odwrócił się do swoich ludzi i wrzasnął z niepokojąco roziskrzonym wzrokiem:

- Zabić ich!

Na dachu rozpętało się piekło. Lorenz znów wystrzelił, powalając najbliżej stojącego dragona. Dwaj macklenburscy żołnierze z tupotem zbiegli po trapie, z dobytymi szablami i gardłowym, niemieckim bojowym okrzykiem na ustach. Mężczyźni w czarnych płaszczach mszyli za Xonkiem, machając pałkami i strzelając. Dragoni, wstrząśnięci atakiem na ich oficera i zaskoczeni, w końcu zaczęli się bronić. Szable ze świstem przecinały powietrze, a zabłąkana kula przeleciała nad uchem panny Temple. Sięgała po sztylet, gdy Chang złapał ją za ramię i popchnął w stronę sterowca. Gdy odzyskała równowagę i się obejrzała, zobaczyła, jak Chang jednym nożem paruje cios pałki, a drugi wbija głęboko w staw barkowy napastnika w czarnym płaszczu.

Odwrócił się do niej i krzyknął:

- Przetnij liny!

Oczywiście! Jeśli zdoła przeciąć cumy, sterowiec sam się uniesie i polecą nad morze, a wtedy tamci w żaden sposób nie zdołają dotrzeć do Macklenburga wcześniej niż za dwa tygodnie! Pomknęła do najbliższego słupka, opadła na kolana i zaczęła piłować sztyletem linę. Była gruba i czarna od smoły, lecz sztylet był ostry i wkrótce przecięte włókna zaczęły się rozplatać, a nacięcie rozszerzało się samo, gdy ogromny ciężar sterowca napinał sznur. Panna Temple podniosła głowę, odgarnęła włosy z oczu i jęknęła na widok okropnego zamieszania.

Chang walczył z jednym z uzbrojonych w szable Macklenburczyków, bez powodzenia próbując dosięgnąć go którymś ze swych krótkich ostrzy. Xonck miał twarz zbryzganą krwią i - teraz uzbrojony w szablę - zaciekle wymieniał ciosy z jednym z dragonów. Doktor Svenson wywijał swoją włócznią jak szaleniec, trzymając przeciwnika w bezpiecznej odległości. Nagle spojrzenie panny Temple przywarło do hrabiego... i czegoś niebieskiego,

migoczącego pod jego pachą. Dragon walczący z Xonckiem nagle zachwiał się i opuścił szablę, jakby stała się zbyt ciężka. W mgnieniu oka Xonck przeszył go swoją szablą. Drugi dragon nagle opadł na kolana i trafiła go kula wystrzelona przez doktora Lorenza. Panna Poole stała w drzwiach, otulona płaszczem, na polecenie hrabiego obezwładniając jednego żołnierza po drugim. Panna Temple krzyknęła, rozpaczliwie piłując linę:

- Kardynale Chang! Kardynale Chang!

Nie usłyszał jej, wciąż walcząc z niemieckim żołnierzem i swoją słabością - nawet przez ten zgiełk słyhać było jego okropny kaszel. Padł następny żołnierz, zabity przez Xoncka. Pozostali dragoni zauważyli, co się dzieje, i runęli na stojących przy drzwiach, zabijając po drodze jeszcze dwóch mężczyzn w czarnych płaszczach. Członkowie klikli rozpięchli się. Crabbe i Roger wpadli na Caroline i Elóise, hrabina krzyczała coś do Xoncka, księżę i Lydia upadli na kolana, zasłaniając głowy rękami, a hrabia wypchnął pannę Poole naprzód, żeby powstrzymać atak. Dragoni - w liczbie sześciu - zachwiali się jak trzciny na wietrze. Xonck doskoczył i ciął najbliższego w szyję. Nie dało się go powstrzymać. Panna Temple jeszcze nigdy nie widziała tak zimnokrwistego mordercy.

Nagle coś przykuło jej uwagę - kątem oka zauważyła jakiś ruch. W następnej chwili leżała twarzą w dół na żwirze, potrząsając głową, mrugając i szukając swojego sztyletu. Podparła się rękami, zupełnie oszołomiona, wiedząc, że atak był skierowany w jej umysł. Jakby w odpowiedzi na niewypowiedzianą modlitwę ujrzała włócznię doktora Svensona sterczącą z pleców panny Poole, przybitej do drzwi. Przeszyta nią na wylot kobieta - bardziej zasługująca na miano potwora - miotła się jak wyrzucona na brzeg ryba, lecz każdy jej ruch jeszcze pogarszał sprawę. Zatoczyła się i rana z trzaskiem poszerzyła się o kilka centymetrów. Jej pękające ciało nadal zakrywał płaszcz, więc panna Temple widziała tylko jej wygiętą szyję i głowę. Kłapała zębami, gdy hrabia bezskutecznie próbował unieruchomić ją i uratować. Nie chciała lub nie mogła go usłuchać. Z donośnym trzaskiem zatoczyła się znowu. Włócznia rozdarła ranę do końca, przepoławiając tors, i szklana kobieta bezwładnie mnęła na żwir jak zepsuta lalka.

\*

Przez moment walczący na dachu patrzyli na siebie, oszołomieni, gdyż milczący krzyk panny Poole ogłuszył wszystkich, lecz ta przerwa nie trwała długo. Xonck i jeden z Macklenburczyków rzucili się na pozostałych dragonów. Chang ciął swojego przeciwnika, a najdziwniejsze było to, że Roger Bascombe rzucił się na doktora Svensona. Panna Temple wróciła do swej pracy, ściskając sztylet obiema rękami.

Lina pękła niespodziewanie i panna Temple klapnęła na siedzenie. Podniosła się i pobiegła do drugiej liny, lecz nagły ruch sterowca i szuranie trapu po żwirze zaalarmowało nieprzyjaciół. Zobaczyła, jak doktor Lorenz celuje do niej, i zanim zdążyła coś zrobić, nacisnął spust. Jednak bębenek rewolweru był pusty! Zaklął, otworzył go, opróżnił z łusek i wyjął z kieszeni płaszczka nowe naboje. Dragon wyrósł za jego plecami, lecz Lorenz zauważył minę panny Temple i odwrócił się. Wypalił dwa razy w pierś żołnierza. Zawył z satysfakcją i znów odwrócił się do panny Temple, pospiesznie usiłując załadować broń. Nie wiedziała, co robić. Nadal piłowała linę.

Lorenz obserwował ją, starannie ładując rewolwer. Spojrzała mu przez ramię. Xonck zabił następnego dragona i zostało już tylko trzech. Jeden rzucił się na Xoncka, dwaj zaatakowali pozostałych członków kliky. Svenson i Roger szamotali się na żwirze. Druga lina zaczęła pękać. Panna Temple spojrzała na Lorenza. Załadował ostatni nabój i zatrzasnął bębenek. Odciągnął kurek, wycelował i mszył w jej stronę.

Rzuciła sztyletem, mierząc w jego twarz. Lorenz uskoczył, ale rękojeść sztyletu uderzyła go w ucho. Rzuciwszy sztyletem, panna Temple zaczęła uciekać w przeciwną stronę, do towarzyszy. Lorenz znów strzelił, lecz ona była mała i uciekała zygzakiem, mając nadzieję, że będzie mniej zainteresowany zastrzeleniem jej niż łapaniem liny.

\*

Chang, sapiąc, klęczał nad powalonym Mackienburczykiem, Svenson zmusił Rogera do ucieczki, grożąc mu wysadzonym klejnotami sztyletem, Xonck stał, przyciskając butem kark szarpiącego się dragona, a dwaj pozostali żołnierze, którzy zaatakowali klikę, byli przy drzwiach. Jeden trzymał za szyję hrabinę, szachując hrabiego i księcia. Drugi stał między klęczącymi Elóise a Caroline. Nigdzie nie było widać żadnego Macklenburczyka ani żadnego mężczyzny w czerni. Wszyscy byli zdyszani, w chłodnym powietrzu unosiła się para oddechów, a wszędzie wokół jęczeli ranni. Próbowwała odnaleźć na tym poboju Smythe'a, ale nigdzie go nie widziała. Albo zdołał się odczołgać, albo przykryły go inne ciała. Była bliska łez, gdyż nie wykonała zadania, lecz nagle ujrzała ulgę na twarzy Changa - a także Svensona, kiedy się odwrócił. Cieszyli się, że widzą ją żywą.

- Co pan każe, proszę pana?! - krzyknął doktor Lorenz. - Mam zastrzelić dziewczynę czy mężczyzn?

- A może powinienem przydepnąć gardło temu człowiekowi - rzekł Xonck, jakby dragoni przy drzwiach nie istnieli. - Zawsze miałem trudności z przestrzeganiem etykiety... Moja droga hrabino, co sugerujesz?

Odpowiedziała wzruszeniem ramion, ruchem głowy wskazując dragona, który ją trzymał.

- No cóż, Francisie... zgadzam się, że sytuacja jest trudna...

- Cholernie szkoda Elspeth.

- Też tak sędzę. Muszę przyznać, że ponownie nie doceniłam doktora Svensona.

- To się wam nie uda! - krzyknął Chang głosem ochryłym z wysiłku. - Jeśli zabijesz tego człowieka albo jeśli Lorenz do nas strzeli, dragoni bez skrupułów zabiją hrabinę i hrabiego. Musicie się wycofać.

- Wycofać? - pogardliwie skrzywił się Xonck. - Takie słowo w twoich ustach, Kardynale, to dla mnie szok. A może niczego innego nie należy oczekiwać po takim łajdaku jak ty? Zawsze wątpiłem w twoją odwagę.

Chang splunął, krzywiąc się z bólu.

- Możesz wątpić, w co tylko chcesz, ty parszywy, zawszony... Doktor Svenson przerwał mu, wysuwając się naprzód.

- Wielu waszych i naszych rannych umrze, jeśli nie otrzymają pomocy...

Xonck zignorował ich obu, wołając do dragonów:

- Puśćcie je, a przeżyjecie! To wasza jedyna szansa!

Nie odpowiedzieli, więc Xonck mocniej przydepnął szyję rannego, który zacharczał przeraźliwie.

- Jak chcecie... - zadrwił Xonck. Wciąż się nie ruszali. Obrócił się na pięcie i zawołał do Lorenza: - Zastrzel, kogo chcesz!

- Jesteś głupi! - krzyknął Svenson. - Nikt nie musi umierać!

- Rozsądek nie ma z tym nic wspólnego, doktorze - zachichotał Xonck i z rozmysłem zmiażdżył butem krtań rannego.

Hrabina błyskawicznie przeciągnęła dłonią po twarzy trzymającego ją dragona, pozostawiając na niej broczący krwią ślad - znów miała na ręce swój kastet z kolcem. Xonck ciął zaskoczzonego ostatniego żołnierza, który zdołał jedynie odbić cios i znikł pod lawiną ciał, gdy Caroline Stearne od tyłu podcięła mu nogi, a hrabia złapał za rękę trzymającą szablę. Silne dłonie złapały pannę Temple w talii i uniosły. To Chang podrzucił ją tak wysoko, że wylądowała na trapie. Lorenz strzelił, ale kula tylko świsnęła jej nad głową.

- Idź! Idź! - krzyczał Chang i panna Temple usłuchała, pojmując, że to ich jedyna droga ucieczki. Gdy wskoczyła do kabiny, znów złapały ją silne dłonie, tym razem Svensona. Popchnął ją dalej i odwrócił się, by wciągnąć Changa. Odłupywane przez kule drzazgi przelatywały w powietrzu. Panna Temple przebiegła przez jedne i drugie drzwi, a potem

dotarła do trzecich, które były zamknięte. Odwróciła się z krzykiem i tamci dwaj wpadli na nią, odrzucając ją na szafkę. Chang błyskawicznie zatrzasnął drzwi, a Svenson zasunął rygiel.

Jakoś przeżyli bitwę, ale znaleźli się w potrzasku.

\*

Siedząc na podłodze, zdyszana, z twarzą zlaną łzami i potem, panna Temple patrzyła na Svensona i Changa. Trudno było powiedzieć, który z nich wygląda gorzej, bo gdy Changowi z wysiłku znów zaczęła płynąć krew z nosa i ust, to nerwowy błysk w oczach doktora szedł o lepsze z jego lśniąca od potu, bladą twarzą.

- Zostawiliśmy Elóise - szepnął. - Zabijają...

- Czy ktoś jest ranny? - zapytał Chang, przerywając mu. - Celeste?

Panna Temple pokręciła głową, nie mogąc mówić, zmrożona okropnymi scenami, których była świadkiem. Czy wojna może być gorsza? Zamknęła oczy, gdy mimo woli przypomniał jej się chrząst miazdzonej butem Francisca Xoncka krtani. Załkała i zawstydzona przycisnęła pięść do ust, odwracając głowę i roniąc łzy.

- Odsuń się od drzwi - mruknął ochryple Chang, odciągając Svensona na bok. - Mogą próbować przestrzelić zamek.

- Tkwimy w pułapce jak szczury - stwierdził Svenson. Popatrzył na sztylet w swojej dłoni, beużyteczny i mały. - Kapitan Smythe i jego ludzie... wszyscy...

- I Elspeth Poole - przypomniał Chang, starając się mówić wyraźnie. - A także ich sługusi oraz dwaj Niemcy. Mogło być gorzej...

- Gorzej? - prychnął Svenson.

- Jeszcze żyjemy, doktorze - rzekł Chang, choć jego ściągnięta i zakrwawiona twarz kojarzyła się z cmentarzem.

- Księżę również! Tak jak hrabia, hrabina i ten potwór Xonck...

- Nie przecięłam lin - chlipnęła panna Temple.

- Bądźcie cicho. Oboje! - syknął Chang.

Panna Temple posłała mu gniewne spojrzenie, gdyż nawet w tych okolicznościach nie podobał jej się ten ton, ale Kardynał się nie złościł. Miał ponurą minę.

- Nie przecięłaś lin, Celeste, ale zrobiłaś, co mogłaś. A czyja zabiłem Xoncka? Nie. Chociaż nie brzmi to najlepiej, zdołałem zabić tylko jednego macklenburskiego wieśniaka wymachującego za dużym nożem do siekania kapusty. Czy doktor ocalił Elóise?

Nie, ale uratował nam życie i jej także, zabijając pannę Poole. Nasi wrogowie po drugiej stronie drzwi - bo musimy zakładać, że wszyscy się tam znajdują - są teraz mniej

liczni niż poprzednio, mniej pewni siebie i równie nieszczęśliwi, ponieważ my też nie jesteśmy martwi.

Fakt, że po tej przemowie dostał tak gwałtownego ataku kaszlu, że musiał opuścić głowę między kolana, nie powstrzymał panny Temple od otarcia nosa rękawem i odgarnięcia opadających na oczy włosów. Pociągnęła nosem i zwróciła się do doktora Svensona:

- Uratujemy ją, tak jak robiliśmy to wcześniej.

Nie znalazł na to odpowiedzi, ale otarł oczy palcami, a ona brak zaprzeczenia uznała za potwierdzenie. Wstała i westchnęła.

- No cóż...

Złapała się szafki, żeby nie upaść, piszcząc z zaskoczenia, gdy cała kabina z oszalałą prędkością przechyliła się w lewo i wyprostowała.

- Wznosimy się - mruknął Svenson.

Panna Temple podciągnęła się do jednego z okien, okrągłego jak bulaj na statku. Spojrzała. Dach Harschmort House już znikał w dole. Po kilku sekundach wpadli w ciemną mgłę i mrok pochłonął dach oraz cały rześście oświetlony dom. Przy akompaniamencie serii głośnych trzasków śmigła ożyły i sterowiec pomknął naprzód. Kabina znów zaczęła poruszać się inaczej, niemal nie kołysząc się na boki. Cicho warczące silniki powodowały wibracje, które panna Temple czuła w opartych o szafkę dłoniach i pod podeszwami butów.

- No cóż - westchnęła. - Wygląda na to, że jednak odwiedzimy Macklenburg.

- Chyba że po drodze wyrzucą nas do morza - zauważył doktor.

- Ach - mruknęła.

- Nadal masz ochotę na śniadanie? - zapytał Chang.

\*

Odwróciła się, by posłać mu gniewne spojrzenie - nieładnie robić takie uwagi - gdy przerwało im delikatne pukanie do drzwi. Popatrzyła na obu towarzyszy, lecz ci się nic odzywali. Westchnęła i powiedziała, najspokojniej jak mogła:

- Tak?

- Panna Temple? Tu minister Crabbe. Zastanawiam się, czy moglibyście otworzyć te drzwi i przyłączyć się do rozmowy.

- A co to za rozmowa?

- Cóż, decydująca o waszym życiu, moja droga. Lepiej będzie nie prowadzić jej przez drzwi.

- Obawiam się, że tak jest dla nas wygodniej - odparła panna Temple.

- Może... jednak jestem zmuszony przypomnieć, że pani Dujong nie podziela waszego stanowiska. Co więcej, chociaż wolałbym uniknąć tak nieprzyjemnych uwag, muszę zauważyć, że te drzwi są z drewna i ich zamek ustąpi pod uderzeniami kul, tak więc to iluzoryczna wygoda. Niewątpliwie mamy wiele do omówienia, więc czy musimy niszczyć te piękne dębowe drzwi, żeby dowieść prawdziwości naszych słów?

Panna Temple spojrzała na towarzyszy. Svenson patrzył na szafkę, o którą się opierała. Podeszedł do niej i otworzył ją, szybko podważwszy zamek sztyletem, lecz w środku były tylko koce, liny, świece, wełniane płaszcze oraz pudło z kapeluszami i rękawiczkami. Odwrócił się do opartego o framugę Changa, który wzruszył ramionami.

- Nie możemy wyjść przez okno - rzekł Svenson.

- Tylko ty masz jakąś broń - rzekł Chang, ruchem głowy pokazując sztylet doktora, gdyż swoje noże odłożył, podsadzając pannę Temple na trap. - Może lepiej byłoby ją dobrze schować.

- Zgadzam się, ale najlepiej będzie, jeśli ty to zrobisz. Svenson podał sztylet Changowi, który schował go pod płaszczem. Doktor ujął dłoń panny Temple, ucisnął ją i skinął na Changa. Ten otworzył drzwi.

\*

Następne pomieszczenie było największą z trzech kabin w gondoli sterowca. Pod ścianami stały szafy i przymocowane na stałe siedzenia, teraz zajęte przez członków kliku, uważnie obserwujących wchodzącą trójkę. Po jednej stronie siedział książę, Harald Crabbe i Roger Bascombe, po drugiej hrabia i hrabina, a przy drzwiach naprzeciwko, z szablą w dłoni i zakrwawioną białą koszulą, Francis Xonck. Za jego plecami panna Temple zauważyła jakieś poruszające się postacie i pospiesznie sprawdziła, kogo brakuje. Czyżby pozostali zginęli w ostatnich momentach potyczki?

Po chwili otrzymała odpowiedź na to pytanie, gdy ujrzała wchodzącą Lydię Vandaariff, ubraną teraz w jasnoniebieską jedwabną suknię. Dziedziczka pochyliła się, przechodząc pod ramieniem Xoncka i zmierzając chwiejnym krokiem do księcia, zmuszając Rogera do ustąpienia jej miejsca. Tuż za Lydią i niewątpliwie pomagając jej utrzymać się na nogach, szła zawsze czujna Caroline Steame, która zajęła wolne siedzenie obok hrabiego.

- Zakładam, że doktor Lorenz pilotuje nasz sterowiec? - zapytał Chang.

- Owszem - odparł Harald Crabbe.

- Gdzie jest pani Dujong? - spytał doktor Svenson. Xonck niedbale machnął ręką w kierunku sąsiedniego pomieszczenia.

- Jest zupełnie bezpieczna... powiedziano mi, że dochodzi do formy.

Svenson zamilkł. Poza Xonckiem nikt nie miał broni, choć zważywszy na jego biegłość w posługiwaniu się szablą, panna Temple wątpiła, by ktoś jej potrzebował. Najwyraźniej jednak wrogowie nie zamierzali natychmiast się ich pozbyć i panna Temple zastanawiała się, jaki mają plan.

Jednocześnie sposób, w jaki siedzieli, zdradzał istniejący w ramach klikli rozłam: po jednej stronie Crabbe i Roger, a obok nich księżę (choć ten sprzymierzyłby się z każdym zwycięzcą), a po drugiej hrabia i hrabina, z Caroline w pobliżu (mimo intensywnych rozważań panna Temple nie miała pojęcia, czy Caroline, Lorenz i Roger są podrzędnymi członkami klikli, czy też trojgiem automatów po przejściu przez proces), w środku zaś niesprzymierzony z nikim Francis Xonck, swoimi szermierczymi umiejętnościami równoważący, szczególnie w tak niewielkiej przestrzeni, spryt Crabbego, wiedzę hrabiego i perwersyjny urok hrabiny.

Crabbe spojrział na hrabinę i pytająco uniósł brwi. Skinęła głową, zgadzając się lub pozwalając, a wtedy Crabbe odchrząknął. Wskazał szafkę obok pani Steame.

- Zanim zaczniemy, czy ktoś z was chce się czegoś napić? Musicie być zmęczeni. Wiem, że ja jestem i na sam wasz widok... no cóż, dziw, że trzymacie się na nogach. Caroline może wam podać... Jest whisky, brandy, woda...

- Jeśli wy też się napijecie - rzekł Chang - to jak najbardziej.

- Doskonale, oczywiście, drinki dla wszystkich i przepraszam.

Caroline, że robię z ciebie barmankę. Rogerze, może mógłbyś pomóc... Może żeby uprościć sprawę, brandy dla wszystkich.

Zapadło dziwne milczenie, i za niemym porozumieniem powstrzymywali się od rozmów, dopóki nie skończono napełniać i roznosić szklaneczek. Panna Temple patrzyła, jak Roger ze szklaneczkami w obu rękach podchodzi do Changa i Svensona, z zawodowo obojętną miną, ani razu nie patrząc w jej stronę. Obserwację przerwała jej Caroline, dotykając jej ramienia i podając szklaneczkę. Panna Temple pokręciła głową, lecz Caroline wepchnęła jej szklankę do ręki, tak że mogła ją tylko przytrzymać lub upuścić. Spojrzała na bursztynowy płyn i pociągnęła nosem. Poczowała znajomy gorzki smak, który kojarzył jej się z tyloma męczącymi i paskudnymi sprawami.

Była to dziwna scena, szczególnie po rzezi na dachu, gdyż panna Temple przygotowała się na śmiertelną walkę, a tymczasem stali tu, jakby szykowali się na przyjęcie - pominąwszy fakt, że mężczyźni i kobiety pili razem. W tym wszystkim tkwił tak głęboki fałsz, że panna Temple zmrużyła oczy. Z głośnym prychnięciem odstawiła szklaneczkę na półkę i wytarła rękę.

- Panno Temple? Woląaby pani coś innego? - spytał Crabbe.

- Woląabym, żeby powiedział pan, o co panu chodzi. Jeśli pan Xonck zamierza nas zabić, niech spróbuje.

- Co za niecierpliwość - uśmiechnął się Crabbe i rzekł z namaszczeniem: - Zrobimy, co w naszej mocy. Najpierw jednak powitajmy wszyscy księcia Macklenburga i jego narzeczoną!

Podniósł szklaneczkę i opróżnił ją, a pozostali poszli w jego ślady, mrużąc: „za księcia!” lub „za Lydię!”. Księżę uśmiechał się szeroko, a Lydia pokazywała w uśmiechu białe ząbki nad brzegiem szklaneczki. Upiła łyk i zaniósła się kaszlem równie okropnym jak Kardynał Chang. Księżę lekko klepał ją po plecach, gdy łąpała oddech, trzymając się za brzuch. Roger podszedł i podał jej chusteczkę, którą młoda dama wyrwała mu z ręki i przycisnęła do ust. Atak kaszlu po chwili minął. Błada i zdyszana Lydia oddała Rogerowi chustkę, próbując się uśmiechnąć. Roger zręcznie zwinął chusteczkę i schował do kieszeni... jednak panna Temple zdążyła zauważyć na niej świeże, niebieskie plamy.

- Dobrze się czujesz, moja droga? - zapytał księżę. Zanim Lydia zdążyła odpowiedzieć, Chang opróżnił szklaneczkę, głośno przepłukał sobie gardło i połknął brandy. Doktor Svenson wylał brandy na podłogę. Crabbe zauważył to i westchnął ze smutkiem.

- No cóż... nie wszystkim można dogodzić. Caroline? Pani Steame pozbięrała szklaneczki. Crabbe odkaszlnął i machnął ręką.

- Zatem, zaczynajmy.

\*

- W wyniku waszych zdeterminowanych prób zniweczenia naszych planów nie jesteśmy już w stanie stwierdzić, w jakim stopniu je znacie, ani komu mogliście o nich powiedzieć. Pani Marchmoor jest już w drodze do miasta, a Angeliki i biednej Elspeth już nie ma. - Podniósł rękę. - Zrozumcie, proszę, że mówię do was jako ten, który najlepiej potrafi opanować gniew, bo gdyby na moim miejscu stał któryś z moich towarzyszy, samo wspomnienie tych faktów wystarczyłoby, by was zabić. Choć prawdą jest, że moglibyśmy poddać was procesowi transformacji lub wydestylować wasze wspomnienia do księgi, obie te czynności wymagają czasu, którego nie mamy, oraz urządzeń, jakimi w sterowcu nie dysponujemy. Prawdą jest też, że moglibyśmy zrobić to po przybyciu do Macklenburga, jednak nie możemy z tym tak długo czekać. Przybywając tam, musimy wiedzieć, na czym stoimy i czy... w naszych szeregach... jest Judasz.

Podsunał Rogerowi szklaneczkę, chcąc drugiej porcji brandy, i kontynuował przemowę, gdy młodzieniec mu nalewał.

- Ta ostatnia konfrontacja na dachu - niepotrzebna i przygnębiająca, jak sądzę, dla wszystkich - jedynie wzmacnia nasze wcześniejsze przekonanie, że wasze niezwykle zdolności bardzo przydałyby się naszej sprawie, gdybyśmy wykorzystali je dzięki procesowi. Dziękuję, Rogerze. - Crabbe upił łyk. - Nie facygucie się i nie protestujcie. Nie oczekujemy już takiego nawrócenia i nie zaakceptowalibyśmy go teraz, po tych wszystkich szkodach, jakie wyrządziliście. Sytuacja nie może być bardziej jasna. Mamy panią Dujong. Odpowiedź na nasze pytania albo ona umrze i jestem pewien, że możecie sobie wyobrazić rodzaj śmierci, o jakim mówię, czas jej trwania oraz to, jak przygnębiające byłyby jej krzyki w tak niewielkiej i zamkniętej przestrzeni. A gdyby w końcu zdołała umrzeć, to po prostu zabierzemy się za następną osobę - może pannę Temple - i tak dalej. To nieuniknione. Tak jak otworzyliście te drzwi, żeby nie zostały niepotrzebnie uszkodzone, tak macie szansę uniknąć zniszczenia ciał i dusz waszych towarzyszek.

\*

Panna Temple patrzyła na twarze siedzących przed nią ludzi: na chytrze uśmiechniętego Crabbego, rozbawionego i wzgardliwego księcia, nienasyconą Lydię, marszczącego brwi Rogera, szyderczo wykrzywionego Xoncka, niewzruszonego hrabiego, lodowato uśmiechniętą hrabinę, smutną i spokojną Caroline. Na żadnej z nich nie znalazła nawet cienia podejrzenia, że słowa wiceministra mogą nie być prawdą. A jednak wiedziała o istniejących między nimi tarcich oraz o tym, że nie interesuje ich już to, czego oni troje dowiedzieli się o ich planach, tylko w jakim stopniu te odkrycia dowodzą zdrady w szeregach kliku.

- Mogłabym łatwiej uwierzyć w pańskie słowa - powiedziała - gdyby nie były takim bezczelnym łgarstwem. Prosi pan, żebyśmy zaczęli mówić, aby uniknąć tortur, a tymczasem co by było, gdybyśmy ujawnili jakiś szczegół dowodzący zdrady któregoś z was? Spodziewa się pan, że uwierzono by nam na słowo? Oczywiście nie i ujawniony natychmiast zażądałby wzięcia nas na tortury, żeby potwierdzić lub odrzucić nasze oskarżenia!

Wiceminister zamrugnął i pokręcił głową, chichocząc, po czym pociągnął łyk brandy.

- Wielkie nieba, Rogerze, uważam, że zupełnie jej nie doceniłeś. Panno Temple, przylapała mnie pani. Istotnie, ma pani rację. To tyle, jeśli chodzi o próby delikatnych negocjacji. W porządku: wszyscy czworo umrzecie długą i bolesną śmiercią. Jeśli któreś z was ma coś do powiedzenia, to tym lepiej - jeśli nie, przynajmniej nie będziemy musieli dłużej wysłuchiwać waszych śmierzących uwag.

Xonck posunął się naprzód, groźnie wywijając szablą. Panna Temple cofnęła się, lecz zrobiwszy zaledwie krok, oparła się plecami o ścianę. Doktor znów ścisnął jej rękę, a potem krzyknął:

- Doskonale, ministrze! Może pan Xonck zdąży nas zabić, zanim coś powiemy. To pewnie byłoby panu na rękę?

Crabbe wyprostował się, zniecierpliwiony i wściekły.

- No właśnie! Kolejna daremna próba zwrócenia nas przeciwko sobie. Francis...

- Oczywiście, Francis! Przysłuż się ministrowi tak jak zawsze! Tak jak wtedy, kiedy utopiłeś Trappinga w rzece!

Xonck znieruchomiał, mając już Svensona w zasięgu szabli.

- Służę tylko sobie.

Doktor spojrzął na lekko poruszający się koniec ostrza i prychnął drwiąco, chociaż panna Temple czuła, że trzęsie mu się ręka.

- Oczywiście, ale przepraszam, że spytam: co się stało z Herr Flausssem?

\*

Przez chwilę nikt się nie odzywał i Crabbe gniewnym wzrokiem nakazywał Xonckowi, żeby robił swoje. Hrabina przemówiła, starannie dobierając słowa:

- Herr Flauss okazał się... nielojalny.

- Ten strzał! - wykrzyknęła panna Temple. - Zastrześliś go!

- To okazało się konieczne - rzekł Crabbe.

- Jak mógł być nielojalny? - zdziwił się Chang. - Przecież był jednym z was!

- Dlaczego pan pyta? - stanowczo zażądała odpowiedzi hrabina.

- Czemu cię to obchodzi? - syknął do niej Crabbe za plecami Xoncka. - Francis, proszę...

- Po prostu zastanawiałem się, co to miało wspólnego z zaginioną księgą lorda Vandaariffa - odparł Svenson. - No wiecie, tą, do której jego wspomnienia zostały... jak to nazywacie? Oddestylowane?

Zapadła cisza. Serce podeszło panie Temple do gardła, ale wiedziała, że ta rozmowa odwlekła chwilę ich nieuchronnej śmierci.

- Ta księga została zniszczona - wycedził hrabia. - Przez Kardynała Changa, który w wieży zabił nią majora Blacha...

- Czy tak jest w jego notatkach? - Svenson pogardliwie wskazał Rogera. - Zatem sądzę, że brakuje wam dwóch ksiąg - jednej z lady Melantes, z panią Marchmoor i innymi, a drugiej...

- Na co czekasz?! - krzyknął Crabbe. - Francis! Zabij go!

- Tak byłoby - wychrypiął doktor Svenson - gdyby była druga księga! Gdyż oddestylowana do księgi pamięć Roberta Vandaariffa - którego umysł zawierał klucze władzy nad całym kontynentem - byłaby dostępna dla każdego, kto by ją zdobył i miał klucz! Dlatego kazano mu przelać wspomnienia na papier i nie stworzono szklanej księgi. Tak więc macie jedną księgę zaginioną i drugą, która wcale nie powstała!

- Francis, uważaj na nich! - krzyknęła hrabina do Xoncka, a potem zwróciła się do Crabbego. - Haraldzie, możesz na to odpowiedzieć?

- Odpowiedzieć? Na co odpowiedzieć? Odpowiedzieć na' takie... takie... rozpaczliwe...

Zanim minister przestał się zapluwać, Chang zwrócił się do Rogera:

- Sam widziałem, jak Vandaariff w swoim gabinecie spisywał wszystko na pergaminie! Gdybym nie rozbił tej księgi, zrobiliby to sami, żeby przekonać was wszystkich, iż wspomnienia Vandaariffa przepadły, i zatrzymaliby sobie jedyny ich egzemplarz!

- Egzemplarz, który zabrałem ministrowi - dodał Svenson. - Były w skórzanej teczce, którą Bascombe zabrał mi na sali balowej. Na pewno nadal ją ma... Czy właśnie to zauważył Flauss, kiedy dołączył do ciebie w gabinecie Vandaariffa... i dlatego musiał umrzeć?

\*

Zapadła głucha cisza i panna Temple zdała sobie sprawę, że wstrzymuje oddech. Słowa przelatowały tak szybko, a Francis Xonck stał, mierząc ich czujnym wzrokiem, mając całą trójkę w zasięgu szabli. Czowała, jak spięty jest Svenson i że Chang szykuje się do skazanej na niepowodzenie próby ataku na Xoncka, ale wyczuwała także rosnące napięcie, gdy minister i Roger próbowali zaprzeczyć rewelacjom jeńców.

- Aspiche odebrał Svensonowi teczkę w sali balowej - oznajmił Xonck, nie odwracając się do swoich współników. - A Bascombe zabrał ją mu... ale nie widziałem jej, kiedy później spotkaliśmy się w gabinecie.

- Została spakowana - wtrąciła Caroline Steame cicho. - Kiedy szykowano wszystko do podróży...

- Czy ta teczka jest tu czy nie? - warknął Xonck.

- Mam ze sobą jej zawartość - gładko odparł Roger. - Jak powiedziała Caroline, spakowaną w bezpiecznym miejscu. Doktor Svenson się myli. To tylko plany finansowe lorda Vandaariffa na każdy kolejny etap tego przedsięwzięcia. Nie wiem, co to za pomysł z księgą lady Melantes... Dwie księgi... jedna księga...

- Doktor Lorenz zidentyfikował brakującą księgę jako księgę lady Melantes - rzucił Svenson.

- Doktor Lorenz się myli. Księga lady Melantes - zawierająca również wspomnienia pani Marchmoor i lorda Actona - jest w bezpiecznym miejscu. Jediną brakującą, tą rozbitą w wieży, jest księga lorda Vandaariffa. Możecie sprawdzić w moim notatniku i proszę bardzo, możecie obejrzyć także księgi.

Była to przekonująca przemowa, z odpowiednią dawką oburzenia niewinnie oskarżonego i równie poruszającą dozą zawodowej wyniosłości - specjalność Bascombe'a. I wyglądało na to, że jego zdenerwowani zwierzchnicy, być może pewni jego posłuszeństwa, ponieważ przeszedł proces transformacji, byli przekonani o prawdziwości jego słów. Jednak panna Temple poznała po tym, w jaki sposób pociera kciukiem udo, że kłamie.

Roześmiała się.

Przeszył ją wzrokiem, chcąc uciszyć.

- Och, Rogerze... - zachichotała, kręcąc głową.

- Bądź cicho, Celeste! - syknął. - Nie powinno cię tu być!

- A tobie z pewnością udało się wszystkich przekonać. Zapomniałeś jednak, jak dobrze cię znam. Mimo to może przekonałbyś i mnie, gdyż była to naprawdę piękna przemowa, gdybyś to nie ty zastrzelił Herr Flaüssa, z pewnością po tym, jak wmówiłeś wszystkim, że jest niełojalny... A chciałeś po prostu go uciszyć. To ty go zastrzeliłeś, Rogerze... prawda?

\*

Po jej słowach w kabinie znów zapadła cisza, zakłócana jedynie szumem śmigieł na zewnątrz. Xonck nadal trzymał szablę gotową do pchnięcia, ale zaciskał wargi i nerwowo wodził wzrokiem po zebranych. Hrabina wstała.

- Rosamonde - zaczął Crabbe. - To śmieszne, chcą nas poróżnić, to ich jedyna nadzieja...

Ona jednak zignorowała go i powoli mszyła przez kabinę w kierunku Rogera. Cofnął się przed nią, oparł plecami o ścianę i jakby zapadł się w sobie. Spojrzał jej w oczy i pobladł, gdyż nie znalazł w nich żadnych uczuć.

- Rosamonde... - zaczął hrabia. - Jeśli przesłuchamy go razem...

Z szybkością atakującej kobry hrabina doskoczyła do Rogera i szepnęła mu coś do ucha. Panna Temple usłyszała tylko niektóre słowa, ale wystarczyło pierwsze „niebieski” - by domyślić się, że hrabina wypowiedziała hasło kontrolujące Rogera, a czyniąc tak, zanim

zdążył to zrobić ktoś inny, upewniła się, że będzie słuchał tylko jej rozkazów. Odsunęła się, a Roger usiadł na podłodze, z twarzą bez wyrazu i pustymi oczami.

- Rosamonde... - spróbował ponownie Crabbe, ale ona znów nie zwróciła na niego uwagi i zapytała Rogera, mającego teraz głowę na wysokości jej ud.

- Rogerze... czy to, co mówi nam doktor Svenson, to prawda?

- Tak.

Zanim Crabbe zdążył coś powiedzieć, hrabina ponownie zapytała Rogera:

- Czy wspomnienia lorda Roberta zostały oddestylowane do księgi?

- Nie.

- Czy zostały spisane?

- Tak.

- Czy te papiery są na pokładzie?

- Tak. Umieściłem je w bagażu księcia. Flauss uparł się, że zajmie się tym bagażem i znalazł je.

- Więc go zastrzeliłeś.

- Tak.

- A wszystko to dlatego, Rogerze, że służysz... komu? Kto wydał ci rozkaz?

- Wiceminister Crabbe.

\*

Crabbe milczał, usta miał otwarte, a twarz bladą jak ściana. Bezradnie spojrzął na hrabiego i Xoncka, ale nie zdołał wykrztusić słowa. Wciąż patrząc na Rogera, hrabina rzuciła przez ramię:

- Caroline, zechcesz być tak dobra i zapytać doktora Lorenza, gdzie dokładnie znajdujemy się w tej chwili?

Caroline, która nie odrywała oczu od Rogera Bascombe'a, spojrzała na nią zdziwiona, wstała i opuściła kabinę.

- Coś takiego! - prychnął rozzłoszczony książę. - Umieścił te papiery w moim bagażu? I z ich powodu zastrzelił mojego człowieka? Niech cię szlag, Crabbe! Niech szlag trafi twoją przekłątą bezczelność! Lydia Vandaariff poklepała go po kolanie.

- Wasza wysokość - rzekł pospiesznie Crabbe - Bascombe nie mówi prawdy. Nie wiem, jak to możliwe... ale to mógł być każdy! Każdy znający hasło kontrolne! Każdy mógł kazać mu tak odpowiadać na pytania i obciążać mnie...

- A skąd ten ktoś mógł wiedzieć, jakie to będą pytania? - warknęła hrabina, a potem wskazała jeńców. - Przynajmniej jedno z nich podsunął doktor Svenson!

- Z tego co wiemy, ten ktoś manipulujący umysłem Bascombe'a może być w zмовie z tą trójką! - krzyknął Crabbe. - To by wyjaśniało fakt, że wciąż są żywi!

Słyszając słowa wiceministra, hrabina szeroko otworzyła oczy.

- Umysł Bascombe'a! Oczywiście, oczywiście, ty podstępny człowieczku! Nie przerwałeś dochodzenia w sali balowej ze względu na lorda Roberta i diuka. Zrobiłeś to, ponieważ Roger musiał niespodziewanie towarzyszyć Vandaariffowi! Gdybyś tak nie uczynił, hrabia przejrzałby jego myśli i odkrył twoje knowania przeciwko nam! - Odwróciła się do hrabiego i wskazała siedzącego na podłodze Bascombe'a. - Nie musisz mi wierzyć, Oskarze, zapytaj go sam, bardzo proszę, zadaj mu jakieś pytania, których nie mogłabym przewidzieć! Albo ty, Francisie, bardzo proszę! Ja jestem usatysfakcjonowana, ale wy możecie pytać dalej! Rogerze, odpowiesz na wszystkie pytania, jakie ci zadadzą!

Twarz hrabiego nie zdradzała żadnych uczuć, lecz panna Temple wiedziała, że zawsze podejrzewał hrabinę, więc był naprawdę ciekawy i niepewny, które - a może oboje? - z tych dwojga go zdradziło.

- Francisie? - wycedził.

- Daję ci wolną rękę - uśmiechnął się Xonck, nawet nie mrugnawszy okiem.

Hrabia d'Orkancz pochylił się nad Rogerem.

- Panie Bascombe... czy według pańskiej wiedzy wiceminister Crabbe miał coś wspólnego z zamordowaniem Arthura Trappinga?

Hrabina odwróciła się, mierząc hrabiego czujnym i przenikliwym spojrzeniem.

- Oskarze, dlaczego...

- Nie - odpowiedział Roger.

\*

Następne pytanie hrabiego przerwała Caroline Steame, która stanęła w drzwiach razem z doktorem Lorenzem.

- Hrabino - szepnęła.

- Dziękuję, Caroline. Będziesz tak dobra i przyniesiesz torbę księcia?

Pobladła Caroline wyczuła panujące w kabinie napięcie, dygnęła i wybiegła. Hrabina zwróciła się do Lorenza.

- Doktorze, jak to dobrze, że pan przyszedł. Ufam, że ktoś pozostał przy kole sterowym?

- Proszę się nie martwić, madame. Mam w sterówce dwóch dobrych ludzi - odparł z uśmiechem, rozbawiony tą morską terminologią.

Zaraz jednak spoważniał, widząc, że przesłuchiwanym jest siedzący na podłodze Bascombe, a nie jeńcy.

- Nasza pozycja? - zapytała krótko hrabina.

- Jesteśmy już nad morzem - odparł Lorenz. - A stąd, jak pani wie, możemy polecieć różnymi trasami - pozostając nad wodą, gdzie jest mniejsze ryzyko, że zostaniemy zauważeni, albo przeprowić się i skryć w cieniu brzegu. Przy tej mgle może to nie mieć znaczenia...

- Kiedy dolecimy do Macklenburga? - spytał hrabia.

- Niezależnie od trasy, najprędzej za dziesięć godzin. Więcej, przy przeciwnym wietrze... a właśnie taki mamy... - Lorenz oblizał cienkie wargi. - Mogę spytać, co się dzieje?

- Drobną różnicą zdań między współnikami - rzucił przez ramię Xonck.

- Aha. A wolno spytać, dlaczego oni jeszcze żyją? Hrabina odwróciła się do jeńców i zatrzymała wzrok na pannie Temple. Jej wyraz twarzy trudno byłoby nazwać miłym.

- Czekaliśmy na pana, doktorze. Nie chcę, żeby ich ciała znaleziono na lądzie. Pochłonie je morze, a jeśli któreś przypadkiem wyrzuci na plażę, to dopiero po kilku dniach przebywania w wodzie. Do tego czasu nawet śliczna panna Temple będzie szara i bezkształtna jak zepsuty pudding.

\*

Caroline znów się pojawiła, niosąc w jednej ręce teczkę, a w drugiej plik papierów.

- Madame...

- Wspaniale jak zawsze, Caroline - pochwaliła hrabina. - Tak się cieszę, że zachowałaś swoje ciało. Możesz przeczytać?

- Tak, madame. To zapiski lorda Vandaariffa. Poznaję jego pismo.

- I o czym pisze?

- Nie wiem, od czego zacząć. To bardzo wyczerpująca relacja...

- Tak sędzę.

- Madame, czy nie byłoby lepiej...

- Dziękuję, Caroline.

Caroline skłoniła się i pozostała przy drzwiach z Lorenzem. Oboje z nerwową fascynacją obserwowali pozostałych. Hrabia ponuro zmarszczył brwi, na czole Xoncka perlily się krople potu, a twarz Crabbego była tak blada, że wydawała się bezkrwista. Tylko hrabina uśmiechała się, lecz ten uśmiech przerażał pannę Temple bardziej niż wszystko pozostałe, gdyż nad szkarłatnymi wargami i ostrymi ząbkami oczy tej kobiety błyszczały jak dwa fiołkowe ostrza. Panna Temple zrozumiała, że hrabina jest zadowolona, że czeka na rozwój wydarzeń z niecierpliwością matki spodziewającej się dziecka.

Hrabina podeszła do Xoncka i przysunęła twarz blisko do niego.

- Co o tym sądzisz, Francisie? - spytała.

- Sądzę, że chciałbym opuścić to ostrze. - Zaśmiał się. - Albo spuścić je na czyjąś głowę.

Zatrzymał wzrok na Changu. Hrabina dziewczęcym gestem oparła głowę na ramieniu Xoncka.

- To bardzo dobry pomysł. Zastanawiam się jednak, czy masz dość miejsca, żeby się zamachnąć.

- To prawda, mógłbym mieć więcej.

- Zobaczmy, czy ja mogę z tym coś zrobić, Francisie. Zwinnie jak w tańcu, hrabina obróciła się do wiceministra Crabbego. Uderzyła ostrym jak brzytwa kolcem kastetu, wbijając mu go w skroń tuż przy uchu. Oczy wyszły mu z orbit i drgnął spazmatycznie, a potem zeszywniał na cztery długie sekundy, w ciągu których gasło w nim życie. Upadł na kolana księcia Karla-Horsta. Księżę odskoczył z krzykiem, a ciało wiceministra z głuchym łoskotem uderzyło o podłogę kabiny.

- I nie trzeba wycierać krwi - uśmiechnęła się hrabina. -

Doktorze Lorenz, zechce pan otworzyć luk? Wasza wysokość? Mógłby pan pomóc Caroline pozbyć się szczątków ministra?

Stała z promiennym uśmiechem, gdy pochylali się nad zabitym dyplomatą o szeroko otwartych ze zdumienia oczach, niezgrabnie ciągnąc go do sąsiedniej kabiny, w której Lorenz klęczał nad drzwiami luku. Siedząca na sofie Lydia obserwowała ich postępy, jęcząc i trzymając się za brzuch. Zwymiotowała w dłonie i hrabina z ciężkim westchnieniem podała jej jedwabną chusteczkę. Lydia złapała ją z wdzięcznością, w kącikach ust miała perelki niebieskiej cieczy.

- Hrabino... - zaczęła drżącym ze strachu głosem.

Jednak uwagę hrabiny odwrócił szczęk zamka i Lorenz podnoszący żelazną klapę. Lodowaty podmuch wdarł się do kabiny jak chciwa dłoń zimy. Panna Temple spojrzała w otwarty luk i uświadomiła sobie, że coś jest nie tak... te chmury na zewnątrz... ich blady odcień. Okrągłe okna kabiny były zasłonięte zielonymi kotarami... nie widziała, kiedy nadszedł świt.

- Wygląda na to, że dzielimy przyszłość na coraz większe części - zauważyła hrabina.

- Po jednej trzeciej, panowie?

- Po jednej trzeciej - szepnął hrabia.

- Zgadza się - rzekł Xonck.

- Zatem załatwione - oznajmiła hrabina. Położyła dłoń na ramieniu Xoncka i lekko ścisnęła.

- Wykończ ich.

\*

Chang błyskawicznie wyjął sztylet i skoczył na Xoncka, parując cios i odbijając ostrze szabli. Xonck jednak okręcił się na pięcie i zabandażowaną ręką uderzył go w szyję, obalając na podłogę. Obaj krzyknęli z bólu. Doktor Svenson rzucił się na Xoncka, ale spóźnił się o pół kroku i przeciwnik uderzył go ręką w brzuch. Doktor, krztusząc się, upadł na kolana. Xonck cofnął się o krok i obrócił do panny Temple, ponownie mierząc ostrzem w jej twarz. Panna Temple zastygła. Patrzyła na Xoncka, który ciężko dyszał, krzywiąc się z bólu... Wahał się.

- Francisie? - powiedziała hrabina z rozbawieniem w głosie.

- Co? - syknął.

- Czekasz na coś? Xonck przełknął ślinę.

- Zastanawiałem się, czy jej sama nie zechcesz wykończyć.

- To bardzo miło z twojej strony... ale zadowolę się przyglądaniem

- Tylko pytałem.

- I zapewniam cię, że jestem ci wdzięczna za troskę, a także rozumiem, że może chciałbyś zachować pannę Temple przy życiu, żeby starannie ją... przesłuchać, ale byłabym jeszcze bardziej zobowiązana, gdybyś wziął się do roboty i wypatroszył ją jak niebezpieczną dziką świnię, którą jest.

Xonck poruszał palcami, mocniej ujmując ręką szabli. Panna Temple widziała zabójcze ostrze pół metra od swej piersi, połyskujące srebrzyście w rytm ciężkiego oddechu Xoncka. Ten uśmiechnął się szyderczo. Zaraz ją zabije.

- Najpierw popędzał cię minister, a teraz hrabina - powiedziała. - Oczywiście, on miał powód...

- Mam to zrobić sama? - spytała hrabina.

- Nie poganiaj mnie, Rosamonde - warknął Xonck.

- Tylko że hrabia nie dokończył przesłuchania! - zauważyła panna Temple.

Xonck nie przeszył jej szablą. Odezwała się ponownie, podnosząc głos do krzyku:

- Pytał, czy minister zabił pułkownika Trappinga! Nie zapytał, kto go zabił! Czy zrobił to Roger! Czy może zabiła go hrabina!

- Co!? - wykrztusił Xonck.

- Francis! - wrzasnęła hrabina.

Prychając z wściekłości, mszyła z podniesionym do ciosu kastetem na pannę Temple, zamierzając sama ją uciszyć. Nie mając gdzie się cofnąć, panna Temple pobladła na myśl o ostrzu przecinającym jej gardło lub przebijającym czaszkę.

Zanim do tego doszło, Xonck obandażowaną ręką złapał hrabinę w tali i rzucił na najbliższą kanapę. Z krzykiem oburzenia wylądowała w tym samym miejscu, w którym przed chwilą zginął Harald Crabbe.

Hrabina spoglądała na nią z wściekłością, jakiej panna Temple nie widziała jeszcze nigdy w życiu. Wydawało się, że jej wzrok może opalać farbę i wyginać stal.

- Rosamonde... - zaczął Xonck i panna Temple - znów za późno - skoczyła do leżącego na podłodze sztyletu Changa. Xonck uderzył ją płazem szabli w głowę, powalając na doktora Svensona, który jęknął.

Potrząsnęła głową i poczuła przeszywający ból. Hrabina wciąż siedziała na kanapie, obok księcia i Lydii, przygnębionych jak dzieci przyglądające się kłótni rodziców.

- Rosamonde - powtórzył Xonck. - Co ona miała na myśli?

- Nic nie miała! - parsknęła hrabina. - Pułkownik Trapping już nie jest ważny. To Crabbé był zdrajcą!

- Hrabia wie o wszystkim - zdołała wykrztusić ochryplym głosem panna Temple.

- O czym? - spytał Xonck, po raz pierwszy kierując ostrze szabli w hrabiego d'Orkancza, siedzącego naprzeciwko hrabiny.

- On nie powie - szepnęła panna Temple - ponieważ już nie wie, komu ufać. Musi pan spytać Rogera.

Hrabia wstał.

- Siadaj, Oskarze - powiedział Xonck.

- To już zaszło za daleko - syknął hrabia.

- Siadaj albo utnę ci ten twój przeklęty łeb! - wrzasnął Xonck. Hrabia zniżył się do okazania lekkiego zdziwienia i usiadł, równie ponury jak hrabina wściekła.

- Nie dam robić z siebie durnia - warknął Xonck. - Trapping był moim człowiekiem i tylko ja mogłem zdecydować, kiedy się go pozbyć! Ktokolwiek go zabił - chociaż wolałbym w to nie wierzyć - niewątpliwie jest moim wrogiem...

- Rogerze Bascombe - krzyknęła panna Temple - czy wiesz, kto zabił pułkownika Trappinga?!

Z pomrukiem wściekłości Xonck trzema stalowymi palcami - złapał za kołnierz szaty panny Temple, poderwał ją z podłogi i cisnął przez całą długość kabiny. Przeleciała przez próg i z krzykiem wylądowała u stóp Caroline Steame. Zaparło jej dech i leżała, mrugając z

bólu, niejasno zdając sobie sprawę, że jest jej jeszcze chłodniej. Obejrzała się i zobaczyła strzępy swojej szaty w dłoni Xoncka. Napotkał jej spojrzenie, wciąż wściekły. Panna Temple jęknęła, pewna, że zaraz podejdzie do niej i zmiażdży jej krtań jak tamtemu dragonowi... Nagle, w pełnej napięcia ciszy, Roger Bascombe odpowiedział na jej pytanie.

\*

- Tak - rzekł po prostu. - Wiem. Xonck stanął jak wryty, gapiąc się na Rogera.

- Czy zrobiła to hrabina?

- Nie.

- Czekaj - wtrącił się hrabia. - Dlaczego został zabity?

- Czy służył Vandaariffowi, a nie nam? - spytał Xonck. Tak - odparł Roger. - Lecz nie dlatego został zabity.

Hrabina już wiedziała, dla kogo naprawdę pracuje pułkownik. Xonck i hrabia popatrzyli na nią. Hrabina pogardliwie skrzywiła się na ich naiwność.

- Oczywiście, że wiedziałam - powiedziała, szyderczo patrząc na Xoncka - Jesteś arogancki, Francisie, więc zakładałeś, że wszyscy - a szczególnie Trapping - chcą tego co ty: władzy twojego brata. Skrywasz swój spryt pod maską libertyna, ale Trapping nie był tak przebiegły. Z przyjemnością sprzedawał wszystkie tajemnice twojego brata i twoje każdemu, kto zaspokajał jego apetyty!

- Zatem czemu zginął? - dopytywał się Xonck. - Aby chronić projekt hrabiego?

- Nie - powiedział Roger. - Trapping jeszcze nie podał swojej ceny za uratowanie Lydii. Tylko rzucił Vandaariffowi kilka uwag.

- Zatem to Crabbe. Trapping zapewne dowiedział się, że chce oddestylować pamięć Vandaariffa i...

- Nie - powtórzył Roger. - Wiceminister zabiłby go, oczywiście... tak samo jak hrabia... gdyby miał czas i sposobność.

Xonck odwrócił się do hrabiny.

- To ty go zabiłaś!

Hrabina niecierpliwie wzruszyła ramionami.

- Nie uważałaś, Francisie? Nie pamiętasz, co Elspeth Poole - głupia, uparta i nieopłakiwana - pokazała nam w sali balowej? Nie widziałeś jej wizji?

- Elspeth była z panią Steame - rzekł Xonck, patrząc na stojącą w drzwiach Caroline.

- Iz Trappingiem - dodał hrabia. - W noc zaręczyn.

- Posłano nas do niego - zaprotestowała Caroline. - Hrabina kazała nam... kazała...

- Właśnie - przerwała jej hrabina. - Dokładałam starań, żeby dobrze się bawił z dala od innych gości.

- Ponieważ wiedziałas, że nie można mu ufać - dorzucił hrabia.

- Myślałam, że uda się odwrócić jego uwagę do czasu, aż uporamy się z Vandaariffem - wyjaśniła hrabina. - I tak też się stało!

- Gdyby pułkownik Trapping ostrzegł Vandaariffa, cały nasz plan mógłby lec w gruzach! - krzyknęła Caroline.

- Wszyscy zdajemy sobie z tego sprawę! - warknęła hrabina.

- Zatem nie rozumiem - rzekł Xonck. - Kto zabił Trappinga? Vandaariff?

- Vandaariff nie zabiłby swojego agenta - rzekł ochryply głos za Xonkiem.

Panna Temple zobaczyła, że doktor Svenson podnosi się na klęczki.

- Przecież Blenheim miał klucz Trappinga!

- Blenheim prznosił zwłoki na polecenie Vandaariffa, który wtedy jeszcze był panem swojego domu - rzekł Svenson.

- Zatem kto to zrobił? - burknął hrabia. - I dlaczego? A jeśli nie zrobiono tego z powodu Lydii, spadku po Vandaariffie czy choćby kontroli nad fortuną Xonckow, to dlaczego zamordowanie tego głupca zagroziło zniszczeniem naszego przymierza?

Hrabina nerwowo poruszyła się na kanapie i przeszła wzrokiem Rogera, którego drżące wargi świadczyły o tym, że bezskutecznie próbuje zachować milczenie.

- Powiedz nam, Rogerze - zachęciła hrabina. - Powiedz natychmiast.

\*

Patrząc na twarz swego byłego ukochanego, panna Temple miała wrażenie, że widzi marionetkę - oczywiście bardzo podobną do żywej istoty, lecz będącą zaledwie jej imitacją. Powodem nie była jego bierność ani nawet ton głosu czy tępe spojrzenie, gdyż te można tłumaczyć dziwnymi okolicznościami, tak samo jakby wrzeszczał czy szczyrzył zęby. Sprawiał to po prostu sens jego słów, co było tym dziwniejsze, że panna Temple zawsze żywiej reagowała na to, co robił, a nie mówił - na sposób, w jaki brał ją pod rękę lub nachylał się nad stołem, lub nawet na reakcję swojego ciała na jego słowa (jakikolwiek one były). Teraz jednak, słuchając tego, co mówił, rozumiała, jak bardzo ich drogi się rozeszły. Kiedy byli zaręczeni, zakładała - obojętnie jak daleko od siebie się znajdowali - że duchowo są nierozłączni jak bliźnięta, teraz jednak, rozchodząc się niczym promienie słońca wpadające o świcie do chaty, w jej sercu rosnęło przekonanie, że ich jedność, ta idea niemająca oparcia w faktach, próżna, głupia i skazana na klęskę, żyła jedynie w jej pamięci. Nie wiedziała już, kim on jest naprawdę, i nigdy się tego nie dowie. Czy kiedyś było inaczej? Na to pytanie nie

mogła odpowiedzieć. Żalu, który teraz czuła, nie on był powodem - gdyż to on był głupcem, nie ona, i już się od niego uwolniła. Jakoś jednak, gdy słuchała, co Roger mówi w tej lodowato zimnej kabinie, w czułym sercu panny Temple budził się smutek, wypełniając je po brzegi. Po raz pierwszy w życiu doszła do wniosku, że wszystko to marność, że ten świat to zamki z piasku, które bez jej troskliwej opieki - która przecież nie może trwać wiecznie - rozsypią się i znikną.

\*

- W nocy poprzedzającej mój proces transformacji - zaczął Roger - spotkałem w hotelu St. Royale kobietę, której namiętność dorównywała mojej, tworząc idealną jedność. Prawdę mówiąc, postanowiłem nie poddawać się procesowi, a nawet zastanawiałem się nad ujawnieniem wszystkiego najwyższym władzom. Wtedy jednak poznałem tę kobietę... Oboje nosiliśmy maski i nie znałem jej imienia, jednak balansowała na krawędzi swego przeznaczenia, tak samo jak ja. Gdy usiłowałem dokonać wyboru między pewnymi korzyściami płynącymi z ewentualnego zdradzenia wiceministra a ryzykiem przyłączenia się do niego, zobaczyłem, że ona całe swoje życie oparła na tej nowej szansie, zrywając z dotychczasowym, pełna nadziei. I chociaż wiedziałem, że poddając się procesowi, zrezygnuję z wszelkich wcześniejszych marzeń o romantycznej miłości i małżeństwie, ta kobieta w jedną noc obudziła moją duszę - przepelniając ją smutkiem i radością z tej jednej wspólnie spędzonej chwili. Jednak nazajutrz zostałem przemieniony i wszelkie moje rojenia i miłość również się zmieniły, ukierunkowane i bardziej racjonalne, w służbie... ważniejszych celów, gdzie nie było dla niej miejsca... A jednak trzy dni później znów ją spotkałem, znowu w masce i w białych szatach do inicjacji. Poznałem ją po zapachu... i po włosach. Posłano mnie, żebym przyprowadził ją do amfiteatru, w którym miała przejść nieodwracalną przemianę. Znalazłem ją w towarzystwie drugiej kobiety i mężczyzny, o którym wiedziałem, że jest zdrajcą. Zamiast ją odprowadzić, odesłałem jej przyjaciółkę oraz tego mężczyznę, po czym powiedziałem, kim jestem, ponieważ wierzyłem, iż łączący nas związek może przetrwać, niewykryty przez nikogo... że możemy się dzielić informacjami o tobie, hrabinie, ministrze Crabbem, panu Xoncku, hrabim i lordzie Robercie - służąc zarówno tym, którym przysięgliśmy służyć, jak i swoim ambicjom. I tak zawarliśmy przymierze, którego podwaliną nie była już miłość... lecz racjonalny oportunizm. Razem służyliśmy wam, naszym panom, i cierpliwie patrzyliśmy, jak jeden po drugim nasi zwierzchnicy zostają zniewoleni lub zabici, powoli awansując i zbliżając się do najwyższego kręgu władzy, aż mogliśmy odziedziczyć wszystko, gdy wy zwróciacie się przeciwko sobie - tak jak robicie to teraz. Ponieważ nie kiejmy nami wasza chciwość, żądza czy aspiracje. Byliśmy milczącymi świadkami każdego

waszego planu, każdego sekretu, gdyż proces uczynił nas silniejszymi, niż wam się wydaje. To stało się naszym wspólnym marzeniem, choć sądziliśmy, że już nigdy nie będziemy marzyli. Później dowiedziałem się, że ten mężczyzna nie odszedł. Widział nas razem... wszystko słyszał... i zażądał zapłaty - na wiele sposobów. Jego żądania były nie do przyjęcia.

- Ty go zabiłeś? - szepnął Xonck. - Ty?

- Nie ja - odparł Roger. - Ona. Caroline.

\*

Oczy wszystkich obecnych zwróciły się na Caroline Steame.

- Łapać ją! - krzyknął Xonck i doktor Lorenz wyciągnął ręce nad panną Temple, próbując złapać Caroline w pasie. Uderzyła go łokciem w grdykę, odwróciła się i popchnęła oburącz. Doktor Lorenz znikł w otwartym luku i wiatr porwał jego cichnące wycie.

Przez moment nikt się nie poruszał, a potem Caroline złamała zakłęcie, podcinając nogi księciu i uderzając pięścią w twarz Lydii, torując sobie drogę do żelaznych schodów wiodących do sterówki. Chwilę później w kabinie rozległ się rozdzierający krzyk i po schodach potoczyło się ciało jednego z pilotów doktora Lorenza, brocząc krwią z rany klutej na plecach.

Gdy wokół wybuchło potworne zamieszanie, panna Temple odepchnęła się nogami od trupa i otwartego luku. Hrabina zerwała się z kanapy i pobiegła za Caroline, jedną ręką unosząc suknię, żeby przeskoczyć przez ciało pilota, a w drugiej ściskając kastet. Hrabia i Xonck podążali tuż za nią, lecz ten ostatni nie zrobił lawet dwóch kroków, gdy rzucili się na niego Svenson i Chang. Hrabia odwrócił się, popatrzył na nich, zawahał się, a potem otworzył szafkę nad głową, odsłaniając rząd błyszczących kordelasów. Gdy Chang walczył z Xonckiem o szablę, Svenson złapał przeciwnika za rude włosy i odciągnął do tyłu. Nie zważając na ryk wściekłości Xoncka, z całej siły uderzył jego głową o podłogę. Konck wypuścił szablę, a Svenson ponownie uderzył jego głową o deski, rozcinając mu czoło nad okiem. Hrabia złapał kordelas. Ta potężna broń wyglądała w jego ręku jak nieco dłuższy nóż kuchenny. Panna Temple krzyknęła: - Doktorze! Uwaga!

Svenson czmychnął, a Chang wreszcie złapał szablę, co na chwilę powstrzymało hrabiego. Panna Temple nie widziała twarzy hrabiego, ale wątpiła, by jego alchemiczne umiejętności obejmowały sztukę szermierczą, a na pewno nie z tak groźnym przeciwnikiem jak Chang, nawet jeśli ten słał się z wyczerpania.

\*

Jej krzyk wywarł jeszcze inny skutek, a mianowicie przypomniał) niej księciu i Lydii. Karl-Horst z obleśnym uśmiechem czaił się do skoku, lecz panna Temple bardziej przeraziła

się na widok Lydii która poszła w przeciwną stronę, do otwartego luku, gdzie wisiała związana i zakneblowana Elóise. Lydia z zaciętą miną zaczęła szarpać sznury, obserwując pannę Temple zza luku, przez który ze świstem wpadał wiatr.

Zbyt wiele działo się naraz. Chang okropnie kaszłał, lecz panna Temple nie widziała jego ani doktora zza szerokich pleców hrabiego, okrytych grubym futrem. Lydia rozwiązała jeden węzeł i zabrała się za następny. Książę szedł ku niej, zaciskając pięści, ale przystanął, by popatrzeć na pannę Temple. Ta uświadomiła sobie, że bez białej szaty jest prawie naga, lecz widok księcia, który w takiej chwili pożądliwie gapił się na kobietę, którą zamierzał zabić, tylko dodał jej odwagi. Wiedziała już, co musi zrobić.

Udała, że zamierza pobiec na schody, a potem rzuciła się w przeciwną stronę, przeskoczyła przez luk i wpadła na Lydię, zmuszając ją do zostawienia sznurów w spokoju. Panna Temple znów zrobiła unik, przeskoczyła przez nogi Elóise, o włos ominęła wyciągnięte ręce księcia i dopadła hrabiego. Zanurzyła obie ręce w jego futrze i znalazła kieszeń w chwili, gdy się odwrócił i machnięciem potężnej ręki rzucił ją na kanapę w kącie kabiny. Panna Temple wylądowała na plecach, w połowie drogi między hrabią a Changiem, lecz w rękach trzymała swoją zieloną torebkę wyrwaną z kieszeni hrabiego, do której ten wepchnął ją kilka godzin wcześniej w hotelu St. Royale. Wsunęła dłoń do środka i nie wyjmując rewolweru, strzeliła przez materiał. Kula rozbiła drzwi szafki obok głowy hrabiego. Ten odwrócił się z krzykiem, a panna Temple znów strzeliła, pakując kulę w grube futro. Wystrzeliła po raz trzeci. Hrabia zarzęził, jakby zadławił się przy obiedzie, stracił równowagę i uderzył głową o kant szafki. Wyprostował się i spojrzał na nią, z twarzą zalaną krwią ściekającą z czoła. Niemal niedbale odwrócił się do niej plecami i zrobił krok naprzód. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa i runął na twarz jak ścięte drzewo.

\*

Xonck sapał, usiłując odpełznąć. Chang opadł na klęczki i z całej siły uderzył go w szczękę ręką szablą, rozciągając go na podłodze. Przez drzwi panna Temple widziała księcia i Lydię obserwujących to ze zgrozą, lecz była to zgroza zmieszana z wyzwaniem, gdyż razem odwiązali Elóise i trzymali ją tuż przy otwartym luku, tak że najłżejsze pchnięcie mogło strącić ją w otchłań.

Panna Temple wyjęła z torebki rewolwer i wstała, poświęciwszy chwilę, by obciągnąć resztki halki na przezroczyście zielone majteczki, z ulgą stwierdzając, że nikt nie patrzył na jej wdzięki, które odsłoniła, padając na kanapę. Chang i Svenson minęli ją, zmierzając do drzwi. Chang trzymał szablę Xoncka, a Svenson uzbroił się w kordelas wyjęty z szafki. Panna Temple poszła z nimi, jeszcze raz poprawiwszy halkę. Książę i Lydia nie ruszyli się,

oniemiała i przerażeni losem hrabiego oraz Xoncka, a także przeraźliwym krzykiem dobiegającym ze sterówki.

Świsłt wpadającego przez otwarty luk powietrza nie pozwalał rozróżnić padających między Caroline a hrabiną słów, lecz te były przerywane wściekłymi wrzaskami hrabiny i głośnymi okrzykami przerażonej Caroline. Zamieszanie powiększały prośby i przekleństwa ostatniego członka załogi, sądząc po akcencie - Niemca.

- Nie bój się, Elóise! - krzyknęła panna Temple. - Zaraz się odbijemy.

Wciąż zakneblowana Elóise nie odpowiedziała, nie odrywając wzroku od ziejącej pod nią mroźnej otchłani. Lydia mocno trzymała ją za włosy, a księżę za nogi. Mając związane ręce i nogi, Elóise nie mogła zrobić nic, żeby uniknąć upadku.

- Zostawcie ją! - wrzasnął Chang. - Wasi panowie nie żyją! Zostaliście sami!

- Rzućcie broń albo ta kobieta zginie - zapiszczał księżę.

- Jeśli zabijecie tę kobietę - rzekł Chang - ja zabiję was. Zabiję was oboje. Jeśli ją puścicie, nie zrobię tego. Koniec negocjacji.

Księżę i Lydia wymienili nerwowe spojrzenia.

- Lydio - odezwał się doktor Svenson - jeszcze nie jest za późno! Możemy to odwrócić! Karl, posłuchaj mnie!

- Jeśli ją wypuścimy... - zaczął księżę, lecz Lydia też zaczęła mówić i zagłuszyła go.

- Nie traktujcie nas jak dzieci! Nie macie pojęcia, co wiemy i co jesteśmy warci! Nie wiecie - prawda? - że wykupiona przez mojego ojca w Macklenburgu ziemia została zapisana na mnie!

- Lydio... - próbował jej przerwać księżę, ale spoliczkowała go i mówiła dalej:

- Jestem następną księżną Macklenburga, czy go poślubię, czy nie, czy mój ojciec żyje, czy nie, nawet jeśli będę jedyną żywą osobą na pokładzie tego sterowca! Macie rzucić broń! Nic wam nie zrobiłam ani nikomu innemu!

Wodziła po nich oszalałym spojrzeniem, ciężko dysząc.

- Lydio... - Księżę w końcu zauważył niebieską smugę na jej wargach i z nagłym zdumieniem spojrział na Svensona.

- Bądź cicho! Nie rozmawiaj z nimi! Trzymaj ją za nogi! - Lydia znów zgięła się wpół z jękiem bólu i strumyk niebieskiej cieczy spłynął z jej ust na suknię. - Powinieneś sam z nimi walczyć! - narzekała. - Powinieneś zabić całą trójkę! Dlaczego wszyscy są tacy nieudolni!

\*

Pilot na górze wrzasnął i sterowiec ostro skręcił w lewo. Chang poleciał na ścianę, panna Temple na niego, a doktor Svenson upadł na kolana, wypuszczając z ręki kordelas.

Księżę poleciał w kierunku otwartego luku, ale utrzymał Elóise i uderzył nią jak taranem Lydię, tak że obie kobiety upadły na otwór. Lydia wrzasnęła, uderzywszy o krawędź udami. Zaczęła się zsuwać. Elóise do pasa znikła w otworze i tylko obejmujący ją za nogi księżę uniemożliwiał jej lot w otchłań, a trzymał ją coraz słabiej, nie mogąc zdecydować, czy ma ją puścić, aby uratować narzeczoną.

- Trzymaj ją! - krzyknął Svenson, rzucając się, by złapać rozpaczliwie machającą rękami Lydię.

Sterowiec równie gwałtownie przechylił się w drugą stronę. Próbując przyjść doktorowi z pomocą, panna Temple straciła równowagę. Chang ominął ich oboje, spiesząc do księcia. Ten cofnął się, przerażony, puszczać Elóise, lecz Chang złapał ją za nogi, chwycił palcami za sznury i oparł stopę o krawędź luku. Zawołał pannę Temple i wskazał sterówkę.

- Powstrzymaj ich, zanim nas zabiją!

Panna Temple otworzyła usta, by zaprotestować, ale zobaczyła, że księżę kuli się w kącie, Chang wyciąga Elóise z luku, a Svenson robi to samo z Lydią.

Mocniej ścisnęła rewolwer i pobiegła po schodach na górę.

\*

Drugi pilot leżał na najwyższym stopniu, a z jego ust płynęła krwawa piana. Pod ścianami sterówki ciągnęły się metalowe pulpity z mnóstwem dźwigni i gałek, a na jej drugim końcu, przed oknami - przez które panna Temple po raz pierwszy zobaczyła z dachu doktora Lorenza - znajdowało się koło sterowe z mosiądzu i polerowanej stali. Niektóre dźwignie były złamane, a inne ustawione w pozycjach powodujących przeraźliwy zgrzyt metalowej przekładni. Patrząc na kąt nachylenia podłogi, miało się pewność, że sterowiec spiralnym torem opada ku ziemi.

Nieco dalej leżała na plecach i z rozrzuconymi rękami Caroline Stearne, a tuż przy niej zakrwawiony sztylet. Obok Caroline, rozczochrana i z trzymającą kastet dłonią pokrytą krwią, przykucnęła hrabina di Lacquer-Sforza. Krew ściekała po pochyłej podłodze i zbierała się pod ścianą. Hrabina spojrzała na pannę Temple i prychnęła drwiąco:

- Caroline, spójrz, kto tu jest, twoja mała podopieczna. Zamachnęła się i z głuchym młaśnięciem wbiła kolec kastetu w gardło Caroline. Panna Temple pobladła, lecz nieruchome ciało pani Steame nie poruszyło się.

\*

- Gdzie są wszyscy? - spytała hrabina z krzywym uśmiechem. - Nie mów mi, że tylko ty zostałeś przy życiu. A raczej, skoro tu jesteś, to chyba powinnam powiedzieć, że tylko ja zostałam przy życiu. Jakie to typowe.

Wstała w ociekającej krwią sukni i wolną ręką wskazała maszynię.

- Nie żeby miało to jakieś znaczenie. Nic mnie nie obchodziło, kto zabił Trappinga. Gdyby ta romantyczna idiotka nie zabiła Lorenza i naszych pilotów... a także nie rozgniewała mnie, moglibyśmy omówić to przy herbacie. Wszystko na próżno! Na próżno! Ja tylko chciałam mieć ludzi, których mogłabym kontrolować! Teraz jednak... posłuchaj! - Wskazała zgrzytającą maszynię i skrzywiła się. - Wszyscy jesteśmy załatwieni! To czyni ze mnie taką... dzikuskę...

Zrobiła krok w kierunku panny Temple, a ta wycelowała w nią rewolwer - wciąż zaglądając do sterówki ze schodów. Hrabina zobaczyła rewolwer i zaśmiała się. Błyskawicznie złapała jakąś dźwignię i pociągnęła. Z dygotem, który wstrząsnął całym pojazdem i zrzucił pannę Temple ze schodów, sterowiec zaczął zataczać kręgi w przeciwną stronę. Na szczęście spadła na zabitego pilota, którego ciało zamortyzowało upadek. Nagle z jednego ze śmigieł wydobył się donośny trzask pękającego metalu. Zgrzyt dochodzący od sterówki przybrał na sile. Potrząsając głową, panna Temple usłyszała kroki schodzącej po żelaznych schodach hrabiny.

Na czworakach odczołgała się od trupa - poruszała się zbyt wolno, upuściła rewolwer - i spojrzała przez opadające na oczy włosy. Luk był zamknięty, lecz gwałtowny manewr zwałił wszystkich z nóg. Chang siedział na podłodze z Elóise, przecinając jej więzy. Svenson klęczał, twarzą do Lydii i księcia, kulących się w kącie tuż przed nim. Panna Temple mszyła ku nim, czując, że jest powolna jak żółw.

- Kardynale! - jęknęła. - Doktorze!

Nie zwracając na nią uwagi, hrabina wrzasnęła ze schodów:

\*

- Rogerze Bascombe! Obudź się!

Chang i Svenson odwrócili się w momencie, gdy Roger ocknął się, natychmiast odzyskując przytomność. Zerwał się na równe nogi, zobaczył leżących na podłodze Xoncka i hrabiego, i rzucił się do otwartej szafki z bronią. Chang podniósł szablę i próbował wstać. Panna Temple z niepokojem zobaczyła krew na jego ustach. Doktor Svenson znalazł swój kordelas i podniósł się, przytrzymując się mosiężnej poręczy.

- To już koniec, madame! - powiedział do hrabiny. - Statek spada!

Panna Temple obejrzała się, zadowolona, że żyje, ale nie mając pojęcia dlaczego. Hrabina przystanęła na małym podeście w połowie schodów, gdzie w niewielkiej niszy - będącej przykładem zręcznego wykorzystania przestrzeni tak potrzebnej na pokładzie każdego statku - jej słudzy przymocowali ogromny podróżny kufer.

Panna Temple podniosła się na klęczki. Zobaczyła leżący kilka kroków dalej rewolwer i rzuciła się tam, wołając do doktora:

- Ona ma księgi! Ona ma księgi!

\*

Hrabina włożyła obie ręce do skrzyni i wyjęła je, trzymając w każdej księgę - gołymi rękami! Panna Temple nie wiedziała, jak jej się to udało, jak zdołała uniknąć wchłonięcia? Na jej twarzy malowała się ekstaza.

- Rogerze! - zawołała hrabina. - Żyjesz?

- Tak, madame - odparł, umknąwszy przed Changiem za nieruszającego się Francisa Xoncka.

- Hrabino - zaczął Svenson. - Rosamonde...

- Jeśli rzucę tę księgę - odrzekła hrabina - z pewnością roztrzaska się na podłodze i niektórzy z was, szczególnie ci skąpo odziani i siedzący, zostaną zabici. Mam ich tu wiele. Mogę rzucić jedną po drugiej, a ponieważ alternatywą jest koniec wszystkich ksiąg, jestem gotowa poświęcić ich tyle, ile będzie trzeba. Panno Temple, nie dotykaj broni!

Panna Temple znieruchomiała z ręką tuż nad rewolwerem.

- Wy wszyscy! - krzyknęła hrabina. - Rzućcie broń! Doktorze! Kardynale! Zróbcie to natychmiast albo... rzucę prosto w nią!

Ze złośliwym uśmiechem przeszła wzrokiem pannę Temple. Svenson upuścił kordelas, który z brzękiem upadł na podłogę.

Przechył sterowca sprawił, że broń przeleciała po podłodze do księcia, który szybko ją złapał. Chang nawet nie drgnął.

- Kardynale?

Chang otarł wargi i splunął. Z ubrudzoną krwią twarzą wyglądał jak czerwonoskóry lub pirat z Borneo. Jego znudzony głos brzmiał, jakby dochodził z zaświatów.

- I tak jesteśmy skończeni, Rosamonde. Ja i tak umrę przed wieczorem, obojętne, co się stanie, ale wszyscy jesteśmy zgubieni. Spójrz za okna... spadamy. Morze pochłonie ciebie i mnie.

Hrabina zważyła księgę w dłoni.

- Nie obchodzi cię, że panna Temple umrze bolesną śmiercią?

- Ta i tak będzie szybsza niż utonięcie - odparł Chang.

- Nie wierzę ci. Rzuć broń, Kardynale!

- Jeśli odpowiesz na moje pytanie.

- Nie bądź śmieszny...

Chang inaczej ujął szablę i podniósł ją, celując nią jak oszczepem.

- Sądzisz, że zdołasz mnie zabić, zanim przebiję ci nią serce? Chcesz zaryzykować?

Hrabina zmrużyła oczy i rozważyła możliwości.

- Jakie to pytanie? Szybko!

- Prawdę mówiąc, to dwa pytania - uśmiechnął się Kardynał Chang. - Pierwsze: co robił pan Gray, kiedy go zabiłem? A drugie: dlaczego wprowadziłaś księcia z jego kwatery?

- Kardynale Chang, dlaczego? - spytała z nieudawanym znużeniem hrabina. - Dlaczego chce pan to wiedzieć akurat teraz?

Chang uśmiechnął się, pokazując zakrwawione zęby.

- Ponieważ tak czy inaczej jutro nie będę mógł cię o to zapytać.

\*

Hrabina roześmiała się i zaczęła schodzić ze schodów. Ruchem głowy posłała Svensona oraz pannę Temple do Changa. Spochmumiała, gdy panna Temple zuchwale podniosła rewolwer z podłogi.

- Dołączcie do waszego towarzysza - syknęła, a potem z pogardą spojrzała na Elóise. - A pani, pani Dujong... Zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem nie zarabia pani na życie, żebrząc o pomoc... Szybciej! - Odwróciła się do księcia i powiedziała słodko: - Wasza wysokość zechce wspiąć się do sterówki i zobaczyć, czy uda się panu spowolnić nasze opadanie... Sądzę, że przy większości pokręteł są użyteczne napisy... Lydio, nie ruszaj się.

Karl-Horst wbiegł po schodach na górę, mijając po drodze hrabinę, która przeszła nad ciałem zabitego pilota i zatrzymała się przed czekającą w drzwiach czwórką. Doktor przyciągnął do siebie Elóise i wziął ją za rękę, a panna Temple stała - czując się dość samotna - między doktorem a Changiem. Zerknęła przez ramię na Rogera widocznego w drzwiach na drugim końcu kabiny, bladego i zdeterminowanego - kolejny wyraz twarzy, jakiego wcześniej u niego nie widziała.

- Co za niewiarygodna banda buntowników - wycodziła hrabina. - Jako osoba rozsądna muszę przyznać, że odnieśliście sukces - aczkolwiek chwilowy - tak jak szczerze wolałabym, żeby ta rozmowa odbyła się w innych okolicznościach. Jednak Kardynał ma rację. Najprawdopodobniej zginie my, wy wszyscy na pewno, tak samo jak moi współnicy. Bardzo dobrze. Pan Gray... no cóż, teraz to już nie tajemnica, nawet dla hrabiego, gdyby nadal żył. Zmieniono skład mieszaniny niebieskiej glinki, aby zmniejszyć giętkość ciał jego nowych stworów. Rozumiecie, jako zabezpieczenie na wypadek, gdyby stały się zbyt potężne - miały być bardziej kruche. Przypadkiem stały się aż nazbyt kruche... no cóż... wygląda na to, że trochę się pospieszyłam. - Znów się roześmiała. Nawet w tych okolicznościach był to

uroczy śmiech. Potem westchnęła i ciągnęła szeptem: - Co do księcia, no cóż... nie chciałam, żeby to usłyszał. Nie tylko skorzystałam z okazji, żeby wprowadzić mu hasło kontrolne, ale ponadto podałam mu truciznę, na którą tylko ja mam odtrutkę. Zwyczajne zabezpieczenie. W sekrecie zrobiłam wyznawczynię z matki jego młodego kuzyna, który odziedziczy tron, jeśli książę umrze bezpotomnie. Kiedy Karl-Horst umrze, dziecko Lydii - a także plany, jakie hrabia wiązał z ich potomkiem - zostanie ofiarą walki o dziedzictwo, którą będę kontrolowała. A może książę będzie żył, nieświadomie spożywając antidotum? Wszystko jest jeszcze w fazie projektu.

- I wszystko to kwestia czysto akademicka - mruknął Svenson.

Na górze książę znalazł właściwą dźwignię, gdyż jedno śmigło przestało się obracać, a po chwili znieruchomiało i drugie. Panna Temple spojrzała w okna, lecz te ciągle były zasłonięte. Czy wciąż tracą wysokość? Kabina wyprostowała się i przestała się kołysać. Słychać było tylko cichy świst wiatru. Dryfowali.

- Zobaczymy - powiedziała hrabina. - Rogerze?

\*

Panna Temple odwróciła się, słysząc za plecami jakiś szmer. Lecz to nie był Roger Bascombe. Francis Xonck jakoś stanął na nogi, opierając się zranioną ręką o kanapę, a drugą trzymając szczękę. Ściągnięte w grymasie bólu wargi odsłaniały dwa złamane zęby. Zmierzył pannę Temple zimnym wzrokiem i wyciągnął zdrową rękę do Rogera, który natychmiast podał mu kordelas.

- Och, witaj, Francisie! - zawołała hrabina.

- Porozmawiamy później - rzekł Xonck. - Wstawaj, Oskarze. Jeszcze nie skończyliśmy.

Panna Temple wytrzeszczyła oczy, gdy ogromny mężczyzna zaczął się poruszać niczym niedźwiedź budzący się z zimowego snu. Klęknął, przy czym rozchylone futro przez moment odsłoniło zakrwawiony gors koszuli, jednak panna Temple zauważyła, że krew sączy się z powierzchownej rany na żebrach - tak więc powaliło go uderzenie o kant szafki, a nie kula. Hrabia podniósł się, usiadł i spojrzał na nią z nieskrywaną nienawiścią. Znów znaleźli się w pułapce między szklanymi księgami a kordelasem Xoncka. Panna Temple miała tego dość. Odwróciła się do hrabiny i tupnęła nogą, podnosząc rewolwer. Hrabina westchnęła z zadowolenia, widząc, że rzucono jej wyzwanie.

- O co chodzi, Celeste?

- To już koniec - odparła panna Temple. - Rzucisz tą księgą, jeśli będziesz mogła. Jednak ja postaram się wpakować kulę w tamtą, którą trzymasz w drugiej ręce. Księga

rozpadnie się i stracisz tę rękę - a kto wie, może twarz lub nogę - i może okaże się, że to ty jesteś najbardziej krucha ze wszystkich.

Hrabina roześmiała się, lecz panna Temple wiedziała, że tamta śmieje się dlatego, iż doskonale wie, że to, co powiedziała panna Temple, jest prawdą. Hrabina po prostu uwielbiała takie sytuacje.

- Opisałaś interesujący plan, Rosamonde - pochwalił Xonck. - Ten z księciem i panem Grayem.

- Prawda? - odparła wesoło. - I byłbyś taki zdumiony, będąc świadkiem jego realizacji w Macklenburgu! Jaka szkoda, że nie udało mi się zobaczyć końca twoich sekretnych planów związanych z Trappingiem i magazynami uzbrojenia twojego brata - lub twoich, Oskarze, tych tajnych instrukcji, jakie przekazywałeś swoim szklanym kobietom, triumfalnych narodzin twojego stwora, którego umieściłeś w łonie Lydii! Kto wie, co to za potwór? Jakże powinnam być zaskoczona i wymanewrowana!

Hrabina znów się roześmiała i z dziewczęcym wdziękiem pokręciła głową.

- Zniszczyłaś Elspeth i Angelikę - warknął hrabia.

- Och, nic podobnego! Nie unosi się, to nie uchodzi. Ponadto kim one były? Stworzenia kierujące się żądzą - tysiące innych czeka na ich miejsce! Kilka z nich stoi przed tobą! Celeste Temple i Elóise Dujong lub Lydia Vandaariff - następna trójca naszego wielkiego i wcale nie świętego sakramentu!

Przy ostatnich słowach prychnęła trochę zbyt demonstracyjnie, zorientowała się i uśmiechnęła krzywo. Pewna swoboda to jedno, lecz czujne oko panny Temple zauważyło, że hrabina staje się zdecydowanie lekkomyślna.

- Karl-Horst van Maasmarck! - łyknęła. - Zejdź tu i przynieś mi dwie następne księgi! Powiedziano mi, że to koniec, więc muszę z tym skończyć!

- Nie ma potrzeby - rzekł Xonck. - Mamy ich w garści.

- Masz rację - zaśmiała się hrabina. - Gdybym rzuciła księgę, odłamki szkła mogłyby przelecieć nad nimi i trafić was! To byłaby tragedia!

Księżę zbiegł po schodach i pojawił się w polu widzenia, pod jedną pachą niosąc dwie księgi, a pod drugą butelkę z pomarańczowym płynem, taką samą jak ta, którą Elóise zabrała z magazynu hrabiego w wieży. Xonck spojrzał na hrabiego, który mruknął bardzo cicho, ale panna Temple i tak go usłyszała:

- Ona nie ma rękawic...

- Rosamonde... - zaczął Xonck - nieważne, co zaszło, nasze plany pozostają bez zmian...

- Mogę kazać mu zrobić, co tylko zechcę, wiecie? - śmiała się hrabina. Odwróciła się do księcia i krzyknęła: - Może ładny walczyk, co?!

Tak jak wtedy, gdy wydawała mu rozkazy w sekretnej komnacie, księżę z miną świadczącą o tym, że absolutnie nie zdaje sobie sprawy z tego, co robi, zaczął tańczyć na śliskiej metalowej podłodze podestu, z trudem przytrzymując swój kruchy ładunek. Hrabia i Xonck odruchowo mszyli w jego kierunku.

- Księgi, Rosamonde, on je upuści! - krzyknął Xonck.

- Może powinnam zacząć nimi rzucać i niech Celeste spróbuje mnie trafić...

- Rosamonde! - ponownie krzyknął pobladły Xonck.

- Boisz się? - spytała ze śmiechem.

Skinęła na księcia, żeby przestał, a on zrobił to, zdyszany i zmieszany, a potem uniosła rękę, jakby miała znów kazać mu tańczyć.

- Rosamonde! - zawołał do niej hrabia. - Nie jesteś sobą, szkło działa przez skórę i zmienia twój umysł! Odłóż te księgi, ich zawartość jest bezcenna! Wciąż jesteśmy współnikami. Francis trzyma ich w szachu...

- Tylko że Francis mi nie ufa - odparła. - Ani ja Francisowi. Tobie też nie, Oskarze. Dlaczego nic umarłeś, choć zostałeś zastrzelony? To jakaś twoja nowa alchemiczna sztuczka? A już oswoiłam się z myślą, że...

- Hrabino, musisz przestać, bo przerażasz nas wszystkich!

\*

Te słowa wypowiedziała Lydia Vandaariff, która podeszła na kilka kroków do hrabiny i wyciągnęła jedną rękę, drugą wciąż przyciskając do brzucha. Chwiała się, a brodę miała zalaną strużkami niebieskiej śliny, lecz choć ledwie utrzymywała równowagę, jak zawsze mówiła urażonym i rozkazującym tonem.

- Wszystko psujesz! Chcę być księżniczką Macklenburga, tak jak mi obiecaliście!

- Lydio - wycedził hrabia - musisz odpocząć, uważać na... Dziewczyna zignorowała go, podnosząc irytująco piskliwy i opryskliwy głos, zwracając się do hrabiny:

- Nie chcę być jedną ze szklanych kobiet! Nie chcę nosić dziecka hrabiego! Chcę być księżniczką! Masz odłożyć te księgi i powiedzieć nam, co mamy robić!

Jęknęła, gdy wstrząsnął nią kolejny skurcz.

- Panno Vandaariff - szepnął Svenson - proszę odejść od... Następną porcją niebieskiej cieczy, znacznie gęściejszej niż poprzednio, podeszła jej do gardła. Lydia zakrztusiła się i przełknęła ślinę, jęknęła i znów z płaczem i wściekłością napadła na hrabinę.

- Możemy zabić tamtych, kiedy zechcemy, ale te książki są bezcenne! Oddaj mi je! Obiecałaś mi wszystko - - spełnienie moich marzeń! Nalegam, żebyś natychmiast mi je oddała!

Hrabina spoglądała na nią z furią, lecz panna Temple miała wrażenie, że Rosamonde istotnie próbowała rozważyć prośbę Lydii - nawet jeśli słyszała jej słowa jak z oddali i tylko częściowo - gdy zniecierpliwiona Lydia warknęła i popełniła straszliwy błąd, usiłując wyrwać jej jedną z ksiąg. Z taką samą szybkością, z jaką pokonała Crabbego, hrabina, zapomniawszy o współczuciu, odsunęła jedną księgę z zasięgu rąk Lydii, a drugą błyskawicznie i z trzaskiem wbiła w szyję panny Vandaariff.

Hrabina puściła księgę i Lydia runęła na wznak. Tkanki jej szyi już zmieniały się w błękit, krew w jej ustach i w płucach stwardniała na kamień, z trzaskiem przypominającym chrzęst żwiru pod nogą. Dziewczyna była martwa, zanim uderzyła o podłogę. Jej stwardniałe gardło pękło i oddzieliło jej głowę od karku tak równo jak katowski topór.

\*

Stojący na schodach książkę wydał ryk oburzenia na widok martwej Lydii, rozdziawiwszy usta i nie mogąc znaleźć słów. Albo poniósł go smutek z powodu jej śmierci, albo oburzenie wywołane atakiem na kogoś z jego kasty, gdyż po raz pierwszy panna Temple ujrzała na jego twarzy wyraz żalu, uczucia innego niż żądza. Jednak to, co panna Temple mogła uznać za dodatnią cechę charakteru, w oczach hrabiny czyniło go zagrożeniem i zanim zdążył zrobić następny krok, rzuciła drugą książkę prosto w jego nogi na wysokości kolan. Szkło obsypało mu buty i książkę z rozpaczliwym krzykiem runął na plecy, kopiąc nogami i zonglując księgami. Z łoskotem wylądował na schodach, a jego buty pozostały tam, gdzie je zostawił. Jego górna połowa ciała ześlizgnęła się i nieruchomo spoczęła obok rannego pilota.

\*

Hrabina stała sama, poruszając palcami. Radosny błysk w jej oku zgasł, gdy rozejrzała się i zobaczyła, co zrobiła. - Rosamonde... - szepnął Xonck.

- Siedź cicho - syknęła, przyciskając grzbiet dłoni do ust. - Błagam cię...

- Zniszczyłaś moje *Objawienie*.

Chrapliwy głos hrabiego zmienił się w niegodne skomlenie, gdy on sam wstał chwiejnie i sięgnął do szafki po kordelas.

- Oskarże, przestań! - krzyknął Xonck z bladą i ściągniętą twarzą. - Zaczekaj!

- Zniszczyłaś dzieło mojego życia! - Hrabia złapał kordelas i rzucił się w kierunku panny Temple.

- Oskarże! - krzyknęła hrabina. - Oskarże, czekaj... Elóise złapała pannę Temple za ramiona i szarpnięciem usunęła z drogi hrabiego, który przemknął obok ze wzrokiem wbitym w hrabinę, która szybko sięgnęła po swój kastet. Panna Temple miała rewolwer, lecz nie wyglądało na to, żeby zamierzała z niego strzelić - w końcu była to kłótnia jej wrogów, więc pozostawało jej raczej patrzeć, jak się zabijają, niż brać udział w walce.

Kardynał Chang nie miał takich oporów. Gdy hrabia d'Orkancz przebiegał obok, Chang złapał go za potężne ramię i z całej siły obrócił w swoją stronę. Hrabia obrzucił go oszalałym spojrzeniem i niezgrabnie, niemal niedbale zamierzył się kordelasem.

- Jak śmiesz! - krzyknął do Changa.

- Angelika - prychnął w odpowiedzi Chang.

Wbił szablę w brzuch i pod żebra hrabiego, kierując ostrze ku żywotnym organom. Hrabia jęknął i zeszywniał, a w następnej chwili Chang pchnął mocniej, wbijając klingę do połowy. Pod hrabią ugięły się nogi i upadł, wrywając broń z ręki Changa. Ciemnoczerwona krew wsiąkała w futro.

\*

Zaniósłszy się ochrypłym kaszlem, Chang opadł na kolana, a potem osunął się na futrynę drzwi. Panna Temple krzyknęła i doskoczyła do niego, a gdy to robiła, doktor zręcznie wyluskał rewolwer z jej dłoni. Oderwała wzrok od ściągniętej twarzy Changa i zobaczyła, jak Svenson celuje we Francisa Xoncka, zaskoczonego śmiercią hrabiego. Xonck spojrzał w nieubłagane oczy doktora, rozpaczliwie mieląc słowa rozbitymi wargami.

- Doktorze... zbyt wiele niedokończonych spraw... twój naród...

Svenson nacisnął spust. Xonck odleciał do tyłu, jakby kopnął go koń. Doktor stanął oko w oko z Rogerem Bascombe'em.

Wycelował, ale zaraz rozmyślił się i wymierzył do Rosamonde stojącej na drugim końcu kabiny. Strzelił, lecz Roger zdążył doskoczyć i szarpnąć go za ramię. Kula nie trafiła i hrabina z krzykiem pobiegła na schody.

Svenson szarpał się z Rogerem, lecz ten - młodszy i silniejszy - zdołał wyrwać mu rewolwer, gdy doktor potknął się o nogę leżącego Xoncka. Krzywiąc usta w paskudnym grymasie, wycelował w Svensona.

- Roger, nie! - krzyknęła panna Temple. Spojrzał na nią z twarzą zmienioną nienawiścią i furją.

- To już koniec, Rogerze. Nie udało się wam. Wiedziała, że w bębenku został jeszcze jeden nabój, a Roger jest za blisko, by chybić.

- Na pewno nie - warknął Roger Bascombe.

- Roger, twoi panowie nie żyją. Gdzie jest hrabina? Opuściła cię. Sterowiec dryfuje. Księżę i diuk Staelmaere nie żyją.

- A diuk?

- Zabije go pułkownik Aspiche. Roger wytrzeszczył oczy.

- Dlaczego pułkownik miałby zrobić coś takiego?

- Ponieważ mu kazałam. Widzisz, odkryłam kontrolne hasło pułkownika.

- Jego co?

- Tak samo jak odkryłam twoje, Rogerze.

- Ja nie mam żadnego hasła...

- Och, Rogerze... ty naprawdę nic nie wiesz, prawda? Roger zmrużył oczy i wycelował rewolwer w doktora Svensona.

Panna Temple powiedziała szybko i wyraźnie, patrząc mu prosto w oczy.

- Błękitny apostoł błękitne ministerstwo konsumpcja lodu. Twarz Rogera straciła wszelki wyraz.

- Siadaj - rozkazała mu panna Temple. - Później porozmawiamy.

\*

- Gdzie jest hrabina? - spytała Elóise.

- Nie wiem - odparła panna Temple. - Co z Changiem? Doktor Svenson przysunął się do Kardynała.

- Elóise, pomóż mi go przenieść. Celeste... - Wskazał żelazne schody i księcia. - Ta butelka z pomarańczowym płynem. Jeśli się nie rozbiła, przynieś mi ją, szybko!

Pobiegła po nią, ostrożnie omijając szkło - zadowolona, że ma buty na nogach - starając się nie patrzeć na zdeformowane ciała.

- Co w niej jest? - zapytała.

- Nie wiem, ale to jedyna szansa Kardynała. Wierzę, że to uratowało Angelikę. Na materacu w oranżerii były pomarańczowe plamy...

- Przecież wszyscy, których napotykałyśmy po drodze, bali się tej cieczy - przypomniała sobie Elóise. - Uciekali, kiedy udawałam, że chcę stłuc butelkę!

- Jestem pewien, że tak. To musi być silna trucizna, a jednak... ogień zwalcza się ogniem, czy też w tym wypadku lodem.

Panna Temple znalazła butelkę w zagięciu łokcia księcia. Wyjęła ją, zerknąwszy tylko na jego okropnie zniekształconą twarz, na otwarte usta z poślizniętymi zębami i zakrwawionymi dziąsłami, na wargi i język zabarwione na niebiesko, a potem spojrzała na schody. Skrzynia z księgami była na swoim miejscu, a ze sterówki nie dobiegał żaden dźwięk poza świstem

wiatru. Biegiem wróciła do Changa. Elóise klęczała przy nim, podtrzymując mu głowę i ocierając krew z twarzy. Svenson zmoczył chustkę pomarańczowym płynem, a potem westchnął z determinacją i zakrył nią nos i usta Changa. Ten nie zareagował.

- Działa? - zapytała panna Temple.

- Nie wiem - odparł doktor. - Wiem, że bez tego umrze.

- Nie wygląda, żeby działało - zauważyła panna Temple.

- Gdzie jest hrabina? - zainteresowała się Elóise.

Panna Temple spojrzała na Kardynała Changa. Chustka doktora nieco przesunęła okulary i odsłoniła blizny, pasujące do krwi ściekającej mu po twarzy i szyi. Jednak pod tą kroniką przemocy - choć panna Temple nie wątpiła, że będącą integralną częścią jego duszy - widziała także łagodność, ślad tego, jakie kiedyś były jego oczy, zarys pilnie strzeżonych miejsc, w których Chang skrywał współczucie i spokój ducha. Oczywiście, jeśli w ogóle je skrywał. Panna Temple nie była ekspertem od spokoju ducha. Co oznaczałoby dla niej śmierć Changa? Jakie znaczenie miałyby dla niego jej śmierć, gdyby znalazła się na jego miejscu? Pomyślała, znikłby w jakiejś palami opium. Co ona by zrobiła, nie mogąc skorzystać nawet z takiej drogi ucieczki? Spojrzała na pomagającą doktorowi Elóise, po czym wróciła do Rogera. Wyjęła mu z ręki rewolwer i mszyła ku żelaznym schodom.

- Celeste? - rzekł pytająco Svenson.

- Francis Xonck ma w kieszeni płaszcz z twoją srebrną papierośnicę. Nie zapomnij jej zabrać.

- Co robisz? - spytała Elóise.

- Idę po hrabinę - rzuciła panna Temple.

\*

W sterówce było cicho, gdy panna Temple wyszła obok martwego pilota na zakrwawiony pokład i spojrzała na martwe ciało Caroline. Ta leżała z niepokojem w szeroko otwartych oczach i piękną białą szyją rozciętą, jakby rozerwał ją wilk. Hrabiny nigdzie nie było widać, lecz metalowy luk w suficie był odsunięty. Zanim zaczęła się wspinać, panna Temple podeszła do okien. Chmury i mgły w końcu się rozeszły. Jakimkolwiek kursem leciał uprzednio sterowiec, teraz mocno z niego zбочzył. Widziała tylko szare i zimne wody w dole - i nie tak daleko, gdyż byli na wysokości nie większej niż dach Harschmort, z którego rozpoczęli podróż - oraz białe grzebienie na grzbietach ciemnych fal. Czyżby mieli jednak utonąć w lodowatym morzu? Po tym wszystkim? Chang być może już nie żyje. Opuściła kabinę częściowo dlatego, żeby nie patrzeć, nawet w takiej chwili woląc uniknąć tego, co

będzie dla niej bolesne. Westchnęła. Jak uparta małpka panna Temple wdrapała się na pełen dźwigni pulpit, złapała brzegi luku i wyjrzała na zewnątrz.

Hrabina stała na dachu kabiny, trzymając się metalowej rozpory pod balonem. Wiatr szarpał jej suknię i włosy, które rozsypały się i niczym czarny proporczyk pirackiego statku powiewały za jej głową. Panna Temple popatrzyła na chmury, wystawiwszy z luku głowę i ramiona, opierając się łokciami o lodowato zimny metalowy dach. Zastanawiała się, czy zdoła z tej pozycji zastrzelić hrabinę. A może powinna po prostu złapać klapę luku i zamknąć go, zostawiając tę kobietę na zewnątrz? Jednak koniec zbliżał się szybko i panna Temple odkryła, że nie może zrobić niczego takiego. Była bezradna, być może jak zawsze.

- Hrabino! - przekrzyczała świst wiatru, a potem, zdziwiona tym, jak intymnie to zabrzmiało: - Rosamonde!

Hrabina odwróciła się i na widok panny Temple uśmiechnęła się wdzięcznie i ze znużeniem, co zaskoczyło pannę Temple.

- Wracaj do środka, Celeste.

Panna Temple nie drgnęła. Mocno ścisnęła broń. Hrabina zobaczyła rewolwer. Czekała.

- Jesteś złą kobietą! - krzyknęła panna Temple. - Robiłaś złe rzeczy!

\*

Hrabina tylko skinęła głową i włosy na moment zasłoniły jej twarz, zanim energicznie potrząsnęła głową i znów zaczęły powiewać na wietrze. Panna Temple nie wiedziała, co robić. Przede wszystkim uświadomiła sobie, że ta niemożność powiedzenia i zrobienia czegokolwiek jest dokładnie taką samą reakcją, jaką wywoływała u niej obecność jej ojca, a także, że tej kobiecie - tej naprawdę strasznej kobiecie - zawdzięcza nowe życie. Hrabina w jakiś sposób rozumiała to, a przynajmniej wyczuwała, że ostatecznie tylko ona jedna zdołała ujrzeć w oczach panny Temple pożądanie, cierpienie, determinację i zobaczyć - - dostrzec - - jaka naprawdę jest. Zbyt wiele było do powiedzenia. Chciała usłyszeć wytłumaczenie jej brutalnych czynów, którego nie otrzyma, pragnęła dowieść swej niezależności, lecz rozumiała, że ta nie interesuje hrabiny, pragnęła też zemsty, ale wiedziała, że ta kobieta nigdy nie przyzna się do porażki. Nie mogła również strzelić jej w plecy, żeby dowieść swej wartości zwycięstwem nad przeciwniczką, która zawsze z łatwością ją pokonywała, tak jak nie mogła wzbudzić cieplejszych uczuć w ojcu, paląc jego pola.

- Pan Xonck i hrabia nie żyją! - zawołała. - Posłałam pułkownika Aspiche'a, żeby zabił diuka. Twój plan legł w gruzach.

- Widzę. Dobrze się spisałaś.

- Robiłaś ze mną różne rzeczy, zmieniałaś mnie...

- Czemu żałować sobie przyjemności? - zaśmiała się hrabina. - Tak mało jej mamy w życiu. Czy nie było wspaniale? Ja świetnie się bawiłam.

- Ale ja nie!

Hrabina wyciągnęła rękę z kastetem i zrobiła metrowe rozcięcie w powłoce balonu. Natychmiast zaczął przez nie uciekać niebieskawy gaz.

- Wracaj do środka, Celeste.

Znów podniosła rękę i zrobiła otwór w innym miejscu. Ulatujące z niego powietrze było niebieskie jak letnie niebo. Hrabina trzymała się rozpory w tej lazuruwej chmurze i z rozwianymi włosami oraz w zakrwawionej sukni wyglądała jak anioł śmierci.

- Nie jestem jedną z twoich wyznawczyń! - krzyknęła panna Temple. - Poznałam siebie! Przejrzałam cię!

Hrabina wycięła trzeci otwór w szybko wiotczącej powłoce balonu i pióropusz dymu trysnął w kierunku panny Temple. Zakrztusiła się i potrzęsła głową. Mrużąc piekące oczy, namacała pokrywę luku. Zerknąwszy po raz ostatni na lodowatą twarz hrabiny di Lacquer-Sforzy, panna Temple zamknęła klapę i z krzykiem zeskoczyła na śliską podłogę sterówki.

\*

- Utoniemy w morzu! - krzyknęła i z niemal nieświadomą gracją omijając i przeskakując leżące na jej drodze ciała, zbiegła do swoich towarzyszy, ani razu nie poślizgnąwszy się w kałuży krwi i nie skaleczywszy się porzrzuconym wszędzie szkłem. Z radością zobaczyła, że Chang zanosi się kaszlem, ale podniósł się na czworaki. Ślina ciekąca mu z ust nie była już czerwona, lecz niebieska.

- Zaczyna działać... - orzekł Svenson.

Panna Temple nie mogła wykrztusić słowa, gdyż perspektywa ocalenia Changa uzmysłowiła jej głębię jej żalu, jaki czułaby, gdyby umarł. Zobaczyła, że doktor przygląda się jej z miną odzwierciedlającą jej radość z lekkim zdziwieniem.

- Hrabina? - zapytał.

- Przedziurawiła balon. Lada chwila uderzymy w wodę!

- Pomożemy Changowi. Elóise, gdybyś mogła wziąć tę butelkę, a ty zajmij się nim.

Svenson spojrzał przez ramię na Rogera Bascombe'a spokojnie siedzącego na kanapie.

- Co mam z nim zrobić? - spytała panna Temple.

- Co chcesz - odparł doktor. - Obudź go albo wpakuj mu kulę w łeb. Nikt nie zaprotestuje. Albo po prostu tak go zostaw, ale sugeruję, że powinnaś dokonać jakiegoś

wyboru. Nauczyłem się, że lepiej żałować swoich czynów niż ich braku. - Ponownie otworzył luk w podłodze i - zaniepokojony - wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby. Panna Temple poczuła zapach morza. Svenson zatrzasnął klapę. - Nie ma czasu, musimy natychmiast wyjść na dach! Elóise!

Razem wzięli Changa pod ręce i pomogli mu wdrapać się po schodach. Panna Temple odwróciła się do Rogera. Sterowiec zadrżał, gdy kabina uderzyła o grzbiet fali.

- Celeste, zostaw go! - krzyknęła Elóise. - Uciekaj! Sterowiec znów zadygotał, osiadając na wodzie.

\*

- Obudź się, Rogerze! - zawołała ochrypłym głosem panna Temple.

Zamrugał i oprzytomniał, rozglądając się, wodząc pustym wzrokiem po kabinie.

- Toniemy w morzu - oznajmiła mu.

- Celeste! - Krzyk Svensona odbił się echem na schodach. Spojrzenie Rogera przywarło do rewolweru w jej dłoni. Stała, zagradzając mu jedyną drogę ucieczki. Oblizwał wargi. Sterowiec kołysał się na falach..

- Celeste... - szepnął Roger.

- Tyle się wydarzyło, Rogerze - zaczęła panna Temple. - Odkryłam... nie potrafię powstrzymać... - Pociągnęła nosem i spojrzała mu w oczy, wystraszone, czujne, proszące. Poczuła pod powiekami piekące łzy. - Hrabina przed chwilą radziła mi niczego nie żałować...

- Proszę, Celeste... woda...

- Jednak ja nie jestem taka jak ona. Nawet nie jestem już sobą, chyba się zmieniłam... gdyż wygląda na to, że żałuję wszystkiego... tego, co odmieniło moje serce, tego, że już nie jestem dzieckiem... - Bezradnie wskazała leżące wokół trupy. - Tych wszystkich zabitych... Lydii... nawet biednej Caroline...

- Caroline? - zapytał Roger nieco za szybko, natychmiast pojmując, że być może nie jest to odpowiedni temat, zważywszy na okoliczności i rewolwer w jej dłoni. Panna Temple ujrzała na jego twarzy wahanie, wciąż próbując pogodzić się z faktem, że Roger odrzucił ją dwukrotnie: raz jako przeszkodę stojącą na drodze jego ambicjom, a drugi, wybierając na towarzyszkę - i kochankę! - Caroline Steame. Nie zamierzała o tym rozmawiać. Ona również popatrzyła na niego z wahaniem w oczach.

- Ona nie żyje, Rogerze. Jest martwa tak jak ty i ja. Panna Temple patrzyła, jak Roger Bascombe przyjmuje tę wiadomość, i rozumiała, że swych następnych słów nie wypowiedział z okrucieństwa czy żądzy zemsty, a tylko dlatego, że stała się dla niego symbolem wszystkich jego życiowych niepowodzeń.

- Tylko ją jedną kochałem - powiedział.

- Zatem dobrze, że ją spotkałeś - odparła panna Temple, przy gry zając wargę.

- Ty nic nie wiesz. Nie możesz tego zrozumieć - rzekł głosem pełnym goryczy i żalu.

- Myślę, że rozumiem... - zaczęła łagodnie.

- Jak mogłabyś rozumieć?! - krzyknął. - Nigdy nie rozumiałaś ani mnie, ani nikogo innego, przez swoją dumę, tę nieznośną dumę...

Rozpaczliwie pragnęła, żeby przestał mówić, ale on nie przestawał, emocje wylewały się z niego jak fale tłukące o ściany kabiny.

- Cuda, jakie widziałem... szczyty uniesień... możliwości! - Skrzywił się pogardliwie, choć widziała łzy spływające mu po policzkach. - Związała się ze mną, Celeste, nawet nie wiedząc, kim jestem, nie dbając o to, że czeka nas śmierć! Że wszystko rozpadnie się proch! Że nasza miłość tak się zakończy! Wiedziała o tym od początku!

Wyciągnął rękę i mocno popchnął ją na szafkę. Ruszył na nią, wymachując rękami i wrzeszcząc.

- Roger, proszę...

- A kim ty jesteś, Celeste? Dlaczego wciąż żyjesz? Taka zimna, bez serca i żadnych uczuć, tak nieugięta!

Mocno ścisnął jej ramię i potrząsnął.

- Roger...

- Caroline oddała mi siebie, oddała wszystko! Zamordowałaś ją, zamordowałaś mnie i cały świat...

Jedną ręką złapał ją za włosy i szarpnięciem przyciągnął do siebie, a drugą zacisnął na jej szyi. Szlochał. Spojrzeli sobie w oczy. Nie mogła oddychać.

Panna Temple nacisnęła spust i Roger Bascombe odleciał do tyłu. Na jego twarzy malowało się zaskoczenie, gdy zamiast runąć na twarz, zgasł - w swym czarnym płaszczu podobny do rozwianego wiatrem kłębu dymu - padając na kanapę i zsuwając się z niej na podłogę. Panna Temple upuściła broń i załkała, nie wiedząc już, kim jest.

\*

- Celeste!

To Chang wołał ją z dachu kabiny, nie zważając na obolałe płuca. Spojrzała w górę. Poczula lodowate palce dotykające jej stóp i zobaczyła, że to woda sączy się przez deski podłogi. Chwiejnie weszła na żelazne schody, oślepiona przez łzy, i po omacku odnajdywała drogę, przepełniona bezgranicznym smutkiem. Doktor Svenson czekał w sterówce i podniósł ją do góry. Miała ochotę zwinąć się w kłębie i utonąć. Podniósł ją wysoko i inne ręce - Elóise i

Changa - pomogły jej wyjść na dach. Jakie to ma znaczenie? Umrą w kabinie lub na jej dachu - tak czy owak utoną. Dlaczego to zrobiła? Co to zmieniało? Doktor szedł za nią, podtrzymując ją.

- Trzymaj ją - powiedział i poczuła, jak Chang obejmuje jej drżące ramiona. Balon nad nimi wiotczał, odpychany na bok przez wiatr, wciąż ogromny, lecz opadający na wodę - na szczęście nie na ich głowy - w wyniku czego kabina lekko się przechyliła. Bryzgi wody opryskiwały dach i twarz panny Temple, gdy fale kołysały ich tonącą platformą. Chang drugą ręką trzymał się metalowej rozporę, tak samo jak doktor i Elóise. Panna Temple rozejrzała się.

- Gdzie hrabina? Pociągnęła nosem.

- Nie było jej tu! - zawołał Svenson.

- Może wyskoczyła? - podsunęła Elóise.

- Zatem nie żyje - orzekł Svenson. - Woda jest za zimna, a jej suknia za ciężka, ściągnie ją na dno, nawet gdyby przeżyła upadek...

Chang zakasłał, zdecydowanie lżej.

- Jestem twoim dłużnikiem, doktorze, za ten pomarańczowy eliksir. Czuję się już tak dobrze, że mogę utonąć.

- Jestem zaszczycony, że mogłem służyć pomocą - odparł z krzywym uśmiechem Svenson.

Panna Temple zadrzała. Jej skąpe szaty nie chroniły jej przed wiatrem i zimną wodą, która opryskiwała jej drżące ciało. Nie mogła tego znieść, chociaż oni próbowali żartować, nie chciała umierać, nie po tym wszystkim, a przede wszystkim nie chciała utonąć. Wiedziała, że to okropna śmierć - powolna i bolesna. Była już wystarczająco obolała. Spojrzała na swoje zielone buciki i gołe nogi, zastanawiając się, jak długo to potrwa. Przebyła tak długą drogę w tak krótkim czasie. Jakby jej pokoje w hotelu Boniface znajdowały się równie daleko i były taką samą częścią jej przeszłości, jak jej dom na wyspie. Pociągnęła nosem. Przynajmniej wróciła nad morze.

\*

Panna Temple czuła, że zaczyna drętwieć, a jednak kiedy znów zerknęła na swoje stopy, ujrzała, że nadal nie znajdują się nad wodą. Wyciągnęła szyję, zajrzała w otwarty luk i zobaczyła, że sterówka jest pełna wody, a nasiąknięta suknia Caroline Steame unosi się tuż pod powierzchnią. Dlaczego nie zatonęli? Odwróciła się do pozostałych.

- Czy to możliwe, że na czymś osiedliśmy? - zapytała, szczękając zębami.

Tamci troje jednocześnie spojrzeli na otwarty luk sterówki, a potem wszyscy czworo zaczęli rozglądać się w poszukiwaniu wyjaśnienia. Woda była zbyt ciemna, by można było w niej coś dostrzec. Przed sobą i po bokach widzieli tylko otwarte morze, natomiast widok z tyłu zasłaniał wydęty i leżący na wodzie balon. W nagłym przyptywie energii Kardynał Chang przeszedł przez metalową rozporę i wygramolił się na tę zwiotczałą powłokę, przy każdym kroku wyduszając z niej chmurki niebieskiego dymu. Po każdej nadsięgającej fali nikł pannie Temple z oczu i po chwili znikł zupełnie.

- Możemy być dosłownie wszędzie - rzekł doktor Svenson, a gdy żadna z kobiet się nie odezwała, dodał: - Geograficznie rzecz biorąc.

Po chwili usłyszeli donośny krzyk Changa. Biegł do nich w podskokach, mokry do pasa, coraz bardziej spłaszczając nasiąknięty balon.

- To ziemia! - krzyczał. - Niech nam Bóg dopomoże, to ląd!

\*

Doktor Svenson podsadził pannę Temple na metalową rozporę, a potem tak samo pomógł Elóise, a panna Temple podała jej rękę. Razem poszli po zwiotczającym balonie i zanim doszli do połowy drogi, byli mokrzy do kolan, ale już widzieli nierówną białą linię załamujących się fal, a za nią ciemniejszy pas drzew.

Chang czekał na nią w wodzie i panna Temple skoczyła w jego ramiona. Morze było lodowate, ale roześmiała się i opryskała mu wodą twarz. Nogami nie sięgała dna, więc odepchnęła się od Changa, jednym rzutem oka sprawdziła, gdzie znajduje się brzeg, i zanurkowała, czując mrowienie w korzonkach wszystkich włosów. Popłynęła, mocno pracując nogami, nic nie widząc w ciemnej toni, czując, jak morze zmywa z jej ciała łzy i pot, wiedząc, że powinna się spieszyć, inaczej zabierze ją ta lodowata woda, i że po wyjściu z niej będzie jej jeszcze zimniej, gdy mokrą owieje ją wiatr, i że to wszystko wciąż może ją zabić.

Nie przejmowała się tym. Znów się uśmiechnęła, po raz pierwszy od dawna dokładnie wiedząc, gdzie jest i dokąd zmierza. Czowała się tak, jakby wracała do domu.